

# Album biograficzne ZASŁUŻONYCH POLAKÓW I POLEK WIEKU XIX,

WYDANE STARANIEM I NAKŁADEM  
MARYI CHEŁMOŃSKIEJ

POD KIERUNKIEM KOMITETU REDAKCYJNEGO,

KTÓRY SKŁADAJĄ:

Szymon Askenazy, Bronisław Chlebowski, Samuel Dickstein, Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström, Bolesław Erzepki, Zygmunt Gloger,  
Kazimierz Gliński, Józef Kallenbach, Stanisław Van der Noot Kijeński, Władysław Korotyński, Stanisław Kramsztyk, Aleksander Kraushar, Antoni Małecki,  
Maryan Massonius, Ks. Teofil Matuszewski, Józef Peszke,  
Henryk Piątkowski, Roman Pleniewicz, Aleksander Poliński, Pius Weloński, Zygmunt Wolski.

Sekretarz Redakcyi — Jan Nitowski.

TOM DRUGI.

*Z przedmową*

STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO.

W TOMIE I.



WARSZAWA.

Redakcja i Administracja—Wspólna, 51 m. 2.

1902.





ALBUM BIOGRAFICZNE  
Zasłużonych Polaków i Polek  
WIEKU XIX.



# Album biograficzne ZASŁUŻONYCH POLAKÓW I POLEK WIEKU XIX,

WYDANE STARANIEM I NAKŁADEM  
MARYI CHEŁMOŃSKIEJ

POD KIERUNKIEM KOMITETU REDAKCYJNEGO,

KTÓRY SKŁADAJĄ:

Szymon Askenazy, Bronisław Chlebowski, Samuel Dickstein, Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström, Zygmunt Gloger,  
Kazimierz Gliński, Józef Kallenbach, Stanisław Van der Noot Kijeński, Władysław Korotyński, Stanisław Kramsztyk, Aleksander Kraushar, Antoni Małecki,  
Maryan Massonius, Ks. Teofil Matuszewski, Józef Peszka,  
Henryk Piątkowski, Roman Pleniewicz, Aleksander Poliński, Pius Weloński, Zygmunt Wolski.

Sekretarz Redakcyi — Jan Nitowski.

TOM DRUGI.

*Z przedmową*

STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

W TOMIE I.



WARSZAWA.

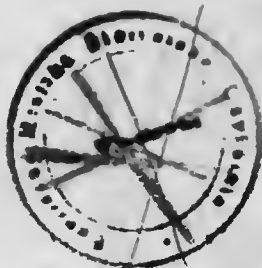
Redakcyja i Administracyja—Wspólna, 51 m. 2.

1903.





92



92  
Album

10659

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 20 Мая 1902 года.



86931



*Podług fotografii z natury ze zbiorów Z. Wasilewskiego.*

*Levany Goszaryński*

~~Kop. inwent.~~



# Seweryn Goszczyński.

\* 1801 † 1876.

Z trzech poetów ukraińskich romantycznej doby najwięcej bezwątpienia danych do wszechstronnego rozwoju talentu posiadał w sobie Goszczyński. Nie wiemy wprawdzie, jakby się później rozwinął Malczewski, gdyby los pozwolił mu być dłużej między żyjącymi przebywać, czyby wszystkim późniejszym utworom nadawał to piętno bezbrzeżnej tęsknoty, jaką tchnie jedyny większy utwór, który nam spuścizną literacką przekazał, i czyby wiernym tej Ukrainie pozostał, której piękności umiał pendzlem tak poetycznym malować. Podanie, iż w rękopiśmie zostawił dramat: *Samuel Zborowski*, zdaje się za tem przypuszczeniem w sposób twierdzący przemawiać, boć przecież ów głośny warchoł-banita przez czas dłuższy na Zaporozżu wśród kozaków przebywał, a pono im nawet hetmanił. Nie jedna przeto scena w dramacie mogła się na Ukrainie rozgrywać i mieć właściwy sobie koloryt.

O Bohdanie Zaleskim niema nawet co mówić. Jak tylko wstąpił w to zaczarowane koło, którem w chacie Zujowej oplotły go stepowe rusalki, «pojąc dum i mleczem kwiecia», już on owego kręgu przekroczyć nie mógł ani na chwilę i czy to w Warszawie, czy na obczyźnie, po kres żywota snuł z duszy złotem i jedwabiem przetykane dumy i dumki, odtwarzając obrazki, któremi go we śnie lat pacholących owe piastunki czaromoce bawiły. Nawet, gdy tworzy *Ducha od stepu*, lub w *Przenajświętszej Rodzinie* ziemię Judzką maluje, obrazom swym bezwiednie barw ukraińskich użył.

Goszczyński posiadał nie mniej bogatą paletę, niż dwaj poprzedni poeci, tylko na niej nie widzimy tych barw świetlanych, tęczowych, jak u śpiewaka «Rusalek»; raczej zbliża się on kolorytem do Malczewskiego, z tą różnicą, że jeszcze mocniej tony ciemne nakłada. Zamiast w mgłę łzawej tęsknoty—obrazy jego toną w dymach pożogi; zamiast słońca, oświecającego bezbrzeżne stepy i ludzką niedolę—świeci w nich luna krwawa pożaru.

A jednak ten poeta, lubujący się w odtwarzaniu żywiołowych namiętności i czynów dzikich, zbrodniczych, o wiele wierniej i zgodniej z prawdą historyczną maluje Ukrainę rodzinną, niż śpiewak dumek i autor rozmarzonej Maryi. Powiemy więcej! Ten poeta, stojący o wiele niżej pod względem umysłowym i społecznym od obu ukraińskich współbraci, przewyższa ich zdolnością przeczucia się od jednych przedmiotów i pomysłów do drugich wręcz przeciwnej sobie natury, oraz łatwością przystosowywania się do środowiska, w którym go okoliczności stawiają. Zaledwie na zgłiszczach *Zamku Kamionowskiego* zatknął sztandar poezji ukraińskiej, gdy go znów na szczytach Wyżni rozwinął, tylko lśniący inną już barwą, w *Sobótce*. Z równą łatwością przyswaja sobie piękno oczeretów Irdynia i mrocznych puszczy nadnieprowych, jak i mało komu naówczas znane uroki turni tatrzańskich.

Zdawałoby się, iż fantazyja tak podatna do przejmowania kształtów i obrazów, jakie poeta na drodze burzliwego życia spotykał, stanie się dla

niego niewyczerpanem źródłem twórczości, podniecającej ducha do wzlotów coraz śmielszych, górniejszych i nazawsze zapewni mu miejsce przodujące na Parnasie rodzinnym. Tymczasem te świetne początki nie odpowiadają dalszej jego twórczości. Ód ogłoszenia *Sobótki* i *Króla zamczyska* natchnienie jego słabnie, rozprasza się na rzeczy drobne; jeżeli zaś do poezji powraca, to właściwie rozmija się z artystycznymi celami.

Co było tego przyczyną?... Odgadnąć łatwo—mistyczna doktryna towianizmu, którą, podobnie jak Mickiewiczowi, i jemu skrzydła zwichnęła. Zresztą do pełnego rozwoju talentu zawsze staśtawo mu na przeszkodzie materyalne położenie. Los bowiem nie uśmiechał mu się i to od samej kolebki. Ojciec jego mazur, artylerzysta, po ograniczeniu w r. 1793 kompletu wojska rzezcypospolitej do 15000, przeniósł się na Ukrainę, szukając chleba, a może i fortuny. Chleb wprawdzie znalazł, jako gorzelany w Ilińcach, ale fortuny nietylko za włosy, lecz i za połę nie schwytał. Pomimo to pojął pannę ubogą, Franciszkę Gurowską, w dość oddalonej Sławucie, rezydencji książąt Sanguszków. Ojciec jej, szlachcic, był tu strzelcem; matka, z domu Troczewska, zarządzała pralnią pałacową. Z tego małżeństwa biedy z biedą urodził się poeta w dniu 4 października 1801 roku.

Zdaje się, iż Seweryn Goszczyński nie wyniósł trwalszych wspomnień z Iliniec. Zaledwie bowiem miał lat dwa, gdy go oddano na wychowanie do Sławuty do babki. Tu on później uczęszczał do szkółki miejscowej, mając za towarzyszków dzieci oficyalistów książęcych i mieszczan. Zresztą, nie on jeden wychował się u babki. Były przy niej jeszcze dzieci jej sióstr: dwóch chłopców i dziewczynka. Z tem więc dalszem rodzeństwem dzielił wspólne zabawy.

Jakkolwiek w dzieciństwie przebywał ciężkie choroby—pomiędzy innymi ospę, po której mu na całe życie na obliczu ślady zostały—w miejscowości wszakże tak zdrowotnej, jak Sławuta, nabrał sił, zahartował się, rozrósł nad wiek i stał się nietylko mistrzem w obmyślaniu wszystkich karkołomnych zabaw, ale i tyranem małych wujów i cioci, którą czubił, kulakami obdźlając, a raz nawet o mało nie utopił w Horyniu.

Z tych sprawek znany był nawet księciu Sanguszce, który go hajdamakiem nazywał.

Gdy rodzice jego opuścili Iliniec i przenieśli się na Wołyń do Siomak, poeta uczy się w szkole o.o. Bernardynów w Zasławiu. Wreszcie od roku 1810 wstępuje do szkoły wojewódzkiej w Międzyrzeczu Koreckim, gdzie go do klasy przygotowawczej przyjęto.

Pobyt w niej Goszczyńskiego, acz krótki, wywarł wpływ stanowczy na dalsze jego usposobienie.

W Sławucie przebywał w otoczeniu ludzi prostych, utrzymujących się pracą a łaską książęcą; za towarzyszków szkolnych miał dzieci rodziców biednych, nad którymi mógł bezkarnie przewodzić. To samo było w Zasławiu, gdzie stał u organisty w klasztorze. Tymczasem w Międzyrzeczu zetknął się z synami dumnych panów wołyńskich. Młodzież zaś ta, ze względu na podługne stanowisko jego ojca, jako oficyalisty, na każdym kroku dawała mu uczuć swą wyższość rodową i majątkową. Goszczyński przy usposobieniu porywczym, zapewne nie pozwalał sobie dmuchać w kaszę paniczom; ale pomimo to uczucie upośledzenia losowego, którego, wobec wystawności dworu książęcego, nie doznawał nigdy w Sławucie, tu po raz pierwszy ostrzem pałacem jego duszę zraniło. Uświadomiło mu to nadto różnicę stanów i przedwcześnie do klas wyższych napoiło niechęcią. W niej też tkwiło źródło tego demokratyzmu, który go pociągał do ludu i uzdolniał odczuwać jego krzywdy wiekowe.

Przecież nie tu był kres jego udręczeń.

W Międzyrzeczu umieścił go ojciec na stancyi u wdowy Borewiczowej, która do nadzoru nad malcami trzymała dyrektora, t. j. ucznia klas wyższych. Był nim niejaki Godlewski. Otóż ten szczególnie znęcał się nad Goszczyńskim.

Zapewne, czupurny, zadzierzysty malec, nie przywykły ustępować nikomu, przy pierwszym napomnieniu stawiał się hardo i tym sposobem w przewodcy stancyi, mającym władzę zwierzchniczą, obudził niechęć ku sobie. Rozpoczęła się więc między nimi nierówna, zacięta walka. Godlewski chciał zmusić do uległości krnąbrnego chłopca ponawianymi chłostami; ten zaś wywoływał je rozmyślnie, by przekonać swego oprawcę, iż pomimo fizycznej nad nim przewagi, złamać go i zniewolić do uległości nie zdoła.

Chłopiec ten, istotnie, był jakby z brązu odlany. Pomyślmy, iż miał zaledwie rok dziesią-

ty i już w tym wieku, dla innych w rajskie opływającym rozkosze, przebywał tak twardą szkołę doświadczeń, doznawał tylu upokorzeń i goryczy!

To też nic dziwnego, że dysząc nienawiścią ku swemu otoczeniu, do późna obcym był tym uczuciom delikatnym, subtelnym w swoich odcieniach, w których malowaniu celował autor *Maryi*; że nie zdobył tego pogodnego na świat poglądu, jaki cechuje Zaleskiego utwory; że owszem znajdował rozkosz w kreśleniu scen krwawych i zbrodni, wywołanych uczuciem zemsty, w odwet za krzywdy doznane.

Było to następstwo wrażeń, doznanych w pierwszej młodości.

Że ta hajdamacka pedagogika nie oswoiła go z chłostą, nie starła wstydu z jego czoła, nie zabiła w nim poczucia osobistej godności, to zawdzięczał jedynie wrodzonemu uczuciu dumy i przekonaniu, że przez upór, zaciętość, odnosi nad swym katem zwycięstwo, że zresztą jest wyższym od niego, skoro mu się ugiąć nie daje.

Ta wielka siła odporna była dla niego talizmanem, chroniącym go od upodlenia. Nawet uczył się dobrze.

Gdy jednak z końcem roku szkolnego przybył z pochwałą na wakacje do domu, zamiast spodziewanych uciech i przyjemności wiekowi jego właściwych, znalazł tu bladą troskę o jutro. Ojciec bowiem nagle miejsce utracił i na razie nie mógł znaleźć innego. Wśród takich zaś okoliczności niepodobna było myśleć o wysłaniu syna po wakacjach do szkoły.

Wprawdzie stary Goszczyński po uciążliwych staraniach zdobył późną jesienią jakieś miejsce w Nowym Konstantynowie na Podolu; kilka miesięcy jednak spędzonych na bruku, oraz kosztą przeniesienia się w dość odległą od Siomak okolicę, wyczerpały zapewne szczupłe jego zasoby. Nie polepszyło się widocznie położenie materialne i później, skoro poeta przez lat trzy używał przymusowych wakacyj. Jeżeli jednak w ciągu tego czasu nie kształcił się naukowo, to go rozwijała przyroda, oraz czytanie książek, jakie mu do rąk przypadkowo wpadały. Pomiędzy niemi znalazł się i *Gonzalw z Korduby*, który więcej, niż inne, wyobraźnię jego zapalił. Pod jego wpływem zaczął marzyć o wyswobodzeniu Ziemi ś.

Nareszcie w r. 1814 rodzice zdobyli się na wysłanie go do nowozałożonej szkoły w Winnicy,

której rektorem naówczas był ks. Michał Maciejowski. Tu znalazł przyjaźniejsze otoczenie dla siebie, a co ważniejsza, zetknął się z Tymkiem Padurą, którego miejscem urodzenia były także Ilińce. Wspólność kolebki zbliżyła ich do siebie, ułatwiła zawiązanie serdecznego stosunku. Goszczyński przyjęty do klasy pierwszej, przykładał się i tu pilnie do nauk i na końcu roku znów pochwałą otrzymał. Pomimo to do Winnicy po wakacjach nie wrócił. Ojciec bowiem w swym koczowniczym zawodzie przeniósł się do Chłystynówki, położonej w powiecie Czerkaskim, gdzie mu niejaki Rembertowicz miejsce ekonomia w dobrach hr. Branickiego wyrobił. Tu, jak się zdaje, stary Goszczyński nieco swe interesa poprawił, skoro mógł oddać syna do szkoły w dość odległym Humanu.

Czteroletni też pobyt w tym zakładzie stanowi najważniejszy okres w rozwoju umysłowym poety.

Szkoła powiatowa humańska, założona i uposażona przez Potockich z Tulczyna, zostawała pod kierunkiem ks. Bazylianów, którzy starali się na stopie wyższej ją utrzymać. Dzieliła się ona na klas pięć, ale kurs w ostatniej trwał lat dwa. Tym sposobem zbliżyła się do typu dawnych szkół wojewódzkich i w dziejach oświaty niepoślednie miejsce zajęła. Zwykle wykładało w niej 5—8 nauczycieli, liczba zaś uczniów w niektórych latach dochodziła do 350.

Gdy do niej w r. 1815/16 przybył Goszczyński, rektorem jej był ks. Julian Michalewski, który zarazem wykładał naukę wymowy i język francuski. W okolicy słynął on jako literat i poeta; jakoż tłómaczył Alfierego i Metastazego. Obok niego obowiązki prefekta spełniał ks. Leon Skibowski. Ten udzielał nauki obyczajowej i nauk przyrodniczych, oraz odbywał z uczniami dla herboryzacyi wycieczki. Języków starożytnych uczył ks. Klemens Hryniewiecki, matematyki ks. Tymowicz, literatury Pełczyński, fizyki do klasy III ks. Luberański, wreszcie języka francuskiego w klasach wyższych de Lins.

Goszczyński, odznaczony w Winnicy, w klasie I-szej pochwałą, przyjęty został do drugiej. W Humanu też zetknął się z Bohdanem Zaleskim, z Józefem Mianowskim, późniejszym rektorem b. Szkoły Głównej w Warszawie, Józefem Jeżowskim, serdecznym druhem Adama Mickiewicza i towarzyszem jego pobytu w Odesie i Mo-



skwie, oraz z wielu innymi, o których niżej. Nastrój też owej młodzieży zupełnie się różnił od usposobienia międzyrzeckich paniczów. Wśród niej Goszczyński nie tylko nie doznawał upokorzeń, ale owszem, jako starszy i odznaczający się muskularną siłą, wkrótce pozyskał nad rówieśnikami przewagę. Ponieważ słabszych czubił, według obyczaju nabytego w Sławucie, przeto pokrzywdzeni nazywali go Neronem, lub dawali mu epitet: *raby* — dziobaty. Zresztą w różnych grach w piłkę był mistrzem, w sobie zaś czuł taki zapas sił fizycznych, iż co chwila, przez jakiś wysilek, nadmiar ich z siebie potrzebował wyrzucać. Gdy nie mógł w inny sposób, wykrzesywał podkówkami ogień z kamieni. A jednak ten szorstki, tyranizujący innych Goszczyński, względem wątle go i delikatnego Bohdana Zaleskiego, we wszystkich koleżeńskich zatargach rolę opiekuna odgrywał. Wkrótce też pomiędzy nimi zadzierzgnął się przyjazny stosunek, który niemało zaważył w duchowym Goszczyńskiego rozwoju. Zaleski, lubo młodszy, o wiele go pod względem umysłowym przewyższał. Obok pilnego przykładania się do nauk, zajmował się już wtedy literaturą i posiadał *Pamiętnik Warszawski*, oraz *Dziennik Wileński*, które zogniskowały w sobie cały ruch literacki ówczesny.

Właśnie w pierwszym z nich od roku 1815 zaczęły się pojawiać najwcześniejsze utwory Kazimierza z Królówki:

Żal matki, dumka: «Gdy słowik zanuci», przekłady z Schillera i Goethego, które szczerością uczucia i formą wyróżniały się od wszystkiego, co w szkole humańskiej za niedościgłe wzory poezji stawiano. Utwory te były jakby wczesną rosą wiosenną, pod której wpływem, złożone w duszach obu poetów zarody twórczości, miały kiedyś zakiełkować i w bujny kwiat się rozwinać.

Tylko te zarody niejednomiennie urabiały się w ich duszach. W Zaleskim, choć jeszcze nieocknione, posiadały już ukształtowaną protoplazmę, według której miały się rozwijać wszystkie pędy jego natchnień późniejszych; w Goszczyńskim tkwiły one stłumione, niby ziarno w roli, pokryte twardą jej skorupą.

A jednak i w jego duszy było nagromadzonych wiele poetycznych żywiołów. Przenosząc się tylokrotnie z rodzicami z jednej miejscowości do drugiej, nieraz nawet bardzo odległej, miał moż-

ność poznania różnych okolic kraju w całej rozmaitości ich rzeźby i przemawiającego z ich oblicza piękna, na które był nader wrażliwym. Jadąc z ojcem do Nowo Konstantynowa, poznał Ziełńce, Stary Konstantynów, Starą Sieniawę, a o każdej z tych miejscowości rozповідаł mu ojciec wiele szczegółów, których pamięć głęboko w jego duszę zapadła. Epopea Napoleńska niemało odgrywała w tem rolę. Tyle zresztą przeczytał bez wyboru i braku, tyle w Międzyrzeczu u Borowiczowej nasłuchiwał się powieści o księżniczkach i królewiczach zaczarowanych, o upiorach, strzygach i strachach, tyle zresztą w ciągu przymusowej beczynności przeczuł, przemarzył, że przy wrodzonym talencie mogłoby mu to już starczyć na pierwsze próby młodzieńcze. Tymczasem w duszy jego wszystko to wirowało jeszcze bezładnie, nieskrystalizowane w sobie... *rudis indigestaque moles*.

W pierwszym roku pobytu swego w Humaniu Goszczyński, stojąc u siodlarza Huczyńskiego, jeszcze się tak ściśle nie zespolił z Zaleskim. Oprócz niego bowiem, przyjaźnił się ze współuczniami: Tomaszewskim, braćmi Tarkowskimi, Augustem i Piusem Grozami, wreszcie z Janem Krechowickim, mieszkającym w konwikcie bazylikańskim; ale w następnym mieszka już z Zaleskim w jakimś domku za miastem, przy drodze do Zofiówki wiodącej, która odtąd staje się celem ich wspólnych wycieczek, miejscem marzeń wieczornych i rozpraw o literaturze. Materiału do nich dostarcza głównie Zaleski; oprócz pism, ma on wiele książek, które Goszczyński pochłania Iliada zaś, zapewne w przekładzie Dmochowskiego, taki budzi w nim zachwyt, że ją zabiera z sobą na wakacje do domu.

By zrozumieć to tak żywe, a przedwczesne zajęcie się ich literaturą, a szczególnie poezją, należy wziąć na uwagę, że oprócz wrodzonego do niej popędu, mieli w swem otoczeniu jedną jeszcze, a bardzo silną podniechęć. Nauczyciel bowiem wymowy i poezji miał zwyczaj, iż poczynając od klasy IV, zadawał uczniom na ćwiczenia przekłady poetów rzymskich, szczególnie zaś Horacego. Otóż wszyscy ubiegali się o sławę pierwszego w szkole poety, wszyscy nie tylko w klasie, lecz i w domu wiersze pisali. Co więc dziwnego, że o podobnych tryumfach i Goszczyński zamarzył? Tylko, jeżeli pisać prozą przychodziło

mu z łatwością, to z rymami w żaden sposób nie mógł sobie dać rady. Było to tem więcej upokarzające dla niego, że wszystkie jego wysiłki wywoływały w kolegach powątpiewanie o jego poetycznych zdolnościach.—«Już ty wierszy nigdy pisać nie będziesz—mówiono.—Torosiewicz, to co innego!» A był to uczeń, któremu pisanie wierszy z szaloną przychodziło łatwością. Wytrwały wszakże i uparty Goszczyński nie dał się tem z właściwej sobie drogi sprowadzić. Pod wpływem Iliady marzy na wakacjach o eposie, z opowiadań ojca pisze ostatnich czasów historię. Jest nadto wrażliwy na piękności wiejskich młodyc—kocha się w jednej na zabój; gdy zaś z końcem wakacyj wraca do szkoły, modli się gorąco do Matki Boskiej w kościele, by mu udzieliła daru poezyi. I rzecz dziwna, zaprawdę! Gdy w klasie IV nauczyciel według przyjętego zwyczaju zadał uczniom do przekładu Pieśń XIII z Księgi Epopodów Horacego, wiersz Goszczyńskiego okazał się tak pełen zalet, iż go przesłano do Tygodnika Wileńskiego, gdzie go wydrukowano. Było to niemalą dla początkującego zachętą. Zelektryzowany tem pierwszym powodzeniem, przełożył wiersz drugi: *Ad sodales* (Do przyjaciół), który Zaleski przesłał zaraz do Dziennika Wileńskiego wraz z jakimś własnym przekładem. Ale tu zaszedł najmniej dla obu spodziewany wypadek: nie zważając na podpis Goszczyńskiego, redakcja pod oboma próbami umieściła tylko Zaleskiego nazwisko. W tym wszakże zawodzie znalazła się i pociecha: zdobył pewność, że się urodził poetą. Wprawdzie droga, na którą wszedł, nie była dla niego jeszcze właściwa: szkoła bowiem, w której duch klasycyzmu panował, stawiała mu przed oczy wzory dalekie od tego, co w duszy nosił w zarodzie; w każdym razie poczucie siły twórczej już się w nim ocknęło i w świadomości odbiło. Tylko, niestety, podobnego przekonania nie zdobywa się w latach nauki bezkarnie. Stało się też z Goszczyńskim to, w co wielu młodych ludzi, przedwcześnie, oddających się poezyi, wpada. Zaczął lekceważyć zajęcia klasowe i opuszczać się w naukach; szczególnie ucierpiał na tem łacina i matematyka. Gdy zaś nauczyciel, wykładający tę ostatnią, poskarżył się nań przed prefektem Skibowskim, a ten dla zastraszenia go zawołał: «A to w skórę!»; Goszczyński jeszcze bardziej zaciął się w uporze i nic odtąd w tym kierunku nie robił.

Pomimo to, udało mu się otrzymać do klasy V promocję. Wyjechał też na wakacje do domu z głową pełną pomysłów, Zamierza pisać epos: *Jan Sobieski pod Wiedniem* i plan do niej układa; tymczasem tłómaczy *Nunę Pompiliusza* i *Historię o Magiellonie*. Ta wewnętrzna też praca zmienia całe jego usposobienie. Rodzice prawie go nie poznają. Dawne zamilowanie do ćwiczeń fizycznych ustępuje przed namiętne zatapianiem się w książkach i przyrodzie. Nie próżnowało zresztą i serce. W ciągu tych wakacyj zakochał się w pannie Petroneli Rembertowiczównie, która z ojcem nawiedziła dom jego rodziców. Najważniejsze jednak przeobrażenie dokonało się w nim, gdy do Humania powrócił. Rok 1818/19 ma epokowe znaczenie w rozwoju jego duchowym. I teraz on, wstąpiwszy do klasy V, mieszka wspólnie z Zaleskim, ale na innej już stancyi, u siodlarza Tereszki, który, jako naoczny niegdyś świadek koliszczyny, przechował o niej żywą tradycję i opowiadaniem o Wernyhorze, hajdamakach i rzezi humaniskiej wyobraźnię Goszczyńskiego zapalił. Teraz on, istotnie, trafił na swoiste źródło poezyi. Zaczyna marzyć o kozaku wieszczym, tylko jeszcze nie wie, jak się zabrać do tego przedmiotu. Tłómaczy więc z francuskiego przekładu *Noce Young'a*, *Pieśń I* Iliady, czyta Tymona Zaborowskiego, *Dobromira* i *Anielę*.

Naraz w *Pamiętniku Warszawskim* pojawia się rozprawa Kazimierza Brodzińskiego: *O klasycyzmie i romantyzmie*. Otworzyła ona przed obu poetami szerokie widnokręgi i zaznajomiła ich z dążeniami poetów innych narodów. O Byronie jeszcze w niej wzmianki nie było; ale Dante, Szekspir, Goethe, Schiller, a przede wszystkim Ossyan, szerokie zajmują w niej miejsce. Tylko w utworzeniu sobie pojęcia o prawdziwej poezyi bruździ im jeszcze w tymże roku wydana *Jagiellonida* Dyzmy Bończy Tomaszewskiego, którą Zaleski za arcydzieło uznaje. Dwa te zjawiska literackie wywołują pomiędzy nimi jeszcze bardziej ożywione, niż w roku zeszłym rozprawy i spory. Do nich przyłącza się nadto Michał Grabowski, który w roku ubiegłym do klasy V był przyjęty — i oto, trójka ta, nie poprzestając na wymianie ustnej o literaturze swych pojęć, przybrawszy nazwę zbiorową *Za-Go-Gra*<sup>1)</sup>, zaczęła,

<sup>1)</sup> Słowacki Juliusz widocznie wiedział o tym tryumwiracie i nazwie przezeń przyjętej, skoro później, znę-

na wzór *Ćwiczeń naukowych*, wydawanych przez młodzież Krzemieniecką, redagować pismo, które pomiędzy kolegami rozpowszechniała w odpisach.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie matematyka, do której i w klasie V nie mógł się nawrócić Goszczyński. Ciągłe też zaniedbywanie się w niej wyprowadziło w końcu ks. Tymowicza z granic cierpliwości. Nieumiejącego lekcyi sfukał i kazał mu klęczeć. Ale podobnemu upokorzeniu wobec klasy za nic w świecie nie chciał się poddać Goszczyński. Spór się zaostriżył i przed władzę wyższą wytoczył, która, chcąc powagę nauczyciela podtrzymać, a nie mogąc do przeproszenia go skłonić poety, nie widziała innego środka nad wydalenie zuchwałego dla przykładu ze szkoły. Pożegnał więc Humań na długo i do domu ojcowskiego powrócił.

Ze względu na korzyści przyswojenia sobie całości, nie rozległej wprawdzie, ale systematycznie podawanej nauki i dalsze pokierowanie się w życiu, był to wypadek fatalny. Ale o to się nie troszczył Goszczyński. Życie jego ojca układało się również przypadkowo; więc do tego on przywykł. Zresztą, nie myślał brać rozbratu z nauką, choć wybór miejscowości do dalszych studyów znów się okazał od przypadku zawisłym. Początkowo bowiem owa trójka z Bohdanem Zaleskim na czele, marzyła o uniwersytecie wileńskim, jako używającym ustalonej już sławy; gdy jednak w zeszycie styczniowym *Pamiętnika Warszawskiego* za rok 1819 znaleźli krytykę *Jagiellończy*, napisaną przez jakiegoś Adama Mickiewicza, który śmiało ujemne strony tej epopei wytykał, Zaleski tak to wziął żywo do serca, iż dał Warszawie pierwszeństwo w przekonaniu, iż do Wilna jeździć nie warto, skoro wydaje ludzi, którzy ośmielają się targać na taką wielkość, za jaką Tomaszewskiego uznawał. Za tem zdaniem poszedł Goszczyński i Grabowski i w roku 1820 wszyscy trzej znaleźli się w Warszawie.

Pytanie, jakim torem poszłoby ich życie, gdyby swój zamiar pierwotny przywiedli byli do skutku?

cając się nad Grabowskim za jego artykuły zamieszczone w *Tygodniku Petersburskim*, powiada w Beniowskim (Pieśń V), «iż Muza krytykę dońców i słowian lepiej spamięta,

Gdy ich, jak złota strzała Meleagra,  
Przeszyje pióro pana Michała Gra.»

W Warszawie jednak nie wszyscy w równej mierze umieją przystosowywać się do nowych, a obcych sobie warunków. Uczęszczają pilnie na wykłady Brodzińskiego, gdyż w nim odgadują przedstawiciela nowych dążeń w literaturze. Zaleski go nawet swoim mistrzem uznaje i tworzyć w jego duchu zaczyna, ale mu jakoś bez Ukrainy nieswojo.

«Ej! tyś tu tabun przypędził, kozaczek!» — powiada mu «w głos przygany» Malczewski — «i tęsknisz nazad w step, zasumowany» (sposępiony). Natomiast Goszczyński wśród młodzieży uniwersyteckiej zawiązuje liczne stosunki, a przede wszystkim z Maurycym Mochnackim, który w tym samym roku 1820 wstąpił na wydział prawny. Wpływ jego pod względem wykształcenia literackiego był na Goszczyńskiego niemały, ale obok literatury inne jeszcze zajmują go sprawy. Rzuca się w odmęt tajnych towarzystw i z nich wynosi zasady, które na długie lata będą drogowskazem jego żywota. Wszystkie owe hasła, które wiek XVIII przekazał XIX, stają się zarzewiem dla jego zapalnej, wybuchowej natury. W ich świetle uprzytomniają mu się dobrze znane ukraińskie stosunki: zależność pańszczyzniana, wyzysk i ucisk ludu, i w duszy jego powstaje myśl naprawienia tych krzywd wiekowych. Jednocześnie zapala się do sprawy greków i podobnie, jak Byron, tylko bez środków Byrona, pragnie stanąć pod ich sztandarem. O te ostatnie zresztą niewiele się troszczy, wierzy, iż je znajdzie w kieszeni zamożniejszych kolegów szkolnych. Więc po roku rzuca Warszawę i puszcza się pieszo na Ukrainę. Nie było w tem nic zresztą dziwnego. Miał przykład w Adamie Czarnockim, który w ten sposób zeszedł cały wschód Słowiańszczyzny i rozprawą swą o niej drukowaną w krzemienieckich *Ćwiczeniach naukowych* zarówno do podobnych wędrówek zachęcił, jak i miłość ku prastarym czasom obudził. Jakoż, podróż, choć o chłodzie i głodzie udała się szczęśliwie; nadzieje wszakże uzyskania pomocy zupełnie go zawiodły. Dla sprawy greckiej wszędzie obojętność spotykał; z tym większym zapalem przeto oddał się drugiej swej myśli i, jak ów dziad tajemniczy w *Zamku Kaniowskim*, przeszedł z kosturem w ręku całą niemal Ukrainę i, jak on, mógł powiedzieć o sobie:

A od Kaniowa aż do samej Śmiły  
Wszystkie pod ręką poznam ci mogiły,



Pień tobie każdy poznam nad mą drogą,  
Każdą murawkę, co nastąpię nogą.

A w tych wędrówkach, stykając się wciąż z ludem, nawiązuje na nowo nie tradycyi o koliszczyźnie, wyniesioną z Humania i jednocześnie tworzy, dając upust, doznawanym wrażeniom. Od chwili zwłaszcza, gdy się ukazały Ballady i Działy, Goszczyński stanowczo zrywa z klasycyzmem i na nowe drogi wstępuje. Tylko muza jego, z dawnych pęt wyzwolona, wichrzy uczuciami i z lutni dobywa tony, które, jak zgrzyt żelaza po szkle, odbijają się w duszy słuchacza. Szczególnie pieśni, powstałe w Humanu, gdzie się poeta w roku 1824 na czas dłuższy zatrzymał, noszą na sobie ów charakter dziki, niesforny. Znajdziesz tu i bluźnierstwa i nienawiść do księży i stanów uprzywilejowanych, co wszystko później objął tytułem ogólnym *Trzy struny*, pomieszczając w oddziale pierwszym najjaskrawsze z tych pieśni.

Co porabiał jednak w Humanu?... Zapewne do tej miejscowości pociągały go dawne wspomnienia i ktoś z osiadłych tu kolegów. Goszczyński bowiem w swej kilkoletniej włóczędze, szukając w każdej okolicy jakiegoś punktu oparcia, zatrzymywał się u wielu z nich na czas krótszy lub dłuższy. Ta rola jednak Homera, czy linika, obchodzącego futory i dwory, budziła w nim uczucie gorzkiego upokorzenia. Ślad tego odnajdujemy w fragmencie, napisanym w r. 1823 w Kajetanówce, a zatytułowanym *Zdanie się*, w którym powiada: «Nie, tak być dłużej nie może. Miał we snach groźnych *wyprasane łóżce*, błagać niegodnych, *aby mnie żywili!*» Widocznie sama ta myśl, iż z łaski innych korzysta, okrywała mu czoło rumieńcem. A jednak, idzie dalej tą drogą, bo wierzy, iż w końcu się losy jego przesilą, że zresztą te upokorzenia musi znosić do czasu, by dzieła zamierzonego dokonał.

Zdaje się jednak, iż po owym roku 1824 nastąpiło przesilenie w duszy poety, że głębsze zastanowienie się nad swemi dążeniami przeraziło go obrazem nieuniknionych następstw i wykazało całą grozę położenia, jakieby wytworzył, gdyby zasady swe w czyn kiedykolwiek wprowadził. Jakoż od tej chwili utwory jego tracą dawną szorstkość treści i formy, uczucia zaczynają płynąć innem łokciem i przybierają podnioslejszy charakter. Z osiedleniem się zaś w roku 1826 na czas dłuższy u Jana Krechowieckiego w Leszczynówce do-

chodzi do zupełnej równowagi umysłu. Przede wszystkim, rozszerza tu i pogłębia swe poetyczne i literackie poglądy czytaniem dzieł Szekspira, Walter-Scotta, Byrona, Moora i zbioru ballad Percy'ego, które znajduje w zasobnej, miejscowej bibliotece. Pomimo bowiem całej niesystematyczności, z jaką swe wykształcenie naukowe zdobywał, rozumiał potrzebę znajomości języków obcych i, mając do nich łatwość, już w Winnicy sam się uczył francuskiego i niemieckiego, a nawet się i do języka starosłowiańskiego samodzielnie przykładał. Do angielszczyzny wziął się zapewne pod wpływem Mochnackiego w Warszawie i o tyle w niej postąpił, że mógł czytać wymienionych poetów w oryginale. Szczególniej utwory Byrona czarowały jego wyobraźnię. W nich odnajdował on klucz do rozwiązywania własnej duszy tajemnic. Więc nie dziwnego, że pod ich wpływem zaczął szukać wyrazu dla tych poetycznych żywiołów, które nagromadził w ciągu swych długoletnich po Ukrainie wędrówkach. A składały się na nie nie tylko podania, odnoszące się do koliszczyzny, ale i wszystkie wierzenia i wyobrażenia ludu, które sobie, jakby własne przyswoił. Bogactwo ich było tak wielkie, iż z początku trudno mu je było w całość organiczną powiązać. Zdaje się jednak, iż zdrada Gonty, wysłanego przeciw Żeleźniakowi przez rządę kaniowszczyzny, Mładanowicza, stała się osią krystaliczną, około której się pomysły *Zamku Kaniowskiego* skupiły. Tylko Gontę zastąpił w poemacie Nebaba; wymyślona zaś postać Orliki i przymusowe jej z rządcą zamku zameście, dały możliwość zadzierzgnięcia silnego węzła dramatycznego. Osnowa była gotowa, formę odnalazł w Byronie i w r. 1826 w domu Krechowieckiego rzucił część pierwszą na papier. Ale dalej robota szła mu jakoś niesporo; przeniósł się więc jesienią do Michała Grabowskiego, mieszkającego w Aleksandrówce w czechryńskim powiecie i tu dwóch części pozostałych dokonał. Tak na gruncie czysto rodzinnym wyrósł ten bujny kwiat poezji ukraińskiej i trzej też ukraińcy byli mu ojcami chrzestnymi: Grabowski zaopatrzył poemat w przypisy, Krechowiecki dał nakład na jego wydanie, trzeci zaś kolega, Józef Chraszczewski, wydrukował go w Warszawie. Było to w tym samym roku 1828, w którym Konrad Wallenrod wyszedł w Petersburgu z pod prasy. Bez względu jednak na wysokie tego ostat-

niego ideowe i poetyczne znaczenie *Zamek Kaniowski* nic na porównaniu nie stracił. Uznanie swej wewnętrznej wartości zawdzięczał on pięknym obrazom naddnieprowej przyrody, jak i wielkiej plastyce i sile, z jaką w nim poeta wypadki krwawe i dzikie charaktery i namiętności maluje. Pod tym względem przypominał Byrona. Przecież pomimo wspólności formy, nie był jego naśladowcą bezwzględny. Koloryt miejscowy zachował tak wierny, iż wszystkie piękności poetyczne są niemal odbiciem wyobrażeń i poglądu na świat ludu ukraińskiego. Jest zaś w pojmowaniu typów wielka pomiędzy Goszczyńskim, a Byronem różnica. Gdy ten swych bohaterów obarcza całym brzemieniem wyrzutów sumienia po dokonaniu czynów zbrodniczych, w Orlice, w Szwacze, Nebabie nie znajdujemy nawet śladu jakiegoś moralnego pierwiastku. Owszem, cechą znamioną ich czynów, to potęga żywiołowa uczucia, której słuchają ślepo, byle dogodzić panującej w nich żądzy zemsty, choćby po nasyceniu jej, miała ich zguba nastąpić. Ta Orlika ma słuszne powody wyrzucić ją na rządcy zamku, który, dając jej wybór pomiędzy kochankiem, a rozstrzelaniem, czy powieszeniem brata, zmusza ją do poniewolnego z sobą małżeństwa ofiarą najdroższych uczuć serca; ale, mordując go, ani na chwilę nie zastanawia się, co ją czeka po dokonaniu zbrodni, którejby przecież, gdyby nie nagły napad Szwaczki na zamek, żadną miarą przed ludźmi ukryć nie mogła. Moralny pierwiastek tkwi nie w ludziach, działających na oślep, lecz w logice wypadków, która w tym powszechnym rozprężeniu węzłów społecznych zastępuje sprawiedliwość karzącą. A wykonawcą jej staje się właśnie ten Szwaczka, który wdarł się z swymi mołojcami na zamek, by krzywd swych na rządcy wetować, a tymczasem wobec jego trupa ściga sprawczynię mordu, znaczącą ślady na ścianach komnat skrwawioną ręką, by sam z nią i towarzyszami zginać w pożodze, wznieconej w zamku bezmyślnie przez innych uczestników hajdamackiej wyprawy. A ów dzielny Nebaba, mający tak dokładną świadomość krzywd nietylko własnych, lecz i swoich współbraci! On również dyszy zemstą, niosącą mord i pożogę. Lecz i na nim ciąży fatum wprzód dokonanego czynu. Nim pokochał Orlikę, uwiódł obłąkaną Ksenię, udając przed nią, w przystępie dzikiej pustoty, *podniebne-go lalarca*, którego ona do siebie ściągnąć pra-

gnęła. Otóż, ta upośledzona na ciele i umyśle istota staje się również dla niego bezwiednem narzędziem kary. Gdy on tonie duszą w Orlice, Ksenia rozczochrana, mizdrząc się wdziękiem upiorzycy, prześladowuje go na każdym kroku swoją miłością. Kiedy po mniemanej zdradzie Orliki on nocą przeprawia się za Dniepr, by się w celach zemsty z hajdamakami połączyć, ona staje u przeprawy, natrętnie żądając pieszczoty. Nebaba pięścią druzgoce jej szczękę i strąca dyablicę w nurt rzeki, sądząc, że się nazawsze od niej uwolnił; tymczasem Ksenia ocalona zjawia się na polu bitwy, gdy Nebaba, oślepiiony krwią własną, za chwilę wpaść ma w ręce wojska polskiego. Niedosć na tem, gdy na dziedzińcu zamku kaniowskiego kończy życie na palu, ona z wysnutymi wnętrznościami w skutek rany przezeń piką zadanej, składa na jego usta martwiejące pocałunek miłosny, podnosząc bardziej jeszcze grozę tego okropnego obrazu.

Nie wiemy, czy w chwili pisania tego poematu Goszczyński czytał Bug-Jargala, który się właśnie w r. 1826 ukazał; ale przeciwstawienie Kseni Orlice pozwala przypuszczać, iż podobnie, jak Wiktor Hugo, uznawał siłę kontrastów, wynikającą z zestawienia piękna i brzydoty. Utwór ten, o ile w obozie klasyków wywołał oburzenie, o tyle znalazł wielbicieli w wyznawcach nowego kierunku w literaturze. Tak nawet wymagający krytyk, jak Mochnecki, mimo zarzutu chaotyczności, wspólnej zresztą i Grażynie i Maryi i Wallenrodowi, ma dla Goszczyńskiego gorące słowo uznania. Za to, dzisiejsi krytycy mniej są pobłażliwi dla niego i najczęściej poczytują za chybione ustępy, które dawniej uważano za genialne pomysły. Tak np. jeden z nich twierdzi, iż rozmowa puszczyków «jest nienaturalną i niema żadnej wartości.» Na to przecież trudno się zgodzić. Poeta tworzył w duchu ludowym, a lud wierzy, iż zwierzęta są obdarzone mową. Zamiast opowiedzieć wprost, co się stało z wisielcem, poeta użył tego środka dla wtajemniczenia czytelnika w tok zdarzeń i na sprawę rządcy iście dyabelską porwaną trupa, za którego zniknięcie brat Orliki, postawiony na sztyldwachu, miał życiem przypłacić, rzucił fantastyczności tumany. Gdybyśmy z taką trzeźwością zapatrywali się na podobne środki w poezji, musielibyśmy nietylko wszystkie bajki (*fabulae*) potępić, ale i skały i obłoki, które w świstach wiatru Fa-

rysowi groźbę rzucają. Ta trzeźwość podsunęła również krytykowi zarzut, «iż trudno uwierzyć, by Nebaba tyle czasu tracił na dumania i rozglądanie się po okolicy ze szczytu dębu, gdy się do spełnienia zemsty gotował.» Tymczasem zarzut ten w niwecz się obraca, skoro zważymy, iż z odciągniętymi od Szwaczki mołojcami rozstaje się *nad ranem* (Część II, ustęp 10, w. 12—15) i na siebie czekać im każe pod Kaniowem *do nadejścia nocy* w bajraku (tamże w 29—33); miał więc przed sobą dzień cały i mógł do woli śledzić naprzód podejrzanego dziada, a następnie rozpatrywać się w okolicy i słuchać szeptów dębu gady.

Okazuje się, iż trzeźwość z dokładnością nie zawsze chodzi w parze.

Bez względu też na zarzuty, jakie spotykają *Zamek Kaniowski*, zawsze to utwór niepospolitego znaczenia.

Goszczyński po jego ogłoszeniu nie kwapił się jednak do Warszawy, by napawać się zdobytym nagle rozgłosem. W maju 1830 r. jeszcze w Aleksandrówce przebywa. W Warszawie dopiero go w listopadzie widzimy. W rok zaś potem zjawia się w Galicyi, którą znów, jak niegdyś Ukrainę, wzdłuż i wszerz w swych wędrówkach przemierza. I teraz występuje znamienna cecha jego talentu. Jak pieśni, powstałe za drugim do Warszawy nawrotem, są odbiciem gorącej chwili, która go w wir wypadków porwała; tak teraz widoki karpackiej przyrody, różne od piękności stepowej okolic jego rodzinnych, na długo przykuwają go do siebie. Odtąd Ukraina jakby nie istnieje dla niego. Co z niej wchłonał w siebie w latach młodości, to złożył w *Zamku Kaniowskim* i dziś ta treść, niby już nie należy do niego. I w tem to tkwi ta wszechstronność jego talentu, która nie ogranicza się jedną sferą, co zwykle do manieri prowadzi, lecz dla swej twórczości szuka coraz nowych żywiołów.

Po Ukrainie wszakże pozostało mu nawyknienie życia koczowniczego, które zresztą teraz z konieczności prowadzi. W początkach zwłaszcza zmienia wciąż miejsce pobytu; najdłużej wszakże korzysta z gościnności u Józefa Tetmajera, brata po piórze, bajkopisarza, przebywając naprzód w Mikołajowie pod Lwowem, następnie w dolinie Nowotarskiej w Łopusznej, skąd już tylko krok dzielił go od «nawalnic miasta i olbrzymki Łom-

nicy.» W Tatrach też przebył on niemal siedem miesięcy, bo od 4 kwietnia do 1 listopada 1832 roku, zapuszczając się w niezwydzone przez nikogo od czasów Staszycza ich przepastne czeluście i odkrywając w duszach prostych, góralskich nieznane skarby wierzeń i podań, po które nikt jeszcze z dolin ręką nie sięgnął. W nich on znalazł przebogata do utworów przyszłych osnowę. Najpierwszym z nich, który powstał w górach, na miejscu, był poemat *Kościelisko*, obmyślany na wielką skalę. Przedmiotem jego miał być napad tatarów na podhalan, bohaterska ich obrona, oraz walne zwycięstwo, odniesione nad hordą w dolinie Kościeliskiej przy pomocy potęg nadprzyrodzonych, jak: Mnich, dziwożony, Duch źródła Czarnego Dunajca i węże, z królem w złocistej na łbie koronie. Z planu, jaki odnaleziono w papierach, pozostałych po Goszczyńskim, okazuje się, iż sama część I poematu składać się miała z pieśni 4-ch; ile zaś być ich miało, nie wiadomo, gdyż część I kończy się w planie przygotowaniem na Kluczkach do nowej walki i grzebaniem poległych w pierwszej bitwie pod Wyżnią.

Poeta, skreśliwszy plan, rzucał na papier pojedyncze fragmenta w miarę, jak mu dopisywało natchnienie; całość jednak zamierzał dopiero później wykończyć. Tymczasem pragnął się przedostać do Lwowa, dokąd go grono literatów z Augustem Bielowskim na czele wzywało. Właśnie po upadku *Haliczaninu*, wydawanego przez Walentego Chłędowskiego, krzątano się nad przygotowaniem noworocznika na rok 1834, mającego nosić tytuł: *Ziewonia* (słów. bogini lasów); pozyskać przeto tak potężną siłę, jak Goszczyński, uważano za korzystne dla wydawnictwa. Poeta jednak z konieczności podróżując z dworu do dworu, zaledwie pod jesień zdążył nad Pełtew. Tu, gdy odczytał fragmenta z poematu *Kościelisko*, Bielowski tak się do nich zapalił, iż najgoręcej zaczął nalegać, by je Goszczyński w całość powiązał i w *Ziewonii* ogłosił. Miało to jako próba całości korzystnie dla poematu usposobić publiczność. Jakoż, Goszczyński usłuchał tej rady, wybrał wstęp, przepyszny kolorytem i śmiałością zarysów turni tatrzańskich, oraz opis sobótki, mającej spłonać na Wyżni. Na to zaś tło rzucił dzielną postać Janosza, który po stracie kochanki, przez dziwożony porwanej, puścił się z rozpacz *na zbój* i teraz z towarzyszami przybyły w strony rodzin-

ne, niby sęp z wysokiej skały, przygląda się obrzędowi, gorzko rozpamiętywając swą dolę. Poecie wszakże, obok tych dwóch obrazów, szło jeszcze o zaznaczenie głównego faktu, t. j. napadu tatarów. Jako zapowiedzenie zaś tej katastrofy, wprowadza widma: Mnicha, dziwożon, węzów i trupiej głowy latającej, które, przeczuwając nieszczęście, snują się wśród cieni nocnych wokół płonącej sobótki. Uczestnicy uroczystości ich nie widzą, ale je dostrzega Janosz, obdarzony podwójnym wzrokiem. Wreszcie fragment kończy się okrzykiem: Tatarzy! i wszyscy górale z podniesionymi do obrony toporkami (dziś powiedzianoby: *cüpagami*), uderzają na nich ławą pod wodzą Kiczory. Na tem też kończy się fragment, któremu, jako części, wyjętej z większej całości, poeta dał tytuł: *Sobótka*. Jako poezja, jest to prawdziwy klejnot; żeby jednak odtwarzała wiernie wszystkie cechy górali, tego powiedzieć nie można. O ile bowiem mężczyźni są urodziwi na podziw, o tyle kobiety nie grzeszą wcale pięknnością; jeżeli zaś są rozmiłowani w muzyce, to głos w śpiewie mają tak dziki i niesforny, iż się nim trudno zachwycić. Pod tym względem poeta wyidealizował ich nad miarę. W każdym razie w tym nowym utworze żywioł ludowy jeszcze potężniej występuje, niżli w *Zamku Kaniowskim*, tylko nie w rozpasaniu namiętności i nienawiści plemiennie-społecznej, ale w objawach uczuć łagodnych, sielankowej niemal natury. Zbójectwo, tak zagęszczone wśród górali, zaledwie ma jednego przedstawiciela w Janoszu i czterech jego towarzyszach, a i w nim odzywa się żal za lepszą przeszłością i jakby wyrzut sumienia; ogół zaś urasta na bohaterów, gdy w nagłym niebezpieczeństwie staje w obronie swoich ognisk domowych. Słowem, poemat zarówno treścią, jak duchem odróżnia się od hajdamackiego eposu.

Pomimo to, ogłoszenie *Sobótki* w «Ziewonii» miało fatalne pod dwoma względami następstwa. Do współpracownictwa w noworoczniku zaproszony był Aleksander hr. Fredro; gdy jednak dowiedział się, że w nim wystąpi Goszczyński, odmówił swego współudziału, oświadczając, że z takim, jak on demagogiem, nie chce mieć nic wspólnego. Poeta obrazę tę odczuł głęboko i zemścił się mniej szlachetnie, odmawiając Fredrze w rozprawie, zatytułowanej: «Nowa epoka poezji polskiej» cechy narodowego poety i obniżając rozmyślnie wartość jego komedyj.

Rozprawa ta, drukowana w «Pamiętniku nauk i umiejętności», sprawiła, że Fredro do końca życia nie drukował już swoich utworów. Była to może drażliwość zbyt uczuciowa; w każdym razie dla literatury wynikała stąd szkoda niemała.—Wszakże wydrukowanie «Sobótki» i dla Goszczyńskiego nie przyniosło pożytku. Fragment podobał się powszechnie, lecz dla niego stał się czemś obcym zupełnie. Pomimo usiłowań, nie mógł on nawiązać treści, jaką nosił w duszy, z tem, co ujęte drukiem, jakby zakrzepłe, stężało i pomysł poematu, rozpołowiony na dwoje, nazawsze zamarł w zawiązku.

Zdawało się jednak, że z chmurnego zawsze nieba, jakie od urodzenia nad głową poety zawisło, spłynie teraz promyk szczęścia do jego duszy. Tak przynajmniej wnosiłoby należało z kilku pieśni, w roku 1834 powstałych, jak: «Kochanka ducha», «Do wyśnionej kochanki», «Do...», «Obraz kochanki», «Dobry dzień», «Dzień rozkoszy», «Do grającej», «Rękojmnia wierności» i inne. Wszystkie one, pomimo chropowatości wiersza, której nie mógł się nigdy pozbyć Goszczyński, tchną taką czcią dla ubóstwianej, a jak się zdaje, wzajemnością odpłacającej, szlachetnej, wyższej istoty, że prawie nie poznajemy go w tych serdecznych, pełnych miękkości utworach. Że myślał o trwalszym związku, widać to z wiersza *Małżeństwo*. Niestety nie danem mu było ogrzać serca przy rodzinnem ognisku! Prawdopodobnie wyjazd przymusowy stargał na zawsze ten węzeł zadzierzgnięty tak silnie, tem boleśniejszy w rozdarcu. Sonet: *Polegnanie* i *Chwila-tę* dają wymowne temu świadectwo. Jakoż, w marcu 1838 roku, wydawszy we Lwowie trzy tomiki poezji, a między niemi przekład *Pieśni Ossyana*, Goszczyński wyjeżdża do Francji i zatrzymuje się w Strasburgu. Tu zakłada pismo satyryczne *Psonka*; w następnym zaś roku, w Neuilly nad Marną, przygotowywa wydanie *Trzech strun*, obejmujących utwory, należące do trzech epok jego życia; wreszcie osiedla się w Paryżu, ale przez długi czas jeszcze myśli do Tatr ukochanych powraca i z podań górali, lub ze współczesnych wydarzeń, czerpie ośnowę do nowych utworów. Píše je prozą, ale wysoce poetyczną, pełną obrazów wspaniałej górskiej natury. Do nich należą: *Straszny strzelec* (1841), *Oda* i *Król zamczyska* (1842). W pierwszym połączył rzeczywistość z pierwiastkiem fantastycznym, uosa-



biając w Strzelcu ducha Tatr, czuwającego nad tradycją rodzinną; w drugiej, sięgającej osnową czasów Bolesława I i związanej z podaniami o Sowiej skale w dolinie Kościeliskiej i stawie Smerczyńskim na Smytni, odtworzył walkę pogaństwa z chrześcijaństwem; w trzecim наконец, wprowadził waryata Machnickiego, który w zwaliskach zamku Odrzykońskiego założywszy rzekomą swą stolicę, jest przedmiotem pośmiewiska okolicznych mieszkańców, których sam za waryatów uznaje. Jest to mistrzowskie zestawienie przeciwieństw: poziomych, małostkowych, samolubnych dążeń, z wybujałem nad wszelką miarę pojmowaniem wyższych celów życia, nie liczącem się z rzeczywistością. Osobistość Machnickiego nie zdaje się być jednak wymyśloną przez poetę. Z nazwiskiem tem bowiem spotykamy się w Lelewele (t. VII, 44).

Gdy utwór ten w r. 1842 drukowano w Poznaniu, Goszczyński już do sekty Towiańskiego należał. Nie zerwał on wprawdzie z literaturą, jak Mickiewicz, ale to, co teraz pisze, nie posiada już dla niej pierwszorzędного znaczenia. Potępił naprzód głoszone przez się demokratyczne zasady, jako prowadzące do ubóstwiania siły materialnej, a więc zabójcze dla ducha; następnie, jako sekretarz Koła przeważnie się sprawami towianizmu zajmuje; po zatargu zaś Mickiewicza z Towiańskim, obejmuje w Kole główny kierunek i do końca życia wierny zasadom Mistrza zostaje.

W r. 1844 napisał powieść wierszem: *Anna z Nubrzeża*, ale utwór ten chybiony daje tylko miarę upadku jego talentu. Pomimo obiecującego początku, rzecz w osnowie błaha, nie wywiera i w rozwiązaniu wrażenia. Odtąd pisze tylko w duchu towianizmu rozprawy: «Stanowisko poetów w społeczeństwie», «Rzut oka na żywot A. Malczewskiego», «Słowo o poświęceniu» i inne. Najcenniejsza praca: «Dziennik podróży do Tatr» (1853), odtwarza wiernie doznawane w r. 1832 wrażenia. Wreszcie w r. 1869 wydaje wierszem:

«Posłanie do Polski» i wyjątki z poematu «Boga-Rodzica».

Goszczyński życie całe doznawał niedostatku w czasie obłężenia zaś Paryża wpadł prawie w nędzę, która podkopała jego organizm zawsze odporny i silny. To też dawni przyjaciele i wielbiciel jego talentu sprowadzili go w r. 1871 do Lwowa. Stąd jeszcze raz zwiedził ukochane Tatry. W pięć lat później, otoczony czcią i miłością, w domu pod nr. 54, przy zbiegu ulic: Batorego i Fredry, w d. 25 lutego 1876 r. dokonał życia pełnego trudu i bolesnych zawodów. Był to talent potężny, samorodny, jak rumak stepowy nie znoszący wędzidła, który więcej dbał o siłę wyrażenia, niż formę, więcej wierzył w tajemnicze siły przyrody i mądrość tradycyjną ludu, niż w naukę.

Szczesny Feliński taką daje jego charakterystykę: «Średniego wzrostu, średniej tuszy, nieożywionej żadnym wyrazem twarzy, bez zarostu, a mocno ospowaty, przytem mało i chłodno mówiący, robił przy pierwszym spotkaniu tak niekorzystne wrażenie, że chciało się podejrzewać gospodarza (spotkał go u Karola Sienkiewicza w Paryżu) o jakąś dla zabawy urządzoną mistyfikację. A jednak była to dusza prawdziwie poetyczna i charakter równie dzielny, jak szlachetny» («Pamiętniki», t. I, str. 305).

Towiański nazywał go: «duszą w skale!» I rzeczywiście, było coś w niej z natury granitu.<sup>(1)</sup>

*Roman Plenkiewicz.*

<sup>1)</sup> Por. Zyg. Wasilewski: «Narodziny poety romantyka», («Ateneum», t. III, str. 258, z r. 1895.) — Tenże: «Kościelisko, niedokończony poemat Sew. Goszczyńskiego» («Kur. Warszawski»). — St. Zdziarski: «Seweryn Goszczyński, rozwój jego talentu poetyckiego do r. 1827», («Ateneum», t. IV, zesz. II, str. 274—301; zesz. III, str. 462—486 r. 1899). — P. Chmielowski: «Hist. liter. pol.» t. IV, str. 121—128. Dzieła, t. I i II, Lipsk, 1870.

# Wiktor Feliks Szokalski.

\* 1811 † 1891.

**D**nia 6 września 1831 roku straszny bój wrzał pod Królikarnią, w pobliżu Warszawy; lekarze pracowali ciężko w ambulansie, urządzonym na tarasie pałacowym, gdy na gwałt zawezwano pomocy dla ciężko rannego porucznika artylerii. Wybiegł z ambulansu młody człowiek, zaledwie dwudziestoletni, i szybko znalazł się przy chorym pod ogniem nieprzyjaciela; kula przezwala rannemu tętnicę udową, krew lała się strumieniem; jedynym ratunkiem było natychmiastowe podwiązanie tętnicy, a na usunięcie chorego w spokojniejsze miejsce i na wezwanie dalszej pomocy czasu nie było; wśród huku granatów i nieznośnego świstania kul dokonał młodzieniec szczęśliwie jednej z najtrudniejszych operacji chirurgicznych. Szokalski był wtedy jeszcze stu-

dentem, jednakże ta operacja nie była pierwszym jego występem lekarskim. Już przed rokiem

prawie, z czwartego kursu medycyny wstąpił wraz z wielu kolegami do armii, jako pomocnik lekarski; odbywał przez ten rok marsze uciążliwe w różne strony Królestwa, prowadził przez czas jakiś samodzielnie szpital w Modlinie w najcięższych warunkach, bo czuł dobrze, że do zadania nie dorósł, a żadnej pomocy ani potrzebnych środków nie miał pod ręką.

We dwa dni po swym bohaterskim czynie opuścił Szokalski wraz z całą armią Warszawę, a po paru tygodniach wkroczył do Prus. Na emigracji przepędził lat kilka, a te lata wyraźnie i dodatnio w życiu jego całem się zaznaczyły. Blizkie zetknięcie się z nauką w jej wielkich



*W. Szokalski*

ogniskach dało mu możność wyrobienia się na wielkiego uczonego; zapał, jaki go w młodości ogarnął, samotność, sprawiły, że myśl jego zawsze wysoko bujała i szerokie obejmowała horyzonty, że, nie o karierę osobistą, lecz daleko więcej dbał zawsze o czyny dla społeczeństwa pożyteczne, że, sprawom ogólnym, nie własnym, poświęcił całe życie, że wreszcie we wszystkich ciężkich przejściach swego długiego życia potrafił zawsze zachować niezamąconą pogodę umysłu.

Urodził się 15 grudnia 1811 roku w Warszawie na Starem Mieście. Ojciec jego był urzędnikiem w ministerium skarbu, matka, Justyna z Rogozińskich, bardzo cenioną nauczycielką pensyi wyższej. Ojciec umarł młodo, a matka poślubiła lekarza wojskowego, Kowczewicza. Po ukończeniu liceum wstąpił na wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego, ale wojna przerwała, spokojne jego studia.

Po wyjściu z kraju, bardzo wolno, w wielkim niedostatku i chory posuwał się przez Niemcy ku Paryżowi, gdy we Frankfurcie nad Menem niespodziewanie los jego się poprawił. Miejscowy komitet emigracyjny przeznaczył fundusze, jakie w rękach jego pozostały, na stypendya dla polaków. Stypendyum takie zaproponowano Szokalskiemu, a on je przyjął z radością, zyskując w ten sposób możność dokończenia studyów. W r. 1834 otrzymał stopień doktora medycyny w uniwersytecie w Giessen, a pobywwszy jeszcze czas pewien w Heidelbergu, przeniósł się w r. 1836 do Paryża. Wkrótce otrzymał posadę asystenta w prywatnym zakładzie prof. Sichela, który wtedy miał w Paryżu największą praktykę okulistyczną. Szokalski oddał się okulistyce i prędko wyrobił sobie na tem polu wybitne stanowisko naukowe.

W medycynie dokonywał się wtedy ważny i stanowczy przełom. Można twierdzić, że epoka średniowieczna, epoka scholastyizmu daleko dłużej trwała w medycynie, niż w innych naukach, co się tłumaczy największą zawilością przedmiotu badania.

Ścisłe obiektywne badanie chorego, anatomia mikroskopowa, doświadczenia fizyologiczne, to wszystko, co miało nadal podstawę tej nauki stanowić, w owym czasie dopiero rozwijać się zaczęło i szukać dróg nowych i metod. Zmienił się też zupełnie pogląd na znaczenie zmysłów. Wszak

sądzone dawniej, że te wszystkie własności, jakie spostrzegamy w naturze, wszystkie barwy i dźwięki i wonie w naturze istnieją tak samo, że zmysły nasze tę naturę w jej rzeczywistej ujmują postaci. Ten pogląd zmienił się zupełnie. Te wszystkie ozdoby i wdzięki natury są wytworami naszych zmysłów, objawami ich życia i czynności; natura przez siły swoje nasze zmysły do czynności pobudza; każde wrażenie jest niejako sygnałem, zawiadamia nas tylko, że zmiany pewne w naturze zachodzą, i pozwala nam w świecie się oryentować: jak dzwonek elektryczny jest sygnałem, znakiem, że coś się dzieje, ale z tem, co się dzieje, nie jest identyczny, nie jest zgoła podobny. Rola zmysłów i znaczenie ich wzrosły tym sposobem; z pośredników skromnych stały się one niemal twórcami świata, jaki się człowiekowi przedstawia; a więc w przyrządach zmysłowych potrzeba było odnaleźć mechanizmy, za pośrednictwem których zmysły te ważną rolę spełniają. Dwie prace Szokalskiego mają pod tym względem znaczenie podstawowe: rozprawy o uczuciu barw i o uczuciu przestrzeni (*«Essais sur les sensations des couleurs dans l'état physiologique et pathologique de l'oeil.»* Paris et Bruxelles 1840 i *«Ueber den Einfluss der fünften Nervenpaares für das Sehvermögen»* drukowane w *«Archiv für physiologische Heilkunde»* 1849). Zwłaszcza druga z tych prac była zupełnie nową a bardzo ważną. Bo i przestrzeń sama stała się wrażeniem, wytworem zmysłów; wszak już Kant uważał przestrzeń za kategorię myślenia.

Poznanie odległości, kierunku, ruchu przedmiotów, słowem, tych wszystkich momentów, z których pojęcie przestrzeni urabiamy, zależy od skurczu mięśni. Ażeby przedmioty widzieć dokładnie, muszą się oczy na nie skierować i do nich przystosować; ruchami temi rządzi bogato rozwinięty przyrząd mięśniowy oka; każdy skurcz mięśni odczuwamy, znamy, a to uczucie, słabe i niewyraźne, nieświadome, dokładnie nas powiadamia o położeniu przedmiotów i wytwarza pojęcie przestrzeni. Ta teoria Szokalskiego, jasno i stanowczo wypowiedziana, przekonywająca odrazu, stanowi wielkie odkrycie naukowe, bo właściwie odkrycie zmysłu mięśniowego.

Podczas pobytu we Francji ogłosił Szokalski kilkadziesiąt rozpraw z rozmaitych dziedzin, bo i z anatomii mikroskopowej i z praktyki okulistycznej i chirurgicznej, przedewszystkiem jednak z dziedziny fizjologii oka. Chociaż są między temi rozprawami i bardzo ważne dla nauki ówczesnej, nie mogę ich

jednak w tem miejscu rozbierać bliżej, ani nawet przytoczyć.

Jednocześnie z temi pracami literackimi prowadził Szokalski już samodzielne wykłady okulistyki, był lekarzem wielu instytucyj, w życiu emigracyjnem czynny brał udział, a w r. 1844 założył w Paryżu Towarzystwo lekarzy niemieckich, którego był pierwszym prezesem; pragnął zapewne tym sposobem złączyć różne kierunki, w jakich rozwijała się medycyna we Francyi i w Niemczech.

Po kilkunastu latach, w r. 1848, czy to że warunki bytu były dla niego wciąż trudne, czy że był życiem paryskim znużony, przeniósł się do Burgundyi, gdzie został lekarzem małego szpitala prowincjonalnego.

W roku 1853 ziściło się wreszcie ciągle pragnienie i dążenie Szokalskiego — pozwolono mu powrócić do kraju.

Medycyna i wogóle nauki wszystkie znajdowały się wtedy w Warszawie i w całym kraju w wielkim zastoju i upadku, bo od lat wielu uniwersytet już nie istniał. Szokalski, do pracy naukowej w szczęśliwszych warunkach wdrożony, zawsze czynny i znaczenie nauki dla kraju pojmujący, do tych odmiennych warunków przystosować się umiał. Kraj nie mógłby wtedy strawić ścisłych rozpraw naukowych, jakie dotychczas pisywał Szokalski; racie drobne, lżejsze, a liczne artykuły i rozprawki były tu na miejscu. To też i zliczyć trudno, ile razy i w jak różnych materyach, Szokalski czy to głos zabierał na posiedzeniach Towarzystwa lekarskiego, czy pisał w Tygodniku lekarskim albo w pismach ogólnych. Podziwiać potrzeba, jak pięknym i czystym językiem przemawiał i pisał ten człowiek, który przez długie lata wyłącznie w obcych pisywał językach. Wymowę miał płynną i potoczystą tak, że nietylko najczęstszym, ale i najlepszym może był mówcą w Towarzystwie. Obok tego mnóstwa prac drobnych, ogłaszał od czasu do czasu obszernie, kilkotomowe dzieła: *Fantazyjne objawy zmysłowe* tomów II, 1861 i 1863, *Wykład chorób przyrzędu wzrokowego u człowieka* 1869, *Początek i rozwój umysłowości w przyrodzie*, 1885.

W ostatnich latach życia napisał obszerny pamiętnik. Znajduje się tam wiele wiadomości ważnych pod względem naukowym i politycznym, ale dotychczas tylko drobny wyjątek z tego pamiętnika drukiem ogłoszono.

Te wszystkie a tak liczne pisma i bardzo rozległa praktyka lekarska nie wyczerpują całej działalności Szokalskiego i wszystkich usług, jakie on oddał społeczeństwu. Kilka, bardzo ważnych instytucyj publicznych umiłował Szokalski, zajmował się niemi gorliwie i na wysokie podniósł stanowisko. Pierwszą z tych instytucyj jest Instytut oftalmiczny; pracować w nim zaczął zaraz po powrocie do kraju, a od r. 1858 był jego lekarzem naczelnym; swój rozwój znakomity i gmach specjalny zawdzięcza Instytut gorliwym usiłowaniom Szokalskiego. Równie ważne usługi oddał Towarzystwu lekarskiemu warszawskiemu. Nietylko w ciężkich chwilach zapewniał prawie porządek dzienny, nietylko podniósł naukowy poziom rozpraw na posiedzeniach, ale jako długoletni sekretarz stały (od r. 1857), prowadził całą administrację Towarzystwa. Powstanie i rozwój Kasy wsparcia przy Towarzystwie, budowa własnego domu, bardzo wiele zawdzięczają zabiegom i pracy Szokalskiego, a i inne niezliczone usługi tej ulubionej oddał instytucyi. Po założeniu Akademii chirurgicznej wykładał naprzód fizyologię, a od r. 1861 do 1872 okulistykę. Był też przez lat kilka członkiem rady lekarskiej Królestwa.

Umarł d. 6 stycznia 1891.

Szokalski był uczonym bardzo poważnym i trwale w nauce pozostawił ślady; pod tym względem jednak nie ma należytego uznania i rozgłosu. Ważne odkrycia, przez niego poczynione, w znacznej części bez jego imienia weszły do nauki. Jest to niewątpliwie wina naszego ogółu, jego współziomków. Ciągłe jesteśmy świadkami sporów, jakie uczeni różnych narodów toczą między sobą o to, komu przyznać pierwszeństwo w wygłoszeniu nowych a ważnych poglądów naukowych, a każdy naród stara się sobie przyznać zasługę i wszelkie w tym celu zbiera dowody. O Szokalskiego, jak i o wielu innych uczonych naszych, nikt się nie upomina; pod tym względem Szokalskiemu, a przede wszystkim narodowi, winniśmy jeszcze zadośćuczynienie.

Szokalski był niestrudzonym działaczem społecznym. Jeżeli miarą społecznej wartości człowieka jest trud, jaki poświęca na cele publiczne, to Szokalskiemu wysokie pod tym względem należy się stanowisko. Całe prawie życie poświęcił on sprawom publicznym z zaniedbaniem spraw osobistych. To też, będąc pierwszym okulistą nietylko w kraju, ale na całą wschodnią połowę Europy, nie zro-



bił majątku, nie doszedł nawet nigdy do większego dostatku.

I w całym sposobie jego życia i postępowania widać było ten brak egoizmu. Był on prosty, skromny, pozbawiony wszelkiej dumy, czem się odznaczał wśród ludzi, zajmujących wybitne stanowisko w społeczeństwie; był wiecznie łagodny, pogodny

i serca ludzkie w wysokim stopniu zjednywać sobie umiał. To też liczne odbierał dowody uznania i sympatii, posiadał mnóstwo tytułów honorowych od towarzystw i instytucyj naukowych całego świata, a społeczeństwo nasze urządzało kilka razy uroczyste jubileuszowe na jego cześć obchody.

*Zygmunt Kramsztyk.*

# Mieczysław Romanowski.

\* 1834 † 1863.

*N*am przedburzowiec, przeklęte plemię, a mo-  
żem z piorunów jeden—tak mówi o sobie  
przedwcześnie zgasły poeta, a wyrazy te najlepiej  
charakteryzują je-  
go pieśni, nastrój  
i temperament. Je-  
den z ostatnich  
z wielkiej rodziny  
synów i wnuków  
Byrona, tego naj-  
szlachetniejszego  
i najbardziej świat-  
miłującego swiato-  
burcy, Romanow-  
ski brzydzi się  
wszystkiem, co po-  
spolite, powsze-  
dnie, marne, jak-  
byśmy teraz rze-  
kli, filisterskie; on  
wśród milknących  
ech piorunów się  
rodził, do gromów  
tęsknił całe życie  
i w burzy — życie  
zakończył.

Urodzony w Żu-  
kowie na Pokuciu  
pod Kołomyją, po  
skończeniu gimna-  
zyum w Stanisła-  
wowie w r. 1853  
wstąpił do uniwer-  
sytetu lwowskiego  
na wydział praw-

ny. Już w poezjach jego studenckich można  
odnaleźć zasadnicze cechy jego nastroju; właściwa je-  
dnak karyera literacka naszego poety rozpoczyna się

z r. 1861, kiedy  
wstąpił do re-  
dakcyi lwowskie-  
go «Dziennika li-  
terackiego,» na  
którego szpaltach  
imię jegospotyka-  
ło się z imionami:  
Ujejskiego, Paj-  
gerta, Szujskiego.  
Pomieszczał tu  
Romanowski mię-  
dzy innemi roz-  
prawy historyczno-  
literackie: «O le-  
gionach polskich»  
(1861 rok) i «Ja-  
ków Jasiński»  
(1863 r.) Jedno-  
cześnie pisuje i do  
«Gazety Narodo-  
wej;» od 1860 r.  
zaś spełnia obo-  
wiązki skryptora  
literackiego Zakła-  
du Narodowego  
imienia Ossoliń-  
skich.

Ten krótki ży-  
cioryszak niewiele  
nam mówi. Bo też  
nie w datach, nie



*Mieczysław Romanowski*

w działalności społecznej zawierają się zasługi Romanowskiego i jego tytuł do pamięci wśród potomnych, lecz jedynie w czterech tomach poezji, wydanych we Lwowie r. 1883 przez J. Amborskiego. Tam poznajemy człowieka i poetę.

Poznajemy go przedewszystkiem w poezjach lirycznych. Dziko w nich, straszno i piorunno. «Dzikie sny» miewa poeta, wołając do serca swego, by «nie drżało ku burzy,» choć «przeszłość—przyszłość piorunami, jak piekielne sny, grają mu w duszy,» chociaż «wianek myśli życia z gromów mu się zwił.» «Straszno mi, Boże» — woła za Słowackim—bo «w podłość tyje ludów tłuszcza dzika:» «więc każdy piorun, co grzmi i zapala, wita jak brata na niebios lazurze; orła każdego, co powraca zdala, pyta, ile jest gromów w czarnej chmurze, i drży, gdy ptak go pomija w milczeniu, bo nam na gromy długo czekać może, bo bez piorunów w takim utrapieniu straszno mu, Boże!» Dlatego też burzę wita z radością, wystawiając pierś i skroń na poddmuchy szalonego wiatru («Burza»); bo «cisza nie wie gdzie do celu—lecz wstecz,» bo choć «szaleniec, kto zaraz po burzy chce burz,» lecz, «kiedy skwar kwiaty do grobu już nagnie, to chyba dziecina piorunów nie pragnie!» («Cisza.») Pieśni swoje posyła w świat, by zwiastowały burzę «wśród gniołającej ciszy» i — «witały ludzi po kolei, jak ptactwo wiosny okrzykiem *nadziei*» («Satyry.») W tem pożądaniu burz i walk niema więc nic chęci niszczycielskiej, niema nienawiści ku plemieniu ludzkiemu—bez powodu, jak w młodzieńczych utworach Słowackiego, niema zuchwałstwa donkiszoteryi, wyzywającej świat cały do walki; Romanowski, jako jeden z epigonów wielkiej romantyki, niemal ostatni, nawiązuje serdeczną nić z wielkimi poprzednikami, pragnie szczerze pójść w ich ślady i prowadzić dalej rozpoczęte przez nich dzieło — bo skoro pieśni ech przebrzmiały, i oni sami «w grób się kładą,» nie możemy zapomnieć tych haseł, które nam oni głosili, a więc «wieścili burzę... burzę daj nam, Paniel...» («Za Wieszczami») (1858.) W temperamentie Romanowskiego więcej jest umiłowania, niż nienawiści, umiłowania, które, nie zrywając z przeszłością i jej tradycjami, tęsknie oczy zwraca ku przyszłości, oczekując od niej rozwiązania dręczących ludzkość zagadek; a że ta przyszłość przedstawia się naszemu pocie «od gromów czerwona,»

to rzecz usposobienia poetyckiego lub intuicyi wieszczey autora.

Drugi dźwięk z akordu duchowego poety to smutek, ból i melancholia: i jego «ból pali—żółć»—i jemu «ludzie żółć podawali, ale on pragnął miłości» («Modlitwa»). Aż przykro spojrzeć na zbiorek poezji Romanowskiego: gdzie okiem rzucić—tam ruina, pustka i głusza, jak w bezbrzeżnych stepach Ukrainy w «Maryi» Malczewskiego: i jego «życie boli» i jego «pieśń smutno brzmi,» bo daremno szuka «śród cierni ziemskich kwiatu swoboby, szuka wysłanych różami dróg, szuka, gdzie Bóg!» — bo w smutnym rezultacie tych poszukiwań znalazł w końcu swej ciężkiej drogi «niepewność,» co ćmi brzask jego myśli i ujrzał «w szkielecie świat» i poznał, że żył dotąd uludą, więc dziś życie jego już tylko echem (Do mojej lutni.) Co mu po wiosnie, pyta gdzieindziej, gdy straszną jest wiosna jego: co mu po młodości, gdy jest ona tak smutną, gdy «z cierni tkana jego dola,» gdy tyle «kolców skrytych» utkwilo mu w nodze («Do mej młodości.»)

Ale w tej melancholii brak pierwiastka rezygnacyi ze wszystkich ideałów życiowych mimo głębokiej pogardy do otaczającego, spodłonego świata; ta melancholia jest ożywczym bodźcem do czynów, nie zaś chorobą i zanikiem woli: płakać, jak niewiasta, spopielać zwolna duszę w niszczycielskiej refleksyi marności światowych nie potrafi; lutnię jego nazwałbym męską i młodzieńczą zarazem, tyle w niej hartu ducha, energii życiowej, siły. Wraz ze Słowackim, który wypowiedział w «Lilli Wenedzie» wielką zasadę, że «nie czas żałować róż, gdy ploną lasy,» i Romanowski woła do serca swego: «O! serce, tobie życiem żyć nie takim, ni z myślą płakać, że róż kilka ginie: tędy—z żelaza kuta droga twoja. Idź, bo cię przeklnę, ty, młodości moja!» Gdy w strunie swej lę posłyszysz, to «zła to struna,» i gotów lutnię rozstrzaskać «o brzeżne skały» («Zła struna»); i chociaż go dławi nieraz zmora melancholii, odpycha ją precz, jak rzecz niemęską i niegodną prawego obywatela: «znikaj, boleści! — woła w wierszu «Żegnaj mi, pieśni...»—precz, precz, tęsknota! o nie wstrzymujcie na drodze mnie, na drodze burz!» Orle i sokołe wzloty narówni z burzą i gromem stanowią przedmiot serdecznego pożądania poety («Orły, sokoły!»); tony mięk-

sze, łagodniejsze rzadko nader odzywają się z jego lutni, wywołane bądź pieśczętliwymi wspomnieniami dzieciństwa («Ze wspomnień dziecinnych»), bądź w erotykach, chociaż i tu przeważa temperament gorący nad sentymentalizmem uczucia («Czy ja cię kocham?»)

Taką jest prawdziwa fizygnomia duchowa poety: nie beznadziejne rozpamiętywanie znikomości rzeczy ludzkich i ziemskich, któreby można położyć na karb manieri i naśladownictwa (np. w wierszu «Noc balowa»); nie rozpacz beczynna, blakająca się bez celu po pustkowiach serca, ale przeciwnie — żądza czynu, szerszego życia, rozmachu skrzydeł, szybowanie sercem po jasno wytkniętej drodze, bo, jak sam poeta powiada, «czuć w pełni życie, mieć cel w przystani w tem szczęścia zagadka cała.»

Pomiędzy drobnymi utworami Romanowskiego odnajdujemy również kilka urywków epickich, np. «Anioł upadły,» którego p. Ignacy Matyszewski w swem studyum porównawczem «Dya-beł w poezyi» zalicza «do najpiękniejszych typów poezyi demonicznej u nas;» dalej «Buława Rewery,» «Starosta Żegocki,» oraz popularne opowieści z czasów walk Mieszka I z margrafami niemieckimi — brzask naszej historii politycznej: «Uczta Geronowa» i «Gero na Lachach.» I w tych też kierunkach poszła jego wyobraźnia poetycka w poszukiwaniu ideału przeszłości: zamierzchłe czasy naszej przeszłości przedhistorycznej oraz wiek XVII nęciły go ku sobie najbardziej. Czasem tylko zbacza jego fantazja w stronę gorących piasków Arabii, dokąd zaprowadziła go maniera oryentalizmu, która od czasów emira Rzewuskiego, «Sonetów Krymskich» i poematów wschodnich Słowackiego dała w naszej literaturze życie całemu pokoleniu: Farysów, Beduinek, Szechów i odalisek. Mówię tu o poemacie p. t. «Śpiewak z oazy»; przypomina on nie tyle «Mnicha» i «Araba,» ile «Szanfarego»: tak samo bohater, odjeżdżając na boje, pozostawia piękną narzeczoną, tak samo, powracając, zastaje ją w objęciach innego, tak samo jedna strzała przebija dwa serca wiarołomne. Tylko u Romanowskiego do tragedyi zdrady i zemsty dołącza się jeszcze pomyłka: nieszczęśliwy kochanek zabija nie uwodziciela, lecz brata jego, niewinnego Hafeda; prawdziwy zaś winowajca, Selim, haniebnie uchodzi od jego mściwej ręki. Całe to opowiadanie ujęte

jest w ramy kasydy, którą bohater, na starość osiedliwszy się na samotnej oazie, śpiewa—dziwnym zbiegiem okoliczności — Selimowi, który wraz z synami pielgrzymuje do świętych progów Mekki.

«Chart Watażki» to gawęda, jakby z ust Pola spisana, jakby jeden z epizodów Mohorta. Chart Żmija ocala swego pana, kresowego wodza Watażkę, z niewoli tatarskiej, podkradłszy się nocą pod obóz rabusiów stepowych i przegryzłszy krępujące jego pana więzy. «Choraży» w niektórych epizodach i motywach przypomina «Maryę:» bohaterka tego poematu, również Marya imieniem, pokochała pięknego Zdzisława, «chorążego z pułku husarzy» (mniejsza o ścisłość nazwy, o którą możeby posprzeczał się z poetą jaki historyk wojskowości); ojciec jej, starosta, chce ją wydać za innego, niechętnie patrząc na jej miłość ku Zdzisławowi, i skłania się ku temu związkowi wtedy dopiero, kiedy Zdzisław ocalił ich z jasyru tatarskiego. Oba te poematy nie odznaczają się ani plastyką postaci, ani barwnością tła i znamionują okres przygotowawczy w rozwoju talentu epickiego poety.

O wiele udatniejszy jest poemat «Łużeccy,» chociaż słaby kompozycją i architektoniką, rozpada się bowiem na dwie odrębne części, w których poeta zamierzał przeciwstawić dwa rodzaje odwagi i bohaterstwa. W pierwszej Karol Łużecki, kasztelan, ambitny i zarozumiały, a przytem porywczy i gorący młodzieniec, przez swą lekkomyślność i samolubną chęć dorównania Czarnieckiemu w czynach wojennych powoduje doszczętne rozbicie całego swego oddziału w potyczce z Doroszem i Turkami, a wreszcie, co najsmutniejsza, haniebnie uchodzi z placu boju, pozostawiając świętokradzkiej samowoli wrogów ołtarz polowy, odprawiającego przy nim mszę kapłana i sakramenta; w drugiej — brat jego, Tomasz, bohatersko broni Budzanowa przed niezliczoną armią Nuradyna, a w końcu śmiercią męczeńską zmywa hańbę brata. Najpiękniejsza może z całego poematu jest wstępna apostrofa do Ukrainy, «strażnicy przed ołtarzem Pana,» i Chmielnickiego, któremu poeta przypisuje winę rozdwojenia tego nieszczęśliwego kraju i oddania go pod jarzmo muzułmańskie.

U szczytu epiki Romanowskiego, a nawet całej jego twórczości stoi przepiękna jego opo-

wieść z czasów wojen szwedzkich p. t. «Dziewczę z Sącza.» Rzec osnuta na motywach ściśle historycznych, na co poeta położył nacisk w przypisach. Świadectwa historyczne mówią o powstaniu mieszczan w Nowym Sączu i wypędzeniu załogi szwedzkiej d. 13 grudnia 1655 r., które było hasłem do podjęcia oręża na całym Podgórzu, uprzedziwszy na 10 dni odstąpienie Szwedów od oblężenia Częstochowy, a na dwa tygodnie zawiązanie konfederacji tyszowieckiej; podanie zaś miejscowe dodaje, iż czyn ten bohaterski mieszczan sądeckich dokonał się za sprawą pewnej dziewczyny, w której zakochał się oficer szwedzki, on to ostrzegł ją, że Szwedzi gotują okrutną rzeź wszystkim mieszkańcom Sącza, co uprzedzając, mieszczanie sami schwycili za oręż.

Zobaczmy teraz, jak poeta wyzyskał te motywy, tak piękne już w założeniu, tak bogate w efekta zderzeń sprzecznych uczuć miłości, obowiązku, honoru, samoobrony i poświęcenia.

Zaczyna się poemat od pięknego obrazka rodzajowego: w «bielonej izbie» za «cisowym stołem,» koło kominka siedzi dwoje staruszków: dziadek Janusz i babka, wnuczka ich, Basia, «kwiat Sącza,» czyta z wielkiej księgi żywoty świętych; naprzeciw niej tegi młodzian, Bartek, «cieśla z cieśłów sławnych,» niby słucha z zajęciem, ale w samej rzeczy nic nie słyszy, bo cała dusza spłynęła mu we wzrok, a wzrok zatopił w obliczu pięknej lektorki. Od cudów i świętych rozmowa schodzi na Częstochowę, Szwedów, babka przerywa przerażona: na górze Szwed kwaterowany: jeszcze usłyszysz — i nieszczęście gotowe. Basia z dziwną żywością uspakaja dziadków: pan Oskar, młody oficer, człowiek dobry, szlachetny, lubi babkę i dziadka, Bartka i... ją; a gdy zapalcząwy Bartek odgraża się na Szwedów, wołając «Wytniem ich!», Basia z płaczem pada na krzesło.

Wyborne wdrożenie akcji: w tych półsłówkach i pół-ruchach Basia zdradza przed czytelnikiem tajemnicę swego serca: kocha Oskara pierwszą dziewczcą miłością, miłością, która nie zna żadnych przeszkód ni względów. Miłość ta, pod smutną wróżbą zrodzona, smutno zakończyć się musi. Ale nim dojdziemy do krwawego rozwiązania tak kunsztownie zadzierzgniętego węzła, jeszcze kilka scen pięknych, już to sielankowych — pod groźącym piorunem rzezi i pożogi, jak rozmowa Oskara z Basią u studni, w której młody

wojak, niepomny słowa i honoru wojskowego, ostrzega Basię o knowaniach Steina na gardło Sądeczan, by ocalić ją i jej rodzinę; już to rodzajowych, wybornych i charakterystycznych, jak np. rada mieszczan w gospodzie u Janusza; lub wreszcie tak głębokich psychologicznie, jak ta, w której poeta maluje subtelnie stan psychologiczny Basi po rozmowie z Oskarem: gołębia jej naiwność i teraz jeszcze pozostała nieskalana — zamiast trwożyć się marzy i przez sen tylko, wymawiając bezładne wyrazy: «Rzna!... Oskar!... Mord!... Rzeź w mieście!...» zdradza tajemnicę Oskara.

Tragedya uczuć i losów szybko zbliża się ku końcowi. Na dany znak mieszczanie powsta-li. W mieście rzeź, jęki, pożar, śmierć. Basia z kościoła, do którego schroniła się przed zamieszanem, bieży ocalić Oskara. Przebiega wśród płonących budowli, wśród szeregów walczących, przez trupy i zgłiszcza. Znajduje Oskara, zasłania go rękoma białemi — daremnie! daremnie Bartek woła, iż on dla niej jutro będzie katolikiem! Oskar pada, ugodzony kulą, a Basia na pierś jego osuwa się — bez życia. W ostatniej scenie Bartek ciesze modrzewiową trumnę dla swojej panny, żegna się z nią i idzie tam, dokąd go woła obowiązek i poczucie obywatelskie — walczyć pod wodzą Czarnieckiego.

Wyborna plastyka postaci, wierność tła dziejowego, subtelność w cieniowaniu psychologicznem Basi, Oskara, Bartka, wreszcie pewien rozmach epicki wysuwają «Dziewczę z Sącza» na jedno z miejsc naczelných wśród naszych poematów historycznych; tembardziej, iż Romanowski zatracił tu o temat, albo zupełnie dotychczas pomijany, albo przedstawiany tendencyjnie i sprzecznie z prawdą dziejową — udział mieszczan w życiu narodowem XVII wieku. Nie postawimy poematu Romanowskiego tuż obok «Pana Tadeusza,» z którym ma on wiele punktów stycznych, np. rada, bitwa, ale przyznać musimy, że stanowi on pewnego rodzaju dopełnienie w tym kierunku naszego romantyzmu, który dążył do idealizowania przeszłości. Daremnie zarzucają Basi bierność: <sup>1)</sup> jako dziewczyna trwożna, niewinna, stosunków ludzkich nieświadoma, inną być nie mogła. A zresz-

<sup>1)</sup> R. Zmorski. «Dziewczę z Sącza» M. R. («Tygodnik Ilustrowany,» 1861).

ta, grzech ten dzielają z Basią najpiękniejsze postaci niewieście w naszej literaturze: Marya, Aldona, Zosia, Elsinoe, Amelia, Horsztyńska i dzieciątki kobiet Słowackiego; Grażyna, Roza Weneda, Kornelia są u nas wyjątkami.

Mniej udał się Romanowskiemu dramat historyczny, a raczej przedhistoryczny «Popiel i Piast». Trzymając się tradycji kronikarskiej o tyle, o ile pozwalały mu na to ramy dramatu i warunki sceniczne, poeta przedstawia króla Popiela wśród walki sprzecznych dążeń: jego własnych szlachetnych porywów, przewrotności żony, Niemki Adeli i jej spowiednika, patra Fuchsa, zbrodniczej ambicji stryjów, przywiązania Piasta i wojewodów do zdeptanych przez autokrację Popielidów instytucji wiecowych—wszystko to zapełnia i przepelnia pięć aktów, długich i monotonicznych, rozdrobnionych na sceny bez wyraźnego pomiędzy nimi związku. Niepotrzebnie więc uważano tę tragedję za «jeden z najświetniejszych objawów poetycznego ducha naszej epoki,» niepotrzebnie utrzymywano, iż «przez cały ciąg tej tragedji płynie jeden czysty strumień miłości ludu i miłości piękna;» <sup>1)</sup> niepotrzebnie wreszcie zestawiano ją z «Balladyną,» «Lillą Wenedą,» gdyż z tymi utworami

<sup>1)</sup> A. Niewiarowski. Popiel i Piast M. R. («Tygodnik Ilustrowany,» 1862).

«aryostycznego» pióra nie ma «Popiel i Piast» nic wspólnego ani w sposobie wyzyskiwania źródeł, ani w charakterystyce postaci, ani wreszcie w formie i języku.

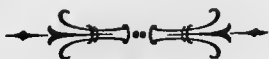
Najbardziej może «Popiel i Piast» zbliża się do dramatów Schillera; Popiel np. wiele ma rysów wspólnych z Gesslerem, Piast—z Tellem; narada przedstawicieli różnych ziem na błoniu wiecowem pod przewodnictwem Piasta przypomina ludzko słynną scenę w dolinie Grütli i t. d.

Wreszcie i we fragmencie dramatycznym p. t. «Wanda» można odnaleźć motyw schillerowski w tajonej nienawiści młodszego brata Lecha ku starszemu Krakowi z powodu, iż mocą jakiegoś, nie istniejącego zresztą w pojęciach Słowianina przeddziejowego prawa majoratu królestwo, bogactwo i dostojeństwo dostały się niepodzielnie starszemu; nie potrzebujemy dodawać, iż jest to przyczyna, dla której Franciszek Moor popełnił wszystkie swe zbrodnie.

W dziedzinie więc dramatu Romanowski nic trwałego nie stworzył; za to «Dziwczę z Sącza» <sup>1)</sup> i liryki pozostaną spiżowym dowodem jego talentu.

*Henryk Galle.*

<sup>1)</sup> Por. P. Chmielowski. Żywot mieszczański w poezjach. M. R. («Tygodnik Ilustrowany,» 1886).





# Karol Marcinkowski.

\* 1800 † 1846.



**K**ażdy naród ma w ciągu swego wielowiekowego żywota, obok okresów rozkwitu i chwały, okresy upadku i poniżenia. Wydaje się wtedy taki naród jakby nieczuły na swoje własne losy, stężały i bezradny. Późniejsze pokolenia, wyzwolone już z tej obojętności i znieczulenia i znowu pełnią życia zbiorowego żyjące, nie zdolne są nawet zrozumieć tego przejściowego zaniku wszelkich dążeń narodowych i mają dla ludzi tych minionych, nieszczęśliwych czasów tylko żal i gorczy pełne wspomnienia. Taki okres upadku i straszego poniżenia, sięgającego przyczynami swojemi już w poprzednią epokę, przechodził naród nasz, a z nim razem dzisiejsza dzielnica wielkopolska, w ostatnich latach osiemnastego i w pierwszych dziewiętnastego stulecia. Rozpatrując się w dziejach dzielnicy wielkopolskiej, mamy wrażenie, że ludzie ówcześni zgromadzili się na stypie pogrzebowej, żeby wesolą zabawą i hulanką sumienie swoje zagłuszyć i mary przeszłości rozpędzić. I trwała ta bezmyślna hulanka i wesola zabawa bez jutra w ówczesnych t. zw. Prusach południowych aż pod koniec roku 1806.

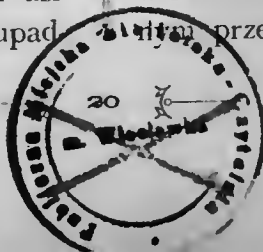
Przerwało ją wejście zwycięskich wojsk francuskich do Poznania, a położyła jej koniec odezwa Napoleona, wzywająca Polaków do walki. Pod wpływem tej pobudki pęka zwierchnia powłoka obojętności, budzi się uśpiony duch narodowy, odzyskuje dawną swą dzielność i wiedzie zbrojne zastępy do zwycięstw pod Bydgoszczą, Tczewem, Iławą i Frydlandem. Jako widomy znak tych usiłowań powstaje Księstwo warszawskie. Z upad-

kiem Napoleona po nieszczęśliwej wojnie z Rosją, upada i Księstwo warszawskie, sprzymierzone; zwycięskie mocarstwa na kongresie wiedeńskim w r. 1815 obok innych spraw, załatwiają się i ze sprawą polską. Powstaje Królestwo polskie, tak zwane kongresowe, połączone z imperyum rosyjskiem, a część dawniejszej Wielkopolski dostaje się jako Wielkie Księstwo poznańskie pod panowanie królów pruskich.

Ale takie załatwienie sprawy nie mogło już zaspokoić rozbudzonych aspiracji. Naród już skupił się w sobie i niepohamowanie dążył naprzód ku swemu przeznaczeniu. Cały piętnastoletni okres aż do r. 1830 nosi na sobie piętno pracy i służby w tym kierunku. Pod wpływem tych prądów rosło nowe pokolenie, budziła się w niem szlachetna miłość, energia czynu i gotowość poświęcenia swego osobistego szczęścia dla szczęścia ogółu.

Na te czasy przypada wiek młodzińczy i pierwszy okres wieku męskiego Karola Marcinkowskiego. Urodzony w Poznaniu, na ówczesnym przedmieściu św. Wojciecha z rodziców mieszczańskich, bardzo średnio zamożnych, 23 czerwca 1800 r., Marcinkowski w Poznaniu kończył szkoły i udał się w r. 1817 do Berlina, żeby się poświęcić naukom lekarskim.

Z czasów szkolnych mało o Marcinkowskim do nas doszło wiadomości. Wiemy tylko, że już wtedy wybitną inteligencją, prawością charakteru i nieugiętą wolą pociągał ku sobie swoich rówieśników i był im nie wybranym, ale naturalnym przewodnikiem. To samo naczelne stano-





*Z litografii społecznej rysował X. Pillati.*

*mariankowski*

wisko zajął także między młodzieżą uniwersytecką podczas swego pobytu w Berlinie. Kto dla ambicji, w chęci wyniesienia się dąży do władzy, ten może przewagą swego rozumu, powodzeniem lub zręcznymi zabiegami nawet przez dłuższy czas ster w swojej utrzymać dłoni; ale trwale i bezwzględnie ludzie tylko tym się poddają, których czyny z żadnych osobistych nie płyną pobudek, tylko dla dobra innych są podjęte i o których mają niezachwiane niczem przekonanie, że władzę sami w każdej chwili gotowi są złożyć w ręce godniejsze i dzielniejsze. Dzięki takiemu o sobie mniemaniu swych kolegów wysunął się Marcinkowski na czoło ówczesnej młodzieży berlińskiej. Zdaje się, że w tym charakterze przewodnika był czynnym w istniejącym wtedy w Berlinie między młodzieżą akademicką towarzystwie «Polonia.»

Młodzież ówczesna po za nauką, mającą ją przysposobić do późniejszej pracy zawodowej, oddawała się z całym zapalem pielegnowaniu pierwiastków idealnych i rozbudzeniu dążeń altruistycznych. W literaturze naszej mamy wspaniałe pomniki tych szlachetnych usiłowań, które nie pozostały bez wpływu i na późniejsze pokolenia.

Pod koniec 1823 r. wraca Marcinkowski już jako lekarz do Poznania i tutaj się osiedla. O działalność jego jako lekarza jeszcze do tej pory w Poznaniu i Poznańskim bardzo żywa przechowała się tradycja. Wielki i mały, ubogi i bogaty z nazwiskiem Marcinkowskiego łączy jeszcze dzisiaj pojęcie nie tylko dobrego i umiejętnego lekarza, ale prawdziwego opiekuna i dobrodzieja chorych.

Marcinkowski zbliżał się do chorego z miłością człowieka współczującego i przejętego niedolą bliźniego i budził niezachwianą wiarę, że wszystko do usunięcia tej niedoli gotów uczynić. Takie zupełne oddanie się bliźniemu nigdy nie pozostaje bez wzajemności; chorzy bezwzględnie ufali Marcinkowskiemu jako lekarzowi, kochali zaś jako człowieka. A Marcinkowski sam, tyle świadcząc drugim, nie miał sobie tego wcale za zasługę. Tak czynił, bo tak pojmował i odczuwał swoje powinności. W testamencie tak nam się z tego tłómaczy: «Dlaczego ten człowiek (—o sobie tu mówi—) jak zapamiętały pracował do upadłego,—uparty, nie zważając na żadne udzielane mu

▼ rady? To tylko ten odgadnię i zrozumie, kto kiedykolwiek w swej duszy żywo uczuł, co to jest pełnić powinność. Tego żądała, tej niespokojności, które Pan Bóg wlał w duszę moją, (bo ja sobie nic nie dałem, wszystko, co we mnie było, jest Jego darem, przez wychowanie ludzkości na szczegółowy jej pożytek skierowanym), inaczej poskromić nie mogłem, jak ciągle zajmując się pracą. Mnie jeść i spać, choćbym był jak najbardziej zmęczony, nie prędzej smakowało, ażem całodzienną pracę ukończył. Prawda, że nieraz Bóg wiele po mnie wymagał; nigdy się na to nie oburzałem, zawsze równie ochoczy byłem, gdy chodziło o to, aby drugiemu dopomóc.» W tem szczerem i prostym wyznaniu, pisanem już słabnącą ręką na krótko przed śmiercią, odsłania nam się Marcinkowski w całej swojej wielkości. Nie wiemy, co więcej podziwiać i czemu głębszą cześć oddać, czy tej niezrównanej skromności, która sobie żadnej zasługi nie zdolna jest przyznać, czy tej płomiennej miłości bliźniego, z której, jak z niewyczerpanego źródła, płynęły wszystkie czyny, nigdy ku własnemu, tylko zawsze ku pożytkowi innych skierowane.

Przy takiej niezmordowanej, z dnia na dzień rosnącej pracy zawodowej, której mógł poddać tylko człowiek z niezwykle dużym zapasem energii i miłości, zastała Marcinkowskiego wojna r. 1830. Wojna ta była, po dłuższym zawieszeniu broni, niejako dalszym ciągiem zapasów z epoki Napoleońskiej; dla wszystkich, stojących wtedy w wirze życia politycznego i odczuwających nastrój ducha narodowego, wypadki listopadowe nie były niespodzianką, ale oczekiwanym hasłem. Ze wszystkich stron śpieszyli ochotnicy. Marcinkowski był jednym z pierwszych, którzy z Poznańskiego do Warszawy podążyli.

Widzimy go więc najpierw jako prostego szeregowca w legii poznańskiej, potem jako lekarza przy komendzie głównej, wreszcie w randze lekarza dywizyjnego przy generale Chłapowskim. Całą kampanię odbywa w podwójnym charakterze; w bitwach walczy jako żołnierz, po bitwach, kiedy inni zażywają wczasu, pełni na pobojuwiskach swą mozolną i wyczerpującą służbę lekarską. Po bitwie ostrołęckiej poszedł Marcinkowski razem z dywizją gen. Chłapowskiego na Litwę, i już do końca, t. j. do przejścia granicy pruskiej i złożenia broni w okolicy Kłajpedy, przy nim pozostawał.



Nieszczęśliwy koniec wojny zmienił zupełnie dotychczasową sytuację kraju. Rozpoczęła się tłumna emigracja na Zachód, a mianowicie do Francji; w kraju zaległa cisza, a na obczyźnie wszczęły się wzajemne oskarżenia i bezowocne, zgubne spory. Nawet silniejsze duchem jednostki, jak Marcinkowski, szły na tułaczkę.

Jeszcze przed wyjazdem za granicę miał Marcinkowski sposobność zasłużenia się jako lekarz. W obozie pruskim, rozłożonym w pobliżu miasta Kłajpedy dla straży rozbrojonego korpusu polskiego, wybuchła cholera, która wtedy nawiedziła Europę, idąc od wschodu ku zachodowi. Marcinkowskiego, obeznanego już z czasów kampanii z tą straszną zarazą, wezwano do rady i pomocy. Ze znaną nam już energią i poświęceniem zajął się Marcinkowski nieszczęśliwymi chorymi najpierw w obozie, a potem w samej Kłajpedzie, za co zyskał sobie adres dziękczynny i pierścień pamiątkowy od zarządu miasta. Pod koniec r. 1831 wyjechał Marcinkowski za granicę, gdzie zatrzymał się, bawiąc kolejno w Szkocji, Anglii i Francji, aż do jesieni r. 1834. Wracając do kraju, zmuszony był pozostać przez kilka miesięcy najpierw w Magdeburgu, a potem w Berlinie w więzieniu śledczym, podejrzany o udział w sprawie Szumana, której bliższe szczegóły nie są nam znane; dopiero w kwietniu r. 1835, a zatem po więcej jak czteroletniej nieobecności, powrócił do Poznania.

Wyjazd i pobyt za granicą, gdzie przedewszystkiem dalszym studiom w nauce lekarskiej się poświęcał, wpłynął bardzo dobroczynnie na zgębnione usposobienie Marcinkowskiego i zwrócił umysł jego ku sprawom społecznym. «Nigdy bardziej nie czułem, — pisze — ile przeciwności, wzbudzające smutne uczucia, potrafią przytłumić umysł człowieka, jak teraz, kiedy przychylna ręka przyjaciół — (odnosi to się przedewszystkiem do generała Chłapowskiego, który Marcinkowskiemu przyszedł z materyalną pomocą) — z pamiątek nieszczęść ojczystych zaniósła mnie w nową zupełnie sferę przedmiotów, odwracając chwilowo mą duszę od ciągłego rozważania okropnych skutków niepomyślnej przeszłości. Sam to dobrze czuję, jak me siły umysłowe dawną odzyskują sprężystość.» Pomimo wszystko dążenie pozostało niezmiennie, tylko należało korzystać z bolesnego doświadczenia i zejść z dotychczasowych

zawodnych szlaków, a wkroczyć na inne, nowe może dłuższe i uciążliwsze, ale pewniejsze.

Byłby niewątpliwie Marcinkowski, pozostając w kraju, doszedł do tych samych wniosków, ale pobyt na Zachodzie, a mianowicie zapoznanie się ze stosunkami angielskimi, umysł jego szybciej ku temu przeobrażeniu usposobiło. Patrząc na społeczeństwo angielskie i porównyując je z własnym, przekonywał się naocznie, jak wiele temu własnemu społeczeństwu brakuje. «Anglik — pisze — pod względem oświecenia nie wychodzi wprawdzie za granicę interesu własnego kraju, ale z interesem swego kraju najniższy równie jak najwyższy jednak jest obeznany. Cały ogół tego kraju jest olbrzymiem dziełem pracy i przemysłu ludzkiego. A to wszystko w jak najściślejszym porządku, wszystko obrachowane na użytek i dogodność w zaopatrzeniu potrzeb społecznego życia. Wszędzie dobre mienie, wszędzie w stosunku do nas, mimo nierównie większej drogości, dostatki i przepych znajdują. Sposób życia lepszy nawet w najuboższej klasie, która, przynajmniej w Szkocji, jest zamożną w porównaniu do naszej.»

Poniżej zapoznamy się dokładniej z pojęciami społecznymi Marcinkowskiego, ale już z przytoczonych ustępów przekonać się możemy, co Marcinkowskiemu, patrzącemu na społeczność angielską, najwięcej się podoba i co wydaje się mu tego wysokiego rozwoju społecznego istotną przyczyną i podstawą. Otóż ową przyczyną i podstawą są: stopień *ogólnej* oświaty, która każdą jednostkę czyni zdolną poznać własne znaczenie i swoją niezbędność w złożonym wiązaniu społecznym, a powtóre praca, która oprócz tego, że dla jednostki jest jedynym źródłem znośnego bytu, obrachowaną jest na użytek i dogodność w zaopatrzeniu potrzeb społecznego życia. Gdy się zagłębiał dalej w tym kierunku społecznym, rysowała się w umyśle Marcinkowskiego, myślącego wciąż o własnym kraju, coraz wyraźniej myśl, że przyczyną ostatnich i dawniejszych niepowodzeń nie są jedynie siły szkodliwe, z zewnątrz działające, ale głównie własna, wewnętrzna niemoc, wynikająca z braku organizacji społecznej. Chcąc miliony ludzi, tworzących jedną całość, dźwignąć i uszczęśliwić, trzeba raczej te miliony nauczyć żyć i pracować dla przyszłości i uświadomić w nich wspólność. Oto nowy, szeroki pro-

gram Marcinkowskiego; spełnieniu jego poświęca resztę swego życia i już tą nową drogą, mimo wszelkich przeszkód i trudności, kroczy niezachwianie naprzód, bo ma silne przekonanie i wiarę, że obrana droga, choć daleka i ciężka, będzie niezawodna.

Z czasów pobytu Marcinkowskiego za granicą, a mianowicie w Paryżu, wspomnieć należy o udziale jego w Towarzystwie literackim i Towarzystwie pomocy naukowej, które powstały pod wpływem i z inicjatywy ks. Adama Czartoryskiego. Towarzystwo literackie rozwijało w początkach, mimo swej nazwy, działalność polityczną, i wobec panujących wtedy stosunków w kraju, miało być wyrazem dążności polskich. Towarzystwo pomocy naukowej dopomagało młodzieży polskiej, kształcącej się w szkołach francuskich. Na rzecz tego Towarzystwa ofiarował Marcinkowski,—choć sam w bardzo skromnych znajdował się warunkach, żyjąc za 60 franków miesięcznie,—tysiąc franków, które odebrał jako nagrodę konkursową od Akademii umiejętności paryskiej za napisanie rozprawy o cholery. Rząd francuski wysyłał w tym czasie deputację lekarską do Warszawy, celem zebrania wiadomości o cholery i zawezwał lekarzy polaków, wówczas w Paryżu przebywających, jako już obeznanych z tą chorobą, do przedłożenia swych spostrzeżeń i doświadczeń. W imieniu polaków-kolegów zajął się Marcinkowski tą sprawą i powyższą nagrodę od Akademii uzyskał. Po powrocie swoim do kraju w r. 1835 znalazł w stosunkach politycznych w Poznańskim znaczne zmiany. Byłego namiestnika ks. Radziwiłła odwołano już w lutym r. 1831; miejsce jego zajął, jako naczelny prezes p. Flotwek.

Pod rządami tego pierwszego naczelnego prezesa rozpoczęła się w Poznańskim era germanizacyjna. Ograniczono używanie języka polskiego w administracji, sądownictwie i szkołach. Do dyspozycji naczelnego prezesa dano milionowy fundusz, celem wykupywania majątków z rąk polskich i osiedlania niemieckich kolonistów. Ale równocześnie z temi zarządzeniami rządowemi, dążącemi do pogwałcenia żywiołu polskiego, w polskim społeczeństwie zaczął się budzić bujny ruch umysłowy i kielkować idea samopomocy. Mimo ograniczonych warunków miało wówczas W. Ks. Poznańskie względnie najwięcej swobody i jakby

✧ w poczuciu swego odpowiedzialnego stanowiska zaczęło za resztę myśleć i działać. Edward Raczyński, fundator istniejącej do dziś biblioteki Raczyńskich, łożył na liczne wydawnictwa z dziedziny historii polskiej. Jędrzej Moraczewski, autor «Dziejów Rzeczypospolitej polskiej,» zakładał na prowincyi w rozmaitych miejscowościach, jak: Gnieźnie, Szamotulach, Raszkowie, Gostyniu tak zwane Towarzystwa zabaw, utrzymujące bogate biblioteki, zbiory starożytności i rozpowszechniające zamiłowanie do wiedzy i kultury ojczystej. Bracia Poplińscy i Józef Łukaszewicz zakładają w r. 1834 leszczyńskiego «Przyjaciela ludu,» który w obrazie i słowie odtwarza całą bogatą przeszłość i staje się w ówczesnej epoce prawdziwym przyjacielem każdego czytającego domu polskiego. Nieco później pojawia się świetnie w pierwszych latach redagowany, «Tygodnik literacki,» umiający sobie pozyskać jako współpracowników literatów całej Polski i dla tego odzwierciedlający ogólną umysłowość polską. Beletryście służy z wielką umiejętnością «Dziennik domowy» i za pomocą przyjemnej lektury budzi chęć i zamiłowanie do nauki. Pomijając pomniejsze pisma, jak: «Szkółka niedzielna,» «Przewodnik rolniczo-przemysłowy,» dopełniają tego szeregu ówczesnych wydawnictw: «Ogłdownik,» wydawany przez Łukaszewicza, i «Rok» o poważnym zakresie naukowym pod redakcją Moraczewskiego i Karola Libelta, znanego filozofa i estetyka. W Poznaniu organizują oprócz tego coś w rodzaju prelekcji uniwersyteckich: Moraczewski, Libelt, Krauthofer i Małecki, wykładając raz w tygodniu z dziedziny historii, literatury, filozofii, prawa i nauk przyrodniczych.

Na te niezwykle, a dla W. Ks. Poznańskiego tak bardzo pożądane ożywienie umysłowe, złożyły się dwa czynniki. Jednym była wojna z r. 1830, która, choć zakończona klęską, wstrząsnęła do głębi całym narodem i wydobyła na wierzch jego zasoby duchowe, czego dowodem olbrzymi rozwój naszej literatury. Drugim czynnikiem było to, że wtedy jedynie w Poznańskim mogły, choć ostrożnie, objawiać się aspiracje polskie, którym zupełnie swobodny wyraz dawała tylko emigracja. Otóż ta emigracja z całą swoją bogatą literaturą piękną, polityczną i polemiczną zalewała W. Ks. Poznańskie nie tylko swojemi pismami, ale nadto przysyłała swoich wy-

slanników, którzy tutaj w kraju w myśl emigracyi działali. Obok tej fali ludzi, płynącej wówczas do Księstwa z Zachodu, szła fala druga od Wschodu. Ten napływ ludzi, przynoszących ze sobą najróżniejsze idee i programy, ożywiał i pogłębiał ruch miejscowy, o podkładzie społeczno-ekonomicznym, zdążający przez oświatę, wychowanie, fachowe wykształcenie i rozumną pracę do wytworzenia nowoczesnego, silnego społeczeństwa.

Przedstawicielem, a raczej twórcą i niestrudzonym szermierzem tego kierunku staje się po przybyciu do Poznania w r. 1835 Marcinkowski. Potrzeba było jeszcze wielu lat i nowych, bardzo bolesnych przejść i zawodów, aż ten przez Marcinkowskiego w W. Ks. Poznańskim zapoczątkowany program stał się własnością i hasłem całego narodu polskiego. Ale w tem właśnie jest wielkość zasługi i miara znaczenia Marcinkowskiego, że tak wcześnie pojął ducha czasu, umiał rozpoznać źródło niemocy i wskazać sposoby naprawy, a dowód siły i niepożytej energii w tem, że idee swoje zdołał wszczepić w społeczeństwo i w czyn je wprowadzić.

W czasach, kiedy Marcinkowski na gruncie poznańskim rozpoczynał swoją działalność, nie było jeszcze żadnej organizacji społecznej, którąby w swoich celach mógł być się posłużyć. Wszystko trzeba było dopiero tworzyć, a na razie osobistym wpływem, bezpośrednim działaniem na każdą jednostkę zyskiwać sobie zwolenników, gotowych pójść w tym samym kierunku. Znakomicie ułatwiał Marcinkowskiemu tę trudną pracę przygotowawczą jego zawód lekarski, dając mu rozległą sposobność poznawania ludzi i stosunków na całym obszarze Księstwa. Reszty dokonywała przemożna indywidualność Marcinkowskiego. Jego wysoka inteligencja, nieugięta wola, niepokalana czystość pobudek, zapał i głębokie poczucie obowiązku, równające się poświęceniu, jednały mu pomoc wszystkich jednostek rozumnych i szlachetnych, odczuwających potrzebę i rozumiejących konieczność pracy dla ogółu. Przez dziesięć lat stał Marcinkowski na czele społeczeństwa poznańskiego nie z wyboru, ale siłą faktu. Mieszkanie ówczesne Marcinkowskiego przy starym rynku, w dawniejszej aptece Kolskiego, było wtedy miejscem zbornem dla wszystkich ludzi czynu, a Marcinkowski ich wodzem.

✧ Tu każda sprawa publiczna była rozpatrywana, tu każdy projekt, dla dobra ogółu wniesiony, przed wykonaniem musiał zyskać sankcyę.

Uzyskawszy mocą swojej wartości i przewagi osobistej takie stanowisko, jał Marcinkowski swoje zamiary w czyn zamieniać. Powstaje najpierw «Bazar», jako widomy znak usiłowań w kierunku podniesienia handlu i przemysłu. Z projektem bazaru łączył Marcinkowski myśl założenia banku i szkoły rolniczej; niestety, obu tych instytucyj już się nie doczekał. Chciał zaś otworzyć szkołę rolniczą, bo już wtedy doskonale widział fatalne skutki braku fachowego wykształcenia rolników, wołając na zebraniu: «wszakże ja doktor, a jednak widzę, że tylko dla nieznajomości gospodarstwa dobra z rąk waszych wychodzą; zlitujcie się sami nad sobą; radźcie, aby utworzyć instytut rolniczy.»

Ale niemuniejszy brak umiejętności pracowników widział na wszystkich innych polach pracy społecznej. Więc żeby temu ogólnemu brakowi zaradzić, żeby dla przyszłości szeroką podstawę stworzyć, trzeba się zwrócić do mas, do ludu i stamtąd «wydobywać młodzież, a wykrywszy jej talenty, obrócić ją na pożytek kraju, dając pomoc i stosowny kierunek jej wykształceniu.» Oto szeroki cel i wielkie zadanie «Towarzystwa pomocy naukowej,» biorącego swój początek od Marcinkowskiego i dlatego w dwudziestąpiątą rocznicę swego istnienia ku wiecznej pamięci nazwanego «Towarzystwem pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego.»

Na walnem zebraniu tego Towarzystwa w roku 1844 wygłosił Marcinkowski, jako prezes, programową mowę, w której swe poglądy społeczne obszerniej rozwinął. «Dążymy — mówił — wszyscy na całym świecie do lepszej przyszłości. Co się w człowieku pojedynczym jako życzenie, jako nadzieja odzywa, to w zbiorowej potędze całości przeistacza się w potrzebę, rośnie w wymaganie. To dążeń ludzkich przez wszystkie czasy wrodzona przyczyna, to wszystkich czynów, które historia w całości obejmuje, najgłębsza podnieta. Drogi są rozmaite, choć cel wiecznie jednostajny. Od morderczych bitew i pożogi, aż do spokojnego poświęcenia życia, do męczeństwa za dobro ogółu, zawsze ród ludzki dążył do ulepszeń. Pojąć czas, w którym się żyje, wykryć środki najstosowniejsze do zaradzenia potrzebom ogółu

nym, to każdego pokolenia zadanie. Zastanówmy się nad nim w krótkości z najogólniejszego stanowiska, dotykając zasady towarzyskich stosunków. Jest to pole, na którym dzisiaj duch ludzkości swej siły doświadcza, na niem chce znaleźć drogę, którą najpewniej do ulepszeń trafi.

«Z postępem czasu zmieniają się wyobrażenia, bo się zmieniają potrzeby stosunków towarzyskich. Z natury człowiek, do społeczeństwa przeznaczony, ma w tym zakresie myśl swoją, plód umysłu, który go od zwierząt odróżnia, wcielić w organizowane czyny i dowieść twórczym działaniem, na czyj obraz i podobieństwo stworzonym został. Bez społeczeństwa nie masz dla myśli człowieka pola działalności, a więc bez społeczeństwa byłby człowiek istotą bez celu. Towarzyskość społeczna dozoruje i prowadzi przez wszystkie szczeble wykształcenie ludzkie i na każdym szczeblu kieruje takowe do wspólnego użytku. Wychowanie nasze jest to dług zaciągniiony u ogółu, z którego się w swym czasie wypłacać winniśmy. Nosi ono zawsze cechę tej formy i tego ducha, które w pewnej obecności znamionują całość. Wyływem istniejących w każdej chwili urządzeń towarzyskich jest i stopień oświaty i cała dążność przyszłego pokolenia; w niem, jako ziarno przyszłego bytu społeczeństwa, złożone jest żniwo najbliższej przyszłości i wyrasta w pomysły nowe i świeże, mające wydać dla ogółu korzystniejszy owoc. Tę siłę odradzania się myśli przez całe pokolenie nazywamy duchem czasu. Jest ona z jednej strony wyływem istniejących urządzeń towarzyskich, a z drugiej wszelkich ulepszeń twórcielką.

«I cóż jest społeczeństwa ostatecznym zadaniem, do czegoż duch czasu, jako siła kierująca jego życiem, jego dążnościami, zmierza i zmierzać powinien? Oto— do ugruntowania szczęścia wszystkich pojedynczych członków, całość społeczeństwa stanowiących. Bo jakiegokolwiek dalsze jest przeznaczenie człowieka, którego myśl czasowa nie zgłębi i którego ziemską pielgrzymką — błogo pomyśleć — ma być tylko przygotowaną chwilą, jest dobą rozwijania się, porą doskonalenia, — możeż ono dokładnie nastąpić bez wewnętrznej razem i zewnętrznej swobody, która, jak światło i ciepło słoneczne, pielęgnuje najlepiej wystawiony nań zasiew? Jak wichry i nawałnice niszczą przyszłe żniwiarza nadzieje, tak

przewrotności urządzeń towarzyskich, niszczące swobody rodu ludzkiego, są przeznaczenia jego wrogami. Wzdryga się natura ludzka na wszystko, co duszę lub ciało krępuje, co jednej lub drugiemu wolnego rozwijania nie pozwala, co w myśli swobodę uśmierca, a ciało niedostatkiem lub katuszą gnębi.

«Chcesz-li jednym wyrazem objąć zamierzony cel społeczeństwa względem pojedynczych jego członków, powiedz, że ich ma zrobić wolnymi na duszy razem i ciele. Nie jest wolnym na duszy, komu przesady ciężarem ołowiu tamują lot myśli, ani też nim być może ten, którego myśl rozbiegana unosi w obszar urojenia. Ani ten się wolnym uczuje, czyjej duszy namiętności pęta niewoli narzuca, lub w kim myśl, skierowana li do poziomej materjalności, tłumi szlachetniejsze uczucie, drzemające w piersi każdego, aż je w najwyższą potęgę duszy wznieci siła Boskich ideałów. Do takiego stopnia wyzwolenia, którego szczytem w duszy naszej jest samodzielne uczucie godności człowieka, społeczeństwo ludzkie tylko równem dla wszystkich rozkrzewianiem prawdziwej oświaty przyłożyć się zdoła. Takie uznanie własnej godności jest przecuciem Boga, z którego początek swój wzięło, a następnie stanie się źródłem najczystszej jego miłości, stanie się bodźcem do zamięłowania cnoty, do wywołania w sobie najczystszych poświęceń. Bo, z drugiej strony, kto w sobie samym godność człowieczeństwa raz uczuł, kto poznał bliskość tego Boga, na którego obraz i podobieństwo stworzony, ten i w każdym podobnym sobie, w każdym bliżnim szanować będzie własną swą godność.

«Otóż jest niezachwiane źródło jedynej socyalnej cnoty, nad którą nie masz trwalszego ogniwa, bez której nie masz prawdziwego szczęścia,—cnoty, która w wyznaniu chrześcijańskim świetnością rzeczywistej prawdy zajaśniała: «Kochaj bliźniego twego, jak samego siebie.»

«Wszystkie zabiegi nasze, dążące do ulepszeń socyalnych, płonną tylko będą igraszką, błędnym wyobraźni światelkiem, jeżeli swej podstawy nie oprą na rzetelnej dążności wykształcenia dusz naszych do samodzielnego siebie samych pocucia. I równość socyalna rodzi się sama przez się, skoro każdego do najwyższego szczebla pojęć umysłowych doprowadzisz. Nic jej tak bardzo na przeszkodzie nie stało przez



wszystkie wieki postępów towarzyskich i w rozmaitych szczepach rodu ludzkiego, które dla tego wiecznie na odrętwiałość życia skazane być się zdają, jak zostawienie pewnej części ludności na rozmaitych, nierównych stopniach wykształcenia duchowego.

«Kiedym, mówiąc o równości socyalnej, wspomniał o potrzebie najwyższego stopnia duchowego wykształcenia pojedynczych towarzystwa członków, winienem tu ostrzedz słuchaczy, że to wykształcenie polega nietylko na nabyciu nauk i wiadomości, i na rozwinięciu zdolności umysłowych. To ukształcenie jest wprawdzie jednym z najpewniejszych środków, prowadzących do ukształcenia naszej moralnej, naszej duchowej części, ale nie jest tem, co samodzielnością duszy człowieka nazwałem. Uczonym być nie potrzeba, aby uczuć, jakie stanowisko człowiek w układzie i porządku tego świata zajmuje, aby się obeznać z wartością swoją i przekonać o nietykalności praw sobie przyrodzonych i o nierozdzielnej od nich świętości obowiązków nabytych; strzeżenie tych pierwszych, a pełnienie drugich, podstawę towarzyskiej wolności stanowi. Każdemu zbiorowi wiadomości potrzeba umysłowego, że tak powiem, bogactwa; — człowiekowi, co się ma uczuć wolnym na duszy, tylko siły samodzielnej własnego myślenia, nabytej rozwijaniem i ciąglem jej ćwiczeniem. Pierwszy się zbytkiem dostatków umysłowych odznacza, drugi tylko żąda zdrowego dla duszy pokarmu, na prawdziwej oświacie opartego duchowego wychowania, które go od samej kolebki aż do wprowadzenia w zakres działań socyalnych ma pielegnować i karmić.

«Czem,—w ściślejszem tem oznaczeniu stosunku swego do zakresu socyalnego, — jest dla, ustalenia wolności ducha w człowieku oświata tem dla oswobodzenia ciała, tego drugiego źródła naszego szczęścia na ziemi, jest praca. Jak dla duszy owego hartu, owej samodzielności potrzeba, która się nie da podbić fałszom i przesądom, tak dla zabezpieczenia ciała, od dręczących je potrzeb, a bardziej jeszcze od zawisłości względem stosunków zewnętrznych, nieodbicie potrzebną jest praca. W człowieku, póki w formie czasowej, ziemskiej zostaje, duch z ciałem tak ściśle połączony, że nie możesz zgwałcić jednego, bez nadwężenia istotnej drugiego siły. Ogranicz

prawem wolne rozwijanie się myśli, a zrobisz z ludzi helotów; udręcz ciało głodem i katuszą i pokaż mi wielu, co nie upadną na duszy! Praca zbiorowo uważana jest, że tak powiem, materialnym łącznikiem, kojarzącym pojedyncze ogniewa całości społeczeństwa. Oświata—ducha tego ciała stanowi. Jak oświata, wywołując w duszy człowieka pojedynczego ową potęgę, którą uczuciem godności nazwałem, daje najpewniejszą podstawę równości socyalnej w obliczu praw przyrodzonych, w stosunku moralnym, tak praca, usamowolniając człowieka od wpływu zewnętrznego na ciało, dając człowiekowi źródło do zaspokojenia potrzeb nieodzownych, daje materialną podstawę jego niezawisłości, a tem samem podstawę równości socyalnej w obliczu praw nabytych, w stosunku materialnym.

«Wartość człowieka pod względem moralnym zawisała od uczucia jego godności, które w towarzystwie społecznym ma być jego postępowania wskazówką i mistrzem; pod względem materialnym wartość jego opiera się na pracy, którą ku użytkowi wspólnemu przykładać się będzie. W obliczu tego celu, to jest użyteczności ogólnej, czyli dobra publicznego, każda praca zarówno jest pożyteczna. Stosunek usługi pojedynczego człowieka na korzyść całości towarzyskiej równa pierwszego ministra z najniższym urzędnikiem, równa wyrobniką dziennego z zamożnym kupcem i właścicielem. Porządek towarzyski wymaga podziału pracy i obliczenia wartości tej pracy, jeśli ją chcemy na pieniądź zamienić; sama w sobie nie jest żadna ani mniej, ani więcej znacząca: sama w sobie nadaje ona równy wszystkim szacunek w obliczu praw socyalnych. Gdyby prawodawcy narodów potrafili wynaleźć przepisy, zabraniające pojedynczym ludziom nieznanomości własnego dostojenstwa, owszem, nakazujące dążyć do owej oświaty, która nas uszlachetnia i zbliża do źródła boskiego; gdyby potrafili nadać prawa, zmuszające każdego do wyćwiczenia się w pracy użytecznej i pracowania z ochotą na zaradzenie wspólnym potrzebom; jednym słowem, gdyby prawodawcy umieli wynaleźć ustawę, nie pozwalającą nikomu zostać głupim i próżniakiem: w jednej chwili towarzystwo ludzkie stałoby się rajem na ziemi.

«Te prawa dadzą się wynaleźć, ale dotąd o nich szczerze nie myślano, bo nie sama myśl

uszcześliwienia rodu ludzkiego, nie myśl zrównoważenia ludzi w obliczu praw przyrodzonych i nabytych kierowała natchnieniem, prawa stano-  
wiącem. Tylko przez wychowanie da się cel ostateczny tym sposobem osiągnąć. Powinno ono obejmować sposoby, prowadzące ród ludzki od samej kolebki i do prawdziwego poznania i do dobrego wykształcenia owej iskry, którą Bóg tchnął w pierś człowieka, stwarzając go na swój obraz i podobieństwo, i również do wyuczenia się i szczerego zamiłowania użytecznej pracy. Mała jest liczba ludzi, którzyby pod tym względem powołanie swoje na tej ziemi zrozumieli, przecież się ich ilość zwiększa prawie codziennie. Pojedynczy ludzie podwajają swe usiłowania, kiedy się łączą w stowarzyszenia, a miłością świętą powinności wiedzeni, nie szczędzą pracy i ofiar ku podniesieniu tych bliźnich, których los dotąd niesprawiedliwy na niższym od nich stopniu pozostawił. Takie usiłowania nie mogą bez błogich skutków pozostać.

«Towarzystwo nasze, szanowni rodacy, ma właśnie za zadanie rozszerzać oświatę pomiędzy braćmi naszymi i dać im sposób wyuczenia się pracy, przez którą w całości socyalnej jako jednego ciała ogniwa, złani w jednorodność ogółu, użytecznymi stać się mogą, zabezpieczając zarazem własną duchową i materyalną niezawisłość. Wszakżeż to jest i szczęściem jednostek ustalić i nadać całości i siłę, i znaczenie. Wszakżeż to jest najpewniejszy sposób, aby rozwiązać zadanie społeczeństwa: zrobić ludzi wolnymi na duszy i razem na ciele;—to jedyna droga, wiodąca do pożądanej dla wszystkich równości socyalnej i wyniesienia człowieka do wyższej potęgi obywatela w narodzie.»

Przeszło pół wieku upłynęło od tego czasu, a chociaż społeczeństwo pojęło doniosłość programu Marcinkowskiego i to dziecko jego ducha «Towarzystwo pomocy naukowej,» w troskliwą wzięło opiekę, jak dalecy jednak jesteśmy jeszcze od tego ostatecznego celu, od tego «wyniesienia człowieka do wyższej potęgi obywatela w narodzie.» \*)

Dla dokładniejszego poznania wyobrażeń społecznych Marcinkowskiego posłużyć się możemy

\*) Pierwszą dyrekcję «Towarzystwa pomocy naukowej,» wybraną w r. 1841, składali: Karol Marcinkowski, jako prezes, Gustaw Potworowski z Goli, Wojciech Lipiski z Lewkowa, Karol Stablewski z Za-

jeszcze mową, którą w grudniu r. 1845, jako założyciel, zainaugurował «Towarzystwo ku wspieraniu ubogich i biednych miasta Poznania.»

lesia, dr. Antoni Kraszewski z Tarkowa, Józef Szuldrzyński z Lubasza, prof. Popliński, ks. kan. Jabczyński, Jędrzej Moraczewski. Na sekretarza powołano dra Karola Libelta, który jednakże po niedługim czasie dla rozlicznych swoich zajęć urząd ten musiał złożyć; miejsce jego zajął ks. prałat Brzeziński i przez 36 lat bez przerwy należał do składu dyrekcji. Po Marcinkowskim, jako założycielu, należy się w dziejach Towarzystwa pierwsze miejsce ks. Brzezińskiemu. Jego niezmordowanej mrówczej pracy zawdzięcza Towarzystwo przeprowadzenie swojej organizacji. Władza duchowna, od samego początku przychylna wobec Towarzystwa zajmująca stanowisko, za jego przyczynieniem pozostała na tem stanowisku i w zakresie swojej kompetencji aż do dzisiejszych czasów żywo losami Towarzystwa się zajmuje. Lwia część fundusów żelaznych Towarzystwa złożona została przez duchownych. Po śmierci Marcinkowskiego zajął krzesło prezydyalne w Towarzystwie Gustaw Potworowski z Goli, jeden z najdzielniejszych współpracowników nieboszczyka. W roku 1850, po śmierci Potworowskiego, powołano na prezesa Macieja Mielżyńskiego, przyjaciela i powiernika Marcinkowskiego. Przez dwadzieścia lat spoczywała opieka nad Towarzystwem w rękach Mielżyńskiego. Wziął po nim spuściznę zasłużony Towarzystwa sekretarz, ks. prałat Brzeziński i przewodniczył aż do r. 1877. W szeregu prezesów widzimy następnie prof. Rymarkiewicza, radcę Szumana, radcę dra Osowickiego, Józeta Mielżyńskiego (syna ś. p. Macieja), a obecnie przewodniczy Towarzystwu Mieczysław Kwilecki z Oporowa. W czasie swego półwiekowego przeszło istnienia dopomogło Towarzystwo do wykształcenia tysięcy młodzieży, pracującej dzisiaj na najrozmaitszych polach. Obecnie rozporządza Towarzystwo milionowym prawie funduszem żelaznym, liczy przeszło cztery tysiące członków, wydaje rocznie na stypendya sześćdziesiąt kilka tysięcy marek, utrzymuje czterystu kilkudziesięciu młodzieży i ma dochodu rocznego prawie dziewięćdziesiąt tysięcy marek. Uobywatelenie w Wielkopolsce mieszczaństwa, wzmoczenie na siłach i coraz większe wzmaganie się polskiego kupiectwa, stworzenie tamże po miastach i miasteczkach polskich lekarzy, adwokatów, weterynarzy, słowem polskiej inteligencji,—wszystko to jest w pierwszym rzędzie rezultatem wielkiego dzieła Marcinkowskiego, mianowicie «Towarzystwa pomocy naukowej,» — tak samo, jak znowu oświecenie i uobywatelenie stanu gospodarzy włościańskich w Wielkopolsce, stworzenie ruchu ludowego w najwłaściwszym i najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu jest dziełem innego odrodziciela dzielnicy Wielkopolskiej, Maksymiliana Jackowskiego, wielkiego twórcy kółek włościańskich w W. Ks. Poznańskim.

«Przystępujemy coraz bliżej do rozpoczęcia dzieła, któreśmy sobie zawiązaniem naszego towarzystwa dokonać zamierzeli. Dzieło to ma obejmować rozpoznanie całego obszaru nędzy i niedoli klas ubogich, upadających codzień pod uciskiem niedostatku, ma dalej zgłębić przyczyny ich nędzy materialnej, a następnie obmyśleć środki usunięcia już dokuczającej biedy i zaradzenia grożącej. Kto się nad całą objętością tego, co dokonać mamy, chwilę tylko z uwagą zastanowi, przyzna, że to jest dzieło olbrzymie, opasane trudnościami, na które co chwila natrafiać będziemy, a do których przedewszystkiem należą: szczupłość funduszków, trudność wyszukiwania stosownego zatrudnienia z jednej, a brak energii, opuszczenie się, odwyknienie i niechęć do pracy z drugiej strony. Ale moi panowie, tem silniej od razu postanowić sobie powinniśmy dojść do celu naszych życzeń i tem prędzej staniemy u szczytu przedsięwzięcia, im silniej nas wspierać będą niewyczerpane środki nasze: gorliwa chęć służenia bliźniemu i wytrwała cierpliwość w ciągłym opiekowaniu się nędzą i ubóstwem, jakoby młodszem, nieletniem jeszcze rodzeństwem naszym.

«Ludzie potrzebujący wsparcia, mający prawo do współdziału dobroczynności swych bliźnich, których los pod względem zamożności lepiej opatrzył, dzielą się na dwa wielkie oddziały, z których pierwszy obejmuje tych wszystkich, co się bez istotnej jałmużny obejść nie zdołają, drugi zaś tych z pomiędzy wszystkich, na pracę rąk swoich w urządzeniu socyalnem wskazanych, co przez wpływ rozmaitych okoliczności, pomimo chęci i zdolności, nie są w stanie potrzebom swoim zaradzić.

«Że do pierwszego oddziału ci się tylko liczyć powinni, których fizyczne kalectwo, wiek lub choroba obok sierot, do pracy niezdolnych, stawia, równie przyznamy, jak to, że powinnością naszą jest nie uchylać im naszej jałmużny. Ale dalej darowizna i dobroczynny datek rozciągać się nie powinny, jeżeli nie mają służyć za źródło moralnego opuszczenia i zepsucia się ludzi.

«Węgielnym kamieniem, na którym się dobry byt ziemski wszędzie i zawsze wspiera, jest praca. Skromność i rzadność w wydatkach, moralne prowadzenie się i uczciwe pełnienie swych powinności w egzystujących, socyalnych stosunkach, za nią dopiero następują, na niej się, jak

na opoć, wspierają, bez niej zaś całkiem są niczem. Gdyby ta klasa ubogich, którą drugi obejmuje oddział, wskutek lepszego, niż to, jakie dotąd odbiera, socyalnego wychowania, pokochała pracę i rzadność gospodarczą, jako jedyne i najpewniejsze źródło swych skarbów; gdyby w niej chęć do pracy zrosła się z chęcią wygodnego życia na ziemi, która nam wszystkim mniej lub więcej wrodzona; gdyby nadto urządzenie stosunków socyalnych kiedykolwiek w taki sposób załatwione być mogło, że każdemu i w każdej chwili nie tylko dostatecznej ilości pracy dostarczy, ale zarazem tak ocenionej, że wymiana zapłaty wystarczy na wygodne utrzymanie pracownika — natenczasby wszelka nędza znikła od razu z pośród ziemskiego świata. Nie byłoby nędzy na ziemi, a każdy człowiek, poznawszy wartość niezawisłości od zewnętrznych stosunków, jakaby mu natenczas własna praca zapewniała, doszedłby własną drogą do uczucia własnej godności, tej najwyższej potęgi naszej duszy, której dotychczas ani religia, ani mniemana oświata wywołać nie potrafiły.»

Z przytoczonych mów przekonywamy się, jak szeroko pojmował Marcinkowski powinności klas społecznie uprzywilejowanych wobec klas upośledzonych i jak pragnął on i usiłował usuwać nie chwilowe niedostatki, ale przyczyny nierówności społecznej.

A źródłem tych wszystkich, dla dobra innych podejmowanych usiłowań i bezustannej pracy, była głęboko odczuta miłość ludzkości i narodu, na co dowód mamy w liście, pisanym w r. 1842 do przyjaciela swego Karola Stablewskiego z okazji uczty na cześć jego w Bazarze wyprawionej. «Boże daj, bym zupełnie potrafił zapomnieć o sobie, bym wyrzeczeniem się samego siebie doszedł do owej doskonałości, jakiej Zbawiciel świata po zwolennikach swojej nauki wymagał. Boże daj, by mi chęć pełnienia moich powinności nigdy nie zastygła, abym do końca mego życia wytrwał gorliwie w miłości bliźniego: by mi ciągłą podniętą mego działania było to zaspokojenie duszy, żem nie zszedł z toru prawego człowieka. Boże daj, aby pomiędzy nami na silnej podstawie miłości bliźniego wzrosło w błogi dla ludzkości owoc płodne drzewo równości bratniej. Bóg nas stworzył bez różnicy: jako jednostajne dla wszystkich znamię, dał piętno

obrazu i podobieństwa swego. — To jest godność człowieka. Bracia! tę godność w sobie wywołać, tę godność uszlachetnić,—oto jest droga, po której do osiągnięcia ulepszeń dążyć powinniśmy. Oświata i praca, użyteczne towarzystwu ludzkiemu,—oto są środki do utorowania potrzebnego gościńca. Zachęcajmy siebie wzajemnie, działajmy na drugich, na młodszych, na mniej szczęśliwych od nas, ażeby przyszłe pokolenie do szczęśliwszej przyszłości usposobić, ażeby w nich ugruntować tę godność człowieczeństwa, bez której wszystkie zabiegi zginą, jak płonne marzenia.»

Wśród takich zabiegów i wytężonej pracy zastały Marcinkowskiego smutne wypadki r. 1846. Coraz silniejsze prądy, idące z emigracyi, a skierowane ku wywołaniu w kraju nowych, zbrojnych ruchów, wzięły w Poznańskim na razie górę, bo obiecywały choć wątpliwą, ale doraźną pomoc; ziarna zaś, ręką Marcinkowskiego rzucane, miały dopiero w przyszłości dojrzeć i wydać obfite owoce. Marcinkowski, mimo całego swego potężnego wpływu, nie zdołał powstrzymać tej niszczą-

cej fali. Opór zaś stawiał słabszy, bo słabnące ciało przestawało już być powolnem narzędziem silnego zawsze ducha. Dawna choroba piersiowa odezwała się z niezwalczoną mocą i przecięła przedwcześnie pasmo jego zasłużonego żywota. Umarł 7 listopada 1846 r. w Dąbrowce Ludomskiej, w domu swego przyjaciela, Wiktora Ła komickiego, na rękach drugiego serdecznego druha i dzielnego współdziałacza, Macieja Mielżyńskiego. Pogrzeb odbył się w Poznaniu d. 11 listopada. Nieprzeliczone tłumy otoczyły i towarzyszyły skromnej, ubogiej trumnie, niesionej przez przedstawicieli wszystkich warstw społecznych. I popłynęła ta skromna uboga trumna nad tem morzem głów, w ciszy żałobnej, na miejsce swego przeznaczenia. Ziemi oddano ciało. Ale przepotężny duch, który mieszkał w tem ciele i za życia wiódł na wyżyny, niewyczerpana miłość, która rozplomieniała to zastygłe serce i za życia czyny rodziła, nie umarły. One żyją i szukają sobie godnych przybytków.

*Bolesław Krysiewicz.*





# Zygmunt Wróblewski.

\* 1845 † 1888.



**D**zieje fizyki w Polsce przedstawiają się bardzo skromnie, skromniej niewątpliwie, aniżeli dzieje najbardziej pobratymczych jej nauk, astronomii lub chemii. Główną urobóstwa tego przyczyna stąd pochodzi, że fizyka silniej, aniżeli jakakolwiek inna gałąź wiedzy, związana jest ze szkołą, z uniwersytetem; rozwija się ona nie przy stole, nie na papierze, ale w pracowni, która kwitnąć może jedynie pod osłoną uniwersytetu albo odpowiedniej instytucji naukowej. Książka fizyków wyrobić nie zdoła — niezbędny tu jest profesor, który nietylko wykład swój z katedry ogłasza, ale i w pracowni uczniów prowadzi. Medycyna, chemia, historia naturalna, ściślej się wiążąc z wymaganiem życia

praktycznego, łatwiej po za uniwersytetem istnieć mogą; co do fizyki wszakże, to krótkotrwale błyski, oświetlające smutne koleje nauczania publicznego u nas, nie zdołały ożywić tej gałęzi wiedzy, która ciągłością jedynie uniwersytecką utrzymywać się i rozwijać może. W ostatnich dopiero czasach, w starej zwłaszcza wszechnicy jagiellońskiej, której losy od niewielu dziesiątków lat pomyślniej się snują, zakwitła fizyka, dając tem świadectwo, że i dla tej naczelnej gałęzi wiedzy przyrodniczej grunt u nas nie jest jałowy. Pracownia fizyczna uniwersytetu krakowskiego zasłynęła w Europie, stała się ogniskiem doniosłej i ożywionej działalności w dziedzinie skraplania g a z ó w i wiążących się z tą kwestyą zadań. Zwrót



*Zygmunt Wróblewski*

tak pomyślny dokonał się przedewszystkiem za sprawą Zygmunta Wróblewskiego.

Zygmunt Wróblewski urodził się w Grodnie d. 28 października 1845 r.; należał do licznej rodziny, wzrastającej pod opieką matki, która umiała w synach swoich od młodości rozbudzić zamiłowanie nauki, a jeden z jego braci, Edward, zasłynął jako chemik, jakkolwiek już w trzydziстым trzecim roku życia wzrok utracił. Po ukończeniu gimnazjum w mieście rodzinnem r. 1862, udał się Zygmunt do uniwersytetu kijowskiego, dopiero 1869 r. przybył do Warszawy. Przedewszystkiem jednak myśleć musiał o ratowaniu wzroku, który zagrożony był zupełnym zanikiem i poddał się dwukrotnej operacji w Berlinie, a przez rok cały usunięty był jeszcze od książki. W tem wielkim wszakże ognisku oświaty korzystał z wykładów: Magnusa, Dorego, Quinckego, Poggendorffa, a snując pomysły wielkich odkryć fizycznych, owładnięty pragnieniem zdobycia ogólnych praw przyrody, starał się o zbliżenie do wielkich mistrzów nauki, by ich zdania zasięgnąć i ze wskazówek ich korzystać. W ten sposób zetknął się z Clausiusem i Helmholtzem. Za ich radą oddał się gorliwie pracy w laboratoriach fizycznych i zdobył znaczną biegłość w dokonywaniu doświadczeń; studia swe prowadził kolejno w Heidelbergu, Berlinie i Monachium, gdzie w r. 1874 uzyskał stopień doktora obroną rozprawy o wzbudzaniu elektryczności środkami mechanicznymi. Przez rok jeszcze pozostał w Monachium jako asystent profesora Jollego, który mu poparcia swego nie szczędził, a w roku następnym przeniósł się na takież samo stanowisko do Strasburga, gdzie w nowym uniwersytecie niemieckim katedrę fizyki zajmował Kundt. Tam badania jego przybrały już kierunek ściśle określony, zwrócił się mianowicie do poszukiwań nad dyfuzją gazów, nad ich rozprzestrzenianiem się w ciałach stałych i ciekłych, nad ich pochłanianiem przez różne ciała, nad wpływem sił molekularnych na zjawiska dyfuzji w cieczach, nad napięciem powierzchniowym cieczy i zależności jego od gazów w cieczy rozpuszczonych. Długi szereg rozpraw w przedmiotach tych ogłosił w «Rocznikach fizycznych Poggendorffa», w «Kosmosie» lwowskim, w «Rozprawach» akademii umiejętności w Krakowie i w «Sprawozdaniach» akademii nauk w Paryżu.

W r. 1880 otrzymał od akademii krakowskiej stypendyum Seweryna Gałęzowskiego, co mu дозволиło udać się do Paryża, przy czem zwiedził także pracownie fizyczne w Anglii. W naukowych wszakże instytucjach paryskich gościnności nie znalazł, czego główną przyczyną było zapewne jego stanowisko w uniwersytecie strasburskim, tak niedawno zniemczonym po oderwaniu Alzacyi od Francyi; po usilnych staraniach dopiero zyskał dostęp do pracowni fizycznej w wyższej szkole normalnej, gdzie przy dalszych doświadczeniach nad pochłanianiem gazów pod wysokiem ciśnieniem otrzymał nieznany dotąd związek, woda dwutlenku węgla, występujący w stanie krystalicznym. W Paryżu też zapoznał się z metodami skraplania gazów, wprowadzonymi przez Cailletet'a, co spowodowało nowy zwrot w kierunku jego badań, które wszakże los dozwolił mu już dalej prowadzić w kraju.

W r. 1882 bowiem, po ustąpieniu Kuczyńskiego, Wróblewski powołany został na katedrę fizyki do uniwersytetu jagiellońskiego. Na stanowisku tem przedewszystkiem zajął się uporządkowaniem i uzupełnieniem pracowni fizycznej, która w skutek jego zachodów i gorliwości stała się jednym z głównych ognisk, zwłaszcza, co się tyczy do skraplania gazów i ich badania w ogólności. Obowiązkowe zajęcia profesorskie nie pochłonięły wszakże całkowicie jego działalności; pomimo trudów nieuniknionych przy objęciu wykładów przedmiotu doświadczalnego, z niezmierną wytrwałością zajął się pracą nad skraplaniem gazów, przyczem dzielną pomoc zyskał we współdziale profesora Olszewskiego. Cailletet podał wprawdzie metody wiodące do pokonania gazów opornych, zbudował przyrządy do tego celu, ale nie zdołał ich jeszcze stanowczo w stan ciekły przeprowadzić, otrzymał tlen jedynie w stanie mgły przemijającej, która świadczyła, że gaz ten stracił już swój stan lotny, ale nie był jeszcze istotną i trwałą cieczą. Wróblewski dopiero pokonał ostatecznie nastroczające się trudności, udoskonalił metody i przyrządy i już w pierwszym roku pobytu swego w Krakowie otrzymał w stanie cieczy wyraźnych, tlen, azot i tlenek węgla, gazy zatem, o których niedawno jeszcze sądzono, że są bezwzględnie trwałe i żadną miarą skroplić się nie dadzą. Poznał też nadto możliwość skrople-

nia wodoru, najoporniejszego i najtrwalszego w pośród wszystkich gazów i był już bliskim osiągnięcia tego rezultatu. Zbadał własności gazów skroplonych, zastosował je do sprowadzania zimna coraz potężniejszego i obniżył temperaturę niemal do punktu zera bezwzględnego, rozpatrywał zachowanie się metali i innych ciał w temperaturach tak niskich, a doniosłe te badania zjednały mu w r. 1886 nagrodę Baumgartnera, udzieloną w trzy lata przez akademię umiejętności w Wiedniu za pracę, która w okresie tym najznaczniejszy postęp w fizyce sprowadziła.

Na podstawie tak rozległych prac doświadczalnych zamierzał Wróblewski rozwinąć pogląd teoretyczny na związek zachodzący pomiędzy ciekłym i lotnym stanem materii, a w tym celu wprowadził do nauki pojęcie linii jednakich gęstości, które nazwał izopylinami. W dalszym ciągu rozpoczął w przedmiocie tym obszerniejszą rozprawę o ściśliwości wodoru i o stanowisku jego wśród innych gazów, przeznaczoną dla akademii wiedeńskiej, gdy nagle nauce i krajowi wydarła go śmierć niespodziana i straszna. Późną nocą, mianowicie, zajęty w swej pracowni kreśleniem linii krzywej do wspomnianej rozprawy, umieścił lampę naftową na desce, do której przytwierdzony był papier, osłabiony bowiem wzrok jego wymagał silnego oświetlenia; oparłszy się wszakże przypadkowo o deskę, spowodował jej

pochylenie i wywrócenie lampy, której nafta płonąca oblała jego odzież. Zdołał wprowadzić wybiedz z pracowni i wezwać pomocy, ale poparzenia były tak dotkliwe, że najusilniejsze starania lekarzy ocalić go nie mogły i zmarł 16 kwietnia 1888 r. w 43 roku życia zaledwie, w pełni, w początkach dopiero swej działalności, która tak wielkie budziła nadzieje.

Był to bowiem umysł wszechstronny i głęboki, a sama wytrwałość, z jaką dążył do raz wytkniętego celu, daje już o silnym jego charakterze świadectwo, co wyraźniej przebija się w listach pisanych do matki, która go przeżyła i stale przebywała w Grodnie aż do zgonu 1899 r.

Bezustanna praca naukowa nie wyziębła też zamiłowania sztuki, która go od lat młodzieńczych czarowała. A przed samą śmiercią roił o podróży do Włoch i przygotowywał się do niej gorliwym rozczytywaniem w dziełach, traktujących o sztuce starożytności i epoki odrodzenia.


Badania i odkrycia Zygmunta Wróblewskiego przeszły do podręczników fizyki. Pełny wszakże obraz jego działalności mogłoby dać dopiero zbiorowe wydanie rozpraw, dotąd rozrzuconych po różnych pismach. Jestto hołd, jaki społeczeństwa wszędzie wybitnym badaczom składają.

*Stanisław Kramsztyk.*



# Zygmunt Krasiński.

\* 1812 † 1859.

ygmunt Krasiński urodził się w Paryżu 19 Lutego 1812 r. I miejsce i rok urodzenia były niezwykle. Kolebce jego przyświecała gwiazda Napoleona I, pod którego stopą wila się wówczas cała Europa. Napoleon był wtedy u zenitu swej sławy i potęgi; był także u kresu jednej i drugiej. Ojciec Zygmunta, Wincenty hr. Krasiński od wczesnej młodości pośpieszył w szeregi napoleońskie. Tu szybko umiał się podobać Cesarzowi Francuzów; umieszczony przy jego boku, został niebawem mianowany dowódcą pułku cesarskiej gwardii szwoleżerów, złożonej z Polaków. Z małżeństwa, zawartego wcześniej z Maryą księżniczką Radziwiłłówną, miał generał Krasiński jedyne dziecko, Zygmunta.

Kiedy Napoleon w r. 1814 składał koronę w Fontainebleau, uwolnił z przysięgi wierności resztki wojska polskiego i dowództwo nad niem powierzył Wincentemu Krasińskiemu. Aleksander I potwierdził go w dowództwie i zezwolił na powrót 8,000 walecznych wiarusów do Polski; z zapalem przyjęła Warszawa w sierpniu 1814 r. generała Krasińskiego na czele dzielnych Krakusów.

Rozpoczęło się dla Wincentego Krasińskiego życie nowe w odmiennych, niż dotychczas, warunkach. Zamieszkał na stałe w Warszawie, jako generał wojska polskiego w świeżo utworzonym Królestwie Polskim, t. zw. kongresowem. Jedyne dziecko wzrastało w ogromnym pałacu, wśród gromadzonego skrzętnie przepychu, drobne i wątłe. Matka była słabych nerwów i bardzo delikatnego

zdrowia; stąd rzadkie były w domu chwile wesołości i szczęścia. Oboje rodzice jedną tylko mieli troskę: wychowanie dziecka, które kochali bez granic. Od samego dzieciństwa nie brakło Zygmunтови najczulszej opieki. Wychowanie owocne wielkopańskie niosło to z sobą, że dziecko z początku na Francuzika raczej, niż na Polaka matka wychowywała. Przewaga rozmowy francuskiej w dzieciństwie sprawiła, że Zygmunt władał świetnie językiem francuskim. Polszczyzna jego na tem zrazu ucierpi i do 1830 r. załatywać z niej będą galicyzmy. Pierwszym jego nauczycielem polskim był młody wówczas Józef Korzeniowski, później znakomity pisarz. Po Korzeniowskim był przy małym Zygmuncie czas jakiś Jakubowski, którego po latach znowu przy nim odnajdziemy w Genewie, wreszcie Chlebowski; ten przygotował ucznia swego do najwyższej klasy w Lyceum.

Już w dzieciństwie objawiał Zygmunt niezwykle talenty przy czułości, niemal dziewczęcej. Zdziwiają wtedy starszych odpowiedzi dziecka. Dwie cechy charakteru jak najwcześniej się zapowiadają: wrażliwość na piękno i grzeczność, uprzejmość, jak najdalej idąca, a świadcząca o nieprzebranej dobroci serca. Przytomności umysłu dowodzi np. tyrada Wolter'a, wygłoszona przed Aleksandrem I, albo odpowiedź, dana Cesarzowej Matce w r. 1819 na zapytanie, czy chce być jej rycerzem obrońcą: «Non, Votre Majesté n'a pas besoin de défenseurs, n'ayant point d'ennemis.»

Jenerałowa Krasińska zmarła, po długich cierpieniach, na suchoty w r. 1822. Na łożu śmierci

zażądała od syna przyrzeczenia, że będzie zawsze dobrym chrześcijaninem i dobrym Polakiem. Przedwczesna śmierć matki była najboleśniejшем zdarzeniem dla wątłego i czulego pacholęcia, które odtąd dostało się pod kochający, ale surowy rygor ojcowski. Jenerał kochał syna ponad wszystko; pochlebiali mu jego zdolności przedwczesne i nadzwyczajne. Chciał mieć w jedynaku fenomen rozumu, energii i szlachetności; czuwał nad każdym jego krokiem, a przewinienia dziecinne karcił ostro. Żywość wrodzoną dziecka starał się jenerał hamować naukami. Mamy dziś wrażenie, że pod tym względem dopuszczano się przesady szkodliwej dla wątłej budowy fizycznej malca. *Ośmioletni* Zygmunt Krasiński ma już w swej biblioteczkę sto siedmdziesiąt i dwa tomy! w czym 132 książki francuskie, 39 polskich, jedna niemiecka (spis z d. 18 Lutego 1820 r.). Z czasem przebiję się żal poety za dzieciństwem, które nie było ani sielskie, ani anielskie:

«Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie tarzasz się po trawnikach...

wzrastasz i piękniejesz nie ową świeżością dzieciństwa, mleczną i poziomkową... często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi...» (Nieb. Kom.).

Jenerał oddał się całą duszą wychowaniu jedynaka. Poeta sam później lubił opowiadać, że ojciec jego po zgonie małżonki nieraz długie mu poświęcał godziny. «Zamykał się z nim w osobnym pokoju, tam opowiadał mu dzieje ojczyste, pamiątki własnego rodu, tam wpajał w umysł jego wyobrażenia o obowiązkach obywatela... tam kazał sobie przyrzekać, przysięgać, że tym obowiązkom i uczuciom zawsze wierny pozostanie.» (A. E. Koźmian). Przyjdzie czas, w którym Zygmunt Krasiński przypomni ojcu tę przysięgę dziecinną i o młodzieńcze jej wykonanie się upomni. Wówczas duszyczka jego wrażliwa zawierzyła okrytemu bliznami ojcu, który był dla niego uosobieniem honoru obywatela i wiernego syna rodzinnej ziemi.

Nauki szły tymczasem nieprzerwanym trybem. Zdolności chłopca tak nad lata wybujały, że ojciec z nietajoną dumą patrzył na rozwój jedynaka, a ulegając podszeptom próżności, która, jak zapewniają współcześni, była w nim wielka i nienasycona, urządził na wielką skalę u siebie

egzamin dwunastoletniego Zygmunta. A. E. Koźmian, pamiętający dobrze ten fakt, tak go opisuje: «Sprosił na tę uroczystość ojciec najznakomitszych ówczesnych mężów krajowych, w stolicy przebywających, najcelniejszych nauczycieli szkół. Młody uczeń obudził podziw i uradował wszystkich przytomnością umysłu, żywością odpowiedzi, obfitością zaczerpniętej nauki. Postępy jego zwłaszcza w językach, literaturze, w historii i jeografii starożytnych przeszły wszelkie oczekiwanie. Był to dzień prawdziwie uroczysty i radosny i dla syna, i dla ojca, i dla przyjaciół jego.» Niemały wpływ na dorastającego Zygmunta Krasińskiego wywierała atmosfera literacka gościnnego domu rodzicielskiego. Jenerał Krasiński lubił i umiał przyjmować u siebie i gościć osoby różnego wieku i usposobienia. Do r. 1827 był dom jego może najliczniej uczęszczanym w Warszawie, a wszystko, czem się mogła stolica ówczesna pochlubić, spotykało się w gościnnych progach ojca Zygmunta. Słynęły przedewszystkiem literackie zebrania u jenerała, sobotnie obiady po prelekcji Osińskiego. Do najczęstszych gości zaliczali się: biskup Woronicz, J. U. Niemcewicz, Kaj. Koźmian, Osiński, Brodziński, Lelewel, Linde, Ciampi, Bentkowski, z młodszych Odyniec, Godebski, Gaszyński. Ośławiony wierszokleta Marcinkowski był tam przedmiotem licznych satyrycznych pocisków, ale nie brakło i poważnych przedmiotów do dyskusji; dość przypomnieć, że w tych właśnie czasach Sonety Mickiewicza i Wallenrod wywołały w Warszawie namętne spory klasyków z romantykami. Zygmunt Krasiński nie bywał wprawdzie na tych zebraniach, ale echa dysput literackich dochodziły go regularnie za pośrednictwem Odyńca, który zdawał mu z nich szczegółowo sprawę. Rozbudzało to fantazję chłopca i podniecało ambicję: już w 14-ym roku życia marzył o sławie pisarskiej. Skreślił wtedy jakąś powiastkę, w sekrecie kazał ją na bibule wydrukować i ojcu jako niespodziankę ofiarował. Ojciec przyjął dar, ale na przyszłość zabronił pisania, z obawy o zdrowie jedynaka i lękając się, by nauki na tem wczesnem autorstwie nie ucierpiały. Nauczyciele mieli czuwać, aby tego zakazu uczeń nie przekraczał. Ale żadna straż nie mogła upilnować budzącego się do życia talentu.

Zygmunt gorączkowo pochłaniał poezję i powieści. Walter Scott i Mickiewicz byli ówczesnymi





Podług stalorytu z oryginału olejnego Ary Scheffera, ze zbiorów ordynata Adama hr. Krasińskiego.

Zy. Krasiński.

jego bożyszczami. W r. 1826 wszedł do najwyższej klasy Liceum Warszawskiego. Tegoż roku wystąpił z pierwszym literackim utworem (nie licząc owej zagubionej «bibuły»); był to wprawdzie tylko przekład, ale i dziś nie każdyby się na taki przekład zdobył. Oto «Świteziankę» Mickiewicza na łacinę przełożył! W szatę klasyczną przyobłókl najniesformiejszą romantyczną poezję.

Powieści «historyczne» Walter-Scotta otwierały przed jego wyobraźnią rycerskie średnie wieki; rozmiłował się młody Zygmunt na dobre w tęczowych obrazach przeszłości «zbrojnej, zakutej w stal.» Widział w niej ideał życia, tak różny od tego, na co patrzył, że fantastyczny świat pomysłów Walter Scotta wydał mu się rajem utraconym. Na długie lata będzie Walter-Scott mistrzem jego twórczości i pokarmem jego wyobraźni. Owocem tego wpływu bardzo rychłym i bardzo znamionym był utwór p. t. «*Grób Rodziny Reichstaków*,» który wyszedł z pod pióra piętnastoletniego Zygmunta Krasińskiego. Pisał on powieść swą w rozgorączkowaniu, w godzinach, na sen przeznaczonych. Fr. S. Dmochowski wydrukował ten utwór w dodatku literackim do «Gazety Korespondenta Warszawskiego» w r. 1828 bez wymienienia autora. *Bezimiennosc* jest od samego początku cechą stałą literackiej działalności Zygmunta Krasińskiego.

«Grób Rodziny Reichstaków» jest bardzo ciekawą próbą piętnastoletniego młodzieńca. Są tam już pierwsze przebliski pewnych upodobań i zamiłowań, które z czasem urosną do charakterystycznych znamion twórcy «Irydyona». I tak np. motyw zemsty, nieubłaganej, nienasyconej, pogańskiej, mamy już tutaj; na lat dziesięć przed wydaniem arcydzieła piętnastoletni autor wprowadza w «Grobie R. Reichstaków» bohatera, który poświęca zbawienie swej duszy dla dogodzenia zemście, wprowadza szatana, zawierającego układ na wieczność. Alan mówi do szatana: «mnie Walenstein, a tobie ma dusza!» Kiedyś zawoła do Masynissy Irydyon: «Mnie Rzym — tobie duszę moją!» Wyobraźnia dobiera tu sobie dziecinnych jeszcze strojów, zgodnych z romantyzmem zamiłowaniem do lochów, trumien, strachów. Charakterystyki są oczywiście słabe, dotyczą ubiorów, nie duszy ludzkiej; ale pobudki i działania są trafnie odczute, chociaż nie dość po literacku rozwinięte.

Po zdaniu egzaminu dojrzałości przeszedł Zygmunt Krasiński w r. 1828 do Uniwersytetu Warszawskiego. Przyjaciółmi jego w tym czasie byli Konstanty Gaszyński i Konstanty Danielewicz. Obaj pisywali «poezye», a jako starsi, umieli poradzić młodszemu. Pracowitość Zygmunta była nadzwyczajna; oprócz wykładów uniwersyteckich i cichaczem pisanych powiastek «historycznych» przetłumaczył na francuski język część pierwszą dzieła Lelewela o «początkowem prawodawstwie polskiem.» Przekład ten ogłosił L. Chodźko w Paryżu w r. 1830 przy dziele Malte-Brun'a (Tableau de la Pologne ancienne etc.) p. t.: «Essai historique sur la legislation civile et criminelle jusqu'au temps de Jagellons... par J. Lelewel... traduit par Sigismond Krasiński, sous les yeux de l'auteur.»

Pierwsza młodość, pierwsze porywy żywiej bijącego serca przyniosły Z. Krasińskiemu nowe, silne uczucie: miłość. Po przelotnych, nietrwałych westchnieniach dla tej lub owej piękności warszawskiej zwrócił uczucie swe ku pani Romanowej Załuskiej, wychowawicy jenerała Krasińskiego, przebywającej stale w jego domu. Młoda, urocza mężatka, przyjmowała w salonie swym liczne grono świetnych pań i panów, sama, bo mąż był w więzieniu śledczem wraz z innymi. Darzyła ona młodego Zygmunta uczuciem siostry, starszej, czulej, nie domyślającej się nawet, że w młodzieńczem sercu roznieciła ognie silnej, trawiącej się w sobie namiętności.

Sprawy publiczne wyrwały Zygmunta Krasińskiego z marzeń miłosnych. Wyrok sądu sejmowego z r. 1827 w sprawie obwinionych o zdradę stanu, odrębne stanowisko, jakie ojciec jego w tym sądzie zajął, osamotnienie domu, tak przedtem gwarne i rojne, — wszystko to przejęło go do najwyższego stopnia. Nie przewidywał, że bieg wypadków i jego dotknie. Niewzięcie udziału w pogrzebie senatora wojewody, P. Biełlińskiego pociągnęło za sobą w skutku znane zajście w Uniwersytecie, którego głównym sprawcą był przyjaciel do niedawna, Leon Łubieński. Do pojedynku między młodzieńcami nie przyszło, bo ojcowie wyprawili ich z Warszawy: Łubieński pojechał do Edynburga na dalsze studia, a Zygmunta Krasińskiego postanowił jenerał wysłać do Genewy. Cios moralny, jaki w 17-ym roku życia dotknął niespodziewanie i niezasłużenie tak wrażliwego młodzieńca, był głęboki, nie zabliźnio-

ny przez lata, doniosły w rozwoju uczuć jego i charakteru. W zdwojonej pracy szukał on ulgi i zapomnienia. Lato i jesień 1829 r. spędził jeszcze w kraju, choć poza Uniwersytetem. Snuł dalej za przewodem Walter Scotta drobne historyczne powiastki i rozpoczął dłuższą powieść. Z drobniejszych ogłosił w maju 1829 r. w «Rozmaitościach Warszawskich» nowelkę 'p. t. «*Sen Elżbiety Pileckiej*» bezimiennie; odkrycie tego anonimowego utworu i wykazanie, że mamy w nim istotnie artykuł Z. Krasieńskiego, zawdzięczamy prof. J. B. Antoniewiczowi. *Sen* jest znanym krótkim utworem. W stosunku do *Grobu Reichstaków* uwidoczni się wielki postęp w sposobie tworzenia i pisania.

Obok tego *Smu*, ogłoszonego w r. 1829, spoczywały w tece młodzieńczego pisarza inne drobne rękopisy, ogłoszone wprawdzie w rok potem, po wyjeździe Krasieńskiego z Warszawy, ale bez wątplenia powstałe w ciągu roku 1828 i 1829. Krasieński, wyjeżdżając z Warszawy, powierzył swe utwory przyjacielowi, K. Gaszyńskiemu, który wydrukował je kolejno w «Pamiętniku dla Płci Pięknej» (Warszawa 1830). Należą tu: 1) «*Mściwy Karzeł i Masław Książę Mazowiecki, Powieść narodowa*», rzecz zupełnie chybiona, niemal dziecinna, godna uwagi tylko ze względu na zamiłowanie w postaciach «mściwych», przysięgających zemstę i spełniających ją okrutnie; 2) «*Zamek Wilczki*». Przed rozdziałem III tej powiastki umieścił Krasieński *motto*: «Zemsta jest rozkoszą bogów». To *motto* mogłoby stać na czele wszystkich trzech młodzieńczych jego utworów: «*Grobu Reichstaków*», «*Mściwego Karła*» i «*Wilczka*»<sup>1)</sup>.

Do tych utworów młodzieńczych, w Warszawie lub w Opinogórze napisanych, należy także *trzytomowa* powieść historyczna, z dziejów narodowych XI wieku napisana, *Władysław Herman i jego dwór*. «Pamiętnik dla płci pięknej» doniósł o jej wydrukowaniu w zeszycie z d. 1 Maja 1830 r. t. j. wtedy, kiedy autor od pół roku bawił w Genewie. Pierwszą wzmiankę o tej powieści podał Gaszyński w «Pamiętniku». Pobudką do napisa-

nia długiego rozmiarami, a ubogiego treścią utworu mogło być miejscowe podanie, przywiązane do ruin zamku Ciechanowieckiego, który leży niedaleko Opinogóry. Osnowa krótka mogła się właściwie zawrzeć w trzech rozdziałach; młodzieńcza bujność słowa sprawiła, że mamy rzekomą powieść «historyczną» w trzech tomach, że zatem objętością jest Władysław Herman «największym» dziełem Krasieńskiego, a treścią i wykonaniem należy do *najśłabszych*. Powieść mogłaby się nazywać: «*Zbigniew*» lub «*Zbigniew i Mestwin*», bo ci dwaj więcej tam działają i znaczą, niż Władysław Herman i dwór jego.

Kolorytu epoki nikt oczywiście nie będzie wymagał od 17-letniego powieściopisarza. Dowiódł on niezwykłej na swój wiek pamięci, posiłkując się stosownie i bez jaskrawego pogwałcenia historycznej prawdy przypomnieniami z Walter Scotta, Naruszewicza i Niemcewicza. Jak w poprzednich drobnych utworach, tak i w tym większym podbudka *zemsty* rozbrzmiewa donośnie. Rzecz można, że zemsta szaleje tu po prostu przez całe trzy tomy: sieje spustoszenie i zbiera trupy.

Co się tyczy techniki pisarskiej, to przeważa konwencyonalny walterskotowski nastrój na przemiany z drugorzędnym romantyzmem. Pod koniec utworu styl nabiera mocy i barwy. Zmiana to widoczna i charakterystyczna, a powód jej tkwi w towarzyszących pisaniu powieści zdarzeniach. W toku bowiem tworzenia «*Władysława Hermana*» zaskoczyła młodzieńczego autora znana katastrofa po pogrzebie senatora Bielińskiego.

Odtąd już pisarz młodzieńczy tak szybko będzie postępował w pracy wewnętrznej nad samym sobą, że we dwa lata po wydaniu «*Władysława Hermana*» będzie uważać utwór ten za «nikczemne dzieło, za plód dzieciństwa».

Siła zdarzeń wydała wówczas, w r. 1829, Zygmunta Krasieńskiego z Polski. Wyjeżdża z niej 17-letnim młodzieńcem, chciwym wrażeń nowych, namiętnie do ziemi rodzinnej przywiązanym. Po przymusowych, dłuższych wakacjach nastąpiła z jesienią pora wyjazdu. Jenerał Krasieński zdecydował się wysłać syna do Genewy. Cecha francuska tego miasta, świetne wówczas towarzystwo tamtejsze, rozgłos uczonych i literatów tej miary, co Sismondi, Rossi, de Candolle, Bonstetten i in., urocze położenie: wszystko to przemawiało za cichym miastem, tulącym się do stóp góry Mont-

<sup>1)</sup> Szczegółowy rozbiór i geneza tych drobnych utworów nie mogą nas tu zajmować. Czytelnika ciekawego odsyłamy do rozprawy pana M. Reitera: «Z. Krasieński, jako współpracownik Pamiętnika dla płci pięknej» we Lwowie 1894 r.

Blanc nad modrem jeziorem. Wyjeżdżał tam Z. Krasieński pod opieką starego mentora Jakubowskiego, odprowadzany do Błonia przez ojca, czule żegnany i rzewnie żegnający. Rozstanie było smutne; powitanie po kilku latach miało być boleśnieszce.

## II.

Po dwutygodniowej podróży przez Czechy, południowe Niemcy i Szwajcaryę stanął Z. Krasieński w Genewie d. 3 Listopada 1829 r. Odrzu pracowite życie rozpoczął, wzięwszy nauczycieli czterech do języka angielskiego, francuskiego, fortepianu i matematyki. Zamieszkał w «pensjonacie» pani Révilliod, a dzięki jej stosunkom z pierwszymi domami genewskimi, zaczął rychło bywać w tamtejszem towarzystwie. Już na trzeci dzień po przyjeździe, na wieczorze u bankiera Lombarda poznał młodszego od siebie o rok Anglika, Henryka Reeve'a z którym niebawem zwiąże go ścisła, serdeczna przyjaźń. Reeve studyował literaturę w Akademii Genewskiej, która wówczas nie miała jeszcze tytułu Uniwersytetu. Krasieński zamierzał uczęszczać na wykłady w Akademii, jako wolny słuchacz; nazwiska jego w urzędowym katalogu studentów Akademii nie znajdujemy. Na wybór wykładów nie mógł się zrazu zdecydować. Tęsknota za krajem i za swoimi nękała go od początku pobytu w Genewie. Ulgę znajdował w pisaniu listów; już wtedy jego zapał do korespondencji jest nadzwyczajny. Jednym zamachem pisze np. *ośm* listów, a wieczorem idzie do teatru. Czasu mu staje na wszystko. Uczęszcza pilnie na wykłady filozofii, ekonomii politycznej i historii rzymskiej, w domu bierze lekcje prywatne, autorstwa nie zaniedbuje. Zaczętego w kraju *Zawiszę* dalej pisze i spodziewa się go na wiosnę wysłać do Warszawy. Gaszyńskiemu posyła dla «Pamiętnika dla Płci pięknej» urywec z opisu swej podróży: «Opisanie jeziora Leman.» Z profesorów Akademii największe zrazu wywarł wrażenie Pelegrino Rossi, którego kurs historii rzymskiej gromadził tłumy słuchaczy. Stylu francuskiego uczył Krasieńskiego Franciszek Roget, teolog protestant, profesor Akademii, a przytem współredaktor miesięcznika «Bibliothèque Universelle.»

Jemu to zawdzięczał Krasieński wydoskonalenie francuszczyzny, której dobrą znajomość wyniósł

już z rodzicielskiego domu. Tem się tłómaczy fakt, że już w kilka miesięcy po przyjeździe do Genewy mógł napisać doskonały artykuł francuski «o stanie obecnym literatury polskiej» w formie listu do Bonstetena. Artykuł ten umieścił Roget w zeszycie lutowym „Biblioteki“ p. t. *„Lettre sur l'état actuel de la littérature polonaise, adressée à M. de Bonstetten.“* Rzecz ta, pisana z pamięci, bez pomocy książek polskich, jest nadzwyczaj treściwą, a naogół bystrą i trawną charakterystyką literatury polskiej. Zwłaszcza epoka Stanisława Augusta jest dobrze streszczona.

W Lutym 1830 r. wysłał Gaszyńskiemu nowelkę dla „Pamiętnika Płci pięknej.“ Treść tej nowelki podało mu opowiadanie oficera francuskiego, Claparède, który bawił dłuższy czas w Korsyce. Gaszyński wydrukował to opowiadanie w tomie drugim Pamiętnika p. t. „Teodoro“, król borów, powieść korsykańska.“ I w tej powiastce, jak w poprzednich, *zemsta* stanowi główny wątek.

Coraz więcej zbliżał się w tym czasie do Reeve'a, z którym łączyła go wspólność upodobań literackich, uwielbienie Byrona i Szekspira. Reeve wtajemniczał go w piękności Hamleta i Macbetha z innym Anglikiem Leachem czytywał pamflety polityczne Juniusa. W towarzystwie genewskiem poznał Krasieński rodzinę angielską Willanów; zwróciła jego uwagę uroczą, czarnooką, Henryetta Willan. Od rozmów i przekomarzań się doszło niebawem do obopólnej gorącej miłości, do wyznań. Nie łudzili się oboje i wiedzieli dobrze o niemożliwości ślubu. Henryetta wracała w kwietniu r. 1830 do Anglii. Krasieński blizki był rozpacz, przed ojcem nie taił stanu swego; Reeve tylko osładzał mu smutne chwile po rozstaniu z ubóstwianą Angielką. Uczucia swe wzburzone i rozgoryczone odmalował w drobnym utworze, który wysłał Gaszyńskiemu d. 29 Kwietnia 1830 r. „Pamiętnik dla Płci pięknej“ pomieścił ten fragment w zeszycie z d. 15 Czerwca 1830 r. p. t. „On, ułomek z pamiętników życia młodzieńca.“ Po *Śnie* Elżbiety Pileckiej mamy tu drugie echo „Snu“ Byronowego. Jest to poetyczna autobiografia, ważna o tyle, że sięga dziecinnych, opinogórskich wrażeń. Błednie przy tym utworze *Sen* Pileckiej. Nieszczęśliwa, beznadziejna miłość wydobywa z młodzieńczej piersi rzewne i czyste tony. Pod względem stylu widać tu znaczne wyrobienie i postęp.

Praca usilna była mu lekarstwem na smutki

serca. Oddał się z zamiłowaniem studiom nad prawem polskim, a nie ustawał w doskonaleniu swej francuszczyzny. W czerwcu r. 1830 donosi ojcu swemu o największym tryumfie literackim, który go dotychczas spotkał. Napisał był mały utwór po francusku p. t. *Les légions polonaises*. Na lekcyi francuskiej odczytywał swe prace profesorowi Roget. Otóż po odczytaniu Legionów polskich ujrzał łyzy w oczach poważnego Genewczyka. W następnym miesiącu wydrukował Roget tę nowelkę w *Bibliothèque Universelle*. Z końcem czerwca do korespondencyi z ojcem przybywają Krasieńskiemu listy do Reeve'a, podróżującego po Szwajcaryi. Rozpoczyna się wówczas korespondencya francuska z przyjacielem, trwająca lata całe i bardzo ważna, jako materiał do poznania szczegółowej ewolucyi duchowej niedalekiego twórcy „Nieboskiej komedyi”<sup>1)</sup>.

Obok długich, sążnistych nieraz listów do Reeve'a pisze Krasieński *po francusku* szereg drobnych utworów, z których część tylko bezimiennie ogłosił w *Bibliothèque Universelle* — reszta pozostała w rękopisach, przechowanych potem z pieczywem przez Reeve'a. Z tych ważniejsze są: „La Confession de Napoléon,” „Sur le Clergé” i „Écrit la nuit.” Upały lipcowe nie osłabiały pracowitości. W Lipcu donosi ojcu: „moje dni pędzę wśród kalamarza, pióra, historii polskiej i powszechnej, dzieł angielskich i *Zawiszy*. Wieczory obracam na samotne przechadzki, w których mam upodobanie po całodzienniej pracy.” W Sierpniu odbył Krasieński z Reeve'em i Jakubowskim wycieczkę do Chamonix i na szczyt góry Brévent. Po całodziennych trudach wchodzenia na góry i marszów ciągłych wieczorem zasiadał nieznużony do spisania wrażeń, a dziennik francuski tej wycieczki dowodzi wielkiego rozmiłowania się we wdziękach przyrody alpejskiej. Ledwie powrócił do Genewy, pośpieszył do Odyńca, który przedstawił go Mickiewiczowi, zwiedzającemu wówczas Szwajcaryę. Odyniec zdumiony był różnicą między tym Zygmuntem, którego widział przed rokiem w Warszawie, a „pełnym siły i zapału młodzieńcem,” który powitał go w Genewie.

Dawno zamierzona podróż Krasieńskiego po

<sup>1)</sup> Obacz studium Adama hr. Krasieńskiego w zeszytach: styczniowym i lutowym Biblioteki Warszawskiej 1901 r. p. t. *Poeta Myśli*.

Szwajcaryi przyszła wtedy do skutku w najmilszem towarzystwie Mickiewicza i Odyńca. Ta kilkotygodniowa podróż była nadzwyczaj doniosła dla młodego Krasieńskiego, a to z powodu zbliżenia się i bliższego poznania Mickiewicza, który nawet w tak krótkim czasie zdołał zbawiennie i ożywczo wpłynąć na młodszego o lat 14 autora artykułów francuskiej *Bibliothèque Universelle*. Wykłady Rossiego i lekcyje Rogeta wykształciły niemało umysł Zygmunta Krasieńskiego; ale przy boku Adama Mickiewicza serce jego zaczęło bić żywiej: przy tym gienialnym mistrzu nauczył się inaczej, zdrowiej na świat spoglądać, a dalszym jego myślom i aspiracyom dodał ducha i pędu śpiewak Wallenroda.

Odyniec zdał sprawę w swych Listach z Podróży z różnych epizodów tej wspólnej wycieczki. Krasieński pilnie i dokładnie spisywał wrażenia swe po francusku, zamierzając je z czasem przetłumaczyć na polskie i posłać Gaszyńskiemu dla *Pamiętnika*. Ten dziennik podróży („Journal”) dowodzi, z jakim przejęciem się patrzył Krasieński na piękności alpejskiej przyrody i jak trafnie umiał je po francusku opisać i odtworzyć. Po dziś dzień opisy jego nie straciły nic ze świeżości; kto zwiedzał te same strony Szwajcaryi, ten odda hołd prostym a wiernym opisom Krasieńskiego. Przyroda cała jest w tym dzienniku uduchowiona niejako<sup>1)</sup>.

Zdumiewa przedewszystkiem niewyczerpana wówczas pracowitość młodego pisarza. Nawet niepogoda nie wpływa zniechęcająco. Czas słotny w Interlaken spędza Krasieński na pisaniu. Od dawna nosił się z myślą napisania rozprawki o spotkaniu się dusz za grobem i zamiar ten w Interlaken w ciągu jednego dnia uskutečnił. Rozprawka ta wyszła potem z druku w Warszawie w drukarni Banku Polskiego 1830 r. p. t. «Ułomek» z Dawnego Rękopismu Słowiańskiego.” Wstęp jest echem niedawnej rozmowy z Henryetą Willan. Punktem wyjścia i pobudką do napisania

<sup>1)</sup> Kto chce mieć wyobrażenie o tem, jak Krasieński pojmował i odczuwał przyrodę, ten niech porówna np. opis góry *Jungfrau* przy zachodzie słońca w dodatku do IV tomu Listów z Podróży Odyńca. Obaj równocześnie opisują swe wrażenia (IV, 305; 398), ale Odyniec nie umie stopniować ani kolorów, ani wyrazów, Krasieński zaś przekazał wiernie szczegóły barw, a całość obrazu odczuł poetyczniej.



tej rozprawki była zapomniana dziś broszurka teologa genewskiego Boissiera, p. t. Les retrouvons-nous dans un monde meilleur? (1829).

Po rocznym pobycie w Genewie Zygmunt Krasiński pragnął zmiany; wyrwał się do Anglii. Ale generał nie życzył sobie tej podróży i skierował syna ku Włochom. 3-go listopada 1830 roku, a więc w rok po przybyciu do Genewy, wyjechał Krasiński z mentorem Jakubowskim na Simplon do Mediolanu, a stamtąd do Florencji i Rzymu. Pierwszy rok pobytu zagranicą wzbogacił wiedzę, uszlachetnił serce niewinną i nieszczęśliwą miłością. Spotkanie z Mickiewiczem wiele mu dobra przyniosło. On go nauczył «zimniej, piękniej, bezstronniej rzeczy tego świata uważać,» wyperswadował mu szumność w działaniu i mowie, wskazywał mu wzniosły cel życia: *prawdę* i jedyną do niej drogę: *naukę*.

W Rzymie stanął Krasiński 30 Listopada 1830 r., nie przeczuwając co się wówczas działo w Warszawie. Nazajutrz po przyjeździe jego do Wiecznego Miasta zmarł papież Pius VIII. Wrażenia stolicy chrześcijaństwa były potężne: ponad wszystkie górował widok Colosseum, jako arena duchowego zwycięstwa idei chrześcijańskiej nad brutalną przemocą pogańskiego cezaryzmu. Zachwyt Krasińskiego nad Colosseum rozbrzmiewa w listach jego do ojca i do Reeve'a. W noc miesięczną, wśród wiekopomnych ruin widok prostego czarnego krzyża, który rzucał «cień pokoju i błogosławieństwa,» przejął do głębi wrażliwą duszę Krasińskiego: bezwiednie począł się tam wtedy pierwszy zarodek arcydzieła, które po latach burz i niepokojów zejdzie jako *Irydyon*.

Towarzystwo Mickiewicza w Rzymie działało dalej ożywczo; za jego pobudką rozczytuje się Krasiński w Lamennais'go dziele: «Indifférence en matière de religion.» W ciągu pierwszego tygodnia w Rzymie cieszy się Z. Krasiński bujnym natchnieniem. Píše różne nowelki. Jeszcze 13-go Grudnia nie wiedział Z. Krasiński w Rzymie o rewolucji listopadowej. Z listów do generała widzimy, że niepogoda zmuszała go do siedzenia w domu. Uczył się pilnie po włosku, po angielsku, czytał ekonomię polityczną Say'a, Iliadę w oryginale. Ale już 15-go lub 16-go Grudnia spokój go opuścił. Nadeszły wieści o wojnie polsko-rosyjskiej. Rozpoczęły się dla Zygmunta

ciężkie miesiące niepewności i trwogi. Nie wiedział, co się z ojcem jego stało, co miał z sobą począć... Rozpacz poczęła go ogarniać na wiadomość, że ojciec opuścił Polskę; czuł, że imię jego może być okryte obelgami rodaków, wzgardą ukochanej Henryetty... Przez czas długi z Rzymu wyjechać nie mógł, bo mu paszportu poseł rosyjski nie wydawał.

W połowie lutego 1831 roku wybuchła tam panika przed rewolucją, idącą z Bolonii. Wydał wreszcie poseł rosyjski w Rzymie rozkaz, aby Polacy z Królestwa Polskiego opuścili Państwo Papieskie. Krasiński udał się prosto do Florencji, skąd na Genuę i Mediolan dostał się 25-go Marca 1831 r. do Genewy w ciągłym oczekiwaniu wiadomości i rozkazów generała. 14-go Maja otrzymał wreszcie syn rozkaz pozostania na miejscu i nie mieszania się do rewolucji. Zygmunt Krasiński chciał mimo to przedostać się do Polski; byłby tego dokonał mimo czujności Jakubowskiego i policyi genewskiej, gdyby nie wewnętrzna walka z sobą samym. Wzięcie czynnego udziału w wojnie byłoby dobiło niejako w opinii publicznej ojca, tego ojca, którego Zygmunt mimo wszystko czcił i kochał. Niezdecydowanie Mickiewicza mogło także oddziaływać hamująco na młodszego o lat 14 Zygmunta Krasińskiego. Mickiewicz przybył w połowie Maja do Genewy, bawił tu tydzień, niezdecydowany, niepewny, co ma począć. Reeve pisze wyraźnie, że ta niepewność Mickiewicza podziałała także na niego samego. Reeve bowiem chciał pierwotnie wywieźć Zygmunta Krasińskiego z sobą do Paryża, aby go zmusić do działania.

Podwójna klęska: rodzinna i narodowa doprowadziła 19-letniego młodzieńca nad sam brzeg rozpacz i zwątpienia, zatrąła mu resztę młodości, albo raczej pozbawiła go młodości; z tej strasznej próby moralnej wyszedł jednak zwycięsko. Tylko, że zwycięstwo to moralne okupił kosztem sił fizycznych. Przedwcześnie postarzał: nie obdarzony od natury organizmem krzepkim, dojrzał w nieszczęściu, jak roślina w cieplarni; zakwitnął rychło, wydał owoce ducha dziwnie wcześnie, lecz też znużoną głowę pochylił na sen wiekuisty w latach zaledwie męskich. Rówieśnicy jego dopiero za dni naszych do grobów zstępują, Leon XIII żyje dotychczas, a jego od lat przeszło czterdziestu kryje mogiła...

Mało komu danem było wycierpieć tyle, co Krasiński w r. 1831.

Nadmiar biedy samotnym był w Genewie. Reeve wyjechał stamtąd do Londynu 18-go Maja, Mickiewicz w kilka dni potem. Zostawał sam ze swoją rozpaczą, z jadem piekielnym w sercu. Uciekał na jezioro i tu w łódce dni całe i noce spędzał. Energia, tłumiona przymusową bezczynnością, szukała sobie ujęcia w twórczości; powstaje ów dziwny, chaotyczny *Adam Szaleniec*, w którym bolesna rzeczywistość splata się z tkaniną rozgorączkowanej, chorej wyobraźni, powstaje utwór, karmiony żalem, lecz nie pojony nadzieją. Fragmenty jego, przesyłane we francuskim przekładzie w listach do Reeve'a, świadczą wymownie o ciężkiej pracy, dokonywającej się w duszy młodego poety. Wylania się z nich ponura, pierwotna twarz bohatera, który po latach zmienia imię: bo zamrze w Krasińskim kiedyś Adam Szaleniec i narodzi się Irydyon.

W długich, samotnych, pełnych niepokoju miesiącach letnich 1831 r. twórczość staje się jedyną osłodą i pociechą dla syna Wincentego Krasińskiego. Pomysły ciągłe, nieustające, choć zmienne w nastroju natchnienia, przejawiają się w rozlicznych artykułach francuskich, które wtedy w Genewie powstają. Autor ich ma przeświadczenie, że to jest poezja, acz niedoskonała, skoro brak jej rytmu. «Piszę, bo muszę pisać» — donosi wtedy Reeve'owi. Jest w nim nadmiar uczuć, nadmiar ognia, który szuka sobie ujęcia w twórczości.

W lecie 1831 r. cholera postępowała groźnie ze Wschodu na Zachód Europy. Krasiński, zdenewrowany do najwyższego stopnia brakiem wiadomości od ojca i złemi nowinami z nad Wisły, pisze do Reeve'a 13-go lipca o swem przeczuciu rychłej śmierci z cholery. Pisze wtedy testament, zapisując przyjacielowi różne drobiazgi; nie wspominalibyśmy o tem chorobliwym przeczuciu, gdyby nie charakterystyczne zakończenie tego testamentu, przytoczone w liście do Reeve'a:

«Opuszczając tę ziemię w wieku bankierów i gnębieli, jednego tylko żałuję, t. j., że nie padł na polu bitwy i że nie miał ułoża śmierci żadnego z mych angielskich przyjaciół.» Dziwna wzmianka o bankierach dowodzi, że Krasiński zaczął już badać zawile kwestye społeczne, że pojmuje ucisk ekonomiczny i wysnuwa z niego

wnioski ważne. Ustępy z innych listów do przyjaciela dowodzą, że autor «Adama Szaleńca» zaczyna się głębiej zastanawiać nad organizacją społeczeństwa europejskiego, że zaczyna już przewidywać smutny koniec obecnego «stanu posiadania», słowem, że przeczuwa kataklizm dziejowy... Głos przyjaciela, pełen niezadowolenia i obaw o Anglię, która przechodziła znane przesilenie społeczne (*Reform Bill*), odbija się w sercu polskiem i porusza struny już nie narodowe tylko, ale wszechludzkie. Zrazu struny te dźwięczą cicho, ale w miarę lat będą wydawały pewniejsze tony, aż zabrzmiały po mistrzowsku — w Nieboskiej:

«Kupcy i bankierzy! — pisze do Reeve'a — ale czyż nie widzisz, że jest ich za wiele na tym świecie, że prawa Bożej miłości na tem cierpią? potrzeba doświadczenia, by w przepaść wpadli — a my, mój przyjacielu, jeśli się na skraju przepaści ostoimy, będziemy patrzeć na tę smutną naukę, na te ciała, drgające w otchłani, pod stosem biletów bankowych.»

Pierwsza w tymże liście wzmianka wyraźna o St.-Symonistach dowodzi, że Krasiński zainteresował się już żywo tym ciekawym objawem społecznego fermentu. Równocześnie zaś hiobowe wiadomości o upadku Warszawy zmuszały do bolesnych rozpamiętywań o powodach niedoli. Przejeżdżał wtedy przez Genewę J. Jezierski, którego w początkach wojny wysłał rząd Królestwa Polskiego do Petersburga celem uzyskania pewnych koncesyi od Cesarza Mikołaja I. Otóż ten to Jezierski opowiedział Krasińskiemu: «dziwne i straszne rzeczy o klubach. Polska zginęła przez kluby. Opowiadania jego były dla mnie pełne gorzkości. Dowiedziałem się o wielu podłościach i haniebnych postępkach. Warszawa była pod panowaniem sztyletu. Niezgoda wszędzie: w sejmie i w armii... Wiele złudzeń spadło mi z oczu. Czy dałbyś wiarę? Wiele było tchórzów między nami, którzy wcale się nie bili. Krzyczeli na sejmie wśród czterech murów» — (Z listu do Reeve'a).

Zaczynał Krasiński wierzyć zapewnieniom ojca, który genezę powstania listopadowego widział raczej w kwestyi społecznej, nie zaś narodowej. Stąd budził się w nim wstręt do żywiołu mieszczańskiego, do przechrztów, do warstw napływowych, którym przypisywał rozmiłowanie się w liberalizmie francuskim i wywołanie zgub-

nego ruchu. Sam był naturą ze wszech miar prawą, nienawidzącą krętych dróg, chociażby do najpiękniejszego celu wiodących.

Już wtedy miał doskonałe poczucie samego siebie i znajomość swej duszy. «Nie urodziłem się na spiskowca — pisze do Reeve'a 7-go Października 1831 r. Nie umiem milczeć, uśmiechać się z hipokryzyą, gdy serce me kipi wściekłością; nie dla mnie lochy, towarzystwa tajemne, przysięgi skryte. Nie umiem udawać...» To samo po latach wyraził w wierszu: «szablę kocham, wstyd mi noża!»

Ten, co tak ciężko zawinił wobec Zygmunta Krasińskiego, dawny przyjaciel, a potem wróg, Leon Łubieński przybył do Genewy, aby się pogodzić, aby przeprosić za obelgę uniwersytecką. Znalazł Zygmunta chłodno grzecznym, ale nieubłagany, odtrącającym pojednanie. Krasiński listownie zwierza się z tego Reeve'owi, ale z Anglii otrzymuje w odpowiedzi potępienie za niechrześcijańskie obejście się z nieprzyjacielem, proszącym o przebaczenie. I wówczas rozpoczął się ciekawy i ważny proces w duszy Krasińskiego. Napróżno usiłuje on przekonać Reeve'a o potrzebie, o konieczności nienawiści indywidualnej i zbiorowej. Spokojny Anglik nie daje się zbalamucić wywodami namiętnymi przyjaciela i potępia zasadniczo nienawiść, jako uczucie pogańskie, niezgodne z wiarą chrześcijańską. Krasiński napóżor nie ustępuje, ale w duszy musi przyznać słusność Anglikowi, choć namiętność bierze i wtedy i potem nieraz górę nad rozumowaniem. Wpływ Reeve'a dosięgnął wówczas punktu kulminacyjnego; choć nie był doraźnym, przecież w skutkach swych okazał się najzabawienniejszym. Od tam młody Polak nie będzie już miał spokoju: kwestya «nienawiści» zapadnie głęboko w duszę jego, jak kolec drobny, a dokuczliwy; żyć z nim można, ale od czasu do czasu przypomni się on boleśnie... Lata całe będzie tak żyć Krasiński. Idea Nienawiści i idea Przebaczenia będą się w nim ścierały na przestrzeni od Petersburga do Rzymu, aż przyjdzie chwila, w której pogańska żądza nienawiści narodowej uchyli czoła przed Krzyżem Samotnym w Kolizeum, przed ideą Miłości, wszystko odkupiającej. Wtedyto uśpiony przez wieki Irydyon, nienawidzący Romy Grek, pójdzie na Północ do krainy mogił i krzyżów.

Rewolucya robotnicza w Lyonie (Listopad—

Grudzień 1831 r.) zwróciła znowu myśl baczną młodzieńca na kwestye społeczne. Zrozumiał odrazu materialny podkład ruchu społecznego na Zachodzie.

Rozpoczyna się w duszy młodzieńca ostra krytyka i widzenie dzisiejszego niemal stanu kwestyi społecznej:

«Uczucia szlachetne zginęły dziś w Europie. Ojczyzna nie odgrywa już żadnej roli; szczęście materialne jest wszystkim...

Ustęp ten, jak i inne, które pominąć musimy, dowodzi, że zasada Nieboskiej Komedyi jest już wtedy, w końcu 1831 r., w głowie i sercu Krasińskiego. Myśl jego już przerabiała wtedy wielki problem przeciwieństw społecznych. Za lat parę dojrzeje myśl wielka i przyoblecze się w formę.

Cały rok 1831 jest epokowym w życiu Zygmunta Krasińskiego. Niedola krajowa i osobista przetrawiła go całego, przyspieszyła proces rozwoju duchowego i pobudziła twórczość jego, która zaroila się wówczas od mnóstwa oryginalnych i ciekawych pomysłów. Niektóre z nich wystrzeliły odrazu pękiem jaskrawego i nietrwałego kwiecia; inne zamarły pozornie, aby po latach zejść w dojrzałych kształtach.

Niebawem po «Adamie Szaleńcu» przystąpił Krasiński do dłuższej opowieści historycznej, której tytuł brzmiał pierwotnie: «Maryna Carowa;» w miarę pisania przechyliło się zamiłowanie autora ku fantastycznej postaci rozkochanego w Marynie młodzieńca, zmyślonego Agaj-Hana. Powieść ta wyszła z druku we Wrocławiu w jesieni 1833 roku z dedykacją: «Poświęcone Maryi.» Jak się z listów do Reeve'a i z fragmentów Adama Szaleńca przekonać można, w myśli poety tą «Maryą» była Henryka Willan. Utwór sam zawiera piękne, liryczne uniesienia obok fałszywej archeologii i gorączkowego patosu.

Pomijamy tu z konieczności różne drobne utwory francuskie z tej epoki. Spieszno nam do źródeł przemożnego natchnienia, które wydało Nieboską i Irydyona. Arcydzieła te, pomimo całej pozornej przepaści dziejowej, która je dzieli, pomimo tego, że czasy Heliogabala nie zdają się mieć nic wspólnego z okopami Św. Trójcy — wypłynęły przecież z jednej, głębokiej, jak otchłań morska, myśli. Tą myślą, trawiącą i wówczas i później lata całe poetę, to myśl gorzka o krzywdzie ludzkiej, krzywdzie społecznej. W *Irydyonie*

krzywdzący Rzym przeciwstawiony jest krzywdzonemu i mściwemu Grekowi; w *Nieboskiej* krzywdząca arystokracja, bezmyślnie i samolubnie garna na swój wyłączny użytek owoce nie swojej pracy, przeciwstawiona jest krzywdzonemu i mściwemu pospólstwu. Te przeciwieństwa poetycznie i artystycznie wyzyskane, zupełnie odpowiadające panującym wówczas filozoficznym, schellingowsko-hegłowskim teoryom, mają też identyczne niemal rozwiązania: teza gniotącego Rzymu i antyteza dążącego do mściwej zagłady Irydyona znoszą się wzajemnie i znajdują rozwiązanie w wyższej nad obie syntezie krzyża na Colosseum. Tak samo w *Nieboskiej* teza arystokratyczna, uosobiona w hr. Henryku, i antyteza rewolucji społecznej (Pankracy) zmagają się długo, ale zwycięstwa nie odnosi żadna z nich: nad pobożowiskiem obu wznosi się symbolicznie i syntetycznie znowu krzyż, ten sam krzyż, który ongi i Rzym pokonał, i Irydyona przekonał, a którego widok przeszywa nawskroś Pankracego. Bożyszcze tłumów pojmuje w chwili zdobycia Okopów Świętej Trójcy, że ostatecznie ruina przeszłości nie jest jeszcze programem na przyszłość i że z takich popiołów powszechnej pożogi żaden Feniks nowego społecznego życia nie wstanie. Doświadczenie dziejowe potwierdza genialną domysłność i przenikliwość młodocianego twórcy *Nieboskiej* i Irydyona.

Teoretycznie przyznał on słuszność syntezie chrześcijańskiej: w dziejach starał się ją wszędzie odszukać i historyzoficznie uzasadnić; w praktyce życia bił się długo z rojem myśli wątpliwych i z prób życia nie zawsze wychodził zwycięsko. Z wyżyn *Nieboskiej* i Irydyona zstąpił na padół ponęt ziemskich: kochał się nieszczęśliwie; nieraz wzorem hr. Henryka osobisty «dramat układał,» jak gdyby nie dość mu było żywej, współczesnej tragedii.

Stosunek do pani Bobrowej przyniósł mu tylko rozczarowania i zgryzoty, a na twórczości odbił się niekorzystnie: Irydyona opóźnił, zamęt wniósł do duszy, tak hartownej w chwili pisania *Nieboskiej*, zniwalał do kompromisów z własnym sumieniem, które nie dało się obalamucić żadną sofistyką sceptyki filozofującej. Po «Irydyonie» między 1835 a 1843 r. poeta tworzy wiele, ale dokonywa mało: w utworach znać ogrom myśli kłębiących się, którym za ciasno obok siebie, które się wydzielić i ugrupować pragną; ale pro-

ces krystalizacji nie może się jeszcze dokonać, bo w duszy mistrza niepokój i niepewność... Charakterystycznym pod tym względem utworem jest fragment dramatyczny *Wanda*, niedawno ogłoszony po raz pierwszy (Biblioteka Warszawska, Lipiec 1901 r.), gdzie idea chrześcijaństwa ściera się niefortunnie z rodzimym, prapolskim pierwiastkiem. Hamder—Ziemowit, brat Wandy, nie jest już poganinem, nie jest jeszcze naprawdę katolikiem — ale jest sceptykiem-filozofem, zdolnym do dysput z Schellingiem i Heglem!

Myśl też filozoficzna, przede wszystkim, nie wybuch niepohamowanej twórczości, dała życie *Synowi Cieniów*, *Snowi Cezary* i *Legendzie*, utworom, objętym zbiorową nazwą *Trzech Myśli Ligeny*. Są to jakby szkice, przygotowania do późniejszych, głębszych treści, a doskonalszych form utworów.

Podobną cechą niewyrobień i jakby zabłąkania się na dawne nowelistyczne szlaki mają: *Noe Letnia* i *Pokusa*. Czas napisania ich nie da się dziś jeszcze dokładnie oznaczyć, ale do tych utworów da się dobrze zastosować to, co poeta donosił sam o sobie Sołtanowi: «Świeżości za grosz niema w wyobraźni mojej».

Rok 1839 był doniosłym w życiu Zygmunta Krasińskiego. W Neapolu poznał bliżej, a niebawem pokochał Delfinę Potocką; równocześnie zaś zawarł ścisłą znajomość, która się w dożgonną przyjaźń z czasem zamieniła, z Augustem Cieszkowskim. Czar niewieści pierwszej,—głęboki, filozoficzny umysł drugiego zaczęły przemożnie oddziaływać na serce i rozum twórcy *Nieboskiej*. Od roku 1840 wchodzi Zygmunta Krasińskiego w nową epokę swego życia.

### III.

Równocześnie rozum jego pracował, a serce gorzało.

Druga miłość, dosięgająca zenitu między 1840 a 1843 r., wydała dla poezji polskiej kilka ustępów lirycznych wielkiej piękności. Cechą ich znamiennej i niezwykłej jest podkład nowych, filozoficznych teorii.<sup>1)</sup> Wiersze te pod względem

<sup>1)</sup> Por. „Zimny rozsądek w tobie się opiera“ — „Po śmierci“ — „Myślałem nieraz przez znak dotykany.“ Najartystyczniej splecione uczucie z myślą filozoficzną w wierszu: „Gdybym dziś, jutro, lub dnia z tych jakego.“



techniki słownej zaznaczają powolne doskonalenie się formy. Powoli z rozpięzchłych, rozrzuconych dźwięków zapowiada się większy poemat. Nieokreślone zrazu rojenia i zachwyty poety dążą bezwiednie do większego wylewu, jak drobne nikłe strumyczki górskie, skryte w szczelinach, dążą do złączenia się w dalszym, większym, wspólnym łożysku,

Od r. 1839, od wiersza: «Przestwórz lazuru ciągnie się przede mną...» mamy w kilku lirycznych wierszach ciągle zapowiedzi «Przedświtu.» 27 Marca 1842 r. umarł jeden z najserdeczniejszych przyjaciół poety, Konst. Danielewicz, którego wpływ na Z. Krasińskiego był tak pod względem filozoficznych pojęć, jak niemniej w zakresie muzycznego udoskonalenia formy wiersza niezwykle i doniosły. W październiku 1842 roku wręcza Krasiński w Nizy Gaszyńskiemu manuskrypt «Przedświtu,» zaklinając przyjaciela, aby pod swoim nazwiskiem poemat ogłosił. Poprawki i przeróbki rękopisu ciągną się przez całą zimę. Wreszcie w połowie maja 1843 r. *Przedświt* wychodzi z druku.

Utwór to niełatwy dziś do sprawiedliwego ocenienia. To, co poeta wykołysał, wypieścił w głębiach swego serca, w czym zawarł swą nadzieję, swą miłość i swą wiarę najgłębszą, nie wytrzymało napozór próby czasu. Cudownie piękna forma poematu czaruje tak samo dziś, jak przed sześćdziesięciu laty. Treść jednak nie jest zupełnie jasną, jest niedomówioną.

Poeta sam niebawem zrozumiał, ile nie dopowiedział w *Przedświcie*, skoro pomimo zapewnień końcowych: «Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję»—pieśni bynajmniej nie zaniechał. owszem, niebawem napisał przejmujące do głębi *Psalm*y.

Ożeniwszy się w lipcu 1843 r., przebywał Z. Krasiński częściej niż przedtem w kraju, przypatrywał się bacznie stosunkom społecznym i porównywał rzeczywistość z rojeniami «Przedświtu.»<sup>1)</sup> To porównywanie, jak niemniej ostry wiatr nienawiści społecznej, wiejący z t. zw. centralizacji wersalskiej, skłoniły poetę do wystąpienia z przestroga. W jesieni 1845 roku ukazują się *Psalm*y *Przyszłości*. Z listu do Soltana wiemy,

że ostatni w druku *Psalm* Miłości napisany był najpierwej, dwa zaś drugie dodane zostały później, jako uzasadnienie logiczne trzeciego. *Psalm* Miłości zawiera tyle prawd społecznych i chrześcijańskich, wypowiedzianych zwięźle i z taką siłą, że utwór ten odrazu zachwycił wszystkich i zdobył powszechne uznanie. Myślą przewodnią całego tego psalmu jest «jeden tylko, jeden cud.» Niebezpieczeństwa, grożące od pańszczyzny, dokładnie rozumiał, jakkolwiek nie dość stanowczo zniesienia jej się domagał. Przecież nie kto inny, tylko on, wiedział, co to jest bólów ból; w końcowych strofkach dał wspaniały program dalszej pracy społecznej («dać żniwiarzom wszystkim grunt»), której kresem w myśli jego miało być uwieńczenie dziejowych trudów; żadna siła im nie sprostą, raczej zgorzeje, jak suchego siana stóg,

«A patrzący wiecznie z góry  
Nie odwróci twarzy Bóg.»

Wiadomo, że «*Psalm*y» pobudziły Słowackiego do namiętnego wiersza, z którego widać, że jasna i piękna myśl «*Psalmu*» uległa fałszywemu i tendencyjnemu niezrozumieniu. Słowacki podsuwa Krasińskiemu jakieś zaściankowe wyobrażenia o szlachcie i ludzie. Rzeź galicyjska 1846 r. była straszną odpowiedzią Słowackiemu. Krasiński dodał jeszcze *Psalm* Żalu i gdyby był poprzestał na pierwszym jego ustępie, byłby dał odpowiedź znakomitą; ale w dalszym toku umieścił wywody filozoficzne, które sprowadziły dyskusję z pola dziejowego na manowce filozofowania.

*Psalm* Dobrej Woli pisany był w r. 1848, jako ostatni wyraz przekonań i uczuć poety-rodaka. Mało jest w poezji całego świata wierszy o tak uroczystym nastroju. Jest to raczej modlitwa genialnego człowieka w chwili wyjątkowej harmonii wszelkich władz duchowych. O winach przodków doskonale pamiętał, a jednak nie wahał się przyznać społeczeństwu naszemu wiekowych, europejskich zasług. Że to uczynił w chwili zamętu powszechnego (1848 r.), to właśnie było i psalmem i uczynkiem dobrej woli.

Cała poezja jego jest dziwnie krzepiąca, treściwa i mimo pozornej niejasności przejaskrawiona. Rozwidnia się nam od niej coraz więcej. On to przepowiadał i «klubowe tyrany» i «kule strute» i «ludożercze bronie;» on wołał: «nie chciej jak

<sup>1)</sup> Por. list jego, przedrukowany w monografii St. Tarnowskiego, str. 458—459.



bydlę gnić nad paszy łanem! on na lat kilkadziesiąt przewidział «Dzień dzisiejszy.» Zawczasu kłamne piętnował głosy, kuszące, by z człowieczeństwa wynijść koła, z Chrystusowej zejść Kalwaryi, by utuczyć ciało; ostrzegał przed głosami nawołującymi tylko do «przemysłu, handlu, roli, do dróg bitych, do farbiarni»—on wreszcie wskazał cele najwznioślejsze i zwiastował przyszłość, jako «prawo miłości rozlewalne wszędzie, Niedziele wieków...»

Spuścizna jego duchowa, olbrzymia, nie dająca się objąć ani jednemu, ani kilku pokoleniom, dziś zaledwie zaczyna się rysować w majestatycznych swych rozmiarach. Przedwcześnie odszedł strudzony pracownik, złamany wędrówką ziemską, nad wyraz ciernistą:

Mnie smutek zabił, mnie gorzkie koleje,  
Mnie gwałt namiętych, nieskończonych marzeń,  
Mnie krok leniwy ognuśniałych zdarzeń.

W 47-ym roku życia starcem był posiwiącym, schorowanym. Pielgrzymkę doczesną zakończył w Paryżu dnia 23 lutego 1859 roku. Zwłoki pochowane w dziedzicznej Opinogórze.

Po śmierci jego ukazał się w druku «Niedokończony Poemat,» prawdziwa skarbnica bystrych spostrzeżeń filozoficznych, społeczno-dzie-

jowych i chrześcijańskich—wyszły trzy tomy korespondencji; ukażą się niebawem inne utwory z lat młodocianych i listy obfite, nieprzebrane, które rozjaśniają niejedną ważną chwilę w rozwoju tego potężnego ducha. Za lat dziesięć nadejdzie setna rocznica jego urodzin.

Obyśmy do tej pory zdołali zrozumieć dokładnie i szczegółowo, czem dla nas był, czem jest i czem stać się powinien Zygmunt Krasiński. Jako poeta filozof, nie był on nigdy piewą jednego tylko pokolenia, ani jednej tylko warstwy. Za życia już ludzkości całe ogromy przenikał z końca do końca, uczył nas patrzeć i na nas samych, i na inne ludy «*sub specie aeternitatis*,» uczył nas cierpliwości:

«Gdyby Bóg nie był cierpliwym, to byśmy wszyscy codzień padać musieli pod piorunem jego sprawiedliwości. Cierpliwość jego daje nam czas do nawrócenia się, do żalu, do skruchy i tem samem jest naszym zbawieniem. Jakżeż teraz żądać, by był z jednymi cierpliwym, a z drugimi nie!»

Duch jego gorący, płomienny, nie cierpiący kroku leniwego ognuśniałych zdarzeń, rwał się tu nieraz i szamotał, miotan rozpaczą bezbrzeżną; przecież wytrwał w ufności. Czekaj na ów dzień, w którym «ludzkość stanie się anielskością.»

*Józef Kallenbach.*



# Izydor Kopernicki.

\* 1825 † 1891.



**S**hlubimy się i słusznie, że w dziedzinie poezji i sztuki plemię nasze wśród innych niejedną pierwszorzędną znakomitością pochwalić się może. Imiona takie, jak Mickiewicz, Chopin, Matejko, znane są światu całemu, a świadomość, że «polskie wydało ich plemię,» podnosi nas w oczach własnych i cudzych.

Ale samą poezją i sztuką trudno życie wypełnić; są one najpiękniejszą jego ozdobą, ale nie treścią. Na stole biesiadnym żywota prócz słodczych kwiatów musi być i chleb powszedni. Tym chlebem wobec poezji i kunsztów jest nauka.

W jej zakresie, niestety, skromniejszymi darami los nas obdzielił; tem więc skwapliwiej podnosimy zasługi takich, co pracą całego życia przysparzali nam

**\*** dorobku naukowego, karmiąc nas w domu zdrową strawą wiedzy, a mnożąc sławę naszą u obcych.



*Kopernicki*

Do rzędu takich pracowników należał Kopernicki. Chociaż ukończył wydział lekarski i był niepospolitym chirurgiem, poszedł za skłonnością z wyboru i przez większą część życia badał gałęzie wiedzy, najmniej u nas uprawiane, mianowicie antropologię, ludoznawstwo i archeologię i być może, że dlatego właśnie medycynę porzucił.

Idąc trzema tymi szlakami, zaszedł daleko, gdyż był niezwykle zdolny i pracowity; w każdej z trzech wymienionych specjalności odznaczył się i zjednał sobie sławę, i to nie tylko w kraju.

Oto w krótkości główne daty żywota jego.

Urodził się 16 Kwietnia 1825 roku

we wsi Czyżówce (pow. Zwinogradzki), nauki szkolne pobierał w Złotopolu, Kijowie i Winnicy, chodził na medycynę w Kijowie (1844 — 49), a po ukończeniu jej, jako stypendysta, został lekarzem wojskowym i przebywał w różnych miejscowościach na Pobereżu, nad Dnieprem i na Wołyniu, brał udział w wojnie wschodniej nad Dunajem, potem w Sewastopolu; jako chirurg, pracował w ambulansach wojennych pod Oltenicą, Sylistryą, Inkermanem i w Sewastopolu. Roku 1857, porzuciwszy służbę wojskową, został prosektorem anatomii w uniwersytecie kijowskim i wkrótce się wydoktoryzował; wykładał anatomię praktyczną i ćwiczył uczniów w sporządzaniu preparatów anatomicznych, kierował dokonywanymi przez nich operacjami chirurgicznymi, a pod koniec wykładał anatomię dla słuchaczy wydziału przyrodniczego. Wystąpiwszy następnie ze służby rządowej, blisko rok spędził w Kaliskiem. Pracował później w Paryżu, biorąc udział w posiedzeniach i rozprawach towarzystw lekarskich i antropologicznych; potem udał się do Serbii i wkrótce do Bukaresztu, gdzie przebywał do r. 1871 i jako chlubną po sobie pamiątkę, zostawił stolicy tej znakomicie urządzonego gabinet anatomiczny. Wreszcie osiadł 1871 r. w Krakowie, wydoktoryzował się 1876 na nowo i r. 1878 rozpoczął, jako docent, wykład antropologii, którą to naukę wybrał sobie za specjalność. Zbierał przez całe życie okazy antropologiczne, przeważnie czaszki i z czasem utworzył z nich bogate ilością i wartością muzeum; pragnął je niedawno przekazać wszechnicy Jagiellońskiej, z warunkiem, aby po zgonie jego utworzono przy niej katedrę dla profesora zwyczajnego antropologii i etnologii; projekt ten nie uzyskał zatwierdzenia w Wiedniu, co bardzo boleśnie odczuł i na co gorzko się żalił, mówiąc, że wzgardzono owocem pracy całego jego żywota, i że nie wie, co z tym zbiorem się stanie po jego śmierci.

Znakomity lekarz i antropolog nie mógł nie dotykać co chwila w studyach swoich etnografii; poznawszy ją bliżej, szczególnie w zakresie kraju własnego, z zamiłowaniem gromadził podania, pieśni, słowniki i typy ludowe. Wspaniały *Zbiór materiałów do antropologii krajowej*, stworzony i prowadzony przez niego, pozostanie na zawsze świetnym pomnikiem pracowitości Kopernickiego w tym kierunku; piętnaście sporych jego tomów wydał

w ciągu lat czternastu (1877 — 91), układając je własnoręcznie i obrabiając nadsyłane zasoby, korygując własnoręcznie, korespondując ze współpracownikami i pisząc sam liczne rozprawy i przyczynki; te zaś zbierał podczas corocznych wycieczek, szczególnie do południowo-wschodniej Galicji; nauczył się doskonale fotografować i w r. 1890 urządził już sobie w sali antropologicznej okienko ze szkła czerwonego, aby klisze, zdobyte na wycieczkach, własnoręcznie móżdż wywoływać i na papierze utrzymywać. Owocem tej pracy jego miał być szczegółowy opis górali ruskich, ilustrowany mnóstwem fotografów.

Jaka to była dusza młodzieńcza i jaka nie-  
spożyta pracowitość w tym człowieku, niech fakta następne zaświadcza. W roku 1889 skarżył się w rozmowie ze mną Kopernicki, że często musi w „Zbiorze“ drukować teksty litewskie, zgoda ich nie rozumiejąc; martwiła go też nieznanomość muzyki: „Drukuję melodye, powiadał, ale nie mam pojęcia, co te czarne gałeczki na pięciu liniach znaczą.“ W rok potem, gdym go w jesieni roku 1890 odwiedzał w Krakowie, oznajmił mi z radością, że się zabrał sam do nauki języka litewskiego i że już przy pomocy słownika dokładnie pieśni rozumie; a co do melodyi, to i te już nie są dla niego hieroglifami, bo się poduczył przy fortepianie czytać nuty; w kilka miesięcy potem doniósł mi listownie, że przełożył z języka litewskiego spory opis wesela, napisany przez Juszkiewicza i życzy sobie, aby *Wista* tłumaczenie to umieściła. Tak więc w sześćdziesiątym czwartym i piętym roku życia nie wahał się zasiąść do pracy nad wcale trudnym i zgoda sobie nieznanym językiem i do wokaliz, które po kilkoletnich móżdżach w konserwatoryach nie każdemu się udają!

„Jako członek Komitetu, mającego ocenić znaczenie archeologiczne wykopalisk z Mnikowa, które Adr. Mortillet lekkomyślnie uznał za podrabiane, rozwinął Kopernicki całe zasoby swej przenikliwości i wytrwałości w pracy, gdyż dla przekonania się, w jaki sposób te przedmioty mogły być wykonane, cały rok poświęcił próbom wyrobienia ich zapomocą narzędzi krzemiennych i dowiódł, że te ostatnie w zupełności są tu wystarczające i pozostawiają na powierzchni obrabianych przedmiotów takie same rysy, jak spostrzegane na przedmiotach z jaskiń mnikowskich“

(pisze profesor Wrześniowski w *Gazecie Lekarskiej*).

Nie dziw, że tak wszechstronnie uzdolnionego i tak pracowitego męża spotykało uznanie w kraju i zagranicą. Obrany w r. 1877 członkiem korespondentem Akademii krakowskiej, został jej członkiem czynnym r. 1887; prócz tego od r. 1873 był członkiem komisji archeologicznej i fizyograficznej, od r. 1874 członkiem i sekretarzem komisji antropologicznej, a od r. 1885 członkiem komisji balneologicznej. Towarzystwa antropologiczne, paryskie, londyńskie, berlińskie, florenckie i wiedeńskie pośpieszyły go też mianować swym członkiem korespondentem; wszystkie też towarzystwa lekarskie krajowe zaszczyliły go takimże uznaniem.

Oprócz obfitych i umiejętnie zebranych kolekcji Kopernicki przekazał nam ogromną i wielce urozmaiconą spuściznę drukowaną i rękopiśmienną. Szczegółowy obraz pierwszej ciekawej czytelnik znajdzie w *Gazecie Lekarskiej* z r. 1891, № 45, sporządzony przez wkrótce potem zmarłego przyjaciela, profesora Augusta Wrześniowskiego; powtórzyła to *Wiśła* w tomie V, str. 1005 do 1011. Znajduje się tam do stu rozpraw większej lub mniejszej obszerności, a każda z nich posiada niemałą wartość naukową. Wymienimy tutaj najważniejsze.

Z działu antropologii, a mianowicie z kraniologii czasopisma francuskie, niemieckie i angielskie zamieszczały liczne przyczynki Kopernickiego w latach od 1867; najciekawsze z nich były o Murzynach, Skopcach, Kałmukach, Cyganach, Bułgarach, Rusinach, Ainach (Ainosach) i Polakach, a także o czaszkach i kościach, dostarczonych przez liczne wykopaliska, przeważnie w obrębie Galicyi. Wielkiej też wagi jest praca, napisana wspólnie z J. Majerem: „Charakterystyka fizyczna ludności galicyjskiej» (1877 i 1885) i także Górali ruskich (1889).

W zakresie archeologii przeddziejowej działalność Kopernickiego była również płodna i nieustająca. Rozkopywał on mnóstwo cmentarzysk i grobów przedhistorycznych, oceniał i klasyfikował dostarczane sobie wykopaliska i skreślił dużo referatów o pracach i odkryciach innych uczonych (w «Zbiorze wiadomości do antropologii,» w «Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego,» w «Rozprawach wydziału matematyczno-przyro-

dniczego» Akademii Krakowskiej, w «Kwartalniku Historycznym» i in.). W roku 1877 opisał wykopaliska w Kwaczale i Horodnicy; r. 1885 krytycznie rozważał starożytności Mnikowskie, a jeszcze przedtem r. 1876 opisał przedmioty, znalezione w jamie Smoczej, na Wawelu.

Główną zasługą Kopernickiego na polu ludoznawstwa jest zapoczątkowanie i wydanie piętnastu tomów nader cennego zbioropisma: «Zbiór wiadomości do antropologii krajowej,» wydawanego przez Akademię Krakowską. Pomnikowego dzieła tego, ogłaszanego po dziś dzień według programu Kopernickiego, pojawił się w r. 1900 tom 22 (nowego pocztu 4-y).

W każdym z czternastu pierwszych tomów «Zbioru» znajdujemy albo własny, albo czyjś przezeń obrobiony przyczynek etnograficzny. I tak w tomie I czytamy zagadki ludowe, spisane w okolicy Rabki; w następnych mieszczą się «Spostrzeżenia nad mową Górali Beskidowych,» ich pieśni, opis ich wesela i t. p. Do ważniejszych rozpraw tegoż zakresu należą artykuły Kopernickiego w «Encyklopedyi wychowawczej» p. t. «Etnologia i Etnografia,» w których doskonale określa cel i przedmiot tych nauk, oraz uzasadnia potrzebę założenia Towarzystwa ludoznawczego w Galicyi. Myśl ta ponysłnie urzeczywistniła się w lat parę po zgonie inicjatora, a Towarzystwo, z siedzibą we Lwowie, świetnie się rozwija od r. 1895 pod kierunkiem profesora A. Kaliny i ogłasza szósty już rocznik organu swojego, noszącego tytuł «Lud.» Niemniej ważnym przyczynkiem był też czytany na zjeździe lekarzy i przyrodników w Krakowie r. 1875 przez Kopernickiego referat „O wyobrażeniach lekarskich i przyrodniczych, oraz o wierzeniach ludu naszego o świecie roślinnym i zwierzęcym.”

Przebywając czas dłuższy w Serbii, Kopernicki nauczył się dokładnie po serbsku; pamiątką i owocem tej nauki są śliczne przekłady serbskich pieśni ludowych ze zbioru Karadżyczca, drukowanych częściowo w t. III *Wiśły* i pomieszczanych w dalszym ciągu w tomie XIV tegoż pisma.

Kiedy Akademii Krakowskiej nadesłano ogromny zbiór melodyi litewskich, zgromadzony przez braci Juskiewiczów (ogłoszono w r. 1900 pierwszy tom pod redakcją prof. J. Baudouina de Courtenay i Z. Noskowskiego), Kopernicki, przewodnicząc naówczas w Komisji antropolo-

gicznej, tak się zapalił do litewszczyzny, że postanowił poznać ten język i dokazał swego wkrótce; owocem tej pracy był przekład opisu wesela litewskiego, skreślonego po litewsku przez Juskiewicza, wydrukowany w tomie VII *Wisty*.

Że i o najpierwszym zawodzie swoim nie zapominał Kopernicki, mamy dowody tego w pracach jego z dziedziny medycyny, ogłaszanych w *Tygodniku lekarskim* 1853—85 i w *Przeglądzie lekarskim* 1872.

Łączyła go przyjaźń z Oskarem Kolbergiem, najpracowitszym etnografem polskim. Dał tego dowody, przygarniając starca, strudzonego długim wiekiem i pracą nadmierną, w domu własnym w Krakowie, na ulicy Sławkowskiej, gdzie też w połowie r. 1890 zmarł na rękach przyjaciela; w przeddzień śmierci zajmował się jeszcze korektą początku monografii «Przemyskiego;» Kopernicki zajął się jej wydaniem, a w roku następnym (1891), na kilka miesięcy przed własnym zgonem, ogłosił z papierów Kolberga tom drugi «Chelmskiego,» dodając przedmowę, datowaną z Gleichemberga 16 Lipca 1891 r., gdzie w końcu wrze-

śnia tegoż roku i jemu sędzono było świat ten pożegnać.

Zasługi naukowe Kopernickiego są niepospolite: był to pracownik samodzielny, obdarzony umysłem wszechstronnym i krytycznym, zdolnościami potężnymi, o czym świadczy wielostronność a zarazem gruntowność badań jego. Ale obok tych zalet umysłu, posiadał on niezwykle przymioty charakteru: prawość niezachwianą, wytrwałość w zasadach i w wierze w ideały, szczerść, uprzejmość i łagodność. «Był to prawdziwy kapłan nauki (mówi August Wrześniowski), który cały swój żywot jej poświęcił w całym znaczeniu tego słowa bezinteresownie, bo nie tylko nie uważał jej za środek do zdobycia odpowiedniego stanowiska, ale nadto składał jej w ofierze swoje szczupłe zasoby pieniężne, często narażając się tym sposobem na dotkliwe braki. Dużo doświadczył niepowodzenia, ale za to nie można dopatrzeć na nim choćby najmniejszej plamki. Śmiało można powiedzieć, że zstąpił do grobu bez zmazy.»

*Jan Karłowicz.*



# Dominik Szulc.

\* 1797 † 1860.

**D**ominik Szulc należy do liczniejszej w gruncie rzeczy, niż się na pierwszy rzut oka zdawać może, kategorii ludzi niesłusznie zapomnianych. Za życia nie dorobił się wprawdzie sławy, nie miał nawet wśród szerszej publiczności rozgłosu, wszakże w kołach naukowych i literackich był poważnie cenionym i znacznej zażywał wziętości. Po śmierci został zapomniany prędko i gruntownie. Nad jego grobem przeszła burza r. 1863, potem rozpoczął się ruch pozytywistyczny. Pionierzy nowych kierunków nie odznaczają się zwykle zamięłowaniem do odszukiwania i wynoszenia swoich zwiastunów i poprzedników. Nic dziwnego—nie piszą własnej historii. Więc, choć Szulc był je-

dnym ze zwiastunów i poprzedników pewnej części ruchu pozytywistycznego (mianowicie pozytywizmu filozoficznego), zapomnieli o nim nasi pozytywiści. Zapomnieli tak dalece, że jeden z wybitniejszych tego kierunku pionierów, Piotr Chmielowski, w swojej historii literatury nie wspomniał o Szulcu *ani jednym słowem*, choć mniejszym od niego po kilkadziesiąt wierszy poświęcił.

Za życia, jak się wyżej rzekło, cieszył się Szulc w kołach literackich niemałym uznaniem, ale i wtedy ceniono go głównie za jego prace historyczne, gdy tymczasem główną jego zasługę stanowią nacechowane sumiennością obserwacyi, szerokością poglądu, a nieraz i głębokością myśli prace o naturze i charakterze umysłu pol-



Z wspólnego drzeworytu rysował Pillati.

skiego, oraz o nauce ze stanowiska filozoficznego.

Dominik Szulc urodził się d. 10 Kwietnia r. 1797 w gubernii i powiecie Mińskim, gdzie rodzina jego zdawna osiadła. Po ukończeniu szkół w Mińsku wstąpił w r. 1814 (jednocześnie z Mickiewiczem, z którym razem egzamin wstępny składał), na wydział historyczno-literacki Uniwersytetu Wileńskiego. Obok obowiązujących dla słuchaczy tego wydziału przedmiotów uczęszczał jeszcze na wykłady matematyki, fizyki i chemii, do których zawsze szczególne miał zamiłowanie. Pracowitym był bardzo, wymagania miał nadzwyczaj skromne, uczył się dniami i nocami. Zwracał na siebie uwagę wielu profesorów, zwłaszcza Groddecka i Jana Śniadeckiego, z którym go w następstwie wiele wspólnych łączyło poglądów.

W r. 1818 złożył egzaminy kandydackie i polecony został na nauczyciela historii do Liceum Krzemienieckiego. Lecz Groddeck, który miał nadzieję wyrobić mu w blizkiej przyszłości stypendyum na wyjazd za granicę, skłonił go do pozostania w Wilnie. Szulc przyjął w tamiecznym gimnazjum posadę nauczyciela języka polskiego. W r. 1819 ogłosił drukiem w «Tygodniku Wileńskim» przekład polski «Rozmów satyrycznych» Lucjana. Była to pierwsza jego praca literacka. Następnie, zachęcony przez Groddecka, ułożył «Gramatykę pierwiastkową języka łacińskiego», która wyszła z druku w Wilnie w roku 1821. W tym czasie nastąpiło też jego zbliżenie się z Janem Śniadeckim, który na egzaminach z języka polskiego bywał z urzędu, a który potrafił ocenić w młodym nauczycielu trzeźwość myśli, skłonność do ścisłego myślenia i niechęć do metafizyki niemieckiej.

Mimo protekcji Groddecka do wysłania Szulca za granicę nie przyszło. W r. 1823 przeszedł on do gimnazjum Białostockiego, jako nauczyciel wymowy i logiki. Obdarzony od natury wybitnym talentem pedagogicznym, umiał budzić w swoich uczniach zamiłowanie przedmiotu oraz pozyskać ich szacunek i przywiązanie. Dwanaście lat spędził w Białymstoku na gorliwej i płodnej pracy nauczycielskiej, a gdy w r. 1835 przeszedł do gimnazjum Lubelskiego, zostawił po sobie szczerzy żal.

W r. 1838 Uniwersytet św. Włodzimierza w Kijowie ofiarował mu stanowisko lektora języ-

ka polskiego, ale Szulc odmówił. W 1840 r. został nauczycielem Gimnazjum Warszawskiego i był nim aż do czasu wysłużenia emerytury, t.j. do roku 1853.

W okresie czasu od r. 1821 do 1840 Szulc ogłosił drukiem tylko przekład (z łacińskiego) części 1-ej obszernej gramatyki łacińskiej Brödera (Wilno 1829). Ale czytał dużo, uczył się gorliwie, robił obszerne notaty i wyciągi, z których potem korzystał. Osiedliwszy się w Warszawie, zaczął rychło brać udział w ówczesnym, pod względem doniosłości i powagi wielce różnym od dzisiejszego ruchu piśmienniczym. W «Przeglądzie Naukowym» zaczął ogłaszać szereg artykułów pod ogólnym tytułem «O rozwoju umysłowości polskiej w piśmiennictwie.»

Celem tych artykułów było: wynaleźć i wykazać cechy zasadnicze i charakterystyczne umysłu polskiego i stworzyć w ten sposób jakby wstęp psychologiczny do historii naszej literatury. W wywodach swoich zajął Szulc stanowisko zupełnie odmienne od tego, które wówczas było popularne. Był to czas metafizyki nacyonalistycznej. Najwybitniejsze umysły polskie z zapałem oddawały się pracy nad wykryciem cech głównych i znamiennych polskiej twórczości umysłowej i artystycznej, polskiego przeszłego i społecznego życia politycznego i ekonomicznego, słowem duszy polskiej. Ale, zgodnie z duchem czasu, do celu tego zmierzano na drodze spekulacji metafizycznej. Rolę historyczną i cywilizacyjną narodu polskiego usiłowano wyfilozofować z pojęć ogólnych o istocie świata. Dążono do światomego, a na tych pojęciach ogólnych opartego wytworzenia nauki «narodowej», filozofii «narodowej», pedagogiki «narodowej», a nawet logiki «narodowej» (Trentowski). Poglądy, nie wynikające z całości jakiegoś systemu metafizycznego, uchodziły za «płytkie» i «pospolite.»

Nie tak poczynął sobie Szulc. Obdarzony od natury bezwzględą śmiałością i znaczną samodzielnością myślenia, nie ulegał on nigdy modnym prądom i nie uganiał się za tanią popularnością. Podobny poniekąd (ale tylko poniekąd) do Michała Wiszniewskiego, przedsięwziął scharakteryzować umysłowość polską, że tak powiem, nie *a priori*, lecz *a posteriori*: nie na zasadzie systemu metafizycznego, z którego charakter i miejsce umysłu polskiego wyznaczałyby się, jak

niewiadoma z równania algebraicznego, lecz na podstawie tych cech konkretnych, które faktycznie przedstawia najważniejszy życia umysłowego dokument: piśmiennictwo. To też do zgoła odmiennych, a jak się zdaje, do bliższych prawdy doszedł wniosków od tych, które głosili niewątpliwie wyżsi od niego talentem: Libelt, Kremer, Cieszkowski. Rozważając piśmiennictwo polskie nie w ostatnich tylko czasach i nie w pojedynczych mniej lub więcej trafnie wybranych dziełach, lecz w całości, przyszedł do przekonania, że zasadniczymi i stałymi umysłu polskiego cechami są: ostrożność wnioskowania, skłonność do myślenia indukcyjnego, niechęć i nieufność do szeroko założonej spekulacji; że umysł to z natury swej raczej zbyt trwożliwy, niż zbyt śmiały; że właściwą mu jest niemała lotność, i że obok tej lotności prawość i uczciwość oraz powaga i szerokość myślenia najcenniejsze jego stanowią przymioty. I w samej rzeczy, gdy się zważy, że w tysiącletnich dziejach naszego życia duchowego okres spekulacji metafizycznej trzydziestoletni zaledwie stanowi epizod, że następujący po tym epizodzie pozytywizm był w istocie swojej dalszym ciągiem tego, co czynili Konarski, Kołłątaj, Staszic, Śniadeccy,—to trudno będzie powyższym wywodom Szulca odmówić słuszności.

Nie rozbrzmiały one szerokim echem wśród społeczeństwa, zahipnotyzowanego przez urok, którego znamienitsi metafizycy (zwłaszcza Cieszkowski) nie byli pozbawieni, a w wywodach tych metafizyków upatrującego stronę rozumową tego niebosiężnego wlotu ducha, który nieśmiertelnym utworom wielkiej poezji romantycznej dał życie. Ale też i bez echa nie przebrzmiały, a w kołach literackich zjednały autorowi uznanie i poważanie.

Większą od «Rozwoju umysłowości polskiej» popularność zdobyły Szulcowi jego prace historyczne: «O Tarnowie Mazowieckim» (Warszawa 1843), «O znaczeniu Prus dawnych» («Biblioteka Warszawska» r. 1845 i oddzielnie, Warszawa rok 1846), «O Pomorzu Zaodrzańskim» (Warszawa 1850). Przedsięwziął w nich wykazać dawną rozległość terytorium, przez plemię polskie zajmowanego. Dowodził więc, opierając się głównie na rzeczywistych lub przez siebie przypuszczanych dawnych nazwach miast i osad, dawnej rdzennej polskości Pomorza i Brandenburga z jednej, a zie-

mi Jaćwingów z drugiej strony. Acz w swoim czasie popularniejsze, prace te znacznie mniejszą od «Rozwoju umysłowości polskiej» przedstawiają wartość: założenia są w nich często paradoksalne, wnioski naciągane, nieznajomość zasad językoznawstwa porównawczego prowadzi nieraz autora do etymologii dziwacznych lub zgoła niemożliwych. Niemniej słuszność samych założeń, przynajmniej co do Pomorza Zachodniego i Brandenburga, została przez późniejsze badania potwierdzoną.

W r. 1851 wyszła z druku rozprawa Szulca «O źródle wiedzy tegoczesnej.» Jeżeli jaka praca, to ta nie powinna była ująć uwagi żadnego, a tem bardziej pozytywnego historyka literatury. Była pierwszym usiłowaniem obznajmienia publiczności polskiej z wynikami filozofii Comte'a; była apelacją do zdrowego rozsądku od wyroków szybującej w coraz to mglistych sferach metafizyki; była wyrazem dążenia do wskrzeszenia w Polsce porządnej myśli naukowej; była filozoficznym wyznaniem wiary jedynej naówczas oprócz Michała Wiszniewskiego Polaka, który filozofię chciał traktować jako naukę.

Wychodząc z założenia, że poznawać można tylko fakty i stosunki między faktami, dowodził w niej Szulc, że początkiem i podstawą wiedzy, a zarazem wzorem i normą nauki są nauki matematyczne i przyrodnicze, oraz, że pełną i całkowitą dla umysłu ludzkiego wartość może mieć tylko taka nauka, która co do metody swojej stała się przyrodniczą. Wykazany stały stosunek pomiędzy faktami zowie się prawem. Właściwym zadaniem nauki jest wykrywanie praw, a wartość jej nadaje dobre i ścisłe tych praw formułowanie. Wyjaśnieniem stałych stosunków pomiędzy faktami, czyli wykrywaniem i formułowaniem praw zajmują się tylko nauki przyrodnicze. Dlatego one tylko jedne są naukami w ścisłym tego wyrazu znaczeniu. Oprócz tych wywodów zawiera rozprawa krótkie, lecz prawdziwe informacje o niektórych owoczesnych prądach naukowych w Europie Zachodniej.

Rozumowanie Szulca co do wartości nauk jest jednostronne, ale to nie zmniejsza doniosłości historycznej jego pracy. Obok dzieł M. Wiszniewskiego stanowi ona ogniwo, łączące okres Staszica i Śniadeckich z okresem pozytywizmu i utrzymujące ciągłość myśli polskiej.

Książka nie zdobyła sobie popularności, co zależało najprzód od wbrew sprzecznego z jej dążeniami ducha czasu, następnie zaś od niezmiernie ciężkiego i nieraz wprost dziwaczego języka. Gdy zaś w kilkanaście lat potem inny duch zapanował, była już zapomniana. Zresztą nie stała się przez to zapomnienie żadna szkoda, bo wielka sumaryczność i fatalny wykład czynią ją wręcz nieprzydatną. Jest ona tylko bardzo godną uwagi.


W roku 1854 Szulc wydał p. t. «Pisma rozmaite» kilka swoich rozpraw, drukowa-

nych w czasopismach. W r. 1855 wydrukował w «Gazecie Warszawskiej» a następnie oddzielnie «Żywot Mikołaja Kopernika» kompilację o małej wartości. W 1859 utracił wzrok. Umarł nagle 27-go Grudnia r. 1860. W 1862 wydana została jego niedrukowana za życia autora rozprawa p. t. «Stanowisko historyi polskiej» rzecz ciekawa, pisana trzeźwo i spokojnie, tym samym, co i «Rozwój umysłowości polskiej» przeniknięta duchem.

*Maryan Massonius.*

# Karol Szajnocha

\* 1818 † 1868.

 gromi zjawisk społecznych i życiowych, spętany ogniwami zawilego łańcucha przyczyn i skutków, kryje w swem łonie ostępy niedościgłej prawdy.

Nauka wznosi się wciąż ku jej wyżynom, ogarnia widnokregi coraz szersze, wnika w zawiłości i, powiększając zakres dociekań swoich, uchyla zwolna zasłony, pokrywającej sferę tajników bytu.

Dziejopisarstwo, będące źródłem umiejętności licznych a złożonych, dopełnia je, wzbogacając się jednocześnie zdobyczami, jakie poczyniły. Do zdobyczy tych należy między innemi poczucie, że historyk liczyć się powinien nie tylko z logiką i z materyalnym wyrazem faktów badanych, lecz nadto z ich atmosferą życiową i z psychicznymi pobudkami działaczów, występujących na arenie dziejowej. W obliczu hermeneutyki historyk winien być psychologiem, niekiedy nawet poetą, a powinność ta, zespolona z podstawowym obowiązkiem ścisłości naukowej, czyni dzisiaj z ideału dziejopisa nieziszczalne *pium desiderium*. Nieziszczalne, bo wirujące w błędnem kole ścisłości

materyalnej, osiąganey kosztem *duszy* epok od-twarzanych i—odwrotnie.

Rzetelna równowaga obu tych warunków, niezbędnych dla twórczości iście wzorowej, jest postulatem równie niedościgłym, jak sama doskonałość. Niepodobna też stosować podobnej skali wymagań *sine qua non* do utworów ludzkich, a nie można rozstrzygać, któremu z obu warunków rzeczonych, wiodących szlakiem nierozdziel-nym ku Prawdzie jedynej, należałoby przyznać pierwszeństwo bezwzględne.

Szajnocha, poeta, psycholog i historyk, był żywym wcieleniem tego problemu.

Dzieła jego, owiane czarem poezji i wyobraźni intuicyjnej, grzeszą wielorako przeciw tym wymaganiom metody ścisłej, jaka stała już za jego czasów na straży twórczości dziejopisarskiej. Stała—lub stać była powinna. To prawda. Czar tych dzieł jest jednak tak potężny, że zagłusza częstokroć we wrażeniu czytelnika, a nawet—krytyka grzechy i grzeszki pisarza.

Jeśli Matejko wierzył w intuicję swoją, a za nim wierzyli w nią inni, to Szajnocha miał prawo



Według spółczesnej litografii rysował X. Pillati.

*Karl Kojincha.*



bardziej uzasadnione wierzyć i kazać wierzyć ogółowi w intuicję własną.

Nastrojowi matejkowskiemu, w którym akcesorya, czerpane z archeologii, zastępowały często brak perspektywy dziejowej, — odpowiadała w twórczości Szajnochy subtelna hermeneutyka intuicyjna. Akcesorya, dobierane przezeń barwnie, a z precyzją iście mistrzowską, dodawały jedynie wdzięku i finezyi obrazom wspaniałym, z których wiało potężne wrażenie prawdy. Prawdy, rzeczywistości albo jej pozorów ludzających: — dość, że dziś jeszcze, po upływie lat kilkudziesięciu, «przestarzałe» dzieła Szajnochy, rozpostarte na Prokrustowym łożu analizy historycznej, a świecące strzępami wielu obalonych wywodów i wniosków, ujawniają wprawdzie braki i wady, towarzyszące samemu ich poczęciu lub rysujące się na tle odkryć późniejszych, ale nie tracą pierwotnego czaru obrazowania wypadków, epok i ludzi.

Czar ten, którym spowił Szajnocha treść bogatą i bujną, posiada obok ceny artystycznej i wartość naukową. Wyrazem tej wartości pierwszorzędnej jest skryształizowanie w nich epok ubiegłych; woni subtelnej, prawie niepochwytnej, którą Szajnocha ujął pierwszy w ramy swych przepięknych obrazów historycznych.

Dziejopisarstwo nasze posiada w nich po dziś dzień, obok «Mieszka Starego» St. Smolki, najwspanialsze arcydzieła «stylizowanej» przeszłości.

Żadne odkrycia nie były dotąd w stanie zmienić zasadniczo tego poczucia czasów zamierzchłych i tego ich wyrazu, jaki z talentem prawdziwie potężnym ugruntował Szajnocha w dziejopisarstwie naszym.

Nikt nie prześcignął go pod tym względem; dorównało mu niewielu w węższym zakresie (St. Smolka j. w.; Łoziński: «Lwów i patrycyat lwowski»), a «rodzaj» Szajnochy stanowi, jak dawniej, wzór niedościgły dla historyków naszych.

Takie stanowisko zajął w piśmiennictwie naszym autor *Jadwigi i Jagiełły* (1855 — 1856), dzieła, które zjednało mu największą i najbardziej zasłużoną chwałę. Obok obrazowania, barwy i polotu stylu, obok mistrzowskiego «rodzaju» Szajnochy złożyła się bowiem na ów utwór słynny i duża wartość naukowa opracowania, w które autor włożył wiele dociekań mozolnych, a najwięcej wszechstronności i zamięłowania.

«Jadwiga i Jagiełło» stoi w rzędzie dzieł Karola Szajnochy najwyżej nie tylko pod względem «rodzaju», ale i naukowej ścisłości, pomimo, że ta ostatnia nie jest i w tym utworze znakomitym całkiem wolną od usterek, charakteryzujących ujemną stronę twórczości wielkiego pisarza.

Nie należy jednak być hyperkrytykiem Usterki, jakim podlegał Szajnocha, a zwłaszcza, jakim uległ w pomienionym dziele, zdarzały się i zdarzają wszystkim dziejopisom zawsze i wszędzie. Nie był od nich wolnym sam Macaulay, świecący Szajnosze wzorem i przykładem. Usterkom o wiele cięższym podlegało wielu, bardzo wielu innych pisarzy i uczonych, którym krytyka usterek tych nie wytykała tak srodo... A jednak wyjątkowy ostracyzm, stosowany względem Szajnochy, jest uzasadniony. Źródło jego bije ze źródła czci i hołdu dla tego pisarza. Wytryska ono z naturalnego dążenia do równowagi i harmonii, gdyż wielkość «rodzaju» Szajnochy, każe mimowoli żądać od dzieł jego równie wielkiego zadośćuczynienia ścisłości, wymaganej przez naukową metodę historyczną.

Najwyższy szczebel względnej harmonii osiągnął Szajnocha w wiekopomnym dziele: «Jadwiga i Jagiełło»; najniższy — w *Lechickim początku Polski* (1858), pracy, w której poeta zwyciężył całkowicie historyka, odejmując książce tę wartość naukową, do jakiej rościła sobie prawo. Nadmienić trzeba wszelako, że były to czasy poetycko-historycznych fantazji, którym ulegali nie tylko: Juliusz Słowacki, uznawany przez Szajnochę Maciejowski August Bielowski i inni, ale nawet wielki Lelewel.

Inne prace Szajnochy zajmują na skali, zakreślonej pomiędzy utworami wspomnianymi, miejsce pośrednie.

Najwyżej stoją w ich rzędzie: *Bolesław Chrobry* (1849), dziełko, napisane barwnie, a stojące na poziomie naukowym swego czasu, i *Dwa lata dziejów naszych 1646—1648* (1865 r.), rozprawa o szerokiej podstawie wiedzy, nagromadzonej przez autora z zamiarem skreślenia całego cyklu obrazów historycznych Polski XVII st.

Stargane siły, ślepotą, a wreszcie zgon przedwczesny (1868 r.) uniemożliwiły ziszczenie się tego planu, wytrącając złote pióro z rąk 50-letniego Szajnochy. Nadmiar pracy zabił w sile wieku jedną z największych chlub naszego piśmiennictwa.

Urodzony w r. 1818 pod Samborem w Galicji, rozpoczął Karol Szajnocha po odbyciu nauk domowych, a później szkolnych we Lwowie pierwszy okres swej działalności pisarskiej, jako kilku-nastoletni młodzieniec.

*Romans na własne oczy widziany*, drukowany w r. 1836 w «Dzienniku Mód», był pierwszym jego występowaniem, jako poety i beletrysty, stojącego zdala od studyów historycznych.

Przebywając w ognisku życia umysłowego kraju, brał w nim Szajnocha udział nader żywy i wyrabiał w sobie żylkę literacką.

W r. 1843 zaczął zamieszczać w dziale «Nowin» «Gazety Lwowskiej» recenzje teatralne i artykuły krytyczne. Nadto pociągała ku sobie poezya dramatyczna, której oddał się chwilowo, zamieszczając w piśmie zbiorowem: «Gołąb Pożaru», tragedję p.t. *Stasio*, mającą imię jego uczynić głośnem. Mimo to powstrzymał się Szajnocha z wydaniem analogicznych utworów późniejszych, zachowanych długo w rękopisie, jako to: *Wojewodzianka Sandomierska*, dramat wierszowy na tle dziejów Maryny Mniszchówny; *Zosia*, tragedia w 5 aktach, i *Paniec i Dziewczyna*.

W roku 1847 opuścił poeta «Gazetę Lwowską» i wziął udział w redakcji «Tygodnika Polskiego», zostając jednocześnie współpracownikiem zreformowanego «Czasopisma Biblioteki Ossolińskich». Ostatnia ta okoliczność podnieciła w nim iskrę zamiłowania przeszłości, tlejącą już w «Wojewodziance Sandomierskiej». Coraz wyłączenie zajmować się począł odtąd Szajnocha historją swego narodu. Utwory poetyckie: *Jan III w tunie św. Szczepana* (1848) i *Jerzy Lubomirski* (1850) były owocami ostatnich jego wycieczek na urzędowym pegazie. Przedzieliła je pierwsza praca historyczna poety: «Bolesław Chrobry» (1849) a w ślad za nią: *Pierwsze odrodzenie się Polski 1279—1333* (1849 r.), rzucające sporo światła na związek wewnętrzny, jaki zachodził pomiędzy epoką dzielnicową, a epoką ostatnich Piastów w konie Łokietka i Kazimierza Wielkiego.

Jako redaktor «Dziennika Literackiego» (1852—1854), podnoszący ruch naukowy we Lwowie; jako kustosz Zakładu Naukowego Ossolińskich (1853 — 1857), a wreszcie, jako redaktor «Rozmaitości» przy «Gazecie Lwowskiej» (1856—1857), katalogował Szajnocha, przeciążony już pracą, bibliotekę Zakładu; prowadził nader uciążliwą kore-

ktę drugiego wydania «Słownika» Lindego; załatwiał sprawy bieżące swych urzędów, a jednocześnie tworzył arcydzieło: «Jadwiga i Jagiello» (1855—1856) oraz pisał, dopełniał i przedrukowywał z pism lwowskich pierwszą (1854) i drugą (1857) seryę swych przepięknych *Szkiców Historycznych*.

Wyróżniały się w ich szeregu: *Barbara Radziwiłłówna*; *Stanisław i Anna Oświęcimowie*; *Walterz Wdąty*; *Przed 600 laty*, *Matka Jagiellonów* i *O łańci Bolesława Chrobrego*.

Pod koniec tych prac zagroziła mu ślepotą. Sterany pracą nadmierną odbył kuracyę w Ostendzie, a gdy ta okazała się daremną, wycofał się z urzędów i, ociemniały, prowadził nadal we Lwowie życie prywatne (1857—1868), dyktując żonie ostatnie swoje utwory.

W tych to warunkach, otoczony spóźnionym uznaniem ziomków, a poniekąd i cudzoziemców (Smoler, Szostakowicz), ogłosił Szajnocha «Lechicki początek Polski (1858)»; *Opowiadanie o królu Janie III* (1860); «Dwa lata dziejów naszych 1646 — 1648» (1865), a wreszcie mniej udatny *Przegląd krytyczny* (pierwszej połowy) *księgi pamiętniczej Jakóba Michałowskiego* (1865) i trzecią seryę *Szkiców Historycznych* (1861), a mianowicie: *Słowianie w Andaluzji* (tłóm. na niem. Smoler 1862 r., a na ros. Szostakowicz w r. 1874); *Zdobycze pług polskiego*; *Powieść o niewoli na Wschodzie*; *Miecznik koronny Jabłonowski*; *Urazy królewic polskich*; *Krzysztof Opaliński*; *Śmierć Stefana Czarnieckiego*; *Jan III banitą i pielgrzymem*.


Szkice te, mniej udatne od poprzednich, wynagrodził Szajnocha tymi, jakie w ostatnich latach żywota swego napisał, dopełnił, lub wybrał z «Gazety Lwowskiej» i przygotował do druku.

Umierając w r. 1868, nie doczekał poeta-historyk wydania czwartej i ostatniej seryi *Szkiców Historycznych*, pomiędzy którymi celowały *Donna Rozanda*, *Jak Ruś polszczyła*; *Świętowit*; *Obyczaje starożytnych Słowian*, *Siostra Kazimierza Wielkiego we Włoszech* i *Dyabeł Wenecki*. Nie doczekał najwyższych entuzjasmów dla «Jadwigi i Jagielly», ani licznych przedruków monografii, rozpraw i studyów swoich, zawartych wreszcie w pomnikowym wydaniu pośmiertnem «Dzieł» Karola Szajnochy.

J. K. Kochanowski.

# Kazimierz Władysław Wójcicki.

\* 1807 † 1879.

ciec Kazimierza, rodem Sandomierzanin, † zasadami wiary, cnoty i szlachetnego swego serca.

do wydziału sanitarnego w służbie kr. Stanisława Augusta, któremu towarzyszył do Petersburga, gdzie był świadkiem jego śmierci. W r. 1792 pełnił obowiązki lekarskie przy dywizji Kościuszki i znajdował się w bitwie pod Zieleńcami. Matka, Zofia z Zienkiewiczów, rodem Litwinka, była za młodu «panną respektową» u wojewodziny Mniszchowej, siostry królewskiej. Syn (urodzony d. 3 Marca 1807 r. w Warszawie) zachował do swego zgonu najwyższą dla niej cześć i miłość, przypisując jej wpływowi wszystkie swoje zalety, bo, choć sama nie odebrała wyższego ukształcenia, ale zachęcała go do nauki książkowej, kształcąc jego charakter zdrową radą,



*Kazimierz Wójcicki*

Młody Kazimierz, złożwszy egzamin dojrzałości w szkołach pijarskich, wstąpił na wydział chemiczny w szkole przygotowawczej do Instytutu politechnicznego, poza którą uczęszczał jeszcze na kursa prawa i literatury w uniwersytecie, gdzie dzięki wykładom Osińskiego i Brodzińskiego tak się rozmiłował w literaturze, iż po dwu latach rzucił szkołę techniczną, aby się całkiem zawodowi literackiemu poświęcić.

Tradycje, zaczerpnięte od rodziców i starych kontuszowców, mówiących językiem przysłów i przypowieści, opowiadania legionistów, przyjaźń z Tomaszem Święckim, ocieranie się o wybitne postaci mieszczaństwa war-

szawskiego, stykanie się z ludem wiejskim podczas wakacji szkolnych, które spędzał rozkosznie w Sławacinku koło Białej Radziwiłłowskiej, gdzie w ostępach puszczy głębokiej ze starymi myśliwcami na ostatnie niedźwiedzie polował, wszystko to razem wzięte — jak powiada Adam Pług — wpłynęło stanowczo na rodzaj i kierunek prac Wójcickiego. W roku 17-ym życia swego miał już obfity zasób spisanych przysłów, klechd, tradycji i pieśni oraz pełną tekę własnych utworów poetycznych, które, sam najsurowiej osądziwszy, w ogień wrzucił i rymotwórstwa zaniechał.

Konkurs, ogłoszony przez Towarzystwo przyjaciół nauk na rozprawę o *zwyczajach, obyczajach, podaniach, pieśniach i przysłowiach ludowych*, stanowczo utwierdził Wójcickiego w zawodzie upodobanym. Rozgorzawszy żądzą spróbowania sił swoich na tem polu, póty molestował ukochaną matkę, póki nie przyszła z zasiłkiem pieniężnym i nie pobłogosławiła na wędrówkę po kraju niezbędną dla czerpania z ust ludu materiałów potrzebnych do rozprawy. Puścił się tedy pieszo w mozolną podróż najprzód w strony Bielskie, potem po Mazowszu, w Sandomierskie i Krakowskie.

Obficie zebrane plony w dwu takich podróżach złożyły się na sporą księgę treści konkursowej. Towarzystwo przyjaciół nauk do oceny tej pracy wyznaczyło członków swoich: Rakowieckiego i Brodzińskiego, którzy wydali sąd pochlebny. Pomimo to jednak Wójcicki nie otrzymał nagrody; konkurs bowiem uznany został za niedoszły, gdyż najmniej dwie rozprawy były na to potrzebne, a tu jeden tylko Wójcicki bez współzawodników w szranki wystąpił. Pomimo ten przykry zawód pracował młody Kazimierz z równym zapalem, gromadząc wiadomości do różnych postaci z minionych wieków. Łukasz Gołębiowski w dziele swoim «Lud polski» spożytkował prawie cały materiał, zebrany w rozprawie konkursowej. Ordyniec zaś, który wydawał wówczas «Dziennik Warszawski», wydrukował z notatek Wójcickiego wiadomości o Szmigielskim, staroście gnieźnieńskim, o Stańczyku i o Janie Grudczyńskim (poczynając od Stycznia 1827 r.) i uzdolnionego 20-letniego młodzieńca zaprosił na stałego współpracownika w dzienniku.

W 1829 i 1830 r. odbył Wójcicki wycieczkę do Krakowa, w Tatry, zwiedził Słowację wę-

gierską, Czechy, Morawy, Śląsk austriacki, Serbię i Kroację. W r. 1831 osiedlił się na Pokuciu w Galicyi, u krewnych przyjaciela swego, Dominika Magnuszewskiego, Raciborskich, w Żaluczu nad Prutem, niedaleko Kołomyi. Tutaj d. 10 Listopada 1832 r. poślubił siostrę Dominika, Annę Magnuszewską, w której sercu i umyśle znalazł wszystko, co tylko żywot ludzki może ubłogosławić. Pług, pisząc o Wójcickim, taki przytacza wyjątek z jego listu: «Wpływ tego anioła dobroci i łagodności, tej prawdziwie świętej niewiasty, zmiękczył mój temperament szorstki i prędkiej; ona mi uczyniła dom świątynią i rajem, gdzie żyje w całej pełni szczęście rodzinne.» Rok 1833 spędziła młoda para we Lwowie, gdzie Wójcicki zawiązał stosunek bliższej przyjaźni z Augustynem Bielowskim, Józefem i Leszkiem Borkowskimi, Lucyanem Siemieńskim i powieściopisarzem Józefem Dzierzkowskim. Często przybywał do nich ze wsi szwagier Kazimierza, Dominik Magnuszewski na miłe pogadanki w kółku serdecznym. Rok ten, spędzony we Lwowie wśród tej wiernej drużyny, związanej jednością myśli i uczuć, Wójcicki do najmielszych wspomnień zaliczał, a ze stosunków tych wykwitła *Ziemia*, noworocznik na r. 1833, w którym pod przewodem Bielowskiego i Wójcickiego wystąpił cały zastęp młodych pisarzy z hasłem ożywienia obumarłego piśmiennictwa.

Powróciwszy do Warszawy, gdzie go zacny Brodziński ze współczuciem serdecznym powitał, i nie znalazłszy żadnego zajęcia, musiał z żoną i dzieckiem przytulić się pod skrzydła kochających rodziców, zanim przeniósł się do Jachronki nad Narwią, gdzie objął w zarząd cegielnię Banku Polskiego. Później wziął w dzierżawę dobra Górę pod Modlinem i z żarliwym zamiłowaniem oddał się gospodarstwu na roli. Doznawszy jednak ciężkich klęsk wskutek wylewu Wisły i poniósłszy dotkliwe straty na drugiej swojej dzierżawie w Łosiej Wólce, rozstać się musiał z ukochanym zawodem i życiem ziemiańskim i przeniósł ostatecznie do Warszawy. Tu w r. 1845 Onufry Wyczechowski, dyrektor Komisji Rządowej Sprawiedliwości, otoczywszy go swoją opieką, zamianował archiwistą głównym i bibliotekarzem Senatu, a następnie dyrektorem drukarni przy tejże Komisji i powierzył mu redakcję «Dziennika praw.» Utraciwszy tę posadę w r. 1862 za rządów margrabiego Wielopolskiego, obarczony



liczną rodziną, znalazł się w położeniu nader krytycznym. Żywa jednak sympatya, jaką przez piśma swoje w całym społeczeństwie pozyskał, nie dała mu zginąć. Za wpływem obywatelstwa obrany przez właścicieli listów zastawnych prezesem komitetu tychże przy Towarzystwie kredytowym ziemskim, skutkiem czterokrotnego ponawiania wyboru na urządzie tym pozostawał do końca swego życia.

Wójcicki należał do najpracowitszych i najpłodniejszych literatów swego czasu. Od czasu najpierwszego wystąpienia swego w *Korespondencie* r. 1826 do ostatniej chwili życia mnóstwo czasopism piórem swoim zasilął, sam był jednym z założycieli *Biblioteki Warszawskiej* 1841 r., której w 9 lat potem objął redakcję i prowadził do zgonu, a która jemu zawdzięczała szczęśliwe przebycie kryzysu w latach 1863—1865. W r. 1845 zredagował *Album Warszawskie*; w latach 1848—1849 wydawał *Album literackie zbiorowe*; od roku 1859—1866 był współpracownikiem «Tygodnika Ilustrowanego», a w r. 1865 przyczynił się do założenia «Kłosów», których współredaktorem był następnie do swego zgonu; przez całe dziesięciolecie wydawnictwa 28 tomowej «Encyklopedyi Orgelbranda» był członkiem komitetu redakcyjnego i wiele artykułów literackich i historycznych do niej dostarczył.

Z dzieł Wójcickiego, ogłoszonych osobno, najpierwszem były *Przysłowia narodowe*, wydane w r. 1830; po nich ogłosił w ciągu literackiego zawodu swego około 80 tomów i tomików bądź utworów oryginalnych, bądź materiałów historycznych i etnograficznych. Julian Bartoszewicz pisze o Wójcickim, iż był wybitną postacią świata literackiego w Warszawie, młody, żywy i zdolny, lubo znał tylko źródła polskie i więcej instynktem trafiał w serce narodu. Odznaczał się zamiłowaniem ku pamiątkom, ale w rodzaju Święckiego, który się nigdy nie zdobywał na krytykę. Pierwsze większe dzieło Wójcickiego «Przysłowia narodowe» było tak samo, jak śpiewy historyczne Niemcewicza, lubione i poszukiwane, tak samo przejęte duchem miłości ku wszystkiemu, co swoje, ale pomimo to pełne bajek, powiązanych ze wspomnieniami. W r. 1836 wydał Wójcicki 2 tomy «Pieśni ludu Białochrobatów i Mazurów z nad Buga», potem «Klechdy», wreszcie ogłosił w 1840 r. «Stare gawędy i obrazy», dzieło, któ-

re zjednało mu wysokie uznanie młodej, rodzącej się literatury warszawskiej. Wójcicki nie miał daru do stworzenia powieści historycznej na większą skalę, czego dowodem są jego «Kurpie», ale za to okazał się doskonałym gawędziarzem w małych obrazkach, w których pojedyncze typy przeszłości przenosił żywcem do literatury. W pierwszej chwili typy te były tak miłe i tak przystawały ogółowi do serca, że nie spostrzegano jednostronności jego pióra, której ulegając, wciąż malował tylko postaci rubaszne, i że wybitny charakter polskość mieścił się u niego w hulankach i bijatykach. Wpływ Wójcickiego okazał się w tym kierunku wszechwładnym. Nie tylko bowiem gawędy podobnie jednostronne upowszechniły się w literaturze, ale i w pojęciach młodszych pokoleń obyczaj polski zaczęto sobie wyobrażać z nieodłącznymi cechami rubaszości, opilstwa i zawadactwa. Miał jednak Wójcicki i rzetelne swoje zasługi: np. dużo czytał starych książek polskich, i w owym czasie nie było nikogo w Warszawie, któryby się mógł z nim porównać w znajomości literatury dawnej czysto polskiej. Młodzież ówczesna z zapalem spotykała po piśmach warszawskich artykuły Wójcickiego, a choć często artykuły te były zbiorem sądów dość dowolnych, ale pisane jędrnie i ciepło, zawsze o rzeczach swojskich, ukochanych. Bartoszewicz przypisuje w tem wielką zasługę Wójcickiemu, że, choć nie był należycie ścisłym badaczem naukowym, ale popularyzował, jak nikt przed nim, wśród ogółu rzeczy swojskie, a dwóm pokoleniom literatów wskazywał wytrwale pole pracy na niwie ojczystej.

Piszący to wspomnienie był w zakładzie naukowym Leszczyńskiego (w latach 1860 i 1861) uczniem Wójcickiego, który, aczkolwiek miał tylko jedną godzinę w tygodniu i więcej czytał, niż mówił, ale wybierał do czytania tak znamienne rzeczy z piśmiennictwa, a czytał i objaśniał tak poruszająco i tak umiał w młodocianych umysłach rozbudzać cześć dla podniosłych czynów i miłość do pamiątek, iż pamięć tych najmilszych chwil i tej wątłej, szczupłej, o potężnem czole i wielkich wyrazistych oczach jego postaci pozostała głęboko wyryta we wszystkich sercach szlachetniejszych. To też nie bezzasadnie Wincenty Korotyński na półwiekowy jubileusz pracy literackiej Wójcickiego ofiarował mu (r. 1877) napisaną wierszem klehdę, którą w wyjątkach przytaczamy:



— Była księżniczka przenajgładszej twarzy,  
Lecz szczęścia biedna nie miała do ludzi.  
Raz w czarowniku nienawiść obudzi, —  
A więc ją zaklął, i dwór jej, i łany,  
Ludzi i trawy na sen nieprzespany...

Przeróżni zewsząd ciągnęli rycerze,  
Co senną zbudzić pragnęliby szczerze.  
Lecz jednych zmogły pustynne upały,  
Drugich rozkosze w pół drogi wstrzymały.  
Ale się wreszcie zjawił junak chwacki,

Co przeniósł trudy i ponęt zasadzki,  
Strachy rozproszył, i królewski kwiatek  
Zbudził na szczęścia długiego zadatek.

Cny Kazimierzu! to Twój żywot cały.  
Przeszłości łany odłogiem leżały,  
Przeszłości dusza, jak dziewa zaklęta,  
Śniła w zabytkach, snem długim ujęta.  
Cisza się stała nad krajem grobowa,  
Gdy Ty zaklęcia odczyniałeś słowa;  
A życie tryśło weselem dokoła,  
Gdy myśl wskrzeszoną Tyś wiódł do kościoła.

*Zygmunt Głogier.*

# Bolesław Podczaszyński.

\* 1822 † 1876.

**N**ak najpłodniej spożytkować i wyczerpać naj-  
obficiej wszelką rozporządzalną siłę żywą—

pisze Szymon Askenazy—takie jest naczelne prawo ekonomii społecznej, takim samem prawem rządzą się społeczności ludzkie, im są naturalniejsze ich warunki bytowania i rozwoju. Takim atoli rzadko przychodzi rządzić się naszej. Ta, przeciwnie, aż nazbyt często wręcz odwrotną stosuje gospodarkę: z najwyższych swoich wykładników duchowych najdrobniejszą wywiązuje zawartość, z najżyźniejszych kłosów najskąpsze dobywa żniwo. Temi słowy znakomity historyk zaczyna przepiękny życiorys ś. p. Stosława Łaguny, tej niepospolitej i niewyzyskanej siły moralnej i umysłowej.

Słowo w słowo to samo możnaby zastosować do ś. p. Bolesława Podczaszyńskiego, który

w całym tego słowa znaczeniu był najuczeńszym z naszych archeologów i budowniczych XIX wieku, ale oddany pracy mozolnej na powszedni kawałek chleba nie zajął nigdy stanowiska ani w hierarchii społecznej, ani w literaturze, do którego dawała mu prawo niepospolita wiedza, głębokość umysłu i idealna zacność duszy. Mieliśmy prawdziwe szczęście znać bliżej tego uczonego badacza naszej przeszłości i dlatego przytoczymy tu całe ustępy z najlepszego jego życiorysu, który skreślił zaraz po zgonie Fel. Maks. Sobieszczański.

Całe życie swoje Podczaszyński oddał wyłącznie nauce, sztuce



*Podług fotografii T. Dutkiewicza.*

*Bolesław Podczaszyński.*

kom pięknym i gromadzeniu zabytków przeszłości, którą całym sercem ukochał. Zbiory, pozostawione przez niego, okazały najdowodniej, co może, przy ograniczonych nawet środkach, szlachetna miłość przedmiotu i usilność, skierowana z zapałem do oznaczonego celu naukowego. Z ujmą niezbędnych potrzeb własnych i swojej rodziny, drogą bezwzględного zaparcia się i poświęcenia doszedł Podczaszyński do olbrzymiej, bo około *dziesięć tysięcy* okazów obejmującej kolekcji sfragistycznej. Były to przeważnie odciski, ale w znacznej części i dokumenta z pieczęciami i tłoki pieczęci polskich z *siedmiu wieków*. Więc pieczęcie książąt dynastii piastowskiej, królów polskich, prymasów, biskupów, wojewodów, kasztelanów, urzędów wszelkich, miast, klasztorów, ziem, szlachty herbowej, cechów, komisji i dowódców wojskowych. Spojrzawszy na ten wspaniały zbiór, ułożony wzorowo i opatrzony notatkami, mógłbyś sobie pomyśleć, że twórcą jego musi być jeżeli nie jakaś instytucja krajowa, to pewnie jakiś magnat polski, ogrzany miłością nauki i pamiątek przeszłości, dla których ocalenia nie szczędził pracy i sumptu. Niestety, żaden magnat nie zdobył się na to w tym kierunku, czego dokonał budowniczy, skromną posadę rządową przy okręgu naukowym warszawskim piastujący.

A przecież obok sfragistyki polskiej Podczaszyński zgromadził największy u nas zbiór oronzów przedhistorycznych, którego mała część, złożona z kilkudziesięciu okazów, odznaczoną była zaszczytnie na zjeździe archeologicznym r. 1876 w Peszcie, a całość została po zgonie uczonego nabyta za rubli 3000 przez Akademię Umiejętności i przewieziona do Krakowa. Podczaszyński posiadał także wielkiej wartości zbiory rycin polskich, map, dyplomatów, rękopisów, rysunków i autografów obok doborowej biblioteki dzieł historycznych i odnoszących się do archeologii, sztuk pięknych i budownictwa w kilku językach. Wszystko ułożone było w szafach i pudłach z nadzwyczajnym porządkiem w nieobszer-  
nem mieszkaniu na drugim piętrze jednego z pawilonów pałacu kazimierowskiego, a nabierało jeszcze większej wartości przez nadzwyczaj chętnie udzielanie na korzyść nauki. Była to bowiem jedna z pięknych i wybitnych cech charakteru uczonego badacza, że nauki swojej nigdy nie skąpił nikomu i przy każdej sposobności życzliwie

dopomagał w pracy innym. Przez lat 20 profesorstwa w warszawskiej szkole sztuk pięknych wykształcił całe pokolenie naszych budowniczych, a niejednen z architektów i malarzy zawdzięczał mu cały kierunek i wskazanie drogi, którą poszedł.

Paweł Bolesław Podczaszyński, syn Karola, znakomitego profesora architektury w uniwersytecie wileńskim, znanego chlubnie w literaturze, i Ewy z Palczewskich, urodził się w Wilnie dnia 2-go lipca 1822 r. Nauki pierwsze i średnie pobierał w domu rodzicielskim od najcelniejszych podówczas nauczycieli wileńskich, a od r. 1837 w obu wyższych naukowych zakładach, jakie po zniesieniu uniwersytetu zostały, a mianowicie: słuchał nauk przyrodniczych w Akademii medycznej, a literatury polskiej u profesora Leona Borowskiego w Akademii duchownej; wyższej matematyki u profes. byłego uniwersytetu, A. Wyrwicz, języków starożytnych u profes. Adama Jochera, rysunków u Rustema, Rusieckiego i Wańkowicza. Zawczasu pod okiem ojca ucząc się budownictwa praktycznie i teoretycznie, w 12-ym roku życia był już rysownikiem i później odznaczał się niepospolitą biegłością, smakiem i wytwornością w tej sztuce. W 20-ym roku życia udał się za granicę, gdzie rok cały słuchał kursów uniwersyteckich w Berlinie, następnie w Sorbonie, w kolegium francuskim, w szkole kopalnictwa i w konserwatorium sztuk i rzemiosł. W roku 1845 został budowniczym w Warszawie, gdzie wezwany przez okrąg naukowy, mianowany nauczycielem rysunków architektonicznych i perspektywy w szkole sztuk pięknych pozostawał przy tej szkole przez cały czas jej istnienia (1845—1865), wykładając teorię budownictwa, konstrukcji, kompozycji oraz historię tej umiejętności. W ciągu całego zawodu nauczycielskiego starał się Podczaszyński usilnie obudzić w młodzieży zamiłowanie do obranego przez nią powołania i wpoić przekonanie o potrzebie wielostronnego naukowego wykształcenia dla budowniczego, którego działalność w blizkim zostaje związku z wieloma warunkami bytu społeczeństwa.

Z wielką korzyścią dla nauki były jego czterokrotne dłuższe podnóże po Europie, które odbywał własnym lub rządowym kosztem dla zwiedzenia wystaw przemysłowych, zbadania ulepszeń architektonicznych w zakładach naukowych, mu-

zeach, bibliotekach, urządzeń służby budowniczej, higienicznej i t. d. Przy tej sposobności poza-  
wizywał bliższe stosunki naukowe z najgłośniejszymi uczonymi zachodu, i, jak to widać z ich korespondencji, był wysoko przez nich ceniony. Mieli tylko, zwłaszcza Francuzi, niemały kłopot z czytaniem jego nazwiska, które ułatwiali sobie brzmieniem wyrazów.

Przy szkole sztuk pięknych utworzył bibliotekę, gabinet techniczny i wzorów i dzieł budownictwa. W r. 1867 przeniesiony został ze stanu nauczycielskiego do służby administracyjnej w tejsze władzy edukacyjnej, zamianowany budowniczym okręgu naukowego warszawskiego. Na tym urzędzie, który rozciągał się wprawdzie na obszar całego Królestwa, ale mało był płatny, pozostawał nasz uczone przez lat 9, t. j. do zgonu swego w r. 1876. Dla pomnożenia niewystarczających środków materialnych Podczaszyński zajmował się prywatną praktyką budowniczą, sporządzając plany kościołów, kaplic i dworów dla prowincyi, co wyczerpywało nadmiernie jego siły i zabierało czas, który dla naukowego piśmiennictwa mógł być stokroć pożyteczniejszy spożytkowany. Na życiu Podczaszyńskiego ciążyło fatum przysłowia, iż «lepszym jest łut szczęścia, niż funt rozumu.» Raz jeden tylko zabłysnął mu promyk nadziei, gdy rada miasta Krakowa przystępowała do obioru budowniczego miejskiego. On jeden zdawał się być stworzony na tę posadę, jako znawca sztuki i architektury starożytnej, mąż rozległej nauki, świetny rysownik, a przytem człowiek nieskazitelnej cnoty. Dwa kandydowało nazwiska, oba z Warszawy. Jedno znane całemu światu uczonemu, drugie—prawie nikomu. Padły głosy, i Podczaszyński — przepadł, bo wstrętą dla niego była myśl agitacyi. Prawie jednocześnie spotkał go i drugi bardzo niemiły zawód. Poproszony został o plan przebudowy pałacu w Sieniawie i projekt gmachu na muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie. Podczaszyński poświęcił sporo czasu na wygotowanie tych planów, które następnie poddane były ekspertyzie jakiegoś budowniczego Francuza w Paryżu. Ten, będąc sam interesowany w tej sprawie, wydał opinię niekorzystną i robotę Podczaszyńskiego, jako nieprzyjętą, ocenił nad wyraz marnie.

Podczaszyński pisał nie tylko w języku ojczystym, lecz także we francuskim i niemieckim.

W r. 1850 zaczął wydawać czasopismo *Pamiętnik sztuk pięknych*. Do r. 1855 wyszedł tom 1-szy, z trzech części złożony, i tomu 2-go część 1-sza. Pamiętnik redagowany był starannie, ale dla niedostatecznej ilości prenumeratorów upadł. Gdy w r. 1856 urządzona została świetna wystawa starożytności w pałacu hr. Augustów Potockich, Podczaszyński zrehabilitował krytycznie: *Katalog wystawy starożytności i przedmiotów sztuki*, a później wydał *Przegląd historyczny starożytności krajowych*. Była to właściwie odbitka całego szeregu jego cennych artykułów, pomieszczonych w odcinku «Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych.» W r. 1849 wyszła sposobem autografowanym «Nauka Perspektywy», kurs, ułożony dla uczniów szkoły sztuk pięknych. Pomieszczał także dość liczne rozprawy i artykuły po różnych czasopismach i dziełach często zupełnie bezimienne.

Przygotowywał Podczaszyński trzy obszerne dzieła do druku: 1) *Nauka budownictwa* w 5-ciu tomach; 2) *Żywoty i prace budowniczych i rzeźbiarzy w Polsce* i 3) *Sfragistykę polską*. Atoli śmierć przedwczesna i prace urzędowe lub zarobkowe przeszkodziły ukazaniu się dzieł powyższych, przynosząc tem niepowetowaną szkodę dla nauki polskiej. Po śmierci bowiem Podczaszyńskiego cenne jego zbiory rozproszyły się po świecie, a wśród budowniczych i uczonych nie pozostawił spadkobiercy, który spożytkowałby cały ogrom notatek i wypisów. Tu nadmienić jeszcze wypada, że wykonał wiele artystycznych rysunków do «Wzorów sztuki średniowiecznej» wydanych przez Aleksandra Przeździeckiego i Rastawieckiego, którzy często udawali się do niego po światłą radę. Niemniej do kilku medali, np. wybitych na pamiątkę ministra Mostowskiego, otwarcia Akademii medycznej w Warszawie, wypadków d. 8-go kwietnia i t. d. Gdy Towarzystwo naukowe krakowskie przekształcone zostało na Akademię Umiejętności, został Podczaszyński jednym z pierwszych jej członków.

Krótki niniejszy żywot uczonego męża, będący tylko streszczeniem napisanego obszerniej w *Tygodniku Ilustrowanym* (r. 1876) przez F. M. Sobieszczańskiego, zaczęliśmy od słów Szymona Askenazego, piszącego o Łagunie, i kończymy słowami tegoż, że żalem przejmowała nas myśl o społeczności, wydającej ludzi, którymi szczyliłyby się

najoświecześniejsze społeczeństwa Europy, a którzy wśród nas, w oczach naszych zwiędli w cieniu i półbycie. Trzech takich ludzi znaleźmy bliżej

osobiście: Stosława Łagunę, Wincentego Korotyńskiego i Bolesława Podczaszyńskiego.

*Zygmunt Gloger.*

# Ignacy Łyskowski.

\* 1820 † 1886.

Syn ziemianina z Prus zachodnich czyli królewskich, urodzony w r. 1820, zaledwie ukończył studia uniwersyteckie we Fryburgu i Wrocławiu, stanął na tak zw. przedparlamencie frankfurckim i zdobył w tych szrankach pierwsze liście do wieńca zasługi obywatelskiej. Od tej chwili mandat poselski nigdy go nie omijał, a danem mu było przejść przez wszystkie czasy, koleje i pola prac publicznych dla swego społeczeństwa i kraju. Znalazłszy się w rodzinnym Mieloszowie, na ziemi dawnej Michałowskiej w okolicach Brodnicy i będąc wzorowym rolnikiem, przez lat 40 pracował na kawałku ojcowizny z niepospolitą wytrwałością i umiejętnością. Gdy sława jego jako znakomitego ziemianina

rozległa się szeroko, poczęto żądać od niego rad i uwag rozlicznych. Wówczas Łyskowski wziął się do pióra, którem skreślił cały szereg dzieł popularnych. Jego «Gospodarz», przystępnie i z wielką znajomością przedmiotu napisany, doczekał się 4-ch wydań i rozszedł się w kilku dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, a całe pokolenie rolników, nie wyłączając najuboższych, czerpało z tego źródła pożyteczne wiadomości i wskazówki. Książka «O płodozmianie» miała pięć wydań.

Wielki przyjaciel ludu, otaczając szczególnem i rzewnem przywiązaniem rodzinną ziemię Michałowską, należał tu do najpierwszych wskrzesicieli i stróżów ducha swojskiego. Nic się tam bez niego nie stało, a na hasło «dobrobyt



*Ignacy Łyskowski.*

kraju, oświata ludu i miłość wzajemna warstw społecznych z ochroną przeciw germanizacyi» biegł wszędzie, już to jako założyciel i przodownik, już jako niestrudzony szeregowiec i pracownik. Radził, tworzył, wszystkie swe środki oddawał, pełen wiary, serca, ciepła i bezgranicznego poświęcenia. On to poparł założenie czasopism: «Szkółki» i «Nadwiślanina», on wpłynął na przeniesienie drugiego tego pisma do Torunia i na przemianę go na «Gazetę toruńską», organ polityczny Prus zachodnich; on, gdy szło o pomoc dla tych wydawnictw, pierwszy pośpieszał z groszem. Łyskowskiemu w znacznej części przypisać należy ufundowanie Towarzystwa naukowego w Prusiech zachodnich, Towarzystwa pomocy naukowej, Muzeum w Toruniu i t. d. Pierwszą książką, jaką sam napisał, były wydane w Brodnicy r. 1847 «Poezje... ziemianina na Michałowskiej ziemi». W następnym roku ukazała się także w Brodnicy i w Kwidzynie «Scena w piekle — pieśń bohatyrska». Dalej w Chełmnie r. 1849 «Książeczka dla ludu polskiego, zawierająca w sobie różne rzeczy dla nauki i zabawy». W r. 1854 generalny nakładca i wydawca prac Łyskowskiego niejaki C. A. Köhler w Brodnicy wydał «Pieśni gminne i przysłowia ludu polskiego w Prusiech zachodnich, zebrane przez Ign. Łyskowskiego». Rozumny i dzielny ziemianin pragnął nietylko zachęcające się u ludu pieśni i przysłowia polskie dla nauki zachować, ale niemniej w pamięci przyszłych pokoleń utrwalić.

Jedną z głównych zasług Łyskowskiego było jego posłowanie do sejmu niemieckiego i parlamentu pruskiego. Obowiązek ten spełniał z zapalem w obronie praw wyborców, którą uważał za rzecz świętą. To też imię jego stało się bardzo poważnem, gdy domagać się począł równouprawnienia języka polskiego w szkołach i urzędach w Księstwie poznańskim i Prusiech zachodnich. Jeździł umyślnie do Berlina, aby kołatać do biur ministeryalnych za nieszczęśliwymi wydalonymi. W ostatniej sesyi, acz chory, zabierał głos wśród obrad nad ustawami anti-polskimi. Z łóża niemocy pisał jeszcze do Henryka Szumana: «Przyjacielu! — boli mnie niewymownie, iż wśród tych ciężkich walk waszych w sejmie nie mogę być z wami... Z łóża, na które mnie rzuciła operacya, odzywając się, proszę, miejcie mnie za wytłómaczonego; — mam nadzieję, iż niedługo do sił przyjdę i zaraz stanę w szeregu».

Niestety! nadzieja go zawiodła. W dniu 15 czerwca w Poznaniu r. 1886 zamknęły się na wieki wymowne i śmiałe usta dzielnego obrońcy praw ludzkich, niezłamanego żadnemi przeciwnościami szermierza w walce kresowej a tysiącletniej z germanizmem, tego dzielnego i szlachetnego pracownika na rodzinnym zagonie, człowieka, którego cały żywot był wzorem i przykładem dla ziemian.

*Zygmunt Głóger.*



# Edmund Stawiski.

\* 1813 † 1890.



**A**ldzony w r. 1813 w Rusowie pod Kaliszem, jako syn referendarza przy

Radzie stanu Księstwa Warszawskiego, pobierał Edmund Stawiski nauki w szkole wojewódzkiej kaliskiej, następnie u księży pijarów w Warszawie i nakoniec w uniwersytecie aleksandryjskim tamże. Liczne podróże po Europie oraz obfita biblioteka domowa jego ojca były mu pomocne w uzupełnieniu wykształcenia, którem zabłysnął nie tylko wśród współziemian, lecz i w piśmiennictwie naukowym polskim.

Służbę obywatelską rozpoczął wcześniej, bo już w 27-ym roku życia powołany został na radcę dyrekcyi szczególnej Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Kaliszu, a następnie na radcę komitetu tegoż Towarzystwa.



*Edmund Stawiski*

W r. 1857 został redaktorem «Roczników gospodarstwa krajowego», a w r. 1858 członkiem komitetu Towarzystwa rolniczego, w roku zaś 1859 członkiem korespondentem Towarzystwa naukowego w Krakowie. W roku 1861 wszedł do Rady stanu Królestwa Polskiego a w r. 1866 wybrany ponownie radcą komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, pozostawał na tem stanowisku przez lat szesnaście. Na wszystkich tych polach działalność Stawiskiego odznaczała się świetnie zarówno wiedzą i rozumem, jak wielkiem poczuciem obowiązku i wy-

trwałą, cichą pracą. — Jako pisarz, pozostawił Stawiski cenną spuściznę w licznych rozprawach i artykułach, drukowanych w «Rocznikach gospodarstwa krajowego» i w «Bibliotece warszawskiej». Jego «Poszukiwania do historii rolnictwa krajowego», ogłoszone najprzód w «Bibliotece warszawskiej» (r. 1851 — 1852), a następnie w oddzielnym tomie (r. 1858), stanowią pracę samodzielną, poważną, źródłową i prawie jedyną dotąd w tym kierunku. Pisał także «O znaczeniu jednostki w społeczeństwie», «Studia ekonomiczne», «Studyum o literaturze ekonomicznej polskiej», «Studia o handlu w dawnej Polsce», «O kongresach naukowych» i t. d. i t. d. Należał do inicjatorów pierwszego wydania «Encyklopedyi rolniczej» i wspólnie z księciem Tadeuszem Janem Lubomirskim i profesorem Stanisławem Przysiańskim tworzył grono redaktorów tego pomnikowego i szybko wyczerpanego dzieła.

Wszechstronny umysł Stawiskiego i gorące poczucie obywatelskie służenia każdej sprawie naukowej kraju dotyczącej, wprowadziły go pod koniec życia na pole badań przedhistorycznej przeszłości i kultury okolic jego rodzinnych, t. j. doliny rz. Warty, gdzie w swoich dobrach Podłężyce w pow. sieradzkim zamieszkiwał. Brał więc czynny udział w zebraniach kółeczka archeologicznego, które składali ks. Tadeusz J. Lubomirski, Jan Zawisza, prof. Józef Przyborowski i Z. Gloger, i w wydanych przez to kółeczko trzech tomach «Wiadomości archeologicznych» kilka cennych artykułów ogłosił. Zmarł 1890 r. w Podłężycach, pochowany we wsi kościelnej Męka. Pozostawił powszechny i głęboki żal wśród ziemian, którzy otaczali go głębokim szacunkiem i uznaniem, jako człowieka szlachetnego charakteru i ujmującej słodyczy towarzyskiej.

*Zygmunt Gloger.*



# Józef Ignacy Kraszewski.

\* 1812 † 1887.



**N**iesłychana, u żadnego innego narodu nie mająca odpowiedniego przykładu płodność autorska, niezmierną żywością usposobienia i nadzwyczajną łatwością pisania wsparta, uczyniła Kraszewskiego nie tyle wielkim twórcą arcydzieł, ile raczej niezmordowanym siewaczem myśli i uczuć, wiernym przedstawicielem nastrojów społeczeństwa w przeciągu półwieku zgórą, czujnym budzicielem ruchu literackiego, kiedy ten z jakichkolwiek powodów słabnąć i omdlewać zaczął.

Powiedziano to już niejednokrotnie, że Kraszewski więcejby zrobił dla swojej sławy jako powieściopisarz, gdyby się był mniej rozpraszał gdyby zatem staranniej, z pilniejszym artystycznym rozmysłem dzieła swe opracowywał; ale sam autor «Ułany» odpowiadał na takie uwagi, że właściwością jego talentu było, iż rzeczy, nad którymi długo pracował, wcale nie stawały się przez to lepszymi, i że zresztą nie chodziło mu tak bardzo o sławę własną, jak o pożytek ogólny, czuł się powołanym do podawania spółziomkom swoim nie wykwinnych potraw artystycznych, lecz zwykłego powszedniego chleba.

Istotnie przyszło po nim kilku doskonalszych artystów słowa, co paroma utworami większe wywołało wrażenie w krótkim przeciągu czasu, aniżeli on setkami w ciągu lat 57; takiego wszelako pisarza, coby, jak on, ogarniał całość literackiej działalności narodu — czy w twórczym, czy w krytycznym zakresie — nie mieliśmy i nie mamy po

nim zgola. On pozostał jedynym w swoim rodzaju; a choć znaczna część dzieł jego trwałej wartości nadal nie zachowa, autor ich w dziejach piśmiennictwa i oświaty naszej zatrzyma nazawsze miejsce tak wybitne i tak zaszczytne, jak mało który z naszych prozaików.

Rozpoczął działalność swoją w dobie najbujniejszego i najświetniejszego rozkwitu naszej poezji romantycznej, a skończył w czasie stanowczej przewagi realizmu i pozytywizmu zarówno w życiu, jak i w literaturze. Nie zaciągnął się atoli stanowczo i bezwzględnie pod żaden sztandar; jak w zaraniu młodości drwił z wybryków ekscentrycznego romantyzmu, z romantyzmu w karykaturze, tak znowuż na dziesięć lat przed zgonem wystąpił żywo w obronie wielkiej poezji romantycznej, napadniętej przez jednego z przedstawicieli suchej rozumowej trzeźwości. Lubił i zalecał umiarkowanie, a choć miał temperament wrażliwy i drażliwy, rzadko kiedy dawał mu się porwać, rzadko kiedy wpadał w jakąkolwiek krawcowość.

Nie miał tej twórczej geniusza potęgi, co nowe drogi toruje, ale posiadał dosyć siły talentu, by znane już drogi wyrównać i w piękne dzieła sztuki przyozdobić. Położył niepospolite zasługi jako historyk, dziennikarz, feljetonista, krytyk; lecz w dziedzinie powieściopisarstwa przez czas długi nie miał sobie równego, a obfitością utworów, żywością ich obrobienia, dowcipem, przystępnością stylu sprawił, że czytelnictwo w języku

polskim ogromnie się wzmogło, a przez to i srodek główny szerzenia oświaty wśród mas wzrósł i spotężniał.

Ilość utworów Kraszewskiego jest tak olbrzymia, że ocena ich choćby najzwięźlejsza musiałaby wypełnić obszerną książkę, więc w tym krótkim zarysie kusić się nawet o to nie mogę, zmuszony poprzestać na skreśleniu głównych, zasadniczych przejść w życiu i działalności znakomitego twórcy naszej powieści nowożytnej. Przejść takich wyróżniam cztery.

## I.

Rodzina Kraszewskich pochodziła pierwotnie z Wielkopolski, osiadła potem na Litwie; pisarz nasz atoli przyszedł na świat r. 1812 w Warszawie, dokąd rodzice jego schronili się przed nadciągającą burzą wojenną. Pierwszy rok życia spędził Józef Ignacy na tulaczce po kraju, tak jak ostatnie dwadzieścia pięć lat życia. Wychowywał się początkowo pod okiem wyłącznie niewieściem: prababki i babki w Białej podlaskiej. Pierwsze nauki szkolne pobierał również w Białej i pierwszy swój utwór wierszowany — balladę o strachach w zamku — tu również utworzył pod wpływem ballad Mickiewicza, które się wtedy świeżo w Wilnie r. 1822 ukazały. Pierwszy atoli ten utwór, dla rodziny tylko i grona kolegów przeznaczony, nie był bynajmniej ani wskazówką ściśle określonego kierunku myśli i wyobraźni, ani też zapowiedzią głównej kiedyś działalności, świadczył jedynie o nadzwyczajnie wrażliwym nastroju chłopca, uzdolnionego do przejmowania się różnorodnymi uczuciami i wzruszeniami, a władającego przecież o tyle sobą, że krańcowo w żadnym nie szedł kierunku.

Dalsze nauki gimnazjalne uzupełniał młody balladzysta kolejno w Lublinie i w Świsłoczy, gdzie je ostatecznie ukończył i skąd następnie przeszedł na uniwersytet wileński w r. 1829. Zakład ten nie był już w owej dobie tem świetnem ogniskiem wiedzy, jakim się nam przedstawia w czasie studyów Mickiewicza: pierwszorzędni profesorowie wtedy albo już pomarli, albo też opuścić musieli swe katedry i z dawniejszych nauczycieli pozostał na wydziale literackim («sztuk i nauk wyzwolonych») tylko Leon Borowski, dbający przede wszystkim o jasność myśli, poprawność i zwię-

złość wyrażenia. Wykładów jego słuchał też Kraszewski, rozczytując się przytem w świeżo naten czas wydanych dziełach jego poprzednika na katedrze, Euzebiusza Słowackiego, ale nie zaniedbując przytem studyów nad literaturą łacińską i grecką.

Lubo jednak czuł zapal do wiedzy, najmilej mu było przebywać w towarzystwie poetów i powieściopisarzy. Czytał bardzo dużo, czytał rzeczy najróżnorodniejsze, a że z języków nowożytnych, już wtedy władał nieźle francuskim, więc obfita literatura, naówczas w mniemaniu powszechnem niezmiernie wzbogacona twórczością Wiktora Hugo z jednej, a Balzaca i Henryka Beyle'a (Stendhala) z drugiej strony, mogła stać się mu dostępną i rzeczywiście wpływ nań, obok powieści Waltera Scotta, wywierać zaczęła dość znaczny.

Te zajęcia literackie tak pochłaniały uwagę młodzieńca, że nie pojechał nawet na wakacje r. 1830 do domu, lecz pozostał w Wilnie, mile spędzając czas w gronie kolegów swoich, również hołdujących literaturze pięknej.

W lecie tego roku miał już gotowe do druku trzy powieści i niebawem ogłosił na nie prospekt, uwytatniając w nim swoje przeciwieństwo względem innych powieściopisarzy, wyprowadzających na scenę bohaterów, wstawionych dziwnymi przygodami, gdy on zamierzał kreślić postaci wzięte życia codziennego, z ich drobnymi sprawami w radości czy smutku dokonywanymi; chciał przedstawić świat, widziany przez dziurkę od klucza, że się tu posłuży własną jego cytata z jakiegoś pisarza.

Z zapowiadzianych prospektem «obrazów towarzyskiego pożycia» ukazał się istotnie w Wilnie z datą r. 1831 pierwszy z kolei p. t. «Pan Walery». Jest to wogóle pierwsza *większa* powieść Kraszewskiego drukiem ogłoszona; — mówię *większa*, gdyż drobne powiastki już poprzednio z datą roku 1830 ukazały się czy to w «Noworoczniku literackim», czy też w «Bałamucie petersburskim».

Jako powieść, «Pan Walery» nie stanowił postępu w naszej beletrystyce; mieliśmy już wówczas całostki znacznie lepsze w kompozycji i rozwinięciu charakterów, że tylko przypomnę «Pana Starostę» Fryderyka Skarbka oraz «Zofię i Emilię» Elżbiety Jaraczewskiej. W «Panu Walerym» niema prawie wcale intrygi powieściowej,



*Z fotografii z natury ze zbiorów F. S. Leventhala.*

*John Leventhal*



bo to, co nią nazwaćby można, miłość do Cesi i małżeństwo z tą panienką, zjawia się dopiero pod koniec książki, którą autor, drwiąc z samego siebie, dedykował wszelkiego rodzaju i imienia «próżniakom», przybierając żartobliwy pseudonim Kleofasa Fakunda Pasternaka. Treść utworu wypełniają zarysy spotykanych przez pana Walerego osób, kreślonych widocznie z natury, ale w sposób zazwyczaj karykaturalny. Młody bowiem autor nie cierpiał nie tylko sentymentalności, ale nawet uczuciowości, wyśmiewając wybuchy romantyków; natomiast komizm i satyrę — co prawda w dość poziomym rodzaju — uprawiał z zamiłowaniem. W związku z tą skłonnością zostaje wykluczenie wszelkiej patetyczności i dążność do prostoty, w jej najłatwiej uchwytniej postaci, tj. za pośrednictwem malowania strony zewnętrznej osób i rzeczy, bez zagłębiania się w ich dusze.

Też same właściwości, z dodatkiem słabej fantastyki lub też grubego komizmu, widnieją i w dwóch innych powiastkach zapowiadanych prospektem, ale wydanych nieco później, z powodu znanych wypadków r. 1831, tj. w «Wielkim świecie małego miasteczka» (Wilno, 1832, 1833), oraz w «Dwa a dwa cztery czyli piekarz i jego rodzina» (tamże, 1837). Jak w «Panu Walerym», tak i w tych obrazkach osnowa powieściowa prawie nie istnieje; a osoby i rzeczy są odtworzeniem zewnętrznych rysów tego, co Kraszewski widział w Białej, Lublinie i Świsłoczy. Tę samą metodę patrzenia przez dziurkę od klucza zastosował młody autor do powiastek, osnutych na tle historycznym. Zmuszony pozostać w Wilnie przez półtrzecia roku, zajął się on studiami dziejowymi, mając zamiar napisania historii miasta Wilna, a korzystając z tych studyów, kreślił tymczasem obrazki z XVII stulecia, całkiem odmienne od koturnowych powieści historycznych Bernatowicza; malowały one bowiem głównie słabe, śmieszne strony przeszłości, czy to gdy odtwarzały intrygi na dworze Wazów («Ostatni rok panowania Zygmunta III»), czy gdy niesnaski między kalwinami a katolikami przedstawiały («Kościół Ś-to Michalski»), czy wreszcie gdy ośmieszały czarno-księżników i naiwną wiarę w ich potęgę («Majster Bartłomiej»).

Ale i społeczne życie towarzyskie w Wilnie zwracało uwagę bystrego spostrzegacza. Odmalował je naprzód w «Panu Karolu» (1833), a po-

tem w «Improwizacjach dla moich przyjaciół» (1834), posługując się tym razem stylem jaskrawym, malując sceny drastyczne, starając się o zdobywanie «siły» w błędnym jeszcze mniemaniu, jakoby ona polegała na pewnej obcesowości i brutalności. Podobny sposób pisania znamionuje również dwutomową powieść «Cztery wesela» (1834), pierwszy obraz życia szlachty wiejskiej, wraz z duchowieństwem, obraz pełen cieni, bez najmniejszego jaśniejszego promienia. Obraz ten powstał ze spostrzeżeń, uczynionych podczas krótkiego pobytu na wsi w r. 1833. Stanowił on już pewną całość; nie był zbiorem tylko szkiców, jak dawniejsze utwory, ale jaskrawość jego mocno raziła.

Po ogłoszeniu tej powieści Kraszewski przez lata kilka drukował w czasopiśmie drobne tylko powiastki, próbując rozmaitych stylów od «mocno realistycznego» do prozy poetyckiej; główna atoli działalność jego — to publicystyka w czasopiśmie naówczas wielce rozpowszechnionym na Litwie i Rusi, w «Tygodniku petersburskim». Pisał tu rozprawki, oceny, zarysy chorób umysłowych XIX wieku, dążył do tego, żeby w społeczeństwie, znękanem klęskami i w skutek tego apatycznym, obudzić zajęcie się literaturą, sztuką, nauką, żeby je zachęcić do życia umysłowego, żeby je obznajmić z pojęciami i kierunkami, znanymi dobrze w Europie, ale nader słaby znajdującymi odgłos w zapadłej głuszy prowincjonalnej. Pisał żywo, dobitnie, zajmująco i osiągnął istotnie cel zamierzony; ruch książkowy zaczął się wzmacniać, czytelnictwo rosło, chociaż zapewne nie w takiej mierze, jakiej pragnął niecierpliwy publicysta.

To też nie odnajdujemy uczucia zadowolenia, a tem mniej tryumfu w utworach, jakie wypływały z pod jego pióra w ciągu zasilania «Tygodnika petersburskiego» artykułami. Owszem, czujemy w nich wzmożone ostrze ironii w zastosowaniu do tłumu, żyjącego życiem zewnętrznym i nie umiejącego zrozumieć i ocenić natur wyższych, przebywających w krainie duchowej, twórczej. Taka jest mianowicie zasadnicza treść jego powieści, najlepszej ze wszystkich, jakie powstały między rokiem 1830 a 1840, mianowicie w «Poezie i świecie» (druk. po raz pierwszy w Poznaniu r. 1839). Nie zgadzając się nawet z autorem na ocenę charakteru Gustawa, poety, kończącego swój zawód na pijaństwie, musimy uznać

ślusznosc samej nysli przewodniej, samej daznosci, wskazujacej przepasc pomiedzy mysalami, uczuciami, zamiarami i postepkami tych tłumow, co o duszy swojej mysla conajwyzej przy spowiedzi, a ta garstka wybrańcow umyslowych, dla ktorych zadowolenia materyalne nie stanowią glównego celu życia, bo dusza ich wiecznie głodna, wiecznie spragniona ideału, toczy z własnem ciałem, ze światem i szatanem ten bój rozpaczliwy, o którym już u nas pisał pobożny pesymista XVI wieku, Mikołaj Sęp Szarzyński.

## II.

Powieść tę tworzył Kraszewski, osiadłszy już stale na wsi (najprzód w Omelnie, a następnie w Gródku na Wołyniu) i ożeniwszy się z Zofią Woroniczówną. Kreślił ją żywo, namiętnie, z silnem odczuciem każdej sytuacji, każdego niemal zdania. Taki utwór musiał zwrócić na siebie powszechną uwagę; młodzież przepadała za nim, a starsi, lubo wytykali wady zarówno w ogólnem pojęciu stosunku poety do świata, jak i w szczegółach wykonania, musieli mu przyznać wielkie zalety i postawić go na czele wszystkich ówczesnych powieści obyczajowych. Sława Kraszewskiego jako powieściopisarza ustaliła się; zaczęto pisma jego czytać chciwie, a księgarze śpieszyli z zamówieniami na prace nowe. Mianowicie księgarz Zawadzki w Wilnie zapowiedział cały szereg szkiców obyczajowych, gdzie prócz powtórnych wydań powieści dawniej ogłoszonych miały się pojawić zupełnie nowe. Jakoż istotnie w ciągu dwóch lat (1840-1841) Kraszewski napisał a Zawadzki wydrukował kilka całkiem świeżych opowiadań, z pomiędzy których wyróżniono mianowicie dwa wybitniejsze: «Mistrz Twardowski» i «Całe życie biedna».

Powieściopisarstwo atoli nie wypełniało bynajmniej całkowitej działalności rzutkiego autora. Od roku już 1833 pisywał on drobne wiersze; niektóre z nich miały w swoim czasie pewien rozgłos, jakkolwiek nie odznaczały się wielką świeżością pomysłów lub wyrażenia; w r. 1838 wyszedł dwutomowy zbiorek «Poezyj», a tom drugi zajmowała wyłącznie tragedia p. t. «Halszka z Ostroga», obfitująca w efekty romantyczne, ale nie celująca konsekwentnym rozwojem charakterów ani też skupioną, skondensowaną akcją.

I druga próba tragedii p. t. «Tęczyńscy» nie okazała się szczęśliwą; autorowi brakowało siły prawdziwie tragicznej.

Lepiej nieco powiodło się Kraszewskiemu w dziedzinie epiki. Zamierzył on odtworzyć życie Litwy pogańskiej w szczegółach realnych. chcąc tym sposobem dopełnić drobne zarysy, mistrzowską ręką rzucone w «Grażynie» i «Konradzie Wallenrodzie». Zamiar swój na wielką rozwinął skalę i wykonał go w trylogii poetyckiej, zatytułowanej: «Anafielas». Pierwsza część tej trylogii, wydrukowana r. 1840, nosiła napis: «Witolorauda» i przedstawiała mitologiczne podanie litewskie; poezji było w niej najwięcej; dwie dalsze części: «Mindowe» (1842) i «Witoldowe boje» (1845), oparte na faktach dziejowych, stały się kronikami nudnemi i nie obudziły żywszego zajęcia, chociaż «Mindowe» miał zapalonych chwalców. Bądźco bądź okazało się, że wielka epopea litewska, mająca na celu wywołanie jeżeli nie uwielbienia, to sympatii dla zamierzchłej przeszłości, która po sobie nie pozostawiła żadnego żywotnego interesu, przerastała siły Kraszewskiego; nie znalazła ona (wyjawszy część pierwszą) czytelników, coby ją naprawdę za piękną jako całość uważali.

Materyały, z którymi musiał się zapoznać autor «Anafielasa», posłużyły mu do ułożenia dwutomowego obszernego dzieła o «Litwie», które w drobnej jedynie części znalazło uznanie wśród uczonych, gdy przeciwnie «Historię miasta Wilna» w 4 tomach, nad którą wiele lat Kraszewski pracował, poczytano za szacowny nabytek historyografii naszej.

W związku z temi poszukiwaniami dziejowymi pozostają nowe próby Kraszewskiego napisania powieści historycznej. I teraz jednak próby te nie mogły się nazwać pomyślnemi. Spółzawodnictwo z najznakomitszym wtedy powieściopisarzem historycznym u nas, Henrykiem Rzewuskim, autorem «Listopada», było niezmiernie trudnem. Kraszewski zbyt drobnostkowo rozpatrywał objawy życia przeszłości i nie umiał uchwycić wielkich prądów cywilizacyjnych czy wielkich idei, jakimi kierowały się przełomy dziejowe: stąd zarysy jego owoczesne mają charakter anegdotyczny («Stańczykowa kronika», «Ostatnia z książąt Słuckich», «Żacy krakowscy»), albo też wypełnione są szczegółami życia potocznego,

ciekawemi same przez się, ale dość mało znamieniami dla epoki obranej do odmalowania («Zygmuntowskie czasy»), albo też wreszcie zanadto jednostronnie przedstawiają obyczaje, pełne zgnilizny («Maleparta»). Żadna z tych prób nie mogła nietylko stanąć obok «Listopada», ale choćby w jakimś znacznym od niego oddaleniu.

I teraz więc jeszcze dziedzina powieści obyczajowej najodpowiedniejszą się okazała dla rodzaju talentu, jaki posiadał Kraszewski.

Zanim jednak przystąpię do pobieżnego jej przeglądu, winienem zaznaczyć stosunek Kraszewskiego do ówczesnych prądów społeczno-filozoficznych.

Dwa w owej dobie uwydatniły się kierunki: postępowy i zachowawczy. Postępowcy pragnęli głównie wywalczyć dla siebie i dla myślącej części społeczeństwa swobodę roztrząsania krytycznie wszelkich zagadnień, a więc oddzielenia dziedziny wiary od dziedziny nauki, a następnie chcieli polepszenia doli ludu wiejskiego przez wyswobodzenie go od pańszczyzny (względnie od poddaństwa), wreszcie gardłowali za emancypacją kobiet. Zachowawcy zaś walczyli przeciwko tym trojakim dążeniom, stawiając zasadę, że byle tylko była wiara religijna, to reszta sama się znajdzie.

Kraszewski z właściwym sobie usposobieniem i skłonnością do umiarkowania nie stanął wyraźnie ani po jednej, ani po drugiej stronie, chociaż ogólnie biorąc, sympatya jego skłaniała się raczej ku hasłom postępowym. Ponieważ zasada swobodnego rozbioru wszystkich zagadnień utożsamiana była naówczas z idealistyczną filozofią niemiecką, jak ją ostatecznie sformułował Jerzy Hegel, więc Kraszewski, chcąc u samego źródła poinformować się o jej znaczeniu, zaczął studyować «Logikę» mędrca berlińskiego i zrazu był zachwycony niezłomną konsekwencją jego wywodów; niebawem atoli, gdy przyszło do zbadania najważniejszych zagadnień, dotyczących nieśmiertelności duszy i osobowości Boga, i gdy na te pytania nie znajdował wyraźnej odpowiedzi, oburzył się na panteistyczne wywody filozofa i zaniechał dalszych studyów, podawszy tylko streszczenie głównych twierdzeń Hegla w redagowanym przez siebie (od r. 1841 do 1851) «Athenaeum».

Wziął się natomiast do czytania dzieł najgłośniejszego natenczas naszego filozofa, wielbionego przez młodzież Ferdynanda Bronisława Tren-

towskiego, i poddał wykład jego logiki czyli «Myślini» szczegółowej a niepochlebnej ocenie w dziełku p. t. «System Trentowskiego» (1847).

Studia te filozoficzne, lubo krótkotrwałe, pozostawiły przecież ślady w twórczości powieściopisarskiej Kraszewskiego. Pod ich to wpływem zaczął on zwracać pilniejszą niż przedtem uwagę na wewnętrzną stronę życia, na psychologię bohaterów, na stan ich duszy, targanej sprzecznościami, na zagadnienia, jakie duch ludzki stawia sobie samemu, roztrząsając kwestyę istnienia szczęścia, wieczności. Widać to mianowicie w takich utworach, jak: «Pod włoskiem niebem», «Pamiętniki nieznajomego» i «Sfinks». Prawie mimo wiedzy autora przedostawały się do nich twierdzenia filozofów, których w zasadzie potępiał, a idealistyczny pogląd na sztukę, wyrażony w «Sfinksie», tej właśnie filozofii niemieckiej zawdzięcza głównie swe powstanie. To tchnienie idealistyczne nadaje polot tym powieściom i czyni je pod względem wewnętrznym wyższymi od dawniejszych, a nawet i od tych, które równocześnie powstawały bez przymieszki filozoficznej. Niechęć swą atoli do filozofii niemieckiej, wogóle zwątpienie co do możliwości osiągnięcia prawdy za pomocą rozumowania uwydatnił Kraszewski w słabej zresztą powiastce p. t. «Tomko Prawdzic».

Jeżeli w kwestyi filozofii nie mógł się nasz autor pogodzić z postępowcami, to natomiast w sprawie wyzwolenia ludu stanął wyraźnie po ich stronie, jakkolwiek żadnych projektów reformy włościańskiej nie podawał. Zrobił lepiej i skuteczniej, bo przygotował umysły do uznania potrzeby takiej reformy, przedstawiając wymownie i wzruszająco ciężką dolę chłopą, wystawionego na niczem nieograniczoną samowolę dziedziców i ich rządców, uciskanego materialnie wskutek nadmiernych wymagań pańszczyźnianych, gnębionego i upadłego moralnie wskutek fantazyj paniczów i panów, dla których cześć dziewczyny wiejskiej była fraszką, upośledzanego na każdym kroku, wówczas nawet, kiedy przez zbieg szczęśliwych okoliczności chłop zdołał się wykształcić i stać się pożytecznym ogółowi. Obrazki te wiejskie («Historja Sawki», «Ulana», «Ostap Bondarczuk», «Budnik», «Jaryna») są pierwszymi w naszej literaturze, na obserwacji osnutymi artystycznymi zarysami stanu wiejskiego w różnych

położeniach; co bowiem dawniej w beletrystyce naszej wykazać się w tej mierze daje, to są raczej dydaktyczne, moralizatorskie ustępy, aniżeli całości artystyczne. Pod względem społecznym mają owe wiejskie obrazki Kraszewskiego nadzwyczaj doniosłe znaczenie bez wyjątku; pod względem pięknego, harmonijnego obrobienia najpiękniejszymi są: «Ulana» i «Budnik», dwa drobne arcydzieła w swoim rodzaju. Nie są to malowidła przedmiotowo-realistyczne; tendencja humanitarna wyidealizowała je, nie w tym wszelako stopniu, ażeby miała zaszkodzić wrażeniu prawdy, ażeby tworzyła sytuacje nienaturalne.

Co do emancypacji kobiet, był jej przeciwnikiem w tem przekonaniu, że wyjście kobiety poza ognisko domowe znieprawia jej charakter, kazi jej czystość i prowadzi do wyuzdania. Zdaje się, że Kraszewski nie znał wówczas osobiście żadnej polskiej emancypantki, a o «entuzystkach» warszawskich głuche go jeno dochodziły wieści; niepoehlebne więc mniemanie o kobietach, chcących zerwać z odwieczną rutyną obyczajową, pragnących wyższego i głębszego wykształcenia, żądających rozszerzenia dla siebie praw społecznych, wyrobił sobie na podstawie dzienników francuskich, nieprzychylnych dla sprawy emancypacji. Taką widoczną pożyczką wyobrażeń a nawet stosunków francuskich jest wizerunek emancypantki w «Synach wieku» (utwór ten pozostał niedokończony, osobno nigdy nie wyszedł, znajduje się tylko w czasopiśmie: «Pielgrzym» z r. 1842), jako też w przeważnej części obrazek salonu literackiego w Warszawie, podany w II oddziale «Latarni czarnoksiężskiej» (r. 1844).

Ta «Latarnia czarnoksiężska» jest najrozleglejszym utworem powieściowym, jaki Kraszewski kiedykolwiek nakreślił. — Chciał w nim objąć wszystkie stany społeczne, a nawet przedstawicieli różnych stron Polski; ale ten wielki i obszerny plan w części tylko został szczęśliwie wykonany. Kraszewski nie znał naówczas całego obszaru b. Rzeczypospolitej; reprezentantów różnych prowincyj spotykał tu i ówdzie, i zbyt pochopny w uogólnieniach, podawał za cechy ogólne to, co było właściwością jednostkową. To też tylko Litwa, Wołyń i Ukraina wybornie, żywo, plastycznie się tu zarysowały: chłopci, żydzi, szlachta, arystokraci przewijają się przed nami

w całej pełni prawdy i barwności, natomiast stosunki warszawskie — mieszczaństwo, literaci, zbieracze zabytków sztuki — są poczęści z francuskich romansów blado nakreślone. Pierwszy oddział «Latarni» (1843), gdzie autor był pewnym siebie, bo malował z natury, ma nieporównanie większą wartość artystyczną niż drugi. Ogólny wątek powieściowy jest bardzo słaby.

Jeżeli do powyżej wzmiankowanych utworów dodamy jeszcze wydane w 3 tomach «Studia literackie» i «Nowe studia literackie», opowiadanie historyczne p. t. «Litwa za Witolda», oraz mnóstwo artykułów sprawozdawczych i krytycznych w «Athenaeum»; wreszcie powieści takie jak: «Milion posagu», «Ostrożnie z ogniem», «Pan i szewc»; to będziemy mieli miniaturowy zarys działalności Kraszewskiego w tej drugiej dobie.

Znamienną cechą jego twórczości była wtedy już nietyłe satyra i ironia, chociaż te pierwiastki występują jeszcze w znacznej mierze, ile jakaś miękka rzewność, jakby żal za ubiegającą tak szybko młodością, za złudzeniami, pierzającymi wobec chłodniejszego zastanowienia, jakby smutek, zalegający piersi z powodu niepodobieństwa wcielenia ideałów w życie. Już teraz rozpoczyna się u niego ten szereg bohaterów o sercu miękkim, a charakterze niehartownym, ulegającym łatwo zniechęceniu, apatii, usuwającym się od gwaru nieznośnego świata bodaj w mury klasztorne.

### III.

Po roku 1850 zapanowała jak w całej Europie, tak i u nas reakcja religijno-polityczna. Co w poprzedniej dobie postępowcy za najważniejsze postulaty lepszego życia w przyszłości poczytywali: swobodę badania, niezależność filozofii od wiary, oswobodzenie włościan, emancypację kobiet; to teraz uznano powszechnie za szkodliwe religii i społeczeństwu. Dawniejsi szermierze tych idei albo przycichli, albo też nawet przystosowali swoje poglądy do wymagań reakcyjnych. Ponieważ jednak u nas mimo chwilowych ekscentryczności, góruje skłonność do umiarkowania, więc nie wpadnięto w ostateczność wstecznictwa, lecz usiłowano znaleźć złoty środek pomiędzy przeciwnościami i znale-



ziono go w ideale «demokracji szlacheckiej», złączonym ściśle z bałwochwalczem uwielbieniem przeszłości i swojszczyzny.

Kraszewski, z usposobienia swego Ignący do kierunków pośrednich, stał się najgorliwszym i najwymowniejszym rzecznikiem tego ideału. Szlachta, której poprzednio wcale nie szczędził, wystąpiła teraz w jego powieściach jako przedstawicielka szlachetnych, lub przynajmniej dobrych pocziwych instynktów nie tylko w stosunkach wzajemnych względem siebie, ale nawet w stosunku do chłopów, zostających na Litwie i Rusi w poddaństwie. Ten, co w «Historii Sawki» i w «Ułanie» tak dobitnie dał poznać ohydę poddaństwa, teraz poczytywał ucisk chłopów za rzecz wyjątkową; a poddaństwo wystawił w «Ładowej pieczarze» (1852) jako wzór patryarchalnego bytu, w którym dziedzic dba o włościan, jak o dzieci własne.

Oczywiście nie mogło zagneć z gruntu serce Kraszewskiego pozostać długo w tem złudzeniu, że położenie chłopów u nas niewiele pozostawia do życzenia; tak, że gdy w początkach panowania cesarza Aleksandra II z inicjatywy rządu obradować poczęto nad kwestią włościańską, autor «Ułany» nie zaniedbał powrócić do dawniejszych swoich na nią poglądów i w «Historii kółka w płocie» (1860) dowcipnie często, a co ważniejsza, z wielkiem uczuciem odmalował skutki poddaństwa, fatalne same w sobie, chociażby nawet dobra wola dziedziców w niczem się do ich pogorszenia nie przyczyniała. W każdym jednak razie, umiarkowanie naszego autora w tem się objawiło, że podając memoriał w kwestii włościańskiej do komitetu żytomirskiego, (r. 1858) nie żądał całkowitego uwłaszczenia, lecz poprzestawał na bardzo skromnej pół-reformie.

Gorąca sympatya dla szlachty nie przeszkadzała Kraszewskiemu wytykać jej wad poszczególnych, nie przemieniała się w bezwzględną idealizację, lecz kazała mu stawać w jej obronie jako stanu, kiedy chodziło o stosunek do arystokracji, lub też do oficyalistów. Poprzednio powieściopisarz nasz krytycznie patrzył na wszystko i wszystkich, a więc zarówno na panów, na szlachtę, jak i na ekonomów czy rządów; teraz lubił przeciwstawiać zimną wyniosłą grzeczność, zdumienie i skarleń rodów arystokratycznych pocziwemu sercu, zdolności do ofiar i poświęceń,

do cichych cierpień — szlachty średnio-zamożnej. Najlepiej, najświetniej dokonał tego w dwóch mianowicie powieściach: w «Komediantach» (1851) i w «Dwóch światach» (1854). Szlachta, ówczesnem zdaniem Kraszewskiego, przechowała najlepiej ideały życia narodowego i płonęła miłością dla wszystkiego, co swoje i swojskie, a ta jej miłość okupywała błędy i wady nieodłączne od natury ludzkiej. Tej względności nie okazywał wtedy względem rządów i ekonomów, których wogóle przedstawiał jako samolubów i groszorbów, ciągnących dochód nieprawdy zarówno z dziedzica, jak i z biednego chłopów; jedynie w niższej kategorii oficyalistów dopatrywał cennych zalet («Stary sługa» 1851). Zamiłowanie swojszczyzny i uwielbienie dla niej popchnęło Kraszewskiego do potępienia cywilizacji zachodniej, a w szczególności jednego z jej objawów — przemysłu fabrycznego. W ówczesnem przekonaniu naszego pisarza. Zachód był zepsuty i zgniły; miał cześć tylko dla mamony, a wzgardził uczuciem, prawdą i sprawiedliwością; — czerstwą, zdrową naturę miały jeno narody słowiańskie, które przechowały prostotę, szczerość, dobroć serca; to też do świata słowiańskiego przyszłość należy; nie potrzebuje on wcale nic przejmować od Zachodu. Myśli takie znajdujemy już w «Ładowej pieczarze»; ale najszerzej, najszczegółowiej, z największym zapalem przeprowadzone widzimy w «Metamorfozach» (1858).

Przeciwko przemysłowi fabrycznemu w szczególności wymierzone zostało studyum powieściowe p. t. «Choroby wieku» (1857), gdzie autor zamierzył dobitnie wystawić, że rachunkowość wyziębia serce, prawidłowość w urzędzeniu całego trybu życia zabija piękno, a zajęcie się wytwórczością przemysłową gasi ducha, zaciera i wypacza charakter narodowy, grożąc mu żydowszczeniem. Niewątpliwie Kraszewski wywody te swoje podawał w najlepszej myśli, ostrzegając przed całkowitem pograżeniem się w materializmie życiowym; ale zrobił to jednostronnie, nie rozważwszy i nie wyłuszczywszy dokładnie zarówno dobrych, jak złych stron ruchu przemysłowego. Ponieważ zaś ten wówczas stawał u nas pierwsze dopiero większe kroki, głos jego nie był bardzo odpowiedni; utwór jego powieściowy nie opierał się na faktach, ale na dowolnych przypuszczeniach; nie mógł on wprowadzić przeciwdziałać roz-



wojowi przemysłu, lecz mógł powstrzymać szlachetniejsze umysły od brania w nim udziału, a tym sposobem mógł odciągać od niego takie czynniki, któreby zdołały neutralizować złe wyniki jednostronnego materialistycznego kierunku.

Uznał to niebawem sam Kraszewski, kiedy poraz pierwszy wyjechałszy za granicę w r. 1858, miał sposobność naocznego przyjrzenia się temu «zgniłemu Zachodowi», przeciwko któremu niedawno piorunował.

Bardzo ciekawą jest pod względem psychologicznym powolna przemiana, jaka w umyśle znakomitego pisarza w ciągu podróży zachodziła. Niechętny z początku kolejom żelaznym, pogodził się z nimi, gdy przebywał Semmering i musiał przyznać, że i inżynieria może mieć swoją poezję. Mniemanie, jakoby Zachód dbał tylko o mamone, zachwiało w nim zwiedzanie galerij włoskich, utrzymywanych wielkim kosztem w celu przechowania zabytków sztuki i kształcenia przez nie poczucia piękna. Uprzedzenie przeciwko Francji, jakoby z gruntu zepsutej, zmalowało, gdy się podróżnik przyjrzał tym instytucjom naukowym i dobroczynnym, w jakie obfituje Paryż, gdy następnie miał możność zbliżenia się do klasy robotniczej i poznania jej sposobu myślenia.

Zrozumiał wtedy, że wytwórczość przemysłowa, lub, wogóle mówiąc, staranie o pomnożenie dobrobytu materialnego nie przeszkadza bynajmniej uprawie idealnych czynników życia; że dobrobyt materialny jest, a przynajmniej być może podstawą niezależności duchowej, stanowi zatem dźwignię nadzwyczaj ważną i cenną w rozwoju narodowym. To też kiedy za powrotem do kraju Kraszewskiemu zaproponował rozumny i obrotny bankier Leopold Kronenberg objęcie redakcji «Gazety codziennej», mającej stać się organem ruchu ekonomicznego, autor «Chorób wieku» przyjął propozycję, wytłómaczył się z tendencji swojego utworu, mówiąc, że potępiał robienie pieniędzy jako cel sam w sobie, nie zaś jako środek, do osiągnięcia wyższych celów potrzebny; nie zaniedbując strony literackiej i politycznej, dawał dużo miejsca rozprawom ekonomicznym i sprawozdaniom z wszelkich objawów, świadczących o zabiegach w celu podniesienia dobrobytu w kraju. Znieść z tego powodu musiał wiele oskarżeń o sprzeniewierzenie się ideałom szlacheckim, ale te trudne chwile przetrwał zwycięsko i doczekał się

uznania w liczbie przybywających abonentów. Wówczas przemienił tytuł dziennika, który odtąd zaczął jako «Gazeta polska» wychodzić.

Przejdźmy teraz do scharakteryzowania zaopatrywań Kraszewskiego na przeszłość. Pod wpływem uwielbienia dla swojszczyzny, przeszłość, dawniej malowana z ujemnej strony, teraz rozpatrywaną być zaczęła z dodatniej. Kraszewski wyszukiwał chwil dziejowych, któreby mogły przeszłość tę uwydatnić w aureoli bohaterstwa i trafnym wiedziony instynktem wybrał słynną obronę Częstochowy przeciwko szwedom, pisząc «Kordeckiego» (r. 1852). Wprawdzie jako powieść jest to rzecz dość słaba, raczej kronika, niż artystycznie obrobione opowiadanie; lecz pod względem pojęcia i przedstawienia przeszłości ogromnie się wyróżniła od wszystkich poprzednich obrazów historycznych, jakie Kraszewski nakreślił; mamy w niej wielkie uczucia, wielkie poświęcenia, gorącą wiarę, niezachwiane bohaterstwo. W «Dyable» (r. 1855) przeciwstawił Kraszewski, zgodnie z owoczesnym usposobieniem, rozpasanie obyczajowe stolicy za czasów Stanisława Augusta życiu zacnemu i prostemu szlachty wiejskiej. Najwięcej atoli wyidealizował przeszłość w «Staropolskiej miłości» (1859), w studium: «Dziś i lat temu trzysta», gdzie podał charakterystykę Mikołaja Reja, wreszcie w «Odczytach o cywilizacji w Polsce» (r. 1861), będących jakby jednym hymnem na cześć wielkich idei, a zwłaszcza wielkiego serca, jakie tętniło w duszach przodków. Wtedy też utworzył najudatniejszą komedię swoją, do dziś dnia grywaną z powodzeniem: «Miód kasztelański» (r. 1860), osnutą na tle czasów saskich. Gdy nie miał na widoku jakiej bieżącej dążności społecznej, lecz myślał wogóle o trwałych podstawach szczęścia, dostępnego dla ludzi, wówczas najchętniej wielbił prostotę obyczajów i pracę uduchowioną. Był nieprzyjacielem konwenansów salonowych, zacierających rysy indywidualne w człowieku, zmuszających do kłamstwa i obłudy, i wołał już nawet dziką swobodę cyganów («Chata za wsią» r. 1853), lub życie tułaczów («Jasienka» r. 1862). Bolało go mocno, że u nas życie duchowe tak ociężałe, tak powoli i tak płytko się rozwija, że jednostki utalentowane, nie mogąc pokonać bezmyślności lub obojętności, na jaką patrzeć muszą, rychło siły swe wyczerpują i giną przedwcześnie («Powieść bez tytułu» 1854). Z ciasnoty i zadu-

chu spraw majątkowych, namiętności grubych, serc wychłodzonych, rozumów wypaczonych («Interesy rodzinne») chętnie przenosił się myślą na wieś, malując już to życie spokojnego, poprzestającego na małym garncarza i jego przybranego syna («Jermola»), już to cichy, pełen podniosłego nastroju żywot rodziny, rządzącej się sercem, czerpiącej otuchę i pokrzepienie w religii («Boża czeładka»), żywot, zamącony przez wtargnięcie żywiołu burzliwej namiętności, pociągającej za sobą gorycz i spustoszenie.

Te ideały ciszy, spokoju, prostoty, serdeczności, wiary żywej przemawiałyby do nas niewątpliwie skuteczniej, gdybyśmy w bohaterach, reprezentujących dodatnie czynniki życia, odnajdywali więcej hartu charakteru. Niestety, Kraszewski mniemał, że z dobrem sercem, uczciwością, zacnością, szlachetnością idzie u nas w parze pewna ślamazarność, niezmiernie łatwe uginanie się pod brzemieniem, jakaś niezaradność i brak przeorności najprostszej. Gdyby powieściopisarz wystawiał te wady we właściwym świetle jako wady, nic nie mielibyśmy do zarzucenia; ale on je, jak się wydaje, poczytywał za zalety!...

W sposobie tworzenia zaszła w tej dobie ważna zmiana: zamiast szkicowego traktowania przedmiotu, zamiast szeregu drobnych scenek, wprowadził teraz Kraszewski szczegółowe, szerokie opisy i charakterystyki, wyzyskiwał sytuacje aż do zupełnego niemal ich wyczerpania. Na zmianę tę wpłynął przeważnie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, przykład Józefa Korzeniowskiego, który od początku swego powieściopisarskiego zawodu takimi właśnie cechami tryb swej twórczości artystycznej zaznaczył. Samo przez się rozumie się, że samodzielność Kraszewskiego została i w tej mierze nienaruszoną; opisy jego i charakterystyki, choć podobne szczegółowością i rozległością do opisów i charakterystyk autora «Spekulanta», różniły się od nich swoim polotem poetycznym i swą stroną uczuciową. Czynniki *podmiotowy* górował u niego zawsze, choć autor starał się pogodzić go z wymaganiem odtwarzania prawdy realnej. Znamionem jest ówczesne jego zdanie, że «Dickens w Anglii, Balzac we Francji, Gogol w Rosji nową utworzyli epokę, nową szkołę powieści, opartą na obrazowaniu rzeczywistości». Zestawienie tych trzech nazwisk świadczy wyraźnie, że Kraszewski nie mógł mieć na myśli ści-

śle *przedmiotowego* odtwarzania świata zjawisk w przyrodzie i w duchu ludzkim, lecz tylko posługiwanie się przez artystę materiałem, wziętym wprost z życia rzeczywistego, a obrobionym według wymagań sztuki, lub raczej według indywidualnego upodobania sztukmistrza. «Powieść — mówił nasz autor — jest tem w literaturze, czem obraz rodzajowy w malarstwie. I tu i tam nie dosyć być wiernym; potrzeba umieć wybrać przedmiot, ubarwić stosownym kolorytem, oblać światłem, ustawić w pewne linie nadobne». Tendencyjność powieści uznawał wtedy nietylko za dozwoloną, ale wprost za konieczną, gdyż «powieść stosuje się do większej liczby czytelników, działa na nich silniej przez formę dramatyczną, pozorem życia i prawdy, — wpada w ręce wszystkich, musi więc starać się o to, żeby nie była trucizną dla nikogo»... «Wolno zjeść trochę rzeczy szkodliwej w jakim przysmaku, którego się bierze na końcu noża, ale w chlebie najmniejsza ilość *secale cornutum* sprawia okropne skutki, sprowadza gangrenę. Powieść, będąc chlebem powszednim dla wielu, powinna jak chleb być zdrową... Zdaje mi się nawet, że powieść użyta być może wybornie do przygotowania, usposobienia czytających ku silniejszym, jędrniejszym pokarmom... Jest to obowiązek wszelakiej powieści, która coraz to więcej poważnych pierwiastków zawierać w sobie powinna. To zdaje mi się głównym, naczelnym celem. Co za środek przytem upowszechnienia zdrowych pojęć praktycznych, myśli wzniosłych, prawd zapomnianych, uczuć, których się zaczęto wstydić, gdy właśnie chlubić-by się nimi powinno»!...

Niebawem potem, gdy Kraszewski, w ten sposób podnosił znaczenie czynnika subiektywnego, beletryści francuscy pod przewodnictwem Gustawa Flauberta dążyli do jak największego ograniczenia wpływów podmiotowych na dzieło sztuki, nietylko co do «ubarwiania materiału», ale nawet co do «układu części w całość», co do kompozycji. Autor nasz bardzo długo nie znał tego kierunku, albo też nie zwracał nań baczniejszej uwagi. Dopiero gdy naśladowcy Flauberta jaskrawością wystąpienia swego zmusili do mówienia o sobie, Kraszewski odezwał się z początku bardzo surowo o «Szkole prozy a śmiecia, malującej brudy żywota;» niebawem atoli z właściwą sobie wyrozumiałością uznał w kierunku «naturalistycznym»

objaw konieczny, przejściowy, po którym artyzm przyjdzie znów do równowagi, gdyż są «pewne prawa, które zawsze ducha ocala, choćby już w niego wierzyć przestano.»

Z przykładu beletrystów francuskich, z ich hasła: «sztuki nieosobistej» przyswoił sobie głównie zasadę całkiem przedmiotowego rozstrzygnięcia treści powieściowej, bez wtrącania osobistych uwag, wylewów uczuciowych i t. p., jeżeli naturalnie opowiadanie nie było włożone w usta jakiejś osoby, jeżeli nie miało cechy spowiedzi czy autobiografii; i wówczas wszelako zdania i rodzaj uczuć musiały być zastosowane do charakteru opowiadacza.

Przyswojenie to zasady przedmiotowości w powieści nastąpiło w czwartej, ostatniej dobie pisarskiego zawodu Kraszewskiego, i to nie odrazu, gdyż utwory, ogłoszone między rokiem 1863 a 1872 noszą znamiona poprzedniej metody artystycznej, modyfikowanej tu i ówdzie świeżymi wpływami, niezawsze zharmonizowanymi z nastrojem i uzdolnieniem właściwym Kraszewskiemu.

#### IV.

Po wyjeździe z kraju i osiedleniu się w Dreźnie działalność naszego pisarza zwiększyła się dziesięćkrotnie. Przez ostatnie lat 25 życia ogłosił on daleko więcej, aniżeli przez 30 lat poprzednich. Mogąc mniej czasu poświęcać stosunkom towarzyskim, chociaż nigdy nie brakło odwiedzających go rodaków i cudzoziemców, więcej go mógł obrócić na czytanie i pisanie.

Redagował on dzienniki, jak: «Hasło» r. 1865, «Omnibus» 1869, «Tydzień» 1871—2; brał czynny udział w wydawnictwie «Kraju» krakowskiego (1873), zdawał sprawę z ruchu umysłowego w Europie, pisząc korespondencje do kilku czasopism; założył drukarnię i wydawał «Bibliotekę pamiątek o Polsce», ogłaszał «Rachunki» (od r. 1866—70) z całego naszego życia społecznego, pisał obszerne dzieła historyczne («Polska w czasie trzech rozbiorów»), a przy tem wszystkim tworzył i drukował po kilka powieści rocznie, a kiedyniekiedy i komedye.

Nadzwyczajna łatwość pisarza i umiejętny rozkład czasu umożliwiały mu tę płodność niesłychaną, którą wszystkich zdumiewał, jakkolwiek nie wszystkim dogadzał.

W pierwszych latach pobytu za granicą rzucał się gorączkowo do uprawy rodzaju powieści politycznych, jakiego do owej pory nie próbował wcale. Przybrawszy pseudonim Bohdana Bolesławity, ogłosił od r. 1863 do 1872 szereg utworów, chciwie w swoim czasie pochłanianych, gdyż przedstawiających wypadki świeżo zaszłe, pamiętne wszystkim, roztrząsane z najrozmaitszych punktów widzenia. Pierwszy z tego szeregu obrazek, malujący stan Warszawy w r. 1860 i 1861 to «Dziecię starego miasta.» Dalsze obrazki: «My i oni», «Szpieg», «Na wschodzie», «Para czerwona», «Hybrydy», «Dziadunio», «Żyd», «Beziemienna», «Zagadki», lubo pod względem powikłania osnowy powieściowej znacznie przewyższały pierwszy, nie budziły uznania, zwłaszcza że i punkt widzenia autora zmieniał się często. Uspokojenia i nastroje chwil obranych, poglądy różnych stronnictw, własny stosunek do nich nie były we wszystkich owych obrazkach konsekwentnie przeprowadzone, lecz ulegały wahaniom ustawicznym w umyśle, zrazu entuzjastycznie podbudzonym, a potem wpadającym w zwątpienie, albo ironię.

Gdy jednak inni, mianowicie tak zwani stańczycy krakowscy w sposób namiętny, sarkastyczny wydrwiwać zaczęli owe czasy, Bolesławita dał im w «Rachunkach» odpawę, której nie zapomnieli nigdy, starając się odtąd wciąż obniżać wartość i doniosłość prac Kraszewskiego.

Równocześnie z temi powieściami politycznymi nie przestawał tworzyć obyczajowych i historycznych. W obyczajowych rzadko kiedy dotykał zagadnień i prądów, wytworzonych najnowszymi stosunkami; w każdym jednak razie główne ich przejawy znalazły w nich swój wyraz, najczęściej atoli jednostronny, gdyż autor, nie żyjąc wśród społeczeństwa, lecz poznając je z pism i rozmów, nie mógł ośwładać całym materiałem i wyciągał wnioski dorywcze z rozpatrzenia jego części. Takim jest bardzo niepochlebny obrazek zmateryalizowania najmłodszych pokoleń w «Dzieciach wieku» (1871); takim przedstawienie początków ruchu emancypacyjnego wśród kobiet w «Szalonej» (1878); takimi zarysy stosunków galicyjskich: «W mętnej wodzie» i «Ramułtowie», a poznańskich w «Pałacu i folwarku»; wyłącznie satyrą tchną: «Pamiętnik panicza» i «Dziennik Serafina».

Stosunkowo najlepiej udawały się Kraszewskiemu takie opowiadania, w których cofał się pamięcią w lata dawniej przeżyte, wracał myślą na Wołyń czy Podlasie i z przypomnienia kreślił postaci tchnące życiem, plastyczne i interesujące. Dowodem tego są «Morituri» (1873), powieść, wystawiająca wyczerpanie się rodu arystokratycznego, w sposób daleki od satyry, owszem sympatyczny, obudzający niekiedy rzetelne spółczenie dla istot, które same przez się nie zawiniły, ale pokutować muszą za wady czy słabości swych przodków. Nie jest to utwór doskonały; powiedziałbym nawet, że jako całość słabszy jest od dawniejszych «Dwóch światów», ten sam temat przedstawiających; ale bądźco bądź widzimy w nim prawdę artystyczną w wielu szczegółach nader pięknie wykonanych, bo niewątpliwie z obserwacji wziętych. Natomiast «Resurrecturi», powieść, mająca niejako budzić otuchę w możność dźwignięcia się z upadku, jako osnuta na tle stosunków nowszych, pod hasłem pracy organicznej wytworzonych, a autorowi znanych tylko zdaleka, jest dydaktyczną, dość suchą utopią. Taką samą paralelę możnaby przeprowadzić między takimi powieściami, jak: «U habuni», «Jesienią», «Wilczek i Wilczkowa», «Ada», «Cet czy lichy», a takimi, jak: «Lalka», «Wielki nieznajomy», «W starym piecu» itp.

Kraszewski czuł sam niewątpliwie, że jego obrazki życia bieżącego nie mogły już zadawać, gdyż nie były kreślone z bezpośredniej obserwacji, coraz więc częściej zwracał się w przeszłość, gdyż tam mógł się albo oprzeć na dokumentach, albo dozwolić fantazji pobujać swobodnie, bez obawy, żeby dała się we wszystkich szczegółach kontrolować. Należy tu zrobić uwagę, że im więcej miał autor piśmiennych świadectw o jakiejś chwili dziejowej, o jakimś wypadku, o jakiejś osobie i tem pewniejszą ręką kreślił swe zarysy powieściowe, tem wyraziściej, dobitniej, plastyczniej przedstawiają się w nich ludzie i sytuacje. Prócz tego niepodobna ukryć, że odtwarzanie wielkich prądów cywilizacyjnych w całej ich potęgze dziejowej nie leżało w zakresie talentu autora, na którym spoczęło jakby zakłęcie jego młodocianych, miniaturowych obrazków, rozpatrywanych przez dziurkę od klucza. Wiemy, że od owego czasu znakomicie udoskonalił sposób tworzenia, że dawał obrazy przeszłości jeżeli nie do-

skonałe, to zajmujące; ale nawet w najlepszych widzimy brak szerszego tchu, rozleglejszego dziejowego widnokręgu, potężniejszych sprężyn wewnętrznych. Stąd nader często opowiadania jego historyczne, choć dotyczą ważnych spraw dziejowych, nie wywierają podniosłego wrażenia i wyglądają jak mniej więcej udatne anegdoty, albo, co najwyżej, zarysy obyczajowe.

Najlepiej znał Kraszewski i najczęściej malował czasy Stanisława Augusta, wiele też jego powieści, na tem tle osnutych, żywo interesuje, że wspomnę tylko «Macoche», «Barani kozuszek», i «Ostatnie chwile księcia wojewody»; żadna z nich atoli rozległością pomysłu, objęciem różnych stron życia w czasie tak znamienym pod względem cywilizacyjnym, nie dorównała «Listopadowi».

Po tych utworach najlepszymi są te, w których Kraszewski przedstawił czasy saskie. W ich szeregu: «Hrabina Cosel», «Brühl», «Z siedmioletniej wojny», najpierwsza jest zarazem najlepiej zharmonizowaną w sobie całością, i gdyby treść jej była ważniejsza, mogłaby jako dzieło artystyczne spółzawodniczyć z «Listopadem»; tak jak jest, może być postawiona obok «Murdelia» Kaczkowskiego.

Oddzielnie wspomnieć potrzeba o cyklu powieści, mających odmalować całe dzieje Polski, Olbrzymie to przedsięwzięcie, o które mógł się pokusić taki tylko niestrudzony pisarz jak Kraszewski, zostało prawie w zupełności wykonane, gdyż w 79 tomach zawarł autor obrazy dziejowe od czasów podaniowych aż do połowy XVIII wieku.

Myśl była niewątpliwie dobra: spopularyzowanie wiedzy historycznej w sposób barwny i dostępny dla kół jak najszerzych; wykonanie atoli tej myśli musi się nazwać chybionem. Pierwsza w tym cyklu «Stara baśń» obudziła wielkie nadzieje; autor wlał w nią dużo uczucia i fantazji, a w malowaniu zamierzonych czasów posługiwał się barwami życia chłopskiego na Polesiu; następne atoli coraz mniejsze wywierały wrażenie, a w końcu interes dla nich zanikł niemal zupełnie. Główną tego przyczyną był panujący około r. 1875—80 pesymistyczny nastrój w poglądzie na dzieje nasze; zdawało się, że historycy owocześni uwzięli się na to, ażeby państwo polskie już w samych początkach wystawić jako no-



szące w sobie zarody upadku. Kraszewski z właściwą sobie wrażliwością, a przytem pod działaniem tego satyrycznego usposobienia, które w nim tkwiło zawsze, dał się uwieść owej fałszywej teorii i zamiast krzepić ducha swemi opowiadaniem, osłabiał go i obniżał.

Ktoby poznawał dzieje narodu tylko z tego cyklu powieściowego, wynieśćby musiał rozpaczliwe o całej przeszłości zdanie, że nietylko nie było w niej silnego, sprężystego rządu, ale także brakło hartownych charakterów, jasnych umysłów, wiedzących, czego chcą i dokąd dążą. Tu i ówdzie błysnie oczywiście jakaś postać jaśniejsza, jakieś bohaterskie poświęcenie, lecz przemijają one bez następstw, głuchoń wśród pomruku poziomych namiętności, giną wśród wrzawy. Niezdolność do malowania wielkich ludzi i wielkich sytuacji, brak poczucia tragicznego najdotkliwiej uczuć się dają w tym właśnie cyklu. Są w nim ustępy bardzo ładne, charakterystyki udatne, sceny wyborne, ale całości zadawałającej wymagania moralne i estetyczne—prócz «Starej baśni»—nie ma wcale.

Przykro to powiedzieć, lecz powiedzieć koniecznie trzeba, ażeby wyróżnić świadomie to, co jest rzeczywiście dodatniem, od tego, co ujemnem nazwać się musi. Zasługi Kraszewskiego zbyt są liczne i wielkie, by się obawiać jakiegoś poważnego szwanku dla jego sławy przez uznanie jego pośpiesznej roboty, dokonanej w ciągu lat kilku obok innych wielu zajęć, za nieudatną zarówno pod względem duchowym—bo nie wzmacniającą ducha, jak pod względem artystycznym,—bo wyglądającą jak rozwlekłe w dyalogach prowadzona kronika bez ześrodkowania efektów estetycznych bez wytworzenia prawdziwie wykończonej całości dzieła sztuki.

Sposób pisania zmieniał Kraszewski w tej dobie parokrotnie.

W powieściach, ogłaszanych pod pseudonimem B. Bolesławity, wrócił do dawniejszego, z przed r. 1850, szkicowego traktowania osnowy z częstemi naturalnie uwagami, rozmyślaniami i wylewami uczuciowemi.

Gdy około r. 1868 wślawił się chwilowo powieściopisarz francuski Gaboriau swemi kryminalnemi romansami, Kraszewski poszedł w jego ślady, zaczął obmyślać zawikłane intrygi, nadzwyczajne przygody, zaczął rozpisywać się o zamie-

rzonych lub wykonanych zbrodniach oraz o niezwykłych środkach ku ich wykryciu. Staranny rysunek charakterów musiał ustąpić miejsca mniej więcej zręcznym opisom zabiegów, mających na celu utajenie lub też wydobyć na jaw jakiegoś faktu lub czynu. Przez cztery lata (1868—72) borykał się nasz autor z tem ciężkiem dla siebie zadaniem, gdyż nie posiadał ani tyle przebiegłości, ani tyle cierpliwości, by powoli a zgrabnie rozplątywać subtelne nici intrygi. Powieści jego tym trybem pisane («Emisaryusz», «Bezimienna», «Sprawa kryminalna», «Zemsta Czokołdowa», «Bratanki» i in.) nie należały bynajmniej do lepszych jego utworów.

Uznał to w końcu sam autor i zarzucił raz na zawsze ten rodzaj, a równocześnie zreformował swoją dawniejszą metodę artystyczną o tyle, że zaniechał uwag od siebie pochodzących, starając się, by opowiadanie samo przez się uwydatniało nietylko osoby i ich stosunki, ale także punkt, z którego powieściopisarz zapatrywał się na nie. Inaczej mówiąc, przyswoił sobie *przedmiotową* metodę pisarską, której wzory znajdował u realistów i naturalistów francuskich. Metody tej trzymał się, poczynając od r. 1872 aż do śmierci.

Wzmocnił też wówczas stronę psychologiczną swoich powieści. Jak widzieliśmy, już poprzednio studia nad filozofią wywarły były wpływ swój w tym kierunku, teraz w skutek zaznajomienia się dokładniejszego z psychologią doświadczalną, wobec przedmiotowego trybu tworzenia, stany duszy osób wprowadzonych do powieści uwydatniane były nie w uwagach od autora pochodzących, lecz w samem zachowaniu się tych osób, w ich rozmowach, ruchach, gestach i t. p. Dzięki temu strona wewnętrzna utworów pogłębiła się; a niektóre z nich, wyłącznie prawie malowaniu stanów duszy poświęcone, nabrały wielkiego artystycznego znaczenia i liczą się do najlepszych rzeczy, jakie nasz powieściopisarz utworzył. Są to niewielkie nowele; przez doskonałe jednak wykonanie prawie arcydziełami w swoim rodzaju nazwać się mogą, mam tu głównie na myśli takie piękne zarysy, jak «Z dziennika starego dziada» — psychologia zacnego optymisty, którego żadne klęski i niepowodzenia nie mogą wytrącić z równowagi wewnętrznej, i «Dajmon» —



psychologia niemocy twórczej człowieka, w którego zbyt wcześnie wmówiono nadzwyczajne talenty.

Pierwszy z naszych pisarzy doczekał się Kraszewski publicznego narodowego uczczenia na wielką, do owego czasu nigdy nie widzianą skalę, przez wspaniały obchód jubileuszowy w Krakowie r. 1879. Obchód ten był wyrazem wezbranych uczuć wdzięczności dla twórcy, co pięćdziesięcioletnią niezmordowaną pracą zachęcał i pobudzał do czytania i pisania, co słowem i przykładem uczył cenić wysoko życie duchowe; a wytrwałością wskazywał drogę innym do pożytecznej dla narodu działalności.

Kilka lat zaledwie upłynęło od tych świetnych dni, a jubilat znalazł się na ławie oskarżonych przed najwyższym trybunałem niemieckim, jako mniemany zdrajca tajemnic państwowych. Presya rządu niemieckiego, a mianowicie potężnego jeszcze natenczas księcia Bismarka, dążącego do zgnębienia żywiołu polskiego w Prusiech, sprawiła, że Kraszewski został skazany na kilkoletnie więzienie w twierdzy magdeburskiej. Gdy go po półtorarocznem ciężkiem odosobnieniu, za staraniem wpływowych osób i złożeniem wysokiej kaucyi wypuszczono czasowo dla poratowania zdrowia, niedługo już mógł się cieszyć odzyskaną swobodą. Trzęsienie ziemi w San Remo, dokąd się udał dla wypoczynku, rozstroiło skolatany organizm; przewieziony do Genewy, niebawem zakończył byt ziemski 19 marca 1887 roku. Zwłoki sprowadzono do Krakowa i z wielką wspaniałością pochowano na Skalce w grobie zasłużonych.

Jeżeli komu, to Kraszewskiemu miejsce to słusznie się należało. Nie należał on do grona takich geniuszów, jak Mickiewicz, ani do takich genialnych talentów, jak Słowacki i Krasiński, lecz był niezmordowanym siewcą szlachetnych uczuć i podniosłych dążeń, był nadzwyczajnym raz na wieki całe zdarzającym się przykładem pracownika płodnego na niwie oświaty, był twórcą dusz nie wielkich wprawdzie, nie zdumiewających pod jakimkolwiek względem, złym czy dobrym, ale tych dusz pośrednich, których w każdym społeczeństwie jest najwięcej, w których za-

tem społeczeństwo to najlepiej poznawać się może, t. j. uświadamiać sobie swoje zalety i słabości.

Można zarzucać Kraszewskiemu chwiejność przekonań w ciągu długoletniego jego zawodu; można mieć żal do niego, że w pewnych nader ważnych chwilach życia społecznego nie potrafił zużytkować swojej popularności na rzecz rozumnego pokierowania doniosłymi sprawami; lecz niepodobna go obwinić, iżby kiedykolwiek świadomie mówił lub czynił wbrew swemu przekonaniu dla schlebiania tylko jakimś nastrojom lub tembardziej interesom; niepodobna wytknąć ani razu dążności nieszlachetnej.

Z drugiej strony, jako artyście, da się Kraszewskiemu zrobić zarzut nie jeden, przedewszystkiem zaś brak wykończenia, brak starania o to, by podjęty temat został ze wszelką możliwą doskonałością obrobiony, jako rzetelne dzieło sztuki. Lecz i tutaj nie należy tracić z uwagi faktu, że artyści wogóle winni być oceniani nie z tego, czego nie dokonali, lecz tylko z tego, co spełnili. Kraszewski nie chciał przebywać w zaczarowanym pałacu sztuki, lecz schodził zawsze na padół ziemski, przypatrywał się jego doli i niedoli, chciał, o ile to było w jego mocy, umniejszyć ilość smutków i przyczynić się do zapewnienia choćby drobnej cząstki szczęścia za pośrednictwem słowa dobrego, zacnego i rozsądnego. Nie przemawiał do samych wybrańców ducha, lecz do mas jak najszerzych; wybierał tematy nie wyjątkowe, zrozumiałe dla pewnej tylko grupy ludzi, ale takie, które odgłos powszechny znaleźć mogły; trzymał palec na tętnie społecznem i w miarę potrzeby nauczał, karmił lub pocieszał.

Pisarzem był niejako z urodzenia, wyrażał się żywo, przystępnie, zrozumiale, a że mówił o tem zazwyczaj, co wszystkich obchodziło, i mówił z uczuciem, słowa jego znajdowały szczerzy odgłos w duszach i budziły dla niego miłość i szacunek. Pod wielu względami wpływ Kraszewskiego w XIX wieku da się porównać z wpływem Krasickiego w XVIII; obaj wielbili zdrowy rozsądek, obaj pisali przystępnie; ale pierwszy miał znacznie więcej wyobraźni i uczucia i dlatego wpływ jego jest donioślejszy.

*P. Chmielowski.*



# Wojciech Chrzanowski.

(\* 1788 † 1861).

**W** żadnej z wojen, w dawnych czasach przez Polskę prowadzonych, nie zabłysnęło wybitnymi zdolnościami tylu oficerów, co

w wojnie 1831.

Na czele ich wszystkich stoi iście genialny Prądzyński. Obok niego jaśnieją imiona takich wodzów, jak: Chłopicki, Dwernicki, Dębiński, Chłapowski, K. Skarżyński. Ale pierwsze miejsce po Prądzyńskim zajmuje, ze względu na swoje wyjątkowe uzdolnienie, Wojciech Chrzanowski.

Życie jego do r. 1831 mało przedstawia interesujących szczegółów. Urodzony w województwie Krakowskim w roku 1788, wstąpił w r. 1807, jako ochotnik, do formującej się artylerii Księstwa Warszawskiego. Na początku r. 1809 zo-

stał podporucznikiem i w tym stopniu odbył wojnę austriacką. W r. 1810 przeszedł do inżynierów i w r. 1812 został porucznikiem. W wojnach

1812—14 roku brał udział, ale nie otrzymał w nich ani orderu, ani awansu. Dopiero w wojsku Królestwa kongresowego otrzymał w r. 1818 stopień kapitana, a w następnym przeniesiony został do kwatermistrzostwa.

Jako oficer kwatermistrzostwa, musiał wszelako zwrócić na siebie uwagę przełożonych, skoro w r. 1829 został komenderowany do działającej za Dunajem armii rosyjskiej, jako «oficer bardzo wykształcony i bardzo inteligentny» («un officier très bien instruit et très intelligent»). Po powrocie z Turcji objął znowu



Ze sztychu spótnego rysował X. Piliński.

*Chrzanowski*

swoje obowiązki w kwatermistrzostwie. W ostatnim «Roczniku wojskowym Królestwa Polskiego» (na rok 1830) figuruje jeszcze jako kapitan. Na ślad jego awansu na podpółkownika (stopnia majora w kwatermistrzostwie nie było) nie mogłem natrafić. Wszakże musiał on ten stopień jeszcze przed wybuchem powstania otrzymać, bo po kapitulacji Warszawy zaliczonym został do wojska rosyjskiego nie jako kapitan, lecz jako podpółkownik.

Powstaniu listopadowemu był Chrzanowski przeciwny i niechętny, nie dlatego, aby, jak na początku Chłopicki, nie wierzył w możliwość jego powodzenia, ale z przeświadczenia, że stan kraju jest na ogół pomyślnym, a więc powstanie bezcelowem. Co do wiary w możliwość zwycięstwa, to Chrzanowski mieć jej musiał więcej, niż ktokolwiek z generałów i oficerów sztabowych, skoro przedstawił wodzowi naczelnemu plan działań wprost zuchwały, zasadzający się na tem, aby w końcu grudnia r. 1830, kiedy armia rosyjska nie była jeszcze gotowa do boju, wkroczyć na Litwę i Wołyń, zajęte przez szeroko rozkwaterowane wojska korpusu VI-go, (w którego skład wchodził szeregowiec wyłącznie białorusini i majorusini, a oficerowie w  $\frac{2}{3}$  częściach polacy), rozbroić ten korpus, wcielić go do wojsk polskich i w tak zdwojonych siłach stawić czoło armii rosyjskiej na linii operacyjnej Wilno—Dubno, której podstawę tworzyłaby linia Grodno—Brześć.

Mochnacki, który na ukształtowanie się do dziś dnia w społeczeństwie naszym istniejących sądów o wojnie r. 1831 przeważny wywarł wpływ, a który o sprawach wojskowych dość słabe miał wyobrażenie, nazwał plan Chrzanowskiego genialnym i, za jego przewodem, modą, do dziś dnia panującą, stało się powtarzać, że był on najlepszym ze wszystkich. Znacznie w tej mierze kompetentniejszy od Mochnackiego Prądzyński poddaje go w swoim memoriale francuskim surowej krytyce. W samej rzeczy był on nad miarę ryzykownym. Proponowana przez Chrzanowskiego linia operacyjna wymagała do swojej obrony co najmniej 150,000 ludzi z odpowiednią artylerją, podczas gdy siła zbrojna polska, nawet po ewentualnem wcieleniu do niej korpusu litewskiego i wszelkich nowych formacyj, mogłaby wynieść zaledwie 80,000. Na linii więc tak długiej stanowićby musiała kilka luźno z sobą związanych nie-

licznych korpusów, które łatwo mogłyby być bite oddzielnie. Jedynym punktem ufortyfikowanym (zresztą słabo) na tyłach linii operacyjnej był Brześć, który na wypadek niepowodzenia mógł służyć za punkt oparcia tylko dla prawego skrzydła armii polskiej; środek zaś i lewe skrzydło miały linię odwrotu długą i przez nic nie osłoniętą, na której, wobec przewagi liczebnej sił rosyjskich, łatwo uleść mogły odcięciu i otoczeniu. W tych warunkach każde, częściowe nawet, niepowodzenie mogło się stać zgubnem dla całej armii.

Jest to dziwne, że plan tak zuchwały podał właśnie Chrzanowski, który był z natury swojej znacznie mniej od Prądzyńskiego ryzykownym, i który w dalszym przebiegu wojny składał stale dowody wielkiej oględności i przezorności.

Ostatecznie Chłopicki odrzucił plan Chrzanowskiego i przyjął zmodyfikowany plan Prądzyńskiego (pierwotna linia operacyjna Liw—Stoczek, — koncentryczny odwrót śród boju pod Pragę i bitwa walna na polu Grochowskiem). Chrzanowski otrzymał początkowo zlecenie kierowania robotami fortyfikacyjnymi Zamościa, a w końcu stycznia r. 1831 został szefem sztabu 2-giej dywizji (Żymirskiego). W tym charakterze w dniach 7 i 8 lutego kierował pierwszym spotkaniem zbrojnym z rosyjanami pod Liwcem i został lekko raniony odłamkiem granatu, wszakże frontu nie opuścił. Po zajęciu Siedlec przez półkownika Anrepą, wyjaśnił Żymirskiemu konieczność utrzymania tego punktu do czasu zamierzonej już zmiany linii operacyjnej, skutkiem czego był uwieczniony powodzeniem atak Suchorzewskiego na Siedlce (12 Lutego). W odwrocie bojowym od Kałuszyna do Miłosnej (17 i 18 Lutego) oraz w bitwach pod Wawrem (19 Lutego) i Grochowem (25 Lutego) znajdował się przy boku Żymirskiego.

Na radzie wojennej po bitwie Grochowskiej głosował za wyborem na wodza naczelnego Skrzyneckiego, który wnet po swojej nominacji awansował go na generała brygady i zamianował szefem sztabu głównego, czyniąc zresztą kwatermistrzostwo, (na którego czele stanął Prądzyński), niezależnem od sztabu.

Z początku pomiędzy wodzem naczelnym a szefem sztabu panowała dobra harmonia. Chrzanowski podtrzymywał Skrzyneckiego przeciw Prą-

dzyńskiemu, który zaraz na początku marca przedstawił swój znakomity plan wycieczki z Pragi, plan wykonany dopiero 31 marca, a uwieńczony zwycięstwami pod Wawrem i Dębem-Wielkim. Skrzyneckiego plan ten przerażał swoją śmiałością. Chrzanowski również go nie pochwalał i doradzał natomiast wyprawę przeciw rozkwatowanej pomiędzy Łomżą, Nurem i Ostrołęką gwardyi, przeznaczając do tego celu dwie dywizje piechoty i dwie jazdy. Ten dobrze pomyślany plan zepsuł Skrzynecki, zmniejszając korpus ekspedycyjny (pod dowództwem Umińskiego) do 5 batalionów piechoty i 16 szwadronów jazdy. Stąd wynikło pomiędzy nim a Chrzanowskim pierwsze nieporozumienie. Ostatecznie wódz naczelny uległ szefowi sztabu i rozpoczęły się przygotowania do wielkiej wyprawy w okolice Łomży i Nura. Korpus Umińskiego miał stanowić straż przednią tej wyprawy.

Tymczasem jednak w ostatnich dniach marca feldmarszałek Diebitsch rozwinął na wielką skalę przygotowania do przeprawy przez Wisłę. Plan Prądzyńskiego mógł być wykonany teraz, albo nigdy, bo oczywiście było, że, skoro tylko przygotowania do przeprawy zostaną ukończone, feldmarszałek ściągnie ku Wiśle rozłożone na szerokich kwaterach wojska rosyjskie, i wtedy jego potężna armia utworzy jednolitą groźną masę. Prądzyński natarczywie wznowił swój projekt. Tym razem Chrzanowski zrozumiał wielką ideę Prądzyńskiego, poparł jego plan przed wodzem naczelnym i ostatecznie uzyskał jego zgodę. Dyspozycja wyprawy na gwardyę została odwołana, a d. 31 marca nastąpiło wyjście z Pragi i w jednym dniu odniesione dwa zwycięstwa pod Wawrem i Dębem-Wielkim (ob. życiorys Rybińskiego w t. I «Albumu»).

Jak wiadomo, bitwę pod Dębem-Wielkim rozstrzygnęła na korzyść polaków szarża jazdy przez groblę pod dowództwem sławnej pamięci Kazimierza Skarżyńskiego. Otóż pomysł do tej szarży dał Chrzanowski.

Po bitwie ujawniła się znowu różnica poglądów pomiędzy Prądzyńskim a Chrzanowskim. W myśl pierwszego, odniesione pod Wawrem i Dębem-Wielkim zwycięstwa miały być tylko wstępem do operacji, której część główna polegać miała na ataku generalnym na szerokie kwatery Diebitscha. Temu śmiałemu zamiarowi Skrzy-

necki opierał się ze wszystkich sił, a i Chrzanowski uznawał go za zbyt ryzykowny. Mniemał, że, ponieważ przeprawa feldmarszałka przez Wisłę została udaremniona, a armia jego, zagrożona ze skrzydła, zmuszona do odwrotu od Wisły i zajęcia pozycji mniej więcej tej samej, jaką w pierwszych dniach działań wojennych zajmowała, przeto cel bitwy został osiągnięty i że teraz należy tylko energicznie ścigać rozbitego Rosena. W pościgu tym, (prowadzonym przez Lubieńskiego), aż do Kałuszyna sam czynny brał udział, od Kałuszyna zaś wyruszył w d. 2 kwietnia na czele 3 batalionów, 4 szwadronów i 4 dział na daleki rekonesans na południe, przez Kutlew i Stoczek do Żelechowa, gdzie w d. 4 kwietnia połączył się z K. Skarżyńskim.

Niebawem jednak zaczął Chrzanowski spostrzegać, że wódz naczelny korzysta wprawdzie z jego argumentów po to, aby zwalczać plany Prądzyńskiego, ale nie po to, aby z jego własnych projektów zrobić jakiś użytek praktyczny. Chrzanowski obawiał się proponowanego przez Prądzyńskiego ataku na feldmarszałka, ale zgoda nie życzył i nie doradzał bezczynności, z której Skrzynecki coraz widoczniej czynił zasadę. Między wodzem naczelnym a szefem sztabu przychodziło do starć coraz ostrzejszych. Gdy, po zmarowaniu zwycięstwa Prądzyńskiego pod Igania-mi, Diebitsch skoncentrował siły swoje w okolicach Siedlec, Chrzanowski, narówni z Prądzyńskim, usiłował nakłonić Skrzyneckiego do działań zaczepnych. Upór Skrzyneckiego, który w zupełnej bezczynności jedyne widział zbawienie, niecierpliwił go coraz bardziej i wreszcie doprowadził do uczynienia wodzowi naczelnemu szorstkiej uwagi, że «prowadzimy wojnę jak tchórze.» Wreszcie Chrzanowski nabrał pogardy dla wodza naczelnego i utracił nadzieję osiągnięcia na stanowisku szefa sztabu jakichkolwiek rezultatów. Wobec tego zaś, zaczął pragnąć jakiejś funkcji samodzielnej, dowództwa jakiegoś osobno operującego oddziału.

Sposobność po temu niebawem się nastęczyła. Dwernicki, który do tego czasu zajmował województwo Lubelskie, wysłany został na Wołyń. Miejsce jego miał zająć w Lubelskiem stojący dotychczas na lewym brzegu Wisły Sierawski. Gdy jednak został on (17 kwietnia) przez Kreutza pod Wronowem i Kazimierzem po-

bity i z powrotem za Wisłę odparty, Chrzanowski wyjednał dla siebie przeznaczenie do prowadzenia działań w Lubelskiem.

Przeznaczono na ten cel wojska wyborowe: pułki 1-szy i 5-ty liniowe (brygada Ramorina), batalion ochotniczy strzelców Sandomierskich oraz pułki: 1-szy strzelców konnych i jazdy Sandomierskiej (brygada Ambrożego Skarżyńskiego) — ogółem 7 batalionów, 8 szwadronów i 10 dział.

Na czele tego korpusu ruszył Chrzanowski w d. 6 maja do Kocka, który ubiegł i zajął w d. 8 maja, biorąc do niewoli stu kilkudziesięciu rosyjan i 16 jaszczyków z amunicją. Zmusiwszy do odwrotu generała Tiemanna, (który się cofnął ku Kamionce na oddział generała Fezi), przeprowadził się w d. 9 maja przez Wieprz i w tymże dniu pobił pod Kamionką generała Fezi, któremu zabrał do niewoli 570 ludzi. Wieczorem skierował się na Lubartów, gdzie został w d. 10 zaatakowanym przez wszystkie siły Kreutza.

Naciskany przez w trójnásób liczniejszego nieprzyjaciela, zasypywany ogniem 38 dział (sam miał ich 10), Chrzanowski, dzięki swej przytomności i energii, uratował swój oddział od zguby, osłaniając jego odwrót licznymi szarżami jazdy, które sam prowadził. Odwrót odbył się we wzorowym porządku, bez strat w artylerii i w bagażach. Nawet wziętych uprzednio jeńców Chrzanowski zdołał z sobą uprowadzić. Ścigany natarczywie przez Kreutza, wymykając mu się za pomocą zręcznych manewrów i stoczywszy jeszcze w d. 21 maja zaciętą walkę pod Starym Zamościem, Chrzanowski wszedł w d. 23 maja pod osłonę fortyfikacji Zamościa, gdzie pozostawał do drugiej połowy czerwca.

Tymczasem, na skutek klęski ostrołęckiej, sytuacja ogólna zmieniła się zasadniczo. Chrzanowski utracił już wiarę w możliwość zwycięstwa i działał tylko z poczucia obowiązku, — niemniej jednak świetnie.

13 czerwca rozpoczęła się niedołączna operacja Skrzyneckiego przeciw Rüdigerowi, zakończona w d. 19 porażką Jankowskiego pod Budziskiem. W d. 17 czerwca Chrzanowski, stosownie do otrzymanej dyspozycji, wyruszył z Zamościa, celem odcięcia odwrotu Rüdigerowi, a jednocześnie wysłał ku Wiśle 26 dział oblężniczych, przeznaczonych dla wzmocnienia artylerii warszawskiej. Idąc na Krasnystaw i nie dostrzegając żadnych śladów odwrotu Rüdigera, dotarł aż

do Piasków. Tam dopiero z przejętego listu prywatnego oficera rosyjskiego dowiedział się, że Jankowski został pobity. Sprawdziwszy tę wiadomość za pomocą rekonesansu do Łęczny, ujrzał, że jego własne położenie jest nader ryzykowne. Łatwo mu było wrócić do Zamościa, ale w takim razie narażał wysłany do Warszawy transport artyleryjski. Postanowił więc ściągnąć Rüdigera na siebie, ale nie dać się zmusić do bitwy, a następnie, osłaniając sobą transport, przeprowadzić się przez Wisłę i połączyć z armią główną.

Tę bardzo trudną i ryzykowną operację wykonał doskonale. 23 czerwca stanął w Lublinie, wytrzymał tam 6-cio godzinną kanonadę z Dawydowem, a z nadejściem zmroku, niepostrzeżony przez generała rosyjskiego, który aż do rana przekonany był o jego obecności w Lublinie, ruszył ku Wiśle i po 6-cio-milowym marszu nocnym przybył o godz. 9 rano do Końskowoli. Zapewniwszy się tam, że jego rozkazy co do urządzenia przeprawy w Gołębiu zostały wykonane, odbył nowy marsz 10-cio-milowy i 25-go czerwca o godz. 3 po południu przeprowadził przez Wisłę ostatnie strażę tylną swego korpusu. Tymczasem transport artyleryjski również szczęśliwie przeprowadził się w Zawichoście i przybył do Warszawy.

W początku lipca, gdy nowy rosyjski wódz naczelny feldmarszałek Paskiewicz rozpoczął pochód w dół Wisły, Chrzanowski wydelegowany został do czynności na szosie brzeskiej przeciw gen. Gołowinowi. Nie przysporzyły mu one laurów. Przeprowadziwszy się przez Wisłę pod Potyczą, połączył się z I-szą dywizją piechoty (Rybińskiego) i 3-cią jazdą (Jagmina), a po przyłączeniu do nich części garnizonu modlińskiego i niektórych oddziałów, dotychczas rozkwaterowanych w województwie Sandomierskiem, objął dowództwo nad poważnym liczebnie korpusem, złożonym z 24 batalionów, 34 szwadronów i 42 dział. Przeciw sobie miał pod dowództwem Gołowina 10 batalionów, 7 szwadronów i 14 dział. Mądry, śmiały i energiczny wódz rosyjski potrafił zręcznie zamaskować szczupłość swoich sił i przez 12 dni (od 3 do 15 lipca), działając z wielką energią na wielu odległych od siebie punktach, utrzymać wodzów polskich w przekonaniu, że mają do czynienia z całym VI korpusem. Gdy wreszcie w dniach 14 i 15 lipca



Jagmin pobił go pod Kałuszynem i Mińskiem, i gdy istotna słabość oddziału jego została ujawnioną, Chrzanowski wraz ze Skrzyneckim, który osobiście przybył do jego korpusu, rozpoczął ruch, zmierzający ku otoczeniu i rozbiciu lub wzięciu do niewoli Gołowina. Skrzynecki z dywizją Rybińskiego skierował się z Kałuszyna ku Siedlcom, gdzie stał Gołowin, aby go atakować od frontu, Chrzanowski na czele 7. batalionów, 8 szwadronów i 10. dział ruszył w nocy z 19 na 20 lipca przez Biardy i Zbuczyn, aby mu zająć tył i odciąć drogę odwrotu. Ale wódz rosyjski zawczasu zorientował się w sytuacji, 19 wieczorem opuścił Siedlce i, skierowawszy się na Mordy i Łosice, wymknął się z matni. Po bezowocnym forsownym pochodzie wojska polskie rozpoczęły w d. 21 lipca odwrót ku Pradze.

Gdy, po nocy 15 sierpnia, dotychczasowy gubernator Warszawy gen. Krukowiecki objął przewodnictwo rządu, Chrzanowski otrzymał gubernatorstwo Warszawy. Działalność jego na tym urzędzie nie obituje w ciekawe szczegóły. W obronie Warszawy nieznaczny brał udział, a zaraz po jej kapitulacji poddał się feldmarszałkowi i wkrótce wstąpił do wojsk rosyjskich w stopniu podpółkownika, który przed wojną posiadał.

Na początku r. 1832 wyszedł do dymisji i wyjechał za pasportem do Paryża, skąd już do kraju nie wracał. Mieszkając w Paryżu, zresztą zdala od życia emigracji, poświęcił się pracy wojskowo-literackiej i ogłosił drukiem: «Wyciągi z cenniejszych dzieł o wyższych częściach sztuki

wojennej» (Paryż 1844), «Zarys zastosowanej taktyki» (Paryż 1846) oraz «Kurs sztuki wojennej» (miejsce i rok wydania nie są mi wiadome).

W r. 1848, nakłoniony przez Władysława Zamoyskiego, udał się do Włoch i został generałem armii Sardyńskiej. W fatalnej 5-cio-dniowej (19—24 marca) kampanii r. 1849 był adiutantem osobistym króla Karola Alberta i faktycznym wodzem naczelnym wojsk sardyńskich. Stanowiąca finał niefortunnej imprezy klęska pod Novarą nie pochodziła w istocie rzeczy z jego winy. Ale odpowiedzialność spadła na niego. Chrzanowski wystosował do rządu Sardyńskiego obszernie pismo, usprawiedliwiające jego postępowanie, a następnie podał się do dymisji i wrócił do Paryża, gdzie zmarł d. 5 marca r. 1861.

Jest coś dziwnego w smutnem zresztą i pełnem goryczy życiu tego człowieka. Jako wódz, nie miał szczęścia. W kierownictwie armią główną gasił go i usuwał na drugi plan przerastający go o głowę Prądyński. Jako dowódzca osobnego oddziału, dokonał czynów świetnych (bitwy pod Kamionką i Lubartowem, pochód do Zamościa, manewr przeciw Rüdigerowi i Dawydowowi i przeprowadzenie przez Wisłę artylerii Zamoyskiej), ale pozbawionych wpływu na ogólny przebieg wojny. W kampanii Sardyńskiej jego dobrze pomyślany plan unicestwił przez nieudolność, czy przez złą wolę, jego dawny towarzysz broni, ten sam Ramorino, który w r. 1831 tyle sprawie polskiej zaszkodził.

*Maryan Massonius.*

# Adam Benedykt Jocher.

\* 1791 † 1860.

**A** życie Adama Jochera, podobnie jak wielu mężów pracujących naukowo, nie przedstawia nadzwyczajnych wypadków. Upływa ono w ciszy bibliotek, lub w samotnej pracowni. Urodzony w roku 1791, ukończył gimnazjum wileńskie w r. 1807 i wstąpił na uniwersytet, gdzie się głównie, pod kierunkiem Jana Abichta, kantysty, Niemca, powołanego w roku 1804 na katedrę z Królewca, studiom filozoficznym oddawał. Obok tego, słuchał wykładów literatury greckiej i rzymskiej Ernesta Groddecka i, otrzymawszy w r. 1811 stopień magistra, poświęcił się nauczycielce prywatnej i na tem zajęciu najpiękniejsze lata młodości marnował. Dopiero w r. 1827 wezwany na stanowisko pomocni-

ka bibliotekarza przy uniwersytecie wileńskim, znalazł się w właściwym sobie żywiole. Wprawdzie

zamknięcie w pięć lat potem uniwersytetu o mało nie podkopało spokojnej egzystencji Jochera; nadspodziewanie jednak utrzymał się na stanowisku bibliotekarza przy nowo otwartej w r. 1832 Akademii medycznej, oraz przy powstałej w Wilnie w r. 1834 Akademii duchownej. Jednocześnie z objęciem tych ostatnich obowiązków rozpoczyna współpracownictwo w *Wizcerunkach i roztrząsaniach naukowych*, redagowanych przez Ignacego Szydlowskiego wraz z Leonem Rogalskim (od r. 1834—1843), i zasiała to wydawnictwo wyborowemi artykułami, tłumaczonemi z różnych *Przeglądów*.



Podług litografii współczesnej rysował X. Pillati.

*A. Jocher*

Przecież nie to stanowi rzetelną jego usługę.

Po Ludwiku Sobolewskim, bibliotekarzu przy uniwersytecie wileńskim, zmarłym w r. 1830, pozostał ogromny materiał bibliograficzny, nagromadzony latami, który on zamierzał zużytkować w dziele, mającem nosić tytuł: *Biblioteka polska*, ale którego śmierć przedwczesna nie pozwoliła mu przygotować. Nagromadzone wszakże przezeń materiały, nabył Adam Zawadzki, zasłużony księgarz i wydawca wileński, i te zużytkować odpowiednio zamierzył. W tym celu zwrócił się do Adama Jochera i zawezwał go do napisania dzieła, któreby dawało najdokładniejszy obraz bibliografii polskiej, w systematycznym i całość nauk obejmującym zakresie.

Powierzone Jocherowi zbiory Sobolewskiego składały się: 1) z *Historji literatury* Feliksa Bentkowskiego, poprzekładanej białymi kartkami papieru i według układu jej, prostowanej i pomnażanej różnemi dopełnieniami. 2) z pięciu *Tek*, zawierających wyciągi z dzieł rzadkich, porządkiem alfabetycznym nazwisk, różnych autorów ułożone, a które właściwie składać miały ową *Bibliotekę polską*. 3) z *Dykcjonarza poetów polskich*, kanonika-oficyała kieleckiego, Hieronima Juszyńskiego, dopełnionego w podobny sposób, jak *Historja literatury* Bentkowskiego, i po 4) z *Miscellaneów*, zawierających notaty z dzieł, katalogów i bibliografii zagranicznej.

Materiały te, czerpane w bibliotekach: puławskiej, Ossolińskiego w Wiedniu, hr. Chreptowicza w Szczorsach, a nadto: królewieckiej i paryskiej, Jocher następującemi jeszcze uzupełnił, mianowicie: 1) dopełnieniami do tomu II *Historji literatury* Bentkowskiego, dokonanemi przez Jana-Wincentego Bantkiego; 2) dopełnieniami do tejże *Historji*, sporządzonemi przez Karola Sienkiewicza bibliotekarza w Puławach; 3) dopełnieniami samego Feliksa Bentkowskiego do własnego dzieła; 4) skorowidzem dzieł polskich, spisany w Bibliotece Konstantego Świdzińskiego i nakoniec, po 5) notatami bibliograficznymi, pozostałemi po biskupie, Janie Albertrandym, oraz własnymi notatami Adama Zawadzkiego, spisane w bibliotekach: toruńskiej, gdańskiej i berlińskiej. Nadto na samą wieść o wydawaniu tak ważnego dla literatury, bo źródłowego dzieła, zaczęto Jocherowi z różnych stron kraju nowe ma-

teryały nadsyłać, a pochodzące od: Leona Rogalskiego, prof. Daniłowicza z Moskwy, prof. Onaciewicz z Petersburga, Władysława Trębickiego z Linowa, wreszcie od J. I. Kraszewskiego, Mikołaja Malinowskiego, Józefa Łukaszewicza z Poznania i innych.

Odpowiednio do tak bogatej osnowy, Jocher nakreślił plan przyszłego dzieła niemniej w olbrzymich rozmiarach. Naprzód, całość jego podzielił na 13 części, stosownie do liczby materij, do których opisane dzieła odnosiły się swą treścią. W każdej z tych części przyjął trojaki jeszcze podział, mianowicie: Dział I, obejmować miał historję krytyczną każdej nauki; dział II — właściwą bibliografią i nakoniec dział III — noty, odnoszące się do wiadomości o każdym z dzieł wymienionych, oraz ważniejsze z niego wyciągi.

Według takiego zaś planu zakreślonemu dziełu, dał tytuł: *Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce od zaprowadzenia druku do roku 1830*.

Wszakże i Jocherowi nie było danem urzeczywistnić tak rozległych zamysłów. Z owych 13 części, z których całość dzieła składać się miała, zaledwie trzy tylko obrobił, mianowicie: 1) Literaturę i filologję starożytną; 2) Nauki razem wzięte, zbiory i polygrafie i po 3) Oddział nauk teologicznych. Pozostałych 10 części nie miały nigdy ujrzeć światła: całe przedsięwzięcie ograniczyło się na trzech tomach, wprawdzie obejmujących po tysiąc stronnic z nadwyżką, ale stanowiących zaledwie część czwartą zamierzonego dzieła.

Przerwanie jednak wydawnictwa nie pochodziło z winy Jochera. Od roku bowiem 1839 po 1843 pojawiało się ono regularnie poszytami z drukarni Zawadzkiego, — tylko, niestety, nie wracało olbrzymich nakładów! Wobec coraz bardziej rosnących kosztów Zawadzki uląkł się strat, niedających się naprzód obliczyć i na tomie III wydawnictwo zakończył. Z jego przerwaniem, z zamknięciem w r. 1840 Akademii-medycznej, z upadkiem *Wizerunków i roztrząsań naukowych*, wreszcie z przeniesieniem w r. 1842 do Petersburga Akademii duchownej, Jocher nie miał co porabiać dłużej w Wilnie i osiadł na roli, zadzierżawiając jakiś majątek. Ale przywykłemu do orki na innem polu, ciężko szła praca na zagonie i wkrótce ją porzucił dla stanowiska

nauczyciela w gimnazjum kowieńskim. Widać jednak, że i zajęcia szkolne nie przypadły do jego usposobienia, a w każdym razie niewiele pracom naukowym sprzyjały. Po roku bowiem znów przyjął obowiązki nauczyciela w domu hr. Tyszkiewicza i przy jego dzieciach do r. 1856 zostawał. Wreszcie gdy w Wilnie zaczęło się życie umysłowe rozbudzać, Jocher osiedlił się tu nanowo i, choć podupadły na zdrowiu, pracował jako członek Komisji archeologicznej, powstałej za staraniem hr. Eustachego Tyszkiewicza, i na tem stanowisku spotkała go śmierć w d. 3 kwietnia 1860 roku.

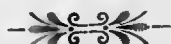
Jocher największe położył zasługi przez swe prace bibliograficzne. W nich on stał na gruncie ściśle naukowym i pewnym. Oderwany od nich, nie wyrzekł się wprawdzie badań naukowych, ale te, zwrócone do lingwistyki, zaprowadziły go na pole fantastycznych hipotez, nie mających żadnej naukowej podstawy. Jak Mickiewicz w swych prelekcjach, wygłaszanych pod wpływem Towiańskiego, wywodził Słowian od Asyryjczyków i to ich rzekome pochodzenie uzasadniał za pomocą różnych derywacji etymologicznych; tak Jocher w Pelazgach dopatrywał praojców Słowian i w pracy swej, napisanej po łacinie, a zatytułowanej *Pelasgia* starał się z wielkim nakładem erudycji uzasadnić to pochodzenie rodowe i wykazać blizkie pokrewieństwo pomiędzy językiem greckim a polskim (Wilno, 1855). Że to pokrewieństwo pod względem morfologicznym pomiędzy wszystkimi językami aryjskimi zachodzi, to wykazała porównawcza lingwistyka. O niej przecież Jocher nie miał żadnego pojęcia i swe wywody jedynie na podobieństwie brzmień wyrazowych opierał. Wszedłszy zaś raz na tę drogę pochyłą, nie mógł się już na niej zatrzymać i w cztery lata potem wydał: *Epilog historyi mowy pierwotnej* (sic), oraz

*wstęp do jej odnowienia w mowie słowiańsko-polskiej i o harmonii mów* (Wilno, 1859). Teraz już nie wystarcza mu teoria pochodzenia Słowian od Pelazgów: idzie on dalej i za pośrednictwem języka fenickiego, który znów uważa za pierwotny słowiański, chce zlać wszystkie języki w jedną mowę polską, czyli z niej wytworzyć język powszechny! Za podstawę wziął scenę I z komedyi Plauta: *Poenulus* (Kartaginiec) i komentując jego żargon, nawiązuje obecne wywody z dawną teorią o Pelazgach. Ogniwnem, łączącym z nimi Fenicyan, to Kadmus i jego osadnicy. Wszystko to jednak są do niczego nie prowadzące zaciekania, którym się nie on jeden wówczas na gruncie etymologicznym oddawał. Początek bowiem dał im Jan Nepomucen Kamiński rozprawą. «*O filozoficzności języka polskiego*», ogłoszoną jeszcze w roku 1830 w *Haliczaninie*. Od niego poczynając, plodzono na tym gruncie przez lat trzydzieści kilka rozmaite dziwolagi, dopóki prace: Cegielskiego, Małeckiego, Franciszka Malinowskiego i wykłady prof. Józefa Przyborskiego w Szkole głównej Warszawskiej, oparte na podstawach rzetelnej nauki, nie nadały badaniom językowym całkiem innego kierunku.

O wiele pożyteczniejszą pracą Jochera było wydanie w przekładzie z języka łacińskiego *Pism pośmiertnych* Stanisława Łubieńskiego, biskupa i podkanclerzego koronnego, poprzedzonych wiadomością o jego życiu i dziełach (Wilno, 1855). Natomiast rozprawa: *Pogląd na kierunek, na bieg umysłów i nauk w przedmiotach wiary świętej po krajach dawnej Polski*, wydana w Wilnie, 1857 grzeszy brakiem krytyki i jednostronnością.

Wszystkie też te pisma, pomimo zdumiewającej erudycji, dziś zapomnieniu uległy; *Obraz* jednak *bibliograficzno-historyczny* nazawsze w literaturze imię Jochera utrwali.

*Roman Pleniewicz.*



# Narcyza Żmichowska (Gabryela).

\* 1819 † 1876.

**N**utorka «Poganki» przyszła na świat dnia 4 marca r. 1819 w Warszawie z ojca Jana (pisarza żupy solnej w Nowem Mieście nad Pilicą) i matki Wiktoryi z Kiedrzyńskich; lata dziecinne spędziła u krewnych na Podlasiu, a w r. 1827 oddano ją na pensję Zuzanny Wilczyńskiej w Warszawie; po ukończeniu pensyi, zamierzając kształcić się na nauczycielkę, wstąpiła do «Instytutu rządowego wychowania panien». O głębszym wpływie nauki szkolnej na jej umysłowość nie może być mowy z uwagi, że zarówno na pensyi, jak w instytucie, stosowano się w sposobie nauczania do wydanej przez Komisję rządową wyznań i oświecenia instrukcyi, która miała charakter nawskroś utylitarny, a system taki zupełnie nie odpowiadał ani fantazyi, ani uczuciom Żmichowskiej.

Opuściwszy instytut w r. 1835, wzięła się gorliwie do pracy; z iście młodzieńczym zapałem i entuzjazmem zaczęła rozczytywać się w utworach poezyi, tej wielkiej poezyi romantycznej, która właśnie w epoce młodości Żmichowskiej święciła swoje najwspanialsze tryumfy; wertowała książki z zakresu nauki języka i historii, zagłębiała się w rozmyślania historyzoficzne, aż wreszcie straciła spokój ducha, wpadła w gorycz i zwątpienie: badanie dziejów ludzkości zachwiało jej wiarę w stałość zasad etycznych, w możliwość szczęścia ludzkiego, w wartość i pożytek pracy. Lecz w Paryżu, dokąd wyjechała, jako nauczycielka domowa hr. Zamojskich, odzyskała spokój

ducha pod wpływem Towarzystwa demokratycznego, a przede wszystkim brata Erazma, zapalonego demokrata, który utrwalił w niej zasady demokratyczne, wpoił w nią przekonanie, że praca, podjęta dla dobra ludu, nie idzie na marne, że pośrednio jest zbawienna dla całego społeczeństwa, że więc i jednostka może się przyczynić do szczęścia ogółu. Zasadami temi silniej jeszcze prześląkła Żmichowska w Rheims, gdzie zamieszkała na pewien czas przy bracie i, kiedy wracała do kraju, nie była to już pesymistka, lecz kobieta, pełna wiary w najwznioślejsze ideały i w potęgę pracy.

Po trzymiesięcznym pobycie w Poznańskim powróciła do Warszawy, i teraz jej życie ściśle wiąże się z historią «entuzyastek», owego grona kobiet, które pragnęło wyższej skali oświaty naukowej dla kobiet, które nienawidziło konwenansu, «mając—jak powiada Żmichowska—nieprzeżytną do dobrego tonu odrazę, brzydząc się drobiazgowymi fałszami i układnością, podsycając niedołęstwo kobiece». Cztery kobiety składały początkowo to grono: oprócz Żmichowskiej — Wincenta Zabłocka, Anna z Sokołowskich Skimborowiczowa, Kazimiera z Jaraczewskich Ziemięcka. Dążyły entuzyastki do wiedzy, prawdy i dobra, do niezależności w działaniu, prawdy i szczerości uczucia, pożyteczności czynów, rozprawiały o przedmiotach wzniosłych, jak oto: doskonałość, postęp, wiedza, miłość, szczęście, zbawienie, Bóg; wogóle za hasło ich działalności





*Podług litografii społecznej ze zbiorów Z. Wolskiego.*

*Smehowski*

śmiało poczytać można słowa, wyjęte z wiersza «Do moich dziewczynek»:

Ze słowem Bożem -- chleb dla każdego,  
Z życiem na ziemi — miejsce wśród tłumu,  
Z pamięcią przodków — win odpuszczenie,  
*I z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie.*

Nie sprzeniewierzyła się Żmichowska hasłu pracy: pracowała, jako nauczycielka, pracowała piórem, pracowała przykładem. W końcu roku 1843, czy też na początku 1844 zamieszkała, jako nauczycielka, w Poznańskim u pp. Turnów w Objezierzu.

Po dwuletnim pobycie w Poznańskim powróciła Żmichowska do Warszawy, i teraz to ukazują się jej najznakomitsze utwory: poemat prozą «Poganka» (1846) i «Książka pamiątek» (1847 — 8). W Poznańskim marzyła Żmichowska o założeniu pensyi żeńskiej; nie mogąc jednak spełnić swego zamiaru, zapragnęła przynajmniej dać wskazówki, dotyczące wychowania dziewcząt; ten zamiar spełniła: w r. 1847 ukazał się «Wykład nauk, przeznaczony do pomocy w domowym wychowaniu panien. Część I, przedwstępna», które to dzieło jest, właściwie mówiąc, pierwszą oryginalnie po polsku napisaną nauką o rzeczach. Chcąc poglądy swe na naukę początkową wypróbować w praktyce, Żmichowska opuściła na pewien czas Warszawę i osiadła w Rzeczy, gdzie została nauczycielką ludową. Lecz ta jej praca trwała krótko; znów powróciła Żmichowska do teorii, pracując nad drugą książką, która miała wejść w skład «Wykładu nauk», a mianowicie nad geografią, która w znacznej części została wydrukowana już w r. 1848 lecz która do rąk publiczności dostała się dopiero znacznie później («Wykład nauk, przeznaczony do pomocy w domowym wychowaniu panien. Geografia». Część I, 1857. Część II, 1858).

Nagle w r. 1849 praca Żmichowskiej uległa przerwie: została zmuszona zamieszkać w Lublinie, w gmachu poklasztornym panien Brygitek. Odosobniona od świata i ludzi nie straciła hartu duszy, owszem osamotnienie zahartowało jej wolę i wzmocniło te uczucia święte, które zamieszkały w jej sercu: dość przeczytać jej listy do przyjaciółek, pisane w owym czasie (*Listy*, Kraków, 1885, Tom I, str. 159 i nast.), oraz pełen miłości

społeczeństwa i wzniosłych uczuć «Głos Pański» (tamże, 376—380).

W lutym r. 1852 wyrzała na świat Boży; pozostała w Lublinie u siostry swej, Hortensyi, i znów poświęciła się nauczaniu dzieci. Widok społeczeństwa, coraz bardziej grzęznącego w błocie reakcyi ogólnoeuropejskiej, nie mógł kojąco na nią oddziaływać, — na nią, wychowaną w atmosferze wielkiej poezyi romantycznej, która chciała niebo na ziemię ściągnąć, utożsamić poezję z życiem! Boleśnie odczuła te czasy Żmichowska, a tęsknotę swą do czasów dawnych, lepszych, do «bratnich duchów», których coraz to mniej nokoło siebie widziała, — wyraziła w «Liście nie wiem czyim i nie wiem do kogo».

Była Żmichowska całą duszą po stronie tych, co przyszłość kraju upatrywali w cichej pracy. Sama pracowała bez wytchnienia; pomiędzy innemi, osiadłszy w Warszawie, zorganizowała u siebie w r. 1862 pogadanki pedagogiczne, a pod koniec tegoż roku objęła obowiązki nauczycielki geografii w świeżo utworzonym Instytucie panien. Lecz po trzech miesiącach nauczania opuściła to stanowisko i na początku roku 1863 przeniosła się na wieś.

Po wypadkach r. 1863 nie straciła hartu duszy, owszem z energią wzięła się znów do pracy nad badaniem nowych prądów nauki, wjących z zachodu, — pozytywistycznych; ale serce pozostało zawsze gorące, a umysł jej zyskał ścisłość naukową, ostrożność w uogólnianiach, świadomość konieczności postępu. Kiedy prof. Adolf Pawiński podjął wydawnictwo «Dziejów Anglii» Macaulaya, przetłumaczyła tom VI i IX tego dzieła; pod jej redakcją ukazało się dwunastotomowe wydanie dzieł Hofmanowej z dodaniem życiorysu i objaśnień (1875 — 1877). Pod koniec życia nakreśliła obszerny plan utworu powieściowego, w którym zamierzała scharakteryzować życie społeczne w trzecim i czwartym dziesiątku naszego stulecia; lecz wykonała już tylko pierwszą część planu («Czy to powieść?»).

Umarła w dzień Bożego Narodzenia w roku 1876 <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Pierwsze zbiorowe wydanie dzieł Żmichowskiej ukazało się w Warszawie, w 4 tomach, 1861.—Drugie, w pięciu tomach, z życiorysem przez Chmielowskiego, tamże, 1885 — 6. Obydwa są niezupełne. Fragmenty

«Między pisarskimi zdolnościami kobiet społecznych niezawodnie najpierwsza, nie wiemy, czy dosyć ceniona i uznana, jakby to nakazywał smak estetyczny. Najpierwsza co do szerokiej myśli i zagadnień doniosłych, które potraçała w pismach, przypominała żywo zgasał w przeszłym roku sławną współczesną autorkę Francji. Język, styl, poprawność i wykończenie rzeczy, naturalność w podejmowaniu i rozwinięciu traktowanego przedmiotu, mogące przyprowadzić do rozpacznej zazdrości całe zastępy naszych młodych męskich talentów. Natura ekscentryczna i nerwowa, walcząca wewnątrz w bogatej w zasób umysłowy duszy, nie wiemy, o ile i czy przyszła w końcu do zgody i harmonii wewnętrznej».

Tak pisał o Źmichowskiej Józef Szujski pod pierwszym wrażeniem jej śmierci (*Przegląd polski*, styczeń, r. 1877, str. 162). Ćwierć wieku blisko minęło, a Źmichowska zawsze jest wśród naszych autorek «najpierwsza co do szerokiej myśli i zagadnień doniosłych»; głęboością podejmowanych tematów ani jedna jej nie dorównała, jak nie dorównała jej «językiem, stylem»: jest Źmichowska w naszej literaturze najgłębszą myślicielką, «przypominając żywo... sławną... autorkę «Francji» — p. Sand, i jest jednocześnie największą naszą poetką w prozie; jej proza poetyczna godna stanąć obok prozy Krasńskiego, jak podejmowanie w poezji tematów filozoficznych spokrewnia ją z Krasńskim.

Pierwszy jej występ literacki przypada na r. 1839: w noworoczniku «Pierwiosnek» znajduje się jej wiersz bez tytułu, słaby, ale znamieny przez to, że jego przewodnią myślą jest idea tolerancji, przewodniem uczuciem — smutek; tej idei zawsze służyła wiernie, a to uczucie było zawsze tłem jej uczuciowości. Rozgłos pozyskała sobie Źmichowska dopiero «Szczęściem poety» (1841), chociaż i ten wiersz, aczkolwiek poetycznie

wyższy od poprzedniego, jest ciekawy głównie z tego względu, że dowodzi, iż wówczas już zajmowały poetkę zadania poezji, a więc sztuki; zresztą poglądy na poezję są tu wypowiedziane niekoniecznie jasno, ale za to zupełnie jasno odbija się w tym wierszu wiara Źmichowskiej w ideały i dążenie do urzeczywistnienia ideałów. A ta sama wiara, tylko już o wiele piękniej i o wiele silniej, odzwierciedla się w trzech «Wyjątkach z podróży kobiety»: «Gibraltar» (1841), «Burza» i «Zwaliska Luksoru» (1842): oto trzy pierwsze próbki jej poezji filozoficznej prozą. Jak Krasński, tak i ona usiłuje nadać swym myślom, a więc abstrakcyi, kształty konkretne, a więc poetyczne. Najlepiej powiodło się jej to w «Burzy», gdzie zewnętrzne akcesorya zlewają się z upoetyzowaną myślą w harmonijną całość.

Lecz, wierząc w ideały ducha ludzkiego, nie była Źmichowska ślepa na rzeczywistość, i świadomość różnicy pomiędzy rzeczywistością a ideałami zaczyna powoli napęlniać jej serce coraz to większym smutkiem, który przemówił w twórczości, jako ironia; jej pierwszym wyrazem, bardzo słabym jeszcze, jest powiastka «Zagadnienie» (1842), której źródłem jest obserwacja życia.

Tak więc w pierwszych utworach Źmichowskiej mamy dotychczas dwa pierwiastki: zagadnienia filozoficzne, a mianowicie ideały ducha ludzkiego, oraz życie rzeczywiste. Do tych dwu pierwiastków przybywa trzeci: ludowość. Po raz pierwszy spostrzegamy go w poemacie «Maina i Kościej» (1842 — 3), w którym zresztą nie trudno dostrzedz także i wpływów Bajrona (Manfred); w podanie ludowe tchnęła Źmichowska tę myśl, że dla człowieka, obdarzonego silnem uczuciem, niema szczęścia w twardych warunkach rzeczywistego życia, że spokój można znaleźć jedynie w zupełnem oderwaniu się od świata, ale nie w życiu kontemplacyjnem, tylko w jakimś śnie mistycznym. Jak w «Szczęściu poety» poczytuje Źmichowska za jedną z największych potęg duchowych uczucie, tak tutaj — marzenie. Przez taką myśl jest «Maina i Kościej» utworem wybitnie romantycznym, znamienym dla epoki romantyzmu, który na wysokim piedestale stawiał uczucie i egzaltację fantazyi. Podobne myśli wypowiada Źmichowska w poematach «Przekleństwo» i «Lilia» (1843), niepozbawionych prawdziwego wdzięku poezji, lecz niezupełnie jasnych.

«Ze spuścizny po Gabryeli» oraz «Wspomnienie re-jenta» wydano w *Ateneum*, 1888, III. — «Listy Narcyzy Źmichowskiej do rodziny i przyjaciół» w dwu tomach wyszły w Krakowie, 1885. — Gruntowne studium o Gabryeli napisał P. Chmielowski («Autorki polskie, wieku XIX», str. 275—406; por. tamże «Entuzyastki», 226 — 274). Ob. także szkic Felicyi z Wasilewskich Boberskiej w „pismach“ (Lwów, 1893), str. 204—257.

Na podaniach ludowych osnuła jeszcze Żmichowska swoje «Prządki»; (1844) jest to wszelkiej tendencji pozbawiona reprodukcja artystyczna dwu pieśni i trzech klechd ludowych. Natomiast tendencyjną jest powiastka historyczna «Dańko z Jawuru» (1845 — 6), w której mamy przeciwstawienie szlachetnego dziecka chłopskiego niegodziwemu synowi szlacheckiemu; powiastka ta, mimo kilku pięknych ustępów i znacznej tendencji demokratycznej, większej wartości nie posiada nie tylko dlatego, że koloryt historyczny przebija się bardzo słabo, ale i dlatego jeszcze, że tendencja zbyt często i wyraźnie występuje na plan pierwszy — oczywiście ze szkodą artyzmu.

Szereg pierwszych utworów Żmichowskiej uzupełniają: «Fantazyja» i «Trzy pieśni gęślarza». «Fantazyja» jest z jednej strony obrazem spodlenia ludzkości, a z drugiej apoteozą poezji, która, jeżeli jest wzniosła, jest w stanie odrodzić ludzkość; bez niej, bez jej wzniosłych haseł będzie coraz podłej na ziemi, samolubstwo wzrośnie tak bardzo, że brat podniesie rękę na brata, i wymordują się ludzie — i wtedy dopiero będzie dobrze... Może to przesada — taki wniosek, ale nie jest przesadą gorące pragnienie, aby żył w ludzkości jakiś pierwiastek idealny, którego najwyższym wyrazem jest — obok religii — niewątpliwie poezja. Pogląd swój na doniosłość poezji i obowiązki poety wypowiedziała Żmichowska w «Trzech pieśniach gęślarza», lecz nowych myśli, którychby nie wypowiedzieli przed nią inni romantycy, one nie zawierają.

Wogóle — z wyjątkiem «Wyjątków z podróży kobiety» — pierwsze utwory Żmichowskiej nie znamionują jeszcze ani zbyt wielkiej samodzielności talentu, ani oryginalności myśli, ani siły wystąpienia; obrazowość stylu jest, ale posilkuje się ona obrazami zapożyczonymi (z Mickiewicza zwłaszcza).

\*  
\*      \*

W r. 1845 w Poznaniu ukazały się «Wolne chwile Gabryeli», a w nich, obok wyżej wymienionych utworów, ogłoszonych po czasopismach, mieszczą się: elegia «Czemu mi smutno?» i powiastka «Capriccio».

«Czemu mi smutno?» — to prześliczna elegia; głębokie uczucie smutku w piękną harmonię zlewa się tu z pierwiastkiem refleksyjnym, którym jest rozmyślanie nad przyczynami smutku szlachetnego serca; broni się poetka, jak może, przed smutkiem — wiarą w Boga, wiarą w ideały, w przyszły tryumf dobrego nad złem, — napróżno: refleksja nie zdoła ukoić zboląłego serca. «Ja powiem Bogu, czemu byłam smutną, bo ludziom mówić nie wolno», — ale poetka i przed ludźmi ujawniła przyczynę smutku:

.....wszyscy w różne chodzą strony,  
Każdy ku swojej gwiazdzie obrócony,  
Każdy niedbały, co na drodze jego,  
Przepaść czy kamień, czy serce bliźniego,  
Czołga się podle lub zuchwale leci,  
Byle tam stanął, gdzie ta gwiazda świeci,  
Co w oczach jego tak piękna, bo złota,  
A w oczach Bożych garść łez, krwi i błota.

Oto główne źródło smutku Żmichowskiej — samolubstwo ludzi, ich sprzeniewierzenie się tym wzniosłym ideałom, do których poetka i entuzjastki dążyły. Zapewne, złożyły się na jej smutek i inne przyczyny, jak ta zwłaszcza, że «moi wszyscy duszą jednacy, serca sercem blizcy, już sobie dawno pod ziemią spoczęli», ale nie te przyczyny były istotne, — tamta, główna, nękała szlachetne serce i wsączała w nie kropla po kropli gorycz, która z siłą przemówiła pod postacią ironii w «Capriccio». Jest to opowiadanie entuzjastki Ksawery o jej miłości do poety Juliana i o rozgoryczeniu, które jej ta miłość dała; a opowiadanie to jest bardzo ciekawe. Ludzie o sercach gorących w epoce panowania romantyzmu, słysząc ciągle od poetów, że poezja to olbrzymia siła, zawierzyli im na słowo i szukali w poezji nie tylko szczęścia, które obiecywała, ale i zaspokojenia potrzeb umysłu, odpowiedzi na wszystkie zagadki, trapiące ich umysł, i... doznawali zawodu. Tak i Ksawera mocno wierzyła, że «są tam gdzieś daleko mędrcy i poeci, co zdawna mają odpowiedź na wszystkie wątpliwości», że «poeta rozwiąże wątpliwość, poeta powie mi wszystko, co ja chcę wiedzieć o Bogu, o naturze, o ludziach», — i... zawiodła się. Oto Julian jej ukochany odpowiada, że «poezja to jest wiecznотrwale zapytanie, które stworzenie swemu Stwórcy na wszystkie wyśpiewuje tony. Odpowiedź była-

by mądrością Bożą, tak, jak ślepa spokojność zwierzęcą bezmyślnością bywa; — wśród tych dwóch kończyn jedynie jest prawdziwa wielkość człowieka — niepewność: chęć wiedzenia bez miary»; oto ten poeta «spoetyzował, wzniósł do najwyższej potęgi to, co mię dotychczas w upokorzeniu trzymało — brak wewnętrznej pewności». A więc wierzyć w poezję, jak w księgę najwyższej mądrości, a potem dowiedzieć się, że ta księga uczy tylko wątpić, że «wznosi do najwyższej potęgi... brak wewnętrznej pewności» — czy to nie bolesny zawód? Lecz spotyka Ksawerę inny jeszcze zawód, nie mniej bolesny. Jest w «Capriccio» myśl, którą tak genialnie rozwinął Krasiński w «Nieboskiej komedyi», — że można być prawdziwym poetą, a lichym człowiekiem. Jest to prawda, którą stwierdzają biografie nie jednego i nie dwu poetów, a jednak i dziś jeszcze trudno uwierzyć, że poeta, który w swych słowach zdaje się być tak bliskim Boga, w czynach spada poniżej człowieka, że, jak mówi Krasiński, «potrafi udać Anioła, chwilą nim zagrażnie w błoto». Tem trudniej było uwierzyć w to w epoce romantyzmu, kiedy to poetów poczytywano nie tylko za wieszczów, ale i za kapłanów narodu i ludzkości! Otóż i Ksawera myślała, że jej Julian—to ideał. A on co? On rozniecił miłość w jej sercu, a potem porzucił i nie tylko porzucił, ale jakby na pośmiewisko przysłał jej poemat, w którym tę jej miłość odtworzył. Więc cóż dziwnego, że Ksawera dochodzi do bolesnego przekonania, że «miłość poety jest balladą, sonetem, elegią, ale niczem więcej», że «poeta się kocha dla rymu, bo mu do natchnienia tej średniówki w życiu potrzeba; oświadczy ci się w pięknie zakreślonym peryodzie, a jeśli wzruszona i łatwowierna, z bijącym sercem, ze łzą w oku, dasz mu pełną uczucia, prawdy i wzniosłości odpowiedź, on ją gotów w łańd pisemku za swój własny utwór przedrukować». I cóż dziwnego, że, doszedłszy do takiego przekonania, rozczarowuje się Ksawera? Ale i wtedy nawet ona broni Juliana, bo przecie poeta to inny człowiek, jak wszyscy, a więc jego nie obowiązują te same, co innych, zasady etyczne, bo «on wiesz, on święty, on wybrany Boga»..... «On z życia rzeczywistego uczucie tylko czerpać powinien, z każdego serca wybrać daninę promień najczystszy, aby kiedyś w tęczę pomysłów rozwinął i lu-

dziom oddał «poezyą.» Czy i Żmichowska jest tego samego zdania? W powieści niema na to pytanie odpowiedzi; lecz zapewne wówczas już, kiedy pisała «Capriccio», była zdania, że poeta *musi* tak postępować; z drugiej jednak strony widziała, że ludzie, którzy ślepo w poetów i w poezję wierzą, doznają rozczarowania, i to rozczarowanie z niepospolitym przedstawiła talentem: ironia jej (pomijając niektóre przygodne ironiczne uwagi) polega na tem, że Ksawerze każe oddać rękę prozaicznemu Leopoldowi, który tak ją mało obchodził, że nie wiedziała nawet dobrze, czy to blondyn, czy brunet.

W «Capriccio» poruszyła Żmichowska ważną sprawę życiową i filozoficzną — kwestyę stosunku poety i poezyi, artysty i artyzmu do życia. Ta sama kwestya spoczywa na dnie jej arcydzieła, którem jest «Poganka» (1846).

Osnowa tego poematu prozą nie jest zawila. Pewna rodzina przez długi czas cieszyła się szczęściem tak prawdziwem, tak mocnem, że nawet straty rodzinne na chwilę tylko jego słońce zasłaniały: wkrótce słońce znów z za chmur wychodziło i lało swe promienie jasne na tę błogosławioną rodzinę — błogosławioną dla tego, że jej przykazaniem, zasadą życia była miłość Boga i człowieka. I trwało to wielkie szczęście dopóty, dopóki po długiej nieobecności nie wrócił do domu syn, Cypryan. Gdy wrócił, szczęście ucieкло i nie wróciło już nigdy. Czemże był ów Cypryan, który większą krzywdę wyrządził rodzinie, niż nieubłagana śmierć, która porwała Józefa i Karola? Zbrodniarzem? despotą? szatanem? Nie! on był tylko — artystą. Sztuce, umiłowanej nad wszystko, poświęcił całe swoje życie, wszystkie zasoby zdrowia i teraz oto dowlókl się do domu, niemal umierający, trawiony suchotami. Niegdyś poznał Aspazję — poganę Aspazję — pokochał ją, jako doskonałą piękność i jako najdoskonalszą artystkę życia. Ta miłość wyniszczyła go, odebrała mu wszystkie siły, oprócz szalonej, demonicznej miłości sztuki. Cudowne wdzięki Aspazji przeniósł Cypryan na płótno — wymalował obraz. Lecz obraz nie był skończony: piękność kobiecą trzeba uzupełnić pięknnością męską, a dla niej długo nie mógł artysta znaleźć modelu. Nareszcie znalazł — w swym rodzonym bracie Beniaminie; on będzie Alcybiadesem, którego piękność będzie dopełnieniem piękności Aspazji. Ale twarz Be-



niamina, choć cudownie piękna, nie ma w sobie ognia namiętności, subtelności rysów, potęgi uczucia, bo Benjamin nie poznał jeszcze *życia*, więc ono nie odbiło się na jego twarzy. Cypryan nie waha się ani na chwilę: rozmarzy duszę brata, wtajemniczy ją w świat miłości, zapali ją pragnieniem sławy, a twarz jego stanie się doskonałą pięknoscią. I tak się stało — model był, obraz został skończony, Cypryan, wyczerpany twórczością, umiera. A Benjamin? Ach! siew Cypryana wydał plon: Benjamin zapragnął *żyć*, kochać, z całym demonizmem swej gwałtownej natury rzucił się w wir miłości, całą duszą, sercem, mózgiem, krwią, nerwami. Do szaleństwa pokochał Aspazję — tę samą poganę Aspazję — przez lat sześć służył jej wiernie, aby po sześciu latach być odtrąconym, złamanym nazawsze, bo wyczerpanym fizycznie, moralnie i umysłowo, i skruszyć szczęście swojej rodziny!

Co to wszystko znaczy, co chciała Żmichowska przez to wszystko powiedzieć? Mało jest w poezji naszej utworów, któreby tak pobudzały do myślenia, tak suggestywnie działały na czytelnika. Nie mogąc w tym krótkim szkicu szczegółowo i wyczerpująco wyjaśnić filozoficznego znaczenia «Poganki», wyjaśnimy tylko sam rdzeń poematu. Przypatrzmy się bliżej Cypryanowi i jego postępowaniu z Beniaminem.

Cypryan to jedna z najgłębszych kreacji psychologicznych i artystycznych w naszej poezji. Jak Aspazja jest wcieleniem demonizmu użycia, a Benjamin — demonizmu uczucia miłości ziemskiej, tak Cypryan jest wcieleniem demonizmu fantazji artystycznej. On tak namiętnie, tak szalenie ukochał sztukę, że, jego zdaniem, wszystko w porównaniu z nią jest niczem, że wszystko, co jest na świecie — i natura i człowiek ze swymi uczuciami i szczęściem — istnieje po to tylko, aby służyć sztuce, która ma prawo wszystko brać na swój pokarm, stąpać tryumfalnie po trupach ludzkich, po ruinach szczęścia człowieka, po zgłiszczach cnoty, ma prawo nie oszczędzać tego nawet, co ludzie za świętość poczytywać zwykli, — w przekonaniu, że na zwaliskach świątyń ludzkich ona zbuduje jeszcze wspanialsze świątynie. W to wszystko wierzy Cypryan. Szukając natchnienia, zaspokożenia swej szalonej fantazji artystycznej, tułał się po górach alpejskich, nie żałował sił i zdrowia, —

raz krew mu buchnęła ustami i nosem; ale to nie!... Co tam zdrowie? — trzeba je złożyć w ofierze sztuce! Zupełnie tak samo rozumuje Cypryan, kiedy świadomie, zupełnie świadomie, zakłóca spokój pogodnej i niewinnej duszy brata: co tam brat? niech przepadnie, jako ofiara na ołtarzu sztuki; on nawet powinien czuć się szczęśliwym, że służył za natchnienie dla artysty, za pokarm dla sztuki! Ale co Benjamin na to? czy on ma za złe bratu, że truje mu spokój? Nie, bo tak bardzo jest oczarowany tem wszystkim, co mu mówi Cypryan, że, choć z początku nazywa go kusicielem, później czuje się dumnym i szczęśliwym. Nie dosyć na tem: nawet wówczas, kiedy Aspazja złamała mu życie, usprawiedliwia Cypryan, mówiąc, że on miał słuszość postąpić z nim tak, bo przecie *artysta wzamian za unieszczęśliwienie jednostki daje przez sztukę szczęście tysiącom jednostek*. A jeżeli tak, to artysta ma prawo «kłaść spokojne ucho na «wzburzonej piersi, nastrajać do gry krwawe żyły «cudzego serca i przebierać po nich marmurowe-«mi palcami dopóty, dopóki mu artystycznego nie «wydadzą dźwięku», dopóki nie wyśpiewa pieśni miłości. Ma prawo unieszczęśliwić człowieka, aby poetycznie odtworzyć nieszczęście, ma prawo wierzącemu wyrwać z serca wiarę w sprawiedliwość Bożą, aby poetycznie odtworzyć rozpacz i bluźnierstwo; ma prawo spalić Rzym, jak Neron, aby wyśpiewać poemat o pożarze Troi, ma prawo «przybić do krzyża żywego człowieka i bok mu włócznią śmiertelnie zranić, żeby odmalować konającą twarz Chrystusa.» Zresztą, ma czy nie ma prawa, artysta *musi* tak postępować, «bo tego wymaga organizm całej jego istoty, bo pszczoła także *musi* miód wydawać, kwiat *musi* pachnieć, woda rzeki *musi* płynąć.» Innymi słowy artyzm jest fatalizmem, nieugiętym prawem natury, funkcją organiczną, artysta *nie może* tworzyć inaczej, jak tworzy. Oto jak przedstawia Żmichowska demonizm artyzmu. Ale czy solidaryzuje się z tem, co mówi Benjamin? Niewątpliwie: poczytując artyzmu za *siłę natury*, w której niema miejsca na *wolną wolę*, patrzy nań ze stanowiska przyrodniczego. To jednak nie przeszkadza, że rozumie, iż taki artyzm może być szkodliwy; oto dlaczego w usta Beniamina wkłada radę, aby ludzie zdala się trzymali od takich artystów, jak Cypryan: «No i cóż? czyż za to przekleństwo rzucić artyście? a jeżeli też wzamian cierpień i krwi waszej da nam ja-

kie arcydzieło, prześliczny obraz, cudną nutę piosnki — to cóż? przeklinać także? O! nie, tylko niech ci, których kochają, zdala od artystów idą drogą swoją.... Geniusz artysty ogniem jest — rzucajcie mu na pastwę wszystko, co chcecie, tylko nie rzucajcie złotego szczęścia i serc, miłością bijących.» Można więc i trzeba uciekać od demonizmu artystycznego, ale sprawić, żeby artysta był innym, jak jest, a cóż dopiero żądać od niego, aby w swej twórczości kierował się jakimiś względami, natury etycznej na przykład, — nie można: znaczyłoby to samo, co żądać np. od ognia, aby nie parzył.

Pod względem artystycznym, jako dzieło poezji, «Poganka» stoi bardzo wysoko. Rażą wprawdzie w poemacie pomysły zbyt fantastyczne, nieprawdopodobne, jaskrawo odbijające od pomysłów prawdopodobnych; ta dysharmonia jednak to zwykłe zjawisko w poezji i powieści romantycznej. Nie da się także zaprzeczyć w «Pogance» pewna nierównomierność w wykonaniu poszczególnych części: niektóre wypadki opowiedziane są obrazowo i szczegółowo, inne ogólnikowo i szkicowo. A jednak jest «Poganka» dziełem niepospolitej piękności. Co przede wszystkim podziwiać w niej należy, to siłę fantazji i siłę uczucia, a potem mistrzowską zarówno pod względem psychologicznym, jak artystycznym, charakterystykę trzech głównych postaci: Cypryana, Aspazji i Beniamina, wreszcie doskonałą niemal harmonię, a nawet nierozdzielność pomiędzy pierwiastkiem filozoficznym a poetycznym, wreszcie piękno poszczególnych obrazów i sytuacji; jako przykład, można wskazać choćby zaraz początek «Poganki» — prześliczny obraz rodzinnego szczęścia. A z tym obrazem, tak cichym, spokojnym, słonecznym, co za wspaniały kontrast stanowi scena, kiedy Cyprian kusi Beniamina!

Jest «Poganka» dziełem olbrzymiego talentu, jest arcydziełem Żmichowskiej, jest poematem, w którym rozum, uczucie i fantazja poetki zlały się w piękną harmonię; trafnie i pięknie wyraził się Chmielowski, że na poemat ten «złożyła się zarówno cisza pustyni, jak i wulkaniczne wybuchy uczucia, poloty fantazji, podniesionej do stopnia halucynacyjnych widzeń, a obok tych niespokojnych czynników jasne i wiecznotrwałe promienie rozumu.»

Artystycznie od «Poganki» niższą jest «Książka pamiątek» (1847—1848). Główną postacią jest tu Marya Regina — umysł niepospolity, rozległy, ścisły, zdolny do rozumowania, fantazja ruchliwa, umiejająca z łatwością wgłębić się w cudze uczucia, dusza nawskroś artystyczna, szukająca piękna i umiejająca znaleźć je w życiu, skończona estetka, a zarazem skończona egoistka, kochająca tylko siebie i sztukę, bo i w bracie kocha nie tyle brata, ile artystę, któremu rzuca pod nogi serca Anny Klary i Helusi, aby go wzbogacić nowym artystycznym pomysłem, nową siłą twórczą; a postępując tak, jest przekonana, że postępuje dobrze, bo... służy sztuce. Niedosyć na tem; chciwa wrażeń, opętała swą miłością Marya Regina Ludwika: niby to nie ludziła go, ale, dobrze widząc, co się dzieje w jego sercu, rozdmuchiwała w niem uczucie, póki wreszcie nie złamała swej ofiary i nie zniechęciła do życia. I znów musimy zapytać, czy Żmichowska podziela pogląd Maryi Reginy, że sztuka to Moloch krwiożerczy, który ma prawo pochłaniać swe ofiary. Widzieliśmy, że w «Pogance» poetka, poczytując twórczość artystyczną za siłę natury, tem samem składała z artysty wszelką odpowiedzialność za jego czyny. Otóż tutaj, w «Książce pamiątek» zupełnie inaczej; tutaj wyraźnie wypowiada pogląd, że artysta ma wolną wolę, a jeżeli tak, to postulaty etyczne obowiązują go tak samo, jak każdego innego człowieka: nie wolno mu poświęcać dla sztuki cudzego szczęścia, nie wolno mu być egoistą. Demonizmowi sztuki przeciwstawia Żmichowska ideał szczęścia ludzkiego, a ten wówczas dopiero będzie osiągnięty, kiedy ludzie będą spełniali wielkie przykazanie i święty obowiązek miłości; nie rozpatruje już artyzmu ze stanowiska rzekomego prawa natury, które, jako takie, byłoby nieubłagane, lecz ze stanowiska pożytku społecznego, do którego każdy, a więc i artysta, rękę przyłożyć może i powinien. Jest więc «Książka pamiątek» (mianowicie jej część druga) zwrotem w poglądach, a po części i w działalności Żmichowskiej.

Zwrot ten na tem polega, że odtąd staje się poetka *publicystką*: odtąd tendencja występuje w jej pismach na plan pierwszy (na niekorzyść artyzmu), a tą tendencją jest — uczyć swoje społeczeństwo, które w czasach reakcji po roku 1848 bardzo nauki potrzebowało.

Co przede wszystkim raziło Żmichowską.

w społeczeństwie, to obłuda: przeciwko niej wymierzyła swą satyrę p. n. «Adeodat» (1857 r.).

Ważnych i doniosłych spraw dotyka także Żmichowska w «Niektórych pismach bezimiennej autorki.» A więc w «Pierwszym moim zapytaniu» staje w obronie tych, którzy krytycznie badają prawdy religijne, zakładając protest przeciwko przesadnej «pokorze» przeciwko bezmyślności w sprawach religijnych; w powiastce «Stary dwór w Świerszczowej» wykazuje, że ślepa, formalistyczna wiara—wiara, nie poparta rozumem i przeświadczeniem o doniosłości zasad etycznych—nie wyklucza już nietylko występku, ale nawet zbrodni; w «Moim drugim zapytaniu» oburza się na lenistwo myśli w ogóle, na rezygnację na polu uczuć i czynów. Wszystkie te pisma nie posiadają, ściśle biorąc, wybitnej wartości artystycznej, lecz odznaczają się głębokością myśli i trzeźwym poglądem na świat; tendencja, pierwiastek dydaktyczny pochłaniają całkowicie niemal fabułę powieściową, artyzm; właściwie mówiąc, są to wyborne rozprawki publicystyczne. Świetnością i głębokością analizy psychologicznej wśród «Pism bezimiennej autorki» odznacza się «Biała Róża»; powieści tej da się niejedno zarzucić pod względem artystycznym, ale, jako subtelna charakterystyka bardzo złożonej i bogatej natury kobiecej, jest arcydziełem powieści psychologicznej.

\*

\*

\*

Oto są, nie wszystkie wprawdzie, ale główne utwory Żmichowskiej, niezbędne do wytworzenia sobie pojęcia o jej działalności i niepospolitym talencie.

Przez filozoficzno-dydaktyczny charakter swoich utworów podobna jest Żmichowska do Kraśńskiego. Oboje ideom abstrakcyjnym starali się nadać kształty konkretne; oboje gorąco wierzyli w to wszystko, co wzniosłe i szlachetne; oboje boleli nad upadkiem moralnym swego społeczeństwa i ludzkości całej; oboje starali się wskazywać społeczeństwu prawdziwą drogę.

Cóż złożyło się na taki charakter poezji Żmichowskiej? Z jednej strony głęboki rozum i umysł rozległy, z drugiej — olbrzymi talent poetycki, bujna fantazyja i gorące, a zawsze szlachetne uczucie. W harmonii umysł, uczucie i fantazyja połą-

czyły się w jej działalności raz tylko jeden w «Pogance»; po za tem rozum albo uczucie miały przewagę nad fantazyją, bo one to właśnie stanowią główną potęgę umysłowości Żmichowskiej. Wprawdzie, z początku, jak to zawsze być musi u natur wybitnie uczuciowych, uczucie brało górę nad rozumem; lecz z czasem połączyło się ono z rozumem w prześliczną całość harmonijną, i, jeżeli Szujski we wspomnianym nekrologu pisał: «Natura ekscentryczna i nerwowa, walcząca wewnętrznie w bogatej w zasób umysłowy duszy, *nie wiemy, o ile i czy przysłała w końcu do zgody i harmonii wewnętrznej,*» — to pisał tak dla tego, że nie znał jej listów, które dopiero po jego śmierci wydano. Bo listy (późniejsze mianowicie) świadczą wyraźnie, że siłą swego umysłu wywalczyła w sobie Żmichowska «zgode i harmonię wewnętrzną» że rozum głęboki i uczucie gorące zharmonizowały się z sobą. Dowodem tego są jej poglądy na własne społeczeństwo i na religię.

Kochała Żmichowska całym jestestwem swym społeczeństwo; ale ta miłość była niezwykle rozumna; nie zaślepiała jej; nie zabiła w niej ani zmysłu spostrzegawczego, ani krytycyzmu. Całą duszą pragnęła szczęścia dla społeczeństwa, ale rozumiała, że ono ani łatwo, ani prędko osiągnąć się nie da. Za jeden z głównych warunków, potrzebnych do jego osiągnięcia, poczytywała równouprawnienie, a przede wszystkim równouświadomienie wszystkich warstw społecznych; demokratyzm był zasadą jej filozofii społecznej, a miał on swoje źródło nietylko w uczuciu miłości, ale i w głębokim rozumie, który mówił jej, że to tylko dla całości społeczeństwa prawdziwie *owocnem* być może, co wejdzie w uczucie i świadomość wszystkich warstw; wielkie plany narodowe do niczego nie prowadzą, jeżeli ich nie rozumieją i nie odczuwają wszyscy (II, 31). W tym poglądzie na potrzebę łączności pomiędzy częściami składowymi społeczeństwa wzniosła się Żmichowska jeszcze wyżej: kraj wówczas tylko może istnieć i rozwijać się, kiedy będzie ogniwem w łańcuchu ogólnoeuropejskiej kultury. Stąd zaś płynie drugi kardynalny warunek szczęścia narodu: postęp cywilizacyjny (II, 180). Aby zaś urzeczywistniły się te dwa warunki, na to wiele czasu potrzeba: oto dla czego oburza się w listach Żmichowska na tych, co «cały swój system polityczny zamknęli w jednym życzeniu — chcą się dać zabić.» (I, 102).

Taki sam głęboki rozum cechuje miłość Żmichowskiej ku Bogu. Miłość Boga, uczucie religijne były potrzebą jej serca; kto napisał pierwszy rozdział «Adeodata», «Wstęp do książki z modlitwami», a przedewszystkiem «Święć się Imię Twoje» — modlitwę, w której nie wiedzieć co podziwiać więcej, czy wzniosłość uczucia, czy głębokość myśli, — ten był chyba bardzo religijny. Ale właśnie dlatego, że chciała Żmichowska kochać Boga prawdziwie, nie mogła i nie chciała być w swej religijności niekrytyczną: nie lubiła ortodoksji w tem słusznem przekonaniu, że Bóg na to dał człowiekowi rozum, aby usiłował Go pojąć; szanowała kościół katolicki, ale nie wierzyła mu ślepo: «Jedność kościoła katolickiego jest niezawodnie najlepszą dotychczasowej historii — nie mam odwagi i nie widzę potrzeby buntów przeciw niej wszczynać, *ale dla tego właśnie, że ją bardzo szanuję, nie mogę jej przyjąć w sumieniu bez zupełnego uznania, bez wiary.*» (I, 265, por. I, 301). A jak nie rozumiała Żmichowska, jak można prawdziwie kochać Boga, nie chcąc Go poznać, t. j. nie zadając sobie trudu krytycznego rozbioru zasad religijnych, tak nienawidziła wszelkiej obłudy religijnej i bezmyślnej dewocyi, poczytując je wprost za obrazę Boga. Nienawidziła także klerykalizmu: «atmosfera klerykalna, pseudopolskością prześiąknięta, duszniejszą jest dzisiaj od... Meternichowskich rządów (II, 183).

Tak więc zarówno w patryotyzmie, jak w religijności Żmichowskiej, jej uczucie i rozum do-

szły do zgody: logika rozumu i szlachetność uczucia nie kłóciły się z sobą, lecz wzajemnie popierały. Ale wśród otoczenia swego, w świecie nie uczuć i przekonań, lecz rzeczywistości, jasno widziała Żmichowska, że ludzie nie dążą do urzeczywistnienia tych ideałów, które były częścią jej własnej duszy. Ona całem sercem kochała Boga, a widziała, że ludzie tak często miłość tę gwałcą albo udają; kochała społeczeństwo, a rozumiała, że ono złą kroczy drogą; była pełna entuzjazmu dla tego, co szlachetne i wzniosłe, a dokoła siebie widziała często apatyę, chłód, »rezygnacyę myśli i uczucia»; chciała społeczeństwo uszczęśliwić, a widziała je coraz to nieszczęśliwsem. I dla tego przez całe życie było jej smutno. Lecz smutek nie złamał jej, nie zniżył jej duszy do rezygnacyi: jak w «Adeodacie», tak i w niej smutek «wzrastał i wzrastał..., aż z niemocy i osłabienia wielką siłą stał się.» Do śmierci miała Żmichowska siłę do pracy nad sobą i społeczeństwem, bo rozumiała, że «im zdolniejszymi się stajemy do zrozumienia praw Bożych, do ukochania bliźnich, do pracy nad tem, co jest pożyteczne i piękne, a co może być jeszcze pożyteczniejsze, jeszcze piękniejsze, niż dotąd bywało; im łatwiej nam bogacić wiedzę naszą, otwierać serca nasze dla ludzkości całej, im wprawniejszą rękę do pługa ewangelicznego przyłożyć możemy: tem więcej wśród nas i w nas święci się Imię Boże.»

*Ign. Chrzanowski.*



# Adam Prażmowski.

\* 1821 † 1885.

**P**rażmowski Adam Prażmowski nie jest  
głośne w kraju, jest wszakże zapisane

w dziejach nauki. Błyszczałoby jaśniej, gdyby okoliczności lepiej Prażmowskiemu sprzyjały; żywot jego wszakże przypadł na czasy, gdy dla badań naukowych miejsc w kraju nie było, a jeżeli w warunkach tak ciężkich zdołał wzbić się nad poziom, już to daje świadectwo wysokiego uzdolnienia i wytrwałości niezmordowanej.

Adam Prażmowski urodził się w Warszawie 15 marca 1821. Ojciec jego był sędzią apelacyjnym, a wychowaniem jego domowem kierował biskup Adam Prażmowski, gorliwy krzewiciel oświaty

w kraju. Brak uniwersytetu zastępować wtedy miały dwuletnie «kursa dodatkowe» przy gimnazjum

gubernialnem w Warszawie, których celem było kształcenie nauczycieli szkół średnich. Na kursach tych, mogących słabe zaledwie dać przygotowanie do zawodu naukowego, uczył się Prażmowski w r. 1837-39, a dalszą wiedzę własnej już tylko pracy zawdzięczał. Od młodości pociągała go astronomia, często przebywał w obserwatorium, a bezwzględnie po ukończeniu «kursów» w r. 1839, objął w nim stanowisko adjunkta młodszego. Dyrektorem obserwatorium był wtedy jeszcze założyciel jego Armiński, adjunktem starszym Jan Ba-



Z portretu olejnego ze zbiorów M. Prażmowskiego.

*A. Prażmowski*



ranowski; do zajęć pomocnika młodszego należało przede wszystkim prowadzenie spostrzeżeń meteorologicznych, ale prosta ta robota obowiązkowa nie starczyła Prażmowskiemu. Spostrzeżenia meteorologiczne wtedy tylko przedstawiać mogą wartość rzetelną, gdy służące do nich termometry i barometry ściśle są wyrobione, należyce wypróbowane i porównane z przyrządami normalnymi. Techników uzdolnionych do wyrobu przyrządów precyzyjnych nie było w Warszawie, a termometry ówczesne w ogólności były jeszcze dosyć wadliwe. Aby brak ten usunąć, Prażmowski sam zajął się wyrobem termometrów dokładnych i bez żadnej pomocy, bez wskazówek obcych, wyćwiczył się na biegłego konstruktora, nauczył się toczyć metale i szlifować soczewki. Od termometrów przeszedł do innych przyrządów mierniczych, a na żądanie komisji spraw wewnętrznych wygotował wzorowe areometry i alkoholometry, wtedy bardzo pożądane, dawne bowiem probierze Magiera błędnie wskazywały zawartość alkoholu w wódkach, zwłaszcza mocniejszych. Zbudował nawet magnetometr i własnym tym swoim przyrządem przeprowadził w r. 1848 pomiary magnetyczne, pierwsze w Warszawie. Dochodzenie wilgotności powietrza ułatwił przez udoskonalenie psychrometru, albo raczej przez wprowadzenie podziałki ruchomej, która dozwala unikać zawitych dosyć rachunków.

W r. 1848, gdy po śmierci Armińskiego Baranowski został dyrektorem obserwatorium, zajął Prażmowski jego dotychczasowe stanowisko adjunkta starszego. Wtedy obserwatorium zajęte było pracami geodezyjnymi, a znaczny w nich udział przypadł Prażmowskiemu. W r. 1846 — 1849 prowadził trójkątowanie Królestwa Polskiego, do czego należało połączenie tej sieci trójkątów z pomiarami austriackimi i pruskimi, a w pracach tych ujawnił taką biegłość i pomysłowość, że w r. 1852 — 53 powierzono mu dokonanie pomiarów południka na Wołyniu, Podolu i w Besarabii. Była to praca znacznej doniosłości, stanowiła bowiem część krańcową słynnego pomiaru południka, na przestrzeni od oceanu Lodowatego aż do morza Czarnego. Olbrzymia ta robota ciągnęła się już od r. 1816 pod naczelnym kierunkiem głośnego astronoma Struvego, a Prażmowskiemu przypadł udział w ostatecznym jej wykonaniu. Sprawozdanie jego weszło w skład szcze-

gółowego opisu pomiarów, wydane go przez Struvego, który współpracownikowi swemu nie omieszkiał przytem oddać należnych pochwał za dokładność dostrzeżeń. Praca ta zjednała Prażmowskiemu uznanie u ogółu astronomów, a gdy wkrótce potem bawił w Paryżu, Leverrier, sławny dyrektor tamecznego obserwatorium, proponował mu stanowisko obserwatora. Prażmowski wszakże nie pragnął bynajmniej rozstać się z miastem rodzinnym, nie przewidując, że za lat kilka przyjdzie mu je opuścić.

Po ukończeniu robót geodezyjnych mógł znowu Prażmowski więcej czasu poświęcić na ulubioną mu zawsze fizykę i na budowę narzędzi fizycznych. Skoro się dowiedział o urządzeniu zegara elektrycznego w Paryżu, natychmiast zbudował w obserwatorium warszawskim podobny zegar, który przez lat kilkanaście był czynny. Wkrótce też po pierwszych doświadczeniach Foucault'a z wahadłem, uwidoczniającem obrót osiowy ziemi, zawiesił wahadło takie w obserwatorium, a każdy, kto je zwiedzał, miał dowód naoczny słuszności nauki Kopernika.

W tymże czasie opracował metodę oznaczania osobistych błędów obserwatorów. Rozpatrując jakiegokolwiek zjawisko, przejście gwiazdy przez południk w szczególności, rozmaici obserwatorowie ujmują je niejednakowo szybko; różnice wynoszą wprawdzie tylko drobne ułamki sekundy, ale przy dostrzeżeniach ścisłych należy je zawsze mieć na uwadze, a astronom każdy winien znać swój «błąd osobisty». Prażmowski użył tu do pomocy przyrządu elektrycznego, który wybija ściśle chwilę przejścia gwiazdy, a astronom, zestawiając własne dostrzeżenia z notowaniami prądu, błąd swój ocenia i może go z dalszych swych obserwacji wytrącać. Wtedy astronomowie nie przywykli jeszcze, jak obecnie, do usług prądu elektrycznego, a metoda Prażmowskiego, przedstawiona przez Leverriera akademii nauk w Paryżu 1854, okazała się jej bardzo pomocną.

Najważniejsze wszakże odkrycie astronomiczne Prażmowskiego tyczy się natury słońca. Panował wówczas w nauce powszechnie pogląd, że bryła słoneczna posiada jądro ciemne i zimne, otoczone powłoką jaśniejszą, rozsyłającą własne światło. Jakkolwiek niedorzeczność fizyczna tej teorii coraz widoczniejszą się stawała, trzymano się jej uporczywie, tą bowiem tylko drogą umiano

zdać sobie sprawę z osobliwego zjawiska plam ciemnych na słońcu, które pojmowano, jako przerwy, występujące w jasnej powłoce i odsłaniające nam widok ciemnej powierzchni wnętrza bryły słonecznej. Dnia 28 lipca 1851 r. przypadało zaćmienie całkowite słońca, a pas całkowitości biegł przez Królestwo Polskie i obejmował Warszawę; zjawisko to, zawsze uderzające, obserwował Prażmowski w Wysokiem Mazowieckiem, które przedstawiało warunki najkorzystniejsze do dostrzeżeń, znajdowało się bowiem na linii środkowej pasa, przez zaćmienie całkowite zajętego. Wtedy, rozpatrując koronę słoneczną, rozpoczą dokola ciemnej tarczy księżycą, powziął Prażmowski plan przyszłego jej badania i uchwycił drogę, któraby dozwoliła rozstrzygnąć, czy teoria Herschla jest słuszna. Jeżeli bowiem fotosfera słoneczna rzeczywiście samodzielnym jaśnieje blaskiem, rozsyłać winna światło niezmiennione, naturalne; jeżeli zaś, przeciwnie, wewnątrz słońca jest bryłą rozpaloną i świecącą, a powłoka słoneczna, której warstwy najwyższe ukazują się nam podczas zaćmienia całkowitego, odrzuca tylko promienie odbite, to promienie te winny być spolaryzowane, co poznać można za pośrednictwem przyrządów odpowiednich. Sposobność do przeprowadzenia tych badań nastęczyło Prażmowskiemu dopiero zaćmienie dnia 18 lipca 1860 roku, które obserwował w Briviesco, w Hiszpanii. Za pomocą lunety, wewnątrz której osadzony był polaryzator, przekonał się wtedy niewątpliwie, że światło korony słonecznej jest spolaryzowane. Atmosfera zatem słońca nadsyła nam promienie odbite, samo tedy jądro słoneczne, skąd promienie te pochodzą, nie może być bryłą ciemną, jak utrzymywała teoria Herschla, ale jest niewątpliwie rozpalone silniej, aniżeli otaczająca je atmosfera. Było to więc dla astronomii odkrycie znacznej doniosłości, a jeżeli historia nauki nie uwzględnia go teraz należycie, to dlatego tylko, że w tym samym właśnie czasie wystąpiła analiza spektralna, która, potwierdzając spostrzeżenia Prażmowskiego, nastęczyła metody dogodniejszego i rozleglejszego badania natury słońca.

Po powrocie do kraju czekały go już obowiązki nowe; nie porzucając bowiem stanowiska w obserwatorium, objął katedrę fizyki w ówczesnej Akademii Lekarskiej. Zbliżało go to ściślej do nauki, której dotąd dorywczo tylko służył, a obszar tej działalności miał się niebawem powiększyć,

gdy w r. 1862 Akademia Lekarska wcielona została do Szkoły Głównej. Prażmowski pracował gorliwie nad uporządkowaniem gabinetu fizycznego, sprowadzał i sam budował przyrządy, ale wykłady w nowej wszechnicy prowadził przez pół roku za ledwie; w roku 1863 opuścił Warszawę i już do kraju nie wrócił.

Osiadł w Paryżu, a co było dla niego niegdyś rozrywką tylko, stało się teraz podstawą jego bytu, znalazł bowiem utrzymanie ze szlifowania szkieł optycznych. Wstąpił jako pracownik do słynnego zakładu optycznego Hartnacka, ale po kilku latach został jego współnikiem, a gdy po wybuchu wojny francusko-niemieckiej w roku 1870 Hartnack przeniósł się do Potsdamu, Prażmowski objął na własność paryski jego zakład, który pod zmienioną firmą godnie utrzymał dawny swój rozgłos; nowy jego posiadacz wprowadził znaczne ulepszenia w budowie lunet, a w szczególności udoskonalil sposoby szlifowania soczewek oraz metody sprawdzania ich dokładności.

Zawód praktyczny nie pochłonił wszakże Prażmowskiego i nie oderwał go od badań naukowych, których rezultaty znajdujemy w rozprawach, złożonych akademii nauk w Paryżu i ogłoszonych w jej sprawozdaniach. Tyczą się one widma komety Brorsena (1868), polaryzacji światła komet i kwestyi ich budowy fizycznej (1881), achromatyzmu chemicznego (1874). W tychże sprawozdaniach opisał Prażmowski udoskonalony przez siebie sacharymetr optyczny (1873), oraz helioskop (1874), a w »Rocznikach chemii i fizyki« nowy pryzmat polaryzacyjny.

Zdała od kraju łączność z rodakami utrzymywał ciągle; gdy w r. 1870 zawiązało się w Paryżu Towarzystwo nauk ścisłych, Prażmowski został czynnym jego członkiem, a w r. 1880, po śmierci Działyńskiego, który był fundatorem towarzystwa, Prażmowskiemu przypadło stanowisko prezesa; obowiązki te pełnił gorliwie aż do końca, dla braku bowiem środków towarzystwo rozwiązało się w r. 1882.

Tak pracowity i płodny żywot zakończył Adam Prażmowski d. 5 lutego 1885 r., a w pogrzebie jego wzięły udział deputacye obserwatorium paryskiego i rządu francuskiego, oddając hołd zasługom znakomitego cudzoziemca. Gdy zważymy, wśród jakich trudności i przeszkód działać mu wypadło, to, co zrobił, podziwu staje się godnem.

*Stanisław Kramsztyk.*

# Ksiądz Karol Bołoz Antoniewicz.

\* 1807 — † 1852.

Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!  
I co dnia patrząc na tak konające,  
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.  
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,  
A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych.

I nie zostało mi nic — oprócz Boga;  
I tam mój smętarz — a tamtędy droga  
«Ojciec Zadżumionych»  
J. Słowacki.



statniem słowem pięknego poematu Juliusza Słowackiego — końcową myślą

tragicznego obrazu, rozpoczynam życiorys kapłana, pod sztandarem krzyża służącego sprawie Bożej i społecznej. Jak ojciec zadżumionych, hen na dalekiej pustyni grzebiąc umarłe swoje, — tak i ten ojciec rodziny, pogrzebawszy z kolci wszystko, co tu ukochał na ziemi powtórzyć może z poetą:

I nie zostało mi nic oprócz  
[Boga;  
I tam mój smętarz, a tamtędy  
[dy droga.

Droga, którą szedł z krzyżem w dłoni wśród burz i walk życia.

Karol Boremeusz Antoniewicz urodził



się w roku 1807 w Skwarzewie, w Galicyi, z zamężnej ormiańskiej rodziny. Ojciec jego Józef

i matka Józefa z Nikorowiczów, odznaczali się chrześcijańską pobożnością i obywatelskimi cnotami, które w spuściźnie przekazali synowi.

Karol rychło bardzo stracił ojca i pod opieką matki odebrał wzorowe i staranne wychowanie, pod okiem matki rozwijało się serce i kształcił umysł młodzieńca, wzrastającego na niepospolitego męża.

Początkowe wychowanie odebrał Antoniewicz w gnieździe rodzinnem, w atmosferze wiary i cnoty domowej, dalsze zaś wykształcenie szkolne we Lwowie, gdzie



*Artykuł zhamid nas? prawdziwe miłości i  
wspieranie - prawdziwe praktyczne - prawdziwe i miłe, nasza  
sprawa. Zhamid w wierze - ze Polski i nie musi  
musieć*

gdzie matka była mu także aniołem stróżem. We Lwowie odbył nauki gimnazjalne, skończył uniwersytet i sposobił się do życia obywatelskiego, gdzie oczekiwało go stanowisko wybitne, zapewnione przez dostatek i spadkowy szacunek obywatelski.

Zaraz na wstępie młodzięczego żywota, porwany burzą dziejową, współ z innymi złożył daninę, a powróciwszy pod rodzinną strzechę, rozpoczął zawód obywatela i rolnika.

W roku 1832 pojął za żonę Zofię Nikorowiczównę, krewną swoją, i znacznym jej posagiem podwoił bogate mienie rodzinne, gdyż matka, zdawszy na syna strzechę rodzinną, osiadła we Lwowie w klasztorze panien Benedyktynek.

Z młodą małżonką rozpoczął żywot, któremu jak się zdawało przyświecać będą jeszcze promienie błogosławieństwa Bożego. Lecz Bóg przeznaczył Antoniewiczowi inne powołanie, sposobiąc go do tej godności przez krzyż cierpienie, łzy i mogiły najbliższych jego sercu. W sześćdziesięciu z żoną pożyciu dochował się pieciorga dzieci, z których czworo w krótkim czasie własnymi pogrzebał rękoma na cmentarzu wsi rodzinnej.

Znękani tak ciężkim ciosem, rodzice przenieśli się do Lwowa, nie uniknąwszy przez to srogiego losu. Zaledwie stanęli we Lwowie, Bóg zabrał piąte i ostatnie dzieciątko, a z niem ostatnią ziemską ich nadzieję.

Wśród takiej bezgranicznej boleści, nieszczęśliwi rodzice zrozumieli, że Bóg rozkazuje im rozłączyć się, żądając od nich ofiary z życia, powołując do swojej służby.

Poślubili więc wyrzec się świeckiego życia, wyrzec majątku, zerwać ich związek serdecznej miłości, składając wszystko Bogu w ofierze.

Zrobiwszy stosowne rozporządzenia majątkowe, nieszczęśliwa matka wstąpiła do zakładu sióstr miłosierdzia i tamże zmarła wkrótce po przyjęciu zakonnej sukienki; Antoniewicz zaś wstąpił do zakonu Zgromadzenia Jezuitów, rozpoczynając nowicyat w klasztorze w Starej Wsi w Sanockiem i tam w modlitwie i w Bogu szukał ukojenia swoich cierpień.

Od tej chwili droga życia i powołania Antoniewicza staje się tryumfalnym pochodem jego apostołstwa.

Osierocony, zgnębiony smutkiem, w ciszy swej celi odnalazł spokój i mógł przygotować się do pracy około winnicy Pańskiej.

Zaraz na wstępie swej działalności w Zgromadzeniu, zajaśniał w całej pełni podniosłością ducha młody kapłan, zwracając na siebie uwagę przełożonych, tak iż po odbyciu rekolekcji, powołany został na manuduktora, czyli prefekta nowicyuszów, wkrótce zyskując ich zaufanie i miłość. Od tej chwili Antoniewicz zajaśniał skarbami duszy, hojnie od Boga uposażonej.

Wspomnieć tu należy, że Antoniewicz w najmłodszych latach w szkołach, a zwłaszcza na uniwersytecie, okazywał wyższe zdolności i niepospolity a oryginalny talent poetycki. Z tej epoki pozostały nam drukowane w Rozmaitościach Lwowskich poezye ulotne, udatne bardzo, uderzające zarówno formą, jak treścią, a nadewszystko nadzwyczajną prostotą. Również w czasie pobytu swego na uniwersytecie Antoniewicz powziął myśl napisania obszernej historyi Ormian w Polsce, wtedy już zbierając do tej pracy poważne materiały. Wypadki i wczesne ożenienie się, były przyczyną, iż zaniechał tego zamiaru. W ciszy klasztornej rozbudziło się znowu natchnienie poety, odzywając się szeregiem pieśni religijnych, nacechowanych wyjątkowym wdziękiem prawdy i prostoty. Do nich tworzył poeta wdzięczne melodye i pieśni te z pod nawy kościelnej rozchodziły się coraz dalej i przez usta ludu przenosiły się z chaty do chaty, stając się modlitwą powszechną i pieśnią ogółu społeczeństwa naszego. Niektóre z takich pieśni, jak np. «Boże Narodzenie», «Na Święto Trzech Króli», «Przez Krzyż do Nieba» i wiele innych, zapewniły poecie i kapłanowi wiekopomne uznanie, jako twórcy pieśni narodowych ludu polskiego.

Wśród takich zajęć upłynął Antoniewiczowi czas nowicyatu i zbliżała się uroczysta chwila przyjęcia ślubów zakonnych. Przed dopełnieniem tego uroczystego aktu, Antoniewicz zajął się rozporządzeniem tyczącem się swego majątku. Bogate wiano żony oddał w całości jej rodzinie, a własny majątek rozdzielił na trzy części. Jedną przekazał stryjecznemu bratu, częścią drugą wyposażył wierne sługi, włościan i ubogich, trzecią zaś pozostawił do dalszego rozporządzenia, przyczyniając się w przyszłości do sprowadzenia z Francji do Lwowa Zakonu Sercanek.

Dopełniwszy tego zadania, oczekiwał w Sączu na święcenie kapłańskie i te otrzymał z rąk ks. biskupa Marcelego Gutkowskiego w Lwowie w 1843 roku. Uroczystość święceń przyspieszono ze względu na zdrowie matki, chcąc pobożnej matronie przynieść przed zgonem pociechę, aby z rąk syna kapłana otrzymała ostatnie błogosławieństwo i namaszczenie.

Ta myśl była ostatniem natchnieniem a niemal życzeniem Antoniewicza i, niestety, życzeniem niespełnionem. Bóg i tej pociechy odmówił kapłanowi, chcąc aby do dna wychylił kielich gorzkości. Sędziwa matka umarła, nie doczekawszy się święceń ukochanego syna.

W roku 1845 występuje na widownię młody kapłan, i swemi kazaniami zwraca na siebie uwagę całego społeczeństwa polskiego. Krasomówczy talent natchnionego kaznodziei, słusznie zdobył mu miano nowego Skargi wieku XIX-go. W roku 1846, kiedy zagrzmiała burza dziejowa, wtedy pod sztandarem Krzyża na polu walki, odzywa się pieśń wzniosła a śpiewa ją zbłąkanemu ludowi nieustraszonego bohater tej żałobnej kroniki, ks. Karol Antoniewicz.

Już w 1845 r. kazania i missye publiczne ks. Antoniewicza o wstrzemięźliwości, jego wystąpienie przeciwko nałogowi pijaństwa i ogólnemu rozprężeniu w Galicyi, było stanowczym krokiem na drodze jego posłannictwa. Wymową złotoustego Skargi odezwał się głos natchnionego kapłana i odrazu trafił do serca moralnie upadłych słuchaczy, zwróciły się jak do ojca serca tłumów i ks. Antoniewicz na wdzięczną, choć zaniedbaną rolę rzucał ziarno zbawienia.

Była to chwila okrutnego upadku pewnej części narodu, a któż z nas nie zna tej smutnej karty dziejów naszych? Rozpowszechnione w Galicyi pijaństwo, a wskutek niego nędza i upadek moralny, stały się najdotkliwszymi z plag tego nieszczęśliwego kraju. Lud tamtejszy pozbawiony wszelkiej moralnej opieki pozostawiony na pastwę propinatorów żydów, zatracił ludzkie szlachetniejsze uczucia.

Administracja kraju i stosunki społeczne były podówczas prawdziwie opłakane, a powtarzające się nieomal rok rocznie powodzie i nieurodzaje, sprowadzały na kraj straszną klęskę głodu i chorób najrozmaitszych. W takich warun-

kach zastał ks. Antoniewicz wskazane mu przez Opatrzność pole działania.

Z tej epoki kazania i inne prace jego pozostaną w literaturze naszej *ludowej*, jednym z najpoważniejszych i najpiękniejszych jej zabytków. Wymowa zaś kaznodziejska, proste, poetyczne a wzniosłe myśli stawiają ks. Antoniewicza w rzędzie najpoważniejszych prozaików polskich. Missye galicyjskie owego czasu były niejako prologiem wspaniałym jego działania apostolskiego.

Podczas burzy dziejowej, rozgrywającej się w obwodach ziemi sandeckiej, bocheńskiej i tarnowskiej, na zgłiszczach domów zbezczeszczonych kościołów, kędy lała się krew strumieniem i walały się trupy nieopgrzebane, owe chwile były jedną z najboleśniejszych stacyi drogi Krzyżowej ks. Antoniewicza. Do rozbestwionych widokiem krwi i rozszalałych zuchwalstwem chłopów nikt nie miał odwagi przemówić, bo nawet pozostali przy życiu kapłani opuścili swe zbłąkane owieczki. Do tego wielkiego dzieła właściwie przeznaczył i powołał Bóg wyjątkowe serce i rycerskiego ducha ks. Karola Antoniewicza. On pierwszy, choć najmłodszy z kapłanów Zgromadzenia, okazał gotowość prawdopodobnego męczeństwa.

W towarzystwie kilku braci zakonnych, młody kapłan wkroczył w krwιά i łzami zalane dzielnice, z nadzieją że lud rozbestwiony na wszelkie zbrodnie, do skruchy i żalu powoła. I oto, według słów Wójcickiego, tłum zbójceki, zagrany trunkiem i roznamiętniony mordem, kamieniem i przekleństwem przyjął odważnego kapłana, i zaledwie niektórzy w ponurem milczeniu słuchali jego słów. Ale wkrótce cudowną potęgą swej wymowy ks. Antoniewicz wydobył z tych serc zakamieniałych uczucie wstydu, do łez i żalu doprowadziwszy morderców. Kamienne serca poruszyły się, coraz większe tłumy zbiegały się słuchać słów kapłana, niezmordowane głoszącego słowo Boże nawróconemu ludowi. Była to praca nadludzka, często gorliwy kapłan nie miał czasu na spożycie choćby najnędzniejszego posiłku, sypiał zaledwie po kilka godzin, gdzie i jak się dało, bo coraz bardziej zwartym kołem otaczał go lud, dopraszając się spowiedzi, chrztu i ostatniego namaszczenia. A wtedy na świeżo zbitej trumnie czy na omszałym kamieniu siadając, pełnił swą służbę kapłana. Oprócz tego potrafił ks. Antoniewicz wynaleźć chwilę czasu na



naukę dzieci, ośmielając je słowem ojcowskim i obdarowywując obrazkami. Za dziećmi zaczęły przychodzić kobiety. I tak się rozpoczęły misye ks. Antoniewicza we wszystkich rzezią pokalanych miejscowościach, było ich przeszło dwadzieścia kilka, a pierwszą z nich odbył w Brznanach.

Skoro na jednej z takich missyi we wsi Wewińce ks. Antoniewicz, na podziękowanie Bogu wznosił krzyż na miejscu, gdzie jednej nocy w czasie rzezi zamordowano kilkadziesiąt osób, wtedy zebrany piętnasto-tysięczny tłum z płaczem padł na kolana u stóp kapłana, dziękując mu za swoje odrodzenie duchowe.

Po nieszczęsnej ziemi rozlegało się teraz szlochanie i ryk zawstydzonych zbrodniarzy, od wioski do wioski, od miasta do miasta szedł niby loskot grzmotu, który po skwarze zapowiada upragniony deszcz zbawczy. Takie chwile pozostały w historii tryumfalnym pochodem wielkiego apostoła. Strudzony pracą wielkiej missyi, z nadwątleniem zdrowiem ks. Antoniewicz szukał przez kilka miesięcy wytchnienia w Karpatach, nieustając i tam w pracy. Pisywał ztamtąd znane w literaturze «Listy zakonne» oraz «Wspomnienia missyjne», drukowane w Przeglądzie Poznańskim. Tam również napisał kilka drobnych książeczek ludowych i prawdziwie podniosłych poezyi, stawiających ks. Antoniewicza w rzędzie zasłużonych polskich poetów ludowych.

Powróciwszy do Lwowa ks. Antoniewicz boleśnie został dotknięty zwaśnionymi stosunkami, jakie tam wtedy panowały, a najwięcej kiedy w 1848 roku zniesiono klasztor Jezuitów we Lwowie. Od téj chwili ks. Antoniewicz wiódł żywot tułaczy, dopóki biskup wrocławski Diepenbrock, a za nim arcypasterz gnieźnieński, ks. Przyłuski, nie wezwali do siebie głośnego kaznodziei. Na tułactwie też w Staniątkach, dokąd najpierw udał się wyjechawszy ze Lwowa, napisał piękną pieśń do Matki Boskiej; na Szlązku austriackim, w Piekarach i w Freiwaldu stworzył powszechnie znany życiorys «Ś-go Izydora Oracza». W Sączu, gdzie pozwolono zamieszkać Jezuitom, napisał kilka prac wybitniejszych, jak: «Spowiedź katolicka wobec filozofii przeciwkatolickiej», «Droga Krzyżowa i wspomnienia o św. Kunegundzie».

W roku 1849 odwiedził znowu Kraków, gdzie rozpoczął większą pracę «Groby ŚŚ. Pol-

skich». W Greffenbergu, bawiąc dla poratowania zdrowia, swojemi i składkowemi funduszami wznosił kaplicę pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej oraz ochronkę dla dzieci.

Na wieść o strasznym pożarze Krakowa w r. 1850, pospieszył do nieszczęśliwego miasta z pociechą i jałmużną. Mowa jego, wypowiedziana na gruzach zgorzałego kościoła Dominikanów, należy do najwznioślejszych improwizacyi, do najpiękniejszych pereł krasomówstwa polskiego.

Z epoki missyi szlązkich pozostały w naszej literaturze ludowej dwie drogocenne pamiątki: «Krzyż missyjny» i «Pamiętka missyi górnoszląskiej». W 1852 r. wstąpił ks. Antoniewicz do Wielkopolski, odbywszy i tam kilkanaście missyi, przerywanych gwałtownym wybuchem cholery.

Wśród popłochu, wywołanego zarazą, gorliwy kapłan podwoił pracy, niosąc od domu do domu pociechę i ratunek. Właśnie podczas trwania epidemii, O.O. Jezuiti otrzymali pozwolenie usadowienia się w Obrze w dawnym klasztorze jezuickim, a na uroczystość otwarcia zgromadzenia obrano dzień 4 Listopada, jako dzień imienin ks. Antoniewicza. W dniu tym zacny solenizant uczuł pierwsze oznaki strasznej choroby, lecz mimo to słuchał jeszcze spowiedzi i na ambonie przemawiał. Kiedy schodził z kazalnicy, już widocznym było, jak ciężko pasuje się z cierpieniem. Ciężka choroba trzymała go przeszło tydzień na łożu boleści, aż upadł jako wódz dzielny na posterunku, dotknięty straszną zarazą, w dniu 14 Listopada w niedzielę nad wieczorem wydawszy ostatnie tchnienie.

Krótki ten obraz żywota zasłużonego człowieka jest jedną z najpiękniejszych kart naszej historii. Jako kapłan ks. Antoniewicz był natchnionym kaznodzieją apostołem i reformatorem ludu. Jako autor i poeta, zajmuje on wydatne miejsce w literaturze polskiej, jako jeden z wybitnych poetów ludowych. A dwa jego poematy «Wianek Majowy» i «Wianek Krzyżowy» są klejnotami poezyi religijnej.

Karol Estrejcher w swojej bibliografii poświęca ks. Antoniewiczowi kilka stronic, wyliczając cały szereg jego pism. Oprócz tego pisali o nim: ks. Polkowski, ks. Barącz, K. Wł. Wójcicki i O. Jezuita Jan Badeni. Staraniem ks. Badeniego wyszedł doborowy zbiór jego poezyi.

Zwłoki ks. Antoniewicza spoczywają pod sklepieniem klasztoru w Obrze. W 1853 r. t. j. w rok po jego zgonie, obywatele Wielkopolscy postawili mu w tym kościele pomnik z popiersiem, okolonym dwoma napisami. Łaciński od braci Zakonu z wymienieniem nazwiska, daty urodzenia, wstąpienia do zakonu i śmierci. Drugi, skreślony po polsku piórem wielkopolskiego poe-

ty generała Franciszka Morawskiego, zawiera następujące słowa:

«Z krzyżem w ręku nad polskim górujący ludem,  
«Starłeś go i podniosłeś słowa twego cudem,  
«Krzepiłeś go w niedoli miłością i wiarą,  
«Dla niegoś żył jedynie i dlań padł ofiarą.  
«Dziś cię szuka w twym grobie—przez łzy widzi w niebie  
«I modląc się za tobą—modli i przez Ciebie».

*Benzelstjerna Engeström.*

# Henryk Rzewuski.

\* 1791 — † 1866.

**N**ależał do rodu, który z drobnej szlachty podlaskiej, wywodzącej się od Jadźwingów, a osiadłej na wsiach Bejdy \*) i Rzewuski, wyniósł się w ciągu XVII i XVIII stuleci na najpierwsze w Rzeczypospolitej godności.

Urodzony w d. 3 maja 1791 r. w Sławucie na Wołyniu, z ojca Adama-Wawrzyńca, kasztelana witebskiego i matki Justyny z Rdultowskich, podkomorzanki nowogrodzkiej, był przez dziada, Stanisława-Ferdynanda, regimentarza generalnego w konfederacji barskiej, a następnie feldmarszałka wojsk austriackich, który tytuł hrabiowski otrzymał—w prostej linii prawnikiem Wacława Rzewuskiego, kasztelana krakowskiego i hetmana w. koronnego, a wnukiem stryjecznym syna jego, Seweryna, hetmana buławy polnej.

Bez bliższego też poznania jego przodków, oraz scharakteryzowania ich tradycji domowych, niepodobna zrozumieć i ocenić działalności literackiej naszego pisarza. W dziełach jego bowiem występują, jakby prawem dziedziczności, wszystkie rodowe znamiona.

Ów hetman w. koronny, pan na Podhorcach,

\*) Tak podaje Encyklopedia powsz. Orgelbranda t. XXII, 635. Czy jednak nie Bejły? (przyj. aut.).

z wykształceniem zachodniem, należał do najuczeńszych ludzi swojego czasu i obok buławy, władał także i piórem. Nie położył wprawdzie, jako wódz, podobnych zasług, jak Stanisław Koniecpolski, Potocki *Revera*, i Stefan Czarniecki, gdyż po sejmie *niemym*, na którym wojsko koronne zredukowano do 17,000, trudno było myśleć o wawrzynach wojennych; ale za to chlubnie zapisał się w dziejach ofiarnością obywatelską, już to gdy swym kosztem, jako wojewoda podolski, umacnia Kamieniec i na swój żołd bierze 2,000 jego załogi, już, gdy powstrzymuje chana tatarskiego od najazdu na Polskę, wypłacając mu 600,000 zł. z własnej szkatuły. Jako autor zaś upamiętnił się w literaturze wydaniem, oprócz wielu pism polskich i łacińskich, dwóch tragedji: *Władysław pod Warną* i *Żółkiewski*, oraz komedji: *Natret* i *Dziwak* (1759 — 1760). Utwory te, pisane w duchu francuskim, nie posiadają wybitnych zalet, ale zasługują na uwagę, jako pierwsze próby stworzenia dramatu swojskiego, po przekładach tragików francuskich przez Jędrzeja i Stanisława Morsztynów, oraz uprawy komedji polskiej—po Piotrze Baryce.

Mniej za to sympatyczny jest, jako statysta; w piśmie bowiem, zatytułowanem *Rozmowa o libe-*



Według portretu społecznego rysował G. Pilatti.

*W. Rucina*

*rum veto przeciwko Konarskiemu*, występuje, jako żarliwy obrońca swobodnego zrywania sejmów, co tamowało wszelkie reformy, podejmowane w celu odrodzenia politycznego kraju. Rozmowa ta, choć niedrukowana, rozchodziła się w licznych odpisach.

Ta samą drogą, jako statysta, szedł syn jego młodszy, Seweryn.

Był on równie gorącym zwolennikiem dawnego ustroju rzeczypospolitej z »liberum veto«, wolną elekcyą, dożywotnią władzą hetmańską, a ograniczoną królewską, i w ogłaszanych drukiem broszurach zwalczał podczas sejmów czteroletniego, w którym nie brał udziału, wszystkie partyi postępowej dążenia. Gdy zaś pomimo tych protestów, król ze stanami w r. 1791 zaprzysiągł Ustawę, która zaprowadzała tron sukcesyjny, komendę nad wojskiem oddawała królowi, uchwałąm sejmowym zapewniała moc obowiązującą większości głosów, a mieszczań dopuszczała do prerogatyw szlacheckich — on złożył buławę i ze Szczęsnym Potockim i Ksawerym Branickim konfederacyę w Targowicy zawiązał.

Tradycye wszakże literackie utrzymywały się i w linii starszej, z której nasz pisarz pochodził.

Ojciec jego bowiem, podobnie jak hetman w. koronny, bawił się rymotworstwem, słyszał, jako mówca sejmowy i wydawał broszury polityczne, jak: *Myśli o reformie rządu republikańskiego* (1790), pojętej w duchu tych samych możnowładnych dążeń, oraz *O cesyi miasta Gdańska uwagi*. Jako zaś spadkobierca tradycyi ojcowskich z konfederacyi barskiej, przechował w pamięci mnóstwo szczegółów, anegdot, odnoszących się do wypadków i ludzi, stojących na jej czele i słyszał, jako jeden z gawędziarzy, idących w prostej linii nie dopiero od Paska, lecz od Reja, Tarnowskich, Ocieskich, a może i innych, żyjących w poprzedzającej ich dobie.

Wśród takich to tradycyi i wyobrażeń polityczno-społecznych wzrastał i rozwijał się przyszły twórca u nas romansu historycznego, wchłaniając w siebie atmosferę czasów bezpowrotnie minionych. O jego uszy niejednokrotnie w bliższym otoczeniu obijały się zdania, że gdyby nie sejm czteroletni, dotąd nie zmieniłoby się nic w granicach, jakie rok 1773 zakreślił; że wielkie rody utrzymywałyby swój wpływ i znaczenie; że zaś przekonania, zaszczerpione w nim głęboko, sprawiły, że przez życie całe szedł na przebój

wszystkich zdobyczy umysłowych i dążeń cywilizacyjnych XIX stulecia.

Z temi tradycjami szło w parze i jego wykształcenie o bardzo niejednorodnym kierunku. Naprzód, umieszczono go w szkole, utrzymywanej przez o. o. Karmelitów w Berdyczowie, lecz go stąd odebrano po roku: choć bowiem mieszkał z paniczami w konwikcie, zanadto stykał się z młodzieżą niższej kondycyi, zanadto się pospolitował. Wywieziono go więc do Petersburga i oddano do pensjonatu ks. Nicole'a — jednego z tych emigrantów, wymiecionych z Francyi przez rewolucyę, od których roilo się dawniej w Polsce, a teraz w imperyum. Był to pensjonat arystokratyczny, w którym nauki nad Newą wykladały się tak, jak gdyby zakład istniał nad Sekwaną, a na tronie Ludwik XVIII zasiadał. Stąd to Rzewuski wyniósł zasady klerykalizmu, nie mające nic wspólnego z wiarą, jeżeli ta nie służy za narzędzie partyjnych politycznych dążeń, oraz jakiś egzotyczny legitymizm, w który się później niby w togę białą, na przekór demokracji drapał.

Jeden i drugi wywoływał ciągły rozdźwięk między społeczeństwem a pisarzem.

Jakby zaś niedość było tego cudziemskiego podkładu, ojciec wysłał go jeszcze w r. 1806 pod opieką ochmistrza niemca, Kohlmannhubera, na dalsze nauki do Krakowa, gdzie, po zniesieniu dawnych urzędów Komisyi Edukacyjnej, zaprowadzonych przez H. Kollataja, zapanował we wszystkich zakładach naukowych system germanizacyjny, pod kierunkiem profesorów i nauczycieli nieniców, powoływanych przeważnie ze zgromadzenia Cystersów. Kształcono go tak, jakby chciano w nim zerwać wszelką łączność umysłową ze społeczeństwem i to wtedy, gdy pod zarządem Uniwersytetu wileńskiego, w duchu tejże Komisyi zreorganizowano szkoły na Litwie, a w Krzemieńcu Czacki otworzył gimnazjum wołyńskie!

W Krakowie też przebył dwa lata; poczem, wróciwszy na Wołyń, niespełna 16-letnim młodzieńcem, wybrany został na zjeździe szlachty *surrogatem*, czyli zastępcą sędziego ziemskiego — dowód, jak naówczas jeszcze padano przed każdym możnowładczym imieniem, bez względu, jaki ono miało wykładnik.

Zdaje się jednak, iż Rzewuski nie miał ani sposobności do wykazania wiedzy prawniczej i do-

świadczenia wobec swych światłych wyborców z utworzeniem bowiem Księstwa warszawskiego zaciągnął się do 9 pułku ułanów i, biorąc udział w kampanii 1809 r., dosłużył się stopnia porucznika. Na tem jednak ukończył zawód wojskowy.

Co następnie przez lat ośm porabiał? Nie wiemy. Dopiero bowiem w r. 1817 wyprawił go ojciec za granicę i teraz 26-letni Rzewuski udaje się przez Niemcy do Paryża, gdzie przez dwa lata na uniwersytecie studjuje literaturę, nauki filozoficzne i prawne. Z tego też źródła mógł wynieść zasób wiedzy bogaty. Wreszcie dla uzupełnienia swych wiadomości, zwiedził Anglię, Włochy i Turcyę i dopiero w r. 1823 powrócił do kraju. Liczył wtedy 32 rok życia.

Jeżeli też kiedy, to obecnie talent jego pisarski powinien się być ujawnić. Wszak był człowiekiem umysłowo urobionym zupełnie; tradycje domowe zachęcały do pióra, a ruch przełomowy, jaki ówczesnie w literaturze nastąpił, oddziaływał podniecająco na każdą myślącą i wrażliwą naturę. Brodziński rzucił już w świat swą rozprawę *O klasycyzmności i romantyczności*, wydał dwa tomy poezyj, a między niemi *Wiesława*; wreszcie z katedry uniwersyteckiej krzewił wśród młodzieży nowe pojęcia o zadaniach poezji; w Wilnie zaś, w tym właśnie roku, gdy Rzewuski wrócił do kraju, wyszedł innego wieszczą także tomik poezyj, który był tem dla zaufanych w swej wielkości klasyków, czem kij w mrowisko rzucony.

Wobec podjętej walki, Rzewuski mógł być swe pióro jednej lub drugiej stronie poświęcić. Tymczasem on trzyma się na uboczu. Tak samo, gdy w r. 1825 bawi u swej siostry, Karoliny Sobańskiej, w Odesie, gdzie się z Mickiewiczem poznaje, nie widzimy, by go literatura zajmowała na seryo. Jest to bardzo miły towarzysz, umięjący każdą rozmowę zaprawić dowcipem, niekiedy ciętym, a nawet w potrzebie złośliwym, lecz powołania literackiego widocznie w sobie nie czuje. Natomiast, szukając nowych wrażeń, urządza wyprawę statkiem do Krymu i bezwiednie przyczynia się do wzbogacenia poezji polskiej takim arcydziełem, jak *Sonet y krymskie*. Cóż mu przeszkadza dojść do samopoznania swego talentu? Na to istotnie złożyły się nader różnorodne przyczyny. Naprzód, całe jego usposobienie trzeźwe, pozytywne, oraz tradycje literackie, wyniesione z domu i szkoły, może go więcej na stronę kla-

syków, niż romantyków skłaniały. Treść wszakże, jaką nosił w swej duszy, w obecnej chwili nie miała nic wspólnego z jednym i drugim kierunkiem. Również nie odpowiadała ówczesnemu nastrojowi umysłów, dla których najżywotniejszym pytaniem było, czy poezya wejść ma na tory nowe, dając indygenat rodzajom, w literaturze polskiej dotąd nieznanym, czy po staremu kroczyć śladami Greków i Rzymian i zachować trzy jedności tragedji francuskiej. Wobec roznamiętnienia w tym kierunku dwóch przeciwnych obozów, wszelka inna kwestya nie byłaby na dobie.

Czuł to dobrze Rzewuski, że dla swych ideałów nietylko gruntu w społeczeństwie, lecz i w literaturze ówczesnej odpowiedniej formy nie znajduje i nie kwapił się do pióra.

Na formę trafił znacznie później, dopiero przez Mickiewicza. A stało się to w roku 1830 w Rzymie, dokąd Rzewuski, odziedziczyszy po zmarłym ojcu dobra Cudnow\*) i ożeniwszy się z Julią Grocholską, zjechał na zimę i zetknął się po raz wtóry z autorem *Grażyny*.

O tem spotkaniu, tak płodnem dla obu tych ludzi w wielkie następstwa, mówiłem już na innym miejscu, w Albumie (patrz: Adam Mickiewicz, t. 1, str. 198); tu, tyle tylko, dla utrzymania ciągu rzeczy, nadmienię, że gdy raz Rzewuski wpadł z nim na konfederacyę barską w rozmowie i z właściwą sobie dosadnością i swadą szlachecką, rozwinął cały szereg odnoszących się do niej barwnych obrazów i anegdot, w tej formie, w jakiej od ojca zasłyszał; poeta, uderzony bijącą z nich prawdą i życiem, pochwyconem na gorącym uczynku, zaczął nań najusilniej nalegać, by, jak mówił, wszystko to spisał, zapewniając, że nowem arcydziełem literaturę wzbogaci i odsłoni prawdziwe oblicze przeszłości, tak już zatarte w swych rysach, tak mało znane nowemu pokoleniu, które pod wpływami francuskimi wyrosło.

Rzewuski uznał słuszność tej rady; zrozu-

\*) Do Cudnowa należało kilka wsi i folwarków, położonych w urodzajnej glebie wołyńskiej. Była to drobna zaledwie częśćka olbrzymiej niegdyś ordynacyi Ostrogskiej, która, rozpadłszy się po „tranzakcyi kolbuszowskiej“, przeszła naprzód w większym komplecie do Lubomirskich, a od nich już w tej części zmniejszonej, przez Ponińskich i Potockich, dostała się Rzewuskim. W każdym razie z rozległemi lasami i w tej części stanowiła jeszcze prawdziwie pańską fortunę.

(Przyp. autora).



miał, że dla treści, którą nosił w swej duszy, znalazł наконец formę właściwą i zabrał się do spisywania przekazanych mu podań. Tak powstały: *Pamiętki Imci Pana Seweryna Soplicy, cześnika parnawskiego*, drukowane po raz pierwszy w Rzymie w r. 1832.

Czy był rzeczywistym ich twórcą, czy tylko rodzajem *medyum*, przez które duch jego dziada i ojca przemawiał?...

Rzewuski bez wątpienia wszystkie anegdoty, zdarzenia, jak je zasłyszał, opisał; ale sądzymy, że w opowiadaniach kasztelana witebskiego występowały one luźnie, przygodnie, jak się w danych okolicznościach nasuwały pamięci, bez ciągu i związku jednolitego z osobą, do której się odnosiły; Rzewuski zaś zgrupował je, jak należało, połączył w ciąg jeden zdarzeń charakteryzujących osobistość, której kreślił sylwetkę, lub wypadek, w którym brało udział wielu działaczy, a wszystko to oświetlił, niby lampą magiczną, indywidualnym poglądem pana cześnika parnawskiego, w którym stworzył oryginalny typ szlachcica litewskiego z drugiej połowy XVIII stulecia z całą ciasnotą pojęć wychowańca ówczesnych szkół klasztornych palestranta rutynisty, wreszcie dworzanina księcia *Panie kochanku*, który dla niego jest uosobieniem i rozumu politycznego i najwyższych cnót obywatelskich, ba! godnym nawet korony. Choć nie posesyonat, lecz dorabia się fortuny, już to atenując w sprawach książęcych, już to trzymając wsie dzierżawą lub zastawem, nie jest przecież bez szlacheckiej, wyższej ogłady i znajomości świata i ludzi. Za czasów konfederacji barskiej zjeździł on całą Rzeczpospolitą od Kahorlika, ostatniego krańca Ukrainy do Niepołomic i Lanckorony, a nawet o Szlązk zawadził; wszędzie zaś ociera się o ludzi głośnych imion, o najpierwszych w generalicyi i w obozie dostojników litewskich i zdaje mu się, że nad nich nie było i być nie mogło ludzi doskonalszych, mędrszych i bieglejszych w swoim zawodzie. Wszystko to *lumina*, filary Rzeczypospolitej, których świat mógłby nam słuszenie zazdrościć.

Ten optymizm, z jakim zapatruje się na magnatów i cały świat szlachecki, zasklepiony w dawnych wyobrażeniach i formach strupieszalnych życia, nie pozwala mu oceniać korzyści, płynących z cywilizacji i kultury zachodu. Wstręt zaś ku nim z dwójakiego źródła w nim wypływa: raz, że

te kulturę szerzył w kraju pan stolnik ukoronowany, a tego, że zasiadł na tronie, on, jako sługa radziwiłłowski, nie może mu nigdy darować; a powtóre, że cudzoziemcy, którzy przebywali w Polsce i o niej pisali, ogłosili księcia *Panie kochanku* przed całym światem za barbarzyńcę, wicherzyciela i głupca. Był to *crimen laesae majestatis* w oczach p. Cześnika. Bo i cóż to znaczyło, że gdy był jeszcze Miecznikiem litewskim i wzdłuż i wszerz Litwę na czele swej Albeńskiej bandy przebiegał, że tu woły jakiemuś szlachcicowi powybił, tam stodołę podpalił, a owdzie znów komuś kazał odliczyć z pięćdziesiąt lub więcej batogów?... Był młody i potrzebował zużytkować wybujałe swe siły. Albo że już jako wojewoda wileński wypędził pana Tryznę *stante pede* z zastawu, dlatego, że mu ten w czasie żniw rozpoczętych odmówił ludzi na łowy! Jużciż mogła go ta niewdzięczność zabołec, bo p. Tryzna Kołdyczew trzymał za bezcen zastawem. Ale czy to z pańskiej fantazyi dopuszcza się samowoli, czy w gniewie, czując się srodze dotkniętym, zawsze wyrządzoną krzywdę nagradza w dwójnasób. W czymże więc było barbarzyństwo? To też słuszenie wypowiada przekonanie, że rozum zagraniczny a szlachecki to dwie rzeczy zupełnie różne. I rzeczywiście, tamten trzeba było zdobywać trudem i wysiłkiem umysłu, ten przychodził, jakby drogą przywileju — bez pracy. Nie wszechnice, według niego, nie akademie, lecz dwory panów były szkołą szlachcica, w której potrzebną mądrość znajdował. By się do niej przygotować, dość mu było uformować rękę do pióra, poduczyć się trochę łaciny i przewertować statut litewski — reszty dokonywała dresura marszałkowska, oparta na systemie boćkowca.

I mądrość, zdobywana tą drogą, istotnie starczyć mogła na potrzeby domowe, dla celów osobistych, praktycznych. Z wstąpieniem bowiem na dwór, szlachcic na całe życie pozyskiwał opiekę możnego pana, która go zabezpieczała skutecznie przed samowolą innego magnata. Zasłużywszy sobie na jego łaskę, mógł być pewien podpomoczenia swej chudoby i pomocy w dalszem pokierowaniu się w świecie. Tu zresztą przecierał się wśród dworzan i szlachty, poznawał wszystkich luminarzy powiatu i województwa, a często i wysokich dostojników, na których z kornem uszanowaniem patrzeć mógł, stojąc, jako dworzanin za

krzesłem pana, lub siedząc na szarym końcu u stołu. Tu głównie też miał sposobność rozszerzać swe wyobrażenia i pojęcia; usłyszeć to i owo o sprawach publicznych, o tem, co się działo w świecie, i tym sposobem polerować swój umysł, dopóki go nie zaprzepaścił w kielichu biesiadnym.

Czy to jednak uzdolniało później do spełniania posług obywatelskich, czy kształciło zmysł oryentowania się w sprawach wyższego znaczenia, w których grę wchodziły nie już domowe, wewnętrzne, lecz międzynarodowe, polityczne stosunki? O tem wątpić należy. Szkoła ta bowiem miała jedno zło kardynalne: tłumiła do szczytu wszelką niezależność przekonań politycznych, tak potrzebną w systemie reprezentacyjnym rządu. Z chwilą bowiem wstąpienia na dwór, szlachcic musiał żyć czuciem, myślał i wołał pana, podzielać jego sympatyje i nienawiści, dawać głos na sejmikach i sejmie według jego wskazówek, potakiwać najdzikszym jego zachceniom i fantazyom, przejąć cały sposób widzenia rzeczy — inaczej, nie mógłby sobie na jego względy zasłużyć. Nawet, gdy brał udział czynny w jakiejś akcji ogólnego znaczenia, nie tyle szedł za popędem własnych przekonań, ile raczej w skutek z góry narzuconej sobie roli. Wprawdzie szlachcic mniemał, iż wtedy służy krajowi; tymczasem służył on jedynie widokom pana i partyi, do której ten należał. I tak było z p. cześnikiem parnawskim. Kąt widzenia, pod którym patrzy na sprawy krajowe i ludzi, to w znacznej mierze kąt widzenia nieświeskiego dworu, który dla niego, po życiu obozowem i palestranckiem, był szkołą obywatelską.

Przez taki to pryzmat umysłowy Rzewuski każe nam wziąć do tego Panteonu litewskiego, jaki stworzył w *Pamiętnikach*, gdzie w różny sposób zgrupowane typowe magnackie i szlacheckie postacie występują, rzecz prosta, w zupełnie innem zabarwieniu, niż to, w jakim je nam przekazała historia. Co ona na szary koniec zepchnęła, co zaliczyła do zwyrodniałych, patologicznych niemal życia społecznego objawów, to tu, wyolbrzymione, w aueroli cnót obywatelskich, występuje na plan pierwszy i domaga się pokłonów. Potrzeba było, zaprawdę, wielkiej magii talentu, by wbrew jej świadectwu, dla tych odsadzonych przez nią postaci pozyskać w czytelniku sympatyę, wmówić wien przekonanie o zapoznanych ich zasługach i ro-

zumie, osłonić cieniem krzyczące ich nadużycia i gwałty, a uwydatnić wylaną dobroć serca, cnoty i szlachetność pobudek w ich czynach. Rzewuski uwypuklił je po mistrzowsku, skupiając w nich wszystkie charakterystyczne rysy, rozpieczętował, w przekazanych mu przez ojca tradycjach; uwydatnił w ruchach, mowie i czynach indywidualne właściwości ich ducha i, oświeciwszy je rzekomym poglądem dziejowym na nie cześnika parnawskiego, stworzył cały tłum żywych posągów, jakby z trumien zmartwychwstałych na nowo.

Nie wszystkie robią one dziś to samo wrażenie, jakie budziły w pierwszych chwilach pojawienia się w druku *Pamiętek*. Jedne zszarzały i zbladły, innym historia fałsz zadała z dokumentami w rękę, jak np. co do przyczyny i miejsca stracenia Ignacego Wołodkowicza; ale zawsze pozostało kilka sylwetek i obrazów, które przez swą niezrównaną plastykę i prawdę, z natury żywcem schwyconą, nazawsze pozostaną klejnotami czystej wody w literaturze. Do takich bez zaprzeczenia należą: Pan Ogiński, Książd Marek i jego kazanie w Kalwarii Zebrzydowskiej, Puławski, Rejtan Tadeusz, Sawa, Pan Wołk, Król Stanisław, Zamek Kaniowski, a już do arcydzieł w swoim rodzaju zaliczyć można p. Rysia i samego księcia Radziwiłła Panie Kochanku.

Ów Ryś, syn organisty nieświeskiego, ale szlachcic, co nie waha się wyzwać na rękę ks. Miecznika, gdy go ten kotem nazywa i daje mu na całe życie pamiętne; on, co nie posiadając ani morga ziemi, odbija innemu pannę i, mimo przeszkód opiekuna, bierze za nią ogromną fortunę, a kocha żonę szalenie i co wieczór z miłości wystrzeliwa jej korki w sypialni; który wreszcie, jako *arbiter elegantiae* dyktuje mody na dworze nieświeskim i na balu występuje w wymyślonych przez siebie żółtych butach z atlasu, które mu na despekt p. Scypion dziegiem popryskał — to typ na owe czasy niepospolity i nader sympatyczny w tej galerii.

A sam wojewoda wileński!...

Występuje on niejednokrotnie w opowiadaniach cześnika, ale dopiero na sejmiku nowogrodzkim, na którym preforsować chce p. Michała Rejtana na pisarza ziemskiego, jest niezrównany w objawach swego pańskiego humoru i jowialnej dobroduszości. Beszta śpiącego z nim bernardyna, gdy go ten do zgody z p. Tryzną namawia i każe

mu się precz wynosić, aż gdy Nepta zaczyna warczeć na ducha Wołodkowicza, w jednej chwili zmieniają się role. Książę, dopiero co tak rozsierdzony, uderza w prośby do bernardyna, by z nim w celi pozostał, gdyż mu serce pęknie z żalu, panie kochanku, jeżeli mu się Wołodkowicz objawi, a bernardyn na nowo pertraktacye zaczyna i choć zawsze pokorny, zmusza go do kapitulacyi.

A samo jednanie sobie szlachty, by mu dała na Rejtana swe wota! Zastawia na dziedzińcu klasztornym obficie stoły, karmi szlachtę i sam z nią pije na umór; rozdziela wreszcie między nią swoje ubranie, aż gdy w koszuli tylko i hajdawerach pozostał, włazi na wóz, stojący z beczką wina i, usiadłszy na niej, zaczyna szlachcie swego kandydata zalecać, prawiąc przy tem duby smalone, do jakich tylko była zdolna genialna jego fantazyja. Więc dalejże szlachta obwozić go tryumfalnie po mieście, a on, nie przestając perorować, co chwila odtyka czop beczki, a każdy, kto chce, podstawi kielich lub garnek i pije *ad libitum*, dopóki w niej starczy napoju.

Radziwiłł tego wieczora stał się bożyszczem szlachty i p. Rejtan pisarstwo ziemskie otrzymał.

Dziś, gdy się pomyśli, że takich środków chwycił się potomek hetmanów, pierwszy dostojnik w swem województwie, senator, godny podług p. Cześnika korony; można się zżymać i oburzać, iż losy kraju w ręku podobnych znajdowały się ludzi; ale jeżeli się mówi o malowidle, to obraz przepyszny, nakreślony z całą maestryą wytrawnego artysty. Szło o to, by okazać swą przewagę nad p. Niesiołowskim, wojewodą i Jeleńskim, kasztelanem nowogrodzkim, którzy z swej strony forytowali na pisarstwo p. Kazimierza Haraburdę. Była to więc polityka »Panie kochanku« — tym sposobem trzęsło się Litwą!

Nic też dziwnego, iż wobec prawdy, tryskającej z tych obrazów, krytyka przyznała im przełomowe w literaturze znaczenie. Przy nich zbladły wszystkie dotychczasowe powieści i romanse historyczne, schodzące do znaczenia archeologicznych zabytków. Wyjątek stanowił jedynie *Dziennik Franciszki Krasińskiej* i *Listy Elżbiety Rzeczyckiej*, które także osnute były na tradycyi domowej; tylko że ani plastyką malowidła, ani siłą wyrażenia nie mogły współzawodniczyć z *Pamiętkami Soplicy*.

Z krytyk współczesnych jedna szczególnie,

ogłoszona w *Tygodniku literackim poznańskim* (podobno Libelta), wnikając głębiej w ich historyczne i estetyczne znaczenie, przyznaje autorowi dar jasnowidzenia przeszłości, jaki jest tylko geniuszowi właściwy. Nie znając osobiście Rzewuskiego i oceniając przedmiotowo to niepospolite literackie zjawisko, krytyk podziwia przede wszystkim w twórcy *Pamiętek* zdolność i umiejętność postawienia się na stanowisku umysłem szlachcica XVIII stulecia, wyrzeczenia się wszystkich osobistych poglądów i naukowych swego wieku nabytków, — słowem, zajęcia jakby bezosobowego homerycznego punktu widzenia wobec opisywanych ludzi i wydarzeń.

Tej analogii pomiędzy *Pamiętkami* a homerycznym eposem dopatruje on i w charakterze walk konfederatów, gdy nieraz wodzowie jednej i drugiej strony występują do pojedynczych zapasów, niby greckie herosy. Rozważając nadto, że opowiadania Soplisy tak samo składają się z oddzielnych fragmentów, jak pierwotnie Iliada z rapsodów, dochodzi do wniosku, że autor „potrzebował tylko zrobić jeden krok dalej: powiązać w całość te luźnie na papier rzucone obrazki, by stworzyć, jeżeli nie epos narodowy, to romans historyczny, któryby wszystkich naśladowców Waltera Scotta daleko za sobą zostawił.

Krytyka ta, lubo mówiła wiele, nie wypowiedziała jednak wszystkiego. Rzewuski w *Pamiętkach* romansu historycznego nie stworzył, a tem bardziej epopei; ale, nie mówiąc już, że pod jego wpływem takie arcydzieło, jak *Pan Tadeusz*, powstało, stworzył niezaprzeczenie nowy rodzaj w literaturze — *gawędę*, która odtąd, zarówno w poezyi, jak w prozie zdobyła obywatelstwo i nie jedną rzecz piękną w swym rodzaju wydała, dopóki niezdarń jego naśladowcy nie doprowadzili jej do karykatury i hojnie sypanemi przy każdej sposobności batogami nie obmierzili czytelnikom.

Uznanie też dla Rzewuskiego rosnęło, w miarę upowszechniania się *Pamiętek*. Po edycji rzymskiej, dziś już stanowiącej rzadkość bibliograficzną, nastąpiła druga — paryska, dokonana w 4 tomach, w r. 1839 przez Al. Jełowickiego. Obie, wydane bezimiennie, obejmują tekst najpełniejszy, w formie, przez autora nadanej im pierwotnie.

U nas szersza publiczność zaznajomiła się z Rzewuskim z edycji wileńskiej, w dwóch tomach, noszącej zmieniony już tytuł: *Pamiętki sta-*

rego litewskiego szlachcica i zaopatrzonej przez wydawcę zamiast przedmowy, w streszczonej powyżej krytykę (1844). I wszystko byłoby dobrze. Czytelnicy darzyli autora sympatią, współobywatele zaufaniem, wybierając go po powrocie do kraju na marszałka powiatu żytomierskiego, Kraszewski zaś, który w r. 1841 rozpoczął wydawnictwo *Athenaeum*, był wielce uszczęśliwiony, że go za pośrednictwem Michała Grabowskiego na współpracownika pozyskał. Jakoż Rzewuski, który już wtedy przeniósł się do Petersburga i do redakcji *Tygodnika petersburskiego*, wydawanego przez Józefa Przecławskiego należał, nadesłał mu rozprawę *O prawdziwości (!) cywilizacji narodów*, która w t. IV z r. 1841 wydrukowana została.

Tymczasem w tym samym roku w Wilnie pojawiła się książka, zatytułowana *Mieszaniiny obyczajowe*, p. Jarosza Bejły — w rzeczy samej p. Rzewuskiego i powszechnie wywołała zdumienie. W niej uwielbiany dotąd twórca *Pamiętek*, rzucał rękawicę całemu społeczeństwu, dowodząc, że wszelkie usiłowania podtrzymania w nim życia na podstawach zgniłej cywilizacji zachodu jest tylko galwanizowaniem trupa, a cały rozwój literatury, to także skutek zgnilizny, która, jak wiadomo, bujność roślin na cmentarzach podsyca. Ci zaś, którzy podtrzymują sztucznie to życie w jednym lub drugim kierunku, są głupi, gdyż cywilizacja przez nich szerzona — produkt rewolucji francuskiej, tylko bezbożność i podły demokratyzm wydała. Jedyną dźwignią i środkiem odrodzenia — to kościół i rody stare.

Na kościół godzić się można było, gdyby go tak samo, jak społeczeństwo pojmował; ale to był kościół dziwnego nabożeństwa, który ogół segregował na ludzi *de la haute naissance* i *de la canaille*. Takiego podziału nie znał kościół Chrystusowy. Taki kościół był wytworem zasad, wyniesionych ze szkoły Nicole'a, a spotęgowanych przez De Maistre'a, z którego pism głównie czerpał swe argumenta.

Chateaubriand w swych *Essais religieux et historique* porównywał Chrystyanizm do kół współśrodkowych, wytwarzających się na powierzchni wody, po wrzuceniu w nią kamienia i obejmujących kolejno co raz szersze przestrzenie; innemi słowy, uznawał w nim rozwój, nie tamujący działania rozumu, ani woli człowieka, pozostawiając tylko odpowiedzialność za czyny. De Maistre ści-

skął Kościół żelazną obracezą, która tamowała wszelką swobodę ruchów, obozowała rozum, paraliżowała wolę i z człowieka, przeznaczonego do czynu, urabiała istotę bierną, wspólnemu dla wszystkich kierunkowi poddaną.

Że legitymizm franeuski chwycił się oburącz tych zasad, to łatwo zrozumieć; z tak pojętym Kościołem łatwiej było utrzymać w posłuszeństwie dla prawowitego monarchy burzliwe, rewolucyjne żywioły. Ale co wspólnego mieć mógł z De Maistre'm Rzewuski?... Ha! on chciał także danym, zdetronizowanym królewicom podobną przewagę w swem społeczeństwie zapewnić. Więc uderza w *Mieszaniinach* na alarm, by kupiło się przy rodach historycznych, gdyż tylko one, trzymając się wiernie zasad kościoła i przechowując tradycje, mogły je od ostatecznego rozprzężenia i rozkładu uchronić. Poprostu chciał na nowo wytworzyć klientele, by na nie społeczeństwo rozbite, popadło w moralną i umysłową zależność.

Wywołało to oburzenie powszechne. Pytano, gdzie to są owe rody? To bowiem, co nazywano arystokracją, było do szpiku kości scudzoziemczale i, albo żyło odosobnione, coraz bardziej zasklepiając się w swoich przesądach i usuwając od wszelkiej pracy społecznej, albo o tyle związane z krajem, o ile czerpało z posiadanej ziemi zasoby, marnując je w obcych stolicach, gdzie dopiero czuło się w swoim żywiole. Jedyną osobistością, ku której społeczeństwo oczy zwracało, był Andrzej hr. Zamoyski, który rozpoczynał torować drogę dla przemysłu i handlu; ale właśnie przemysł i handel Bejła miał w jak największej pogardzie. Oburzenie potęgowało się tem bardziej, iż Rzewuski dotykał wielu innych kwestyj drażliwych, że pomiatał ludźmi, stojącymi własną służbą i, bijąc na demokrację, wskazywał społeczeństwu drógi, które oni iść nie chciało i nie mogło.

Co jednak znaczyła ta zmiana frontu w piarszu, który pierwszym swem dziełem tak wysoko stanął w opinii ogółu i uznanie jego pozyskał?... Właściwie zmiany nie było. I w *Pamiętkach* bowiem i w *Mieszaniinach* Rzewuski był jednym i tym samym człowiekiem, w którym tradycyjnie żył magnat z XVIII stulecia, należący do opozycji i czujący niechęć do społeczeństwa nowego, z którego pojęciami nie mógł się żadną miarą pogodzić. Tylko w *Pamiętkach* ukrywał się za oso-



bistością Soplicy; w *Mieszaninach* zrzucił kontusz i wystąpił w nowym przebraniu: w mundurze marszałka, w płaszczu hiszpańskim i w białej konfederatce: tak bowiem według relacji J. I. Kraszewskiego, występował na wszystkich uroczystościach w Żytomierzu za czasów swego urzędowania.

To trojokie przybranie było jakby usymbolizowaniem jego przekonań i dążeń.

Soplica, obudzając w społeczeństwie umiłowanie przeszłości, wskrzeszonej nie poważnym rylcem historyi i obarczonej surowym jej wyrokiem, ale którą sam odtwarza z całym pietyzmem z własnych wspomnień, jako działacz lub naoczny świadek, apotezując to, co ona za rzecz godną potępienia uznała; Soplica, mówię, przygotować miał umysły do tego, co w *Mieszaninach* wypowiedział Bejła. Poglądy jednego i drugiego są identyczne zupełnie, tylko przez ostatniego podane w zabarwieniu De Maistre'a. Słowem, Rzewuski zgotował wszystkim niespodziankę, a szczególnie krytykowi, który podziwiał w nim: *wyrzeczenie się dla sztuki własnych poglądów*.

W r. 1843 wyszedł tom II *Mieszanin* i dopełnił miary zniechęcenia. Przeciwnicy jednak Rzewuskiego nie mogli narazie zmanifestować oburzenia jawnie, z tej prostej przyczyny, że naówczas pism peryodycznych było w kraju niewiele. Upłynęło też dużo wody, nim opozycja zdołała skupić swe siły. Jeden z pierwszych strzałów padł z *Athenaeum*, w którym hr. Gustaw Olizar przedstawił Bejlę, jako dotkniętego pomieszaniem umysłu. Dowcip był cięty i bez świadomej intencji autora głębszą prawdę wyrażał. Rzewuski nie zwaryował, ale jego wystąpienie było rzeczywiście pewnego rodzaju zboczeniem umysłowem, wynikiem wskutek odziedziczonej po przodkach tradycji, którą był opętany, a którą społeczeństwo odpychało ze wstrętem. Wreszcie walkę podjęły pisma poznańskie, lwowskie, warszawskie, a w pierwszym rzędzie *Biblioteka*, odpierając jego paradoksy gruntośnie.

Rzewuski jednak, opanowawszy redakcję *Tygodnika petersburskiego*, i wytworzywszy z Michałem Grabowskim, ks. Ignacym Hołowińskim, Leopoldem (Eleonorą) Sztymerem (Bomba) i samym redaktorem Przecławskim rodzaj *quinqueratu*, nie wiele sobie robił z opozycji; owszem, lekceważąc ją, rąbał na wszystkie strony w piśmie, które, wychodząc kilka razy na tydzień, wywierało, zwa-

szcza na umysły w guberniach zachodnich, wpływ o wiele doraźniejszy, niż *Athenaeum*, pojawiające się raz na dwa miesiące i to w odstępach nieregularnych. Ale też najdotkliwsze ciosy jego redaktora spotkały. Kraszewski bowiem, ulegając zawsze pierwszemu wrażeniu, popełnił tę nieogłędność, iż, przeczytawszy pobieżnie w rękopiśmie tom I *Mieszanin*, umieścił o nich w *Tygodniku petersburskim* nader pochlebny artykuł, jako o dziele pierwszorzędnego znaczenia. Gdy więc po jego wyjściu, opinia przeciw nim się zwróciła, znalazł się w położeniu bardzo drażliwym, zwłaszcza, iż Rzewuski, uważając go za sprzymierzeńca, zażądał, by w jego obronie, podobnie, jak oddany mu całą duszą Grabowski, w *Athenaeum* wystąpił. Tymczasem Kraszewski teraz, bez narażenia się na zupełną utratę popularności, uczynić tego nie mógł. Nic dziwnego przeto, iż, poczytany za odstępcę, ściągnął na głowę swą gromy, które wciąż z *Tygodnika* spadały.

Zadufany też w zdobytą pozycję Rzewuski mimo rosnącej przeciw sobie niechęci, wystąpił z nowym utworem w dzienniku petersburskim. Był to *Listopad, romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku*, który z łamów *Tygodnika*, ukazał się niebawem w osobnej edycji w 3 tomach (Petersburg, 1845).

W przedmowie autor zapewnia, iż w *Listopadzie* »wystawił dwie cywilizacje, walczące z sobą u nas od końca pierwszej połowy zeszłego wieku (XVIII), a z których jedna drugą *wywłaszczyła*«. O tem możnaby dużo powiedzieć. To pewna, iż ta, co uległa, nie musiała posiadać w sobie dosyć siły żywotnej. Autor nadto zapewnia, iż wobec obydwóch pragnął stanowisko przedmiotowe zachować. »W obu stronach — powiada — zachowałem równą szlachetność *uczuc i postępowania*... Żadną obłudą kunsztu nie chciałem popierać zasad, do których *czuje się skłonny*: zwolennicy wiary są pełni ducha poświęcenia; ci, co wyłącznie rozumowi ludzkiemu przyznają kierunek społeczeństwa, z niczem się nie *omijają z prawidłami honoru*«.

Czy autor obietnicy dotrzymał, to się później okaże; w każdym razie, pomiędzy obiema cywilizacjami, uosobionymi w dwóch braciach Strawińskich: Michale i Ludwiku, po mistrzowsku przeciągnął paralelę i obie, odpowiednio do swych celów, scharakteryzował dość trafnie. Po jednej stronie bezwzględna wiara, uczciwość i moralność skrupuli-



zująca nawet w drobiazgach i gotowość do poświęceń, przy starym, szorstkim obyczaju i braku rozumu, pojętego w ogólnoludzkim znaczeniu; po drugiej rozum, nie ten jednak głęboki, jaki cechuje Kołłątajów, Staszyców, ale przetarty w obcowaniu z Encyklopedystami, stąd sceptyczny, a płytki, przy braku wiary i egoizmie, a wyrafinowanej ogłady wychowawca dworów: lunewilskiego i wersalskiego.

Te dwa typy uosabiają dwa odłamy narodu i czytelnik, po złożeniu ostatniego tomu, istotnie wynosi wrażenie, iż oba, jako dwa skrajne przeciwieństwa, nie mogły podolać swemu zadaniu. Brak tu trzeciego typu, któryby godził je w sobie: łączył uczucie z rozumem, a posiadał charakter. Wprawdzie autor konieczności tej nie wykazuje; w każdym razie dał wiele, bo syntezę epoki, na co do jego czasów nie zdobył się żaden historyk. Jeżeli jednak idzie o beztronność, to nie dotrzymał przyrzeczeń. W zestawieniu bowiem z sobą tych dwóch odłamów, co tylko styka się z cywilizacją i oświatą zachodnią, autor zaopatruje w *minusy*. Wychowana przez *Madame* matka Strawińskich opuszcza dla Mycielskiego, wielkopolanina, dom męża i, uzyskawszy rozwód od biskupa Massalskiego, swego krewnego, oddaje urodzicielowi rękę; owiana również tchem zachodu Zosia Kunicka (wychowuje się u ciotki w Wilnie i czyta romanse francuskie), przeniewierza się narzeczonemu, Michałowi i daje się wykraść jego bratu, który, bałamucąc ją, chyba się *omija* i to bardzo *z drogą honoru*. Rzecz naturalna, iż dwór i towarzystwo warszawskie jeszcze w wyższym stopniu dają autorowi możliwość do wykazania ujemnych stron cywilizacji zachodniej. Wszystko to pełne wykwintności, ogłady, na pozór okazałe i świetne, ale scudzoziemczące i przegnile do szpiku kości. Nie uszedł szykany i kanclerz, Jędrzej Zamoyski, jeden z najczystszych i najrozumniejszych ludzi. Autor przedstawia go, jako *plakcę*, którego projekt do praw »ma zapewnić mu nieśmiertelność, a narodowi szczęście«. Ale nie dziwny się ironii: projekt ten był pierwszym taranem, który godził w przywileje panów i szlachty — wyjmował lud z pod ich jurysdykcji i podawał go pod opiekę prawa. Natomiast wszystko, co do świata kontuszonego należy, autor otacza blaskiem szlachetności i cnoty. Są to istne Katony, jakby z brązu ulane. Jeżeli też bezpośrednio odczytamy *Pamiętki*

i *Listopad*, to nas jedna okoliczność uderzy: zdumiewająca tożsamość poglądów i zasad Cześnika Parnawskiego i autora *Listopada*. Wydzielmy z niego: Strażnika, jego syna Michała, generała Kunickiego, Wazgirda, księcia »Panie kochanku« i tych wszystkich panów podkomorzych, sędziów, namiestników, podczaszych, mostowniczych, ciwunów i z tem, co się do nich odnosi, przeniesmy ich do *Pamiętek* Soplicy, a przekonamy się, że one, nie zmieniając w niczem ich charakteru, zupełnie tam będą na miejscu. Tylko pod względem religijnym Rzewuski idzie dalej, niż Soplica. W *Pamiętkach* ks. Marek, odtworzony zgodnie z tradycją, jest arcypoetyczną postacią, a szlachta, surowo przestrzegająca przepisów religijnych, pod względem historycznym nie rozmija się z prawdą. Tymczasem p. generał Kunicki w *Listopadzie* po prostu na karykaturę zakrawa i gdyby kto chciał katolicyzm ośmieszyć, nie mógłby, za prawdę, innych rysów dobierać. A jednak, według autora, był on »pierwotworem prawdziwego szlachcica owych czasów: dla niego religia była obyczajem, nałogiem, ale nie nauką. Byłe zdrów, żadnego odpustu w okolicy nie opuści; ale daremnie chciałbyś mu dać jasne pojęcie tego, czym jest odpust. Dnia nie przepuści bez słuchania jednej, a czasem dwóch mszy i to po długich rannych pacierzach; co wieczór odmawia godzinki i różaniec, *ale ani czuł w sobie tego podniesienia ducha, którem modlitwa zostaje przyjemną* (sic!), *ani się o nie troszczył*. I owszem, im więcej modlitwa zdawała mu się przykra, tem więcej zaspokojenia doświadczał, bo od nabożeństwa nie mógł odłączyć wyobrażenia utrudzenia i właśnie dlatego uczęszczał na kazania, że go każde śmiertelnie nudziło«. To też nic dziwnego, że ks. Chołoniewski takie pojmowanie doskonałości chrześcijańskiej i rzekomą prawowierność nazwał »nabożeństwem babki kruchcianej, nie umiejącej katechizmu«.

Jeżeli znowu zwrócimy uwagę na poglądy, którymi Ludwikowi dzielić się każe z ks. Generałem Ziem podolskich, a w których, obok wielu trafnych uwag nad położeniem kraju, zapowiada nieuchronny jego upadek, powodując go potwornym jego ustrojem, bo opartym na wszechwładztwie magnatów i feudalnym ich stosunku do szlachty, która im dopóty wierną zostanie, dopóki w klienteli dopatrywać będzie dla siebie korzyści, lecz ich odstąpi z chwilą, gdy się przekona, że

odlużeni panowie, nic już nie mają dla niej dania \*), i gdy to wszystko zestawimy z polityką zaściankowych statystów, dla których Rzewuski po wielokroć razy wypowiada swoje sympatye; to mimowoli pytamy, który właściwie z tych dwóch poglądów przekonanie autora wyraża?

Ale nie ludźmy się. Rzewuski i w *Listopadzie* zajmuje stanowisko Soplicy i owo jasnowidzenie przyszłości, to według niego tylko dowód wystudzenia w Ludwiku wszelkich uczuć rodzinnych i przewagi nad niemi rozumu, wysnuwającego logicznie, lecz obojętnie wnioski, przed któremi by się cofnęło każde serce pocziwe. Że kraj upadł, winni byli ludzie, podobnie jak on w otoczeniu króla myślący, który również w postępowaniu trzymał się zasady: *après moi le déluge*. Jeżeli jednak przewidywania te przyszłość stwierdziła, to czyż tem samem nie wykazał wyższości rozumu, wykształconego na sposób europejski? Autor wszakże nie poprzestaje na ryczałtowem potępieniu wszystkiego, co na końcu XVIII wieku napływało do nas z zachodu, ale jeszcze zaopatrjuje swe dzieło w przypiski, wymierzone wprost do współczesnych i ich dążeń. Biję więc na demokrację i ludzi nowych, spanoszonych na ruinach fortun magnackich, odmawia społeczeństwu prawa do bytu bez uznania praw arystokracji, napada na filozofię Hegla i emancypacyjne dążności kobiet, wreszcie na cały »gmin pisarzy koteryjnych, na tę zarazę wieku, zużytego cywilizacją«. Dostało się i Kraszewskiemu, którego płodność pisarską zestawia z faktem odrastania włosów i paznogi, zaważonym na zwłokach nieboszczyków. Natomiast pisarzom, należącym do własnej koteryi, nie szczędzi kadzidła. O Grabowskim powiada w przedmowie do *Listopada*, »iż się unieśmiertelnił *Koliszczyzną* i *Stannicą Hulajpolską*« i że rozpoczęte przezeń *Tujkury* staną wyżej nad wszystko, co dotąd literatura posiada; Hołowińskiego zaś i Szyrmera, z pogwałceniem chronologii, wprowadza żywcem do *Listopada*: pierwszego, jako »bardzo światłego młodzieńca, familianta, który w seminaryum oczekuje na wyświęcenie, by otrzymać kanonikę kilkanaście tysięcy przynoszącą dochodu!«, drugiego, jako chorążego kawalerii narodowej. Jest on tu poprostu figuran-

\*) Była to raczej stała polityka magnatów względem królów.

tem, ale należało czemś Gerwazemu Bombie odplacić przyjacielskie usługi. Wszystko to jednak zanadto uderzało stronnością, by nie wywołać nowych rekryminacyj i protestów.

Rzewuski jednak nietylko teraz dawał się w Tygodniku swym przeciwnikom we znaki, ale zaczął ich terroryzować i, mając przemożne wpływy nad *Newą*, zagroził aż dwom pismom zamknięciem: *Bibliotece warszawskiej* za ogłoszenie przeciw jego religijnym tendencyom *Listu* ks. Chłonińskiego i *Athenaeum*, z przyczyny, iż Kraszewski, któremu nie zapomniano dotąd gorącej pochwały dla *Mieszanin* Bejły, chcąc wyprzeć się wszelkich związków z Rzewuskim, wystąpił ostro przeciw dążnościom, ujawnionym w *Listopadzie*, gdy ten jeszcze w Tygodniku wychodził. Do zamknięcia nie przyszło, gdyż na widnokręgu pojawił się nowy nieprzyjaciel — *Gwiazda* kijowska, która założona w r. 1845 przez Zenona Fisza (Padalicę) wyłącznie w celu prowadzenia walki z Rzewuskim i jego koteryą petersburską, zgromadziła zastęp ludzi młodych nie bez talentu i nauki, gotowych na wszelkie, wyniknąć mogące z tego starcia następstwa. Przeciw nim przeto zwróciło się teraz ostrze *quinqveviratu* i walka trwała lat cztery, aż *Gwiazda* padła jego zemsty ofiarą.

A jednak, pomimo tak powszechnie obudzonej ku Rzewuskiemu niechęci, *Listopad* był rozchwytywany i już w r. 1846 doczekał się drugiej edycji. Bo przyznać trzeba, iż pomimo wstecznych tendencyj, utwór ten pod względem artystycznym był niepospolitej wartości i zarzut Chmielowskiego, iż w jego kompozycji autor nie wykazał wielkiej potęgi (Hist. lit. pol. t. V, 214), żadną miarą usprawiedliwić się nie da. Zapewne iż »Zosia od czasu, gdy wyszła za Ludwika, przestaje być węzłem powieściowym i schodzi na plan dalszy«; ale też Rzewuski, jak to widać z przedmowy, bynajmniej nie miał zamiaru nadawać jej znaczenia głównej osi wypadków. Czy dla jaskrawego malowidła epoki nie mógł inaczej pokierować jej losem? To inne pytanie. Jeżeli wychowanie według modły zachodniej doprowadziło ją do wiarołomstwa względem Michała i popchnęło w objęcia Ludwika; to przykłady zepsutej stolicy mogły ją były poprowadzić dalej i rzucić w objęcia trzeciego. Owcześnie panie zmieniały mężów, jak suknie, dlaczegóż Zosia nie miałaby uzupełnić ich galeryi? W każdym razie dałoby to autorowi

możność nakreślenia kilku scen skandalicznych, drażliwych, w którychby się odbicie ówczesnego społeczeństwa znalazło. Rzewuski jednak z wielkim taktem artystycznym tego uniknął. Czuł, że dla kontrastu powinien był do tego zepsutego świata wprowadzić choć jeden dodatni, idealny pierwiastek i do tego nadawała się Zosia. Natomiast miłość płochą, zmysłową uosobił w kasztelanowej Inflanckiej i, przeprowadzając ją do końca powieści, usprawiedliwił tem samem nadanie Listopadowi miana romansu. Jedna wszakże i druga z tych postaci, to tylko pionki na szachownicy wobec rozgrywającej na niej *partyi* dziejowej, w której biorą udział dwaj bracia, Strawińscy, uosabiający w sobie dwa odłamy społeczne. A losy obydwóch istotnie są w wysokim stopniu tragiczne i nie mogą nasuwać żadnej wątpliwości, co do wyznaczonej im roli. Dążąc do różnych celów odmiennymi drogami, obaj rozbijają się w końcu o wiszące nad nimi fatum — o egoizm małoduszny króla, o który rozbija się później i cała nawa społeczna. Wobec tego intryga powieściowa, miłosna, zejść musiała na plan podrzędny.

Inna rzecz, czy autor w *Listopadzie* koniec wieku XVIII w całej pełni odtworzył. Pod tym względem można mu wiele zarzucić. Przed naszymi oczyma przesuwają się cały świat szlachecki, wielkopański, królewski, ale gdzie inne warstwy narodu?... Tych Rzewuski, jako wierny przedstawiciel zasad republikańskich z końca wieku XVIII, nie uznaje wcale. Dla niego istnieją tylko trzy stany: król, senat i rycerstwo — inne na helotyzm skazuje. Ale za to jakże się swobodnie w tym świecie uprzywilejowanym obraca!... Wszystko mu jedno, czy maluje domowe życie szlachty, czy bal na zamku nieświeskim; modne w stolicy przyjęcia, czy przygody konfederatów; króla, ubierającego się w garderobie, w otoczeniu dygnitarzy i dworaków, czy dysputy teologiczne dwóch różnych autoramentów duchownych — w każdym z tych obrazów jest wytrawnym mistrzem w odtwarzaniu dosadnych typów szlacheckich i chwytaniu wysubtelnionych rysów i dowcipu kawalerów i dam salonów w stolicy. Nie cofa się zresztą przed żadnem położeniem drażliwym, a w wielu razach umie nawet wywoływać tragiczne, pełne grozy wrażenie. Dość przytoczyć scenę powitania Ludwika, jako szefa gabinetu królewskiego,

✧ przez Radziwiłła, czującego się teraz panem położenia po konfederacyi Radomskiej, gdy w sieniach zamku nieświeskiego przyjmuje gości, zjeżdżających się tłumnie na dzień św. Karola. Pomimo całej uprzejmości wielkopańskiej z jednej, a ugrzecznienia dworskiego z drugiej strony, czujesz głęboko tkwiące w ich duszach wzajemne wstręty i niechęci do siebie. A owa scena, gdy Michał w chacie ogrodnika schodzi kochanków, stopionych z sobą pocałunkiem i uściskiem, czyż nie odpowiada wszelkim warunkom dramatu, lub posłuchanie, dane Ludwikowi u króla, po którem czujesz, iż katastrofa do swego rozwiązania dobiega?...

Myliłby się jednak, ktoby sądził, iż Rzewuski opierał się na historii lub wiadomościach, zaczerpniętych z tradycyi. Wprowadził on do *Listopada* mnóstwo postaci, których historyczność na tem tylko polega, że noszą barwę swej epoki właściwą. Odnosi się to nie tylko do podrzędnych, lecz i głównych osobistości. Naprzód Strawiński, konfederat, nosił imię nie Michała, lecz Stanisława. Nie dał też gardła, gdyż po odbiciu króla konfederatom, ratował się ucieczką i oparł aż w Rzymie, gdzie pod przybranem nazwiskiem wstąpił do klasztoru i otrzymał święcenia. Wreszcie za Księstwa Warszawskiego wrócił do kraju i umarł po r. 1815, jako proboszcz w dyecezyi sejneńskiej. Czy miał brata Ludwika? Wątpliwa. To pewna, że tego nazwiska szefa nie było w kancelaryi królewskiej. Nie on też, lecz generał Cockey, pułkownik gwardyi pieszej koronnej, wybawił króla z rąk spiskowców, o czem przekonywa współczesne: *Opisanie zasadzek na króla JMści d. 3 listopada 1771 r. uczynionych (VI, VII i inne)*. I niech to nikogo nie bałamuci, iż autor w epilogu zapewnia, że wiele szczegółów, odnoszących się do opisywanych wypadków, zaczerpnął z ust samej pani Ludwikowej Strawińskiej, która po tragicznej śmierci męża osiąść miała w klasztorze w Rzymie, gdzie ją Rzewuski w r. 1819 odwiedzał. Tak samo bowiem w *Rycerzu Lizydejce* powie nam, iż tragiczną śmierć Dorohostajskiego i Radziwiłłów spowodowało wysadzenie zamku dołskiego w powietrze, choć o tym fakcie nie wspominają żadne historyczne świadectwa. Poprostu wyczytał to w jakiejś relacyi, przechowywanej w archiwum ołyckiem, ale która już w r. 1812 zniknęła bez śladu — i trzeba mu wierzyć na słowo. Takich

mistyfikacyj możnaby wykazać więcej i właśnie mówią one przeciw tym, którzy mu odmawiają pomysłowości i fantazyi. To też bez względu na to pogwałcanie faktów i paradoksalne teorie, należy przyznać Rzewuskiemu zasługę stworzenia historycznego romansu. Nietylko dał w nim prawdziwy pod względem ducha i barw, obraz społeczeństwa z końca XVIII wieku, w tych granicach, w jakich jego historyczność pojmował, ale i co do formy poszedł drogą sobie właściwą. Nie trzeba bowiem zapominać, że to był czas, gdy Michał Grabowski wygłaszał teorię, iż romans historyczny tylko w formie walterskotycznej jest możliwy i według niej napisał *Stannice*, która jest *Waverleyem*, przeniesionym na step Ukraiński. W *Listopadzie* walterskotyzacyi niema nawet i śladu. Rzewuski co do osnowy narodowy, w układzie jej i formie jest prawie klasycznym: taka w nim trzeźwość, symetryczność i porządek, w przeprowadzeniu szczegółów. A jak on tę formę urozmaicić umie! Obok przeważnie użytego toku opowiadania, prowadzi rzecz i w listach i w dyalogu jakby w rzeczywistym dramacie. Dodajmy do tego umiejętnie zaplątany węzeł intrygi, budzące wzrastające wciąż zaciekawienie, ogromne czytanie, rozum, o ile nie paradoksalny, wytrawny; dowcip zarówno na odlew — szlachecki, jak i pełen francuskiej, salonowej finezyi, a zrozumiemy tę niezwykłą poczytność utworu, przy niepopularności samego autora. To powodzenie zapewne samego Rzewuskiego zdziwiło. Ale wobec niego nabrał pewności siebie, uwierzył, że jest »z bożej łaski« powołany na historycznego romanso-pisarza i sięgnął do epoki, od której go z górą pół-trzecia oddzielało stulecie. Napisał *Zamek krakowski*, romans z wieku XVI i naraz spadł z tego piedestału, na który go wyniósł *Listopad*. Rzecz była prosta: Rzewuski nie poświęcał się nigdy studjom historycznym; sądził, że dość mu było wybrać przedmiot tak dramatyczny, jak Samuel Zborowski, by ze znajomością przeszłości, jaką mu dawały tradycje szlacheckie XVIII wieku, podołać swemu zadaniu. Tymczasem właśnie dla tego, że z dziejów wziął osobistości znane i wydatne, zamiast obrazu dał karykaturę XVI stulecia. Jego bohater — to dziwna mieszanina najsprzecznij-szych przymiotów, które, występując bez żadnego umotywowania, nie stapiają się w jednolity charakter. Młodzieniec wielkiego rodu, zbiegły do

Zaporożców, a więc na poły zdziczały, jak sama jego nazwa, *Samucha*, nagle przy spotkaniu się z księżniczką Gryzeldą Batorówną, wracającą z ciotką z pobożnej do Kijowa pielgrzymki (?), staje się czułym, pełnym galanteryi średniowiecznym rycerzem i otrzymaną od niej, za odbicie Tatarom w jej obecności chrześcian, wstęgę błękitną, nosi potem do końca życia, aż wreszcie, jako banita i wichrzyciel skazany za sprawą Zamoyskiego na gardło, odsyła mu ją, jako szczęśliwemu małżonkowi Gryzeldy!... Zupełnie, jak w średniowiecznym romansie. Przeinacza zresztą fakta dość znane. Zborowski nie był ujęty w Łobzowie w skutek zasadzki, uczynionej z rozkazu pani Wapowskiej mszczącej się śmierci męża, lecz przez wysłańców Zamoyskiego we wsi Piekarach, gdy gościł u swej krewnej, Włodkowej. Tenże Zamoyski nie brał udziału w wyprawie Inflanckiej (1557), lecz jego ojciec, Stanisław. Nie należał też do poselstwa, wzywającego na tron Batorego, lecz je sam z pod Jędrzejowa wyprawiał, dając odpowiednie instrukcje. Tymczasem Rzewuski już teraz każe mu się o rękę Gryzeldy Batoremu oświadczać, chyba na to, by czekał na nią przez lat siedm, jak na Rachelę Jakób u Labana, i niedość na tem: na podziękę każe mu padać plackiem do nóg elektowi! jak gdyby to była sprawa Cześnika Parnawskiego z Radziwiłłem »panie kochanku«. Również jest tu mowa o kontuszach i łbach golonych, o kadrylu, tańczonym na dworze królewskim i serwetchach, używanych w domu szlacheckim przy stole, wreszcie o Krzysztofie Arciszewskim (ur. w 1592); a umacniającym fortyfikacye Felina!... Wszystko to dowodziło ignorancyi w pisarzu i człowieku, który wśród społeczeństwa uważał się za jedynie uprawnionego przedstawiciela przeszłości.

To też krytyka znalazła tu obfite żniwo dla siebie, a i ogół, zamilowany w obrazach przeszłości, choć rozchwytywał *Zamek krakowski*, nie mógł się przecież w nim rozmiłować, znajdując wiele rzeczy znanych już sobie z *Pamiętek* i *Listopada*. Słowem, chłód zewsząd powiał na autora.

Rzewuski odczuł to dotkliwie, ale ten zwrot niekorzystny przypisując krytyce, nie sobie, postanowił zadać jej cios stanowczy.

W guberniach zachodnich nie było już organu, któregooby się potrzebował obawiać. *Gwiaźda*, w skutek jego wpływów, kierowanych z Petersburga, w r. 1849 zagasła; *Athenaeum* i mniej



dla niego niebezpieczny *Pamiętnik* naukowo-literacki Podbereskiego, dogorywały, nie znajdując w prenumeracie poparcia; pozostawał tylko *Bigos hultajski* Izasława Blepońskiego (Tytusa Szczeniowskiego), który za jego uroszczenia wielkopańskie chłostał go niemiłosiernie; ale *Bigos* nie był pismem peryodycznem i również się w r. 1849 na tomie IV zakończył. Za to pisma warszawskie były mu solą w oku i, nie mogąc ich zmusić do milczenia, postanowił byt ich podkopać. Przeniosłszy się więc z Petersburga do Warszawy, gdzie przy Namiestniku otrzymał posadę urzędnika do szczególnych poruczeń, założył z zasiłkiem rządu własny organ, któremu dał tytuł: *Dziennik warszawski*. Był to krok z jego strony dość śmiały, lubo skutek okazał, iż się nie przeliczył w rachubie. Naprzód, pomimo podnoszonych przeciw niemu krzyków, liczył on znaczny zastęp wielbicieli w Petersburgu, na Litwie i Wołyniu, ci więc pospieszyli z prenumeratą; nadto *Tygodnik* nad Newą dogorywał i wszyscy, zniechęceni do niego abonentci, zwrócili się do nowo-założonego organu. Nie zawiodła i Warszawa, w której nowość zawsze popłaca. Co zaś ważniejsza, iż Rzewuski umiał około siebie poważny zastęp współpracowników zgromadzić. Przy jego sztandarze stanęli: J. Bartoszewicz, A. Wilkoński, Lewestam i Szymanowski. Szczycem zaś jego tryumfu było to, że do swego redaktorskiego rydwanu zaprzągnął najzjadliwszych swych przeciwników, bo Zenona Fisza, Jakóba Jurkowskiego (Dołęgę) i Antoniego Marcinkowskiego (Gryfa). Słowem cały skład redakcyjny *Gwiązdy*. I zaprawdę, niewiadomo, co bardziej podziwiać, czy jego zręczność w chwytności ludzi za słabą ich stronę, czy tę łatwość, z jaką ci swe przekonania zmieniali. Zasilany jednak pracami tych pisarzy, *Dziennik* zdobywał coraz szersze uznanie i rzeczywiście innym pismom zagrażał. W nim po raz pierwszy ukazały się improwizacje Deotymy, mianowicie *Krucyaty*. Wreszcie, gdy *Gazeta Warszawska*, zachwiana współzawodnictwem *Dziennika*, zaczęła w odcinku powieści J. Korzeniowskiego i Kraszewskiego zamieszczać, Rzewuski odpowiedział jej swym romansem: *Rycerz Lizydejko*, który, rzecz niebywała, zaczął w osobnych arkuszach, bezpłatnie przy *Dzienniku*, swym prenumeratorom rozsyłać.

Był to romans z czasów wojen szwedzkich za Jana Kazimierza, równie jak poprzednie pelen

anachronizmów i batogów, ale pod względem artystycznym o wiele przewyższający *Zamek krakowski*. Wreszcie, jak gdyby chciał zaimponować społeczeństwu swą płodnością pisarską i wpływ na nie ostatecznie ustalić, zaczął od r. 1851 drukować w Petersburgu cały szereg prac pod ogólnym tytułem: *Pisma*. Były one pod względem treści nader rozmaite. Na ich czele postawił: *Wędrówki umysłowe* (tom I, II), w których, dotycząc wielu kwestyj naukowych i społecznych, rozwija te same, tylko do ostatecznych wyników doprowadzone zasady, które już w *Mieszaninach* i wcześniejszych pismach poruszał. Dalej następuje *Teofrast polski* (t. III, IV) — szereg zaprawnych złośliwym dowcipem obrazów, ale i trafnych spostrzeżeń, odnoszących się do wad narodowych, a kreślonych żywcem z natury. W tomach V i VI pomieścił powieść historyczną: *Adam Szmigielski*, fałszywą pod względem dziejowym i najsłabszą z tego rodzaju utworów. Wreszcie w t. VII: *Nie-Bujki i powieści luźne*. *Pisma* nie wywołały wrażenia równie, jak i wydana osobno powieść w 4 tomach, p. t. *Zupirożec* (1854); natomiast dążenia wsteczne *Dziennika*, które Rzewuski coraz śmielej ujawniał, zrażały ku niemu coraz szersze koła czytelników, aż w końcu dopełnił miary cierpliwości artykuł: *Cywilizacya i religia*, w którym Rzewuski doszedł do absurdu, przeprowadzając stanowczy rozbrat pomiędzy jedną a drugą, pomiędzy »nikczemnym« rozumem a wiarą, stawiając, jako ostateczny wymóg swych założeń: wyrzeczenie się wszelkich samodzielných dążeń, nauki, sztuki, handlu i przemysłu, jako sprzecznych z zasadą chrześcijańskiego ubóstwa w ciele i duchu, choćby nawet osiągnięcie tej doskonałości ewangelicznej przyszło okupić powrotem do barbarzyństwa.

W artykule tym Rzewuski wypowiedział ostatecznie swe słowo, czego następstwem było gromadne odsyłanie *Dziennika* przez prenumeratorów, czyli podkopanie bytu wydawnictwa. Rzewuski stawiał jeszcze jakiś czas czoło trudnościom, ale w końcu uległ i złożył redakcyę *Dziennika* w ręce Bartoszewicza, który go na *Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych* zamienił.

Tak duch czasu pożarł olbrzymia, który chciał cofnąć wstecz społeczeństwo o całe niemal stulecie. Złamany niepowodzeniem, z żółcią w sercu i gniewem, rzucił ogółowi na pożegnanie: *Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego od r. 1786—*



1815 (Warsz., 1859), w których błotem obryzgał wszelkie usiłowania, podejmowane w tym okresie czasu do odrodzenia narodu. Odtąd z całym światem skłócony, pędził dnie samotne w Cudnowie, aż zgasł w r. 1866, nie obudzając niczyjego żalu po sobie. A jednak był to talent niepospolitej wiedzy, który wpłynął nietylko na kierunek takich pisarzy, jak Ignacy Chodźko i Zygmunt Kaczkowski, że już o Mickiewiczu nie wspomnę, lecz w znacznej części i na kunszt dziejopisarski, który dotąd suchy, bezbarwny, pod piórem Szajnochy i innych, zstępuje niemal do toku powieści. On także, wywołując współzawodnictwo w prasie, spowodował rozrost dziennikarstwa, które tyle przyczyniło się do rozwoju piśmiennictwa i rozszerzenia oświaty. Jako pisarz, nie jest on wzorowym pod względem języka, który każą gallicyzmy i rusycyzmy. Najmniej ich w *Pamiętkach* i *Listopadzie*, więcej w *Zamku Krakowskim*. Poczynając zaś od *Rycerza Liżydejki*, spotykamy je po kilka na raz na jednej stronnicy. Do bardziej uderzających na-

leżą: »my się domyślali«, sama trzymała rachunki«, »każdy jego krok jest śledzony«, »cuda dowodzi«, »ma ich za wiernych sług«, »za ten zachęt«, »jego zaufanie rozprzestrzeniło się«, »już postąpiony w naukach«, »otrzymał w nagrodzie talara«. »posłał za swoim nadwornym felczerem«, »kości trochę bolą« i moc tym podobnych.

Jako człowiek wreszcie, zawzięty i mściwy względem swych przeciwników, w życiu towarzyskiem rozlewał czar ujmującym obejściem, dowcipem i wymową: stąd powszechnie zwano go *beau parleur*. W swoim też czasie obiegało wiele z jego ciętych wyrzeczeń, a kilka z nich przechował w swych Pamiętnikach Szczęsny Feliński.

Słowem był to człowiek wielkiego talentu i rozumu, ale który, stojąc upornie na stanowisku magnata z końca wieku XVIII i, nie uznając koniecznego w społeczeństwie rozwoju, skrzywił i wypaczył w sobie bezpłodną walką, te cenne, dane mu od Boga przymioty.

*Roman Pleniewicz.*



# Tomasz Łubieński

\* 1784 † 1870.



**S**tarożytna, zdawna można, wpływowa i najwyższemi dostojeństwami krajowemi zaszczycana rodzina Łubieńskich od końca wieku XIII-go osiadła w ziemi Sieradzkiej, gdzie w r. 1296 Mikołaj Hebda z Niewieszy Pomian, wojewoda Sieradzki, kupił majątność Łubną. W pierwszej połowie wieku XV-go potomkowie jego, wzorem innych rodów szlacheckich w Polsce, przybierają nazwisko Łubieńskich.

Sławnej pamięci Feliks Łubieński, starosta nakielski i zagójski, szambelan dworu króla Stanisława Augusta, a za Księstwa Warszawskiego minister sprawiedliwości i spraw zagranicznych, ożeniony z Teklą Bielińską, córką pisarza w. koronnego, osiadł w Szczytnikach, wsi, położonej w województwie sieradzkim, zdawna w posiadaniu ro-

du Łubieńskich pozostającej. Tu w r. 1784 przyszedł mu na świat syn, który na chrzcie św. w d. 29 grudnia tegoż roku otrzymał imiona Tomasz

Andrzej Adam. Był on drugim z rzędu z pomiędzy siedmiu braci, którzy wszyscy czynni byli w służbie publicznej. Miał też trzy siostry, z których najmłodszą była szeroko w naszym kraju znana pani Ludwikowa Sobańska.

Wychowanie w Szczytnikach było surowe i staranne. Czynnie się nim zajmowali zarówno ojciec, człowiek nader stałych zasad religijnych i politycznych, a krajowi i służbie publicznej całą duszą oddany, jak i matka, popularna w swoim czasie autorka licznych wierszy, przeważnie o nastroju patryotycznym, i kilku utworów scenicznych. Wkrótce po ostatnim rozbiore kraju p. Feliks Łubieński, skutkiem



Podług współczesnego portretu rysował X. Pilatti.

okoliczności rodzinnych, sprzedał Szczytniki i przeniósł się do drugiego swego majątku Zagość w ziemi Proszowskiej, a starszych synów, w ich liczbie i Tomasza, wysłał na dalsze wychowanie do Warszawy. Stamtąd Tomasz jeździł jeszcze w r. 1801 do Wiednia, a w 1802 czy też 1803 wrócił do Warszawy. Zawiązało się tam w owym czasie stowarzyszenie młodych ludzi pod nazwą »Przyjaciół Ojczyzny«, do którego należeli między innymi Tomasz Łubieński z bratem swoim Piotrem (późniejszym naczelnikiem gwardyi narodowej w r. 1830, a następnie długoletnim prezesem Dyrekcyi Szczeg. Gub. Warsz. Tow. Kred. Ziem. i Warsz. Tow. Dobroczynności), Wincenty i Józef Krasińscy, Kazimierz i Stanisław Małachowscy. Młodo bardzo, bo już w roku 1805, ożenił się Tomasz z panną Konstancją Ossolińską, córką kasztelana Podlaskiego. Gdy we wrześniu roku 1806 Tomasz został ojcem córki (Adeli), gotowała się już wojna Napoleona przeciw Prusom, wojna, która losy kraju tak radykalnie miała zmienić.

W d. 18 grudnia Cesarz staje w Warszawie. Młodzi państwo Tomaszowie Łubieńscy, dzięki swemu położeniu społecznemu i towarzyskiemu, biorą udział we wszystkich nader licznych uroczystościach i fetach na jego przyjęcie. W początku roku następnego widzimy Tomasza już w wojsku, w oddziale, który zwano wówczas gwardyą honorową, a który następnie przeformowany został na pułk szwoleżerów gwardyi. W jego szeregach bierze on udział w licznych potyczkach i w wielkiej bitwie pod Iławą (Eylau). Acz niemający dotychczas żadnej szkoły wojskowej, okazuje w nich odrazu tyle sprawności żołnierskiej, taką lwią odwagę i tak wybitne zdolności, że zwraca na siebie uwagę Cesarza i już w początku kwietnia zostaje kawalerem legii honorowej, a niebawem potym otrzymuje nominację na szefa szwadronu właśnie wtedy ostatecznie sformowanego pułku polskiego lekkokonnego gwardyi. Komenderowany do Warszawy, w bitwie pod Friedland nie brał udziału. W sierpniu tegoż roku udał się wraz z pułkiem do Paryża, a w końcu roku stanął kwaterą w Bordeaux. Jako szef szwadronu, był tam bardzo czynnym, nadrabiając własną usilną pracą braki wykształcenia wojskowego, drobniawo wglądając we wszystkie szczegóły komendy i organizacyi. To też z chwilą początku działań

wojennych w Hiszpanii miał szwadron pod wszystkimi względami wzorowy.

W wiekopomnej bitwie pod Somo-Sierra okrył się chwałą, wykonywając na czele swego szwadronu drugą szarżę i zastępując doszczętnie niemal wyniszczony szwadron Kozińskiego. Dokończył tego, co Koziński rozpoczął.

Na początku r. 1809, komenderowany w sprawie remontów pułkowych do Paryża, spotkał się z żoną, która już w połowie r. 1808 na dłuższy pobyt do stolicy Francyi przybyła i stała się wkrótce przyjaciółką osobistą cesarzowej Józefiny. Łubieński sam przywiązał się gorąco i niemal entuzjastycznie do osoby Cesarza, zaufał mu bezwarunkowo, i dopiero późniejsze wypadki zdołały przywiązanie to i to zaufanie cokolwiek osłabić. Za zaszczytny swój udział w wojnie hiszpańskiej został w kwietniu r. 1809 oficerem legii honorowej, a zaraz potym wyruszył na nową wojnę do Niemiec i wraz z pułkiem wziął udział w bitwach pod Essling i pod Wagram. W przerwie pomiędzy jedną a drugą pełnił kilkakrotnie ważne funkcje samodzielne, zawsze usprawiedliwiając pokładane w nim coraz większe zaufanie Cesarza.

W styczniu roku 1810 Łubieński przyjechał wraz z żoną za urlopem do Warszawy. Zrażony już cokolwiek do Cesarza, straciwszy pewność, że, pozostając w pułku Szwoleżerów, krajowi służy, zamierzał być Łubieński bądź to przenieść się do wojsk Księstwa Warszawskiego, bądź wyjść do dymisyi. Chodziło Krasińskiemu o to, aby takiego jak Łubieński oficera w szeregach pułku zatrzymać, a ze względu zarówno na osobiste przymioty jego, jak i na zajmującą bardzo wybitne w kraju stanowisko rodzinę Łubieńskich, nie było to i dla Cesarza obojętnym. Wezwany w maju r. 1810 z powrotem do Paryża, otrzymał Tomasz dotację w Hanowerze. Mimo to, w r. 1811 powtórnie podał się do dymisyi, ale mu jej Cesarz kategorycznie odmówił, awansując go natomiast na pułkownika i przeznaczając na dowódcę nowo formującego się 2-go pułku Ułanów Legii Nadwiślańskiej. Miejscem formacyi był Sedan, gdzie teraz Łubieński zamieszkał, ze zwykłą sobie sumiennością i gorliwością oddając się całkowicie wyczerpującej pracy nad formacją. W końcu r. 1811 otrzymał drugą dotację, opartą na jakimś majątku w okolicach Erfurtu.

W r. 1812 pułk Łubieńskiego przeszedł do

Niemiec, gdzie następnie wcielony został do dywizji generała Corbineau. W składzie tej dywizji brał udział w potyczkach pod Połockiem, ale podczas wielkiej bitwy pod Borodinem był na tyłach armii. W Moskwie nie był, podczas fatalnego odwrotu wielkiej armii znajdował się tylko w nieznacznych potyczkach, a z Cesarzem i siłami głównymi połączył się dopiero pod Ziębinem, przed samą przeprawą przez Berezynę. W bitwie nad Berezyną był bardzo czynny, a raniony kilkakrotnie, utraciwszy przytomność, został na placu boju porzucony, jako nieżywy. Od śmierci uratował go jego adjutant Prendowski, który zabrał był jego ciało w zamiarze oddania mu już tylko ostatniej posługi, a spostrzegłszy, że pułkownik żyje, dowiózł go z niezmiernym trudem do Wilna. W końcu grudnia Lubieński przybył do Warszawy, a już w początku lutego, zaledwie cokolwiek wydobrzawszy z ran, ruszył do swego pułku, który kwaterował w okolicach Poznania. Jednak stan jego zdrowia zmusił go niebawem do wzięcia powtórnego urlopu i do wyjazdu na porządną kurację do Drezna. Stamtąd odwiedził na krótko żonę, która ciągle w Sedan pozostawała, był w Paryżu i w czerwcu wrócił do armii. Pułk jego, przemianowany na 8-my Szwoleżerów, wcielony został do korpusu jazdy generała Latour-Maubourg. Walczył pod Dreznem, następnie pod Culmem, naczela resztek swego straszliwie wyniszczonego pułku i garstki ludzi z innych oddziałów, bohaterskim wysiłkiem przebił się przez zwartą masę prusaków i połączył się z siłami głównymi. Pod Lipskiem został raniony, pod Hanau również, i w listopadzie r. 1813 otrzymał nowy urlop dla kuracji. Udał się do żony do Sedan, a stamtąd w styczniu r. 1814 pojechał do Paryża i (z nieznanym mi powodów) podał się do dymisji. Znowu mu jej odmówił stojący już nad przepaścią Cesarz, który nawet w d. 15 marca awansował go na generała brygady. Ale w działaniach wojennych Lubieński już nie brał udziału. Po upadku Napoleona ponowił prośbę o dymisję i otrzymał ją w d. 1 czerwca r. 1815. Ale niebawem wstąpił na nowo w stopniu generała brygady do formującego się w Paryżu pod dowództwem W. Ks. Konstantego wojska królewsko-polskiego i otrzymał polecenie zlikwidowania pretensyi oficerów i żołnierzy polskich do rządu francuskiego. Ukończywszy tę uciążliwą pracę, wrócił przez Wiedeń do Warszawy i na

początku r. 1815 otrzymał dowództwo brygady w dywizji strzelców konnych. Na początku r. 1816 podał się do dymisji i otrzymał ją w Marcu tegoż roku.

Wyszedszy do dymisji, Lubieński osiadł na wsi w Rejowcu i gorliwie oddał się pracy rolniczej, dbając przytym usilnie o podniesienie dobrobytu swych włościan. W r. 1820 wybrany na posła do Sejmu z powiatu Chełmskiego, w znanej sprawie moratorium dla dłużników hipotecznych głosował z mniejszością przeciw jego przedłużeniu. Po zamknięciu Sejmu znowu na wieś powrócił i tam w r. 1821, przeczytawszy w czasopiśmie »Wanda« dwa niedokładne opisy bitwy pod Somosierra, w której sam tak zaszczytny brał udział, skreślił sam krótki jej opis i przesłał redakcyi. Założył w Rejowcu szkołę i szpital dla włościan, lecz czując się zbyt pochłonięty przez różne sprawy publiczne i rodzinne, aby sam mógł skutecznie gospodarstwa doglądać, wydzierżawił Rejowiec swemu dawnemu adjutantowi Prendowskiemu (temu samemu, który mu był życie pod Berezyną uratował). Powstający podówczas (w roku 1822) projekt zawiązania Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego wielce go zainteresował. Jakoż od pierwszej chwili ukonstytuowania się tego Towarzystwa, nader czynny w jego zarządzie wziął udział, organizując rachunkowość tak Dyrekcyi Głównej, jak i kilku Dyrekcyj szczegółowych. Poprzednio jeszcze został sędzią pokoju powiatu Chełmskiego. W następnych latach, ciągle sprawami gospodarstwa krajowego czynnie zaprzątnięty, wziął udział w założeniu pierwszego młynarowego na Solcu, Towarzystwa Ubezpieczeń od Ognia, Towarzystwa Żeglugi Parowej na Wiśle, wreszcie Banku Polskiego.

W r. 1827 nastąpił słynny sąd sejmowy. W liczbie oskarżonych znajdował się i szwagier generała, Ludwik Sobański. Jak to z pisanych w owych czasach listów Tomasza do ojca, jest widocznym, był on wszelkim knowaniem i spiskiem stanowczo przeciwnym i uważał je za niezmiernie dla kraju szkodliwe. Sprawa martwiła go i niepokoiła. Niepokój ten stał się jeszcze dotkliwszym, gdy nastąpiły zaburzenia w Uniwersytecie Aleksandryjskim, i gdy (w r. 1828) 16-letni syn generała Leon za udział w tych zaburzeniach został z Uniwersytetu relegowany. Wyrok ten został potym znacznie złagodzony, a relegacya zamieniona na

areszt 4-dniowy. Ale w marcu r. 1829 nastąpił pogrzeb Wojewody Bielińskiego, nowa demonstracja studencka, znany bolesny zatarg Leona Lubieńskiego z Zygmuntem Krasińskim i ostateczna relegacja pierwszego. Ciężko to dotknęło generała, który w listach do ojca gorzko skarży się na ten, jak go nazywa, »patryotyzm kaliski«.

Niebawem (24 maja r. 1829) nastąpiła Koronacja Cesarza Mikołaja, której okazałość na pokojowo usposobionym Lubieńskim dobre uczyniła wrażenie. Zamianowany senatorem kasztelanem, dzieli on czas pomiędzy sprawy nowego urzędu a zawsze mu ulubione interesy gospodarskie i finansowe. Na początku r. 1830 założył dom handlowy pod firmą »Bracia Lubieńscy i S-ka«, którego zadaniem głównym miało być udzielanie pożyczek na zastaw majątków ziemskich na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie i poniekąd zastąpienie dla tych prowincyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Przy tych czynnościach zastał go wybuch powstania Listopadowego.

Dnia 1 grudnia Rada Administracyjna powołała Lubieńskiego na wice-prezydenta Warszawy. Przyjął on ten urząd i gorliwie starał się o utrzymanie w stolicy porządku i bezpieczeństwa. W kilka dni potem dyktator powierzył mu dyrekcyę poczt i policyi, wreszcie zwołany sejm zamianował go w d. 20 Grudnia zastępcą ministra spraw wewnętrznych, zaczynając nowy minister złożył wice-prezydenturę miasta. Ale i na stanowisku ministra niedługo pozostał. Brat jego Henryk ułatwił tajemny wyjazd z Warszawy znienawidzonemu przez jej mieszkańców byłemu wice-prezydentowi Lubowidzkiemu. Wywołało to w publiczności niesłychane oburzenie, tak że dyktator, nie chcąc drażnić opinii publicznej, aresztował Henryka Lubieńskiego, a Tomaszowi dał dymisyę.

Tomasz był powstaniu przeciwnym, najgorsze z niego dla kraju przewidywał skutki, gdy jednak widział, dokąd ogół kraju podąża, do czynnego sprzeciwiania się temu ogółowi nie przypisywał sobie prawa. Pragnął gorąco funkcji wojskowej. Przeznaczony chwilowo do Ministerium Wojny, w końcu stycznia otrzymał nominacyę na dowódcę złożonej z 18 szwadronów i 8 dział (pułki 4-ty strzelców konnych, 2-gi, 3-ci i 5-ty ułanów, 2 szwadrony karabinierów i jedna bateria konna) dywizyi rezerwowej jazdy.

Na początku działań wojennych dywizya ta stała pod Okuniewem. Z nieprzyjacielem zetknęła się po raz pierwszy w d. 19 lutego w pierwszej bitwie pod Wawrem, w której Lubieński odparł na jej czele szarżę 24 szwadronów rosyjskich pod dowództwem generała Sackena, ale ostatecznie, po wzmocnieniu Sackena świeżemi siłami, został sam odparty.

W bitwie pod Grochowem (d. 25 lutego) dywizya Lubieńskiego zajmowała pozycyę pomiędzy szosą Brzeską a Targówkiem. Gdy wojska polskie czyniły ostatnie wysiłki w celu utrzymania gwałtownie atakowanej olszynki, gdy 30 szwadronów jazdy rosyjskiej, podtrzymane ogniem 32 dział, rozpoczęły ruch, zmierzający ku jej oskrzydleniu, Chłopicki posłał Lubieńskiemu rozkaz przybycia na zagrożoną pozycyę i przeciwstawienia się groźnej masie kawalerii rosyjskiej. Lubieński, uważając miejscowość za niedogodną dla operacyi jazdy, wręcz odmówił, powołując się na to, że Chłopicki nie jest wodzem naczelnym i nie ma prawa rozkazywać. Jazda rosyjska, przez nikogo nie powstrzymywana, rozbiła na tyłach olszynki 8-my Linjowy, a przez to uniemożliwiła już stanowczo utrzymanie tego klucza pozycyi. Prowadzona przez Zonę i Meyendorfa straszliwa szarża pułku kirasjerów księcia Alberta, przeszła wszystkie pozycye środkowe i prawoskrzydłowe polskie do samej niemal Pragi. Bitwa została przegrana, pozostawało już tylko myśleć o porządnym i przyzwoitym odwrocie.

P. Rogier Lubieński, autor zawierającego nader cenne materyały życiorysu Tomasza, posuwa się w uwielbieniu swoim dla generała tak daleko, że nie tylko usprawiedliwia jego zachowanie się pod Grochowem, ale nawet utrzymuje, że ono to właśnie ocaliło armię od zupełnego pogromu. Jest to twierdzenie zupełnie niezrozumiałe. Rozkaz Chłopickiego miał na celu niedopuszczenie Rosyan na tyły olszynki, dopóki zaś olszynka nie była zdobytą, dopóty pozostawała jeszcze możność wygrania bitwy. Gdyby zadysponowana przez Chłopickiego szarża się nie powiodła, to nie stałoby się nic gorszego od tego, co się stało, bo odwrot wojsk polskich osłaniany był i tak nie przez Lubieńskiego, lecz przez Skrzyneckiego, Kickiego i Małachowskiego. Że nakazana przez Chłopickiego operacya była dla jazdy możliwą, — tego dowiodła kawaleria rosyjska, która tę samą operacyę



wykonała — w przeciwnym kierunku. Na poparcie swojej opinii, przytacza p. R. Lubieński dwa ustępy ze znakomitego dzieła generała Puzyrewskiego, z których jednak pierwszy zawiera samą tylko krótką i suchą wzmiankę o fakcie, bez żadnych komentarzy, drugi zaś wyjaśnia, że bitwa grochowska, acz taktycznie przegrana, okazała się w skutkach swoich dla Polaków korzystną, ale o generale Lubieńskim, ani o jego zachowaniu się pod Grochowem nie zawiera ani sylaby. Trudno więc wyrozumieć, w jaki sposób oba przytoczone przez p. R. Lubieńskiego ustępy mają jego ryzykowny pogląd popierać. Drugą powagą wojskową, na którą się p. R. Lubieński powołuje, jest — córka generała, panna Adela Lubieńska, która w notatkach swoich nader rezolutnie powiada, że »Chłopicki do końca życia biał jak stara baba, . . . . . przypisując (przegrana) generałowi Lubieńskiemu . . . . .«

Ponieważ Chłopicki nie był formalnie wodzem naczelnym, więc trudno zaprzeczyć, że Lubieński miał formalne prawo nie usłuchać jego rozkazu. Ponieważ działał on niewątpliwie w dobrej wierze, więc winić go o to niewolno. Ale wynosić ten jego nieszczęsny postępek jako taki, który ocalił armię od zguby — to już zawiele.

Przy reorganizacji armii po bitwie grochowskiej, Lubieński otrzymał dowództwo 2-go korpusu jazdy (brygady Stryjeńskiego, Rutie i Jana Kamińskiego — 24 szwadrony i 8 dział).

Po zwycięstwie pod Dębem-Wielkim Lubieńskiemu powierzono ściganie rozbitych wojsk Rosena. »Lubieński se mit un peu tard en mouvement, mais il exécuta à merveille la mission qui lui était confiée. Il poursuivit les russes jusqu'à Kałuszyn et au delà. Le 4-me des lanciers, qui formait la tête de sa colonne, chargeait tout ce qu'il rencontrait; il rompit plusieurs bataillons, les fit prisonniers et leur enleva trois drapeaux.« Tak opowiada o tym świetnym czynie Lubieńskiego, Prądzyński. Pościg jego, pełen energii i natarczywości, dotarł aż do Kostrzyna i ostatecznie rozproszył siły Rosena i Geismara.

Jednak powodzenia oręża polskiego nie napełniły go otuchą. W listach do ojca wyraża on ciągle obawy o przyszłość, a donosząc o katastrofie Dwernickiego, powiada: »lękam się, aby nieszczęśliwe zdarzenie Dwernickiego nie było początkiem końca.«

Kiedy (12 maja) rozpoczęła się operacja przeciw gwardyi, Lubieński stanął na czele korpusu, złożonego z 5-tej dywizyi piechoty (generał Henryk Kamiński) oraz brygad jazdy generałów Jagmina, Turny i Dłuskiego (11 batalionów, 24 szwadrony i 22 działa). Po przeprawie przez Bug został on przez wodza naczelnego skierowany wzdłuż tej rzeki, stanowiąc zupełnie zresztą oderwane od sił głównych i w powietrzu zawieszane skrajne prawe skrzydło armii. Pozostawiony własnemu losowi, został w d. 23 Maja otoczony pod Nurem przez siły tak niezmiernie przeważające, że, jak się zdawało, nie miał innego wyjścia oprócz kapitulacyi. Jednak, zawezwany do niej przez Berga, dał mu dumną odpowiedź: »Tant qu'il reste des baïonnetes aux polonais, ils se sauront frayer le chemin« — i w samej rzeczy przebił się. Był to bodaj najświetniejszy z jego licznych świetnych czynów wojennych. Naciskany przez wielokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela, wykonawszy długi szereg równie śmiałych jak mądrych manewrów, przeprowadził swoje wojsko przez rozległe błoto, niosąc armaty na rękach, za pomocą imponującego ataku na bagnety otworzył sobie drogę, szarżami jazdy osłonił uchodzącą piechotę i artylerję i ostatecznie uszedł, utraciwszy jedno tylko działo.

W pamiętnym dniu 26 maja Lubieński zajmował pozycję pod Ławami i Rzekuniem przed Ostrołęką. Wyparty stamtąd, po dość uporczywym boju, przez Bistroma, cofnął się w porządku do Ostrołęki, a następnie pod osłoną brygady Bogusławskiego (4-ty i 8-my Linjowe) przeprowadził się przez Narew i połączył się ze Skrzyneckim. Po klęsce Ostrołęckiej, gdy wódz naczelný osobno od armii udał się do Warszawy, Lubieński otrzymał zlecenie odprowadzenia rozbitych wojsk do stolicy — i odprowadził je w porządku, który — po takiej klęsce — przechodził wszelkie oczekiwania. W Warszawie stanął d. 30 maja.

Gdy, jeszcze przed wyprawą na gwardyę, szef sztabu głównego, generał Chrzanowski objął dowództwo korpusu, przeznaczonego do operacyi w Województwie Lubelskim, szefostwo sztabu objął prowizorycznie generał-kwatermistrz Prądzyński. W pierwszych dniach czerwca szefem sztabu mianowany został Lubieński.

Do funkcyi tej Lubieński kwalifikował się wybornie nie tylko przez swoje wybitne zdolności

i wysokie wykształcenie wojskowe, nie tylko przez swoją fenomenalną sumienność i pracowitość, ale również przez swój nieposzlakowany charakter, swój takt i swoją umiejętność obchodzenia się z ludźmi. Jakkolwiek nie mógł on uczynić Skrzyneckiego mniej niedołącznym, jednak parokrotnie udało mu się pośredniczyć pomiędzy wodzem naczelnym a znienawidzonym przez niego Prądyńskim i wyjednać dla planów tego ostatniego niejaki posłuch, dzięki czemu wojna przedłużyła się jeszcze o parę miesięcy.

Na krótki czas przed szturmem Warszawy, szefem sztabu został generał Lewiński, a Lubieński znowu otrzymał dowództwo nad korpusem kawalerii, przeznaczonym do działań w Województwie Płockim, na tyłach obozującej pod Warszawą armii rosyjskiej. Wobec sytuacji ogólnej, działania te, acz dobrze przez Lubieńskiego prowadzone, nie mogły już odnieść żadnego skutku. Wkrótce po zdobyciu Warszawy, Lubieński podał się do dymisji, którą w dniu 28 września otrzymał. Wróciwszy do Warszawy, podał się Cesarzowi i w październiku otrzymał wraz z kilku innymi generałami rozkaz udania się do Moskwy. Z losem pogodził się, o emigracji zgoła nie myślał. Należał do rodzaju ludzi, stworzonych i przez naturę przeznaczonych do tego, co się pracą organiczną nazywa. Do Moskwy wyjechał dnia 9 listopada, stanął tam 17-go. Jego towarzysz podróży, generał Milberg pojechał niebawem dalej do Wołogdy, Lubieńskiemu kazano pozostać w Moskwie do dalszego rozporządzenia. Niebawem potem otrzymał on audyencyę u bawiącego wtedy w Moskwie Cesarza Mikołaja o której to audyencji Cesarz tak pisał pod dniem 12/24 listopada do feldmarszałka Paskiewicza:

»Długo bardzo z nim rozmawiałem i znalazłem go pogrążonego w wstydzie i konfuzji; dla tego postanowiłem dać mu wolność, będąc przekonany, że jego przykład będzie nam użytecznym;

sprowadź go do siebie i rozmów się z nim.« (Rogiera hr. Lubieńskiego »Generał Tomasz Pomian hrabia Lubieński«, tom II, str. 101).

Jakoż zaraz po tej audyencji Lubieński otrzymał pozwolenie powrotu do kraju i w pierwszych dniach grudnia stanął w Warszawie, gdzie został przez feldmarszałka nader uprzejmie przyjęty. Na życzenie Cesarza, posłał syna swego Leona, który dotychczas kształcił się w Edynburgu i w Berlinie, do Petersburga. W marcu r. 1832 wybrano deputacyę (po dwóch z każdego województwa), która miała się udać do Petersburga. Jednym z deputatów województwa Lubelskiego był gen. Lubieński. Deputacya wyjechała d. 25 kwietnia do Petersburga, gdzie generał, przez Cesarza wyróżniany i nader łaskawie przyjmowany, dwa lata spędził. Po powrocie do kraju, mieszkając poważnie w Warszawie, oddał się sprawom familijnym, gospodarskim i finansowym. Wrócił do kierownictwa domu handlowego Braci Lubieńskich, należał do inicjatorów budowy pierwszej w kraju drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. W roku 1839 jeździł, w celu znalezienia potrzebnych na to kapitałów, wraz ze Steinkellerem do Anglii. Rzecz się nie udała, Lubieńscy ponieśli znaczne straty, Steinkeller zbankrutował, a kolej wybudował w lat kilka później rząd.

Długo jeszcze żył generał Tomasz Lubieński, w miarę wieku coraz bardziej usuwając się od interesów publicznych i coraz ściślej w kole rodzinnym się zamykając. W r. 1860 utracił jedynego syna Leona, w 1868 owdowiał, wkrótce potem oślepl, a d. 3 września r. 1870 w sędziwym wieku lat 86 zmarł w czasie, gdy drugie cesarstwo francuskie rozpadało się w gruzy w tym samym Sedan'ie, w którym on przed laty sześćdziesięciu był czynnym, jako jeden z najświetniejszych oficerów pierwszego cesarstwa.

*M. Massonius.*



# Stanisław Kościński

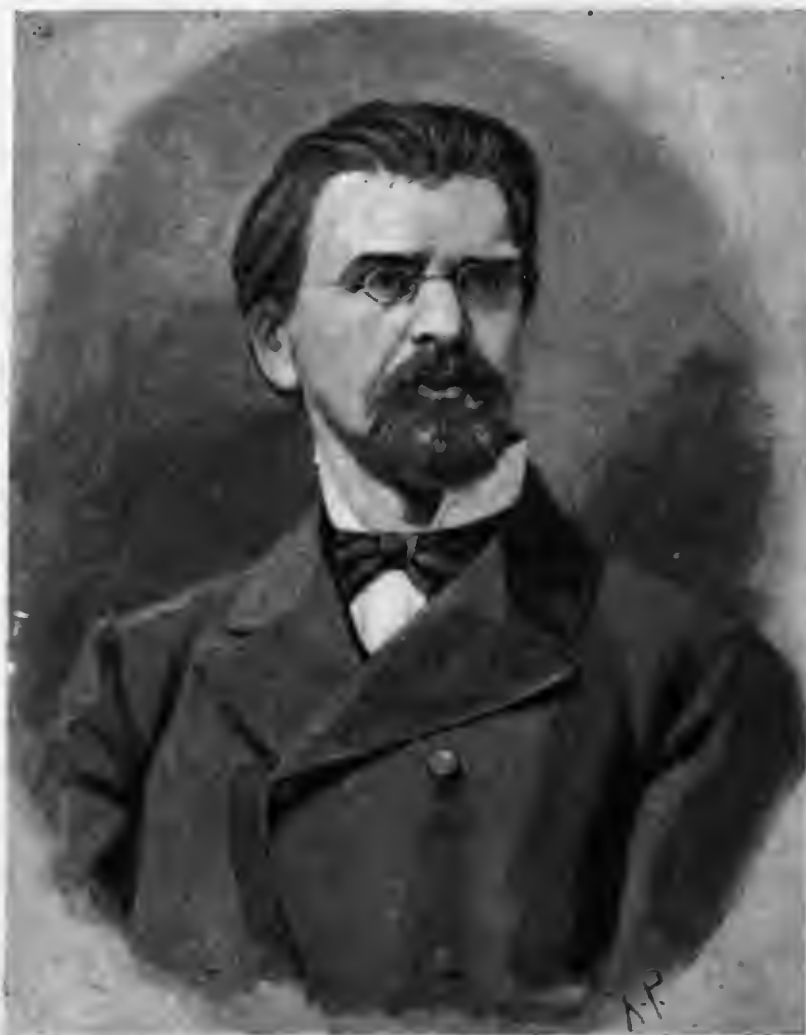
\* 1837 † 1883.

Śród lekarzów naszych mało bardzo znajduje się takich, co by radzi zajmowali się dziejami lecznictwa lub jego bibliografią, dlatego też literatura nasza w kierunku tym jest dotąd nader uboga. Tem większe uznanie zatem należy się niewielu ludziom, poświęcającym z zamiłowaniem i z powodzeniem czas swój poszukiwaniom i badaniom tego właśnie rodzaju, a do takich wyjątków nielicznych należał mąż, którego życiorys tu opowiadamy treściwie.

Stanisław Lubicz Kościński urodził się w Warszawie d. 22 maja r. 1837, jako syn nauczyciela szkół rządowych, Józefa Kościńskiego i Franciszki z Kamińskich, małżonki jego. Ojca utracił będąc jeszcze w wieku chłopięcym, a matka, obarczona kilkorgiem dzieci drobnych, nie posiadała

środków dostatecznych, by zapewnić rwącemu się do nauki chłopcu wykształcenie, do którego wzdychał. Ale Kościński już od lat najmłodszych posiadał ogromną siłę woli oraz wytrwałość, niełatwo dającą się stropić. Piętrzące się więc przeszkody, zamiast zniechęcić, tem bardziej pobudziły go do wytrwania na raz obranej drodze.

Do szkół uczęszczał naprzód w Sandomierzu, następnie w Warszawie. Uczył się gorliwie, zarabiając równocześnie na naukę własną nauczaniem innych, młodszych, lub mniej zdolnych od siebie. Pracując ciężko w ten sposób, w r. 1856 ukończył chlubnie ówczesne gimnazjum gubernialne w Warszawie, która wtenczas nie posiadała jeszcze uniwersytetu; a że postanowił sobie niezłomnie zdobyć wykształcenie wyższe, więc mając



(według oryginalnego portretu rysował Ks. Pilatti).

*Kościński*

uciulany fundusik niewielki, bo sto rubli za ledwo przenoszący, wyjechał po skończeniu szkół do Moskwy, aby tam wstąpić do uniwersytetu. Jak mu tam nieraz ciężko bywało, niejednokrotnie miewałem sposobność słyszenia z ust jego własnych, gdyż dobiwszy się stanowiska, zapewniającego mu utrzymanie dostatnie, rozповідаć lubił nieraz o twardych czasach swej młodości.

Stanąwszy w Moskwie, zapisał się na wydział lekarski i ukończył go w r. 1861; wszakże podczas pobytu swego w starej stolicy rosyjskiej, nie tylko na wykłady zawodowe uczęszczał, ale przykładał się także pilnie do filologii i dziejznawstwa, co na tem większe uznanie zasługuje, że wciąż był zmuszony pracować usilnie na swe utrzymanie.

Szczupłe zasoby przywiezione z Warszawy, wyczerpały się bardzo prędko, z domu zasiłków spodziewać się nie mógł, w mieście wielkiem, nieznanem, wśród społeczeństwa obcego, zarobić cośkolwiek było bardzo, bardzo trudno; głód nieraz doskwierał i rozpacz czarna zaczęła ogarniać młodzieńca. Gdyby nie usposobienie religijne, wyniesione z domu, a zachowane i w wieku późniejszym, kto wie, co by się wtenczas było stało. — Wskutek wysiłków daremnych i niedostatku, rozchorował się nakoniec niebezpiecznie, co mu wszakże ostatecznie wyszło na dobre.

Leżąc obłożnie chory w klinice uniwersyteckiej, poznał się Kościński bliżej z Dr. Kornelimi Młodziejowskim, kierownikiem jej ówczesnym. Zaczny profesor dowiedziawszy się o położeniu rozpaczliwym studenta, a poznawszy go i polubiwszy, zajął się szczerze dołą jego i dopomógł mu do ukończenia nauk, do czego przyczynił się również profesor chemii, Henryk Giwartowski.

Wyzdrowiawszy po kilkotygodniowej bardzo ciężkiej niemocy, znalazł Kościński, popierany od obu wymienionych profesorów, lekcye prywatne w zamożnych domach moskiewskich; wystarali mu się też o stałe zajęcie w kilku redakcyach dzienników politycznych, większych, gdzie pracował lat kilka, jako tłumacz, z języków: francuskiego, niemieckiego i angielskiego, których poduczył się sam, będąc jeszcze w szkołach w Warszawie; wtedy też nauczył się po włosku. — Mając w ten sposób zapewniony byt jaki taki, oraz możność pewną ukończenia uniwersytetu, jął się pracy z zapalem, i, jak się rzekło, w r. 1861 złożył *cum*

*eximia laude* egzaminy lekarskie. Zniwolony zaś troską o chleb powszedni, wyrzec się musiał ubiegania się o godność doktora medycyny i opuściwszy Moskwę zaraz po zdaniu egzaminów, powrócił do Warszawy, aby zająć się wykonawstwem lekarskiem.

Każdy początek trudny, więc też i Kościńskiemu nie wiodło się od razu świetnie, ale wyćwiczony w twardej szkole życia, nie upadł na duchu, znosił dolę swą cierpliwie i ręk nie opuszczał.

W roku 1862 zdarzyła mu się sposobność wyjechania za granicę. Rodzina barona Mohrenheima, późniejszego ambasadora rosyjskiego w Paryżu, wybierając się w podróż dłuższą po Europie, ofiarowała Kościńskiemu posadę lekarza przybocznego na warunkach dość korzystnych. Przyjął ją oczywiście bardzo chętnie, a podróżując wygodnie, w towarzystwie miłym i mając dość dużo czasu wolnego, pracował dalej nad wykształceniem swem, zwiedzając, gdy tylko zdarzyła się sposobność po temu, kliniki, szpitale i biblioteki, bo książki kochał zawsze bardzo. Nie długo atoli trwało to życie przyjemne.

Na początku roku 1863 uwolnił się od obowiązków, z którymi rozstawał się z żalem, i pośpieszył z powrotem do kraju, gdzie jako lekarz znalazł pracy niemało, pielęgnując i lecząc licznych wtedy ranionych i chorych. Gdy spokój znów nastał, osiadł w Zakroczymiu, gdzie otrzymał posadę lekarza obwodowego, lecz pozostał na niej rok tylko. W czasie tym wstąpił w związki małżeńskie z Lucyną Gregorowiczówną, w której znalazł wierną towarzyszkę doli i niedoli życia dalszego, oraz pomocnicę chętną w pracy swej bibliotekarskiej, późniejszej.

Osiedliwszy się powtórnie w Warszawie, w r. 1865, niebawem został asystentem profesora Szokalskiego w klinice chorób ocznych, którym postanowił poświęcić się. Dla wydoskonalenia się w zawodzie obranym, wyjechał w r. 1867 do Berlina i do połowy roku następnego kształcił się tam pod przewodnictwem znakomitego profesora Graefego. Po powrocie do Warszawy zaczął z powodzeniem coraz rosnącym zajmować się wykonawstwem okulistyki, chociaż nie zaniedbywał przytem innych także gałęzi leczenia, a czas wolny od zajęć lekarskich, obracał na pracę naukową, bez której obywać się nie umiał.

Od roku 1870 był lekarzem Zakładu dla ubogich dzieci przy ulicy Żytniej, okulistą Zakładu chłopców sierot przy ulicy Freta, oraz od roku 1875 konsultantem dla chorych na oczy w Warszawskim szpitalu dla dzieci. Wymienione obowiązki spełniał zawsze bardzo gorliwie i nie pobierając za to wynagrodzenia żadnego. Oprócz tego był lekarzem stałym wielkiej fabryki Norbli-  
na i Wenera.

W roku 1872 Towarzystwo lekarskie warszawskie, którego członkiem czynnym był od r. 1867, obrało Kościńskiego na bibliotekarza. Na urzędzie tym pozostawał do śmierci i rozwinął na nim działalność zasługującą na uznanie największe. Pierwsze lat kilka urzędowania poświęcić musiał uporządkowaniu powierzonych sobie biblioteki, będącej pomimo pozorów porządku, rzeczywiście w nieładzie opłakany. Ponieważ był przeświadczony o tem, że od rzeczy starej, chociażby najstaranniej wyłatanej, lepsza zawsze jest rzecz nowa zupełnie, zrobiona umiejętnie, nie wdając się w naprawianie tego, co zastał, podjął pracę całą od początku, nie lękając się jej ogromu.

Sporządzenie katalogu repozytoryalnego, obejmującego spis książek w porządku, w jakim ustawione są na półkach, i drugiego z kartek pojedynczych, ułożonych w porządku abecadła podług nazwisk autorów, a zawierających zarazem dokładny opis bibliograficzny książki każdej (wtedy około 6000), było zadaniem olbrzymiem, wymagającym czasu długiego, pracy gorliwej i znajomości rzeczy, na której zbywało właśnie poprzednikom jego. Kościński, miłośnik zapalony książek, zapoznał się już wcześniej z bibliotekarstwem, bądź to z dzieł zajmujących się niem teoretycznie, bądź też zwiedzając biblioteki różne i badając ich urządzenia, był więc do zawodu tego przygotowany należycie, a nadto, co może ważniejsze jeszcze, rozmiłowany w nim.

Porajac się lat kilka owem uporządkowaniem biblioteki, Kościński zaznajomił się z nią najdokładniej, poznał jej skarby i niedostatki, a że miał pamięć osobliwie dobrą, ogarnął nią całość jej w sposób godny podziwu. — Gdy z mozołem niemałym porządek już był ustalony, przemyśliwać zaczął nad zbogaceniem księżnicy, pieczy jego powierzonej, nad uzupełnieniem braków jej najdotkliwszych, mając przytem na uwadze szczególną jej polski.

Biblioteka Towarzystwa lekarskiego warszawskiego powstała i wzrasta, chociaż nie wyłącznie, ale przeważnie, tylko z darów lub zapisów członków Towarzystwa tego, które na zakup książek nowych nie wielełożyć może. Za czasów Kościńskiego na cel ten nie wyznaczano zwykle więcej nad 100 rubli rocznie, za które rzeczywiście nie można zakupić wiele dzieł lekarskich, jak wiadomo, zawsze dość drogie. Pomimo to w czasie urzędowania Kościńskiego biblioteka wzrosła bardzo znacznie, bo doszła do 11,000 dzieł i broszur treści lekarskiej i przyrodniczej, a przyrost ten w znacznej części zawdzięcza zabiegom jego. Obaczmy w jaki sposób tego dokonał.

Po ukończeniu zupełnem uporządkowania biblioteki, Kościński w dniu 2 listopada r. 1875 złożył Towarzystwu sprawozdanie z czynności dokonanej, a zarazem wymową swą umiał nakłonić kolegów wielu do wzbogacenia biblioteki dziełami posiadanymi, mniej im samym potrzebnymi, ale dla zbioru Towarzystwa pożądanymi. Tym sposobem pozyskał przyrost wcale pokaźny. — W zbiorach ksiąg, przekazywanych Towarzystwu od zmarłych członków jego, oprócz dzieł lekarskich i przyrodniczych, poświadanych zawsze, znajdują się też nieraz dzieła treści innej, czasem nawet bardzo cenne, ale do biblioteki nie wcielane nigdy, jako dla niej nieodpowiednie. Z biegiem lat nagromadziła się liczba dość znaczna książek tego rodzaju, oraz więcej jeszcze duplikatów, zajmujących wiele miejsca, bibliotece zaś niepotrzebnych. Z ksiąg tych umiał też zrobić Kościński użytek właściwy, wymieniając je na dzieła lekarskie lub przyrodnicze, albo sprzedając je możliwie korzystnie, a za osiągnięte w ten sposób pieniądze kupując książki brakujące dotąd w bibliotece; tym sposobem przyczynił się znów niemało do powiększenia zbiorów. Często wszakże, gdy nie znalazł wśród dzieł nielekarskich, lub duplikatów bibliotecznych, nic takiego, coby można było dać w zamian za dzieło upatrzone, do własnego sięgał księgozbioru, z niego wydobywał książkę odpowiednią i chętnie oddawał ją, by tylko zbogacić bibliotekę Towarzystwa, będącą Benjaminskiem jego. Tą drogą np. nabył dla biblioteki bardzo piękny i cenny egzemplarz zielnika Marcina z Urzędowa, oddając w zamian Biblię łacińską ilustrowaną z wieku XVI, będącą jego własnością osobistą. Niejednokrotnie też, gdy zdarzyła się sposobność nabycia rzadko-



ści jakiej, a fundusz biblioteczny roczny był już wyczerpany i na zamianę także nic się nie znajdowało, to kupował ją za pieniądze własne, płacąc nieraz drogo, i niósł uradowany nabytek swój do biblioteki, nie mówiąc wszakże nikomu, że to owoc szczodropliwości jego. Ile książek w ten sposób przybyło bibliotece, oznaczyć nie sposób, ponieważ Kościński tał się z tem zawsze, jakby z występkiem jakim, a w sprawozdaniach o stanie biblioteki, składanych Towarzystwu corocznie, nigdy nie wspominał o tych darach swoich. Piszący słowa te, będąc lat kilka, jako bibliotekarz młodszy, pomocnikiem Kościńskiego, miewał wszakże nieraz sposobność podpatrzenia go, wie zatem z pewnością, że książek z tego źródła pochodzących znajduje się bardzo wiele na półkach biblioteki Towarzystwa. — Księgozbiór swój własny, złożony z kilkuset dzieł nowszych, treści przeważnie okulistycznej, zapisał także bibliotece Towarzystwa, pozostawiając jej i tę jeszcze pamiątkę po sobie. — Rozumie się, że zaprowadziwszy ład i porządek w bibliotece, umiał go też utrzymywać wybornie, wogóle rzecz o nim można, że pod każdym względem był bibliotekarzem wzorowym, łączącym w sobie głęboką znajomość rzeczy z miłością prawdziwie ojcowska dla powierzonych sobie zbiorów.

W szkołach będąc jeszcze, Kościński z zamiłowaniem wielkiem zajmował się już dziejami ogólnemi, toż samo czynił będąc na uniwersytecie. Zamiłowanie to pozostało mu i na później i skłoniło go do podjęcia badań historycznych, odnoszących się do przeszłości lecznictwa naszego. Od r. 1867 do śmierci nie ustawał nigdy w pracy tej i skrzętnie bardzo wciąż zbierał materiały do napisania dziejów lecznictwa polskiego oraz bibliografii jego. W celu tym pilnie bardzo czynił poszukiwania w bibliotekach i archiwach polskich i obcych, szczególnie w Berlinie, Wiedniu, Dreźnie, Pradze, Wenecyi, Bolonii, Padwie, Rzymie i Neapolu; udało mu się też odkryć szczegół niejednego niedostrzeżony przedtem, albo sprostować błędy uchodzące za prawdę. Szkoda nieodżałowana, że nie starczyło mu życia na spełnienie zamiaru i że tylko część zebranych przez siebie materiałów zużytkował w »*Słowniku lekarzów polskich*« (Warszawa, 1883—1885), zawierającym życiorysy krótkie, od czasów najdawniejszych, oraz bibliografię bardzo starannie i dokładnie zestawioną. Dzieło to

dla każdego, kto chciałby się zająć opracowaniem dziejów lecznictwa naszego, jest niezbędne. Kościński rozpoczął wydawnictwo na początku r. 1883; wydawszy dwa zeszyty, stanowiące połowę dzieła, wyjechał na wypoczynek letni, obiecując sobie dokończyć je po powrocie, tymczasem śmierć zaskoczyła go niespodzianie, a dwa zeszyty pozostałe wydane były z papierów jego, z dodaniem uzupełnień pewnych, przez niżej podpisanego.

Drugą, wcześniejszą pracą Kościńskiego, treści również bibliograficzno-historycznej jest »*Wykaz rzeczy zawartych w 72 tomach Pamiętnika Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego*« (Warszawa 1877). Znajdujemy tam we wstępie, treściwie ale dokładnie napisane dzieje wydawnictw peryodycznych polskich, treści lekarsko-przyrodniczej, dawniejszych od Pamiętnika, oraz historię powstania jego samego w roku 1837 i rozwoju dalszego do końca roku 1876. Tekst właściwy zawiera wykaz prac, mieszczących się w 72 tomach Pamiętnika, ułożony podług działów umiejętności, spis autorów i t. d. Koniec książki stanowi wykaz imienny wszystkich członków Towarzystwa, od chwili założenia go w dniu 6 Grudnia roku 1820, do dnia 1 Kwietnia roku 1877, oraz takiż spis urzędników Towarzystwa z oznaczeniem czasu urzędowania ich. Książka wymieniona posiada więc nie tylko wartość bibliograficzną, wcale niepoślednią, ale jest też bardzo cennym przyczynkiem do dziejów Towarzystwa lekarskiego warszawskiego.

Oprócz wymienionych napisał Kościński dwie jeszcze prace historyczne, mniejsze, jak oto: »*Krótki rys dziejów biblioteki Towarzystwa lekarskiego warszawskiego*« (Pamiętnik Tow. lek. warsz. r. 1875, tom LXXI, str. 519 i nast.) oraz »*Chronologia moru dymienicowego*« (Medycyna, r. 1879, nr. 6). Spis innych prac jego, bądź oryginalnych, bądź tłómaczonych, znajduje się na str. 239 »*Słownika lekarzów polskich*«.

Po ukończeniu »*Słownika*« zamierzał Kościński zabrać się do napisania dziejów lecznictwa polskiego od czasów najdawniejszych aż do końca wieku XVI, oraz historii Akademii Zamojskiej; miał nawet do tego już wiele materiału przygotowanego. Niestety! śmierć przedwczesna nie dopuściła do spełnienia tak chwalebnych zamiarów.

Kościński był lekarzem dobrym i nadzwyczaj starannym, znającym się wybornie na chorobach

ocznych, zawsze usłusznym i chętnym, a dla ubogich miłosiernym i dobroczynnym. Jako człowiek odznaczał się zacnością i prawością wielką, poczucie obowiązku było w nim rozwinięte nadzwyczajnie; surowy sam dla siebie, również surowo zwykł był sądzić postępowanie innych, jeżeli na to zasługiwało; nigdy nie umiał zdobyć się na poślizgnięcie, gdy chodziło o czyny naganne; nakoniec jako uczony mógł służyć każdemu za wzór sumienności i pracy.

W ostatnich latach życia miał zwyczaj wyjeżdżania w lecie na miesiące parę za granicę, bądź dla wzmocnienia zdrowia żony słabowitej, bądź też dla wypoczynku własnego, który po pracy ciągłej a natężonej, był mu rzeczywiście potrzebny. W lipcu roku 1883 wyjechał więc do Włoch,

gdy stamtąd powracał, zatrzymał się na dni kilka w Sławnie, majątku brata żony w Opoczyńskim. Tam w nocy d. 14 września zasnął niespodziewanie zupełnie około godziny jedenastej, a zanim północ wybiła, już nie żył. Przyczyną śmierci tak nagłej była prawdopodobnie wada serca, na którą cierpiał już od dawna, pomimo wyglądu wciąż czerstwego. Pochowano go w Warszawie na cmentarzu Powązkowskim w dniu 18 września.

Żywot Kościńskiego, nieomal od kolebki do mogiły, był jednym nieprzerwanym pasmem pracy, a pracą swą zasłużył się dobrze społeczeństwu swemu i kochał je z całej swej duszy.

*Dr. med. Józef Peszke.*

## Józef Majer.

\* 1808 † 1899.

Różnemi drogami ludzie dochodzą do znaczenia i sławy. Jedni zdobywają je od razu jakim odkryciem, wynalazkiem lub czynem bohaterskim; inni zawdzięczają je zdolnościom niezwykłym, z których umieją korzystać; nakoniec są i tacy, co mozolą się w ciągu życia całego, pracują, krzątają się jak mrówki, znoszą żdziebelko do żdziebelka, okruszynę do okruszyny, a gdy nakoniec dobiegli do kresu działalności swej, spostrzegamy, ze zdumieniem nieraz, że z tych niby niepozornych drobiazgów powstało dzieło ogromne, godniejsze podziwu i uznania, niżeli niejeden czyn wielki, na razie olśniewający oczy wszystkich, lub rozgłos wyrosły ze zdolności wrodzonych. Do tego trzeciego rodzaju ludzi należał właśnie mąż, którego życiu zacnemu a użytecznemu przypatrzeć się mamy teraz.

Józef Majer urodził się dnia 12 marca roku 1808 w Krakowie, gdzie ojciec jego był właścicielem garbarni. Po chlubnym skończeniu szkół,

do których był oddany w wieku bardzo wczesnym, zapisał się na wydział lekarski uniwersytetu Jagiellońskiego, wyszedł zaś z niego d. 12 stycznia r. 1831 po złożeniu egzaminów na doktora medycyny i chirurgii. Podanie oraz obronienie rozprawy doktorskiej pozwolono mu wyjątkowo odłożyć na później, wyjechał więc niezwłocznie do Warszawy i wstąpił do wojska polskiego, jako lekarz batalionowy w korpusie artylerii. Odznaczwszy się w służbie, po czasie niedługim był posunięty na stopień lekarza sztabowego. Po skończeniu wojny wyjechał z początkiem jesieni do Niemiec, gdzie zabawił do roku następnego, zwiedzając uniwersytety tamtejsze. Po powrocie do Krakowa, gdzie odtąd już stale zamieszkał na zawsze, przedewszystkiem zabrał się do napisania rozprawy doktoryzacyjnej, a że miał zamiar poświęcenia się nie wykonawstwu lekarskiemu, lecz zawodowi profesorskiemu, równocześnie podjął starania o katedrę uniwersytecką. Obroniwszy roz-



Według portretu olejnego rysował X. Pilatti.

*Benigno*

prawę p. n. »*Commentatio medico-practica exhibens synopsis methodorum tractandae Syphilidis ope hydraggyri*« (Kraków 1833, w 8-ce, str. 188), w październiku r. 1833 był mianowany zastępcą profesora farmakodynamiki w wydziale lekarskim uniwersytetu Jagiellońskiego i niebawem rozpoczął wykłady. W dwa lata później, na mocy konkursu, odbytego pomyślnie, został profesorem rzeczywistym w t. zw. »Instytucji lekarskiej dla lekarzy niższego rzędu«, gdzie nauczać musiał wszystkich nieomal części lecznictwa, oprócz tego studentom uniwersytetu wykładał naukę o chorobach stadnych (*epizootiae*).

Nie zadawałając się bynajmniej zajęciami obowiązkowymi, zawsze sumiennie i gorliwie spełnianymi, młody wówczas i ruchliwy profesor czas wolny od nich obracał z zamiłowaniem na poszukiwania i prace rozmaite inne, nieraz bardzo moczolne, i ogłaszał je drukiem, zdobywając sobie tym sposobem pomału coraz większe uznanie w gronie kolegów uniwersyteckich i po za niem.

W piętnastu latach początkowych działalności swej naukowo-literackiej wydał Majer 22 prace większe lub mniejsze, treści rozmaitej. W liczbie tej nie obdarzył nas wprawdzie ani jednym dziełem, mogącym rościć prawo do miana książki posiadającej doniosłość nadzwyczajną, bo takich i później wogóle nie pisywał, wszelako przyznać mu trzeba, że wśród nich nie znajduje się też ani jedna, piętno miernoty na sobie nosząca, lecz że na wszystkich znać ślad niezatarty pracy rzetelnej i poglądu jasnego, a przedewszystkiem widać w nich chęć gorącą służenia dobrego nauce i społeczeństwu swemu. Ta chęć była zawsze sprężyną główną w całej, tak długiej i owocnej działalności Majera. Z okresu tego, pierwszego, najcenniejsze prace jego dotyczą dziejów wydziału lekarskiego krakowskiego, opierające się na źródłach sumienne i pilnie zbadanych, oraz słownictwa lekarskiego naszego, dokonane wspólnie z profesorem Skoblem<sup>1)</sup>; o znaczeniu ich powiemy jeszcze słó-

wko później, mówiąc o zasługach Majera dla nauki naszej.

Lata mijały na tej pracy cichej, nauce poświęconej. Umysł Majera wzrastał i męźniał stopniowo, zdobywając mu uznanie coraz większe. Nadszedł rok 1848, ważny bardzo w życiu jego. W roku tym poraz pierwszy wybrano go na rektora uniwersytetu, a co ważniejsza, od katedry anatomii oddzielono wykład fizjologii, tworząc katedrę nową, na której od roku następnego wykładał już potem, z przerwą kilkoletnią, do końca działalności profesorskiej.

Majer należał w swym czasie do ludzi najwymowniejszych, posiadał dar słowa niepospolity, mówił treściwie i pięknie, językiem wytwornym i nadzwyczaj poprawnym, dziwić się więc nie można, że wykłady jego zgromadzały zawsze koło niego mnóstwo uczniów, przysłuchujących się z zajęciem profesorowi tak wymownemu, znającemu nadto wybornie przedmiot wykładany.

O sposobie nauczania Majera, a lepiej jeszcze o stanowisku zajmowanem przez niego w nauce, powziąć można wyobrażenie pewne, czytając dwa dzieła napisane przez niego p. n. »*Fizjologia układu nerwowego*« (Kraków 1854, w 8-ce, str. V III, 478 i 9) i »*Fizjologia zmysłów*« (tamże 1857, w 8-ce, str. XIII i 621). Język w nich, jak wogóle

podążył do Warszawy i razem z nim służył także jako lekarz w korpusie artylerii. W roku 1834 został w Krakowie profesorem<sup>\*</sup> patologii i terapii ogólnej, oraz farmakologii, w czasach późniejszych wykładał nadto farmakognozę. Profesorem był cenionym i lubianym, sześć razy wybierano go na dziekana wydziału lekarskiego, a w r. 1870 piastował godność rektorską. Jako miłośnik zapalony i znawca języka ojczystego, walczył zacięcie przeciwko jego skażeniu, bądź wspólnie z Majerem, bądź samodzielnie. Skobel należał w r. 1838 do grona założycieli »*Rocznika wydziału lekarskiego w uniwersytecie Jagiellońskim*« i był jednym z najczynniejszych współpracowników jego, w r. 1862 przyczynił się do założenia »*Przeglądu lekarskiego*«, wstąpił do jego redakcyi i również zasiliał go pracami swemi. Spis dokładny wszystkich prac jego, między którymi znajduje się niejedna cenna, zestawili S. Kościński w »*Słowniku lekarzów polskich*«, str. 459 i 460. Należąc od r. 1834 do Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, lat wiele był w niem przewodniczącym oddziału nauk przyrodniczych i lekarskich, prócz tego był członkiem wszystkich towarzystw uczonych, polskich i wielu zagranicznych.

<sup>1)</sup> Fryderyk Kazimierz Skobel (ur. w Warszawie w r. 1806 — † w Krakowie d. 25 listopada r. 1876), rówieśnik i przyjaciel serdeczny Majera, do szkół uczęszczał we Lwowie, tamże był słuchaczem na wydziale filozoficznym; następnie do nauk lekarskich przykładał się w Wiedniu i w Krakowie, a ukończywszy je w roku 1831 równocześnie z Majerem, z nim razem

we wszystkim, co Majer kiedykolwiek napisał, jest wzorowy, nie może jednak posiadać uroku słowa żywego, którym umiał zawsze oczarowywać słuchaczy.

Pierwotnie Majer nosił się z myślą napisania podręcznika obejmującego fizylogię całą, ale wykończenie dzieła tak obszernego wymagało, oprócz ogromu pracy, którejby się Majer nie był zląkł z pewnością, jeszcze i czasu bardzo wiele, a z nim właśnie liczyć się trzeba było koniecznie. Od dawna już odczuwać się dawał brak dotkliwy podręcznika fizylogii, polskiego, odpowiadającego jako tako wymaganiom nauki bieżącej. Brak ten naglił, więc nie mogąc na prędce zaradzić mu w całości, postanowił sobie opracować tymczasem choćby tylko dwa tak ważne działy fizylogii, wplatając do wykładu ich i te wszystkie wiadomości, które aczkolwiek same przez się należą właściwie do nauk innych, jednakże są bezwarunkowo konieczne do zrozumienia wykładu fizylogii. Z tego więc powodu w obie książki wymienione, obok fizylogii nerwów i zmysłów, wcielił Majer niemało wiadomości z dziedziny histologii, anatomii i fizyki.

Nie miejsce tu na wdanie się w rozbiór szczegółowy obu tych dzieł, tem bardziej, że ocena ich sprawiedliwa w tym razie byłaby dziś niezmierznie trudna. Fizylogia od czasu, w którym Majer o niej pisał, olbrzymimi krokami posunęła się naprzód, mnóstwo odkryć nowych, szybko idących po sobie, zmieniło ją ogromnie, zatem i książka o niej, wydana przed 50 blisko laty, zniechęcać nas musi ku sobie przestarzałością wielu wyrażonych w niej poglądów, chociażby nawet były w chwili ukazania się swego zwierciadłem przekonań najnowszych, wówczas panujących. Mając to na uwadze, przyznać możemy, iż Majer w obie swe prace obszerne o fizylogii, włożył wiele trudu i wiedzy, oraz niemało chęci najlepszych, że dbał o wyłożenie jasne i przystępne, że starał się o danie obrazu wiernego i wyraźnego stanu fizylogii ówczesnej, usiłując zebrać skrzętnie i zestawiać zrozumiale wszystko to, co mu nauka ówczesna dostarczyć mogła. Że w obu książkach tych nie spotykamy ani ważniejszych odkryć własnych Majera, ani też poglądów jego nowych na samą naukę, z tego mu zarzutu robić nie przystoi, gdyż zadaniem podręcznika jest tylko zestawienie możliwie dokładne wyników badań najnowszych, mniej-

szar o to, czy własnych, czy cudzych, ale uchodzących w chwili danej za najlepsze. Więc o ile umiał wystawić stan nauki danej w czasie ukazania się swego, podręcznik spełnił swą powinność, więcej od niego wymagać nie wolno; tym zaś warunkom obie książki, o których mowa, zadość uczyniły, zatem im też przyznać trzeba, iż w swoim czasie były użyteczne. Dzisiaj nikt już fizylogii z nich się uczyć nie może, ale tak samo jak dawniej wciąż jeszcze służyć mogą za wzór polszczyzny wybornej.

»*Fizylogia układu nerwowego*«, jak widzieliśmy, wyszła w r. 1854, w którym działalność Majera na katedrze fizyologicznej przerwana została nagle na lat kilka. Jak się to stało, obaczmy.

Jednem z następstw zawieruchy wstrząsającej Galicją w r. 1846, było wcielenie wolnego dotąd miasta Krakowa do monarchii austriackiej, co i na uniwersytet wpływ wywrzeć musiało, chociaż go początkowo zostawiano w pokoju, ale nie na długo. Lata 1848 i 1849 dla Austrii były nadzwyczaj groźne; nie mówiąc już o innych wypadkach politycznych, w stolicy i krajach koronnych, powstanie węgierskie nadwyrężyło podwaliny państwa do tego stopnia, że może byłoby runęło, gdyby nie pomoc rosyjska. Po złamaniu Węgrów; nad dziedzictwem Habsburgów zaciążyły, jak zmora, osławione rządy Bacha, wszechwładnego ministra spraw wewnętrznych. Szał centralistyczno-giermanizacyjny zapanował wtedy w wyższym i wyuzdanym jeszcze stopniu, niż ongi za drogiego Niemcom Józefa II. Siłono się zniemczyć wszystkich i wszystko. Przyszła więc i kolej na starożytny uniwersytet Jagielloński. W r. 1854 właśnie nadeszło rozporządzenie ministerjalne z Wiednia, nakazujące, żeby odtąd wszystkie przedmioty obowiązujące studentów, wykładane były wyłącznie po niemiecku. Większość profesorów, chcąc nie chcąc, uległa — znaleźli się jednak na wydziale lekarskim dwa mężowie, którzy śmiało oparli się temu żądaniu, nie bacząc bynajmniej na następstwa, mogące stąd dla nich wyniknąć — byli to: Antoni Kozubowski<sup>1)</sup>, profesor anatomii, oraz Józef Majer,

<sup>1)</sup> A. Kozubowski (urodz. dnia 11 sierpnia roku 1805 w Brzostowej pod Ćmielowem w Opatowskim — † w Krakowie dnia 3 września r. 1880). Nauki przygotowawcze odbył w Wąchocku, Kielcach i Lublinie, na wydział lekarski zapisał się w Warszawie w r. 1827;



profesor fizjologii. Płazem im to nie uszło. Opor-  
nym odebrano katedry zajmowane dotąd, nie po-  
zbawiając ich wszakże godności profesorskiej, po-  
zwalając nawet wyklądać po polsku dowolny jaki  
przedmiot dodatkowy, rozumie się, że taki tylko,  
do którego słuchania żaden student nie był obo-  
wiązany. Majer, zabawiający się już przedtem an-  
tropologią, zabrał się do wykładania jej, a słucha-  
czów chętnych nigdy mu nie zabrakło; ponieważ  
jednak właściwa działalność antropologiczna przy-  
pada na czas późniejszy, więc przedwcześnie by-  
łoby tu już mówić o niej.

Będąc pozbawiony możności nauczania fizy-  
ologii, nie przestał jednakże Majer zajmować się nią,  
owszem pracował nad nią dalej i właśnie wtedy,  
gdy ustom jego milczeć nakazano, chwycił za pió-  
ro i wydał wymienioną już wyżej *»Fizjologię  
zmysłów«*.

Po wojnie włoskiej w r. 1859, skończyły się  
nareszcie uciążliwe rządy Bachowskie; zawiął wiatr  
inny; zaciekłość germanizatorska zmalała, i w ro-  
ku uniwersyteckim 1860/61 przywrócono znów  
w Krakowie wykłady polskie. Powrócił więc Majer  
na swą dawną katedrę i pozostawał na niej już

pod koniec r. 1830 wstąpił do służby wojskowo-lekar-  
skiej i pozostawał w niej do jesieni roku 1831; wyje-  
chawszy w tym czasie, kształcił się dalej w Krakowie,  
Monachium i Würzburgu, gdzie w d. 28 czerwca roku  
1833 dyplom doktorski osiągnął. Powróciwszy do  
Krakowa, w październiku tegoż roku był mianowany  
adjunktem kliniki chirurgicznej. W kwietniu r. 1835,  
zwyciężywszy na konkursie, został profesorem zwyczaj-  
nym anatomii opisowej i fizjologii, oba te przedmioty  
wyklądał do roku 1848, w którym utworzono odrębną  
katedrę fizjologii, powierzoną Majerowi. Gdy w roku  
1854 zaprowadzono język niemiecki w uniwersytecie,  
musiał ustąpić i wyklądał odtąd po polsku anatomię  
porównawczą, jako przedmiot dodatkowy, podrzędny.  
W r. 1860 przywrócono go znów na katedrę anatomii  
opisowej; zajmował ją do roku 1868, w którym wstą-  
pił w stan spoczynku. Gabinety, anatomiczny i zooto-  
miczny w Krakowie zawdzięczają mu bardzo wiele  
okazów ciekawych i w ogóle samo urządzenie swe.  
Po opuszczeniu zawodu profesorskiego, zajmował się  
do śmierci z upodobaniem szczególnem pszczelnictwem,  
sadownictwem, osobliwie zaś jedwabnictwem, napisał  
też o niem jedno dzieło większe i kilka broszur. Był  
założycielem krakowskiego towarzystwa jedwabniczo-  
pszczelniczego i sadowniczego. Do pióra nie był zbyt  
skory. Prace jego drukiem ogłoszone wymienia *S. Ko-  
smiński* w *»Słowniku lekarzów polskich«*, str. 243.

teraz do r. 1878, w którym musiał ustąpić z po-  
vodu skończonych lat 70-ciu; istnieje bowiem pra-  
wo w państwie austriackiem, nie pozwalające po-  
za ten wiek pozostawać profesorom dłużej na sta-  
nowiskach. Trzeba więc było i Majerowi pożegnać  
się z uniwersytetem, któremu dobrze i wiernie  
służył lat czterdzieści kilka, nie tylko na katedrze,  
ale i w zarządzie wewnętrznym, pomimo, że jeszcze  
długo potem dopisywało mu zdrowie cielesne i peł-  
nia sił umysłowych.

Od r. 1843 do 1845 był sekretarzem wy-  
działu lekarskiego; od r. 1845 do 1847, oraz  
w r. 1862, dziekanem tegoż wydziału; w latach  
1848, 1849, 1850 i 1865 piastował godność re-  
ktorską, będąc jednocześnie komisarzem rządowym  
zakładów naukowych, krakowskich. Jako rektor  
w r. 1848 podejmował starania, niestety daremne,  
usiłując wyrobić A. Mickiewiczowi katedrę w Kra-  
kowie; w tymże roku jeździł też do Wiednia w spra-  
wach uniwersyteckich, dla których serce jego było  
zawsze gorąco i skoro mu się tylko zdarzyła spo-  
sobność po temu, nie zaniechał nigdy występować  
śmiało i stanowczo w obronie praw starożytnej  
wszechnicy Jagiellońskiej, często przykładając rękę  
do podźwignięcia lub uświetnienia jej; świadczą  
o tem dowodnie liczne ślady, przechowane w ar-  
chiwum uniwersyteckiem.

Człowiek przeciętny, nawet pilny i pracowity,  
mając na głowie zajęcia liczne, z zawodem profe-  
sorskim związane, a nadto nie leniący się do pióra,  
z pewnością nie porywałby się już do zajęć in-  
nych, do których go nic nie zmusza, a sądziłby  
prawdopodobnie, że i tak aż nadto godziwie speł-  
nia obowiązki swe względem nauki i społeczeń-  
stwa, gdy sumiennie robi to wszystko, co powo-  
łanie nakłada na niego. Ale Majer nie był wcale  
człowiekiem przeciętnym i sądził zgoła inaczej.  
To, co niejeden uważałby za przeciążenie pracą,  
jemu zdawało się być igraszką nieomal, rzecz mo-  
żna, iż strudzony pracą jedną, znajdował odpoczy-  
nek zajmując się drugą, potem trzecią, i tak da-  
lej bez końca. Pracowitość jego była rzeczywiście  
niewyczerpana, nieraz zdumiewająca. Umiał pra-  
cować wytrwale i prędko, czas znajdował na wszy-  
stko, zdawało się, że mu go nigdy nie zabraknie,  
pomimo że wszystko, do czego się zabrał, wyko-  
nywał zawsze starannie i sumiennie. Umysł jego  
ruchliwy i chęć gorąca służenia społeczeństwu za-  
wsze i wszędzie, o ile sił starczy, pchały go nie-

ustannie w różne strony, na rozmaite pola działalności, nie pozwalając mu nigdy się z założeniami rękoma. Bezczynności nie znał całkiem, nawet wtedy, gdy wiek zgrzybiały ciążył na nim zaczął. Bez przesady wszelkiej powiedzieć można, iż życie człowieka tego, od kolebki do mogiły, było jednym, nieprzerwanym pasmem pracy najzacieśniej, nie goniącej za zyskiem i korzyścią osobistą, lecz poświęconej rozwojowi nauki ojczyzny i dobru ogólnemu, a wykonywanej zawsze chętnie i ściśle.

W r. 1833 został Majer członkiem *Towarzystwa naukowego z Uniwersytetem Jagiellońskim złączonego* i z czasem zrosł się z nim zupełnie, uczestnicząc, jako jeden z najgorliwszych działaczy jego, we wszystkich przemianach i różnych kolejach doli, którem z latami podlegało. Od r. 1848 do 1850 stał na czele towarzystwa rzeczowego, jako prezes z wyboru, w latach zaś 1856—1859 był przewodniczącym w oddziale nauk przyrodniczo-lekarskich, a gdy Towarzystwo odłączyło się zupełnie od uniwersytetu, by wieść dalej żywot samodzielny, obrano Majera w r. 1860 na pierwszego prezesa. Na stanowisko to był stworzony, godniejszego i odpowiedniejszego trudno byłoby znaleźć wśród członków Towarzystwa ówczesnego, a nawet po za nim.

Będąc z powołania lekarzem i przyrodnikiem, Majer nie zasklepiął się wszakże bynajmniej w nauce swej ściślejszej, przeciwnie, chętnie czynił wycieczki, i to dość często, w dziedziny nauk zgoła innych, lecz nie jako lubownik powierzchowny, ale jako badacz poważny, przejęty ważnością przedmiotu, wiedziony pragnieniem zapoznania się z nimi bliżej i głębiej, płytkości bowiem nie znosił w innych, więc tem bardziej i siebie nie był skłonny nią kalać. Postępując tak, zdobył sobie wiedzę rozległą, różnorodną, niezmiernie obszerną i zawsze każdemu służył nią jak najchętniej. Żaden dział nauk i umiejętności ludzkich nie był mu ani obcy zupełnie, ani obojętny, dla wszystkich serce jego biło jednakowo gorąco, wszystkie, o ile mógł, otaczał pieczą jednaką, dbając o rozwój i postęp wszystkich w mierze tej samej. Więc też prawdą najszczerzą tchnęły słowa jego, wymówione w dniu 25 lutego r. 1860, gdy dziękował członkom Towarzystwa Naukowego za wybór na prezesa; powiedział im wtedy: »Czemże Wam ten dowód zaufania odwdziaczyć potrafię? — Czuję, że tego nie

dokażę inaczej, tylko zdwojeniem wspólnej z Wami pracy; równem uznaniem ważności, równem usiłowaniem i równą gotowością poparcia zadania każdego Oddziału<sup>1)</sup>, o ile możność do tego nastęczy mi moje stanowisko. Taki objaw wdzięczności nie byłby znikomem słowem, ale wcieloną i rzeczywistą prawdą. Bogdajby tylko siły wyrównały chęci!« — Szczęściem nie zabrakło mu siły, a w jaki sposób dotrzymywała kroku chęciom, najwymowniej nam świadczą o tem ponawiające się bez przerwy wybory, powołujące za każdym razem Majera na prezesa.

Do końca r. 1872 Majer przewodniczył bezustannie *Towarzystwu Naukowemu Krakowskiemu*. W ciągu lat dwunastu grono mężów uczonych, składających ten przybytek wiedzy, widocznie poczytywało go wciąż za najwłaściwszego i najgodniejszego wodza swego i to słusznie bardzo, ponieważ nikt inny nie byłby chciał albo umiał, poświęcać wciąż sprawom Towarzystwa ani tyle dobrej woli, ani tyle czasu, ani tyle pracy najuczciwszej, jak to właśnie czynił Majer, pracujący sam bez wytchnienia, oraz umiejący, jak mało kto, zachęcać i zagrzewać do czynu innych, szafując przytem nie samą tylko zachętą słowną, ale i radą zdrową i światłą, pomocą skuteczną, wskazówkami cennymi, z doświadczenia wieloletniego wypływającymi, a przede wszystkim przykładem pobudzającym opieszalszych nawet do pracy.

W r. 1873 *Towarzystwo Naukowe Krakowskie* przeobrażone zostało na *Akademję Umiejętności*, a Najjaśniejszy Pan, Franciszek Józef, na pierwsze trzylecie zamianował jej prezesem Józefa Majera, który był rzeczywiście ojcem jej duchowym, należało mu się więc sprawiedliwie wysokie to dostojenstwo. Na wyborach w r. 1875 Akademia powierzyła mu znów jednomyślnie przewodnictwo na trzy lata dalsze. Wybór taki powtarzał się odtąd stale, aż nakoniec Majer, przygnieciony wiekiem sędziwym, oświadczył sam w r. 1890, że nie czuje się już na siłach do pełnienia nadal tak zaszczytnych, ale zarazem dla niego za uciążliwych obe-

<sup>1)</sup> *Towarzystwo naukowe krakowskie*, będące już wtedy *de facto* akademią, chociaż nazwy tej nie miało jeszcze, składało się z trzech oddziałów: do pierwszego należał zakres t. zw. nauk moralnych, do drugiego sztuki i archeologia, do trzeciego nakoniec nauki przyrodnicze, ścisłe i lekarskie.

nie obowiązków; widząc, że nie może ich już spełniać tak, jakby pragnął, wołał zrzec się ich i wtedy dopiero, po dobrowolnem ustąpieniu jego, dano mu następcę w osobie profesora hr. Tarnowskiego.— Starcowi, liczącemu już wówczas lat 83, należał się rzeczywiście wypoczynek dobrze zasłużony po pracy uczonej, trwającej bez przerwy od r. 1833.

Kto od r. 1860 do 1890, więc lat 30, uznawany był wciąż za najgodniejszego przewodnika najwyższej instytucji uczonej w kraju, już tem jednym zdobył sobie prawo do uznania i czci współobywateli — a miał do tego jeszcze prawa inne, nie mniejsze może.

Majer był uczonym, więc służył przede wszystkim nauce, ale służył jej po swojemu. Jako mąż światły rozumiał to doskonale, że nauka jest międzynarodowa, bo inna wcale być nie może, ale jako obywatel prawdziwie kraj swój miłujący, a pojmujący szczerze obowiązki swe względem niego, i w pracy uczonej, obok korzyści wspólnych dla ludzkości całej, szukał zawsze i głównie pożytku dla swoich. Cała ta nauka wspinała byłaby mu się wydała może martwą, gdyby za jej pomocą nie był mógł służyć społeczeństwu swemu. Nie dbał nigdy o rozgłos daleko sięgający, o sławę po Europie głośno rozbrzmiewającą, dość mu było gdy znajdował uznanie u tych, co sercu jego byli najbliżsi. Swojak, swoim tylko chciał służyć, a lepiej to umiał i szczerzej, niż tysiące innych.

Nie może podlegać wątpliwości najmniejszej, że mąż tak zdolny i tak pracowity, tyle posiadający wiadomości, jak Majer, gdyby tylko był chciał, byłby się umiał łatwiej, niż setki innych, dobić stanowiska poważnego w świecie uczonym, wszech-europejskim. Jeżeli więc stało się inaczej, jeżeli Europa nie zna go prawie wcale, to widocznie, że nie troszczył się nigdy o tę znajomość, poprzestając na uznaniu rodaków.

Majer w ciągu długiego życia swego ogłosił drukiem około stu prac większych i mniejszych, treści bardzo urozmaiconej, ale oprócz rozprawy doktorskiej, dla której język łaciński był obowiązujący, wszystkie inne prace jego, bez wyjątku, napisane są *wyłącznie* po polsku; ani jednej z nich nie wydał w jakimkolwiek języku obcym, nie dla tego, że tego uczynić nie umiał, władał bowiem językami cudzoziemskimi, ale dla tego, że nie chciał. Nie chodziło mu nigdy o rozgłos zagraniczny, nie cenił go sobie. Chciał służyć ziomkom swoim, pi-

sywał dla nich, *tylko dla nich*, nie martwiąc się ani trochę myślą, że postępując tak, zagradza sobie drogę do sławy rozleglejszej, rozbiegającej się szerzej po świecie. Uznanie od swoich, nie rozgłos czczy, było najmiłszą dla niego nagrodą za tyle dziesiątków lat, poświęconych pracy uczciwej a znacznej, uznania zaś tego dostąpił i zszedł ze świata otoczony czcią powszechną, jednogłośnie odzywającą się ze wszystkich zakątków kraju rodzinnego.

W latach 1839—1845 sprawował Majer nadzór nad szkołami początkowemi miasta rodzinnego, następnie w ciągu lat wielu był rajcą miejskim i zastępcą prezesa rady szkolnej, okręgowej miasta Krakowa. Kilkakrotnie posłował na sejm galicyjski, oraz był przewodniczącym w Komisji edukacyjnej, a od r. 1880 zasiadł na krześle senatorskim, jako członek dożywotni austriackiej Izby panów. Na wszystkich stanowiskach tych odznaczał się zawsze znaną gorliwością swą i jako przykład świecącym poczuciem obowiązku.

Zjazdy lekarzów i przyrodników polskich, odbywające się teraz w pewnych odstępach czasu, istnienie swe zawdzięczają głównie Majerowi, gdyż on to właśnie, wraz z A. Baranieckim, był ich rzecznikiem najwymowniejszym. Na czterech z nich był zaproszony na przewodniczącego, mianowicie: dwa razy w Krakowie (r. 1869 i 1881) i po razie we Lwowie (r. 1875) i w Poznaniu (r. 1884).

Pamiętny jest zjazd krakowski w r. 1881, ponieważ nań przypadła 50-ta rocznica ukończenia nauk lekarskich przez Majera; święcono ją też bardzo uroczyście. Setki lekarzy, przybyłych zdaleka i zbliska, zebrały się by złożyć u stóp dostojnego jubilata dowody czci, oraz uznania tak dobrze zasłużonego. Wszyscy przybyli podziwiać wtedy mogli tego wymownego starca, pełnego jeszcze życia i ognia młodzieńczego nieomal, czarującego obecnych licznymi odezwami się swemi, pełnemi treści, a wypowiedzanemi językiem niezrównanie pięknym i wytwornym, pomimo swej prostoty. Żadnego bowiem przemówienia wysłanników mnogich towarzystw uczonych, przystępujących do niego z życzeniami i darami, nie pozostawił wtedy bez odpowiedzi dłuższej, każdemu wyraził swą wdzięczność za pamięć łaskawą o sobie, a każdemu inaczej, stosując się do tego, co sam przed chwilą z ust jego usłyszał. Był to w samej rzeczy rodzaj popisu, bardzo ciekawy.

Na kilkanaście mów z góry obmyślonych i przygotowanych, a wygłoszonych gładko, Majer odpowiadał tyleż razy, nie wiedząc oczywiście przedtem, na co mu odpowiadać przyjdzie, więc nie przygotowany zgola, i z łatwością przyćmił wszystkich innych mówców, w zdumienie wprawiając słuchaczy. Więcej jeszcze oczarował ich później swą skromnością, uprzejmością i łatwością niezwykłą w obejściu się z każdym, kto się do niego zbliżył. Kto w dni te pamiętne miał szczęście porozmawiać choćby chwilę tylko z czcigodnym jubilatem, ten z pewnością spał pamięć go dobrze i na życie całe zachował o nim pamięć najmiłszą.

Już to Majer, jak czarodziej prawdziwy, umiał jednać sobie ludzi, zniewalał ich w lot, zdobywał ich serca odrazu. Był to mały staruszek, tuszy miernej, o włosach białych, mocno już przerzedzonych, dość krótko przystrzyżonych, o twarzy czerstwej, pełnej, wygolonej, a tylko faworytkami małemi okolonej, o rysach wybitnych, poważnych, zwykle uśmiechniętych dobrotliwie, o wzroku rozumnym i łagodnym, przez wiek nieco przyćmionym. Wygląd jego, ruchy, strój o kroju nieco już przestarzałym, zwracały na niego uwagę mimowolną każdego, a po poznaniu bliższem, uwaga ta wnet przeradzała się w szacunek pełne uczucie przyjazne, podobne do synowskiego.

Majer wzrósł i wychował się w czasach, kiedy jeszcze znacznie więcej, niż obecnie, troszczone się starannie o przyzwoity sposób zachowywania się towarzyskiego, gdy powszechnie liczone się bardzo ze stanowiskiem lub wiekiem osób, z którymi się obcowało, gdy dbano niezmiennie o spamiętanie godności i tytułów każdego, żeby w danym razie, broń Boże, nie zapomnieć o nich w rozmowie, gdy przesadzano się w uprzejmości, gdy baczono na zachowywanie w niej odmian pewnych, nieraz bardzo drobnych, stosownie do osób, z którymi się stykało. Nasze zdemokratyzowane społeczeństwo dzisiejsze, daleko odbiegło od zasad tych, mając je za krępujące i uciążliwe, jeżeli nie za śmieszne po prostu; Majer wszakże, przesiąknięty niemi za młodu, do końca życia był im wierny. Łatwo przystępny dla każdego, w rozmowie bywał prosty i szczery, a przytem uprzedzająco grzeczny, dbał o oddanie czci należnej każdemu, nie zapominał nigdy o tytule lub godności osoby, z którą rozmawiał, a jeśli przypad-

kiem, spotkawszy kogoś po raz pierwszy, nie wiedział o nich, to zawsze starał się tak poprowadzić z nim rozmowę, żeby się o nich dowiedzieć nieznacznie i co prędzej z ust jego własnych. Przytem, rozumie się, również przestrzegał najsumienie innych, dawnych przepisów i prawideł światowego obchodzenia się z ludźmi, a że czynił to wszystko bez śladu wymuszoności, swobodnie i bez przesady wszelkiej, więc zachowanie się jego nie raziło bynajmniej, lecz przeciwnie sprawiało wrażenie bardzo miłe, pomimo że trąciło staroświeckością. Dziś trudnoby już było znaleźć człowieka ugrzeczniejszego w tym stopniu i w tym rodzaju. Czy rozmawiał ze studentem dopiero co poznanym — a młodzież lubił zawsze nadzwyczaj — czy z uczonym głośnym, lub mężem zajmującym stanowisko wysokie w społeczeństwie lub w urzędzie, bywał zawsze jednako uprzejmy, zachowując jednak w uprzejmości swej odcienie pewne, drobne wprawdzie, ale widoczne, lecz równie dalekie w pierwszym razie od pobłażliwej przystępności, u innych tak często graniczącej o miedzę z lekceważeniem, jak w drugim od płaszczącej się uniżoności. Ceniąc godność i cześć własną, nie zwykł jej był odmawiać innym, jeżeli tylko na nią zasługiwali.

Rozmowa z Majerem bywała zawsze zajmująca i przyjemna, pouczająca bardzo często. Zdolność mówienia posiadał niepospolitą, wysławiał się prosto i zrozumiale, w głosie jego dźwięczała szczerść, a chociaż nie silił się na krasomówstwo, zdanie każde wypowiadał zawsze językiem nadzwyczaj poprawnym, jednym, za wzór służyć mogącym. Obdarzony był nadto zaletą, rzadszą może jeszcze od zdolności, o której mowa, mianowicie posiadał umiejętność słuchania innych. Nie dziwić się zatem, że tak łatwo zjednywał sobie wszystkich, tembardziej, że do przymiotów jego należała też usłużność i chętność wielka, zacność nieskazitelna i przywiązanie do swojskości, niczem nie dając się zachwiać.

Nakreśliwszy tu mimochodem podobiznę Majera w wieku późniejszym, powróćmy do zasług jego, do których należy niewątpliwie udział w założeniu i współredagowaniu *«Przeglądu lekarskiego»* od r. 1862 do 1871 włącznie; jako też popieranie gorliwe wydawnictwa *«Zbiór wiadomości do antropologii krajowej»*, oraz wszystkich wydawnictw



*Towarzystwa Naukowego Krakowskiego*, i powstałej z niego *Akademii Umiejętności*.

Ponieważ Majer, mimo licznych zajęć związanych z jego zawodem uczonym, nie uchylał się nigdy od żadnej służby publicznej, lecz ilekroć jej od niego wymagano, do pełnienia jej chętnym okazywał się zawsze, więc też wciągnięto go do polityki, zaszczycając go wyborem na posła do sejmiku krajowego we Lwowie. Nie ubiegał się o ten zaszczyt, bo nie lubił polityki nigdy, przekładając nad nią zawsze cichą pracę profesorską i naukowo-literacką, ale za grzech byłby sobie poczytał wymawianie się od nałożonego na siebie przez współobywateli obowiązku. Był zachowawcą z upodobania i z przekonania, ale o wsteczność pomawiać go przeto nie należy, bo mu nie sprzyjał, ani w nauce, ani w polityce; owszem rządził się zawsze tak w jednej, jak i w drugiej umiarkowaniem pewnym i pobłażliwością dla myślących inaczej od niego. Przeszłość kochał duszą całą i nic z niej uronić nie chciał, ale miłość jego sięgała i do przyszłości, w którą wierzył niezłomnie, dla tego też nie mógł być nigdy przeciwnikiem upartym prądów i haseł nowych, a chociaż znosił je tylko, nie zwalczał ich jednak namiętnie.

Zajęcie się polityką, aczkolwiek nie dobrowolne i niezgodne z nawyknięciami i upodobaniami Majera, przyczyniło się wszakże немало do przysporzenia mu nielada zaszczytów, spadających nań szczególnie w ostatnich dziesiątkach życia jego. Polityka otworzyła mu w r. 1880 podwoje do austriackiej Izby Panów i jej też głównie zawdzięczał wyniesienie swe do godności rzeczywistego radcy tajnego Jego Cesarskiej i Królewskiej, Apostolskiej Mości, godności w państwie austro-węgierskiem mało komu i to bardzo oględnie udzielanej.

Mówiąc o tych zaszczytach wielkich, nie od rzeczy będzie, wspomnieć tu i o mniejszych, bardzo licznie już wcześniej Majera zdobiących. Będąc od r. 1870 kawalerem orderu Franciszka Józefa, w r. 1878 otrzymał krzyż komandorski, a przedtem, w r. 1873 został kawalerem Korony Żelaznej. Miasto rodzinne uczciło go obywatelstwem honorowem; uniwersytety: krakowski i lwowski złożyły mu w roku jubileuszowym 1881 dyplomy na doktora filozofii *honoris causa*, Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu i Towarzy-

stwo lekarskie warszawskie zaliczyły go do pocztu swych członków honorowych, co również uczyniły wszystkie inne Towarzystwa uczone, krajowe i niektóre zagraniczne. Na brak zaszczytów i uznania nie mógł się zatem Majer skarżyć na schyłku dni swoich.

Zdrowie cielesne i świeżość umysłu dopisywały Majerowi bardzo długo, dopiero na lat kilka przed śmiercią, starość zaczęła go przygniać dotkliwiej. Dolegliwości od wieku zgrzybiałego nieodłączne, dawały mu się we znaki coraz wyraźniej i parły go pomału ku mogile. Przytem wszystkim, dobiegając roku 90-go życia, był jeszcze stosunkowo rześki i, jak na starca w latach tak podeszłego, dość zdrowy i silny, przynajmniej na ciele, ale umysł jego tracił coraz więcej dawną sprężystość swą, pamięć, niegdyś tak świetna, mgłą zachodzić zaczęła, wymowność, ongi tak pyszna, wypowiadała mu służbę; ów mówca doskonały coraz częściej zaciął się, nie tylko w przemówieniach, ale nawet w gawędce potocznej, wątek myśli rwał mu się, niestety, czasami, myśl ze słowem iść ręka w rękę przestawała. Były to oznaki smutne, nic dobrego nie wróżące, wszelako nie groźne jeszcze, powszechnie więc sądzono, że Majer lat kilka jeszcze pożyje, gdy w końcu czerwca r. 1899 zaniemógł nagle i bardzo ciężko. Po krótkiej chorobie umarł d. 3 lipca po południu. Wieść bolesna o zgonie męża tak znakomitego rozbiegła się lotem błyskawicy po całym kraju, budząc w sercach wszystkich żal najszczerzy. Od r. 1890, w którym, jak widzieliśmy, Majer złożył godność prezesa Akademii, zapomniano cokolwiek o starcu zamkniętym w zaciszu domowym, teraz zszedłszy ze świata, przypomniawszy się znów wszystkim i zajaśniał w ich sercach blaskiem swych zasług nieśpożytych.

Akademia Umiejętności, czcząc w nim swego pierwszego, tyloletniego prezesa, pogrzebała go swym kosztem, a *«Przegląd lekarski»* (r. 1899, Nr. 28) tak obrzęd ten smutny opisuje: «Pogrzeb *Józefa Majera* odbył się z uroczystą powagą i hołdem, należnym temu mężowi wielkich zasług w nauce i w społeczeństwie. Nad grobem z lekarzy przemawiali: Prof. *H. Jordan*, jako dziekan, imieniem Uniwersytetu Jagiellońskiego i Wydziału lekarskiego; rektor prof. *H. Kadyi* imieniem Uniwersytetu lwowskiego; prof. *B. Wicherkiewicz* imie-



niem Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu i prof. *P. Pieniążek* imieniem Towarzystwa lekarskiego krakowskiego i redakcyi «Przeglądu lekarskiego». Uniwersytet lwowski wydelegował na pogrzeb wszystkich dziekanów, wśród których znajdował się prof. *A. Gluziński*, dziekan wydziału lekarskiego. Krajową Radę zdrowia zastępowali: *Dr. Lachowicz Z.* i *Dr. Opolski W.*»

«Drogą delegacyj, telegramów, listów i wienców złożyły dowody swej czci dla Zmarłego między innemi następujące instytucye i osoby: Akademia Umiejętności, Uniwersytety: lwowski i krakowski, Towarzystwa lekarskie: w Warszawie, Wilnie, Lwowie i Krakowie, poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Towarzystwo przyrodników imienia Kopernika; redakcyje: «Gazety Lekarskiej», «Medycyny», «Nowin Lekarskich», «Przeglądu Lekarskiego»; grono profesorów Akademii weterynaryi, starszy lekarz powiatowy *Obtułowicz* i inni.»

Opis ten, jak łatwo domyśleć się, nie jest zupełny, gdyż pominięto w nim udział osób do stanu lekarskiego nie należących, a takich było bardzo wiele. Ale nie wdając się w dopełnienia inne, dorzucimy do niego ten szczegół tylko, że następca Majera, prezes Akademii Umiejętności, profesor hr. S. Tarnowski, wymownemi usty w jej imieniu żegnał znikome szczątki wielkiego poprzednika swego.

Potomków Majer nie zostawił po sobie, był wprawdzie żonaty, ale bezdzietny, a małżonka, po długim i szczęśliwym z nim pożyciu, zawarła powieki na zawsze znacznie wcześniej od niego.

Opowiedziawszy tedy w zarysie żywot zacny a użyteczny tego pocziwego człowieka, przypatrzmy się jeszcze trochę temu, co, oprócz pamięci wdzięcznej, po nim pozostało — a jest na co spojrzeć. Oczywiście niepodobna wdawać się tu w rozbiór szczegółowy licznych bardzo prac Majera, drukiem ogłoszonych; nawet brak nam miejsca na wyliczenie choćby tylko ich napisów<sup>1)</sup>,

<sup>1)</sup> Spis dokładny prac Majera, ułożony w porządku chronologicznym, a sięgający do r. 1884, po którym już niewiele napisał, podał *S. Koźmiński*, w «*Słowniku lekarzów polskich*», str. 298—300 i 612; na najważniejsze z nich zwrócono uwagę w życiorysie Majera, pomieszczonym w «*Przeglądzie Lekarskim*» roku 1899, Nr. 28.

natomiast należy się powiedzieć słówko o ich treści, to bowiem dać nam może wyobrażenie pewne o rozległości pracy i różnorodności wiedzy jego.

Ponieważ Majer nie zajmował się nigdy wykonawstwem lekarskiem, więc też i nie pisał wcale o lecznictwie w znaczeniu ścisłym wyrazu tego, jedyny tu wyjątek stanowi, wymieniona już wyżej rozprawa jego doktoryzacyjna, wszystkie zaś inne prace jego, treści przyrodniczo-lekarskiej, zajmują się następującemi gałęziami wiedzy: fizyologią i histologią, fizyką i meteorologią, higieną i statystyką lekarską, teratologią, medycyną sądową, dziejami lecznictwa i biografią, weterynaryą, antropologią, paleontologią, archeologią, fizyografią, sprawami społeczno-lekarskiemi, słownictwem lekarskiem i gramatyką, nadto pisał też o wychowaniu, sporządził mnóstwo sprawozdań i wypowiedział wiele zagajeń, drukowanych następnie.

Większość prac Majera ukazała się pierwotnie, albo wyłącznie, w jednym z wydawnictw następujących: *Pamiętnik naukowy krakowski*, *Rocznik wydziału lekarskiego w uniwersytecie Jagiellońskim*, *Rocznik Towarzystwa naukowego krakowskiego*, *Rocznik Zarządu Akademii Umiejętności*, *Rozprawy i sprawozdania posiedzeń wydziału matem.-przyrod. Akademii Umiejętności*, *Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego*, *Przegląd lekarski*, *Zbiór wiadomości do antropologii krajowej*, *Sprawozdania komisji fizyograficznej*, nadto prac kilka jego drukowano w *Przyjacielu ludu* i w *Przeglądzie polskim*. — Przeważnie prace te wychodziły też następnie w odbiciach osobnych, jako broszury lub książki. Chcąc o nich wydać sąd ryczałtowy, przyznać trzeba, że ani jedna do rzędu arcydzieł nie należy, ale też żadnej zarzutu miernoty uczynić niepodobna. Wiele z nich utraciło już dziś tę cenność, którą w chwili ukazania się posiadać mogły, inne nie straciły jej dotąd ze wszystkim, nakoniec znajdują się między niemi i takie, o których śmiało twierdzić wolno, że jej nie utracą nigdy. Wszystkie są pisane polszczyzną wyborną, więc nawet te, które z innych względów już nas obecnie zaciekać nie zdołają, zawsze jeszcze za wzór poprawności językowej uchodzić mogą, a to zaleta wcale nie powszednia. Wolno nam dziś nie podzielać poglądów Majera, jako uczonego, możemy, a nawet musimy je nieraz zganić lub odrzucić, ale przed językiem jego każdy miłośnik

mowy ojczystej czołem uderzyć musi, biorąc sobie z niego wzór, ze wszech miar naśladowania godny.

Do rzędu prac Majera, nie starzejących się, radbym zaliczyć to, co napisał o antropologii, fizyografii, dziejach lecznictwa naszego i o słownictwie lekarskiem. W pracach antropologicznych jego znajdujemy zbiór bardzo bogaty materiałów zebranych skrzętnie, sumiennie i umiejętnie; a chociażby w nich tu i owdzie natknąć się można na błąd jeden lub drugi, na niedokładność jaką, na pogląd nie dający się uzasadnić dostatecznie, to jednak za całość ich należy się Majerowi od badaczy późniejszych wdzięczność bezwarunkowa i trwała.

Z działu fizyografii wartość niespożyta posiada osobiście jego *«Literatura fizyografii ziemi polskiej»* (*«Roczn. Tow. Nauk. Krak.»* Poczet 3-ci, t. VI, 1862, str. 49—234), w której przytacza 1280 dzieł i rozpraw przedmiotowi temu poświęconych, a przeważnie przejranych i ocenionych przez siebie bardzo sumiennie. Jest to praca ogromna i nadzwyczaj użyteczna.

Poszukiwania Majera dotyczące przeszłości Uniwersytetu Krakowskiego, w szczególności zaś wydziału lekarskiego i życia profesorów dawnych, nie tracą nigdy cennej swej, ponieważ są wynikiem badań docierających do źródeł najpewniejszych i najwiarogodniejszych i dają nam do rąk mnóstwo wiadomości przedtem nie znanych wcale, albo wykorzeniają dawniejsze, błędnie podawane przez poprzedników jego. Dziejopisarstwu lekarskiemu naszemu oddał więc przysługę, posiadającą doniosłość, aż do czasów najpóźniejszych sięgającą.

Największa atoli pochwała należy się znakomitym zabiegom Majera, dążącym do utworzenia poprawnego słownictwa lekarskiego polskiego. Rozpocząwszy zawód profesorski, a wykładając w języku ojczystym, spostrzegł od razu, jak bardzo słownictwo lekarskie nasze jest zanieczyszczone bądź naleciałościami z języków obcych, bądź gorszymi od nich jeszcze wyrazami polskimi, błędnie utworzonymi. Według mniemania jego, najsluszniejszego, zaradzić temu konieczne wypadło co prędzej; zabrał się więc ochoczo do dzieła, w którym dopomagał mu szczerze kolega i przyjaciel, profesor *F. K. Skobel*. Pierwszym wynikiem tych siłowań wspólnych były *«Uwagi nad niektó-*

*remi wyrazami lekarskimi»* (Kraków 1835, w 8-ce, str. 47). Znajdują się tam w przypisku na str. 6 słowa następujące, spamiętania godne: «Być może, że niejeden szczególną zasługę upatrywać będzie w tworzeniu wyrazów nowych, bez żadnego względu na dawne; my wszelako, zbieranie i badanie wyrazów zapomnianych, w dawnych tylko dziełach i ustach ludu przechowanych, za najcelniejsze poczytując, tam dopiero, gdzie podobne badanie niedostatecznymby się okazało, niezbędną widzimy potrzebę tworzenia wyrazu nowego, odpowiedniego pojęciu rzeczy, którą ma oznaczać i duchowi języka». — Zasady tu wypowiedzianej trzymał się Majer i później zawsze.

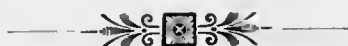
*«Uwagi»*, jak się tego spodziewać było można, wywołały krytykę, ale że była nie tyle słuszna, ile zjadliwa, więc zwycięzko ją odparto w broszurze *«Objaśnienia spostrzeżeń nad wyrazami lekarskimi, umieszczonych w tomie III kwartalnika naukowego»* (Kraków 1836, w 8-ce, str. 56). W dwa lata później ukazał się *«Słownik anatomiczno-fizyologiczny»* (Kraków 1838, w 8-ce, str. 320; jest to osobna odbitka z *«Rocznika wydziału lekarskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim»*, tom I, r. 1838). Dzieło to, niezmiernie ważne, nie tylko dla lekarzów, ale i dla językoznawców naszych, jest owcem czytania wielkiego i podziwu godnej pracy, dokonanej z zamiłowaniem niezwykle i z niepospolitą znajomością przedmiotu. Po niem ukazał się *«Słownik niemiecko-polski wyrazów lekarskich»* (Kraków 1842, w 16-ce, str. VI i 92). Obie te książki stanowią podwalinę najgłówniejszą obecnego słownictwa lekarskiego naszego, a, jak się już rzekło, dokonane były pospołu z profesorem Skoblem; większa jednak część zasługi z nich spływa niewątpliwie na Majera, jako górującego nad współpracownikiem swym zarówno zdolnością i wykształceniem ogólnym, jako też lepszym przygotowaniem filologicznym oraz umiarkowaniem rozważnym, równi sobie byli tylko w miłości gorącej do języka ojczystego i w dbałości o czystość i poprawność jego. Skoblowi jednak zarzucić można, iż czasami posuwał się za daleko w puryzmie, że tworzył nazwy nowe, nieraz zbyt śmiałe, ba nawet dziwaczne, lub zgoła śmieszne, a także dość często, bez potrzeby widocznej, wyrazy utarte i pod względem językowym nienaganne, usunąć pragnął, chcąc na ich miejsce postawić inne, prze-starzałe, ludowe, albo przez siebie ukute, zwykle

bynajmniej nie lepsze od używanych powszechnie, przez co zniechęcał umysły mniej krytyczne do słownictwa całego. Majer starał się powstrzymać i miarkować go w tych zapędach za daleko idących, stojąc twardo przy zasadzie wypowiedzianej powyżej i dla tego też w pracach ich wspólnych znane dziwolągi Skobłowskie, napotykanne w pismach jego innych, należą do wyjątków nielicznych. Właśnie przez to umiarkowanie rozumne, połączone z głęboką znajomością zasad i prawideł języka, stał się Majer rzeczywistym ojcem słownictwa lekarskiego naszego, jemu niewątpliwie zawdzięczamy większość rozpowszechnionych dziś nazw poprawnych, a jego *«Uwagi w przedmiocie zasad słownictwa lekarskiego w ogólności, w szczególności zaś w przedmiocie zasad tworzenia i oceniania wyrazów lekarskich polskich»* (Rocznik Towarzystwa naukowego krakowskiego, ↗

Poczet 2-gi, tom IV, 1849, str. 54—124) po wszystkie czasy zostaną pracą klasyczną i przewodnikiem nieocenionym dla każdego, kto rozumnie chce popracować nad dalszym rozwojem słownictwa lekarskiego. To zaś, co w zakresie tym dotąd zrobiono po Majerze, o tyle tylko dobrem zwać się może, o ile opiera się na zasadach zdrowych i wskazówkach rozumnych, wypowiedzianych przez niego w *«Uwagach»* tych.

Na uznanie zasługi tej, oddanej językowi naszemu, kończymy opowieść o żywocie Majera, o żywocie pracowitym, użytecznym i zacnym, równie zaszczytnym dla tego, który go przeżył, jak i dla narodu, którego był synem i sługą wiernym od kolebki do mogiły.

*Dr. med. Józef Peszke.*



# Stanisław Marszałkiewicz.

\* 1789 † 1872.

Do końca 1871 roku znaną była ogólnie w Warszawie i wielce popularna wśród szerokich warstw jej mieszkańców postać starego pana w eleganckim zawsze ubraniu, w błyszczącym o podniesionych rondach cylindrze, poważnie krocząca wśród tłumu przechodniów. Nizkiego wzrostu, krępy staruszek nosił modą z przed kilkudziesięciu lat, uczesaną czarną perukę, niezbyt odpowiednią siwiźnie nisko podstrzyżonych wąsów i faworytów.

Prawie codziennie siadywał na jednej z ławek głównej alei Saskiego ogrodu, w południowej porze na słońcu. Otaczało go zwykle grono zbliżonych doń wiekiem lub nieco młodszych staruszków. Była to typowa osobistość starej Warszawy, dziś niespotykana a i wówczas należąca już do rzadkości. Przeciętny warszawiak

z owych czasów wiedział, iż jest to Stanisław Marszałkiewicz, słynny malarz miniatur.

I gdy w d. 22 kwietnia 1872 r. osiemdziesiąt-trzyletni starzec zamknął oczy na wieki, a w dni parę potem pochowany został na cmentarzu powązkowskim, zniknął z horyzontów naszego miasta ostatni z przedstawicieli artystycznej kultury końca XVIII i początku XIX stulecia.

Długoletni okres życiowy, jaki był dany Marszałkiewiczowi do przebycia, te 80 z górą lat dzielących kolebkę jego od grobu, toć cała historia malarstwa polskiego, które w oczach jego stopniowo się kształtowało, przechodziło swe rozwojowe etapy, zakwitło wreszcie przy schyłku jego kariery talentami współczesnych mistrzów.

Urodzony w Warszawie 1789 r. Mar-



Według oryginalnego portretu rysował X. Pilatti.

*Stanisław Marszałkiewicz.*

szalkiewicz dziecięcą swą pamięcią sięgał Stanisławowskich czasów. Rozpieszczona, pudrem osypa-pana epoka, przemawiająca do nas z portretów: Marteau, Bacciarellego i Lampiego, była mu znana z widzenia, i dała mu szereg najpierwszych bezpośrednio z życia płynących wrażeń. Ostatnie konwulsyjne drgawki stylu roccoco, a wraz z rewolucją powstały neoklasycyzm Davida, gwałtowne walki pojęć i dążeń, tak jaskrawo zapisane w dziejach sztuki współczesnej, tchnące gorączkowym ogniem na nas, co je znamy z tradycji zaledwie, były dla Marszałkiewicza *chwilą obecną*, którą przeżywał, na którą własnymi patrzył oczyma. Umysł jego młodzieńczy owiany był prądami, które w historii z kolei miejsce swe znalazły, a które wtedy ożywcze soki w stary pień umierających kierunków wlewały. Dorobek artystyczny Hellady i Rzymu, wskrzeszony i do życia chwilowo przez rewolucyjnych artystów powołany, jak iskra elektryczna ogarnął rozentuzymowane serca młodzieży, i w sztuce stanowczy przełom uczynił. Na gruzach zbutwiałego przeżyciem się ostatecznem baroccu, nowa era zdawała się zapowiadać zwycięską fanfarę.

Na ukształtowanie się natury artystycznej Marszałkiewicza oddziaływały dziwnym trafem oba kierunki. Pierwszy mistrz jego, sędziwy Bacciarelli, w starości zachowujący strój i obyczaje Stanisławowskie, wyrafinowany przedstawiciel stylu Ludwika XV, oficjalny tłumacz gustów i mody panujących na dworze ostatniego króla, a z Wersalu zaszczepionych, Włoch pochodzeniem, Polak przekonaniami a Francuz w ideałach swych o sztuce — z konieczności musiał wpływ silny wywrzeć na młodego swego ucznia. Miętkość techniki przy elegancji i wdzięku, jakie modelom swym nadawał, trochę przesadnej czułościowości wyrazów, szczególnie kobiecych portretów, dające się w dziełach Marszałkiewicza spostrzegać, dowodzą, że wpływ Bacciarellego odbił się wyraźnie na twórczości słynnego następnie miniaturzysty, i że ślady swe do końca jego długiej kariery pozostawił. — Pierwotne prace Marszałkiewicza były po największej części kopjami z portretów Bacciarellego, Lampiego i innych starszej generacji mistrzów; wykonywał je przeważnie akwarellą, bądź w cokolwiek większym formacie, na papierze bądź w miniaturowych rozmiarach na kości słoniowej. Znane są z tej epoki liczne miniatury ks. Józefa

Poniatowskiego, reminiscencye Bacciarellowskie — lubo zdaje nam się, iż bardzo młody naówczas Marszałkiewicz] malował bohatera z pod Lipska i z natury w pałacu pod Blachą.

Pierwszym, który neoklasyczny kierunek Davida wprowadził do malarstwa polskiego, był Antoni Brodowski. Obdarzony wielkim wrodzonym talentem, zdołał on pozostać samodzielnym artystą wśród rzeszy David'owych epigonów. Ze stylu wprowadzonego przez francuzkiego mistrza, wzięł tylko powagę szerokich linii, właściwej swojemu temperamentowi szczerości w tłumaczeniu natury nie zatracił, ztąd utwory jego, współczesne mu fakty lub ludzi przedstawiające, dotychczas nie straciły na swej świeżości. Pojawienie się Brodowskiego na artystycznej arenie Warszawy, musiało niezwykle wywrzeć wrażenie. Dowodzi tego choćby i to, że Marszałkiewicz już jako dwudziestosiedmioletni człowiek, mający kilkoletnią praktykę malarską za sobą, zapisuje się w poczet jego uczni. Po Bacciarellim — Brodowski! Zmiana mistrza nastąpiła prawdopodobnie skutkiem zmiany pojęć, a wraz z nią w twórczości Marszałkiewicza uwidocznia się dążność do pogłębienia treści artystycznej swych portretowych produkcji. W tym czasie zaczyna się właściwie samodzielna działalność artysty; kopie ustępują miejsca z natury czerpanym wizerunkom.

W 1830 r. wyjeżdża Marszałkiewicz do Dreżna, gdzie słynęli naówczas znakomici miniaturzyści. Zwiedzanie bogatej galeryi korzystnie wpływa na rozwój jego techniki. Wróciwszy do Warszawy, staje się najmodniejszym portrecistą salonów warszawskich.

Zupełna kolekcya portretowych prac jego byłaby niezwykle ciekawą dla widza encyklopedyą wizerunków kilku pokoleń społeczeństwa polskiego. Panie nasze szczególnie ubiegały się o zaszczyt posiadania pięknej miniatury o przejrzystych barwach, wiernie i z finezyą karnacyę ich ciała uwydatniającą. Marszałkiewicz niezmordowanie pracuje, doskonalić się ciągle. — Wymagający, pragnący się bardziej jeszcze wydoskonalić w specyalności, w której za skończonego mistrza uchodził, wyjeżdża on w 1839 r. powtórnie za granicę — tymczasem do Wiednia. Amerling, znakomity miniaturzysta, oswaja go z techniką szerszą, i odtąd artysta nasz przyswaja ją sobie,



zarzucając punktowanie, jako zbyt suche i monotonne.

Cała karyera artysty rozwijała się w Warszawie, a trwała ona długie, długie lata. — Pozostawił po sobie z górą 1000 miniaturowych wizerunków. «Cyfra ta — pisze we wspomnieniu pośmiertnem Franciszek Tegazzo — nie wyda się przesadzoną, jeśli zważymy wielką niegdyś więtość tego artysty, a przytem że nie na długo, dopiero przed zgonem choroba oczna wytrąciła mu pędzel z ręki.»

Nie sposób wyliczać osobistości, które Marszałkiewicz wymalował. Nie ma zamożniejszej w Polsce rodziny, któraby nie posiadała jego prac.

Często bardzo malował dziadków, rodziców i dzieci, trzy pokolenia. Wiele z prac tych zdobi obecnie zbiory artystyczne amatorów pięknych miniatur. Szkoda wielka, że wystawa retrospekty-

wna lwowska żadnego dzieła Marszałkiewicza nie wystawiła — tym sposobem stała się szkoda artysty, który w swej specjalności w sztuce naszej nie miał rywa; — dzięki temu również hr. Mycielski w swem źródłowym opracowaniu stulecia malarstwa polskiego, Marszałkiewicza opuścił. Na wystawie retrospektywnej warszawskiej 1898 roku zamieszczono kilkanaście prac jego, należących do rozmaitych epok jego życia, a wśród nich ciekawy wizerunek ks. Józefa z Bacciarellego.

Cytowany przez nas Tegazzo tak charakteryzuje tego artystę: «Ś. p. Marszałkiewicz był człowiekiem rzadkiej uczciwości, przyjemnym w obejściu, koleżeńskim i wolnym od zawiści koteryjnych. Pomimo wielkiej w swoim czasie więtości, zostawił mienie nader skromne».

*Henryk Piątkowski.*



# Marcin Zaleski.

\* 1796 † 1877.

Rodzaj malarstwa, któremu poświęcił długie swe życie Marcin Zaleski, należy do najniewdzięczniejszych. Malując bądź zewnętrzne, bądź wewnętrzne widoki gmachów publicznych, linią i cyrkle ograniczać musiał rzuty swego pędzla, matematyczną ścisłością zastępować porywy twórczych zapędów.

Trzeba być niepoślednim malarzem, aby w zimną techniczną robotę, opartą na pomiarach, na linearnym rysunku, na drobiazgowym odтворzeniu szczegółów, wlać tę iskrę Bożą, która czyni z obrazu prawdziwe dzieło sztuki. Trzeba niezwykle rozmiłować się w zimnej powierzchni głazu lub tynku, aby wydobyć z krzyżujących się sieci prostopadłych i poziomych linii piętno poezji lub nastroju w tym stopniu, aby widzieć nie tylko

plan fasady lub wnętrza miał przed oczyma, lecz mógł odetchnąć powietrzem, fasadę tę otaczającym, lub odczuć atmosferę perspektywicznych oddaleń.

Marcin Zaleski był rzeczywistym artystą i pozostanie mu w historii malarstwa polskiego ta przedewszystkiem zasługa, iż pierwszy zdołał wlać duszę w przedmioty, za bezduszne przez jego poprzedników uważane. Malarstwo architektoniczne i perspektywiczne opromienił blaskiem swego talentu i dał mu życie.

W czasach mało podatnych rozwojowi sztuk plastycznych, Zaleski pracami swymi zdobył uznanie ogółu i nazwisko swe uczynił popularnem; długie lata zajmował jedno z przodujących stanowisk w dziedzinie, która u nas w Polsce po za nim jednego tylko Gryglewskiego wydała.

Marcin Zaleski urodził się 1796 r.



Ze współczesnego portretu rysował X. Pilatti.

*M. Zaleski*

w Krakowie, gdzie w bardzo młodym wieku wstąpił na wydział sztuk pięknych, niedługo jednak na nim przebywał, gdyż przed 1815 r. znajdował się już w Warszawie. Mając pewne początki malowania gwaszowego, mógł być użyty do pomocy ówczesnym dekoratorom teatrów warszawskich. Dekoratornia warszawska niezwykle cieszyła się wtedy rozgłosem, posiadała bowiem przez długie lata siłę tej miary co Bogumił Plersch, który zdrową tradycję w pracującą pod jego kierunkiem młodzież zaszczeplił. Gdy Zaleski wszedł do dekoratorni, tradycja pozostała, Plersch zaś dogorywał w klasztorze OO. Bonifratrów. Zdolności jego, przejawiające się od dzieciństwa, zwróciły odrazu nań uwagę miłośników sztuki. «Z ust własnych Zaleskiego — pisze profesor Gerson w artykule zamieszczonym w «Tygodniku Ilustrowanym» — mamy podanie o nadzwyczajnej bystrości spostrzegawczej i żywości wyobraźni, jaką był obdarzony. W czasie gdy pracował wraz z innymi nad dekoracją, mającą wyobrażać wnętrze sali balowej o marmurowych białych kolumnach, obrzuconych ze wszystkich stron jarzącym światłem żyrandolów, powstała w pracowni bardzo trudna kwestya do rozwiązania: jak wyobrazić te kolumny okrągłemi, gdy są ze wszystkich stron jednakowo oświetlone? Rozwiązał tę trudność młody Zaleski, oświetliwszy całe kolumny światłami podług linii prostej w podłuż, odbijającemi się niby w polerowanej powierzchni filarów, ponieważ zaś dla wydobycia olśniewającej białości musiały one być wykonane najwyborniejszemi gatunkami białej kredy angielskiej, używanej w malowaniu klejowem jako światło najwyższe, na środku położył czyste białe wapno i tem ostatecznie najwyższy połysk i okrągłość kolumn wy dobył.»

Równocześnie z pracami dekoracyjnemi Zaleski zaczął malować widoki Warszawy, wzorując się w pierwiastkowych onych utworach na dziełach słynnego Bernarda Bellotto, zwanego Canaletto. Po kilkoletniej usilnej w tym kierunku pracy, wysłany został przez rząd królestwa kongresowego do Francji dla dalszego kształcenia się. W Paryżu obok poważnych studyów w muzeach i pracowniach znakomitszych nauczycieli, Zaleski nie zaniedbywał swej specjalności dekoratorskiej. Powrócił do kraju już jako zupełnie wyrobiony artysta, o wysoko posuniętej technice, z wielką znajomością perspektywy, którą usilnie studyo-

wał. Gdy po kilkoletnim zagranicą pobycie znalazł się w Warszawie, jako dawny stypendysta rządowy, otrzymał od ówczesnego namiestnika ks. Paskiewicza zamówienie, wykonania kopii z cenniejszych obrazów Canalettego.

Pracę tę wykonał znakomicie, do złudzenia naśladowując sposób malowania mistrza. Po za tem otrzymał on ogromną liczbę obmalunków od przedstawicieli arystokracji. Liczna kolekcya dzieł Zaleskiego z tej epoki, stanowiąca pierwszy okres jego twórczej działalności, nosi wyraźne ślady wpływu Canaletta. Maluje nadzwyczaj dużo, każda zmiana w zewnętrznym wyglądzie Warszawy jest dlań pretekstem do obrazu, wyjeżdża prztem to do Krakowa, to do Wilna, to do Nieborowa, gdzie maluje widoki słynnej Arkadyi. Do cenniejszych prac z tego okresu należą: wnętrze zakrystyi Dominikańskiej w Krakowie, wnętrze kościoła św. Jana w Warszawie, widok zewnętrzny Marjańskiej świątyni w Krakowie, wnętrze św. Krzyża, plac i kościół Sakramentek ze sztafążem, wyobrażającym procesyę Bożego Ciała, widok zewnętrzny kościoła św. Jana, Ostra Brama w Wilnie, część wnętrza katedry krakowskiej, kaplica Sołtyka w tymże kościele, kaplica św. Stanisława, dziedziniec Akademii Krakowskiej, korytarze dominikańskie i wiele, wiele innych.

Ciekawe są wielce obrazy jego, osnute na tle Warszawy z miniaturowemi figurkami. Zdarzenia publiczne, procesye, polityczne nawet zajścia są przedmiotem obrazowych jego kompozycji, w których często nawet sylwetki znanych osobistości umieszczał.

Okolo 1840 r. otrzymuje Zaleski poważne zamówienie od ministeryum wojny, wymalowania zewnętrznych widoków fortec Królestwa Polskiego i Cesarstwa. To mu daje możność zwiedzania kraju i notowania w przejeździe ciekawszych miejscowości. Za pracę tę wraz z podziękowaniem otrzymał w darze od rządu pierścień brylantowy.

Wiele prac swych wykonywał również i akwarellą, jak np. cykl salonów pałacu Łazienkowski. Akwarelle jego są czyste, drobiazgowo jak olejne obrazy skończone.

Przez swój wyróżniający się talent i usilną pracę wyrobiwszy sobie w gronie warszawskich malarzy poważne stanowisko, nic dziwnego że z kolei został powołany na profesora w nowozałożonej naówczas szkole sztuk pięknych. W wydziale

malarskim tej szkoły otrzymuje w 1846 r. katedrę perspektywy wykreślnej. Obowiązki te spełnia bez przerwy do 1864 r. t. j. do zamknięcia szkoły, a nawet przez lat parę pozostaje na tymże stanowisku (do 1868 r.) w szkole rysunkowej.

Praca pedagogiczna nie wytrąca Zaleskiemu pendzla z ręki. Do ostatnich prawie lat swego życia mnoży bogaty dorobek artystyczny, odtwarzając ze zdumiewającą sumiennością i wprawą to wszystko, czem się kraj nasz w dziedzinie budownictwa pochlubić może.

«Ktokolwiek zwiedzał a pamięta — pisze prof. Gerson — wystawy sztuk pięknych, odbywane w Warszawie w latach 1841 do 1845, przypomni sobie wrażenie, jakie prace Marcina Zaleskiego na patrzących wywierały. Prawda bez przesady, bez gonienia za sztucznymi efektami, jest cechą charakterystyczną tych prac, poprawność rysunku perspektywicznego, dotknięcia śmiałości, pewne, koloryt czysty, zalecają je, zjednywają patrzącego tak, iż zdaje się, jakbyśmy wejść mogli pomiędzy te mury, oddychać ciepłem słońcem lub chłodem, panującym pod wysokimi ścianami». Trudno pamięcią pochwycić wszystkie prace tego znakomitego malarza perspektywicznego, którego i w obec zagranicznej sztuki powstydić się nie potrzebujemy.

Od chwili założenia Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, Zaleski już jako sędziwy artysta staje w szeregu wystawców i wraz z młodszymi kolegami zasila nową instytucję swemi dziełami. Jedno z tych dzieł, a mianowicie: «Wnętrze ka-

tedry św. Jana», staje się własnością zbiorów tegoż Towarzystwa.

W styczniu 1871 r. Zaleski obchodził złote wesele pożycia małżeńskiego. To było powodem urządzenia na jego cześć wielce miłej manifestacji. Cała ówczesna kolonia malarzy ofiarowała mu album z fotografiami i z dedykacjami — fakt rzadki w sferach artystycznych a dowodzący ogólnej sympatii, jaką się cieszył.

Zmarł w połowie września 1877 r. w Warszawie, żalowany powszechnie.

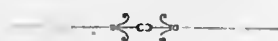
Działalność malarska Marcina Zaleskiego obok znaczenia czysto artystycznego ma bez zaprzeczenia znakomitą doniosłość historyczną i obyczajową. W ogromnej ilości obrazów, z których pierwsze sięgają 1820 r. a ostatnie po za 1870 r. wybiegają, był on wiernym kronikarzem Warszawy z jej ruchem ulicznym, sylwetkami domów, gmachów publicznych i świątyń pańskich. W półwiekowym tym okresie charakter minionej epoki uplastycznia się nader żywo w dziełach Zaleskiego, a każdą zmianę w zewnętrznym wyglądzie Warszawy łatwo z dzieł jego w umyśle swym odzwierciedlić. Zaleski malował swoje widoki z zamięłowaniem, mury przemawiały do niego z taką siłą, jak postać ludzka lub krajobraz przemawiają do innych artystów. Gdyby kiedy Warszawa doszła do posiadania własnego muzeum sztuki i w niem znajdowałby się dział, specjalnie przeszłości jej poświęcony, wszystkie dzieła Zaleskiego pierwszorzędne miejsce znaleźć by tam musiały.


*Henryk Piątkowski.*



# Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński.

\* 1822 † 1895.



 październiku 1861 r. umarł arcybiskup warszawski, metropolita, ks. Antoni Melchior Fijałkowski. Po jego śmierci rządy diecezji sprawował ks. prałat Białobrzski, wybrany na administratora na posiedzeniu kapituły, odbytem w tymże samym miesiącu i roku. Ten stan tymczasowy trwał z rozmaitemi zmianami do dnia 9 lutego 1862 r. W tym to czasie przybył do Warszawy, przyodziały godnością arcybiskupa metropolity, ksiądz Zygmunt Szczęsny Feliński.

Wyszłe w Krakowie pamiątki arcybiskupa Felińskiego dają nam poznać przebieg życia jego, a oprócz tego jasno malują obraz życia narodowego z tej epoki, — obraz wierny, skreślony z prostotą, świadczący o rzeczywistym talencie pisarskim autora. W przedmowie do »Pamiętników ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego« Stanisław Smolka takie wypowiada zdanie: »nie ma może książki, któraby lepiej dozwalała zajrzeć w głąb duszy całego pokolenia« — słowem zalicza tę pracę ks. Felińskiego do najlepszych utworów naszej literatury pamiątkowej.

Lata pachołące przyszłego autora i dostojnika kościoła upłynęły przy boku ojca, Gerarda, i matki, Ewy z Wendorffów, na Wołyniu w rodzinnej wiosce, Wojutynie, gdzie przyszedł na świat 1 listopada 1822. Kilkoletnim chłopcem wraz z matką i rodzeństwem przebywał w rodzinnym majątku matki, Zboroszowie pod Beresteczkiem. Tu pobierał pierwsze nauki od guwernerów i te czasy zalicza do najmiłszych chwil swego życia. Po czterech latach pobytu w Zboroszowie przeniosła się pani Felińska z dziećmi do

Wojutyna, zmuszona do tego pożarem dworu, a z wielkim żalem zarówno małego »Fila«, — bo tak go w rodzinie nazywano — jak i jego młodszego rodzeństwa: brata Juliana i dwóch siostr, Zofii i Pauliny. Od czasu wyjazdu do Zboroszowa Zygmunt Szczęsny Feliński pozostawał wyłącznie pod opieką matki, gdyż ojciec zajęty urzędowaniem, przebywał w Żytomierzu.

Po powrocie do Wojutyna oddano obu braci do szkoły parafialnej w Nieświeżu. Zaburzenia polityczne w kraju przerwały na czas pewien naukę chłopcom i dopiero w r. 1833, zaraz po śmierci ojca, oddano młodego Feliksa do szkół w Łucku. Na wiosnę 1837 r. cała rodzina przeniosła się do Krzemieńca, lecz i tu nauka młodych Felińskich niedługo trwała, bo w niespełna rok wypadki polityczne spowodowały zesłanie pani Felińskiej do Berezowa, a opuszczone sieroty dobrzy ludzie rozebrali na wychowanie. Opiekunem młodego Feliksa został Zenon Brzozowski, zamożny obywatel z Pobereża, i zabrał do swego majątku, Sokółówki. Tu postanowiono, aby Feliński, który miał szczególne upodobanie do nauk ścisłych, kształcił się na inżyniera i aby poczynił starania o przyjęcie do korpusu dróg komunikacji w Petersburgu. Starania te jednak, z powodu zesłania matki, nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Po naradzie z opiekunem postanowiono, aby Feliński wstąpił na wydział matematyczny uniwersytetu moskiewskiego. Zaopatrzony w list polecający do kuratora hr. Strogonowa, został bez trudności przyjęty i w poczet studentów zapisany. Życie studenckie w Moskwie jednoczyło przebywających tam polaków w ścisłe koło, do którego nikt oprócz



kolegów nie był dopuszczony. Po ukończeniu uniwersytetu pozostał jeszcze Feliński w Moskwie przez rok w służbie rządowej, aby na zasadzie uzyskanego stopnia naukowego otrzymać rangę państwową. Wkrótce po jej otrzymaniu wyruszył do Sokołówki, majątku swego opiekuna, i tu wspólnie z nim obmyślił plany co do swojej przyszłości. Stało na tem, że Feliński dla dokończenia edukacji miał wyjechać na trzy lata zagranicę, a po powrocie zająć się wychowaniem dzieci swego opiekuna. Dwa lata oczekiwał Feliński na otrzymanie pasportu, czyniąc przez ten czas wycieczki do Kijowa i do matki, która wtedy właśnie powróciła do kraju i w Wojutynie zamieszkała. W tym okresie przypada znajomość Felińskiego z Kraszewskim w Gródku i wielki wpływ dzieł Krasińskiego, wpływ, któremu uległ szczególnie po zapoznaniu się z jego ideą posłannictwa narodów. Zaszły w tym czasie wypadki galicyjskie opóźniły wyjazd Felińskiego, tak że dopiero w drugiej połowie roku 1847 mógł wyruszyć w daleką wędrówkę, która pociągała ku sobie urokiem ciekawości 25-letniego młodzieńca. Przez Lwów, Kraków, Wiedeń, Czechy, Saksonię, Berlin, a w końcu Brukselę podążył do Paryża. Podróż ta przyniosła wiele korzyści młodzieńcowi, który już bystrem okiem obserwatora poznawał pamiątki i stosunki miejscowe oraz wybitnych swoich rodaków, co później z przedziwną świeżością pamięci opisał w swych pamiętnikach. Przyjechawszy do Paryża, chciwy nauk i poznania osiadłych tu emigrantów, Feliński szerokie ponawiały stosunki, dobrze wszędzie widziany tak dla swych osobistych przymiotów, jak i przez wzgląd na stosunki rodzinne i osobę matki. Umieściwszy się—jak pisze w pamiętnikach—w prywatnym studenckim konwiktzie, w samem sercu łacińskiej dzielnicy wielkiego miasta, zaczął uczęszczać na wykłady najznakomitszych ówczesnych profesorów. Czerpiąc naukę, ówczesna młodzież miała niebezpieczny do zwalczania szkopuł, o który rozbił się niejednen umysł, trudność polegała na pogodzeniu najsprzecznějších teorii, bez popadnięcia w sceptycyzm naukowy i w zwątpienie religijne, co w zupełności udało się Felińskiemu. Stosunki z emigrantami również nie mało kłopotu przysporzyły przybyśszowi, gdyż powstałe w łonie emigracji stronnictwa polityczne sprawiały chaos, dla obcego niezrozumiały i niemiły. Szczególniej niechęć i złe

usposobienie partii demokratycznej względem osoby księcia Adama Czartoryskiego głęboko dotknęły młodego studenta.

Zapewne okoliczności, że, jako znany od dziecka matce Słowackiego, był przez nią synowi polecony, zawdzięczał Feliński serdeczne przyjęcie u wielkiego poety. Wkrótce obydwaj do siebie przyłgnęli, i ten serdeczny ich związek przerwała dopiero śmierć poety. Dłuższy pobyt w Paryżu rozszerzył zakres stosunków Felińskiego, i tak upłynął mu czas wśród pracy naukowej i obcowania z ziomkami, na emigracji zamieszkałymi. Przetwał też Feliński lutową i czerwcową rewolucję na paryskim bruku i był naocznym świadkiem tego, co się na tem krwawem polu działo. Po tych rozruchach wyjechał na jakiś czas z Paryża, porwany ówczesnym ruchem w Poznańskiem, a za powrotem zastał dogorywającego Słowackiego, który też na jego rękę skonał. Felińskiemu przypadło w udziale zebranie pozostałych po mistrzu rękopisów, które uporządkował i odesłał rodzinie.

Cały okres pobytu w Paryżu pozostawił niezatarte piętno na umyśle i sercu Felińskiego. Nauka, wpływ tylu znakomitych rodaków i obcowanie z Juliuszem przekształciły młodzieńca w dojrzałego męża. Dopiero rewolucya francuzka i za nią idące polityczne wstrząśnienia całej Europy, a wreszcie nieszczęśliwie umieszczone uczucie wyegzaltowały jego duszę i wprawiły w bolesne ośrętwienie, z którego jedyną ucieczkę widział w śmierci,— w śmierci nie samobójczej, lecz takiej, któraby mimowoli skróciła dni jego.

Niezwykłe zdarzenie, które sam opisuje, wyleczyło go z tego chwilowego upadku ducha. Mieszkając w lecie w St. Germain pod Paryżem, pewnego dnia po męczącej bezsennej nocy zasnął nad ranem snem twardym i ujrzał nad sobą widmo śmierci, okryte białym całunem. »Pragnąłeś śmierci, oto ją masz!«, przemówiło widmo, schylone nad młodzieńcem. Po przebudzeniu przejęty strachem, Feliński spostrzega przed sobą białą postać i jednocześnie zadaje sobie pytanie, czy gotów jest stanąć przed obliczem Boga. Jakkolwiek okazało się, że było to tylko złudzenie wyobraźni, wywołane zarzuconą na krzesło bielizną, wypadek ten jednak wywarł na Felińskim tak wielkie wrażenie, że od tej chwili postanowił poświęcić się służbie bożej. Jakoż wróciwszy do kraju w styczniu 1851 r. po kilku tygodniach pobytu przy



Według portretu społecznego.

L. Steinhilber

matce, jesienią tegoż roku wstąpił do seminarium w Żytomierzu, mając wtedy lat 28. Tutaj podczas całorocznego pobytu miewał młody kleryk wiele chwil niepokoju i zwątpienia, trwożąc się o prawdziwość swego powołania, lecz znów głos wewnętrzny umocnił go w postanowieniu, a światło rady i wpływ ks. Ożarowskiego, przewodnika młodego alumna, wlało w jego serce ufność i wiarę w prawdziwość powołania, wszelkie odtąd pod tym względem wątpliwości usuwając. Kiedy po skończonych rekolekcjach przywdział duchowną sukienkę, był już wtedy nie tylko zupełnie utwierdzonym, ale rzeczywiście z całym zapalem powołaniu swemu oddanym kapłanem. Pośród znacznie młodszych od siebie kolegów zajął Feliński od razu dominujące stanowisko, przewyższając ich siłą charakteru, rozległością wiedzy i zamiłowaniem powołania. Jakkolwiek mało przygotowany w łacinie, przez wzgląd na ogólne szerokie wykształcenie został Feliński szybko wyróżniony, tak że po dwóch miesiącach przeszedł na kurs drugi, w pół roku na trzeci, a w rok potem wysłano go do akademii duchownej w Petersburgu pod bezpośredni wpływ biskupa Hołowińskiego, pełniącego jednocześnie obowiązki rektora i profesora homiletyki. Pod takim przewodnictwem kształciły się umysł i dusza młodego kapłana. Zwracając na siebie uwagę zwierzchników, Feliński otrzymał święcenia bardzo szybko, bo już w r. 1855 w dzień Narodzenia M. B. Pomimo niezdrówia, ceremonii dopełnił sam arcybiskup Hołowiński w kaplicy akademickiej i rzeczywiście Feliński był ostatnim wyświęconym przezeń kapłanem. Po wyświęceniu przeniósł się ks. Feliński na stałe mieszkanie do Dominikanów w Petersburgu i tam przetrwał chwile rozterki, wynikłej po śmierci Hołowińskiego między ks. Żylińskim, domniemanym jego następcą, a prałatem Fijałkowskim, najzaciętszym wrogiem nieboszczyka. Następcą Hołowińskiego, metropolita Żyliński, mając zamiar nowego kapłana zostawić przy sobie w Petersburgu, przeniósł go do swojej diecezji i mianował wikaryuszem przy kościele Św. Katarzyny. W r. 1856 został Feliński magistrem teologii, a w roku następnym kapłanem czyli ojcem duchownym alumnów akademii, a także profesorem logiki i etyki w tejże akademii. Na tem stanowisku odznaczał się młody kapłan nadzwyczajną skromnością i pokorą. W roku 1862

Papież Pius IX zatwierdził ks. Felińskiego na arcybiskupa i metropolitę warszawskiego. Akt konsekracji, przez metropolitę Żylińskiego dokonany, odbył się 29 stycznia 1862 r. w kościele maltańskim w asystencji rektora akademii Bereśnicwicza (dziś biskupa kujawsko-kaliskiego) i Platera (dziś nieżyjącego). Po nowego dostojnika kościoła pojechali z kapituły warszawskiej dwaj prałaci: ks. Szczygieski, profesor akademii duchownej, i ks. Budziszewski, proboszcz ze Słomczyna pod Warszawą. Opisując tę uroczystość w swoich »Pamiętnikach«, ks. Feliński dodaje: »w czasie ceremonii, zaofiarowany przez Cesarza pastorał rozszedł się w spojeniach i o mało całkiem się nie złamał, z czego przesądni złą wróżbę dla trwałości mego zarządu wyprowadzili«.

Nowy arcybiskup przybył do Warszawy 9 lutego, a 16-go odbył ingres na katedrę i rozpoczął działalność swoją otwarciem kościołów, dotąd zamkniętych. Naprzód odbyło się otwarcie kościoła archikatedralnego\*).

Były to czasy tuż przed powstaniem i samego powstania.

Z postawieniem nogi na ziemi warszawskiej rozpoczęło się ciężkie posłannictwo Felińskiego. Miał spełnić zadanie arcytrudne: zażegnać wrzenie i manifestacje w społeczeństwie polskim, wywołane wskutek ostatnich wydarzeń dziejowych pragnął z przekonania i sercem szerzyć pokój, a powinności swe mierzył miarą, podaną mu przez religię.

W Warszawie znalazł się po raz pierwszy, sam jeden, bez przyjaciół osobistych i, jako młody kapłan, bez doświadczenia i rutyny, poprzedzony przytem nieufnością opinii podrażnionego ogółu. Słowem, rzucał się w groźny odmet, gdzie nadziei powodzenia prawie nie było, niebezpieczeństwo zaś na każdym kroku wielkie. Istotnie, pierwsze przemówienia jego, zarówno do duchowieństwa jak i do zgromadzonego tłumu, położyły kres śpiewaniu pieśni patryotycznych po kościołach, przywracając spokój i powagę nabo-

\*) Przy tej ceremonii znajdowałem się osobiście, jako alumn seminarium Św. Jana, przeznaczony do trzymania księgi, z której arcybiskup czytał odpowiednie ceremonie i modlitwy. Będąc tak blisko arcybiskupa, widziałem jego twarz nadzwyczaj smutną i nawskroś przejętą ważnością chwili.

(Przyp. autora).

zeństw. Narazie było to wiele, ale naród tak źle usposobiony był do Felińskiego, że nawet w kościele okazywał mu nieposłuszeństwo i nieuszanowanie.

Pomimo troski, wynikłej z takiego położenia, młody arcybiskup wziął się energicznie do reformy wewnętrznej i zewnętrznej w całej archidiecezyi. Akademia duchowna i seminaryum były w opłakanym stanie pod względem zdrowia i niezbędnych wygod; poczynił więc starania, aby złemu zaradzić. Że te starania nie skończyły się na niczem, świadczy, że raz zwrócona uwaga wywołała w krótkim czasie lepsze pomieszczenie tak dla akademii, jak i dla seminaryum. Nie mniejszą troskliwość okazał arcybiskup w reformie wewnętrznej w akademii duchownej. Sprowadził na profesora teologii dogmatycznej brata swego, Juliana, który był zarazem spowiednikiem alumnów akademii; katedrę pisma św. powierzył ks. dr. Jażdżewskiemu, późniejszemu posłowi do rady państwa w Berlinie; nadto sprowadził z Krakowa ks. Zygmunta Goliana. Otaczał się arcybiskup kapłanami wielkiej zacności, jak ks. Ożarowski, ks. biskup nominat Rzewuski, ks. Domagalski, ks. Kosowski, ks. Morawski i przy ich pomocy urządzał rekolekcyje po kościołach warszawskich. W kościele katedralnym miewał często przemówienia z ambony lub z estrady, urządzonej na ten cel w presbyteryum. W zarządzie diecezji arcybiskup Feliński odznaczył się wielką gorliwością w urządzeniu konsystorza i prowadzeniu przybocznej kancelaryi, jak również w wizytowaniu kościołów warszawskich i całej diecezji, poprzestając wszędzie na najskromniejszym przyjęciu, aby nie obarczać parafii wydatkami. Pałac swój, niegdyś króla Stanisława, na rogu ulicy Żytniej i Żelaznej, przeznaczył dla »Rodziny Maryi«, którą jako filię petersburskiej, także przez siebie założonej instytucyi, ustanowił w Warszawie. Opodal zaś pomieścił drugą instytucyę, Matek Dobrego Pasterza, zwaną powszechnie Magdalenkami, które do dziś dnia z wielkim skutkiem pracują nad nawróceniem zbłąkanych dzieci.

Podczas tej energicznie i wszechstronnie rozpoczętej działalności arcybiskupa Felińskiego padły pierwsze strzały rewolucyjne. Tknięty tem do żywego, arcybiskup napisał do cesarza list z prośbą, ażeby zaprzestano krwi rozlewu; sam zaś

wstawiał się u władz za uwięzionymi i starał się łagodzić ich dolę. List do cesarza złożył arcybiskup na ręce W. Ks. Konstantego, który jednak nie chciał podjąć się tego pośrednictwa. Wtedy arcybiskup podał się do dymisyi z rady stanu, ale i tej ks. Namiestnik nie przyjął. Naraz ukazał się list arcybiskupa do Cesarza we francuzkim Monitorze, bez wiedzy autora ogłoszony. Wtedy ks. Namiestnik dał znać o wszystkim Cesarzowi, skutkiem czego arcybiskup wezwany był do Gatczyny, dokąd wyjechał 13 czerwca czerwca 1863 roku w towarzystwie pułkownika Sierzputowskiego. W Gatczynie przybyli do niego z polecenia Cesarza: minister Płatonow, szambelan Kiriejew i ks. Mieszczerskij na konferencyę polityczną. Gdy jednak poglądy arcybiskupa nie uzyskały aprobaty monarszej, otrzymał rozkaz wyjazdu do Jarosławia, gdzie pozostawał aż do roku 1883, w którym rezygnował z arcybiskupstwa na ręce Papieża Leona XIII.

W czasie pobytu w Jarosławiu nabył arcybiskup tamże na własność dom obszerny, gdzie urządził kaplicę, do której miejscowi katolicy uczęszczali na nabożeństwo. Kapłanem arcybiskupa w Jarosławiu był ks. Leon Potocki, a następnie ks. Dowgiałło. Kiedy Papież Leon XIII skłonił ks. Felińskiego do rezygnacyi z arcybiskupstwa warszawskiego, mianując go za to arcybiskupem Tarsu *in partibus infidelium*, naówczas rząd wydał ks. Felińskiemu pasport zagraniczny i zapewnił dożywotnią pensyę z warunkiem zamieszkania zagranicą. Wtedy arcybiskup wyjechał na jakiś czas do Rzymu, lecz, przywykły do pracy, nie mógł długo pozostawać bezczynnie. Nauczywszy się po bułgarsku, miał zamiar poświęcić się misyom religijnym w Bułgarii; zamiaru tego jednak zaniechał i zamieszkał w Galicyi, we wsi Dźwiniaczce, majątku hr. Koziembrodzkich, dając lekcyje ich dzieciom i pracując w kościele jako kapłan. Czas, wolny od tych zajęć, poświęcał literaturze i z tej epoki mamy jego »Konferencyę duchowne«, »Wiedza chrześcijańska i bezbożna wobec zadań społecznych«, »Wspomnienia z życia i zgonu arcybiskupa Ig. Hołowińskiego«, »Wiara i niewiara w stosunku do szczęścia społecznego«, »Paulina, córka Ewy Felińskiej«, »Stosunek trzech najznakomitszych wieszczów naszych do Kościoła« (»Świat«, Kraków 1888), wreszcie w tejże epoce skreślił doniosłego znaczenia, wy-

mienione powyżej dzieło — swoje »Pamiętniki«, dopiero po jego śmierci drukiem ogłoszone.

W roku 1895, oddawna już cierpiący arcybiskup Feliński, powracając z Karlsbadu, 17 września umarł w Krakowie. Pogrzeb odbył się kosztem miasta, a zwłoki chciano pochować w kościele na Skalce, w grobach zasłużonych Polaków i czasowo złożono je na cmentarzu krakowskim; wszakże później, stosując się do woli nieboszczyka, przewieziono je do grobów rodzinnych hr. Koziebrodzkich w Dźwiniączce na Podolu galicyjskim, gdzie pogrzeb odbył się 26 września tegoż roku.

Przewidujący i szczęśliwy w działaniu kapłańskim i społecznym, nie był takim na polu

politycznym. Rządząc się sercem i prawdą, dyktowaną mu przez głęboką wiarę, nie zadowolnił obu stron, dla których szczerze chciał być łączącym ogniwem. Wychowany zdala od tego społeczeństwa, na którego losy chciał wpływać, nie znał go dobrze, nie znał też rozmiarów rany, którą chciał goić balsamem swego serca i najlepszych pragnień. Zrozumiał to poniewczasie; a rozczarowany, że kierując się prawdą, nie osiągnął celu, i naraził się tylko, odsunięty od działania publicznego, kreślił swe »Pamiętniki« i dokonał pracowitego żywota jedynie w służbie bożej, powszechnie niezrozumiany i niedoceniony.

*X. T. Matuszewski.*





# Piotr Michałowski.

\* 1800 † 1855.

**W**szelkie kataklizmy dziejowe, a choćby nawet przewroty polityczne, skutkiem nieznanym nam praw rządzących rozwojem twórczości artystycznej, miasto nasycać nowymi sokami grunt, na którym twórczość ta stopniowo się rozwija, bardzo często wyjaławiają go zupełnie i na okres mniej lub więcej długi oddziałują szkodliwie. Objaw taki szczególnie widzieć się daje w sferze sztuk plastycznych, których zenitowe blaski każda społeczna rewolucja przyćmiewa, jeżeli nie zupełnie gasi.

Stan rzeczywistego marazmu, jakby martwoty bezdusznej, nigdy w malarstwie polskim nie zazna-  
czył się z większą siłą, niż w latach idących bezpośrednio po 1830 r. Pomiedzy 1830 a 1850 rokiem malarstwo polskie wegetuje zaledwie. Koniec XVIII

wieku zapisuje przynajmniej nazwiska: Konicza, Czechowicza, Stachowicza, a po za granicami kraju Chodowieckiego i Kucharskiego. Na początku

XIX stulecia jaśnia imiona: Płońskiego, Wojniakowskiego, Orłowskiego, wreszcie Antoniego Brodowskiego. Czas porewolucyjny tchnie zupełną pustką, zupełnym brakiem pierwszorzędnych talentów, a uznani przez współczesnych: Suchodolski, Kaniewski, Lesser, Stattler i inni, zadawalają wprawdzie estetyczne wymagania epoki, pracami jednak swymi nie wybiegają po za skalę przeciętnej produkcji.

Zdawałoby się na-  
pozór, że iskra elektryczna, jaka przeszła przez wszystkie słoje ustroju społecznego w epoce, brzemiennej pod względem politycznym i moralnym niezwykłą burzą, powinna była poruszyć i te jedno-



*Piotr Michałowski.*

stki, które mają możność uczucia swe i myśli plastyczną mową wypowiedzieć. Wśród istnego pustkowi na niwie sztuki polskiej w wyżej wymienionym dwudziestoletnim okresie, jednostka taka nie pojawiła się, nie znalazł się ani jeden artysta, któryby działalnością swoją silnie zaznaczył piętno właściwe czasu i wyjątkowej chwili przełomu, któryby utworami swymi — jak późniejszy Grotger — nie tylko wypowiadał, lecz charakteryzował epokę.

Stała się natomiast rzecz nieoczekiwana i niespodziewana. Na firmamencie młodocianego malarstwa polskiego ukazała się gwiazda pierwszej wielkości, odosobniona, bo niezwiązana niczem z mgławicami, zalegającymi ówczesne horyzonty, a której było danem w dziedzinie plastyki nie charakteryzować, lecz wyprzedzić epokę.

Gwiazdą tą był Piotr Michałowski.

Stanowisko Michałowskiego w malarstwie polskim zarysowuje się w właściwym świetle dopiero teraz i potęguje się coraz bardziej; na tle współczesnych mu prądów estetycznych i stanu pojęć, za jego czasów panujących, postaci tej tak wspaniałej istotą swego talentu, nie znać prawie wcale. Ceniło go szczupłe grono przyjaciół i nielicznych znawców sztuki, ogół nie pojmował go a i dotychczas jeszcze odczucie należyte jego wiekopomnej działalności przystępnem jest dla wybranych zaledwie. Niepotrzeba dodawać, że mówię to o kraju, gdyż zagranica od chwili zjawienia się Michałowskiego na rynkach artystycznych zachodniej Europy, uznała go odrazu za mistrza.

Wobec tak małego u nas spopularyzowania nazwiska tego artysty, niezwykłą trudność przedstawia wykazanie znaczenia, jakie ma w historii sztuki naszej, a także właściwe określenie istoty jego artystycznej natury. Moralną jego postać można zaledwie uzmysłwić, i to na silniejsze akcenta brak materiałów. Większość dzieł jego dotychczas jeszcze spoczywa w rodzinnym sanktuarium, źródło biograficzne fragmentowo odnaleźć można rozrzucone w pismach lub pamiętnikach współczesnych, a na wyczerpujące studium o życiu jego i działalności przyjdzie może czekać długie jeszcze lata.

Michałowskiego jako człowieka znamy z luźnych urywków, dotyczących jego społecznej pracy — Michałowskiego jako malarza, domyślamy

się raczej, niż widzimy z nielicznych, znanych z wystaw, dzieł jego. Ta mała jednak doza wiadomości wystarcza, aby choć w przybliżeniu ocenić właściwą miarę jego zasług dla kraju i dla sztuki. Jak z jednej wynalezionej przypadkiem kości mamuta czy mastodonta, uczony anatom mógł wyrysować całą jego postać i dać wyobrażenie o olbrzymich jego rozmiarach, tak samo z fragmentów, dotyczących Michałowskiego, można wykrzesać iskrę, która z półmroku wydobędzie na światło niezwykle tego człowieka a bardzo wielkiego artystę. Będzie to zarys zaledwie, bez drobiazgowości szczegółów, bez subtelniejszych odcieni, ale i zarys w obecnym wypadku, gdy się jest wobec podobnej Michałowskiemu postaci, może mieć swe znaczenie.

Znane nam odłamki artystycznej Michałowskiego puścizny noszą tak wyraźne ślady mistrzostwa, tak jasno wykazują olbrzymią jego wiedzę, wyrobienie fachowe, i cel, do którego twórczością swą dążył, że z łatwością odbudować sobie można w umyśle całokształt jego artystycznej natury. Co do człowieka, z nielicznych wspomnień o nim pozostałych, można również odtworzyć wewnętrzny stan jego duszy, poznać bliżej charakter niezłomny, — śmiało rzec można — spżowy, prawdziwego obywatela kraju.

Michałowski nie jest jednak wyłącznie artystą. Sztuka jest jedną z gałęzi jego urozmaiconej niezwykle działalności. Wyjątkowe znaczenie dla sztuki polskiej, jakie malarstwem swoim posiadał, jest częścią jego zasług, zasług takich widnieje cały korowód na wielu polach pracy społecznej. Jest on więc przede wszystkim obywatelem, kraj swój miłującym, i jako takiego widzimy go wszędzie, gdzie kraj lub społeczeństwo potrzebuje ludzi czynu, serca i energii. Jest on kolejno: obiecującym muzykiem, uczonym filologiem, lingwistą niepoślednim, przyrodnikiem, następnie urzędnikiem ministerium skarbu, dyrektorem górnictwa i hutnictwa w temże ministerium, działaczem społecznym, przepłacanym na wagę złota znakomitym malarzem, gospodarzem wiejskim wzorowym, naczelnikiem rządu W. Ks. Krakowskiego, humanistą zakładającym schroniska dla ubogich, prezesem Towarzystwa rolniczego i t. d. Jak słusznie pisze Sobieszczański, ogół myślał, że równocześnie istnieje kilku Michałowskich, «z któ-

rych jeden jest głębokim mędrce, inny pierwszorzędnym malarzem, inny znowu wielkim filologiem i znakomitym mężem stanu, wzorowym administratorem rządowym i takimże gospodarzem».

Mąż, który w tak różnych specjalnościach odznaczył się istotną zasługą, był już tem samem niezwykle zjawiskiem. W każdym zawodzie dochodzi do szczytu doskonałości z niewypowiedzianą łatwością, przeistacza się w fachowca i pogłębia rzecz każdą, do której się dotknie.

Przechodząc szczegóły biograficzne, będziemy mieli sposobność kolejno zaznajomić się z rozmaitemi działami pracy społecznej Michałowskiego, zmuszeni jednak streszczać się z konieczności, uczynimy to jak można najwięcej.

Piotr Michałowski, potomek starożytnego rodu Jasieńczyków z Michałowic Michałowskich, urodził się w Krakowie dnia 2 Lipca 1800 roku, z ojca Józefa, senatora Rzeczypospolitej krakowskiej i Tekli Morsztynówny z domu. I stosunkami i tradycją rodzinną ród ten należał do arystokratycznych, w sferze więc najwykwintniejszego otoczenia młody Piotr spędził swe lata dziecińcze i młodzieńcze, a były to czasy niezwykle ciekawe. Cała epopeja Napoleńska, Księstwo Warszawskie, ciągle przechody zwyciężkich lub zwyciężonych armii, emigracye i t. d., przesuwały się przed oczyma późniejszego mistrza pendzla, jak barwna wstęga, pobudzając młody umysł do coraz to innych wrażeń. Dom rodziców Piotra słynął z gościnności i w salonie swym jednoczył wszystko, co Kraków posiadał wybitniejszego, bądź stanowiskiem społecznem, bądź sławą lub zasługą. Duszą zebrania była pani Michałowska, osoba wyjątkowych przymiotów i którą, jak pisze jeden z pamiętnikarzy, «żaden cień, żaden zarzut w tem z obyczajów dość wolnem mieście nie dotknął, gdyż była bez skazy najmniejszej».

Piotr Michałowski już w szesnastym roku życia zaczyna zwracać na siebie uwagę tych wszystkich, co go znali. Po bardzo starannej pierwiastkowej domowej edukacji, jest on już wtedy słuchaczem krakowskiej Wszechnicy, i to pod okiem najznakomitszych profesorów, jak Münich, Bandtke, Markiewicz i t. d., jest przodującym uczniem, szczególnie w matematyce i filozofii. Kształci się równocześnie w malarstwie pod Józefem Brodowskim i Lampim, a w muzyce pod Gorączkiewiczem. Ten ostatni namawia go na-

wet do poświęcenia się specjalnie muzyce, upatrując w młodym swym uczniu nadzwyczajne uzdolnienie.

Drogą, którą zdawało się że pójdzie, była filologia. Z całym zapalem młodości zabrał się do poznania języków i literatur tak starożytnych jako też i nowoczesnych. W 1819 r. wyjeżdża dla dalszych w tym kierunku studyów do Getyngi, gdzie pracuje przez lat cztery.

Powróciwszy do kraju, w 1823 r. po krótkim pobycie w Krakowie, wyjeżdża do Warszawy. Obok chęci zużytkowania sił swoich dla dobra ojczyzny na szerszem polu działalności społecznej, pociągały Michałowskiego do Warszawy najbliższe związki rodzinne, gdyż siostra jego, zamężna za Antonim Ostrowskim, prezesem senatu, zamieszkiwała naówczas stolicę królestwa kongresowego. W Warszawie wstępuje Michałowski do komisji skarbu, którego widoma głowa, książę Lubecki, bierze go do swego boku.

Snadź żywy umysł i wzbogacona wyższą kulturą inteligencja byłego studenta z Getyngi, przypadły do serca potężnego ministra, gdyż w ciągu roku widzimy dwudziestoczteroletniego Michałowskiego na czele wydziału górnictwa Królestwa Polskiego. Ważne to i odpowiedzialne stanowisko zajął człowiek na pozór nieprzygotowany do tak specjalnych zajęć, zajął je niedawny filolog, młody, nieobyty ze służbą, paromiesięczny zaledwie urzędnik.

I tu odrazu okazuje się, kim był Michałowski. Zaledwie rozejrzał się w szczegółach powierzonej mu administracji, przystępuje do jej reorganizacji, zaczynając od podwalin. Archiwum b. komisji skarbu posiada ciekawe dowody jego energicznej, żywotnej działalności w licznych projektach, sprawozdaniach, memoriałach. «Orłem okiem odgaduje wady ludzi i organizacji, żelazną energią kruszy wszystko, co mu stawia zapory obudza nienawiść i potwarz, sarkania i denuncjacye — ale minister dotrzymuje mu zaufania, on ministrowi dotrzymuje słowa».

Pragnąc powierzoną mu gałęź wielkiego przemysłu na szersze popchnąć tory, wyjeżdża Michałowski w 1827 roku do Francji i Anglii dla studyowania na miejscu tamtejszego górnictwa. Zwiedza konno kopalnie, huty i fabryki, bada najnowsze wynalazki. Przy tej sposobności jednak dawny uczeń Lampiego (syna) zapoznaje się z ru-

chem artystycznym Zachodu na wystawach i w pracowniach znakomitszych artystów.

W czasie swego pięcioletniego urzędowania w Warszawie, po za pracą biurową zajmuje się wciąż malarstwem. Znanie są jego prace, przeważnie akwarele z tej epoki, wyobrażające z pewnem zacięciem, znamionującym bezwarunkowo talent, wykonywane typy i sceny żołnierskie, konie, zaprzęgi, portrety nawet. Prace te od ręki robione, jako utwory zdolnego amatora, rozchodziły się pośród przyjaciół.

Już z myślą czysto artystycznej natury, wybiera się Michałowski po raz drugi za granicę w 1830 roku. Jedzie tym razem aby wytchnąć i zabiera z sobą ołówek i farby. Studya artystyczne, które nader poważnie czyni we Włoszech, przerywa wybuch powstania. Michałowski powraca i bierze czynny udział w działalności rządu ówczesnego, wyrabiając w fabrykach pod jego kierunkiem będących, karabiny.

W dniu 1 Lutego 1831 roku żeni się ze swą kuzynką, Ostrowską, córką z pierwszego małżeństwa, senatora Ostrowskiego, szwagra swego, a w dniu upadku Warszawy, z żoną i rodziną tejże wyjeżdża zagranicę, kierując swe kroki do Paryża.

Tu zchodzi z horyzontu energiczny dyrektor górnictwa Królestwa Polskiego, aby ustąpić miejsca uczniowi francuzkiego malarza Charlet'a. W pracowni tego popularnego malarza Michałowski znajduje się po raz pierwszy wobec żywego modelu, pracuje wytrwale, czyniąc zdumiewające i szybkie postępy, tak że w bardzo krótkim czasie staje się rzeczywistym, pełnym samodzielności artystą.

Umysł bardzo wyrobiony, skończonego już człowieka, przechodzi pierwsze etapy malarskiej kariery szybko i z nadzwyczajną łatwością. Czując wiele, rozumie naturę i bez trudu przyswaja sobie możność jej wyrażenia. I znowu powtarza się to samo, co przed sześciu laty — widocznie udziałem Michałowskiego było zdobywać każde stanowisko wstępnym bojem — z niedawnego dyktanta, dla zabawy swojej i przyjaciół malującego akwarelki, wyłania się artysta silny swą indywidualnością, który zaledwie wstąpiwszy na ścieżkę sztuki, kroczy nią jak mistrz, znający swą wartość, a co więcej, znający swe cele.

Że w głębi ducha widział jasno ideały, ma-

jące mu przyświecać w rozwijającej się karierze, że czuł, iż posiada w sobie materyał, już do pewnego stopnia skryształizowany na skończonego artystę, dowodzi fakt, iż przybywszy do Paryża, nie wstąpił do żadnej z bardziej znanych szkół malarskich, lecz się zapisał do pracowni malarza, nie mającego nic wspólnego z akademią, ale o którym wiedział, że nie szablonowe nagości, lecz żołnierza i konie daje za modele swym uczniom. Pierwsze studya Michałowskiego pod Charlet'em — a raczej w jego pracowni wykonane, znamionują niezwykle talent, który odtąd codziennie nieomal się potęguje.

Michałowski bardzo już wyrobiony życiowo, wniósł do sztuki z chwilą zbliżania się do niej, żywioł dość rzadko napotykanym u artystów, od młodości wczesnej specjalnie malarstwu oddanych — żywioł trzeźwego badania natury. Naturę tę znał już oddawna, patrząc na nią okiem zamilowanego w sztuce człowieka, myślowo studyował ją, intuicyjnie odgadywał, gdy więc, postanowiwszy zostać malarzem, stanął przed nią aby ją odtwarzać, nie bił się po manowcach, nie tracił czasu na przeżuwanie wrażeń nie z przyrody, lecz z dzieł sztuki odbieranych, lecz z całą miłością zaczął ją kopiować. Idąc drogą trzeźwego i logicznego procesu odbierania bezpośrednich wrażeń i równoczesnego niemal ich wyrażania, doszedł w bardzo krótkim czasie do wyżyn, dostępnych zaledwie niewielkiej liczbie wybrańców — wyrobił w sobie bowiem silną indywidualność, opartą na czysto własnym poglądzie na życie i sztukę.

Już w rok po przyjeździe do Paryża utwory jego — przeważnie akwarelę wykonane studya koni i żołnierzy, lub zaprzęgów, jako to: dyliżansów, omnibusów, ładownych wozów i t. d. szkicowe zawsze, lecz z wielką maestryą narzucone, — są rozchwytywane i bajecznymi jak na owe czasy cenami opłacane przez rzeczywistych amatorów dzieł sztuki. Michałowski zdobywa sobie uznanie intelektualnej Francji i Anglii, jest *haut coté* na rynkach artystycznych — a co najważniejsza, działalnością swoją wywiera znamienny wpływ na malarstwo francuzkie. W walce upadającego klasycyzmu z romantyzmem, od niedawna wyrabiającym sobie prawo obywatelstwa, udziału nie bierze — jest on po za walką chwilowych ideałów, gdyż stoi na gruncie czystej prawdy i realnego jej uplastyczniania. W epoce tej, gdzie Meissonier nie wystąpił

był jeszcze na szerszą arenę, w malarstwie europejskim Michałowski jest może najsamodzielniejszym artystą, gdyż twórczością swoją o wiele wyprzedza panujące prądy, a wcale nie poddaje się wpływowi mody i haseł chwili. Niesłusznie zdaniem naszym p. Jerzy Mycielski kojarzy ze sobą talent Michałowskiego z twórczością Charlet'a i Raffet'a. Jest kardynalna różnica pomiędzy francuskimi artystami a naszym mistrzem. Cała siła obu Francuzów leży w uplastycznionej anegdocie lub w literackim wątku wybranego do namalowania przedmiotu. U Michałowskiego nigdy nie ma anegdoty, ani treści, nie mogącej być malarsko wyrażonej. Daje on nam fragmenty życia, przemawiające ruchem subtelnie podpatrzonym, doskonałością formy, prawdziwością wyrazu lub sylwety. W początkowych jego pracach uwidocznia się poniekąd pewna dążność do mocniejszej charakterystyki, graniczącej z szarżą. Z czasem pozbywa się tego, opanowawszy lepiej formę.

I tu powracamy do naszego założenia, iż pojawienie się artysty tego co Michałowski rodzaju, było najzupełniej niespodziewane — nie wydała go bowiem epoka, w której żył, lecz konieczność postępu w sztuce. Michałowski, wyprzedzając swe czasy, krocząc za impulsem subiektywnych dążeń w przyszłość, pchnął malarstwo ku postępowi.

Po trzyletnim w Paryżu pobycie, powraca europejskiej już sławy mistrz do kraju i osiada w rodzinnym swym Krakowie. Powrót oddziaływa na Michałowskiego, lecz tylko powierzchownie, pozostaje tymże samym zapalonym badaczem natury, tylko już nie bretońskie fryzy, nie francuskie omnibusy, nie napoleońskich wiarusów, nie otaczające go życie uliczne Paryża odtwarza, lecz austriackich huzarów i chłopów krakowskich, których do pracowni swej w Wielopolskich pałacu sprowadzać może. Sceny wojskowe z rewii i manewrów, sceny jarmarczne, drabiniaste wozy, oklep siedzący jeźdźce, żydzi, bliźsi przyjaciele, sportsmani, są przedmiotem jego dzieł, które wciąż nie wychodzą po za granice z natury malowanych studyów. Maluje najczęściej akwarelą, mało na kolor zwracając uwagę: jest on przede wszystkim w istocie swego talentu rysownikiem, stąd lekko zabarwiona farbą kreska ołówkowa, zupełnie mu wystarcza. Zaczyna też malować olejno.

To ciągle malowanie studyów, nie zabiło, jakby można było myśleć, w naturze artystycznej

Michałowskiego kompozytorskich aspiracji, i przez lat kilkanaście swej samoistnej pracy nosi się z licznymi projektami obrazów. Proces twórczy wymagał u niego malowania z pamięci. Silny zdobyta wiedza, do skomponowanego obrazu nie używał natury, robiąc studia przygotowawcze bardzo sumienne, żywo w swej wyobraźni uplastyczniał chwilę mającą być przedstawioną. Przez długie lata urabiał w ten sposób głęboko mu na sercu leżącą apoteozę Napoleona I, którego miał wyobrazić na koniu wśród gorącej bitwy. Są liczne notaty do pojedynczych figur, są mnogie szkice do całości obrazu, jest kilkakrotnie namalowana postać Napoleona, pozostało nawet płótno olbrzymie z naczyną na nim ideą i zaczęta figurą cesarza, ale obrazu — nie ma.

Pragnął jednocześnie stworzyć szereg figur hetmanów polskich — kilku z nich skomponował nawet i wiele studyów do nich wymalował, ale również nie dopiął zamierzonego celu.

Właściwie kompozytorem, jak ją rozumieli współcześni Michałowskiemu estetycy i większość malarzów, nie leżała w zakresie jego czysto malarskiego talentu. Zbyt on kochał naturę, aby móżdżek podporządkowywać ją abstrakcyjnym pomysłom. Malował co widział, a idąc dalej, można śmiało rzec, że jako malarz, czuł tylko to, co widział, stąd pragnienia nie malarza, lecz człowieka, które w sobie odnajdywał, nie był w stanie w plastyczną ubrać szatę, stąd owo szamotanie się i niepewność, ilekroć zapragnął wystąpić z płodem imaginacji, nie zaś życia.

Zamieszkując aż do swej śmierci przez przeciąg lat kilkunastu bądź w Krakowie, bądź w majątku swym Krzysztoforzycach, wyjeżdżał często za granicę, a zawsze o Paryż zawadził. Centrum sztuki europejskiej pociągało go zawsze. A gdy z zagranicy powracał, przywoził znowu: ładowne wozy flamandzkie, francuskie szaserów lub kursujące po drogach dyliżanse, o ile mu ich w drodze amatorowie nie rozchwyтали. W kraju zaś malował znowu Austriaków lub chłopów krakowskich.

Michałowski w ciągu swej kariery malarskiej nie splamił się ani jednym ustępstwem na rzecz zepsutego smaku, lub braku tegoż wśród szerokich mas. Malował to tylko, co czuł, i tak jak chciał, nie zważając, czy to się komu podoba. Są jego obrazy, gdzie obok zupełnie skończonych szcze-



głów pozostało białe płótno lub papier, na innych obok głównego motywu znajdują się po kilkakroć powtórzone takie szczegóły, jak np. fałdy rękawa lub noga końska. Żadnego ustępstwa dla gustu publiczności. «Chcesz — to bierz tak jak jest, nie zmienię, ani poprawię nic», zdaje się przemawiać artysta z każdego swego utworu. Jest on w naturze swej wielkim panem. «Maluję, bo czuję w tem przyjemność, maluję dla siebie, a nie dla poklasku tłumu» — oto jego dewiza — a że tłum znawców pociągały jego prace, że je zrozumieli, zaszczyt to ich gustowi przynosi.

Życie artystyczne w Krakowie nie wystarczało wszechstronnej organizacji umysłowej Michałowskiego, «polskiego szlachcica — jak mówi Rastawiecki w swoim Słowniku — pociągała skłonność do wioski i roli; osiada na wsi i gospodaruje dzielnie, przeplatając pracę powszednią i obowiązki ojca rodziny, sztuką i literaturą. Tak znowu schodziły mu lata w odosobnieniu, a lubo rozgłosnego już w kraju imienia i sławy, pozostaje mało znanym, z osoby dla szczupłej tylko liczby, rzec można, wybranych bliżej dostępny».

Rok 1848 zastaje go gospodarującego na wsi, lecz na krzyk trwogi przybywa do Krakowa. «W czasach tak trudnych — pisze Paweł Popiel w nekrologu jego, zamieszczonym w *Czasie* — powagą swoją ze spokojem pośredniczy, otwiera zdanie zdrowe i poważne, a kiedy władza uważała potrzebę wzmocnienia porządku publicznego, użyciem współdziałania wpływów miejscowych, staje z zaufaniem rządu a poklaskiem obywateli na czele rady administracyjnej W. Ks. Krakowskiego. Trzy lata przewodniczył wśród stosunków nie łatwych. Pracowity zawsze i dla każdego dostępny, zaniechał dla ogólnego dobra i rodziny i gospodarstwa i tyle mu drogiej sztuki, od rana do wieczora oddany usługom publicznym. Pamiętamy wszyscy — pisze dalej jego biograf — że rok 1847 i 1848 zostawił spuścizną dla naszego miasta nowy rodzaj ludności, tak zwanych pauprów, która mniejsza iż zalegała ulice, ale gotowała na przyszłość pokolenie zbrodniarzy. Skarga była ogólna, pomocy nigdzie. Michałowski

ulitował się tej większej jeszcze moralnie jak materyalnie nędzy. Poświęca całą swoją, trzy tygodniową reńską wynoszącą pensję, pojmując myśl wykształcenia parobków gospodarskich, podnosi zakład, który całą niemal tę ludność ogarnął: oprócz funduszu dodaje mu osobistą pieczę i nadzór. Urzędowanie jego skończyło się, ale nie skończyła opieka. Dotrwał do ostatniej chwili życia w przedsięwziętem dziele i tulił koło siebie, utrzymywał własnymi funduszami, nieraz pracą rąk swoich, przybrane sieroty; karmił, uczył pracy i bojaźni Pana Boga. To była korona życia, przepędzonego w pracy uporczywej, prawie nadludzkiej, która razem z wadą sercową zniszczyła żelazną konstytucję».

Przytoczyliśmy dłuższy nieco ustęp z artykułu Popiela, gdyż maluje on nam z nowej strony Michałowskiego. W tymże okresie swego życia służył on jeszcze raz swoim współobywatelom jako trzeci z rzędu prezes zawiązanego świeżo naówczas Towarzystwa rolniczego.

Ostatnią myślą malarza była chęć uilustrowania polowskiego Mohorta, którego znał w rękopisie. Pozostawił kilkanaście kompozycji szkicowo traktowanych, całości jednak nie wykończył. Z cyklu tego jednak odznacza się postać samego Mohorta na białym koniu, tak wiernie charakteryzująca bohatera poematu, że Kossak, urzeczywistniając w następstwie myśl Michałowskiego, w ilustracjach swych użył typu przez niego stworzonego.

Zmarł wielki malarz i kochający swój kraj obywatel w sile wieku w dniu 2 Czerwca 1855 roku w Krzysztoforzycach, w otoczeniu licznej rodziny, którą osierocił.

Kończąc niniejszy zarys biograficzny, nadmienić musimy, iż artystyczna spuścizna po Michałowskim po raz pierwszy okazaną została w poważniejszej całości na Lwowskiej wystawie retrospektywnej 1894 roku i że najwięcej szczegółów o nim zgromadził p. Jerzy Mycielski w dziele swem, *Sto lat malarstwa polskiego*.

*Henryk Piątkowski.*



# Tomasz Wawrzecki.

\* 1759 — † 1816.

**Z**azwyczaj tylko powodzenie i tryumfy zapewniają biorącym w nich udział czynny nieśmiertelność u potomnych. Nad wieloma przechodzi historia do porządku dziennego. Zbyt wybitne muszą być cnoty i zasługi człowieka, jeżeli ani jeden głos złorzeczenia i sarkazmu nie przyćmiewa jego pamięci, jeżeli nietylko potomność, lecz nawet współcześni, mając wyłącznie na względzie wielkość okazanego poświęcenia, hołdem uznania i podziwu wieńczą jego zasługi.

Mężem takich zasług, będących świadectwem ofiarności na ołtarzu ogólnego dobra, był—Tomasz Wawrzecki.

Wynurzyło się jego imię na widownię wypadków krajowych w chwili najkrytyczniejszej, w r. 1794, i po raz pierwszy rozbrzmiało po kraju nazwisko To-

masza Wawrzeckiego, posła braclawskiego, by stać się odtąd symbolem wytrwałości i niezmordowanej na polu działalności publicznej pracy.

Urodził się Wawrzecki w r. 1759 w powiecie Braclawskim z Tadeusza i Zofii z Tyzenhauzów

Wawrzeckich, wojskich Braclawskich. Obdarzony pojęciem bystrem i łatwością w nabywaniu nauk, z zamiłowaniem oddał się w młodości pracy nad poznaniem praw ojczystych i takie sobie między obywatelstwem miejscowem zjednał poważanie, że, niedoszedłszy jeszcze do pełnoletności, powołany został na urząd Marszałka Trybunału *mixti fori*. Związki małżeńskie zawarł z Pacówną, córką pisarza litewskiego i z tego powodu przeniósł się w Kowieńskie, gdzie został wybrany na urząd Podkomorze-



*wawrzecki*

go. Obowiązki tego urzędu z tak wielką pełnił sprawnością, że najważniejsze sprawy graniczne prowincyi całej pod jego sąd poddawano.

W czasie sejmu czteroletniego zaliczony do najczynniejszych, otrzymał najpierw od króla Podskarbstwo, a gdy to do skutku nie doszło, Chorążtwo litewskie.

Po skończonym sejmie powrócił do zajęć ziemiańskich, lecz wojna 1794 roku powołała go do szeregów, dobrowolnie i własnym kosztem na Żmudzi urządzonych. Po klęsce Maciejowickiej Rada warszawska zdała w jego ręce naczelnictwo sił zbrojnych. Wśród groźnego niebezpieczeństwa, widząc następujące siły Suworowa, zalecił Wawrzecki generałom Zajączkowi i Jasińskiemu bronić okopów pragskich, sam zaś główną kwaterę założył w Warszawie, kierując obrotami korpusów, walczących z Prusakami nad Bzurą i na trakcie krakowskim.

4 Listopada 1794 roku nastąpił szturm Pra-gi. Generał Jasiński zginął, Zajączek ranny uprowadzony został do Warszawy.

Wawrzecki ocalając stolicę niszczy część mostu, lecz kapitulacya stała się nieuchronną. Ze szczątkami armii cofnął się wówczas na trakt krakowski, lecz 18 Listopada pod Radoszycami zniechęcenie opanowuje walczącymi. Wawrzecki dostaje się do niewoli; wywieziony do Petersburga dopiero wraz z Kościuszką i towarzyszymi broni z pod Maciejowic przez Cesarza Pawła I odzyskuje wolność.

Powrócił Wawrzecki znowu do dóbr swoich na Litwę i tam w roku 1807 zasłynął energią w walce ze zbuntowanym chłopstwem. W roku 1812 Cesarz Aleksander I ustanowił go przewodniczącym w Komitecie Obywatelskim, wyznaczonym do czuwania nad bezpieczeństwem kraju.

Dom Wawrzeckiego stał się przybytkiem uciśnionych i nieszczęśliwych. Głos jego przejedny-

wał niechętnych, dłoń hojne składała jałmużny na ołtarzu miłosierdzia publicznego. On to był w Wilnie założycielem Towarzystwa Dobroczyńności. Jemu poświęcił wszystkie chwile zajęć swoich domowych.

Jego to zasłudze przypisać można odzyskanie funduszu edukacyjnego, który, zwiększony jego i współobywateli sumptem przyczynił się do skuteczniejszego wychowania młodzieży i do rozkrzewienia oświaty.

Ze zmianą okoliczności krajowych, gdy w pościgu za ustępującym Napoleonem w roku 1813 wojska rossyjskie zajęły księstwo Warszawskie, Cesarz Aleksander I, w Radzie tymczasowej tego kraju porucił Wawrzeckiemu dwa napozór sprzeczne ze sobą ministerya: Sprawiedliwości i Wojny. Pogodzić je umiał ze sobą mąż zacny, niosąc w jednej dłoni miecz sprawiedliwości w drugiej hamulec przeciw nadużyciom wojennym. Na urzędach tych przystępny, łagodny, pracowity, wszystkie chwile życia sprawom publicznym poświęcał, z uszczerbkiem zdrowia, przygodami losów i pracą nadwątłonego.

Jako Minister Sprawiedliwości już w Rządzie Królestwa zorganizował Sąd Najwyższej instancyi i przyjął jego kierownictwo zwierzchnie, a jednocześnie i urząd w Towarzystwie Dobroczyńności, założonem właśnie przed paroma laty przedtem w Stolicy Królestwa.

Szukając ulgi w cierpieniach, udał się w Sierpniu 1816 roku do wód siarczanych w Widzach Łowczyńskich na Litwie, gdzie dnia 5 Sierpnia zasłużonego dokonał żywota. Obywatel i mąż niezłomnych przekonań, wytrwały w doli i niedoli, czule do swego społeczeństwa przywiązany, pozostawił Tomasz Wawrzecki chlubne po sobie w dziejach narodowych wspomnienie.

*Alexander Kraushar.*



# Franciszek Morawski.

\* 1783 — † 1861.

Boże! mój Boże! o jakże się boję  
O wieczność moję!

Tys za warunek naszego zbawienia  
Wskazał nam słodką cnotę przebaczenia:  
A ja dopełnić jej nie byłem w stanie,  
Bo nikt mnie w życiu nie obraził, Panie!

Tak, Panie! nikt mnie obrazić nie raczył,  
Bym dla miłości Twojej mu przebaczył;

Srogością dla mnie ludzka dobroć była,  
Bo mię tem może niebios pozbawiła.

Jestem więc, Panie, bez żadnej zasługi,  
Nie uskarbiłem jej przez wiek tak długi;  
Lękam się kary, którąś mi przeznaczył,  
Bo czy przebaczysz, gdym ja nie przebaczył?..

Żyste musiało być życie człowieka, który na kilka dni przed śmiercią, kiedy już ręka pióra utrzymać nie mogła, podyktował ukochanej wnuczce takie słowa, to tylko jedno sobie wyrzucając, że nie mógł dopełnić «słodkiej cnoty przebaczenia,» «bo nikt mnie w życiu nie obraził!» A słowa te nie zawierają w sobie żadnej przesady: nie miał nigdy nieprzyjaciół generał Morawski; wszyscy, co go znali, musieli go kochać, a ci, co go poznali, musieli go wielbić! Mało było u nas ludzi w XIX wieku, którzyby się cieszyli takim szcunkiem współczesnych, a potomnym tak wdzięczną po sobie zostawili pamięć. Zaczny człowiek, najserdeczniejszy przyjaciel, najlepszy mąż i ojciec, nieskazitelny,

jako żołnierz i obywatel; czułe serce obok głębokiego rozumu i przenikliwości, pogoda umysłu i wesołość obok wrażliwości na nieszczęścia swoje i cudze, surowość dla siebie obok pobłażliwości

dla innych, umiejętność jednania sobie ludzi obok prawdomówności i odwagi cywilnej, miętkość uczucia obok energii czynu—oto, jaką pamięć pozostawił po sobie Morawski, oto dlaczego kochali go wszyscy,—nie tylko przyjaciele, jak Kajetan Koźmian i syn jego, Andrzej, ale i lud wiejski w Luboni, i żołnierze jego armii. Ci tak go szanowali, że nawet surowy wyrok, byleby tylko wygłosił go osobiście generał, wydawał się im już przez to samo łagodniejszym; a kiedy po siedmioletnim pobycie opuszczał Lu-



*F. Morawski*

blin, jego żołnierzom lzy kręciły się w oczach: «Wczoraj — pisze Morawski do Koźmiana — kilku żołnierzy widziałem płaczących po mnie z pułku Zawadzkiego i przyznam ci się, że większej rozkoszy w życiu nie doznałem.» Oprócz pięknego charakteru, na to szczęście, które miał do ludzi, wpłynęła jeszcze aureola rycerza, który walczył w tylu bitwach — od Raszyna do Grochowa, od Moskwy do Paryża, a potem, po powrocie z obczyzny, jego pożyteczna praca na roli, — słowem służba na obydwu polach, opromienionych aureolą naszej tradycji narodowej, — na polu bitwy i na roli ojców.

Franciszek de Paula Dzierżykraj z Chomęc Morawski przyszedł na świat dnia 2 kwietnia roku 1783 w Pudliskach, w województwie poznańskim. O kolejach jego życia najlepsze daje pojęcie jego autobiografia, którą napisał na krótko przed śmiercią — «z wymownym lakonizmem, a wyraźną troską, by się nie pochwalić,» jak słusznie powiada Kajsiowicz w swej mowie żałobnej, wypowiedzianej w Paryżu dnia 13 Grudnia r. 1861. «Najpierw pobierałem nauki w domu rodzicielskim w Bełgocinie...; potem byłem na pensji w Lesznie... Na uniwersytecie we Frankfurcie nad Odrą byłem cztery lata, potem pracowałem przy sądzie tancym w wydziale kryminalnym, następnie zaś, złożwszy w Kaliszu egzamin auskultatorski, pracowałem tamże dwa lata. Później przez dwa lata gospodarowałem w Kotowiecku..., a następnie rok jeden w Luboni, gdzie dowiedziawszy się o bitwie pod Jeną, pojechałem do Poznania i wstąpiłem do gwardyi honorowej Napoleona w r. 1806. Zaraz zostałem podporucznikiem i w tymże roku jeszcze po bitwie pod Tczewem porucznikiem. Przy oblężeniu Gdańska w r. 1807 byłem ranny w nogę i mianowany kapitanem. Tegoż roku przy oblężeniu Kołobrzega ranny byłem w ramię siekaciami, przy tej sposobności pochwaleń męstwa i odrazu krzyż kawalerski emaliowany orderu *virtuti militari* otrzymałem. Roku 1809 odbyłem kampanię austriacką, jako adjutant generała Fiszera. Po bitwie pod Raszynem, gdzie miałem dziewięć razy przestrzelony mundur, zostałem podpułkownikiem i przeszedłem do dwunastego pułku piechoty księcia warszawskiego. Tegoż roku byłem przy obronie Sandomierza i w różnych bitwach; wszedłszy zaś do Krakowa, posłany byłem na zdobycie Wieliczki, której też łatwo Austriacy odstą-

pili. W r. 1811 byłem z pułkiem przy fortyfikowaniu Modlina, potem wkrótce przed kampanią 1812 r. zostałem grosmajorem.... Roku 1812 pod Smoleńskiem przeznaczony zostałem na szefa sztabu do dywizyi generała Kniaziewiczza.... Znajdowałem się we wszystkich wielkich bitwach, nawet pod Tarutynem za Moskwą. W czasie tej kampanii zostałem także pułkownikiem.... Podczas odwrotu byłem w bitwach pod Wiazmą i nad Beresyną.... Z Krakowa wysłany do Napoleona z depeszami, znajdowałem się z bitwie pod Budziszynem. W kampanii saskiej przeszedłem do kawalerii, jako szef sztabu dywizyi jazdy księcia Antoniego Sułkowskiego, przy którym byłem w bitwach wszystkich, a nakoniec pod Lipskiem, za którą to otrzymałem krzyż złoty oficerski Legii honorowej. Po śmierci księcia Poniatowskiego... mianowany byłem szefem sztabu głównego;... znajdowałem się w bitwach pod Hanauem i pod Paryżem.... Przy nowej organizacji wojska polskiego, przez w. ks. Konstantego mianowany byłem podszefem sztabu głównego, a w r. 1819 generałem brygady.... W czasie wojny 1831 r. komenderowałem naprzód brygadą, potem mianowano mnie generałem dyżurnym całej armii, i w tymże stopniu byłem jeszcze w pierwszej bitwie pod Grochowem. Gdy Skrzynecki został naczelnym wodzem, mianowano mię ministrem wojny. Po skończonej wojnie, odesłano mnie do Wołody, gdzie kilka lat przeżyłem, skąd wróciwszy, otrzymałem dymisyę, przy której mi pozostawiono rangę, tytuły i wszystkie oznaki honorowe; poczem wziąłem pasport emigracyjny i przeniósłem się do majątku w W. Ks. poznańskim.»

W tej zwięzłej autobiografii nie wspomina Morawski o tem, że w r. 1826 dotknął go cios bolesny — stracił żonę, Anielę z Wierzchowskich. Osiedlwszy na roli w Luboni, gorliwie wziął się do gospodarstwa, prawdziwie jak dawny rycerz polski; lecz, zmęczony widocznie życiem, na szerszą arenę służby publicznej już ani razu nie wystąpił, pomimo że otworem stała dla niego godność poselska w sejmie pruskim. Czuwał nad podniesieniem moralności i oświaty wśród ludu, w myśl wypowiedzianej w liście do Andrzeja Koźmiana zasady: «Kto chrześcijańskim obowiązkom pana we wsi swojej nie jest zdolny odpowiedzieć, nie powinien przez sumienie wsi posiadać,» lecz nade wszystko zajął się wychowaniem syna, Tadeu-



sza; w tym celu zamieszkał nawet na pewien czas we Wrocławiu. Pogodną starość zachmurzyła mu śmierć ukochanej synowej, a później śmierć najdroższego ze wszystkich przyjaciela, Kajetana Koźmiana. Umarł dnia 12 grudnia 1861 r.

W historii zacności charakteru i piękności uczucia Morawski zajmuje stanowisko o wiele wybitniejsze, aniżeli w historii literatury. Aby należycie ocenić jego działalność literacką, o tem przede wszystkim trzeba pamiętać, że Morawski nie był nigdy literatem z zawodu—literaturę kochał, znał się na niej lepiej od niejednego ze współczesnych, od upartych klasyków mianowicie, ale uprawiał ją tylko przygodnie. A nie poczytując twórczości za swe główne powołanie, nie przypisywał do tego, co napisał, wielkiej wagi; utwory swe drukował po czasopismach, ale nie pilno mu było z ich wydaniem w książce. Zresztą zajęty służbą wojskową, nie miał zapewne czasu do pisania, i wówczas nawet, kiedy po ukończeniu wojen Napoleońskich, mieszkał to w Warszawie, to w Lublinie, to w Radomiu,—pisał bardzo mało: przekład «Andromachy» Rasyna, kilka epigramatów, ód, bajek i drobnych wierszy, dwa listy poetyckie—to już wszystko. W Wołogdzie miał wprawdzie czas, ale nie miał głowy: «Dusza nadto wezbrana boleścią, nadto przepełniona tęsknotą i żalem, aby je rymem stroiła; więcej może jest teraz poezyi w duszy, niż kiedykolwiek, ale nie *teraz* zdolna powiedzieć, co czuje *teraz*.» Dopiero po osiedleniu się w Luboni, a więc już po przekroczeniu pięćdziesiątki, pisywał częściej—wierszem i prozą, zasilał swem piórem «Przyjaciela Ludu», «Przegląd poznański», «Pokłosie», «Dodatek do Czasu», ale wiele nie pisał nigdy. W r. 1841 wydał we Wrocławiu pierwszy tom swych poezyi; w tymże roku w Warszawie osobno wydano jego prześliczną bajkę «Wisła i zima;» a potem ukazały się osobno «Odpowiedź na list szlachcica polskiego do Metternicha,» (Paryż, 1847), «Dworzec mojego dziadka» (Leszno, 1851), «Pięć poematów Byrona» (Leszno, 1853), «Życie Kajetana Koźmiana» (Poznań, 1856), «Bajki» (Poznań, 1860). Resztę utworów wcielono do zbiorowego wydania pism, które w czterech tomach ukazało się w Poznaniu r. 1882 z przedmową St. Tarnowskiego.

Swą karierę literacką rozpoczął podobno od epigramatu wymierzonego przeciw złośliwości kobiecej:

Że kobieta z kości swój początek bierze,  
Mocno temu wierzę:  
Bo i Basia swoją złością  
Staęła mi w gardle kością.

I odtąd od czasu do czasu pisywał lub improwizował wierszyki ulotne, fraszki, epigramaty lub poważne ksenie, z których tryskały już to wesołość i prawdziwy dowcip, już to piękne uczucie i myśl poważna. Mieszkając w Warszawie i Lublinie, żartował sobie wesoło ze słynnego wówczas wierszoklety, Jaxy Marcinkowskiego, autora poematu «Gorset,» napisał na jego cześć balladę o zaklętej w kaczkę księżniczce, w wierszu «Do milczącego Jaxy» ironicznie błagał go, aby milczeć przestał i t. d.

Lecz nie te wierszyki zjednały mu szeroki rozgłos, ale piękna mowa, wypowiedziana d. 23 grudnia r. 1813 w Sedanie na cześć księcia Józefa Poniatowskiego, mowa, która naprzód obiegała w rękopisach, a później trzech drukowanych doczekała się wydań.

Za czasów Królestwa Kongresowego Morawski częstym bywał gościem w Warszawie, gdzie klasycy rozłożyli swój «obóz;» należał do tego obozu, ale tylko ze względu na stosunki przyjaźni z Koźmianem i innymi, bo upartego konserwatyizmu klasyków bynajmniej nie podzielał, a choć tłumaczył Rasyna, którego «Andromachę» zresztą «zcornelizował,» jak słusznie mówiono,—bo dał przekładowi to uczucie, którego chłodny oryginał nie posiada,—jednak wówczas już zachwycił się Byronem, bronił go gorąco przed napaściami kolegów i z czasem bardzo pięknie przełożył jego «Manfreda,» «Mazepe,» «Oblężenie Koryntu,» «Paryżynę» i «Więźnia z Czyllonu.» Bronił także Mickiewicza, choć już nie tak gorąco: Sonety cenił wysoko, ale ani na «Dziadach,» ani na «Wallenrodzie» nie poznał się; bądź co bądź odrazu zrozumiał, że Mickiewicz to poeta niepospolity; nie mógł darować za to jego nieudolnym naśladowcom, którzy starali się być jeszcze «romantyczniejsi» od mistrza, i przeciwko nim to właśnie wymierzył swą dowcipną bajkę: «Kogutek i gąsięta.»

Najwyraźniej i najlepiej wypowiedział Morawski swój pogląd na klasycyzm i romantyzm w dwu listach poetyckich, dedykowanych Niemcewiczowi (Warszawa, 1829). List pierwszy—do klasyków.

Ironicznie pyta ich poeta, dlaczego i na co «na ten biedny romantyzm od kilku lat wpadli,» czy dla tego, że romantycy kłecą brednie? a niech sobie «kłecą—Im śmielej dążą w przepaść, tem w nią prędzej wlecą!» Nie! przyczyna gniewu klasyków jest inna — oto romantycy przerywają im ich *dolce far niente*, śmieją się z tego, że klasycy umieją tylko «śmiać się śmiechem Rzymianów, płakać łzami Greków,» że nie mogą się zdobyć na oryginalność w poezji; więc coś dziwnego, że romantyk nie chce mieć z nimi nic wspólnego: Bóg «mnie wieszczem tych czasów, a nie małpą stworzył.» Morawski najwyraźniej solidaryzuje się z romantykiem, w którego usta, (dla ozłocenia klasykom pigułki) te słowa włożył, skoro dalej od siebie już mówi, że poeci starożytni nie wyczerpali przecie wszystkich pomysłów poetyckich, skoro następnie dowcipnie krytykuje klasyków, jako krytyków, skoro wreszcie ironicznie zachęca klasyków, aby wystąpili z romantykami do boju, nie odpornie, lecz zaczepnie, «a gdyby wam iść miało trochę twardo z niemi, powiedzcie, że nie warto jest walczyć z głupcami.» List ten jest wyborną krytyką ujemnych stron klasycyzmu.

Ale i romantyzmowi nie darował Morawski i drugi swój list napisał pod adresem romantyków. «Zwycięstwo więc, zwycięstwo, krzyczą romantycy, odniesiony już tryumf, pierzchają klasycy!» Lecz autor bynajmniej nie podziela tego zapалу: romantycy także zgrzeszyli, tem przedewszystkiem, że pogwałcili ogólne zasady dobrego smaku; mają zupełną słuszność, zarzucając klasykom, że ich poezya nie posiada związku z życiem, ale czyż ich poezya, która opiewa «czułość tylu zbójców i wisielców wdzięki,» «mogiły, mogilniki, kurhany i zgłiszczają,» która «rozwała stare trumny, po cmentarzach orze, od wieków śpiące trupy strasznym rymem budzi,» — ma związek z życiem? A przesadna tajemniczość romantyków? czy pamiętają o tem, że «Feb nietylko rymów, lecz i światła bogiem?» A ich pozowanie na nieszczęśliwych, zgorzkniałych, wykolejonych? «Ledwie że się z infimy, a nawet z pieluszek jakiś tam romantyczny wyrwie jeniusek, już-ci się do nieszczęścia powołanym sądzi, błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi, z jakiejś tam urojonej tęsknoty usycha, je dobrze, pije lepiej, a do grobu wzdycha.» Wszystkie te zarzuty są słuszne w zasadzie, a i ten również, że romantycy zanadto rozmiło-

wali się w prowincjonalizmach, którymi szpecą czystą «mowę Zygmunów.» Kończy Morawski, zachęcając do zgody dwa obozy oraz streszczając swój pogląd na zadanie poezji polskiej:

Jedna matka was swemi uwieńczy laurami,  
Żadnej lutni bezbożność, ni podłość nie plami.  
Jedno macie prawo — bratnie kształcić plemię,  
I jeden tylko rodzaj — polską śpiewać ziemię.

Obydwa te listy należą niewątpliwie do najlepszych w naszej dawnej literaturze, tak lubiącej naśladować formy Horacego, — nietylko przez piękną formę, dowcip i sól attycką, ale i przez słuszność poglądów na klasycyzm i romantyzm; wówczas, w epoce wzajemnego rozdrażnienia klasyków i romantyków, mało kto mógł się zdobyć na sąd tak prawdziwy i trafny o obozach walczących.

Szkoda jednak, że Morawski zdobył się jedynie na teorię — w praktyce, jako poeta, nic takiego nie stworzył, coby swą pięknnością lub siłą mogło walkę literacką uśmierzyć. Zresztą uprzedziły go wypadki i — Mickiewicz, bo «Pan Tadeusz,» jest właśnie najdoskonalszem wypełnieniem tego żądania, którem Morawski zakończył swój list do romantyków. A jednak, rzecz dziwna, ten sam człowiek, który osądził tak trafnie klasyków i romantyków i który miał niewątpliwie dużo poezji w sercu, nie poznał się na wielkości „Pana Tadeusza,“ nazywając go z pewnem lekceważeniem „kroniką szlachecką,“ co nie przeszkadza, że pod pewnym względem naśladował go w «Dworcu mojego dziadka.»

Jak Mickiewicz, tak i Morawski chciał opisać w poemacie «kraj lat dziecinnych, święty i czysty, jak pierwsze kochanie,» powołać do życia w poezji te postaci, które żyły za czasów jego młodości, a które w czasie, gdy pisał, spały już snem wiecznym. Przedmowa do «Dworca,» w której poeta wypowiada swą tęsknotę za przeszłością, przypomina — pomysłem swym, nie wykonaniem — tę najpiękniejszą elegię polską, która zaczyna się od słów: «O czem tu dumać na paryskim bruku?» I, jak Mickiewicz osnuł swe opowiadanie o dworze Soplicowskim na tle wielkich wypadków historycznych, które, wijąc się wstęgą poprzez kłótnię Horeszków i Sopliców, w epilogu ukazują się na

pierwszym planie, tak i Morawski powieść o Dziadku osnuł na tle wypadków na schyłku XVIII stulecia, a w epilogu dał obraz tych nadziei, które wstąpiły w serca na wieść o zwycięstwach Napoleona. Ale cóż za porównanie! Epilog w «Panu Tadeuszu» jest organicznie połączony z właściwą akcją poematu, występują w nim te same osoby, co w poemacie, rozstrzygają się w nim ich losy, rozplątują się zadzierzgnięte węzły; w «Dworcu mego Dziadka» epilog nie ma związku z wątkiem opowiadania, osoby działające już wymarły, nie one więc marzą i roją, ale autor. O tem zaś, że «Pan Tadeusz» jest pełnym obrazem duszy narodowej, a «Dworzec» tylko drobnym fragmentem, niema co nawet mówić. Zresztą sam pomysł poematu jest nie tylko świetny, ale i piękny: stworzyć postać starca, który, podobnie jak mieszkańcy Soplicowa, z cichego życia domowego, występuje na widownię szerszego życia publicznego, który za odmowę złożenia przysięgi homagialnej królowi pruskiemu męczy się w więzieniu — wśród huku dział Kościuszkowskich, — to pomysł wysoce poetyczny. Lecz wykonać go poetycznie nie umiał Morawski, naprzód dlatego, że ten wątek opowiadania ukazał się w jego umyśle później dopiero, bo pierwotnym jego zamiarem było, jak się zdaje, stworzyć poemat tylko *opisowy* — o dworcu wielkopolskim, a stąd wątek epiczny został doczepiony do opisu (bez żadnej proporcji); a powtóre dla tego, że samo opowiadanie jest luźne, fragmentaryczne, a do tego szkicowe; a stąd «Dworzec» nie posiada ani pełni opowiadania, ani pełni charakterystyki, budzi ciekawość po to, aby ją rozczarować najzupełniej. Czy z tego wynika, aby poemat żadnej nie posiadał wartości? Bynajmniej. Przedewszystkiem sam opis dworca staropolskiego jest prawdziwie piękny; dziadek, podstarość, klucznica i Stach — to postaci naszkicowane tylko, ale te szkice są i zgodne z prawdą, i piękne; niektóre sceny, jak np. podróż dziadka w sąsiedztwo, jego spotkanie w lesie z panem pułkownikiem i huczny obchód imienin pana Pawła wykonane z plastyką i werwą. Lecz co nadewszystko zdobi poemat, to, obok ściśle narodowego kolorytu, własne uczucie autora, wypowiedziane raz pośrednio, drugi raz bezpośrednio, miłość ku wszystkiemu, co swoje, uczucie, które przemawia, już to jako rzewność, już jako śmiech, połączony ze łzami.

«Dworzec mego dziadka,» jedyny większy utwór Morawskiego, dowodzi, że nie miał poeta talentu architektonicznego. Krótsze utwory udawały mu się lepiej, czego dowodzi «Wizyta w sąsiedztwo,» nie poemat, nie powieść, nie powiastka nawet, bo intrygi niema tu zupełnie, lecz wyborczy obrazek rodzajowy z czasów Stanisława Augusta, mieszczący doskonałą charakterystykę dwu typów staroświeckich.

Prawdziwy talent miał Morawski do bajek wprowadzić z Krasickim równać się nie może, ustępuje mu bowiem w tej zwiezłości i jędrności, w której biskup warmiński jest niezrównanym mistrzem. Pozatem jednak bajki Morawskiego posiadają istotne zalety, a więc lekkość i okragłość formy, wykończenie artystyczne, trafność allegorii lub alluzji, często dowcip niepospolity. Pod względem treści dzielą się na dwie główne grupy: kosmopolityczne i ściśle narodowe, a wśród tych — polityczne i obyczajowe; do pierwszej należą takie małe arcydzieła, jak «Pies i pszczoły,» «Osieł i ciełę,» «Agatka i Jakób,» «Żołędź i dynia,» «Zdarzenie z nosem;» do drugiej — «Sztuka muślinu,» «Kaczka i piskorz,» «Małpa,» «Kartofle,» «Dmuchaczka i węgiel,» a nadewszystko «Wisła.» Bajki Morawskiego, po większej części samodzielne treścią i wykonaniem — rzadko bowiem naśladuje autor innych poetów, jako to Lafontaine'a (np. «Sekret»), Krasickiego (np. «Tłomok»), Kryłowa (np. «Surdut») — są i z pewnością będą najtrwalszą częścią całej jego spuścizny. Zarówno ballady i legendy, z których jedynie «Chłop i dyabeł» i «Brzoza Gryżyńska» cieszą się popularnością, jak i utwory liryczne — świeckie i religijne — większej wartości, z małymi wyjątkami, nie posiadają, choć wszystkie świadczą o szlachetnem sercu poety, o jego miłości Boga i kraju, jak np. «Mowa polska.» W liryce przez długi czas nie mógł Morawski wyzwolić się z pęt stylu pseudo-klasycznego, o czem świadczą mianowicie jego ody; później dopiero uczucie przemawia bezpośrednio i pięknie, czasem nawet bardzo pięknie, jak np. w «Modlitwie za Adama Mickiewicza,» a nadewszystko w trzech «Ostatnich dźwiękach.»

Z pism prozaicznych, obok drobnych opowiadań anegdotyczno-historycznych i życiorysów, zasługuje na uwagę «Odpis na list szlachcica polskiego do Metternicha,» jako dowód nie tylko szla-

chetności, ale i tej świeżości uczuć, którą do śmierci zachował Morawski.

Nie był to talent wybitny, ale niezmiernie sympatyczny i miły; w rozwoju poezji polskiej nie odegrał żadnej roli, ale, jako bajkopisarz i tło-

macz Byrona, ma zapewnione trwałe stanowisko w historyi literatury <sup>1)</sup>. *Ign. Chrzanowski.*

<sup>1)</sup> Najobszerniejszy życiorys Morawskiego napisał Lucyan Siemieński, („Portrety Literackie“ tom II, Poznań, 1867), przedrukowany w „Dzielał“ tom V, Warszawa 1881.



# Kornel Ujejski.

\* 1823 — † 1897.



**K**ornel Ujejski, syn Erazma i Ludwiki z Wolańskich, urodził się d. 12 września r. 1823 w Beremianach na Podolu galicyjskiem. Wychowanie otrzymał bardzo staranne, bo miał zacnych i światłych rodziców, którym też do śmierci wdzięczność synowską przechował; a oprócz rodziców nie mały wpływ na jego duszę młodą wywarli rodzice matki, chorąży Józef Wolański i Teresa z Witwickich, ludzie niezwykle religijni, oraz krewny matki, Henryk Kozicki, wychowawiec szkoły krzemienieckiej, który, jak mówi sam poeta, od najrańszej młodości był mu jednym ze świetlanych przewodników (*Przemówienia*, Przemyśl, 1893; str. 135). Miał lat osiem niespełna, kiedy pod wpływem opowiadań niedobitków z korpusu Dwernickiego, którzy gościli w domu rodziców, o wypadkach r. 1831 zapadł na ciężką gorączkę nerwową, która minęła, ale ślad po sobie pozostawiła: „odtąd straciłem żywość i wesołość dziecka.“ Nauki szkolne odbywał w Buczaczu w gimnazyum przy klasztorze OO. Bazylianów; uczył się także i we Lwowie, dokąd przenieśli się jego rodzice, ale o nauce systematycznej nie było już mowy. Natomiast brał czynny udział w tem życiu umysłowem, które skupiało się około Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich, a które rozwijało się raźnie dzięki takim uczonym i poetom, jak Leszek Dunin Borkowski, August Bielowski, Win-

centy Pol i inni. W takim otoczeniu dojrzewał umysł poety, a serce jego rosło w coraz to silniejszą miłość tradycji narodowej i ziemi rodzinnej. Pragnąc poznać ją lepiej, Ujejski, który do tychczas znał tylko Galicyę, wybrał się w r. 1844 do Warszawy, gdzie poznał i pokochał Lenartowicza, a potem zwiedził, między innemi, Czarnolas i Zwoleń,—aby uczcić pamięć Kochanowskiego. Wkrótce po powrocie do Galicyi Ujejski, który rwał się do poezji od dziecka, stał się głośnym: na jednym z zebrań u Kłodzińskiego, dyrektora zakładu Ossolińskich, odczytał świeżo napisany poemat „Maraton;“ wrażenie było olbrzymie. Gdy «Ujejski skończył—opowiada Klemens Kantecki—i z oczekiwaniem powiódł okiem po obecnych, powstał książę Henryk Lubomirski,... wzruszony podszedł ku młodemu pocie żywszym, niż zwykle, krokiem, uściskał go i pobłogosławił... Szajnocha, nie przywykły do głośnego objawiania uczuć swoich, lubo może silniej od innych odczuł zalety utworu, nie kwapił się z wyrażeniem uwielbienia; zbliżył się tylko do niego i uściśnął mu dłoń przyjaźnie. Ale ten uścisk ręki mówił więcej, niż pochwalne dytyramby innych. Odtąd serdeczna przyjaźń złączyła ich dusze.» Prawdę słów Kanteckiego o przyjaźni poety z historykiem stwierdzają świeżo ogłoszone listy Szajnochy do Ujejskiego, pełne przyjacielskiej serdeczności.



Niebawem sława Ujejskiego, jako poety, miała wzrosnąć i przekroczyć granice Lwowa i Galicyi: »Skargi Jeremiego« obieły cały kraj i trafiły do wszystkich serc, zanim wydrukowano je w roku 1847 »w Londynie« (w rzeczywistości — w Paryżu). I, kiedy Ujejski przybył w r. 1847 do Paryża, gdzie, jako wolny słuchacz, uczęszczał do Sorbony i Collège de France, nie potrzebował zdobywać serc bratnich: one same szły do niego — i Czartoryskiego, i Mickiewicza, i Chopina, i Zaleskiego, i nadewszystko — Słowackiego.

Kiedy w roku następnym wybuchła w Paryżu rewolucya, powitał ją Ujejski z prawdziwie młodzieńczym entuzjazmem, i ten szal radości, który go ogarnął, odbił się w wierszu »La République« i w napisanej w osiem lat później ślicznej pieśni »Do Lamartina«. W Paryżu bawił krótko: ulegając życzeniu rodziców, zaniepokojonych wypadkami paryskimi, już w maju r. 1848 powrócił do kraju.

W roku 1849 pojął Ujejski w małżeństwo hrabiankę Henrykę Komorowską; po ślubie osiadł w Pawłowie, w powiecie kamioneckim, i oddał się gospodarstwu; po kilku latach wziął w dzierżawę wieś Podlipce pod Złoczowem. Przez krótki czas mieszkał w Medyce u przyjaciela (Mieczysława Pawlikowskiego), a w r. 1858 na szereg lat wydzierżawił od magistratu lwowskiego wieś Zubrzę pod Lwowem. Tam to okazało się, że hasła demokratyczne, którym hołdował przez całe swoje życie, nie były pustym dźwiękiem. Oto co powiada najlepszy biograf poety, Antoni Bądzkiewicz: »W różnoczasowych wycieczkach swoich w Karpaty i Tatry, przedsiębranych w latach 1870—1888, spotykałem liczne grona Lwowian: sędowników, nauczycieli, lekarzy, ziemian, a przedewszystkiem zbliżyłem się do ś. p. Henryka Szmitta. Otóż wszyscy oni jednym chórem uwielbienia przemawiali o stosunku Ujejskiego do ludu, o owem prawdziwym braterstwie i miłości, jaką go okolił, jak wyszukiwał starannie zdolniejszą młodzież wiejską, swoim kosztem ją kształcił i promował, a owoc trudów jego nie zaginał wcale i wydał wielu światłych obywateli kraju, czynnych na rozmaitych polach działalności społecznej«. Dzięki tym zasługom obywatelskim, stał się Ujejski popularnym, już nie tylko jako poeta, ale i jako zacny człowiek, i zasłużył na tę popularność, bo zdobył ją

w sposób najszlachetniejszy. Pisma demokratyczne ubiegały się o jego współpracownictwo; Ujejski nie odmawiał, pisał artykuły estetyczne i przeglądy teatralne; lecz głośnym, jako publicysta, stał się dopiero w r. 1860, kiedy to w »Dzienniku Literackim« ukazały się jego słynne »Listy z pod Lwowa«, jedno z największych arcydzieł publicystyki polskiej, a zarazem ostatni wyraz romantycznego entuzjazmu. Sława Ujejskiego wzrastała tak szybko, że aż zaniepokoiła władze austriackie: na skutek przestrogi przyjaciół osiadł poeta na pewien czas w Jassach, lecz po ogłoszeniu konstytucyi powrócił do Galicyi. W roku 1868 powtórnie stał się głośnym, jako publicysta, wskutek ogłoszonego w »Dzienniku lwowskim« artykułu, p. t. »Polska demokracja« w duchu radykalno-demokratycznym, oraz broszurki, p. t. »Odpowiedź na list otwarty jego przyjaciół«, w której potrącił o kwestye religijne i sprawy duchowieństwa. W tym samym roku jeździł Ujejski wraz z dwoma synami do Szwajcaryi. I w latach następnych często wyjeżdżał za granicę, to do Belgii, to do Włoch, to do Niemiec. W r. 1887 wybrano go w okręgu bobrecko-rohatyńskim na posła do parlamentu wiedeńskiego, lecz niebawem mandat swój złożył. W r. 1880 usunął się nawet od gospodarstwa i osiadł u swego młodszego syna w Pawłowie; tu powstały dwa utwory, przeznaczone dla ludu: »Ptasie gniazdko« i »Grzela czyli rok 1846«, obydwie bez większej wartości. Życie publiczne zajmowało go zawsze bardzo żywo, lecz czynnego udziału w niem już nie brał. Cicho było o nim w całym kraju; przypomniano go sobie dopiero w r. 1893, kiedy to przyjaciele dla uczczenia siedemdziesiątej rocznicy jego urodzin zaczęli się krzątać około obchodu jubileuszowego, który odbył się d. 18 października. A kiedy w nocy z dnia 19 na 20 września r. 1897 na zawsze zamilkł »z bożych śpiewaków ostatni«, wiadomość o jego zgonie lotem błyskawicy obieła kraj, i niejedno serce ścisnęło się bólem serdecznym, bo rozumiało, że z nim zesła do grobu nasza ukochana poezya romantyczna.

Bo też był to prawdziwy poeta, z Bożej łaski poeta; nie wiele zostawił po sobie, ale w tem, co zostawił, jest tyle siły i piękna, że zapewnia mu raz na zawsze trwałe stanowisko w historii naszej poezyi, z którego nie ściągnie go nic, ani nikt.





Według fotografii z natury.

Kornel Ujejski

Był to liryk w najlepszym i najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa, nie zagłębiający się w analizę uczuć tylko indywidualnych, lecz będący wyrazicielem uczuć zbiorowych, i, jeżeli naprawdę ideałem liryka jest ten, kto spełnił to, czego od poetów wymagał Wiktor Hugo: »Kiedy mówimy wam o sobie, mówimy wam o was«, to Ujejski zbliżył się do tego ideału, jak mało który z poetów naszych: niby to w swej liryce mówi o sobie, Jeremi to niby on sam, a jednak wie się i czuje, że jego własne uczucia — to nasze własne, tylko wypowiedziane pięknie, czyściej, szlachetniej, niżby to człowiek zwyczajny potrafił. Słowem Ujejski to poeta nawskróś narodowy.

Główną siłą jego organizacyi duchowej była uczuciowość; wyobraźnię miał silniejszą, niż refleksyę, uczucie silniejsze, niż wyobraźnię, i dla tego to nie był i być nie mógł ani uczonym, ani myślicielem, ani politykiem, lecz poetą i tylko poetą. Z przewagi uczucia nad innemi władzami duszy płynie ów niezrównany optymizm Ujejskiego, widoczny nie tylko w jego złudzeniach politycznych i w poglądach społecznych, ale i w tym np. poglądzie, wypowiedzianym w przedmowie do »Wyjątku z niewydanych poezyi«, że naród, posiadający piękną poezyę ludową, w której »nutach jest żal, jest ból, rozpacz nieraz, jest tęsknota za utraconą godnością człowieka« — taki naród, choćby moralnie upadł niewiedzieć jak nisko, »ma blizką i szczęśliwą przyszłość przed sobą«: argumentacja, godna poety, ale nie myśliciela! Ze stanowczej przewagi uczucia nad rozumem płyną dalej jaskrawe sprzeczności w poglądach Ujejskiego, zwłaszcza w jego przemówieniach, a wreszcie ta sama uczuciowość, niezrównoważona trzeźwością umysłu, tłumaczy nam jego gwałtowne wystąpienie w »Listach z pod Lwowa« przeciw Polowi, któremu można zarzucić i bezmyślny konserwatyzm po r. 1846, i brak miłości ludu, i bezsensowne apoteozowanie burd szlacheckich, i jeszcze bardzo wiele, tylko nie to, o co go pomówił Ujejski: nie odstępstwo, bo to potwarz niegodziwa. Listy »O Januszu i o panu Wincentym Polu«, wraz z dwoma innymi (»O albumie wileńskim« i »O grobach Sieniawskich w Brzeżanach«) wydał Ujejski osobno w r. 1861. Życie Pola dzieli na dwie epoki: w pierwszej był Pol natchnionym śpiewakiem-Januszem, autorem »Pieśni Janusza«, jednej z tych ksiąg, »na które wieki czekają; wszy-

skie inne arcydzieła, któremi się szczycą narody: »Iliada«, »Pan Tadeusz«, podnoszą tylko pewną chwilę historyczną lub ciałniejszą kładą sobie granicę; w pieśniach Janusza żyje cały naród całą swoją przeszłością, chwilami obecnymi i rozwijaniem się przyszlę. Gdyby szczególnem zrządzeniem zniknęły nagle wszystkie księgi, tyczące się historii polskiej, gdyby zatarły się nagle z pamięci ludzkiej wszystkie ślady życia narodowego, a ocalała z tego potopu, spadającego na duchowy nasz żywot, tylko ta jedna złota, niewielka książeczka, natchniony historyk, czerpiąc z tego źródła, odgadłby charakter dziejów Polski, a nowy wieszcz, czerpiąc równie w tem źródle, wyśpiewałby jej przyszłość«. Z podobnym entuzjazmem i uwielbieniem mówi Ujejski o »Obrazach z życia i podróży«, »Pieśni o ziemi naszej« i fragmentach »Mohorta«. To wszystko wyśpiewał Janusz. Ale potem Janusz umarł, a urodził się pan Wincenty Pol, a ten pan Wincenty Pol jest odstępca, bo »przeszedłszy od biednych i zapomnianych do bogatych i górujących«, »przejął się ich narowami, schlebiał im nawet, ugrzązł w rzuconych mu kwiatach, przestał w sercu być żalobnym, przestał mówić zdrowiem, zapomniął o misyi swojej, a pamiętał o sobie, przestał kochać naród, a przedewszystkiem pokochał siebie, państwem się oparzył, zapragnął wygody i dostatku«; »po tem odstępstwie, będąc srogo ukaranym przez Boga, bo ręką tego ludu, który on kochał i wyniósł na widownię narodową, nie uznał w tem kary Boga, nie ukorzył się przed nią, nie oczyścił się własną krwią wylaną, nie uznał zbrodniczej ręki ludu, jako narzędzia do spełnienia kary na sobie, nie szukał tam winnych, gdzie należało, ale jednostronnie potępił własnych — i nie przebaczył ludowi«. Zresztą te dowody »odstępstwa« to jeszcze pół biedy; są inne: Pol ponownie wydał swą »Pieśń o ziemi naszej« pod tytułem »Pieśń o ziemi«; »naszej« opuścił — wniosek jasny! Dalej: Pol nie kocha Lenartowicza (także dowód!). Pol, zamiast być kapłanem swego narodu, ożenił się (a Ujejski?). Pol był profesorem geografii: »nie mamy nic przeciwko przyrodniczym naukom i ich praktycznym rozwojom, potrzebnym w każdym oświeconym i samodzielnie urządzonym narodzie, ale u nas, gdzie przedewszystkiem należy rozbudzać nie życie roślinne, ale życie duchowe kraju, — dziwnie wydaje się takie materialne posłannictwo, przywiązane do osoby

narodowego poty» (!!). To jeszcze nie wszystko — ale już dosyć. Serce się ściska na myśl, że takie oskarżenie padło na Pola i że oskarżycielem był Ujejski. Pobudki jego były godziwe: widać to choćby z tonu inwektywy, pełnej świętego oburzenia; naprawdę widać, że ten człowiek pisze to, co czuje, widać nadto, że on kocha, bardzo kocha Pola, i dla tego właśnie tak go boli jego rzekome odstępstwo, które zresztą nie będzie wieczne: «Po jakimś czasie otworzy się z wewnątrz brama kościoła, stanie na jej progu Janusz, blady zmęczeniem, natchnieniem promienny, odbytą pokutą dumny, odrodzoną potęgą śmiały, i zawoła: «Uczyliem porządek w kościele sumienia mego, naprawiłem sam moje ołtarze, porozpalałem nad nimi światła, postawiłem nowe organy, kapłanem jestem, jako dawniej, — wejdźcie i módlcie się, ja wam nową mszę odprawię.» «A mówiąc to, ujrzy mnie, mnie płaczącego ze szczęścia strażnika, i może uściska mnie i powie:» Przebaczam ci i dziękuję nawet — boś kochał! pójdź za mną i służ mi do mszy!...» Pójdź!...» Nie złość, lecz miłość napisała te słowa. Nie podobna także odmówić tej napaści logiki uczucia, ale logiki rozumu — ani żdźbła! A forma? Forma jest świetna, prześliczna, wspaniała: streszczenie „pieśni Janusza“ jest samo poezją, najczystsza, najrzetelniejsza poezją, streszczenie „Pieśni o ziemi naszej“ jest poezją piękniejszą, niż sama pieśń, a napaść na Pola — potężna w swej namietności i paradoksalności. «Listy z pod Lwowa» to niezrównane arcydzieło publicystyki polskiej, a do charakterystyki umysłu Ujejskiego — wprost konieczne, jako świadectwo braku równowagi umysłowej. „Jam nie chłodny cyrulik, krający spokojnie trupa, ale podobien jestem do dziecka, co topi lak na zmarłej piersi swojej matki, aby ją do życia powołać, — a czyni tę srogą próbę z płaczem.“ Prawda! Wierzmy mu, że płakał, pisząc oskarżenie, ale i w to wierzymy, że „podobien jest do dziecka,“ które samo nie wie, co broi.

Taka organizacja duchowa tłumaczy nam dostatecznie, dla czego talent Ujejskiego był wybitnie liryczny. Że nie miał talentu do dramatu, widać już stąd, że rozpoczętych utworów dramatycznych nie kończył, a napisane fragmenty znamionują liryka, nie dramatyka. Co zaś do epiki, to, chociaż jego opowiadania i obrazki odznaczają się niemałą plastyką, jednak i one są zazwyczaj nawskroś

uczuciowe, jak np. «Maraton.» Natomiast jako liryk, jest Ujejski poetą niepospolitym, a liryka jego jest nie tylko piękna, ale dziwnie czysta i szlachetna, bo taką była też dusza poety, w której siła uczucia nie wykluczała jego miękkości, miłość Boga walczyła o lepsze z miłością kraju, uczucie — z rozsądkiem, nadzieja — z rozpaczą, a wszystko, co tylko wyszło z pod jego pióra, miało swe źródło w sercu miękkim, jak воск, czystem, jak łza. Dla tego to jest w jego poezyi tyle szlachetnego idealizmu, tyle rozrzucającego optymizmu i marzycielstwa, tyle podniosłych i świętych uczuć, czyto kiedy dziękuje Bogu, że mu dał syna, czy kiedy pragnie «odkrywać perły, skryte w łonie» ludu, — wszędzie i zawsze widać «duszę czystą, nieświecką, serce do uczuć, do łez skłonne oko.»

Chociaż w liryce swej różnych dotykał tematów — rodzinnych, społecznych, historycznych, jednak jej głównym tematem są współczesne losy społeczeństwa, głównem uczuciem — miłość kraju i narodu, a przede wszystkim ludu, nie, żeby nie kochał innych warstw społeczeństwa, lecz że głęboko współczuł doli ludu i gorąco pragnął dźwignąć go z ciemnoty; to zaś uczucie nie zmieniło się nic a nic po rzezi galicyjskiej, jak np. u Pola: Ujejski przebaczył ludowi w tych prześlicznych słowach: «Ależ, o Panie, oni nie winni,» bo rozumiał, że «inni szatani byli tam czynni.» Jeżeli nadto zważymy, że Ujejski był do śmierci człowiekiem wysoce religijnym, że w nieszczęściu do Boga się zwracał, chociaż nie od razu mógł się zgodzić z wolą bożą, — to poezję jego można określić, jako patryotyczno-demokratyczno-religijną. On sam najlepiej scharakteryzował te trzy główne pierwiastki swej poezyi w pieśni «Trzy struny:» «I z tego serca biegną struny różne... Jedna z strun takich... wciąż się zaczepia o góry, o wody, o prochy mogił, o zwalone grody... i w końcu pozna, że z całego świata, ach! najpiękniejsza ta matka kochana... A druga struna wiąże się do strzechy tych biednych sierot... A trzecia struna, moja struna złota, pnie się do nieba, jak sznurek pajęczy.» Są zaś te trzy struny w harfie Ujejskiego nierozłączne, — kto jedną znieważy, ten całą harfę znieważy, bo Ujejski poprostu nie rozumiał, jak można kochać ojczyznę, nie kochając Boga i nie kochając ludu. Jak ściśle wiązał miłość Boga z miłością kraju, dowodzi tego, oprócz jego poezyi,

mowa, wypowiedziana we Lwowie d. 17 Lipca r. 1873 w setną rocznicę ustanowienia komisji edukacyjnej: Bóg i ojczyzna «to dla nas nie dwie wiary, to wiara jedna. Ateusz, wyznający i kochający ojczyznę, albo jest człowiekiem płytkiego, nielogicznego umysłu, albo patryotyzm kłamie. Jeżeli w jego sercu mieszka ojczyzna, jest tam i Bóg! Biedny! o takim gościu w swoim domu on nic nie może! I odwrotnie—zły Polak nie może być szczerym wyznawcą Boga: to jakgdyby kto ojca szanował, a matkę poniewierał. Zły Polak będzie złym człowiekiem, choćby on codziennie spowiadał się i codziennie składał świętopietrze» (*Przemówienia*, str. 71). Że zaś miłości kraju nie rozumiał Ujejski bez miłości ludu, świadczą i «Pieśń o ziarnie,» i «Zawiana chata,» i «Za służbą,» i «Błonia medyczne» i t. d. A jak miłość ludu nie wykluczała w jego sercu miłości szlachty («Konfederat,» «Podróż przerwana,» i t. d.), tak miłość kraju nie wykluczała miłości innych narodów; dosyć przeczytać dedykację i wstęp do «Wyjątku z niewydanych poezyi» (Lipsk, 1862) i same „niewydane poezye,“ t. j. «Po latach osiemnastu» i «Ustęp z powieści,» aby się o tem przekonać.

Na ukształtowanie tych wszystkich tak pięknych i szlachetnych uczuć i poglądów wpłynęło nasamprzód wychowanie Ujejskiego. Rodzice wszczepili w jego serce miłość tego wszystkiego, co piękne, wzniosłe i szlachetne; w «Stancach do mojej matki» mówi poeta, że, jeżeli kiedy zagrała w nim dusza do cnoty, to tę iskrę matka w jego sercu roznieciła; w «Podróży przerwanej» opowiada o ojcu, jak «bawił jego młodość» opowiadaniem tradycyi rodzinnych, jak obwoził go po kraju rodzinnym i uczył kochać jego piękności, a w «Przeczcuciu śmierci» składa hołd wdzięczności obojgu rodzicom.

Lecz obok wychowania wpłynęła na duszę Ujejskiego wielka poezja romantyczna, która właśnie za czasów jego dzieciństwa i młodości święciła największe tryumfy w arcydziełach trzech wielkich poetów, których ideałami, poglądami i marzeniami bardzo mocno się przejął.

Od Mickiewicza wziął przekonanie, że poeta ma posłannictwo kapłana; poezja, jego zdaniem, powinna być siłą życiową, pokrzepiać naród, uszlachetniać, do Boga zbliżać: «Poezja nie była dla mnie ukochaną sztuką, ale jednym z narzędzi, którym posługiwałem się najchętniej w pracy naro-

dowej» (*Przemówienia*, str. 147); «pieśń nie pieluchą ma być, lecz ostrogą» («Ustęp z powieści»); «jeżeli kiedy stać twardo ludziom natchnienia, ludziom, noszącym w sobie iskrę bożą, to wtedy, kiedy się wszyscy chwieją; kiedy wszyscy wątpią—oni niech wierzą! kiedy wszyscy milczą—oni niech mówią!» (przedmowa do «Niewydanych poezyi»). Poeta to inny człowiek, jak inni, a tem się od nich różni, że więcej kocha; poetę stwarzają dwie potęgi: wielka miłość i wielka boleść, a z tych dwu potęg rodzi się trzecia — jasnowidzenie (*tamże*). Aby zaś poeta mógł być naprawdę kapłanem, powinien iść zawsze drogą prawdy, nie pochlebiać, nie dbać o popularność, mówić prawdę w oczy, choćby nawet szorstko lub brutalnie; pokornym wolno być poecie tylko względem Boga, ojczyzny i «tych ojców, co dali jej chwałę;» takim poetą był, zdaniem Ujejskiego, «największy z naszych wieszczów,» Mickiewicz.

Do Krasińskiego podobny jest Ujejski przez swą wiarę w tryumf dobrego nad złem, chociaż ta wiara opiera się nie na filozofii i rozumowaniu, jak u Krasińskiego, lecz na sercu i na... Krasińskim; w «Akcie wiary» np. są tylko powtórzone myśli „Przedświtu.“ Wiara Ujejskiego w szczególności graniczy nawet z mesyanizmem: „Jesteś córką Boga i siostrą jesteś Ukrzyżowanego“ (te słowa Słowackiego bierze Ujejski zupełnie na seryo)... Z tem anielskiem piętnem pójdziesz w nową erę swych dziejów... Idealnym słowom Twych poetów Ty nadasz ciało i życie. I nazwą Ciebie samą natchnionym narodem, narodem-poetą» (przedmowa do „Niewyd. poezyi,“ por. «Listy z pod Lwowa,» str. 129 i 174). Później jednak ten pogląd ustąpił miejsca pogładowi trzeźwemu, że «upadliśmy przez naszą własną winę» (*Przemówienia*, str. 17); główną winą było upośledzenie ludu (*tamże*, str. 16); środkiem do odrodzenia jest nauka i praca, ale tylko środkiem tymczasowym (*tamże*, str. 19 i 47).

Słowacki olśnił Ujejskiego nie tylko blaskiem i świetnością formy i nie tylko swymi poglądami społecznymi, ale i pewnością siebie, przekonaniem, że przeczcucia wieszczów są częściowem objawieniem myśli i woli Bożej. Uwielbienie dla Słowackiego widać i z wiersza «Do autora Kordyana,» i z poematu «Wieść o Adamie Mickiewiczu,» w którym nazywa Słowackiego: «geniusz blasków, duch Tytana, serce wielkie, dumne, siewacz skar-

bów, ciskający klejnoty przed siebie,» widać i z tego, że synowi swemu dał na imię Kordyan, a w «Listach z pod Lwowa» wspomina, że «szalał w młodości za nieznanym sobie osobie Juliuszem i po całych dniach tułał się po lasach z jedną z płomiennych książek jego.»

Pomimo jednak, że Ujejski przejął się duchem trzech wielkich poetów, nie można powiedzieć, żeby był ich naśladowcą; myśli, wzięte od nich, wypowiadał samodzielnie, a co do uczuć, to szukał ich w sobie samym i społeczeństwie, które się uczuciami wielkich poetów nawskroś przejęło.

\* \* \*

Dzieckiem był Ujejski, a już marzył o tem, aby być poetą; gdy wyrósł na młodzieńca, marzył, aby się stać poetą głośnym. Mając lat 21, wołał:

Młodości moja! ty mi bądź aniołem,  
Prowadź do celu i drogą cierniową,  
Byłem szedł zawsze z podniesioną głową,  
Byłem nie żółwiem był, ale sokołem.  
Młodości moja! i nad mojem czołem  
Możesz się wznosić z męczennika wieńcem,  
Byłem narodu został ulubieńcem...

Wcześniej jeszcze, mając lat siedemnaście, dumnie zapowiadał, że nie jest już dzieckiem, i już wówczas wierzył, że będzie miał siły, aby «z braćmi starszymi biegnąć w zawody i dzielić ukryte ich prace i trudy,» wierzył, że «dąbczak, co le dwie gałązką podniósł się od ziemi... przerośnie... wysmukłe brzozy.» Dąbczak nie przerósł brzoź wysmukłych: liryka Ujejskiego nie wzniosła się ani jednego razu do potęgi wielkich poetów, ani razu nie wyszła «z planet i gwiazd kołowrotu,» ani razu nie spadła w otchłań dantejskiego piekła; ona krąży na średniej wysokości, ale takiej, że z niej — pod nią — widać ziemię i ludzi, nad nią — niebo i Boga. Inne za to życzenie Ujejskiego spełniło się w zupełności: «stał się narodu swego ulubieńcem,» bo umiał — wcale nie «orla żrenicą» i nie «zaostrzonym słuchem» (jak myślał) — ale sercem «wglębić się w jego pierś.»

Ale nie od razu. Najwcześniejszy zbiór jego poezji, «Pieśni Salomona» (1846), składający się z dwu wiązanek («Pieśń z pieśni» i «Kaznodzieja»), posiada wartość małą. Inne utwory młodzieńcze wydał Ujejski dopiero w r. 1848 p. t.

«Kwiaty bez woni» i w r. 1849 p. t. «Zwiedle liście.» Większość tych kwiatów i liści świadczy, że poeta nie stoi jeszcze o własnych siłach, ale niektóre są już bardzo piękne, jak np. «Stance do mojej matki,» a przede wszystkim «Maraton.» Budowa tego poematu lirycznego jest doskonała, szczegóły kilkoma pociągami pióra skreślone wybornie, akcja, płynąca naprzód z szaloną szybkością, olbrzymie sprawia wrażenie, ale co przede wszystkim nadaje poematowi wysoką wartość, to entuzjazm i zapal samego poety, bijące zarówno z opowiadania o bohaterstwie i miłości ojczyzny Hellenów, jak z dopisanego później wstępu lirycznego, który powstał zresztą wyraźnie pod wpływem ostatnich wierszy «Pieśni Wajdeloty,» i z zakończenia, w którym streszcza poeta swą myśl przewodnią: «Błogosławiony, kto... duchem nie spada, ale się przemienia w owego orla, co pioruny dzierży»<sup>1)</sup>.

Śliczna «Pieśń o ziarnie,» (napisana w roku 1843), tak harmonijna, tak pogodna, tchnąca tak szlachetnym idealizmem, to, obok «Maratonu,» także dowód, że talent Ujejskiego rozwijał się szybko; wypowiada w niej poeta swą miłość ludu: chciałby «ukochać lud nasz chęciami młodości, odkrywać perły, skryte w jego łonie, z znoju mu ścierać podeptane skronie, a karmić ziarnem wiary i miłości.» Nie wiedział, że niedługo już przyjdą szatani, którzy w sercach ludu siałą będą ziarna nie miłości, lecz nienawiści, że zbliża się już piekielna godzina, w której syn zabije matkę, brat zabije brata. Ale przeczuwał, że niebawem przyjdzie mu «gęśl dawną rzucić pod nogę i gniewną stopą deptać ją i łamać» i «wyciągnąć ramię po Jeremiasza gęśl, do wtóru bratnich jęków ją ostrunąć, dzikim rozstrojem każdą pieśń spiołunąć.»

Przyszła chwila, godna jeremiaszowej pieśni, przyszedł rok 1846, w którym «ze zgrozą świata okropne dzieje przyniósł nam czas.» W poezji Ujejskiego następuje zwrot — poeta staje się wyrazicielem uczuć zbiorowych. Najwcześniejszym wyrazem bólu są «Trzy strofy,» «Ziemia,» «Fragment,» «Lilia,» «Perły boleści;» te pieśni to jakby prolog do «Skarg Jeremiego.»

<sup>1)</sup> Zakończenie «Maratonu,» składające się z trzech strof czterowierszowych, ukazało się w druku dopiero po śmierci poety w Krakowskim *Przeglądzie Literackim*, 1897, № 19 i 20.



Wstęp—«Słowo Jeremiego»—jest potężnym wyrazem tego wrażenia, które sprawiła na poetę rzeź galicyjska. «Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni i mniemał, że miecz dzierży archanielski w dłoni... A przy drogach, jak stare pochyłone słupy, sterczeli ludzie—spojrzał im w twarz—żywe trupy! Bo wszyscy skamienieli, nikt bólem nie władał: kto pod ciosem nie upadł, ten z niemocy padał! I, widząc to, Jeremi spłonął strasznym gniewem i ze snu chciał ich zbudzić brzękiem, słowem, śpiewem; więc na górę z rumowisk podniósł się po zgłiszczach i, mieczem bijąc w lutnię, ćwiczoną na mistrzach, łunami obleczony i dymem owiany, uderzył w hymn, jak serce jego, potargany.» Niepodobna lepiej scharakteryzować «Skarg,» jak temi słowami: «hymn potargany, jak serce,»—potrafił w nich Ujejski o wszystkie struny serca, rozstrojonego rzezią galicyjską; wszystkie uczucia tej krwawej epoki znalazły swój wyraz w «Skargach»—i pragnienie zemsty, i nienawiść namiętna, i żal do Boga, i ból, i rozpacz— a potem przebaczenie i cichy smutek, wreszcie wiara w Boga i... względne ukojenie. Naprzód więc słyhać w tym hymnie potarganym «Pieśń zemsty»—zemsty względem tego, «co na rodną brać zbroił dłonie bratnie, — za tysiące spadłych głów na katowskim pniu zemsta mu!» I w pragnieniu zemsty jest Jeremi tak zaślepiony, że Boga prosi o pomoc; lecz opamiętał się i «poznał, że u Boga niżej stał, niż człowiek, a więc czołem uderzył, jak syn, się rozżalił i Panu na ofiarę całą duszę palił.» Lecz ukorzenie się przed Bogiem było tylko pozorne: nie palił Jeremi Bogu na ofiarę „całej duszy,“—nie mógł się modlić jeszcze. To też następna skarga, „Noc natchnienia,“ choć nazwana jest „modlitwą,“ nie jest nią bynajmniej: nie modli się Jeremi, tylko cicho jęczy: „Mój Boże, mój Boże!“ Modlitwą jest dopiero „Ojczy nasz.“ I o cóż modli się Jeremi do Ojca niebieskiego? czy spełnił przyrzeczenie, że się „całą duszą ukorzy przed Bogiem?“ Kiedy błaga Boga, aby przyszło na świat Jego królestwo pod postacią zgody i braterstwa, wówczas jest prawdziwym synem Boga, ale nie jest nim, kiedy tylko cichymi słowy jąka „Bądź wola Twoja,“—bo on tu nie jest szczerzy, nie zdał się jeszcze na wolę Bożą i nieszczerze błaga o odpuszczenie win, bo on ich swym winowajcom odpuścić nie chce. Nie upokorzył się i w rzewnej modlitwie „Smutno nam Boże,“ ani

w rozrzucającej pieśni „Eli! Eli! lamasabachta-ni,“ w której jest niby to pokora, ale jakaś warunkowa: nie zawsze pokora jest godziwą, czasem Bóg łatwiej odpuści grzech pychy, niż pokorę niewoli; to też w „Suplikacjach,“ pomiędzy innymi prośbami, wznosi przed tron Boga i tę, aby zachował nas od zelżywego przymierza. A jak Krasiński w „Psalmie dobrej woli“ od Boga zwraca się do Bogarodzicy, tak i Ujejski błaga Pannę Najświętszą, aby wejrzała na tych, co, „jak wichrem zgiety kłos, kładą się u Twych stóp.“ I, jak Konrad, który, rozszalały rozpaczą, przypomina Bogu swą potęgę, jakby zapominając o Jego wszechwiedzy, tak Jeremi przypomina Mu zasługi narodu i śpiewa hymn „W cześć zmarłym,“ bo, choćby nawet winy ojców były niewiedzieć jak wielkie, to przecież umarli już dawno musieli je krwią własną odkupić. Na chwilę spokój wstępuje w duszę Jeremiego, widoczny w „Modlitwie więźnia,“ a ze spokoju płynie przeświadczenie, że Bóg wejrzał na niego, że Jego łaska jest z nim; pragnąc zaś, żeby ona jeszcze większa była, składa na ofiarę naprzód siebie, a potem syna swego—w „Modlitwie ojca przy chrzcie syna.“ Lecz spokój trwa krótko: co przyjdzie społeczeństwu z poświęcenia jednostki, jeżeli ono samo nie chce szczęścia, jeżeli „lud nasz, co wicherzy się spodem, dotąd się jeszcze nie nazwał narodem?“ Wobec tej bolesnej świadomości, Jeremi, po odśpiewaniu modlitwy „Za zbłąkanych,“ znów wybucha rozpaczą i żalem w pieśni, strasznej, jak śmierć, okropnej, jak rzeź, w pieśni, w której skupiają się wszystkie uczucia społeczeństwa po rzezi galicyjskiej: ból, spotęgowany jeszcze szyderstwem, świadomość nieszczęścia, błaganie o ratunek, rozpacz, że, kiedy ziemia krwią płynie, niebo zawsze spokojne, że „pośród błękitu, jak dawniej, buja swobodny ptak.“ Pieśń tem silniejsza sprawia wrażenie, że wszystko w niej jest straszną prawdą — najstraszniejszą to, że naprawdę „syn zabił matkę, brat zabił brata.“ Lecz wśród tych jęków okropnych, które wziął Ujejski z piersi całego społeczeństwa, jest jeden głos czysty i błogosławiony — jego własny: głos przebaczenia — tym, co mordowali matki i braci, bo „oni nie winni.“ Ani na jedną chwilę nie stracił Ujejski miłości ludu; nie stracił także wiary w Boga i tryumf dobrego nad złem i tę wypowiedział w groźnej strofie ostatniej. Ta wiara dzwien- czy także w modlitwie „Chwała Tobie, Panie,“

silniej jeszcze w „Akcie wiary,” który jest aktem tylko wiary, ale nie pokory, najsilniej — w napisanej w r. 1848 pieśni „Krzyż a miecz,” w której także pokory ani rezygnacyi nie widać: ukorzył się Jeremi, ale później, o wiele później...

W r. 1852 wyszły „Melodye biblijne” (z których dwie — „Jubał” i „Hagar na puszcy” powstały jeszcze w r. 1845). Głębokie przejście się duchem Starego Zakonu, wielka niekiedy siła wyrazu, dźwięczny i do treści dostrojony rytm, wyrazistość i plastyka obrazów — oto zalety tych pieśni; co jednak największe sprawia wrażenie, to bardzo wysoka skala liryzmu — uczuć ludzkich. Z niepospolitą siłą oddał poeta i cierpienia Jubala, i przerażenie mieszkańców Sodomy, i rozpacz Hagar, i płacz Izraelitów w Egipcie a zatwardziałość serc biczowników, i straszliwy, niemający granic, gniew Jehowy, i rozdzierający płacz Jeremiasza. Chyba nigdy jeszcze w naszej poezyi nie przemówił gniew silniej, jak przez usta tego „Pana w gniewie,” straszego Jehowy, który chciałby, zda się, z korzeniem wyrwać ród Izraela, i widzi w tem dziele zniszczenia swą chwałę, chce, aby Izrael, konając, uwierzył, że „ja Pan, Bóg wasz.” A żalność Jeremiasza, rozpaczającego nad nieszczęściem swego narodu i rzucającego Bogu bluźnierstwo „Tyś ojcem, Jehowo, a<sup>1</sup> własne syny wytępiłeś z szczętem,” — jest tak potężna, że prawdziwy Jeremiasz może nie płakał żalnością. Dodajmy do tych piękności to jeszcze, co przyśpiesza „serca bicie” — analogię między dwoma narodami, a zrozumiemy, dla czego ze wszystkich utworów Ujejskiego „Melodye,” — po „Skargach” — są najbardziej popularne i drogie.

W tym samym roku 1852 zniżył poeta lot swej rycerskiej liryki („Do mojej myśli”) i zwrócił się do tematów społecznych, pisząc drobne utwory, pełne miłości i współczucia dla ludu wiejskiego („Zawiana chata,” „Pogrzeb K.”, „Do młodego poety,” „Błonia medyczne,” „Za służbą”), oraz do obrazków epicznych („Podróż przerwana,” „Niebezpieczna” i t. d.); wśród nich prześliczna legenda „Pług i szabla” (a właściwie tylko „Pług,” bo, niestety, legenda nie skończona), w której poeta „uderzył w poważne struny ludowej prostoty” i uszlachetnionego humoru szlacheckiego, jest małym arcydziełem humorystycznej epiki staroszlacheckiej.

Zniżywszy swój lot ku „dolnym niwom,” czuł się Ujejski spokojnym i szczęśliwym („W Ciszy,” „Czy wy mnie znacie?”), lecz śmierć Mickiewicza w r. 1855 kazała mu na chwilę powrócić do górnych lotów; a te go nie zawiodły, bo „Wieść o śmierci Adama Mickiewicza” to utwór bardzo piękny i rozrzewniający przez cześć autora dla Mickiewicza, którego wspaniałą duszę odczuł głęboko i niezwykle poetycznie.

Pomiędzy rokiem 1857 a 1860 powstały „Tłomaczenia Szopena.” O tem, żeby były dokładnem tłumaczeniem muzyki Szopenowskiej, mowy być nawet nie może, bo muzyka budzi w duszy nastrój, nie obraz konkretny, bez którego nie ma prawdziwej poezyi, a oddawać nastrój zapomocą konkretnego obrazu jest zadaniem zwykle zawodnem. Rozpatrywane zaś nie jako interpretacja muzyki, lecz jako poezya, są „Tłomaczenia” bardzo piękne, zwłaszcza „Zakochana” i „Marsz pogrzebowy;” dowiódł w nich Ujejski, że, jak umiał odczuć uczucia zbiorowe, tak odczuwa doskonale uczucia indywidualne, czy to rozpacz na pogrzebie ukochanej nad wszystko istoty, czy ból dziewczyny podczas „Nocy strasznej,” czy rojenia piętnastoletniej „Terkotki” i t. d.

W kilka lat później wyśpiewał Ujejski „Ostatnią strofę;” nazwał ją ostatnią, bo mu się zdawało, że już swej „harfy nigdy, nigdy nie nastroi.” Lecz ta właśnie strofa była pierwszą w szeregu utworów, pisanych w różnych czasach, a wydanych dopiero w roku 1893, pod tytułem: *Skargi Jeremiego*, Część II. Przykrego uczucia doświadcza się, czytając te nowe skargi, widzi się bowiem, że talent Ujejskiego już się wyczerpał; tu i owdzie tylko, jak na przykład przy końcu pieśni drugiej lub w ósmej widać jeszcze przebliski dawnego talentu; wogóle jednak nowe „Skargi” mierzyć się nawet nie mogą z dawnymi. A jednak poznanie ich jest dla charakterystyki uczuć i poglądów Ujejskiego konieczne. Był to okres, kiedy w duszy jego odbywała się tragedia: nie utracił on wiary w szczęście, lecz zrozumiał, że ono nieprędko nadejdzie; zrozumiał, że trzeba na nie zapracować. Tę zaś wiarę dało poecie to, na co w poprzednich skargach nie mógł się zdobyć — zdanie się na wolę Boga już bez żadnych zastrzeżeń: „Idę szukać Boga... Spętana dusza do Ciebie się rwie, bezsenna o Tobie śni — że jesteś, wiem — jesteś... lecz gdzie?.. zbłąkaniec

ubogi bez światła i drogi, mojej nadziei nie mam oprzeć na czym... jękiem Ciebie wyszukam, zdo-  
będę Cię płaczem... Z wolą wrogą, z wolą sro-  
gą walczę chrobrze—przygniotła mnie... i tak do-  
brze! Cierpię, lecz się nie poddaję: mam ja siłę,  
co wzbogaca: *praca ducha i rąk praca*—jedna gi-  
nie, inna wstaje,» a ta praca powinna być popar-  
ta «świętą i mocną cierpliwością...» Oto w jaki  
sposób zmodyfikowały się poglądy Ujejskiego.

<sup>1)</sup> Z prac, poświęconych życiu i twórczości Ujejskiego, wymieniamy następujące: *Antoni Bądzkiewicz*. Kornel Ujejski, zarys biograficzno-krytyczny, Kraków i Petersburg 1893.—*Józef Tretiak*. Kornel Ujejski i je-

Ale nie zwątpił, nie zrezygnował, a «zostawiony» gdzieś na mogił straży, jak żoraw, aby nie spał wśród omamień, trzymał swe serce w ręku...» <sup>1)</sup>

*Ign. Chrzanowski.*

go poezya, Kraków, 1893. — *Tadeusz Pini*. Kornel Ujejski, wspomnienie pośmiertne, Lwów, 1897 (jestto zbyt pesymistyczna ocena twórczości poety). — *Stanisław Tarnowski*. Kornel Ujejski («Przegląd polski,» zeszyt wrześniowy, 1898). — *Antoni Mazanowski*. Charakterystyki literackie pisarzy polskich. V. Kornel Ujejski («Biblioteka powszechna,» nr. 234), Złoczów, 1898. — *Kazimierz Wróblewski*. Kornel Ujejski, w dodatkach garść listów Ujejskiego, Szajnochy i Bohdana Zaleskiego, Lwów, 1902.



# Ks. Ignacy Hołowiński.

\* 1800 — † 1855.

Wśród całej plejady duchów, które w ubiegłym wieku przekazały przyszłości tradycję przywiązania do Kościoła i rzuciły posiew dojrzewający nieustannie z pokolenia na pokolenie, uwydatnia się postać arcybiskupa Hołowińskiego. W grubyh ona zaledwie się jeszcze przedstawia zarysach, ale to też jeszcze nie znalazła swojego artysty, któryby ją godną biografią wykończył, wycieniował i tem bodajże na pierwszym miejscu wśród współczesnych mężów Kościoła postawił. Słowem, piórem, przykładem pracował on do ostatniego tchnienia ku pożytkowi świętej Instytucji, której był przedstawicielem; i zmogła go ta praca ustawiczna i przedwcześnie, w sile wieku męskiego, sprowadziła do grobu.

Urodził się Hołowiński w Owruczu d. 24 września 1800 r. Nie wyszedł jeszcze z lat dziecięcych, gdy śmierć zabrała mu ojca, Piotra, w r. 1810. W smutnem położeniu została osierocona rodzina. Spuścizną pośmiertną było tylko dobre

imię nieboszczyka, a ośmioro drobnych dzieci wymagało dużo pracy i znacznych kosztów, nimby wyszli na ludzi. To też serdeczne kartki w swej

»Tece Rozmaitości« poświęca arcybiskup matce, Dominice, która niezmordowaną pracą, szeregiem osobistych poświęceń, bez żadnej postronnej pomocy, doprowadziła do końca wychowanie dzieci.

Ciężkie były pierwsze lata Ignacego, ale może z nich, mając piękny przykład matki przed oczyma, wyniósł swą wiarę silną w Opatrzność, swą energię, swe gruntowne poczucie obowiązku. Zaledwie ukończył szkołę w Międzyrzeczu, duch powołania wprowadził go w mury seminarium w Lucku. W tym nowym dla siebie stanie chciwie czerpał i pochłaniał specjalną wiedzę, a ten zapal młodego lewity skłonił zwierzchników do posłania go na wyższe stu-

dya do Akademii Wileńskiej, którą w r. 1831 chlubnie, ze stopniem magistra św. Teologii, ukończył i stanął w szeregu pracowników Kościoła, jako kapelan Szkoły Szlacheckiej w Żytomierzu,



Według współczesnego stalorytu.

*Al. Sułkowski*

I musiała ta praca być gorliwą, skoro wkrótce nietylko otrzymał godność kanonika kapituły żytomierskiej, lecz i nominację na kapelana i profesora religii i moralności w uniwersytecie kijowskim.

Przeniesienie do Kijowa wielką rolę odegrało w życiu ks. Hołowińskiego. Kijów był naówczas ogniskiem życia umysłowego Wołynia, Podola i Ukrainy. W stolicy Rusi bywali Michał Grabowski, Henryk Rzewuski, Kraszewski, Świdziński, Szczeniowski, Przeździecki — słowem, wszyscy, co żywiej zajmowali się duchem umysłowym. Towarzystwo ludzi tej miary musiało wywrzeć wpływ na młodego kapłana. Obdarzony niepospolitemi zdolnościami, pragnął je spożytkowywać nietylko w obrębie wiedzy ściśle kościelnej; ujął za pióro i w krótkim względnie czasie pojawiło się tłumaczenie dzieł Szekspira wierszem miarowym, wydane w dwóch tomach 1840 r. Pierwsza ta literacka praca, osłonięta pseudonimem Kefaliński, zwróciła na młodego autora uwagę publiczną, i choć zarzucano formę przyciężką i jednostajną, podnoszono jako dowód dojrzewania społeczeństwa, sięgającego już po arcydzieła myśli ludzkiej. W ślad za Szekspirem ukazało się tłumaczenie Sonetów Petrarki.

Zamknięcie uniwersytetu kijowskiego uwolniło ks. Hołowińskiego od stałych i obowiązkowych zajęć i pozwoliło mu ziścić dawno żywione marzenia — odbyć pielgrzymkę do Ziemi Świętej. — Krótko, bo 6 miesięcy trwała podróż, lecz bogaty dała owoc pod postacią dzieła, pisanego w formie listów do brata: «Pielgrzymka do Ziemi Świętej, odprawiona przez ks. H...» Ileż tu przepięknych obrazów natury, ile prawdziwości w malowaniu ludów, zwyczajów! I podziwiając artystyczną formę, niepodobna nie zastanowić się głębiej nad bogatym umysłem autora, któremu nic nie jest obce: historia, archeologia, geografia, ludoznawstwo, a już wzrusza to serce pocziwe, co z pośród odwiecznych pamiątek z pod południowego słońca wyrывa się i zwraca do ziemi ojczystej, do stron rodzinnych.

Po powrocie do Kijowa nie wrócił ks. Hołowiński do swych dawnych zajęć. Roztworzyło się przed nim gdzieindziej szerokie pole działalności. Wkrótce po powrocie ks. Hołowińskiego z podróży w 1842 roku, nastąpiło przeniesienie Akademii duchownej Wileńskiej do Petersburga. Do jej urzędu i na godność rektora powoła-

no ks. Hołowińskiego. Nowy rektor zabrał się gorąco do dzieła. Według swego uznania dobierał profesorów, najszanowniejszych z byłej Akademii powołał do Petersburga.

I rozpoczęła się praca. — Ducha i serce swe włożył w nią rektor. Rozumiejąc, że w młodzieży leży przyszłość społeczeństwa, starał się podnosić i uszlachetniać młode umysły; dbał o postępy w naukach, lecz nie zaniedbywał także pracy nad kształceniem charakterów. Obok wiadomości ogólnokościelnych, starał się, aby młodzi lewicy zapoznawali się z rzeczami swojskimi, wskazywał piękności polskiej literatury kościelnej, wydobywał na światło dzienne zapomniane świetne postacie mistrzów kaznodziejstwa, jak Wereszczyński, Młodzianowski.

Wśród zajęć rektorskich nie spuszczał z oka spraw Kościoła. Jego to zasłudze przypisać należy, że osierocone dyecezye w Cesarstwie otrzymały w 1848 roku nowych pasterzy. — I tem szczęśliwszym był wynik jego zabiegów, że sam został mianowany biskupem sufraganiem mohilewskim cum jure successionis t. j. z prawem następstwa po metropolicie Kazimierzu Dmochowskim.

Kościół zyskał przez to mądrego i dzielnego biskupa. — A trzeba było wiele mądrości, by gładko poprowadzić sprawę Kościoła. Wskutek zmian w kraju zmieniły się chwilowo stosunki kościelne i ukazały się ciemne postacie, jak np. Łaski, Kossowski, które godności i mitry pożądamy, gotowe były użyć wszystkich środków, by celu dopiąć. — Mądre rady biskupa Hołowińskiego udaremniły te starania, trzeba było jednak wiele zmysłu politycznego, by uniknąć zasadzek i pocziwie prowadzić pracę kościelną. To też i papież Pius IX ocenił należycie biskupa sufragana i, gdy umarł arcybiskup Dmochowski, nadesłał bullę i paliusz dla Hołowińskiego.

Zasiadłszy na stolicy metropolitalnej, Arcybiskup ujął w żelazne ręce rządy kościelne. Opierając się na prawo i konkordacie, wypleniał przedajność, usuwał niegodnych, a gdy to było nad jego siły, własną pracą i czuwaniem paraliżował ich szkodliwą działalność. Zajęcia pasterskie nie oderwały Arcybiskupa od Akademii; pozostał jej rektorem, a wdzięczna młodzież kochała swego przewodnika, instynktownie odgadując w nim prawego męża kościelnego i syna kraju.



Wśród tych różnorodnych zajęć, znalazł jeszcze Arcybiskup chwile do prac literackich. Co rok ukazywały się jego twory. Wyjątki z «Legend», opowieści czerpanych z Pisma św., z dziejów Kościoła, kraju, wydanych w Wilnie w 1843 roku, przedostały się do elementarzy i podręczników szkolnych, jako cenne wzory stylu. «Teki Rozmaitości» wydana w 1845 r., podała publiczności zbiór krótkich szkiców, z których jeden: «Życie mojej matki» wzruszyć może czytelnika swą rzewną opowieścią o szeregu poświęceń macierzyńskich i ciężkiej niedoli lat dziecinnych. W 1846 roku ukazał się poemat religijny, osnuty na tle opowiadań apokryficznych Ewangelii, pod tytułem «Dzieciątko Jezus», a także powieść pod tytułem: «Rachel».

Troskliwość o prawdziwy rozwój umysłów młodzieży, na którą w swoim czasie wielki wpływ wywierał Trentowski, pobudziła ks. Hołowińskiego do wydania rozprawy «O stosunku bezpośrednim filozofii do religii i cywilizacji naszej».

Wszystkie te powyżej wspomniane prace łącznie z tłumaczeniem z greckiego: «Obraz Cebes i doręcznik Epikteta» wydaniem w 1845 r., razem wyszły z druku w 2 tomach w Wilnie w 1848 roku pod tytułem: «Pisma Żegoty Kostrowca».

Lecz na tem jeszcze nie koniec literackiej działalności Arcybiskupa Hołowińskiego. Pisał on jeszcze w zakresie czysto kościelnym, a choć śmierć nie pozwoliła mu ogłosić tych prac drukiem, wyszły one w Krakowie: «Kazania niedzielne, świąteczne i pogrzebowe oraz allokucye, miane w Petersburgu», «Hymny kościelne» w 1857 r. «Homiletyka» w 1859.

Jako pasterz, ks. Arcybiskup nie porzastał tylko na rządzeniu. Wzorem Apostołów pragnął sam nauczać, często też wierni mieli sposobność słuchania swego metropolity w kościele, gdy z namaszczeniem, lecz prostotą z kazalnicy wykladał prawdy Wiary.

Rozpatrując się w tej wielostronnej działalności ks. Hołowińskiego, niepodobna nie przyjść do wniosku, że tak mógł pracować tylko człowiek, co poświęcił w zupełności całego siebie dla idea-

łów. Żadnego wytchnienia, żadnych rozrywek i przyjemności osobistych! Skutki tej nieustannej pracy poczęły się odbijać na usposobieniu i organizmie Arcybiskupa. — Szukający towarzystwa ludzi w Kijowie, później od niego stronił; wreszcie wyczerpany, wątły z natury organizm, począł wypowiadać służbę. W lutym 1855 r. zapadł ks. Hołowiński silnie na zdrowiu; żadne środki kuracyjne nie przynosiły poprawy, każdy miesiąc zbliżał smutny koniec. Mimo jednak cierpień, nie przerwał Arcybiskup swej pracy. Chcąc dać Kościołowi nowego wiernego sługę, wśród dokuczliwych bólów wyświęcił na kapłana wychowanka Akademii, ks. Felińskiego i miał do niego podnieść przemowę. — Ale to już ostatni wysiłek. Dnia 17 Października, domowy lekarz, Mianowski, późniejszy rektor szkoły głównej, oznajmił, iż choroba jest śmiertelną. Ze spokojem wezwał Hołowiński młodzież akademicką, pożegnał ją i pobłogosławił. — Na łożu śmierci nie opuściła go troska o to, co umiłował, czemu całe życie swe poświęcił».

Umarł dnia 19 Października 1855 r., pochowany w podziemiach kościoła na cmentarzu Wyborskim w Petersburgu. — Wieść o śmierci napełniła radością tych, co za cenę poświęcenia spraw Kościoła chcieli posiąść zaszczyty i godności, z obojętnością przyjętą została przez ludzi nierozumiejących Hołowińskiego, pograżyła w głębokim żalu miłujących Kościół i zdających sobie sprawę z mądrej działalności Arcybiskupa. Rozmaite wydawano o nim sądy, przytoczę tu słowa tego, co Hołowińskiego najlepiej znał, Arcybiskupa Warszawskiego, ks. Felińskiego: «Utrzymuję, że był on zawsze dobrym i gorliwym kapłanem, że szczerze miłował Kościół i niezmordowanie dla niego pracował. Że był człowiekiem wielkiego rozumu i wielkiego serca, człowiek prawdziwie opatrnościowy, który oddał nieobliczone zasługi polskiemu Kościołowi. — Misja jego była wyłączna, jak wyłączne były jego zdolności i wyłączone okoliczności, wśród których był postawiony...» (Pamiętniki).

*Ks. Seweryn Popławski.*



# Kazimierz Stronczyński.

\* 1809 † 1896.



**N**iuwersytet Aleksandryjski przysposobił Stronczyńskiego na przyrodnika.

Dziewiętnastoletni magister filozofii został w ro-

ku 1828 nauczycielem nauk przyrodzonych w szkole wojewódzkiej, oraz nauczycielem chemii w szkole rzemiosł w Warszawie. Późniejszy znakomity badacz przeszłości zaczął zawód naukowy od wydania «Rozrywek entomologicznych» w r. 1835. W r. 1836 otrzymał urząd naczelnika służby ogólnej i sekretarza posiedzeń w nowo utworzonym departamencie heroldyi przy Radzie stanu Królestwa Polskiego. Ażeby wiernie i biegle odczytywać średniowieczne pergaminy, Stronczyński rozpoczął wówczas rozległe studia nad paleografią i sfragistyką. Po trzech latach gruntownej pracy w tym kierunku wydał «Wzory pism

dawnych, w przerysach przedstawione i objaśnione drukowanem ich wyczytaniem» (Warszawa rok 1839). Dzieło to, odbite w 40 tylko egzemplarzach,

składało się z drukowanego osobno tekstu oraz atlasu, zawierającego 90 litografowanych arkuszowych podobizn dyplomatów z Metryki królewskiej czyli Archiwum Głównego Królestwa Pol., od r. 1228 do 1536, oraz 4 tablice pieczęci. Stronczyński, wydając «Wzory» «dla ułatwienia archiwaryuszom czytania pism dawnych», przysporzył historykom szacownych dokumentów.

W kilka lat później opracował własnoręcznie wierną podobiznę litograficzną t. zw. «Wiślicy», to jest przechowywany w Archiwum głównem przekład polski statutów Kazimierza Wielkiego, Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagielloń-



Według fotografii z natury.

*Kaz. Stronczyński*

czyka, dokonany na początku wieku XVI. «Przeniosłem — mówi Stronczyński — wydanie w przerysach nad nowe ogłoszenie drukiem nie tylko dla tego, iż przyjemniej będzie miłośnikom rzeczy krajowych mieć przed oczyma dokładny obraz oryginału, ale że byłem przekonany, iż w tego rodzaju pomnikach ścisła pod względem pisowni z oryginałem zgodność jest warunkiem najgłówniejszym». Jakoż owe «*Statuta Polskie Cioła Kazimierza w Wyślici słożone*», na pierwszy rzut oka jedynie papierem różnią się od oryginału.

Stronczyński zamyślał wydać wielkie dzieło o pieczęciach, monetach i innych pomnikach sztuki z epoki piastowskiej, gdy oto znalezionych w r. 1844 kilka nader ważnych wykopalisk skłoniło go do ogłoszenia drukiem tych prac, które już gotowe posiadał. Tak się ukazały «Pieniądze Piastów od czasów najdawniejszych do r. 1300, rozbiorem źródeł społecznych i wykopalisk, oraz porównaniem typów mennicznych wyjaśnione» (Warszawa 1847 r. z drzeworytami i tablicami monet). Przed tem dziełem schylił głowę nawet autor «Numizmatyki wieków średnich», Joachim Lelewel, drukując w «Polsce wieków średnich» następujące słowa: «Prześcignął innych na niwie numizmatyki Piastów Kazimierz Stronczyński. Żarliwą chęcią powodowany, bystrem i przenikliwym okiem uzbrojony, on pierwszy zasoby świeżo odkryte daje w pewnym szyku poznać. Dzięki niezmordowanemu jego pośpiechowi, wiemy o licznych z ziemi zaginionych skarbów wydobywaniu, o mnogich denarach i brakteatach. On ich typy rozpatrzył, zbliżył, rozróżnił, źródła onych wskazał, cudze usterekki lub omawiania wytknął, błakające się monety w Polsce zatrzymał, całość jej średnich wieków numizmatyki przejrzał i urządził. Choć jest co u niego do podchwycenia i zaprzeczenia, po takim jednak pełnym zalet trudzie, opuścić mi dawne pole wypada, gdy się na niem nowe zjawiało oświecenie».

To też kiedy Rada administracyjna Królestwa Polskiego wyznaczyła delegację do opisania zabytków starożytności i sztuki w Królestwie, postawiła na jej czele Stronczyńskiego. Co rok latem z kilku rysowników zwiedzał on gubernie Kongresówki. W taki sposób powstało dzieło p. t. «Opisy zabytków starożytności», składające się w rękopisie z 5 iu sporych tomów. Gubernia warszawska (bez m. Warszawy) opisana została w latach 1844 —

1846, Lubelska i Augustowska w latach 1852 — 3, Radomska i Płocka w latach 1854 — 5. Całość poprzedzona jest «Obrazem ogólnym» i wykazami chronologicznymi zabytków. Opisy obejmują wszystko, co dotyczy prastarego budownictwa, więc: grodziska i nasypy, zamki i wieże obronne, bramy i mury miejskie, ratusze i domy sądowe, pałace i odwieczne dwory szlacheckie, dawne kamienice miejskie, zabudowania klasztorne, kościoły, bożnice, meczety, dzwonnice, mogiły i grobowiska z popielnicami, nagrobki kościelne, ołtarze, ambony, stalle, chrzcielnice, portyki, odrzwia, dzwony i tablice erekcyjne, malowidła szkoły bizantyńskiej lub staro-niemieckiej. Wreszcie, stosownie do instrukcji Rady administracyjnej Stronczyński przejrzał i uporządkował dawne przywileje miast zwiedzanych i sporządził katalogi 35-ciu archiwów. Opis cały jest obficie ilustrowany w tekście herbami miast i miasteczek, podobiznami zabytków, większe zaś rysunki ujęto w 7 osobnych atlasów. Całe to dzieło w rękopisie spoczywa dotąd w bibliotece uniwersytetu warszawskiego. Część tekstu ogłosił Stronczyński w «Dzienniku Powszechnym». Z opisów i rysunków korzystał też Feliks Maks. Sobieszczański dla 28 tomowej Encyklopedyi Powsz. S. Orgelbranda i dla Tygodnika Ilustrowanego. Ogółem Stronczyński mniej lub więcej szczegółowo opisał 195 kościołów, wzniesionych do r. 1500, i 79 zamków. A jakkolwiek to i owo pominął, bo zbadanie wszystkiego przekraczało miarę sił pojedynczego badacza, to przecież opis jego, brany w całości, nie ma dotąd równego sobie na ziemiach dawnej Polski. Praca ta jego stała się dzisiaj tem szacowniejszą, że wiele zabytków opisanych przez Stronczyńskiego uległo rozebraniu i zaginęło w drugiej połowie XIX wieku.

Zostawszy referendarzem ogólnego zebrania warszawskich departamentów senatu, rzadkie miewał chwile wytchnienia, a i te obracał na pożytek badań naukowych. Ułożył tekst do seryi I-ej wspólnego «Albumu lubelskiego» Adama Leru'ego, udzielał materiałów i doświadczonej rady innym badaczom a zwłaszcza Al. Przeddzieckiemu, Edw. Rastawieckiemu, A. Muczkowskiemu, M. Malinowskiemu, F. M. Sobieszczańskiemu, Emer. Czapskiemu, Zygm. Glogerowi innym. Spotykane dotąd po domach metalowe podobizny grobów królewskich w kształcie szkatulek — są pracą rąk Stronczyńskiego. On z wosku jaknajdokładniej lepił

modele, podług których sporządzał odlewy Karol Minter w Warszawie.

Zostawszy r. 1861 referendarzem stanu, dyrektorem kancelaryi Komisji oświecenia i nieco później członkiem Rady wychowania publicznego, brał ważny udział za Wielopolskiego w reformie szkół średnich, organizacji Szkoły Głównej i instytutów specjalnych. Przywiązanie swoje do zakładów wychowawczych zażyczył podarowaniem bogatych zbiorów przyrodniczych instytutowi rolniczo-leśnemu i w części gimnazjum piotrkowskiemu.

Dopiero po wysłużeniu emerytury i opuszczeniu służby zagaił Stronczyński drugi okres autorstwa. W r. 1880 Akademia umiejętności w Krakowie, której był członkiem mianowanym od założenia tej instytucji, wydaje «Legendę obrazową o św. Jadwidze, księżnie szląskiej, według rękopisu z r. 1353 przedstawioną i z późniejszymi tejsze treści obrazami porównaną». W obszernym wywodzie polemicznym Stronczyński dowiódł, że rękopis z r. 1353, jeden z najcenniejszych zabytków malarstwa średniowiecznego, należy do sztuki polskiej. Osiadłszy stale w Piotrkowie trybunalskim, wydrukował tamże w ciągu trzech lat (1883—5) trzy wielkie tomy p. t. «Dawne monety polskie dynastyi Piastów i Jagiellonów». Dzieło to obejmujące oprócz licznych podobizn w tekście, 46 tablic z wyobrażeniami monet, stanowi całą kopalnię cen-

nych wiadomości rzucających sporo światła na skarbowość i stosunki ekonomiczne dawnej Polski. Długi swój zawód naukowy zamknął godnie Stronczyński dziełem p. t. «Pomniki książęce Piastów, lenników dawnej Polski, w pieczęciach, budowlach, grobowcach i innych starożytnościach zebrane i objaśnione» (Piotrków 1888 r., z 22 tablicami litografowanymi).

Odwiedzając sędziwego badacza na rok przed jego zgonem w Piotrkowie, pełnego jeszcze przytomności umysłu i zapału do pracy pomimo 86-iu lat wieku, oglądaliśmy w rękopisie przygotowane przez niego do druku, jeszcze jedno dzieło, obejmujące opracowane wyczerpująco wszystkie zabytki Piastów na ziemiach polskich. Jeżeli dzieło to nie zostało dotąd wydane, nie przynosi to zaszczytu sferom księgarsko-wydawniczym w naszym kraju. Pomniejszych prac Stronczyńskiego, nie wymienionych powyżej, możnaby zgromadzić sporą liczbę, począwszy od udziału w «Encyklopedyi obrazowej» F. Bentkowskiego i w «Bibliotece Warszawskiej», a skończywszy na «Przeglądzie Bibliograficzno-Archeologicznym». Sumienny, treściwy rzut oka na działalność pisarską Stronczyńskiego po zgonie jego w r. 1896, napisał p. Wł. Korotyński.

*Zygmunt Gloger.*



# Dr. Julian Titius.

\* 1820 † 1898.

Geniusze są chlubą narodów, które ich wydały; ich imiona złotemi głoskami zapisują w dziejach i ze czcią i uwielbieniem powtarzają pokolenia.

Dla społeczeństwa atoli stokroć donioślejsze znaczenie mają ludzie, których imiona nie stają się zabytkiem historyi, których cicha i skromna praca nie jest znana szerszemu ogółowi, ale praca ta i samo nawet istnienie tych ludzi są niezbędne dla życia i rozwoju narodów. Do takich postaci należał zmarły niedawno Dr. Julian Titius, jeden z ostatnich wychowalców akademii medyko-chirurgicznej Wileńskiej. Nie wstawił imienia swego żadnym czynem bohaterskim, żadnym wynalazkiem, żadnym wiekopomnem dziełem literackiem lub muzycznym, pomimo

to jednak Wilno ze czcią zmarłego wspomina, gdyż całe długie życie jego oddane było na usługi cierpiących i nieszczęśliwych, sam on zaś był żywym wzorem cnót obywatelskich.

Dr. Julian Titius pochodził ze szlacheckiego rodu saskiego, który liczył kilku sławnych mężów. Szczególnie wstawili się przez swe prace naukowe rektor gimnazjum gdańskiego, Jan Piotr Titius, za czasów Jana Sobieskiego i rektor Uniwersytetu w Lipsku w XVII wieku. Gotlieb Gerhard Titius. Przodkowie Titiusa za panowania Augusta III zamieszkali w Polsce, dziad zaś jego, Fryderyk, w końcu XVII stulecia przeniósł się na Litwę i tu kupił majątek. Ojciec jego na początku XIX stulecia przybył do Wilna ze znanym wydawcą



Według fotografii z natury.

*Julian Titius*



i księgarzem, Józefem Zawadzkim, i założył tu pierwszorzędną restaurację. Julian urodził się w Wilnie w r. 1820.

Mickiewicz był częstym gościem u Titiusów i lubił małego Julianka.

Początkowe wychowanie odebrał Titius w słynnej szkole powiatowej OO. Bazylianów. Jak wiadomo, zakon ten oddał znakomite usługi cywilizacji Litwy i w szkołach ściśle się trzymał programu komisji edukacyjnej. Julian był celującym uczniem i w każdej klasie otrzymywał w nagrodę książki «za pilność i dobre obyczaje». Mając lat 15 ukończył szkołę i w r. 1835 zapisał się jako student do Akademii medyko-chirurgicznej, otwartej na miejsce Uniwersytetu. Właściwie Uniwersytet, raczej jego wydział lekarski zmienił tylko nazwę, ponieważ i profesorowie pozostali ci sami, i w wykładach trzymano się programu uniwersyteckiego, i nie zmieniono również i podręczników. Profesorowie byli wówczas następujący: Jędrzej Sniadecki, Adam Bielkiewicz, Feliks Rymkiewicz, Józef Mianowski, Konstanty Porcyanko, Józef Korzeniewski, Mikołaj Mianowski, Adolf Abrecht, Edward Eichwald, Fonberg, St. Górski i Woelk.

Wszyscy ci profesorowie byli znani w świecie uczonym przez swe liczne prace i zasługi na polu nauki, to też młodzież, opuszczając akademię, wynosiła z niej wiedzę gruntowną i rozbudzone poczucie obowiązku względem nauki i społeczeństwa.

Titius gorliwie pracował i był widziany jako wybitny student. Na 3 i 4-ym kursach otrzymał w nagrodę «za postępy w naukach i wzorowe sprawowanie» cenne dzieła lekarskie. Przez kolegów był lubiany, ponieważ już wtedy uwydatniały się główne cechy jego charakteru: prawość, skromność i uczynność. W r. 1840, mając lat 20, świetnie złożył egzamina i otrzymał dyplom lekarza 1-ej klasy. Nie zadowolnił się jednak wiedzą, zdobytą w Akademii, lecz postanowił uzupełnić ją przez podróże naukowe, tembardziej iż będąc zamożnym, nie potrzebował zajmować się praktyką lekarską lub szukać posady rządowej. W r. 1842 wyjechał zagranicę razem z profesorem Rymkiewiczem, który mając obszerne stosunki z profesorami uniwersytetów zagranicznych, ułatwiał swemu młodemu towarzyszowi podróży

wstęp na wykłady i do klinik. Najpierw tedy pracował w Berlinie u sławnego Schönleina. Ztąd udał się do Londynu do znanego Totta, profesora medycyny praktycznej. Następnie zwiedził Pragę i tu słuchał wykładów Oppolzera, oraz Wiedeń. W tem mieście zabawił do zimy i był gorliwym uczniem Skody i Rokitanskiego. Na zimę udał się do Włoch. Niebo, klimat i natura włoska, pomniki starożytności, poezya i artyzm, któremi tchnął każdy zakątek, każdy niemal głaz, wszystko to przeniosło Titiusa w świat zupełnie inny i niepodobny do tego, w którym się dotąd obracał. Rozbudziło się w nim poczucie piękna, to też zaniechał studyów lekarskich, zapoznał się z artystami i całe dnie spędzał na zwiedzaniu muzeów, miejscowości historycznych i zwalisk. Jednocześnie pracował nad archeologią, wolne zaś chwile poświęcał literaturze. Zima spędzona we Włoszech wywarła wpływ poważny na młodzieńca i rozwinęła w nim zamiłowanie i rozumienie przyrody i sztuk pięknych. Trafny sąd o muzyce, grze artystów, dziełach pędzla lub dłuta nieraz później podziwiali w Titusie znawcy. Podróż ta zajęła dwa lata. Wrócił do Wilna i w prędkim czasie zasłynął jako wybitny lekarz. Rymkiewicz wyrobił mu posadę ordynatora w szpitalu Sawica, gdzie sam był lekarzem naczelnym. Mając często do czynienia z chorymi chirurgicznymi, postanowił Titius wydoskonalić się i w tej gałęzi sztuki lekarskiej. W tym celu udał się do Petersburga, gdzie przez zimę roku 1851—52 uczył się u sławnego Pirogowa, z którym się zaprzyjaźnił. Po powrocie do Wilna został ordynatorem oddziału chorób zewnętrznych w Szpitalu Ś-go Jakóba, lecz wkrótce porzucił służbę.

Wspomnienia odbytej podróży, oraz nadwątłone zdrowie i chęć uzupełnienia wiedzy sprawiły, iż w r. 1857 wyjechał do Paryża. Całe dnie spędzał w klinikach i szpitalach, gorliwie zajmując się szczególnie medycyną wewnętrzną. Jako kierowników miał sławnego chirurga Nélatona, Riccorda oraz Trousseau. Z ostatnim z nich związał stosunek serdeczny, nie zerwany nawet po wyjeździe Titiusa z Paryża.

Trzecią podróż odbył w r. 1861 do Heidelbergu i tu spotkał starego znajomego Pirogowa, który serdecznie Titiusa powitał i nieraz całe wieczory z nim spędzał na gawędce o Wilnie, jego uniwersytecie i profesorach. W parę lat

potem zwiedził Titius kliniki w Niemczech, Paryżu i Londynie i na koniec w r. 1876 odbył ostatnią wycieczkę naukową do Wiednia. Podczas tych podróży poznał wielu wybitnych uczonych i działaczy społecznych, lecz szczególnie zaprzyjaźnił się z Frerichsem, Bambergerem i Palackim. Podróże i wiedza, którą czerpał u źródeł, sprawiły, iż z Titiusa wyrobił się gruntownie wykształcony, doskonały lekarz praktyk, to też w krótkim czasie dał się poznać nie tylko Wilnu, lecz i szerszym okolicom. Miał obszerną praktykę we wszystkich warstwach ludności, począwszy od pałaców magnatów a kończąc na lepiankach nędzarzy. Najwięcej atoli ukochał tych ostatnich i był przez całe życie lekarzem i opiekunem ubogich i nieszczęśliwych. Nie tylko z poradą lekarską spieszył do najbiedniejszych, lecz otaczał opieką, wspierał, wynajdywał pracę i wstawiał się za nimi do możnych. Obszernej praktyce, wszechstronnemu wykształceniu i obejściu światowca zawdzięczał liczne stosunki z ludźmi bogatymi oraz stojącymi u steru administracji. Ze stosunków tych nieraz korzystał nie dla siebie, bo sam niczego nie potrzebował, lecz dla swych licznych protegowanych. To też nie jedna rodzina zawdzięcza Titusowi dobrobyt, dźwignięcie z nędzy i upadku, poratowanie w nieszczęściu.

Pragnąc szerzej rozwinąć działalność filantropijną, Titius w r. 1847 podał się na członka Towarzystwa Dobroczynności.

Przy Towarzystwie utworzyło się prywatne kółko, mające na celu okazywanie już to materialnej już to lekarskiej pomocy potrzebującym takowej, również jak podtrzymanie w chwilach krytycznych pracowników przez wyszukanie pracy. W oddziale 3-im od chwili jego utworzenia stale i gorliwie pracowali lekarze. Lecz chyba nikt nie położył więcej zasług na tem polu nad Titiusa, który postawił sobie za cel życia ocieranie łez i niesienie pomocy i pociechy nieszczęśliwym. Jako lekarz praktyk miał sposobność częściej od innych spotykać się z nędzą, ponieważ nie było w mieście suterena i poddaszy, do którychby nie zajrzał ten mąż wielkiego i litościwego serca, nie było wdowy i sieroty, łez którychby nie otarł. Lecz szczególnie szerokie pole znalazł do działalności filantropijnej, gdy od roku 1861 został wiceprezesem, w roku zaś 1881 prezesem oddziału drugiego. Zadaniem tego oddziału jest

nieśnienie pomocy osobom potrzebującym jej po zaścianami przytułku, otaczanie opieką sierot, oraz dostarczanie stosownego zajęcia zubożałym wskutek nieszczęśliwych okoliczności rzemieślnikom i wyrobnikom. Titius dobrze rozumiał, jak pięknem jest to zadanie i jak wiele dobrego można tu zdziałać, to też nie spoczął, aż szeroko rozwinął czynność tego oddziału. Urządzał koncerty i przedstawienia amatorskie, zbierał składki, kółłatał do bogatych i możnych, korzystając z licznych znajomości, a nikt nie odmawiał zacnemu i powszechnie szanowanemu doktorowi, tem bardziej, że nigdy nikogo o nic dla siebie nie prosił.

Jak powszechnie był czczony i kochany Titius, świadczą: jubileusz jego półwiekowej pracy lekarskiej w r. 1895 i... pogrzeb w r. 1898. W dzień jubileuszu hołd uznania i liczne upominki składali mu przedstawiciele wszystkich warstw społecznych Wilna, zaś Towarzystwo lekarskie obrało go na dożywotniego prezesa honorowego, zaszczyt, który przedtem nikogo nie spotkał. Dziękując kolegom, sędziwy jubilat zakończył przemowę, słowami, w których zaznaczył zasady, jakimi się w życiu kierował i które przekazywał młodszemu kolegom:

«Uczciwość względem nauki, kolegów, publiczności, zaś przede wszystkim miłość bliźniego. Najwyższą dla nas nagrodą niech będzie ła wdzięczności ubogiego!»

Nagła śmierć (d. 20 Marca r. 1898) tego zacnego człowieka była prawdziwym ciosem dla ubogich wileńskich, którzy tracili opiekuna i orędownika. Całe Wilno wzięło udział w pogrzebie, liczne wieńce pokryły trumnę, płacz i jęki rozlegały się wśród tłumów nawiedzających zmarłego. Lekarze na barkach odnieśli trumnę ze zwłokami swego prezesa honorowego na cmentarz ewangelicki, gdzie został pogrzebiony obok ojca.

Titius był wszechstronnie wykształcony, lecz szczególne zamiłowanie miał do historii i archeologii. Nieraz z wielkim mozolem odszukiwał i gromadził pamiątki przeszłości naszej i wileńskie muzeum, utworzone przez hr. Eustachego Tyszkiewicza, zawdzięcza mu liczne zabytki, sięgające nieraz czasów przedchrześcijańskich. Własne mieszkanie Titiusa stanowiło małe muzeum pamiątek historycznych.

Titius był żywą kroniką ostatnich lat 70 Litwy i Wilna, których dzieje znał doskonale i lu-

bił dzielić się wspomnieniami o minionych czasach i ludziach. A znajomości miał liczne i mógł się nimi pochwalić.

Syrokomla, wyleczony przez Titiusa i D-ra Juliana Moszyńskiego od zapalenia płuc, napisał do nich:

«Co sercem bratniem, ręką łaskawą  
«Piersiom Łazarza dalsie zdrowie,  
«Do mego życia wy macie prawo,  
«Cni Julianowie!»

Lelewel z Belgii często pisywał do Titiusa, skarżył się przed nim na ciężkie czasy, dawał mu różne zlecenia i przysyłał swe prace. Pirogow, sławny chirurg i jeszcze sławniejszy pedagog, również pisywał do Titiusa. Z prof. Trouseau Titius przez długi czas podtrzymywał korespondencję naukową.

Znając doskonale przeszłość Litwy, Titius pomagał niektórym badaczom i literatom w zbieraniu materyałów, tak np. dopomagał Winc. Korotyńskiemu w zgromadzeniu wierszy i przyczynków do 10-tomowego wydania poezji L. Kondratowicza. Jednemu z żyjących literatów posłał ciekawą pracę o strojach uniwersyteckich w Wilnie, innemu znanemu literatowi i kolekcjonerowi pamiątek przesłał liczne szczegóły o osobach z epoki Juliusza Słowackiego, innemu znów wspomnienia o Mickiewiczu i osobach jemu blizkich. Wogóle nie skąpił pomocy literackiej.

Teatr wileński za swych świetnych czasów wiele zawdzięczał Titiusowi, który go otaczał opieką, wspierał i nieraz nim kierował. W miejscowej gazecie stale umieszczał recenzje o przedstawieniach teatralnych. Imienia swego w literaturze nie wstawił, ponieważ wrodzona skromność nie pozwalała mu szukać rozgłosu, o które nie dbał, mając za hasło w życiu: «Starać się być użytecznem społeczeństwu, którego był synem». Należał do kilku kół literackich, pisywał do gazet i dzienników, lecz nigdy się własnem imieniem nie podpisywał. Nawet znany na Litwie przewodnik po Wilnie Kirkora, zawierający wiele ciekawych szczegółów historycznych o grodzie Giedyminiowym i jego pamiątkach, w znacznej części był ułożony przez Titiusa i wydany jego nakładem. Z zagranicy pisywał liczne korespondencje, które drukował Kuryer Wileński.

W ostatnich latach życia wyrzekł się praktyki i zachował sobie tylko ubogich pacjentów; szczególną opieką otaczał ślepych, bo i sam utracił wzrok na jedno oko z powodu zaćmy.


W Towarzystwie lekarskiem wygłaszał zajmujące odczyty, z zagranicy zaś przysyłał ciekawe opisy klinik, wykładów i nowych metod badania i leczenia.

*Dr. Władysław Zahorski.*



# Maksymilian Gierymski.

\* 1846 † 1874.

ziwne to były czasy, w których przyszedł na świat Maksymilian Gierymski. Przeznaczenie jakgdyby chciało na ponurem niebie, okrytem groźnemi i burzą ciężarnemi chmurami, ukazać nam świetne gwiazdy. Były to lata, w których ukazali się kolejno tacy wielcy artyści: Matejko, Grottger, Gierymscy, Chelmoński, Brandt, Siemiradzki. Był to środek przeszłego wieku.

Maksymilian Gierymski urodził się w Warszawie w r. 1846. Ojciec jego był urzędnikiem w szpitalu Ujazdowskim. Młody Maks zdradzał ogólne zdolności do muzyki i rysunku, uczył się dobrze, skończył gimnazjum III na placu Ś-go Aleksandra—i pod koniec swego tam pobytu już słynął między kolegami, jako najlepszy rysownik koni. Najwięcej go interesowały na owe czasy konie wyścigowe. Pamiętam jeszcze zgrabne bardzo akwarelle, które już po wyjściu Maksa z gimnazjum koledzy sobie pokazywali jako osobliwość.

Gierymski, wychowany w mieście, nie wyjeżdżał na wieś z braku stosunków. Gimnazjum skończył w r. 1863—i zaraz zapisał się do byłej szkoły Głównej na wydział matematyczny. Widocznie więc o poświęceniu się malarstwu jeszcze wtedy nie myślał. W b. szkole Głównej był krótko, porwała go burza dziejowa, po której z podkopaniem zdrowiem, po powrocie do Warszawy, postanowił poświęcić się malarstwu. Jako miejsce do przyszłych studyów obrał Monachium, dokąd zresztą ciągnęli wówczas wszyscy Polacy—malarze.

W Monachium panowali wtedy Kaulbach i Piloty. Kaulbach, wielki myśliciel, sumienny rysownik, chłodny filozof, mało artysta. Piloty szeroki malarz; w jego obrazach, zresztą dobrych, widniał wszędzie teatralny układ kompozycji. Obydwaj ci malarze—bardzo szanowani w Niemczech i zresztą całkiem słusznie—grupowali koło siebie cały ruch ówczesny. Kaulbach był dyrektorem akademii sztuk pięknych, a Piloty miał pierwszą na owe czasy szkołę kompozycyjną, przez którą przeszli najlepsi artyści drugiej połowy XIX wieku rozmaitych narodowości. Piloty w akademii odgrywał rolę wybitniejszą od Kaulbacha, ponieważ był w bardziej bezpośrednich stosunkach z uczniami, a przytem rozumiał i umiał ocenić każdy talent i indywidualność.

Historia nowa i starożytna głównie dawała tematy ówczesnym artystom. Był to impuls, jeszcze trwający od epoki pierwszego Cesarstwa. Maksymilian bawarski, którego ojciec koronę zawdzięczał Napoleonowi i jego epoce, tradycje «Empiru» z jego fałszywym klasycyzmem szanował bardzo. Ale tak we Francji, jak i w Niemczech już budziła się przeciwko temu przypomnieniu klasycznej sztuki reakcja. Cały ten teatralno-klasyczny aparat w żaden sposób nie mógł zachwycić Maksa, który miał duszę napelnioną wrażeniami całkiem niepodobnemi. Smętne równiny Mazowsza—sosnowe lasy, piaski poplamione fioletowym wrzosem—białe brzoźki, okryte drobnym drgającym na wicherze liściem, błotniste drogi—ubogie chaty, na których wiatr podnosi poszycie ze słomy; wrażenia trudu, głodu, melancholii nie mo-



*Podług portretu olejnego H. Piłkowskiego.*

*M. Gierzyński.*



gły znaleźć wyrazu w wielkiej linii zimnej i obmyślanej Kaulbacha, ani w teatralnym układzie Tusneldy Pilottego. Maks rozwija się szybko i oryentuje się jeszcze szybciej—odrazu wybiera drogę, po której do końca kroczy. Zapisuje się w r. 1864 do szkoły rysowniczej Anschütza, który odrazu podziwia i czci ucznia—wkrótce przechodzi do szkoły malarskiej Wagnera, pod którym przez lat trzydzieści kilka uczyli się malować prawie wszyscy Polacy; bawi tam również krótko — poznaje się z Franzem Adamem, batalistą, z którym do śmierci pozostaje w serdecznej przyjaźni. W kilka lat już po śmierci Maksa miałem sposobność spotkać się z Franzem Adamem w Alpach bawarskich. Był to już stary człowiek, choć z duszą młodą i wrażliwą — wyrażał się o nieboszczyku z bezwzględny szacunkiem i uwielbieniem. W r. 1868 Maks już jest malarzem znanym i szanowanym w Monachium, posyła do Warszawy dwa obrazy: «Cyganie» i «Krajobraz południowy;» krytyka warszawska przyjmuje obrazy te z kpinami. Ten sam los spotyka jego obraz «Wieczornica» i „Pojedynek Tarły z Poniatowskim.» Zrażony złem przyjęciem w kraju, od r. 1869 nie posyła nic do kraju — i społeczeństwo polskie traci możność widzenia jego obrazów, które zaczynają być rozchwytywane wprost z pracowni. Nietylko możność widzenia, ale społeczeństwo traci *na zawsze* możność posiadania obrazów Maksa, tego tak nawskroś polskiego artysty. Jest to strata ogromna, szczerba w dziejach kultury, niczem nie dająca się wypełnić. Tymczasem Niemcy, Anglicy i Amerykanie, patrząc na obrazy Maksa, które sobie kupili — czuć będą to samo, co on czuł, rozumieć to, co on rozumiał, uczyć się od niego będą miłości natury i osładzać sobie życie.

Spółeczeństwo, obalamucane do niemożliwych granic przez reporterów, ponosi ciągle niepowetowane straty—i na tyle przypomina stado Panurga, że idzie zawsze tam, gdzie słyszy najgłośniejszy bek.

Gieryski był to umysł poważny, skromny i cichy,—to też ogół nie pojmował go wcale.

W pamiętniku swoim pisze on w jednym miejscu: «Wszystko, co jest wysiłkiem zgrymaszonej wyobraźni, często gwałconej nawet w celach materialnych — wszystko, co jest naśladownictwem choćby najbardziej wielkich oryginalnych i uzna-

nych arcydzieł, nie ma dla sztuki żadnego znaczenia. Tylko to, co płynie samo z przepelnionej duszy artysty, jest dziełem, godnem imienia sztuki.»

Słowa te możnaby wyrzucić złotemi zgłoskami i umieścić w gmachach wystaw, aby choć trochę opamiętać rozczochranych agitatorów, którzy sztukę widzą tylko w nędznych naśladownictwach francuskich i niemieckich dekadentów. Główną siłą Maksa była nadzwyczaj subtelna obserwacja barw i ich stosunków w naturze — śmiało można powiedzieć, że przed nim ani po nim nikt tak dobrze nie dopatrywał się różnic i stosunków barw, jak on. To też jego rady były nieocenione i wielu starszych wiekiem i znaczeniem, artystów nie wahało się prosić go o radę — a jego rady zawsze były jakby snopem nowego światła, rzuconego w ten zakątek duszy, który właśnie oświecić należało. Otaczano więc młodego artystę niezmiernym i szczerym szacunkiem. Dziś jeszcze malarze monachijscy starszej generacji, wspominając jego imię, uchylają kapeluszy.

Maksymilian był również muzykiem. Grał na fortepianie, nie jak wirtuoz, który całą muzykę zasadza na biegłości gimnastycznej palców. Jego muzyka była wyrazem jego duszy,—tak samo, jak jego malarstwo. Że Maksa cudzoziemcy rozumieli dobrze, daje on sam na to świadectwo w pamiętniku, gdzie z niekłamanem zdziwieniem pisze:

«Wiele sprawozdań dotyka, że tak powiem, «tylko zewnętrznej powłoki obrazu. Tymczasem «pod farbą dobrze położoną, pod werniksem leży «czasem trochę uczucia zagrzebanego — w które «samemu często się nie wierzy, lub o którym się «wątpiło chwilami. A jednak ta trocha uczucia «przegląda przez farbę, być może, iż blasku jej «dodaje. Co prawda, nie myślałem, aby ta wewnętrzna strona moich obrazów była dla kogo- «kolwiek widoczną i dla tego dziwiłem się niepo- «miernie, czytając i słysząc, jak Niemcy główny na- «cisk kładą na to właśnie, co według mego prze- «konania powinno być dla nich nieczytelną li- «terą.»

Nieczytelną literą były obrazy Maksa tylko dla nas, dla których były stworzone.

Dla czego Maks malował obrazy? sam na to pytanie odpowiada w pamiętniku:

«Pociechę moją największą jest to, że są ludzie, którym obrazy moje pewną przyjemność «duchową sprawiają, w których one rozbudzają

«myśli, podobne do tych, jakie mnie zajmowały. Maluję obrazy dla moich przyjaciół, dla tej niewielkiej liczby ludzi, którzy tak czuć mogą i umieją, jak ja czuję. Moje myśli i uczucia nie są się-roce i to stanowi całe moje szczęście.»

Tak, ale te *bratnie dusze, ci przyjaciele* byli to Niemcy; pomiędzy ziomkami, z wyjątkiem kolegów i to nie wszystkich, takich przyjaciół Maks nie znalazł.

Dalej pisze on o tem, jak go w kraju uważano, a pisze spokojnie, bo miał duszę słodką, która знаła boleść i miłość, ale nie znała gniewu i zawiści.

«Powtarzam także, że gdybym w Polsce miał takie uznanie, jak w Niemczech, to nazwałbym się szczęśliwym. Lecz u nas przede wszystkim «rozgłos, a dopiero ocena sztuki i to według miary wykształcenia ogółu w tym kierunku. Publiczność, która tyle szuka w obrazie, co i w anegdocie rubasznie opowiedzianej lub dramacie przesadnie odegranym, dla której «chłop pijany» «bednarz, pobijający beczki w czasie pożaru» — lub «kochanek, przebijający się nibyto sztyletem» stanowią idee piękna w sztuce, nie wiele obcuje artyście, idącemu drogą postępu w malarstwie i studyjącemu je z miłością prawdziwą.»

Dla Maksa to niewyrobienie społeczeństwa, do którego duchem i ciałem należał, było straszną męką, zmorą, która mu zatruwała chwile największego uznania i zachwyty zagranicznej publiczności.

Bo ta właśnie niekulturalność społeczeństwa skazała go na dożywotnie wygnanie z ukochanego kraju. Można by zrobić mu zarzut, że pomimo to powinien wrócić do kraju przymierać głodem, chodzić w dziurawych butach — i paść na wyłomnie. Ale trzeba pamiętać o tem, że nie każdy artysta ma zdrowie żelazne, nerwy dość silne, aby mógł znieść nędzę, upokorzenie, brak wszelkiego uznania i to poczucie nad wyraz przykre, że się jest jednostką poza nawiasem społeczności, niepotrzebną. Maks ze swoim zdrowiem wątkiem byłby w Warszawie umarł z nędzy, nie zrobiwszy nic. Tymczasem po czterech latach pracy w Monachium dostaje medal złoty w Londynie w r. 1870. Cesarz austriacki kupuje w Wiedniu jego obraz «Rekonesans dragonów,» w r. 1872 dostaje w Berlinie znowu drugi medal za «Domki na przedmieściu,» któreby w Warszawie wywołały conajwyżej wzmiankę między innymi obrazami w kuryerku. Tymczasem «Domki na przedmieściu» robią

w Berlinie sensację, co tembardziej dziwi, że obraz ten nad wszelki wyraz był skromny i nieobliczony bynajmniej na wielki sukces. Malarze studyują ten obraz, wszystkie rozmowy pomiędzy nimi toczą się o niesłychanej subtelności obserwacji i czarodziejskiego wprost pocucia koloru. Koń biały, namalowany zieloną farbą, którą dopiero można spostrzedz, gdy się zakryje cały obraz — bo w całości wygląda jak ciepła biała — jest rewelacją dla całego ówczesnego artystycznego świata. A w kraju przedrwiwają «koniki, błoto — błoto i koniki!» — i mówią «dosyć mamy tych starych karczem!»

Razem z Maksem pracował w Monachium w jego pracowni Adam Chmielowski, który porzucił szkołę inżynierską w Belgii, aby się poświęcić malarstwu. Adam odrazu zrozumiał Maksa i jakkolwiek sam łamał się z techniką malarską bez wielkiego skutku, jednak jako umysł bardzo subtelny i ścisły, miał udawać wskazówki Maksovi — które miały duży wpływ na rozwój jego talentu. Sam Maks przyznaje Adamowi ten wpływ — a zatem dla nas nie przedstawia on wątpliwości. Mieliśmy zresztą niejednokrotnie sposobność stwierdzić, że Adam Chmielowski miał niezmierną bystrość w ocenianiu obrazów — i nikt może tak, jak on, nie umiał tak dobrych jak słabych stron uchwycić i wynaleźć na złe ratunku.

Maks pisze o nim:

«Czy mogę powiedzieć, że nic moralnie nie jestem winien Adamowi Chmielowskiemu, że nie wpłynął on na wykształcenie się we mnie człowieka i artysty? — Czy byłbym bez niego zupełnie tem, czem jestem? Czy nie jemu zawdzięczam wydobycie na wierzch z mego umysłu i serca pewnych strun, które nie dźwięczały, czy byłbym się i w innym towarzystwie rozwinął na właściwej sobie drodze?»

Trzecim po Maksie i Adamie w pracowni był Oleś — brat Maksa — o cztery lata młodszy od brata.

Stanowisko jego w tej pracowni było źródłem goryczy, którą w sobie nosił do śmierci. Niesłychanie drażliwy i ambitny, czuł swoje podrzędne stanowisko «brata sławnego malarza» — i powaga Adama Chmielowskiego buntowała go. Maks z początku lekcewał Olesia, który musiał znosić nieraz ostre krytyki — niektóre z nich doszły do nas. Oleś malował jakiś obraz, przedstawiający dwie figury w strojach «copfowych» na wschodach, prowadzących do parku. Otóż mężczy-

zna, stojący wprost widza, miał na sobie atlasową kamizelkę — tę kamizelkę Oleś malował kilka miesięcy. Pewnego razu, wbrew radom Maksa i Adama, wprowadził w załamki białego atlasu kamizelki jakiś zielony kolor.

Gdy Maks zobaczył to, rzekł przy Olesiu do Adama: «patrz, a mówiłem temu bałwanowi, żeby zielonego koloru nie pakował!» — Tego zielonego koloru nie zapomniał Oleś nigdy.

Stosunek Maksa do kraju ciągle się moralnie rozluźniał, a ostatni pobyt w Warszawie w r. 1872 usposobił go bardzo pesymistycznie — czuł się obcym i nie znalazł tam nic z tego ciepła kraju rodzinnego, jakiego się spodziewał. A że czuł bardzo silnie, to też i reakcja była silna, pisze o tem dalej w pamiętniku:

«Warszawa stanęła mi w gardle. Miałem jej «aż zanaćto już dosyć. Kiedym wszedł do wagonu, żal mi było opuszczać i żegnać to, co mi się już sprzykrzyło. Czułem, że się ziemia mi z pod nóg usuwa; domy znajome i drzewa migają mi przed oczyma, jak gdyby uciekały w przeciwną stronę — do swoich, kiedy tymczasem ja uciekałem od nich... Zdawało mi się, że pociąg idzie «za wolno, dwie minuty na stacyach były mi «zwłoką nieznośną.»

Z takimi myślami żegnał kraj rodzinny, który bardzo kochał. Nie ma w tem nic dziwnego, gdy się zastanowimy, że nie on pierwszy i nie on ostatni był w tem położeniu, że gdy zagranicą wszystko zdawało się dopomagać jego twórczości, usuwać przeszkody — gdy wszystko, od bogaczy kupujących aż do dorożkarzy i posłańców, okazywało życzliwość, uznanie i szacunek, w kraju — absolutna obojętność albo drwiny.

Był to artysta, który myślał. Jego pamiętnik jest traktatem filozoficzno-psychologicznym; mówiąc na przykład o genezie psychologii artysty, Maks pisze:

«Człowiek, co tylko dotykalnie w rzeczywistości światem zmysłów rozkosz znajduje, nie może być poetą i artystą. Upodobanie do przedmiotów widzianych w wyobraźni, upodobanie wyższe i silniejsze nad wszystkie przyjemności zmysłowe, pcha człowieka do ustalenia jakimkolwiek sposobem tych obrazów, tych widziadeł duszy.»

„Zmysły służą człowiekowi do tego, aby mógł wrażenia ze świata zewnętrznego odbierać; pamięć zachowuje niektóre z nich — i te stają się wybitniejszymi, w nich człowiek od młodości już podoba sobie i z małą zmianą do końca życia podobać sobie będzie. Pamięć odnawia wrażenia, odebrane dawniej, z całą niekiedy pierwotną ich świeżością, czasem w mniej wyraźnych formach lub nawet wcale bez formy.“

„Gdy człowiekowi, obdarzonemu władzą zastrzymywania w pamięci wrażeń doznanych, jedno z takich wrażeń nasunie się pierwszej i wyraźniej od innych, wtedy on, czy jest artystą lub nie, będzie się starał temu przypomnieniu dać jakąś formę, ustaloną na daną chwilę, i o ile można podobną do formy wrażenia pierwszego. Przypomni się arja, będzie się starał ją nucić lub gwizdać, przypomni się kobieta, weźmie ołówek i będzie kreślił profile; może się który uda.“

„Siła, z jaką wrażenia odebrane działają na ustrój nerwowy człowieka, na jego organizację duchową, stanowi już coś, co można nazwać mniej — szym lub większym uzdolnieniem do artystyzmu, i to tak w tych, co mało czują, jak i w tych, co czują silnie — tak dobrze u komisantów handlowych, jak i poetów. Lecz to jest dopiero połową tego, co stanowi artystę.“

«Siła, z jaką wrażenia natłoczone i uorganizowane w umyśle starają się wydobyć na zewnątrz, jasność, z jaką widziadło, wydobyte z pamięci, przedstawi się oczom innych, będą tą drugą połową. To już stanowi artystę w zupełności, zwłaszcza odnośnie do sztuk naśladowczych, jak malarstwo i rzeźba. Nie zapominajmy jednak przytem, że stopień talentu zależy od większego lub mniejszego stopnia tego daru odtwarzania wrażeń zmysłowych — nie zaś od biernej siły przyjmowania tylko wrażeń.»

Pojęcie piękna u niego miało swój wyraz w kilku słowach jego pamiętnika:

„Chcąc widzieć piękno w naturze — trzeba samemu mieć trochę piękna w duszy. Słońce, co oświeca białe chmury, co migoce po listkach topoli, co złoci łąki, co w szmaragd przybiera góry, musi przeświecać mu przez duszę.“

Zdrowie zaczyna się psuć, a razem z chorobą przychodzą smutne myśli, które przebijają

się w listach do przyjaciół, i w pamiętniku pisze o sobie:

„Nie było chyba człowieka, któremu by się „wszystko ziściło według woli; ja jednak straciłem „wiele: ciężko mi przyszło spłacać dług losowi „przeciwnemu. Naprzód z serca musiała wywie- „trzeć miłość, której zapachem krótko i zdaleka „tylko się upajałem. Obrazy domowego szczęścia, „zaledwie pomyślane, niby zlekka naszkicowane wę- „głem, lecz i to zła choroba starła, został tylko „ślad, że było coś, że nic niema... Jeżeli wszystko „wróci nawet do dawnego, czyli do dobrego (mowa „o zdrowiu), to moje marzenia nie wrócą. Pojadę „do Włoch, zaczęć żyć na nowo jakimś życiem— „jakim? nie wiem... Lecz nie będzie okienka z do- „niczkami kwiatków, ogródka niedużego z krzaka- „mi jaśminu, róż nie będzie też... albo dalej: «Ró- „że moje, róże, okwitłyście już dawno! Gdzie aka- „cyi zapach rokoszny? Ach! czemuż serce nie „pęka z żalu, czemu dusza nie może ulecieć „z westchnieniem ku temu, co kocha i ginać ra- „zem z tem, co kocha.“

Czując się gorzej, wyjeżdża w r. 1873 do Włoch, tam jednakże pracuje dzień w dzień, choć mu te- go zabraniają. Lato włoskie okazuje się dla niego nieodpowiedniem. Jedzie więc do Meranu—ztam- tąd do Reichenhallu, gdzie gaśnie w r. 1874 dnia 26 września, mając lat 28.

Gierymski Maks, jako malarz, nie miał sobie równego — pomimo to, że stworzył całą szkołę, a raczej cały szereg naśladowców. Skrupulatnie naśladowali oni format obrazów podłużny, spo- sób kładzenia farby, tematy — ale nie zdołali włożyć w to wszystko duszy, Gierymskiego już nie było, została jeszcze cześć do podobnych obrazów i rozpęd w kupowaniu podobnych obra- zów, ale to wszystko już miało cechę zwykłego gieszeftu. Obrazy podłużne nazwano *ręcznikami*,

w których koniecznie musiał być «Stimmung» — tylko ten *stimmung* robiło się z recepty. Naj- wybitniejsze obrazy Gierymskiego Maksa były: «Pochód ułanów» (złoty medal w Londynie) «Wiosna» (medal złoty w Berlinie i tytuł człon- ka Akademii sztuk pięknych), «Pochód kozaków,» «Rekonesans dragonów,» «Wyjazd na polowa- nie,» «Alarm w obozie,» «Awangarda,» «Powrót z polowania,» «Noc księżycowa,» «Przypadek w drodze,» «Pogrzeb,» «U szlabanu,» wreszcie kilka obrazów «Polowań coplewowych,» z których jeden jest w Muzeum w Berlinie.

Już po śmierci Maksa pewien berliński ku- piec obrazów przysłał dwa obrazy jego do War- szawy, sądząc, że kraj zechce je nabyć — ale kup- ca one nie znalazły — społeczeństwo konsekwen- tnie było dla niego nawet wtedy obojętne i obrazy wróciły do Berlina. Zaledwie parę szki- ców zostało przypadkiem w kraju — i tradycja u malarzy po sławnym i cenionym artyście.

Gierymski Maks stawiany był przez krytykę zagraniczną na równi z Meissonierem i Gérômem. Skromny Maks pisze o tem do p. K. Epplera:

„Mam dużo obstalunków. Z Londynu otrzy- „małem pieniądze i list nader pocieszający, w któ- „rym Wallis (handlarz obrazami) dowodzi mi, że „obraz mój stał się popularnym, i żąda, abym mu „pierwszą pracę, jaką skończę, przysłał natych- „miast. A przytem *The Echo* w sprawozdaniu z wy- „stawy dorocznej w Londynie poświęca mi wię- „kszą część artykułu, stawiając mnie obok Ge- „rôme'a i Meissoniera. Zaszczyt to, jakiegom się „nigdy nie spodziewał i najmniejszej nawet preten- „syi nie miał. Mocno mnie to zdziwiło i silnie „zarazem podziało na moją ambicyę. Gérôme „i Meissonier są dziś uważani za pierwszorzędn- „e gwiazdy. Zsunąć się z wysokości, na której mnie „los postawił, to dostać okłaski... w policzek. „A więc naprzód, naprzód, choćby po własnym „trupie.» — Tak się też spełniło.

Antoni Piotrowski.



# Kazimierz Jarochoowski.

\* 1828 † 1888.

**N**a skali różnorodnych, a nieuniknionych barw indywidualistycznych, promieniujących z dzieł naszej literatury historycznej XIX-go wieku, barwa Jarochoowskiego, pozbawiona—podobnie, jak i jego talent—wybitniejszego napięcia, należy jednak do najsympatyczniejszych.

Trudno odmówić tego świadectwa historyzofowi moralności i cnoty; trudno nie uznać w szczerym do gruntu obrońcy ideałów etycznych tych zalet wzniosłych, niekiedy porywających, jakie z takiego stanowiska wypływać zwykły.

Skromny, jako autor i sędzia minionych spraw dziejowych, nie narzucał Jarochoowski czytelnikowi katonizmu przekonań własnych; wszelako katonizm ten, przebijający z dzieł jego, składa się na rys znamienny charakterystyki człowieka i pisarza.

Gdyby historia była katechizmem etyki, Jarochoowskiemu należałoby się miano jej arcykapłana, zwłaszcza, że surowy przedewszystkiem dla siebie, odznaczał

się wielką pracą i sumiennością w gromadzeniu materiałów dziejowych, oraz wybitnym obiektywizmem rzeczowym. Katolik — posiadał wysokie umiarkowanie sądu i sprawiedliwości dla ino-

wierców; szlachcic—oceniał należycie strony dodatnie nieszlachty.

Wypożyczony w liczne zalety umysłu, serca i energii, osiągnął Jarochoowski w naukowej działalności swojej możliwie najwyższy stopień tej doskonałości, na jaką stać go było, i zdobył rzetelnie wysoki stopień zasługi.

O rezultatach pracownego swego żywota powiedzieć mógł śmiało: *quos ego!* Nie zawdzięczał ich bowiem ani geniuszowi, ani talentom wybitnym.

Urodził się Jarochoowski 1829 r. w Sokolnikach w W. Ks. Poznańskim. Już jako młodego chłopca, ucznia gimnazjum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu (1839 — 1846), owionął go wartki prąd ówczesnego życia umysłowego i publicznego wielkopolskiej dzielnicy. Po odbyciu w r. 1846 kilkumiesięcznej pokuty w więzieniu politycznym, udał się przyszły historyk na studia prawnicze do Berlina, aby—już w r. 1850 poświęcić się pruskiej służbie rządowej,

w której osiągnął po latach dwunastu (1862 r.) stanowisko sędziego z siedzibą w Poznaniu, piastowane następnie przez lat dwadzieścia.

Skąpany za młodu w ożywionej atmosferze



*Kazimierz Jarochoowski.*



stolicy Księstwa, wyniósł z niej Jarochoński nie tylko zapal do pracy, ale poniekąd sam nawet kierunek przyszłych studyów swoich, których ojcem moralnym był—wedle słusznej analizy Władysława Smoleńskiego \*) — historyk-republikanin poznański, Andrzej Moraczewski (1802—1855).

Idee republikańskie, stanowiące oś przekonań politycznych mistrza, przejąć miały Jarochońskiego do głębi: Tak dalece, że same nawet ramy chronologiczne przedmiotu jego dociekań, zakreszone—może mimowoli, ale bądźco bądź z tego właśnie ideowego punktu wyjścia, objęły wyłącznie okres klasyczny Rzeczypospolitej szlacheckiej, bo w przybliżeniu epokę pomiędzy r. 1650—1750. Że studia wyłączne nad tym okresem, obejmującym i smutne czasy Jana Kazimierza i Korybuta i Leszczyńskiego i obu Augustów, stanowić musiały dla urabiającego się zwolna historycznego zmysłu badacza teren nader śliski, wynika to z samej natury rzeczy. Jeżeli bowiem wszelkie zjawiska historyczne domagają się wyświeślenia genetycznego, to dziejom pomienionym, ujawniającym wyjątkowy upadek kraju pod względem zarówno politycznym, jak i moralnym, należy się obserwacja wyjątkowo głęboka i przenikliwa. Tę realną, nie oderwaną głębokość poglądu dać może poza talentem jedynie tylko porównawcze traktowanie rzeczy, oraz możliwie dokładna znajomość ewolucji i minionych przyczyn zjawisk badanych, czyli szersze studia ogólne.

Studia Jarochońskiego potoczyły się, jak nadmieniliśmy, korytem wązkiem, korytem skutków, których przyczyny istotne, leżące poza sferą bezpośrednich jego dociekań, zwykł on być zastępować refleksjami indywidualnych pojęć moralnych i politycznych. Czciiciel obiektywizmu stawał się ofiarą mimowolną, a pewno i mimowiedną, podmiotowości własnej.

Mimo to przyznaliśmy działalności Jarochońskiego rzetelną zasługę naukową. Drobną część tej zasługi leży niewątpliwie w przypadku, sprawiającym, że skala etyczna bywała niekiedy miarą całkiem właściwą dla oceny pewnych zjawisk, jakie badał; wielka zaś i zasadnicza—w jego pracowitości sumiennej, z jaką nietknięte, lub mało zbadane momenty dziejów naszych wzbo-

gacał w literaturze historycznej cennymi objaśnieniami i materiałem, czerpanym nie tylko ze źródeł łatwo dostępnych, lub z efemeryd publicystycznych XVII i XVIII wieku, ale—co ważniejsza, z licznych archiwów krajowych i obcych.

Smoleński wyróżnia w działalności Jarochońskiego dwa okresy: Pierwszy (przed r. 1878) nacechowany pietyzmem dla polskiego republikanizmu szlacheckiego i—drugi, oparty już na zgłębieniu wad organizacji Rzeczypospolitej szlacheckiej, a tchnący zapalem dla czystej idei republikanizmu.

Podobnie, jak wszelkie wogóle «upodobania» historyzoficzne, oba te kierunki nie były, zdaniem naszym, wolne od piętna doktryny... Piętno to, wynurzające się z refleksji i sądów historyka, nie obciąża jednak—dzięki rzeczowemu obiektywizmowi Jarochońskiego—pozytywnej, t. j. ściśle naukowej strony jego badań i planów, które w toku doświadczeń dziejopisarskich osiągały nadto coraz to wyższy stopień krytycyzmu metodycznego.

Naukową pracę swoją rozpoczął Jarochoński już w r. 1854, jako młodzieniec dwudziesto pięcioletni, od publikacji pierwszego tomu *Teki Gabryela Junoszy Podolskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego*, mającej objąć z czasem (w r. 1862) w sześciu tomach nader obfity i doniosły materiał dziejowy do panowania Augusta II.

Pierwsze dwa tomy tego wydawnictwa, poprowadzonego na razie po młodzieńczo, spotkały się ze słuszną a ostrą krytyką (Bartoszewicza). Postanowiwszy uwzględnić nadal jej wymagania, młody historyk przygotował jednocześnie do druku pierwszą część głównego dzieła swego p. t. *Dzieje panowania Augusta II od śmierci Jana III do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię polską*. Wydał je bezimiennie (1856 r.) nakładem Żupańskiego w Poznaniu, poprzedzając płomienną przedmową, zawierającą własne historyzoficzne wyznanie wiary. Przyznać trzeba, że książka ta, aczkolwiek zawierająca liczne usterki i braki, wniosła bądźco bądź do nauki ówczesnej sporo materiału, zdobytego ze znacznym nakładem pracy i zabiegliwości.

W r. 1860 ukazał się (znowu bezimiennie) tom pierwszy *Opowiadań historycznych* Jarochońskiego, zawierający szereg szkiców p. t. «Kronika Helmolda—Wzięcie Poznania przez konfede-

\*) Pisma historyczne tom III «Stanowisko Kazimierza Jarochońskiego w historyografii polskiej.»

ratów tarnogrodzkich d. 24 lipca 1716 r.—Nie-  
wola Franciszka Ponińskiego, stolnika poznań-  
skiego, starosty kopanickiego na Sonnensteinie  
w r. 1734—Powstanie Kościuszki w Kurlandii—  
Wspomnienia z czasów Prus południowych».

W r. 1863 wydał Jarochowski w drugim  
tomie *Opowiadań i studyów historycznych* rozpra-  
wy p. t.: «O handlu gdańskim za czasów Zako-  
nu—Porwanie Jakóba i Konstantego Sobieskich—  
Sprawa toruńska z r. 1724—«Gazeta Berlińska»  
(Vossa) jako materyał do dziejów polskich w XIII  
wieku—Wycieczka Grudzińskiego do Polski r.  
1712—O Sobieskich.» W tymże czasie ukazały  
się oddzielne szkice: «Car Piotr i carewicz Ale-  
ksy» (1862 r.) i «Wielkopolska w czasie pierw-  
szej wojny szwedzkiej od r. 1655 co 1667»  
(1864 r.).

Krytyka specjalna\*) wyróżnia z tego dłu-  
giego szeregu studyów dziejowych jedynie tylko  
«Wielkopolskę» i «Sprawę toruńską».

W r. 1874 ukazała się druga część gło-  
wnego dzieła Kazimierza Jarochowskiego: *Dzieje  
panowania Augusta II od ustąpienia Karola XII na  
ziemię polską aż do elekcji Stanisława Leszczyń-  
skiego, 1072—1704*.

Sumiennosc, erudycja i gruntownosc tej ol-  
brzymiej (646 str.) monografii politycznej «dwóch  
lat» jest podstawą zasług dziejopisarskich Jaro-  
chowskiego. Praca ta uleczyła go z predylekcji  
dla Rzeczypospolitej szlacheckiej, rozszerzyła jego  
poglądy, pogłębiła erudycję i krytycyzm dziejo-  
pisarski. Postęp ten oceniła należycie Krakowska  
Akademia Umiejętności, mianując w r. 1878 Ja-  
rochowskiego swoim członkiem korespondentem.

Nabyte zalety przełał zasłużony autor w zna-  
cznej mierze i na dalsze prace swoje, które w licz-  
bie trzydziestu studyów nad XVII i XVIII stule-  
ciem zawarł pomiędzy r. 1877 — 1886 w czte-  
rech ostatnich seryach swoich *Opowiadań i stu-  
dyów historycznych*.

Pierwsza z nich (ogł. 1877 r.) objęła roz-  
prawy p. t.: «Przyczynę do dziejów bezkrólewia  
po Michale Wiśniowieckim i (do dziejów) pierw-  
szych miesięcy panowania Jana Sobieskiego—Kan-  
dydatura duńska w czasie bezkrólewia po Micha-  
le Wiśniowieckim—Jan Stanisław Jabłonowski, wo-

jewoda ruski, i zatarg jego z królem Augustem  
II—Epilog sprawy toruńskiej—Napad Brandebur-  
czyków na klasztor parydyski w r. 1740 — Za-  
mach Augusta II na Warszawę w r. 1704.»

Druga (ogł. 1882 r.) p. t. *Nowe opowiadania  
i studya historyczne*, zawiera szkice następujące:  
«Zamachy Augusta II na Leszczyńskiego—Kata-  
strofa Patkula—Koniec Radziejowskiego—Brande-  
burgia i Polska w pierwszych latach po traktacie  
oliwskim — Polityka brandeburska w pierwszych  
latach wojny Karola XII i misya Przebendowskiego  
do Berlina w r. 1704—Próba emancypacyjna po-  
lityki Augustowej r. 1720—Obleżenie miasta Po-  
znania przez Patkula w r. 1704.»

Trzecia (ogł. w r. 1884) zawiera studya p. t.:  
«Wyprawa i odsiecz wiedeńska — Wyprawa wie-  
deńska ze stanowiska interesu politycznego Pol-  
ski — Rada senatu wyszogrodzka i zabiegi poli-  
tyczno-dyplomatyczne po zajęciu Warszawy w mie-  
siącu wrześniu r. 1704 — Wielkopolskie Leszno  
w r. 1707—Polityka saska i austriacka po tra-  
ktacie altransztadzkim — Bitwa wschowska d. 13  
lutego 1706 r.—Stanisław Leszczyński po Pułta-  
wie—Stosunek Brandeburgii do Kościoła Kato-  
lickiego w ziemiach polskich od r. 1640 do 1740—  
Kamieniec i Poznań po Augustowej restauracji—  
Potyczka kargowska i kapitan Więckowski.»

Nakoniec część czwarta *Opowiadań*, wydana  
w r. 1866 p. t.: *Z czasów saskich spraw wewnętr-  
nych, polityki i wojny*, objęła rozprawy następu-  
jące: «Lauda połączonych województw: kaliskiego  
i poznańskiego za panowania Augusta II — Dwie  
misye Franciszka Ponińskiego, starosty kopanic-  
kiego, do cara Piotra w latach 1717 i 1718 —  
Epizod Rakoczowy w dziejach panowania Augusta  
II od r. 1703—1717—Bitwa pod Poniecem d. 9  
listopada r. 1704, jej przeddzień i następstwa —  
Obleżenie Gdańska w r. 1734.»

Nedto wydał Jarochowski (w r. 1880) książkę  
o «Literaturze poznańskiej w pierwszej połowie  
bieżącego stulecia», oraz zamieścił w tygodni-  
kach i miesięcznikach polskich długi szereg spra-  
wozdań, streszczeń, krytyk i artykułów, z pośród  
których wyróżnia się «Sprawa Kalksteina» druko-  
wana w *Ateneum* w r. 1877.

*J. K. Kochanowski.*

\*) Smoleński j. w.—Stamtąd również zaczerpnię-  
liśmy bibliografię pism Jarochowskiego.

# Konstanty Świdziński.

\* 1793 † 1855.



**K**otomek starożytnego rodu ziemi rawskiej, ze Świdna nad Pilicą, wnuk Michała, wojewodzica rawskiego a kasztelana radomskiego, Konstanty Świdziński urodził się 17-go listopada 1793 r. w dziedzicznym zamku sulgostowskim w ziemi opoczyńskiej, z ojca Kajetana, — który, zapewne jako natura chorowita i ekscentryczna, niezbyt daleko posunął się w służbie publicznej, bo zakończył ją na chorąstwie wojska koronnego, — i z Felicyny Hadziewiczówny, córki Piotra, który po wybuchu Targowicy wziął dymisyę z rangą generała-majora. Ten ostatni po swojej żonie, Charłęskiej, otrzymał osobne dobra na Ukrainie, Chodorkowszczyznę, i całe paki archiwów rodzinnych.

Sulgostów, rodzinne miejsce Świdzińskiego, słynął w szerokim promieniu naszej ziemi. Tu wzrosły córki wojewody rawskiego — Lanckorońska, kasztelanowa połaniecka, i Granowska, wojewodzina rawska, — które później zamieszkały w Warszawie i wspólnie z księżną Sanguszkową, marszałkową w. l.,

i jej córką, Bielińską, znane z cnót i dobroczynności, zwane były «świętymi paniami.» W domu Anieli Świdzińskiej, która wyszła była za Szymanowskiego, starostę wyszogrodzkiego, wychowała się słynna autorka, Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Na tle rodowych tradycji i odziedziczonych właściwości charakteru rozwijał się umysł i serce Konstantego, pośród otoczenia wpływowego i zamożnego, a prztem. chętnego do ofiar w imię dobra ludzkości i kraju.

W czwartym roku życia, po śmierci matki, pozostawał na wychowaniu w Starej Wsi w Galicyi u ciotki swojej, hrabiny Ludwiki Jabłonowskiej, która godnie zastępowała mu miejsce rodzonej matki. W okolicy Starej Wsi znalazła się i zacna kasztelanowa połaniecka, rodzona siostra dziada jego,

Michała, wzór cnót niewieścich polskich. Bardzo często bywał u niej młody Świdziński i przywykał do tych poważnych typów przeszłości, które wzbudziły w nim tak gorące potem zamięłowanie



Według statuary ze zbiorów ordynacyi hr. Krasieńskich.

pamiętek historycznych.—Od dzieciństwa sam się brał chętnie do nauki. Kiedy jednak, już po powrocie do Sulgostowa, nie mógł sobie wystarczyć, ojciec sprowadził mu za nauczyciela uczonego Niemca Lindau'a, b. profesora liceum warszawskiego, który Konstantego poduczył dobrze języków starożytnych, tak że w r. 1808 czternastoletnim młodzieńcem wstąpił do klasy czwartej tegoż liceum warszawskiego. Mieszkając na stancyi u sławnego wydawcy słownika, Bogumiła Lindego, i pod wpływem Bentkowskiego rozmiłował się w bibliografii. Po czterech latach nauki w liceum, w r. 1812, młody Świdziński otrzymał publiczną nagrodę i złożył egzamin dojrzałości. Wówczas ojciec myślał o karierze dyplomatycznej dla syna, ale syn bardzo już pokochał literaturę i starożytności. Przeszło rok wyczekiwał chwili sposobnej, aż wojna w Europie ucichła, aby wstąpić na uniwersytet do Lipska lub Getyngi. Wtem nagle zaskoczyła go śmierć ojca i Świdziński musiał pozostać w domu dla uporządkowania spraw majątkowych, które ojciec pozostawił w stanie opłakany, tak że przypadający Konstantemu w spadku Sulgostów był obciążony długami, przewyższającymi wartość majątku. Pracował wytrwale, z poświęceniem się i zapalem, aby oczyścić z długów dobra rodzinne, a w miarę powodzenia w tym kierunku, coraz chętniej poddawał się dawnym swoim upodobaniom i, wzorując się na Czackim i Ossolińskim, zaczął wielkim kosztem i z największą gorliwością gromadzić rzadkie książki, rękopisy i wszelkiego rodzaju pamiątki przeszłości polskiej, tak że już w r. 1818 Konstanty Świdziński znany był Towarzystwu przyjaciół nauk i w całym kraju, jako wybitny bibliograf i zbieracz starożytności polskich, a z poszukiwań swoich dostarczał źródeł Lelewelowi, Bantkiemu i Maciejowskiemu. Lelewel bardzo cenił to źródło ważnych dokumentów historycznych; w «Bibliograficznych ksiąg dwojgu» (I, 161) zaznacza: «Zjawilo się miłośnictwo książek. Bentkowski był skazówką do szukania, Świdziński stał się wzorem do naśladowania: niezmordowane jego poszukiwania podziwienie wzbudzają. Trudno, żeby w tak krótkim czasie takie zgromadzić skarby. Niejedną książkę ze zbiorów Świdzińskiego przyszło mi w pierwszym tomie wspomnieć, niejedna w tym drugim i następnym nadmienić się».

W drugim miejscu znowu Lelewel wyraża się: «Posiadający wielkie nadzwyczajności bibliograficzne, Konstanty Świdziński, wzbogacał notaty moje, jako dalsza niniejszego pisma osnowa oświeci. Wspomnieć mnie imię jego wypada, który mi w różnych rzeczach pomoc przynosił, siebie i swoich skarbów z przykładną gorliwością udzielając». Jak szczęśliwie umiał wynajdywać rzadkości starożytne, świadczy np. ten fakt, że w jednej okładce znalazł pismo polskie z XIII-go wieku (jako rzekł Bantkie), Psalm 50-ty, a którego facsimile podał Maciejowski (Piśmiennictwo polskie T. III) z podpisem: «Hunc psalmum L communicavit nobiscum Illustrissimus Dn. Comes Constantinus Świdziński». W uznaniu zasług na polu bibliografii i archeologii polskiej przysłało Świdzińskiemu w r. 1819 dyplom na członka Towarzystwa Naukowego Krakowskiego (Dr. Józef Majer, Pogląd historyczny na Tow. Nauk. Krak., 1858, str. 134).

Prace naukowe nie pochłaniały jednak całej działalności Świdzińskiego; występował też i na drodze społecznej i politycznej, zajmując głos na zgromadzeniach narodowych. W r. 1822 był już marszałkiem sejmiku opoczyńskiego i radcą województwa sandomierskiego; w r. 1826 obrany posłem, zasiadał na sejmach 1830 i 1831 r. Przy tej sposobności poznał się i zaprzyjaźnił z margrabią Aleksandrem Wielopolskim, również posłem na sejm w 1831 roku, i w nieporozumieniach, wynikłych z powodu misji londyńskiej margrabięgo, Świdziński stawał w jego obronie.—Sprawy włościan gorąco brał do serca; oznajmił nawet, że gospodarzom odda na własność znaczne przestrzenie swoich majątków, przeznaczając każdemu po 10 morgów ziemi na prawach czynszu, nie wyżej z złp. z morgi.

Po roku 1831 Świdziński zmuszony był wyjechać zagranicę i dość długo przebywał w Krakowie, gdzie znów często spotykał się z Wielopolskim, również z kraju wydalonym. Wielopolski przemyślał o profesurze zagranicą, a Świdziński oddał się namiętności, która go potem zupełnie pochłonęła: poświęcił się całkowicie swoim zbiorom naukowym, do nich tęsknił i postanowił przełać w nie całe życie. Odtąd—jak wyraża się o nim Julian Bartoszewicz—«nawet wędrówki swoje po ziemi polskiej Świdziński znaczy bibliote-

kami: główny zbiór był w Sulgostowie, podrzędne w Krakowie i Poznaniu.»

W jesieni 1833 roku powrócił do Królestwa, ale już nie zatrzymując się dłużej w Warszawie, ruszył na Ukrainę i zamieszkał u krewnych, a gdy w roku następnym wygrał od lat kilkunastu trwający proces o majątek macierzysty, Chodorkowszczyznę, osiadł stale na Ukrainie. Na książki sprzedał majątek i zamieszkał wtedy pod Kijowem w Paszkówce u Wacława Rulikowskiego, z domem którego łączyły go bliskie stosunki rodzinne. Tu przez lat siedem była stała siedziba Świdzińskiego i główny skład jego książek. Z Paszkówki bardzo często zaglądał do Kijowa, gdzie mógł zawierać znajomości z literatami i łatwiej kupować skarby piśmiennictwa starożytnego. Wówczas to weszli w ścisłejsze z nim stosunki: Ks. Hołowiński, Michał Grabowski, Henryk Rzewuski, Tytus Szczeniowski, Gustaw Olizar, J. I. Kraszewski, Tomasz Potocki i inni. Dzięki temu otoczeniu, które sam sobie wytworzył, stał się Świdziński nierozdzieloną częścią kijowskich sfer wykształconych.

«Była nawet chwila — pisze Bartoszewicz — że chciał się poświęcić literaturze, nie tylko samemu zbieraniu. Gdy ks. Hołowiński utworzył plan wydania «Ojców Kościoła» po polsku, Świdziński wziął na siebie pracę przełożenia kazań św. Cypryana, z pedanteryjną pretensją starając się o czystość języka, o piękną polszczyznę. Nie w tem jednakże tłumaczeniu była zasługa dla literatury, ale w notatach bibliograficznych, ale w spostrzeżeniach, które na papier rzucał o przeczytanych przez siebie rzadkich książkach polskich, ale w owem spisywaniu śledztw (najtrafniejszy wyraz), które Świdziński ściągał z ludzi, co wiele widzieli i słyszeli o rzeczach dawniejszych».... Wszystko co było stare, co pleśnią wieków wyszlachetniało, wszystko to nabywał: książki, monety, obrazy. Ztąd bardzo popularną postacią był w Kijowie. Zbliżył się do mnichów, do malarzy obrazów świętych czyli ikonopisców i do rzeźbiarzy na cyprysie, do przekupniów starożytności, do wszystkich oryginałów kijowskich, co jaką taką osobliwość mieli do zbycia, a niektórym z nich stawał się patronem, opiekunem i przyjacielem. Kiedy bawił w Kijowie, mieszkanie jego bywało jakby w oblężeniu. Uczynny, wylany, skupiał w sobie całe życie umysłowe prowincyi... Od czasu, kiedy powsta-

ła w Kijowie komisya archeograficzna do poszukiwań uczonych, Świdziński służył jej bogatymi materiałami swoimi, stawiając jedynie warunek, aby mu odbijano osobno tekst polski materiałów, które w tym razie składały się głównie z listów osób historycznych w czasie wojen Chmielnickiego o bitwach, staczanych na Ukrainie.

Cytowany przez Bartoszewicza, Kulisz, słynny zbieracz podań Ukrainy i badacz jej dziejów, a dobry znajomy Świdzińskiego, przytacza fakt, że skoro Świdziński dowiedział się, iż Kostomarov, znakomity historyk Małorosyi, pisze w Saratowie historię wojen polsko-ukraińskich, z własnej pobudki ofiarował się przysłać mu ze swej biblioteki księgi i rękopisy, jakich tylko zażąda. «Postępek istotnie wspaniałomyślny — pisze Kulisz — i tłumaczy tę okoliczność, z kąd Kostomarov zdobył takie mnóstwo bogatych źródeł do swego dzieła, pierwszego dotąd co do wartości w piśmiennictwie rosyjskiem. W przeciągu kilku lat historyk nasz dostawał od arystokraty polskiego paki za pakami i dopiero po jego śmierci zwrócił spadkobiercy najrzadsze unikaty dawnych broszur i niektóre rękopisy. Komu wiadomo, jak drogie mi są dla każdego bibliomana rzadkie książki, kto miał do czynienia z antykwaryuszami, którzy drżą jak skąpcy nad swymi skarbami, ten zrozumie całą wielkość przywiązania Świdzińskiego do nauki i całą szlachetność jego duszy.» A z osobistych wspomnień, ujętych w sylwetkę już po śmierci Świdzińskiego, tenże Kulisz podaje: «Poglądy nasze na dawne dzieje Rusi i Polski były wbrew sobie przeciwne, chętnie jednak słuchaliśmy siebie nawzajem, gdyż każdy z nas szczerze przywiązany był do swojej sprawy. Świdziński dalekim był od egoizmu, jak większa część poświęcających się nauce. Ogrom prac jego i wielkość przywiązania się do kraju pokazały mi się dopiero po jego śmierci. Ztąd nie obrażał się przeciwnem zdaniem młodego człowieka, jakim ja byłem wówczas, lecz owszem, odkrywając pomniki przeszłości, starał się uczynić mi zrozumiałemi zjawiska historyczne. Kiedy sobie przypomnę, jak po dziecinnemu zapatrywałem się wtedy na wiele rzeczy z dziejów kraju rusko-polskiego, wierząc na słowo naszym książkom, nie mogę się dość wydziwić uprzejmości, jaką dla mnie okazywał głęboki erudyta polski. Mieszkając samotnie (Świdziński był starym kawalerem), cały oddany swoim zatrudnieniom,



często zapraszał mnie do siebie na obiad sam na sam i był ze mną rozmowny, cierpliwy jak niaranka. Tem więcej to uderzało, że ówcześni profesorowie uniwersytetu kijowskiego w stosunkach ze mną zachowywali dumę odpychającą i ze szczytu swojej uczoności zaledwie zaszczycali mnie kilkoma słowami.»

Poświęciwszy umiłowanym celom życia i miennie, zebrał Świdziński nieoszacowane zaiste skarby pamiątek przeszłości polskiej, zwłaszcza w bogatej w wielkie rzadkości bibliotece i w rękopisach licznych a drogocennych—utworzył, jak sam mianował, *Muzeum polskie imienia Świdzińskich*. Te cenne zbiory całego życia Konstanty Świdziński testamentem przekazał wraz z całym swym majątkiem, margrabi Aleksandrowi Wielopolskiemu z życzeniem, aby wcielił to wszystko do ordynacji Myszkowskiej i w umyśle na ten cel zakupionym domu w Warszawie założył muzeum, dostępne dla uczonych. W liście do Wielopolskiego wskazywał bardziej szczegółowo, jak to muzeum ma być urządzone, a zarazem w najczulszych wyrazach zaklinał go, aby spełnił dane mu polecenie. Przytaczamy wyjątek z tego listu, który odsłania głębię duszy Świdzińskiego: «Mój przyjacielu a bracie! Z testamentu mojego widzisz, że wszystko co mi jest najdroższem, w czemem dla siebie szukał zasługi przed Bogiem i ludźmi czemum poświęcił cały mój dostatek, zdolności i życie—w twe ręce i strażę oddaję. Szczęśliwy jestem, że Cię znalazł na ziemi. Gdy mnie Bóg wezwie ku sobie, z błogim spokojem zejść z tego świata, bo przekonany jestem, że owoc życia mojego na ziemi, Muzeum moje, które twej straży poruczam, nie zmarnuje się pod twoją opieką, bo mocno ufam, że poszanujesz tę pracę moją, iżby nietykalna i nierozproszona przetrwała w potomne wieki dla dobra ziomków.... bo całym sercem czuję, że niedopuszczisz, aby pamięć, zasługa i praca całego życia mojego bezowocnie zgasnąć kiedy wśród ziomków naszych miała... Przyjacielu a bracie mój w duchu! polegam całe na twym sumieniu najprawsem a sercu najszlachetniejszym, bom ci oddałem w ręce bezwarunkowo wszystko co mi najdroższe: pracę, zasługi, sławę całego życia i pamięć w czasy potomne imienia mojego—i cóż więcej mogłem ci oddać w zakład mojej ufności i przyjaźni dla ciebie?...» Kończy list temi słowami: «Spokojny i szczęśliwy w duchu zostaje, bo

wiem, że prace i zbiory moje, w twe ręce powierzone, doprowadzisz do celów pożytecznych a zbawiennych dla ziomków naszych; bo niezachwianie przeczuwam, że pamięć o mnie i usiłowaniach moich ku dobru powszechnemu twem współdziałaniem wyświecisz i zapewnisz zbawienie duchowi mojemu, który spoglądając z wieczności na tę ziemię, że prace moje w zbawienne rozrastają się pożytki przez ciebie wśród ziomków, wiecznem szczęściem radować się będzie.»

Niespełna w miesiąc po napisaniu tego testamentu, zmarł Świdziński w Kijowie 11 grudnia 1855 r. Popularne jego imię ściągnęło na pogrzeb tłumy z miasta i okolicy; przyjęli też udział profesorowie uniwersytetu kijowskiego, rosyjanie, którzy dla uczczenia pamięci znakomitego polaka wystąpili zbiorowo, z pomocnikiem kuratora na czele, a studenci uniwersytetu na barkach ponieśli trumnę na cmentarz, o 7 wiorst od kościoła odległy. Ciało Świdzińskiego zostało później przeniesione do Sulgostowa i ostatecznie złożone w grobach kościoła we Kłwowie, obok trumny pradziada jego, wojewody rawskiego.

«Umarł ten zacny człowiek—pisze J. I. Kraszewski—wśród religijnych śpiewów, które mu nucono, ręką jeszcze szukając katalogów swoich, notat, do których tak był przywykł, że na łożu boleści jeszcze dyktował, co kupić gdzie, co dostać, i gdyby miał sposobność, byłby cały kapitał rozsąfał na nabytki... Nie jest że to postać wielka siłą, cierpliwością, wytrwaniem, potęgą niezłamaną ducha? nie jest li to Opatrzności człowiek, który w chwili rozproszenia pamiątek zesłany był prawdziwie Bożą ręką na zgromadzenie tego, co ma świadczyć o przeszłości? nie byłże to posłannik od losu dany, który spełniał swą misję posłuszny? Któżby już i jak ślepy nie chciał w tem widzieć opieki i błogosławieństwa Bożego dającego nam dziś takich ludzi?»

Zapis Konstantego Świdzińskiego stał się przedmiotem głośnej sprawy sądowej; głośnej zarówno dlatego, że szło o wielką i pracowitą spuściznę przeznaczoną na użytek publiczny, jakniemniej i dzięki temu, że panem jej miał się stać arbitralny i niepopularny margrabia Wielopolski, z którym zapisodawca nie komunikował się już zupełnie od lat dwudziestu przeszło.

Przyrodni bracia Konstantego (z innej matki) czteroletnim procesem usiłowali unieważnić te-

stament. «Głos Świdzińskiego — słowa osobistej obrony margrabiego w Sądzie Apelacyjnym Królestwa Polskiego — w testamencie brzmi dla mnie owym rzymskim wyrażeniem niebezpieczeństwa, jakgdyby wołał: cave, ne quid res mea detrimenti capiat. Tą dyktaturą przyjaźni i zaufania z nikim się nie podzielę!»... Wielopolski sprawę wygrał, testament utrzymał, lecz jednocześnie przeniósł zbiory z Sulgostowa do swego majątku, Chrobrza pod Pińczowem, umieszczając je w wygodnym, *ad hoc* wybudowanym domu z godłem: «Alexander Wielopolski re familiari restituta et Constantini Świdzińskiego dono aedes has a fundamento erexit, bonarum artium studio dicavit.»

Czy w tym wyborze miejsca dla cennych zbiorów — zdala od stolicy, wystawionej wówczas na zmienność wypadków — kierował się Wielopolski obawą, aby umieszczone w Warszawie nie podzieliły przypadkiem losów biblioteki Załuskich i Towarzystwa Przyjaciół Nauk, czy też odegrały tu rolę względy osobistej Wielopolskiego ambicji, a może i liczenie się ze środkami materialnymi — trudno to stanowczo rozstrzygnąć dziś nawet, już w pięćdziesiąt nieledwie lat po procesie, tem trudniej było to wówczas, gdy archeologowie, literaci i dziennikarze, a za nimi nieledwie cały ogół, stanęli w tej sprawie zwartym szeregiem przeciwko Wielopolskiemu.

Gdy egzekutorowie testamentu oświadczyli mgr. Wielopolskiemu, że takowe umieszczenie muzeum na wsi, a nie w Warszawie, sprzeciwia się celowi i ostatniej woli Świdzińskiego, gdyż nie jest ono «dostępne dla uczonych» — Wielopolski, urażony tą opozycją a może i w obawie o znaczne wydatki na dalsze prowadzenie sprawy, potrąciwszy sobie 15,000 rubli, jako kosztu procesu ze Świdzińskimi, tymże Świdzińskim, z którymi prowadził sprawę, oddał muzeum, majątek

Sulgostowski i kapitały. Świdzińscy zaś, zatrzymawszy sobie Sulgostów i kapitały, oddali muzeum do Ordynacyi Krasieńskich z obietnicą rocznej wypłaty po 1,500 rb. na wydawnictwo rękopisów. Obecnie więc muzeum Świdzińskiego wcielone zostało do ordynacyi Krasieńskich i znajduje się w ich pałacu w Warszawie, na Krakowskim Przedmieściu.

Tym sposobem nie ma dziś faktycznie instytucji, noszącej miano «muzeum imienia Świdzińskiego»; ale za to spuścizna po nim stała się «dostępną dla uczonych.»

Mrówczej a świadomej celu, pracy całego nieledwie życia Świdzińskiego nie można uważać za szlachetną namiętność antykwarską, której płony dopiero ku końcowi życia skierował na użytek publiczny, jakgdyby długie lat szeregi nie wiedział, po co i dla kogo się mozolił.

Nie! łatwość, chętność, nawet wspaniałomyślność, z jaką Świdziński przez całe życie pozwalał innym korzystać ze swoich zbiorów, jakkolwiek z ostatecznem ich przeznaczeniem długo się nie zdradzał, — usuwają wszelkie wątpliwości w tym względzie, choćby nawet nie pozostawił piśmiennych celu swego dowodów.


Konstanty Świdziński poświęcenie się swoje dla dobra kraju uważał jakby za akt religijny i obowiązek sumienia. W tej myśli, unosząc się ponad poziom życia pospolitego i wyzuwając się ze wszystkich uczuć osobistych — nawet rodzinnych, — z niezrównanym zapalem zbierał pamiątki przeszłości narodowej; każda z tych pamiątek była dla niego nieoszacowanym skarbem, każdą z nich piastował w sercu swoim, widząc w nich odbłask dawnej chwały, mający ożywić i uzacnić serca rodaków.

Ks. Wacław Nowakowski.



# Ignacy Prądzyński.

\* 1792 † 1850.

 dziejach dawniejszych i nowszych kraju naszego nie brakowało wybitnych wojowników. Acz z natury swej głęboko pokojowy, Naród Polski, przez warunki geograficzne i historyczne postawiony w konieczności ciągłego wojowania, wykazał w tym kierunku wysokie uzdolnienie i przez długie wieki wydawał obok świetnych żołnierzy dobrych, a nieraz znakomitych wodzów. Był też na polu wojskowym narodem samodzielnym i twórczym. W wiekach XV, XVI i XVII wytworzył własną strategię i taktykę, które potrzebom czasu odpowiadały wybornie, a nieraz lepiej od strategii i taktyki narodów zachodnich; lepiej widocznie, skoro, pomimo dochodzącej niekiedy do śmieszności dysproporcji liczebnej, wojsko polskie biło na głowę nie tylko Tatarów, nie tylko Turków, ale i mających bardzo dobrą organizację wojskową Kozaków, i «niezrównanych» Szwedów. Jeżeli w wieku XVIII Polska pod względem organizacji swojej siły zbrojnej tak daleko poza innymi krajami pozostała, to z powodu zaniku cnoty nie wojennej, lecz obywatelskiej. Liczne klęski, któreśmy w tym wieku ponieśli, były wynikiem nie zmniejszenia się wartości wojska, lecz tego, żeśmy, właściwie mówiąc, wojska prawie wcale nie mieli. Dowiodły tego wojny legionów, Księstwa Warszawskiego, wreszcie rok 1831, które do mnogich dawnych nowe, świetniejsze jeszcze może, dorzuciły laury.

Jest w charakterze plemiennym polskim «*virtus inilitaris*». Dla tego też Polska wytworzyła własny, oryginalny typ wojownika, zarówno żołnierza, jak i wodza. Ten ostatni daje się podzielić na dwie kategorie: do pierwszej, liczniejszej należą tacy, w których przeważają zdolności taktyczne. To tacy, jak Herbut, Mielecki, Książę Jeremi Wiśniowiecki, Stanisław Rewera Potocki, Czarniecki, król Jan III, Kazimierz Pułaski, książę Poniatowski, Chłopicki. Nie zbywa im i na zdolnościach strategicznych, niektórzy z nich umieją wygrywać nie tylko bitwy, ale i wojny. Jednak zdolności taktyczne przemagają. Ci wodzowie—to ludzie, których wartość przedewszystkiem ujawnia się przed frontem, w których działalności punktem kulminacyjnym jest atak. Drugą, mniej liczną kategorię stanowią wodzowie tacy, jak Tarnowski, Żółkiewski, Chodkiewicz, Koniecpolski. Jak wodzom pierwszej kategorii na strategicznych, tak im nie zbywa na zdolnościach taktycznych, ale jak tamci przedewszystkiem taktykami, tak ci są przede wszystkim strategikami. Punktem kulminacyjnym ich działalności jest nie sam atak, ale takie przygotowanie ataku, aby *musiał* się on udać. Zamiłowani w naukach wojskowych, wsparci na rozległym wykształceniu ogólnym i specjalnym, prowadzą oni wojnę tak, jakby rozwiązywali zawile i skomplikowane zadanie. Są oni *mysłicielami wojennymi*.

Do tej kategorii myślicieli wojennych należał i największy z nich wszystkich, wogóle największy wojownik, jakiego Polska wydała, Ignacy Prądzyński.

Pochodzący ze starej wielkopolskiej rodziny szlacheckiej, z jednej z tych «karmazynowych» rodzin, których członkowie nierzadko zasiadali w senacie, które gęsto pokrewniły się z najpierwszymi w Rzeczy Pospolitej rodami i bliżej stały do magnatów niż do ogółu szarej braci, urodził się Prądzyński we wsi dziedzicznej Malczewie w Województwie Poznańskim w roku 1792 z ojca Stanisława i matki Marcyanny z Bronikowskich. Wychowanie początkowe otrzymał prywatne, naprzód w domu, potem w Dreźnie, pod kierunkiem ks. kanonika Jezierskiego. W r. 1807 wstąpił do Warszawskiej Szkoły Inżynierów (późniejszej Szkoły Aplikacyjnej). Gdy na wiosnę r. 1809 wybuchła wojna austriacka, nastąpił przyspieszony awans uczniów szkół wojskowych. Wtedy i 17-letni Prądzyński został podporucznikiem inżynierów i w tym stopniu brał udział w kampanii. Po wojnie umieszczony na czas krótki w 1-y batalionie saperów, w końcu r. 1810 wszedł w skład oddziału, pracującego nad ufortyfikowaniem Modlina, a w 1811 posunięty został na porucznika. W kampanii r. 1812 był w dywizji Dąbrowskiego, która, jak wiadomo, tylko w bitwach początkowych i końcowych tej wojny czynny brała udział, a cały jej okres środkowy przebyła w okolicach Bobrujska. Na samym początku działań wojennych, (za odznaczenie się w bitwie pod Mirem) otrzymał krzyż złoty polski, a w Sierpniu został kapitanem. Pod Berezyną został kulą karabinową raniony w nogę.

W roku 1813 Prądzyński został adjutantem Dąbrowskiego, który poznał się na młodym oficerze. Wtedy też zawiązał się między nimi bliski i serdeczny stosunek osobisty, wtedy Prądzyński przyjrzał się zblizka niepospolitej wartości bojowej twórcy legionów, ocenił ją swoim bystrym umysłem krytycznym, i nabrał dla swego dowódcy czci, której w trzydzieści z górą lat później w dziele p. t. «Czterej ostatni wodzowie polscy» tak piękny dał wyraz. Za odznaczenie się w tej kampanii otrzymał krzyż kawalerski Legii Honorowej, a za wojnę roku 1814 krzyż kawalerski polski.

Do kraju wracał 22-letni Prądzyński już nie bez laurów na młodej skroni. Polska starszyzna wojskowa nie była hojna na order, i krzyż ka-

walerski polski na piersiach tak młodego żołnierza był odznaczeniem niepospolitem. Miał też już młody kapitan pomiędzy generałami i bliżej do kwatery głównej stojącymi oficerami renomę oficera niezwykle zdolnego i wykształconego. Dąbrowski głośno rokował mu wielką przyszłość.

W nowej organizacji wojsk Królestwa Kongresowego Prądzyński zaliczony został do kwaterymistrzostwa. Jego niezwykła inteligencja, nie mniejsza od niej pracowitość i będące wynikiem obu bardzo obszerne wykształcenie ogólne i specjalne rychło zwróciły nań uwagę przełożonych. Mimo kapitańskiego stopnia, stał się on jednym z oficerów wpływowych, którego zdania zasięgano we wszystkich kwestiach ważniejszych. Ale awans kazał na siebie długo czekać.

W owych czasach był Prądzyński młodzieńcem średniego wzrostu, o bladej twarzy, o rysach dość regularnych, o ciemnych włosach i o głębokich, zamyślonych piwnych oczach. Należąc z urodzenia i wychowania do wyższych sfer towarzyskich, brał udział w ówczesnym świetnym życiu towarzyskiem Warszawy, ale się mu nie oddawał. Bardzo małomówny (ta małomówność zdaje się być cechą stałą wszystkich wybitnych wojowników), był raczej świadkiem niż uczestnikiem zabaw. Niezmiernie gorliwy w służbie i niesłychanie pracowity, pełnił obowiązki służbowe, czytał, uczył się i żył swoim bogatym życiem wewnętrznym.

W r. 1816 zorganizowane zostały z inicjatywy Haukego, Sowińskiego i Kołaczkowskiego wykłady napół prywatne nauk wojskowych dla oficerów kwatermistrzostwa. Prądzyńskiemu powierzono wykład strategii i fortyfikacji polowej. Redakcja tych wykładów, które odznaczały się wielką wartością fachową i pedagogiczną, pozwalała już wtedy przewidywać w ich autorze tak świetnego pisarza, jakim się potem okazał.

Trwały one przez dwa lata tylko. W 1818 przerwane zostały z rozkazu Wielkiego Księcia. W 1821 Prądzyński został awansowany na podpułkownika (majorów w kwatermistrzostwie nie było). W 1824 powierzono mu wypracowanie planu kanału Augustowskiego. Po roku usilnej pracy przedstawił gotowy plan, który został zatwierdzony, i którego wykonanie powierzono autorowi. Na pamiątkę ukończenia tego kanału (w r. 1828) wzniesiono skromny pomnik żelazny pod Pragę, na polu, na



Według portretu z natury, będącego w posiadaniu rodziny.

*Prudynski*



którem w niespełna trzy lata potem toczyła się przy czynnym udziale Prądzyńskiego wielkopoinna bitwa grochowska.

Wróciwszy do Warszawy, Prądzyński zabrał się do pisania traktatu o fortyfikacji polowej, który ukończył w r. 1830. Rozpoczęty druk tego dzieła przerwany został przez wypadki listopadowe.

W chwili wybuchu powstania podpułkownik Prądzyński był w Warszawie. Chłopicki, który go znał i ceniał w niemniejszym stopniu, jak sam był przez niego ceniony, po objęciu dyktatury i dowództwa naczelnego powołał go natychmiast do swego boku. Przekonany o niemożliwości zakończenia sprawy na drodze pokojowej, Prądzyński zajął się gorliwie wygotowaniem planu działań wojennych. Wkrótce przedstawił dyktatorowi projekt ufortyfikowania Warszawy, a rozumiejąc wybornie zupełną bezużyteczność położonego zdala od wszystkich linii strategicznych Zamościa, proponował przewieźć jego artylerję do Warszawy. Projekt ten został przez zwołaną dla jego zbadania komisję oficerów odrzucony, a jego autor «relégué un peu plus tard dans une espèce d'exil à Zamość» (Memoryał Prądzyńskiego—wstęp). W połowie Stycznia r. 1831 powołany na nowo do sztabu armii czynnej i awansowany na pułkownika, oparł się podanemu przez Chrzanowskiego cokolwiek fantastycznemu planowi operacji zaczepnej na Litwie i przedstawił plan swój własny, przez Chłopickiego w zasadzie przyjęty i w głównych rysach wykonany.

Plan ten zastosowany był do olbrzymiej przewagi liczebnej sił rosyjskich oraz do tej niepomysłnej dla Polaków okoliczności, że ich naturalna podstawa operacyjna—Warszawa—leży u wierzchołka trójkąta ostrokątnego, którego podstawę stanowi podstawa operacyjna, a boki linie operacyjne armii, następującej od wschodu, że przeto armia ta koncentruje się w miarę posuwania się naprzód. Polegał on na tem, aby szczupłe siły polskie od równoległej do podstawy rzeczonoj trójkątnej linii Stoczek—Liw koncentrycznie cofały się w boju aż do pola Grochowskiego. Odwrót bojowy miał na celu nie właściwe powstrzymanie następującego nieprzyjaciela, co, wobec stosunku liczebnego, było niepodobieństwem, ale wywarcie wpływu w pożądanym dla Polaków kierunku na rozmieszczenie jego sił oraz szybkość i kie-

runki szczegółowe marszów. Aż do chwili dokonania koncentracji kolumny polskie winny były nie przyjmować bitwy generalnej i głównie dbać o to, aby się nie dać odciąć od linii operacyjnej. Bitwa generalna na polu Grochowskiem, o ile miała być stoczona przez wojska, którym można było zaufać, przedstawiała małe ryzyko, a znaczne szanse korzyści, szanse, które, podług usprawiedliwionego przez późniejsze wypadki przewidywania Prądzyńskiego, nie zmieniały się nawet w razie przegranej, o ile nie byłaby ona zupełnym pogromem. Walcząca bowiem na tem polu frontem ku wschodowi armia miała poza sobą Wisłę, a w swojej mocy przeprawę przez nią, bronioną przez bardzo silny przyczółek mostowy. W razie pogromu mogła ona być przypartą do Wisły i zniszczoną, ale w razie porządnego odwrotu osłaniała się tą samą Wisłą, a dla armii następującej zwycięstwo stawało się bezowocnem. O przeprawie przez Wisłę pod ogniem Warszawy nie mogło być mowy, trzeba było szukać powyżej lub poniżej jakiegoś mniej więcej odległego od niej punktu. Z każdym z takich punktów armia, stojąca w Warszawie, połączona była przez krótsze wewnętrzne linie operacyjne. Następnie, wobec tego, że wszystkie gotowe przeprawy przez Wisłę (Praga, Zegrze, Modlin) były w ręku Polaków i były dobrze ufortyfikowane, siły więc polskie miały zupełną swobodę manewrowania po obu stronach rzeki, wybór punktu zbyt bliskiego od Warszawy groził armii zaczepnej odcięciem od podstawy zaraz po dokonaniu przeprawy, wybór zaś punktu zbyt od niej odległego ułatwiał Polakom uderzenie na jej komunikację z odległą podstawą i mógł przeto, (co też w samej rzeczy nastąpiło), uniemożliwić przeprawę przed jej rozpoczęciem.

Plan ten był ułożony w ogólnym tylko zarysie i nie był w szczegółach wyznaczonym. Nie może nim być żaden plan większej i wymagającej dłuższego czasu operacji, sporządzony nie przez kancelistę wojskowego, lecz przez prawdziwego strategika z Bożej łaski, który wie, jak wiele każda czynność wojskowa kryje w sobie niespodzianek, i że decyzje szczegółowe muszą zapadać w miarę nigdy niemożliwych do przewidzenia okoliczności szczegółowych.

Wypadki w świetny sposób wykazały mądrość planu Prądzyńskiego. Koncentryczny od-

wrót bojowy, wykonany z wielką precyzją i brawurą przez dywizję 1-ą (Krukowieckiego), 2-ą (Żymirskiego) i 3-ą (Skrzyneckiego) oraz przez dywizję jazdy Suchorzewskiego, zderutował następujące kolumny rosyjskie, skrzywił front ataku i sprawił, że pomyślana i stoczona już w wielkich rozmiarach w d. 19 lutego niezdecydowana bitwa pod Wawrem nie doprowadziła rosyjan nietylko do spodziewanych, ale wogóle do żadnych rezultatów. Feldmarszałek musiał się zgodzić na kilkodniową zwłokę, dla doczekania się przybycia ks. Szachowskiego i swoich własnych dalszych kolumn. Owładnięcie polem Grochowskim, Pragą i Warszawą z pochodu, «par coup de main», okazało się niemożliwym.

Tę bitwę pod Wawrem (zwaną w memoryale Prądzyńskiego «la première bataille de Grochow»), planował Prądzyński inaczej, niż się ona odbyła. W jego planie ogólnym nie była ona wcale przewidziana. Wobec zaszłej w d. 17 lutego bitwy pod Dobrem i spowodowanego przez nią zbyt dużego oddalenia się rosyjskiej kolumny prawej (gen. barona Rosena) od lewej (gen. hr. Pahlena), Prądzyński zaimprovizował pomysł ataku skoncentrowanego dywizji Krukowieckiego i Szembeka (4-ej) oraz trzech dywizji jazdy na Rosena, którego spodziewał się albo odrzucić do Bugu, albo zniszczyć zupełnie. Plan ten, wzorowany po części na bitwie pod Hohenlinden, przewidywał rozprawę nie na 19, lecz na 18 lutego i nie pod Wawrem, lecz pod Okuniewem. Chłopicki przyjął go i ruszył dla jego wykonania do Okuniewa; ale Rosen postępował naprzód wolniej, niż przypuszczano, po południu jeszcze go nie było, a czekać go do dnia następnego Chłopicki się nie decydował, obawiając się słusznie, że Pahlen, który parł przed sobą Żymirskiego, może go obejść od prawego skrzydła i odciąć od Pragi.

Przewidziana w planie Prądzyńskiego, jako zamykająca pierwszy okres działań wojennych, wielka bitwa pod Grochowem została stoczona w d. 25 lutego. Na jej początku Chłopicki, widząc rozwijający się na wielką skalę atak Rosena na bronioną przez Żymirskiego Olszynkę, posłał tam Prądzyńskiego. Przybył on w chwili, gdy wyparta z gaju brygada Rohlanda (pułki 3-i i 7-y liniowe) usiłowała pod ogniem zajmujących już jego skraj tylny tyralierów rosyjskich sformować się po za nią; sformował brygadę, stanął obok

Rohlanda na jej czele i, podtrzymywany przez 2-ą brygadę 2-ej dywizji (2-i i 4-y strzelców pieszych), stanowczym uderzeniem na bagnety wyparł rosyjan z Olszynki i wprowadził do niej na powrót całą dywizję Żymirskiego, poczem wrócił do Chłopickiego.

Po kilkakrotnych jeszcze przechodzeniach Olszynki z rąk do rąk nastąpił wreszcie wielki atak, prowadzony na lewym skrzydle przez Skrzyneckiego, a na prawym przez Chłopickiego osobiście. Na prawym też skrzydle znajdował się i Prądzyński na czele sformowanego w kolumnę do ataku jednego z batalionów grenadyerów. Atak był straszliwy, ale i obrona dzielna i uporczywa. «Chłopicki et moi — pisze Prądzyński w swym memoryale — nous avons nos chevaux et nos habits criblés de mitraille».

Wreszcie olbrzymia energia ataku przemogła. Prądzyński na czele swojej kolumny ujrzał przed sobą rzednące drzewa skraju przedniego Olszynki, a za niemi baterię rosyjską. Tyralierzy polscy wybiegają już przed linię drzew. «Dzieci, jeszcze sto kroków naprzód, a te działa są wasze» — woła Prądzyński. Kolumna uderza, jak piorun, zdobywa dwa działa i odrazu zwraca je przeciw rosyjanom, a resztę baterii spędza z pozycji. Olszynka zdobyta.

Ale to już ostatnie w danej chwili rozporządalne siły polskie, a ze strony rosyjskiej ruszają do nowego ataku na Olszynkę całkowicie świeże wojska hr. Pahlena, za niemi rozwijają się na prawo od szosy potężne rezerwy pod osobistym dowództwem feldmarszałka. Krukowiecki, któremu zrana jeszcze posłano rozkaz połączenia się z siłami głównymi, nie przybywa. Z prawego skrzydła okrąża Olszynkę 30 szwadronów jazdy rosyjskiej. Łubieński, korzystając z tego, że Chłopicki formalnie nie jest wodzem naczelnym, odmawia mu posłuszeństwa i nie przeciwstawi tej groźnej kolumnie kawaleryjskiej swojej dywizji. Bateria sławnej pamięci podpułkownika Piętki, która ostrzeliwała szosę brzeską, wystrzelała już całą amunicję, straciła połowę kanonierów i koni i w rozpaczliwym milczeniu przygląda się atakującemu wzdłuż tej szosy Pahlenowi. Sprawa przybiera zły obrót. Trzeba myśleć o odwrocie. Wracającego ku Olszynie od nominalnego wodza naczelnego, Chłopickiego granat rani w obie nogi. To ostatecznie przechyliła szalę. Bitwa przegrana.

Ale tu okazało się, że Prądzyński, planując bitwę, która, nawet będąc przegraną, miała przynieść korzyść, nie zawiódł się na wojsku, któremu zaufał. Przegrana bitwa nie zamieniła się na pogrom. Feldmarszałek rychło przekonał się, że nadzieja przebycia mostu i wkroczenia do Warszawy na karkach cofających się wojsk polskich była całkowicie płonną. Broniony przez czcigodnego Małachowskiego, praski przyczółek mostowy stawiał opór niezlomny. Wojsko w porządku przebyło most i zajęło Warszawę.

W nocy z 25 na 26 lutego zebrała się rada wojenna w celu wyboru nowego wodza naczelnego. Fatalność sprawiła, że wybór padł na Skrzyneckiego. (Szczegóły—patrz życiorys Skrzyneckiego). Względy, przemawiające za tym wyborem, zdawały się tak silne, że głosowali za nim i tacy oficerowie jak Chrzanowski i Prądzyński. «On s'imaginait—píše ten ostatni w swym memoryale — que Skrzynecki étant brave et ayant à ses côtés des guides pour diriger sa conduite tout irait au mieux... Nous nous sommes furieusement trompés».

Po stronie polskiej tylko Prądzyński właściwie oceniał nową sytuację, która po bitwie Grochowskiej nastąpiła. Wszystkich innych—wojskowych i cywilnych — przegrana przeraziła i przygnębiła. Po stronie rosyjskiej feldmarszałek tryumfował, stał do Petersburga biuletyny zwycięskie i oczekiwał lada dzień deputacy z kluczami Warszawy. Jednak minęło dni kilka, deputacya nie przybywała, i feldmarszałek zaczynał postrzegać, że właściwie nie ma co począć ze swoim tryumfem. Warszawa okazała się dla niego równie mało dostępną, gdy stał po zwycięstwie na polu Grochowskim, jak nią była wtedy, gdy przekraczał granice Królestwa Kongresowego. Tymczasem u polaków pierwsze wrażenie, wywołane przez bitwę Grochowską, minęło. Osłoniąca Wisłą armia zaczęła się szybko reorganizować i kompletować nowymi formacjami i wkrótce stała się groźniejszą niż była przed tą bitwą. W nowej organizacji Prądzyński, awansowany na generała brygady, został generał-kwaternistrzem, a szefem sztabu również posunięty na generała Chrzanowski.

Trzeba było coś uczynić w kierunku przeprawy przez Wisłę. Za dogodną ku temu miejsce uznał Diebitsch Karczew — i oto w tydzień po zwycięstwie armia rosyjska rozpoczęła odwrót

z pozycyi Grochowskiej. Kwatera główna została przeniesiona do Siennicy. Około połowy marca na szosie Brzeskiej pozostał korpus bar. Rosena, z siłami głównymi w okolicach Dębego-Wielkiego, a awangardą pod dowództwem gen. Gejsmara pod Wawrem i Kawenczynem, armia zaś główna rozłożyła się na szerokich kwaterach między Siennicą, Rykami i Bobrownikami, przesuwając się częściami do Karczewa.

Tej chwili wyglądał nowy generał-kwaternistrz polski z niecierpliwością i upragnieniem. Ruch Diebitscha ku Siennicy dowiódł mu słuszności rozumowania, na którym się wspierał jego plan pierwszej części kampanii. Teraz plan części drugiej dojrzał i sformował się w jego głowie ostatecznie.

Należało, podług tego nowego planu, szybko skoncentrować w Warszawie wszystkie rozporządzalne siły polskie (można było tego zebrać około 50,000), w d. 20 marca wyjść nagle z Pragi, rozbić Gejsmara i Rosena, (co było, przy danym stosunku liczebnym, zadaniem łatwym), a następnie uderzyć na szerokie kwatery feldmarszałka. Przy działaniu szybkim i energicznym było wysoce prawdopodobnem, że się powiedzie uderzać raz po raz całą masą na dość od siebie oddalone części armii rosyjskiej i bić je kolejno. W razie szybszego, niż się spodziewano, skoncentrowania się sił Diebitscha, odwrót do Warszawy po krótszej linii wewnętrznej pozostawał zawsze zapewniony. Jakkolwiekby, gdyby nawet pobicie sił głównych się nie udało, samo już rozbięcie Gejsmara i Rosena zagrażało feldmarszałkowi odcięciem od podstawy i zmuszało go do powrotu na szosę brzeską, i to, ze względu na rozkład magazynów, mniej więcej na to jej miejsce, w którym się znajdują Siedlce, czyli przywracało wszystko do tego stanu rzeczy, jaki był w pierwszej połowie lutego.

Z tym genialnym planem Prądzyński udał się do wodza naczelnego—i tu po raz pierwszy zaczął się przekonywać, «qu'il s'est furieusement trompé» w wyborze. Skrzynecki poprostu nie zrozumiał, co mu jego generał-kwaternistrz proponował. W wyjściu z Pragi widział on tylko jedno: ryzyko, t. j. to właśnie, czego się najbardziej obawiał. W Warszawie czuł się bezpiecznym, a w jego równie ciasnej jak upartej głowie nie mogło się pomieścić, że celem wojny jest nie osiągnięcie bezpieczeństwa, lecz pobicie nieprzy-

jaciela. Jedynym rodzajem czynności, o których był w stanie myśleć, były «dywersye». Pierwszą taką «dywersją» było nieszczęsne wysłanie Dwer-nickiego na Wołyń, przeciw któremu Prądyński gorliwie oponował.

Ale nietylko ze strony wodza naczelnego napotkał plan Prądyńskiego opór. Postawił się przeciw niemu i Chrzanowski, bądź to dla tego, że go nie rozumiał, bądź dla tego, że miał swój własny. Właśnie w tym czasie nadciągnął był i rozmieścił się w okolicach Łomży i Ostro-łęki korpus gwardyi pod dowództwem Wielkiego Księcia Michała. Korzystając z jego oddalenia od feldmarszałka, Chrzanowski zamierzył ude-rzyć na ten korpus, a po jego ewentualnem znie-sieniu zagrozić skrzydłu i tyłom Rosena i Die-bitscha. Ten pomysł bardziej odpowiadał cha-rakterowi wodza naczelnego. Wprawdzie Chrz-anowski założył go na dość szeroką skalę, ale, jak się zdaje, Skrzynecki zawczasu już sobie ukła-dał, że go zbagatelizuje.

Rozpoczął się długi szereg dysput i sporów, w których brali udział: Skrzynecki, Prądyński, Chrzanowski, a w niektórych i Kołaczkowski. Skrzynecki dysputował z lubością i upodobaniem, wracając po wiele razy do tych samych tyleż razy już odpartych przez Prądyńskiego argu-mentów: atakowanie Gejsmara było niebezpiecznem, ponieważ jego słabe siły stały za lichemi okopa-mi; skoncentrowanie sił w Warszawie — również niebezpiecznem, ponieważ оголаcało ono z wojsk lewy brzeg Wisły i ułatwiałoby Diebitchowi prze-prawę; pochód przeciw feldmarszałkowi — jeszcze niebezpieczniejszym, ponieważ roztopy wiosenne uczyniły drogi bardzo trudnemi do przebycia dla artyleryi; wielka bitwa przeciw niemu — najniebez-pieczniejszą ze wszystkiego, bo mogła być prze-graną.

Prądyński wykazywał, że okopy lepsze od tych, za którymi stał Gejsmar, bywały już przez wojska gorsze od polskich zdobywane; że rozbitcie Gejsmara i Rosena będzie dla rosyjan twardszą przeszkodą do przeprawy przez Wisłę, niż roz-stawienie wzdłuż jej biegu, na przestrzeni od San-domierza do Warszawy, kilkunastu tysięcy ludzi; że rozmokłe drogi są uciążliwe nie tylko dla po-laków, ale i dla rosyjan, a nawet dla tych osta-tnich o tyle uciążliwsze, że posiadają oni daleko liczniejszą artylerję, której w razie przegranej, wła-

śnie dla tych rozmokłych dróg, nie będą mogli ocalić; że jeżeli feldmarszałek zechce się koncen-trować w kierunku Siedlec i Łukowa, to będzie operował po bardzo długiej linii, którą mu łatwo będzie rozciąć, jeżeli zaś zdąży zawczasu skon-centrować się ku Rykom, to będzie toczył sta-nowczą bitwę przyparty tyłami ku Wiśle, t. j. w położeniu nad wyraz ryzykownem; że wreszcie, na wypadek niepowodzenia, mamy zawsze krótką i całkowicie osłoniętą linię odwrotu ku War-szawie.

Żaden z tych dowodów nie skutkował: Chrz-anowski podtrzymywał swój plan wyprawy prze-ciw gwardyi, Skrzynecki urządzał ćwiczenia dyalektyczne. Tymczasem dzień upływał za dniem, siły rosyjskie koncentrowały się ku Rykom coraz bardziej, szanse powodzenia śmiałego planu Prą-dyńskiego stawały się coraz mniejsze. Generał-kwaternistrz rozchorował się ze zmartwienia, Chrzanowski nastał na wykonanie swego planu, i wódz naczelny wreszcie go przyjął, poprzestając zresztą narazie na wysłaniu nad Narew Umiń-skiego z kilku tysiącami ludzi.

Tak minął wyznaczony w pierwotnym planie Prądyńskiego do wyjścia z Pragi dzień 20-go marca. Tymczasem lody na Wiśle spłynęły, a za-rządzone przez feldmarszałka przygotowania do przeprawy były już na ukończeniu. Jeszcze dni kilka, a rosyjanie staną na lewym brzegu Wisły — i wojna będzie skończona.

Chory jeszcze Prądyński porwał się z łóżka i pobiegł do Skrzyneckiego, aby wyjednać apro-batę dla planu, który sam jeden mógł zażegnać zbliżającą się katastrofę. Wywiązała się pomię-dzy wodzem naczelnym a generał-kwaternistrzem scena gwałtowna; Prądyński dowodził, błagał, za-klinał; wreszcie zdołał przekonać Skrzyneckiego, że Diebitsch może się lada dzień przeprawić przez Wisłę, i że w takim razie stoczy się już za dni kilka, w warunkach bardzo dla polaków niepo-myślnych, ta wielka, stanowcza bitwa, której się wódz naczelny tak bardzo obawiał. To przeraziło Skrzyneckiego. Prądyński podwoił nalegania, wreszcie zaznaczył, że ostatecznie może się obejść i bez ataku generalnego na feldmarszałka, że sa-mo rozbitcie Gejsmara i Rosena zmusi go do od-wrotu od Wisły i ocali Warszawę. Ten argu-ment przekonał wodza naczelnego. Wstrzymał on ruch, rozpoczęty już w celu wykonania planu



Chrzanowskiego, i wydał rozkazy do operacji zaczepnej na szosie brzeskiej, której początek wyznaczony został na d. 31 marca.

Było to już o dziesięć dni zapóźno. Armia rosyjska nie była już tak jak około 20 marca zdecentralizowana. Jej bicie częściowe było już bardzo wątpliwe. Niemniej i teraz rzeczywistość wykazała w świetny sposób wartość wielkiego pomysłu Prądzyńskiego.

Bitwę rozpoczęła 1-a dywizja (Rybińskiego), wzmocniona brygadą jazdy Kickiego (patrz życiorys Rybińskiego w t. 1-ym). Gęsta mgła sprzyjała tajnemu ruchowi wojsk polskich. Przed świtem d. 31 marca Rybiński uderzył na Gejsmara, którego rozbił w ciągu niespełna godziny, biorąc mu dwa sztandary, dwa działa i około 2000 jeńców. Podług dyspozycji Prądzyńskiego, Kicki winien był podtrzymać ten atak gwałtowną szarżą swojej jazdy, co, gdyby było wykonane, prawdopodobnie zgubiłoby Gejsmara ostatecznie. Ale wódz naczelny już na polu zmienił dany Kickiemu przez generał-kwatermistrza rozkaz i nakazał mu nie brać w akcji żadnego udziału, rozumując, że szarża jazdy zbyt szybko wypchnie Gejsmara ze sfery działania Rybińskiego i przeszkodzi jego zupełnemu zniszczeniu. To osobliwsze rozumowanie sprawiło, że generał rosyjski zdołał poza frontem walczącej części swego oddziału przesunąć jego inne części na szosę i rozpocząć w nietęgim, ale zawsze w jakim takim porządku odwrót ku Dębemu-Wielkiemu, na siły główne. Rybiński z Kickim poprowadzili natarczywy pościg. W Miłosnej (około godziny 9-ej rano) na czele wojsk ścigających stanął Prądzyński, którego obecność zdwoiła energię pościgu. «Je pressai les Russes—píše on w swoim memoryale—jusqu'au village Dembe-Wielkie, en répétant aux officiers et aux soldats, que maintenant il fallait huit jours d'efforts sur-naturels, pour obtenir d'immenses résultats, que pendant chacun de ces huit jours il fallait faire une marche forcée et livrer un combat sanglant.» Wierzył on, że wobec odniesionego zwycięstwa Skrzynecki da się przekonać faktom i zdecyduje się na wielką akcję przeciw Diebitschowi. Ale się zawiódł. «Le généralissime était là pour donner démenti à mes paroles»—są dalsze słowa memoryału.

Bitwa pod Dębem-Wielkiem, rozstrzygnięta na korzyść Polaków przez wiekopomną szarżę

jazdy, prowadzoną przez Kazimierza Skarżyńskiego, (patrz—jego życiorys), była wielkim zwycięstwem, zarówno taktycznym jak i strategicznym. Korpus Rosena był tak zniszczony, że na dłuższy czas stał się prosto «une quantité négligeable». Prowadzony nazajutrz przez Lubieńskiego z wielką energią pościg uzupełnił dzieło. Sprawa stała tak dobrze, jak najśmielsi nie marzyli. Sytuacja upoważniała teraz zupełnie do próby ataku generalnego na Diebitscha, ataku, który, gdyby się nawet nie powiódł, w żadnym razie nie groził wielką klęską, a który, zwłaszcza przy takim, jak Prądzyński, generał-kwatermistrzu, miał niemałe szanse powodzenia. Nienajmniejszą jego rękojmnią był i olbrzymi entuzjazm, jaki w wojsku polskim tak świetne zwycięstwo wywołało.

Prądzyński z zapalem nastawał na ten atak, ale słysząc o nim nie chcieli nie tylko Skrzynecki, ale ani nawet Chrzanowski. Właśnie gdy wódz naczelny wahał się, jaki kierunek ma nadać ruszającemu z pola bitwy wojsku, przyniesiono papiery, znalezione przy zabitym kozaku ordynansowym bar. Rosena. Pomiedzy papierami temi była pochodząca ze świeżej daty instrukcja feldmarszałka, z której się okazywało, że wódz rosyjski, zabierając się do przeprawy przez Wisłę, linię komunikacyjną wyznacza na Kock-Międzyrzec-Siedlce-Brześć, że poleca Rosenowi bronić tej linii bardzo uporczywie, i że szczególnie chodzi mu o Siedlce, dla których utrzymania nakazuje wszystko ryzykować, gdyż ich utrata zagroziłaby powodzeniu całej wyprawy.

Tego było dosyć dla Skrzyneckiego, aby go zdecydować do wyprawy na Siedlce, wyprawy, która teraz już była bezcelową, bo ta bitwa, w której Diebitsch nakazywał Rosenowi wszystko ryzykować, właśnie już się była rozegrała pod Wawrem i Dębem-Wielkiem. Dla jego ścigania wystarczała dywizja jazdy. «Son corps n'était plus en état d'accepter un engagement avec toute l'armée polonaise qui, en le suivant, désormais courait après une ombre» (memoryał).

Ale i ruch ku Siedlcom uległ zwłoce. Dzień 2 kwietnia upłynął na przyjmowaniu delegacji rządu, która przywiozła Skrzyneckiemu krzyż komandorski polski. Tylko oddział kawalerii, dowodzony przez gen. Kazimierza Skarżyńskiego, jeszcze w d. 1 kwietnia wysłany został na południe,



niby dla powzięcia wiadomości o czynnościach feldmarszałka. Wreszcie 3-go kwietnia kwatera główna stanęła w Kałuszynie, gdzie zmarnowano dwa dni czasu, a 5-go wódz naczelny zmienił kierunek i ruszył do Siennicy, a więc w kierunku ku siłom głównym rosyjskim, t. j. wykonał ruch, który należało wykonać 1-go. 7-go posunął się do Latowicza, zaczem, w panicznej trwodze o swoje skrzydła i tyły, rozproszył połowę armii na rozjazdy, stráže i posterunki i stanął w pozycji, w której, gdyby został przez rosyjan stanowczo zaatakowanym, poniósłby generalną klęskę.

Utraciwszy do reszty nadzieję na wielką akcyę przeciw feldmarszałkowi, Prądzyński, niewyczerpany w pomysłach, powziął projekt operacyi na mniejszą skalę, która jednak też niemałe obiecywała korzyści. Resztki korpusu Rosena, wynoszące jeszcze około 15,000 ludzi, stały w okolicach Siedlec. Prądzyński zamierzył, korzystając z dogodnej pozycyi polskiej w Siennicy i Latowiczu, obejść jego pozycyę przez Wodyń, przecinając mu jednocześnie drogę dalszego odwrotu i znieść go do szczętu.

Po parodniowych jeszcze deliberacyach Skrzynecki przyjął ten projekt. Operacya rozpoczęła się d. 9 kwietnia w sposób następujący:

Kolumna główna, nad którą dowództwo w charakterze projektodawcy objął sam Prądzyński, miała atakować siły rosyjskie, stojące pod Iganiami (około 6,700 ludzi). W skład jej weszły wojska wyborowe: 1-a brygada 1-ej dywizyi piechoty (pułki 1-y i 5-y liniowe—dowódca pułkownik Ramorino), 1-a brygada 3-ej dywizyi piechoty (pułki 4-y i 8-y liniowe—dowódca generał Bogusławski), pułk 2-i ułanów (dowódca pułkownik Michał Mycielski), do którego przydano dwa szwadrony Mazurów, bateria piesza i dwa działa konne pod dowództwem podpułkownika Bema—ogółem 12 batalionów, 6 szwadronów i 14 dział. Dla osłonięcia tej kolumny od ewentualnej akcyi feldmarszałka, (który już rozpoczynał pochód ku Siedlcom), jazda K. Skarżyńskiego wyruszyła równolegle ku niej przez Jeruzalem, Seroczyn i Stoczek, a Rybińskiemu z drugą brygadą jego (1-ej) dywizyi nakazano wykonanie demonstracyi po drugiej stronie Świdra. Dywizya jazdy Łubieńskiego (16 szwadronów i 8 dział) miała wczesnym rankiem 10-go kwietnia skoncen-

trować się w Suchej; gdy zaś usłyszy kanonadę lub ujrzy wojska rosyjskie, opuszczające brzegi Kostrzyna, co będzie znakiem, że Prądzyński rozpoczął atak, winna była iść wyciągniętym kłusem na wystrzały, aby uderzyć na prawe skrzydło rosyjskie i odciąć rosyjanom odwrot przez Chodów i Mokobudy. Znajdująca się pod rozkazami Łubieńskiego piechota (części 2-ej dywizyi) miała się zebrać na szosie i przeprowadzić się przez Kostrzyn. Gdyby ten plan został tak wykonany, jak był pomyślany, to Rosen po ataku Prądzyńskiego zostałby otoczony, i nie pozostawałoby mu nic oprócz kapitulacyi.

Chrzanowski znajdował się przy oddziale K. Skarżyńskiego. Wykonania operacyi, przepisanej korpusowi Łubieńskiego, podjął się sam Skrzynecki, który obiecał przybyć do tego korpusu w nocy z 9-go na 10-y. Skutkiem tego Łubieński nie otrzymał od generał-kwaternistrza dyspozycyi szczegółowej, tylko polecenie, aby na 10-y rano był w gotowości do większej operacyi, której szczegóły wskaże mu wódz naczelny.

Prądzyński wyruszył z Latowicza 9-go po południu, a o zmroku przybył do Wodynia, skąd szwadron Mazurów wyparł rosyjskich strzelców konnych. O świcie 10-go ruszył na Domanice, które, jak się okazało, były zajęte przez 8 szwadronów i 2 seciny jazdy pod dowództwem generała Sieversa. Na tę jazdę uderzył sławnej pamięci Mycielski ze swoim 2-im ułanów (4 szwadrony) i 2-ma działami konnemi. Po kilku starciach, gdy po za frontem jazdy polskiej, na skraju lasu zaczęły połyskiwać bagnety nadciągającej piechoty, Sievers ustąpił, pozostawiając w rękach Mycielskiego 300 jeńców. «*Nous n'eûmes — są słowa memoriału — que quelques blessés et quatre tués; mais au nombre de ces derniers j'eus l'inexprimable douleur de compter mon propre neveu, enfant de la plus grande espérance, que ses parents du duché de Posen venaient de me confier en qualité de volontaire. Mycielski en véritable colonel de cavalerie avait payé d'exemple. Ses habits étaient criblés des coups de lance. Son régiment qu'il commandait pour la première fois dans une action, charmé de la bravoure que son chef avait déployée, le salua d'acclamations.*»

Po tej rozprawie kawaleryjskiej Prądzyński, przekonany, że Skrzynecki, usłyszawszy wystrzały, już jest z korpusem Łubieńskiego w pochodzie, ruszył

przyśpieszonym marszem ku Iganiom, pragnąc zaś odciąć rosyanom odwrót na Łuków, pozostawił w Gołębku gen. Bogusławskiego z 4-ym liniowym, czego potem żałował, jak również tego, że odłączył jeszcze 1 batalion i 1 szwadron dla pilnowania grobli na Muchawcu.

Stanąwszy w 6000 ludzi pod Iganiami, Prądyński wraz z generałem Kickim i kilku oficerami pojechał na rozpoznanie pozycji rosyjskiej i przekonał się, że ma przed sobą około 12,000 wojska. Wieś Iganie była obsadzona przez piechotę, na prawem skrzydle pozycji w kierunku młyna wietrznego stała w kilku liniach liczna jazda; jedna bateria stała przed wsią, druga u młyna wietrznego. Front ciągnął się równolegle do szosy, lewe skrzydło opierało się o Muchawiec, mając po za sobą *défilé* tej rzeki. Po za frontem dawał się dostrzegać ruch artylerii i bagażów, dla których osłonięcia właśnie bar. Rosen widocznie przyjmował bitwę.

Pewny blizkiego już przybycia Łubieńskiego, wódz polski, wbrew opinii Kickiego, zdecydował się atakować siły tak przeważające. Posłał 4-mu liniowemu rozkaz jak najspiesniejszego marszu na pole bitwy i posunął się prawem skrzydłem naprzód, zamierzając zawładnąć znajdującym się po za lewem skrzydłem rosyjskim *défilé*, odciąć nieprzyjacielowi linię odwrotu i podać go w ręce nadciągającego już, jak mniemał, Łubieńskiego.

Artyleria rosyjska powitała atakującą linię polską rześistym ogniem. Bem z 10 działami wysunął się naprzód i z niesłychaną brawurą poprowadził coś bezprzykładnego w dziejach artylerii, co najwłaściwiej jest nazwać atakiem artyleryjskim—strzelał, posuwając się nieustannie naprzód. Tymczasem piechota polska zbliżyła się już do lewego skrzydła rosyjskiego o tyle, że rozpoczął się ogień karabinowy. Rosyanie zdemaskowali niedostrzeżoną uprzednio baterię pozycyjną i zaczęli bić w prawe skrzydło linii atakującej. Rozporządzający bardzo nieliczną artylerią Prądyński nie mógł osłabiać baterii Bema dla odpowiadania na ten ogień. «Je pris donc le parti de ne prendre en aucune considération ce nouvel incident et je pressai l'attaque.»

W niepowstrzymanym marszu 8-y liniowy zbliża się do świeżo zdemaskowanej baterii o tyle, że strzela jej kanonierów «à bout portant». Bateria usiłuje zdjąć się z pozycji, ale ugrzęzła

w rozmiękłym gruncie działa nie dają się uwieść i zostają przez 8-y liniowy zdobyte.

Cheąc ratować wojska swoje, znajdujące się na lewym brzegu Muchawca, Rosen formuje kolumnę z pułków 13-go i 14-go strzelców pieszych. Są to świeże wojska, które w tej wojnie jeszcze się wcale nie biły, ale w niedawno ukończonej tureckiej okryły się chwałą i pozyskały przydomek «lwów warneńskich». Ta straszliwa kolumna przebywa podwójnym krokiem *défilé*, uderza potężnie na wyczerpany już kilkogodzinnym bojem 8-y liniowy, rozbija go i odbiera napowrót zdobyte działa, które na prawe skrzydło znowu zaczynają ziać ogniem i żelazem. W tej chwili Bem milknie: wystrzelał już swój zapas amunicji.

«Lwy warneńskie» są już w płonącej wsi Iganie, gdzie tworzą głęboką kolumnę o wązkim froncie. To błąd ze strony dowodzącego brygadą gen. Dobrowolskiego. Dostrzega ten błąd Prądyński i z położenia, które w samej rzeczy stawało się już bardzo krytycznym, postanawia wyjść «par un coup de vigueur». Kickiemu powierza prowadzenie dalszego odwrotu straszliwie naciskanego prawego skrzydła, a sam śpieszy na lewe. Przeformowuje uszykowaną w czworoboki piechotę w kolumny batalionowe, uderza na niebędące dotychczas w boju prawe skrzydło rosyjskie, odrzuca uszykowaną poza wsią kawalerię, każe Ramorinie z 1-ym liniowym nacierać w dalszym ciągu na położony na krańcu wsi dwór, a sam staje na czele 5-go liniowego i biegiem prowadzi go w kolumnach do ataku przez *défilé* przeciw groźnej brygadzie rosyjskiej. «Tout en courant je parlai aux soldats pour les engager à ne pas perdre du temps à faire feu. Je fus obéi: pas un seul coup de fusil ne fut tiré.»

Wzięta z tyłu i ze skrzydła przez tę biegnącą z pochylonemi bagnetami środkiem płonącej wsi kolumnę z natchnionym, przemawiającym lapidarnymi słowami wodzem na czele,—brygada rosyjska usiłuje się cofnąć. Zapóźno. Na szosie następuje straszliwe spotkanie na bagnety. Rozzerwana na dwie części, kolumna rosyjska traci sztandar, czoło jej dostaje się do niewoli, część zostaje odrzucona do Chodowa, część wparta do Muchawca, w którego nurtach wielu tonie. Teraz cała linia polska posuwa się naprzód. Iganie wzięte. Bitwa wygrana.

Zmrok wieczorny padł na krwawe pole. Wtedy pojawił się Skrzynecki z kawalerią Łubieńskiego. Gdyby przybył o dwie godziny wcześniej, noga nie uszłaby z korpusu Rosena. Tak zaś bitwa, która powinna była sprowadzić na ten korpus ostateczną zagładę, stała się zwycięstwem bezużytecznem. W historii pozostanie ona, jako pomnik geniuszu wodza i bohaterstwa wojska.

Chodziło w niej o zdobycie Siedlec i o zmuszenie nadciągającego Diebitscha do cofnięcia się aż do Międzyrzecza, a może jeszcze dalej ku Bugowi. Gdyby zwycięskie wojska polskie 11-go rano zajęły Siedlce, to w ciągu dnia mogłyby do siebie skupić prawie całą resztę armii, a wtedy feldmarszałek prawdopodobnie nawetby nie próbował ataku na to miasto i szedłby prosto do Międzyrzecza. Wobec bezczynności zwycięzców, stanął on w Siedlcach d. 11-go po południu, a do wieczora tego dnia skoncentrował tam wszystkie swoje siły. Zwycięstwo pod Iganiami zostało całkowicie zmarnowane.

Po tem zwycięstwie nastąpił miesiąc prawie trwający okres zupełnej bezczynności armii głównej. Na skrzydłach prowadziły się licho pomyslane i jeszcze gorzej wykonywane «dywersye», na lewem z niezłomnym powodzeniem walczył Umiński, na prawem brał mocne cięgi Sierawski. Był to czas bardzo ciężki dla Prądzyńskiego. Swoim bystrym wzrokiem widział on wybornie, jak każdy dzień bezczynności osłabiał polaków i wzmacniał rosyjan, widział tysiąc sposobów poprawienia sytuacji—i wszystkie jego pomysły rozbijały się o upór i niedołęstwo wodza naczelnego. Fatalne skutki taktyki «dywersyi» już się zaczęły okazywać: Korpus Dwernickiego, wyparty do Galicji, został dla sprawy stracony, przeznaczony do jego zastąpienia w województwie Lubelskiem Sierawski, pobity na głowę pod Wronowem (17 kwietnia), musiał z pośpiechem wracać za Wisłę. W kwaterze głównej toczyły się nieustanne spory i dysputy, dla widza obojętnego niepozbawione komizmu, dla Prądzyńskiego bolesne, upokarzające i w wysokim stopniu denerwujące. Już i Chrzanowski, który z początku podtrzymywał nieraz wodza naczelnego przeciw Prądzyńskiemu, tracił cierpliwość. I generał-kwaternistrzem, i szefem sztabu nabrali już głębokiego przeświadczenia, że Skrzynecki nie jest zdolny nietylko do jakiegoś rozsądnego działania, ale ani nawet do rozumie-

mienia i słuchania dobrej rady, że wojna, w tych warunkach prowadzona, jest tylko marnowaniem ludzi. Chrzanowski wyjednał sobie wreszcie dowództwo korpusu, przeznaczonego do czynności w Lubelskiem, i pozbył się coraz dla niego uciążliwszej funkcji szefa sztabu. Prądzyński, nie przestając być generał-kwaternistrzem, objął prowizorycznie jego urząd. Nie mogąc nakłonić Skrzyneckiego do jakichkolwiek czynności przeciw feldmarszałkowi, wrócił wreszcie do dawnej idei wyprawy na gwardye, słusznie rozumując, że i ta operacja może być bardzo korzystną.

Aby zrozumieć treść tego śmiałego i mądrego planu, trzeba sobie uprzytomnić położenie i stosunek liczebny obu stron wojujących w pierwszych dniach maja.

Siły główne rosyjskie pod osobistym dowództwem feldmarszałka zajmowały pozycję na Wschód od Siedlec, pomiędzy Suchą a Kockiem (kwatery główna w Żukowie). Liczyły one 68 batalionów, 99 szwadronów i 30 secin oraz 225 dział. Były rozłożone na ciasnych kwaterach i mogły się w ciągu dwóch dni z łatwością skoncentrować. Skrzydło lewe armii stanowiły wojska, rozłożone w województwie Lubelskiem (pod dowództwem gen. barona Kreutza), składające się z 17 batalionów, 38 szwadronów i 36 secin oraz 39 dział. Na prawem skrzydle był w Ostrołęce gen. bar. Osten-Sacken z 5 batalionami, 1 szwadronem i 12 secinami oraz 12 działami, a w Przetyczy, Wąsowie, Zaorzu i Zambrowie gwardya pod dowództwem Wielkiego Księcia Michała w składzie 23 batalionów, 37 szwadronów i 12 secin oraz 84 dział. W Brześciu i w okolicach stał gen. bar. Rosen z 14 batalionami, 7 szwadronami i 2 secinami oraz 147 działami (była tam rezerwa artylerji). Wreszcie luźne oddziały w różnych miejscach Królestwa wynosiły 8 batalionów, 10 szwadronów i 14 secin oraz 2 działa. Ogółem oprócz wojsk, działających na Litwie, Wołyniu i Podolu, siły rosyjskie w granicach Królestwa wynosiły 135 batalionów, 192 szwadrony i 105 secin oraz 512 dział. (Gen. A. K. Puzyrewskij «Polsko-russkaja wojna 1831 goda», t. II str. 31—37). Skład zaś armii polskiej przedstawiał się jak następuje: w siłach głównych, rozłożonych pomiędzy Suchą a Kałuszynem i Mińskiem, znajdowało się 59 batalionów, 72 szwadrony i 126 dział (dywizye piechoty: 1-a Rybińskiego, 2-a

Gielguda, 3-a Małachowskiego i 4-a Mühlberga oraz dywizję jazdy: 1-a Umińskiego i 2-a Łubieńskiego, wreszcie rezerwa artylerii). Prawe skrzydło zajmował korpus generała Sierawskiego (7 batalionów, 12 szwadronów i 6 dział). Oddzielnego lewego skrzydła nie było. W Potyczy, Górze-Kalwarii i okolicach stał korpus rezerwowy gen. Paca (12 batalionów, 16 szwadronów i 14 dział). Ogółem, doliczając różne drobne oddziały partyzanckie oraz załogi Zamościa, Modlina i Warszawy, było około 85 batalionów, 100 szwadronów i 146 dział. W początku maja polskie siły główne zostały zmniejszone przez wysłanie do województwa Lubelskiego Chrzanowskiego z 7 batalionami, 8 szwadronami i 10 działami.

Przygotowując się do wyprawy na gwardyę, Prądzyński rozpoczął od reorganizacji armii. Wobec ekspedycji Chrzanowskiego w Lubelskie, korpus Sierawskiego nie był już tam potrzebny. Celami istnienia korpusu rezerwowego Paca były instrukcja rekrutów i obserwacja lewego brzegu Wisły. Rekruci byli już w tym czasie nieźle przygotowani, a do obserwacji Wisły wystarczały siły znacznie mniejsze od tych, którymi Pac rozporządzał. Prądzyński więc wcielił do armii głównej Sierawskiego i część korpusu Paca, kompletując niemi zdefektowaną przez wydzielenie korpusu Chrzanowskiego 1-ą dywizję oraz formując nanowo dywizję: 5-ą piechoty (gen. H. Kamiński) i 3-ą jazdy (gen. K. Skarżyński).

Plan był następujący: Zostawić na dotychczasowej pozycji pod Suchą, Jędrzejowem i Kałuszyńnem mniej więcej czwartą część sił głównych; z resztą, która mogła wynosić przeszło 40,000 ludzi i przeszło 100 dział, ruszyć możliwie szybko i możliwie skrycie za Bug i z pochodu uderzyć na gwardyę, które, nawet gdyby zdążyły połączyć się z Osten-Sackenem, mogłyby się przeciwstawić wojsku polskiemu w sile liczebnej mniejszej; rozbić gwardyę, co, wraz z pochodem szybkiego i sprawnego, mogło nastąpić w ciągu tygodnia od zejścia z pozycji na szosie brzeskiej; otworzyć sobie tym sposobem komunikację z Litwą, posłać posiłki tamtejszemu powstaniu i do reszty pospuć utrudnioną już przez to powstanie w niemałym stopniu komunikację armii rosyjskiej z Cesarstwem; skoro, jak niewątpliwie należało oczekiwać, Diebitsch ruszy w pogon za armią polską, trzymać się obronnie na linii Buga, przecinając

mu komunikację z Prusami, skąd, wobec powstania litewskiego, szła dla rosyjan znaczna część zapasów; tymczasem korpus, pozostawiony na szosie brzeskiej, miał ściągnąć do siebie resztę dawnego korpusu Paca, oczyścić kraj do Brześcia, połączyć się z Chrzanowskim i, w sile około 20,000 ludzi, stosownie do okoliczności, albo uderzyć na Kreutza, albo, połączwszy się z armią główną, umożliwić jej operację zaczepną przeciw feldmarszałkowi.

Tak pomyślana przez generał-kwaternistrza operacja, po długim szeregu niezmiennie nużących sporów, została wreszcie przez wodza naczelnego w zasadzie zaakceptowana. Na szosie brzeskiej pozostawiono Umińskiego z 4-ą dywizją piechoty i 1-ą jazdy, nad którą dowództwo objął gen. Tomicki (11 batalionów, 24 szwadrony i 26 dział). Na lewym brzegu Wisły nad resztą dawnego korpusu Paca (6 batalionów, 6 szwadronów i 8 dział) objął dowództwo gen. Dziekoński. Siły główne w składzie 52 batalionów, 54 szwadronów i 104 dział wyruszyły w pochód d. 12 maja.

Stosunek liczebny wojsk polskich do rozłożonych za Bugiem sił rosyjskich był taki, że zwycięstwo pierwszych było wysoce prawdopodobnem. Jednak już początek pochodu był taki, że snadnie pozwalał przewidywać jego smutny koniec. Świetny pomysł Prądzyńskiego został spaczony od samego początku jego wykonania.

Oprócz nagłości i skrytości ruchu, głównym warunkiem powodzenia tego planu było, aby pochód wojsk polskich był bardziej skoncentrowany niż rozmieszczenie gwardyi i Osten-Sackena, tak aby w chwili stanowczej można było na nie rzucić siły przeważające. Ale owładnięty istną manią bezpieczeństwa, Skrzynecki zaraz po przeprawie przez Bug (d. 15 maja) oddzielił od sił głównych całą 5-ą dywizję piechoty i całą 2-ą jazdy (10 batalionów, 24 szwadrony i 26 dział) i skierował je pod ogólnem dowództwem gen. Łubieńskiego wzdłuż Buga, przez co odległość pomiędzy tym korpusem a maszerującą na Łomżę armią główną zwiększała się z każdym przemarszem; innemi słowy było to osłabienie o 10,000 ludzi i 26 dział sił, przeznaczonych do ataku na gwardyę.

Celem tej ekspedycji było — w mniemaniu Skrzyneckiego — «zabezpieczenie» pochodu armii głównej od nagłego ataku flankowego feldmar-



szalka. Była to niedorzeczność. Wrazie, gdyby Diebitsch wcześniej, niż można było oczekiwać, dostrzegł ruch wojska polskiego, 10,000-ny oddział Łubieńskiego nie mógł, rzecz prosta, *powstrzymać* jego 70,000 armii. Do *obserwowania* zaś tej armii wystarczały dwa szwadrony jazdy z dobrym oficerem kwatermistrzostwa.

Jak wzdłuż Buga korpus Łubieńskiego, tak wzdłuż Narwi poszła dywizja Giełguda (12 batalionów i 22 działa), poprzedzana przez awangardę Dembińskiego (4 bataliony, 6 szwadronów i 6 dział). Ostatecznie w głównej kolumnie środkowej pozostały: dywizye 1-a i 3-a piechoty, 3-a jazdy i rezerwa artylerii — razem 26 batalionów, 24 szwadrony i 74 działa, t. j. siły co do liczby zaledwie równe siłom gwardyi (bez Osten-Sackena), a słabsze od nich co do artylerii. Jednak oddzielenie Giełguda i Dembińskiego nie było tak fatalnym, jak oddzielenie Łubieńskiego, błędem, bo ich odległość od kolumny środkowej była znacznie mniejsza, więc i szybkie połączenie łatwiejsze.

Na pierwszą wieść o przeprawie Polaków przez Bug Wielki Książę, postąpił, jak na dzielnego, rozumnego i energicznego wodza przystało: Nie mając dokładnej wiadomości ani o sile wojsk następujących, ani o właściwym celu ich ruchu, wysunął w różnych kierunkach naprzód silne oddziały, przeznaczone zarówno do celów wywiadowczych, jak do dania nieprzyjacielowi czasowego odporu, a resztę wojsk swoich szybko postawił w gotowości do koncentracji i — stosownie do okoliczności — bądź to do uporczywej walki, bądź do porządnego odwrotu.

Pierwsze spotkanie awangardy polskiej pod dowództwem generałów Jankowskiego i Rybińskiego z rosyjskim oddziałem czołowym gen. Połeski nastąpiło w d. 16 maja pod Przetyczą i Długosiodłem. Całodzienny uporczywy bój zdemaskował w sposób niewątpliwy istotne zamiary Polaków i dał już Wielkiemu Księciu pewne wskazówki, czego się ma trzymać. Od tej chwili największy pośpiech stał się bezwarunkowo koniecznym. Niezwłoczna, energiczna akcja zaczepna w połączeniu z Giełgudem i Dembińskim przedstawiała wielkie szanse powodzenia. Wódz naczelny nie chciał ruszyć z miejsca, póki nie otrzyma od Łubieńskiego wiadomości o zajęciu Nura. Z największym trudem zdołał go generał-kwatermistrz do dalszego pochodu nakłonić. Ale nie

mógł na nim wymódl, aby się ten pochód nie odbywał nad wyraz opieszale.

17 maja zaszły potyczki pod Sokołowem i Starym Jakciem. Polacy posunęli się do Sokołowa, Kleczkowa, i Nadborów (główna kwatera stanęła w Księżopolu). Gwardye koncentrowały się dokoła Śniadowa, gdzie była główna kwatera Wielkiego Księcia. 18 Dembiński wyparł Osten-Sackena z Ostrołęki, Giełgud zajął Miastków, a kwatera główna przeniosła się do Troszyna. Z zajęciem mostu w Ostrołęce przeprawa przez Narew na wypadek odwrotu, koniecznego wrazie (mało prawdopodobnego w tak rychłym czasie) ataku feldmarszałka, była zapewniona. Zdawało się, że uderzeniu na skoncentrowane pod Śniadowem gwardye nic już nie stoi na przeszkodzie. Zgodnie z naleganiem generał-kwatermistrza, wódz naczelny wyznaczył bitwę generalną na dzień następny.

Prądyński zabrał się do pisania dyspozycji, a ukończywszy ją, późno w nocy udał się do Skrzyneckiego dla pozyskania jej zatwierdzenia i wyjednania niezwłocznie odnośnych rozporządzeń, bo bitwa miała się rozpocząć 19-go o świcie. Ale Skrzynecki, który uprzednio już się był zgodził na wszystko, teraz rozmyślił się i rozkazał wszystko odłożyć na jutro. Nie pomogły żadne perswazyje ani zakłęcia. Prądyński z rozpaczą i pogardą w sercu musiał odejść.

Skrzynecki, sam nadzwyczaj powolny i ociężały, wprost nie mógł sobie wyobrazić, aby ktoś mógł działać szybko i sprawnie. Zdawało mu się, że Wielki Książę będzie w tej dogodnej pozycji pod Śniadowem czekał tak długo, jak się wodzowi polskiemu spodoba. Tymczasem Wielki Książę, który wybornie rozumiał całą ryzykowność bitwy pod Śniadowem z przeważającymi liczebnie siłami nieprzyjacielskimi, wieczorem 18-go i w nocy z 18-go na 19-y nie cofał się jedynie dla tego, że był pewny energicznego ataku i wiedział, że lepiej go spotkać na miejscu niż w marszu.

O świcie 19-go gwardye stały jeszcze w pogotowiu bojowym. Przestały w nim dość długo, gdy jednak w armii polskiej nic nie zapowiadało rozpoczęcia akcji zaczepnej, o godzinie 9-ej rano rozpoczęły dalszy odwrót. Była to jeszcze ostatnia chwila sposobna do ataku. Prądyńskiemu, który się zjawił błagać o odnośny rozkaz, oznajmił wódz naczelny, że wojska mają przez cały



dzień dzisiejszy wypoczywać, a tylko Giełgud ma otrzymać rozkaz zajęcia Łomży. Był to rozkaz fatalny, bo nieźle ufortyfikowana Łomża leżała na drodze cofających się gwardyi, które łatwo mogły ogarnąć Giełguda. Wywiązała się gwałtowna dysputa, której wynikiem było, że Prądyński wprost odmówił napisania zgubnego rozkazu i przez to właściwie podał się do dymisji z urzędu generał-kwaternistrza. Skrzynecki sam napisał rozkaz dla Giełguda i posłał z nim adjutanta, za nim w ślad drugiego ze zmienioną dyspozycją, a za tym trzeciego z rozkazem wysłania dla atakowania Łomży (nieobecnego w obozie Giełguda) Dembińskiego i pozostania w Miastkowie dla podtrzymywania tego ataku. Zupełnie zbity z tropu przez sprzeczne rozkazy, Giełgud wcale nie ruszył się z miejsca.

Wielki Książę cofał się przez Śniadów na Gać. Ale Skrzynecki dopiero nad wieczór tego dnia zrozumiał, że to nie żarty, i że nieprzyjacieli naprawdę wymyka się z matni. Posłał do wszystkich oddziałów rozkaz ścigania, sam jednak przenocował w Troszynie i dopiero nazajutrz (20-go) około 8-ej rano pojechał ze swoją eskortą powozem dla połączenia się z armią. «J'arrivai avec lui à Śniadów—pisze Prądyński w memoryale—point de troupes nulle part; le Général en chef avait perdu la trace de son armée!... A voir de près une pareille manière de conduire la guerre il y avait de quoi devenir fou pour un soldat j'étais soldat, je ne pus y tenir.» Pod jakimś pretekstem pojechał do Łomży, do Giełguda i przybył w chwili, gdy Osten-Sacken opuszczał to miasto. Poleciał naprawić most, wznowić szanse i sam wrócił do wodza naczelnego, który tymczasem odnalazł swoją armię.

Skrzynecki, zrozumiawszy wreszcie, że gwardye cofają się naprawdę, i że łatwe, w jego mniemaniu, zwycięstwo wymyka mu się z rąk, wpadł w ogromny zapał i parł wojska zapamiętale naprzód. Ale sposobność już minęła.

Gorzej niż to: Od chwili opuszczenia Śniadowa każdy krok powiększał niebezpieczeństwo jego położenia, bo go oddalał od bezpiecznej linii odwrotu i wystawiał na atak całej potęgi feldmarszałka. Tłumaczył mu Prądyński, że, skoro się nie uderzyło na gwardye pod Śniadowem, to należało całą wyprawę uważać za chybioną i, poprzestawszy na wysłaniu posiłków powstaniu Li-

tewskiemu, poszukać dla dalszych działań innego planu. Napróżno. Skrzynecki miał właściwą wielu umysłom ciasnym i ciężkim zdolność zacie-trzewiania się. Teraz zacie-trzewił się w pogoni za gwardyami i gnał za nimi bez pamięci. 21-go awangarda jego walczyła z aryergardą rosyjską już pod Tykocinem. Nazajutrz gwardye opuściły granice Królestwa i znalazły się w powiecie Białostockim. Tegoż dnia wieczorem w kwaterze głównej otrzymano od Lubieńskiego wiadomość, że Diebitsch przeprawił się przez Bug w Gran-nem i również wkroczył na terytorium Cesarstwa.

Dowodziło to, jak świetnym był pomysł Prądyńskiego, skoro nawet nie uwieczniona rozbi-ciem gwardyi wyprawa zmusiła niemal wszystkie wojska rosyjskie do opuszczenia granic Królestwa i postawiła je w położeniu niewiele różnem od tego, które zajmowały przed rozpoczęciem działań wojennych. Ale teraz nastała chwila istotnie niebezpieczna. Lubieński, po pełnej chwały, krwa-wej rozprawie pod Nurem, natarczywie ścigany przez rosyjan, cofał się na armię główną. Feld-marszałek zbliżał się forsownemi mąrszami, i jego połączeniu się z gwardyami niepodobna już było zapobiedz. Odwrót był koniecznym, a sytuacja skomplikowana i niebezpieczna wymagała postę-powania bardzo oględnego i pewnego.

Odwrót rozpoczął się d. 23-go. W każdym razie należało go kierować na Łomżę, która była dobrze ufortyfikowana, i w której można było trzymać się długo, gdy tymczasem Umiński, wca-le nie mający przed sobą nieprzyjaciela, mógł wykonać potężną dywersję. Ale Skrzynecki, wbrew radom Prądyńskiego, posłał do Łomży tylko dy-wizję Giełguda, a główne siły skierował do Ostro-łęki, gdzie stanął 25 maja. Jeżeli już obrano tę fałszywą drogę odwrotu, po której ścigała nas armia w dwójnasób liczniejsza z liczniejszą w czwór-nasób artylerją, to w żadnym razie nie należało oddzielać Giełguda; przeciwnie, trzeba było w tej stanowczej chwili koniecznie zebrać do kupy wszyst-ko, co się zebrać dało.

26-go zrana Lubieński, ciągle party przez rosyjan, stanął przed Ostrołęką, w Rzekuniu i Ła-wach. Ostrołękę zajmowała brygada Bogusła-wskiego, a reszta sił polskich stała na lewym brze-gu Narwi. Lubieński, naciskany z frontu przez siły przeważające i obchodzony z lewego skrzydła

przez liczną kawalerię, cofał się powoli i w porządku do Ostrołęki, a następnie pod osłoną brygady Bogusławskiego przeprowił się przez dwa mosty na lewy brzeg Narwi. Tymczasem gen. Martynow, podtrzymywany przez liczną artylerię, uderzył gwałtownie na Ostrołękę. Zawiązała się walka zawzięta i krwawa. Rosyan coraz przybywało, Bogusławski żadnych nie otrzymywał posiłków. Przesławny 4-y liniowy w dwóch trzecich swego składu legł mostem na ulicach miasta. Reszta brygady, poniosłszy ogromne straty, przeprowiła się przez Narew, a za nią tuż Martynow, tak że zniszczenie mostu okazało się niepodobieństwem.

Wszystkie wojska polskie skupiły się teraz na niskim i bardzo błotnistym lewym brzegu Narwi, na niezbyt obszernym czworoboku, ograniczonym od frontu Narwią, z boków dwoma jej dopływami, a z tyłu szeregiem wzgórków piaszczystych. Ponieważ przeprawa przez Narew była już w rękach rosyjan, więc bitwy na większą skalę niepodobna już było uniknąć. Ale można było uniknąć pogromu. Pozycja polska, z powodu swej błotnistości, była do akcji zaczepnej fatalną, ale przedstawiała wcale niegorsze warunki do dania mocnego odporu, do długiej obrony przeprawy i do dalszego odwrotu z nieznacznymi stratami.

Skrzynecki, który sam na przeprawę przez rzekę wobec nieprzyjaciela nigdyby się nie odważył, zgodał sobie nie wyobrażał, aby ktokolwiek mógł się zdobyć na krok tak ryzykowny, i czuł się za Narwią, jak u Pana Boga za piecem. Prądzyński, który mu 25-go przedstawiał, że prawdopodobnie jutro wypadnie stoczyć na tej pozycji poważną bitwę, zbył byle czem i upoważnił go do czynienia dyspozycji, jakie uzna za stosowne.

Prądzyński, jak zwykle, zorientował się w sytuacji odrazu i zastosował się do niej doskonale. Rosyanie, jeżeli nawet zdołają opanować oba mosty, będą się po nich przeprowiali wązkimi kolumnami, a do rozwijania się będą przed sobą mieli błotnistą i odkrytą nizinę. Baterie ich będą zamaskowane przez przeprowiające się lub przeprowione części, a przeto ogromna przewaga liczebna ich artylerii nie będzie tak bardzo groźną. Wynikało stąd, że polacy winni byli liczyć głównie na swoją artylerię, przynajmniej w po-

czątku bitwy. Ogień działowy skoncentrowany i konsekwentny mógł przeprawę bardzo utrudnić, jeżeli nie zgoła uniemożliwić. Stosownie do tego, Prądzyński wysunął artylerię na czoło i ustawił ją na zamykających równinę od tyłu, a odległych od Narwi około 2.000 kroków wzgórkach piaszczystych w trzech bateriach pod dowództwem Turskiego, Bielickiego i na prawem skrzydle Neymanowskiego, przeznaczając tę ostatnią głównie do osłony odwrotu wojsk, znajdujących się na prawym brzegu Narwi (Łubieńskiego i Bogusławskiego). Po za temi bateriami w zaroślach umieścił 1-ą i 3-ą dywizję piechoty, przeznaczając je do ataku na przeprowione części wojsk rosyjskich w chwili, gdy je ogień działowy dostatecznie osłabi. Rezerwę linii atakującej miała, po swoim przeprowieniu się przez rzekę, tworzyć wchodząca w skład korpusu Łubieńskiego 5-a dywizya. Jazdę Skarzyńskiego, która, dla błotnistej terenu, w akcji bojowej nie mogła wziąć żadnego pożytecznego udziału, wysłał za rzeczkę Omulew dla eklerowania dalekiej okolicy; oczekiwaną jazdę Łubieńskiego wysłać zamierzał dla wejścia w komunikację z Giełgudem, którego brak na polu bitwy odczuwał bardzo dotkliwie.

Skrzynecki, zupełnie spokojny i zgodał nie przypuszczający możliwości większej rozprawy, był rano d. 26-go w swojej kwaterze głównej w Krukach. Huk dział zaniepokoił go, gdy zaś nie tylko nie ustawał, ale się nawet wzmacniał, wódz naczelny dosiadł konia i pojechał na pole bitwy. Nadjechał właśnie w chwili, gdy grenadyerzy rosyjscy, przeprowieni przez most, atakowali baterię Bielickiego, któremu zabrali dwa działa. Wtedy zrozumiał, że to nie żarty, że Diebitsch nadszedł, że atakuje, że tak dla niego straszna bitwa z feldmarszałkiem nadeszła,—i stracił przytomność. W głowie utkwiała mu ówkiem niedorzeczna myśl, że jedynym dla armii polskiej ratunkiem jest odrzucenie rosyjan z powrotem za rzekę—i to natychmiast. Więc przewrócił do góry nogami cały mądry plan Prądzyńskiego, zarządził szereg równie uporczywych jak nieskutecznych ataków piechoty na przeprowione już wojska rosyjskie, atakami temi zamaskował własne baterie i zupełnie uniemożliwił bitwę rozsądną i celową. Od chwili przybycia wodza naczelnego aż do końca tego okropnego dnia nie było już nic innego, tylko te fatalne ataki, bezmyślne i krwa-

we. Pchana bez ładu i porządku naprzód, masakrowana przez bijącą z wysokiego prawego brzegu liczną artylerię rosyjską, nie podtrzymywana przez zamaskowane baterie własne, w krwawym chaosie nieszczęsna armia ginęła po bohatersku. «Pendant toute cette désastreuse journée—powiada sławnej pamięci pułkownik Langermann \*)—les soldats polonais avaient eu sans aucune interruption la mort devant les yeux, et rien que la mort.»

Duszę Prądzyńskiego napełniały wstyd i rozpacz. Przez czas jakiś próbował on rozwinąć działalność artylerii, gdy się to okazało niemożliwym,—szukał śmierci. «Moi aussi—pisze w memoryale—au désespoir de voir la boucherie inutile de mes camarades, je fis une attaque à la tête du 5-me régiment de chasseurs à pied, mais il n'y eut que mon cheval qui reçut les balles des grenadiers russes.»

Bitwa pod Ostrołęką była punktem przełomowym wojny. Od tej chwili działo się już polakom coraz gorzej. Najbliższym jej skutkiem było odcięcie od cofającej się armii Giełguda. Na wniosek Dembińskiego postanowiono wysłać go na Litwę—i w samej rzeczy było to jedyne wyjście.

Wbrew opinii Prądzyńskiego, który chciał zająć pozycje obronne na prawym brzegu Narwi, wprowadzić w czynność korpusy Umińskiego i Dziekońskiego i w ten sposób przeszkodzić wynurzającej się już groźnie z ciemnego łona przyszłości przeprawie rosyjan przez Wisłę, — odprawiono pobitą armię do Warszawy. Prądzyński, wyczerpany nadmierną pracą, znużony niepowodzeniami, którym nie był winien, poważnie zachorował. W ciągu spowodowanego przez chorobę przymusowego spokoju rozmyślał dużo o sytuacji i przyszedł do przekonania, że obowiązkiem jego jest wyjaśnić rządowi polskiemu rzeczywisty stan rzeczy i rzeczywistą wartość wodza naczelnego. Jakoż uczynił to, acz w sposób nieurzędowy, w rozmowie z prezydentem rządu ks. Adamem Czartoryskim i marszałkiem sejmu Ostrowskim. Miał nawet nadzieję, że się im powiedzie skłonić Skrzyneckiego do dobrowolnego zrzecze-

\*) Francuz, który w 1831 wstąpił do wojsk polskich jako ochotnik, pod Ostrołęką dowodził 2-ą brygadą 1-ej dywizji piechoty, a d. 7 września poległ przy obronie Warszawy.

nia się dowództwa. Oczywiście, spotkał go srogi zawód.

Jeszcze przed zupełnem wyzdrowieniem Prądzyński podał się do dymisji z urzędu generał-kwaternistrza (szefem sztabu, którym był tylko prowizorycznie, zaraz po bitwie pod Ostrołęką został Łubieński). Skrzynecki w zasadzie przyjął dymisję, ale się nie mógł zdecydować na wybór zastępcy Prądzyńskiego, który przeto w dalszym ciągu pełnił swoje funkcje do czasu nowej nominacji. Ale utracił już wszelki wpływ na bieg operacji i nawet widywał wodza naczelnego bardzo rzadko. Łubieński, który teraz kierował operacjami, a który wartość Prądzyńskiego wybornie umiał oceniać, potajemnie od Skrzyneckiego naradzał się z nim w każdej sprawie. Ale to się na nic nie zdało: każdy śmiały pomysł, każdy plan energiczny, od kogokolwiek pochodził, był stale przez wodza naczelnego odrzucanym.

Nastał czas zupełnego rozprężenia i bezładu w operacjach. Nie było to już ożywione jakąś, choćby najfałszywszą, ideą prowadzenie wojny, ale życie pod bronią z dnia na dzień. Prądzyński, zgnębiony, rozbity, pozbawiony nie tylko już wpływu, ale nawet i głosu, czekał już tylko, narówni ze wszystkimi innymi, zbliżającej się katastrofy, przeto jednak od innych nieszczęśliwszy, że ją swym orlim wzrokiem najwyraźniej ze wszystkich widział, że słyszał jej żelazny krok.

Zarazem widział i możliwe przy innym wodzu środki ocalenia, którego nadzieja nie całkiem jeszcze była znikła. Zdarzały się jeszcze wypadki, które, będąc należycie wyzyskane, mogły bieg wojny w inną zwrócić stronę. Dopóki polacy nie utracili żadnej z gotowych przepraw przez Wisłę, a rosyjanie się przez nią nie przeprawili, dopóty armia polska nie utraciła częściowej przewagi, którą jej zapewniały krótkie wewnętrzne linie operacyjne; dopóty zawsze można było działać skoncentrowanymi siłami przeciw pomniejszym oddzielnym korpusom rosyjskim i zawsze wracać z nimi na czas do punktów, przez inne korpusy albo przez armię główną zagrożonych. Tak np. w pierwszej połowie czerwca miejsce bar. Kreutzta, który połączył się z siłami głównymi, zajął w województwie Lubelskim gen. Rüdiger; na szosie brzeskiej, (którą zajmował Umiński), rosyjan prawie wcale nie było, armia główna mogła za-

grozić Warszawie dopiero po przeprawie przez Wisłę, której w prędkim czasie jeszcze żadną miarą próbować nie mogła. W rozmowie z Łubieńskim Prądyński zwrócił jego uwagę, że łatwo zebrać trzy albo i cztery dywizye i, w porozumieniu z Chrzanowskim, zupełnie zniszczyć Rüdigera, co by mogło zmusić armię główną do powrotu na szosę brzeską i na dalszy przebieg wojny podzielać tak samo, jak w swoim czasie zwycięstwa pod Dębem-Wielkim i Iganiami.

Łubieński, zachwycony tym projektem, przedstawił go wodzowi naczelnemu, naturalnie, zachowując w tajemnicy nazwisko jego autora. Po długich wahaniach i wynikłej z nich stracie czasu, Skrzynecki projekt w zasadzie przyjął, ale swoim zwyczajem do wykonania jego przeznaczył siły zbyt szczupłe (dawny korpus Umińskiego, nad którym dowództwo objął Jankowski, jeden z najnieudolniejszych generałów polskich, i dywizję Rybińskiego), te same przez się ledwie wystarczające siły pokawałkował tak, że Rybiński w boju wcale nie wziął udziału, i ostatecznie, przeciwstawił Rüdigerowi kilka rozproszonych, bezładnie i bez wzajemnej o sobie wiadomości działających oddziałów. Rezultatem była porażka pod Budziskiem (d. 19 czerwca).

Tymczasem nowy wódz rosyjski, feldmarszałek Paskiewicz, rozpoczął pochód w dół Wisły. Śmiertelna dla polaków przeprawa przez Wisłę zaczęła się zbliżać, surowe oblicze katastrofy zaczęło się wydobywać z mroku przyszłości i coraz wyraźniej zarysowywać.

Prądyński, Łubieński, Kołaczkowski, Bon Temps, Bem, — wszyscy, z kim Skrzynecki o tej sprawie rozmawiał, jednym głosem wołali, że nie można zostawiać rzeczy ich własnemu, coraz dla nas niepomysłniejszemu biegowi, że należy koniecznie albo przeciwdziałać pochodowi rosyjan w dół Wisły przez wyjście z siłami głównymi z Modlina, albo wznowić chybioną akcyę przeciw Rüdigerowi, albo wreszcie czynić cokolwiek raczej, niż przyglądać się spokojnie fatalnej przeprawie. Nic nie pomogło. Wreszcie w dn. 18 i 19 lipca *«fut accompli sans coup férir ce passage de la Vistule, objet constant des opérations de l'armée russe depuis le commencement des hostilités et qui était pour les polonais un coup mortel»*. (Memoryał).

Wreszcie opinia publiczna zaczęła się bu-

żyć przeciw wodzowi naczelnemu. Sejm wyznaczył komisję do zbadania czynności Skrzyneckiego i upoważnił ją do ewentualnego odebrania mu dowództwa.

Teraz w życiu Prądyńskiego nastał okres, jeżeli być może, jeszcze cięższy od poprzedzającego. Ten człowiek prawy i szlachetny, o uczuciach wytwornych i subtelnych, z natury swej jak najdalszy od wszystkiego, co się nazywa intrygą, ten urodzony żołnierz—musiał teraz z konieczności wziąć udział w procedurze przeciw swemu wodzowi, który, w najlepszej wierze i w najszczerzem przekonaniu, że on jeden zdoła ginać już sprawę ocalić, rozwinął w celu utrzymania swej nieszczęsnej władzy akcyę rozległą, skomplikowaną i często blisko graniczącą z intrygą.

Prądyński, narówni z kilku innemi generałami i wyższemi oficerami, wezwany został urzędowo do udziału w tej komisji. Sporządził on notatkę, w której wykazywał, że dowództwo naczelne armii jest zadaniem nad siły Skrzyneckiego, i chciał go nakłonić do dobrowolnej rezygnacyi. Notatkę tę zakomunikował księciu Adamowi, pragnąc, aby Skrzynecki był o niej zawczasu uprzedzony, i aby nie padł na niego cień nawet posądzenia o jakiegokolwiek knowania tajemne. Rezultat był jak najgorszy. Wódz naczelny *przybył osobiście na pierwsze posiedzenie komisji* (d. 27 lipca), obecnością swoją skrępował, rzecz prosta, generałów i oficerów, a wreszcie wprost *zabronił* im mówić o czemkolwiek oprócz tego, co on sam podda dyskusyi, i przeszkodził odczytaniu notatki Prądyńskiego. Rzecz stała się śmieszna. Gdy wreszcie, zapytani o to, co należy czynić, generałowie oświadczyli jednogłośnie, że nie pozostaje nic oprócz wielkiej bitwy, Skrzynecki oświadczył, że to właśnie jest jego zamiarem. Na tem zakończyło się to jałowe posiedzenie, które nie doprowadziło do żadnego rezultatu i wszystko pozostawiło *«in statu quo ante»*.

Skrzynecki, który pozostał przy władzy, a który w głębi duszy nie myślał nawet o żadnej akcyi stanowczej, dla zamydlenia oczu opinii publicznej wykonał kilka niedołężnych manewrów i wreszcie stanął w obozie pod Bolimowem. Ale, gdy tam bawił, w Warszawie wzburzenie z powodu jego bezczynności doszło już do szczytu. Zapóźno, jak to zwykle u nas, zdecydowano się na krok stanowczy. 9 sierpnia przybyła do Bolimowa



druga komisya sejmowa, która d. 13 sierpnia odjęła Skrzyneckiemu dowództwo naczelne. Być może, że, gdyby uczyniono to w pierwszych dniach lipca, przed przeprawą rosyjan przez Wisłę, wojna inny wzięłaby obrót.

Stałego wodza naczelnego miał mianować sejm. Dowództwo prowizoryczne do czasu tej nominacji powierzyła komisya świeżo okrytemu laurami z powodu przesławnego odwrotu z Litwy generałowi Dembińskiemu, sama zaś niebawem wróciła do Warszawy i złożyła raport sejmowi. Sejm tegoż dnia jeszcze zamianował wodzem naczelnym Prądzyńskiego, któremu nazajutrz d. 14 sierpnia przywiózł nominację minister wojny generał Morawski. Lecz tu okazało się, że Prądzyński był tylko genialnym strategiem i nieposzlakowanym człowiekiem, nie miał zaś tych niezmiernie rzadkich zresztą cech charakteru, któreby mu pozwoliły w tem istotnie nad wyraz trudnem położeniu stać się jego panem. Przejęty myślą, że, gdyby, wobec powszechnie znanego stanowiska swego względem Skrzyneckiego, objął po nim urząd, mógłby narazić na szwank swoją niezachwianą reputację prawego człowieka, odmówił przyjęcia niebezpiecznego zaszczytu.

Ale nazajutrz, w d. 15 sierpnia zaszedł w Warszawie smutnej pamięci przewrót, który u steru rządu postawił generała Krukowieckiego. 16-go minister wojny ponownie przywiózł Prądzyńskiemu odrzuconą nominację, popartą nakazem kategorycznym nowego rządu i gorącemi prośbami najszanowniejszych ludzi wojskowych i cywilnych. Generał-kwatermistrz zaczął się wahać. I jeszcze wyraźniej wystąpiła na jaw jego niezdolność do każdego innego oprócz wojennego czynu. Znając szaloną ambycję i trudny charakter Krukowieckiego, uczynił decyzję swoją zależną od tego, czy zapewni on mu swoje spółdziałanie i poparcie. Krukowiecki, którego obietnice nic nie kosztowały, przyrzekł mu uroczyście jedno i drugie. Prądzyński przyjął nominację.

O świcie 17-go Prądzyński udał się do Dembińskiego, w celu przyjęcia dowództwa i odbicia przeglądu wojsk. Znalazł tam Krukowieckiego — i nastąpiła scena dziwna i przykra: Dembiński zaczął swemu nowemu wodzowi ostro wywodzić, że odjęcie mu dowództwa jest zgubą dla sprawy, Krukowiecki zaś oświadczył wyniośle, że, jako

komendant Warszawy, jeżeli nie zostanie natychmiast zaopatrzony w potrzebne do jej obrony załogę, artylerję i żywność, na własną rękę rozpocznie rokowania z feldmarszałkiem o kapitulację.

Nietylko Napoleon, ale i Chłopicki potrafiłby w podobnej sytuacji objąć władzę przemocą i nieposłusznych oddać pod sąd wojenny. Prądzyńskiego zatrwożyły poważne i prawdopodobnie krwawe konsekwencje kroku stanowczego. Złożył on otrzymane wczoraj i nie objęte jeszcze faktycznie dowództwo naczelne. Dembiński z Krukowieckim udali się do Warszawy i wydarli u rozkładającego się już sejmowi — pierwszy nominację stałą na wodza naczelnego, drugi urząd prezydenta rządu z władzą niemal dyktatorską. Prądzyński objął dowództwo inżynierji na miejsce Kołaczkowskiego, który został generał-kwatermistrzem.

18-go sierpnia rosyjska armia główna stanęła w Nadarzynie, Wolicy, Błoniu i Piasecznie, z drugiej zaś strony Wisły, na szosie brzeskiej Rosen zbliżył się do samej Pragi. Warszawa była już blokowana. 19-go Krukowiecki, bez żadnej trudności odjął Dembińskiemu jego efemeryczne dowództwo. Faktyczne dowództwo naczelne objął on sam, gdy jednak zdał mu się być potrzebnym ktoś, kto by nosił ten niebezpieczny tytuł, zamianował czcigodnego Małachowskiego. Nikt zresztą, nie wyjmując samego Małachowskiego, nie miał co do istotnego stanu rzeczy żadnych złudzeń.

21-go Krukowiecki zwołał radę wojenną, na której ujawniło się powszechne przekonanie, że akcja zaczepna przeciw stojącemu na czele potężnej armii już pod wałami Warszawy Paskiewiczowi z konieczności zakończyłaby się klęską generalną. Dembiński wystąpił z dziecinnyim planem przeprowadzenia całej armii i przeniesienia teatru wojny na Litwę. Chrzanowski, uważając że sprawa już jest przegrana, doradzał kapitulację i rokowania o pokój. Prądzyński zachował milczenie.

Po ukończeniu rady urzędowej, która, jak wiele rad, nie doprowadziła do żadnego rezultatu, Krukowiecki zatrzymał u siebie Prądzyńskiego i Łubieńskiego, aby się z nimi naradzić prywatnie, lecz skutecznie nad tem, co ostatecznie czynić należało, aby dojść do jakiegoś wniosku praktycznego. I wtedy geniusz strategiczny Prądzyńskiego raz jeszcze zabłysnął w całej świetności.



Przedstawił on odrazu gotowy plan operacji, wprawdzie bardzo ryzykownej, jednak niepozba-  
wionej szans powodzenia, a która, gdyby się uda-  
ła, mogła jeszcze zmienić los wojny.

Plan polegał na tem, aby znaczną część  
znajdującej się w Warszawie 50,000-nej armii  
znowu przeprowadzić (po moście praskim) na prawy  
brzeg Wisły, odrzucić wzdłuż szosy brzeskiej bar.  
Rosena, odeprzeć go aż do Brześcia i opanować  
ten ważny punkt, przeciąć rosyanom komunika-  
cyę z Cesařswem, a Warszawie dostarczyć z pra-  
wego brzegu potrzebnych do trzymywania się przez  
czas dłuższy zapasów żywności. Wprawdzie,  
zmieszenie załogi Warszawy wobec lada dzień  
możliwego szturmu, było rzeczą bardzo ryzyko-  
wną. Ale — są słowa memoriału — «notre position  
était tellement désespérée, qu'il n'y avait pas à  
choisir entre les partis les meilleurs, mais entre  
les moins mauvais». Mogło się zdarzyć, że feld-  
marszałek nie zdecyduje się na rychły szturm,  
nawet, wobec jego znanej ostrożności i powolno-  
ści, było to wielce prawdopodobnem. W takim  
razie stanowcze powodzenie na prawym brzegu  
Wisły mogło go nawet skłonić do zaniechania  
samego zamiaru szturmu. W każdym razie *ko-  
nieczną* i silnie przez Prądzyńskiego akcentowaną  
zasadą jego planu było: w razie gdyby się nie  
udało w bardzo krótkim przeciągu czasu po wyj-  
ściu z Praęi rozbić Rosena, nie zapędząć się za  
nim, ale *niezwłocznie* wracać do Warszawy dla  
wzięcia udziału w odparciu szturmu. Drugorzę-  
dnym, ale ważnym szczegółem planu było wysła-  
nie z Warszawy prawie całej niepotrzebnej tam  
kawalerii w dół i na prawy brzeg Wisły, w celu  
niepokojenia tyłów i szykanowania komunikacji  
rosyjskiej armii głównej.

Dowództwo nad tym korpusem jazdy (dy-  
wizye 1-a i 3-a, razem około 3,000 ludzi) objął  
gen. Łubieński. Do wyprawy na szosę brzeską  
przeznaczono dywizye piechoty 5-a (Sierawskiego)  
i świeżo sformowaną z dawnego korpusu Chra-  
nowskiego z dodaniem kilku części luźnych 6-a  
(Bielńskiego) oraz 2-a dywizyę (A. Skarżyńskie-  
go) i kilka luźnych szwadronów jazdy, razem 27  
batalionów, 31 szwadron i 42 działa. Prądzyń-  
ski prosił o dowództwo nad tym korpusem, i za-  
pewne był on jedynym w wojsku polskim czło-  
wiekiem, pod którego kierunkiem wyprawa tak

trudna i ryzykowna mogła mieć szansy powo-  
dzenia. Ale Krukowiecki oświadczył, że w tru-  
dnem położeniu, w którym się Warszawa znaj-  
duje, obecność takiego jak Prądzyński generała  
jest w niej niezbędną, i dowództwo nad korpu-  
sem ekspedycyjnym powierzył gen. Ramorino.  
Bliska przyszłość okazać miała dobitnie, jak nie-  
szczęśliwym był ten wybór.

Pozostawiony w Warszawie, Prądzyński zau-  
ważył, że, wobec uszczuplenia załogi stolicy o 20,000  
ludzi (tyle wynosił korpus Ramorina), niedorze-  
cznością było chcieć bronić wszystkich fortyfika-  
cyi, które zresztą w ogóle były błędnie pomy-  
ślane i nawet dla nieuszczuplonej armii polskiej były  
o wiele za obszerne. Radził więc opuścić pierw-  
szą linię i całą obronę ześrodkować na drugiej.  
Była to jedyna rada rozsądna. Jednak trudno  
się nawet dziwić temu, że jej nie usłuchano.  
Świeżo z wielkim nakładem intelektualnym i ma-  
teryalnym ukończone fortyfikacye wydawały się  
wszystkim tak doskonałemi (ze stanowiska akade-  
mickiego były one nawet istotnie dobre), że ni-  
komu się w głowie nie mogło pomieścić, aby je  
należało opuścić.

Tymczasem wiadomości, otrzymywane od  
korpusu Ramorina, były niepomyślne. Okazywało  
się, że generał ten zupełnie nie dorósł do wysoko-  
ści powierzonego mu trudnego zadania. Książę  
Adam, który towarzyszył temu korpusowi, a który  
o rzeczach wojskowych miał sąd bardzo zdrowy, pi-  
sał codziennie do Krukowieckiego o konieczności  
przysłania Prądzyńskiego. Krukowiecki ostate-  
cznie przystał na to; ale był to człowiek, który  
przedewszystkiem swój własny interes miał na oku,  
i który bał się być przez kogokolwiek zaćmio-  
nym i na drugi plan usuniętym. Posłał Prądzyń-  
skiego, ale nie, jakby należało, w charakterze do-  
wódcy korpusu, jeno w charakterze doradcy Ra-  
morina, pisząc jednocześnie do księcia Adama,  
aby pośredniczył on pomiędzy dwoma generała-  
mi, o ile ujawni się pomiędzy nimi różnica po-  
głądów. Był to zgubny półśrodek. W ten spo-  
sób usunięto Prądzyńskiego z Warszawy, gdzie  
mógł być bardzo użytecznym, i nie dano mu  
możności stać się prawdziwie użytecznym w kor-  
pusie ekspedycyjnym. Wódz, bardziej od Prą-  
dzyńskiego ambitny, nie byłby przyjął takiej funk-  
cyi. Prądzyński przyjął.

Wyjechał on z Warszawy d. 25 sierpnia i przybył do Ramorina 27-go, w chwili gdy opuszczał on swój obóz w Garwolinie, w zamiarze marszu na Żelechów. Kondotier włoski, wyszedł w d. 23 sierpnia z Pragi z 20000 dobrego wojska, wcale nie troszczył się o Rosena i wogóle nie miał nawet w zamiarze wykonania przepisane mu przez kwaterę główną planu Prądzyńskiego. Niewiecej też niż o Rosena troszczył się o Warszawę. Obmyślił sobie jakąś partyzantkę w okolicach Zamościa, które był sobie upodobał w czasie ekspedycji Chrzanowskiego, i opuściwszy Pragę, najspokojniej skierował się na południe, jak gdyby dany mu rozkaz zgoliła go nie obowiązywał.

Prądzyński przybył do jego obozu w czasie, gdy jeszcze wszystko można było naprawić. Zaraz po wyjeździe z Warszawy, jeszcze przed Osieckiem, o mało nie został on schwytanym przez rozjazd rosyjski. To go przekonało, że bar. Rosen, który przy wyjściu Ramorina zaczął się zwołać cofać po szosie brzeskiej, nie rozumie grożącego mu niebezpieczeństwa i cofa się zbyt wolno. Przybywszy do Ramorina, niebawem przedstawił mu fałszywość kierunku na Żelechów i zaproponował marsz na Borowie, tak aby nazajutrz spotkać idącego przez Latowicz Rosena w Prawdzie. Wobec znacznej przewagi liczebnej Polaków (Rosen miał nie więcej nad 12,000 wojska), zwycięstwo było niewątpliwem.

Ramorino opierał się temu planowi, Prądzyński ustąpił, nie chcąc kompromitować wodza przed wojskiem przez nagłą zmianę kierunku pochodu na przeciwny, zresztą rozumując, że ostatecznie można jeszcze będzie pobić Rosena o dzień lub dwa później, na bardziej od Warszawy odległym punkcie szosy. Wojska poszły do Żelechowa, ale stamtąd zmieniły już kierunek południowo-wschodni na północno-wschodni i na noc 27 przybyły do Kozutów. Rosen nocował w Prawdzie. Wojska polskie już go były wyprzedziły. Był najwyższy czas na marsz forsowny na szosę i uderzenie na generała rosyjskiego.

Ramorino niby się stosował do udzielanych mu przez Prądzyńskiego wskazówek, ale je wykonywał oburzająco opieszale. W głębi duszy chciał udarenić jego usiłowania. 28 sierpnia ruszono z miejsca o wiele zapóźno i do Łukowa przybyło dopiero około 10-ej przed południem.

Mieszkańcy okoliczni co chwila przynosili wiadomości o forsownym marszu Rosjan przez Różę na Jagodne. Rosen zrozumiał wreszcie grożące mu niebezpieczeństwo i śpieszył.

Prądzyński dał szefowi sztabu (Władysławowi Zamoyskiemu) dyspozycję do jak najszybszego marszu na Krynki, a kolumnę boczną pod dowództwem generała Konarskiego skierował na Trzebuszkę, celem powstrzymania czoła kolumny rosyjskiej, polecając mu zresztą, a ileby przed zetknięciem się z nieprzyjacielem usłyszał kanonadę, zmienić kierunek i iść na wystrzały, sam zaś udał się do straży przednich dla powzięcia pewnej wiadomości o ruchu Rosjan. Na własne oczy ujrzał defilujący korpus Rosena, który stanął biwakiem poza Krynkami. Słał do Ramorina adjutanta za adjutantem dla przyspieszenia marszu, ale Włoch ruszył z Łukowa dopiero o 4-ej po południu. Doczekawszy się wreszcie jego awangardy, Prądzyński stanął na jej czele i rzucił się zapalczywie na Rosjan, ale ich siły główne już przeszły, i Polacy uderzyli tylko na arjergardę, dowodzoną przez gen. Gołowina, której zadali dotkliwe straty, ale której marszu nie zdołali już powstrzymać. Przewidując, że Rosjanie będą usiłowali zniszczyć za sobą most na szosie pod Zambrami, Prądzyński pchnął ku temu mostowi gen. Zawadzkiego z kilku batalionami, a sam wraz z Ramorinem, pod eskortą jednego plutonu 3-go ułanów wyprzedził Zawadzkiego i popędził naprzód, aby się naocznie przekonać, jak rzeczy stoją. W nocy już przybył do mostu nad którego destrukcją istotnie pracowali już saperzy Rosjanie pod osłoną kilku batalionów, dowodzonych przez gen. Fezi. Nie dostrzegłszy w ciemności nocnej tych batalionów, podjechali do nich zbyt blisko i otrzymali salwę «à bout portant». Spłoszone konie ułanów zaczęły ponosić. Koń Prądzyńskiego upadł, a kilku ułanów przejechało po generale. Zbity i stratowany, dosiadł jednak nanowo konia i pognął do Zawadzkiego, aby przyspieszyć jego pochód, i ostatecznie sprowadził go na miejsce jeszcze dość wcześnie, aby destrukcyi mostu przeszkodzić.

Atak na Rosena należało uważać już za chybiony, gdyż oddalił się już on z nadto od Polaków, aby mu można było przeszkodzić schronić się do Brześcia. Wobec tego, Prądzyński postanowił wysłać za nim tylko Konarskiego

z nieznacznym oddziałem, aby go odepchnąć jak najdalej i przeszkodzić mu do nowego ruchu ku zachodowi. Drugi oddział pod dowództwem Zawadzkiego miał iść w Lubelskie, aby zmusić Rüdigerę do powrotu na prawy brzeg Wisły i dać przez to walczącemu z nim w województwie Sandomierskiem Różyckiemu możność uderzenia na tyły rosyjskiej armii głównej. Siły główne Ramorina miały trzymać się między Łukowem a Międzyrzecem, aby prowidować Warszawę, a następnie, stosownie do okoliczności, bądź to wracać pośpiesznie do zagrożonej szturmem stolicy (mogły tam stanąć w ciągu dwóch dni), bądź uderzyć na Rosena, gdyby ten próbował wrócić, albo na Rüdigerę, skoro stanie on w Lubelskiem.

29 sierpnia Zawadzki ruszył na Łuków, a Konarski na Międzyrzec, gdzie napotkał na silny opór. Przybyły na pole bitwy wraz z Ramorinem Prądyński przekonał się, że jest to cały korpus Rosena. Był to dla Polaków poże-gnalny uśmiech fortuny. Rosen, stojący w widłach, utworzonych przez dwie błotniste rzeczki, w pozycji nader niedogodnej i łatwej do obejścia, mógł być zniszczonym doszczętnie.

Prądyński zmienił dyspozycję: z pozostałą po odejściu Zawadzkiego brygadą 5-ej dywizji i z oddziałem Konarskiego (razem około 5000 ludzi z 8 działami) pozostaje przed Międzyrzecem dla zajęcia Rosyan, gdy tymczasem po za jego frontem, zamaskowany nadto przez zarośla, Ramorino na czele dywizji Bielińskiego i prawie całej jazdy (przeszło 10.000 ludzi i 24 działa) rusza obchodem do pobliskiej Rogoźnicy, aby stamtąd rzucić całą swoją masę na tyły pozycji rosyjskiej w Międzyrzeczu. Wtedy Prądyński ruchem flankowym zejdzie z szosy i, utworzywszy przez ten prosty manewr prawe skrzydło szyku bojowego, zepchnie Rosena do wsi i położonego za nią długiego *défilé*. W tym stanie rzeczy zguba jego stanie się nieuchronną.

W parę godzin po odejściu Ramorina rozlega się ze strony Rogoźnicy kanonada. Przekonany, że to Ramorino wykonał już swój manewr i walczy z arjergardą Rosena, Prądyński wykonywa umówiony ruch flankowy i przyspiesza pochód. Zaledwie minął błoto, widzi idącego przeciw niemu na czele 9.000 ludzi i 24 dział Rosena. Pewny, że niebawem ujrzy debuszującego na jego tyłach Ramorina, przyjmuje walkę

tak nierówną. Nikt się nie pojawia. Pozostawiony własnym siłom, Prądyński walczy do późnej nocy i odpiera szczęśliwie ataki Rosyan. Nazajutrz zrana Rosen w dalszym ciągu prowadzi odwrót; o godzinie 8-ej Prądyński zajmuje Międzyrzec.

Cóż się okazało? Oto Ramorino, po rozstaniu się z Prądyńskim, zmienił zamiar. Posłał po Zawadzkiego, aby go zwrócić z drogi i napowrót z siłami głównymi połączyć, a sam poszedł najspokojniej na noc do Tłuszcza. Kanonada, którą słyszał Prądyński, była to zwycięska utarczka pod Rogoźnicą dowodzącego awangardą Ramorina pułkownika Rychłowskiego z generałem Werpachowskim. Ramorino, który o swojej »zmianie planu« nie uznał za potrzebne choćby zawiadomić Prądyńskiego, słysząc obie bitwy, nie ruszył się z miejsca.

Rosen cofał się forsownymi marszami, jednak nazajutrz, a nawet 31-go można go jeszcze było dosięgnąć, — naturalnie przy wielkim pośpiechu. Ale właśnie tego pośpiechu nie było. Ramorino zewsząd wyruszał zbyt późno, wszędzie zatrzymywał się zbyt długo, i ostatecznie 31-go po południu Rosen debuszował z Piszczacza na prostą drogę do Brześcia o pół godziny wcześniej od Polaków. Był ocalony.

Prądyński, Ramorino i książę Adam zeszli się na radę wojenną. Wyprawa przeciw Rosenowi była już oczywiście i niepowrotnie chybiłą. O zamierzonej akcji przeciw Rüdigerowi, wobec cofnięcia z drogi Zawadzkiego, też nie mogło być mowy. Jedyną rzeczą rozsądną, a zarazem jedynym obowiązkiem był co najrychlejszy powrót do zagrożonej już bliskim szturmem stolicy. Prądyński настаwał, aby odwrót tegoż jeszcze dnia był rozpoczęty.

Ramorino oponował. Rada jeszcze trwała, gdy przybył z Warszawy kapitan Rzewuski, przywołując od wodza naczelnego wyraźny, piśmienny rozkaz niezwłocznego powrotu do Warszawy. Wtedy Ramorino, po którego głowie ciągle snuły się mętne idee jakiejś wyprawy w okolice Zamościa, dopuścił się, niesubordynacji jawnej i niewątpliwiej: odmówił posłuszeństwa rozkazowi.

Wróciwszy d. 1-go września do Warszawy, Prądyński objął swój dawny urząd generał-kwartermistrza; (Kołaczkowski wrócił do dowództwa inżynierii). Faktycznie jednak w kierowaniu czyn-

nościami wojennymi generał-kwaternistrz nie brał już udziału. Szły już one ku końcowi własnym fatalnym rozpadem.

I dla Prądzyńskiego, i dla Krukowieckiego, i dla każdego z generałów było już widocznem, że o zwycięstwie nie może być mowy, że jedyną korzyścią, którą obrona Warszawy polakom przynieść może, będzie chwała. Konieczność układów o pokój była dla każdego niezasłепionego oczywistą, i zaznaczyć należy, że ówczesna sytuacja wojenna nie dawała wprawdzie nadziei na wygraną, ale pozwalała jeszcze na wyjednanie wcale niezgorszych tego pokoju warunków.

Inicjatywę do układów dał sam feldmarszałek, który, jak się zdaje, przeceniał siły wojenne polaków. Do parlamentowania wyznaczył on generała Dannenberga. Na parlamentarza polskiego wybrał Krukowiecki Prądzyńskiego, którego pierwsze spotkanie się z Dannenbergiem nastąpiło d. 4 września. Generał rosyjski oświadczył Prądzyńskiemu (co prawda, nieurzędowo), że powrót do posłuszeństwa Cesarzowi i zrzeczenie się pretensyi do Litwy, Wołynia i Podola utworzą polakom drogę do pokoju na warunkach bardzo łagodnych. Zdając przed rządem sprawę ze swojej misyi, Prądzyński z naciskiem zaznaczył, że położenie wojenne zgoła nie pozwala polakom na przemawianie z wysokiego tonu, i że należy korzystać ze sposobności. Z tem wszystkim Krukowiecki podpisał, acz, jak powiadał, wbrew przekonaniu, list, zredagowany (przez Bonawenturę Niemojewskiego) nader wyniosłe, co w danych warunkach było śmieszne. Na list ten feldmarszałek nie odpowiedział i 5 września ruszył naprzód, a wieczorem tegoż dnia stanął przed Wolą.

O świcie 6-go rozpoczął się szturm. Po zdobyciu Woli i dłuższej kanonadzie rosyjanie uderzyli na bagnety i dotarli aż do pierwszych domów przedmieścia. Odparli ich stamtąd kilkakrotnie Małachowski i Prądzyński, pod którym w dniu tym zabito dwa konie.

W nocy rząd znowu polecił Prądzyńskiemu wieść do Paskiewicza list, zapytujący ogólnikowo o warunki, na których mogą być prowadzone układy, i nie zawierający zresztą w sobie nic pozytywnego. Prądzyński zauważył, że list taki może tylko rozdrażnić feldmarszałka, i że jedyną możliwą podstawą układów jest uznanie władzy

Cesarza. Wtedy Krukowiecki upoważnił go ustnie do zapewnienia wodza rosyjskiego w jego imieniu, że ten warunek będzie właśnie podstawą układów. Wprawdzie — dodawał — nie ma on jeszcze do tego od sejmu formalnego upoważnienia, ale ma uroczyste przyrzeczenie, że je jutro rano otrzyma. Inni członkowie rządu potwierdzili jego słowa, i Prądzyński posłał parlamentarza w celu wyjednania sobie posłuchania u feldmarszałka. Parlamentarz wrócił dopiero nad ranem, zaczem Prądzyński niezwłocznie udał się na Wolę, gdzie go oczekiwał Paskiewicz wraz z Wielkim Księciem Michałem i swoim szefem sztabu generałem hr. Töllem. Podniecony wczorajszem powodzeniem, feldmarszałek był bardzo szorstki i początkowo nie chciał słyszeć o układach. Szlachetna interwencya Wielkiego Księcia złagodziła nad wyraz dla Prądzyńskiego przykrą rozmowę. Zapytany przez feldmarszałka, opierając się na udzielonem sobie ustnie upoważnieniu, Prądzyński zapewnił go, że podstawą układów będzie poddanie się Cesarzowi, gdy zaś wódz rosyjski oświadczył, że nie rozpocznie układów, póki nie otrzyma tego zapewnienia na piśmie, generał-kwaternistrz zdecydował się potwierdzić swoje słowa przez deklaracyę piśmienną. Feldmarszałek zaproponował spotkanie się osobiste z Krukowieckim i zgodził się, acz z trudnością, na dwugodzinne zawieszenie broni.

Prądzyński w towarzystwie Dannenberga pośpieszył do Warszawy. Tam ze zdumieniem i zgorzleniem dowiedział się, że Krukowiecki nie ma jeszcze upoważnienia od sejmu. Nie mniej pojechał na spotkanie z Paskiewiczem, biorąc z sobą znowu Prądzyńskiego. Obaj wodzowie mieli charakter gwałtowny, i rozmowa przybrała wkrótce charakter bardzo ostry. Gdy wreszcie feldmarszałek zażądał prostego poddania się, do którego przecie, jak mu wiadomo, Krukowiecki jest upoważnionym, ten ostatni oświadczył, że nie ma w tym względzie żadnych pełnomocnictw. Na to zdumiony Paskiewicz pokazuje mu podpisaną przez Prądzyńskiego deklaracyę. «Qu'est que cela me fait — odpowiada z uniesieniem Krukowiecki — si le général Prądzyński a pris des engagements, il n'a qu'à les tenir, mais moi il ne m'engage à rien». Porwał się feldmarszałek, chcąc natychmiast wznowić ogień działowy. Z największym trudem udało się Wielkiemu Księciu i Prą-



dzyńskiemu zażegnać burzę. Ostatecznie przedłużono zawieszenie broni do godziny 1-ej po południu, w którym to przeciagu czasu miał Krukowiecki otrzymać wreszcie od sejmu żądane pełnomocnictwa.

Za powrotem generałów do Warszawy rząd postanowił wyjaśnić sejmowi istotny stan rzeczy i stanowczo zażądać od niego pełnomocnictw dla prezydenta. Tę misję trudną i bolesną powierzono znowu Prądyńskiemu, który ze wszystkich uczestników tej wojny pił gorycz z najgłębszej czary i pił ją bez szemrania, w przeświadczeniu, że niema ofiary, którejby dla dobra publicznego ponieść nie był obowiązany.

O godzinie 10-ej rano Prądyński stanął przed sejmem—i tu zaszła rzecz potworna, rzecz, która, gdy się nawet wie z całą pewnością o jej rzeczywistości, wydaje się czemś nieprawdopodobnem: Sejm w obecności Prądyńskiego przez akłamację udzielił prezydentowi żądanych pełnomocnictw i rozwiązał się. Skoro zaś generał przekroczył próg sali sejmowej, rozpoczął, jakby nigdy nic, debaty nad jakimś grubym projektem do prawa, dając *dementi* swojej własnej uchwale i kompromitując ostatecznie przed wodzem rosyjskim powagę zarówno swoją własną, jak i upoważnionego przezeń do układów prezydenta rządu. Zdolni do konsekwentnego myślenia posłowie opuścili salę, pozostałe w niej stare dzieci, przy grzmocie wznawiającego się już nad skazanem na zatrąę miastem ognia działowego, prowadziły w dalszym ciągu swoją smutną zabawę.

Nie wiedzący o niczem Prądyński pędził pod wystrzałami obu stron ku posterunkom rosyjskim, aby wstrzymać bój. Feldmarszałek był raniony, Prądyńskiego przyprowadzono przed Wielkiego Księcia, który, wobec niedawnych słów Krukowieckiego, wyraził wątpliwość, czy sejm znowu nie wtrąci się i nie przeszkodzi układom.

— La diète n'existe plus—odparł Prądyński—ella s'est dissoute en ma présence.

— Est ce bien certain, ce que vous me dites?

— Monseigneur, je Vous donne ma parole d'honneur, qu'il n'y a plus de diète, et que le comte Krukowiecki est décidé à conclure un traité qui aura pour base la soumission à l'Empereur.

— Je vous crois et en ce cas je m'en vais envoyer prendre les ordres du maréchal.

Feldmarszałek odpowiedział, że nie przerwie boju, póki preliminarz konwencyi nie zostanie podpisany. Prądyński, który widział, że obrońcy Warszawy walczą już ostatkiem sił, wraz z upoważnionym do jego podpisania generałem Bergiem co tchu w koniach popędził do Warszawy. Tu z przerażeniem dowiedział się od Krukowieckiego, że sejm w dalszym ciągu odbywa posiedzenie, a obiecane upoważnienie jeszcze nie nadeszło.

Oslupiały Prądyński raz jeszcze udał się do sejmu, który na ten raz, po pełnem goryczy przemówieniu generała, posłał wreszcie Krukowieckiemu przez posłów Ludwika Małachowskiego i Libiszewskiego *piśmienne* upoważnienie do układów. Na przywiezionym przez Berga projekcie preliminarza Krukowiecki zaznaczył proponowane przez siebie zmiany i podpisał. Z tym dokumentem oraz z dołączonym do niego listem do Cesarza, który jednak miał być wysłany dopiero po podpisaniu preliminarza przez Paskiewicza, Prądyński i Berg znowu pojechali do obozu rosyjskiego. Nie wszystkie proponowane zmiany zostały przez feldmarszałka akceptowane. Trzeba było jeszcze raz wieść do Krukowieckiego ultimatum rosyjskie w ostatecznej redakcyi. Wśród dogorywającego już, acz jeszcze zaciętego, boju jechał Prądyński, ale ukojenie zaczynało już zstępować do jego skolataney duszy. Preliminarz, który wiozł z sobą, zezwalał wszystkim rozrzuconym po kraju korpusom i oddziałom polskim zebrać się w jedno i zająć Modlin. 50,000 dobrych wojsk w fortocy tak doskonalej — myślał generał — to przecie podstawa, na której można zawrzeć niezły pokój. I poprzez całą gorycz tylu doznanych klęsk i zawodów podnosił się w jego szlachetnej duszy kojący głos uczciwie do końca spełnionego obowiązku i zstępowała do niej słodka nadzieja, że jego nad miarę bolesne wysiłki przyniosą krajowi istotny pożytek.

«Mais que devins je lorsque en arrivant au palais du gouvernement, j'apprends, que Krukowiecki n'est plus président, que c'est Bonaventura Niemojewski qui le remplace, et qu'une espèce de diète siège de rechef au palais même. Je n'ai pas de paroles pour exprimer le déses-



spoir et la stupeur qui s'emparèrent de moi à cette funeste et terrible nouvelle!»

Wszystko było stracone. Małachowski, w charakterze wodza naczelnego, podpisał konwencję czysto wojskową o ewakuację Warszawy i prowizoryczne zawieszenie broni. Tragedya skończyła się.

A Prądyński nie miał nawet tej pociechy, aby dzielić dalszy los swoich towarzyszków broni. On nie mógł iść z niemi do Modlina. On przed kilku godzinami dał Wielkiemu Księciu *słowo honoru*, że Sejm jest rozwiązany, i że pełnomocnictwa do prowadzenia układów ma Krukowiecki. W sprawach tego rodzaju nie było dlań wahań, ani niepewności. Za słowo, które on dał, a inni złamali, musiał odpowiedzieć swoją osobą. Bez namysłu udał się raz jeszcze do obozu rosyjskiego i oddał szablę w ręce Wielkiego Księcia.

Tak zakończyła się karyera wojskowa człowieka, który był sprawcą intelektualnym wszystkich osiągniętych w tej wojnie przez polską armię głównych powodzeń, a którego los tragiczny, postawił w zależności od wodza naczelnego, nie umiającego jego genialnych pomysłów nie tylko ocenić, ale ani nawet zrozumieć. Ta wojna przy-

niosła mu, jako żołnierzowi, obywatelowi i człowiekowi, tyleż chwały, ile goryczy i bólu.

Wysłany na zamieszkanie początkowo na czas krótki do Jarosławia, następnie do Gątczyny, napisał tam, na rozkaz Cesarza Mikołaja, w języku francuskim memoriał o wojnie r. 1831. Memoriał ten, którego ogłoszenie drukiem zawdzięczać należy znakomitemu rosyjskiemu historykowi tej wojny generałowi Puzyrewskiemu, dowodzi, że jego autor był równie świetnym pisarzem jak żołnierzem.

Powróciwszy w r. 1833 do kraju, osiadł na wsi. W r. 1842 zamieszkał w Krakowie. Usunąwszy się zupełnie od życia publicznego, napisał jeszcze dwa przepiękne studia wojskowe: «Bitwa Ostrołęcka» i «Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historyi». Obie te rzeczy ogłoszono drukiem dopiero w lat 15 po jego śmierci (w r. 1865) w Poznaniu.

W r. 1850 udał się dla wypoczynku i poratowania zdrowia na wyspę Helgoland. Tam w d. 20 sierpnia tegoż roku zmarł w 59-ym roku życia człowiek, który był najzupełnijszym i najdoskonalszym wcieleniem polskiego geniuszu wojennego.

*Maryan Massonius.*



# Ambroży Grabowski.

\* 1782 † 1868.

**N**iestrudzony i wielce zasłużony badacz przeszłości polskiej i dawnej stolicy kraju, był synem zacnego organisty w miasteczku galicyjskiem Kętach, wchodzącem niegdyś w skład księstwa Oświęcimskiego. W szkółce miejscowej otrzymał pierwsze nauki, a zostawszy sierotą mając lat 15, udał się w r. 1797 do Krakowa, gdzie przyjęty do księgarni Ant. Grebla oddał się nauce księgarstwa i namiętnemu czytaniu książek naukowych. Pozostając przez lat 20 na tem stanowisku, jako zarządzający księgarnią i drukarnią, wreszcie przez lat 2 jako współnik przedsiębiorstwa, wykształcił się własną pracą w językach obcych i dziejach polskich. W r. 1817 opuścił księgarnię grebłowską, należącą wówczas do Józefa

Mateckiego, i założył własną przy ulicy Grodzkiej, którą prowadził z powodzeniem przez drugie lat 20, t. j. doroku 1837.



*Ambroży Grabowski.*

Jako właściciel księgarni wszedł w stosunki z ówczesnymi literatami, historykami i uczonymi, a mianowicie z bibliotekarzem biblioteki Jagiellońskiej, Jerzym Samuelem Bandtkiem, Muczkowskim, Majeranowskim i biskupem Woroniczem, którzy wpływali na kierunek jego działalności. Gromadził w swej księgarni stare druki polskie, na których znał się wybornie nie tylko jako amator białych kruków, ale jako badacz przeszłości krajowej. W końcu zamknął księgarnię, aby wyłącznie poświęcić się pracom naukowym i wydawniczym oraz zbieraniu pamiątek historycznych, za-

bytków sztuki i rycin polskich lub Polski dotyczących.

Ambroży Grabowski zajmował się badaniem dzieł sztuki dawnej Polski wtedy, kiedy niemi nie tylko że się prawie wcale nie zajmowano, ale obchodzono się z niemi po barbarzyńsku, burząc zabytki, które dziś nadałyby Krakowowi postać jednego z najciekawszych miast starożytnych w Europie. Zasłużony krajowi syn organisty z Kęt, mądrą pracą swego życia łożąc na odszukiwanie imion artystów polskich i dopatrując się sztuki polskiej, dał z siebie świetny przykład potomkom rodów historycznych, którzy pozwalali rozbierać żydom na szabaśniki wspaniałe zamki pradziadów a lokajom obwąjwać świece w dokumenta z archiwów rodzinnych. Jako autor i pisarz nie był Grabowski twórczym, ale wszystko co z pod pióra jego wyszło lub co nakładem swoim wydał, daje świadectwo sumiennej jego pracy i najcieplejszych uczuć obywatelskich. Zasłużył się najprzód pierwszym ilustrowanym i dość okazałym opisem Krakowa, p. t. «Historyczny opis miasta Krakowa i jego okolic z rycinami,» wydany nakładem Mateckiego w r. 1822. Jak dalece brak podobnej książki odczuwano w polskim piśmiennictwie, najlepszy dowód że od r. 1822 do 1866 doczekała się ona pięciu wydań. W ostatnim wydaniu widzimy 57 drzeworytów i plan Krakowa. Łączne z powyższem dziełkiem znaczenie mają: «Dawne zabytki miasta Krakowa. Przypomnienia przeszłości o niektórych starożytnych zwyczajach mieszczan krakowskich, o bramach, basztach i wszelakich tej niegdyś stolicy kraju obrotach z dodatkiem różnych do dziedziny pamiętek należących wiadomości z rękopisów... z planem Krakowa.» Warszawa, nakład S. Orgelbranda, Kraków, druk Czasu 1850 r. We dwa lata później wyszły tamże (z portretem autora). «Starożytnicze wiadomości o Krakowie. Zbiór pism i pamiętników tyczących się opisowej i dziejowej przeszłości, oraz zwyczajów tej dawnej stolicy kraju z dodaniem różnych szczegółów Polaków zając mogących.»

O grobach królewskich ogłosił Grabowski już w r. 1835 pracę p. t. «Groby królów polskich w Krakowie w kościele katedralnym na zamku,» pomieszczając na wstępie kronikę ks. Krzysztofa Zelnera mansjonarza kościoła Panny

Maryi. Wydanie drugie tej książki znacznie pomnożone wyszło w Krakowie r. 1868. Autor «pisma do tego przedmiotu stosownie zebrał i kosztowność swoją wydał celem powiększenia funduszu na restauracyę ołtarza Wita Stwosza w kościele Panny Maryi.» Do poważniejszych prac Grabowskiego należy «Skarbniczka naszej archeologii», obejmująca średniowiekowe pomniki wojennego budownictwa Polaków, wiadomości do dziejów sztuk pięknych w Polsce, oraz wspomnienia z naszej przeszłości i t. p. z 39 wizerunkami baszt i bram krakowskich. Wydanie J. N. Bobrowicza w Lipsku, 1854 r. Oprócz dzieł powyższych Grabowski drukował sporo rozpraw w «Bibliotece Warszawskiej» np.: 1) Do dziejów budowy wielkiego ołtarza w kościele Panny Maryi; 2) Mozaika; 3) Okruszyny wiadomości z dziedziny sztuki i starożytności naszych; 4) Początek ikonografii naszej; 5) Wit Stwosze; 6) Zbieranka pewniejszych wiadomości w dziedzinie sztuk nadobnych i t. d.

Prace Grabowskiego do dziś dnia mają jeszcze swoją wartość, nie przedrukowywał bowiem niczego z książek innych, ale czerpał wiadomości z archiwów, pamiętników i dyaryuszów, podając przydatny materiał z różnych dziedzin nauk historycznych, zwłaszcza z życia kulturalnego i dziejów mieszczaństwa krakowskiego. Pierwszy zwracając baczniejszą uwagę na zabytki sztuk pięknych w Polsce, odkrył wielkie imiona naszych artystów, których miano od wieków za obcych, jak np. Wita Stwosza znakomitego mistrza sztuki rzeźbiarskiej, o którym nikt przed Grabowskim w dziejach polskich nie wspominał. Wogóle prace Grabowskiego są to materiały, które nie miały pretensyi ani do głębokości pomysłów, ani do twórczości, ani do kwiecistości i potoczystości stylu, a jednak ogłoszeniem ich położył starożytnik krakowski niepospolitą zasługę i imię swoje chlubnie zapisał w dziejach polskiego piśmiennictwa. Pomimo późnego wieku (zmarł bowiem w 86-ym roku życia) i pomimo zanikającego od ciągłej i zmudnej pracy wzroku, sędziwy starzec, gotując nowe wydania lub ogłoszenia nieznanymi pomników dziejowych, do ostatniej chwili życia nie wypuszczał pracowitego pióra z drżącej ręki.

*Zygmunt Głogier.*

# Edward Rastawiecki.

\* 1804 † 1874.



**N**ajzasłużeńszy z ziemian swego czasu na polu dziejów sztuki polskiej urodził

wreszcie zbieracz pamiątek, dzieł sztuki i źródeł naukowych.

się r. 1804 w Nowosiłkach, majątności rodzinnej w Lubelskiem, z ojca Tomasza i matki Teresy z Krajewskich. Kształcił się w liceum warszawskim i uniwersytecie aleksandryjskim w Warszawie, a w r. 1829 wstąpił do służby publicznej w Towarzystwie kredytowym ziemskim i w biurze ówczesnej Heroldyi. Rozmawiał się w estetyce, został w ciągu całego żywota niezmqordowanym pracownikiem i szczodrym orędownikiem sztuki polskiej. Zbudował też sobie pomnik zasługi wiekuistej w społeczeństwie jako badacz dziejów sztuki, nakładca wielu dzieł naukowych, opiekun artystów i uczonych,



*Edward Rastawiecki*

Początkowo zajął się Rastawiecki numizmatyką i zgromadził już zbiór poważny monet polskich. Znalazłszy jednak pole to za zbyt cenne dla swej działalności, porzucił tylko na wydaniu znacznym nakładem wspaniałej dwutomowej pracy Ignacego Zagórskiego p. t. «Monety dawnej Polski». Nabywszy znaczny zbiór map krajowych, (które jeszcze przed stu laty spisał i uporządkował Daniel Janocki, bibliotekarz Żaluskich) i ocaliwszy przez to ten skarb nieznany, pomnożył go licznymi własnymi odkryciami i wydał w r. 1846 książkę pod tyt. «Mapografia dawnej Polski,» która pozostała

dotąd jedyną w tym kierunku pracą w naukowym piśmiennictwie polskim. Przejęty wielką ideą, że sztuka jest wykwitem cywilizacji każdego narodu i jednym z warunków rozwoju kultury, uczuć i myśli w społeczeństwie, przedsięwziął mozolne poszukiwania do dziejów sztuki w Polsce. Owocem tych prac były drukowane w Bibliotece Warszawskiej od r. 1846». Żywoty malarzy polskich: Marcelego Bacciarelego, Antoniego Brodowskiego, Szymona Czechowicza, Franciszka Smuglewicza, dwóch Kopeczkich, Jana Krasińskiego, Aleksandra Orłowskiego i rzeźbiarza Jana Regulskiego.

Były to kroki przedwstępne do pomnikowego dzieła «Słownik malarzy polskich», które ukazało się w latach 1850—57, w trzech tomach ozdobionych 48 wizerunkami wykonanymi przez znakomitego Piwarskiego. Jak Mapografia tak i «Słownik malarzy polskich» zajął w piśmiennictwie naszym XIX wieku wybitne i jedyne w swym kierunku stanowisko. Po ukazaniu się 3-go tomu «Słownika mal. pol.» znajdujemy w wychodzącej podówczas «Kronice» (nr. 96 z d. 10 kwietnia 1857 r.) obszerną recenzję tego dzieła, skreśloną piórem autora «Historii Sztuki w Polsce», Feliksa Maksymiliana Sobieszczańskiego, który pisze między innymi: «Słownik Rastawieckiego, obejmujący tak liczną drużynę artystów, zawiera wiele dokładnych żywotów znakomitych polskich malarzy, o których żaden prawie szczegół ich dotyczący, nie został pominięty. Są tu wyliczone wszystkie o ile to być może, ich prace i miejsca, gdzie się kiedyś znajdowały, lub dotąd znajdują. Przy wielu niepominięto szczegółów wyjaśniających niejedno zdarzenie krajowe, ze sztuką lub artystą jakkolwiek związek mające». Niemalże także szereg składają artyści-amatorowie z dostojnymi nazwiskami. Takiemi są ciekawe pod tym względem żywoty: rodzin Czackich i Czapskich, Pawła Grodzickiego generała artylerii za panowania kr. Władysława IV, generałów Kniaziewicz i Tadeusza Kościuszki, kr. Stanisława Leszczyńskiego i jego córki Maryi królowej francuskiej, Massalskiego, Piotra Michałowskiego, hr. Mniszchowej, Sierakowskiego, Julii Steckiej, Strykowski kronikarza, hr. Waleryi Tarnowskiej, Zabieli, kr. Zygmunta III i t. d. Ciekawym jest projekt ustanowienia Akademii sztuk wyzwolonych, przedstawiony królowi Stanisławowi Poniatowski-

mu, gdy tenże zamyślał o jej utworzeniu w Warszawie, umieszczony w końcu tomu I-go, gdzie również się mieści ważna rozprawa profes. Brodowskiego: «Co stanowi szkołę malarską». W żywocie Jakóba Haura (t. III, str. 239) czytamy, że za panowania kr. Jana Sobieskiego, była już szkoła kunsztu malarskiego w Wilanowie pod Warszawą, której, jak się wyraża ten poeta i amator-artysta, «dawno potrzebowała Polska dla chwały Bożej i wygody ludzkiej, aby nietylko z cudzych krajów wszystko sprowadzać, gdy może być w domu dla sławy i pożytku całego narodu.»

Jako badacz historii sztuki w Polsce, Rastawiecki został zamiłowanym archeologiem, popierając hojną dłońią prace innych na tem polu. Z jego to inicjatywy i jego kosztem podjął Józef Łepkowski podróż archeologiczną po Galicyi. W «Bibliotece Warszawskiej» drukował Rastawiecki rozprawy: 1) «Wiadomości o sztukach pięknych za Władysława Jagielly przy schyłku XIX w.: muzyka, malarstwo i złotnictwo. 2) O rycinach Jeremiasza Falka». 3) «O naczyniach stołowych». 4) «O Wicie Stwoszu, jego pobycie w Norymberdze i przygodach tamże doznanych». W Norymberdze robił Rastawiecki długie i mozolne poszukiwania archiwalne i do pracy swojej o Wicie Stwoszu przywiązywał wielką wagę. Połączony tożsamością przekonań, tym samym kierunkiem pracy i niezłomną przyjaźnią z Aleksandrem Przeździeckim, podjął z nim wspólnymi siłami niezmiernie kosztowne, przepyszne wydawnictwo «Wzory sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce,» które odrazu stanęło na równi z najwspanialszemi tego rodzaju wydawnictwami zachodniej Europy. Dzieło to rozpoczęte w r. 1853 z wizerunkami chromolitografowanymi początkowo w Paryżu, później równie pięknie w Warszawie, obejmuje same zabytki krajowe, rysowane z oryginałów przez artystów Polaków, zbadane i opisane w większej części przez Przeździeckiego, w mniejszej przez Rastawieckiego.

Ostatnią pracą Rastawieckiego był niewydany «Słownik rytowników Polskich», będący jakby dalszym ciągiem i dopełnieniem «Słownika Malarzy». Autor, czując zbliżający się schyłek swego życia, powierzył tę ostatnią pracę z upoważnieniem jej wydania Józefowi Łepkowskiemu, profesorowi archeologii w uniwersytecie krakowskim.



Gabinetowi archeologicznemu przy katedrze archeologii w tymże uniwersytecie, Rastawiecki złożył w r. 1859 bogaty zbiór starożytnych naczyń złotych i srebrnych, klejnotów, szkieł, insygniów, pergaminów i pieczęci (nabytych po Vossbergu, znakomitym sfragistyku). W Warszawie, gdzie był Rastawiecki jednym z inicjatorów i założycieli Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, porobił znaczne zapisy dla uczącej się młodzieży i dla dobroczynności. Towarzystwu przyjaciół nauk w Poznaniu, za staraniem Seweryna Mielżyńskiego dostała się po Rastawieckim piękna biblioteka, złożona z dzieł historycznych, literackich i artystycznych, rzadki zbiór czasopism polskich, bogaty gabinet numizmatyczny, złożony z monet i medali polskich, oraz bogata galerya obrazów pendzla bądź malarzów polskich, bądź cudzoziemców w Polsce osiadłych i pracujących, jako też nader cenna i wielka kolekcya rycin polskich, z którą mógł iść tylko w porównanie zbiór Kra-

szewskiego i książąt Czartoryskich, a w poważniejszych latach zbiór Emeryka Czapskiego.


Rastawiecki zarówno z Aleksandrem Przeździeckim dał niepożyty przykład całej arystokracji polskiej, jak się spełnia obowiązki obywatelskie względem kraju rodzinnego, jak się go kocha, żyje i pracuje dla swego społeczeństwa. Skromna mała klepsydra pogrzebowa brzmiała w następujących słowach: «Ś. p. Edward Baron Rastawiecki, kawaler orderów: Papieskiego św. Grzegorza, austriackiego Franciszka-Józefa i duńskiego Danenbrok, opatrzone śś. Sakramentami, po kilkoletnich cierpieniach, w dniu 23 lutego 1874 r. w 70 roku życia oddał Bogu ducha. Stroskana żona zaprasza krewnych i przyjaciół na nabożeństwo żałobne w dniu 26 lutego t. j. we czwartek w kościele św. Krzyża o godzinie 11-ej z rana, a następnie po nabożeństwie na eksportacyę zwłok na cmentarz Powązkowski».

*Zygmunt Głogier.*



# Jan Wincenty Bandtkie-Stężyński.

\*1783 † 1846.

 początkach XIX stulecia powstaje w Niemczech nowa nauka, która wkrótce zdobywa sobie prawo obywatelstwa, szybko zyskuje coraz liczniejsze koła zwolenników i w przeciągu lat kilkudziesięciu dosięga niezwykłego rozwoju. Z Niemiec przedziera się do państw innych, rozszerza coraz bardziej swoje granice, daje podstawę do powstania innych gałęzi nauk. Mamy na myśli historię prawa, ugruntowaną przez badania Eichhorna (historia prawa niemieckiego) i Savigny'ego (historia prawa rzymskiego). Nie znaczy to jednak, by dotąd nikt nie zwracał uwagi na historyczny rozwój prawa, ustroju państwa i jego instytucyj. Nie brak i przedtem takich dzieł. Twórcy nowej nauki już mieli materiał, z którego mogli budować. Znaczenie ich działalności leży w pojęciu przedmiotu. Przed nimi bowiem ta nauka nie istniała jako organiczna całość. W dziełach, które mówiły o ustroju państwa, nieraz powoływano się na wypadki historyczne, nieraz zaznaczano ewolucję pojęć i przepisów. By nie szukać daleko, dość podać za przykład znane dzieło Lengnicha, który, kreśląc obraz ustroju Polski, opatrywał swoje wywody objaśnieniami, czerpanymi z historii. Były nawet osobne dzieła, które zbierały i grupowały materiał, dotyczący się poszczególnych historycznych instytucyj prawnych. Ale to nie była historia prawa. Pierwsze z tych dzieł korzystały z historii tylko dla wyjaśnienia pozytywnych przepisów prawa, drugie—określane jako «starożytności prawne»—opisywały zdarzenia, ale ich nie tłumaczyły, nie łączyły w całość. Na tem polega waga nowej nauki—historii prawa,—że te instytucje przeszłości łączy w jedną całość, wiąże organicznie i logicznie, dając nie zbiór lu-

źnych wiadomości, lecz pełny obraz wszystkich przepisów prawa w ich historycznym rozwoju, a zarazem z uwzględnieniem ich wzajemnego naturalnego związku.

Rozgłos nowej nauki odbił się donośnie w Europie. Rychło i w Polsce pojawiły się dzieła, wystąpili ludzie, którzy choć niezupełnie szli za nową szkołą, choć nie wprost w niej szukali pobudki do tej pracy, to przecież, czuli na sobie wpływ nowych kierunków. U nas jednak były jeszcze inne specjalne warunki, które wpłynęły na kierunek i charakter naukowych badań. Polska przestała istnieć jako samoistne państwo w swoich pierwotnych granicach; wskutek tego straciło moc swoją wiele z jej instytucyj prawnych, które określały jej ustrój i normowały prawny jej żywot. Ale nie wszystkie; część praw i nadal zachowała znaczenie. Znajomość dawnych praw polskich jeszcze więc nieraz była niezbędną dla wytłomaczenia ustaw obowiązujących; lecz całe działy, a zwłaszcza najciekawszy, najbardziej pociągający, dział prawa politycznego, przedstawiał już tylko historyczny interes. Musiało to wpłynąć na naukę, na sposób przedstawienia tych stosunków.

Za ojca nauki historii prawa polskiego chcą uznać Czackiego, który w r. 1800 ogłosił w 2 tomach dzieło, mające już tylko taką historyczną doniosłość. Tytuł tego dzieła: «o litewskich i polskich prawach, ich duchu, źródłach i związku, i o rzeczach, zawartych w pierwszym statucie dla Litwy». Nie jest to jednak wcale historia prawa. Biorąc za podstawę statut litewski z roku 1529, Czacki objaśnia jego przepisy, hojnie podając wiadomości o najróżnorodniejszych instytucjach prawa polskiego. Dzieło to—bardzo szacowne—ma

atoli charakter starożytny. Przecie jeszcze wówczas nie przeczuwano nowej szkoły. Nie można też uważać Czackiego za historyka prawa.

Pierwszy, który do tego tytułu ma prawo — jest dopiero Bandtkie. Choć jego działalność rozpoczęła się jeszcze przed epoką nowej szkoły i choć silnie związany z tradycją dawnej metody, to przecież, stojąc na rozdrożu, owiany jest już duchem tych nowych zapatrywań, nowych poglądów.

Jan Wincenty Bandtkie pochodził z Lublina, gdzie się urodził 14 lipca 1783 r. Stąd była i jego matka, Anna Marya z Noaków; ojciec Jan Samuel, rodem z Schlichtingsheim pod Wschową, osiadł tu później jako kupiec. Po kilku latach nauki w prywatnej szkole niemiecko-polskiej w Lublinie, wysłany został w roku 1794 do Wrocławia, gdzie ukończył szkołę przy kościele św. Elżbiety, pozostając od r. 1798 pod czułą opieką starszego brata, Jerzego Samuela. Przez trzy lata (1803—1806) studjuje prawo na uniwersytecie w Halli, głównie pod przewodnictwem Woltaera. Przez lat dwa był tamże równocześnie nauczycielem języka polskiego. W r. 1806 powraca do kraju, do Warszawy, mimo propozycji, które go wzywały do objęcia wcale korzystnych posad w Magdeburgu i Wrocławiu. W Warszawie — po zdaniu egzaminu — został aplikantem czyli, jak wówczas mówiono «referendaryuszem», przy regencyi warszawskiej (t. j. przy sądzie szlacheckim departamentu warszawskiego). Po opuszczeniu w końcu tegoż roku Warszawy przez władze pruskie, Bandtkie wyznaczony został do deputacji, regulującej sądowe sprawy depozytowe, a w roku 1807 mianowany asesorem przy sądzie apelacyjnym w Warszawie, na którym to urzędzie pozostał do wprowadzenia kodeksu francuskiego w roku 1808. Od tego roku Bandtkie w dwóch kierunkach rozwija bardzo wydatną działalność. Został wówczas powołany przez ministra sprawiedliwości, Feliksa Łubieńskiego, na pisarza aktowego, czyli notariusza, w mieście Warszawie (r. 1808), a już w rok później na pisarza aktowego księstwa warszawskiego. Potwierdzony też został w tej godności po utworzeniu królestwa kongresowego. Od r. 1819 był także regentem kancelaryi hipotecznej, powołany na to stanowisko przez radę wojewódzką po wprowadzeniu przez ustawę z roku 1818 nowych urządzeń hipotecznych. Dopiero

✦ w r. 1843 porzuca te zajęcia, mianowany członkiem komisji rządowej sprawiedliwości i radcą stanu, które to godności zachował do śmierci.

Obok tych praktycznych zajęć prawniczych Bandtkie przez znaczną ilość lat rozwija bardzo żywą działalność, jako profesor. Kiedy utworzono w Warszawie szkołę prawa i administracji, Bandtkie otrzymał nominację w r. 1808 na jej profesora, wykładał prawo rzymskie, a przez cały — krótki zresztą — czas istnienia tej szkoły był jej naczelnikiem. Kiedy w r. 1816 zamierzono utworzyć uniwersytet, Bandtkie brał udział w organizacji tegoż, i przeszedł do uniwersytetu, jako profesor prawa rzymskiego, a następnie i polskiego. Od r. 1825 wykładał już tylko prawo polskie. Przez cały też czas istnienia uniwersytetu aleksandryjskiego (do r. 1831) był dziekanem wydziału prawa.

Prócz tych zajęć podwójnych brał Bandtkie udział nieraz w ważnych przedsięwzięciach. Tak w r. 1808 powołał go minister Łubieński do komisji, która miała opracować kodeks procedury. Odmówił jednak wezwaniu (r. 1817) na członka konsystorza ewangelickiego w Warszawie, jak i powołaniu na radcę przy królewskim konsystorzu i collegium szkolnem w Poznaniu.

Pracy i sumiennosci niezwyklej Bandtkiego nie brakło uznania. W r. 1817 został wybrany na członka rady województwa warszawskiego. Od komisji rządowej sprawiedliwości (r. 1819), od komisji rządowej hipotecznej (1819 i 1820), jak i od komisji wyznań i oświecenia (r. 1819) dostaje pisma pochwalne. Za staraniem rady uniwersytetu otrzymał też szlachectwo dziedziczne z przydomkiem Stężyński i został wpisany (1819 r.) w księgę szlachty czerskiej. Warszawskie towarzystwo przyjaciół nauk obrało go w roku 1811 członkiem przybranym, a następnie (r. 1812) czynnym, towarzystwo uczone krakowskie w r. 1816 korespondentem, a uniwersytet wileński tegoż roku członkiem honorowym. Od uniwersytetu królewskiego dostał w r. 1814 tytuł doktora praw. Otrzymał order św. Włodzimierza III kl., św. Stanisława kl. II z gwiazdą i św. Anny kl. II z koroną cesarską.

Zmarł w Warszawie 10 lutego 1846 r.

O działalności Bandtkiego, jako praktycznego prawnika nie mam zamiaru tu mówić. To jedno wystarczy zaznaczyć, iż odznaczał się nieska-



*Jan Wincenty Gładki.*

zitelną prawością, zwłaszcza jako notaryusz. Wy-  
soko też za to go ceniono. Nas wszakże ob-  
chodzi tu jego literacka praca, którą chcemy oce-  
nić. Zaczął od tłumaczeń z francuskiego i nie-  
mieckiego, wydał nawet—w Wrocławiu w roku  
1805—słownik kieszonkowy francusko-polski i nie-  
miecki. Ale już wkrótce wkroczył na to pole, na  
którem miał zapewnić sobie chlubne imię — na  
pole pracy nad historią prawa. Pierwszą<sup>1)</sup> jest  
rozprawa, pisana po łacinie: «De studio iuris po-  
lonici», (Wrocław, 1806), przeznaczona dla nie-  
Polaków. Bandtkie wychodzi z tego założe-  
nia, że prawo polskie ma praktyczne znaczenie,  
że jednak prawnicy go nie znają i nie wiedzą,  
gdzie szukać przepisów. W części więc pierwszej  
podaje źródła tego prawa, zaczynając od statutów  
kazimierzowskich, i to tak prawa polskiego, jak  
i innych praw, niegdyś w Polsce obowiązujących;  
w części drugiej mówi, jak uczyć należy prawa,  
i wskazuje na wagę znajomości języka polskiego,  
przyczem wylicza ważniejszych poetów i pisarzy  
polskich. W części trzeciej podaje literaturę pra-  
wa polskiego. Rozprawa ta, nie roszcząca sobie  
wielkich pretensyi, odznacza się sumiennością, nie-  
złą znajomością przedmiotu i mogła bardzo do-  
brze spełnić swoje zadanie. Ostatni jej rozdział—  
o literaturze prawniczej polskiej — rozszerzony  
znacznie dał Bandtkie później do «Historii lite-  
ratury» Bentkowskiego.

Bandtkie czuł się przedewszystkiem prawni-  
kiem. Od tej też rozprawy zacząwszy nie opu-  
szczał tego przedmiotu prawie nigdy. Dwie le-  
dwie możemy wskazać rzeczy, które nie mają tak  
ścisłego charakteru prawniczego, i to rzeczy bar-  
dzo drobne, dwa odczyty: «Obronę Jana Zamoj-

<sup>1)</sup> Bandtkiemu przypisują dwie rozprawy: 1) Mieszkańce w górach szląskich nie są początkami sta-  
rożytnych Germanów — drukowana po niemiecku  
w Schlesische Provinzialblätter r. 1803 str. 414—426,  
i w tłumaczeniu polskim w Osińskiego «Pamiętniku  
Warszawskim» r. 1809 t. III, str. 125—139; i 2) «O  
monetach najdawniejszych polskich i szląskich, druko-  
wana po niemiecku w «Schlesien ehedem und jetzt  
1806. Stück V i po polsku w Bentkowskiego «Pa-  
mętniku Warszawskim» czyli «Dzienniku nauk i umie-  
jętności t. IV, r. 1816 str. 257—285, 377—389. Obie  
te rozprawy są jednak jego brata, Jerzego Samuela  
(pierwsza podpisana G. = Georg S. Bandtkie, druga  
I. S. Bandtkie. Tę drugą tłumaczył nasz Bandtkie,  
jak widać z liter: I. W. B.

skiego», (Warszawa 1811) i «Przemowę o urzą-  
dzeniach naukowych» (Warszawa, 1817). Po za  
tem już mamy same tylko studia prawnicze. Bo  
też Bandtkie prawo cenił wysoko. «Ktoby śmiał  
dziś nad potrzebą umiejętności prawa się rozwo-  
dzić, byłby z uśmiechem przyrównany do mówcy,  
rozprawiającego o potrzebie lekarza w chorobie»—  
tak pisze w «Uwagach o potrzebie nauki prawa  
w naszym kraju w szczególności, a o użytku onej-  
że w ogólności (Warszawa 1814). Czcí prawo  
i żąda czi dla prawników—kiedy mówi «o po-  
ważaniu dawniejszych w Polsce prawników uczo-  
nych» (Warszawa, 1825 r.).

Bandtkie jeszcze wyszedł ze starej szkoły,  
żył i uczył się wtedy, kiedy obok prawa natury  
wszechwładnie kierowało umysłami ludzi prawo  
rzymskie. Wpływu szkoły t. zw. prawa natury  
nie ma u Bandtkiego zupełnie, choć go słuchał  
na wykładach Hoffbauera w Hali. Za to prawo  
rzymskie—profesorem jego był tamże Woltaer—  
wywarło na Bandtkiego potężne wrażenie. Często  
się na nie powołuje, jako na niedościgły wzór,  
wyszukuje ślady jego w Polsce, co nawet dopro-  
wadza do przesady. Twierdził bowiem, że prawo  
rzymskie miało w Polsce moc posiłkową, wbrew  
Czackiemu, który wywodził to prawo od Germa-  
nów. Bandtkie na żywą natrafił opozycję. Prócz  
Czackiego brali w niej udział Ossoliński, Mickie-  
wicz i Morze. Ale Bandtkie nie dał się przeko-  
nać i uparcie stał przy swoim zdaniu. Temu  
zajęciu się prawem rzymskim, które wykładał  
także przez czas pewien na uniwersytecie, przy-  
pisać należy wydanie dwóch rozpraw z tego za-  
kresu, które Bandtkie ogłosił po łacinie: 1) Vin-  
diciae iuris Romani Iustinianei (Wrocław 1808),  
gdzie właśnie wypowiedział powyższe zdanie, i Line-  
amenta iuris Romani ad ordinem institutionum  
Iustiniani imperatoris digesta (Warszawa 1816).

Wszystkie inne rozprawy czy odczyty tyczą  
się już ściśle historii prawa polskiego. Kilku  
drobnych wystarczy wymienić tytuł, by wskazać  
ich treść. [W rozprawie p. t. «Rzecz o czwartym  
groszu siostrom z pozostałości ojczystej przez  
braci udzielanym» (Pamiętnik warszawski r. 1815,  
t. II str. 3—40) wywodzi, iż ograniczenia kobiet  
do czwartej części spadku nie było pierwotną  
instytucją prawa polskiego, że je wprowadzono  
dopiero w XVI w., jak przypuszcza, pod wpły-  
wem Węgier. Druga rozprawa: «O notaryacie,



czyli pisarstwie aktowem krajowem tak dawniejszem. jako i nowszym» (Pamiętnik Warszawski r. 1815 t. III, str. 327 — 347, 413 — 444), powstała z odczytu na publicznem posiedzeniu szkoły prawa i administracyi. Podaje w niej rys notaryatu w sądach polskich, mówi dalej o notaryuszach papieskich i cesarskich, wreszcie rozbiera znaczenie pisarstwa aktowego, wprowadzonego w r. 1808. Również formę odczytu ma rzecz: «O Macieju Śliwnickim i księdze prawa powszechnego, z woli Zygmunta I przezeń ułożonej» (posiedzenie uniwersytetu r. 1825), w której na podstawie rękopisu, wtenczas właśnie odkrytego, stara się ocenić — zresztą niezbyt szczęśliwie — wartość pracy Śliwnickiego. Już po śmierci Bandtkiego wydał z pozostałych rękopisów August Heylman: «Rozprawy o prawie i sądownictwie karzącem i o urzędach w dawnej Polsce» (Warszawa 1858), a Biblioteka Warszawska (r. 1858 t. III) artykuł o «urzędzie woźnego».

Wszystkie te prace, które dopiero co wymieniliśmy, jak i niektóre powyżej wspomniane, są to rzeczy drobne, rzucane na papier przy sposobności, najczęściej opracowywane jako odczyty, czy to na posiedzenia szkoły prawa, czy przy sposobności publicznych posiedzeń uniwersytetu. Jednak już za życia Bandtkiego pojawiło się kilka prac większych, które mu zapewniły wielkie wówczas poważanie. Już w r. 1812 ogłosił: «Zbiór rozpraw o przedmiotach prawa polskiego» (Warszawa i Wilno 1812). Tworzą ten zbiór trzy rozprawy, wśród nich dwie drobne: 1) Rzecz o uprawnieniu dzieci, przez zaszły związek małżeński czynionem, i 2) Rzecz o karze śmierci za kradzież ustanowionej». Pierwsza miała także praktyczny cel na oku, druga tylko historyczny. Obie są bez znaczenia. Za to pokazną jest praca, pomieszczona na początku tego zbioru: «Wywód historyczny praw miejskich w Polsce dawnej obowiązujących». W tej rozprawie przechodzi po krótko, idąc za obcemi badaniami, historię powstania miast i praw miejskich w Niemczech, a następnie wcale szeroko mówi o rozszerzeniu się prawa niemieckiego w Polsce. Po raz drugi wraca do tego przedmiotu, ogłaszając w dwa lata później: *Ius Culmense cum appendice privilegiorum et iurium selectorum municipalium et dissertatione historico-critica* (Warszawa 1814). Wprawdzie na oku miał cel ściśle praktyczny —

wydanie prawa chełmińskiego, które jeszcze wówczas miało w miastach moc obowiązującą; poprzedził je jednak obszernym wstępem, w którym mówi o źródłach i wydaniach tego prawa, oraz dodał kilkanaście dokumentów, które przedstawiają już tylko historyczny interes. Te dwie rozprawy są największe i najważniejsze, jakie Bandtkie ogłosił za swego życia; za drugą dostał od uniwersytetu królewieckiego tytuł doktora praw. Obie te prace noszą daty, które jasno wskazują, że powstały jeszcze przed obudzeniem się nowej szkoły historii prawa. Dobrze dają one poznać umysł Bandtkiego. W robocie jest sumienny i ogłębny, wskutek tego nawet suchy, ale wcale krytyczny.

Z dzieł jednak, ogłoszonych za życia, nie konstrukcyjne prace ostały się, i zapewniły Bandtkiemu imię w nauce. Dziś tych prac prawie nikt nie czyta, są one już oddawna przestarzałe. Nie odpowiadają zmienionym pojęciom, dzisiejszym wymaganiom krytyki źródeł. Przetrwalo, i do dziś dnia jest w użyciu inne dzieło, będące tylko wydawnictwem: «*Ius polonicum*», wydane w Warszawie w r. 1831. A choć dziś tak naprzód postąpiła praca wydawnicza, przecież tego dzieła Bandtkiego jeszcze się nie dało zastąpić w całości, jeszcze jest ono niezbędne dla każdego, który pracuje nad prawem polskim. *Ius polonicum* zawiera cały szereg tekstów ustaw średniowiecznych. Nie Bandtkie zwrócił uwagę na to, iż zbiory praw polskich nie zawierają wszystkich statutów, że po rękopisach znacznie ich [więcej, że teksty są tak różne. Pod tym względem wyprzedził go już Lelewel. Bandtkiego jednak jest wielką zasługą, że zajął się zbieraniem rękopisów, które wówczas zaczęły się pojawiać na targu po kassacie klasztorów, że umiał ocenić ich wartość i znaczenie. Kilka tych rękopisów, które były własnością Bandtkiego, do dziś znane są pod jego imieniem, i stanowią wielką ozdobę bibliotek, do których się po jego śmierci dostały. Zbierał i odpisywał teksty, tak te, które już były znane, jak i wiele nieznanych pierwiej wcale. Złożył się z tego gruby tom. Tem się przysłużył w znakomity sposób nauce, i silnie ją naprzód posunął. Wprawdzie sposób wydania nie jest już dziś wystarczający, wprawdzie nie rozwiązał wielu trudności, które nastrezczały teksty, a nawet wprowadził wskutek tego w naukę trochę zamieszania. Mimo to jednak sam fakt, że umiał ocenić wartość tych

rękopisów, i że teksty uprzystępniał dla uczonych, pozostanie jego niespożyta zasługa, i węgielnym kamieniem jego zasług na polu historii prawa polskiego.

*Ius polonicum* jednak, jako dzieło, przystępne tylko dla tych, którzy sami nad prawem polskim pracują, nie mogło być popularne. Znaczenie Bandtkiego szersze zapewniły dwa dzieła, które ogłoszone zostały po jego śmierci, przez jego syna, a mianowicie: 1) «Historia prawa polskiego» (Warszawa 1850) i 2) «Prawo prywatne polskie» (Warszawa 1851). Oba te dzieła powstały z wykładów, które miał Bandtkie w uniwersytecie warszawskim, jako profesor prawa polskiego.

«Jaka potrzeba, jaki pożytek poznawać prawa dawne polskie i ich dzieje, gdy stały się dawnymi, gdy należą do przeszłości»? Na postawione przez siebie w ten sposób pytanie Bandtkie daje następującą odpowiedź: «Użyteczność tej nauki jest dla obcych nawet powszechną, dla nas zaś konieczną i szczególną. Wielkich lubo upadłych narodów przygody i życie są pełne nauki, bo wykrywając przyczyny choroby i śmierci, stanowią przestrożę i doświadczenie... Dla nas zaś są szczególne powody w ocenianiu użyteczności i potrzeby poznania dawnych praw polskich i ich dziejów. Do dziś dnia i na długie zapewne jeszcze czasy wydarzają się rozliczne przypadki w rządzie i w sądach, których właściwe rozpoznanie wymaga dokładnej znajomości naszych praw dawnych. Dzieje, pod względem rządu i praw uważane, są najważniejszą częścią historii każdego narodu. Z ich dokładnego poznania i bezstronnego rozważania wynika przekonanie, że nie przypadkiem się nie dzieje, że skutki i wypadki wszelkie miały swoje przyczyny, że nie wszystko dawne było lepszym od tego, co jest nowszem lub nam współczesnem».

Tak określa Bandtkie zadanie historii prawa w przedmowie. Wzgląd na praktyczną doniosłość znajomości tych przepisów i tu więc silnie występuje, a na pierwszy plan wysuwa się w jego prawie prywatnem.

Historia prawa polskiego objęła u Bandtkiego cały obszar wewnętrznego życia narodu, nietylko ściśle to, co przez prawo rozumieć należy. Po wstępie, w którym mówi o ludach, osiadłych w czasach przed przyjęciem chrztu na ziemiach polskich, idą trzy rozdziały, na które podzielił historię: od Mieszka do Ludwika, od Lu-

dwika do Zygmunta Augusta, od Henryka do upadku państwa. Kończy książkę krótki ustęp o czasach późniejszych. W każdym z tych rozdziałów mówi o stanie kraju, o mieszkańcach i różnicy stanów, o rządach i rządzie, o dochodach i skarbie, wojsku, sądownictwie, o przemyśle, oświacie, obyczajach i ubiorze. Obszerny to plan,—to przecie prawie historia kultury.

Wykłady Bandtkiego wywierały wpływ wielki, na jego dzieło uczono się przez lat wiele o ustroju Polski. Dzieło jego nie jest wolne od wad, i to wielu. Bandtkie był za mało historykiem. Starał się zebrać materiał, lecz nie zebrał tyle, ile byłby umiał wyszukać historyk. Mówiliśmy, iż Bandtkie nie wzrósł jeszcze wśród nowych prądów w nauce prawa; jego «historia» powstała już jednak pod tym wpływem. Rozumiał go może, lecz nie umiał odczuć należycie. Grupuje fakty, ale ich nie wiąże, nie nadaje im życia. Mimo to jednak, jestto praca doniosła, nietylko przez swoje skutki, lecz przez treść, przez to, iż dała całokształt ustroju Rzeczypospolitej po raz pierwszy. Ma ona dla prawa polskiego mniej więcej to znaczenie, co głośne dzieło Eichhorna dla historii prawa niemieckiego.

Równie poważną, a może mniej wolną od błędów, jest praca druga, mająca za przedmiot prawo prywatne polskie. Przedstawia atoli nie historię, ale obraz przepisów prawnych w końcu istnienia Rzeczypospolitej, głównie dla praktycznych celów. Następne jednak prace z tego zakresu (Burzyński, Dutkiewicz) wyparły to dzieło z użycia, podczas gdy «Historia prawa polskiego» do dziś jeszcze zachowała dużą część swej wartości.

Takie są zasługi Bandtkiego. Pozostanie on w literaturze, jako właściwy ojciec nauki historii prawa polskiego. Nie był to człowiek genialny, nie podejmował zgłębienia wielkich problemów, nie otwierał nowych szerokich horyzontów. Stojąc na rozgraniczu epok, łączy je w swoich dziełach, lecz nie umie przejść do młodych. Badacz to jednak staranny i sumienny. Nie unosi się fantazją, która tak wiele wyrządziła w nauce złego, jest zawsze trzeźwy i jest dobry prawnik. Zarówno przez swe wykłady, jak i przez swe prace ożywia naukę prawa polskiego, przygotowuje grunt dla następców.

*Dr. Stanisław Kutrzeba.*

# Wacław Alexander Maciejowski.

\* 1793 † 1883.

Jeśli się weźmie do ręki którekolwiek z naszych peryodycznych wydawnictw z drugiego i trzeciego ćwierćwiecza 19-go stulecia „Panoramę literacką“ Szabrańskiego, czy warszawskiego „Ekonomistę“, „Przegląd naukowy“ Dębowskiego, czy „Bibliotekę Warszawską“, lub Ossolińskich... napewno spotkamy się z nazwiskiem Maciejowskiego, z jego artykułem, rozprawą, lub conajmniej recenzją. A prócz tego i osobnych broszur trochę, i sporą ilość przeszło dwudziestu tomów prac, obejmujących rozległe horyzonty, syntezę poglądów na całe wieki dziejów. Literatura, zwyczaj i obyczaje, a zwłaszcza prawo, i to rzymskie, jak pol-

skie i innych słowiańskich narodów, wszystko to go zajmowało, na wszystkich tych polach pracowa-

wał, i to z zapałem, a pilnością taką, że niewielu mogłoby mu dorównać. Nauka szła naprzód, powoli, ale bez końca. A u nas nie było dość sił naukowych, dość ludzi, którzyby mogli pracować spokojnie, wspólnymi siłami. I dziś jeszcze tak jest przecie. A trzeba było pracować i to pracować dużo, wydawać i pisać wiele, by wyrównać ościennym narodom, by nie zostać w tyle. Na barkach kilku lub kilkunastu spoczywał ten ciężar. Ale za to mieli oni żelazną siłę, bezmierny zapał, wytrwałość niezwykłą. To, co gdzieindziej robiło



*W. A. Maciejowski*

wielu, u nas dokonywali oni sami jedni; zdumiewają nas, zyskują uznanie jeśli nie dla wartości tych dzieł, które stworzyli, to dla samej pracy. A przodują w XIX w. Lelewel i Maciejowski, popychając naprzód historyczną wiedzę; za nimi pójdą inni, pójdzie Bartoszewicz, Szujski i tylu młodszych.

Wacław Alexander Maciejowski, urodzony 28 września 1793 r. w Kalwarii augustowskiej, stracił wczesnie rodziców. Opiekował się nim brat starszy Józef, profesor szkół pijarskich w Piotrkowie. Tu też zaczął się uczyć i Wacław w szkołach pijarskich, a skończywszy je w r. 1810, przez rok jeden sam tamże nauczał. W r. 1812 podążył do Akademii krakowskiej, którą wtedy właśnie zreformowano. Został tu dwa lata, otoczony opieką Jerzego Samuela Bandtkiego, u którego nawet mieszkał. Pracował z nim razem nad autorami łacińskimi i greckimi, a równocześnie słuchał wykładów historii literatury, zwłaszcza starożytnej, historii powszechnej i logiki. Następnie udaje się do Niemiec, gdzie przebył lat cztery, kształcąc się na uniwersytetach w Wroclawiu (1814—1816), Berlinie (1817 r.) i Getyndze (1818 r.). Głównie pracował tu już nad prawem, a to nad prawem rzymskim, szczególnie we Wroclawiu i w Berlinie pod kierunkiem Unterholtzera i Savigny'ego, który wówczas był już powagą, ale także i u Gustawa Hugona w Getyndze. Tu też słuchał także wykładów Eichhorna. Pisać zaczął już w Krakowie (de Sueboldo Fiolo et Ioanne Hallero duobus antiquis Cracoviae typographis in Miscellaneorum Cracoviensium fasciculus I, II, p. 75, 107. Kraków, 1814); za drugą pracę, już z zakresu prawa (de origine stipulationis) zyskał nagrodę w Wroclawiu. W Getyndze wydrukował rozprawę: de vita et constitutionibus C. Q. Missi Trajani Decii (r. 1818), za którą dostał tytuł doktora praw.

W Berlinie i Getyndze bawił jako stypendysta ministerstwa oświecenia księstwa warszawskiego. W myśl warunków stypendyum, które miało na celu dostarczanie sił do zakładów naukowych księstwa, wraca do kraju, i obejmuje (r. 1818) posadę profesora literatury starożytnej w liceum warszawskim. W następnym roku (1819) dostaje nominację na profesora historii i instytucji prawa rzymskiego przy nowoutworzonym uniwersytecie. Po Bandtkiem objął w r. 1825 wykłady

pandektów, które prowadził aż do rozwiązania uniwersytetu (r. 1831). W latach 1831—1833 znów jest przy liceum; w r. 1834 zostaje sędzią przy trybunale cywilnym I instancji warszawskiego województwa. Przeszkadzało to jednak jego pracy naukowej, ustępuje tedy w r. 1838, by objąć posadę profesora literatury starożytnej w nowo wówczas utworzonej w Warszawie Akademii duchownej rzymsko-katolickiej. Od r. 1841 wykladał równocześnie na kursach prawnych historię dawnego prawa polskiego. Rok 1848 zamyka jego publiczną działalność. Cofa się do życia prywatnego, oddaje już wyłącznie nauce. Mieszkał stale w Warszawie, robiąc tylko naukowe wycieczki, do Lwowa, Pragi, Petersburga, Moskwy i t. d. Tu też zakończył życie w późnej starości w nocy z 9 na 10 lutego 1883 r.

Maciejowski zaczął od literatury starożytnej, której go uczył Bandtkie. Jeszcze w r. 1827 wydał po łacinie: Excursus ad Virgiliū Aeneid. IX. v. 74. (Warszawa). Zajął się jednak wkrótce więcej prawodawstwem Rzymian. Prócz wymienionych poprzednio rozpraw z tego zakresu ogłosił zarys prawa rzymskiego p. t. «Principia iuris Romani» (Warszawa, 1820), oraz trzy rozprawki, złożone razem jako «Opusculorum sylloge prima» (1823). «Principia» miał zamiar szerzej opracować, wydał też, nawet tom pierwszy p. t. «Historia iuris Romani» (Warszawa 1825 r.). Ale dalsze tomy już się nie pojawiły. Nosił się wciąż z myślą, by dalej pracować w tym zakresie. Kiedy jednak raz odbiegł od tego przedmiotu, by do innych wziąć się zagadnień, to nowe pole pracy, rozległe i prawie nietknięte, tak go zajęło, iż już oddał mu całe swoje długie życie. W tej nowej pracy zyskał wielką powagę, jaka otaczała długo jego imię. Odrazu pierwsza praca zwróciła powszechną uwagę. Mamy na myśli jego «Historię prawodawstw słowiańskich.» Dwa pierwsze tomy ukazały się w r. 1832, dwa następne w trzy lata później (w roku 1835). Na to nowe pole działalności wstępując, dał dzieło syntetyczne, wielkie, obejmujące kolosalny obszar dziejów, tysiące kwestyj. Wystąpił z syntezą praw słowiańskich, kiedy nie było jeszcze ani monografii, któreby torowały drogę do syntezy, ani nawet świadomości łączności prawodawstw słowiańskich narodów. Wśród takich warunków ukazanie się «Historii» zajęło wszystkich, którzy interesowali się historią, a zwłaszcza

historią prawa. Maciejowski też zyskał odrazu rozgłos potężny, jako pierwszorzędnny badacz historii prawa, rozgłos, który szedł daleko poza granice Polski. Ledwie się pojawiły pierwsze tomy, już zaczęto starania nad przetłumaczeniem historii na język rosyjski. Pracował nad tem student moskiewski Sawinicz pod kierunkiem Pogodina; rzeczywiście po rosyjsku wyszedł tom I (r. 1842). Ale tymczasem Maciejowski myślał o wydaniu drugim po rosyjsku swego dzieła, powiększonym do 6 tomów, nad czem pracował wraz z Tadeuszem Hizdewem z Bessarabii. Mieli w tej pracy wziąć udział także głośni uczeni czescy: Paweł Szafarzyk i Wacław Hanka. Tymczasem w latach 1835—1839 wychodzi historia prawodawstw w tłumaczeniu niemieckim Buscha i Nawrockiego. W r. 1856 ogłasza dr. Mikola Krstić «Historię» po serbsku, a liczba prenumeratorów doszła do imponującej cyfry 654, kiedy polskie wydanie miało ich tylko 140. Maciejowski odtąd pracę nad historią prawodawstw słowiańskich uważa za zadanie swego życia, ciągle krąży koło tego dzieła, a to wszystko, co pisze, uważa za uzupełnienia tylko i dodatki do niej. W r. 1839 ogłasza w dużych dwóch tomach: «Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian,» określając to dzieło, jako dodatek do historii prawodawstw słowiańskich. Już w r. 1840 przełożono Pamiętniki w całości na język rosyjski (część Orestoweckij w r. 1841), a część ich na francuski («Essai historique sur l'église chrétienne primitive des deux rites chez les Slaves» Lipsk, 1840 — tłumaczył Louis François de Sauvé). Wreszcie Maciejowski po latach kilkunastu ogłosił drugie wydanie historii prawodawstw, zupełnie przerobione, powiększone do sześciu tomów, w latach 1856—1865.

- Ten szkic dziejów głównej pracy Maciejowskiego daje wyobrażenie o tem, jakie wrażenie zrobiła historia prawodawstw słowiańskich, jak zainteresowała szerokie bardzo koła. Dziś o tem dziele mówi się trochę lekceważąco, czyta je zwyczajnie, kto musi; jeśli się młody, niedoświadczony bierze do niego, odradza mu się, by nieczytał. Skądże taka zmiana zapatrywań? Jakiż powód, że dzieło spotkało się z takim niezwykłym uznaniem, wkrótce po ukazaniu się w druku? Najlepszą odpowiedź daje rzecz sama.

«Historia prawodawstw» w pierwszym wy-

daniu obejmowała cztery tomy. Maciejowski dzieli historię praw słowiańskich narodów na dwie epoki. Pierwsza sięga do połowy XIV wieku, do chwili kiedy pojawiają się u narodów słowiańskich kodyfikacje. To uważa autor za punkt niesłychanej wagi. A daty tych kodyfikacji dość się schodzą ze sobą. Odtąd zaczyna się okres drugi, który dla jednych narodów trwa dłużej, dla innych krócej, jeśli, jak np. Czesi lub Serbowie, stracili możliwość swobody rozwoju. Epokę pierwszą obejmują dwa tomy. W tomie I pomieszcza Maciejowski ogólne uwagi i prawo polityczne, zaczynając od czasów historycznych; epoki przedhistorycznej w tem wydaniu jeszcze nie przedstawia. Tom drugi obejmuje prawo sądowe, t. j. prawo i proces, tak prywatne, jak karne. Dwa następne tomy podobnie między siebie dzielą opis ustroju państw słowiańskich od połowy w. XIV.

Maciejowski uwzględnia w «Historii» wszystkie narody słowiańskie. Dzieli je na przedkarpackie i zakarpackie. Do pierwszych liczy Polskę, Czechy i Ruś (zamiast której w drugiej epoce osobno omawia państwo rossyjskie); do drugich Słowaczyznę i Serbię, wciągając tu także źródła węgierskie ze względu na to, iż ziemie te, słowiańskie, nawet po podboju przez Madziarów zachowały wiele instytucyj wspólnych. Przedstawiając instytucje, omawia każdą z nich z osobna dla każdego z tych krajów, a więc źródła, ludność, władzę, prawa etc.

W tych czterech tomach nagromadził dużo materiału; dość porównać z Bandtkiego historię, by przekonać się, o ile więcej umiał wyzyskać materiał, choć uwzględniał tylko drukowane źródła. Przedstawienie rzeczy jest wcale jasne. Na pierwszy plan wysuwa Polskę; ten kraj bowiem, i jego prawodawstwo uważa za najczystszy objaw idei prawa słowiańskiego, choć jako najzdolniejszy słowiański naród przedstawiają mu się Czesi.

Zabrał się Maciejowski, jak sam to mówi, do tego dzieła, z praktycznych powodów. W r. 1820 powołano go do komisji, która miała się zająć kwestyą przejrzenia i poprawy praw krajowych. Wówczas to, kiedy podniesiono myśl, by przejąć obce prawo francuskie, Maciejowski, który się przejął widocznie dobrze poglądem Savigny'ego, wystąpił z żądaniem, by przedewszystkiem prowadzić dzieło poprzednie, oprzeć się na pierwiastkach rodzinnych. To było wówczas także głośnem ha-



słem w Niemczech. Zdanie Maciejowskiego podobno wzbudziło zainteresowanie, lecz nie miało praktycznego skutku. Maciejowski sam znalazł się w kłopotcie, kiedy mu zaproponowano, by wskazać sposób poinformowania się o prawach słowiańskich. Przekonał się, że brak zupełnie takiej pracy, wziął się tedy sam do roboty. Widoczna, iż wiele się nauczył, wiele rzeczy przeczytał i zużytkował. Lecz lat przeszło 12, nim praca ukazała się na półkach księgarskich.

Znaczenie jej, wielkie wrażenie, zrozumieć można, jeśli się zwróci uwagę na ówczesne stosunki i na stan nauki historii prawa. Daty, od których liczą powstanie szkół historii prawa u Słowian, są znacznie wcześniejsze od dzieła Maciejowskiego. Ale inaczej to wygląda, jeśli się przyjrzyć tym dziełom, jakie przedtem ogłoszono, i ich metodzie. O ile chodzi o historię prawa polskiego, przed Maciejowskim stoją Czacki i Bandtkie. Ale Czacki — to jeszcze dawna szkoła. Bandtkiego już prędzej można zaliczyć do nowej, jednak on jeszcze stoi na przelomie, więcej jeszcze ma wspólnego z prawnikami z końca XVIII w., niż ze szkołą, która powstała pod wpływem Eichhorna i Savigny'ego. Toż samo było i u innych narodów słowiańskich, o ile wogóle pracowano już nad historią ich prawa. Maciejowski dalej znacznie stoi od Bandtkiego, niż Bandtkie od Czackiego. Maciejowski wnosi ze sobą już zupełnie nowego ducha, nowe zapatrywania, nowe metody. To już w całym tego słowa znaczeniu historyk prawa. Nie formy jedynie przejął od tych, którzy tę naukę stworzyli, ale także i ducha. Wystarczy przeczytać kilka kart Bandtkiego i Maciejowskiego, wystarczy przejrzeć zasób źródeł, z których korzystają, oraz sposób, w jaki je wyzyskują, by odczuć tę wielką, tak silnie dzielącą ich różnicę. To, zdaje się, stanowi główne znaczenie historii prawodawstw i główną zasługę Maciejowskiego.

Ale jest jeszcze i druga strona dodatnia. Wtedy dopiero większe narody słowiańskie zdobyły się na pracę nad historią ich ustroju prawnego. Maciejowski poruszył po raz pierwszy także kwestye, tyjące się tych innych ludów, które same jeszcze wówczas się na to nie zdobyły. A działalność jego zesła się z działalnością innych uczonych, badających przeszłość Słowiańszczyzny, z których na plan pierwszy wysuwa się czeski Szafarzyk. Przez to zaś zestawienie pra-

wodawstw słowiańskich przyczynił się Maciejowski do rozjaśnienia poglądu na te prawa, stawiając jako zasadę, że w nich wspólny tkwi pierwiastek, że są to prawa rodzime, będące wypływem rozwoju, nie zaś przejęte od obcych, Germanów czy Rzymian, jak to przyjmowali poprzedni badacze prawa polskiego lub rosyjskiego, że tylko wspomnę np. Czackiego.

Tak więc charakter tego dzieła, odpowiadający ówczesnej potrzebie, sprawił, iż przyjęto historię prawodawstw z takim wielkim uznaniem, mimo wad, które miała.

Dalsza praca Maciejowskiego obraca się już ciągle odtąd koło historii prawodawstw, jak to wspomnieliśmy wyżej. Mówi on o niej: «to główne ognisko, w którym się skupiają promienie prac moich.» Już ogłaszając ostatnie tomy «Historii» myśli o powtórznem wydaniu, któreby szerzej te kwestye ujęło. Na razie zamiar, który już wprowadzać zaczął w życie, nie powiódł się, ale ta myśl ciągle tkwi w jego dążeniach. «Pamiętniki,» wydane w r. 1839, są rzeczywiście dopełnieniem historii prawodawstw. W tomie I uzupełnia obraz źródeł, oraz daje pogląd na historię najdawniejszych stosunków kościelnych u Słowian; w tomie II przedstawia zarys literatury do połowy wieku XIV. W obu tomach znajduje się cały szereg dodatków, które tworzą ekskursa do poszczególnych kwestyj, rozbieganych w historii prawodawstw. By na głębszych i szerszych podstawach oprzeć przyszłe wydanie, zabiera się do badań nad literaturą polską i nad zwyczajami i obyczajami. A że w pierwszym wydaniu zaczął dzieje praw słowiańskich dopiero od epoki historycznej, czując ten brak zabiera się do wyjaśnienia epoki poprzedniej, przedhistorycznej. Wynikiem tych badań są trzy obszerne prace:

1) Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do 1830 r. (Warszawa, 1841. 4 tomy).

2) Polska aż do pierwszej połowy XVII wieku pod względem obyczajów i zwyczajów. (Petersburg i Warszawa, 1842. 4 części, 2 tomy), i

3) Pierwotne dzieje Polski i Litwy. (Warszawa, 1846).

Z dzieł tych drugie zwłaszcza nie jest pozbawione zalet, a dotąd jeszcze nie zostało przez inną zastąpione pracą. W ciągu tych lat jak z rogu obfitości sypią się drobniejsze rozprawy,

recenzje i polemiki, których trzeba szukać po różnych naszych, dziś już po większej części zapomnianych wydawnictwach peryodycznych.

Nareszcie doprowadził Maciejowski do celu, wydając w latach 1856—1865 po raz drugi historję prawodawstw w sześciu tomach. Jestto połączenie poprzedniego wydania i «Pamiętników.» Tomy II—V odpowiadają mniej więcej tomom I—IV. pierwszego wydania, tom I prócz obrazu źródeł zawiera wstęp obszerny, kreślący obraz stosunków w dobie najdawniejszej (do IX w.).

W stosunku do pierwszego wydania przedstawia to nowe pewne dodatnie cechy, ale więcej ujemnych. Dziś to wydanie oczywiście więcej jest używane; zarzuty ciężkie, wymierzone przeciw Maciejowskiemu, głównie na niem są oparte. Musimy więc scharakteryzować te różnice.

Dodatnią stroną jest znacznie pełniejsze wyzyskanie źródeł. Troskliwie starał się zapoznać z jaknajwiększą ilością pomników przeszłości, które mogły mu objaśnić historję prawodawstw. Ale nie tylko drukowane wyzyskał źródła. Ostatni tom — t. j. tom VI zawiera wyłącznie wydanie całego szeregu zabytków prawodawstwa słowian i to tak polskich, jak czeskich, serbskich i t. d. Maciejowski niejednokrotnie w swych krytykach ostro przyganiał wydawcom, jeśli źródła nie były poprawnie wydrukowane i sam starał się o tę poprawność. Pod tym jednak względem dużo więcej wad jemu możnaby wytknąć. W każdym razie jednak ten tom VI przedstawiał znaczną wartość, bo dał poznać cały szereg zabytków, które spoczywały w rękopisach. To główna zaleta nowego wydania.

O ile chodzi o samą pracę konstrukcyjną, Maciejowski, bądź co bądź, zdumiewa rozległością badań. Nie ulega wątpliwości, że praca nie dawała takiego obrazu prawodawstw słowiańskich, jakiego by żądać można według tytułu. Nie wszystkie uwzględnia narody, nie w jednakiej mierze. Na pierwszy plan wybija się Polska, inne prawodawstwa traktowane są ubocznie. Jednak ten rozmiar pracy był bardzo duży.

Za to cierpi praca Maciejowskiego na braku krytyczności. Zbierał i gromadził materyał, ale go nie oceniał krytycznie. Dużo w tem fantazyi, nieraz fantastyczną jest nawet krytyka źródeł. W pierwszym wydaniu jest daleko powściągliwszy. Z biegiem czasu coraz silniej podnosi swoje teorye,

nieugruntowane należycie, i zastosowuje do nich przedstawienie wypadków.

Występuje to bardzo jaskrawie w drugim wydaniu historyi prawodawstw, zwłaszcza w tomie I. Już tu silnie zaznacza się teorya Maciejowskiego, który w Swewach, występujących w pierwszych wiekach po Chrystusie, widzi jakiś naród złożony z Niemców, Słowian i Litwinów. Stąd też cały szereg wiadomości, podanych przez rzymskich pisarzy, wprost do Słowian odnosi. Ale nie dość na tem. Buduje drugą teoryę, opartą na Herderze, o charakterze narodów. Słowian przedstawia oczywiście — jak to jeszcze i dziś nieraz się czyta — w oświeceniu idealistycznym, jako naród spokojny, głównie rolniczy, nie znający niewoli, łatwy do ujarznienia i t. d., i t. d., w przeciwstawieniu do Niemców brutalnych i despotycznych. W myśl tej zasady zalicza do rzędu praw słowiańskich źródła takie, jak zwierciadło saskie i szwabskie, uznając je za prawa narodów słowiańskich, później zgermanizowanych. Stąd co łagodne i ludzkie w przepisach tych praw, to one, według zdania Maciejowskiego, słowiańskiemu zawdzięczają pierwiastkowi. Co surowością tchnie, to naleciałości germańskie. Wystarczy, sądzę, zaznaczyć te dwie jego teorye; dziś zbyt znane są nowsze zapatrywania naukowe, by potrzeba zbijać te poglądy. Jasno z nich widać niekrytyczność Maciejowskiego.

Pod innym też względem znacznie gorzej przedstawia się historia ustroju państw słowiańskich w drugim wydaniu. Kreśląc ją po raz pierwszy, Maciejowski omawiał przedewszystkiem zawsze Polskę, obok inne narody, ale tak, że o każdym mówił z osobna, nie starając się zbyt o to, by dać jakąś wspólną nić rozwoju. Widocznie jednak spostrzegł, że nie odpowiada to założeniu, z którego wyszedł. Przecie zadaniem miało być właśnie przedstawienie tych wspólnych pierwiastków czysto słowiańskich. Dlatego to, sądzę, dąży on w drugim wydaniu do tego, by wprowadzić większą łączność w przedstawieniu rzeczy, by zbliżać przepisy, u różnych brane narodów, wykazywać ich powinowactwo. Zasadę tę stosuje zarówno we wszystkich epokach.

Nie wyszło to na korzyść pracy. Niedawno jeden z naszych uczonych sformułował świetnie cele, jakie ma praca nad prawodawstwami słowiańskimi. Pierwiastków wspólnych można szu-

kać tylko w najstarszej dobie istnienia. Przez porównanie instytucji w czasach historycznych należy iść wstecz, by odtworzyć te zasady, które były niegdyś wspólne narodom słowiańskim, które stanowiły prawo słowiańskie. A i tu, sędzę, należałoby jeszcze silniejszy położyć nacisk na porównanie z ustrojem obcych narodów, bo jak wykazuje historia porównawcza prawa i socjologia, cały szereg instytucji na tych najniższych szczeblach rozwoju jest wspólny już nie narodom, złączonym ściślejszymi węzłami, lecz nieraz takim nawet, które do zupełnie innych ras się zaliczają. Pewne przeżytki pierwotnego prawa słowiańskiego pozostają nieraz przez czas pewien, niektóre nawet bardzo długo. Ale są to już tylko pewne instytucje. W rozwoju dziejowym odbiegają narody znacznie od siebie, nie można zatem porównywać ich instytucji, tak jak to robił Maciejowski. Te pierwotne wspólne pierwiastki zacierają się z czasem, a nawet całkiem nikną. O ile chodzi nie o pewne tylko wyjątkowe kwestie, lecz o całokształt ustroju, to po historii prawa słowiańskiego tej prastarej doby idą już tylko historie poszczególnych narodów słowiańskich, które tylko gdzieś wykazują podobieństwo. W tem określeniu zadań nauki tkwi już krytyka zapatrywań Maciejowskiego, a zwłaszcza metody, którą zastosował z taką siłą w drugim wydaniu swej historii prawodawstw.

Na tem dziele zamyka się właściwa działalność Maciejowskiego. Nie znaczy to oczywiście, by przestał pisać; jak dawniej, rozrzuca hojnie artykuły, ciągle dopełnia swoją historię prawodawstw. Tu należą dwie większe prace: «Dopełnienie historii prawodawstw, art. I. Dzieje Polski przedchrystusowej» (Warszawa, 1872), w której dalej rozwija swoje hipotezy, i rozprawa: «A. Z. Helcel jako prawnik historyk» (Rozpr. i spraw. wyd. hist.-fil. Ak. Um. Krak. t. VI. r. 1877), gdzie z Helcela starodawnych prawa polskiego pomników tomu I czerpie nowe dodatki do swej pracy.

Z tą ciągłą myślą Maciejowskiego o historii prawodawstw słowiańskich łączą się też i dwie duże prace, które jednak mają odrębny charakter. Są to: 1) «Historia włościan i stosunków ich politycznych, społecznych i ekonomicznych, które istniały w Polsce od czasów najdawniejszych aż do drugiej połowy XIX wieku.» (Warszawa, 1874)

i 2) «Historia miast i mieszczan w krajach dawnego państwa Polskiego od czasów najdawniejszych aż do połowy XIX wieku.» (Roczniki Tow. przyj. nauk. poznańskiego, t. XVII, zeszyt 2, str. 125—404). Pierwszą pracę napisał Maciejowski na konkurs, który rozpiśało poznańskie towarzystwo przyjaciół nauk. Rzeczywiście nagrodę otrzymał. Historia miast miała tę pracę uzupełnić, ale nie wydał jej już Maciejowski. Dopiero po jego śmierci ogłosił ją z pozostałych papierów Michał Witanowski. Obie są bardzo do siebie podobne. Niejasne są zwłaszcza początkowe ustępy «Historii włościan,» przepełnione dziwaczniemi poglądami Maciejowskiego. Obie bardzo niekrytyczne, nie wyzyskały źródeł, a raczej wyzyskały źle i niekompletnie. I nic dziwnego. Pisał je Maciejowski już pod koniec życia; trudno żądać, by mógł być iść za postępem wiedzy. Pozostał na tym stopniu pojęć, który się ostatecznie skryształizował w drugim wydaniu historii prawodawstw.

Jeśli się chce ocenić działalność i wartość Maciejowskiego, trzeba pamiętać o tem, iż należał on do pokolenia, do którego wołał poeta: «mierz siły na zamiary!» Siły na zamiary mierzył Maciejowski. Podjął zadanie takie wielkie, takie rozległe, iż nie mógł mu sprostać — nie byłby sprostał, nawet gdyby były znacznie większe jego siły, a zwłaszcza jego zdolność krytyczna. Nie znaczy to jednak, że nie ma zasług. Zasługi są, i są duże. Zwrócenie uwagi na łączność praw słowiańskich, na ich wspólny rodzimy początek, to już było zasługą. Po nim przez lata całe nikt się nie zajmował u nas tą kwestyą. Dopiero dziś znowu budzi się ruch, widać dążenie, które choć w bardzo odmienny sposób, z inną metodą, przecież wraca do myśli, które głosili: pierwszy Rastawiecki, a za nim silniej Maciejowski. To już wiele znaczy.

Ale ma Maciejowski także zasługi i dla prawa polskiego. Zawsze wysuwał je na czoło, cały szereg rozpraw jemu wyłącznie poświęcił i wniósł tu ożywczy prąd, który słabo tylko zaznaczył się u Bandtkiego. Wprowadził naukę historii prawa polskiego na właściwe tory, wytknięte przez nowo powstałą wówczas szkołę, której on był u nas rzecznikiem. A po za tem jakże wielka jego ruchliwość! Choćby nie rozwiązywał kwestyj, choćby je rozwiązywał źle, to przecież działał dużo przez to, że tak niezmordowanie pracował, że tyle

pisał, a tem pobudzał innych do myślenia, do pracy.

Że tak szybko przebrzmiało znaczenie Maciejowskiego, jeszcze za jego życia, powodów szukać należy przede wszystkim w charakterze jego pracy. Odrazu chciał stanąć u celu, do którego brak było jeszcze szczebli, mogących służyć za pewną podstawę. Słusznie też mówi o Maciejowskim jeden z naszych uczonych, mając na myśli jego historję prawodawstw słowiańskich: «zadanie było olbrzymie, takie, na jakie nietylko przed-

tem, ale i potem nie zerwał się nikt w całej Słowiańszczyźnie... Gdyby dzieło to, założone na tak szerokie rozmiary, było naprawdę wykazało istotną, trwałą, wartość naukową, bylibyśmy musieli dziwić się temu zjawisku bardziej, aniżeli się dziwimy, że zadaniu swemu nie sprostało.» Oceniać też Maciejowskiego należy nie ze stanowiska dzisiejszej nauki, ale na tle ówczesnych naukowych stosunków. A w takim razie musimy mu przyznać prawdziwe zasługi.

*Dr. Stanisław Kutrzeba.*



# Romuald Hube.

\* 1803 † 1890.

**R**omuald Hube zajął w Panteonie nauki polskiej miejsce wybitne, w dziedzinie zaś swej specyalności, t. j. nauki prawa — jedno z najpierwszych.

Do tego stanowiska nadaje mu prawo nie tylko ilość i wewnętrzna wartość jego prac naukowych, ale i odrębność kierunku wyróżniająca je stanowczo a dodatnio od innych. Prawna nasza literatura nie zawiera w sobie dzieł filozoficznych (pomijam utwory drobne, urywkowe); wypełniają ją wyłącznie prace dogmatyczne oraz historyczne. Te ostatnie, zainaugurowane zaszczytnie w samym początku XIX stulecia przez Tadeusza Czackiego, zasługują na szczególne wyróżnienie dzięki głośnym nazwiskom Bandkiego, Lelewe-

la, Maciejowskiego, Helcla, Piekosińskiego, Łaguny, Ulanowskiego, Balzera i wielu innych. Ucze-

ni ci jednak nabyli tytułu do sławy prawie wyłącznie jako historycy, jako wydawcy i komentatorowie źródeł prawa, jako badacze jego początków, oraz niektórych starożytnych jego przejawów, nie zaś jako prawnicy, którzyby na podstawie historyi wyjaśniali i oświecali samo prawo, jego żywe i ustrój społeczny przenikające instytucje. Ci zaś autorowie, którzy jak Dutkiewicz, Burzyński i inni (a obok nich i wyżej wymienionych Bandkie i Helcel) opracowywali dogmatycznie polskie prawo prywatne, grzeszą brakiem poczucia historycznego rozwoju instytucji prawnych, i albo wtłaczają je w ramy systematów





prawnych rzymskiego lub nowoczesnych—albo wyjaśniają je po komentatorsku ad usum fori.

Romuald Hube był jednocześnie i historykiem i prawnikiem, i to pracom jego nadaje ową odrębność, o której—wyżej wspomniałem. Umiał on oceniać należycie źródła i zabytki historyczne prawa, umiał szperać w archiwach i wydobywać z nich cenne materiały do budowy całokształtu prawnego bytu, ale umiał też opracowywać oddzielne instytucje prawne, na tle tych źródeł, i rzucać na nie jasne światło swej historycznej wiedzy. Złożyły się na to różne okoliczności, jako to wrodzone zdolności, niespożyta energia i dzielność ducha, która pozwoliła mu do tak późnego wieku pracować z prawdziwie młodzieńczą werwą, rozliczne i wysokie stanowiska urzędowe, które zajmował, a które ustrzegły go od jednostronności i zmusiły do łączenia zalet męża stanu, praktyka ze stanowiskiem gabinetowego uczonego, a wreszcie kierunek wykształcenia, oparty na głębokiej znajomości prawa rzymskiego, oraz zagranicznych prawodawstw i literatury prawnej.

Żył Hube lat przeszło 87 a pracował na niwie nauki 67. Urodził się w d. 7 Lutego 1803 r. w Warszawie z ojca Michała referendarza stanu i matki Maryanny z Płońskich. Rodzina jego pochodziła z Wielkopolski z powiatu nakielskiego, gdzie dziad Romualda (a według metryki Romualda Jana Ferdynanda)—Jakób, był urzędnikiem sądowym. Początkowo Romuald Hube kształcił się w Dreźnie, gdzie czas jakiś zamieszkiwali jego rodzice, poczem pobierał nauki w liceum warszawskim i w Krakowie u Pijarów. Karyerę urzędową rozpoczął w 17 roku życia już bowiem 1 Grudnia 1819 r. mianowany został aplikantem Prokuratury Generalnej w Warszawie. Mając jednak zamiłowanie do nauki, wyrobił sobie w r. 1823 urlop i udał się do uniwersytetu berlińskiego, gdzie słuchał wykładów Hegla, Steffensa, Bockha, Bittera, a głównie sławnego romanisty, historyka Savigny'ego, którego wpływ widoczny jest w całej późniejszej działalności naukowej Hubego.

Po powrocie do kraju w r. 1825, dwudziesto dwu letni młodzieniec wstępuje na katedrę uniwersytecką w Warszawie, z której jako lektor, wygłasza historią prawa rzymskiego i niemieckiego, a od r. 1828 zastępczo prawo kryminalne. Po uzyskaniu w r. 1829 stopnia doktora

obojga praw, mianowany został professorem prawa kanonicznego i kryminalnego i pozostawał na tem stanowisku do r. 1832 t. j. do chwili zamknięcia uniwersytetu. Jednocześnie objął stanowisko prezesa sądu kryminalnego,—zaś w r. 1834, mianowany, na członka komisji dla rewizji i kodyfikacji praw Królestwa Polskiego, opuścił Warszawę i przeniósł się do Petersburga. Tam obok zajęć urzędowych oddał się studjom archiwalnym, których rezultat ogłaszał od czasu do czasu drukiem, a od 1841 r. objął w Uniwersytecie Petersburskim jedną z dwu nowootworzonych katedr, do wykładu praw obowiązujących w Królestwie Polskiem. Wykładał prawo karne, administracyjne i historię prawa. Druga ze wzmiankowanych katedr obejmowała prawo cywilne i złączone z niem ustawy, a professorem mianowany został Cypryan Zaborowski. Przygotowanie się do wykładu pochłonęło Hubemu wiele czasu, co spowodowało, że ten okres jego życia najmniej wzbogacił literaturę. Działalność profesorską przerwał Hube z powodu wyjazdu na dłuższy czas do Rzymu. Po powrocie, pozostawał nadal w komisji kodyfikacyjnej, a w r. 1851 został jej prezesem. Otrzymał również nominację na Senatora.

W r. 1861 powraca Hube do Warszawy na stanowisko dyrektora głównego w nowo utworzonej Komisji wyznań i oświecenia publicznego, Już jednak w r. 1862 zmuszony był je opuścić ustępując miejsca Krzywickiemu. Pozostał jednak i nadal członkiem Rady Stanu Królestwa. Po ponownym wyjeździe do Petersburga piastował nadal godność Senatora, a następnie mianowany został członkiem Rady Państwa, najwyższej instytucji Państwowej. Wreszcie porzuciwszy z powodu podeszłego wieku zajęcia urzędowe, osiadł na stałe w kraju zmieszkując po części w majątku swym Stobiecku pod Radomskiem, a po części w Warszawie, gdzie w dniu 9 Sierpnia 1890 roku życie zakończył.

Jeżeli jednak późny wiek, a po części i przytępienie słuchu, usunęły Hubego na kilka lat przed śmiercią od działalności na polu urzędowym, to nie przeszkadzały mu przecież z całą energią pracować na tem polu, które głównie umiłował i które imię jego uwieczniło t. j. na polu nauki. Przeciwnie zwolniony od zajęć, które go w ostatnich czasach mniej już interesowały, od-

dał się wyłącznie ulubionym badaniom, otoczony bogatymi swymi zbiorami w znacznej części rękopiśmiennymi. W przybytku tym chętnie widział każdego, kto na pokrewnem mu polu pracował, lub choćby tylko pracować miał zamiar, a kto opuszczał gościnne progi tego weterana nauki, zachowywał na zawsze podziw dla jego uprzejmości, świeżości umysłu i czynności. Nie znać w nim było rozgłośnego uczonego, ani pierwszorzędnego dygnitarza, lecz jedynie starszego, doświadczonego kolegę, którego interesują i cieszą naukowe dążenia młodszych, który chciałby w nich widzieć swych duchowych następców i który zawsze gotów jest dobre w tym kierunku chęci poprzeć uznaniem, zachętą, radą, a nawet pomocą naukową ze swych zbiorów. Piszący te słowa, do dziś dnia przechowuje jako drogocenną pamiatkę, ofiarowany mu przez bawiącego w tedy jeszcze w Petersburgu (w r. 1878) Romualda Hubego, własnoręczny jego odpis, jednego z rękopisów Biblioteki publicznej petersburskiej. Owoce, jakie naukowa działalność Hubego wydała, były z jednej strony bardzo liczne i różnorodne z drugiej zaś wyróżniające się wybitnie pod względem swej wewnętrznej wartości. Obejmowały one wszystkie niemal działy nauki prawa, bo wkraczały w zakres prawa rzymskiego, kanonicznego, karnego i cywilnego. Głównym jednak tytułem do sławy naukowej, są prace jego nad historią prawa i to nie tylko polskiego, w której zajmuje niezaprzeczenie jedno z pierwszych miejsc, ale i obcego, a zwłaszcza prawodawstw germańskich. Na rodzaj studyów Hubego w każdej poszczególniej epoce jego życia, wpływały z konieczności rozliczne jego zajęcia praktyczne, w które tak obfitowało jego czynne życie, jako to działalność profesorska, sądownicza i prawodawcza. Pomimo to jednak znać w całej jego karierze naukowej, górującego nad chwilowymi kierunkami, jednolitego ducha wiedzy, który choć zwolna i z pewnemi zboczeniami prowadził go w jednym racjonalnym kierunku. Zgodnie z naturą rzeczy rozpoczął on swe występy na polu naukowej literatury od rozpraw nad tematami ogólniejszemi, lub z zawodem jego wprost związanemi i mających w skutek tego charakter bądź popisowy, mający mu dać wstęp do urzędowej korporacji naukowej, bądź praktyczny wywołany potrzebą chwili. Wkrótce już

jednak, bystre jego oko, padło na niwę mało opracowaną i dającą pole do samodzielnej, twórczej pracy, a z drugiej strony, świeżo poruszoną znamienitemi pracami zachodniej nauki, zwłaszcza niemieckiej na niwę historii prawa. To też różnorodnością prac Hubego, odznacza się głównie pierwszy okres jego pisarskiego zawodu. W dalszym ciągu, występują w nim coraz wyraźniej na jaw studia historyczne, które w ostatnich czasach życia sędziwego uczonego, po usunięciu się od działalności urzędowej, w zupełności pochłonięły jego umysł.

Pierwsze prace Hubego, stanowią rozprawy nad prawem rzymskim, będące niejako wypracowaniami naukowemi wyższego rzędu, mającemi przedstawić uczonemu światu nowowstępującego w jego szranki kolegę. W r. 1826 wydrukował on „*Domitii Ulpiani fragmenta libri regularum singularis*“ t. j. rodzaj komentarza do dzieła głośnego rzymskiego prawnika,—zaś w r. 1827. *Gaji Institutionum commentarii ad finem secundae editionis berolinensis editi*“. Nareszcie w r. 1828 ukazała się trzecia i ostatnia praca jego w tym kierunku: „*De furtis doctrinum ex jure Romano explicavit historice et dogmatice R. Hube*“ t. j. wykład historyczny i dogmatyczny o kradzieży według prawa rzymskiego.

Ta ostatnia rozprawa stanowi niejako przejście do drugiej kategorii prac Hubego t. j. do studyów nad prawem karnem, będących, w związku z powołaniem go r. 1828 zastępczo na katedrę tegoż prawa. Wpływ tej katedry był na naukową działalność o tyle znaczny, że ogłaszał prace z tej dziedziny i w późniejszych okresach swego życia, co zresztą było po części wynikiem także i jego udziału w Komisji Kodyfikacyjnej i w redakcyi kodeksów z r. 1845 i 1847. Pierwszym występem Hubego na tem polu była ogłoszona w r. 1828 rzecz „*O teoryach prawa kryminalnego*“, za nią zaś poszły inne, przeważnie drobne, drukowane w nowozałożonem piśmie prawnem „*Themis Polska, czyli pismo nauce i praktyce prawa poświęcone*“. Pismo to zaczęło wychodzić w Warszawie w formie miesięcznika w r. 1818, a wydawcami jego byli August Heylman, K. A. Hofman, Romuald Hube, brat jego Józef Hube, J. Korytkowski, Wacław Aleksander Maciejowski, J. Maciejowski, Wincenty Majewski, I. Mędrzecki, J. Rudnicki, Aleksander This, Jan

Kanty Wołowski, T. Wołowski i Cypryan Zaborowski. W ciągu 3 letniego jego istnienia Hube drukował w nim liczne artykuły przeważnie treści kryminalnej, a mianowicie „Wykład zasad o usiłowaniu występku z zastosowaniem do kodeksu karnego Król. Pol.” (1828) „Czy chłostę podług przepisów art. 219 i 226 uważać należy za obstrzeżenie czyli za podstawienie kary więzienia, na podpalaczy i złodziei” (1828) „Jak tłumaczyć wypad art. 323 kodeksu kryminalnego” (1828) „O działaniach bezprawnych ze względu na wolę osoby działającej” ((1828 i 1829) „Artykuł 227 kodeksu karnego jak stosowany być winien” (1829) i kilka uwag nad artykułem 154 kod. karnego” (1829).

Były to prace epizodyczne, wywołane chwilowymi okolicznościami, a głównie zapewne potrzebą zasilania pisma, do którego redakcyi należał. Lecz i całość prawa karnego znalazła w Hubem sumiennego i dzielnego komentatora w ogłoszonym w r. 1830 dziele „Ogólne zasady prawa karnego” (str. 482), w którym obok systematycznego wykładu kodeksu karnego z r. 1818 zamieścił ogólną teorią pojęcia przestępstwa i kary, oraz historyczny ich rozwój u różnych narodów. Dzieło to nie zakończyło szeregu prac Hubego w dziedzinie kryminalistyki. Wrócił on do nich po wielu latach i ogłosił w r. 1863 wyżej już wspomnianą rozprawę *Studia nad kodeksem karnym 1818 r.* (część I str. 190), rzecz poświęconą, nie tylko rozbiorowi tego, od lat już kilkunastu nieobowiązującego prawa, lecz porównawczemu jej zestawieniu z najnowszymi prawodawstwami zagranicznymi. Było to niejako przygotowanie materiału do projektowanej w owej epoce ogólnej reformy obowiązującego w kraju prawodawstwa, nie doprowadzonej do skutku z powodu zmiany okoliczności. Nareszcie, ostatnie studium Hubego nad prawem karnem, choć już i w dziedzinę historii prawa wkraczające, stanowi „*Historia prawa karnego rosskiego*” (t. I w. roku 1870 i II w r. 1872). Wypowiada w niej autor, swój pogląd na rozwój prawa wogóle i przychodzi do wniosku, że odbywa się on według pewnych stałych zasad, co daje możność wyjaśniać jedno prawodawstwo przez drugie, czyli innymi słowy, otwiera szerokie pole dla porównawczego badania praw różnych epok i różnych narodów. Myśl ta niezbyt jasno i właściwie, przez

wielu z naszych historyków prawa odczuwana, stanowi wybitną charakterystykę umysłowości Hubego i nadaje pracom jego w zakresie historii prawa, to wielkie naukowe znaczenie, które postawiło go w pierwszym rzędzie wśród polskich uczonych w ogóle.

Inne działy prawa, mianowicie ogólne teorie prawa i prawo cywilne znacznie mniej zawdzięczają Hubemu niż prawo karne. W ich zakresie pozostawił po sobie drobniejsze tylko prace drukowane w znacznej części w Themidzie, a mianowicie „*O stanie nauki prawa w naszych czasach*” (1828) „*O prokuratorach we Francyi*” (1828) „*Uwagi nad systematem kodeksu cywilnego francuzkiego*” (1829) i „*Niektóre uwagi nad historią nauki prawa*” (1830). Ostatnia z tych rozpraw, stoi w ścisłym związku z pierwszą i jest odpowiedzią na zarzuty jakie spotkały tamtą, ze strony Augusta Heylmana w jego „*Wywodzie zasad ogólnych nauki prawa i prawodawstwa*”. W obu wypowiedziach Hube swój pogląd na powstawanie prawa i zadanie nauki prawa, pogląd wówczas nowy, przez niemiecką szkołę historyczną zainaugurowany, a któremu nauka prawa w XIX stuleciu, główne swe postępy zawdzięcza. Nie dziw, że przystępując następnie do prac nad historią prawa, a zwłaszcza polskiego z takim przygotowaniem teoretycznym i z taką świadomością jej celów i zadań, zdobył sobie Hube to odrębne stanowisko, o którym na początku obecnego artykułu wspomniałem.

Dla zakończenia z tą trzecią kategorią prac Hubego, wymieniam późniejsze jego w tym kierunku występy, a mianowicie: *Ueber die Zustände der neuen juristischen Literatur in Russland* drukowane w r. 1842 i „*Kritische Zeitschrift für Rechtswissenschaft und Gesetzgebung*” „*O jurysprudeneyi*” w Tygodniku Petersburskim w r. 1844 oraz „*Kodeks cywilny włoski*” w r. 1866.

Przechodzę do głównej sfery naukowej działalności Hubego, do historii prawa. Że to było jego właściwe pole działania, że był on z góry przeznaczony na prawnika historyka, że wreszcie prace jego w innym kierunku były tylko przypadkowymi wycieczkami, spowodowanymi potrzebą danej chwili, to widoczne jest dla każdego, kto zna jego studia przygotowawcze, oraz poglądy, wypowiedziane w rozprawach o stanie nauki prawa i znaczeniu historii prawa. Było

to jednak pole bardzo jeszcze nieuprawione i wymagające jeszcze zbyt mozolnej i długiej pracy, żeby owoce jej wkrótce mogły być uwydatnione. Nie ulega wątpliwości, że dopiero pobyt w Petersburgu, umożliwił Hubemu studia historyczne, dające mu i czas i możność rozpoczęcia badań archiwalnych. To też mniej więcej 30 letni okres jego życia od wyjazdu z Warszawy (r. 1834) uważać należy za epokę przygotowawczą dla dzieł ogłoszonych w czasach późniejszych. Przez ten czas, gromadził on materiały, do opracowania całości dawnego prawa polskiego według naukowej metody, ogłaszając od czasu do czasu, oddzielne opizodyczne rozprawy lub teksty źródeł, które w danej chwili szczególnie zwróciły jego uwagę. Zresztą i w pierwszym już okresie naukowej działalności Hubego, mamy do zaznaczenia kilka drobniejszych rzeczy w tym kierunku. W r. 1829 wydrukował w Themidzie „*O starożytnych zbiorach praw czeskich*“. Był to rezultat pobytu w r. 1828 w Pradze czeskiej. W tymże roku napisał „*O pokorze według praw polskich i czeskich*“ oraz opublikował 5 dyplomatów z lat 1227—1418 (w Themidzie) zaś w r. 1830 podał wiadomość *O dawnych pisarzach prawa kryminalnego w Polsce*. Wreszcie gdy brat jego Józef Hube ogłosił w ostatnim numerze Themidy (w r. 1832) część swojej pracy wyróżnionej na konkursie Uniwersytetu Warszawskiego „*Wywód spadków podług dawnych praw słowiańskich*“ Romuald opatrzył ją swoim dodatkiem (bezimiennie).

Bezimiennie również ogłosił w r. 1839 w Tygodniku Petersburskim „*Statystyka ziemi Krakowskiej*“. W rozprawie tej wykazywał pochodzenie 18 artykułów statutów Kazimierza W., uznając je za statuta krakowskie z XIII wieku. W r. 1852 Biblioteka Warszawska pomieściła dwie bezimienne prace Hubego „*O najdawniejszych statutach synodalnych polskich*“ i „*przyczynek do objaśnienia historyi statutu Wiślickiego*“. Na ten przyczynek, oparty na nieznanym dotąd rękopisach statutu, zwrócił szczególną uwagę, znamienity Antoni Zygmunt Helcel, w swoim wywodzie o pochodzeniu statutów Kazimierza Wielkiego zamieszczonych w I tomie *Starożytnych prawa polskiego pomników*. W r. 1856 opublikował Hube w Petersburgu, ustawy dwunastu synodów duchowieństwa polskiego z lat 1233 do 1406, pod tytułem *Antiquissimi mae constitutiones*

*synodales provinciae Gnesnensis maximo ex parte nunc primum e codicis manus criptis typis mandatae*“.

Od r. 1863 zaczynają się pojawiać coraz częściej prace Hubego, już wyłącznie w zakresie historyi prawa. Z powodu nabytego do Warszawskiej biblioteki głównej, za jego staraniem rękopisu prawa salickiego, zamieścił w Bibliotece Warszawskiej artykuł „*O formułach Sirmondzkich*“ stanowiący inauguracją studyów nad prawami germańskimi (*leges barbarorum*) a co za tem idzie do wzbogacenia materiału porównawczego dla historyi prawa. Owocami tych studyów były: *Prawo burgundzkie, historia jego powstania i ocenienie nowej jego edycyi* (Warszawa 1865 r.) oraz wydane też w Warszawie w r. 1867 w dwóch edycjach polskiej i francuzkiej „*Prawo salickie podług tekstu rękopisu Biblioteki głównej Warszawskiej* (*La loi salique d'après un manuscrit de la Bibliothèque centrale de Varsovie précédée d'une préface et d'une notice, sur un manuscrit de la Lex emendata de la Bibliothèque Imperial de St. Pétersbourg*). Nie można też pominąć milczeniem ogłoszonego drukiem w r. 1864 wyciągu katalogu prywatnej biblioteki Hubego, *Extrait du Catalogue de la Bibliothèque du Sénateur Hube*, ważnego z tego względu, że podawał wiadomość o samodzielnym istnieniu statutach wielu miast włoskich.

Studyom nad prawami słowiańskimi zawdzięczamy znakomitą rozprawę „*O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko bizantyńskiego u narodów słowiańskich*“ (r. 1868) z dodatkiem exceptów. Serbskich z praw rzymsko bizantyńskich. Potem idą „*Wiadomości o sądach, bożych czyli ordaliach w dawnej Polsce* (1868), *Rękopis XV w. postępowanie sądowe w Czechach* (1868) *Recenzja Kodeksu dyplomatycznego Tynieckiego wydanego przez Kętrzyńskiego i Smolkę* (1872). *Pogląd na nowsze prace około wyjaśnienia historyi praw Słowian południowych* (1872) *kilka aktów oryginalnych sądowych z w. XIV i XV* (1873) i *statut Wartski Władysława Jagiełły* (1874).

Wreszcie w końcu 1874 roku pojawia się obszerne dzieło *Prawo Polskie w w. XIII*, które wraz z wydaniami w dalszym ciągu w r. 1881 *Prawo Polskie w wieku XIV*,—*Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego* oraz w r. 1886 *Prawo Polskie w w. XIV—Sądy, ich praktyka i stosunki prawne społeczeństwa w Polsce ku schyłkowi XIV w.* sta-



nowi główną a przytem pomnikową spuściznę naukową Romualda Hubego. W pracach tych, przedstawiających całokształt ustroju prawnego odpowiednich epok, umysłowe zalety autora i jego naukowe przygotowanie, wyszły na jaw w całej pełni. Wprawdzie zalety te nie u wszystkich znalazły uznanie w jednakowym stopniu. To co szczególnie w oczach większości nadaje im wysokie naukowe znaczenie t. j. systematyczność opracowania, trzeźwość poglądów i ostrożność w wyprowadzaniu wniosków, oraz stawiania hipotez, uważane było przez innych za zacieśnienie horyzontu badań i jednostronność. Ze stanowiska jednak prawn historycznego, przyjęta przez Hubego metoda opracowania tak różnorodnego i nie zawsze jednolitego pod względem dokładności materiału, za jedynie racjonalną i celową uznana być musi. Jeżeli studia historyczne mają przynieść pożytek nauce prawa, jeżeli mają przyczynić się do wyjaśnienia tej sfery ducha ludzkiego i dać nauce realne podstawy do badań nad istotą prawa i jego rozwojem, to nastąpić to może jedynie przy pomocy takich opracowań za- bytków historycznych prawnych, jakie nam podał Hube w swoim prawie polskim w w. XIII i XIV. Być może, że takie systematyczne ugrupowanie przepisów dawnych prawodawstw, przy oględności autora co do stawiania hipotez, nie odpowiada w zupełności wymaganiom ciągłości historycznej i zaciemnia obraz całości danej epoki historycznej, ale za to daje możność dokładnego i ścisłego zbadania oddzielnych instytucji prawnych. Hube był prawnikiem i to prawnikiem praktycznym i dla tego historią prawa dla pożytków nauki prawa opracowywał. Działal tu z całą świadomością celów, zgodnie z wygłaszanymi od początku swej naukowej działalności poglądami i to niezależnie od niewątpliwej wewnętrznej wartości dzieł, za wielką zasługę poczytane mu być musi.

Prawo polskie w w. XIII i XIV pomija prawie zupełnie prawo państwowe, co zresztą jest konsekwentnem następstwem metody autora, prawo bowiem państwowe czasów dawniejszych, zależne jest głównie od faktycznych, politycznych okoliczności danej chwili i nieda się tak łatwo podciągnąć pod systemat. Przy opracowaniu za to prawa cywilnego i karnego oraz procedury, skorzystał Hube z tak bogatego materiału, jakie-

go nikt przedtem przy opracowaniu całości prawa polskiego w swem rozporządzeniu nie miał. Prócz statutów i zbiorów praw dostarczyły mu go dyplomaty, zapiski sądowe, rotę przysięg, i t. p.

Podczas pracy nad powyższymi obszernymi działami, nie przestawał Hube dzielić się od czasu z uczonym światem swojemi uwagami i spostrzeżeniami nad pojedynczemi kwestyami, z którymi się przy opracowaniu całości spotykał. W r. 1875 z powodu znanej pracy prof. Bobrzyńskiego ogłosił swoje *Statuta Nieszawskie z 1454 r.* a potem w tymże roku *Rotę przysięg krakowskich w końcu XIV w.* W r. 1876 jako prezes dozoru kościelnego w Radomsku, podaje monografią „*Kościół parafialny stary i nowy w Radomsku*, w której pomieścił tekst 14 dokumentów historycznych. W r. 1877 pisze o *datach nadawanych statutom Kazimierza Wielkiego*, w 1880 o *przywileju żydowskim Bolesława i jego potwierdzeniu*, w 1884 o *Wrażdzie, wróżbie i pokorze*, starożytnych, na zwyczajach prawnych, nad którymi zastanawiał się jeszcze w 1828 r., a w roku 1885 o *Dwóch rękopisach średniowiecznego Zbioru praw kościelnych gnieźnieńskim i krakowskim*. Ostatnie prace sędziwego już autora stanowią *Zbiór rot przysięg sądowych z końca XIV i początku XV w.* (1888), *Wyrok lwowski z 1421 r.* (1888) i świadomość o *kodeksie Czarnogórza* wydrukowana w Ateneum w 1889 r. Śmierć za- skoczyła go, jak zapewnia ś. p. Stosław Łaguna w rozprawie o Hubem pomieszczonej w Ateneum (tom III z r. 1890 str. 594—610) nad przygotowaniem do druku obszernego studium nad prawem salickiem. Tak przedstawia się wieloletnia działalność Romualda Hubego, wielkiego uczonego i dygnitarza. Wysokie stanowisko, jakie w hierarhii Państwowej zajmował, nie oszczędziło mu, jak się wyraża Rembowski (pisma Aleksandra Rembowskiego 1901 str. 437) bolesnych cierni i przykrych wspomnień do końca życia. Przyczyny tych przykrości, a mianowicie stawiane Hubemu zarzuty, rozpatruje obszernie i zwycięzko zwalcza tenże Rembowski, do którego pracy czytelnika w tym względzie odsyłamy. Tutaj nadmienię, że do tej pory, działalności Hubego poświęcili u nas swe prace dwaj wyżej wspomnieni pisarze: Stosław Łaguna i Aleksander Rembowski, z których zaczerpnąłem dane bio-



graficzne i bibliograficzne do obecnego życiorysu. Życzyć by jednak należało, żeby prace naukowe, a zwłaszcza historyczne Hubego doczekały się wyczerpującego rozbioru i postawione zostały na

tem wysokiem stanowisku, które im się bezspornie należy.

*Karol Dunin.*



# Józef Korzeniowski.

\* 1797 † 1863.



Jako pedagog, dramatyk i powieściopisarz należał Józef Korzeniowski do najbardziej wpływowych u nas mężów. Długo, bardzo długo na uznanie i rozgłos pracował, a zdobywszy je, musiał jeszcze stać się przedmiotem bolesnych, zjadliwych pocisków (Juliana Klaczki, Lucyana Siemieńskiego), raniących w najtkliwszą stronę moralną. I dzisiaj nawet, niektórzy krytycy uważają się za uprawnionych do patrzenia nań z pewnem litościwem pobłażaniem, chociaż istotny talent winien go być od tego uchronić.

Korzeniowski urodził się r. 1797 w folwarczku, położonym tuż przy mieście Brodach (w Galicyi), sławnem niegdyś z handlu. Lata dzieciństwa wspominał jak swój «raik». Kształcił się najprzód w różnych szkołach galicyjskich po niemiecku, a potem w słynnym gimnazjum Krzemienieckiem po polsku. Żyjąc w kółku kolegów, oddanych literaturze i marzących o autorstwie, sam też zaczął tworzyć, oczywiście w smaku wtedy rozpowszechnionym t. j. pseudoklasycznym. Najdawniejszy jego drukowany wiersz, to «Oda na rok 1815» ogłoszona r. 1816 w tym samym «Tygodniku Wileńskim» (organie młodzieży), gdzie w dwa lata potem miał Mickiewicz pomieścić swą «Zimę miejską». Korzeniowski, lubo wojnę potępiał, najlepsze w tej odzie wiersze poświęcił «bogowi wojny», Napoleonowi. Nie znaczy to jednak, żeby miał być entuzjastą. Przeciwnie,

mniemając, że poezya wzbudza namietności, zarzucił ją na czas jakiś i zabrał się do studyów nad «filozofią moralną», do której wchodziła także i estetyka. Nie mógł atoli pokonać przyrodzonego popędu i powrócił po trzech latach do twórczości, zawsze jednak trzymany na wodzy rozsądku. W wyborze wzorów poetyckich trudno mu było zdecydować się stanowczo. Wykształcony na literaturze francuskiej, w atmosferze czci dla «reguł», długo ulegał przyzwyczajeniu, chociaż zaznajomił się już był z estetyką i poezją niemiecką. Bardziej niż Brodziński unikał «metafizyki», gdyż trzeźwy jego rozum lubił jasność i łatwą zrozumiałość. Co do stopnia uczuciowości, ten nie był w nim wyższy niż u Brodzińskiego, lecz sama uczuciowość miała, że tak powiem, szersze pole rozlewności; autor z wczesnego zamiłowania literatury dramatycznej musiał uwzględniać nie tylko uczucia łagodne, ale i gwałtowne, do starcia prowadzące.

Wahając się między Francuzami a Niemcami, równocześnie tłómaczył Woltera i Schillera. Znał oczywiście wywody, przeciwne prawidłu «trzech jedności» w dramacie, lecz się nie ośmielił zerwać z niem odrazu. I lubo w chwili, kiedy zabierał się do tworzenia dramatu oryginalnego, już nawet w naszym czasopiśmiennictwie oświadczano się wyraźnie przeciw owemu prawidłu, Korzeniowski na razie tylko «jedność miej-

sca» naruszył w swoim jednoaktowym utworze p. t. «Klara» (1820). Starcie się uczucia z przesądem rodowym i zwycięstwo pierwszego — oto motyw jedyny, rozprowadzony powolnie, spokojnie, lecz umiejętnie i z zachowaniem znacznego stopnia prawdopodobieństwa. Jako robota stylowa, harmonijnie wykonana, jako pierwszy nasz utwór dramatyczny XIX wieku, wolny od napuszonej patetyczności, a dający próbki *charakterów refleksyjnych*, ma on w dziejach piśmiennictwa naszego niemałe znaczenie; porównałbym je do znaczenia «Wiesława» w poezji wogóle, gdyby «Klara» doznała była takiego rozgłosu, jak sielanka krakowska Brodzińskiego.

W dalszych dramatach długo nie widać stalego postępu w rozwoju talentu Korzeniowskiego. Ani «Aniela» (1823), w której znać słaby wpływ rozczytywania się w Szekspirze, ani «Dymitr i Marya», gdzie za wątek posłużyło zdarzenie, użytkowane przez Malczewskiego, ani tragedia deklamacyjna w stylu francuskim p. t. «Pelopidowie», — nie mogą być poczytywane za dzieła ważne w historii naszego dramatu. Ale współcześnie z nimi powstały dwa inne wyższej wartości. Są to: «Mnich» i «Piękna kobieta». W «Mnichu» widzimy pokutę Bolesława Śmiałego w Ossyaku. Ponieważ kolizja dramatyczna tkwi tu prawie wyłącznie w duszy tak, że wypadki zewnętrzne (ogłoszenie ekskomuniki) nie wywierają wpływu na treść zasadniczą, przeto forma *misteryum*, z chórami i duchem św. Stanisława, niosącym przebaczenie swemu zabójcy nie ma w sobie nic rażącego, owszem, pod pewnym względem silne, przejmujące wywiera wrażenie. Idea wyrozumiałości i tolerancji, przeciwstawiona fanatycznemu rygorowi, duch-literze Pisma św. nadaje podniosłość tej pracy, której słusznie przyznano nazwę poematu dramatycznego. «Piękna kobieta» jest napisana prozą silną i jędrną. Treść, wzięta z podań angielskich, ma charakter anegdotyczny. Szekspir oddziałował mocno na całą robotę, uzuchwiał skromnego poetę do odtwarzania rozpustnych rozmów dworaczych, stylowi przyprawił skrzydła, oswobodził kompozycję nie tylko od jedności miejsca, ale i od jedności czasu. Dramat ten napisany został r. 1829 i gdyby zaraz był drukiem ogłoszony, możnaby jego twórcę uważać za zupełnego reformatora naszej dramatyki, ale ponieważ wyszedł dopiero w roku

1839, tymczasem inny, nieskończenie potężniejszy talent Juliusza Słowackiego samodzielnie, w sposób świetny dokonał wyzwolenia dramatu z pęt pseudoklasycznych.

Prędzej osiągnął Korzeniowski harmonię z samym sobą w dziedzinie poezji epiczno-lirycznej. Dwa «Fragmenty» poetyckie, ogłoszone r. 1829 i 1830, dały go poznać jako władcę słowa zwięzłego i wyrażającego dokładnie to tylko, co autor chciał wypowiedzieć. Nie posiadały one przymiotu porywania czytelników, bo talent Korzeniowskiego refleksyjny, skupiony w sobie, nie buchał płomieniem zapалу; ale dla *rozważnych* wielbicieli piękna przedstawiały zwięzłe, ześrodkowane umiejętności i kształtnie uczucia i myśli, silnie pobudzające do zastanowienia nad duszą ludzką. Drugi zwłaszcza z tych «Fragmentów» (z r. 1830) jest jakby dramatyczną powieścią, skupioną na paru kartach, gdzie żadne słowo zbytecznym się nie okazuje.

Do wzmożenia cechy umiarkowania i spokoju w talencie Korzeniowskiego przyczynił się w znacznej mierze zawód pedagogiczny, któremu się oddawał z zamiłowaniem. Przez czas krótki był nasz autor wychowawcą młodziutkiego Zygmunta Krasińskiego; od r. 1823 objął w liceum Krzemienieckim katedrę wymowy i poezji, którą zajmował aż do zwinięcia tego zakładu w r. 1833. Jako wynik pracy nauczycielskiej ogłosił Korzeniowski r. 1829 «Kurs poezji», w którym zupełnie pominął «metafizyczne» badania o pięknie wogóle, a starał się tylko jasno, przystępnie wyłożyć cechy rozmaitych rodzajów poezji, wszędzie zachowując umiarkowanie w sądach, bez sztywności pedantycznej pseudoklasyków i bez wybujałości młodych romantyków.

Gdy po zniesieniu liceum Krzemienieckiego, otwarto uniwersytet w Kijowie, Korzeniowski zajął tu z początku katedrę, jaką miał w dawniejszym zakładzie, lecz po rychłym jej zwinięciu, wykładał filologię klasyczną. Z wiosną r. 1838 pojechał do Charkowa na dyrektora tamtejszego gimnazjum. Pobyt jego w tym mieście oddziaływał korzystnie na młodszych zwłaszcza członków ludności polskiej, tu zamieszkalej, gdyż pomimo licznych i kłopotliwych zajęć, Korzeniowski prowadził dom otwarty i raz na tydzień przyjmował u siebie gości, pomiędzy którymi było paru profesorów uniwersytetu charkowskiego, ja-



Według portretu wykonanego z natury,  
własność rodziny.

*J. Korzeniowski*

ko to filolog Alfons Walicki, prawnik Aleksander Mickiewicz (brat Adama), kilku miejscowych urzędników wraz z rodzinami, oraz studenci Polacy. Młodzież uniwersytecka znajdowała tu zasiłek duchowy rodziły zarówno w rozmowie jak w książkach i czasopismach. Pomimo starań Korzeniowski, musiał pozostawać w Charkowie do r. 1846, kiedy wreszcie przeniesiony został do Warszawy, gdzie jako dyrektor gimnazjum, później wizytator szkół, wreszcie od r. 1861 jako dyrektor wychowania publicznego za czasów Wielopolskiego, resztę życia miał przepędzić.

W tym drugim trzydziestoletnim okresie działalności Korzeniowskiego wyróżnić trzeba dwie doby, podzielone rokiem 1850-ym. Pierwszą dobę odznacza mozolne zdobywanie sobie więtości i sławy, drugą—używanie ich w pełni.

W pierwszej dobie nie mógł on zadowolić stronnictw silnie wtedy zarysowanych. Jego religijność lubo nie formułkowa, lecz wcale nie lekceważąca form, oddalała go od postępców, czczących i wielbiących chrześcijaństwo, ale wykładane nieraz allegorycznie i symbolicznie, a w każdym razie indywidualnie; równocześnie nie zbliżała go do grupy «Tygodnika Peterburskiego», gdyż miała w sobie dużo wyrozumiałości i tolerancji. Ten właśnie umiarkowany liberalizm Korzeniowskiego, zastosowany do oceny wartości różnych warstw społecznych, odpychał go od zachowawców, którzy w arystokracji jedynie widzieli filary narodowości i dobrego porządku; nie mógł atoli zjednoczyć z demokratami, którzy klasy uprzywilejowane w czambuł zazwyczaj potępiali, gdy tymczasem nasz autor, chociaż ostro wytykał błędy i nikczemności t. zw. «wyższego» towarzystwa, nie myślał upatrywać jedynego zbawienia w ludzie, a sam osobiście chętniej przebywał w gronie salonowem, co mu postępcy wielce za złe mieli. Różnił go także od postępców pogląd na miłość oraz emancypację kobiet. Korzeniowski, aczkolwiek wysoko stawiał uczucie miłości, nie był jednak romantycznym jego bałwochwalcą, nie przypuszczał, jak Żmichowska np., iżby ono mogło być jedynym drogowskazem życia, jedynym prawem, któremu ludzie bezwarunkowo zawsze posłuszni być winni; nie sądził też, żeby niepodobna było uczucia tego pokonać w sobie, gdy względy wyższe, np. obowiązki, tego wymagają i nie godził się rów-

nież na doktrynę, że pierwsze uczucie, jako instynktem wskazane, jest zarazem najprawdziwsze, najgłębsze, tak iż złamanie go pociąga za sobą zwichnienie życia całego. Przytem potępiał Korzeniowski poświęcanie się kobiet spekulacyom filozoficznym, jako wysuszającym uczucie, niepoehlebnie się wyrażał o emancypantkach, a chociaż niewiastom nie bronił autorstwa, wykazywał przecież dobitnie, na jakie przykrości narażało je ono wśród naszego społeczeństwa. Tym sposobem, żadnego stronnictwa nie zadawalając w zupełności, poszczególnymi tylko utworami zyskiwał oklask, lecz stanowiska przewodniczącego wśród rzeszy piszącej i w tej dobie jeszcze nie osiągnął.

Na polu dramatycznym do dawniejszych wzorów, na których się Korzeniowski kształcił, a które uwielbiał i teraz, przybywały z rokiem każdym utwory Wiktora Hugo, Dumasa—ojca i wielu innych. Budziły one w jego umyśle dążność do rozwinięcia żywszej akcji, oryginalnej lub przynajmniej świeższej intrygi, niespodziewanych efektów i rączego, dowcipnego dialogu. Temperament autora «Klary» nie pozwalał mu przyswoić sobie namiętnego sposobu malowania uczuć; lecz w udoskonaleniu techniki dramatycznej niewątpliwie szukał wskazówek u autorów francuskich, a w pomysłach spotykał się z nimi często.

Stosunki rodzinne, towarzyskie i społeczne ze sfer wykształconych stanowiły zwykły temat dramatów Korzeniowskiego; głębszych zagadnień psychologicznych nie poruszał wcale, a wielkie wypadki dziejowe mimochodem jeno. Z kilkunastu jego dramatów jeden tylko dotyczył częściowo historii polskiej («Andrzej Batory»); inne osnute bywały na tle cywilizacji obcej («Umarli i żywi», «Izabela d'Ayamonte», «Sąd przysięgłych», Gentile Bellini), lub na tle obyczajów, w których drobne jeno szczegóły zabarwiał kolorytem narodowym («Piąty akt», «Dziewczyna i dama», «Kasztelanowa», «Okno na pierwszym piętrze», «Autorka», «Cyganie»). Jeden tylko więty był z dziedziny ludowej, i ten zarówno ze względów społecznych, jak i artystycznych musi być uznany za jego arcydzieło. Są to «Karpaccy górale» (1843). Kolizja dramatyczna jest tu oparta na fakcie prawdziwym; uczucia i namiętności rozwijają się swobodnie, bez lęklwych za-

strzeżeń. Rzec się dzieje w Galicyi Wschodniej, w ogromnej wsi Żabie zwanej. Autor wystudyo-  
wał miejscowość, osobiście ją zwiedzając w roku 1840, i poznając obyczaje Huculów. Charaktery są dobrze utrzymane, choć język ludowy został uidealizowany; rozwój zdarzeń jest prostym i naturalnym wynikiem starcia się namiętności; żadnego tu naciągania, żadnego nieprawdopodobieństwa. Pod względem artystycznym są pewne wady, mianowicie w budowie, lecz zalety są znacznie większe, tak, że «Karpaccy górale» stanowią najlepszą u Korzeniowskiego *całość* dramatyczną; w późniejszych dramatach nie mógł już autor osiągnąć takiego zharmonizowania wzmożonych sił charakterystyki, działania i stylu w jakąś *całość* jednolitą, lecz uwydatniał tylko oddzielnie różne strony tychże i wytwarzał cząstkowe piękności.

W komediach jego dostrzegamy podobne zjawisko. Zaczął je pisywać w dobie zupełnej dojrzałości męskiej. Z początku, podobnie jak w dramatach, wybierał charaktery i sytuacje ze świata obcego («Zakład») lub też konwencyonalnego, który we wszystkich krajach mniej więcej jest jednakowy («Zaręczyny aktorki», «Mąż i artysta»); ale daleko wcześniej niż w dramatach przeszedł na grunt swojski, malując osoby i zwyczaje prowincyi, które poznał najlepiej (Wołyń, Podole, Ukrainę); i raz się na tej drodze znalazłszy, już jej nigdy nie opuścił. Zamiast *typów* zaczął tworzyć *charaktery* i dokonał tym sposobem ważnej zmiany w tej gałęzi literatury. Nie posiadał on nieprzebranej kopalni wesołości, jaką rozporządzał Fredro; a nie doznając gwałtownych wzruszeń, nie mógł ich udzielić stworzonym przez siebie postaciom; ale w ciągu życia zebrał wielki zapas trafnych spostrzeżeń i umiał się niemi bardzo umiejętnie z wielkim nieraz dowcipem posługiwać; wymagania sceny znał dobrze; natomiast z umotywowaniem szczegółów, z układem sytuacji, z kompozycją oraz z dialogiem komicznym musiał dopiero odbywać próby, ażeby w nowej dla siebie sferze twórczej umieć się znaleźć. Początkowe jego komedye, na tle swojskiem osnute, są raczej rozmowami lub szeregiem obrazów niż utworami dramatycznymi, mają bardzo wyraźny cel dydaktyczny; dialogi w nich są zbyt często drewniane, bez polotu ni werwy («Doktór medycyny», «Stacya pocztowa w Hulczy», «Fabrykant», «Sta-

ry mąż»). Na końcu tego szeregu staje komedya: «Żydzi» (1843), wyższość swoją nad innemi zawdzięczająca śmiałości krytyki społecznej, dosadności w charakterystyce osób głównych i podrzędnych, oraz żywości a barwności rymów, lecz bynajmniej nie kompozycyi. Najdoskonalszą jako *całość* jest «Panna męzatka» (1844), zajmująca w swoim rodzaju toż stanowisko co «Karpaccy górale» wśród dramatów. Ani przedtem, ani potem nie stworzył Korzeniowski lepszej *całości* komicznej, lubo w kreśleniu charakterów i sytuacji poszczególnych nieraz świetniejszym zabłysnął talentem. Ześrodkowanie wszystkich czynników komizmu: charakterów, sytuacji, dialogu w organiczną, z zupełnem prawdopodobieństwem i z niepospolitem życiem rozwijającą się akcye, nadaje temu utworowi tak wysokie artystyczne znaczenie. We wszystkich późniejszych komediach Korzeniowskiego, ta lub owa strona bywa niekiedy lepszą niż w «Pannie męzatce»; ale *całości* lepszej nie odnajdujemy; w każdej jest jakaś wada, nie pozwalająca zaliczyć tych utworów do rzędu arcydzieł. Niektóre miały i mają powodzenie w teatrze pomimo swych wad, jak: «Okrężne», «Pierwej mama», «Qui pro quo», «Majster i czeladnik». Inne zyskiwały sobie uznanie krytyki w chwili pierwszych przedstawień, jak: «Młoda wdowa», «Wąsy i peruka» (pierwszą u nas komedya historyczna), «Reputacya w miasteczku» a zwłaszcza: «Majątek albo imię».

Jak w dramatyce, tak i w powieściopisarstwie Korzeniowski rozpoczął od prób błędnych i nikłych. Pierwszą jego powiastką była zdaje się, «Anilka», pisana wymuszoną prozą poetycką, której nigdy już potem nie używał, posługując się stylem jasnym, pełnym, trochę za trzeźwym jak na beletrystykę, ale niepozbawionym trafnych przenośni i dobrze przeprowadzonych porównań. Od r. 1837 przez lat kilka tworzył same drobne opowiadania, nie odznaczające się dowcipem, a pełne morałów. Wszędzie w nich przebijała się gruntowna znajomość ludzi, żyjących w sferze mniejszego lub większego dostatku i wygody; wszędzie rysunek postaci był poprawny i dobitny. Zadanie powieściopisarza pojmował jako *narratora*; mało wtedy wprowadzał rozmów, o żywość akcji się nie troszczył, lecz lubił szeroko określać charaktery, myśli i uczucia osób. Dopiero po dłuższem przygotowaniu się zdołał Ko-



rozeniowski tworzyć powieści, które trwały w literaturze wartość zachować miały. I w nich nie zarzucił bynajmniej moralizowania, i w nich występował zawsze jako człowiek poważny, trzymający w więzach wybuchy satyry lub rozbujalej namiętności, i w nich prawie wyłącznie przebywał wśród warstw zamożnych; ale wprowadził do opowiadania większą żywość, urozmaicił je rozmowami doskonale prowadzonymi, lubo nieraz przydługimi, uświetnił dowcipem w najlepszym pospolicie smaku, wystawił wybornie pomyślane (a raczej: zaobserwowane) i konsekwentnie rozwinięte charaktery; jednym słowem stroną artystyczną powieści zajął się usilnie i udoskonalił ją do wysokiego stopnia. Pojedynczemi scenami Korzeniowski nie wywierał tak bezpośredniego wrażenia jak Kraszewski; lecz zato zyskiwał sobie czytelnika całością utworu, umiejętnie i prawidłowo roznutym wątkiem. Nie posiadał tego co Kraszewski tchnienia poetyckiego, więc też nie zachwycił młodzieży; przemawiał natomiast do rozwagi swoim trzeźwym i wytrawnym sądem o stosunkach życia rzeczywistego. Nie wszystkie oczywiście jego powieści mają jednakową wartość estetyczną; nie wszędzie kompozycja jest doskonała; czasami nawet poczucie moralne szwankuje; ale na ogół biorąc, są one objawem i myśli rozumnej i niepospolitego talentu.

Pierwszą powieścią, która zwróciła na siebie uwagę i zapewniła rozgłosne imię Korzeniowskiemu w tej gałęzi literackiej, był »Spekulant« (1846), przeważnie mający jeszcze formę narratorską. Bardziej dramatycznym stylem, z większą ilością rozmów, z niemałym zasobem komizmu skreślona została: »Kollokacya« (1847). Poetycznością i świeżością charakterów odznaczyły się »Wędrowki oryginała«, tak że późniejszy, szerszy obraz życia artystów: »Garbaty« (1853) nie wyrównał im pod tym względem.

Prąd reakcyjny po r. 1850 panujący odbił się na powieściach Korzeniowskiego, ale nie tak silnie jak u Kraszewskiego. Uwielbienie dla przeszłości kontuszowej, potępienie reformatorów XVIII wieku, idealizowanie szlachty wiejskiej, głębokie uszanowanie dla »sukni« duchownej przejawiają się wyraźnie w komedyi historycznej: »Wąsy i peruka« (1852), w opowiadaniu dziejowym: »Pan Stolnikowicz wołyński« (1854) i w najsłabszej powieści, jaką Korzeniowski napisał, p. t.

»Szczęście za górami« (1858). Nie szedł jednak autor ich tak daleko, by po prostu pluć na cywilizację europejską i nie widzieć wielkich wad ogólnie narodowych takich jak: próżność, aktorstwo i chęć pozowania, małpowanie obcych i moźniejszych, lenistwo myśli i lenistwo ciała, niewiara w siebie, nieuszanowanie zasad i słabość woli. W radach, podawanych celem uleczenia naszych chorób społecznych, Korzeniowski kładł w tym czasie nacisk na trzy główne rzeczy: 1) na podstawę religijną w myślach, uczuciach i postępowaniu, bez bigoteryi jednak i fanatyzmu; 2) na jasne i trzeźwe liczenie się z realnymi warunkami bytu; 3) na pracę uczciwą i sumienną w jakimkolwiek zawodzie: urzędniczym, lekarskim, artystycznym, handlowym czy rzemieślniczym. Pod tym ostatnim względem wyprzedził współczesnych sobie powieściopisarzy i publicystów, wznawiając rozwijaną przez Tomasza Massalskiego (w »Panu Podstolim« 1831—33) myśl »pracy organicznej«. Nie nazwał jej wprawdzie tem mianem, lecz główniejsze znamienne jej cechy nakreślił dobitnie już w »Nowych wędrowkach oryginała« (1851, a rozsnuł szerzej i w praktycznem zastosowaniu uplastycznił w swoim arcydziele powieściowem, w »Krewnych« (1857), najharmonijniej ułożonem, najściślej ześrodkowanym, najszerszym zakresem życia towarzyskiego (między innymi świat rzemieślniczy i finansowy) obejmującym. Są od niej żywsze, dowcipniejsze, są lepiej wykonane w częściach poszczególnych (»Emeryt« 1851, »Tadeusz Bezimienny«, 1852, »Wdowiec« 1856, »Ofiara i sumienie« 1860 i in.); ale żaden jako całość nie przewyższa »Krewnych«, które też miały rozgłos ogromny.

Korzeniowski nie hołdował hasłu: sztuka dla sztuki; od początku do końca zawodu był w tej kwestyi, jak we wszystkich innych — szlachetnym utylitarystą. Cel, dążność jasną i wyraźną miało każde jego dzieło. W dramatach cel ten miał charakter wyłącznie moralny; w komedjach i powieściach przybierał prócz tego cechę społeczną wytknięcia jakiejś wady lub wskazania drogi ku lepszemu i szczęśliwшему życiu. Nie przeszkadzało to jednak autorowi tworzyć figur naprawdę żywych i nie zmuszało go do wykrywania i fałszowania prawdy dla tendencji, lub do kreślenia postaci abstrakcyjnych. Nikt lepiej naówczas od Korzeniowskiego i wielostronniej, z zachowaniem

nader trafego stopniowania i cieniowania, nie odmalował naszych rodzin arystokratycznych lub mających arystokratyczne uroszczenia i nikt zręczniejszy nie używał dowcipu salonowego, nikt przed nim nie obejrzał tak umiejętnie i nie odtworzył tak prawdziwie kantorów bankierskich, zabaw towarzyskich wśród ucywilizowanych żydów warszawskich, jadłodajni urzędniczych, stosunków i rozmów aplikanckich; on pierwszy sportretował rzemieślnika warszawskiego, opisał nauki i obrzędy w cechu stolarskim tradycyjnie przechowywane. A chociaż w malowaniu szlachty wiejskiej miał znakomitego poprzednika i towarzysza w Kraszewskim, nie zapożyczał się od niego w niczem, lecz zaraz przy pierwszym wystąpieniu z większemi powieściami wprowadził obrazy charakterów, sytuacji i stosunków, których Kraszewski przed nim nie tykał; przeniósłszy się zaś następnie do Warszawy i jako wizytator szkół jeżdżąc po całym Królestwie, ciągle zasób spostrzeżeń swoich nad szlachtą wzbogacał i pierwszy zaczął opisywać nie przedstawiane do jego

czasów w powieściach okolice, charakteryzując je szczegółowo i dobitnie.

W pracy nie ustawał aż do zgonu. Pamiętną na zawsze pozostanie jego działalność w organizacyi szkół w Królestwie za czasów Wielopolskiego. Znakomita ustawa szkolna dotycząca zarówno szkół elementarnych jak średnich, jak wreszcie Szkoły Głównej warszawskiej jego przeważnie jest dziełem. Niedługo wprowadzić, bo tylko dwa lata, był dyrektorem wychowania publicznego; ale w tym krótkim przeciągu czasu zdołał ustawę ową w życie wprowadzić. Ostatnim jego utworem poetyckim, wyjątkowo pełnym zapału, była: «Nasza prawda» (drukowana dopiero r. 1899 w Brodach). Charakter to był szlachetny i wytrwały, umysł nie lotny wprowadzić, ale rozległy, serce czułe ale w sobie zazwyczaj zamknięte, nie lubiące się wywnętrzać.

Umarł w Dreźnie 17 września 1863 r.

*Piotr Chmielowski.*



# Jan Kazimierz Wilczyński.

\* 1806 † 1885.

**J**ako wydawca niezapomniany *Albumu Wi-*  
*leńskiego*, świetnej publikacji artystycznej,

J. K. Wilczyński pięknie się zasłużył sztuce i archeologii krajowej, przyczyniając się do rozwoju potrzeb estetycznych w społeczeństwie — a zarazem jako światły nakładca, zapoznał w pewnej mierze i cudzoziemców z garścią obfitą rzeczy polskich. Dzieje kultury naszej, snadź nie rychło jeszcze historii sztuki się doczekają... Bylibyśmy bliżsi sprawy należytego ugrupowania materiałów odnośnych i korzyści syntetycznych, gdyby pp. kolekcjonerzy, artyści, badacze i lubownicy, przystąpili nareszcie do inwentaryzacji systematycznej, ciągłej, wszelkich przyczynków artystycznych, możliwie przedmiot wyczerpujących! Prześliczny zbiór *Albumu Wilczyń-*

skiego nie został dotychczas z całą kompetencją zanalizowany krytycznie, ani wyczerpująco skatalogowany.

Z zawodu lekarz, Wilczyński zasłynął potem jako starożytnik nader użyteczny i esteta głęboki a wykwinny, zbieracz oświecony i znakomity wydawca. Jak wykryliśmy, Jan Kazimierz - Maciej - Longin - Ildefons Wilczyński przyczędł na świat d. 26 lutego 1806 r. w majątności dziedzicznej Jasany pod Ucianą (parafia), w pow. wilkomierskim w gub. kowieńskiej. Rodzice byli zamożni, dobrze w kraju zestosunkowani: Zygmunt Wilczyński, w 1808 r. zmarły, był szambelanem dworu Stanisława Augusta, małżonka — de domo Römerówna, córka Franciszka — z rodu, pełnego cnót obywatelskich a później talentów malarskich. Wilczyńscy mieli synów: Franciszka, Ludwika i Kazimie-



podług fotografii z natury.

*Wilczyński*

rza, córki: Barbarę i Józefę. W r. 1808 rodzice Kazimierza oprócz wsi posiadali kamienicę w Wilnie, około 60,000 złotych i kilka tysięcy dukatów holenderskich funduszu. Położenie rodzinne sprzyjało ukształceniu i najmłodszego syna, starannie wychowanego w domu. Nauki szkolne odbył wtedy Kazimierz w collegium ks. ks. Pijarów wilkomierskich, lekarskie zaś w Uniwersytecie wileńskim. Praktykował czas jakiś w grodzie Giedymina, poczem uzupełnił studia w Paryżu. Wyniosłszy z kraju umiłowanie pamiątek historycznych na gruncie idei obywatelskości i piękna, w stolicy Francji rozwinął w sobie Wilczyński poczucie estetyczne, obracając się wśród kół artystycznych, możnych mecenasów, oraz w skarbnicach sztuk plastycznych, drogocennych zabytków. Powróciwszy do Wilna, w ciągu lat kilku, jako praktyk wzięty a zdolny, Wilczyński z medycyną się nie rozstawał, potem jednak zupełnie ją porzucił i nie wpisał się nawet na członka Tow. lekarskiego. Wrodzone zamiłowanie Wilczyńskiego do rzeczy ojczystych, gorące odczucie potrzeby ratowania zabytków, już to w miarę środków w oryginałach, już to w kopiach; ubolewanie, że tyle dzieł sztuki a kultury krajowej stale się niszczy w kościołach, domach miast naszych i dworów—wskutek nieświadomości, konserwacyi nieumiejętnej i złej woli, to wszystko się złożyło jako pobudki ku szlachetnemu mecenasowaniu Wilczyńskiego sztuce i archeologii swojskiej. Być może, że główne podówczas wypadki barbarzyńskiego odarcia wnętrza kościoła św. Jana z ogromu ozdób przez rektora Pelikana et consortes, zniweczenie fresków i pomników w kościele św. Kazimierza, zburzenie bramy Zamkowej, runięcie z góry monumentu Bekiesza (rycerza Batorowego) i t. p. umocniło Wilczyńskiego w przeświadczeniu o niezbędnym utrwaleniu w reprodukcjach wszystkiego, co na zniszczenie było narażone. W zabiegach swych nie był odosobniony; pracowali wówczas w Wilnie historycy: Kraszewski, Homolicki, Baliński, Malinowski, E. i K. Tyszkiewiczowie, nieliczni jeszcze badacze, którzy coś nie coś z pamiątek w rycinach upowszechnili. Wilczyński był wtedy czynny potrosze, jako kolekcjoner i konserwator-archeolog. Z czasem doszedł on do posiadania szacownego zbioru obrazów, klisz sztycharskich, gobelinów, miniatur, rzeźb, rycin

wejskowych, numizmatów, medalików świętych. Staraniem i w części kosztem namiętnego miłośnika zabytków religijnych, odnowiony został w roku 1843 ciekawy pomnik missyjny z r. 1762 św. Jacka Odrowąża. Następnie odbudował Wilczyński pamiątkowy słup ze św. Janem (z XVIII w.). Będąc członkiem petersburskiego Tow. numizmatycznego, Wilczyński ofiarował Towarzystwu cenne wykopalisko przed Jagiellońskimi monetami litewskimi. Sam był czynny i innych do pracy solidarnej zachęcić umiał. Jakkolwiek za czasu uniwersytetu, sztuka reprodukcyjna tylko odnośnie miedziorytnicza stała na stopie rzetelnego artyzmu (Saunders, Podoliński, Kiśling i inni), to litograficzna za to i potem do doskonałości nie doszła; w rzadkich przypadkach stwarzając rzeczy wytworne. Zakład Przybylskiego po-uniwersytecki produkował dużo i nieźle; Klukowskiego litografia była względnie najlepszą litografią wileńską; Oziębłowskiego najczynniejsza, a różnorodna, była jednak dosyć mierną, często nawet—w odtwarzaniu np. obrazków świętych, lichą poprostu. Słusznie więc miarkował Wilczyński, że projektowane wydawnictwo albumowe—mające za zadanie kształcić smak estetyczny szerokiego ogółu i zaznajamiać go z archeologią kraju, jego pięknnością, wizerunkami zasłużonych rodaków, przedmiotami jego czci i religijnego kultu—nie powinno w sobie zawierać kamieniorytów wileńskich. (Reprodukowały się w Wilnie ładne niekiedy rzeczy: Rustema, Smokowskiego, Żukowskiego, Bachmatowicza, Rypińskich, Kraszewskiego, Kuleszy, Żameta, Raczyńskiego i innych. Szkoła malarska uniwersytecka wydała—acz nie znakomitych, lecz użytecznych artystów dużo—i choć uboższa od warszawskiej, więcej od niej zrobiła dla ogółu).

Wilczyński zawiązał stosunki nieprzerwane ze znakomitą firmą litograficzną Lemerciera w Paryżu, nie żałując wielkich kosztów nakładu i trudów podróży częstej, osobistego nad wydawnictwem dozoru,—w tem przekonaniu, że stratnie dozna, mając poparcie w prenumeratorach, kolektorach prowincjonalnych, wreszcie bogatych protektorach sztuki. Praktycznym pomysłem wydawcy, było zaopatrywanie piękniejszych edycji w dedykacje znanym osobistościom w kraju. Jakoż nie tracił. Kraj był *Albumem wileńskim*

wprost zachwycony! Lubo o reklamę prasową Wilczyński się nie ubiegał, miał szerokie uznanie krytyki. Rachunki z firmą wskazują, że Albumu wileńskiego pierwsze litografie wydane zostały w r. 1845, mianowicie: Ulica ostrobramska (podług obrazu warsz. prof. Marc. Zaleskiego i Odwrót wojsk francuskich u ratusza wileńskiego (podług oryginału z natury Jana Damela); pp. Bichebois i Wiktor Adam wzięli za narysowanie na kamieniu O. Bramy 300 franków, za Odwrót—325 fr. Do kopiowania w Wilnie i innych miejscowościach kraju obrazów i zabytków, rysowania z natury miejscowości historycznych, wszelkiego przygotowawczego współpracownictwa dla Albumu, zaangażował W.: Żameta, Rypińskiego, Kuleszę, Chruckiego, Rusieckiego, K., Zawadzkiego Fr., J. Wilczyńskiego; z Warszawy: M. Zaleskiego i Breslauera, z Petersburga Sadownikowa; znalazły się tu i przygodne prace Kraszewskiego, Andriollego, M. Czapskiego i innych. Album zawierało i wdzięcznie skomponowane ilustracje zdolnego artysty-amatora Antoniego Zaleskiego do Pamiętników Paska i Kwestarza Ig. Chodźki. W lat 10 po wyjściu na świat pierwszych rycin Albumu, zawiązała się w Wilnie pod prezydium gorliwego starożytnika Eust. hr. Tyszkiewicza komisya archeologiczna, powstało bogate muzeum, szersze pole działalności i dla Wilczyńskiego,—muzeum, z kąd mógł czerpać wzory i które sam trochę zasiliał. Tow. archeologiczne miało oprócz prezesa E. Tyszkiewicza, wice prezesa M. Babińskiego, sekretarza nauk M. Krupowicza, 75 członków rzeczywistych, 55 honorowych i 45 współpracowników. Praca się ułatwiała i komplikowała. *Album Wileńskie* się rozszerzało, potęgował się zapal publiczny do przepysznie prowadzonych edycji! Komisya arch. wileńska i prywatni inni nakładcy już bardzo mało co wydawali w Paryżu. Niezależnie od Albumu wydał Wilczyński bardzo piękny zbiór rycin i chromolitografij p. t. *Muzeum Archeologiczne w Wilnie* (małe folio), dalej *Herby* (Paryż. 1858—59. 4-o duże, 18 rodów, chromolitografij 13) z tekstem M. Malinowskiego, L. Chodźki i własnym. Dalej albumy karykatur A. Bartelsa „Łapigrosz“ i „P. Atanazy Skorupa“ (z teksem autora). Piękną jest edycja „Wspomnień z Polesia, Wołynia i Litwy“ J. J. Kraszewskiego z mnóstwem ilustracyj utalentowanego autora, (Paryż 185,

4-o wiel.). Podróże po Egipcie i Nubii Mich. hr. Tyszkiewicza (Tamże, 1863, 8-o) wydrukował W. jeno tom 1-szy (nb. zredagował go Winc. Korotyński); część 2-ga w rękopisie. Nadto wydał, jak wszystko w Paryżu, b. ładnie pod względem typograficznym modlitewne książki,—Ołtarzyki Ostrobramskie — większy i mniejszy, Złoty Ołtarzyk, Nabożeństwo Codzienne (dla dzieci). Ołt. Ostrobramski większy (str. 816, 8-o) ułożył znakomity kaznodzieja wileński kanonik Lucyan Godlewski; na wstępie „Ostra Brama“ historycznie opisana przez J. I. Kraszewskiego oraz Hymn Syrokomli do N. Panny O., załączanie 24 stalorytów z obrazów krajowych. Kopij z obrazów ś. ś., które się znajdowały lub znajdują jeszcze w świątyniach Litwy i in. stronach, zareprodukował w swym Albumie Wilczyński około 300 (w 8-o i 16-ce) głównie stalorytowych a b. ładnych, często chromolitografowanych, a nawet fototypowych, dodatkowo i fotograficznych; przeważnie są u Lemeriera oraz u Drouarta wydane, rytowali najwięcej Audibran i Oleszczyński Antoni. Urok tych śliczności podnosiły drukowane na odwrocie poezye Syrokomli, Niemcewicza, Lenartowicza, Deotymy, modlitwy znanego kaznodziei Al. Ważyńskiego i in. Do najlepszych rycin zaliczamy A. Oleszczyńskiego: dwa freski z kaplicy św. Kazimierza, Chrystus, św. Jan Kanty, św. Józef (3 obrazy Sz. Czechowicza), św. Stanisława (z kron. Długosza), św. Franciszka (z Leksyckiego), z chromolitografii — św. Kazimierza (lit. Tourwanger). Wspaniałe *Album Wileńskie* obejmuje setki rycin, kolorowanych, w części tylko sztychów na miedzi i stali (miedzioryty z blach starych, wileńskich i zagranicznych); wyłącznie prawie Album poświęcone jest przedmiotom krajowym, a wykonane prawie tylko w Paryżu (nieco w Anglii, Brukselli etc.) przez najwytrawniejszych mistrzów w specyalności swojej, nie mówiąc już o naszym świetnym rytowniku A. Oleszczyńskim! Wydawnictwo podzielone jest na dwie teki; pierwsza zawiera 29 rycin in folio majori, 2-ga—61 w folio mniejszym; nadto 18 rycin w 8-ce wielkiej. Oprócz tego rozpada się Album na serye, a serya każda na poszyty; w poszycie rycin 12. Ubocznie dołączoną jest edycja *Albumu Kijowskiego* (12 obrazów św. i widoków in folio). Katalog wydrukował J. K. Wilczyński u Zawadzkiego w Wilnie, tytułując



się obywatelem pow. wilkomirskiego i członkiem kom. Archeologicznej.

Jeszcze w r. 1849 J. I. Kraszewski, zbieracz i znawca—pisał w „Atheneum“ wileńskim o Albumie: „Zbiór ten prześliczny ze wszystkich względów, na pozór uderza brakiem jedności, rozmaitością formatów, wykonania, a wreszcie przedmiotów“. „P. Wilczyński okazał tu głęboką znajomość sztuki i ludzi, niewiązając nikogo nikim, a nawet sam ustępując ze swoją inicjatywą natchnieniu i fantazyi artystów“. „Ryciny są różnych kształtów, różnej fizyonomii, wykonania i smaku i tak lepiej“. Gdzież są u nas przygotowane materiały do takiego Albumu jak Somme-rard'a? gdzie bogate zbiory? wszystkiego szukać potrzeba po Bożym świecie, trochę na oślep, na szczęście; a co się znajdzie, z tego co najprędzej, co najskwapliwiej korzystać. Myślą wydawcy było rozpieczętnione wszelkiego rodzaju pamiątki zjednoczyć, zgromadzić, byle każdy przedmiot zajmujący pod jakimkolwiek względem utrwalił się odtworzeniem tysiącennym. Przyjdzie czas i na *systematyczniejsze zbiory, dzisiaj nie pora jeszcze*“. Zbiór zaś jak dziś jest, dostępny wszystkim, bo sztuki rozchodzą się pojedynczo nawet“... Kraszewski podziwia przedsięwzięcie tak kosztownego artystycznego dzieła, pojętego „potężniej, śmieiej i lepiej“ niż wszelkie inne w kraju, zaznacza niepowodzenie ilustracji historii Polski F. Smuglewicza, (w r. 1787 gdzie obiecał Smuglewicz 200 sztychów, a dał w końcu... 9...), które też weszły potem—do Albumu w pięknych czarnych i kolor. odbiciach, oraz los edycji Zyg. Vogla... zredukowanej z 22-ch pamiątek i widoków z tychże czasów stanisławowskich. Podnosi Kr. odwagę podjęcia ciężaru wydawniczego i chlubne Wilczyńskiego wytrwanie. Katalog wileński nie zawiera całości Albumu, gdyż ten się powiększył jeszcze w latach 1857—61, i w lat kilka potem; Estrejcher w Bibliografii (t. V. str. 79 i następne) także nie spisał całości i jak dotąd nikt tego jeszcze nie zrobił... Wśród portretów np. nie znajdujemy Deotymy, niektórych stalorytów, litografij z rzeczy religijnych, brak również i innych. *Album Wileńskie*, z wielkim smakiem reprodukowane, nie zawsze ściśle oddawało pierwowzory. Do najlepiej wykonanych należą: Wnętrze kościoła Pana Jezusa antokolskiego, staloryt A. Oleszczyńskiego, Uroczysty wjazd do

Rzymu ks. Radziwiłła (z ówczes. oryginału), Grobowce Rudominy i 8 rycerzy chocimskich z Fary nowogródzkiej, St. Radziwiłła z wileńs. bernardyńskiego kościoła, Wizerunek Ostrej Bramy, Katedry: św. Anny, Misjonarzy i t. d. słynnych fresków wileńs. Danckerts'a, Odwrotu francuzów podług J. Damela, Dziedziniec Uniwersytetu wileńskiego; urocz. acz niedoskonale co do ubiorów Paska Pamiętniki, oraz Wesele w Ojcowie zasługiwały na popularność. A Kopec w podróży do Ochocka (z oryg. rysunku generała), a Żydzi przemysłnicy (podług Kukiewicza i t. d.—wszystko wyborne, ciekawe. Z portretów do lepszych zaliczmy Stef. Batorego (współczesny oryginał był w Wilnie), studium (Lafosse'a) z autoportretu W. Wańkowicza, dalej — królowej Barbary, Stan. Leszczyńskiego, Jędrzeja i Jana Śniadeckich, Stan. Jundziłła (3 prześliczne staloryty), konterfektu E. Tyszkiewicza, Kraszewskiego, Syrokomli, Dogiella, Czapskich i t. d. Z widoków najlepsze są te, które w oryginałach wykonali Zamet (Werki, Czerwony Dwór, Rybiski i inni). Piękne są chromolitografie z zabytków kościelnych i dawnych obrazów. *Album* zapoznał badaczy monet i medali z autentykami ze zbioru Józefa hr. Tyszkiewicza w Gródku, oraz podał herby podskarbiech, W. K. Litewskiego. Wilczyński wydał i nuty, z jakowych się wyróżnia *Halka* (śpiew) z wdzięczną postacią dziewczyny podług rysunku A. Zaleskiego. Ze starych miedziorytów rzymskich ładny jest Ks. Józef Poniatowski. *Muzeum wileńskie*, ciekawe, o 48 kartach, z facsimilami rzadkich zabytków, pięknymi chromolitografiami urn i wykopalisk, medali, relikwiarza dawnego, kolczugi ks. Ostrońskiego, insygniów wileńskiej Wszechnicy, figury rzymskiej z Wilczycą (w Wilnie znalezione), litografiami historycz. portretów przez Gremiera wykonanych, dalej rysunki J. Kossaka i Orłowskiego wojska polskiego z w. XVIII etc. Działalność wydawnicza znakomitych zasług męża, ukończoną została zupełnie w początkach lat 70-ych — wskutek ciężkiej, długoletniej Wilczyńskiego choroby, zresztą przedtem wypadki krajowe paraliżowały usiłowania; tylko jeszcze sklep wileński funkcjonował, szerząc wytworne edycje właścicieli i przedmioty religijne nie obrażające uczuć wiary i dobrego smaku. Sklep przetrwał do dziś dnia, lubo stracił wiele z charakterystycznych cech dawniejsze-

go wykwintu i pamiątkowości. Dotąd jeszcze powtarzane są w kopiach litogr. niektóre obrazy ostrobramskie i b. ładne widoczki Wilna z rycin na stali. Praca zawodowa a potem wydawnicza nie dozwalała Wilczyńskiemu na pracę literacką, a że miał ku temu zdolności, świadczy choćby doskonale skreślony życiorys wysoce uzdolnionego a przedwcześnie zgasłego artysty Juliana Karczewskiego. Praca ta jest zamieszczona w Ate-neum wileńskim w 1851 r. 1, 116, 124. Ostatnią podróż Wilczyński odbył do Paryża w r. 1870, podczas oblężenia wojennego. W Wilnie nie-gdyś zestosunkowany i towarzyski w latach osta-tnich kilkunastu przed zgonem,—polubił samo-tność i lekturze się oddawał, coraz mniej inte-resował się losami zbiorów swoich i wydawnictw i nie rozporządził nimi, jakby należało prze-widywać... Szkoda wielka, że całość kolekcji nie przeszła do publicznych, albo prywatnych do-brze zabezpieczonych zbiorów — ot! po śmierci czcigodnego starca poszło wszystko w rozsypkę, pomimo, że niektóre pamiątki dostały się w dobre ręce. Z Albumu Wileńskiego pozostały klisze

i blachy rycin do nabycia. Około 30 tysięcy rub. żądają za wszystko. Są też małe resztki edycji, której dziś już nikt skompletować nie potrafi. *Jedyny* doskonały komplet publikacji Wilczyń-skiego jest własnością zbieracza starożytności p. Ant. Szutinas w Wilnie. Zdaje się w War-szawie sporo rycin z *Albumu Wil.* posiada bo-gaty sklep p. Bolcewicza. Jan Kaz. Wilczyński spoczywa na Rosie, pięknym cmentarzu wileń-skim; żyć przestał d. 7 marca 1885 r. Jest w Wilnie wspaniała artystyczna pamiątka z inie-niem Wilczyńskiego związana — dwa witraże w kościele po uniwersyteckim św. Jana, które pod kierunkiem znakomitego naszego miłośnika sztuki wykonane zostały w Paryżu w r. 1861. Jest to fundacya Księcia Iren. Ogińskiego. Te 12 wi-zerunków znanych w Litwie obrazów świętych, wymalowali artyści: Laurent i Gizell. Ciekawy, lecz niedokładny artykuł o życiu i wydawnictwach Wilczyńskiego dał Szeliga-Bieliński („Kłósy“, r. 1886, 22 i 29 kwiecień).

*Lucyan Uziębło.*



# Kazimierz Kantak.

\* 1824 † 1386

Śród zasłużonych na ziemi Wielkopolskiej przedstawicieli społeczeństwa polskiego, poseł Kazimierz Kantak należy niezaprzeczenie do najwybitniejszych postaci historycznych. Posać to niepospolita, oryginalna, sympatyczna, bo Kantak więcej niż którykolwiek z bojowników duchowych, przedstawia w całej pełni promienną ideę czci i sławy ojczystej.

Urodzony w Poznaniu dnia 22 Marca 1824 r. już od lat dziecinnych odznaczał się wyjątkową zdolnością, przodując rówieśnikom swoim, jako celujący uczeń gimnazjum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Gorąca dusza i umysł niepospolity, pomimo ciężkiej choroby utrudniającej naukę, rozwijały się zwycięzko zapowiadając pożytecznego obywatela społeczeństwu polskiemu. Po kilkole-

tnim pobycie w szkołach poznańskich, przeniósł się Kantak do gimnazjum chełmińskiego, zostającego podówczas pod kierownictwem zacnego dy-

rektora profesora Łożyńskiego. Tutaj zaszkodziły go, jak wielu jego rówieśników, nieszczęśliwe wypadki 1846 r., wskutek których uwięziony, osadzony został najpierw w Grudziądzu a następnie w Toruniu. Uwolniony wreszcie wyrokiem z dnia 2 Grudnia 1847 r., przeniósł się do Berlina, częścią dla poratowania zdrowia, częścią dla ukończenia studyów naukowych.

Na uniwersytecie berlińskim pamiętamy dziś jeszcze tę sympatyczną i sercem ujmującą postać młodego akademika, odznaczającego się w gronie młodzieży polskiej. Charakter to był oryginalny i samoistny. Nie tyle formą i pozorami, jak uosobioną prawością i uczuciem podnio-



*Kantak Karmim.*

*podług fotograf. z natury.*

słem przyciągał on każdego do siebie, jednając poszanowanie i miłość koleżeńską.

Burza dziejowa która we wszystkich niemal krajach europejskich szalonym biegiem wypadków poruszyła umysł i serce młodzieży w roku 1848, odezwała się także groźnym dramatem politycznym w Berlinie.

Pamiętne są owe chwile, w których młodzież polska akademicka mimowolnie tym gorączkowym wirem berlińskiego wstrząśnienia uniesioną została. W Berlinie podówczas szeroko i wzniośle mówiono, — zarówno w prasie wszelkich odcieni jak na zebraniach publicznych i w odezwach mężów niemieckich — o prawach polskich i o nowej organizacyi księstwa Poznańskiego. Pomijamy tu znane wypadki dramatu; wspomnimy tylko, że polska młodzież przez urzędową ówczesną władzę do akcji powołaną została i utworzono osobny oddział ochotniczy akademików polskich, do których, ówczesny prezes policyi gorącem przemówił słowem, rozdając im w arsenale królewskim broń państwową. Oddział ten, stosownie do rozkazu władzy, wysłano do Poznania; tryumfalnym rzeczywiście pochodem witany przez władze miejskie i społeczeństwo niemieckie do rodzinnego przybywał ogniska. Ma się rozumieć, że gorący i uniesiony ideą młody Kantak, stawiał się w pierwszym szeregu, śpiesząc z zapalem i zaufaniem w wir dziejowy, którego wspomnienie krwawymi zgłoskami wyrzyło się w pamięci naszej.

Minęła ta, rzecz możliwą, fantastyczna burza nie przez nas zaiste wywołanej ruchawki. Dziejów ówczesnych nie potrzeba opisywać obszernie \*).

Kantak wraz z całym oddziałem młodzieży akademickiej pozostającym pod przewodnictwem Edmunda Taczanowskiego, d. 22 kwietnia 1848 r. dostał się do niewoli pod Pogrzebowem i przebył dwa miesiące w twierdzy kistrzyńskiej. Po powrocie zamieszkał czas jakiś w Poznaniu a następnie osiadł na roli na wsi. Nie długo jednak Kan-

\*) Wojsko pruskie otrzymało wówczas rozkaz złamania konwencji, zawartej z ochotnikami polskimi. Wskutek tej nagłej zmiany nastąpiły strzały, egzekucye i więzienia. Parlament frankfurcki zadekretował wcielenie Wielkopolski do rzeszy niemieckiej i usunął t. z. „linię demarkacyjną” czyli rodzaj granicy między polską a niemiecką ludnością i ziemią. I stał się po owym czynie parlamentu fakt znamienity. O ile niedawno przedtem publicznie w szerokich kołach berlińskich rozbrzmiewały głosy o prawach polskich, tak

tak oddawał się rolnictwu, bo nie czuł do niego powołania. Sięgając duchem i sercem w dziedzinę służby społecznej, powrócił do Poznania, gdzie odrazu zajaśniał żywym ducha polotem i niepospolitemi zdolnościami życia towarzyskiego, odznaczając się wymową niepospolitą, a sercem gorącym jednając sobie odrazu miłość i zaufanie powszechne. W roku 1862 powołany został do sejmiku pruskiego, gdzie jako reprezentant gnieźnieńsko-wagrowiecko-mogilnickiego okręgu wyborczego aż do chwili zgonu wytrwale pracował.

W r. 1867 został Kantak członkiem sejmiku północno-niemieckiego i jemu to powierzono szaczone zadanie odczytania uroczystego protestu reprezentacyi polskiej, przeciw wcieleniu Wielkopolski do rzeszy północno-niemieckiej.

Na stanowisku posła w Berlinie, był Kantak prawdziwie dostojnym przedstawicielem narodu polskiego w nieustannej walce z niemczyzną. Ożywiony promiennym zapalem do sprawy publicznej, zwrócił na siebie powszechną uwagę, a gromkie słowa i ogień ducha dziwnie przekonywającej siły, podniosły wyjątkowego krasomówcę na wyżynę najpopularniejszych postaci sejmiku pruskiego w Berlinie. Jędrne słowo i ścisłość argumentacyi imponowała wszystkim, a gruntowna znajomość języka niemieckiego i niezachwiana odwaga cywilna jednały mu cześć i poszanowanie nawet pośród najzaciętszych przeciwników.

Specyalnością ulubioną Kantaka podczas długoletniego zawodu parlamentarnego, była dziedzina wychowania publicznego. Na tem polu był on rzeczoznawcą i myślicielem nieporównanym, z którym w tej walce ducha niebezpiecznie się było mierzyć. Tutaj to położył on główne zasługi, a przeglądając kronikę dziejów sejmowych, możnaby rzeczywiście z nagromadzonego materiału i odnośnych mów Kantaka skreślić obraz półwiekowej niemal walki której ostatnim ponurym aktem była rozgłosna sprawa Wrzesińska.

znów po dekrete parlamentu z tychże samych kół posypały się głosy, stawiające «akt cywilizacyjnego dobrodziejstwa,» za jakie poczytano dekret parlamentu. Dodamy tu jeszcze, że z powodu rzeczonych wypadków, zmian i zarządzeń rządu pruskiego pojawiła się wówczas (w 1849 r.) broszura polityczna Juliana Klaczki p. t. „Die deutschen Hegemonen. Offenes Sendschreiben an Herrn Gervinus,» pełna siły namiętnej w oburzeniu i wzdargzie, siły jak stał przeszywającej w ironii. (Przyp. Red.).

Taką była specyalność tego mistrza słowa, którego cień unosi się nad upośledzoną działwą Wielkopolski. Na wszystkich zresztą innych polach pracy sejmowej spotykamy zawsze i wszędzie niezmordowaną postać Kantaka sercem i słowem natchnionem górującego po nad innymi.

Wymowa Kantaka, zapał, energja ducha, wola niezłomna i zdanie wytrawne, któremi rozum i serce jego społem jaśniały, stanowią charakterystykę tej wyjątkowej postaci.

Śluszenie powiedziano o Kaźmierzu Kantaku, że jak ła czysty na duchu, prawością charakteru, przeciwników zmuszał do szacunku. Pomiedzy swymi był przyjacielem prawdziwym, wiernym zaiste druchem. Nie zawodził też niko go, a szczęśliwym się czuł gdy mógł komu służyć i pomagać. Dusza jego z nastrojem prawdziwie poetycznem w pieśniach wieszczów naszych rozmiłowana, w krainie ideałów, prawdy i cnoty spokoju szukała. Głęboka wiara w dziejową przyszłość narodu utrwalała jego siły do pracy; mimo to nie był on marzycielem—nie pochwalał szerzającej się nieraz chorobliwej gorączki i rozpaczliwej namiętności rodaków. Rozumny i wytrawny polityk, umiał nakładać uczuciom swym własnym hamulec, a słowom miarę, gdy widział, że położenie sprawy w danej chwili tego wymaga. Łączył roztropność i rozagę prawdziwego męża stanu. Miłość własną umiał poświęcić, nie służył własnej ale podniosłej idei, a przez to najpiękniejsze zwycięztwo odnosił nad sobą. Dla tego w życiu parlamentarnem jakkolwiek najgłośniejszy z reprezentantów polskich, w kole posłów niemieckich liczył przyjaciół, a między nimi byli tacy zasłużeni mężowie stanu jak Windhorst, Schorlemer i Virchow, którzy umieli ocenić charakter, wyjątkowe stanowisko oraz siłę moralną zasłużonego obywatela.

Po za trybuną sejmową w życiu towarzyskiem wesół, wylany, szczery, prostotą ducha i rozumem pociągał ku sobie wszystkich. Charakteryzując pracę i stanowisko niepospolitego szermierza wielkopolskiego, można go zaiste porównać z tymi wyjątkowymi bohaterami, którzy broniąc zagrożonej twierdzy, życie swe poświęcili. Na polu walki duchowej w Wielkopolsce stał Kantak przez ćwierć wieku; walki strasznej, chociaż bez surmy bojowej, bez dział odgłosu, walki straszniejszej nad inne, bo stać

✧ w niej trzeba było bezbronnem, pod gradem jadłowitych pocisków, nie zadrzeć na widok błotem obrzucanych świętości własnych, przyjmując w pierś własną ciosy sprośnego urągowiska.

W czasie dwudziestokilkoletniej walki dziejowej, stał Kantak wytrwale na trudnym posterunku podnosząc ducha narodu, dając wśród zwątpień wskazówkę wiary, jako najsilniejszych dla nas puklerzy.

Taka walka może podkopać i złamać najpotężniejsze siły, złamać, zniechęcić najodważniejszych. Kantak wytrwał do końca w twardym żywocie, zawsze jednak z pogodą na czole, z wiarą w sercu.

Właśnie w chwilach przedśmiertnej jego go-dziiny, silniej niż kiedykolwiek zawrzały burze złowrogie i przyszły czasy prób najcięższych rozszałego orkanu nienawiści rasowej z germanami. Kantak stał zawsze do walki gotowy z całą energią ducha, ale jego fizyczne siły, stanowczo już były podkopane. Stojąc na posterunku nie opuścił go i w owej pamiętnej sesji sejmowej w przeddzień nieomal zgonu, dwadzieścia cztery razy wśród doby z trybuny parlamentarnej przemawiając, do reszty stargał siły. Nazajutrz rozchorowawszy się niebezpiecznie, wrócił do rodzinnego gniazda, i tu w Poznaniu zamilkły usta i jedno wielkie serce polskie, serce Kantaka przestało bić na wieki. Skonał 28 Grudnia 1886 r.

Jak żył, tak umarł, pojednany z Bógiem, a duchem na zawsze z Wielkopolskim ludem połączony. Śluszenie dziesięjszy arcybiskup poznański, a ówczesny Kantaka sejmowy kolega dr. Floryan Stablewski w mowie pogrzebowej powiedział „gdy o pokoleniu naszym w księdze rządów Bożych zapisane będzie, żeśmy się odrodzili, wtedy trwożyć się nie będziemy bo spełni się nad nami „życia obietnica“ i rozradują się duchy ojców i braci naszych, oby wśród nich i duch Kantaka, rozradował się tą radością po ciężkich walkach żywota.

Niezapomną o nim kapłani przed ołtarzem, którego bronił—nie zapomną o nim matki Wielkopolskie, nie zapomną ziomkowie, którzy w nim tracą niezłomnego żołnierza ducha, nie zapomną przyjaciele serdecznego brata“. Zaiste niezapomną go następne pokolenia, a imię Kaźmierza Kantaka świetlanem wspomnieniem po wszystkie czasy będzie błogosławione.

*Benzelstjerna Engeström.*



# Antoni Zygmunt Helcel

\* 1808 † 1870.

**P**ochodził z rodziny niemieckiej, piszącej się Hoeltzel de Sternstein, uszlachconej r. 1583 przez cesarza Rudolfa II. Dziad jego przybył jako urzędnik austriacki do Podgórza; ojciec, Antoni, założył handel win i korzeni w Krakowie, na którym dorobił się znacznieszego majątku, tak, że mógł nabyć dom w mieście i dobra ziemskie w Królestwie Polskiem, gdzie też Heroldya Królestwa, na podstawie przedłożonych dokumentów rodzinnych, przyznała mu r. 1841 szlachectwo. Ojciec czuł się już Polakiem i wychowywał liczne swoje potomstwo po polsku.

Najstarszem z jego dzieci był nasz Antoni Zygmunt, urodzony 12 listopada 1808 r. w Krakowie. Odbyszy nauki w liceum krakowskim, miał się z woli ojca poświęcić kupiectwu, ażeby po jego śmierci prowadzić dalej założony handel; ale nieprzeparty pociąg do nauki stanął tym zamiarom na przeszkodzie. W r. 1823 zapisuje się Helcel na wydział prawny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zamiłowanie do pracy naukowej, którego mu nie mógł dać ówczesny system nauczania uniwersyteckiego, skierowany wyłącznie do praktycznego przysposabiania prawników, potęgował w nim głównie Jerzy Samuel Bandtkie, z którym Helcel rychło wszedł w bliższe stosunki i któremu zawdzięcza pierwszy popęd do badań historycznych. Na podstawie łacińskiej dysertacji<sup>1)</sup>, po-

święconej skardze o nieważność testamentu w prawie rzymskiem, uzyskuje Helcel r. 1828 stopień doktora praw, poczem zaraz tegoż samego roku udaje się na uniwersytet wrocławski, następnie berliński, r. 1830 na uniwersytet heidelberski, a następnie na krótki czas do Paryża. Uniwersytety niemieckie, liczące podówczas w swem gronie wielu wybitnych, czasem znakomitych uczonych, wpłynęły dodatnio na utwierdzenie kierunku naukowego Helcela, rozszerzyły zakres jego wiedzy, dały mu dobre przygotowanie metodyczne. Jako prawnik, słuchał przedewszystkiem wykładów znamienitszych profesorów prawa: w Wrocławiu Abegga i Unterholznera, w Heidelbergu słynnego Mittermayera; ale najdzielniejszego mistrza znalazł w Berlinie, w osobie Savigny'ego, założyciela nowej szkoły historycznej w nauce prawa. Wpływ Savigny'ego nie pozostał bez widocznego skutku: utwierdziło się w Helclu zamiłowanie do badań historyczno-prawnych, a nauka mistrza, zrywająca stanowczo z dawniejszem, starożytniczem traktowaniem przeszłości prawnej, pojmująca historią prawa jako ewolucją żywego organizmu, roztaczała przed Helclem nowe, szerokie widnokręgi. Z pobytu w Berlinie skorzystał on zresztą jeszcze w inny sposób: słuchał tu wykładów słynnego podówczas ponad zasługę na cały świat Hegla, i wyniósł z nich wielkie zamiłowanie do abstrakcyjnej, formułkowej filozofii niemieckiej, z pod której wpływu, z pewną nawet szkodą dla swej działalności naukowej, nie zdołał się później przez pewien czas wyzwolić. W listopadzie roku 1830 przerwał Helcel pobyt swój

<sup>1)</sup> Dissertatio inauguralis iuridica de quaerela inofficiosi testamenti secundum iuris Romani principia, Kraków 1828, 8-o str. 40.

w Paryżu i powrócił do kraju. W dwa lata później (1832) poślubiwszy narzeczoną jeszcze z czasów uniwersyteckich, Prandotównę Skrudzińską, uczynił pierwszy krok, ażeby zyskać właściwe pole dla przyszłej działalności naukowej. Wniósł do Wydziału prawnego Uniwersytetu Jagiellońskiego podanie o udzielenie mu profesury. Zamierzał wyklądać prawo rzymskie, któremu poświęcił pierwszą swoją pracę doktorską, w którym rozmiłował się szczególnie pod wpływem Savigny'ego. Ale kandydatura Helcla była wcale nie na rękę ówczesnemu Wydziałowi prawnemu. Przynosił on z sobą opinią nowatora w zakresie nauki; wiadano, z jakich źródeł czerpał wykształcenie prawnicze, zdawano sobie dokładną sprawę z tego, że będzie na Uniwersytecie wyobrażał nowe kierunki naukowe, co wszystko mogło uczynić wyłom w starym, wygodnym systemie nauczania, jaki tu panował. Żeby więc Helcla poniekąd zniechęcić do zawodu profesorskiego, a zarazem uratować pozory, które nie pozwalały prośby jego wprost odrzucić, odpowiedziano mu, że do wykładów prawa rzymskiego nie może być dopuszczonym, że jednakowoż Uniwersytet mógłby mu powierzyć wykłady, jak twierdzą jedni, prawa cywilnego francuskiego, jak podają inni, lepiej snąć poinformowani, historii dawnego prawa polskiego, jeśliby się ich podjąć zechciał.

Wobec takiego obrotu sprawy nie łatwo było Helclowi powziąć ostateczną decyzję. Nauka historii prawa polskiego ledwo że podówczas dopiero zaczęła stawiać pierwsze kroki; z większych publikacyj wykazać mogła chyba dzieło Czackiego (1800) i świeżo ogłoszoną pracę Lelewela (1828), obok jałowej literatury polemicznej z początków XIX stulecia o wpływ prawa rzymskiego na prawo polskie, i dwu cennych, pod koniec drugiego dziesiątka lat tego wieku wydanych monografií R. Hubego. Z prac, dotyczących historii praw słowiańskich i stosunku ich do prawa polskiego, istniała dotąd tylko publikacja Rakowieckiego (1820—22). Maciejowski zaczął dopiero teraz (1832) ogłaszać pierwsze wydanie swojej *Historii prawodawstw słowiańskich*. W tych warunkach wykład całokształtu dziejów prawa polskiego przedstawiał sam w sobie trudności wielkie i znaczne niebezpieczeństwa, nawet dla takiego badacza, który przedmiotem tym zdawna się zajmował. W odniesieniu do Helcla trudność była bez porównania większą: prawo pol-

skie było mu bowiem zupełnie obcem, nie prowadził on dotąd żadnych badań nad jego historią. Ale gorąca chęć poświęcenia się zawodowi profesorskiemu i zaufanie w młode siły, przełamały skrupuły; zresztą, zarówno ogólny kierunek historyczno-prawny dotychczasowych studyów, jako też nabyte już dawniej pod wpływem Bandtkiego zamiłowanie do badań nad przeszłością własnego narodu, dodawały otuchy i zachęty do podjęcia się tego zadania. Tak więc Helcel przyjął propozycją uniwersytetu i jeszcze tegoż (1832) roku otrzymał mianowanie na «bezpłatnego nauczyciela» (tyle co docenta) historii prawa polskiego.

Pierwszy ten okres profesorskiej i uniwersyteckiej działalności Helcla trwał bardzo krótko, niecały rok; już r. 1833, skutkiem przeprowadzonej za wpływem mocarstw opiekuńczych reformy urzędów wewnętrznych b. Rzeczypospolitej krakowskiej, jako też połączonej z nią reformy Uniwersytetu Jagiellońskiego, w którym zniesiono bezpłatne docentury, musiał ustąpić z zajmowanego stanowiska. Że niewiele mógł wtedy zdziałać, jako profesor czy uczony, tłumaczy sama krótkość czasu, a bardziej jeszcze okoliczność, że sam dopiero musiał się zabrać do poznania i zbadania dawnych urzędów prawa polskiego. Nie wahał się do tego przyznawać i nie wstydził się szukać pomocy i wskazówek, skądkolwiek one przyjść mogły. Tak zaraz po nominacji zwrócił się do R. Hubego, niedawno przedtem profesora prawa polskiego w Uniwersytecie warszawskim, z prośbą o radę, w jakim sposobie i porządku ma swe studia prowadzić; otrzymał też wskazówkę, ażeby naprzód zbadał treść statutów i konstytucyj, następnie poznał praktyków z 16—18 stul., wreszcie zaś rozpatrzył się także w dawnych inwentarzach praw polskich. Zasadniczą wagę i pierwszorzędne znaczenie ma tu sama okoliczność, że Helcel, pracujący dotąd w zakresie prawa rzymskiego, zetknął się po raz pierwszy ze źródłami i literaturą dawnego prawa polskiego, że popchnięty został do badań nad jego historią, które już potem na całe życie pozostały głównem, najważniejszym jego zajęciem naukowem. Stało się to, jak wiemy, przez przypadek; przypadkowi temu zawdzięczyć mamy, że pisarz, który może byłby zasłynął jako zdolny romanista, zmienił przedmiot badań, ażeby z biegiem czasu stać się twórcą właściwej, na ściśle



*A. Z. Helzer.*

umiejętnych podstawach opartej nauki historii prawa polskiego.

Nie odrazu zresztą zwrot ten objawił się całkiem widocznie, choć w samej pracy dla nauki nie ustał Helcel ani na chwilę. Pozbawiony profesury, szukał innego pola dla rozwinięcia swej działalności, i w tym celu założył w Krakowie pismo peryodyczne pod nazwą «Kwartalnik naukowy»<sup>1)</sup>. Pomijając ogłaszane przez Bandtkiego w kilku, długimi odstępami czasu przedzielonych zeszytach, drobne, lubo zresztą cenne jak na ówczesne stosunki pismo «Miscellanea Cracoviensia» (1814, 1815, 1829), było to pierwsze pismo naukowe, jakie się w ogóle w Krakowie pojawiać zaczęło, a zarazem drugi po «Pamiętniku Warszawskim» poważny organ peryodyczny polski o charakterze ogólnym. Już ten wzgląd dodaje «Kwartalnikowi» szczególnego znaczenia w rozwoju naszego czasopiśmiennictwa, a podnosi je także okoliczność, że redakcja [prowadzoną] była bardzo starannie, a w szeregu współpracowników udało się Helcelowi zgromadzić wiele wybitnych osobistości, które bądź to już wtedy zdobyły sobie piękne imię w literaturze i nauce, bądź też wnet później odznaczyć się miały swojemi pracami. Z współpracowników polaków spotykamy tu Brodzińskiego, Heylmana, Kremera, Łukaszewicza, Maciejowskiego, Mecherzyńskiego, Muczkowskiego, J. Trojańskiego i Wójcickiego; z obcych zasilali pismo artykułami swymi: Hanka, Kopitar, Purkinie i Stenzel. Szczególnie bogatym i wcale gruntownym był dział krytyki literacko-naukowej, nowość, za wzorem zachodnim wprowadzona do czasopiśmiennictwa polskiego po raz pierwszy na tak szerokie rozmiary, w jakich jej dotąd nie spotykano w żadnym innem piśmie naukowym polskiem; obfitym zwłaszcza był dział krytyki dzieł prawnych, polskich i obcych, prowadzony w przeważnej części niewątpliwie przez samego Helcela.

Mimowszystkie te zalety, «Kwartalnik» po dwu latach istnienia (1835—1836) i po ogłoszeniu czterech tomów, upadł, przyniósłszy znaczną stratę wydawcy. Stało się to po części dla braku dostatecznego poparcia ze strony publiczności, w części z winy samej redakcji. W artykułach, ogła-

<sup>1)</sup> Kwartalnik naukowy, wydawany w połączeniu prac miłośników umiejętności. Kraków 1835—1836. 8-o I str. 390. II str. 407. III str. 393. IV str. 398.

szanych w piśmie, wracano. aż nazbyt często do ogólnych tematów filozoficznych, a choć się zastrzegano nieraz, że się tu tworzy podwaliny dla przyszłej narodowej filozofii polskiej, to jednak w istocie rzeczy, jak trafnie wytknął Hube, było to tylko przesadzanie filozofii niemieckiej na grunt polski, owej suchej, abstrakcyjnej filozofii, posługującej się dziwaczными formułkami, pojęciami i definicjami, których nieraz sami autorowie dostatecznie nie rozumieli. Sam Helcel, uczeń Hegla, podówczas jeszcze pod wpływem jego stojący, nie ustrzegł się niebezpieczeństw stąd wpływających i umieścił w «Kwartalniku» dwie rozprawy filozoficzne<sup>1)</sup>, nielepsze od innych podobnych. W mglistych, często niezrozumiałych wywodach, publiczność, zdrowym wiedzioną instynktem, upodobania znaleźć nie mogła, co również spowodować musiało słabe tylko poparcie pisma.

Ujemny wpływ szkoły filozoficznej niemieckiej odbił się poniekąd nawet na takich pracach Helcela, w których do tego nie wiele nastęczało się sposobności. Mam tu na myśli jego artykuł o J. S. Bandtkiem. Już r. 1835, kiedy «Gazeta Krakowska» zamieściła ujemne zdanie o dawniejszym, tyle cenionym mistrzu Helcela, stanął on w jego obronie w osobnem piśmie, do Gazety tej przesłanem<sup>2)</sup>, a w rok potem (1836) zamieścił w «Kwartalniku» obszerny życiorys Bandtkiego, w którym zarazem starał się wyświecić jego stanowisko w literaturze i stosunek do społeczeństwa polskiego<sup>3)</sup>. Sam akt wdzięczności wobec mistrza zasługuje na pełne uznanie, a i biografia nie jest pozbawioną istotnej wartości; ale w miejscach, w których Helcel przechodzi do rozpatrywania pytań ogólnych, zwłaszcza do charakterystyki naukowości polskiej, daje nam znowu zawily i mglisty obraz przedmiotu, spisany niezrozumiałym po części językiem filozofów niemieckich.

<sup>1)</sup> O teoretycznej i praktycznej oświacie, jako wstęp do Kwartalnika 1835. I str. 1—26; O zawodzie filozofii, jako przyczynek do zawiązania jej w kraju naszym, 1836. I str. 1—50.

<sup>2)</sup> Odpowiedź na umieszczony w Gazecie Krakowskiej w nr. 18 artykuł p. n. Kronika literacka. Dod. do Gaz. Krak. 1835. 4-o.

<sup>3)</sup> Jerzy Samuel Bandtkie w stosunku do społeczności i literatury polskiej, Kraków, odb. z Kwart. nauk. 1837, 8-o str. 52.

Wśród tych zajęć redaktorskich, a po części publicystycznych, wracał jednak Helcel chętnie do ulubionej nauki prawa, poruszając zrazu ogólniejsze pytania teoretyczne i praktyczne. W ten sposób powstał jego artykuł o systematyce prawa i zastosowaniu jej do wykładów uniwersyteckich, ogłoszony r. 1835 w «Kwartalniku» <sup>1)</sup>, jako też wydana osobno r. 1836 książka o postępach prawodawstwa karnego, w najnowszych zwłaszcza czasach <sup>2)</sup>, rodzaj podręcznika, zawierającego cenne informacje dla prawników.

W «Kwartalniku» ukazał się wreszcie pierwszy owoc badań Helcla nad historią dawnego prawa polskiego, rzecz o grzywnach w Polsce za czasów Kazimierza Wielkiego <sup>3)</sup>. Nieduża ta rozprawka, poruszająca zarazem zasadnicze pytania z zakresu historii mennictwa polskiego, zdradza już widocznie sposobem opracowania przedmiotu późniejsze właściwości i zalety naukowej działalności Helcla: sumiennność, gruntowność i dar bystrej kombinacji. W rok potem ogłasza Helcel nowe wydanie znanego dzieła Lengnicha o prawie politycznem Rzeczypospolitej w przekładzie polskim <sup>4)</sup>. Myśl tego wydawnictwa zrodziła się wśród własnych studyów Helcla nad ustrojem dawnej Polski, jakie na tym, niewątpliwie najlepszym podręczniku z czasów dawniejszych prowadził, sprawdzając go i uzupełniając wiadomościami, zaczerpniętymi wprost ze źródeł ustawodawstwa polskiego. Pragnął on to dzieło przypomnieć szerszym warstwom społeczeństwa, a zarazem podzielić się z niem uzupełnieniami, jakie sam sobie zestawiał. Za podstawę wydania obrał zrazu przekład Moszczeńskiego z r. 1761, który jednak porównywał starannie z oryginałem łacińskim i wszędzie stosownie prostował; w dalszym zaś ciągu tłómaczył już całkiem samodzielnie oryginał łaciński Lengnicha. Bogate przy-

pisy rzeczowe jakie z rozpatrzenia źródeł prawnych zebrał, wyniosły publikacją wysoko ponad poziom zwykłego przekładu i dodały jej poniekąd znaczenia samoistnego opracowania. Znamienne światło na stosunki ówczesne, a zarazem trudności, z jakimi walczyć musiała poważna praca naukowa, rzuca okoliczność, że po ogłoszeniu dzieła Lengnicha senat Rzeczypospolitej krakowskiej, z powodu dostrzeżonych «nieregularności» zakazał publicznej sprzedaży książki i dopiero po silnej remonstracyi Helcla i po upływie dłuższego czasu skłonił się do cofnięcia tego zakazu.

Zrokiem 1836, t.j. zawieszeniem «Kwartalnika» i ogłoszeniem ostatniego ze wspomnianych dzieł, następuje dłuższa przerwa w produkcji literackiej i naukowej Helcla. Kupił więc Górkę pod Krakowem i tutaj gospodarował aż do r. 1845, poczem dopiero, sprzedawszy ją, osiadł napowrót w Krakowie, Ale nawet i w tym czasie nie porzucił samej pracy naukowej. Już w trzecim dziesiątku lat wieku XIX zajął się gromadzeniem starych dyplomów, które w owych czasach łatwo było można nabywać czy to w antykwarniach, czy też u osób prywatnych. Rozczytując się w nich, poznał całą doniosłość materiału tego dla rozjaśnienia najdawniejszych dziejów Polski w ogóle, a szczególności starych jej urządzeń prawnych. Rzecz, prowadzona zrazu tylko sposobem amatorskim, przemieniła się w programową robotę od czasu, kiedy Helcel zetknął się z Leonem Ryszczewskim, szczerym miłośnikiem pamiątek i dziejów ojczystych, który oświadczył gotowość wydania wielkiego zbioru dyplomatów polskich średniowiecznych i stosowne na ten cel fundusze z majątku swego przeznaczył. Zbioru takiego nauce polskiej dotąd niedostawało. Kodeks dyplomatyczny Dogiela, ogłoszony jeszcze w wieku XVIII, objął tylko akta prawnopanstwowej treści, a ponadto nie odpowiadał już wymogom nowszej krytyki; niefortunnie pod względem metodycznym i krytycznym wypadła także pierwsza z wieku XIX (1840) próba ogłoszenia większego zbioru starych dyplomów wielkopolskich, podjęta przez Raczyńskiego. Zresztą znano dyplomy dawniejsze w bardzo tylko nieznacznej ilości i prawie bez wyjątku w niekrytycznych wydaniach bądź to z niektórych dawniejszych dzieł z XVI—XVIII w., gdzie je przygodnie ogłaszano, bądź też z drobnych zbiorów, jakie w początkach XIX stulecia niektórzy uczeni (Hube, Lelewel) w czasopismach

<sup>1)</sup> Rys systemu umiejętności prawa ze względu na tegoczesne wykłady części jego w uniwersytetach, Kwart. naukowy 1835. I str. 269—304.

<sup>2)</sup> Rys postępów prawodawstwa karnego ze szczególnym względem na nowsze w tej mierze usiłowania. Kraków 1836. 8-o str. 186.

<sup>3)</sup> O grzywnach za czasów Kazimierza W., Kwart. nauk. 1835. I str. 305—347.

<sup>4)</sup> Lengnich Bog., Prawo pospolite Królestwa Polskiego. Wydanie nowe w poprawnem tłómaczeniu, oba łacińskie połączające. Kraków 1836. 8-o str. XVI i 558.



lub dodatkach do swych prac naukowych pomieścili. Teraz miał powstać pierwszy wielki dyplomatarysz polski. Że ta publikacja przysłużyła się nauce naszej nie tylko obfitością ogłoszonego materiału, ale zarazem ścisłym, krytycznym jego opracowaniem i wydaniem, w tem zasługa przede wszystkim Helcla, który pracą z początku kierował i sam też w znacznej części jej dokonał. Zgromadził on stosunkowo dość pokaźną ilość nieznanych dyplomów średniowiecznych (do roku 1506) ze zbiorów publicznych i prywatnych, przepisywał ich teksty z największą skrupulatnością i dokładnością, opierając się o ile możliwości na oryginałach, a zarazem podając odmianki, o ile dyplom jakiś znalazł się w kilku egzemplarzach; rozwiązywał i ustalał, czasem prostował daty, przydawał objaśnienia topograficzne, osobowe i rzeczowe, rozpatrywał w razie zachodzących wątpliwości pytanie co do autentyczności dokumentu. Nie można powiedzieć, żeby ta praca, sama w sobie żmudna, usłana była różami; niejedną trudność miał Helcel do zwalczenia w Komitecie redakcyjnym, złożonym przez Rzyszczewskiego z pięciu uczonych warszawskich, którzy nie zawsze godzili się z tem, zdaniem ich, zbyt pedantycznym opracowywaniem materiału, a znamioną jest rzeczą, że nawet tak poważny, ścisły i sumienny badacz, jak Hube, dał się wobec Helcla słyszeć ze zdaniem, iż znaczna część aparatu krytycznego jest tu rzeczą zbyteczną. Mimo te i inne podobne przeszkody, ukazał się wreszcie w r. 1847 pierwszy tom «Kodeksu dyplomatycznego Polski»<sup>1)</sup>. Nie udało się Helclowi opracować całego tomu w sposób jednolity; przypisy jego sięgają tu tylko do nr. 107. Ale myśl, zapoczątkowana przez niego, nie zaginęła; dalsze numery tego tomu, jakoteż dwu części tomu drugiego, w których wydawnictwie nie brał już bezpośredniego udziału (wydane 1847 — 1853) opatrzył w znacznej części przypisami objaśniającymi A. Muczkowski, według wzoru, stworzonego przez Helcla. Same jednak odpisy do tomu pierwszego, jako też znaczna część odpisów dla tomu drugiego, przygotowane zostały jeszcze przez Helcla.

Znaczenie, jakie przedstawia wydawnictwo tego dyplomatarusza, nie zostało dotąd w szeregu

zasług Helcla należycie ocenione, może dla tego, że je zaciemniły poniekąd późniejsze zasługi wydawcy «Starodawnych prawa polskiego pomników». A jednak, jak tamte, także i ta publikacja ma znaczenie przełomowe w dziejach naszej nauki; dała nam ona pierwszy, prawdziwie naukowy dyplomatarysz, w którym zastosowano wszystkie ustalone na Zachodzie nowożytnie zasady i prawa wydawnicze, zarówno pod względem ścisłości w oddaniu tekstu źródeł, jakoteż krytyki edytorskiej; dzieło, które stanowiło wzór dla wszystkich późniejszych naszych wydawnictw kodeksów dyplomatycznych.

Dalszą pracę nad publikacją dyplomatarusza przerwała potęgująca się, dawno już organizm Helcla trawiąca choroba mleczna pacierzowego, jako też groźne wypadki, jakie zaszły w kraju roku 1846. Od dłuższego już czasu brał Helcel udział w życiu publicznym, zajmował się jego sprawami, pracował w miarę sił nad urzeczywistnieniem zadań społecznych. Jeszcze r. 1833, wspólnie z Konstantym Świdzińskim i Pawłem Popielem opracował memoriał w sprawie zagrożonego skutkiem przeprowadzonej równocześnie reformy Uniwersytetu Jagiellońskiego i przesłał go cesarzowi austriackiemu, jako zwierzchnikowi jednego z państw opiekuńczych Rzeczypospolitej krakowskiej; w samej Rzeczypospolitej podejmował się różnych funkcji publicznych: był arbitrem przy wprowadzeniu do sądów spraw skarbu i instytutów (od r. 1833), członkiem komisji kodyfikacyjnej i komisji emerytalnej (od 1838), zastępcą w komisji obrachunkowej (od 1843), członkiem komitetu teatralnego, piastował także mandat deputowanego na sejm Rzeczypospolitej. Wypadki galicyjskie z r. 1846 i mylna interpretacja, jaką im nadawano w prasie zagranicznej, skłoniły go do napisania obszernej broszury w języku niemieckim<sup>1)</sup>, wystosowanej do publicysty niemieckiego Schuzelki, w której

<sup>1)</sup> Briefe eines polnischen Edelmanns an einen deutschen Publicisten über die jüngsten Ereignisse in Polen und die hauptsächlich bisher nur vom deutschen Standpunkte betrachtete polnische Frage. Pismo to ogłosił Schuzelka w Hamburgu r. 1846, z dodatkiem artykułu przez siebie napisanego, skutkiem czego i same «Listy» uchodziły przez długi czas za dzieło Schuzelki. Druk ten, dziś bardzo rzadki, powtórzony został w dziele H. Lisickiego, Antoni Zygmunt Helcel II str. 291—397.

<sup>1)</sup> Codex diplomaticus Poloniae, vol. I. Varsoviae. 1847. 4-o.

dał poważny i spokojny pogląd na stosunki europejskie i polskie, wyłuszczył bystro zasady układu społecznego i państwowego dawnej Polski, wyjaśnił przyczyny jej upadku, ale zarazem odparł niesłuszne zarzuty. Był to pierwszy ważniejszy krok w politycznym zawodzie Helcla. W r. 1848, mimo sterane zdrowie, udaje się na zjazd wrocławski, a następnie na zjazd słowiański w Pradze, gdzie bierze udział w redakcji znanego projektu oparcia urządzeń Austrii na zasadzie federacyjnej i redaguje sam adres do cesarza, mający projekt ten poprzeć i uzasadnić. Kiedy wreszcie dla rewizji konstytucji kwietniowej austriackiej z r. 1848 zwołaną została konstytuanta wiedeńsko-kromierzyska, postawił Helcel w Krakowie kandydaturę swoją na posła, wyłuszczywszy uprzednio zasady i przekonania swoje w osobnej odezwie do wyborców <sup>1)</sup>, która mu zapewniła mandat do konstytuanty. W odezwie tej ostrzegał przed niebezpieczeństwem, grożącym Słowianom ze strony Niemców, wzywał do skutecznego oporu przeciw ich supremacji, i zgodnie z zasadami adresu praskiego stawiał program federacji Słowian austriackich dla urzeczywistnienia wskazanych celów. W Kromierzyżu, wobec ścierających się rozmaitych programów politycznych, zajmował, nawet pośród posłów polskich, stanowisko dość odosobnione; wśród obrad nad projektem konstytucji wygłosił dwie uwagi godne mowy za wolnością kościoła i w sprawie urządzenia stosunków gminnych.

Sejm kromierzyski spełził, jak wiadomo, na niczem; kiedy wnet potem (1851 r.) cofniętą została także t. zw. narzucona konstytucja marcowa z r. 1849 i nastąpił nawrót do dawnego systemu rządów, zamknęło się dla Helcla, podobnie jak i dla innych, pole do działalności publicznej. Tymczasem jednak, lubo na krótki tylko czas, znalazł po raz wtóry sposobność rozwinięcia działalności profesorskiej z katedry uniwersyteckiej. Kiedy w r. 1848 na Wszechnicę Jagiellońską powołano kilku uczonych polskich, znalazł się w ich rządzie także i Helcel, zamianowany w październiku profesorem historii prawa polskiego. Objął wykłady r. 1849 i oddał się no-

<sup>1)</sup> Głos A. Z. Helcla do wyborców obwodu obiorczego III okręgu krakowskiego. Kraków 1848. 4-o str. 4.

wym obowiązkom z właściwem sobie przejęciem i gorliwością; nie zaniedbał przytem zajmować się ogólnymi sprawami uniwersytetu, które w niejednym względzie domagały się reformy. Szkolnictwo austriackie otrzymało podówczas zdolnego, ożywionego dobrymi chęciami kierownika w osobie ministra oświaty hr. Thuna, któremu też zawdzięcza niejedną ważną reformę. Korzystając z takiego ułożenia się stosunków, Helcel, wnet po otrzymaniu nominacji, przedstawił Thunowi obszerny memoriał, dotyczący podniesienia poziomu naukowego na wydziałach prawnych uniwersytetów austriackich wogóle, a uniwersytetu krakowskiego w szczególności. Memoriał kładł nacisk na korporacyjny charakter uniwersytetów, domagał się przeprowadzenia zasady wolności nauczania, a zarazem usunięcia daleko idącej ingerencji władz administracyjnych w sprawy uniwersyteckie. Jakkolwiek żądania te były tylko zastosowaniem zasad, leżących w charakterze organizacji uniwersyteckiej i wypływały z istotnej potrzeby nauki, jakkolwiek niektóre z nich przeprowadził sam minister oświaty, to jednak inicjatywa Helcla nie sprawiła dobrego wrażenia na biurokracji austriackiej. Zapamiętano sobie śmiało jego wystąpienie, a kiedy wnet potem, po cofnięciu konstytucji, postanowiono znowu zniemczyć uniwersytet krakowski i w związku z tem usunąć z niego profesorów Polaków, nazwisko Helcla znalazło się jedno z pierwszych na liście proskrybowanych. Napór był tak silny, że nawet sam minister Thun po całorocznem wahaniu się musiał ustąpić; r. 1853 Helcel otrzymał dymisję z profesury, razem z W. Polem, Małeckim i Zielonackim.

Druga profesura Helcla trwała zatem tylko cztery lata. Mimo krótkości czasu miała ona jednak ten skutek doniosły, że zwróciła go napowrót do poprzednio przerwanych studyów nad historią prawa polskiego, którym odtąd już największą część swojej pracy życiowej poświęcił. Najpierwszym owocem zajęć jego profesorskich był systematyczny wykład prawa prywatnego polskiego, spisany dla własnego, podręcznego użytku przy prelekcjach, ogłoszony z papierów pozostałych, dopiero po śmierci Helcla, przez Bobrzyńskiego <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Dawne prawo prywatne polskie; Antoniego Zygmunta Helcla Pism pozostałych wydanie pośmiertne t. I (jedyny). Kraków, 1874. 8-o str. 233.

Jestto tylko fragment całości, obejmujący t. zw. część ogólną i prawo rzeczowe, z pominięciem innych działów prawa prywatnego; a nawet i w tem, co ogłoszono, brakuje niektórych rozdziałów, na które Helcel pozostawił wolne miejsce z zamiarem opracowania ich później. Nie jest to praca na wskroś samoistna; za podstawę wziął tu sobie Helcel ogłoszone właśnie w tych czasach (1851) pośmiertne dzieło Jana Winc. Bandtkiego «Prawo prywatne polskie», którego układ po części zatrzymał, a poszczególne rozdziały stosownie uzupełniał, zmieniał i przerabiał. Ale właśnie owe przeróbki dodają pracy wysokiego znaczenia: usuwa ona różne błędy i niedostatki Bandtkiego, odznacza się daleko gruntowniejszem ujęciem przedmiotu i charakterystyką urządzeń prawnych, wreszcie opiera się już po części na materyale dyplomatycznym, z którego Bandtkie nie korzystał wcale, nie mówiąc już o pełniejszym bez porównania wyzyskaniu materyału ustawowego, jako też dawniejszej literatury prawniczej polskiej. Zapewne z owych czasów, przynajmniej w części, pochodzą inne prace Helcla, spoczywające dotąd w rękopisach, które niegdyś zamierzała wydać Akademia Umiejętności krakowska, ale dotąd ich nie ogłosiła. Należą tu: *Historia dawnego prawa polskiego*, *rozprawa o szlachcie w Polsce*, *tudzież rozprawa o starostach i prokuratorach*.

Najważniejszą wszelako pracą, której początek na owe czasy przypada, są badania Helcla nad genezą i rozkładem statutów Kazimierza W. Aż do początku wieku XIX mniemano, że ogłoszony w *Zbiorze Łaskiego* z r. 1506, a stamtąd w «*Voluminach legum*» przedrukowany tekst owych statutów, ze stu kilkudziesięciu artykułów złożony, jest jednolitem dziełem prawodawczem Kazimierza, ogłoszonem na wiecu wiślickim z roku 1347. Pierwszy Czacki poruszył pewne wątpliwości, jakie się pod tym względem nasuwały, nie siląc się bynajmniej na rozwiązanie pytania. Po nim Lelewel (1828) zabrał się do zasadniczego rozpatrzenia kwestyi i doszedł do wniosku, że statuty Kazimierzowskie są właściwie zbiorem rozmaitych ustaw dawniejszych, szczególnie z czasów Łokietka, które Kazimierz W. zebrał w jedną całość i niektórymi przydatkami pomnożył. Wreszcie Hube (1839) wypowiedział mniemanie, że w skład owych statutów weszły statuty ziemi krakowskiej, jeszcze w XIII wieku wydane, pomno-

żone różnemi konstytucyami późniejszymi, jako też prejudykatami grodu krakowskiego, a wreszcie także ustawami samego Kazimierza. Wszystkie te hipotezy nie zadowolili Helcla; postanowił on przedmiot ten rozpatrzeć gruntownie na nowo. Kiedy się zabrał do pracy, nie można określić napewno; w r. 1852 jest ona już w pełnym toku, a w r. 1853 jego wywód o ustawodawstwie Kazimierzowskiem jest już może w całości, a conajmniej w przeważnej części gotów, wspomina bowiem Helcel w jednym z listów z tego czasu, iż w wywodzie tym doszedł do innych wniosków, aniżeli poprzednicy.

Było zrazu zamiarem jego poprzestać na ogłoszeniu samej tylko rozprawy naukowej, wyświetlającej sprawę powstania statutów Kazimierzowskich; w toku jednak pracy myśl ta doznała znacznego rozszerzenia. Ze względu na to, że wydane dotąd u Łaskiego i w «*Voluminach*» teksty owych statutów były zgola niekrytyczne, jak niemniej że i wydanie Bandtkiego w «*Ius Polonicum*» (1831), mimo zużytkowania kilkunastu rękopisów średniowiecznych, nie odpowiadało w całości wymaganiom naukowym, musiał Helcel do napisania swej pracy przedsięwziąć ponowne zbadanie tekstów rękopiśmiennych owego zbioru. Udało mu się ich zgromadzić z górami trzydziestą z rozmaitych bibliotek polskich i zagranicznych, ilość tak pokaźną, jaką żaden z poprzedników jego nie rozporządzał; nawet późniejsze odkrycia aż po dzień dzisiejszy zdołały ją pomnożyć zaledwie o kilka nowych, Helclowi nieznanym rękopisów. Wszystkie te kodeksy porównywał on starannie między sobą, skąd urodziła się myśl, ażeby obok samej rozprawy o statutach wydać zarazem ich tekst, oczyszczony ze wszystkich błędów i naleciałości, w rozkładzie, odpowiadającym ostatecznym wynikom, do jakich doszedł w swej rozprawie. Z pracą ściśle badawczą miało się zatem połączyć także nowe, krytyczne wydanie źródeł. Nie przerwało tej pracy ustąpienie Helcla z katedry profesorskiej r. 1853, ani też trzyletnia gospodarka w nowonabytym i wnet potem pozbytym majątku ziemskim pod Krakowem (Golcza), gdzie Helcel zazwyczaj spędzał tylko lato, wracając na zimę do Krakowa; owszem, plan i zakres wydawnictwa zwiększały się coraz bardziej. Do statutów Kazimierzowskich postanowił on przydać jeszcze nowe wydanie statutu

warckiego z roku 1423, szereg statutów ma-zowieckich średniowiecznych, po części zupeł-nie dotąd nieznanych, najdawniejszy urzędowy zbiór ustaw synodalnych polskich od r. 1233 do 1357, wydany na podstawie rękopisu wrocław-skiego <sup>1)</sup>, wreszcie kilkaset wybranych zapisek z ksiąg sądowych ziemi krakowskiej z końca XIV wieku. Wszystkie te materiały, razem z wywo-dem Helcla o ustawodawstwie Kazimierza W., złożyły się na pokaźny wolumin, który w r. 1857 opuścił prasę drukarską, jako pierwszy tom zbiorowego wydawnictwa p. t. «Starodawne prawa polskiego pomniki» <sup>2)</sup>.

Powiedziano już dawniej, że «Pomnikami» ty-mi Helcel sam sobie wystawił pomnik. I słusznie. Zajaśniało tu w całym blasku, w wyższym jeszcze stopniu, niż w Dyplomatarjuszu Rzyszczewskiego, edytorskie uzdolnienie Helcla. Tak doskonale pod względem ścisłości w oddaniu tekstu i nagroma-dzonego aparatu krytycznego publikacji nie po-siadała dotąd nie tylko literatura prawa polskiego, ale wogóle nawet literatura historyczna polska. Wszystkie najnowsze zdobycze w zakresie metody wydawniczej, do jakich doszła nauka zachodnia, zostały tu spożytkowane i zastosowane. To też wydawnictwo Helcla śmiało może współzawodni-czyć z najlepszymi tego rodzaju wydawnictwami zagranicznymi. W literaturze naszej miało ono znaczenie przełomowe; wskazało, jakie są wymogi dobrej publikacji źródłowej, stało się wzorem, do którego dostosowywano—nie zawsze z pomyślnym skutkiem — publikacje późniejsze. Ono wreszcie dopiero, podawszy krytyczny tekst najważniejszych zabytków średniowiecznego ustawodawstwa pol-skiego, umożliwiło naprawdę konstrukcyjne nad niemi studia, a przez to naukę historii prawa polskiego na nowe popchnęło tory, nowej jej otwo-rzyło widnokręgi.

Obszerny «Wywód historyczno-krytyczny t. z. wiślickiego prawodawstwa Kazimierza Wielkiego», zamieszczony na czele tomu, wyczerpująca praca

1) Równocześnie i niezależnie od Helcla wydał ten sam zbiór Hube na podstawie rękopisu peters-burskiego.

2) Starodawne prawa polskiego pomniki, poprze-dzone wywodem historyczno-krytycznym t. zw. usta-wodawstwa wiślickiego Kazimierza W., w tekście ze starych rękopisów krytycznie dobranym. Warszawa, 1857. 8-o str. CCLXVIII i 428.

o genezie i rozkładzie statutów Kazimierzowskich, przedstawia również szczególne i doniosłe dla na-uki naszej znaczenie. Z dwu głównych tez, jakie tu Helcel udowodnić się starał, pierwsza, najwa-żniejsza, iż cały ten zabytek ustawodawczy jest dziełem Kazimierza W., że nie weszły w jego skład ani rzekome statuty krakowskie z w. XIII, ani też konstytucje Łokietka i dawniejszych ksią-żąt, ostał się po dziś dzień jako cenna zdobycz naukowa, mimo liczne badania, jakie po Helclu przedmiotowi temu poświęcali poważni uczeni. Mniej zasadną okazała się druga jego teza, jako-by ustawodawstwo Kazimierzowskie rozłożyć na-leżało na cztery odrębne statuty, dwa małopolskie, jeden wielkopolski i jeden powszechny. Wy-kazano, że teoria ta przedstawia pewne słabe stro-ny, choć nie można powiedzieć, żeby którykol-wiek z badaczy późniejszych, stawiających inne hipotezy, rozwiązał tę zagadkę w sposób zupeł-nie wystarczający i przekonujący. Jakkolwiek-bądź, stwierdzić trzeba, że «Wywód» Helcla był pod wielu względami zjawiskiem nowym, może nieoczekiwanem w naszej nauce. Tak wszechstron-nego wyczerpania źródeł, tak gruntownego ich roz-bioru nie podawała żadna dawniejsza rozprawa, dziejom prawa polskiego poświęcona; podnieść tu nadto należy trzeźwy i spokojny sąd naukowy, unikanie tanich, ale bezzasadnych hipotez, przy-tem jednak rzadki dar kombinacji, a zarazem by-strość poglądów.

To też słusznie można powiedzieć, nie ubli-żając zresztą wartości niektórych dawniejszych prac innych badaczy, że była to pierwsza na szersze rozmiary prawdziwie naukowa monografia z zakresu historii prawa polskiego, której wartość tkwi nietylko w samym wyniku naukowym, jaki przyniosła, ale zarazem w metodzie i sposobie opracowania przedmiotu; one to pracom póź-niejszym nasunąć się musiały same z siebie, jako wzór do naśladowania. Tak więc pojawienie się niniejszej rozprawy miało również pod pewnym względem znaczenie przełomowe w literaturze na-szej naukowej.

W najbliższym czasie po ogłoszeniu pierw-szego tomu «Pomników» zabrał się Helcel do wydania innego, dotąd niestety w rękopisie spo-czywającego zabytku, wielkiej wagi dla historii dawnych urządzeń prawnych w Polsce. Był to pro-jekt do kodeksu prawa miejskiego w Polsce, ułożo-



ny za Zygmunta I przez Macieja Śliwnickiego († 1551), ogłoszony w pierwszym tomie «Biblioteki Ordynacyi Myszkowskich» <sup>1)</sup>.

Obok tych prac, poświęconych historii prawa polskiego, zajmowały umysł Helcla inne pytania, dotyczące ogólnych dziejów Polski. Poświęcił im kilka osobnych prac i wydawnictw, w owym czasie ogłoszonych. Jeszcze r. 1852 ukazała się cenna jego monografia o klasztorze jędrzejowskim <sup>2)</sup>, oparta przeważnie na materiale dyplomatycznym, który tu po części z właściwą sobie ścisłością w autentycznych tekstach ogłosił. Wnet potem zwrócił się do czasów i przedmiotu zgoła odmiennego. Udało mu się mianowicie nabyć od spadkobierców J. S. Bandtkiego bogaty i cenny zbiór odpisów, jakie uczony ten poczynił jeszcze w czasie pobytu swego we Wrocławiu z t. zw. archiwum Sobieskich, które się tam przez pewien czas znajdowało, zanim je przewieziono do Berlina. Materiał niezmiernie ciekawy i ważny zajął w wysokim stopniu Helcla i posłużył mu naprzód do skreślenia w roku 1857 monografii o dwukrotnem zameściu księżniczki Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny <sup>3)</sup>, która owdowiawszy, zaręczyła się z królewiczem Jakóbem Sobieskim, ale potajemnie wyszła za ks. Neuburskiego. Następnie (r. 1860) spożytkował Helcel nabyte odpisy do ogłoszenia wielkiego zbioru listów króla Jana III do «Marysieńki», oraz innych pism z tego czasu <sup>4)</sup>, źródła pierwszorzędnej wartości do cha-

rakterystyki pary królewskiej, jako też wypadków politycznych z końca XVII i początków XVIII w.

Prócz ostatniej, dwie inne z wymienionych tu publikacyj ogłoszone zostały w «Rocznikach» Towarzystwa naukowego krakowskiego; okoliczność, która sama przez się świadczy, iż Towarzystwo to miało w Helclu gorliwego współpracownika. Zajmował się on w ogóle żywo losami tej instytucji, brał częsty udział w jej posiedzeniach naukowych, starał się o pomnożenie jej funduszków, przeznaczyszy n. p. spodziewany dochód ze sprzedaży «Listów Sobieskiego» na jego cele; w papierach pośmiertnych znalazł się nawet projekt reformy Towarzystwa, przez niego skreślony. Kiedy r. 1864 zbliżył się pięćsetny jubileusz fundacji Kazimierzowskiej Uniwersytetu krakowskiego, i Towarzystwo uroczystość tę wydaniem jakiejś większej publikacji uczcić postanowiło, podjął się Helcel tego zadania, mimo upadające zdrowie i zajęcia w innych sprawach publicznych. Tak ukazało się w tymże (1864) roku wydanie nieznanej «Księgi pamiętniczej» Jakóba Michałowskiego <sup>1)</sup>, ciekawego i obfitego w szczegóły źródła do dziejów Polski z lat 1647—1655. Publikacja ta spotkała się z obszerną, bardzo ostrą, ale w znacznej części nieuzasadnioną krytyką Szajnochy, na którą wydawca odpowiedział w osobnem, również obszernem piśmie <sup>2)</sup>, odpierając zwycięsko zarzuty przeciwnika.

Obie ostatnie prace przypadają na okres czasu, w którym w życiu Helcla dokonał się pod pewnym względem nowy zwrot. Obok spraw naukowych zajmowały go zawsze żywo sprawy publiczne. W okresie rządów Bacha, po cofnięciu konstytucji z r. 1849, nie było w Austrii pola do rozwinięcia działalności w tym kierunku; że jednak

<sup>1)</sup> Iurium constitutionumque Sigismundinarum proposita a Mathia Śliwnicki descriptio e codice antiquo adhuc ignoto opera A. S. Helcelii praefixo proëmio nunc primum edita. Kraków, 1859. 4-o str. X i 146.

<sup>2)</sup> O klasztorze jędrzejowskim i będącym tam nagrobku Pakosława, kasztelana krakowskiego. Odb. z Roczn. Tow. nauk. krak. Kraków 1852. 8-o str. 100 i tabl. litogr.

<sup>3)</sup> O dwukrotnem zameściu księżniczki Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny i wynikłych stąd w Polsce zamieszkach. Przyczynek do dziejów panowania Jana III. Odb. z Roczn. Tow. nauk. krak. Kraków 1857. 8-o str. 127.

<sup>4)</sup> Listy Jana Sobieskiego do żony Maryi Kazimierzy. wraz z listami tej królewskiej rodziny i innych znakomitych osób przez J. S. Bandtkiego z oryginałów archiwum niegdyś Sobieskich przepisane, uporządkował i dalszymi aż do r. 1737 dochodzącymi pomnożył, tudzież przypisami objaśniającymi zaopatrzył

A. Z. Helcel. Bibl. ord. Myszkowskich 1860. Kraków 4-o str. XI i 600.

<sup>1)</sup> Księga pamiętnicza Jakóba Michałowskiego, wojskiego lubelskiego, a później kasztelana bieckiego. Z dawnego rękopisu, będącego własnością L. hr. Morsztyna, wydana staraniem i nakładem Tow. nauk. krak. przez A. Z. Helcla. Kraków 1864, 8-o, str. XLVIII i 856.

<sup>2)</sup> Odpór zarzutów, uczynionych w t. zw. Przeglądzie krytycznym, ogłoszonym przed kilku miesiącami we Lwowie, przeciwko wydaniu Jakóba Michałowskiego Księgi pamiętniczej. Kraków, 1865. 8-o, str. 172.



i wtedy sprawy te nie były obce Helclowi, dowodzą dwa pomniejsze jego pisma z lat 1857 i 1858 «O zadaniach konserwatywnego dziennika» i «Aforyzmy o prawdziwym i fałszywym konserwatyzmie»<sup>1)</sup>. Rok 1860 przyniósł w Austrii nawrót do konstytucyjnej formy rządów; zaraz też Helcel zwrócił się do spraw publicznych. Dla użytku Gołuchowskiego, któremu cesarz porucił był reorganizacją uniwersytetu krakowskiego odpowiednio do potrzeb miejscowych, napisał obszerny memoriał o kwestyi językowej w szkolnictwie galicyjskiem<sup>2)</sup>, rozbiegający tę sprawę ze stanowiska historycznego, prawnego i pedagogicznego. Kiedy pod koniec r. 1860 nastąpiła dymisyja Gołuchowskiego i na czele ministerstwa stanął Schmerling, powstała w Krakowie myśl wysłania doń adresu w sprawie samorządu galicyjskiego i zakresu działania sejmów. Opracowania adresu podjął się Helcel<sup>3)</sup>; przyjęty z nieznaczniemi zmianami przez współobywateli, został on Schmerlingowi wręczony w początkach roku 1861. Po ostatecznem zorganizowaniu sejmów na zasadzie patentu lutowego, otrzymał Helcel w r. 1861 mandat posła na sejm galicyjski z miasta Krakowa, z sejmów zaś wybrany został posłem do Rady Państwa wiedeńskiej, gdzie wypowiedział pamiętną mowę w obronie konkordatu<sup>4)</sup>. Wreszcie w r. 1866, pod wrażeniem obrad ówczesnego sejmów, napisał z własnego popędu obszerny memoriał do austriackiego prezydenta ministrów Belcredi<sup>5)</sup>, w którym podał trafną charakterystykę społeczeństwa galicyjskiego i jego urządzeń, a zarazem

wskazał, w jakich kierunkach urządzenia te wymagałyby się reformy.

Było to ostatnie publiczne wystąpienie Helcla. Dawna choroba, trawiąca jego organizm, robiła tymczasem coraz większe postępy, przeszkadzając w niejednej pracy, do której się rwał umysł i serce. Ze względu na zły stan zdrowia, nie przyjął powołania margr. Aleksandra Wielopolskiego, przyjaciela swego z lat młodzieńczych, który mu w r. 1862 ofiarował katedrę profesorską w Szkole Głównej warszawskiej.

Z tego samego powodu także i produkcya jego naukowa w okresie czasu między r. 1860—1866 po części osłabła. Prócz wydania wspomnianej poprzednio «Księgi pamiętniczej» Michałowskiego, przypada na ten czas jedna tylko rozprawa z zakresu historyi prawa polskiego, rzecz o dziesięcinach w Polsce, bardzo zresztą cenna ze względu na gruntowne rozpatrzenie, jako też nowe oświecenie przedmiotu<sup>1)</sup>. Pod pewnym względem w związku z ulubioną dziedziną badań Helcla zostaje jego List otwarty do Bielowskiego w przedmiocie autentyczności i daty wydania t. zw. dokumentu mogilnińskiego z r. 1175<sup>2)</sup>, połączony z rozbiorem najstarszych dyplomatów z wieku XII, pierwsza gruntowna rozprawa z zakresu dyplomatyki polskiej, poruszająca zarazem jedno z najtrudniejszych pytań, którego doniosłość w ostatnich czasach należyćie w nauce naszej oceniono.

R. 1866 choroba powaliła ostatecznie Helcla na łożę, z którego się już nie miał podnieść. Było to prawdziwe łożę boleści; powolne, stopniowe zamieranie układu nerwowego wywoływało co chwila najstraszniejsze cierpienia fizyczne. Lekarze-powagi orzekli, że pacjent winien zaniechać wszelkiej pracy umysłowej i — omylili się gruntownie. Niknącego ciała nie mogły już uratować żadne leki; mogła je podtrzymać chyba strawa, dawana duchowi. Miano się o tem wkrótce przekonać dowodnie. Zaraz w początkach tego ostatniego okresu choroby tak się pogorszyło Helclowi, że

<sup>1)</sup> Ogłoszone u Lisickiego, Ant. Zygm. Helcel, II str. 27—31 i 32—37.

<sup>2)</sup> Uwagi nad kwestyą językową w szkołach i uniwersytetach Galicyi i Krakowa, osnowane na liście doręcznym Jego ces. król. Apost. Mości z d. 20 października 1860 r. Kraków 1860, 8-o str. 40.

<sup>3)</sup> Ogłoszony u Lisickiego II str. 98 i nast.

<sup>4)</sup> Mowa posła A. Z. Helcla, miana w Izbie posłów Rady Państwa na posiedzeniu z d. 2 czerwca 1862 r. podczas obrad nad wnioskiem komisyi finansowej, zalecającym nieuznanie własności kościelnej w t. zw. funduszu naukowym i zniesienie artykułu XXXI patentu cesarskiego z d. 5 listopada 1855 r. Kraków 1862, 8-o str. XVI.

<sup>5)</sup> Memoriał pisany był w języku niemieckim. Przekład polski, z nieznaczniemi skróceniami ustępów podrzędniejszych podał Lisicki, Ant. Zygm. Helcel, II, str. 191—243.

<sup>1)</sup> Badania w przedmiocie historyi dziesięcin kościelnych w Polsce, szczególnie pod względem t. z. dziesięciny swobodnej i dziesięciny oddawanej w goniwę. Odb. z Bibl. Warsz. Warszawa 1863, 8-o, str. 55.

<sup>2)</sup> List otwarty do A. Bielowskiego o najdawniejszych znanych nadaniach klasztoru Benedyktynów w Mogilnie. Odb. z Bibl. Ossoliń. Lwów, 1865, 8-o; str. 59.

lada chwila oczekiwano katastrofy. Szczęśliwy traf zetknął go wtedy z młodym lekarzem, wolnym od szablonowej rutyny, który uchylił zakaz powag, i pozwolił Helcelowi na umiarkowaną pracę naukową. O samoistnych badaniach nie mogło już oczywiście być mowy; ale nasuwała się myśl podjęcia jakiegoś wydawnictwa źródłowego. Myśli tej chwycił się Helcel skwapliwie i przystąpił zaraz do jej urzeczywistnienia. I stał się prawie cud: życie, które miało już ulecieć, przedłużyło się jeszcze przez cztery lata, podzielone między pracę i straszne męczarnie ciała, które dały nam jedną z najważniejszych i najpoważniejszych publikacji, jakimi się nauka nasza poszczycić może, drugi tom «Starodawnych prawa polskiego pomników», stojący godnie obok tomu pierwszego.

Z czasów istnienia Polski utrzymały się w różnych ważniejszych miastach dawne księgi sądowe, na ogół licząc, w dziesiątkach tysięcy foliantów. Po upadku państwa obchodzono się z nimi przez długi czas po macoszemu: w nieurządzonych archiwach, połączonych z archiwami nowych sądów, czasem na strychach lub w piwnicach, butwiały i niszczały te cenne zabytki przeszłości dziejowej, albo służyły co najwięcej bieżącym potrzebom praktycznym. Nie wszyscy uczeni wiedzieli o ich istnieniu, mało zdawało sobie sprawę, jaki się w nich mieści materiał, a już prawie nikt nie zaglądał do samych ksiąg, ażeby je spożytkować naukowo. Stosunkowo najwcześniej zwrócili na nie uwagę lingwiści, wybierając z najdawniejszych, średniowiecznych aktów zapiski w języku polskim stylizowane, ażeby na ich podstawie opracowywać poszczególne pytania z zakresu gramatyki i historii języka polskiego. Dla owego celu naukowego, dla którego księgi te były głównem i najważniejszym źródłem, dla historii prawa polskiego, nie zużytkował ich przez długi czas żaden z naszych badaczy. Prace, dotyczące historii tego prawa, ogłoszone w pierwszej połowie XIX stulecia, opierały się prawie bez wyjątku na samym materiale ustawowym, i dla tego nigdy nie mogły nam przedstawić dokładnego, wyczerpującego obrazu polskich urządzeń prawnych; dawniejsze bowiem ustawy nie dotyczyły wszystkich stosunków życia społecznego, dawały nam tylko materiał urywkowy, fragmentaryczny. W pełni urządzenia te można poznać dopiero z ksiąg sądowych, gdzie w różnobarwnym szeregu prze-

wijają się przed oczami naszymi najrozmaitsze codzienne sprawy, od najważniejszych do najdrobniejszych, rozstrzygane przez sądy, lub załatwiane przez strony: one dają nam możliwość poznania całokształtu zasad dawnego prawa zwyczajowego polskiego, niedotkniętego nawet w wielu szczegółach przez ustawodawstwo; one pozwalają także odpowiedzieć na pytanie, o ile i w jakim sposobie normy ustawodawcze znachodziły w praktyce zastosowanie. Dziś, kiedy już wielką ilość dawnych ksiąg sądowych ogłoszono drukiem, rzeczy te nie ulegają dla nikogo wątpliwości; ale wielką i niespożytą zasługą Helcela pozostanie, że ze wszystkich uczonych polskich on pierwszy doniosłość materiału tego we wskazanym kierunku odkrył i ocenił, że ogłosił pierwszą wielką publikacją, materiał ten obejmującą, i przez to dla badań nad historią prawa polskiego nowe, obfite i wydane źródło otworzył.

W Krakowie, jak w innych miastach najważniejszych, istniało archiwum dawnych ksiąg sądowych polskich, połączone z archiwum trybunałskiem, obejmujące księgi dawnego województwa krakowskiego. Podobno już w trzecim dziesiątku lat XIX w. uzyskał doń Helcel przystęp, nie mógł jednak podówczas korzystać z niego w celach naukowych. Już jednak w pierwszym tomie «Starodawnych prawa polskiego pomników», jak wspomnieliśmy powyżej, ogłosił około półtysiąca zapisek sądowych, wyjętych z najdawniejszej księgi ziemi krakowskiej z końca XIV wieku. Obecnie powziął myśl wydania większego zbioru wszystkich ważniejszych i ciekawszych zapisek sądowych krakowskich średniowiecznych, od końca XIV stulecia do r. 1506. Poszukiwania w nie uporządkowanym archiwum krakowskim za księgami z tego okresu czasu wykryły zrazu ośm foliantów; Helcel zabrał się do ich uporządkowania i odczytania, i przystąpił niezwłocznie do wydawnictwa. W latach 1866—7 wydrukowano w ósemce kilkanaście arkuszy, obejmujących zapiski, z ksiąg owych zaczerpnięte<sup>1)</sup>. Druk był już znacznie napróżd posunięty, kiedy odkryto, że w archiwum

<sup>1)</sup> Wyjątki z ksiąg dawnych królewskich, wiecowych i ziemskich krakowskich sądowych roków. Kraków 1867, 8-o, str. 312. Książka ta należy dziś do rzadkości bibliograficznych z powodów, o których zaraz niżej w tekście będzie mowa.

krakowskiem obok tamtych ksiąg jest jeszcze trzydzieści kilka innych, pochodzenia średniowiecznego, i to takich, które chronologicznie przerywały wątek ogłoszonych w książce drukowanej zapisek. Wobec tego Helcel wstrzymał całe owo wydanie pierwotne, przeznaczając je na zniszczenie i postanowił na nowo przystąpić do ogłoszenia całego, należyście uporządkowanego materiału. Prócz tego nasunęła się sposobność zamieszczenia tu innego jeszcze bardzo ważnego źródła do dziejów prawa polskiego. Właśnie rozeszła się wiadomość, że w Bibliotece gimnazjum elbląskiego złożony został nieznany przedtem, cenny rękopis, zawierający prywatny układ prawa polskiego, spisany w języku niemieckim jeszcze w wieku XIII. Za pośrednictwem A. Sierakowskiego Helcel postarał się zaraz o wierny odpis tego zabytku i zaopatrzywszy go stosownym wstępem, postanowił wcielić do swej publikacji. Miała ona wyjść pod tym samym tytułem i w tym samym formacie, co i poprzednie jego wydawnictwo średniowiecznych ustaw polskich, jako drugi tom »Starodawnych prawa polskiego pomników<sup>3)</sup>. Druk rozpoczął się w r. 1868, a skończył się z końcem marca 1870 r. Na czele okazałego tomu przedrukowaną została księga elbląska, a następnie zbiór wybranych, ciekawszych zapisek sądowych ziemi krakowskiej aż do r. 1506, liczący z górą 5000 numerów—pierwsza wielka publikacja średniowiecznych ksiąg sądowych, jaka się u nas pojawiła.

Rozpoczynając to wydawnictwo, przepowiedział Helcel, jak gdyby wieszczem przecuciem wiedziony, że danem mu będzie tak długo żyć, dopokąd go nie skończy. Przepowiednia spełniła się co do joty. Dnia 30 marca 1870 r. gasnącym wzrokiem i mdlejącą ręką przeprowadził korektę ostatniego arkusza »Pomników«; nazajutrz skonał. Z chwilą, w której zabrakło dalszej podniety dla ducha, uleciało życie z ciała.

Działalność Helcla rozwijała się głównie w dwu kierunkach: jako działalność publiczna i naukowa. Pierwszą cechowały silnie wyrobione przekonania

<sup>3)</sup> Starodawne prawa polskiego pomniki z ksiąg rękopiśmiennych dotąd nieużytych, głównie zaś z ksiąg dawnych sądowych ziemskich i grodzkich ziemi krakowskiej wyciągnął i wydał A. Z. Helcel. Kraków 1870, 4-o str. XIX i 958 (z portretem wydawcy).

konserwatywne, nieobojętne na sprawy realnego postępu, zastosowanego do zmieniających się stosunków życia społecznego. W ocenianiu tych stosunków miał często sąd bystry i gruntowny, pogląd szeroki, zawsze zasadniczy. Najczęściej nie znajdował sposobności do bezpośredniego urzeczywistnienia swych pomysłów i zamiarów; rzucał raczej myśli, które później inni przeprowadzali. Wiele z nich wypowiedział i urzeczywistnienia ich domagał się w czasach, kiedy o nich nie myśleli inni; w późniejszych dopiero czasach przeprowadzenie ich stało się rzeczą możliwą. Niewątpliwie jednak najgłośniejszym tytułem zasług Helcla pozostanie jego działalność naukowa. Tu zaś, jakkolwiek nie były mu obojętne różne gałęzie wiedzy, zwłaszcza nauki prawne i nauka dziejów w obszerniejszym tego słowa znaczeniu, działalność jego ześrodkowała się głównie w pracy nad historią prawa polskiego. Badania i wydawnictwa, przedmiotu tego dotyczące, stanowią najwybitniejszy, znamienity rys jego zabiegów naukowych. Żeby je należyście określić i scharakteryzować, a zarazem wyświecić stanowisko Helcla w rozwoju nauki, nie od rzeczy będzie porównać jego indywidualność pisarską z innymi wybitniejszymi badaczami historii prawa polskiego z jego czasów.

Maciejowski pozostał za nim daleko w tyle zarówno co do gruntowności badań, jakoteż jasności sądu i przedstawienia rzeczy, a wreszcie i co do wartości zbyt dorywczo, bez obliczenia stawianych hipotez. Z Lelewelem dzielił dar kombinacji, ale miarkował go trzeźwym poglądem; przytem, choć sam także polityk, nie naginał sądu historycznego do jakichkolwiek politycznych doktryn. Z Hubem wspólną miał gruntowność i ścisłość badania, ale przewyższał go darem kombinacji i bardziej zasadniczym, głębszym rozbiorem pytań naukowych. Najwięcej może pod względem właściwości swego talentu zbliżał się do Łaguny, zarówno gruntownością badań, jako też konstrukcyjnym zmysłem; przewyższył go jednak znacznie wydatnością produkcji. Takim jest w swoich pracach samoistnych; wszystkie te, tak szczęśliwie połączone, wszechstronne ich zalety sprawiły, że prace te, zwłaszcza jego wywód o ustawodawstwie Kazimierzowskiem, wywołały pewien zasadniczy zwrot w literaturze naukowej prawa polskiego.

Gdyby jednak zapytać, w czym leży najważniejsza zasługa Helcla, należałoby może na pierwsze, naczelne miejsce wysunąć jego wydawnictwa źródeł, zatem prace, które w ocenie naukowej działalności pisarza zajmują najczęściej miejsce podrzędne. Ale bo też wydawnictwa owe, zarówno ze względu na ogrom, jako też jakość, jak wreszcie i treść swoją, przedstawiają szczególne znaczenie. Objęły one trzy główne działy źródeł do wyjaśnienia historii prawa polskiego służących: pomniki ustawodawcze, zabytki dyplomatyczne i zabytki dawnej praktyki sądowej polskiej. Z tych trzech działów, aż do czasów Helcla właściwie pierwszy tylko w szerszym zakresie był znany, i on też stanowił główną niemal wyłączną podstawę do badań przedmiotu; wszelako nawet i zabytki ustawodawcze nie były dotąd wydane krytycznie. Pierwszy Helcel dał nam prawdziwie naukowe, doskonale opracowane wydanie najważniejszych pomników średniowiecznego ustawodawstwa polskiego, a przez to stworzył możliwość pogłębienia studyów, jako też wzór dla podobnych wydawnictw w przyszłości. Bardzo niedostatecznie tknęła się przed nim praca wydawnicza drugiej grupy zabytków, pomników dyplomatycznych; on pierwszy jał się zadania ogłoszenia ich w wielkim, pełnym zbiorze, i źródła te niejako wprowadził do naszej nauki. Co się zaś tyczy zapisek sądowych, to już niemal w dosłownym znaczeniu powiedzieć można, że je Helcel odkrył i pierwszy dla nauki naszej uprzystępniał. Wydawnictwa te, podające zatem nietylko materiał w szczegółach nowy, ale wprost pewne grupy materiałów, poprzednio wcale, albo prawie nieznanymi i nieużytkowanymi, i to pierwszorzędnej wartości i doniosłości, rozszerzyły nadspodziewanie podstawę

źródłową badań nad historią prawa polskiego, dały możliwość rozwiązania nietylko całego szeregu ciemnych przedtem pytań szczegółowych, ale zarazem stworzenia sobie szerszego i głębszego poglądu na całość dawnych urządzeń prawnych w Polsce. W tem leży przełomowe znaczenie publikacyj źródłowych Helcla.

Zestawiając razem właściwości i zalety zarówno jego wydawnictw, jakoteż i prac konstrukcyjnych, stwierdzić tedy można, że Helcel zapoczątkował nowy zwrot w nauce historii prawa polskiego. I to pozostanie na zawsze wiekopomną jego zasługą<sup>1)</sup>.

*Oswald Balzer.*

<sup>1)</sup> Pisali o Helclu: Zborowski Stan., A. Z. Helcel, w lwowskim «Prawniku» z r. 1870 nr. 3 i 4; artykuł okolicznościowy, napisany pod świeżem wrażeniem zgonu, podający krótkie zestawienie prac naukowych, bez gruntowniejszej ich oceny. Maciejowski W. A., A. Z. Helcel, jako prawnik-historyk, w Rozpr. Akad. Umiej. Krak. Wydz. hist. filoz. t. 6 str. 53 — 258. zawiera o samym Helclu kilka ogólników i niektóre błędne daty, zresztą zaś tylko zestawienie wiadomości do dziejów prawa polskiego, zaczerpniętych z II tomu Starod. prawa pol. pomn. Stosunkowo najcenniejszą częścią tej publikacji jest korespondencja Helcla z Maciejowskim, tutaj ogłoszona. Obszerny artykuł Z. L. Dębickiego, A. Z. Helcel, życiorys, w Przegl. Pol. z r. 1870 IV str. 356—389, jako też dwutomowe dzieło Henryka Lisickiego, A. Z. Helcel 1808—1870, Lwów 1882, I str. XVI i 390, II str. VII i 397, zawierają tylko rozbiór i ocenę publicznej działalności Helcla. Obszerniejszej pracy, rozbierającej gruntownie jego działalność naukową, dotąd nie ogłoszono; najcenniejsze uwagi o działalności tej podaje Bobrzyński, O dawnym prawie polskim, jego metodzie i umiejętnościem badaniu. 1876.



# Ignacy Daniłowicz.

\* 1789 † 1843.



„Historia jako oświata prawdy, iściec i sędzia dzieł starożytnych, powinna mówić do ludzi, onych nauczać i prostować... Celem piszącego z krytyką historię: aby opowiadając co się działo oświecał razem czytającego bez miłości i nienawiści, jeśli się to dobrze lub przeciwnie dobru pospolitemu działo”. *Naruszewicz*: Historia narodu polskiego, I. XXVII. Wyd. Bobrowicza.

**B**adacz głęboki źródeł historycznych, odnośnie starożytnego prawa krajowego, paleograf niezrównany ogromem doświadczenia i zasług, Daniłowicz, zaiste godzien zaszczytu figurowania w rzędzie najuczeńszych polskich dziejopisarzy, którzy gmach wiedzy o Litwie, oparli na fundamentach dokumentalnych. Zarys żywota naszego znakomitego męża, który większą połowę lat swej pielgrzymki ziemskiej umiłowanej magistra vita poświęcił, tak się przedstawia. Ignacy Daniłowicz ur. 30 lipca 1789 r. w Hryniewiczach g. grodzieńskiej (pow. bielskiego) z ojca Mikołaja, pleb. unickiego i Dominiki

z Michniewiczów; szkoły odbywał (od 1797 r.) w Drohiczynie, potem w Łomży u Pijarów, gdzie

prefektem był stryj, ks. Michał, a nauczali Aloizy i Ludwik Osińscy, Szwejkowski, później rektor uniw. warszawskiego, Przeczytański, filozof, autor logiki, i Falkowski założyciel inst. głuchoniemych. W założonym przez rząd pruski gimnazjum wzorowem w Białymstoku, szczególne postępy zrobił w językoznawstwie. Od r. 1810 studyował Daniłowicz w Uniwersytecie wileńskim, gdzie pod Capellim zwłaszcza, do prawnictwa wielostronnie się przykładał. Jak utrzymuje J. Bieliński w swym „Uniwersytecie Wileń-



Według portretu z natury.

*Ignacy Daniłowicz*



skim<sup>4</sup>, Daniłowicz rozbudził wśród młodzieży akademickiej zapal do poszukiwań zabytków rękopiśmiennych i drukowanych słowiańskich (akta na Litwie do Unii lubelskiej pisane były głównie po białorusku) ztąd i sam często doznawał pomocy później od pracowników takich, jak Bobrowski Michał, Onacewicz Zeg., Marciniowski Ant., Sosnowski Plat., Sobolewski Lud., Kurowicki i inni. Wznowione wkrótce, w r. 1816, seminaryum główne przy Uniwersytecie, wydało i wielu światłych kapłanów unickich, którzy poszukiwań dokonywali, wzbogacając źródła, z których czerpał i Daniłowicz. Nagrodą za najlepszą rozprawę, ukończył Daniłowicz studia jako magister praw obojga. W przerwie wykładów (r. 1812) był Daniłowicz w Białymstoku sekretarzem przy gubernatorze francuskim Ferrier, w r. 1814 został docentem prawa krajowego, a w r. 1818 sumptem uniwersytetu wysłany do Warszawy, Petersburga i Moskwy, do uniwersytetów, i instytucyj sądowych; zapoznał się z metrykami obfitymi w litewskie źródła dziejów i praw, z biblioteką publiczną petersburską, muzeum Rumiancewa, dyplomami zagranicznymi w aktach (po r. 1700) tudzież skarbami rozlicznymi dziejów Litwy i Rusi dotyczącymi. W r. 1819 mianowano naszego uczonego w Wilnie adjunktem, gdzie nauczał prawa statutu lit. (ten jeszcze w Litwie obowiązywał) oraz państwowe, cywilne i kryminalne prawo, zaś w r. 1822. został profesorem nadzwyczajnym prawa krajowego, a w 1823 prof. zwyczajnym. Kolegując z Lelewel, staraniem tegoż najbliższego mu zawsze przyjaciela<sup>\*)</sup>, otrzymał Daniłowicz od Tytusa Działyńskiego z Kórnik, rękopisy nader cenne dla prawodawstwa lit. Owocem badań odnośnych było opracowanie Statutu Lit. Zygmunta I z uchwałami sejmów brzeskiego i wileńskiego, które dopiero w 1841 w Poznaniu mógł wydać Działyński p. t. „Zbiór praw litewskich od r. 1389 do r. 1529, tudzież rozprawy sejmowe o tychże prawach od r. 1544 do 1563“. Dzieło to nie zostało ukończone, gdyż Pelikan, rektor złej woli, postarał się o wydalenie z Wilna Daniłowicza, Lelewela i innych. Pracował Daniłowicz w Wilnie najzarliwiej, ogłaszając:

<sup>\*)</sup> Lelewelowi pomagał Daniłowicz, razem z uczonym Michałem Bobrowskim, w opracowaniu praw Wiślickich i statutów mazowieckich. (Kirkor).

Historyczny pogląd na zakłady dobroczynne w dawnej Polsce, w piśmie, «Dzieje Dobroczynności», 1820 r., Życie i prace Ignacego Oldakowskiego (prof. prawa w Krzemieńcu i Wilnie), Dziennik Wileński, 1822 r., Rozbiór ksiąg bibliogr. Lelewela tamże, 1823, Wiadomość historyczna o cyganach (odczyt uniwersytecki), tamże, 1824.

W r. 1824 znalazł się Daniłowicz w Charkowie i tu, pomimo że na katedrze wykładał dyplomację, dzieje Litwy niezmordowanie uzupełniał. W r. 1830 powołany do Petersburga przez Sperańskiego, pracował Daniłowicz z Malewskim, Kurowickim, Kukiewiczem, Przesmyckim i innymi, nad świetnie zredagowanym urzędowym Zbiorem praw miejscowych gubernij zachodnich, dziełem monumentalnem, będącem rzadkością bibliograficzną wielką (było w Wilnie u uczon. Malinowskiego). W r. 1834 miał Daniłowicz katedrę prawa w Kijowie i tam dokonał odkrycia ważnego do dziejów Rusi. Od r. 1839 wykładał w Moskwie prawo rosyjskie, administrację, policję oraz statut litewski; wiele pierwszorzędnej wartości dzieł tam ogłosił: O kronikach litewskich (w Dzienniku oświecenia narodowego 1840 r., wydane potem po polsku przy Kronice Strykowskiego w 1846 r. w Warszawie („wspaniały wstęp do historyografii litewskiej, świadectwo dojrzałej nauki i wytrawnego sądu“ i t. d. M. Krupowicz); dalej Historyczny rzut oka na starożytny początek miast słowiańskich przed XIII wiekiem w Zbiorniku mosk. Tow. historyi i starożytności, w 1841 r. Będąc członkiem mosk. Tow. historycznego, wpłynął na opublikowanie w r. 1843 w Moskwie Księgi poselskiej metryk W. Ks. Litewskiego, zawierającej dyplomatyczne stosunki Litwy za Panowania Zygmunta Augusta i Stefana Batorego. Znalazł Daniłowicz księgi te w archiwum spraw zagranicznych, wyświetliły one ważne sprawy z epoki, między innymi stosunki Litwy z Tatarami w w. XVI. Cofnąć się tu jeszcze musimy do wykazu dalszych prac w Wilnie, a potem gdzieindziej ogłoszonych. Oto opisanie bibliograficzne dotąd wiadomych rękopisów i drukowanych exemplarzy statutu litewskiego, Dziennik Wileński, 1824, oto Statut Kazimierza IV Jagiellończyka pomnik najdawniejszy uchwał litewskich z XV w. wraz z tłumaczeniem polskiem i przypisami, staraniem Leona Rogal-

skiego, Wilno, Marcinowski, 1826; oryginał znalazł Daniłowicz w petersburskim muzeum Rumiancowa; oto Latopisiec Litwy i kronika rumska, częściowo w Dzienniku Wileńskim, Wilno, Marcinowski, 1827. Ta kronika jest pierwszą, jedynie autentyczną, najdawniejszym zabytkiem dziejów z czasów Olgierda, Kiejstuta i Witolda, wydatniejsze zajmującym miejsce między kronikami XV wieku. Rękopis Daniłowicz znalazł na Podlasiu. Niezwykajny to z czasów przed Strykowskiem dokument naoczny świadka. W r. 1830 ogłosił Daniłowicz w Petersburgu O medalach Radziwiłłowskich i gabinetach nieświeżkim i charkowskim, 1830 r., w Tygodniku Petersburskim. Odnośną kolekcję medali znalazł Daniłowicz w Uniw. charkowskim (zginęła ona w r. 1812 w Nieświeżu). W Tygodniku Petersburskim dał nasz uczony Rozbiór Historii Wilna J. I. Kraszewskiego (1833) i Dorywcze uwagi o hipotezach (1835). W r. 1837 ogłosił Daniłowicz w Wilnie Historyczny rzut oka na prawodawstwo litewskie. Namiętny w dziedzinie dyplomatyki i paleografii, badacz nasz, gromadził zewsząd skrypta, kopiował zabytki, zwiedzał w kraju i po za nim biblioteki, klasztory, archiwa starożytnych domów, a to z niesłychaną pracowitością i erudycją, dziejopisarza. Uwienieniem działalności zabiegliwej życia całego Ignacego Daniłowicza, największą jego zasługą naukową, było wydanie pozgonne (Wilno, 1860 do 1862, 2 tomy, in 4-o) Skarbca dyplomatów papieskich, cesarskich, książęcych, uchwał narodowych, postanowień różnych władz i urzędów służących do krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy, Rusi litewskiej i ościennych im krajów. Te klejnoty historyczne, to 2383 aktów, kronikarskich i innych źródeł roztrząśniętych przez Daniłowicza, obejmują zaś okres 1108 do 1569 roku. M. Krupowicz przypuszcza, że Indeks Napierskiego, streszczający dyplomata kraju nadbałtyckiego (z Królestwa i Rygi archiwów), wydany w latach 1833 i 1835 nastroczył myśl Daniłowiczowi stworzenia czegoś podobnego, bo rozpoczął odnośną pracę w roku 1835. Wdowa po ś. p. Daniłowiczu sprzedała dzieło to za pośrednictwem K. Świdzińskiego E. hr. Tyszkiewiczowi, a ten ofiarował z całym swymi zbiorami Muzeum starożytności w Wilnie w dzień jego założenia 28 kwietnia 1855 r. W 5 lat potem wyszło ono z pod prasy nakła-

dem Jana Sidorowicza, członka komitetu arch. a współdziałał temu Maurycy Krupowicz, sekretarz naukowy tejże komisji. Z zajmującej biografii Daniłowicza, przez tegoż Krupowicza skreślonej w r. 1871, w „Tygodniku Ilustrowanym“ (N<sup>o</sup> 181 i 182), podobnie jak inni biografowie przeważnie korzystamy. Słusznie mniemamy Krupowicz, że gdyby nie Daniłowicz, nie mielibyśmy w literaturze takich np. Stadnickich, autorów żywotów rodzin, Jagielly, Olgierda i Kiejstuta i t. p. Nauka wysoko stawia zasługi autora Skarbca i tylu ksiąg znakomitych innych. Za cnoty swe osobiste w stosunkach z kolegami i słuchaczami, profesor Daniłowicz, był powszechnie lubiony i szanowany. Wykładał jasno, panował nad przedmiotem, a posiłkował się na katedrach kilkoma językami. Rafał Hadziewicz (pisarz i artysta malarz) nazywał Daniłowicza „pięćdziesięcioletnim panem młodym“, bo zaiste duchowo był młodym zawsze i wzorowym w pracy. Niestety jednak, pod koniec życia wysilając się obok innych zatrudnień, również wykładem prawa cywilnego polskiego, w r. 1841/2, szkolnym, w Moskwie, wpadł w obłęd prześladowczy. W r. 1842 osiadł w Kijowie, z kąd jako chory udał się do Grefenbergu na kurację hydropatyczną. Atoli siły stargane nie dopisały już— i w Grefenbergu d. 30 czerwca szlachetnemu biegowi życia znakomitego uczonego kres nastąpił i tam, a nie w rodzinnej ziemicy litewskiej, odpoczął Daniłowicz na zawsze. Uczczony był Ignacy Daniłowicz za życia, jako członek warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, moskowskiego Towarzystwa historii i starożytności, jako członek honorowy Uniwersytetu Krakowskiego, a po trzykroć piastował uczony nasz, urząd dziekana wydziału prawnego w uniwersytetach, w których wykładał. Nie doczekał Daniłowicz znamiennej epoki działalności wileńskiej komisji archeologicznej (1855—64), gdy prałat Herbut paleografią się trudnił. Któż mu potem dorównał w Litwie znawstwem i pracą? Pracowało nad historią Litwy wielu innych, ale nikt z równą Daniłowiczowi doniosłością nie dotarł do podstawy jej dziejów.

*Lucyan Uziębło.*

# Emilia Sczaniecka.

\*1804 † 1896.



Nad Wielkopolski Niebios sklepieniem,  
Nad tą krainą troski i znoju,  
Dwie gwiazdy złote jasnym widzeniem  
Jak dwa anioły świecą pokojiu.

Dwie gwiazdy Boże przy Jego tronie  
Opromienione blaski świętymi,  
Dwie siostry ducha—w zasług koronie  
Podnoszą jasną cześć naszej ziemi!

Jak ongi Marta z Maryją społem  
U nóg Chrystusa na służbie stały,  
Tak one kornem schylając czołem  
Nauce Jego serce oddały.

Jedną Bóg stawiał aniołem w górze,  
Powołał młodą, piękną i hożą,  
Drugiej przez wieki całego burzę  
Pracę przeznaczył i służbę Bożą!

Obie tu w jeden się akord złąły  
Bo wspólnym tętnem miłości żyły  
I w legendowych cnót ideały  
Historią wieku nam przystroiły.

We krwi rubinach i łez kryształach  
Oprawnej w cnocie—dobiegłszy mety,  
Świecą w ojczyściej wspomnienia chwale  
Te dwa anioły, Polki—kobiety!...

Dwa idealne duchy wspólnymi zasługami  
świecą nierozdzielnie, Klaudya Potocka i Emilia  
Szaniecka, czcig i wspomnieniem kraju błogosła-  
wione.

Pisząc o jednej nie podobna pominąć dru-  
giej, bo jakkolwiek odmienną koleją przeznacze-  
nia Bożego wiedzione, nierozzerwalną całość du-  
chow i stanowią, i w tym samym żyły, myślały  
i pracowały idealnym kierunku chrześcijańskiej  
kobiety!

Klaudyna jasnym meteorem przez świat prze-  
biegła i na wzór biblijnej Maryi od pracy ziem-  
skiej do stóp Chrystusa w niebiańską uleciała  
kraj — a jako cicha i pracowita Marta, wiek  
niemal cały pozostała między nami Emilia Sczaniecka,  
której serdeczne tu poświęcamy wspomnienie.

Żywot tej zasłużonej pracownicy Bożej na  
łanie ojczystym, świeci promiennym blaskiem  
cnoty i poświęcenia.

Emilia Sczaniecka, córka zamożnej rodziny  
Wielkopolskiej, urodziła się 1804 r. z ojca Łuka-  
sza i matki Weroniki z Zakrzewskich, a wcześniej  
utraciwszy rodziców, w sieroctwie swoim doj-  
rzała, zapowiadając już dzieckiem niepospolitej  
duszy i gorącego serca przymioty.

Pod owe czasy nie wiele troszczono się je-  
szcze o rzeczywiście wyższe ukształcenie kobiety.  
Zwłaszcza w domach zamożnych w niezależnym  
położeniu materialnego dobrobytu i wyższego  
stanowiska rodowego, mało niestety zwracano  
uwagi na wykształcenie wyższe, nie uważając je  
za niezbędne w ograniczonym powołaniu kobiety.  
Opieka rodzinna, stosownie do pojęć ówczesnych,  
nie wymagała wielkich pod tym względem za-  
chodów, poprzestając na wychowaniu pobieżnym,  
nierozwijającym serca i duszy niewieściej w peł-  
nem tego wyrazu znaczeniu. Mimo to, wyjątko-  
wa ta dusza dziecięca, pragnęła wznieść się i roz-  
winąć skrzydła w wyżynę, — zapragnęła grunto-  
wniejszego wykształcenia i rozwoju podniosłych  
pojęć, do jakich czuła się uprawnioną i po-  
wołaną.

Nie mogąc uprosić swych opiekunów i prze-  
konać ich o rzeczywistej potrzebie zadosyć uczy-  
nienia jej woli, użyła całej energii, jaka jej

była wrodzoną, i podała prośbę do sądu. opiekunczego, aby za jego wpływem i pośrednictwem nie opierano się słusznym i uzasadnionym jej życzeniom. Wskutek tego sąd opiekunczy przychylił się do prośby małoletniej Emilii i zniewolił opiekunów do umieszczenia jej w zakładzie francuskiego pensjonatu w Dreźnie, w którym odebrała wykształcenie staranne i odpowiednie, pod troskliwą opieką przełożonej tego zakładu, w owych czasach słynącego zasłużonym rozgłosem jednego z najpoważniejszych domów edukacyjnych.

Emilia Sczaniecka wrodzonemi zdolnościami, pracą niezmordowaną i sercem gorącym, w miarę odpowiedniego wychowania, rozwinęła się duchowo i zaświeciła w społeczeństwie naszym jako jedna z wyjątkowych kobiet ówczesnych. Dusza jej i serce rwały się do czynu, odznaczając się płomienną miłością i cnotami chrześcijańskimi.

Początek XIX wieku, świecący łuną jaskrawych wspomnień wielkiego poematu epoki Napoleońskiej, rozbudził w sercu Emilii uwielbienie dla bohaterów narodowych, nie ujmując jej charakteru i powołania prawdziwie chrześcijańskiej niewiasty.

Stała się więc Sczaniecka obok Klaudyny Potockiej, spiesząc na pole walki wojennej do obozów, gdzie jako dwa Anioły Boże, oddały się obydwie na usługi szpitali, niosąc w otierze życie, współczucie i mienie swoje.

Wspaniały byłby obraz szczegółowych wrażeń i opisów, jakimi podówczas Emilia Sczaniecka duszę i serce swoje w korespondencji do rodziny i do przyjaciół uwydatniała. Szczegóły te, znajdzie czytelnik w pięknym obrazie historycznym, przedstawiającym żywot Emilii Sczanieckiej pod tytułem «Z roczników poświęcenia» w Krakowskim «Przeglądzie polskim». Cała wzmiankowana tam korespondencja Emilii Sczanieckiej przedstawia nam się rzeczywistym dokumentem epoki ówczesnej, a zarazem najpiękniejszą charakterystyką tej promiennej postaci.

Kreśląc tutaj jej żywot wspomnimy, że Sczaniecka, zaledwie przybywszy do Warszawy i zgłosiwszy się do służby publicznej, przeznaczoną odrazu została do Sióstr Miłosierdzia celem niesienia posługi w szpitalu. Byłaby niewątpliwie tam pozostała, ale inaczej zrządziło przeznaczenie, zbliżając ją do Klaudyny

Potockiej, z którą jakkolwiek już się знаła, ale podówczas, jeszcze żadne ściślejsze węzły ich nie łączyły.

Klaudyna Potocka czynną będąc w Warszawie, stała się dla przybywającej Emilii prawdziwą opiekunką. Poznały się i pokochały odrazu te dwie bratnie dusze, do jednego spieszące celu z miłością i poświęceniem bez granic. Klaudyna zapoznała Emilię z Hoffmanową, jedną z największą wówczas przy urządzeniach lazaretowych zasłużoną przodowniczką, poświęcającą się kobiet polskich. Tutaj w domu zacnej autorki, zapoznała się z całym ówczesnym ruchem i z organizacją szpitalnej służby sanitarnej, w której umiała w krótkim czasie zasłynąć, stając się niemal legendową postacią. Ówczesna Warszawa pod oryginalną nazwą «czarnej sukienki» znała i szanowała tę tak promienną postać, która, nie zważając na burze i gromy, ani na zabójczą zarazę, nieustraszenie niosła pomoc, opatrując rannych i chorych, żywiąc zgłodniałych, modląc się z konającymi, i grzebiąc umarłych.

Pomiędzy takimi obrazami pozwolimy sobie powtórzyć tu za Przeglądem polskim jedną z tych scen, poruszających serce, a uwydatniających zarazem charakterystycznie stanowisko i pracę tej rzeczywistej Siostry Miłosierdzia. We wspomnieniach swoich powiada Emilia: «pewien ciężko ranny żołnierz, którego życie z każdym dniem uchodziło, mimo niebezpieczeństwa i nalegań naszych, odkładał spowiedź świętą. Nagle zaśłabł jeszcze silniej i żądał widzenia się ze mną. Tknięta przecuciem, posłałam co prędzej po księdza, a sama stałam przy łożu konającego.... Ostatnia jego godzina zbliżała się; w śmiertelnej trwodze, że nie doczeka przybycia kapłana, chory począł mnie prosić, abym wysłuchała jego grzechów. Z razu broniłam mu tego, ale widząc jego wzrastający niepokój i wzrok już gasnący, zgodziłam się na to dziwne żądanie.

Wówczas z całą przytomnością umysłu, chory począł głośno wymieniać swe grzechy, a gdy skończył, błagał mnie o krzyż i odpuszczenie. Aby go uspokoić, zakreślając krzyż na jego stygnącym czole szepnęłam: «niechaj ci Bóg przebaczy!» On z wdzięcznością spojrzał na mnie, głowę przechylił—i skonał. W tej chwili ksiądz nadszedł. Wzruszona, zapytałam, czy mam przed nim powtórzyć wyznania zmarłego, ale ksiądz



Według fotografii z natury.

*Emilia Iramińska*



zapewnił mnie, że głęboki żal i spowiedź publiczna, oczyściła tę duszę przed Bogiem miłosierdzia».

Takich prawdziwie dramatycznych obrazów i wstrząsających wspomnień, moglibyśmy tu bardzo wiele zaznaczyć;—powtarzały się one niemal codziennie w tej kronice, w czasie burzy wojennej, w której Anioł śmierci coraz liczniejsze zabierał ofiary, sypiąc tysiące mogił.

W tej ciężkiej służbie, równie Klaudyna jak Emilia, dotrwały do końca, roztaczając swe opiekuńcze skrzydła. Znane były we wszystkich kołach społecznych, błogosławiła im cała niemal Warszawa i szanowali w milczeniu nieprzyjaciele, uchylając czoła przed uosobieniem prawdziwie chrześcijańskiej kobiety.

Po wzięciu Warszawy, ułatwiono im wyjazd za pośrednictwem i wpływem generała Witta. Opatrzono paszportem, wyjechały obiedwie w towarzystwie kilku znajomych, pomiędzy którymi był prosty żołnierz, Antoni Golec, świeżo obydwoch rąk pozbawiony, którego Emilia pod swoją zabrała opiekę i wśród własnej czeladzi umieściwszy, zapewniła kalece spokojny zakątek i w 40 lat później zamknęła mu oczy. Skoro wyjeżdżały z miasta, wojska rosyjskie wchodziły już do stolicy w tryumfalnym pochodzie. W tej chwili żyd jakiś, spostrzegłszy wyjeżdżającą gromadkę i domyślając się uchodzących, poczał, wskazując na nie, krzyczeń, grożąc pięścią i obsypując obelgami. Wobec tego, widząc zagrożone kobiety, oficer rosyjski odpędził napastliwego żyda, szedł przy powózce i odprowadził bezpiecznie aż za rogatki.

Wyjechawszy z Warszawy, Klaudyna i Emilia, jako nierozłączne towarzyszki, czuwały dalej nad rannymi i za armią wyjechały do Modlina, a z tamąd do Torunia, gdzie dla kwarantanny dłuższy czas się zatrzymać musiały. Tutaj Klaudyna Potocka, najczulszem staraniem otaczała zapadającą na zdrowiu towarzyszkę, której siły, star-gane nadmiarem trudu i wrażeń, zdawały się ciężką zapowiadać chorobę. Choroba ta i prawdziwa siostrzana opieka przyjaciółki, zacieśniły jeszcze bardziej węzły przyjaźni. Gdy pani Klaudyna po upływie lat kilku umierała w Genewie, panna Emilia, zostającą podówczas pod ścisłym dozorem policji pruskiej, z Księstwa wyjechać nie mogła. Wypróbowana jednak wśród tylu cierpień przyjaźń, nigdy zagasnąć nie miała, żyjąc

w wspomnieniu i modlitwach Emilii. W 60 lat po śmierci Klaudyny, na piersi zmarłej Emilii Sczanieckiej, zwieszał się medalion przyjaciółki, którą jeszcze na parę dni przed śmiercią ze łzami wspominała.

Chcąc oświecić i uzupełnić duchowy stosunek przyjaźni i nierozdzielnej niemal łączności tych dwóch istot wyjątkowych, zmuszony jestem, choćby tylko urywek zacytować z listu Klaudyny, którym ulatująca już ku niebu dusza, dodaje odwagi osłabionej i zwątpiałej Emilii.

«... Drogie życie! Uzbrój się—nie o nas myśl—  
«pamiętaj, że im rzadsze są tobie podobne istoty,  
«tem nałożone na nie obowiązki święciej wypeł-  
«niane być mają. Każdy dzień życia twojego  
«jest częścią ogólnego łańcucha, dla dobra któ-  
«rego Bóg tak świętą iskrą ciebie obdarzył. Pa-  
«miejtaj, że *wolą* uciekające życie wstrzymać w sobie  
«możesz. Nie poddaj się rozpaczcy jałowej, tę sa-  
«mą energię, która podziwienie nasze wzbudza,  
«obróć przeciw sobie. *Każ* sobie żyć dla po-  
«ciechy jednych, dla przykładu tych, którzy  
«korzystać potrafią z danej im nauki, dla ludz-  
«kości, której więcej jeszcze winna, jak to, coś  
«dotąd dla niej zrobiła. Droga! przysięgi od cie-  
«bie nie wymagam. *Nie opuszczaj rąk*. Niema szczę-  
«ścia mówisz? W każdym czynie jest nagroda  
«i kara, a cnota by szczęścia nie znała? A tak  
«piękne, tak pełne, tak czyste życie, zwiędło by  
«dla braku żywiołów, na świecie, gdzie miliony  
«dusz osierociałych serc skrwawionych woła po-  
«mocy».

Były to przedśmiertne rozporządzenia umiera-  
jącej. Pani Klaudyna krzepiąc podówczas zboląłą  
przyjaciółkę z oddali, musiała już z własnem fizycz-  
nem i moralnem walczyć znękanem. Toczyła ją  
choroba nieuleczalna.

Wróciwszy do kraju, Sczaniecka 30-letnia  
zaledwie kobieta, postarzała się, a odziana maje-  
statem powagi, oblokła odtąd dożywotnią żalobę,  
legendową czarną sukienkę. Po powrocie czekały  
ją zaraz na wstępie ciężkie, bolesne zawody. Rząd  
pruski zasekwestrował cały majątek, i wytoczył  
jej proces o przestępstwo stanu. Skazano ją na  
kilkoletnie więzienie i na kolosalne kary pieniężne,  
które mogły zachwiać całe materyalne jej poło-  
żenie w przyszłości. Wreszcie z rozkazu Króla  
Fryderyka Wilhelma III uwolniono ją od wszel-  
kiej winy i kary.

Dla odzyskania spoczynku i duchowej równowagi wysłana została do Karlsbadu. Spotkała tam Mickiewicza i Edgara Quinet z żoną, a w ich towarzystwie ulegając namowom po obcych krajach chciała odbyć podróż, uciekając w ten sposób, jak sama powiada, od rozpacz. Gdy jednak przyszło do wyjazdu, gdy, obliczyła się, że wobec tylu potrzeb krajowych, nie wolno jej trwonić grosza na własne przyjemności, postanowiła powrócić do rodzinnego domu.

Dla dzieci rodzeństwa, stała się drugą matką i opiekunką, dla ubogich i rozproszonych rodaków, opatrnością i rzeczywistym stróżem aniołem, sięgającą szczodłą dłonią i sercem gorącym niemal na krańce całego świata.

Bawiąc czas jakiś dla wychowania siostrzeńców swoich w Berlinie, rozszerzała tam coraz więcej zakres swej działalności i wpływów po za najdalsze granice, sięgając do rozproszonych w Paryżu i całej Francji polaków. Ucząca się w Berlinie młodzież, z ufnością garnęła się do jej domu.

Szaniecka objęła wielkiem sercem swoim całe niemal społeczeństwo polskie, dalekim i bliskim przychodząc z pomocą, lub służąc im radą serdeczną. Na tem stanowisku stała ona ponad wszelkimi stronnictwami, jakie rozdzierały społeczeństwo nasze, potępiała wszelkie wybryki stronnice, gromiła gorszące waśnie, nazywając je chorobą moralną i trądem naszym społecznym. Nie szczędziła nikomu surowej prawdy, lżą niewieścią i życiem bez skazy przejednała niejednego z Bogiem i społeczeństwem, bo gromiąc nawet, i najsurowsze prawdy wypowiadając, przemawiała tylko sercem i nie odpychała nikogo, — nikomu nie odmawiała pomocy. Na tem polu działania zarzucić jej nawet można, że nieogłędnie czasami może szafowała szczodrobliwością swoją, tak bardzo bezwzględna że nadużywano jej bardzo często w celach stronnicych, nawet dla ludzi, niegodnych rzeczywistego poparcia i poszanowania. Na ten zarzut odpowiadała często, że przyjąwszy na siebie rolę szafarki i obowiązek miłosierdzia, nie chce być sędzią, ale rady tylko udzielić i prawdę wypowiedzieć może, — że woli dziesięciu niegodnym, którzy jej nadużywają, udzielić poparcia, aniżeli, chociażby jednemu niesprawiedliwie odmówić pomocy,

Bogu pozostawiając osądzenie serca i sprawy człowieczej.

Stojąc na czele rodzinnego majątku, wyrzekła się dla siebie niemal wszystkiego, we wdowie żałobnej szacie była poważną matroną, jakby z nieba wysłanem widzeniem, przypominającym społeczeństwu obowiązki pracy.

Życie ówczesne wogóle, było nieobrachowane i lekkomyślne. Świeciły fortuny pańskie, wznosiły się pałace bogate, roiły się piękne ekwipaże, konie zbytkowe, — ale bez rachuby, bez pracy bez jutra! Łatwy kredyt pruski ośmielał do zbytku, a trąd karciarstwa i bezmyślnej hulanki, podkopywał istnienie narodu, zagrażając nam coraz więcej grobowem widmem przefrymowania ojczystego zagonu.

Szaniecka uważając mienie swoje, jako rzeczywiste wódzństwo Boże, uważała za pierwszy obowiązek utrzymać w całości, w należnym porządku i rozkwicie gniazdo swoje rodzinne. Ale pomimo tego zadania, które dzisiaj daleko lepiej rozumiemy, panna Emilia w zadaniu swoim, nie popadła ani na chwilę, w górujące dziś u nas pojęcia zmateryalizowanego egoizmu. I na tem polu świeci nam ta wyjątkowa kobieta, jasnym przykładem najwznioślejszych uczuć społecznych. Rządna w domu, ostrożna, myśląca zawsze o jutrze, za pierwszy obowiązek życia swojego uważała obok pracy, oszczędność, — ale była przede wszystkim oszczędną przeważnie tylko dla siebie. Pomimo znacznych dochodów, rzeczywiście pańskiej fortuny, sobie odmawiała wszystkiego. Można by tu powiedzieć, że wielka ta, w całym znaczeniu tego wyrazu, pani, obok ładu i oszczędności, była rozumną mistrzynią, chociaż rozrzutną na pozór, bo całe niemal dochody swoje poświęcając ubogim, jakoteż instytucjom wszelkiego rodzaju. I to był jej zbytek i pozorna rozrzutność niemal, ale rozrzutność i zbytek, jakim Bóg błogosławi wybrancom swoim.

Po burzach dziejowych, nastąpiła w życiu panny Szanieckiej nowa epoka, na równie, a może jeszcze stokroć wyższem stanowisku zwykłej znoonej pracy codziennej.

Na tem polu nie możemy tu pominąć rzeczywistego jej brata po duchu, wielkiego myśliciela, który świeci wśród społeczeństwa Wielkopolskiego jasną ideą moralnego odrodzenia i uszlachetnienia pod godłem pracy społecznej, d-ra Ka-

rola Marcinkowskiego. Na karcie dziejów naszych, na ziemi Wielkopolskiej, historia XIX wieku zapisała to imię w pierwszym rzędzie bohaterów duchowych, jako rzeczywistego twórcę odrodzenia pojęć i służby ojczystej. Wielkim sercem Marcinkowski stanął olbrzymem na tym zachodnim wyłomie słowiańskim, niezmordowaną pracą, rozumem i poświęceniem bez granic, stał się rzeczywistym reformatorem idei społecznej, torując rodakom drogi przyszłości, na której później zasłużony i żyjący dziś jeszcze weteran, patron, Maksymilian Jackowski, obudził ideę łączności narodowej i stworzył spójnię nierozzerwalną, jednocząc lud polski z szlachtą polską, która wedle słowa poety, stała się cudem w prastarej Piastów rodzinie. Dwa wielkie serca, Sczanieckiej i Marcinkowskiego, dwie te dusze pokrewne wspólnym programem uczuć i pojęć, musiały się zrozumieć i ocenić wzajemnie. To też łączyła je przyjaźń dozgonna, na wzajemnym szacunku oparta. Mając jeden niemal i ten sam cel dobra publicznego wytknięty i w jednym idąc kierunku, pracowali wspólnie, nawzajem się dopełniając, i gdy Karol Marcinkowski był reformatorem dla społeczeństwa Wielkopolskiego w ogóle, Sczaniecka była reformatorką niewieściego ducha, przodowniczką i wzorem Wielkopolskiej kobiety, była uzupełnieniem szlachetnego zadania i pracy Marcinkowskiego; śmiało powiedzieć można, że w przeglądzie historycznym nie godzi się tych dwóch postaci od siebie oddzielić, gdyż całość niemal jednolitą stanowią.

Dom jej w Pakosławiu, zasłynął jako jeden z pierwszych przykładem rodzinnego ogniska i zjednoczenia, stał się jednym z pierwszych ognisk oświaty i uszlachetnienia ludu polskiego.

Na rzeczy publiczne Sczaniecka łożyła niemal miliony, a jednak nie uszczupliła i nie zachwiała rodzinnego majątku, owszem rządziła nim wzorowo, podniosła wartość znaczenia ojczystej zagrody, a skupując zagon po zagonie, rozszerzała nawet dziedzictwa swego granice.

Oprócz rozsyłanej na wszystkie strony jałmużny, nie było w kraju, ani za granicą żadnej instytucji narodowej, do której podniesienia nie śpieszyła z hojną ofiarą, a ilekroć nie starczyło własnego rozporządzalnego grosza, nie cofała się przed uciążliwością, a tak przykrą nieraz ofiarą zbierania składek publicznych i kolatania do

serca innych. Przyczyniła się też niepospolicie do założenia «Gmachu Bazarowego w Poznaniu» i «Towarzystwa Pomocy Naukowej», tych tak poważnych instytucyj, które po dziś dzień są jednym z najwznioślejszych pomników zasługi i imienia dr. Karola Marcinkowskiego. Ona to obudziła pierwsza i powołała do życia z własnej inicjatywy, «Stowarzyszenie kobiet», któremu przewodniczyła, dopomagając młodzieży do ukończenia nauk, do możności uczciwego zapracowania na chleb powszedni i przyniesienia pożytku krajowi. Uzupełniając myśl dr. Karola Marcinkowskiego, i idąc za przykładem założonej przez niego «Pomocy Naukowej dla kształcącej się u nas ubogiej młodzieży polskiej», powołała do życia odrębną a siostrzaną instytucję narodową «Pomocy Naukowej dla ubogich dziewcząt w Poznańskim i Prusach Zachodnich», własnym niemal przeważnie nakładem stworzyła tę, tak poważną i zbawienną instytucję, a matkowała jej aż do zgonu pomocą, opieką, radą i poświęceniem. Tę pamiętną postać chrześcijańskiej bohaterki, która świeciła na polu poświęcenia bezgranicznego uczył Lenartowicz, głosząc na jej cześć wiersz p. t. «Siostrą szpitalną».

Nad Pakosławiem świeciła jasna gwiazda uznania i czci ziomeków, a uszanowania wśród ludzi uczciwych nawet w nieprzyjacielskim obozie.

Dom polski tego zakroju, ziemia ojczysta w takim ręku i pod takim przewodem, były już oddawna solą w oku i kłóły ówczesnych germanizatorów, których równie jak dzisiaj, było i jest zadaniem wykupienie ziemi z rąk polskich. Robiono więc nieśmiało z początku usiłowania i nie szczędzono nawet pokusy, nie rozumiejąc tego, że słaba niewiasta silny i rozumny stawia opór germanizacji, przez którą nie jeden niestety mężczyzna dawał się złamać i wywłaszczyć. Razu pewnego landrat tego powiatu, zalanego już, niestety, przeważnie niemczyzną, przybył do Pakosławia, aby nieśmiało rozpocząć rokowania z panną Sczaniecką. Znając hojne rozdawnictwo i ofiarną, jak ją nazywał, «mianą poświęcenia» pani domu, spodziewał się ją zdobyć nadzieją zrealizowania znacznej, bo dwumilionowej przeszło kwoty, podnosząc niepraktykowaną jeszcze wówczas cenę pruskiej morgi do 400 marek. Ale panna Sczaniecka z wyrazem największego oburzenia i pogardy propozycję tę

odepchnęła, nazywając ją ubliżeniem godności uczciwej kobiety i obywatelki polskiej. Landrat pouczony dosadną odprawą, opuścił Pakosław, przekonany zapewne, że ziemia jest i pozostanie niezdobytą.

Każdą nową boleść i coraz cięższe brzemię życia odczuwała Emilia i opłacała krwią serca swojego, ale słusznie powiada autor umieszczonego w «Przeglądzie» artykułu «Z roczników poświęcenia», że ból chyba nie zabija, kiedy przeżywszy zniewagi i upokorzenia publiczne, utraciwszy najdroższych przyjaciół i najbliższych w rodzinie krewnych, dożyć jej jeszcze przyszło ery Bismarkowskiego prześladowania, usłyszeć wśród ciągnących od wieków na słowiańskie dziedziny,—zawsze jedno i to samo złowrogie hasło: «der Drang nach Osten» i «ausrotten» dzisiejszej hakaty niemieckiej. W tej to epoce i pod takim wrażeniem pisała w liście do siostrzenicy pełne znaczenia i prawdy słowo, którego tu się pominąć w historycznym naszym obrazie nie godzi:

«Za daleko idą Niemcy w swojej niena-  
«wiści,—sądzą, że są już panami świata, że mo-  
«gą bezkarnie działać. Nie znają historii,—ina-  
«czej wiedzieliby, że pierwszy krok zrobiony na  
«złej drodze, przyprowadza do upadku. Ale *bólów*  
«*ból*, to nie brutalny nacisk wroga, lecz własna  
«niemoc ducha i brak zaradności i woli naszej.

W innym ustępie listu pod inną datą, pisze:  
«okropny ten rok będzie, wiele bardzo majątków  
«przejdzie w ręce wrogów, a nasi kapitaliści na  
«nieszczęście nie mają tego poczucia obowiązku,  
«aby kupować i ratować tę świętą naszą ziemię;  
«wołą spokojnem okiem patrzeć na ten upadek,  
«byle im było dobrze. Ciężki oni Bogu zdadzą  
«rachunek, bo wedle mnie przyczyniają się do  
«upadku kraju i wielki grzech popełniają. Wi-  
«dzieć zbliżka, co się dzieje z wsią, która przecho-  
«dzi w ręce niemieckie, to serce zakrwawia!  
«Wogóle, kto ma długi, a z góry sobie nie po-  
«wie, że wszystkiego trzeba sobie odmawiać, tego  
«rok ten do upadku musi doprowadzić».

Takie to pojęcia i przekonania były tajemnicą ocalenia jej majątku, kiedy tylu innych, nie nie działawszy dla sprawy publicznej, bezradnie ginęło.

Duch jej podniosły, przejęty prawdami chrześcijańskimi, duch ten nigdy nie dał się unieść w żaden obłędny kierunek, ani w żadną waśń narodową. Gardziła niemi, bo ona tylko kochać i działać umiała.

Tak zasłużwszy się Panu, z promiennem sędziwem obliczem, jaśniejąca powagą cnoty niepokalanej, doszła nareszcie kresu ziemskiej swojej wędrówki.

Chwila żałobnego pochodu za trumną ś. p. Emilii Sczanieckiej była zaiste wzruszająca do głębi i wymownym wyrazem wyjątkowej czci i poszanowania milionowej drużyny rodaków. Całe społeczeństwo Wielkopolskie, wszystkie bez wyjątku stany, zlały się w jednolity harmonijny akord pogrzebowego dzwonu. Dostojna zmarła w obszernym testamencie o wszystkim i o wszystkich myśląc, cicha i skromna za życia, zakazała rodzinie wszelkiej ostentacji i przepychu pogrzebowego, zastępując je sowitą jałmużną dla ubogich. Nie dozwoliła zwykłych ogłoszeń, spraszania księży, przyjęcia pogrzebowego i mów żałobnych. Prosiła, aby trumna jej, zbita z czterech zwy-  
czajnych desek, na wzór włościańskich, zrobioną była przez miejscowego stolarza i aby ciało jej nie w grobach kościelnych, ale na parafialnym cmentarzu wśród ludu swego złożone było.

Wypełniono wolę zmarłej; pogrzeb w zasadzie wedle życzenia, co do formy, był rzeczywiście ubogi, a mimo to jednakże, był to pogrzeb niemal królewski. Co tylko żyło w Księstwie dążyło do Pakosławia, i za ubogą białą trumienką, ze łzą i poszanowaniem szły niezliczone tysiące! Pochód to był królewski, bo górował nad nim duch wdzięcznego społeczeństwa, które wieńcem żałobnego wspomnienia, czci i poszanowania, łzą serdecznego żalu żegnało zmarłą, godną wiekopomnej pamięci, matronę polską.

*Benzelstjerna-Fengeström.*

# (Franciszek) Xawery Liske.

\* 1838 † 1891. \*)



**N**ie będziemy opisywać przepychu Zjazdu Wiedeńskiego... nie kusimy się o to, bo nie posiadamy odpowiedniej zdolności pióra...\*\*) Tak pisał Xawery Liske u wstępu swojej działalności dziejopiskarskiej, usiłując wyrazić z jednej strony nacisk na stanowczą pierwszorzędność *badania naukowego* w dziejopisarstwie; z drugiej zaś—na drugorzędne znaczenie formy i obrazów literackich w prawach historycznych, winnych uwzględniać przede wszystkim poważne zagadnienia wiedzy.

\*) Daty bio- i bibliograficzne zaczerpnęliśmy z życiorysu Liskego, opracowanego zbiorowo przez jego uczniów, a zamieszczonego po śmierci mistrza w «Kwartalniku Historycznym.» (Rocznik V. str. 463—548).

\*\*) Tamże str. 500.

Głoszenie i wpajanie w uczonych i w czytelników takiej właśnie zasady, nie mogącej spotkać się już dzisiaj, nawet z protestem dyletantów, było aż nazbyt

niezbędne i aktualne w dobie, kiedy—wedle własnych słów Liskego—«polska historyografia, a także i krytyka popadły w ręce dyletantów, kiedy piękne opowiadanie stało się jej głównym żądaniem, a badania historycznego nie było prawie śladu\*\*»; kiedy wreszcie przedstawiciele wiedzy racjonalnej walczyć musieli na seryo z postulatami w rodzaju: Wylącnego ogłaszania naukowych dokumentów dziejowych łacińskich w tłumaczeniu polskim i to tylko o tyle, o ile zawierają one wskazówki co do ważniejszych osobistości historycznych \*\*).



*Xawery Liske*



Jeżeli potworność postulatów takich jest dzisiaj zrozumiałą dla każdego oświeconego człowieka, podobnie, — jak racjonalność przeciwnych im zasad, wskazanych na wstępie, to jest to w bardzo znacznej mierze zasługą Liskego, mistrza metody historycznej w Polsce, nauczyciela i ojca — pedagoga całego szeregu naszych najpoważniejszych i poważnych historyków ostatniej doby.

Potomek spolszczalej rodziny szwedzkiej, urodził się Fr. X. Liske z ojca Adolfa i matki Cecylii z Michalskich, d. 18 października 1838 r. w dzierżawionej przez rodziców od hr. Raczyńskiego, wsi Szlązkowie w pow. Krobskim w W. Ks. Poznańskim. Lata dziecięce spędzał najpierw w licznej gronie rodzeństwa w Szlązkowie, a później w Wielkich i Małych Strzeliskach, nowonabytym majątku rodzinnym.

We dwa lata po rozpoczęciu nauk gimnazjalnych w Lesznie Poznańskim, w r. 1852 do czekał się czternastoletni chłopiec ruiny majątkowej rodziców. Matka, poświęciwszy się edukacji dzieci, których było aż ośmioro, osiadła w Lesznie; ojciec wziął za resztkę mienia Lipie Piaski, małą posiadłość w stolicy Gostynia, w dzierżawę.

Wątpli i chorowity od urodzenia, ale pełen energii, znalazł się przyszły historyk w dobie pierwszej swej młodości w warunkach tak niekorzystnych, że go jedynie ambicya własna przed zwichnięciem strzedz i ustrzedz miała.

Pomyślne odbywanie nauk szkolnych i jednocześnie, szerszy rozwój umysłu za pomocą lektury, której się młody chłopiec gorliwie oddawał, należały istotnie w jego położeniu ówczesnym do zadań prawdziwie trudnych. Mimo to jednak a — nade wszystko, mimo dziewięciomiesięcznej głuchoty, jaka go wskutek choroby skrofalicznej w VI klasie gimnazjum nawiedziła, ukończył Liske w r. 1859 nauki szkolne i, postanowiwszy oddać się studiom historycznym, wstąpił na Uniwersytet we Wrocławiu. Z nieznanych powodów porzucił go jednak wkrótce, nawiązując dopiero w półroczu letnim 1861 r. przerwane studia. Odtąd też datuje gorliwe przygotowanie się Liskego do pracy naukowej w przyszłości.

Prace seminaryjne pod kierunkiem prof. Junkmanna, wykłady Roepella i Cybulskiego, studia historyczne, filozoficzne, a nawet filologiczne, składały się wtedy na codzienne koło zajęć uniwersyteckich Liskego, który brał nadto udział nader

żywy w życiu koleżeńskim studentów polaków, a nawet piastował urząd prezesa właściwej korporacji naukowej, noszącej nazwę «Towarzystwa Słowiańskiego». Mieszkał w t. zw. «Koszarach polskich», — zbiorowisku stanczyjek studenckich, zajmowanych prawie wyłącznie przez polaków, prowadził gorące dysputy, polemizował i działał, zabiegając żywo około spraw «Bractwa», skupiającego życie koleżeńskie rodaków. Już w r. 1862 został Liske «gospodarzem» tej instytucji, co zapewniło mu stanowisko naczelne wśród wrocławskiej młodzieży polskiej.

Nie porzucając studyów, a raczej, — nie zrywając urzędownie z Uniwersytetem i nadal, oddał się Liske w roku następnym, jako «Komisarz na Województwo Bydgoskie», gorącej pracy publicznej w poznańskim. Ścigany listem gończym władz pruskich i więziony w Berlinie, został jednak wypuszczony niebawem dla braku dowodów na wolność, wraz z możliwością wznowienia przerwanych studyów. Udało mu się to jednak dopiero po odbyciu krótkiej służby obowiązkowej w wojsku pruskim.

W styczniu 1865 r. wstąpił Liske na Uniwersytet w Berlinie, gdzie spędził cztery półroczia, poświęcając się już przeważnie ćwiczeniom w pracy samodzielnej, jako uczeń Droysena, głównego kierownika Seminarium historycznego.

Wychodzący od r. 1852 sumptem hr. Działyńskiego, zbiór źródeł do panowania Zygmunta I, t. zw. *Acta Tomiciana*, znalazł w młodym historyku gorącego miłośnika.

Posiadając wzór w Droysenowskim opracowaniu dziejów polityki pruskiej, zapalił się Liske do zygmuntofskiej polityki polskiej; do studyów nad stosunkiem tego monarchy do Habsburgów, a wreszcie — nad genezą i znaczeniem Traktatu Wiedeńskiego w 1515.

Chłopięce, szkolne uzdolnienie do umiejętności ścisłych, — do nauk przyrodniczych i matematyki, zespolone z zamiłowaniem przeszłości dziejowej, stworzyło z młodocianej pracy seminaryjnej Liskego o Kongresie Wiedeńskim z 1515 r. wzór badania historycznego i sumiennej ścisłości, owianej talentem krytycznym. W pracy tej wystąpiły na jaw po raz pierwszy najistotniejsze zalety przyszłego historyka, mistrza dydaktyki i nauczyciela.

*Der Congress in Wien im Jahre 1515*, rozprawa, wydana w r. 1867 po niemiecku w *Forschungen zur deutschen Geschichte*, a spolszczona w tymże roku w poznańskim wydaniu *Studyów z dziejów wieku XVI* \*), zyskała jeszcze w rękopiśmie gorące uznanie Waitza, najznakomitszego wówczas przedstawiciela metody historycznej w Niemczech; on ją też, jako redaktor *Forschungen*, w cennym tym zbiorze zamieścił.

Wprzód jeszcze, w r. 1866 ukazała się w poważnym czasopiśmie naukowym, *Sybls Historische Zeitschrift*, monografia Liskego o *stosunku dworu polskiego do wyboru Karola V, ces. niemieckiego*, ogłoszona jednocześnie po polsku w «Bibliotece Warszawskiej», a w roku następnym w *Studyach* poznańskich. Z tegoż czasu, z r. 1867, datuje inauguracyjna rozprawa Liskego o *Dyplomacji polskiej w r. 1526*, złożona przezeń fakultetowi lipskiemu w celu uzyskania doktoratu filozofii, jak mu na początku tegoż roku przyznano, a — z następnego dwie monografie o elekcji Karola V, drukowane w *Forschungen z. d. G.*, oraz przyczynki do historii wojny moskiewskiej z lat 1633—1634, rozbiór krytyczny ostatniego tomu *Geschichte Boehmens* Palacký'ego i *Relacye dra L. S. Gereta, rezydenta toruńskiego o Polsce*.

Rzutkość umysłu i energia niepospolita, nie pozwalały Liskemu, pomimo ciągłego niedomagania na zdrowiu, zatopić się wyłącznie w pracach naukowych. Z jednej strony czerpie on pełną dłoń z odpisów, pozostałych w tekach pozgonnych dyrektora archiwum królewskiego, historyka pruskiego, Voigta, materiały do dziejów Polski w XVI stuleciu; z drugiej zaś, rozgoryczony nagłym wzrostem Prus, a mający wciąż, jako były «Komisarz bydgoski», politykę aktualną na oku, rozpoczyna walkę akademicką z Bismarckiem w obronie napastowanych polaków. Słynna replika na jedną z takich napaści, — *Graf Bismarcks Rede, gehalten am 18 März 1867 in der Sitzung des Nord-*

*deutschen Reichstags, vom Standpunkte der Geschichte beleuchtet*, powstała pono w ciągu jednego, czy dwóch dni pod piórem Liskego i zwróciła nań szerszą uwagę.

Autor kilku prac z zakresu dziejów Polski w XVI st., pisywał dotąd Liske przeważnie po niemiecku. Ogłosiwszy jednak w r. 1867 w Poznaniu u Żupańskiego swoje spolszczone *Studyje z dziejów wieku XVI*, jał się jednocześnie współpracownictwa w paru czasopismach polskich: w «Dzienniku Poznańskim» i w «Dzienniku Literackim», wychodzącym we Lwowie, pozostawiając sobie na przyszłość, przeważnie tylko w *Historische Zeitschrift* Sybla, dział sprawozdawczy z dziejopisarskiego ruchu polskiego. Owo pośrednictwo pomiędzy stojącą wysoko nauką niemiecką, na której się wykształcił, a polską, której wyniesienia pragnął, oraz pilne traktowanie porównawcze przedmiotu studyów własnych, stanowiło już wówczas jedną z kapitalnych zasług Liskego, nim na inne — w nowym ognisku jego działalności — kolej przyjąć miała.

Poparciu prof. Antoniego Małeckiego, który zajął się nim gorąco, zawdzięczał bowiem Liske możliwość przeniesienia się do Lwowa, gdzie, dzięki zapisowi hr. Aleksandra Stadnickiego i — poparciu Wydziału Krajowego, powstała fundacja, mająca na celu wydawnictwo ważniejszych aktów z t. zw. Archiwum Bernardyńskiego, czyli — archiwum krajowego Galicyi Wschodniej. Publikację tę, posuwającą się powolnie i nieumiejętnie, odrodził, a właściwie pod względem naukowym rozpoczął dopiero Liske, uzyskawszy w grudniu 1868 r. nominację Wydziału Krajowego na kierownika wydawnictwa.

Wykształcony na wzorach niemieckich, a wyćwiczony w paleografii (wprawdzie — tylko dawniejszej) pod kierunkiem Jaffégo, zajął niebawem Liske w Komisji Wydawniczej, która, pomimo jego kierownictwa, istnieć nie przestała, stanowisko wybitne, a wreszcie dominujące i wyłączne.

Już w r. 1869 oceniał on pono *wszechstronnie* doniosłość średniowiecznych zapisów sądowych, — materiału, zawierającego najobfitsze i najbardziej bezpośrednio dokumenty życiowe dawno minionych pokoleń. Opór Komisji Wydawniczej, z którą liczyć się na razie musiał, wydarł mu jednak berło pierwszeństwa w tej mierze na rzecz Pawińskiego, który już w r. 1876 drukował kom-

\*) Zbiór ten zawierał prace następujące: 1) Kongres wiedeński z r. 1515, 2) stosunek dworu polskiego do elekcji Karola V, 3) konfederacja magnatów węgierskich w r. 1519, 4) Dyplomacja polska w r. 1526, — przyczynki do dziejów sporu o tron węgierski po śmierci Ludwika w bitwie pod Mohaczem, 5) dodatki: a) O materiałach Biblioteki... w Lipsku... do historii polskiej; b) dokument.

plet najdawniejszych zapisek łączyckich \*), podczas, gdy Liskeemu dopiero w dziesięć lat później (1886 r.), w XI t. *Aktów Grodzkich i Ziemijskich*, danem było ogłosić — wprawdzie lepiej i umiejętniej — ale *przeważnie*, tylko *wyбір* zapisek Sanockich z lat 1423—1462. Dalej poszły zapiski Halickie, Przemyskie i Przeworskie, a wreszcie Lwowie aż do roku 1500 i Sanockie po rok 1552.

Wydawnictwo *A. G. i Z.*, poświęcone przez Liskego od XI do XVI tomu włącznie zapiskom sądowym, ma mu do zawdzięczenia w tomach dawniejszych (II—X) wyborną, jak na swój czas, pod względem paleograficznym i edytorskim, publikację dyplomatów, zebranych nietylko z oblat Archiwum Bernardyńskiego, ale także — bodaj przeważnie — z licznych oryginałów i poprawniejszych kopii, nagromadzonych dzięki prywatnym poszukiwaniom wydawcy, a stanowiących w całości (jeśli wyłączymy, zamieszczone niewłaściwie w tem wydawnictwie, dokumenty, dotyczące innych dzielnic) jedyny po dziś dzień zrab poważny *Kodeksu Dyplomatycznego Rusi Halickiej* o tysiącu z górą dyplomatów.

Razem wzięta, owa olbrzymia, 15-tomowa publikacja, zawarła w sobie rdzeń zasług naukowych Liskego, który prowadził ją do końca życia, coraz bardziej udoskonaloną i odpowiadającą swemu naukowemu celowi. Wszelako osiągnięcie tego szczytnego celu, zagłębiając umysł wydawcy w tajniki wieków ubiegłych, prowadziło go do poznania ich cech i właściwości, a więc — do niepospolitego pomnażania wiedzy, jaką danem mu było dzielić się z innymi; miała to być druga, może donioślejsza strona działalności Liskego.

Już bowiem w maju 1869 r. został Liske docentem historii powszechnej w Uniwersytecie Lwowskim; wkrótce, bo w r. 1871, posunięto go na profesora nadzwyczajnego, a w r. następnym. 1872, zajął katedrę zwyczajną tegoż przedmiotu. Poza wybitną działalnością obywatelską, zaznaczoną u samego wstępu przez młodego profesora w walce z niemczyzną, panującą naówczas we

Lwowie, jał się Liske, nim jeszcze nastąpiło zwycięstwo reformy języka wykładowego, pracy gorliwej około podniesienia naukowego poziomu Wszechnicy. Jeżeli też w dziejach ogólnych nauki polskiej stanowisko Liskego należy do bardzo wybitnych, to jego doniosłość dla Uniwersytetu Lwowskiego i tamtejszego koła historyków późniejszych, których wyłącznie prawie Liske wykształcił i w tok prac naukowych wprowadził, była nietylko pierwszorzędna, ale wprost — twórczą. Pomijając traf szczęśliwy, który sprawił, że w gronie jego uczniów znalazło się wielu ludzi o zdolnościach wybitnych, powiedzieć można, że cała, tak wydatna dzisiaj ruchliwość i pełna zasługi działalność Lwowa na polu dziejopisarstwa, wskazuje na Liskego, jako na człowieka, który pobudził ją niegdyś do życia, który czuwał nad jej rozwojem z troskliwością wzruszającą i który, jako jej *spiritus moriens*, wystawił w niej sobie pomnik niepożyty.

Seminaryum historyczne Liskego należało do pierwszorzędnych nietylko w kraju, ale może i na szerszym obszarze krajów cywilizowanych, jego prace, niezbyt może pociągające pod względem literackim, ani owiane czarem orłowych polotów talentu pisarskiego — bywały wzorem krytycznej metody badania; jego pracowitość, sumienność i zdolność skutecznej zachęty do pracy grzała i zapalała innych, budząc dokoła siebie żywą i płodną działalność.

Pomimo usilnej, wyczerpującej pracy wydawniczej i pedagogicznej, pomimo ciągłej prawie choroby, niedającej się wykorzenić, a sprawiającej, że Liske, nietylko ćwiczenia seminaryjne, ale niekiedy nawet i wykłady prowadzić musiał w łóżku, złożony ciężką niemocą, wielostronność jego dążeń i sumienność jego zajęć rozwijała się niemal nieprzerwanie. Wprawdzie okres lat 1866 — 1870 był w jego życiu najpłodniejszym w rezultaty natężonego działania, ale i czas od r. 1874 do 1880 może z nim śmiało iść w zawody. Poza zwykłymi zajęciami swemi, stoczył Liske w tym okresie pouczającą kampanję naukową w sprawie wydawnictwa kodeksów dyplomatycznych z M. Bobczyńskim, ocenił krytycznie stosy książek polskich w pismach naukowych polskich i niemieckich, posunął znacznie naprzód uporządkowanie i regestrację Archiwum Bernardyńskiego, którego dyrektorem został w r. 1878; przygotował część

\*) Wczesna data tego druku pozostaje faktem, pomimo, że księgi łączyckie dopiero po śmierci Pawińskiego dostały się do księgarni. Okładka nosi datę 1897 r.

znaczoną 7446-m regestów z tegoż Archiwum do druku, uskutecznionego w X tomie *A. G. i Z.* w r. 1884, a wreszcie, nie porzucając studyów nad wiekiem XVI, zapuszczał się co i raz w dzieje o wiele wcześniejsze (*Szerbice i złote Wrota Kijowskie; Bolesław Chrobry i Otton III w Gnieźnie* i t. p.) i—późniejsze (*Zur polnischen politik Katharina II 1791; Konstytucya 3 Maja i mocarstwa niemieckie* i t. p.). Znajdował nawet czas na archeologję (*Modele archeologiczne*).

Zarówno jednak zamięłowanie, datujące z czasów młodości, jak i największy stosunkowo zasób przygotowania, skłaniały Liskego i później, przede wszystkim ku studyom nad wiekiem XVI, dzięki którym powstał cały szereg opracowań monograficznych, będących ze względu na metodę, przedmiot, a niekiedy i—język, jednym z najstarszych łączników polskiego uczonego z nauką Zachodu. Do prac tych należą: *Zjazd w Poznaniu w roku 1510. Dwa dyaryusze Kongresu Wiedeńskiego z roku 1515, Der Wiener Congress von 1515. und die Politik Maximilians gegenüber Preussen und Polen, Elekeya w Rzeszy w r. 1519* i in.

Nadto oddawał się Liske i badaniom nad wiekiem XVII, (*Stanisław Żółkiewski... klęsku i zgon na polach cecorskich, Ulryha Werduma dyaryusz: wyprawy Jana Sobieskiego w r. 1671*), a, zostawszy w r. 1873 członkiem korespondentem Krakowskiej Akademii Umiejętności, która go w r. 1878 powołała na swego członka czynnego, poświęcał gorliwie prace swoje i jej wydawnictwom, w rzędzie których *Monumenta Poloniae Historica*, objęte przez Akademię po śmierci Biełowskiego, należały do *chef d'oeuvre* krytyki naukowej. W tej to publikacyi ogłosił Liske w r. 1877

*Katalogi Arcybiskupów Gnieźnieńskich* (tom III), a w dziesięć lat później, wspólnie z Antonim Lorkiewiczem, *Memoryał Jana z Komorowa*. (t. V).

Pogłębiając wśród studyów porównawczych dzieje—nie tylko Polski, ale i państw innych, będących z nią niegdyś w bliskim zetknięciu, zebrał Liske wiadomości polskie o dawnej Szwecyi i Hiszpanii, stąd powstały dwie jego prace, w odpowiednich językach wydane: *Oefversigt af den Polska litteraturen med surskild afseende pa den svenska historien i Viajes de extranjeros por Espana y Portugal en los siglos XV, XVI y XVII* (tłom. F. Różański). Za pierwszą z tych prac otrzymał Liske od króla szwedzkiego Oskara, order Gwiazdy Północnej. Analogicznem do tych opracowań dziełem Liskego, przeznaczonem dla Polski, była książka o *Cudzoziemcach w Polsce* (Lwów 1879) i *Listy Piotra Ronquillo, posta hiszpańskiego, pisane z Polski 1674*.

W r. 1887, zamiast Książki Pamiątkowej, przygotowywanej przez uczniów Liskego *ex re* piętnastolecia pedagogicznej działalności mistrza, powstało na jego cześć we Lwowie pismo, poświęcone dziejopisarstwu.

*Kwartalnik Historyczny* i olbrzymie jego zasługi dla nauki polskiej stanowią po dziś dzień żywą aureolę, unoszącą się nad pamięcią Liskego. Należy do niej i Lwowskie «Towarzystwo Historyczne», którego zawiązkiem stał się właśnie *Kwartalnik*. Liske był dożywotnim prezesem «Towarzystwa» i dożywotnim redaktorem jego organu, w którym zdołał jeszcze zamieścić cenną *Bibliografię dzieł zagranicznych* i ku któremu, umierając, ostatnią myśl swoją zwrócił.


*J. K. Kochanowski.*



# Aleksander Le Brun

\* 1803 † 1868.



omimo usiłowań chwalebnych R. Czerwiakowskiego w Krakowie oraz J. Czekierskiego w Warszawie \*), chirurgia u nas w pierwszych dwu dziesiątkach wieku XIX nie znajdowała się bynajmniej w stanie kwitnym, a wykonawstwo jej po staremu spoczywało jeszcze przeważnie w rękach cyrulików, posiadających wykształcenie raczej rzemieślnicze, niż naukowe. Chirurg w rozumieniu dzisiejszem, więc lekarz wykształcony w uniwersytecie, a zajmujący się leczeniem chorób zewnętrznych, uszkodzeń ciała, wykonywający operacje chirurgiczne, należał wówczas do wyjątków wcale nie licznych; chirurgia bowiem uchodziła wtedy wciąż jeszcze, tak u publiczności, jak u większości lekarzów, za gałąź podrzędniejszą lecznictwa. Był to przesąd zakorzeniony powszechnie, pochodzący z wieków dawnych, a do nas, jak tyle rzeczy innych, przeszczepiony z Niemiec, gdzie także dopiero w końcu wieku XVIII doktorowie medycyny przestali brzydzić się wykonawstwem chirurgii i to wcale nie ogólnie, lecz wyjątkowo tylko. Aczkolwiek dziś trudno pojąć nam, że tak być mogło, dziwić się temu jednak nie należy. Z wyjątkiem Włoch i Francji, gdzie chirurgia, oparta na nauce, już wysoko stanęła w wieku XVI, oraz w Anglii, gdzie od początku wieku XVIII także już miejsce zaszczytne zajmowała, lekarze gdzieindziej w uniwersytetach zapoznawali się tylko z chirurgią teoretyczną, zazwyczaj bardzo powierzchownie, a gdy chodziło o jej wykonawstwo zwykle sami oddawali je w ręce cyrulików posiadających jaką taką biegłość, nabytą przez doświadczenie i wprawę, nie mające

z nauką nic wspólnego; a prawdę mówiąc, chodzenie w zawody z ludźmi tymi, po większej części nieukami rubasznymi, wcale ponętne nie było.

Jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że liczne wojny na końcu wieku XVIII i na początku XIX, przyczyniły się najwięcej może do podniesienia w oczach ogółu i lekarzy samych, godności chirurgii w Europie środkowej, więc i u nas: raz dla tego, że ogromna ilość ranionych w boju wymagała leczenia chirurgicznego i zmuszała lekarzy do pracy tej, powtóre zaś wpływ zawienny na sąd ogółu wyrzucić też musiał przykład Francuzów, posiadających w wojskach swych, z Larreyem na czele, wielu chirurgów znakomych, wykształconych naukowo, pod względem tym w niczem nie ustępujących lekarzom innym.

Diecięciem chwili tej przełomowej był mąż, którego życiorys jest podany poniżej, mąż, który dla rozkwitu i rozwoju chirurgii u nas zdziałał niezmiernie wiele; więcej daleko może niż którykolwiek z jego poprzedników lub następców.

Aleksander Antoni Le Brun urodził się w Warszawie, d. 12 maja r. 1803 i pochodził z rodziny francuskiej, w Polsce osiadłej od stu lat blisko i spolszczonej zupełnie. Ojciec jego Tomasz, siostrzeniec znanego księgarza i nakładcy Dufoura «Konsyliarza nadwornego J. Kr. Mci, Dyrektora drukarni prześwietnej Szkoły Rycerskiej» był obywatelem miasta Warszawy, matka zaś jego Adelajda, rodem warszawianka, pochodziła z domu Demimuid. Aleksander był najmłodszym z trzech synów tego stadła. Ojciec osierocił go gdy liczył zaledwo rok życia, a matka jego wkrótce potem wyszła za Antoniego Lesznowskiego, redaktora

\*) Ob. życiorysy ich w Albumie niniejszym t. I. str. 70 i 111.





*Portret rysowany według współczesnego drzeworytu.*

*Leśm*

ra *Gazety Warszawskiej*, który będąc człowiekiem bardzo wykształconym, a przytym dobrym, szczerze zajął się pasierbami i wychował ich starannie i rozumnie.

Aleksander, dobrze przysposobiony w domu, dla dokończenia nauki oddany był do konwiktu ks. Pijarów na Żaliborzu, a po ukończeniu szkół tych zapisał się na wydział lekarski uniwersytetu królewsko-warszawskiego. Jako student odznaczał się wielkim zapale do nauk i czynił w nich postępy szybkie a znaczne. W roku 1822, będąc wtedy na kursie drugim, za napisanie rozprawy fizjologicznej p. n. *«O źródle soków krążących w ciele zwierzęcem, sile i sposobie krążenia, odmianach w biegu i ich naturze»* otrzymał medal złoty mniejszy. Rozprawa ta konkursowa odznaczała się zarówno znajomością rzeczy, jak również i językiem pięknym a poprawnym, zdobiącym i później zawsze tak liczne twory pióra Le Bruna. W roku następnym osiągnął medal złoty większy za rozprawę. *«W przypadku znalezienia noworodzonego dziecięcia nieżywego, jakie zachodzą okoliczności, na które lekarz prawny szczególną uwagę zwrócić powinien, aby się mógł dostatecznie przekonać nie tylko, czyli dziecię żywe lub nieżywe na świat przyszło, ale oraz czyli przypadkowo lub z czyjejkolwiekby winy utraciło życie, jeżeli takowego są obecnie ślady»*. Praca ta odznaczała się temi samemi zaletami, co poprzednia i wykazywała wielkie odczytanie autora w literaturze sądowo-lekarskiej dawniejszej i współczesnej. W październiku r. 1824 opuścił uniwersytet warszawski, otrzymawszy godność naukową magistra medycyny i chirurgii. Na tem wszakże nie poprzestał, lecz mając środki po temu, postanowił kształcić się dalej za granicą, osobliwie w chirurgii, z którą się był już zapoznał nieźle pod przewodnictwem profesora Fr. Ks. Dybka \*).

Oczywiście, że lekarza młodego najwięcej pociągał ku sobie Paryż, słynący wówczas najświetniejszym wydziałem lekarskim, nie mającym równego sobie w Europie całej. W ostatnim więc dniu listopada r. 1824 opuścił Warszawę w towarzystwie kolegi i przyjaciela, L. Falinera, i przez Wrocław, Lipsk i Frankfurt, zatrzymując się po drodze w tych miastach, podążył do stolicy Fran-

cyi, gdzie stanął d. 7 stycznia r. 1825. Cały ten rok, jak również następny i niemal połowę 1827-go spędził na nauce w Paryżu i wyjechał stamtąd, uzyskawszy dyplom doktora medycyny po obronieniu rozprawy *«Essai médical sur la plique polonaise»* \*).

Już podczas wakacyi letnich w r. 1826 zwiedził Le Brun Francję południową i dłużej zatrzymał się w Montpellier, słynącym z swego prastarego wydziału lekarskiego, zazdrośnie strzegącego swej odrębności przeciw Paryżowi. Teraz w dniu 27 maja wyjechał do Anglii i stanawszy w Londynie, przebywał tam do d. 28 lipca, zwiedzając znakomite szpitale tamtejsze, poczem na czas krótki wrócił znów do Paryża, a pożegnał go d. 7 sierpnia, by przez Belgję, Niemcy i Czechy udać się do Berlina.

Do Berlina przybył Le Brun d. 6 listopada i postanowił zabawić tam dłużej nieco, głównie dla zaznajomienia się z klinikami profesorów Rusta i Graefego (ojca), ale zaglądał też skwapliwie i do innych, gdyż nie hołdował ciasnemu specjalizmowi, wyznając zasadę bardzo słuszną, że lekarz dobry nie powinien się kształcić jednostronnie w jednym kierunku tylko, lecz że należy mu dążyć do poznania, o ile można, dokładnego, całości leczenia, gdyż tylko wtedy dojść może do doskonałości pewnej w umiłowanej przez siebie gałęzi którejkolwiek, wyrastającej z wielkiego pnia wiedzy ogólnej. Ścisłemu trzymaniu się zasady tej zawdzięcza Le Brun z pewnością większą część swego powodzenia późniejszego, jako chirurga znakomitego.

Pożegnawszy Berlin, udał się Le Brun jeszcze na czas krótszy do Wiednia. Nakoniec powracając przez Kraków, stanął z powrotem w Warszawie d. 23 stycznia r. 1828.

Pobyt swój ówczesny za granicą, przeszło trzy lata trwający, opisał Le Brun bardzo zajmująco w dzienniku podróжным, a wyciągi, które z niego J. F. Nowakowski ogłosił \*\*) są nadzwyczajnie

\*) Dyplom ten potwierdziła następnie w r. 1838 b. Rada lekarska Królestwa Polskiego.

\*\*) Życie i prace Aleksandra Antoniego Le Bruna b. Dziekana wydziału lekarskiego, profesora kliniki chirurgicznej w Szkole Głównej Warszawskiej, naczelnego lekarza Szpitala Dzieciątka Jezus, przez Janusza Ferdynanda Nowakowskiego. Warszawa 1868.

\*) Ob. życiorys jego w T. I, str. 52.

czaj ciekawe. Życzyćby wypadało, aby rękopis ten wydano w całości, zawiera bowiem w sobie, nietylko żywo i nieraz dowcipnie skreślone opisy podróży, ale i mnóstwo uwag trafnych o stanie zakładów naukowych, zagranicznych, jako też zdań i sądów zdrowych o wielu osobach, z którymi się autor stykał w owym czasie.

Powrót Le Bruna do kraju wyprzedziła wieść uzasadniona o jego biegleści w sztuce lekarskiej i o nauce głębokiej, nabytej za granicą; mógł więc być pewny przyjęcia dobrego wśród swoich — i znalazł je też rzeczywiście. Powodzenie towarzyszyło mu do końca życia, przynajmniej w zawodzie lekarskim, gdyż w życiu rodzinnym spotkał go niejeden cios bardzo bolesny.

W roku 1828 w Warszawie było dwu chirurgów wybitniejszych, profesorów uniwersytetu ówczesnego: Andrzej Janikowski i Emilian Klemens Nowicki. Pierwszy z nich, następca na katedrze przedwcześnie zmarłego Dybka, po zamknięciu uniwersytetu w r. 1831 zaniedbał chirurgię, zajmując się raczej medycyną sądową i sprawami administracyjno-lekarskimi, drugiemu zaś, aczkolwiek obdarzonemu zdolnościami niepospolitemi i wiedzą niezwykłą w zakresie chirurgii, nie dostawało przymiotów osobistych, którymi Le Brun tak hojnie był wyposażony, nie trudno mu więc było stanąć wkrótce nad tymi współzawodnikami. Ale człowiekowi o takich zdolnościach i o takich dążeniach, jak on, nie mogło wystarczyć samo tylko powodzenie w wykonywaniu sztuki lekarskiej, koniecznie zapragnąć musiał zajęcia stanowiska, na którymby mógł rozwinąć działalność szerszą, wykraczającą daleko po za czynności zwykłego lekarza wykonawcy.

Sposobność ku temu zdarzyła się niebawem, gdyż w dniu 29 sierpnia r. 1829 mianowano go lekarzem ordynującym w szpitalu Dziesiątka Jezus, w którym pracował następnie aż do końca dni swoich, a podźwignąwszy go ze stanu zaniedbania i upadku, o ile to od niego zależało, zamienił go na zakład, jeżeli nie wzorowy, to w każdym razie na bardzo użyteczny i korzyść przynoszący nietylko ludzkości cierpiącej, ale i lekarzom w nim pracującym. Nie udało się to wszakże bez walki ciężkiej, przykrej nieraz zwycięży samemu, ale wytrwały Le Brun, ożywiony chęciami najzacieńszymi, umiejący je w sposób rozumny urzeczy-

wistniać, zwyciężyć na koniec musiał i dopiął swego.

Nie mogąc tu oczywiście wdać się w opis szczegółowy walki tej długiej i zaciętej o dobro największego szpitala cywilnego w kraju naszym, odesłać muszę czytelnika po wiadomości dokładniejsze do wymienionej już powyżej w przypisku pracy J. F. Nowakowskiego (str. 41 i nast.) oraz do dzieła *«Rys historyczno-statystyczny szpitali i innych zakładów dobroczynnych w Królestwie Polskim»* (Warszawa, T. I, 1871, str. 392 i nast.). W obu ze szczegółami wszelkimi znajduje się opisane to wszystko, co Le Brun zastał w szpitalu wymienionym, obejmując posadę ordynatora i co zostawił po sobie, gdy po niemal czterdziestu latach pracy nieprzerwanej ze świata tego ustąpił. Tu wystarczyć muszą słowa następne B. Bartkiewicza wyjęte z dzieła *«Szkoła Główna Warszawska»* (T. II, Kraków 1901, str. 202).

«Szpitale u nas były uważane za rodzaj zakładów dobroczynnych. Lekarze szpitalni zaledwie raz lub dwa razy na tydzień odwiedzali chorych, zostawiając siostrom miłosierdzia obowiązki leczenia i dozoru chorych. Pierwszy Le Brun nadał zupełnie nowy kierunek medycynie szpitalnej: on pierwszy dowiódł, że szpitale są i powinny być źródłem nauki i postępów lekarskich, oraz szkołą dla kształcących się w tej sztuce».

«Le Brun nie tylko zaczął codziennie odwiedzać szpital, ale wprowadził w użycie codzienne systematyczne zapisywanie obserwacji, przyczem spostrzeżenia swe ogłaszał peryodycznie drukiem w formie sprawozdań. Sprawozdania te zaczęły wychodzić w r. 1836 i z przerwami wychodziły aż do śmierci profesora. W sprawozdaniach tych jasno odzwierciadla się ówczesny stan nauki u nas i działalność naukowa Le Bruna».

Aczkolwiek nikt zaprzeczyć nie zechce, że wymienione powyżej zmiany w obsłudze chorych szpitalnych są ze wszech miar godne uznania i pochwały, to jednak Le Brun przysłużył się po za niemi szpitalnictwu naszemu jeszcze więcej przekształceniem zupełnem zarządu szpitalnego, spoczywającego aż do jego czasu w ręku ks. Rektora, działającego z ramienia zgromadzenia ks. Misyonarzy, a mającego do pomocy liczne grono Sióstr Miłosierdzia. Zarząd ten opierał się we wszystkim na poglądach średniowiecznych

o szpitalnictwie i znosił w murach swych lekarzy zaledwo jako złe konieczne, nie pozwalając się im wtrącać do niczego i stawiając na każdym kroku przeszkody ich żądaniom najsluszniejszym. Stan taki nie był wynikiem złej woli zarządzających, ani też chęcią szkodenia chorym, lecz wypływał z przestarzałego i opacznego pojmowania zadań szpitala i z nawyków od wieków zakorzenionych, więc tym trudniejszych do usunięcia.

Kto inny byłby prawdopodobnie uległ w tej walce, lecz Le Brun, znalazłszy poparcie silne w bracie rodzonym, starszym, Tomaszu, sekretarzu Stanu w b. Radzie administracyjnej Królestwa i w krewnym swym Łaszczyńskim, prezydencie m. Warszawy, dokonał tego, że w r. 1838 szpital Dzieciątka Jezus dostał się pod zawiadywanie ówczesnego Dyrektora głównego, prezydującego w Komisji rządowej Spraw wewnętrznych i Oświaty publicznej. Władza ta poleciła ks. Misyonarzom, zajmowanie się odtąd w szpitalu wyłącznie tylko pełnieniem obowiązków religijnych, Siostram zaś Miłosierdzia usługą chorych i gospodarstwem wewnętrznym, bez udziału w zarządzaniu zakładem. Równocześnie zamianowano komitet do urządzenia szpitala Dzieciątka Jezus na zasadach odmiennych niż dotychczasowe. W Komitecie tym zasiadł i Le Brun, przeznaczony do nadzoru i zarządu pod względem lekarskim i dyetetycznym, a tym samym zajął w nim stanowisko najważniejsze i działał na niem bardzo wiele dobrego.

Szpital przekształcono zupełnie, stosując się przytym do wymagań nauki, którym w miarę możliwości starano się zadość uczynić, i zrobiono rzeczywiście tyle, że zmieniony i naprawiony szpital przybrał wygląd zupełnie inny i mógł teraz stanąć śmiało na równi obok innych tego rodzaju zakładów w Europie środkowej.

W r. 1840 ustanowiono posadę lekarza naczelnego i powierzono ją Le Brunowi, który od r. 1836 podobne już stanowisko zajmował w Domu zdrowia na Ordynackiem.

Dokonawszy dzieła tak wielkiego, Le Brun ręk nie założył bynajmniej, lecz owszem do końca życia starał się nieustannie o poprawianie i ulepszanie go ciągle; w tym też celu przedsięwziął trzykrotnie jeszcze wycieczki za granicę, aby się przekonać naocznie o postępach w zakresie szpitalnictwa. Podróże takie odbył: w r. 1842 do

Niemiec, Francji i Belgji, w r. 1857 do Austrii oraz Włoch północnych, nakoniec w r. 1867 do Paryża. Pierwszą i drugą z podróży tych opisał pięknie i zajmująco w *«Pamiętniku Towarzystwa lek. warsz.»*. Oba te opisy wyszły też, jako książki, w odbiciach osobnych.

Na tym zamknąć możemy obraz działalności Le Bruna jako lekarza szpitalnego, pozostaje nam jednak jeszcze rzut oka na inne pola pracy jego, niemniej ważne, a zasługami licznymi osiane.

W r. 1860 powołano Le Bruna na profesora kliniki chirurgicznej i chirurgii operacyjnej do niedawno przedtem otworzonej b. Cesarsko-Królewskiej Akademii medyko-chirurgicznej warszawskiej. Był to wybór niezmiernie szczęśliwy i bardzo trafny, gdyż nowo mianowany profesor, obok wiedzy głębokiej i biegłości niezwyklej, nabytej doświadczeniem wieloletniem, posiadał bardzo wybitne zdolności nauczycielskie i dar rzadki umiejętności obchodzenia się z ludźmi, oraz jednania ich sobie, więc też dziwić się nie można, że młodzież akademicka pokochała go odrazu, a liczni uczniowie jego, pamiętać o nim niewygasła i wdzięczną w sercach swych zachowali na zawsze.

Gdy w r. 1862 Akademię wcielono do Szkoły Głównej, jako jej wydział lekarski, Le Brun zatrzymał swe stanowisko i został pierwszym dziekanem nowego wydziału, w r. 1864 wybrano go powtórnie, a obowiązki z godnością tą złączone spełniał równie gorliwie i sumiennie, jak wszystkie inne, wzięte na siebie. Klinika jego mieściła się początkowo w szpitalu Dzieciątka Jezus, od roku zaś 1863 w szpitalu Ś. Ducha.

Wykłady swe, odznaczające się zawsze treścią bogatą i językiem wytwornym, naukowo ścisłym, a przytym jasne i łatwo zrozumiałe, zwykł był Le Brun wypowiadać, oparty głównie na własnym, długoletnim doświadczeniu. Rzeczy nowych nie zalecał uczniom nigdy, jeżeli się sam przedtem nie przekonał o ich użyteczności rzeczywistej. Umysł jego krytyczny, trzeźwo zapatrzący się na zdobycze nauki bieżącej i umiający odróżnić odkrycia i postępy rzekome od prawdziwych, nigdy nie był pochopny do rozpowszechniania nowinek, chociażby nawet pochodziły od ludzi o sławnych nazwiskach, ale rzeczy nowe, a prawdziwie użyteczne, zawsze znajdowały w nim krzewiciela chętnego i gorliwego.

Na dowód tego, jak skwapliwie Le Brun

starał się przyswajać zawsze odkrycia nowe chor-  
wym pożytek rzeczywisty przynieść mogące, niech  
wolno tu będzie przywieść przykład jeden bardzo  
przekonywający o tym.

Poraz pierwszy użyto w Ameryce eteru siar-  
czanego, jako środka znieczulającego d. 17 paź-  
dziernika r. 1846, chloroformu zaś w tymże celu  
d. 10 listopada r. 1847 w Edynburgu; otóż Le  
Brun wykonał już, jako pierwszy w kraju naszym,  
d. 20 lutego r. 1847 operację na człowieku  
uśpionym za pomocą eteru, a d. 11 grudnia  
tegoż roku, więc w miesiąc po pierwszym zasto-  
sowaniu go w Edynburgu, użył chloroformu do  
uśpienia chorego przed operacją. Z równą gorli-  
wością śpieszliwą postarał się o rozpowszechnie-  
nie u nas operacji kruszenia kamieni pęcherzo-  
wych, przecinania podskórnego ścięgien i mięśni  
w celach ortopedycznych i wielu innych operacji  
jeszcze, o których tu dla braku miejsca mówić  
zaniechamy. Rzec wszakże trzeba, iż nie było spr-  
awy chirurgii dotyczącej, któraby go nie była za-  
jęła, której nie byłby zbadał i nie ocenił sumien-  
nie i umiejętnie, a nietylko chirurgia sama jedna  
umiała go tak zająć, z równem zaciekawieniem  
śledził też postępy innych działów leczenia, wy-  
znając wciąż tę zasadę, że znać je trzeba wszyst-  
kie, chcąc w jednym z nich dojść do doskonałości  
pewnej.

Nie może podlegać wątpliwości żadnej, że  
Le Brunowi w dziejach chirurgii naszej w ciągu  
wieku XIX, należy się pod każdym względem  
pierwszeństwo przed innymi, jako najznakomit-  
szemu chirurgowi polskiemu w owym stuleciu,  
a przysługi oddane przez niego chirurgii naszej,  
jako nauce, do niespożytych zaliczone być muszą.  
Mamy prawo szczycić się pocztę wcale po-  
kaznym chirurgów wybornych, bądź profesorów  
doskonałych, bądź wykonawców świetnych, ale ża-  
den z nich dotąd nie przerósł potężnej osobisto-  
ści Le Bruna, ani mu nawet nie dorównał.

Najglówniejsze zasługi uczone położył Le  
Brun jako lekarz szpitalny i jako znakomity prze-  
wodnik kształcącej się młodzieży, ale na tem nie  
koniec jeszcze. Widownią zabiegów jego nie-  
mniej uznania godnych było Towarzystwo lekar-  
skie warszawskie, do którego należał stale od r.  
1828, jako członek czynny, a to nie z nazwy tyl-  
ko, ponieważ do śmierci samej, może z wyjąt-  
kiem jednego Szokalskiego, był rzeczywiście naj-

czynniejszym członkiem towarzystwa tego. Wy-  
brany w r. 1833 na sekretarza, pierwszy zaczął  
spisywać sprawozdania roczne o czynnościach  
naukowych towarzystwa i ogłaszać je następnie  
w *«Pamiętniku Towarzystwa lek. warsz.»* wyda-  
wanego od r. 1837. Le Brun przyczynił się też  
bardzo wiele, jeżeli nie najwięcej, do założenia  
kwartalnika tego; w latach początkowych istnienia  
jego był współredaktorem, a do końca życia za-  
silał go często pracami swemi. Od r. 1848 do  
1854 był bez przerwy obierany na wice-prezesa,  
od roku zaś 1854 do 1856, oraz w r. 1866 był preze-  
sem z wyboru; od r. 1841 był również członkiem  
Towarzystwa naukowego krakowskiego.

Gdy w r. 1846 w gronie członków Towarzystwa  
lekarskiego zakiełkowała myśl założenia pisma le-  
karskiego, tygodniowego, Le Brun myśl tę po-  
parł znów najgorliwiej, a gdy w roku następnym  
*«Tygodnik Lekarski»* wychodzić zaczął, przystąpił  
do redakcyi jego i należał do niej w ciągu pierw-  
szych lat pięciu. W latach owych i późniejszych,  
gdy już tylko sam L. Natanson był redaktorem  
pisma, pióro Le Bruna pracowało wciąż dla niego,  
nie zaniedbując obok tego starszego *«Pamiętnika»*.  
W r. 1866, gdy grono profesorów b. Szkoły Głó-  
wnej założyło *«Gazetę Lekarską»*, widzimy znów Le  
Bruna w pierwszym rzędzie jej redaktorów i współ-  
pracowników, a gdy Girsztowt wkrótce potem po-  
wziął myśl wydawania *«Biblioteki umiejętności lekar-  
skich»* oraz *«Historji szpitali w Królestwie Polskiem»*,  
Le Brun i te nowe wydawnictwa powitał z zapalem,  
obietując dostarczyć do nich podręcznik chirurgii  
oraz opishistoryczny szpitala Dzieciątka Jezus. Zabrał  
się też rażno do pracy, ale śmierć przedwcze-  
sna nie dozwoliła mu obietnicy dotrzymać.

Jako pisarz był Le Brun nadzwyczaj płodny  
i wzbogacił literaturę naszą lekarską mnóstwem  
prac treści przeważnie chirurgicznej; nie można ich  
tu oczywiście wymienić wszystkich, nawet wy-  
szczególnienie ważniejszych za wieleby nam miej-  
sca zabrało; kto ciekaw poznać ich napisy, zna-  
leść je może w *«Słowniku lekarzów polskich»* St.  
Koźmińskiego, gdzie od str. 267 do 271 zajmują  
8 i pół łamu drobnego druku, tu więc poprzestać  
musimy na wzmiance ogólnikowej o nich.

Wszystko, co Le Brun napisał, odznacza się  
językiem wybornym, naśladowania godnym, oraz  
wielkiem umiłowaniem prawdy, gdyż, jak sam po-  
wiada: «kto się publicznie odzywa i wypadki



swego doświadczenia głosi, niech wszystko wyzna rzetelnie. Prawda stanowi główną wartość nauki praktycznej, ona ją wznosi i ustala» (*Pam. Tow. lek. warsz.*, r. 1863, T. I., str. 238). Wierny zasadzie tej, w pismach swych nie ukrywał nigdy niepowodzenia swego, zdarzającego mu się czasem pomimo biegłości i doświadczenia wielkiego, chciał bowiem, czyniąc tak, ochronić innych od popełnienia błędów podobnych.

Liczne sprawozdania szpitalne i kliniczne, napisane i ogłoszone przez Le Bruna, stanowią materiał niesłychanie cenny dla badacza dziejów i rozwoju chirurgii u nas, mieści się w nich bowiem treść bardzo bogata i wielce urozmaicona, nadto opracowana i zestawiona bardzo umiejętnie.

Ale dosyć już o uczonym i pisarzu, należy się teraz powiedzieć jeszcze coś o lekarzu wykonawcy i o człowieku.

Od chwili powrotu z zagranicy w r. 1828 Le Brun stał się odrazu w Warszawie lekarzem wziętym i cenionym; powodzenie towarzyszyło mu stale, a zasługiwał też na nie zupełnie, jako biegły wykonawca swej sztuki, oraz człowiek na wskroś zacny i dobry. «W chorym zawsze widział swego bliźniego i umiał litować się nad jego cierpieniem, co wcale nie przeszkadzało mu do zachowania zimnej krwi tam, gdzie tego było potrzeba» (*J. F. Nowakowski l. c. str. 83*). Posiadając przymioty takie, powodzenie mieć musiał, tymbardziej że i powierzchowność jego, oraz sposób obcowania z ludźmi, jednały mu wszystkich.

Le Brun odznaczał się postawą wspianą, obliczem poważnem i miłym, w pożyciu był łatwy, uprzejmie wesoły, dowcipny w rozmowie, zachowywać się umiał wykwinnie, nie zadając sobie przytym przymusu; ilekroć uznał to za potrzebne, potrafił również stawać się stanowczym i nieugiętym, ale w obejściu jego przeważała zwykle łagodność i słodycz. Do zalet jego, rzadko spotykanych w ludziach wybitniejszych, należała też skromność wielka. Nigdy nie mówił o swych zasługach, choć posiadał ich tak wiele, nie chlubił się nigdy ani czynami swymi, ani powodzeniem, a tym mniej jeszcze znajomościami lub stosunkami z ludźmi wpływowymi lub głośnymi, pomimo że mu na tego rodzaju stosunkach bynajmniej nie zbywało. Człowiekiem był prawym i zacnym aż do szpiku kości.

Jak już powiedziano wyżej, powodzenie słu-

żyło Le Brunowi stale i wiernie, przynajmniej na zewnątrz, gdyż w kółku rodzinnem nieszczęście smagało go nieraz okrutnie, a niejednokrotnie na szlachetnem obliczu jego ryło bruzdy ciężkiej boleści; ale i w tych chwilach tak trudnych do zniesienia, nie zwykł był zapominać o obowiązkach względem nauki i bliźnich cierpiących, umiał pocieszać i pokrzepiać innych, gdy samemu serce pękało. Takich ludzi nie wielu się znajdzie.

W r. 1829 ożenił się Le Brun z córką profesora Celińskiego i doczekał się z nią gronka dzieci dorodnych; odchowal i wychował je starannie, a gdy dorosły, gdy szczęśliwy ojciec spodziewać się mógł, że będą mu osłoda schyłku życia, śmierć mu je pozabierała w kwiecie wieku jedno po drugim. Naprzód w r. 1853 pochował syna Józefa, młodzieńca dorosłego, w 1856 umarła mu żona, w roku następnym córka zamężna, Cecylia Wernerowa, poszła za matką, ledwo rok upłynął, a znów grześć musiał syna drugiego, Konrada. Pozostała mu jeszcze druga córka zamężna, Marya Rogozińska, i tę mu śmierć nie-nasytna wydarła w r. 1860. Ten szereg zgonów osób tak bliskich sercu jego przygnębił go strasznie, podkopał mu zdrowie, przypruszył głowę siwizną; ale tak silnego ustroju, podtrzymywanego silnem poczuciem obowiązku, na razie powalić jeszcze nie zdołał. Le Brun przeboleawszy jako tako swe straty, czując się opuszczonym i tęskniąc za życiem rodzinnem, w roku 1865 poślubił Ludwikę z Rajmundów, ale niedługo z nią szczęścia zażywał; już w roku następnym, obdarzwszy go synkiem, osierociła go także. Odtąd życie Le Bruna było już złamane, a chociaż od czasu do czasu umiał się jeszcze podźwignąć i otrząsnąć chwilowo z przygnębiaenia i pracować wtedy z zapalem dawniejszym, to jednak znać było, że w sercu nosi wciąż ranę, która się już nigdy nie zablizni.

Umarł niespodziewanie i prawie nagle w dniu 3 czerwca r. 1868, zostawiając po sobie żal powszechny. Testamentem z dnia 28 września r. 1866 zapisał Towarzystwu lekarskiemu warszawskiemu rubli 500 «do rozporządzenia niemi podług uznanej potrzeby». Bibliotekę swą przekazał szpitalowi Dzieciątka Jezus, z wyjątkiem kilku dzieł rzadszych, które kazał oddać Towarzystwu lekarskiemu. «Moje narzędzia chirurgiczne» — to słowa testamentu — «przeznaczam dla

studentów Szkoły Głównej, którzy w roku śmierci mojej ukończą nauki lekarskie i stopień naukowy otrzymają. Upraszam kolegę dra Korzeniowskiego o zajęcie się rozdziałem tych narzędzi». Woli zmarłego stało się zadość.

Uzupełniając ten żywot pocziwy i użyteczny, dodać do niego należy jeszcze, iż od r.

1838 Le Brun był członkiem honorowym Urzędu lekarskiego, oraz że od r. 1840 do r. 1867 także stanowisko zajmował w b. Radzie lekarskiej, nadto, że w r. 1862 był powołany do komitetu mającego się zająć organizacją służby zdrowia w Królestwie Polskiem.

*Dr. med. Józef Peszke.*

# Henryk Rodakowski.

\* 1823 † 1894

W każdej dziedzinie pracy twórczej, a przedewszystkiem na polu sztuk plastycznych można natrafić na jednostki wyjątkowe, które pojawiają się w pewnych momentach, nieoczekiwane i niczem na pozór nie związane z epoką, która je wydała i przez żywiołowy, że się tak wyrażę, impuls, wywołany siłą ich talentów, w zakresie swej działalności przyczyniają się najbardziej do postępu.

Jedną z takich jednostek był Henryk Rodakowski. Nazwisko jego nazawsze pozostanie związane ze wspomnieniem pierwszego tryumfu malarstwa polskiego na wszechświatowej arenie. Otrzymując najwyższe odznaczenie jakie przyznają za wyjątkowe dzieła sztuki, pojawiające się w Salonie Paryskim, Rodakowski w hierarchii malarskiej wszedł odrazu na pierwszoplanowe stanowisko, dotarł do wyżyny niedostępnej przed nim żadnemu polskiemu artyście.

Nietylko więc znalazł się wielki polski malarz, lecz równocześnie świat artystyczny Europy za takiego go uznał darząc sławą i uznaniem. Malarstwo polskie dzięki Rodakowskiemu weszło do ogólnie - europejskiej sztuki, zyskując oficjalną

sankcyę, jakby chrzest otrzymany w najznakomitszym i najżywotniejszym ognisku cywilizacji.

Nie brak nam było wielkich talentów w epoce poprzedzającej pojawienie się Rodakowskiego; pokazany ich szereg z zaszczytem zapisał działalność

swoją na kartach młodocianej sztuki naszej. W pierwszym stadium rozwoju idei piękna na naszym gruncie, widzimy tej miary artystów, co: Konicz i Czechowicz, dalej znów pierwszy może rdzennie swojski talent, Michał Stachowicz. Równocześnie prawie pojawiają się Wojniakowski, Płoński i Orłowski, z których dwaj ostatni sławą swą przekraczają granice kraju. Mamy następnie znakomitego rysownika o klasycznym kierunku w Antonim Brodowskim, a doskonałego perspektywistę w Marcinie Zalewskim. Posiadamy wreszcie Piotra Michałowskiego niezwykle zjawisko talentu i wiedzy, artystę, który wpływ wywarł nawet na sztukę francuską. Nazwiska



*Henryk Rodakowski*

te znał kraj, znała zagranica, znali ci wszyscy, którzy bądź w sztuce pracowali, bądź jej mecenasami byli. Rodakowskiego pierwszego z polskich malarzy uznaje świat cały, zdobywa bowiem odrazu

sławę pierwszorzędnego malarza, dzięki wrażeniu, jakie zdołało wywrzeć dzieło przez niego w Salonie wystawione.

Było to w 1852 r. Data ta pozostanie epokową w dziejach malarstwa polskiego, jako początek okresu, w którym na silniejszym, bo narodowym stając gruncie, zaczęło się rozwijać i wzmacniać coraz to nowymi talentami. Okres, który rozpoczął Rodakowski, szczyti się w niedługim po tem czasie: Kossakiem, Matejką, Grotgerem, Maksem i Aleksandrem Gierymskimi, Brandtem, Chełmońskim, Pruszkowskim, Malczewskim i tyłu innymi.

Henryk Rodakowski urodzony we Lwowie na początku 1823 r., pochodził z ogólnie szanowanej szlacheckiej rodziny osiadłej w Galicyi. Początkowe nauki pobierał w rodzinnem swem mieście, w latach jednak młodzieńczych wysłał go ojciec do Wiednia, gdzie ukończywszy gimnazjum, wstąpił na wydział prawny tamtejszego uniwersytetu. Ojciec pragnął widzieć w nim przyszłego adwokata; pragnienia te jednak nie ziściły się, gdyż nie ukończywszy nawet kursów prawnych, młody Rodakowski, otrzymawszy wprzód pozwolenie rodzica, wyjechał w r. 1846 do Paryża. Chęć zostania malarzem była mu bodźcem do gorączkowej pracy, ogólne wyższe wykształcenie pracę mu tę znacznie uprościło. Przybywszy do Paryża zapisał się do szkoły słynnego naówczas Leona Cogniet'a i pod jego kierunkiem zabrał się do malowania studyów z natury. W jak szybkim tempie szła nauka i jakie musiał czynić postępy, dowodzi fakt, że już w 1849 r., t. j. we trzy za ledwie lata po przybyciu do Paryża, nadsyła «stęsknionej za nim rodzinie» do Lwowa własny swój portret. «Wszyscy, pisze Gwałbert Pawlikowski\*), tak artyści, jak i ci, którzy podobne zagranicą widywali dzieła, z poszanowaniem o tym mówili obrazie». Portret ten znajdujący się obecnie w czytelni Biblioteki Ossolińskich we Lwowie, choć znać, że początkowy artysta go tworzył, nosi cechy sumiennych studyów. Studyom tym oddawał się Rodakowski w pracowni Cogniet'a przez lat pięć, t. j. do połowy 1850 r. W tym czasie opuszcza chwilowo Paryż, aby zawitać do

\*) „Pracownia p. Henryka Rodakowskiego, malarza we Lwowie”, art. zamieszczony w „Pamiętniku Sztuk Pięknych” Podczaszyńskiego, str. 160.

rodzinnego gniazda, uściskać ukochanego ojca, namalować jego portret i przez kilka miesięcy rodzinnem odetchnąć powietrzem.

Ciekawym jako materiał historyczny epoki i artysty, jest wzmiankowany wyżej artykuł Gwałberta Pawlikowskiego, pisany w styczniu 1851 r., przytoczymy z niego wyjątek: »Piered kilku tygodniami rozeszła się po Lwowie wiadomość, że Rodakowski wrócił z Paryża, a jak zwykle w małym mieście, wszyscy się z początku tą wiadomością zabawiali, tak też i wkrótce nikt o tem nie wspomniał, zwłaszcza, że wyjechał był na wieś. Teraz, gdy się z kim zejdziesz, nie usłyszysz innego pytania tylko to: czy widziałeś roboty Rodakowskiego? i tem to jednym, ciągle powtarzanem pytaniem, wyszedłszy po długiej słabości pierwszy raz z domu, byłem witany. Wielkie to nieszczęście, pomyślałem i prawdę powiedział w swej akademickiej mowie nasz Stattler, że u nas pochwałami młodych psują artystów. Mieliśmy niestety kilka tej prawdy dowodów. Otóż to nowe pochwlebstwo a pochwlebstwo szanowanej u nas i zamożnej niesione rodzinie. Pomimo takiego uprzedzenia, nie mogłem sobie odmówić odwiedzienia pracowni p. Rodakowskiego. Wchodzę; powitał mię młody, nieznany mężczyzna, pełen naturalnej grzeczności, bez żadnego z tych powierzchownych odznaczeń niby to artystowskich, w które się zwykle wracający do kraju ustrajają artyści. Po pierwszych przemowach, prosił, bym usiadł naprzeciw kończącego się portretu znanego mi dobrze ojca artysty. Uderzony zostałem nadzwyczajnem podobieństwem; długo nie mogłem uporządkować myśli moich. Portret—przedstawia osobę siedzącą, którą prawie po kostki widać. Osoba ku widzowi zupełnie obrócona siedzi, trzymając rękę w ręce na kolanie wsparte, nieco naprzód pochylona, a każda część jej ciała, stosownie do oddalenia oka wpatrującego się, tak mocno z ciemnego tła wychodzi, tak łudząco i zwodniczo, iż gdyby obraz był bez ram, o ścianę tej samej barwy jak jego tło oparty, każdy by mniemał żywą widzieć osobę. Co do podobieństwa, nietylko rysy twarzy są najdokładniej oddane, ale cały charakter duszy, wyrażający się w twarzy i charakter ruchu ciała zupełnie uchwycony, co tem więcej ujmuje, że koloryt bez wszelkiej pretensyi jest najnaturalniejszy, a cała natura osoby przedstawionej nie naśladowana, ale oddana ze swoimi pięknoś-

ciami i wadami, zupełnie jak jest w istocie bez najmniejszej przesady, bez żadnego wymysłu. Czuł artysta swą siłę i nie szukał w potocznych ozdobach okras, pojął godność i moc swej sztuki. Wszystko tu tchnie prostotą ale wszystko pełne prawdy, pełne życia. Krzesło z gładką drewnianą poręczą i osoba w czarnej sukni, oto już wszystko, ale to tyle mówiące, tyle do namysłu nastroją przedmiotów, że długo się nie pojmiesz, a pamięć tego coś widział zapewne przez lata zajmować cię będzie. Ależ bo też to nie jest portret, lecz to raczej obraz życia, a gdy już nie będzie tych, których osoba przedstawiona bliżej obchodzi, będą się obcy za tym obrazem ubiegać i pewnie go więcej jak teraz, we względzie sztuki oceniać».

Przytoczyłem umyślnie nieco dłuższy urywek z artykułu Pawlikowskiego, gdyż on doskonale charakteryzuje rodzaj talentu Rodakowskiego i wrażenie, jakie prace jego wywierają. Cechy oryginalnego jego temperamentu, występujące z taką siłą i precyzją w dziełach uznanego mistrza, widoczne już były w utworach, rozpoczynającego zaledwie swą karierę młodego malarza. Słusznie, patrząc na ten portret ojca, rzuca Pawlikowski wykrzyknik: »i my mamy artystów i sztuki«. Tak, mieliśmy już wtedy niepospolitego malarza i wytkniętą dla przyszłego rozwoju drogę sztuki.

Wspomina również Pawlikowski o dwóch szkicach kompozycyjnych Rodakowskiego: »Bitwa Franków z Rzymianami« i »Rewolucja w Paryżu« natchniona widocznie niedawno przed tym zaszłymi wypadkami 1848 r. Oba te jednak pomysły pozostały w pierwotnej swej formie szkiców.

Powróciwszy do Paryża w r. 1851, przystępuje Rodakowski do olbrzymiego portretu generała Dembińskiego w całej postaci. Dzieło to wykonane w początkach 1852 r., posłane przez jego twórcę na Salon, zawieszane w miejscu honorowem, od dnia otwarcia wystawy gromadzi przed sobą tłumy publiczności. Dość wziąć do ręki krytyki paryskich sprawozdawców, aby przedstawić sobie w umyśle wrażenie jakie musiał wywrzeć utwór polskiego artysty. Sława Rodakowskiego powstała z dnia na dzień: nazajutrz po otwarciu Salonu, powtarzano nazwisko jego jako fenomenalne zjawisko, potrafił on zaimponować społeczeństwu, przesiąkniętemu poczuciem piękna, pełnemu tradycji wielkiej i czystej sztuki.

Utwór, który odrazu zwrócił na siebie oczy świata artystycznego, dziwnym trafem, jak na tamte czasy, nie był kompozycją o historycznym lub literackim wątku—był tylko dziełem sztuki, a przemawiając wyłącznie zaletami malarskimi zaczął swe otoczenie.

Wybrana do portretu postać generała, był to piękny typ starca o marsowym wyrazie twarzy, o brwiach krzaczastych, spadających nie ledwie na oczy. Młody mistrz z nadzwyczajnym talentem potrafił wydobyć na portrecie duszę, którą widz mógł odczuć wpatrując się w zadumane, skierowane przed siebie spojrzenie. W portrecie tym odrazu zarysowała się silna indywidualność Rodakowskiego w umiejętnym, pełnym prawdy układzie, w harmonijnym kolorze i w owej stronie psychologicznej, w której uwydatnieniu nie wielu dotychczas jeszcze mieć może rywali.

Kto zna stosunki artystyczne Paryża, kto zna drażliwość patryotyczną francuzów, szowinistycznie zawsze zapatrujących się na własną produkcję, a lekceważącą zagranicę—ten tylko może odczuć znaczenie niebywałego w kronikach dorocznych Salonów tryumfu cudzoziemca. Cały skład sędziów jednogłośnie przyznaje uczniowi Cogniet'a medal pierwszej klasy, w instytucyi, gdzie zaszczytna wzmianka jest już wielkim dowodem uznania dla zagranicznych wystawców, i to bardzo rzadko rozdawaną.

Niezwykłe powodzenie pierwszego występu, zmusza poniekąd naszego artystę do pozostania na czas dłuższy w Paryżu. Urządza w nim wspólną pracownię, przez którą cały modny świat ówczesnej stolicy świata, zaczawszy od monarchy, przechodzi kolejno. W 1853 r. już jako *hors concours* dorocznych Salonów wystawia »portret matki«, w r. 1855 »portret p. Villot«, bardzo chwalony przez krytykę, w 1857 roku portrety ks. Adama Czartoryskiego i Adama Mickiewicza, w r. 1859, zdaniem krytyki, jeden z najlepszych swych utworów »portret Rogera Racyńskiego«, w r. 1863 portret pani S., w 1865 r. pułkownika R., w rok potem znane swe studjum kostiumowe p. t. »Kaznodzieja«, w 1872 r. portret panny B., wreszcie w 1875 portret brata swego generała Rodakowskiego i hr. J. D. W ciągu tego czasu zgromadził kilka swych prac na »wystawie powszechnej 1855 r.« gdzie mu przyznano medal III klasy, i wymalował kilka historycznych obra-



zów, jak: »Chłopi galicyjscy w kościele« (1857 r.), »Hr. Wilczek prosi Sobieskiego o pomoc dla Wiednia« (1861 r.), »Bitwa pod Chocimem« (1865 r.) i »Wojna kokosza« (1872 r.) które jednak lubo wystawiane publicznie, wrażenia głębszego nie robiły. Wymalowawszy portrety marszałków: Pellissier'a i Mac-Mahon'a dla galerii marszałków na zlecenie Cesarskiego rządu w 1861 r. otrzymał kawalerski krzyż legii honorowej.

Opuściwszy w 1874 r. Paryż, wraz z rodziną przeniósł się Rodakowski do Lwowa. Kilkoletni pobyt w tem mieście, zapelnia on malowaniem portretów galicyjskich magnatów i szkicowaniem bądź większych kompozycji dekoracyjnych, jak »Dobrodziejstwa kultury«, bądź typów ludowych, które akwarelą z życiem i maestryą z natury malował. Wezwany obstalunkami do Wiednia przenosi się z kolei do stolicy Austrii i tu znowu zakłada pracownię portretową. W roku 1893, u schyłku swej kariery powraca do kraju i osiada tym razem w Krakowie. Ostatnią jego pracą malowaną w r. 1890 jest doskonały portret córki zameżnej, znany z wystawy Retrospektywnej w Warszawie z 1898 r. W 1870 r. odbył dłuższą podróż do Włoch, studiując pilnie mistrzów odrodzenia, których przywykł wielbić od dawna.

Osiadłszy w Krakowie wypuścił prawie zupełnie pendzel z ręki, sztuką jednak do końca życia nie przestawał się zajmować. Wybrany po ks. Marcelim Czartoryjskim na prezesa Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, sprawiał wzorowo swój urząd, zaprowadzając ład i porządek i tchnieniem sztuki odświeżając tradycje instytucji.

Europejskiej sławy artysta, niezwykle był kochanym i szanowanym przez ogół malarzy. W grudniu 1893 r. deputacja wybrana z ich łona wręczyła sędziwemu jubilatowi w 40 rocznicę jego pierwszego odznaczenia w Paryżu, adres, kończący się temi słowy: »Jak niegdyś nawiązałeś stosunki pomiędzy naszą sztuką a Europą, tak siateś potem pośród nas posiew zachodniej kultury. Wyrozumiały dla młodych, świadom nowych pragnień, czujący stale tętno świeżych dążeń nietylko artystyczną indywidualnością ale i wpływem zajęteś zuamienite miejsce w dziejach polskiej sztuki«.

Zmarł w grudniu 1894 r. po krótkiej, bo 4 dni zaledwie trwającej chorobie. Miał zostać

✧ w niedługim czasie dyrektorem Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych, nominacja podobno była już podpisana. Żywo zajmował się przyszłymi swymi obowiązkami, zmarł jednak przed otrzymaniem stanowiska, na którym po Matejce, nikt godniejszemu nie był. W artykułach, które drukował w Tygodniku Illustrowanym o istocie sztuki, w pobieżnej i przystępnej formie, pozostawił ślady dużego naukowego wykształcenia i wielkiej miłości dla idei piękna, której wiernie tyle lat służył.

Nie mogę właściwiej zakończyć biograficznego szkicu Rodakowskiego, jak cytując urywek z pracy dra Stanisława Tomkowicza \*).

„Była to natura dziwnie prosta i subtelna zarazem, interesująca i ujmująca. Postać zewnętrzna szlachetna i pociągająca. Wzrostu był niskiego lecz budowy proporcjonalnej. Ubierał się starannie. W pokoju lubił mieć na głowie czapkę aksamitną, przyzwyczajenie pracowniane, za które zawsze przepraszał interlokutora. Włosy nosił krótkie, brodę szerokim półkołem przystryżoną i utrzymywaną troskliwie, wąs gęsty i obfity przysłaniał trochę długą wargę górną. Rysy miał regularne, prawie piękne, choć niezbyt delikatne, czoło wysokie środkiem ściągnięte w parę wyniosłości i koło nich kilkalekkich zmarszczek pionowych, śladów wymownych, że dużo skupiał myśli. Wyraz przez to marsowaty, dalekim był jednak od surowości. Owszem, obok powagi była to pewna dobroduszość. Główny urok leżał w oczach małych, ruchliwych i bystrych nadzwyczajnie. Spoglądały one uważnie i mądrze, czasem przenikliwie, a tak przychylnie i łagodnie przytem: istne oczy czujnego spostrzegacza, oczy, którym nic nie uszło, ale przez które patrzyła dusza pełna pobłażliwości i miłości bliźniego. Odpowiadały one doskonale usposobieniu wywnętrznemu. Wrażliwy i czuły na wszystko Rodakowski, nigdy się nie żalił, nigdy o nikim źle nie mówił. Nie było w nim ani dźbła goryczy, bo nigdy nie myślał o sobie, nie miał żadnych pretensyi. Życzliwość rad okazywał każdemu, nawet tym, którzy mu przykrość zrobili. Wszystko widział i wszystko pamiętał ale o doznanych urazach nie myślał, umiał nie tylko przysługę wyświadczyć,

\*) »Henryk Rodakowski« wspomnienie pośmierne. Kraków, 1895 r.



ale co trudniej nawet uprzejmym, delikatnym i naturalnym być wobec tego, kto sobie z nim niezbyt ładnie postąpił. Słowem natura szlachetna nawskroś, a doskonale zrównoważona, wyrobiona długą pracą duchową nad sobą samym”.

Tyle o człowieku. Jako artysta, pozostanie on w historii sztuki na stanowisku, które wstępnym bojem zdobywszy, przez całe życie zachował. Prace, które w puściznie po sobie zostawił,

są tego rodzaju, że ani chwilowe zmieniające się prądy, ani gusta i mody kolejno rządzące, nie są w stanie zaćmić ich rzeczywistej wartości. Pozostanie on zawsze niedoścignionym malarzem psychologiem, oddziaływającym środkami czysto malarskimi, szukającym swych celów w odzwierciadleniu prawdy duchowej i zewnętrznej, przedstawionych przez siebie postaci.

*Henryk Piątkowski.*

## Józef Dietl.

\* 1804 † 1878.

**S**pokojny i poważny, w swojej profesorskiej todze, podobny tak, że w niczem od żywego nie inny, i ma ten wzrok przenikliwy, ten genialny błysk w oczach, który pamięta każdy, kto widział Dietla przy chorych, i wie, jak z Dietlem razem wstępowała do pokoju chorych nadzieja. W ustach jego rys stanowczości, silnej woli; w całej postaci dzielność, moc i świadomość tej mocy; a z po za tego wszystkiego dopiero przebija, ukrywana może czasem umyślnie, pewną szorstkością zamaskowana, dobroć Dietla wielka, uczynna, litościwa...”

Ta strona zewnętrzna, tak dosadnie skreślona przez profesora Stanisława Tarnowskiego w charakterystyce matejkowskiego portretu Dietla, znakomicie harmonizowała z niepospolitemi zaletami duchowej organizacyi tej dzielnej osobistości, która każdy niemal swój krok znaczyła doniosłymi pamiątkami. Umysł bystry, bogaty w rzuty śmiałe i rozległe, a przytem nawskroś praktyczny, połączony z nieugiętą wolą, wytrwałością w pracy i olbrzymią zdolnością organizacyjną, obok wielce ujmującej powierzchowności i światowej ogłady — to wyjątkowe skojarzenie zalet, które samą siłą swego istnienia zapewnia wybranemu wybitne stanowisko, a przy szczęśliwym zbiegu wydarzeń — panowanie i nieśmiertelność.

Józef Dietl pochodził z rodziny, osiadłej w Galicyi podobno jeszcze w XV stuleciu, jak

o tem świadczą metryki i księgi hipoteczne miasta Łańcuta, jakkolwiek znów podług słownika biograficznego Wurzbacha, dziad naszego Dietla w XVIII stuleciu miał się przenieść z Węgier do Galicyi. Urodzony w r. 1804 w wiosce karpackiej, Podbużu, w dawnym obwodzie samborskim z ojca Franciszka, oficjalisty dóbr rządowych, kameralnemi zwanymi, i matki Anny z Kulczyckich, wychowywał się i chodził do szkół kolejno w Samborze, Tarnowie i Nowym Sączu. Żywy chłopiec trudno zrazu nagiął się do mozolnej rutyny szkolnej, to też początkowo ponad książkę i obowiązki karnego ucznia, przekładał dziecinną swawolę i zabawy. Ale już w piątej klasie, dzięki wielkim zdolnościom i pilności, zostaje drugim uczniem, a z szóstej wychodzi z pierwszą nagrodą. Być może, że śmierć ojca, jeszcze w r. 1819, wpłynęła na duchowe skupienie się i spoważnienie młodego Józefa, tembardziej, że jednocześnie i skromny zasilek z domu znacznie zmalał, tak że kończyć szkoły wypadło mu już o swoich siłach, jedynie lekcjami zarabiając na utrzymanie i naukę.

W bardzo trudnych warunkach materialnych, lecz pełen zapału, pojechał Dietl do Lwowa na trzyletni kurs tak zwanych nauk filozoficznych, które według ówczesnego systemu szkolnego były obowiązkowym kursem przygotowawczym dla każdego, kto chciał wstąpić na jakikol-

wiek wydział w uniwersytecie. Już w drugim roku pobytu na tych kursach, Dietl dla chleba wyjednał sobie pozwolenie na wykłady matematyki, które w jednej z sal kolegium filozoficznego gromadziły tylu słuchaczy, że młody nauczyciel mógł w końcu nie tylko zaspokoić swoje potrzeby, ale nawet zebrać pewne oszczędności na dalsze studia.

Upodobawszy sobie zawód lekarski, w r. 1823 przyjechał Dietl z chlubnymi świadectwami na naukę medycyny do Wiednia, gdzie, pomimo wielkiej ogłędności w wydatkach, szybko wyczerpał swoje skromne zapasy, tak że w pierwszym roku znalazł się pewnego dnia z 8 centami w kieszeni i tylko przypadkowemu wyszukaniu lekcyi prywatnej zawdzięczał, że mógł ukończyć pierwszy kurs nauki. Od nędzy i straty czasu w pogoni za chlebem ratowało go w następnych latach 400 złr. rocznej zapomogi od ówczesnych stanów galicyjskich. Jak Dietl prowadził studia w Wiedniu, jakim przedmiotom wydziału lekarskiego najwięcej czasu i pracy poświęcał — biografowie jego nie wspominają.

Po skończeniu medycyny w r. 1829 Dietl otrzymał posadę asystenta przy katedrze mineralogii i zoologii i na tem stanowisku pracował przez lat cztery, bardzo często zastępując nawet na wykładach zgrzybiałego profesora Scherera. Gdy w r. 1833 zarząd akademii w Padwie, ogłosił konkurs na posadę profesora mineralogii i zoologii, Dietl stanął do konkursu, przedstawiając napisaną przez siebie po włosku rozprawę. Jednak wbrew jednomyślnej uchwale profesorów, uznającej rozprawę Dietla za najlepszą, katedrę otrzymał kto inny — włos, popierany wpływami ubocznymi.

Było to chyba dla Dietla szczęściem w nie-szczęściu, bo może właśnie dzięki temu niepowodzeniu na drodze nauk przyrodniczych, mających bardzo luźny tylko związek z medycyną, kandydat na profesora mineralogii i zoologii stał się lekarzem - praktykiem. W tym samym bowiem roku został fizykiem, t. j. lekarzem obwodowym i policyjnym na przedmieściu Wiednia, zwanem «Wieden», a gdy za jego staraniem założono na tem przedmieściu szpital, Dietlowi niezależnie od fizykatu powierzono najpierw kierownictwo jednego oddziału, a od roku 1848 zarząd całego szpitala, który miał być

pierwszym w Wiedniu pod względem ówczesnych wymagań techniczno-lekarskich.

Na stanowisku prymariusza, a później dyrektora szpitala Dietl, zetknąwszy się bliżej z wykonawstwem lekarskiem, a zwłaszcza szpitalnem, żywy przyjmuje udział w rozbudowanym przez francuzów przewrocie zasadniczych pojęć lekarskich, które w nowej postaci przenikały wtedy uczony świat niemiecki.

Były to czasy szybkiego rozwoju anatomii patologicznej, która, stwierdzając na zwłokach różne zmiany w pojedynczych narządach i wykazując często wzajemną zmian tych zależność, porzuciła dogorywający witalizm i podkopała surowy empiryzm medycyny klinicznej. Chwiejne zestawienie aforyzmów i pojęć fantastycznych lub gołosłownych o istocie chorób, ich przyczynach i skutkach, nie mogło iść w zawody ze ściśle przyrodniczą metodą badania i jej wnioskami. Cios, zadany dawnym teoryom patologicznym, zachwiał od podstaw sposoby postępowania lekarskiego, na tych właśnie teoriach zbudowane. Nowe prądy szybko osłabiały wiarę w dawne leczenie; tem łatwiej ulegać im musiał Dietl, były nauczyciel matematyki, były profesor nauk przyrodniczych, a nadewszystko umysł praktyczny, nie znoszący mrzonek.

Ginał tedy na wieczne czasy «wadliwy stosunek sił żywotnych», w zapomnienie schodziło owo «uderzanie humorów, czyli zachwianie równowagi pomiędzy stałymi a płynnymi częściami ustroju — nieuchwytnie wówczas pojęcia, w których szukano przyczyn chorób, a które dziś w bardzo szerokim rozumieniu możnaby uważać w wielu razach raczej za oddalone następstwo zmian chorobowych. Anatomia patologiczna, dając możność porównywania wyników badania pośmiertnego z objawami spostrzeganymi za życia, wyświetlając mechanizm wielu chorób, wprowadzała do każdego wypadku ściśle naukową krytykę dawnych pojęć i dawnego postępowania lekarskiego, wreszcie obalała jedno i drugie, ale do leczenia narazie nie wprowadziła nic; przeciwnie raczej, wykazując jego bezsilność, wywołała rozczarowanie, zwątpienie. Właśnie w Wiedniu, w oczach Dietla, panował okres terapeutycznego nihilizmu: chorych nie leczono, a pomimo to stwierdzano ich wyzdrowienie. Czy chory był leczony podług dawnych za-

sad, czy podług zaleceń modnej wówczas homeopaty, czy też zupełnie nie był leczony — w bardzo wielu wypadkach skutek bywał ten sam, a zupełna powściągliwość od interwencji lekarskiej nie odbijała się napozór większą pośród nich śmiertelnością, może nawet odwrotnie. Wbrew naturalnym obowiązkom lekarza, nihilizm często zmuszał go z założonemi rękami wyczekiwać końca choroby.

Nic dziwnego, że Dietl w leczeniu skłaniał się ku homeopaty, a tylko płytkość podstaw tej nauki nie dogadzała sprężystemu i praktycznemu duchowi Dietla, który wreszcie, przejęty krańcowem zwątpieniem, nie wahał się w zapale wygłosić absurdu, że «zadaniem lekarza jest wiedzieć, ale nie działać».

Ale w tym samym Wiedniu, gdzie anatomia patologiczna dokonała takiego przewrotu w lecznictwie, iż często wydawało się ono zbyt zbytecznem już poprostu dla dobra ludzkości, zajaśniała jednocześnie nowa nauka, właśnie z tej anatomo-patologicznej krytyki zrodzona, a zmierzająca do nadania racjonalnych, naukowych podstaw temu spoliczkowanemu przez nią lecznictwu. Gdy pod przewodnictwem Rokitańskiego odbywały się w prosektoryum szpitala głównego słynne poszukiwania anatomo-patologiczne, jednocześnie Skoda prowadził w cichości wiekopomne prace nad udoskonaleniem opukiwania i osłuchiwania (perkusi i auskultacyi). Dzięki postępom tej tak zwanej diagnostyki fizykalnej, jama brzucha i klatki piersiowej, stać się miała niemal przezroczystą, czytelną. W niedostępnej dla oka jamie poczęto coraz śmielej i pewniej odróżniać słuchem rzecz dużą od małej, twardą od miękiej, stałą od płynnej, gęstą od wodnistej, przestrzeń pustą od zapelnionej, zmianę w położeniu narządów.

Korzystając wówczas ze stanowiska szpitalno-lekarskiego w Wiedniu, Józef Dietl, pomimo nihilizmu w leczeniu, stał się jednym z najgorętszych obrońców i naśladowców tej do pewnego stopnia nowej, a tak doniosłej potem, diagnostyki fizykalnej. Z tego okresu pochodzą pierwsze jego prace, ogłoszone po niemiecku, które już noszą piętno tego doświadczonego kierunku. W r. 1846 Dietl wydaje w Wiedniu rzecz o chorobach mózgu ze stanowiska anatomicznego i klinicznego — *Anatomische Klinik der Gehirn-*

*krankheiten* — opartą na porównaniu zmian za życia i pośmiertnych w całym szeregu przypadków, stwierdzających na gruncie wiedeńskim te wnioski, które z odpowiednich badań już poprzednio wysnuli autorowie francuzcy. Wydana we dwa lata później druga rozprawa lekarska «O puszczeniu krwi w zapaleniu płuc» (*«Der Aderlass in der Lungenentzündung klinisch und physiologisch erörtert»*) wielkiego już nabrała rozgłosu, poruszyła umysły całego świata lekarskiego, zwracając powszechną uwagę na autora. W tej głośniejszej rozprawie Dietl na podstawie teorii i praktyki wystąpił jako gorący przeciwnik upustów krwi w przypadkach zapalenia płuc i wogóle przeciw szablonowemu stosowaniu tego odwiecznego zabiegu. Oettinger we wspomnieniu pośmiertnem o Dietlu (*«Przegląd lekarski»*, r. 1878, str. 43), przyznając doniosłość i skuteczność poruszanej sprawy, wyraża się nie bez pewnego zastrzeżenia: «Zapewne, że surowa i ścisła krytyka umiejętna nie mogłaby wszystkim przytoczonym dowodom i wywodom, mającym usprawiedliwić tę rzuconą na lancet i puszczać kłutwę, przyznać pewności niewątpliwej; ale i z drugiej strony nie można temu śmiało wystąpieniu odmówić tej wielkiej a płodnej w zbawienne skutki zasługi, iż powstrzymało rzeczywiście nie tylko niepotrzebny, ale często kroc nader szkodliwy krwi rozlew».

Zmysł praktyczny i poczucie obowiązku względem chorego nie pozwalały Dietlowi długo pozostawać w ciemnościach terapeutycznego nihilizmu, które widocznie od czasu do czasu przerywały jaśniejsze promienie wiary w wartość środków leczniczych. Życie i instynkt chorych, dla których przecie medycyna istnieje, nie mogło pogodzić Dietla z negacją wobec ścisłej nauki i potrzeby, z beczynnością wobec cierpienia chorego. I jakkolwiek raz już skryształizował swoje credo, że lekarza zadaniem wiedzieć, a nie działać, to jednak, ochłoniwszy z wielkich wymagań, czy też z wielkiego sceptycyzmu, doszedł do przekonania, że czem więcej ów lekarz wie, tem więcej zdziałać może. Rozwiniął tedy ścisłość w badaniu doświadczalnem, klinicznem, godził postępy wiadomości teoretycznych z umiejętnem ćwiczeniem zmysłów w przystosowywaniu ich do rozpoznawania stanów chorobowych, uwzględniał mądre «primum non nocere» — to też «ścisłe badanie, proste leczenie» stało się dla



Według fotografii portretu z natury.

*Mez*

Dietla hasłem, godłem, zasadą postępowania lekarskiego.

Nie można zaprzeczyć, że oprócz cennych zalet duszy nie odstępowała Dietla i unosząca się ponad nim szczęśliwa gwiazda, szczęśliwa i dla ziemi naszej.

W listopadzie 1849 r. profesor kliniki lekarskiej uniwersytetu Jagiellońskiego, Józef Maciej Brodowicz, pochłonięty i zmęczony pracami społecznymi i organizatorskimi, podał się o uwolnienie od obowiązków profesora. Wydział lekarski postanowił wybrać na jego miejsce kierownika, któryby stał na wysokości nauki społecznej i przeszczepił ją z Francji, przodującej wówczas nowym prądom. Przedstawiono więc do ministerstwa kandydaturę d-ra Adama Raciborskiego z Paryża, który wydawał się wydziałowi najodpowiedniejszym na to ważne stanowisko, jako doświadczony klinicysta, dobry organizator i znany autor kilkudziesięciu prac naukowych (kilka z nich nawet nagrodzono, dwie zaś najważniejsze były to właśnie podręczniki diagnostyki fizycznej, które doczekały się przekładu na cztery języki). Ale ważna okoliczność stanęła na zawadzie: Raciborski był emigrantem z r. 1831, więc ówczesny rząd nie przychylił się do przedstawienia wydziału, które gorąco popierał jeszcze senat akademicki; natomiast polecono ogłosić konkurs na posadę profesora kliniki lekarskiej. Pośród czterech kandydatów do konkursu znalazł się i dyrektor szpitala na Wiednie w Wiedniu, Józef Dietl, z którym ówczesny rektor uniwersytetu Jagiellońskiego, Józef Majer, osobiście przedtem przeprowadził rokowania. Wówczas wydział lekarski w Krakowie, po zbadaniu kwalifikacji kandydatów, jednomyślnie przedstawił Dietla «w uznaniu znakomych jego literackich zalet». Ówczesne ministerstwo Bacha chętnie przystało na mianowanie Dietla profesorem w Krakowie, uważając go za Niemca i mając nadzieję znaleźć w nim poparcie swego dążenia ku zniemczeniu uniwersytetu krakowskiego.

12 maja 1851 r. profesor Józef Dietl objął katedrę patologii i terapii szczegółowej i klinikę lekarską krakowską wraz z wykładem anatomii patologicznej, powierzonym przez ministerstwo oświaty do równoległego z kliniką prowadzenia w ciągu pierwszego roku profesury. W małym parterowym domku,

tuż obok zakładu klinicznego, właściwie w trupiarni klinicznej, Dietl rozpoczął wykłady anatomii i, chociaż połączenie tych dopełniających się wzajemnie katedr było dla niego uciążliwe, duży ztąd płynął w początkach nowej ery pożytek dla młodych medyków, nie obeznanych z nowym kierunkiem nauki i sposobem równoległego jej nauczania.

Poprzedzony sławą naukową, nowy profesor bardzo szybko zjednał sobie umysły i serca młodzieży, która niecierpliwie wyglądała spodziewanego kierownika na drodze nowych sposobów badania, a później podziwiała jego biegłość i pewność, porywającą jasność i prostotę wykładu, czując, ile z tego źródła płynie pod każdym względem korzyści.

Każda sprawa, którą Dietl się zajął, nosiła piętno wybitnego indywidualizmu jego potężnego ducha; to też klinika krakowska, odkąd został jej kierownikiem, niemal odrazu stała się kliniką Dietla w całym znaczeniu tego pojęcia.

Znaczenie Dietla jako profesora można najlepiej poznać z licznych szczegółów, podanych przez d-ra L. Korczyńskiego w «Zarysie dziejów kliniki lekarskiej uniwersytetu Jagiellońskiego» (Kraków, 1899), z kąd też przytaczam niektóre dane.

Przedewszystkiem należy sobie uprzytomnić, że Dietl nie przystępował do gotowego, do kliniki odpowiednio zbudowanej i urządzonej, posiadającej w stosownej ilości chorych odpowiedni materiał naukowy, zaopatrzonej w przyrządy do wykładu potrzebne. Braki były olbrzymie. Wszystko nieledwie Dietl musiał stwarzać, wywalczać lub co najmniej wypraszać i nieraz długo wypa-dło mu czekać na skutek najsluszniejszego wymagania. Licho urządzony (nawet na owe czasy) oddział szpitalny o 18 łóżkach z chorobami wszelakiej kategorii, prócz wypadków chirurgicznych — bo tylko te dwie «specjalności» wówczas rozróżniano — to i wszystko.

Istotne zmiany — czytamy w przytoczonym «Zarysie dziejów» — w klinice i w nauce odnoszą się przedewszystkiem do wprowadzonego przez Dietla fizycznego sposobu badania chorych, z należytem uwzględnianiem i zastosowaniem opukiwania i osłuchiwania. Podczas gdy we Francji i w Niemczech sposoby tego badania stawały już na wysokości metody, gdy dziełko Skody



rozchodziło się na wszystkie strony w bardzo pokażnej ilości egzemplarzy, w starej klinice krakowskiej w starym badano sposób. Jakkolwiek przyrządy do perkusji i auskultacji można było jako curiosum oglądać przez szybę w szafie gabinetu klinicznego, jednak dopiero Dietl przywiózł z sobą do Krakowa pukadło i słuchawkę, jako nieodstępne przyrządy lekarza chorób wewnętrznych; on dopiero nauczył używać ich naprawdę i z ich pomocą odkrywać to, co się kryło wewnątrz ludzkiego ustroju.

Słuchaczy, zaledwie rozpoczynających zajęcia w klinice, wprawdzie należało zapoznać z badaniem chorych, a dopiero później można było nauczać o typach chorobowych. W tym przedstawieniu już w drugim roku działalności profesorskiej Dietl ogłosił osobne wykłady o opukiwaniu i osłuchiwaniu. Ale na 18 łóżkach kliniki mało znajdować się mogło odpowiednich chorych, taki materiał kliniczny nie zaspakajał potrzeb czterdziestu z górą słuchaczy; wobec tego Dietl za pośrednictwem wydziału lekarskiego zwrócił się do zarządu szpitala Ś-go Łazarza o pozwolenie studentom na badanie chorych, znajdujących się i na innych salach tego szpitala. Nie wnikając należycie w doniosłą dla kształcącego się pokolenia lekarskiego myśl przewodnią tego zamiaru, życzeniu temu narazie odmówiono. Dopiero we dwa lata później powiększono klinikę Dietla o 6 łóżek i odtąd już stale ćwiczyli się młodzi adepci medycyny w tej najważniejszej metodzie badania i rozpoznawania, aby z całą świadomością stanąć w szeregu przedstawicieli nowej szkoły, o której z wielkim niedowierzaniem wyrażał się poprzednik Dietla, Brodowicz. Nie miał on istotnie wielkiego zaufania do perkusji i auskultacji, a nawet mawiał o nich z przekąsem, również jak i o całym budzącym się kierunku medycyny praktycznej. «Te narzędzia — pisał Brodowicz w «Przeglądzie Ogólnym» o pukadło i słuchawce — stanowią główne godło t. zw. nowej szkoły, a nie jeden Eskulap ma takową za jedyną jej cechę i oraz wyborny środek do imponowania swoim pacjentom». Wobec szlachetnego zapалу Dietla ten grzeszny aprioryzm Brodowicza w oczach studentów był naturalnie szczytem herezyi.

Nauczanie, oparte na pozytywnej analizie spostrzeganych zjawisk, wymagało i więcej czasu

ze strony wykładającego i więcej kosztownych a kłopotliwych pomocy ze strony kliniki, jako instytucji. Ale Dietl każdej biedzie umiał zaradzić, nie zrażając się trudnościami. Skromna biblioteka kliniczna, dość zasobny gabinet przyrządów lekarskich, miniaturowa pracownia chemii patologicznej i mikroskopii musiały być w Krakowie, skoro w odpowiedniej mierze były w Wiedniu, Paryżu i Berlinie, i miały też istotnie swój kącik w klinice Dietla. Dbaly o dobro kliniki, niemało troszczył się o uposażenie swoich asystentów, a i studentom też wyjednywał stypendya, choć nie bez licznych przeszkód i zwłoki.

Z drobiazgowego opisu ówczesnych wykładów w krakowskiej klinice lekarskiej widać, że Dietl był niezmiernie pilnym i pracowitym nauczycielem, a wymagając wiele od siebie dla kliniki, był wymagającym w stosunku do asystentów i studentów; że wykład jego był *par excellence* demonstracyjny, poglądowy, praktyczny, z pozostawieniem rozumowania teoretycznego na dalszym planie, jako dopełnienia do wykładu, trzymanego ściśle w ramach danego wypadku, — a więc treścią i formą różny od wykładów Brodowicza.

Większa jeszcze różnica wypływała z zasadniczych zmian, jakim uległy wówczas poglądy na sprawę leczenia. W czasie prowadzenia kliniki przez Brodowicza wielką wiarę pokładano w lekarstwach: pewne leki w pewnych chorobach miały działać niezawodnie — jakgdyby po to tylko istniały na świecie, — nawet tłumić je miały w zarodku, przerywać; do wielu złudzeń przybywało jeszcze rzekome indywidualizowanie wypadków. Okres krańcowego sceptycyzmu i nihilizmu w leczeniu miał dla medycyny tę doniosłą stronę, że dał możliwość poznać czysty przebieg wielu stanów chorobowych, nie pogmatwany skutkami leków i zabiegów. Jak wiadomo, Dietl jeszcze w Wiedniu przetrwał w sobie wszystkie pośrednie fazy pomiędzy entuzjazmem w terapii a nihilizmem inclusive, to też i leczenie chorób ostrych w klinice krakowskiej wyglądało za czasów Dietla skromnie, biernie, wyczekująco; środki symptomatyczne stosowano umiarkowanie, do energicznych uciekano się wyjątkowo. Ilość leków, używanych wówczas w klinice lekarskiej była bardzo nieznaczna. Dietl odrazu wystąpił przeciw sążnistym receptom i przeciążaniu

ustroju chorych rozmaitemi lekami, ograniczając się do niewielu, lecz dzielnych i wypróbowanych środków, których umiejętnem użyciem można więcej zdziałać, niż bałamutnymi przepisami dziwnie poplątanych ingrediencyi. Lecznicza strona higieny i dietetyki była w wykładach Dietla mocno podkreślana; stworzyć choremu dobre warunki do przebycia choroby, zaprowadzić celowe zmiany w żywieniu się i odżywianiu, wzmocnić gasnące siły — bywało nieraz jedyną wskazówką doświadczonego profesora. Leczeniu miejscowemu, zdrojowemu i kąpielowemu Dietl w chorobach przewlekłych przypisywał wielkie znaczenie. Jednym słowem: «ściśle badanie, proste leczenie».

Chociaż sposób korzystania z materiału klinicznego do celów wykładu nie różnił się napozór za czasów Dietla od czasów Brodowicza, a wykłady zyskiwały jedynie na pogłębieniu i aktualnem a bardziej krytycznem traktowaniu przedmiotu, to jednak olbrzymi krok naprzód uczynił Dietl przez wyzyskiwanie materiału klinicznego do celów naukowych. Śledzenie postępu nauk lekarskich na zachodzie, ścisłość i stała kontrola w prowadzeniu historii chorób, t. j. opisów pojedynczych wypadków klinicznych, umiejętne gromadzenie i grupowanie tych spostrzeżeń służyły Dietlowi i jego uczniom za podstawę do uogólnień klinicznych, do prac naukowych. Brodowicz, wykształcony lekarz, niewątpliwie zdolny i sumienny profesor, — z równym jak Dietl zapalem przez słuchaczy przyjęty przy rozpoczęciu swej profesorskiej działalności — nie dawał ani zachęty, ani przykładu do badań samodzielnych. To też prace Brodowicza należą przeważnie do historycznych i statystycznych, a rozprawy inauguralne, pisywane wówczas przez kończących medyków, ubiegających się o dyplom doktora, po większej części nie wychodziły poza ramy wypracowań szkolnych, mających świadczyć o dostatecznej znajomości przedmiotu, ale do nauki lekarskiej nie wносиły nic. Dietl tymczasem łączył w sobie postać profesora-nauczyciela, jakim był i Brodowicz, z postacią profesora-uczonego, jakim już zasłużony poprzednik jego nie był. Na podstawie klinicznych historii chorób sam Dietl oparł następujące prace i rozprawy lekarskie: *O leczeniu zapaleń płuc bez upustu*

*krwi* (Roczn. Tow. Nauk. krak., 1851), *O chininie pod względem jej przechodzenia do nocy, sposobu działania i użycia terapeutycznego* (Ibidem, 1852), *Postrzeżenia pod względem pasówki (zosier)* (Ibidem, 1852), *Wypadek ruchomej śledziony i zupełnej zdrożności jej, uważany w klinice lekarskiej krakowskiej* (Pam. Tow. lek. warsz. 1854), *O ruchomej śledzionie. Uwagi czerpane z oględzin pośmiertnych* (Pam. Tow. lek. warsz. 1856), *Pierwszy przyczynek statystyczny do upustów krwi w zapaleniu płuc* (po niemiecku—Wiedeń, 1854) *Wykłady kliniczne o cholery* (po niemiecku—Wiedeń, 1855 i Kraków, 1856), *O cholery. Kliniczny wykład prof. Dietla, miany w r. 1854, podał dr. Fałęcki*. Kraków, 1856, *Przyczynek do rozpoznawania i leczenia tyfusu* (po niemiecku—Wiedeń, 1856), *Przyczynek do kazuistyki moczołki cukrowej ze szczególnym względem na jej symptomatyczne pojawianie się i uleczałość*. Przełożył Rosenzweig z Oesterr. Zeitscht f. pract. Heilkunde z r. 1856 (Tyg. lek. 1858), *Durzyca chininą leczona* (Przegl. lek. 1862), *Zapalenie płuc chroniczne. Napady zimnicze. Szybkie wydzielenie wypocin stwardniałych* (Przegl. lek. 1862), *Aforyzmy kliniczne, na ścisłym badaniu osnute* (Przegl. lek. 1862 i 1864), *Ostre zapalenie śledziony zimnicze. 8 przypadków wyjętych z rękopisu o zimnicy, przeznaczonego do druku* (Przegl. lek. 1863), *O leczeniu gościa stawowego (arthritis rheumatica)*. (Przegl. lek. 1863), *Nerki wędrujące i ich uwięźnięcie* (Przegl. lek. 1864). Wyrazem rozbudzonego przez Dietla ruchu naukowego, opartego na materiale jego kliniki, są również ówczesne rozprawy inauguralne, tylko jako przykład przytoczone w «Zarysie dziejów kliniki lekarskiej». Poruszano w nich anatomię patologiczną i stronę kliniczną tyfusu (Estreicher, Rasp), chorób nerek (Hałatkiewicz), gruźlicy (Szancer), zimnicy (Doskowski), wreszcie wnioski z badania moczu otrzymywane (Żuliński). Tak wyzyskiwano pod kierunkiem Dietla kontrolowane przezeń historie chorych, skrzętnie gromadzone w archiwum kliniki.

Najgłośniejsze prace Dietla obieły niemal cały świat lekarski. Jego epokową walkę przeciwko upustom krwi w zapaleniu płuc widzimy w przekładzie polskim przez Grzywińskiego i Ulińskiego (Kraków 1852) i w przekładzie rosyjskim (Petersburg, 1855).

Pośród prac klinicznych Dietla osobną hi-

storyę mają prace nad kołtunem, w który, jako poważną chorobę ogólną, wierzyło dawniej całe niemal społeczeństwo. Dietl pierwszy podjął dość ciężką na owe czasy walkę z zakorzenionym przesądem — i zwyciężył. W latach 1857 i 1858 szeregi chorych kołtunowych przesunęły się przez klinikę krakowską, aby się pozbyć zbitego pęka poplątanych włosów, który zdaniem Dietla nie jest chorobą samoistną, nie świadczy nawet o chorobie ogólnej ani od niej chroni, a jest tylko dowodem połączonego z wierzeniami niechlujstwa. Usunięte kołtuny długie lata zalegały jeszcze potem na poddaszu klinicznym, jako rzeczowy dowód skutecznej walki, którą Dietl uwiecznił w obszernej pracy *O kołtunie* (r. 1857) i w *Sprawozdaniu komisji, w Towarzystwie naukowym krakowskiem zawiazanej, celem zbadania choroby kołtunem zwanej*. (Przegl. lek. 1862).

Działalność kliniczna Dietla w porównaniu ze schyłkiem profesury Brodowicza istotnie sprawiała wrażenie nie tylko wielkiej zmiany, przewrotu, lecz wprost kontrastu.

Jakby pod ciepłym powiewem wiosny — przypomina Oettinger — klinika odrodziła się i odżyła, wstąpił w nią duch i ruch nowy, brzęczało i roilo się jak w ulu; zabrakło wnet miejsca nie tylko dla chorych i uczniów, ale na ustawienie mikroskopów, chemicznych i fizycznych przyborów, które teraz dopiero w pilne zaczęły wchodzić użycie. Zachwyceni słuchacze roznieśli wnet sławę mistrza po za mury szkolne, a zaciekawiona publiczność, zniewolona tym rozgłosem i otrzymywanym wprost od osoby Dietla wrażeniem, powzięła do niego nie tylko nieograniczoną ufność, ale i głębokie przywiązanie. Dietl niebawem stał się bohaterem dnia, ulubieńcem powszechnym, garnięto się do niego, wyrywano go sobie, każdy pragnął go poznać, osobiście zetknąć się z nim, choćby na to potrzeba było wydobyć z ukrycia jakąś dawno już zapomnianą dolegliwość. Nic też dziwnego, że tak podniecone usposobienie dało się łatwo unieść wygórowanej wyobraźni, w której rzetelne zalety olbrzymiej i przybierają cudowny niemal urok. Postać Dietla tak zawładnęła opinią, że stała się poniekąd uosobieniem całej medycyny, rodzajem proroka, jedyne go objawiciela jedynej prawdy, po za którą żadnej innej już nie ma, ani też potrzeba. Ztąd poszło, że niektórzy z jego uczniów, olśnieni jego

wielbioną powagą, w dobrej wierze głosili swego profesora za twórcę nowej szkoły lekarskiej. Ale, jeżeli szkoły Dietla nie było w znaczeniu odrębności naukowej, gdyż nie był on źródłem nowej nauki, lecz tylko znakomitym krzewicielem i wykonawcą, wreszcie sam do niczego więcej nie rościł sobie tytułu — to nie można zaprzeczyć jej istnienia pod względem praktycznym. Rzeczywiście bowiem on sam wychował troskliwie całe pokolenie lekarzów, dając im rutynę odrębnego z chorymi postępowania. Jaknajwięcej swoich słuchaczy nauczył, jaknajwięcej im pokazać i utrwalić w pamięci — było jego założeniem w stosunku do uczniów.

Raz się zdarzyło, że punktualny Dietl przez kilka dni nie przyszedł do kliniki, nie spotykano go też i na ulicy. Nareszcie zjawia się na wykład, jakiś zmieniony, z błyszczącymi oczyma, chwiejący się na nogach. »W tym roku, moi panowie — rozpoczyna słabym głosem — nie widzieliście jeszcze osutki durowej (wysypki tyfusowej). Byłbym może i dziś do was nie przyszedł, ale właśnie chciałem wam w krótkości przedstawić odpowiedniego chorego i zwrócić uwagę na niektóre charakterystyczne objawy....« Tu Dietl powyżej łokci zakasał rękawy, pokazując plamistą wysypkę na rękach, a po tem i inne miejsca na ciele, tą wysypką dotknięte. Pokazywaniem tych objawów całemu audytoryum tak był zmęczony, że go już w stanie znacznego osłabienia musiano odwieźć do domu, poczem przez dwa miesiące nie widziano już w klinice ostatniego pacjenta, ciężką niemocą złożonego.

Był drogi i miły każdemu uczniowi, choć popularności nie szukał. Uczynny, dostępny dla każdego, doradca i opiekun w potrzebie, trzymał się na stanowisku dobrego ojca-pedagoga, nie dopuszczał poufałości, tego stosunku »za pan-brat,« jaki czasem obok siebie widywał. Dowcipne nieraz wymówki robił profesorowi Sławikowskiemu, okuliście, którego miękość i dobroduszość bardzo często wyzyskiwali swawolni studenci i np. całą gromadką wyczekiwali nieraz przed kliniką, aby wracającego ztamtąd profesora nieledwie przemocą wprowadzić do najbliższej kawiarni i uraczyć się »na koszt rządu,« t. j. kosztem pensji profesorskiej.

Przekładający mozolne nauczanie i kontrolowanie sprawności swych uczniów nad mniej kłopotliwe wygłaszanie prawd ex cathedra, z rozmysłem bardziej bakałarz medycyny klinicznej, niż

imponujący jej profesor, wprost kochany przez uczniów, Dietl zjednał sobie głośne imię i powszechne zaufanie nie tylko w Krakowie i okolicy, ale i w całym kraju; uczniowie jego, już dla tego samego, że jego uczniami byli, nieraz bywali przekładani ponad innych lekarzów i wielu z nich zarówno w Galicyi, jak w Królestwie Polskiem, na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie wielkiem cieszyło się powodzeniem.

Oprócz wprowadzenia nowego kierunku i ścisłości w badaniu, oprócz prostoty i racjonalności w leczeniu, oprócz umiejętnego wyzyskiwania materiału klinicznego do prac naukowych — wykłady Dietla i jego poprzednika pod jednym jeszcze względem wzajemnie różniły się bardzo. Tym ważnym względem był język wykładowy.

Po zajęciu Krakowa rząd austriacki zatrzymał narazie samorząd i dawne urzędnika akademii, wskutek czego język polski był jeszcze czas jakiś urzędowym i wykładowym. To też i w klinice krakowskiej miejsce średniowiecznej łaciny wykładow Brodowicza zajął język ojczysty, co nawiązywało jeszcze serdeczniejszy stosunek pomiędzy słuchaczami a profesorem.

Dobrze rozumiał Dietl, ile na tem zyskują jego wykłady, ale narazie była to dla niego praca nielada. Pomimo bardzo długiego pobytu wśród Niemców, gdzie tylko w obcych językach przemawiał i pisywał, gdzie wreszcie tylko niemiecki język słyszał jako naukowy — potoczną polszczyzną władał dobrze, ale terminologia polska niemałe przedstawiała dla niego trudności, prawie obcą mu była. Aby jednak wykłady nie traciły na jasności i potoczności, brak ten wkrótce wypełnił, znakomicie opanowawszy szczególnie terminologię lekarską, która wówczas nadobro urabiała się dopiero w łonie Towarzystwa Naukowego krakowskiego. Wykłady po polsku odbywały się jednak bardzo krótko; w grudniu 1852 r. rząd austriacki zniósł samorząd akademii, zamianował od siebie kuratora i dziekanów, wprowadzając jednocześnie język niemiecki do obrad wydziału i senatu. Dziekanem wydziału lekarskiego zamianowany został Antoni Bryk, profesor medycyny sądowej, b. lekarz armii austriackiej. Polak z pochodzenia (syn włościanina z Dubiecka) wystąpił wówczas jako krańcowy rzeczownik niemieczyny w Galicyi. Gdy w r. 1853 przyszło z ministerstwa do uniwersytetu zapytanie, czy

nie należałoby zaprowadzić wykładów w języku niemieckim, — a każdy z czterech wydziałów orzekał osobno, — Bryk na posiedzeniu wystąpił z wnioskiem za niemieckim językiem wykładowym, motywując swoje zdanie *stusznoscią* i większym dla studentów pożytkiem. Podnosił tam między innemi — czytamy w »Zarysie dziejów kliniki« — że w szkołach średnich nauka odbywa się po-niemiecku, że wielu uczniów (studentów) niedokładnie tylko zna język polski, że w mowie niemieckiej łatwiej i dokładniej każdą rzecz określić można, że dla przyszłych lekarzów rządowych język niemiecki jest niezbędny; dalej zaznaczył, że skoro w niemieckim języku odbywają się wykłady anatomii patologicznej, przedmiotu, stanowiącego ważną podstawę całej medycyny (profesor Treitz Niemiec, nie znający języka polskiego), to i do wykładu innych przedmiotów też należy używać tego uprzywilejowanego języka; wreszcie, jako powód do wprowadzenia niemieczyny Bryk przedstawił wydziałowi tę okoliczność, że z całej Austrii w jednym tylko uniwersytecie krakowskim niema wykładów niemieckich, czemu przypisywał mniejszy wzrost liczby słuchaczy, niżby się tego spodziewać należało po znacznej ilości młodzieży, kończącej gimnazya.

Przeciw takiemu wnioskowi Bryka, popieranemu przez Treitza, z właściwą sobie dosadną stanowczością wystąpił Dietl i wraz z Domańskim i Majerem wytworzył energiczną opozycję, prawie jednogłośnie przez cały wydział podzielaną.

Stało się jednak, co z góry było postanowione, i od r. 1854 nakazano wykładać po niemiecku, usuwając profesorów, którzy tym warunkom odpowiedzieć nie mogli. Dietl pozostał na stanowisku, z konieczności prowadził wykłady kliniczne po niemiecku, porozumiewając się z chorymi w języku polskim, co dla słuchaczy miało doniosłe znaczenie, a dla wielu rzetelnem było ułatwieniem.

W r. 1860 Józef Dietl, jako członek komisji językowej, powołanej do Wiednia przez ministra stanu hr. Gołuchowskiego, wraz z Józefem Majerem gorąco stawał w obronie języka polskiego, który też niebawem przywrócono, jako wykładowy.

Mianowany w r. 1856 dziekanem wydziału lekarskiego, przez lat cztery pełnił obowiązki tego urzędu ku ogólnemu zadowoleniu wydziału. Wobec niechętnych mu żywiołów w sa-



mem gremium profesorskiem trudne to było i drażliwe stanowisko dla Dietla, jako wyraźnego przeciwnika niemczyzny w federalistycznej Austrii. Pomimo to jednak postępował na niem z taką godnością i koleżeństwem, że gdy w r. 1860 dozwolono każdemu z wydziałów wybrać sobie dziekana, wydział lekarski i na rok następny powierzył mu przewodniczenie w swych czynnościach, a po roku Józef Dietl prawie jednomyślnym wyborem wydziałów zaszczycony został godnością rektora uniwersytetu.

Na obu tych stanowiskach, jako dziekan i rektor, znakomity profesor dał dowody niezwyklej energii i pracy ku podniesieniu znaczenia powierzonej mu prastarej instytucji naukowej. Świetny niegdyś, jedyny polski uniwersytet Jagielloński Dietl pragnął widzieć nie gorszym od najlepszych wzorów na zachodzie, a przytem nawskroś polskim. I dążył do tego celu śmiało i wytrwale.

Nosząc w duszy jaknajpoważniejsze i pracowite zamiary, ku spełnieniu których mierzył nie raz »siły na zamiary, nie zamiar według sił,« Józef Dietl, świadomy potężnego wpływu bodźców zmysłowych na duszę ogółu, świetnym urokiem otoczył odrazu uniwersytet wobec całej ludności. Objęcie rządów rektorskich, przypadające równocześnie z zaprowadzeniem języka polskiego jako wykładowego, inaugurował z całą powagą dawnych czasów, w tradycyjnej todze, która już od lat wielu ustąpić musiała znacznie skromniejszemu mundurowi.

Nową erę rozpoczynał »publiczną uroczystością, na której — pisze Oettinger — gdy otwarły się podwoje auli napelnionej ludem ze wszystkich stanów, gdy bedel donośnym głosem zawołał: »Jego magnificencya rektor i senat akademicki,« gdy poprzedzona trzema berłami na czele dziekanów ukazała się wspaniała postać w purpurze i gronostajach z wielkim łańcuchem złotym na szyi, krocząca z powagą i godnością wśród rozstępującego się z cichem uszanowaniem tłumu: to zdawało się przytomnym, że widzą uzmysłowiony majestat nauki. Cóż dopiero, gdy zajął wzniesione miejsce, gdy odezwał się głosem dźwięcznym a dobitnym, gdy toczyły się słowa gładkie, rozważone a pewne skutku, gdy wzbierały stopniowo i zagrały silnie na napiętych strunach licznych słuchaczy, gdy wzbudziły brzmiające w nich tę-

sknoty, nadzieje a może i marzenia, gdy rosnącym podziwem ożywiły się ich oblicza i zaiskrzyły oczy, gdy wzdęte piersi po dosadnym ustępie końcowym wybuchły grzmiącym oklaskiem!...»

Ta mowa przy otwarciu wykładów, w której z serdeczną wdzięcznością dla rządu Dietl podniósł całą doniosłość pożądaney zmiany językowej, ściągnęła na niego gromy napaści ze strony niemieckiej prasy politycznej i lekarskiej. W felietonie pisma »Allgemeine Wiener medicinische Zeitung« zrobiono z Dietla nieubłaganego wroga niemczyzny: języka, nauki i uczonych niemieckich, nazwano go najniewdzięczniejszym uczniem wiedeńskiej szkoły lekarskiej. Przepowiadano mu, że »wciskając wiedzę w przymusowy kaftan barbarzyńskiego języka, ukształci dobrych polaków, ale złych lekarzy.«

Jako przedstawiciel wydziału lekarskiego i Jagiellońskiej wszechnicy, Dietl nie szczędził zabiegów, aby na opróżnione katedry powoływać uzdolnionych polaków; jemu też zawdzięcza uniwersytet wprowadzenie w życie nieznanych przedtem u nas docentów prywatnych, jako świeżego, odmładzającego materiału na profesorów. Niezmordowany w wywalczaniu środków na potrzeby i pomoce całego uniwersytetu, szczególnie otaczał względami swoją klinikę; postawił ją na stopie społecznych klinik zagranicznych, jeżeli nie wyżej od wielu. W całkowitem uznaniu nieraz niedocenianych przywilejów języka ojczystego w kształceniu się, Dietl nalegał na wydanie oryginalnych lub tłumaczonych podręczników polskich we wszystkich gałęziach nauk.

Po zaprowadzeniu języka polskiego jako wykładowego, Józef Dietl jeden z pierwszych zwrócił uwagę na potrzebę czasopisma lekarskiego w Krakowie, któreby oprócz wiadomości bieżących, ciekawych dla ogółu lekarskiego, było niejako organem sprawozdawczym z polskiego ruchu naukowego w medycynie. Łącznie więc z prof. Majerem i Skoblem zawiązał w łonie Towarzystwa naukowego krakowskiego komisję redakcyjną Przeglądu lekarskiego, pisma, które nie tylko stało się echem naszego ruchu naukowego, ale jeszcze stanęło na straży czystości języka i słownictwa lekarskiego. Nie poprzestając na samej tylko inicjatywie wydawnictwa, przez pierwsze pięć lat istnienia »Przeglądu«



(1862—1866) Dietl był bardzo czynnym członkiem redakcyi i jednym z najdzielniejszych współpracowników tego pisma.

Bystry i praktyczny, umiał znakomicie korzystać z wycieczek naukowych, przedsięwziętych zwykle w porze wakacyjnej. Jeszcze w r. 1853 ukazał się w Wiedniu po niemiecku jego *krytyczny opis szpitali europejskich* (*Kritische Darstellung europäischer Krankenhäuser*), jako wynik podróży, kilka lat przedtem odbytej kosztem rządu po całej Europie, z wyjątkiem Hiszpanii i Portugalii.

W roku 1863, w celu *zbadania zimnicy* złośliwej, nagminnie podówczas panującej, odbył podróż do Węgier, Multan, Wołoszczyzny, Turcyi, Grecyi, na wyspy Jońskie, dotarł nawet do Azji mniejszej. Zdobytych w tej podróży spostrzeżeń i wysnutych o zimnicy uwag drukiem nie ogłosił, pozostawiając rzecz cenną w rękopisie.

Nie ustając w zawodzie piśmienniczym, Dietl jeszcze za czasów niemieczyny na uniwersytecie podjął ważne zadanie: wyzyskanie polskich zdrojowisk. Zasługi jego na tem polu są tak wielkie, że gdyby niczem więcej istnienia swego nie zaznaczył, już samo to wystarczyłoby do zapewnienia mu wdzięcznej pamięci całych pokoleń i kraju.

Ożywiony myślą zbadania i podniesienia zdrojowisk krajowych, Dietl w latach 1854, 1855 i 1856 objechał głośniejsze wody środkowej Europy i w »Wiener medicinische Wochenschrift« podał ich opis z dołączeniem swoich uwag p. t. *Balneologische Reiseskizzen*. Przez poznanie ważniejszych zdrojowisk zagranicznych wyrobił w sobie skalę do oceniania dodatnich i ujemnych stron polskich miejscowości leczniczych, które kolejno zwiedzał w latach następnych. Zawiązawszy w gronie Towarzystwa Naukowego krakowskiego komisję balneologiczną, mającą stać na straży dobrobytu i rozwoju zdrojowisk krajowych, słowem i czynem przekonywał, jak ważna gałąź medycyny i jak poważne źródło bogactwa krajowego leży u nas odłogiem.

Już w pierwszych latach po objęciu katedry w Krakowie, zwrócił uwagę na stan zaniedbania i niemal zapomnienia, w jakim znajdowały się wówczas nasze zakłady zdrojowe, a zwiedziwszy wszystkie ważniejsze zakłady galicyjskie i położone w pobliżu granicy zdrojowiska Królestwa Pol-

skiego (Busko, Solec, Ojców), zbadał ich stan na miejscu, zastanowił się nad ich potrzebami i zdanie swoje skryształizował, jako »*Uwagi nad zdrojowiskami krajowemi ze względu na ich skuteczność, zastosowanie i urządzenie*« (Kraków, 1856). Z dzieła tego w r. 1858 wyszły osobne odbitki, opisujące źródła lecarskie w Szczawnicy, Iwoniczu, Krzeszowicach, Swoszowicach, Solcu, Ojcowie, Bardyjowie. Wreszcie i cudzoziemców obznajmił z naszymi zdrojowiskami w szeregu artykułów p. t. *Galizische Badereisen*.« Jako przewodniczący komisji balneologicznej, po złożeniu tego urzędu przez prof. Skobla, Dietl napisał i na ogólnem zebraniu balneologów krajowych odczytał »*Pogląd na ruch i postęp w zdrojowiskach krajowych w r. 1859*.«

Wkrótce potem wydał dwie ważne rozprawy: *O użytkowaniu wód mineralnych krajowych* i *O znaczeniu i przeznaczeniu spółki zdrojowisk krajowych* (Kraków, 1860). Rzeczona spółka, również Dietlowi zawdzięczając swe powstanie, znacznie wpływała na podniesienie zdrojowisk, a tylko niefortunna administracya, od Dietla niezależna, przyprawiła ją ostatecznie o zagładę.

Dietl był twórcą, duszą i kierownikiem komisji balneologicznej. Słuszością podjętej sprawy zjednawszy ogół lekarski, poruszył do współdziałania władze rządowe, właścicieli zdrojowisk, chemików, przemysłowców, wreszcie publiczność, ułatwiając jej znalezienie skutecznej pomocy u wód swojskich, bez potrzeby odbywania dalekiej podróży zagranicę i zbogacania obcych a bogatych groszem naszego biednego kraju. Słusznie przeto Dietlowi dostało się miano ojca balneologii polskiej, a niektóre zdrojowiska wskrzesicielem swoim go nazwały; ku uczczeniu jego zasług, piękna spacerowa część Krynicy zowie się Dietlówką, a Szczawnica w najruchliwszym miejscu posiada kamienny pomnik znakomitego lekarza. Józef Szujski do uroczystego obchodu odsłonięcia tego pomnika przyczynił się czterema strofami, z których przedostatnia brzmi:

»Dziś podkarpackie życiodajne szczawy  
Szmerem Cię swoim wielbią uroczystym:  
Tyś z zapomnienia podniósł je do sławy,  
Tyś zdrowia w kraju rozkazał ojczystym  
Rozwałęsanym odszukiwać dziatkom,  
Jedną nić więcej związał z Ziemią-Matką!

W roku 1861 rozpoczął się najświetniejszy okres w życiu Dietla. Nadanie konstytucji, rozszerzające zakres praw i obowiązków publicznych każdego obywatela kraju, musiało wpłynąć na rozwój działalności człowieka, znanego już ze swych rzadkich zdolności, posiadającego już wybitne stanowisko i zaufanie powszechne. Z nadanych swobód nie mógł nie korzystać praktyczny umysł dzielnego inicjatora i wykonawcy śmiałych pomysłów organizacyjnych, wolnego od czczych frazesów, mrzonek i złudzeń.

Wówczas gwiazda Dietla doszła do zenitu i zajaśniała w całym blasku: imię jego nigdy nie miało więcej uroku dla ogółu. »Na rozkołysanych falach życia publicznego — pisze Oettinger — unosi się górująca jego postać, wywierając wpływ niemal wszechwładny: w każdej ważnej sprawie wzywany, wybierany, o radę i kierownictwo proszony.« W osobie jego zajaśniał mąż stanu, najpopularniejszy przedstawiciel całego kraju.

Przy pierwszych zaraz wyborach do sejmiku galicyjskiego został ogłoszony posłem z większych posiadłości obwodów krakowskiego, bocheńskiego i wadowickiego, a wkrótce potem wysłany przez sejm do Wiednia, jako członek Rady państwa. Pragnąc wpływać na opinię publiczną a zarazem z potrzebami kraju zapoznać mniej wykształcone warstwy społeczeństwa, Dietl na stanowisku posła do sejmiku napisał i wydał kilka doniosłych broszur popularnych (*Dyplom cesarski i sejm galicyjski*, przemówienie Michała Wiarosława do ludu; *Nie bójmy się włościan!* głos obywatela z pod Tuchowa; *Kogo mamy wybierać do sejmiku?* głos Michała Wiarosława do ludu).

I w wychowaniu publicznym Dietl pozostawił wiekopomne ślady. Jako członek komisji edukacyjnej, poznał odpowiednie urządzenia innych krajów, zasięgał zdania ludzi zawodowych, a w zastosowaniu zebranych wiadomości do warunków miejscowych kierował się pracami reformy Kollatajowskiej i późniejszej Komisji edukacyjnej. Owocem tej pracy było wysokiej wartości dzieło »*O reformie szkół krajowych*« (Część I i II, Kraków, 1865 i 1866), godzące naszą tradycję z postępem powszechnym w wychowaniu.

Ceniąc niezmiernie zaufanie ogółu a przytem wielce ambitny, Dietl wkładał wiele duszy i pra-

cy w podjęte zobowiązania; koledzy sejmowi podziwiali wszechstronność jego wiadomości i gruntowność stawianych wniosków. Mowy Dietla, znakomite pod względem treści i formy, nie pozostawały bez wpływu na sprawy całego kraju. Stawał dzielnie w obronie praw uniwersytetu, w sprawach edukacyjnych, był niezmordowanym szermierzem narodowości Galicyi w Radzie państwa, występując jako obrońca języka polskiego i autonomii kraju, w czem widział rzetelne dobro i pomyślność całej monarchii.

Zaszczytany wysokimi z wyboru stanowiskami, najbardziej wpływowy i najpopularniejszy z działaczy naukowych i społecznych Galicyi, w uznaniu ważnych zasług dla uniwersytetu i w celu pełniejszego rozwoju rozpoczętej czynności reformatorskiej, po roku rektoratu zostaje przez uniwersytet ponownie wybrany na to stanowisko. Jednakże ministerstwo, opierając się na przyjętej zasadzie, aby rektora corocznie z innego obierano wydziału, tego powtórnego wyboru Dietla nie zatwierdziło; w tej bowiem kadencji rektorat przypadał na wydział filozoficzny. Nie ominął jednak ten zaszczyt Dietla po raz trzeci w r. 1865, gdy wybierano rektora z grona wydziału lekarskiego. Wówczas jednak pod hasłem wrzekomiego niebezpieczeństwa dla monarchii austriackiej wysunął tajone żądło osobistej niechęci i zazdrości osławiony profesor Bryk na czele nielicznego grona nieprzychylnych Dietlowi i niechęć centralistycznego ministerstwa Schmerlinga posunęła się tak daleko, że nie tylko nie potwierdzono, tym razem zupełnie legalnego, wyboru Dietla na rektora, lecz zawieszono go w pełnieniu obowiązków profesora kliniki, a wkrótce potem reskryptem cesarskim z d. 14 czerwca 1865 r. zupełnie usunięto go z katedry.

Był to cios potężny i niespodziewany nie tylko dla Dietla, który, pomimo późniejszych zaszczytów, otrzymanych od rządu, i nawet względów cesarskich, do śmierci nie mógł przeboleć tak nagłego a przymusowego zerwania z ulubionem zajęciem profesorskim; była to krzywda dla uczącej się młodzieży i dla uniwersytetu, który w Dietlu utracił jeden z najpotężniejszych swoich filarów. Całe wreszcie społeczeństwo uczuło się srodze dotknięte tym niezwykłym wypadkiem. Bezwzględność i niesłuszność tego ministeryalnego kroku zaznaczały nawet niektóre, wrogo dla po-

laków usposobione, pisma niemieckie, a »Wiener medicinische Wochenschrift« w najbliższym numerze poświęciło osobny artykuł zasługom Dietla, wyrażając przytem »żał głęboki, że nauczyciela uniwersytetu po upływie 32-letnich niepospolitych zasług, położonych w różnych gałęziach działalności lekarskiej, tak prosto za drzwi wyproszono, jak gdyby takich mężów było u nas (w Austrii) za wielu, jakgdyby ich działalność była tak drobna, że dla państwa może być obojętną.«

Miasto Kraków, dla którego Dietl niejedną położył już był zasługę, pomne przytem jego pracy i poświęcenia w imię dobra publicznego—po zaprowadzeniu samorządu gminnego w r. 1866 starało się osłodzić Dietlowi doznaną niesprawiedliwość: zaproszony na członka Rady miejskiej prawie jednomyślnie wybrany został burmistrzem czyli prezydentem miasta Krakowa.

Tej ważnej dla miasta chwili nie można było zaznaczyć świetniej, niż stawiając na czele starożytnego grodu szanowaną w całym kraju powagę. Jednak ze strony Dietla, rozgoryczonego świeżo doznany zawodem na najwyższym szczeblu naukowej i społecznej drabiny, przydykowanie w radzie miejskiej było niewątpliwie pewną ofiarą. Ale nie miejsce człowieka zdoła: Dietl dodawał blasku temu nowemu stanowisku i w szczupłym jego zakresie umiał wykazać swoją samodzielność i wyższość. Powtarzam: wyższość; umysł pospolity nie stworzyłby idealnego planu zapewnienia miastu nie tylko pożytecznych urządzeń, ale i przywrócenia mu choć w części świetności dawnych czasów, Jagiellońskiej jego epoki — Dietl zatroszczył się o ciało i o duszę Krakowa.

Przejęty ważnością stanowiska pierwszego autonomicznego prezydenta miasta Krakowa, po złożeniu uroczystej przysięgi Dietl zagaił pierwsze posiedzenie rady miejskiej wspaniałą mową, która równe wywarła wrażenie, jak i słynna mowa przed pięcioma laty przy objęciu rektoratu.

Nowem polem pracy, nowym celem wyładowania pro publico bono inicjatywy i energii stała się dla Dietla podwawelska stolica. Pragnąc całkowicie poświęcić się nowym zajęciom, złożył mandaty do Sejmu i Rady państwa. Po roku badań przygotowawczych, przedłożył radzie miejskiej obszerny *Projekt reorganizacji Magistra-*

*tu krakowskiego, a później Projekt uporządkowania Miasta Krakowa.*

W tych pracach uwagę jego zajęła strona administracyjna, zdrowotna, estetyczna i historyczna miasta; poprawa bruków i chodników, nowa rzeźnia miejska, rozbiory chemiczne wód studziennych, zaopatrzenie miasta w wodociągi i kanalizację, starania około urządzenia koryta starej Wisły, pobudowanie zdrowych budynków szkolnych, zbudowanie tanich mieszkań dla ubogiej ludności a przytułku dla starców i kalek, rozszerzenie ratusza przez przybudowanie pawilonu, popieranie rozwoju straży ogniowej ochotniczej, wreszcie przekształcenie plantacji miejskich i odnowienie chylących się ku ruinie starożytnych Sukiennic. Wobec braku funduszy na wykonanie tego szeroko zakreślonego planu robót publicznych Dietl pierwszy 'podniósł myśl zaciągnięcia półtoramilionowej' pożyczki. Zbyt krótkie jego rządy i ciągle przeszkody, stawiane mu przez małoduszność czy też przesadną ostrożność radnych, nie pozwoliły Dietlowi wykonać wielu doniosłych zamiarów i oglądać skutku swych zabiegów, jako wystawionego za życia pomnika rozumnej gospodarki w starej stolicy. Cieszyło go zapoczątkowanie sprawy Sukiennic; ostateczne odnowienie tego pięknego zabytku, który, mogąc ozdabiać, szpecił rynek krakowski obdartemi murami, chlubnie łączy się z imieniem Dietla.

Doniosłość prezydentury Dietla dosadnie ocenił w kilkanaście lat później jeden z najdzielszych jego następców na tem stanowisku, Mikołaj Żybkiewicz: »Wszystko co się robi w Krakowie i dla Krakowa, robi się zawsze jeszcze według planów i pomysłów Dietla.«

Pensję, przywiązaną do zajmowanej posady, w znacznej części obracał na cele dobrze pojętej filantropii; ubogie lub nieradne mieszczaństwo krakowskie szczególnie leżało mu na sercu. Tym sposobem powstał fundusz imienia Dietla z przeznaczeniem odsetek na wsparcia dla uboższych rzemieślników krakowskich, później dał zapomogę dla uczniów szkoły przemysłowej, wreszcie założył dla rzemieślników kasę pożyczkową, dla której osobny statut napisał (*Statut funduszu pożyczkowego prezydenta J. Dietla dla rzemieślników krakowskich* — Kraków, 1869).

Jako przedstawiciel miasta, kilkakrotnie imieniem jego otwierał uroczyste przyjęcia i podej-

mował niezwykłych gości. W pierwszych zaraz latach, jako inicjator znanych planów uporządkowania Krakowa, podejmował obywateli miasta. W r. 1869 ugościł jako gospodarz pierwszy zjazd przyrodników i lekarzy, przyczem wybrano go jednym z przewodniczących. W tymże roku przygotował świetne przyjęcie dla cesarza Franciszka-Józefa, jako dowód gorącej wdzięczności miasta za przywrócenie Galicyi języka polskiego w szkołach i urzędach.

Kiedy prąd centralistyczny poniósł porażkę, ze strony rządu niemale zadośćuczynienie spotkało Dietla, srodze przez centralizm dotkniętego dymisją z uniwersytetu za obronę narodowości Galicyi. Do orderu Franciszka-Józefa, nadanego mu jeszcze za czasów profesury, dodano mu order korony żelaznej i mianowano dożywotnim członkiem Izby panów. I z tego stanowiska nie omieszkiał Dietl skorzystać dla dobra sprawy, którą zawsze głęboko w sercu nosił; bo gdy w r. 1871 gabinet Hohenwartha chwiać się zaczął, wystąpił w izbie panów z całą potęgą swej wymowy w obronie zagrożonego federalizmu. Było to już ostatnie jego wystąpienie na polu politycznem; odtąd nie brał już nawet udziału w posiedzeniach izby.

Ku końcowi sześćdziesiątka prezydentury pogodna twarz Dietla często zdradzała tajone bóle, prosta i wyniosła jego postać zaczęła się pochylać; dokuczliwe cierpienia gośćcowe (reumatyczne) całemi tygodniami więziły go w domu, upośledzając swobodę ruchów a zarazem sprężystość w kierownictwie i doglądaniu spraw miejskich. Czuł on dobrze, że i dawna energia maleje, że wreszcie mniejszą już siłą przeciwstawić może niechętnym mu żywiołom, często jakby z zasady oponentom w szerokich jego pomysłach. To też, jedynie ulegając serdecznym namowom przyjaciół i radnych miasta, przyjął powtórny wybór na drugą kadencję po upływie pierwszego sześćdziesiątka swych rządów. Przyjmując wreszcie prezydenturę, zastrzegł sobie, że opuści ją przed terminem, jeżeli w swoim przekonaniu nie podoła temu stanowisku z taką ścisłością, jakiej ono wymaga. Tak się też i stało. Zanim jednak poczuł się zbyt słabym, aby skutecznie opierać się zarówno dolegliwościom fizycznym, jak i goryczom, któremi zaprawiano mu rządy, panująca nagminnie cholera dała Dietlowi możność rozwinąć całą energię

w celu stłumienia tej fatalnej klęski, której w miarę sił przeciwdziałal już i dawniej (1855 i 1866 r.). W końcu r. 1873, po sprawozdaniu z tej czynności na posiedzeniu rady, stanowczo złożył mandat i nie dał się już nakłonić do przyjęcia go nadal.

Na pamiątkę i jako odznaczenie chlubnych rządów Dietla na krześle prezydialnem, jedną z najpiękniejszych ulic miasta nazwano jego imieniem, a w sali posiedzeń rady miejskiej zawieszono portret jego z insygniami, przynależnemi godności burmistrza miasta Krakowa.

Skoro mowa o dotykanych odznaczeniach Dietla, to nie od rzeczy będzie niektóre z nich przypomnieć, a inne na tem miejscu przytoczyć. O ile od centralistycznego kierunku spotkało go najboleśniejsze odznaczenie: dymisya z profesury i rektoratu, której wobec aprobaty cesarskiej nie mógł już cofnąć i przychylniejszy autonomii Belcredi, to znów, gdy górę brał federalizm — oprócz zaszczytów stanowiska, nadano Dietlowi dwa ordery, o których wyżej była wzmianka. Za gościnę, okazaną imieniem miasta nuncyuszowi Falcinellemu, papież Pius IX obdarzył prezydenta Dietla krzyżem komandorskim Grzegorza Wielkiego.

Kraków i Nowy Sącz znakomitemu obrońcy narodowości Galicyi doręczyły ozdobne dyplomy obywatelstwa honorowego. Liczne towarzystwa naukowe, lekarskie, rolnicze i filantropijne przesyłały z kraju i z zagranicy swoje dyplomy profesorowi Dietlowi, jednemu z najwybitniejszych swoich członków honorowych. Krynica pamięć swego wskrzesiciela uczciła Dietłówką, Szczawnica — skromnym a wymownym pomnikiem.

Opuszczeni przez uwielbianego profesora uczniowie kliniki lekarskiej zawiesili w sali wykładowej portret pędzla Matejki, aby choć podobiznę Dietla mieć pośród siebie, skoro żywego słowa jego słyszeć im nie dano. I ta pamiątka była podobno najmilsza Dietlowi, bo kochał młode pokolenie, był nawskroś lekarzem, lekarzem z Bożej łaski, krzewicielem światła i dobra.

Usunąwszy się całkiem od spraw publicznych, wobec niemożności służenia im dobrze, w przekształconej z Towarzystwa naukowego Akademii umiejętności Dietl przy najpierwszym wyborze z członka czynnego zaszczycony został godnością dyrektora wydziału matematy-



czno-przyrodniczego i zastępcą prezesa. Na tem stanowisku niczem się już jednak nie wyróżnił. Dolegliwości się wzmagaly, siły uchodziły, a wyniosłe dawniej czoło chyliło się ku ziemi.

Z wiru miasta od czasu do czasu wyjeżdżał pod Tarnów do swojej wsi, Rzuchowej, gdzie rozpoczętą szczęśliwie przez Dietla gospodarkę rolną prowadził jego synowiec.

W zaciszu domowem niewiele znajdował pociechy. Ożenił się już późno, po pięćdziesiątce, z dorodną wiedenką, która ani języka, ani duszy jego nie rozumiała. Żona najpopularniejszego i miłowanego w Krakowie człowieka była prawie nie znana i nie cieszyła się sympatją. Dietl potomstwa nie zostawił, a po kilku latach pożycia rozszedł się z żoną. Szczegóły te przytaczam, bo mogły one zaważyć w życiu Dietla i w jego końcowych smutkach.

Strudzony odmętem codziennych i goryczą zaprawnych zajęć, znękany dusznością, dolegliwą chorobą i częstymi opatrunkami chirurgów, zwykle samotny, bo odwiedzany przez paru krewnych i niezbyt licznych znajomych, — Józef Dietl przez kilka tygodni zbliżał się ku śmierci, która zmoęła go w Krakowie rankiem 18 stycznia 1878 roku.

Tak się przedstawia w zarysie niepospolita, świetlana postać Dietla na tle współczesnych mu wydarzeń i stanu nauk lekarskich.

Ze swawolnego i psotnego ucznia szkoły początkowej wyrósł młodzieniec samodzielny, który z dumą i pogodą duszy przeszedł hartującą twarzą szkołę życia, a później siłą umysłu, pracy i słowa zdobył z wyboru najwybitniejsze stanowiska, opromieniając je blaskiem swej wyższości; dążył do celu śmiało, mrzonek nie znosił, półśrodkami gardził; jako lekarz, reformator kliniki i uniwersytetu, mąż stanu i przedstawiciel Krakowa, nie miał sobie równego i chlubnie imię swoje przekazał historyi; jako nieustrudzony pracownik i dzielny obrońca języka, oświaty, tradycji i mienia narodowego, nadługo zjednał sobie pamięć, wdzięczność i cześć w sercach ogółu, a może i nieśmiertelność.

Ludzie znakomici nie tylko chwałą są, dobrem i siłą; samo to poczucie, że się ich ma, krzepić już musi....

Grzebano Dietla kosztem miasta z niezwykłą wystawnością i przy udziale licznych deputacyi. Przez ulice stolicy Jagiellońskiej, pomiędzy płonącymi w żałobnych osłonach latarniami, przeciągał tłum kilkudziesięciotysięczny, krocząc poważnie za zwłokami swego anioła opiekuńczego, któremu dzwon Zygmuntowski ponuro jęczał z Wawelu ostatnie pożegnanie....

*Dr Józef Grabowski.*





# Hieronim Strojnowski.

\* 1752 † 1815.



**N**iwersytet Wileński, przekształcony w r. 1803 ze starej Akademii Batoro-

wskiej, odegrał w dziejach cywilizacji nie tylko Litwy, ale i Polski całej ważną rolę, jakkolwiek żywot jego był bardzo krótkim, bo tylko 30 lat niespełna przetrwał.

Spółeczeństwo polskie za czasów Stanisława Augusta, mało się zajmowało nauką. Moda co prawda wymagała znajomości nowych prądów filozoficznych, czytano też książki francuskie, ale nie odczuwano nawet potrzeby nauki, czego dowodem, iż sławna narodowa i publiczna biblioteka Załuskich świeciła pustkami, ponieważ nikt w niej nie pracował. W prywatnych bibliotekach znajdowały się tylko Wolter, Rousseau, Montesquieu, Rasine, Kartezjusz, Mar-

montel i tym podobni autorowie. Szkoły wlokły smutny żywot, profesorowie w swych wykładach

trzymali się podręczników zagranicznych a komisya edukacyjna miała sporo kłopotu z wydaniem polskich książek elementarnych. Na Litwie, nawet lekarze, jak świadczy Józef Frank, byli mało wykształceni i nie śledzili postępów nauki, jeśli zaś który czytywał dzieła lekarskie, musiał się z tem starannie ukrywać, aby nie posądzono że nic nie umie i że dopiero z książek się uczy.

W Wilnie, od czasów Batorego istniała Akademia jezuitcka, ale ta w końcu XVIII wieku ledwie dawała znaki życia i w niczem się do postępu nauki nie przyczyniła, nie tylko bowiem nie wydała żadnego dzieła któreby mogło zainteresować ogół lub uczo-



Według portretu malowanego z natury.

*H. Strojnowski*

nych, ale nawet nie wydrukowała ani jednego podręcznika.

Po rozbiórce Polski, nastąpiło bolesne wytrzeźwienie. Utraciwszy niezależność polityczną, chciano przynajmniej ratować narodowość, religię, język. Powstała tedy reakcja polityczna, społeczna i religijna. Zwrócono się ku kościołowi i poczęto myśleć o szkole polskiej, narodowej.

To pragnienie Polaków spełnił cesarz Aleksander I, potwierdzając Uniwersytet w Wilnie z ogromnymi przywilejami. Uniwersytet ten stał się ogniskiem narodowości polskiej, «Arką przymierza między dawnymi i młodszy laty», i źródłem wiedzy dla kilkunastu pokoleń. Dzięki profesorom światłym, szczerze oddanym nauce, o przekonaniach niezachwianych, Uniwersytet Wileński wywierał na społeczeństwo polskie wpływ potężny, skupiał około siebie ludzi miłujących naukę i szukających wiedzy, dał społeczeństwu polskiemu długi szereg mężów użytecznych i zasłużonych, licznych profesorów, nauczycieli, sławnych lekarzy, uczonych i literatów, zwrócił literaturę, dotąd oderwaną od swej przeszłości i przyrody, do własnych źródeł, ożywił ją samodzielnym duchem, dzięki czemu mogli powstać wielki Adam, Słowacki i ich następcy.

Uniwersytet Wileński ustępował tylko niektórym z zagranicznych i stał znacznie wyżej od uniwersytetów Krakowskiego, Warszawskiego i rosyjskich; pociągał żądną nauki młodzież i wkrótce zasłynął w Europie, zaś dla Wilna zyskał nazwę «Aten północnych», ponieważ profesorowie jego cieszyli się wszechświatową sławą.

Ale nie odrazu Alma Mater Wileńska stała się tak świetną. Nie trzeba zapominać, że Uniwersytet powstał w czasach wyjątkowo ciężkich, bo wówczas, gdy Europa szła naprzód i już korzystała z owoców kilkuwiekowej cywilizacji. Polska, która dawniej w pierwszym szeregu państw cywilizowanych kroczyła, wskutek nieszczęść i klęsk, jakich jej los przez dwa ostatnie wieki nie szczędził, cofnęła się wstecz i musiała zaczynać od początku, od uprawy gruntu. Tem większą jest zasługa ludzi, którzy ten tak wspaniały gmach na chwałę i pożytek narodu swego wzniesli, i sprawili, że łączność Uniwersytetu z całym narodem stała się ścisłą, że dzięki wpływowi temu oświata z miast i pałaców przedostała się do wsi i pod strzechę chaty wiejskiej, że francuzczy-

zna musiała ustąpić mowie ojczystej. Polacy już nie mogli i nie chcieli zapomnieć, że są Polakami. Do mężów, którzy stworzyli czysto narodowy Uniwersytet i postawili go na takich podwalinach, należą przede wszystkim Adam książę Czartoryski i Hieronim Strojnowski, i oni to powinni być uważani, jako twórcy Uniwersytetu w Wilnie.

Hieronim Strzemień-Strojnowski pochodził ze starej szlacheckiej rodziny wołyńskiej. Urodził się 20 września 1752 roku we wsi Chodackowie, powiatu Krzemienieckiego w dawnym województwie Wołyńskim, z ojca Benedykta i matki Maryanny.

Po kilku latach nauki w domu rodzicielskim, wstąpił do szkół pijarskich w Złoczowie i tu odrazu wyróżnił się z pomiędzy grona kolegów, jako nadzwyczaj zdolny i pilny uczeń. Zakonnicy trudniący się wychowaniem młodzieży, jak np. Jezuici i Pijarowie, zwykli skłaniać wybitnych i zdolnych swych uczniów do wstąpienia do zgromadzenia. Tak również postępowano i ze Strojnowskim, w którym zgadywano przyszłą podporę i sławę zakonu. Namowy poskutkowały i w r. 1766 młodziutki, bo zaledwie 14 lat liczący Strojnowski wstąpił do zgromadzenia Pijarów w Podolińcu, przybrawszy wedle zwyczaju imię Hieronima a Sancto Bernardo. Gdy odbył nowicyat, przeznaczono go na profesora w szkołach publicznych, w jakowym celu musiał studyować nie tylko nauki teologiczne na równie z innymi kolegami, ale i wiele innych, wchodzących w program edukacji przyszłych nauczycieli. Profesorowie, oceniając zdolności i zamięłowanie do pracy Strojnowskiego, zwracali nań szczególną uwagę i jeszcze przed wyświęceniem, powierzono młodemu klerykowi wykłady w kolegium złoczewskim i międzyrzeckiem.

W roku 1776 otrzymał Strojnowski w Warszawie święcenie kapłańskie i zaraz potem został profesorem matematyki, logiki i metafizyki w konwiktzie warszawskim szlachetnej młodzieży i wykładał te nauki w ciągu lat trzech, zaś potem przez cztery lata był profesorem prawa natury, narodów, politycznego i ekonomii politycznej. Strojnowski powinien być uważany, jako pierwszy profesor ekonomii politycznej w Polsce, bo chociaż Jan Śniadecki powiada, że już w roku 1776 wykładał tę naukę w Krakowie podług systemu Quesnay'a, ale były to wykłady dorywcze, nie

systematyczne i dopiero Strojnowski po raz pierwszy rozpoczął wykłady ekonomii politycznej w języku polskim. Nauka ta była w Polsce zupełnie nową, mało znaną, to też pełne treści i oryginalności prelekcye Strojnowskiego odrazu wzbudziły powszechne zainteresowanie, pociągnęły licznych słuchaczy i zwróciły uwagę na młodego uczonego.

Komisya edukacyjna umiała ocenić niepospolite zdolności Strojnowskiego i chcąc mu dać szersze pole działalności, zaproponowała w roku 1780 katedrę prawa natury w Akademii Wileńskiej. Strojnowski propozycję przyjął i tegoż jeszcze roku rozpoczął w Wilnie wykłady, które i tu jak w Warszawie odznaczały się jasnością i niezrównaną logiką. Na tem stanowisku profesora, Strojnowski pozostawał do roku 1794-go. W tym czasie Akademia Wileńska po zniesieniu zakonu Jezuitów została zreformowana, ale ponieważ brakowało dobrze przygotowanych nauczycieli, uchwalono wysłać do Krakowa 8-iu młodych ludzi, w celu przysposobienia ich na profesorów. Jako prefekt pojechał z nimi w r. 1781 do Krakowa Strojnowski i spędził tu dwa lata, na studyach. W tem mieście zawiązał ściśle stosunki z wybitniejszymi członkami Akademii Krakowskiej, zwłaszcza z Janem Śniadeckim i Hugonem Kollątajem. W roku 1783 otrzymał Strojnowski od Akademii Krakowskiej stopień doktora teologii i obojga praw i tegoż roku z powierzoną mu młodzieżą do Wilna powrócił.

Tu opracował do druku swoje notatki o prawie natury, które układał dla prelekcji w konwiktzie warszawskim i w Akademii Wileńskiej. Dzieło to opuściło prasę w roku 1786 pod tytułem: «Nauka prawa politycznego, narodów i ekonomii politycznej». Książka ta, dzięki jasności wykładu, oraz czystości i poprawności języka, była pierwszym tego rodzaju oryginalnem dziełem polskiem, a Czacki wyraził się o niem, iż «książka Strojnowskiego stała się dla całej społeczności potrzebną». Jak była poczytną świadczą również to, że aż pięć wydań doczekała i w r. 1809 została przełożona na język rosyjski. Stała się też de facto książką elementarną, czyli podręcznikiem szkolnym.

W parę lat potem, musiał Strojnowski znowu opuścić Wilno z powodu choroby piersiowej i za poradą lekarzy udał się do Włoch, gdzie

zawiedził Florencję, Rzym i Neapol. I tu, pomimo nadwątłego zdrowia, nie próżnował, ale dnie całe spędzał w bibliotekach, muzeach i galeriach obrazów. Jednocześnie studyował politykę włoską, znakomicie wyuczył się języka włoskiego, i zawierał stosunki ze wszystkimi wybitniejszymi uczonymi i literatami. We Włoszech umiano należycie ocenić młodego uczonego polskiego, ponieważ akademia Florencka w r. 1787 i Rzymska w 1788 wybrały go na swego członka.

Po powrocie do kraju, za poradą krewnych, opuścił zgromadzenie Pijarów i z zezwolenia stolicy Apostolskiej został kapłanem świeckim. Wraz potem otrzymał beneficjum koreckie na Wołyniu, nie przestając być publicznym profesorem w Akademii Wileńskiej.

W roku 1791 Strojnowski został wybrany do deputacji, której polecono ułożenie kodeksów cywilnego i kryminalnego, a która powinna była w swej pracy trzymać się Statutu W. Ks. Litewskiego, ale miała prawo uzupełniać takowy, czerpiąc z innych praw tak krajowych jak i zagranicznych. Druga podobna deputacja była wyznaczona dla prowincyi koronnych. Prace tych deputacji miały ostatecznie rozpatrzyć Stany Sejmujące. Według Franciszka Dmochowskiego (Pamiętnik Warszawski, luty, 1802 r.) do deputacji należeli oprócz Strojnowskiego, również Kollątaj, Chreptowicz, Szymanowski, Reptowski, Wejsenhoff, Wybicki, Januszewicz i Wolski.

Strojnowski ze zwykłym sobie zapalem wziął się do pracy i w ciągu jednego roku opracował układ procedury sądowej, napisał wiele ustaw i ułożył projekt kwalifikacji do urzędów publicznych; oprócz tego dopomagał w pracy innym członkom deputacji, którzy wysoce cenili jego światło i wolne od przesądów zdanie. Atoli deputacye, dzięki zmianom politycznym nie dokończyły swej pracy. W r. 1791 Stanisław August obdarzył Strojnowskiego złotym medalem «merentibus».

Jak wiadomo, po skasowaniu Jezuitów, została utworzona jako ministeryum oświaty dla Korony i Litwy, Komisya Edukacyjna obojga narodów, która od roku 1775 istniała lat 18. Na sejmie grodzieńskim w 1793 r. rozwiązano dawną komisję edukacyjną i ustanowiono nową, do której weszli: jako prezes, Książę Prymas Poniatowski i jako członkowie, Książę Massalski, biskup

wileński, Skarszewski — biskup chełmski, Ks. Radziwiłł — wojewoda wileński, Joachim Chreptowicz — Kanclerz W. Ks. Litewskiego, Ks. Stanisław Poniatowski — były Podskarbi W. Ks. Litewskiego, ksiądz Gawroński — Kanclerz Kapituły krakowskiej, ks. Dawid Polikowski — prałat wileński, Stanisław Wojna — starosta stanisławowski, Mikołaj Wolski — szambelan królewski oraz Hieronim Strojnowski.

Komisji edukacyjnej oddano opiekę nad wychowaniem publicznem, ona korzystała z bardzo szerokich praw i przez krótki czas swego istnienia, oddała oświacie krajowej niepospolite zasługi, już to organizując i zakładając nowe szkoły, już to reformując dawne, mianując zdolnych nauczycieli i regulując majątek edukacji narodowej. Ostatnie posiedzenie komisji odbyło się 10 kwietnia 1794 roku. Był na niem obecny i Strojnowski, który i tu dał się poznać jako światły i gorliwy pracownik, to też biskup Massalski zwrócił nań szczególną uwagę i wprowadził do Kapituły wileńskiej, zaś Stanisław August obdarzył orderem Ś. Stanisława I-ej klasy. W roku 1797 Strojnowski został mianowany proboszczem akademickiego kościoła Ś. Jana w Wilnie.

Tegoż roku, w dniu 12 lipca, cesarz Paweł zatwierdził opracowane przez Poczobuta statuta dla szkół litewskich. Akademia Wileńska była pozostawiona w dawnym stanie, chociaż zniesiono prezesów Collegii, a cały rząd oddano rektorowi. Ustanowiono nadto z 12 osób komisję, stanowiącą najwyższą zwierzchność nad akademią. Do rzeczonoj komisji, zostającej pod prezydencją biskupa Jana Nepomucena Kossakowskiego, został również powołany i Strojnowski.

Gdy w roku 1799 rektor akademii Marcin Poczubut-Odlanicki z powodu sędziwego wieku opuścił swe stanowisko, wszystkich oczy zwróciły się na Strojnowskiego, jako na najgodniejszego następcę Poczobuta. Profesorowie podali za niego swe głosy, i on też został obranyrektorem.

Na samym początku piastowania tej godności, musiał Strojnowski stoczyć zaciętą walkę z Jezuitami białoruskimi, którzy uzyskali od cesarza Pawła przywilej wyłącznego nauczania w prowincjach przyłączonych do Rosyi. Na mocy tego przywileju wszystkie szkoły, również jak uniwersytet wileński, powinny były przejść na własność Jezuitów, którzy wysłali swego generała do Wil-

na w celu objęcia w posiadanie Uniwersytetu i szkół. Były rektor Poczobut odradzał generałowi Jezuitów, aby nie rozpoczynał zatargu ze zwierzchnością Uniwersytetu, ponieważ ta nie łatwo da się pokonać, ale generał, opierając się na przywilej cesarski, nie dał się przekonać i zażądał wydania sobie gmachów uniwersyteckich. Wówczas Strojnowski zwrócił się do cesarza, błagając o utrzymanie Akademii w dawnym stanie i składzie. Krok ten pociągnął za sobą dla Strojnowskiego wiele przykrości.

Ze wstąpieniem na tron Aleksandra I dla wszechnicy Litewskiej nastąpiła nowa era.

W roku 1803 wyszedł ukaz cesarski, dotyczący oświaty w Rosyi. W tym celu znów została wyznaczona specjalna komisya, do której należał Adam Czartoryski i Strojnowski. Komisya ta opracowała projekt, według którego całe państwo rossyjskie zostało podzielone na wydziały, albo okręgi szkolne z kuratorem na czele. Wydział naukowy wileński był złożony z 8-iu gubernii, mianowicie: wileńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, witebskiej, mohilewskiej, wołyńskiej, podolskiej, kijowskiej i obwodu białostockiego. Wielkie trudności miała komisya do zwalczania, ale w końcu wszystkie przeszkody zostały usunięte i w roku 1803 Strojnowski otrzymał z rąk cesarza akt potwierdzenia Wileńskiego Uniwersytetu i szkół jego wydziału.

Jak pracował, ile starań położył Strojnowski poświadcza sam ks. Czartoryski, który według Czackiego «oddął jednak Strojnowskiemu to ważne świadectwo, że do wyłożenia potrzeb edukacyjnych, ułatwienia trudności i pomyślnego skutku czynnie się przyłożył».

Istotnie tu zasługa Strojnowskiego jest ogromnej doniosłości. Korzystając z ustaw warszawskiej komisji edukacyjnej, opracował ustawy, które nadawały Uniwersytetowi Wileńskiemu ogromną władzę, podnosiły wysoko stan nauczycielski, zaś uczącej się młodzieży zapewniały wielkie przywileje.

Pracując dla dobra publicznego Strojnowski przysporzył sobie licznych wrogów, którzy nie szczędzili nowemu rektorowi licznych krytyk i oszczerstw i nawet wtrącali się do jego życia prywatnego, nie wybacząc najmniejszej słabości, najlżejszego błędu. Robiono mu zarzuty, iż otacza się pochlebcami, usuwając ludzi zasłużonych



a szczególnie, że na katedry uniwersyteckie powołuje cudzoziemców.

Strojnowski, jak każdy człowiek, miał osobiste sympaty, ale nigdy nie kierował się nimi w sprawach publicznych, czego dowodem może służyć, że nie usunął ani Jundzillę, ani Jędrzeja Śniadeckiego, ponieważ umiał cenić ich zasługi, chociaż ich nie lubił. Strojnowski chcąc postawić Wileński Uniwersytet w pierwszym szeregu zakładów naukowych europejskich, rozumiał, iż ciało nauczycielskie powinno składać się z ludzi wysoko wykształconych i uzdolnionych, a takich właśnie w kraju, za bardzo nielicznymi wyjątkami, nie było wcale. Powierzyć nauczanie w Uniwersytecie miernotom, znaczyło to zgubić w zarodku dzieło, w które położono tyle pracy, zachodu i energii. Strojnowski pragnął przygotować własnych profesorów, ale musiałoby upłynąć немало czasu nimby wysłani za granicę mogli z pożytkiem przystąpić do wykładów. Mając to na względzie, Strojnowski sprowadził do Wilna z różnych krajów Europy wybitniejszych profesorów i powierzył im różne katedry w nowo utworzonym uniwersytecie. Sam Strojnowski patrzył na to powołanie obcokrajowców, jako na rzecz przejściową, będąc przekonany, że gdy się wykształci młode pokolenie, cudzoziemcy okażą się niepotrzebni. Że Strojnowski tak istotnie myślał, może być dowodem, iż obsadzając katedry w Wilnie profesorami Niemcami, Włochami i t. d., jednocześnie wysyłał za granicę zdolniejszych młodzieńców w celu przygotowania z nich dla Uniwersytetu Wileńskiego profesorów, jak np. Niszkowskiego, Niemczewskiego, Stubielewicza i innych. Powołanie do Wilna głośnych i sławnych uczonych powinno być poczytane za zasługę Strojnowskiemu, który patrzył daleko w przyszłość, ponieważ ci cudzoziemcy odrazu stworzyli «szkołę wileńską» i wysoko podnieśli oświatę na Litwie. Takie znakomitości, jak Langsdorf — prof. mechaniki, Bojanus — twórca weterynaryi polskiej, Croddeck — prof. literatury starożytnej, Jan Piotr Frank i syn tegoż Józef genialni lekarze, Abicht — fizyolog, Capelli — prof. prawa cywilnego, kryminalnego i kanonicznego, Lebrun — rzeźbiarstwa, Rustem — malarstwa, Chodani, prof. teologii, mogli przynieść zaszczyt każdemu z uniwersytetów europejskich. Ci to profesorowie całą duszą oddani nauce i dobru Uniwersytetu,

w krótkim czasie wykształcili licznych i godnych siebie zastępców, którzy po nich obejmowali katedry. Ich to właśnie uczniami byli profesorowie Homulicki, Herberski, Niszkowski, Adamowicz, Mianowski, Bielkiewicz i tylu innych, którzy wysoko polską naukę podnieśli. Wielu z uczniów wileńskiego Uniwersytetu pozajmowało katedry w innych wszechnicach jak np. Józef Mianowski w Petersburgu, Siewruk w Moskwie, Braun w Kazaniu, Fonberg w Kijowie, Mickiewicz w Paryżu i t. d.

Niektórzy z tych profesorów przybyszów pokochali Litwę, stali się jej dobrymi synami i zasłużyli na wieczną wdzięczność za wszystko, co dla społeczeństwa naszego uczynili. Tak Józef Frank, który spędził w Wilnie 20 najpiękniejszych lat swego życia, i nazywał Litwę swoją drugą ojczyzną, tyle zasług położył, że samo ich wyliczenie zajęłoby sporo miejsca. Oddział lekarski Towarzystwa Dobroczynności, clinicum ambulatoryum, instytut położniczy, pierwszy w Europie instytut szczepienia ospy ochronnej, Towarzystwo lekarskie, Towarzystwo przeciwebracze opis medyko-topograficzny Wilna, zaprowadzenie statystyki chorób i śmierci, rozbudzenie w Wilnianach zamiłowania do muzyki i teatru przez urządzenie koncertów i sprowadzanie znakomitych artystów i t. d. wszystko to, było dziełem Franka, który nawet po wyjeździe do Włoch nie przestawał interesować się wszystkim, co się Wilna i Litwy tyczyło. Zresztą i chluba Uniwersytetu Wileńskiego, Jan Śniadecki przybył z Krakowa do Wilna powołany przez Strojnowskiego, który potrafił usunąć przeszkody, jakie opóźniały przyjazd znakomitego uczonego do grodu Giedyminowego.

Z potwierdzeniem Uniwersytetu, urząd rektora nabył wielkiego znaczenia. Dotąd władza jego rozciągała się tylko do wewnętrznego porządku szkolnego, odtąd rektor stał się naczelnikiem, kierującym edukacją publiczną na przestrzeni ośmiu gubernii, rozciągających się między morzami Bałtyckiem i Czarnem i jemu, jako prezydującemu w rządzie Uniwersytetu, były podwładne wszystkie zakłady naukowe w kraju. Urząd rektora sam z siebie poważny, nabył większej jeszcze powagi właśnie dzięki osobie Strojnowskiego, który umiał pogodzić w sobie stanowczość



i wytrwałość w przeprowadzeniu powziętych postanowień z dziwnie ujmującą słodyczą charakteru i uprzejmem obejściem. Prace Strojnowskie już to dokonane, rozpoczęte, albo tylko zaprojektowane zajmują ważną kartę w dziejach Uniwersytetu Wileńskiego i cywilizacji Litwy i Polski.

Przez lat 7 pełnił Strojnowski obowiązki rektora z chwałą i pożytkiem kraju i postawił Uniwersytet Wileński w pierwszym szeregu tego rodzaju instytucji w Europie.

Do czasu zreformowania Uniwersytetu, profesorami, za wyjątkiem wydziału lekarskiego, byli przeważnie duchowni. Po reformie uczeni świeccy zajęli miejsca profesorów-księży, którzy zatrzymali tylko katedry teologiczne. Strojnowski będąc przekonany, że i rektor Uniwersytetu również winien być świecki, nie podał się na kandydata na następne trzecie i ustąpił miejsce Janowi Śniadeckiemu, widząc w nim godnego siebie następcę.

Aby zrozumieć, jak wielkie trudności miał do pokonania Strojnowski, dość będzie przypomnieć, że zastał kraj cały nie przygotowanym do reformy szkolnej, i że nawet w gronie profesorskim miał rektor wielu niechętnych krytyków, którzy nie rozumieli jego zamiarów i dążeń. Ale żelazna wytrwałość i pragnienie doprowadzenia do końca rozpoczętego dzieła, dopomogły Strojnowskiemu do zwalczania wszystkich przeszkód. Ta jego niezwykła gorliwość i praca około sprawy oświecenia, zostały nagrodzone nominacją na biskupa koadjutora łuckiego i żytomierskiego.

W tym samym czasie Strojnowski, został przyjęty w poczet członków Petersburskiego Towarzystwa Wolno-ekonomicznego, członkiem zaś Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk był od samego tegoż towarzystwa założenia.

Po ustąpieniu z rektorstwa, Strojnowski został ozdobiony orderem Św. Anny I-ej klasy, zaś rada wileńskiego Uniwersytetu zawiesiła w sali posiedzeń jego portret, pędzla malarza Peszki, ucznia Franciszka Smuglewicza.

Wkrótce potem Strojnowski opuścił Wilno i wyjechał na Wołyń, gdzie w roku 1806 został wyświęcony na biskupa Lambezytańskiego in patribus infidelium przez tegoż biskupa Cieciszewskiego, od którego przed 30 laty przyjął w Warszawie pierwsze święcenie kapłańskie.

Niedługo potem został wysłany przez kapitułę łucką jako deputat do collegium w Petersburgu, gdzie, jako najstarszy członek, pełnił przez lat kilka obowiązki prezydenta. Dzięki zaletom towarzyskim, zawarł tu liczne znajomości z osobami wysoko stojącymi, następstwem czego było, iż, gdy w Baden pod Wiedniem umarł biskup wileński, Jan Nepomucen Kossakowski, administrację dyecezyi wileńskiej powierzono Strojnowskiemu, a w roku 1814 mianowano go na biskupa wileńskiego. Znowu tedy wrócił do Wilna i rządził dyecezyą przez lat 7, będąc jednocześnie prezesem Towarzystwa Dobroczynności.

Nie miał atoli czasu nowy biskup rozwinąć swych projektów, ponieważ śmierć przecięła jego pracowity żywot w chwili, gdy się gotował w roku 1815 po otrzymaniu papieżkiej bulli translationis, odprawić uroczystą intronizację w katedrze. Po kilkudniowej chorobie umarł 5 sierpnia w folwarku Elnokumpiu o kilka mil od Wilna. Zwłoki Strojnowskiego przewiezione do Horochowa, majątku brata biskupa na Wołyniu i tu w grobach rodzinnych zostały złożone.

Jako człowiek wszechstronnie wykształcony, Strojnowski, przy pełnieniu przyjętych na siebie obowiązków, również interesował się historią, archeologią i sztukami pięknymi, z zamiłowaniem gromadził różne zabytki przeszłości, oraz dzieła sztuki i pozostawił piękny i bogaty zbiór obrazów, przeważnie historycznych i religijnych. Obrazy te wraz z bogatą biblioteką odziedziczył brat zmarłego Waleryan Strojnowski, zaś potem prawem spadku przeszły do rodziny hr. Tarnowskich.

Biograf Strojnowskiego Jan Gwalbert Rudomina (z którego pracy korzystaliśmy przy napisaniu tego życiorysu, (wizerunki i roztrząsania naukowe. T. 5, r. 1839. Wilno) w ten sposób opisuje powierzchność biskupa:

«Strojnowski był wzrostu średniego, suchej komplexyi. Wyraz twarzy jego, a mianowicie spojrzenie oznaczało bystrość i przenikliwość. Żywy z natury, miał zdrowie słabe, wymagające wiele starania. Pracowity, bardzo porządny i metodyczny we wszystkich swoich czynnościach, znał sztukę dobrego użycia czasu i był z liczby tych ludzi, którzy się nie tak starają wiele robić, jak raczej robić wszystko rozważnie i dokładnie. Obręb jego wiadomości nie był bardzo obszerny, lecz co umiał, to umiał dobrze. Wyobrażenie

jego o rzeczach było jasne, a sposób tłumaczenia się tak w mowie pisanej, jako i ustnej był zawsze wzorem ścisłej logiki i gruntownego rozumowania. Biegły polityk, obrotny i zręczny, znał dobrze świat, ludzi i dwory. Dający z siebie przykład oświeconej tolerancji i umiejący połączyć religię z filozofią, a przytem grzeczny i obyczajny, obejmując się pełnem delikatności i chęcią podobania się, przypominał polerowany wiek Stanisława Augusta. Wykwintny w ubiorze, pomieszkaniu i sposobie życia, troskliwy, aby wszystko co czynił odbywało się z powagą, przystojnością, a nawet pewnym blaskiem i okazałością, hojnie używał znacznych swoich duchownych intrat. W zarządach dyecezyi gorliwy o utrzymanie porządku, wyznać trzeba, nie zawsze był trafny w wyborze osób, które zaufanie jego posiadały».

Profesor Józef Frank, który w swoich niewydanych pamiętnikach nie oszczędził żadnego prawie z profesorów Uniwersytetu Wileńskiego, o Strojnowskim odzywa się z największem uznaniem, jako o człowieku wysoce wykształconym, uprzejmym i miłym.

Dopiero w 13 lat po śmierci doczekał się Strojnowski pomnika. W roku 1828 profesor emeryt Uniwersytetu Wileńskiego Jan Znosko, ze składki przez członków Uniwersytetu Wileńskiego i obywateli złożonej, a wynoszącej 622 rubli,

wzniósł podług planu prof. Podczaszyńskiego piękny pomnik w wileńskim akademickim kościele Św. Jana.

Pomnik znajduje się przy lewej ścianie, prawie wprost bocznego wejścia i składa się z czterech pilastrów, których obiedwie pary łączy przeklepienie półkołowe. Wszystko to jest osadzone na ciągłej podwalinie, sięgającej pawimentu kościelnego. Nad pilastrami stoją dwaj aniołowie, gaszący pochodnie życia. Tamże nad skrajnymi pilastrami postawione są łzawnice (lacrimatoria). Pomiędzy pilastrami stoją na podwalinie dwa wielkie świeczniki, jako godła dostojenstw biskupa i rektora uniwersytetu. We środku tej oprawy osadzona marmurowa biała płyta, na której widnieje literami złotymi napis streszczający pełen zasługi żywot Strojnowskiego.

Nad płytą marmurową znajduje się nisza w postaci konchy, w której umieszczono bardzo udatne popiersie biskupa, wykonane przez prof. Jelskiego.

Pod płytą, w środku podwaliny, wmurowana olbrzymia tablica żelazna z herbem Strojnowskiego. Tablica ta, odlana w fabryce Wiszniowskiej, jest darem Adama hr. Chreptowicza.

Wilno.

*Dr. Władysław Zahorski.*



# Karol Brzostowski.

\* 1796 † 1854.

Reśląc wspomnienie o zasłużonym obywatelu filantropie, niepodobna przemilczeć o bracie jego dziada, księdzu Pawle Ksawerym referendarzu litewskim, a to z dwóch ważnych bardzo względów. Pierwszym jest ten, że na stanowisku pracy nad uobywateleniem ludu wiejskiego, Karol, był tylko naśladowcą czynów swego duchownego dziada i dla włości sztabińskiej uczynił w tym kierunku to w roku 1820, co tamten o pół wieku pierwej w Pawłowie. Że jednak ksiądz referendarz litewski, lubo urodzony jeszcze r. 1739, zmarł dopiero w r. 1828, należał zatem poważną częścią zasłużonego żywota i do w. XIX, a więc i z powyższego tytułu wplejadzie zasłużonych tego stulecia, wzmianka po-

czesna słusznie mu się należy. Ksiądz Paweł urodził się w Mosarzu na Litwie, kanonikiem wileńskim został już w 25-ym roku życia, a pisarzem wielkim litewskim w 32-im. Człowiek młody, miłośnik wielki dobra kraju, pałał żądzą pracy najzaczniejszej. Stąd poświęcał się literaturze, tłumaczył dzieła i poezye łacińskie i włoskie na język polski. Pisał sam dosyć i koszt swój dawał na druk dzieł pożytecznych. Tłumaczenie historyi polskiej Solignaca, logika księdza Narbutta, traktat Seneki «o łaskawości i gniewie,» drukowały się za hojnym wsparciem Brzostowskiego. Tłumaczyć kazał i wydał «*Dzieło o rolnictwie przez pana Duhamel du Monceau, na polski język przetłómaczone*» i «*Człowiek uniwersalny, Baltazara*



*Karol Brzostowski.*

*Gracyjana*», jak również *«Zabawki przystojnego człowieka»*.

Obok tych wszystkich prac, zasłynął Brzostowski ludzkością. Był chrześcijaninem nie tylko w słowach ale w czynie, więc umiłował gorąco braci rolników, zajmujących najniższe stanowisko w hierarchii społecznej i był jednym z pierwszych dygnitarzy w Rzeczypospolitej, który gorliwie usiłował podnieść stan materialny i moralny ludu wiejskiego, dając przez to hasło do stanowczej przemiany stosunków społecznych w kraju. Upředzając wiek swój, Brzostowski, znakomicie się zasłużył i dowiódł wielkiego serca i odwagi cywilnej. Nabywszy roku 1767 od Hipolita Korsaka dobra Merecz w wojew. wileńskim o 4 mile od Wilna i przyjrawszy się ciemnocie i gnuśności poddanych swoich, oddał swą myśl i serce dla poprawienia ich doli. Osiadłszy w Mereczu i nazwawszy dobra te od imienia swego Pawłowem, zaprowadzał rozmaite ulepszenia, wreszcie zawarłszy d. 10 marca 1769 r. ostateczną umowę z poddanymi, zawiązał formalną, oczywiście ekonomiczną a nie polityczną *«rzeczpospolitą pawłowską»*. Aktem urzędowym nadał włościanom wolność osobistą, władzę prawodawczą przelał na gminę, która była sejmem, a dziedzic jej zrobił się tylko dożywotnim prezydentem. Było tam wszystko swoje, powiada J. Bartoszewicz: finanse, wojsko, nawet artylerja i periodycznie zwoływane sejmy. Opis tej ciekawej instytucji znajduje się w dziełku: *«Pawłów od 1767—1795 roku od jednego domowego przyjaciela opisany»* (Wilno i Warszawa 1811 r.). Pawłowianie zdobywali się dla swego prezydenta, na różne dowody przywiązania i życzliwości. Postanowili np. w r. 1774 żeby wmurować tablicę kamienną w kaplicy pawłowskiej z napisem na wieczną rzeczy pamiątkę o zacnych czynach księdza Brzostowskiego, ale prezydent przez skromność odłożył na później spełnienie tego zamiaru.

W r. 1774 ogłosił Brzostowski konkurs na rozprawę: *«Co bardziej zachęca młódź do nauk, czy nagrody i pochwały, czy urzędy krajowe?»* Pierwszy więc i na tej drodze, usiłował pobudzić naród do rozumnej pracy i myślenia. Interes był obudzony i rozpraw kilka nadesłano z Polski i za granicy. Nagroda przysądzona została księdzu Michałowi Dudzińskiemu. W tymże r. 1774 Brzostowski został z pisarza wielkiego referendarzem

litewskim, ale mieszkał ciągle wśród gminy, gdzie np. odwiedził go zwiedzający Polskę uczony Carosi. Zresztą odludek, szczęśliwy był tylko w swoim Pawłowie, nie lubiąc wielkiego świata, który podniosłych jego idei nie odczuwał. W r. 1788 zapisał nowy fundusz 30,000 złp. na felczera i dyrektora, czyli nauczyciela dla włościan pawłowskich. W tym czasie gmina pawłowska stanowiła uchwały na rzecz kraju. Dnia 25 listopada 1790 r. postanowiono kazać odlać z działu trzyfuntowe dla artylerji litewskiej. Sejm czteroletni, zatwierdził wówczas rzeczpospolitą pawłowską, która odtąd byt swój prawny liczyć zaczęła, o co ksiądz Brzostowski napróżno przez lat 20 zabiegał. W r. 1794 Brzostowski szukał bezpieczeństwa w murach Warszawy, a postanowiwszy z kraju wyjechać zawarł umowę z Fryderykiem Moszyńskim, marsz. wiel. kor., mocą której zamienił z nim dobra Pawłów na Moszyńskiego folwark w Saksonii i pałac w Dreźnie. Gdy około roku 1800 powrócił Brzostowski na Litwę, zastał Pawłów sprzedany przez Moszyńskiego hrabiemu Choiselet Gouffier, zamieszkał więc w Turgielach, o ćwierć mili od Pawłowa, do którego zawsze ciągnęło go serce. Umarł w Wilnie roku 1828, mając lat 89.

Karol Brzostowski był wnukiem Stanisława wojewody inflanckiego, rodzzonego brata księdza referendarza, nic więc dziwnego, że będąc obdarzony szlachetnym charakterem, usiłował naśladować wielkoduszność swojego przodka po mieczu, jak niemniej i dziada po kądzieli zasłużonego Joachima Chreptowicza, dziedzica Szczors, który był ojcem jego matki. Młodym bardzo chłopcem wstąpiwszy w szeregi wojska Księstwa Warszawskiego, otrzymał uwolnienie już za czasów Królestwa kongresowego w stopniu kapitana wojsk polskich. Wówczas to osiadł w położonych nad Biebrzą w wojew. Augustowskim dobrach Sztabin, jedynym majątku, który w spadku po rodzicach odziedziczył, wprawdzie dość rozległym, ale ciężko odłужonym i w glebie bardzo nieurodzajnej.

Odtąd wszystkie swe siły, zdolności i pracę żelazną całego życia, poświęcił bezgranicznie jednej idei, a było nią oczyszczenie Sztabina z długów, rozwój przemysłu i rolnictwa, zniesienie pańszczyzny, podniesienie oświaty i moralności ludu i zapewnienie mu wszystkich warunków materialnego i duchowego dobrobytu na przyszłość.

Przedsięwzięcie, które łączyło w sobie zamiary tak sprzeczne materialnie, jak np. spłatę długów i zniesienie pańszczyzny dającej gospodarstwu robocizną, uważali wówczas wszyscy za tak niemożliwe do pogodzenia, że litowano się nad Brzostowskim, jako nad szlachetnym, ale stojącym nad przepaścią ideologiem. Jaką jednak jest potęgą siła ludzkiej woli w jednostce połączona z energią, wytrwałą pracą, rozumem i poświęceniem, dowiódł tego swojemu społeczeństwu młody Karol Brzostowski. Jeszcze w r. 1820 zniósł pańszczyznę i wszelkie t. zw. darmochy czyli jej dodatki, zamieniając na czynsze, a niezależnie od tego zaprowadził na folwarkach gospodarstwo na wzór zagranicznych parobczane i płodozmienne, jedno z najwcześniejszych w Królestwie. Dla włościan pozakładał szkółki wiejskie, do których rodzice pod karą pieniężną do skarbonki ogólnej, obowiązani byli regularnie dzieci swoje posyłać, a fundusz jaki z tego źródła, oraz z kar za inne uchybienia wpływał do skarbonki, szedł na doktora i lekarstwa dla chorych. W celu zapewnienia włościanom miejscowym i okolicznym wszechstronnego zarobku i korzystnego spożytkowania surowych materiałów, założył browar piwny, miodosytnię, fabrykę porteru, odlewów żelaznych, narzędzi i maszyn rolniczych, oraz hutę szklaną. Jak zapewnia «Tygodnik Ilustrowany» (z października r. 1859), to w fabryce żelaznej sztabińskiej pod kierunkiem Brzostowskiego i przez miejscowych jego robotników, zrobione zostały dwie całkowite maszyny parowe i pierwszy w kraju telegraf elektryczny, (idący z fabryki do folwarku). Tym sposobem jeden z najzapadlejszych, najcichszych i zarazem najzacofańszych zakątków kraju, zakipiał pracą, ruchem przemysłowym i kulturą zachodniej Europy.

Brzostowski założył dla włościan sklepy, dostarczające wszystkiego, czego wieśniak potrzebuje, (po cenach kosztu), lombard wiejski i kasę udzielającą w razie klęski pożyczek bez zastawu, które mogły być spłacanemi w drobnych ratach z tygodniowego zarobku. Po ćwierćwiekowej męczącej pracy zacny filantrop oglądał już pocieszające rezultaty swoich umiłowań. Lud w dobrach sztabińskich nauczył się czytać i pisać, znikło pijaństwo i żebractwo, wzrosła zamożność. moralność i pracowitość. Był to jednym słowem drugi Pawłów jego dziada referendarza, tylko o pół

wieku późniejszy, więc do potrzeb i kultury nowej epoki zastosowany.

Jako bezzenny, nie mając komu przekazać wykonania dalszych zamiarów, (miał tylko jedną siostrę także niezamężną), pomyślał wcześniej o oddaniu po swej śmierci dóbr sztabińskich jako instytucji publicznej w ręce człowieka, któryby głową i sercem odpowiadał trudnemu obowiązkowi kierowania gminą i zakładami przemysłowymi w duchu fundatora. Jakoż testamentem wyznaczył do tego p. Adolfa Gerschowa oficera inżynierii b. wojsk polskich, który też po śmierci Brzostowskiego, nastąpionej w Paryżu dnia 25 lipca 1854 r., zawiadomiony został przez władze sądowe, że wolą ostatnią nieboszczyka uproszony jest na administratora dóbr i fabryk sztabińskich.

Punktem 3-im testamentu zapisał Brzostowski włościanom i mieszkańcom wsi swoich, bez względu na stan i religję, wszystko czem tylko w dniu jego śmierci władali, na własność wieczystą. Zastrzegł obowiązek utrzymywania nauczycieli i szkółek po wsiach kosztem ogółu mieszkańców. Przewidując rozluźnienie instytucji po swej śmierci, usiłował zapobiedz temu surowemi obostrzeniami. Postanowił tedy, że każdy mieszkaniec dóbr, któryby dopuścił się krzywdy czyjejkolwiek, został np. złodziejem lub innym przestępcą, utracił prawo własności i wszelkie prawa przez testatora sobie nadane; — że każdy gospodarz, któryby w ciągu jednego roku, trzy razy był widziany w stanie opitym i nieprzytomnym, ma zdać gospodarstwo żonie, lub komu zechce; — że ktoby nie zajmował się osobiście gospodarstwem i przeniósł się gdzieindziej i dochody gospodarstwa tam przeżywał, odpada od wszelkich praw i własności w dobrach sztabińskich. Równie troskliwym i przezornym okazał się testator w zapewnieniu dożywotniej pensji oficjalistom i fabrykantom, ich wdowom i dzieciom, ustanawiając dobrze obmyślane przepisy emerytalne dla wszystkich.

Punktem 15-yim testamentu rozdzielił czysty dochód z dóbr i fabryk sztabińskich na cztery części, przeznaczając jedną z nich na coroczne podwyższenie kapitału obrotowego fabryk i gospodarstwa, drugą na wynagrodzenia gratyfikacyjne dla oficjalistów, fabrykantów i służących, wyróżniających się gorliwością i dobrem prowadzeniem, jak również na wsparcia dla dotknię-



tych przypadkowem jakim nieszczęściem. Dwie pozostałe części oddał administratorowi i jego rodzinie. Cały dokument napisany w duchu czasu i z głęboką miłością dobra ogólnego, przynosił zaszczyt społeczeństwu, do którego należał obywatel z tak podniosłym duchem i umysłem. Jak Brzostowski myślał, do czego całym życiem dążył i co czuł, najlepiej odzwierciedla następujące słowa, wyjęte z punktu 2-go w testamencie:

«Przez lat z górą trzydzieści mojego zarządu w dobrach Sztabin, doznawałem przychylności włościan miejscowych, opiekowałem się też nimi, i prowadziłem ich jako ojciec. Dla podniesienia majątku tworzyłem fabryki; fabrykanci wszyscy są przezemnie nauczani i uzdolnieni. Do pomocy w tak mozolnej administracji, brałem młodych chłopców jako aplikantów, którzy pod moim okiem kształcili się i z których mam dziś zdolnych do administracji, wiernych, przywiązanych i nawet po kilkanaście lat zasługujących oficjalistów. Włościanie, fabrykanci, oficjaliści i pomocnicy moi, oto są moje dzieci, ja ich wychowałem, oni pracowali ze mną i pomagali mi do stworzenia funduszu, którym dziś dysponuję; z nimi żyłem i sumienie mi dyktuje obowiązek być ich po mojej śmierci zabezpieczyć. Mając prawdziwie ojcowskie dla nich życzenia, nie chciałbym iluzją bogactwa, często nieroztropnych zawodzącą, odciągać ich od pracy. Znając po sobie, że w pracy jest bogactwo i szczęście człowieka, wzy-

wam ich do kontynuacji życia, tak jak dotąd je pędzili, a zapisem niniejszym chcę im dać możliwość żyć przy pracy uczciwie, niezawisłe od żadnych panów z cudzej pracy zbytkujących, i być nadal użytecznymi w społeczeństwie, tak, jak dotąd pod moim przewodnictwem byli.»

Testament Karola Brzostowskiego ogłoszony został drukiem w oddzielnej broszurze p. t. «Wypis urzędowy z testamentu ś. p. Karola Brzostowskiego.» Druk Ungra, 1855 r., w 16-ce, str. V i 63, z portretem litografowanym testatora.


Jak każde dzieło ludzkie, a zwłaszcza dzieło człowieka postępującego nowymi torami, testament ten mógł mieć swoje niedokładności i pewne wady z przyczyn niezależnych od zapisodawcy. Stwarzał instytucję idealną nie przewidując, że w zmieniających się radykalnie warunkach administracyjnych i prawodawczych całego kraju, instytucja podobna jako odosobniona i wyjątkowa, gdy pozbawiona zostanie tak dzielnego opiekuna i kierownika, jakim był sam znakomity jej twórca, siłą samej konieczności nachyli się do upadku i runie. Gdy w dodatku po zgonie wielkiego filantropa nastąpiły zwykłe usiłowania prywatne o zwalenie jego testamentu i procesy sądowe, instytucja sztabińska, jakkolwiek przez jakiś lat dziesięć swojego osierocenia rozwijała się dość pomyślnie, później jednak zmarniała zupełnie.

*Zygmunt Gloger.*



# Stanisław Jachowicz

\* 1796 † 1857.

 o Klementynie Hofmanowej, która dała u nas początek oryginalnej literaturze dla dzieci, nasuwa się każdemu drugie nazwisko człowieka, który równie chlubnie zapisał się w jej dziejach — Stanisława Jachowicza. Nazwisko to zaś z tem większą czcią wspominamy, że pisanie dla dzieci, które za cel życia swego uważał, nie było jedyną jego zasługą: do wpływu, który przez pisma swoje wywierał na młodych czytelników, dołączał się jeszcze silniejszy wpływ żywego słowa, wpływ nauczyciela na uczniów i uczennice, a z tem nauczaniem słownem, wiązała się organicznie nauka czynów, zgodnych z głoszonymi zasadami, a przeniknionych jedną tylko myślą chrześcijańskiej miłości bliźniego, czynienie dobrze dla samego dobra, nie licząc na żadną nagrodę.

Niechący dał własny swój wizerunek w bajeczce p. t. *Jacus*:

W cieniu czterech topoli stała niska chatka

W niej dzieci grzeczne, uprzejme, kochane,

W pobożności wychowane.

Jeden szczególnie chłopczyk, jako pączek róży,  
Mówił, że wszystkich kocha, że u wszystkich służy.

Temu przynieść dzban wody, temu użąć trawy,

Temu ptaszka ułować, przyspożyć zabawy,

Temu naprawić siatkę, chlebem się podzielić,

Chorego przypilnować, smutnych rozweselić,

To jego zatrudnienie.

Zaledwie słońce pierwsze śle promienie,

— Nasz Jacus już na wozie — «Gdzie jedziesz tak

[rano?»

«Wczoraj prosił mnie sąsiad, bym mu przywiózł siano.

— «Zejdź, Jacusiu, mówili, napijesz się mleka».

«Bóg zapłać! zejść nie mogę, bo mnie sąsiad czeka».

«Dziwny chłopak!» powtarzali —

Śmieli się, ganili, a jednak kochali.

Mniemacie, że jaśniejąc sercem nie zrównanem

Został panem?

Oj! całe życie stapał po cierniu i głogu,

Czynem, walką z cierpieniem wypłacał się Bogu,

Powiadał mi dziadunio, że dotąd pamięta,

Jak kiedy Wielkanocne obchodzili święta,

Wszędzie, u najuboższych bywało święcone,

A on, choć miał oszczędną, gospodarną żonę

Nie wiedział, co to szynki, kiełbasy, kołacz;

Ale wiedział gdzie chory, gdzie sierota płacze

Smutno w jakiejś chałupce — Jacus we drzwiach staje:

Tego słowem pokrzepi, temu wsparcie daje,

Temu jak z nieba gwiazda wśród ciemności świeci,

Temu nagie w koszulki przyodziewa dzieci.

Matki troską dotknięte: «Jacus!» wykrzykały,

Jak gdyby go w nieszczęściu o pomoc wzywały.

Znam dotąd jeszcze jedną, co mu to przysłowie.

Niejednemu pomieścić nie mogło się w głowie,

Skąd Jacus zawsze w ustach? a jednak tak było:

Bo czego pełne serce, to się i mówiło.

Umarł Jacus, lży oschły, zakłęśła mogiła,

Żadna o nim pamiątka ludziom nie świadczyła,

A jednak być Jacusiem bardzoby się chciało,

O! bo cóż to za serce, które tak kochało!

Stanisław Jachowicz urodził się 17 kwietnia 1796 roku w Galicyi, w Dzikowie, słynnym w dziejach z zawiązanej tam niegdyś konfederacyi, celem utrzymania na tronie Stanisława Leszczyńskiego, a także ze starożytnego kościoła z cudownym odrazem Matki Boskiej. Rodzina Jachowiczów szlachecka, niezbyt zamożna ale uczciwa, bogobojna, pełna cnót domowych i obywatelskich, dawała dziecięciu tak czystą atmosferę moralną, jaką tylko można wymarzyć. P. Floryan Łagowski w studyum p. t. *Dzieciństwo i młodość Stanisława Jachowicza* robi uwagę, że trudno

dzisiaj znaleźć gdziekolwiek, podobny wzór charakterów subtelnych, jak te, które odnajdujemy w przechowanej korespondencji rodzinnej. To też wspomnienie ojca, który go wcześniej odumarał, i naukom serdecznie kochającej matki zawdzięczał w znacznej części przyszły poeta te zasady, które mu przewodniczyły w życiu późniejszym. A było to dziecię pojętne i nad wiek poważne, a dobre, łagodne i uprzejme, czem sobie jednało miłość powszechną. Nauki szkolne pobierał w gimnazjum w Stanisławowie, które — jak wszystkie ówczesne szkoły galicyjskie — było zupełnie niemieckie; niektórzy jednak nauczyciele umieli dodatnio oddziaływać na młodzież; takim był zacny prof. Promiński, dzięki któremu Jachowicz i jego koledzy mieli sposobność obznajmić się ze skarbami piśmiennictwa polskiego. W roku 1815 po ukończeniu gimnazjum wstąpił na uniwersytet lwowski, gdzie przebywał do roku 1818. Tutaj młodzież, broniąc się przeciw wpływowi germanizacyjnemu, łączyła się w kółka, które brały sobie za główne zadanie kształcenie się w literaturze ojczystej; zdolniejsi uczestnicy próbowali naturalnie swych zdolności pisarskich, a utwory ich bądź w rękopisie obiegały koło kolegów, bądź dostały się na szpalty ówczesnych pism lwowskich «Pszczołki lwowskiej», «Pamiętnika lwowskiego» i «Haliczanina», redagowanych przez Walentego Chłędowskiego. Jachowicz ze szczególnem upodobaniem studiował poetów z epoki stanisławowskiej, Krasickiego, Kniaźnina i Karpińskiego; nie zaniedbywał też studiów nad literaturą łacińską i niemiecką, o czem świadczy znaczna liczba wierszy tłómaczonych, naśladowanych i oryginalnych, datujących już od r. 1813. W r. 1818 chętnie zgodził się na propozycję radcy prokuratoryi, Strzeleckiego i przyjechał do Warszawy, gdzie życie umysłowe bardziej było rozbudzone niż we Lwowie i przyjął skromną posadę biurową. Ta praca nie zaspakajała idealnych dążeń młodzieńca; inne poczuł on wkrótce powołanie i poszedł za jego głosem. Już w r. 1819 pomimo awansu, porzucił biuro i oddał się pracy nauczycielskiej, poświęcając się zwłaszcza nauczaniu dziewcząt. Przeważnie dawał lekcye po pensjach prywatnych i tu niewątpliwe położył zasługi. Jeżeli Hofmanowa w swej *Pamiętce* pierwsze postawiła żądanie, ażeby w programie nauki kobiet przyznano należne miejsce językowi i literaturze ojczystej, jeżeli

w *Listach brata do siostry* piętnowała polki, wyrażające się niepoprawnie we własnej mowie, a w «Rozrywkach» mieściła liczne wyjątki z autorów klasycznych; to Jachowicz bodaj pierwszy zajął się zmuśną pracą nauczania zasad gramatyki, składni i pisowni i stylu, a co więcej ową naukę tak abstrakcyjną, owe nużące dzieci odmiany i rozbiory umiał im uczynić miłymi i interesującymi; przy nauce języka uczył myśleć i przez to odbierał jej zwykłą suchość. Nie zgadzają się biografowie co do wysokości wykształcenia teoretycznego, które Jachowicz posiadał w zakresie pedagogiki, ale nietylko pisma jego świadczą, że postępy nauki w tej dziedzinie nie były mu obce, lecz przede wszystkim praktyczne wyniki jego pracy dowodzą istotnego talentu pedagogicznego. Z uczennic — to Jachowicza wyszedł cały szereg mniej lub bardziej zasłużonych autorek, których nazwiska chlubnie się zapisały na niwie literatury polskiej: utalentowana poetka, Walentyna Trojanowska (z męża Horonkowiczowa), Józefa Prusiecka, autorka wielu powiastek dla dzieci, Eleonora z Gagatkiewiczów Ziemięcka, późniejsza filozofka, Józefa Kamocka, przyszła autorka rozpowszechnionej gramatyki polskiej, z wdzięcznością wspominały Jachowicza, jako mistrza, któremu zawdzięczały pierwszą zachętę i wskazówkę w swej pracy.

W r. 1822 stracił Jachowicz ukochaną matkę, w następnym 1823 wstąpił po raz pierwszy w związki małżeńskie z Salomeą Jabłońską, nie długo się jednak cieszył szczęściem, bo już w r. 1825 stracił żonę i synka, Dobrosława. W tym czasie zebrał po raz pierwszy owoc swej pracy literackiej, poświęcony dziatwie; w r. 1824 ukazuje się w Płocku pierwsze wydanie *Bajek i powiastek*. Jest to ważna data w dziejach naszej literatury dla dzieci. Wprawdzie potrzeby umysłowe dziatwy polskiej zaspakajać zaczęła już wcześniej Klementyna Tańska przez swoje *Powieści moralne* (1820) i *Wiązanie Helenki* (1813), lecz zaspokoiła je w jednym tylko kierunku: pozbawiona daru poetyckiego i przeciwnie wszelkiej egzaltacji nawet w dobrem, przemawiała przez swe powiastki głównie do rozsądku; Jachowicz wystąpił jako poeta i zapukał do serduszek, dziecięcych. Do ukazania się jego bajeczek, dzieciom dawano do czytania i uczenia się na pamięć, bajki Krasickiego i innych autorów z epoki stanisławo-



Według litografii Banku Polskiego w r. 1858.

*Stanisław Jachowicz*

wskiej, rzeczy niewątpliwie dobre, ale nie zastowane do pojęć dzieciennych, trudne zarówno pod względem języka jak i myśli. Jachowicz pierwszy wziął za treść do swych utworów drobne zdarzenia z życia dzieci i starał się zastosować do swych czytelników nawet pod względem użytych wyrazów. Sam o tem mówi w następującym wierszu:

Raz powiedziałem: ja dla dzieci piszę,  
Tak się wyrażam, jak z ich ustek słyszę;  
Język dziecięcy, toć już rzecz nie nowa:  
Jestto oddzielna, rzewna serca mowa.  
U nich świat inny i poezya inna —  
Do ich serduszek podobną być winna  
Drobne serduszek, wyrazy zdrobniałe.  
Dzieci tak lubią to wszystko co małe:  
Mały im konik wielką rozkosz sprawi,  
Lalka że mała najlepiej zabawi;  
Małym wózek tak się chętnie wożą;  
Mali z małymi tak chętnie gaworzą.  
Z dziećmi się łączę daleki od sławy;  
Jeśli coś piszę, to dla ich zabawy,  
A przy zabawie nauczki okroję.  
Dzieci! powiastki poświęcam wam moje!

Wprawdzie dziś pedagog niejedno może zarzucić tym bajkom; wbrew życzeniu autora znalazły się tam i zbyt trudne do zrozumienia dla dzieci, więcej zaś takich, które dzieci nudzą z powodu zbyt wyraźnej tendencji moralizatorskiej, ale nawet po odrzuceniu pewnej liczby utworów słabszych, mamy całą skarbnicę wierszyków, które dotąd jeszcze, przedrukowywane ciągle, należą do najpopularniejszych wśród dziatwy, np. o tym Stasiu, co na sukni zrobił plamę; o Tadeuszu, co muchy dręczył; o chorym kotku, co leżał w łóżeczku; o Zosi, co dziurki nie chciała zaszyć i wiele innych podobnych. W trzy lata później w r. 1827 wydał Jachowicz niewielką książeczkę p. t. *Pamiętnik dla dobrych dzieci*, w którym znajdowało się 11 bajek prozą, 5 opowiadań historycznych, 8 powiastek moralnych i 6 wierszyków treści religijno-moralnej. W r. 1829 wyszła *Nauka o zabawie*, jest to rodzaj pamiętnika chłopca, który opisuje jak i czego się uczył — głównym celem autora była zachęta do nauki. W następnym r. 1830 ukazały się *Rozmowy z Józefem*, książeczka, która miała na celu przy pomocy odpowiednich pogadanek przygotować umysł dziecka do nauki wogóle, a przede wszystkim do gramatyki. Jakkolwiek przedmioty rozmów są niekiedy

abstrakcyjne a tem samem nieodpowiednie dla nauki przedszkolnej, talent autora w wyjaśnieniu trudnych nawet pojęć sprawia, że i dziś wychowawca może z tej książki odnieść pewną korzyść. W tymże roku zaczął Jachowicz wydawać czasopismo p. t. *Dziennik dla dzieci*. Nie było ono u nas pierwsze, gdyż już między rokiem 1824 a 1828 ukazywały się *Rozrywki* Tańskiej, względem których — co nas nieco dziś dziwi — zachowywał się Jachowicz zupełnie obojętnie, nie znajdujemy tam bowiem żadnego utworu jego pióra, później (obok innych czasopism, mających żywot bardzo krótkotrwały) *Tygodnik dla dzieci* pod redakcją Ignacego K. Chrzanowskiego, gdzie Jachowicz pomieszczał swoje *Rozmowy ojca z synem*. *Dziennik dla dzieci* wyróżniał się naprzód tem, że ukazywał się codziennie oprócz świąt i niedziel; lecz przede wszystkim posiadał pewien ton serdeczny, jakim nikt dotąd nie odzywał się do dzieci. Pismo to jednak wychodziło tylko rok jeden.

W roku 1832 zostaje Jachowicz członkiem Towarzystwa dobroczynności i na tem stanowisku rozwija bardzo pożyteczną działalność. Jego głównie zabiegom zawdzięczamy założenie szkoły dla sierot chłopców, która początkowo zaledwie 12 chłopcom dawała przytułek; skoro zaś Jachowicz przystąpił do dzieła i wzięwszy na siebie zadanie ałmużnika, począł zbierać składki wśród wszystkich warstw społeczeństwa, za zgromadzoną w ten sposób sumę 12,000 złp zbudowano dom, w którym wychowywało się ich 170. Jachowicz również w r. 1839 należał do założycieli pierwszych ochron w Warszawie, które wiele miejsca zajmowały w jego myślach, a nawet odbiły się i na jego działalności literackiej: w późniejszych wydaniach bajek znajdujemy coraz to więcej rozmówek i piosneczek, przeznaczonych dla dzieci z ochrony. Tym sposobem ten pedagog-filantrop dał też początek literaturze dla dzieci ubogich. Gdy wśród utworów dawniejszych powiastki np. Hofmanowej były pisane dla dzieci zamożnych lub zubożałych, skutkiem nieszczęśliwych wypadków losu, a książki takie, jak *Pielgrzym w Dobromiłu* były raczej przeznaczone dla ludu, więc dla czytelników dorosłych choć nieoświeconych, niż dla dzieci.

W roku 1833 Jachowicz ożenił się powtórnie z Antoniną Ośniałowską, dawną swą uczenni-



ca, a chociaż dopiero po dziewięciu latach małżeństwa doczekał się syna Eryka (1842), a w cztery lata później drugiego syna Rudolfa (1846) już od r. 1840 miał dom pełen dzieci, wychowywał bowiem czworo sierot, pozostałych po siostrze swej żony, a nadto osierociałą swą uczennicę Sewerynę Struf, którą znał tylko z pensyi. A ileż tradycja przechowała nam innych przykładów jego dobroczynności! to honorarium swe za lekcye oddawał jako wpis za ubogie uczennice, to uczył darmo w szkołkach, założonych przez swe uczennice; to na ulicy, jak św. Marcin, gotów był zdjąć z siebie ubranie, aby niem biednego przyodziać; to jakieś staruszcze dawał egzemplarze swych książek, aby z ich sprzedaży mogła swe najpierwsze potrzeby opędzić. Wobec tego, praca literacka zaledwie mogła wystarczyć na najskromniejsze utrzymanie. A przecież Jachowicz był bardzo płodnym pisarzem i zasypywał niemal działwę swemi książkami. W r. 1837 wyszła niewielka książeczka p. t. *Zabawka dla małych dzieci czyli sto-pniowce czytanie, ułożone według dziełka pana Gauthier*, w r. 1848 *Czytanie Józ*, zbiorek opowiadań i artykułików, przeznaczonych dla dziewczynek w wieku lat 10 do 12; między rokiem 1846 a 1852 wydał cztery tomy *Pamiętnik dla Eryczka*, dziełka poświęconego najstarszemu synowi; w roku 1848 i 1849 wydał Jachowicz *Kalendarzyk dla dzieci*, w tymże roku 1848 wyszła *Zabawka abecadłowa*, dająca wskazówki, jak uprzystępnąć dzieciom rozpoznawanie liter; w roku 1855 i 1857 wyszły dwa tomy *Śpiewów dla dzieci* z melodyami najznakomitszych muzyków ówczesnych, jak Moniuszki, Szopena, Dobrzyńskiego, Komorowskiego i innych. Są to w tych śpiewach prawdziwe skarby poezyi: są piękne utwory religijne, jak owa dziecięca pieśń wieczorna:

Błyszczą gwiazdki na błękiecie,  
Jakaż wielka Boska moc!  
Spojrzyj Boże na swe dziecię  
Daj mi Panie dobrą noc.

Są piosneczki odpowiednie przy różnych zajęciach lub zabawach, jak owa pieśń o zboże dla dzieci z ochrony:

Kto chce wiedzieć, kto chce słyszeć,  
Co się z zbożem dzieje:  
Oto tak, oto tak (dzieci naśladują odpo-  
wiednie ruchy)  
Ojciec zboże sieje.

albo pieśń przy grze w ślepą babkę:

Kółko krąż, kółko krąż,  
A ty babko oczki wiąż.

Są dalej piosenki, zastosowane do rozmaitych zawodów i fachów, budzące w dzieciach ubogich poczucie własnej godności, a w zamożniejszych poszanowanie dla każdej pracy uczciwej, jak np. pieśń kominiarczyka:

Chociem brzydki, chociem czarny,  
Alem chłopak grzeczny:  
Nie dbam wcale o wdzięk marny,  
Dość, żem pożyteczny.

Coby to na świecie było,  
Gdyby nas nie stało?  
Dla tej myśli wszystko miło,  
Ruszam w komin śmiało.

Zawsze mnie ta myśl ożywia:  
Ma świat korzyść ze mnie,  
Jak to serce uszczęśliwia,  
Jakże to przyjemnie!

Nie gardźcie mną, lube dziatki;  
Że ubiór nieładny;  
Nie straszcie mną, dobre matki,  
To zwyczaj szkaradny.

Za co ja wam tak niemiły?  
Za cóż tak obrzydłem?  
Kogo zbrodnie oszpeciły,  
Ten tylko straszylem.

Kto pracuje w czoła pocie,  
Zawsze godzien chwały:  
Cała wartość czełka w cnocie,  
W pracy zaszczyt cały.

W roku 1855 wyszła również zapomniana dziś a przecież bardzo udatna w pomyśle i wykonaniu *Książeczka Stefcia*, zawierająca oprócz powiastek prawdziwe zdarzenia z życia ludzi zasłużonych, jak ks. kanonik Jurgowski, Teofil Janikowski, ks. Wincenty Głoskowski. W r. 1857 wyszła znów bardzo ładna książeczka p. t. *Ćwiczenia pobożne dla dzieci*. Z pomniejszych utworów wspomnimy jeszcze: *Siedm obrazków z życia Jezusa*, *Rady wuja dla siostrzenicy*, *Kościelny w dzień Wielkiejnocy*, *Przestroga dla mojej kochanej siostrzenicy*, *idącej za męż*, *Myśli o krzyżu*, *Wierszyki moralne*, *Ojciec do syna rolnika*, *Podróż po kraju*, *Nadwiślanin*, *Książka dla rzemieślników*, *Rozrywki dla młodzieży rzemieślniczej*. W papierach pośmiertnych pozostały jeszcze *Pomysły do poznania za-*

*sad języka polskiego* (wyd. 1858) oraz *Elementarz* i trochę utworów drobniejszych, które wydano później jako kalendarzyk za r. 1876.

Ta bogata spuścizna dowodzi, że śmierć, która nastąpiła 24 grudnia 1857 r., zabierając przeszło 60-letniego starca, dla gorliwego pracownika przyszła zawczasie, nie dając mu wykonać wszystkich już ułożonych planów. Dozwolonem mu było jednak przed zgonem posiąść to, za czem nie oglądał się nigdy — uznanie całego społeczeństwa, którego wyrazem było kilkotomowe wydawnictwo p. t. *Wieniec* ku uczczeniu i na dochód zasłużonego pracownika.

Dzielo to, którego ostatni tom wyszedł już po śmierci Jachowicza, zawierało utwory wszystkich autorów i autorek współczesnych, w uznaniu bowiem dla poety, nauczyciela i filantropa w jednej osobie zjednoczyli się nawet ludzie wprost przeciwnych przekonań. I dziś, gdy wkrótce upłynie lat 45 od czasu, jak zwłoki Jachowicza spoczęły na cmentarzu Powązkowskim, wszyscy wychowawcy i nauczyciele polscy zgodzić się muszą, że jego utwory stanowią ozdobę naszej literatury dziecinnej, a jego życie może być wzorem dla każdego pedagoga.

*Aniela Szyg.*

# Henryk Dembiński.

(\* 1791 † 1864).

Ród Dembińskich był jednym z większych i możniejszych rodów małopolskich,

zdawna w województwie Krakowskim osiadłych. Niemало liczył senatorów i wyższych urzędników koronnych, a skoliigacony był lub spokrewnionny ze wszystkimi niemal wielkimi Rzeczypospolitej rodami. Ignacy Dembiński, chorąży krakowski, poseł na Wielki Sejm, człowiek światły i wielkiej wartości moralnej, był jednym z najgorliwszych, najczynniejszych i najbardziej oświeconych członków stronnictwa reformy. Na sejmie gorąco po-

pierał sprawę sprzedaży starostw i, acz z urodzenia i z majątku sam raczej do magnatów niż do po-

spolitej szlachty mógł być zaliczony, przemawiał za ustawą, któraby, znosząc majoraty i ordynacje, istnieniu możnowładztwa kres położyła. Żonaty z Maryanną Moszyńską, kobietą wielkiego serca i niemałego rozumu, miał z nią dwóch synów: Henryka, późniejszego generała i Ludwika. Po upadku konstytucji cofnął się do zacisza domowego i wkrótce umarł.

Henryk, otrzymawszy pod rozumem kierownictwem matki bardzo staranne wy-



*Henry Dembiński*

chowanie domowe, w r. 1807 wstąpił do szkoły wojskowej w Wiedniu. Na początku r. 1809 otrzymał był awans na oficera, ale go nie przyjął. Była to właśnie chwila, gdy Austria rozpoczęła wojnę przeciw Francji i Księstwu Warszawskiemu.

Młody Dembiński potajemnie przedostał się do Księstwa Warszawskiego i zaciągnął się do 3-go pułku szaserów, jako szeregowiec. Z austriackiego patentu oficerskiego nie chciał korzystać, pragnąc szlify własną zdobyć zasługą. Jakoż przy końcu kampanii był już podporucznikiem.

Mianowany porucznikiem na początku r. 1812, wojnę rosyjską rozpoczął jako młodszy adjunkt sztabu 4-ej (Wielhorskiego) dywizyi. W szturmie Smoleńska na polu bitwy z własnych rąk Cesarza otrzymał stopień kapitana i krzyż kawalerski Legii Honorowej. W dalszym ciągu wojny rosyjskiej oraz w następnych kampaniach r. 1813 i 1814 czynny brał udział, został dwukrotnie raniony i otrzymał krzyż złoty polski. Po upadku Napoleona i powrocie wojsk polskich do kraju, wyszedł do dymisy i osiadł na wsi w Krakowskiem.

Po wybuchu listopadowym, aczkolwiek posiadał tylko stopień kapitana, powierzono mu formację, a następnie dowództwo 2-go pułku jazdy Krakowskiej. Sprawą tą zajął się bardzo gorliwie i już w pierwszych dniach Stycznia r. 1831 stał na czele pułku, przyzwoicie wyćwiczony i bardzo dobrze zaopatrzonego. W charakterze dowódcy pułku został widocznie uznany za pułkownika, bo, przynajmniej od końca Lutego, tak jest w papierach urzędowych tytułowany. Wszakże na ślad awansu formalnego nie mogłem natrafić, ani też na ślady jego awansów na majora i podpułkownika.

Zaraz po rozpoczęciu działań wojennych wezwany do armii głównej, przybył do niej d. 25 Lutego, wilią bitwy Grochowskiej. W bitwie tej brał udział jako dowódca tymczasowy brygady ranionego na kilka dni przed nią Suchorzewskiego. W zreorganizowanej po bitwie armii objął w dywizyi jazdy Łubieńskiego dowództwo 3-ej brygady (pułk 5-y ułanów, 2 szwadrony poznańskie i 2 szwadrony mazurów).

Na czele tej brygady walczył pod Dębem Wielkim i brał czynny udział w prowadzonym przez Łubieńskiego pościgu rozbitych w tej bitwie

wojsk rosyjskich. Gdy po bitwie pod Iganiami nastąpiła koncentracja wojsk rosyjskich na pozycjach pod Siedlcami, Dembiński ze swoją brygadą, wzmocnioną przez dwa bataliony piechoty i cztery działa, tworzył awangardę korpusu, zajmującego Mińsk i Cegłów (dywizya piechoty Giełguda i dywizya jazdy K. Skarżyńskiego). Był to posterunek nader ważny, bo korpus ten zajmował drogę, która, wrazie operacyi zaczepnej rosyjan, stanowić musiała ich główną linię operacyjną. Dembiński ze swoim oddziałem stał szeroko w Kuflewie i okolicach, pilnując trzech dróg, prowadzących od strony wojsk rosyjskich do tej stanowiącej klucz pozycyi polskich miejscowości. Na drodze do Jeruzalem i Kołacza, na wzgórku leśnym około grobli stał 5-y ułanów, z posterunkiem przednim w samym Kołaczku; na drodze do Wodynia znajdowała się kompania piechoty, a batalion piechoty na drodze do Kałuszyna i Suchej. Sam Kuflew zajęty był przez 2 szwadrony Mazurów i kompanię piechoty, a o 1000 kroków poza nim niewielki szańczyk obsadzony był przez baterję 4-działową i 2 kompanie piechoty, mając w asekuracyi 2 szwadrony Poznańskie.

Feldmarszałek nie był o dyslokacyi wojsk polskich dobrze poinformowany i planowaną akcyę zaczepną rozpocząć musiał od szerzej pomyślanego rekonesansu. Początkowo jednak przeznaczył był do tego celu słabe siły—4 szwadrony i 3 seciny jazdy z 6 działami pod dowództwem generała Mandersterna. W d. 21 Kwietnia generał rosyjski ruszył ze Skurcza w kierunku Kuflewa, po drodze na Jeruzalem i Kołacz, brnionej przez 5-y ułanów (4 szwadrony bez artyleryi), zadał temu pułkowi dotkliwe straty i zepchnął go z pozycyi, przyczem pułkownik Gawroński dostał się był do niewoli, ale został odbity. Przybyły pod koniec sprawy z 2-ma szwadronami Mazurów Dembiński ocalił ułanów od klęski i zmusił Mandersterna do odwrotu.

Zamierzona przez Diebitscha operacya zaczepna rozpoczęła się w d. 24 Kwietnia. Wszystkimi trzema drogami ruszyła armia rosyjska, podzielona na trzy kolumny, które miały się skoncentrować właśnie pod Kuflewem. Polacy byli zawczasu o ruchu Diebitscha zawiadomieni. Prądzynski i Chrzanowski gorąco nalegali na Skrzyneckiego, aby przyjął bitwę generalną, ale wódz

naczelnym wierzył w możliwość takiej bitwy tylko na pozycji grochowskiej i dlatego, wywołując ze strony cierpliwego zwykle Chrzanowskiego gorzką uwagę: »Prowadzimy wojnę, jak tchórze,«—zarządził odwrót. Aby go jednak bezpiecznie wykonać, musiał skoncentrować się w Mińsku, a do tego trzeba było zyskać dzień czasu. Trudne zadanie powstrzymania przez cały dzień rosyjan powierzono zostało Dembińskiemu.

Dembiński 24-go wysłał szwadron Poznańczyków do Borowia, nakazując mu pojawić się na lewym skrzydle rosyjan przy ich oczekiwanym ataku na Kuflew. Z resztą jazdy (7 szwadronów) stanął w 2-ch eszelonach (w 1-ym 5-y ułanów, w 2-im 2 szwadrony Mazurów i szwadron Poznańczyków) przed Kuflewem, a wieś samą obsadził piechotą (2 bataliony) i artylerią (4 działa). 25-go po południu przed frontem 5-go ułanów pojawili się kozacy, których jednak skutecznie powstrzymał od szarży manewr szwadronu poznańskiego na ich lewym skrzydle. Ale niebawem nadeszło z 6 działami 6 szwadronów huzarów, które uderzyły na 5-ty ułanów i rozerwały go na dwie części. W interwale rozdartego pułku pojawił się Dembiński z 2-ma szwadronami Mazurów i ocalił sytuację, poczem, naciskany przez rosnące z każdą chwilą siły rosyjskie, zaczął się powoli cofać na Kuflew, gdzie miał piechotę i artylerię. Prażony ogniem artylerii rosyjskiej, szarżowany przez coraz liczniej przybywającą jazdę, dla powstrzymania kierowanego osobiście przez feldmarszałka potężnego naporu, zdecydował się na kontr-atak, który na czele dwóch szwadronów Mazurów i szwadronu Poznańczyków sam poprowadził z ogromną brawurą i z dobrym skutkiem. Przy tym kontr-ataku Mazury zostali otoczeni, ale ich salwowała szarża flankowa 2 szwadronów ułanów.

Sił rosyjskich przybywało co chwila. Linia ich zaczynała się od prawego skrzydła zaginać, grożąc polakom obejściem ich lewego skrzydła. Dembiński cofał się z wielkim trudem i z ciężkimi stratami, jednak nie dał się oskrzydlić i dotarł do Kuflewa, gdzie wysunięta naprzód piechota i artyleria powstrzymały rosyjan. Gdy przybyło ich więcej, pułkownik poprowadził dalszy odwrót na Cegłów, osłaniając się uszykowanym w szachownicę 5-ym ułanów, za którego frontem była artyleria; pułk ten długo wstrzymywał liczącą 10 szwadronów jazdę rosyjską drobnymi szar-

żami, wreszcie szybkim ruchem zdemaskował swoją baterię, która lunęła w rosyjan kartaczami *à bout portant* i zmieszała ich szeregi. Wtedy rosyjanie rozwinęli baterię z 10 dział, a na lewe skrzydło polskie rzucili 4 bataliony piechoty. Dembiński cofnął okropnie wyniszczoną jazdę do drugiej linii, naprzód wysunął piechotę, a artylerię ustawił na trafnie obranej pozycji, skąd skutecznie ostrzeliwała wychodzące z lasu wojska rosyjskie. W ten sposób, odstępując krok za krokiem, co chwila przechodząc do akcji zaczepnej i nie dając się oskrzydlić, o późnym zmroku dotarł do Cegłowa, gdzie się połączył z Giełgudem, i nazajutrz wziął czynny udział w bitwie pod Mińskiem.

Bitwa pod Kuflewem, w której polacy mieli do czynienia z siłami nieprzyjacielskimi, co chwila rosnącymi i przy końcu sprawy przewyższającymi już ich sześciokrotnie, a pomimo to nie dali się ani otoczyć, ani rozbić, zwróciła powszechną uwagę na pułkownika Dembińskiego, który dotychczas znany był tylko jako świetny kawalerzysta. Rozkazem dziennym z d. 2 maja został on posunięty na generała brygady, a w nowej formacji armii, wobec zamierzonej wyprawy na gwardyę, otrzymał dowództwo kolumny samodzielnej, złożonej z 18-go liniowego (nowej formacji 2 bataliony), 4-ych batalionów 4-go liniowego i 3-go strzelców pieszych, pułku 3-go ułanów, 2 szwadronów poznańskich i półbaterii artylerii, — ogółem 4 bataliony, 6 szwadronów i 5 dział.

Na początku wyprawy kolumna ta stanowiła skrajne lewe skrzydło armii i ruszyła prawym brzegiem Narwi na Ostrołękę, aby opanować znajdujący się tam most i uniemożliwić gwardyom przeprawę, gdyby, po ewentualnem rozbićiu, cofały się one do Ostrołęki. Dembiński dotarł do Ostrołęki 17 maja. Miasto było zajęte przez gen. hr. Osten-Sackena. Dembiński 18-go o świcie rozpoczął przeciw jego siłom głównym kanonadę, którą wszakże o godzinie 9-ej rano musiał przerwać dla braku amunicji. O 11-ej Osten-Sacken, zawiadomiony o pochodzie Giełguda na Ostrołękę, pośpiesznie opuścił miasto i skierował się na Miastków. Giełgud przybył o godzinie 3-ej. Dembiński opanował most i przez to spełnił dane mu zlecenie, ale jego nieogłędne szafowanie amunicją w kanonadzie rannej sprawiło, że w chwili



stanowczej nie mógł powstrzymać Osten-Sackena do czasu przybycia Giełguda i musiał zezwolić na jego ocalenie się od zupełnej zagłady.

Po tej potyczce Dembiński pozostał w Ostrołęce i w d. 25 maja połączył się tam z cofającą się po nieudanej wyprawie na gwardye armią główną. Nazajutrz wziął czynny udział w nieśczęsnej bitwie pod Ostrołęką. Po jej ukończeniu na odbytej konno radzie wojennej, gdy postanowiono odwrót do Warszawy, Prądzyński i Małachowski zwrócili uwagę, że znajdująca się w Łomży dywizya Giełguda zostanie odcięta od sił głównych i narażona na zgubę. Wtedy Dembiński wystąpił z propozycją wysłania Giełguda na Litwę i podjął się zawiezienia mu na czele swego oddziału tego rozkazu, a następnie uczestniczenia w tej wyprawie.

Był to pomysł sam w sobie bardzo dobry: Jego korzyścią bezpośrednią było ocalenie Giełguda, który w razie przeciwnym musiałby zginąć; mógł też on przynieść i niemałe korzyści pośrednie: Dywizya Giełguda, w połączeniu z korpusem Dembińskiego i oddziałem partyzanckim Zaliwskiego, wynosiła do 12000 ludzi z 26 działami i, przy działaniu rozumnem i energicznem, mogła nadać powstaniu litewskiemu charakter bardzo groźny dla rosyjan, przeciąć działającej w Królestwie armii rosyjskiej komunikację z Cesarstwem, uniemożliwić dowóz jej żywności i amunicyi i, w razie powodzenia, zmusić ją nawet do powrotu za Bug. Ale, aby te wszystkie korzyści osiągnąć, trzeba było mieć na czele korpusu ekspedycyjnego innego człowieka niż był Giełgud; trzeba było wyprawę całą pojmować tak właśnie, jak ją pojmował Dembiński: jako na bardzo szeroką skalę pomyślaną partyzantkę, w której korpus ekspedycyjny miał stanowić nie jednolitą jednostkę operacyjną, lecz zbiór kadrów dla organizacji powstania litewskiego. Tak rzecz tę pojmował Dembiński, tak i Chłapowski, który jeszcze na kilka dni przed sprawą ostrołęcką wkroczył był na Litwę na czele oddziału, złożonego z 800 ludzi i 2 dział, a w pierwszych dniach czerwca stał już na czele korpusu 4000-nego. Natomiast Giełgud myślał tylko o wielkiej operacji regularnej, do której miał siły zupełnie niewystarczające.

Wbrew opinii Dembińskiego, który doradzał iść na Grodno i połączyć się ze znajdującym się w okolicach Lidy Chłapowskim, Giełgud obrał

przez żaden rozumny cel strategiczny nie wskazany kierunek na Kowno i nakazał Chłapowskiemu iść dla połączenia się z nim do Kiejdan, nie pozwalając mu tym sposobem wyzyskać korzyści jego położenia i opóźniając możliwość wspólnego ataku na Wilno, które, coraz liczniej przez rosyjan obsadzone i coraz lepiej fortyfikowane, z każdym dniem stawało się trudniejszym do zdobycia. Po zwycięskiej potyczce z Osten-Sacknem d. 31 maja pod Rajgrodem, Giełgud ruszył na północ i, gdy Dembiński wykonywał z jego rozkazu jałową demonstrację pod Kownem, przeprawił się w d. 6 czerwca w Giełgudziskach przez Niemen i wkroczył na Żmudź.

Dembiński, który wybornie rozumiał strategiczną, polityczną i moralną ważność Wilna, gorąco nalegał na przyspieszony pochód ku stolicy Litwy, dokąd skierował się Osten-Sacken, Giełgud jednak, który po odparciu Osten-Sackena, prawie nie miał przed sobą nieprzyjaciela, powziął plan akcji »obronnej.« Daremnie przekładali mu i Dembiński, i przybyły do Kiejdan Chłapowski, że właściwie niema przeciw komu się bronić. Na ruch ku Wilnu Giełgud zdecydował się dopiero 17-go czerwca, t. j. właśnie wtedy, gdy w mieście tem zdążyli się już skoncentrować Osten-Sacken, hr. Tołstoj i Kuruta z 18000 ludzi i 52 działami. 18 czerwca stanowiący straż przednią oddział Dembińskiego stanął w Kruszagole (o 1½ mili od Wilna), Giełgud i Chłapowski o milę za nim, w Rykontach. 19 o świcie Giełgud, planujący na ten dzień szturm Wilna, bez żadnej rozsądnej przyczyny osłabił się, posyłając cały oddział Dembińskiego do Niemenczyna. Generał trafił pomiędzy oddziały Ofenberga, Otroszczenki i Malinowskiego i wpadł w ciężkie opał, z których jednak, dzięki wielkiej przytomności umysłu, wydobył się za pomocą zwycięskiej potyczki pod Mejszagolą (20 czerwca).

Tymczasem już 19-go Giełgud został pobity na głowę na wzgórzach Ponarskich i rozpoczął odwrót do Kiejdan. Dembiński został chwilowo odcięty od sił głównych, ale zapomocą zręcznego manewru wyminął Ofenberga i 23 stanął w Wilekomierzu i wznowił komunikację z Giełgudem. Po zdobyciu przez rosyjan Kowna (28 czerwca) polacy, naciskani energicznie przez hr. Tołstoja, rozpoczęli w d. 30 czerwca odwrót ekscentryczny trzema kolumnami. Dembiński poszedł na Towiany



i Poniewież i od tej chwili oddalał się już coraz bardziej od dwóch pozostałych kolumn, dowodzonych przez Giełguda i Rohlanda. 5 lipca musiał wytrzymać pod Poniewieżem ciężką rozprawę z generałem Kabłukowem. 5 wiorst szedł po zupełnie otwartej miejscowości pod ogniem 12 dział, odpierając ciągle szarżę pułku Narwskiego huzarów, trzymając się przeważnie w ulubionym sobie i doskonale przez siebie wystudyowanym szyku szachowym, i ostatecznie szczęśliwie przeprawił się przez Niewiażę. 6-go Giełgud, który tymczasem uplanował był niedorzeczny atak na Szawle, nakazał mu iść do tego miejsca. Dembiński potrafił ukryć swój ruch przed Kabłukowem, który pozostał w Poniewieżu, i 7-go, zrobiwszy przemarsz 9-milowy, stanął pod Szawlami, gdzie w tymże dniu połączył się z nim pułkownik Szymanowski. Nad wieczór od strony Cytowian nadciągnęli Giełgud i Rohland. 8-go o 4-ej rano rozpoczął się koncentryczny atak, zakończony zupełną porażką. Sprawa była prowadzona tak samo anarchicznie, jak niedawno przedtym bitwa na wzgórzach Ponarskich: Szymanowski acz pułkownik, nie chciał poddać się rozkazom generała Dembińskiego, Rohland nie miał żadnych wyraźnych dyspozycji i działał na domysł, 2000 ludzi licząca kolumna Sierakowskiego wcale nie została w boju zużytkowana. W rezultacie wojska polskie były pobite przez sześciokrotnie słabszego liczebnie nieprzyjaciela,

Wszyscy, nie wyłączając niższych oficerów i nawet szeregowców, rozumieli już zupełną nieudolność Giełguda. W zdemoralizowanej armii dyscyplina poczęła się chwiać i rozluźniać. 9-go lipca odbyła się burzliwa rada wojenna w Kurszanach. Jeden Dembiński jasno widział sytuację i przekładał, że wyprawę litewską trzeba już uznać za chybioną i wracać do Królestwa. Rzecz była bardzo trudna, a odwrót po prostej drodze wprost niemożliwy. W głowie Dembińskiego jednak utworzył się już mądry i praktyczny plan manewru na Dynaburg i powrotu do Królestwa od wschodu. Ale planu tego nikt nie rozumiał. Uchwalono podzielić się na trzy kolumny pod dowództwem Rohlanda, Chłapowskiego i Dembińskiego, z pozostawieniem każdemu dowódcy zupełnej autonomii. Chłapowski i Rohland, (przy którego kolumnie znajdował się też Giełgud), ruszyli wprost ku południowi—i zostali wyparci do Prus, pierwszy 13-go

a drugi 15-go lipca, pozabawiając sprawę 7000 ludzi i 25 dział. Giełgud zginął, zastrzelony przed frontem przez kapitana Skulskiego.

Z całego pięknego litewskiego korpusu ekspedycyjnego pozostał pod bronią jeden tylko oddział Dembińskiego, liczący, razem z wcielonymi w jego skład powstańcami litewskimi, 3800 ludzi i 6 dział. Oddział ten zamierzył Dembiński odprowadzić z powrotem do Królestwa. Teraz w życiu jego nastąpił epizod najpiękniejszy i najpełniejszy chwały—jego wiekopomny odwrót z Litwy.

Generał rozumiał wybornie niemożliwość odwrotu po drodze prostej i ruszył na wschód, trzymając się swojej uprzednio już powziętej szczęśliwej idei marszu po zbliżonej do odcinka paraboli krzywej na wschód, na południo-wschód i następnie na południo-zachód. Wszakże swego uprzednio zamierzonego manewru na Dynaburg zaniechał, gdyż, dzięki skoncentrowaniu sił rosyjskich w pogoni za Rohlandem i Chłapowskim, otwarła mu się bliższa droga.

Trafność wyboru drogi odwrotu polegała na tem, że w stosunkowo niewielkim kącie północno-zachodnim Litwy znaczne siły rosyjskie były skoncentrowane i, choćby się polacy podzielili na niewielkie oddziały, z łatwością mogły w niewielkim promieniu śledzić ruchy wszystkich, wszystkim przecinać drogi i wszystkie atakować przeważającymi siłami. Na drodze zaś, przez siebie obranej, Dembiński miał przed sobą kraj rozległy, zajęty przez siły nieprzyjacielskie, wprowadzie znaczne, ale rozproszone. Z każdego punktu miał przed sobą do wyboru kilka dróg, i wodzowie rosyjscy nigdy nie mogli wiedzieć z góry, jaką obierze. Rozpoczął więc grę, w której jego główną szansą było to, że inicjatywa do niego należała, że przeciwnik musiał się w większej mierze do jego ruchów stosować, niż on do ruchów przeciwnika. Była to jednak gra niezmiernie trudna i ryzykowna. Siły, z którymi miał przebyć przestrzeń tak znaczną, były w stosunku do tych, które rosyjanie mogli przeciw niemu skierować, śmiesznie małe; ale niezależnie od tego, nawet każdy liczebnie od niego słabszy oddziałek rosyjski mógł się dla niego stać śmiertelnie niebezpiecznym, o ileby, bądź to przez psucie dróg i niszczenie mostów, bądź przez bezpośredni atak lub opór, pochód jego zdołał powstrzymać i opóźnić. Jedyna szansa powodzenia polegała na niesłychanej.

szybkości i skrytości marszów, na tem, aby nieprzyjaciel jaknajmniej wiedział, gdzie Dembiński w danej chwili jest, a nigdy nie wiedział, dokąd pośrednio lub nawet bezpośrednio zmierza. Trzeba było prześlizgiwać się pomiędzy oddziałami nieprzyjacielskimi, zwodząc je i dając im fałszywe pozory, trzeba było chodzić po drogach dalszych zamiast krótszych i po gorszych, zamiast lepszych i łatwiejszych do przebycia, lecz takich, na których go nieprzyjaciel mógł oczekiwać, trzeba było w ustawicznych marszach forsownych do ostatnich granic możliwości wyzyskać energię moralną i wytrzymałość fizyczną wojska, bo kilka godzin zwłoki mogło całe przedsięwzięcie narazić na zgubę.

W nocy po bitwie pod Szawłami (z 8-go na 9-ty lipca) Dembiński skierował się na Gruzdy, a stamtąd 10-go o świcie ruszył na Miszkucie. Rozbił tam kompanię piechoty rosyjskiej i zdobył 6000 patronów, co było dla niego zdobyczą bardzo ważną, bo amunicji miał mało, a oprócz zabierania jej nieprzyjacielowi innych źródeł do jej kompletowania nie było. 13-go zaskoczył w Poniewiezu eskortujący tabór generała Kabłukowa szwadron huzarów, połowę jego z 5 oficerami wziął do niewoli, tabór zdobył, co z niego mógł zabrać, zabrał, czego nie mógł zabrać, zniszczył i dostał od mieszkańców miasta zapomogę pieniężną. 14-go ze Śmilt wyszedł w pościg za Dembińskim na czele 4 batalionów, 14 szwadronów i 14 dział dowódca 4-go korpusu, generał Savoini, który do Poniewieza przybył w 7 godzin po wyjściu stamtąd Dembińskiego i, po króciutkim wypoczynku, w nocy na 15-y popędził za nim dalej. Ponieważ Dembiński sumiennie niszczył za sobą wszystkie, choćby najmniejsze, mostki i grobelki, przeto generał rosyjski, mimo największego pośpiechu, mógł go dognać dopiero 16-go po południu w Owancie. Dembiński stał już wprawdzie po drugiej stronie rzeczki Wirynty, na której most, naturalnie, już był zniszczony, ponieważ jednak na małej rzeczulce można go było odbudować w parę godzin, więc, w razie dalszego prostego odwrotu, miałby już nadal Savoiniego na karku; musiał więc dalszy swój odwrót osłonić przez bitwę i w ten sposób zwiększyć odległość pomiędzy sobą a korpusem ścigającym. Jakoż przyjął bitwę niezmiernie dla siebie ciężką, którą w najtrudniejszych warunkach toczył od godziny 3-ej po południu do późnej nocy na przestrzeni

od Owanty do Malat, a następnie stamtąd do Inturek, ustawicznie zmieniając szyk z eszelonowego na szachowy i odwrotnie, wyzyskując każdą nierówność ziemi dla tyralierów, broniąc się krótkimi kontr-szarżami jazdy; stracił 400 ludzi, ale ostatecznie o świcie 17-go przybył do Inturek, pozostawiając Savoiniego w odległości conajmniej 4 godzin forsownego marszu za sobą.

Teraz los przedsięwzięcia zawisł na włosku. Dalsza droga z Inturek do Podbrodzia prowadziła przez długi most, idący środkiem jeziora. Dembiński z bijącym sercem pośpieszał do owego mostu, drżąc na myśl, że mógł on już być zniszczony. Na szczęście był cały. Chodziło o to, aby przed nadejściem rosyjan przeprowadzić przezeń cały korpus i następnie go zniszczyć. Było to bardzo trudno, ale energia i przytomność umysłu generała udzieliły się wojsku: ostatnie wiązania mostu zapłonęły w chwili, gdy rosyjskie straże przednie wkraczały do Inturek. Savoini musiał okrażać jezioro; teraz Dembiński był już pewnym, że go nie będzie mógł gonić »na oko.«

17-go przed południem dotarł do Podbrodzia, zaskoczył tam i rozbił pilnujący mostu na Żejmianie posterunek ze 100 ludzi piechoty i 30 ułanów, zabrał 40000 patronów, trochę zapasów żywności i trochę materiałów do budowy mostu. To miało dla niego największą cenę: przed nim była przeprawa przez Niemen. Spalił most na Żejmianie, poczem, dla zmylenia rosyjan, przeszedł około 1½ mili w kierunku Świencian, a następnie skręcił w bok uciążliwą drogą polną na Michaliszki i na noc przybył do Zułowa.

Savoini wkroczył do Podbrodzia 18-go o dziesiątej rano. Dembiński odsadził się już od niego o 24 godziny i miał względnie wolny oddech. Gdyby wódz rosyjski mógł mieć jakoweś wyobrażenie o tem, dokąd Dembiński właściwie idzie i czego ostatecznie chce, mógłby zaniechać zupełnie jałowego pościgu trop w trop za uchodzącym; gdyby mógł przewidywać kierunek jego marszu, mógłby mu przecinać drogi, zdążać po krótszych liniach do leżących na jego drogach rzek i pilnować go na przeprawach. Ale właśnie Dembiński stale zachowywał się tak, że niesposób było wyrozumieć, czy idzie do Królestwa, czy na Białą Ruś, aby tam wzniecić powstanie, czy w tym samym celu na Polesie. Wobec tego Savoini mógł tylko gnać po jego tropach, co, oczywiście,

oprócz znużenia i wyczerpania ścigającego wojska, nie mogło przynieść innego rezultatu.

Dembiński 18-go zrana wyszedł z Zułowa i na noc przybył do Niewstaniszek, okrążywszy tym sposobem Wilno od północy i wschodu. Teraz nie mógł już zataić swego zamiaru przeprawy przez Wilię. Savoini pośpieszył przeprawić się przez nią w Niemcynie i zaczął się na niepochwytne wroga w Słobódce. Przez własne rozjazdy i mieszkańców dobrze poinformowany o ruchach nieprzyjaciela Dembiński skreślił z Niewstaniszek na lewo, wysłał pułkownika Radziszewskiego z saperami i 2 szwadronami ułanów dla zbudowania mostu na Wilii pod Danuszewem i zniszczenia wszystkich przepraw po obu stronach tej miejscowości, ku wieczorowi 19-go przeprowił się w Danuszewie i w tej chwili wysłał w trzy różne strony (ku Wilnu, ku Mińskowi i ku Smorgonioni) małe oddziały demonstracyjne, które zupełnie zbiły z tropu Savoiniego. Ponieważ Savoini i tak już się był przez Wilię przeprowił, więc Dembiński mostu w Danuszewie nie niszczył; dał śmiertelnie znużonemu wojsku 20-godzinny wypoczynek i 20-go na wieczór stanął w Smorgoniach.

Savoini, który go zupełnie stracił z oczu, ruszył 21-go na chybił-trafił do Oszmiany. Tam powziął wiadomość o marszu Dembińskiego na Krewę, ruchu, którego jedynym prawdziwym celem było wprowadzenie rosyjan w błąd, że generał polski zdąża do Wołożyna. Savoini co tchu w koniach pognął na Boruny do Krewego, tymczasem Dembiński po krótszej linii wewnętrznej skreślił na Olszany i znowu zyskał sporo czasu; miało to dla niego wielką wagę ze względu na zbliżającą się już trudną przeprawę przez Niemen. Nie wiedząc dokładnie, gdzie się Savoini znajduje, Dembiński noc z 21-go na 22-gi spędził w wielkim niepokoju, czyniąc ciągle rekonesansy, a 22-go o świcie opuścił Olszany i po bardzo forsownym marszu (8 mil z 2-ma przystankami) stanął na wieczór w Iwiach, dowiedziawszy się jeszcze na przystanku w Trabach od swego rekonesansu, że Savoini jest w Borunach. Z Iwiów wysłał saperów do Zbojska nad Niemnem w celu budowania tam mostu, do którego materiały skrzętnie gromadził w dotychczasowym pochodzie. Wczesnym rankiem 29-go, gdy się gotował do wymarszu z Iwiów, przyszła wiadomość, że na drugim brzegu Niemna ukazała się jazda rosyjska.

Dembiński zdrętwiał. Jeżeli to był albo Savoini, albo jakikolwiek inny oddział znaczniejszy, to zguba stawała się nieuchronną. Na szczęście okazało się, że był to tylko szwadron huzarów z Nowogródka, który szedł w kierunku Wilna; huzary spędzili saperów polskich, zniszczyli ich robotę i poszli dalej.

Przeprawa uległa znacznemu opóźnieniu. Dembiński pozostawił w Iwiach silną ariergardę pod dowództwem pułkownika Janowicza, któremu nakazał, choćby za cenę największych ofiar, jaknajdłużej zatrzymać nadciągającego z Borun Savoiniego, a sam przesunął się do Zbojska. Zapóźno już było na budowę nowego mostu. Dembiński kazał wiązać promy i częściowo na nich, częściowo wpław z gorączkowym pośpiechem przeprowiał wojska. Tymczasem od Iwiów dały się słyszeć wystrzały; to Janowicz walczył już z Savoinim. W chwili już bardzo krytycznej odnaleziono bród. Pod osłoną prowadzonego przez Janowicza uporczywego boju reszta wojska polskiego nad wieczór 23-go przeprowiła się przez Niemen i z drugiego brzegu ogniem działowym osłoniła przeprawę zdziękowaną ariergardy.

Savoini przeprowił się pod Moryniem 24-go rano, ale Dembiński był już daleko i skierował się na Wsielub do Zdzięcioła. Savoini już go nie mógł dosięgnąć, ale teraz wyruszył przeciw niemu ze Słonima generał Stankowicz naczę 3-ch batalionów, 4-ch szwadronów i 7-iu dział. Pułkownik Brzeżański w połączeniu z powstańcami nowogródzkiemi odparł go pod Bielimą, a Dembiński w Wielkiej Woli przeprowił się przez Szczarę i, przeszedłszy mającą 5 wiorst długości groblę z 5 mostami, dotarł na wieczór 25-go do Dereczyna. Mostów niszczyć za sobą już nie miał czasu, ale w godzinę po jego przejściu rosyjskie władze administracyjne otrzymały od pędzącego za nim co tchu Savoiniego rozkaz ich zniszczenia — i wykonały go gorliwie. Savoini znowu utknął.

26-go przeszedł przez Zelwę i Izabelin, 27-go przez Porozów i tegoż dnia wieczorem dotarł do Białowieży. Zbliżał się już do celu swego wiekopomnego pochodu, ale teraz znalazł się wśród gęstszej sieci. Za nim gnał niezmordowany Savoini, od prawego skrzydła równoległe do niego postępował Stankowicz: z Białego Stoku wyciągnął na czele 2 batalionów i 7 szwadronów generał

Peterson, a tuż za nim zbliżała się od Grodna brygada (12 szwadronów) 2-ej dywizji jazdy; na lewo i z przodu w Brześciu i okolicach był baron Rosen z 15 batalionami, 10 szwadronami i 42 działami. Wszystkie te oddziały były zawiadomione o pochodzie Dembińskiego i wszystkie rozpoczęły na niego oblęgę. Swoją drogą i teraz jeszcze nikt nie wiedział, dokąd Dembiński idzie. Rosen przypuszczał, że w okolice Pińska lub na Wołyń i, stosownie do tego, zajął ze swymi siłami głównymi pozycje w Kamieńcu-Litewskim, Nowym-Dworze i Szereszewie, u wyjścia zachodniego z puszczy, pozostawiając tylko generała Bohlena z 1000 ludzi i 2-ma działami.

Noc na 28-my Dembiński spędził w Biernikach, wysławszy oddział czołowy dla obsadzenia gotowych już mostów na Narwi pod Rudnią i na Narewce pod wsią tejże nazwy. 28-go o świcie ruszył do Rudni.

Tu czekała nań próba, cięższa od wszystkiego, co przeszedł dotychczas: ze strony własnego wojska spotkało go straszliwe posądzenie o zdradę, o to, że oddział swój zaprzedał nieprzyjacielowi; było to posądzenie krańcowo niedorzeczne i zrodzić się mogło tylko w głowach ludzi, wyczerpanych 19-dniowym pochodem o głodzie, prawie bez snu i przy okropnym naprężeniu nerwowym. Za pretekst do niego posłużyło pojawienie się od zachodu rozjazdu, który wzięto za rosyjski. Zimna krew i bohaterska potęga charakteru Dembińskiego, przywróciły zakłócony porządek. Niebawem też okazało się, że mniemany rozjazd rosyjski jest strażą przednią oddziału pułkownika Różyckiego, który w tym czasie właśnie wysłany był na Litwę w celu ponownej próby wzniesienia tam powstania na większą skalę, a przekonawszy się o niewykonalności tego zadania, połączył się z Dembińskim, aby z nim razem wrócić do Królestwa. 29-go oba oddziały dotarły do Orli, skąd wyparły Bohlena, a 30-go stanęły w Boćkach. Rosen teraz dopiero zrozumiał, że Dembiński idzie do Królestwa i, przypuszczając, że będzie się przeprawiał przez Bug pod Drohiczyńem, pośpieszył tam ze swymi siłami głównymi, posyłając pułkownika hr. Zuccato z 6 szwadronami ułanów i 2 działami do Siemiatycz, a kapitana Śliwickiego ze 120 ludźmi do Ciechanowca.

Dembiński wyszedł z Boćków 31-go o 4-ej rano. Bezpośrednio za nim szedł Bohlen, z prawej

strony dążył z 4 szwadronami kirasyerów i 3 działami generał Hasfort w zamiarze przecięcia mu drogi w Dołobowie. Od Wołkowyska przez Świsłocz nadciągał z największym pośpiechem Savoini; z lewej strony szli również forsownemi marszami Śliwicki, za nim Zuccato i za nim Rosen. Na noc Savoini (po 7-milowym przemarszu) stanął w Rudni, Rosen w Wysokiem Litewskim. Dembiński, działający po linii najkrótszej, uprzedził w Dołobowie Hasforta i uniknął z nim spotkania, przeszedł Pobikry i na noc stanął w Ciechanowcu nad samym Bugiem. Wyszedszy stamtąd 1-go sierpnia o 2-ej rano, spuścił się w dół Nurczyka, przez nikogo nie niepokoiony, przeprawił się pod Myśliborzem i—już w granicach Królestwa—skierował się na Sterdyn i Kosów do Ugościa.

Przez cały dzień 1-szy sierpnia straszliwie znużone forsownemi marszami oddziały rosyjskie z różnych stron nadciągały do Ciechanowca, gdzie dowódcy ich przekonali się ostatecznie, że Dembiński uszedł stanowczo, i że o doścignięciu go niema już mowy. Rosen posłał jeszcze rozkaz przecięcia mu drogi stojącemu w Międzyrzeczu gen. Gołwinowi, ale to się na nic nie zdało. Dembiński był już w promieniu działań polskiej armii głównej i d. 3-go sierpnia wśród grzmotu dział i bicia w dzwony wszedł do Warszawy.

Głodni, obdarci, wynędzniali, ale z dumnie powiewającymi dziewczęcimi chorągiewkami, ze znajdującymi się w najlepszym porządku 6 działami, z dobrym zapasem amunicji, szli bohaterowie po przystrojonych kwieciami i gałęziami dębowymi ulicach Warszawy. Na ich czele był czcigodny wódz, który swemu bohaterskiemu poczuciu obowiązku, swemu niezłomnemu hartowi charakteru i swemu wyjątkowemu talentowi wojennemu zawdzięczał, że mu się powiodło uniknąć gorzkiego losu Dwernickiego, Rohlanda i Chłapowskiego, że nie został wyparty za granicę, lecz, w chwili zbliżania się najcięższej już próby, ostatecznie zagrożonej stolicy, przyprowadził garstkę bohaterskich obrońców.

W dniu 14-ym sierpnia, po destytucji Skrzyneckiego, Sejm powierzył Dembińskiemu tymczasowe dowództwo naczelne. O tym krótkim epizodzie jego życia i o jego bardzo niewłaściwym zachowaniu się względem Prądzyńskiego znajdzie czytelnik wzmiankę w życiorysie tego ostatniego.

Po objęciu dowództwa naczelnego *de nomine*

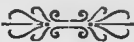


przez Małachowskiego, a *de facto* przez Krukowieckiego, Dembiński otrzymał dowództwo 2-go korpusu, złożonego z 3-ej dywizji piechoty, oddziału, który sam odprowadził z Litwy, kilku batalionów marszowych i artylerii rezerwowej. Naczele tego korpusu walczył przy obronie Warszawy, brał udział w manewrach po jej zdobyciu, występował jeszcze parokrotnie z marzycielskimi projektami nowej wyprawy na Litwę i wreszcie, wraz z całą armią, przeszedł granicę pruską dnia 8-go października.

Dembiński miał wolę uporczywą, energię niezłomną i charakter, niełatwo godzący się, a raczej wcale nie godzący się z t. zw. »faktami dokonaniemi,« jeżeli te fakty za niezgodne z porządkiem moralnym uważał. Na emigracji był bardzo czynnym. Początkowo osiadł we Francji i tu napisał po francusku bardzo piękną krótką książeczkę p. t. »Mémoires sur la campagne de Lithuanie,« która wyszła z druku w Strasburgu w r. 1832. Jest to skromny, zwięzły, ale wyczerpujący opis jego czynności podczas wyprawy Giełguda i przesławnego odwrotu autora z Litwy. W r. 1833 wstąpił do służby egipskiej. Przekonawszy się jednak wkrótce o zawodności pokładanych przez siebie w Mehmet-Alim nadziei, wrócił w r. 1835 do Francji. Skazany na musową bezczynność, zajmował się układaniem różnych projektów wojennych i politycznych i wykazał w nich taką dozę krańcowego marzycielstwa, jakiej się po tak energicznym, jak on, żołnierzu, niełatwo było spodziewać. W tym czasie napisał po polsku obszernie dzieło p. t. »Pamiętniki o powstaniu w Polsce w r. 1830—31,« które wyszło z druku w 2 tomach w Krakowie dopiero w r. 1877.

a które zresztą zawiera w sobie znacznie mniej historyi wojennej, niż rozwlekłych rezonowań politycznych i marzycielskich projektów. W r. 1848 wziął udział w kongresach słowiańskich we Wrocławiu i w Pradze, a w styczniu r. 1849 wstąpił do wojsk węgierskich i d. 5 lutego otrzymał dowództwo korpusu zachodniego. Okazało się, że był lepszym partyzantem niż strategikiem. Wprawdzie bitwa pod Kapolna (26 — 28 lutego) była przezeń dobrze pomyślana i tylko dzięki nieprzybiciu na czas Görgöya nie dała spodziewanych wyników, ale przy przeprawie przez Cissę popełnił błędy kardynalne i pod naciskiem oficerów węgierskich podał się do dymisji. Do czerwca pracował w ministerium wojny, wywierając znaczny wpływ na układanie planów kampanii, w czerwcu otrzymał nominację na wodza armii północnej. Powziął wtedy ryzykowny, lecz zdrowo pomyślany i niepozbawiony szans powodzenia plan wtargnięcia do Galicyi. Gdy rząd węgierski plan ten odrzucił, złożył dowództwo, a po objęciu go przez Messarosza, został jego szefem sztabu i w tym charakterze obmyślił i przeprowadził świetny odwrot od Cissy do Szegedina. Po przegranej bitwie pod Szoereg (5 sierpnia) skierował się na Temeszwiar, gdzie został 9 sierpnia pobity na głowę przez połączone wojska austriacko-rosyjskie. Görgöy twierdzi, że ten właśnie manewr Dembińskiego ku Temeszwiarowi (zamiast wskazanego przezeń odwrotu na Arad) był powodem, który go zmusił do kapitulacyi pod Villagos. Dembiński wraz z Kossuthem przeszedł do Turcyi, skąd w r. 1850 wrócił do Paryża. Zmarł tamże w r. 1864.


*Maryan Massonius.*





# Michał Sokolnicki.

\* 1760 † 1816.

rodził się 29 września 1760 roku we wsi Wierzei, województwie Poznańskim, ze starej, tamże oddawna osiadłej rodziny szlacheckiej. Ojciec Franciszek, był chorążym Gnieźnieńskim i Podkomorzym J. K. M-ści; matka Urszula z Poklateckich, podkomorzanka kaliska, kobieta słynnej piękności. Była córką autora ciekawych pism politycznych. Syn ich, trzeci z kolei w rodzeństwie, do 17-go roku życia wychowywał się pośród swoich, w domu rodzicielskim, który równie ze swych tradycji, jak i ze swoich upodobań politycznych, stał po stronie republikańskiej i francuskiej partii w Rzeczypospolitej. Tutaj też, w gronie swej rodziny i pod kierownictwem księdza Courrieu, guwernera domowego, młodzieniec przejął się duchem francuskim, i to nie tylko w powierzchownej, salonowej jego treści, ale w politycznych i filozoficznych, najnowszych naówczas uogólnieniach. Za przykładem swego mistrza stał się w szczególności gorącym wielbicielem humanitarnych i wolnościowych zasad Rousseau'a.

W 1777-ym r. Sokolnicki wstąpił do Szkoły Kadetów w Warszawie. Kierunek wojskowego wykształcenia i zawodu odpowiadał przejętym od ojca i dziada upodobaniom rycerskim; tamten zaś poważny zakrój studyów, obowiązujący w szkole kadeckiej, czynił zadość wcześniej rozwiniętym i starannie kształconym zamiłowaniom naukowym młodego chłopca. Wydoskonalony w szczególności w naukach przyrodniczo-matematycznych, przejęty duchem tej bezwzględnej miłości dla kraju, jaką w tych czasach upadku i wątpień szkola ta ze szczególną usilnością i skutkiem umiała rozgrzewać i rozwijać, ukończył ją Sokolnicki po latach trzech i otrzymał stopień porucznika.

Przeszedł następnie do Korpusu Inżynierów; w r. 1787-ym mianowany kapitanem, w dwa lata później wraz z bezpośrednim swoim przełożonym, pułkownikiem Jasińskim, pracował nad utworzeniem i urządzeniem Szkoły Inżynierów w Wilnie. Wysłany następnie na koszt Skarbu do Saksonii, studyował tamtejszą organizację wojskową i stan urządzeń inżynierskich i hydraulicznych.

W Saksonii spotkał się po raz pierwszy i zapoznał z przyszłym swym wodzem i długotrwałym towarzyszem broni, Henrykiem Dąbrowskim. Wróciwszy do kraju, złożył Rządowi Rzeczypospolitej obszerny i szczegółowy raport z dokonanych obserwacji i studyów; do raportu tego przyłączony był ciekawy zarys poglądów na sprawy wewnętrznej żeglugi rzecznej w Polsce. Poważna, opatrzona licznymi, świetnie wykonanymi rysunkami technicznymi, praca, zwróciła uwagę przełożonych, a nawet samego króla: raport przekazano wydziałowi wojennemu, a Sokolnicki wraz z nominacją na podpułkownika Korp. Inż. otrzymał dar osobisty od króla w postaci cennego kompletu narzędzi mierniczych.

Z prac swoich w Szkole Kadetów, w Korpusie Inżynierów, w Szkole Wileńskiej i na wybiegach w kraje obce, Sokolnicki wyniósł już nie tylko zamięłowanie, ale pozytywną wiedzę w dziedzinie nauk inżynierskich i stworzył sobie tym sposobem do przyszłej praktyki żołnierskiego zawodu wyższą podstawę teoretyczną, uzdalniającą go do wyższych przeznaczeń strategika i wodza.

Oczekiwana praktyka nastroczyła się niebawem: w czasach właśnie, gdy kształcili się, wyrabiali i wzrastali w hart życiowy przedstawiciele nowego, odradzającego się pokolenia, walił się



Według portretu olejnego, zostającego w posiadaniu rodziny.

*Łokotnicki*

ustrój państwowy kraju i upadał Rząd. Ginęła niezawisłość i całość Rzeczypospolitej. Niezadługo jedyna nadzieja na przyszłość pozostała przy orężu.

W pierwszej też zaraz rozprawie orężnej, w nieszczęsnej wojnie 1792 roku z Rosyą, odnajdujemy Sokolnickiego; wysłany do armii litewskiej, po straconej w czerwcu bitwie pod Mirem fortyfikował obóz grodzieński, wykonał tamże połączoną z nadzwyczajnymi trudnościami budowę mostu na Niemnie; później w ogólnym odwrocie wojsk przed nacierającymi połączonymi korpusami Molina i Ferzena, brał udział w starciach straży przedniej gen. Wedestaedta z wrogiem, a w ostatnich działaniach wojennych zastąpił Jasińskiego w dowództwie Korpusu Inżynierów i pełnił czynności generalnego kwatermistrza armii.

Zmuszony wraz z innymi, naskutek umów politycznych, zbyt dotkliwych dla honoru żołnierza i obywatela, oddalić się chwilowo od spraw służby publicznej, spędziwszy rok następny w rodzinnych stronach wielkopolskich, na pierwszy odgłos wybuchu 1794 roku pośpieszył do Warszawy.

Przywiódł on tutaj w pierwszych dniach rewolucyi tabór zdobyty na nieprzyjacielu w miasteczku Radzyminie i natychmiast od Rady tymczasowej otrzymał stopień pułkownika. Wysłany zaraz kurierem nadzwyczajnym do Kościuszki z wieścią o zaszytych wypadkach, wrócił niebawem z instrukcjami naczelnika do Warszawy. Tutaj brał czynny udział w politycznych i wojskowych czynnościach przez maj i czerwiec, tworząc własnym sumptem i staraniem pułk strzelców konnych. Niebawem uniwersałem Kościuszki mianowany wodzem powstania kaliskiego — dywizyi 4600 ludzi — odznaczał się zaszczytnie w śmiałej wyprawie generała Dąbrowskiego w głąb prowincyi pruskich. Dowodząc ciągle przednią strażą, nagrodzony pierścieniem Kościuszki, uczestniczył w ostatnich ruchach wojsk, które, dla braku jazdy, nie mogąc posuwać się naprzód, musiały wracać i uniesione zawrotem nieszczęśliwych wypadków, wraz z innymi uległy twardym losom wojny. Sokolnicki, zasłaniając lewe skrzydło cofających się wojsk, stoczywszy 16 i 17 października parę szczęśliwych potyczek z nieprzyjacielem, naskutek czego podniesiony do stopnia generała-majora, nie chciał podpisać kapitulacyi radoszyckiej (listop. 1794)

i wraz z innymi, ludźmi reformy i wodzami ruchu, wywieziony został do Petersburga.

W twardej szkole tych dwóch wojen, wśród wypadków, które nieodwołalnie pogrążały państwo i kraj w upadku, młody wódz polski mógł znaleźć zarówno praktyczne nauki, jak również i potwierdzenie własnych wojskowych i politycznych zasad i poglądów. Goręcej jeszcze przywiązany do ojczyzny w tej chwili, kiedy los jej stawał się najbardziej beznadziejnym, pragnący ustanowienia silnych, sprężystych wojennych form dla nowego politycznego bytu, przenikniony żywą ufnością w konieczność wspólnego francusko-polskiego działania w Europie, Sokolnicki, zaledwie uwolniony z więzienia, pośpieszył do swego, zdawna pomiędzy innymi wybranego kraju, do Francyi. Tu, w Paryżu, wziął żywy, najżywszy udział w pracach i działaniach, jakie w tym czasie, w 1797-ym i w 1798-ym r. podjęli pierwsi polscy wychodźcy w celu utworzenia Legionów i zwołania Sejmu polskiego we Włoszech. Tutaj zwrócił się on do Dyrektoryatu i do samegoż Bonapartego z licznymi przedstawieniami i memoriałami w sprawie polskiej, z projektem utworzenia drugiego polskiego legionu nad Dunajem, tego legionu, co to, według nauki jego twórców, walcząc z Austryą, zdobywszy Wiedeń, wspomóżony dywersyą turecką na Wołoszczyźnie, wrócić miał z legionem Dąbrowskiego do Polski, złączyć się z ruchem miejscowym, ogłosić nowy, upragniony porządek rzeczy nad Wisłą, Wartą i Bugiem. Te nadzieje, aczkolwiek szczerze pomyślane, silnem wywołane pragnieniem, poparte czynnem działaniem wojskowym, nie mogły się ziścić ani tak prędko, ani tak zupełnie, jak to się gorącym patryotom zdawało. Nastąpiła przerwa w wojnie europejskiej naskutek układów campo-formijskich. Bonaparte poszedł na Wschód, do Egiptu, oddalił się od spraw zachodnio-europejskich, jakoby rozmyślnie odbiegłszy od ich zawikłań, ażeby po dłuższej przerwie, tem potężniej można zaważyć na ich losach.

Przecież Sokolnicki wraz z innymi nie stracił wiary w te słowa, któremi Napoleon czynił przyszłość Polaków zależną od tego, co »czas i losy« zdziałają. Odbył w tym czasie dwie podróże po kraju, w czasie których werbował ochotników do armii legionowej. Wkrótce nadzieje miały się ziścić; potrzeba wojenna przemogła polityczne skrupuły Dyrektoryatu paryskiego.

W r. 1799 utworzono ostatecznie Legion Naddunajski. Wodzem jego został wyróżniony niedawno w rozprawie neapolitańskiej Kniaziewicz, Sokolnicki zaś, jakkolwiek inicjator i projektodawca, wróciwszy z kraju do Paryża w chwili tworzenia Legionu, wszedł do jego formacji na skromne stanowisko Szefa Batalionu. Jednakże następnie w miesiącu Vendémiaire R. IX (paźdz. 1800), przy ostatecznym zorganizowaniu korpusu, mianowany został Drugim Dowodzącym i Szefem Sztabu w Legionie. W tej to randze pełnił większą część organizacyjnych obowiązków wojskowych, brał udział w bitwie pod Hohenlinden i w następnych starciach, poczem, po wyjeździe Kniaziewicza, objął faktyczne pierwsze dowództwo, porozumiewając się tylko od czasu do czasu listownie z oddanym naówczas bardziej politycznym niż wojskowym sprawom nominalnym wodzem.

Położenie Polaków w tej chwili było trudne, a większości ich wydawało się już beznadziejne. Właśnie Legion, stojący na zimowych leżach w dolinie Trauny, otrzymał (luty 1801) rozkaz wymarszu do Strasburga pod pretekstem uzupełnienia wojskowej jego organizacji; po drodze w Augsburgu, dopędził go drugi rozkaz, zwracający go drogą przez Alpy do północnych Włoch. Sprzeczne te rozkazy, owe następne marsze zimowe po przez kraje obce, wśród ludności, już wojennymi kontrybucjami wyciśniętej, wobec jaknajgorszego ubrania i obuwia żołnierzy, a także, chwilami, niedostatecznej płacy, słusznie mógł się wydawać żołnierzom i oficerom niezasłużoną a ciężką karą. Więc niechęć, niewiara opanowały szeregi ochotników polskich: dezercja zwiększała się z dnia na dzień — uprawniona ponieważ od chwili, kiedy sam Kniaziewicz podał się do Rządu paryżkiego o dymisyę.

Sokolnicki, po porozumieniu z wodzami Pierwszego Legionu, Dąbrowskim i Wielhorskim, głębiej wnikając w położenie Francji i w sprawę stosunku Polaków do jej rządu, a przede wszystkim lepiej rozumiejąc powinność własną, jako wodza: widząc w niej mianowicie obowiązek pozostania do ostatka w szeregu, do którego innych powołał: — nie tylko, iż sam pozostał, lecz postanowił na własną rękę, niezależnie od innych, bronić całości korpusu; w jej utrzymaniu widział on nie tylko sprawę honoru wojskowego i narodowego, lecz także i przyszłość samej sprawy i wytyczył

✧ więc wszelkie siły, jakimi rozporządzał, w celu wstrzymania dezercji, utrzymania żelaznej karności i porządku. Za występki przeciw tym nadzwyczajnym środkom dawał surowe i bezwzględne napomnienia: takie napomnienie i zapowiedź ostrej kary otrzymał między innymi podający się do dymisyi Fiszer, osobisty serdeczny przyjaciel Sokolnickiego.

Dzięki takim środkom udało się Sokolnickiemu przyprowadzić Legion prawie w całości, a w porządku zupełnym do Medyolanu, gdzie oddany został pod bezpośrednie dowództwo Murata. Tu od pierwszej chwili niechęć dla Sokolnickiego i dla samego Legionu uwidoczniła się u najwyższych przedstawicieli władzy. Poparto dezorganizację Legionu, mianując jego wodzem, miast popieranego przez Sokolnickiego Wielhorskiego, generała Władysława Jabłonowskiego, który w żadnym kierunku nie odpowiadał wymaganiom tak odpowiedzialnego stanowiska. Sokolnicki w tejsze chwili opuścił swoje stanowisko, szląc jednocześnie obszerną wyjaśniającą relację do Ministerjum Wojny do Paryża. Po paromiesięcznych zaledwie rządach Jabłonowski opuścił swoje miejsce; dowódcą *per* interim został Sokolnicki, jednakże na krótko, powołany niebawem (listopad, 1801) przez Murata do Medyolanu, następnie (luty, 1802) przez ministra Berthiera do Paryża, gdzie wspólnie z generałem Dąbrowskim uczestniczył w naradach nad nową organizacją i nowem przeznaczeniem Legionów. Była to ostateczna likwidacja korpusu polskiego, zamieniająca go na pół-brygadę wojska francuzkiego.

Odtąd, gdy los Legionów został zdecydowany, zaufanie w ich przyszłość musiało zniknąć. Sokolnicki przecież, jakkolwiek podzielał wspólne wszystkim rozżalenie, gorycz, jakkolwiek sam zaledwie zdołał się ustrzedz od nakazanego mu wyjazdu na wyspę Św. Dominika, przecież zaprawiony w służbie francuzkiej, zaaklimatyzowany we Francji, ufny w trwałość węzłów nieodwołalnego dziejowego pokrewieństwa Francji z Polską, ufny w wielkość człowieka, który odtąd, rządząc Francją, miał być jej przedstawicielem, — pozostał i nadal wiernym Francji — przybranej ojczyźnie swojej — i Napoleonowi. Więc: w r. 1802, służąc wojskom króla Dwóch Sycylii, poskramiał powstańców włoskich w Appeninach; mianowany wówczas przez tegoż króla generałem brygady.

pozostał w Medyolanie, a w r. 1804 powrócił do Paryża; tutaj uczestniczył w uroczystościach koronacyjnych nowego Zachodniego Cesarza; zaszczycony zaufaniem cesarskim, złożył niebawem Napoleonowi memoriał, w którym, przypominając mu nieprzedawnioną sprawę polską, podnosił myśl stworzenia nowej politycznej spójni pomiędzy Polską a Francją i zorganizowania kolonizacji francuskiej w krajach polskich.

Nadeszły nowe wojny. Rozpoczął się nowy, pełen zwycięskiej niezrównanej chwały, pochód Napoleona. W r. 1806-ym, w chwili po rozgromieniu Prus, gdy organizowały się gwałtownie w Poznańskim nowe legiony, Sokolnicki, wezwany przez generalnego majora wielkiej armii, odbył przy boku Cesarza, w jego Sztabie, kampanię pułtuską, poczem na własne życzenie przeznaczony został do organizacyi powstań wielkopolskich. 5-go lutego w Bydgoszczy objął dowództwo nad powstaniami, mającemi być przednią strażą legionowych wojsk polskich. Tutaj potrójne czekało nań zadanie: 1-o uczestniczyć w charakterze dowódcy przedniej straży w ogólnym ruchu wojsk, dowodzonych przez Marszałka Lefevre, stanowiących lewe skrzydło Wielkiej Armii; 2-o obezwładniać odradzające się i mnożące z każdą chwilą wobec chwilowo niepewnych sukcesów francuskich, oddziały i powstanie pruskie; 3-o organizować i uzupełniać powstania polskie w tym, wszystkich naówczas jednoczącym, celu stworzenia znacznej armii polskiej.

Operacye wojenne w okolicach Bydgoszczy środkowały się około zdobycia powstańczego miasta Stolpy i zniszczenia partyi powstańczej, dowodzonej przez Grafa Krokaua. W lutym i marcu Sokolnicki dokonał obu tych zadań, zdobywając Stolpę, gromiąc powstańców i biorąc do niewoli ich wodza.

Biorąc następnie udział w akcji głównej w punkcie wytycznym dla wszystkich działań lewego skrzydła Wielkiej Armii, w oblężeniu Gdańska, 16-go kwietnia, w bitwie pod Heyburz Sokolnicki dowodził lewem skrzydłem dywizyi czwartego korpusu i za odznaczenie się w tej potrzebie otrzymał na rozkaz cesarski wielkiego orła Legii honorowej. W maju, w bitwie pod Mindą, dowodził prawem skrzydłem 4-ej dywizyi 10-go korpusu, przyczem dał nowy dowód męstwa.

Po zdecydowanej frydlandzkim zwycięstwem

kampanii, po Tylży, w nowej reorganizacyi wojsk dla nowego Księstwa Warszawskiego otrzymał Sokolnicki w r. 1808-ym stopień Generała Brygady tychże wojsk.

Niebawem rozpoczyna się nowa wojna (1809): wywołuje ją Austria przeciwko Francyi, a zwraca najpierwsze kroki przeciw jej sprzymierzeńcowi, Księstwu Warszawskiemu, licząc na przyjazną neutralność Rosyi na tym terenie walki. Wojna ta zaskoczyła Księstwo niespodzianie. Wprawdzie nie brakło ostrzeżeń; 15-go marca, wróciwszy z podróży przedsięwziętej w polityczno-wojskowych celach po Galicyi, Sokolnicki złożył ministrowi wojny raport o nieprzyjacielskich przygotowaniach austriackich.

Przecież ostrzeżenie to pozostało bez skutku, a sam Sokolnicki w przeddzień wybuchu wojny, odkomenderowany został do innych, całkiem pokojowych zajęć w sądzie wojennym. 16-go kwietnia, wobec odebranych wiadomości o marszu armii austriackiej na Warszawę, Sokolnicki naznaczony został dowódcą przedniej straży i stanął w Falentach pod Raszynem. W bitwie rozegranej na tem miejscu 18-go kwietnia dowodził wystawionymi lekkomyślnie na napór całej armii nieprzyjacielskiej oddziałami. Po bitwie zaś zasłaniał odwrót, najpierw ku Warszawie, na rogatkach Mokotowskich, następnie w dalszym ku Modlinowi odwrocie.

W tym to odwrocie powzięto zamysł uczynienia silnej dywersyi wewnątrz krajów korony austriackiej — do Zachodniej Galicyi. W myśl tego planu, popartego zdaniem Dąbrowskiego, Zajączka i Pelletiera, Sokolnicki ruszył z silnym rekonesansem przez Grochów, gdzie stał się zwycięsko z pięciotysięczną armią generała Mohra, ku Górze Kalwaryi. Sprzeczne rozkazy Księcia Głównodowodzącego wstrzymały go tutaj przez trzy dni i tylko wstawiennictwu pomienionych generałów zawdzięczał Sokolnicki zmianę już wydanych rozkazów ogólnego ku Serockowi odwrotu. 3-go maja atakiem na bagnety zdobył most pod Górą, przyczem zabrał 1565 niewolników. Tutaj bitwa i ostrzeliwanie zdobytych pozycji trwało jeszcze dwa dni, poczem Sokolnicki, utrzymawszy się na stanowisku, stał się panem materyałów, przygotowanych pod budowę mostu.

Wkrótce uznano w Sztabie głównym wyprawę Sokolnickiego za najpoważniejszy punkt operacyi



wojennych. Do jego obozu przybyli w charakterze doradców Generał Pelletier i pułkownik Mallet. 18-go maja Sokolnicki wykonał z własnej inicjatywy niezmiernie śmiały i ryzykowny atak na twierdzę Sandomierską.

W nocnej krwawej i pełnej zamieszania przeprawie atakiem na białą broń zdobyto Sandomierz, panujący nad Zachodnią Galicyą, jako jej główny punkt obronny.

Zadanie zostało dokonane ze skutkiem całkowitym niespodzianym tak dla armii nieprzyjacielskiej, jak i dla Głównodowodzącego wojskami polskimi. Nietylko najazd na Księstwo został odparty, ale Zachodnia Galicya stała się dla Austriaków straconą niepowrotnie. Sokolnicki mierzył dalej jeszcze: powziął myśl i zupełnego odcięcia i, co za tem idzie, zupełnego zniszczenia głównej armii austriackiej: w tym celu słał do Poniatowskiego gorące wezwanie o posiłki. Różne przyczyny stanęły na przeszkodzie pełnemu wykonaniu wielkiego planu: brak dostatecznej siły, w szczególności jazdy, brak posiłków dotkliwie dawał się we znaki Sokolnickiemu; brak dostatecznej pewności politycznego położenia, brak dostatecznie śmiałej inicjatywy wojskowej w Sztacie głównym, wstrzymały dostarczenie posiłków i odsiecz. Odsiecz, ani pomoc, nie przybywała ze strony korpusu rosyjskiego generała Golicina, który w tej chwili wkraczał do Galicji: w tem dziwnem, jedynem w swoim rodzaju, położeniu rzeczy niewiadomo było jeszcze, przeciw której ze stron walczących zwróci się ten dzielny sprzymierzeniec francuski. Niezdecydowania tego, zarówno w położeniu politycznem, jak i w wojskowem Księstwa, doświadczyć musiał Sokolnicki. Rozpoczęło się niebawem oblężenie Sandomierza. Przeciwnie Sokolnicki postanowił go nie oddać darmo: 26-go maja wycieczka przeciw generałowi Schauerothowi, kosztowała tego ostatniego 800 ludzi; 6-go czerwca dokonana przeciwko armii nieprzyjaciela wycieczka, kosztowała go 1100 wziętych do niewoli. Wreszcie wielki, ogólny atak 16-tysięcznego korpusu oblężniczego został odparty (16 czerwca) ze stratą 6 — 7 tysięcy nieprzyjaciół. W kilka dni potem, zmuszony brakiem środków obrony, Sokolnicki podpisał kapitulację Sandomierza z warunkiem swobodnego, honorami wojskowymi uczczonego, wymarszu całej załogi wraz z bagażami oraz i zwerbowanymi na pobi-

tych oddziałach austriackich ochotnikami polskimi, których liczba przenosiła tysiąc.

Sokolnicki połączył się z główną armią polską, obejmując wraz z nią Galicyę w posiadanie Księstwa. 5-go lipca mianowany generalnym gubernatorem wojskowym Krakowa, 12-go sierpnia odznaczony stopniem oficera Legii honorowej i komandora orderu wojskowego polskiego, w listopadzie t. r. objął dowództwo nad dywizją, obejmującą w posiadanie okręg lubelski.

20-go marca 1816 r. Sokolnicki mianowany został generałem dywizji wojsk Księstwa. Rok cały spędził następnie w Puławach, w gościnnym domu księcia Generała Ziem Podolskich, gdzie przebywał niegdyś, jako uczący się młodzian, dokąd wracał teraz, czczony i honorowany jako zasłużony dla sprawy ojczystej wódz, jako uznany pierwszy bohater skończonej wojny. Wywdzięczając się za gościnę i chcąc dać dowód przyjaźni, odbył później (w. r. 1811) podróż po Niemczech, Holandyi, Belgii, gdzie po drodze kupował dzieła sztuki i rzadkości dla przesłania ich księżnej Generalowej Czartoryskiej do jej zbiorów Domku Gotyckiego i Świątyni Sybilii. Miał jednocześnie sposobność prowadzenia swych ulubionych prac erudycyjnych i do pak wysyłanych przedmiotów dołączał dla księżnej obszernie, drobiazgowo komentarze, niekiedy pisane w formie fantastycznych i kunsztownych wierszy.

Gdy przymierze rosyjsko-francuskie kruszyło się i gięło, gdy coraz bardziej nieuniknionym stawał się orężny, wielki przełom europejski — walka dwóch największych, jedynych w tej chwili, potęg, przygotowawcze zajęcia wojenne i prace służby obywatelskiej powołały znów Sokolnickiego. W początku 1812 roku Napoleon powołał go do Paryża. Tutaj wraz z ks. Józefem Poniatowskim, obaj, jako najbliżsi przyszłych wojennych wypadków, jako najlepiej obznajmieni z terenem Litwy, przygotowują przy boku Cesarza, w jego Kancelaryi wojskowej, plan przyszłej wojny. Sokolnicki sam na własną rękę opracował wielki projekt, którego punktem wytycznym miała być wyprawa na Ruś, podstawą zaś zasadniczą ograniczenie wojny do przestrzeni dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

Plan ten, jak wiadomo, nie został uwzględniony. Rozpoczęła się wielka wojna Północna. Sokolnicki przeznaczony został do Sztabu Gene-

ralnego Wielkiej Armii i oddany pod bezpośrednie rozkazy Cesarza. Tutaj odbył kampanię, mając sobie poruczoną służbę wywiadowczą w najszerszym tego słowa znaczeniu, t. j. tak ogólną w informowaniu Cesarza o stanie krajów polskich, jak również szczegółną, na polu bitew, kiedy rozpoznawał pozycje nieprzyjacielskie i zdawał o nich raporty Napoleonowi. Jednocześnie, w przejściu przez Litwę, wziął czynny udział w tworzeniu i organizowaniu Kontederacyi Generalnej i pośredniczył między nią a Cesarzem.

W Smoleńsku raz jeszcze ponowił ostrzeżenia i w myśl dawnych swoich planów radził powrócić na Litwę.

Gdy upadała wielka armia Cesarstwa, upadał wraz z Napoleonem polski najwierniejszy jego satelita. Po wyjeździe Cesarza pełnił służbę swoją przy boku Murata; po wyjeździe tegoż przeszedł pod rozkazy wice-króla Eugeniusza. Niebawem przecież w nowej kampanii wrócił do Sztabu Napoleona i tutaj, w Saksonii, pełnił swą służbę, używany do wojskowych i politycznych poruczeń. Szczególnie ważne miał zadanie po bitwie pod Bautzen, kiedy chodziło, jeżeli nie o poruszenie Księstwa i rozpostarcie nowego ruchu powstańczego przeciw Rosyi, to przynajmniej o przeświadczenie się o wierności korpusu polskiego i zbadanie stanowiska wodzów wojsk austriackich.

Po pogromie lipskim Sokolnicki objął chwilowo dowództwo nad korpusem, przecież zaraz od niego oddalony został, naskutek samowolnego wystąpienia generała Krukowieckiego, który, jakoby w imieniu dowódców polskich, zażądał od Napoleona mianowania wodzem Antoniego Sułkowskiego. Sokolnicki pozostał do końca kampanii przy jednej z dywizji polskiego korpusu.

Dotrwał aż do chwili ostatniej, kiedy przy oblężeniu Paryża bronił wzgórz Bûtte Chaumont na czele studentów Paryskiej Szkoły Politechnicznej. Zaczem 11-go kwietnia w Fontainebleau, po abdykacyi Cesarza, wysłany wraz z Szymanowskim z listami Dąbrowskiego do Napoleona i Alexandra, zyskał od pierwszego pożegnanie dla armii i list, w którym X. Bassano w imieniu Cesarza dziękował mu za usługi, jakie oddał osobie cesarza i jego sprawom; od drugiego zaś, z konieczności losów nowego faktycznego władcy Polaków, zapewnienia pełne nadziei na przyszłość.

Od W. X. Konstantego, nowego dowódcy wojsk polskich, otrzymawszy pozwolenie na przewiezienie zwłok Poniatowskiego do kraju, powiódł resztki wojsk polskich przez Nancy, gdzie uczczono grób Leszczyńskiego, Lipsk i Poznań do Warszawy.

Tutaj, po tej ostatniej uroczystości, w której pozostali starzy napoleońscy wojacy oddali cześć umarłemu wodzowi przeszłości, najwierniejszy z napoleońskich wojaków nie wiele miał do czynienia. On, człowiek epoki minionej, nie mógł się żyć z nowym porządkiem rzeczy. Przewodnia jego gwiazda znikła. A chociaż sam był pełen sił życia ponad swój stary już wiek, przecie ci, co decydowali losami kraju, nie mogli, ani nie chcieli szukać w nim współpracownika ani sprzymierzeńca. Dla tego człowieka, co powagą swojej męskiej i znakomitej postaci ucieleśniał zda się przed oczyma nowych pokoleń żelazne czasy wielkich wojen, wielkiego hartu napoleońskich wodzów, nie było teraz miejsca: i jeśli żywiono dla niego jeszcze szacunek, nie miano już prawie żadnego zaufania.

Sokolnicki odczuwał to: nie dał się zbyć pochlebstwami; jednocześnie bowiem ludzono go obietnicami honorów, Xiążę Głównodowodzący przyrzekał uczcić jego nazwisko, łącząc je z nazwą Nowego-Świata w Warszawie — a z drugiej strony zbywano jego rady i zdania, przewlekano sprawę przeciw Krukowieckiemu, leżącą na honorze wojskowym i osobistym Sokolnickiego. To też wolał on zaciszne puławskie, rodzinne strony wielkopolskie — i tam przebył większą część 1815-go i 1816-go r. Wróciwszy we wrześniu t. r. do Warszawy na swoje wojskowe stanowisko, 16-go tegoż miesiąca na Placu Saskim, w czasie przeglądu wojsk, uderzony przez rozhukanego konia, spadł i rozbił czaszkę. W chwilę potem nastąpiła śmierć.

Do ostatnich chwil, do 56-go roku, w którym życie swoje zakończył, zachował trzeźwość umysłu, gorącość i żywość pragnień i zamiłowań. W r. 1815-ym zajmował się Wydziałem Kunsztów w Tow. Gospod. Roln. Warszawskim. W Pamiętniku Warszawskim pomieścił (1816) rozprawę o użytku kół zębatach i drugą, krytyczną, o »Ludgardzie«, tragedyi wystawionej podówczas w Warszawie.

Zresztą, w ciągu całego niespokojnego żywota

przenoszony w coraz to inne kraje i warunki, w rzadkich chwilach pokoju lub wytchnienia cały swój czas wolny poświęcał ulubionym pracom naukowym. W więzieniu petersburskim oddawał się studiom przyrodniczym; później pracował nad przystosowaniami matematyki i fizyki w hydraulice, geodezyi, kastrometrii wojennej i innych przedmiotach wojenno-technicznego użytku. Pozostawił w druku i rękopisach liczne twory swej ciekawej, zawsze wynalazczej oryginalności naukowej. W Paryżu budował dom czarodziejski z odpowiednim do przenoszenia dźwięków urządzeniem ścian. W Niemczech, w Kremsmünster spożytkował miejscowe obserwatorium dla badań astronomicznych. W Szwajcaryi badał spadki wód, lub źródła mineralne. We Włoszech zajął się wraz z uczonymi medyolańskimi i pizańskimi różnemi doświadczeniami fizycznymi. Z Galicyi razem z memoriałem o planach wojennych Austrii przywiózł »Poetyczny i fizyczny opis salin Wieliczki.« Wszędzie, gdzie był, obserwował, pracował, uczył się. Niestrudzony w pomysłach, niezaspokojony nigdy owocem badań.

W uznaniu rzeczywistych uzdolnień i zasług, liczne towarzystwa powołały go do grona swoich członków: był mianowicie członkiem Akademii w Genewie i Nancy, członkiem-korespondentem Instytutu francuskiego, członkiem paryskiej Akademii Nauk.

Z licznych, w rękopisie pozostałych, pism politycznych, na szczególną uwagę zasługuje memoriał wystosowany do Dyrektoryatu francuskiego, będący pierwowzorem wydanego później na rozkaz Napoleona w 1812 roku i słynnego odtąd, testamentu Piotra Wielkiego. \*)

Oprócz licznych prac rękopiśmiennych, oprócz wywiezionego do Petersburga wyżej omówionego raportu z 1791 r. i zagranicznego traktatu o sztuce wojkowej, redagowanego w r. 1791-im wspólnie z Józefem Sułkowskim, znane są następujące, drukiem ogłoszone, pisma Generała: »*Recherches sur*

*différents points de l'hydrodynamique*»; »*Recherches sur le canton d'Elberfeld*»; »*Note sur un pont militaire, exécuté à Grodno en 1792*»; »*Note sur un canal de desséchement, exécuté en Pologne en 1781*»; »*Histoire de la 7-me division du VIII corps*»; »*Muhamet législateur des femmes* i in.

Ten gwałtowny a niestrudzony wódz, ten porywczy, niespokojny a nieustraszony badacz nie znał giętkości ani skromności w działaniu. Popędliwy i stanowczy, ostrym był dla podwładnych i dla zwyciężonych, cierpkim i hardym względem wyższych wodzów. Było w tym człowieku i wielkie poświęcenie i dobra wola i wyjątkowe zdolności, stawiające go niemal ponad wszystkie społeczne postaci wojskowe pod względem lotności i siły strategicznego umysłu. A była w nim także jasna świadomość swojej wyższości, złączona naturalnym sposobem z nader żywą i drażliwą ambicją osobistą, nie zawsze przecie równoważoną przez wielkość czynu.

Po nad wszystkim jednak zawsze i wszędzie górowało w nim poczucie obowiązku dla służby krajowej. Nie był nigdy lubiany. U podwładnych i u przełożonych spotykał się często z brakiem zaufania, z obawą względem śmiałej rzutkości planów, z niechęcią względem szorstkich form wykonania, zazdrością względem powodzeń. Tem tłumaczyć można, iż, odgrywając często decydującą rolę, nigdy nie był wzniesiony na pierwsze stanowisko, zawsze zostawał podwładnym. Ambicja jego cierpiała, stawał się w życiu całkiem szorstkim, wyniosłym i zimnym.

Z ducha przejął się oświeconą kulturą francuską. Pisał i mówił chętnie językiem przybranej ojczyzny. Całym swym życiem i wszystkimi czynami stwierdzał swój ideał łączności polsko-francuskiej.

Wyznawca tak bezwzględnej wiary, nie dziw, że w zmiennej kolei wypadków i stosunków nie zawsze mógł być wyrazem opinii wszystkich Polaków. Jego drażliwy i imperatywny charakter również niejednokrotnie szkodził mu u rodaków.

U Francuzów, u rządu, nie mógł się cieszyć też ani zaufaniem, ani przywiązaniem silnijszem: zawsze w głębi swojej duszy, w podstawie swoich celów politycznych pozostawał Polakiem i pragnął działać w tym jedynym wytkniętym kierunku. Toteż w nim, jakkolwiek najbliższym i najwierniejszym, nie szukano nigdy pierwszego

\*) Nader ciekawy ten szczegół wyjaśniony będzie w jednym z tomów »Monografii w zakresie dziejów nowożytnych«, poświęconym Sokolnickiemu. Zużytkujemy tam w całej możliwej rozciągłości będącą w naszym posiadaniu bogatą spuściznę rękopiśmienną po Generale. Tam też odsyłamy czytelników po bliższe szczegóły, dotyczące się ciekawej, a niewzględnionej dotychczas wcale, postaci generała Sokolnickiego.

pośrednika, ni pierwszego francuskiego kierownika sprawy polskiej: zawsze zbyt się obawiano zbytnej samodzielności i obszerności jego planów. Ztąd też w głębi istniało nieporozumienie między nim a rządem Francji.

Najbliżej ze wszystkich wodzów polskich osoby Napoleona stojący, i tu Sokolnicki, mimo całego pokładanego w nim osobiście przez cesarza zaufania, spotykał się niekiedy, w krytycznych zwłaszcza chwilach, z pewnem niedowierzaniem,

wynikającym z niezmiernie skomplikowanej natury stosunków polsko-francuskich w dobie napoleońskiej.

Pozostał sam i sam stoi na uboczu, pomiędzy wszystkimi wielkimi wodzami ówczesnej epoki odrębny. Śmierć, która go zabrała w pełnym jeszcze rozkwicie sił, zbyt wcześnie i nagle przerwała ciąg jego ciekawej i odrębnej działalności wojskowej i politycznej,

*Michał Sokolnicki.*

# Teodor Morawski.

(\* 1797 † 1879).

**T**eodor Morawski, historyk i działacz publiczny, urodził się 1 Listopada 1797 r.

we wsi Piwonicach w dawnym województwie Kaliskiem, ze starej wielkopolskiej rodziny. W młodym wieku po naukę szkolną wyprawiony został przez rodziców do pruskiej wówczas Warszawy i umieszczony w najlepszym podówczas tutejszym pensjonacie Wolskiego, skąd zaczął uczęszczać do świeżo właśnie założonego liceum warszawskiego. Był to młody zakład wychowawczy, nawskroś niemieckim duchem przejęty i ideom germanizacji służący. Rząd pruski założył w Warszawie w r. 1805 wzorowe gimnazjum, wtedy nazywane liceum, z kierunkiem filozoficznym; plan nauk był rozległy, kładziono nacisk na języki wogóle, wykładano nawet hebrajszczyznę. Otóż do tego liceum, w rok po jego otwarciu, zaczął chodzić Morawski po naukę za rektoratu Lindego. Tu, na ławie szkolnej, poznał się i zaprzyjaźnił z ludźmi, z którymi potem miał razem działać w życiu publicznem. Byli to: Brykczyński, «naj-

zdolniejszy ze wszystkich», jak go Morawski nazywa, tłumacz «Pieniaczy» Rasyńa i «Wiadra

porwanego» Tassoni'ego, i Tymon Zaborowski, autor «Dum podolskich». Z nimi to do spółki, próbując sił swoich i czyniąc zarazem zadość ciekawości swych kolegów, jak i szerszej publiczności, żadnej sensacyjnych romansów, przetłumaczył Morawski sławny wówczas romans «Rinaldo Rinaldini» Vulpiusa; wydany po raz pierwszy 1814 r., miał on nie jedną jeszcze edycję; tłumaczom przyniósł zamiast honorarium brzęczącego, tylko kilka książek, bo tym sposobem zapłacił wydawca młodym literatom za rękopis.

Po skończeniu liceum, wstąpił Morawski do Uniwersytetu Warszawskiego na wydział prawa i administracji, a po otrzymaniu w 1816 r. stopnia magistra obojga praw dostał w Komisji rządowej spraw wewnętrznych urząd sekretarza. Z kolegami, z którymi żył ściślej na ławie szkolnej, nie rozszedł się po skończeniu nauk, lecz wspólnie założyli w pewnym rodzaju



Według statuarytu współczesnego.



towarzystwo, schodzili się u siebie co tydzień; każdy obowiązany był przynieść z kolei jaką pracę naukową i ją odczytać. Mieli i inne, choć młodzieńcze, jednak pożyteczne zamiary, które w czyn zamieniali.

W młodocianym swym gronie postanowili poważniejszy i bardziej rodzimy żywioł wprowadzić do obyczajów stołecznych; przede wszystkim dbali o czystość języka w mowie i piśmie, bardzo ostatnimi czasy na szwank narażoną przez wpływy niemieckie i francuskie, postanowili nie używać w towarzystwach mowy francuskiej, ani nie wtrącać francuskich słów i wyrażań, jak to wtedy było we zwyczaju; unikać zbytków w stroju i życiu, nie nosić innego fraka, jak czarny, kiedy moda ówczesna nakazywała nosić kolorowe. To grono młodzieży pozostawało w bezpośrednim związku z lożą wolnomularską Braci Polaków i Kazimierza Wielkiego. Za zadanie wzięli, sobie również przetłumaczenie Rulhièr'a i Ferranda, czego w części dokonał Morawski, choć w innych już całkiem okolicznościach. Ten sposób życia podobał się osobom starszym, wielu z ludzi poważniejszych zbliżyło się do nich, jak naprz. Brodziński, Lelewel, ojciec Joachima, kasztelan Kiciński, szef kancelaryi Stanisława Augusta, i Staszic, który do pomocy w swych pracach ciągle używał Morawskiego, tak iż stał się on raczej sekretarzem Staszica, niż Komisyi rządowej. Ta zamiana stołu urzędniczego na biurko uczonego i możność stałego korzystania z uwag i rad takiego męża jak Staszic, nie mało mu przyniosła pożytku i rozwinęła zdolność szerszego i jaśniejszego patrzenia na sprawy publiczne. Wtedy też rzucił się Morawski z zapałem do zawodu publicystycznego.

By poznać lepiej pracę dziennikarską Morawskiego, musimy przypomnieć sobie niski stan w owym czasie publicystyki naszej, która nie zadawała ani młodych, żadnych wieści z szerszego świata i swobodnego wyrażania swych zapatrywań na sprawy ogólne, ani też ludzi starszych, wychowanych na kulturze wieku oświecenia, a przeszczepionej do nas z Francyi. Ruch publicystyczny napozór wydawał się u nas ożywionym od początku wieku, wzrósł nawet po 1812 r., t. j. po przegranej Napoleona, był on jednak efemeryczny, nigdy zaś nie stał na poziomie zadawalniającym szerszy ogół. Miała

Warszawa «Gazetę Warszawską», która 1794 r. od Łuskińy przeszła do Antoniego Lesznowskiego, miała «Korespondenta», własność rodziny Wyżewskich, tudzież «Pamiętnik», będący w ręku Feliksa Bentkowskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego. Wydawanie gazet tych było jakby unormowane wedle przepisów poczty francuskiej; ukazywały się bowiem dwa razy tygodniowo, wtedy, gdy poczta odchodziła na prowincję. Treść ich ograniczała się zazwyczaj na przedrukowaniu nowin z «Korespondenta Hamburskiego» i z pism berlińskich; za odwagę już poczytywano umieszczanie wiadomości i spostrzeżeń nad ówczesnymi obyczajami paryskimi, skąd Gerard Witkowski pod pseudonimem Pustelnika z Krakowskiego-Przedmieścia brał analogie do obyczajów krajowych, lub skąd «Iksowie» zapożyczali dowcipne uwagi nad teatrem francuskim dla biczowania aktorów warszawskich. «Pamiętnik» był pismem czysto literackim, nie zamieszczającym nic ze spraw publicznych i przeto zupełnie wolnem od obawy narażenia się cenzurze. Wśród tej powszechnej ospałości publicystycznej, wniesiony został nowy ferment przez kółko młodych przyjaciół Morawskiego. Założyli oni «Tygodnik literacki» w 1818 r., a w następnym już roku powstała znowu za ich staraniem «Gazeta codzienna», pierwsze w kraju pismo codzienne. Gazeta zdołała uwolnić się od cenzury; czerpała wiadomości ze źródeł francuskich, lecz nie poprzestając na nowinkach, ogłaszała niekiedy bardzo zresztą obcięte artykuły w materyach politycznych i sprawozdania z obrad Izb sejmowych paryskich, gdzie w owym czasie były na porządku dziennym gorące rozprawy w zasadniczych kwestyach konstytucyjnych. Pismo to jednak istniało niedługo. Skutkiem głośnego w swym czasie zajścia w teatrze z aktorką «Filis», «Gazeta Codzienna» zaskarżona u W. Ks. Konstantego, niebawem ciężkich doświadczyła rygorów. Opieczętowano drukarnię Kicińskiego, zakazano dalszego wydawnictwa, a redaktorów zawiezono na drugi dzień do namiestnika, rano jednak rozkaz zmieniono i postawiono ich przed W. Ks. Konstantym; przyjechał po nich pułkownik Kicki, adjutant W. Księcia, W. Książę z początku bardzo gniewnie zaczął do nich przemawiać, potem jednak udobruchał się i puścił ich wolno. W rozmowie sami ich uniewinniali, oskarżając natomiast Czartoryskiego i Mostowskiego, którzy, jako



minister spraw wewnętrznych musiał utrzymywać urzędowe stosunki z podwładnym sobie Morawskim i Kicińskim. Mostowski usprawiedliwił się natychmiast, posyłając Morawskiemu, a wkrótce i Kicińskiemu dymisyę, nadmieniając im w uwolnieniu, że raz na zawsze zostali uznani za niezdolnych do jakiegokolwiek urzędu w administracji kraju. Podniosło to popularność redaktorów, urządzano dla nich obiady, wybito pamiątkowe obrączki i t. d. Morawski idąc za przykładem społecznych opozycyjnych redaktorów francuskich, który, gdy Izby francuskie ustanowiły cenzurę na pisma peryodyczne, uciekali się do wydawania dzienników nieperyodycznie, podobnie omijając zakaz, począł wydawać nieperyodyczną «Kronikę», która potem przemieniła się w «Orla białego». Wkrótce jednak i ten wybieg został zatamowany. W rzeczy samej niezawisłe od dekretu d. 22 maja 1819 r. o cenzurze policyjnej dzienników, wyszedł drugi dodatkowy dekret namiestnikowski d. 16 lipca t. r., rozciągający cenzurę do wszystkich pism bez wyjątku. Kółko przeto wydawców rozpięchło się. Było podobno wtedy zamiarem rządu założyć dziennik urzędowy; w skład jego mieli wchodzić Potocki, Mostowski, Staszic, Plater, Koźmian, Lipiński, Niemcewicz, Osiński; projekt ten jednak nie doszedł do skutku. Na czele obostrzonej cenzury stanął wtedy uczony karjerowicz Kalasanty Szaniawski. Przed nim urząd cenzora sprawowali, naznaczeni jeszcze przez rząd Księstwa Warszawskiego, sekretarz senatu Niemcewicz i ksiądz Ksawery Bohusz; jednak gdy Stanisław Potocki został usunięty z ministra oświaty, wskutek «nadużycia» wolności druku przez swoją «Podróż do Ciemnogrodu», a miejsce jego zajął syn Stanisława Augusta, Stanisław Grabowski, zwany powszechnie monsignorem, cenzurę objął Szaniawski. W. Ks. Konstanty nie spuszczał odtąd z uwagi Morawskiego i Kicińskiego, wzywał ich do siebie jeszcze kilka razy, a raz nawet przetrzymał ich 24 godzin w pokojach pałacu Brühlowskiego. Mając sobie zamkniętą działalność publicystyczną, Morawski tem czynniejszy udział począł brać w rozmnażających się towarzystwach tajnych. Należał do komitetu centralnego utworzonego w 1812 r., do którego weszli także major Łukasiński, podpułkownicy kwatermistrzostwa Prądyński i Kozakowski, referendarz Wierzbowski, adwokat Szreder i Kiciński. Plan organizacji łączącej wszyst-

kie towarzystwa i obejmującej nad całą działalnością kierunek naczelny, opracował Morawski. Między innemi swemi zadaniami członkowie komitetu postanowili przetłumaczyć Rulhiera i Ferranda; Morawskiemu poruczono ogłoszenia całości z objaśnieniami. Jednakowoż styczność z Komitetem nie długo zachował Morawski, w 1821 r. wyjechał z Warszawy w Kaliskie i wszelkie stosunki ze związkowcami przez to zerwał. Osiadł w rodzinnej wsi i na niej zaczął gospodarować. Przyjęty w okolicy bardzo dobrze, dzięki stosunkom rodzinnym i wyrobionej już w Warszawie popularności, która doszła i w Kaliskie, nie przedstawiał zajmować się sprawami publicznymi, wpływał na narady przedsejmikowe, wybierany był sekretarzem na sejmikach. Sąsiedztwo zbliżyło go do Niemojewskich, imię których szeroko się rozchodziło od sejmu 1820 r. Z nimi, z bratem swoim Teofilem i kilkoma jeszcze sąsiadami założył Morawski rodzaj towarzystwa «czytelnianego», jak je sam nazywał. Celem jego było dostarczać składkującym nieprzystępnych, a łatwo nad granicą dających się otrzymać zagranicznych gazet. Obwoziła je umyślnie ku temu urządzona poczta. Do dzienników przyłączył się wkrótce rękopiśmienny okólnik, w którym każdy z kolei spisywał swoje spostrzeżenia; potem zaczęli pisywać i dołączać do tej poczty rozprawki w przedmiotach obchodzących kraj cały. Liczba członków ścisłych nie przenosiła ośmiu, działalność jednak swoją rozciągnęli dość szeroko, zapraszali do siebie kolejno okoliczne obywatelstwo na narady w sprawach ogólnych, tak w przedmiotach ekonomicznych, jak i nawet politycznych, ztąd wpływ ich ciągle rósł i powoli naturalnym biegiem rzeczy opanowali całe prawie województwo Kaliskie. Stowarzyszenie to czytelniane stało się zawiązkiem późniejszego opozycyjnego stronnictwa Kaliskiego w sejmie. Do niego zaliczali się Wincenty i Bonawentura Niemojewscy, Józef Komorowski, Stanisław Kaczkowski, Alojzy Biernacki, Józef Biernacki, dawny legionista, Teodor Morawski i brat jego Teofil, późniejszy członek Rządu Narodowego.

W maju 1828 r. na skutek głośnego zatargu, wywołanego przez unieważniony obiór Niemojewskiego do sejmu, wmieszany w tę sprawę Morawski, osadzony był u Karmelitów na Lesznie. Siedział tu dwa miesiące, jak powiada, miewał się

nie najgorzej; wezwany wreszcie do Belwederu do W. Ks. Konstantego, mocno został zganiony, skrzyczany. lecz wypuszczony na wolność, powrócił do siebie na wieś. Już jednak w grudniu tegoż 1825 r. zagrożony nowymi wynikłymi komplikacjami, udał się Morawski zagranicę, nasamprzód w Poznańskie, z kąd zaś za paszportem Teodora Szczawińskiego do Drezna i wreszcie do Paryża, dokąd przybył w kwietniu 1826 r.

Podczas pobytu w Paryżu zajmował się wiele pracą historyczną i literacką. Do wydawanego wówczas przez Leonarda Chodźkę i Ogińskiego «Obrazu Polski» dołączył krótki zarys historyczny. Po wybuchu rewolucyi lipcowej, gdy powrócił do swego nazwiska, zaczął pisywać *Letters on Poland* do londyńskiego *Morning Chronicle*, jakby chciał przez te listy przygotować opinię europejską do mających zajść wkrótce wypadków w Polsce. Po wybuchu rewolucyi listopadowej chciał zaraz wracać do kraju, został jednak, by być pomocnym przez swe stosunki, jakie już zawarł w Paryżu misji dyplomatycznej polskiej. Z początku przybył do Paryża wysłany z Warszawy Konstanty Wolicki, ten jednak wkrótce wyprawiony został do Konstantynopola, Morawski zaś dostał rozkaz od dyktatora, by zastępował Wolickiego aż do przyjazdu do Paryża Kniaziewiczza i Platera. Morawski ze swej czynności zdał Rządowi Narodowemu dwa raporty. Pierwszy jednak nie doszedł, drugi z d. 19 marca jest pierwszym aktem urzędowym, świadczącym o położeniu we Francyi, oraz o niemalej Morawskiego gorliwości. 8 lutego miał Morawski dość długą rozmowę z Sébastianem, ministrem spraw zagranicznych, który mu odmówił jakiegokolwiek pomocy; tegoż samego dnia miał audyencyę u następcy tronu, ks. Orleanu, i tu jednak nie usłyszał nic dla sprawy publicznej pocieszającego, następcę tronu wyrzucał, że polacy sami sobie wiele zaszkodzili, że Francya może im służyć li tylko negocyacjami. Rozmawiał później Morawski z generałami Exellmannem, Lallemendem, Rovigo i Grouchy, którzy mieli jechać do Polski, by służyć w armii polskiej, lecz generał Rumigny, adjutant cesarski, przyniósł im od króla formalny zakaz wyjazdu. Wobec tego, wobec tej jawnej nieprzychylności dla sprawy polskiej rządu francuskiego, donosi Morawski w swym raporcie, iż chciał na naszą korzyść poruszyć opinię publiczną i w tym celu zebrał do-

wody, okazujące, że Rosya zamierzała wojnę przeciw lipcowej Francyi, ułożył wtedy stosowny memoriał i wręczył go Lafayettowi, by z niego zrobił użytek. 18 marca nastąpiła interpelacya w Izbie deputowanych; generał Lamarque i deputowany Manguin wygłosili mowy pełne uczucia dla Polski; minister spraw zagranicznych znalazł się tedy w kłopotcie i uchronił się od odpowiedzi wczesnem zamknięciem sesyi. Z tego postępowania rządu wnosil Morawski, iż należy tylko poruszyć opinię publiczną, bardzo sympatyzującą z sprawą polską, pracować nad obaleniem nieprzychylnego nam ministerium. W tym celu zamierzał odwołać się do narodu francuskiego, wykazać mu całe postępowanie rządu. Taka jednak odezwa musi mieć charakter urzędowy i dlatego wygotował tylko projekt i wręczył go przybyłym wkrótce Kniaziewiczowi i Platerowi. Po zdaniu też im szczegółowego sprawozdania ze swych czynności, za które dostał od Rządu Narodowego podziękowanie, Morawski wyjechał z Paryża razem z Zabiellą; po wielu przygodach podróży stanął w Warszawie d. 10 lipca 1831 r.

Po przyjeździe odrazu wszedł do pracy czynnej. Jako rodem z Kaliskiego i znającego tamtejsze stosunki, mianowano go nadzwyczajnym komisarzem Rządu do województwa Kaliskiego; z czynności swojej zdał sprawozdanie, składając raport o zasobach województwa. Przez Kalisz na posła do sejmu wybrany, zasiadł na ławie poselskiej d. 25 lipca. Spełnienie obowiązków dyplomatycznych w Paryżu wyrobiło mu dobre imię w tej mierze; nazajutrz, d. 26 lipca wybrano go na członka komisji do spraw dyplomatycznych. Niebawem został referentem komisji, która usunęła w Bolimowie Skrzyneckiego od dowództwa, a na tymczasowego jego następcę powołała Dembińskiego. Po nocy 15 sierpnia ułożył odezwę rządu do ludności stołecznej, potępiającą rozruchy uliczne, a broniącą nieskazitelnosci sprawy publicznej, której takie gwałty ujmę tylko przynieść mogą. Był dalej Morawski przed Izbą sprawozdawcą projektu organizacyi nowego rządu; przy wyborze prezesa głosował na Niemojewskiego; wpływał także na obiór Prądzyńskiego na naczelnego dowódcę. Gdy Krukowiecki został presem Rządu Narodowego, za radą Bonawentury Niemojewskiego powołał 20 sierpnia Morawskiego na ministra spraw zagranicznych. Jednak,

gdy 7 września Krukowiecki posłał parlamentarza do Paszkiewicza, Morawski poddał się natychmiast do dymisji, ostrzegając zarazem Izbę przed grożącym niebezpieczeństwem. Podczas szturmów Warszawy nie opuścił Izby sejmowej, redagował wtedy akt złożenia Krukowieckiego, a po obraniu nowego prezesa Rządu, objął znowu dawną swą tekę ministra. W obozie w Zakroczymiu wydał jeszcze ostatni cyrkularz do mocarstw zagranicznych i wraz z całym rządem przeszedł granicę i udał się do Paryża, dokąd przybył w październiku razem z Niemojewskim. Tutaj to w Paryżu, wycofawszy się po pewnym czasie od bezpłodnych już wówczas robót politycznych, poświęcił się Morawski pracy naukowej na szerszą skalę. Powziął mianowicie śmiałą i użyteczną myśl skreślenia całokształtu dziejów narodowych w jednej przejrzystej naukowo-popularnej całości, dostępnej dla szerokich warstw oświeconego ogółu. Urzeczywistnieniem tej myśli stało się główne dzieło życia Morawskiego, owoc pracy trzydziestoletniej, jego *Dzieje narodu polskiego*, wydane w 6 tomach w Poznaniu 1870 r. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ówczesny stan nauk historycznych w Polsce, trudności przy zbieraniu źródeł naukowych, z jakimi walczył autor na obczyźnie, trudności techniczne i polityczne, wtedy łatwo przyjdzie ocenić niepospolitą wartość pracy, jakiej dokonał Morawski. Nie wchodząc w szczegółową ocenę, należy jednak stwierdzić, że pomimo pewnej dowolności w rozkładzie przedmiotów, szczególnie wartościowym jest tom V dzieła Morawskiego, obejmujący panowanie Stanisława Augusta, oraz tom VI, traktujący o XIX wieku, gdzie Morawski zużytkował znaczny materiał rękopiśmienny, i to nie tylko polski, czerpany ze


zbiorów ks. Adama Czartoryskiego w Hôtel Lambert oraz z Biblioteki Polskiej w Paryżu, lecz także i zagraniczny z niektórych archiwów rządowych, np. z *Record office* w Londynie. Po napisaniu tego dzieła Akademia Krakowska powołała go na swego czynnego członka, a Towarzystwo historyczno-literackie w Paryżu, którego Morawski przez długie lata był wiceprezesem, wręczyło sędziwemu historykowi 5 lutego 1883 r. medal wybitny na jego cześć. Pisywał także Morawski do wielu gazet francuskich i polskich; do *Encyclopédie des gens du monde* napisał kilka artykułów dotyczących Polski. Zajmował się również niezafatwioną na sejmach Królestwa sprawą włościańską, a oceniając całą jej doniosłość, wydał w tej kwestyi: *Quelques mots sur les paysans* i *Sur les intentions de la dernière révolution polonaise à l'égard des paysans*. Gdy w 1868 r. Tow. historyczno-literackie ogłosiło na konkurs pytanie o przyczynach słabości rządu polskiego, Morawski zebrał w krótkości to, co w swem dziele umieścił i rozprawę bezimiennie posłał. Oprócz wyżej wspomnianych rzeczy wydał także: *Powstanie Kościuszki*, Paryż 1838 r., *Sur la Pologne*, Paryż 1843 r., *Mowa w Towarzystwie literackim*, Paryż 1840 r., *Rozmowy tułackie*, Paryż 1843 r., *Wskazówki do dziejów narodu polskiego*, Poznań, 1878 r., *Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane*, Drezno 1872 r., *Odpowiedź na odpowiedź Chetnickiemu i Zwiernowskiemu* Paryż 1843 r., *Moje przygody*, Kraków 1873 r.—Ożeniony był z wdową po pułkowniku Mallet'cie, z domu Bory de St. Vincent. Umarł w 84 roku życia 21 listopada 1879 r., pochowany w Paryżu na Père Lachaise.

Włodzimierz Ossowski.



# Wincenty Pol.

\* 1807 † 1872.

 życie i twórczość Wincentego Pola daje nam jeden z najwymowniejszych przykładów zupełnego spolszczenia się Niemca z rodu, co więcej, przemienienia się z czasem na zapalonego piewcę szlachecczyzny, z jej zaletami i wadami.

Ojciec jego, piszący się: Pohl albo Poll, był urzędnikiem austriackim, ożenionym z Eleonorą Longchamps, pochodzącą z rodziny francuskiej, spokrewnionej z Niemcami, ale już znacznie spolonizowanej. Wincenty urodził się w Lublinie za czasów panowania tam austriaków, w r. 1807; gdy ci w dwa lata potem ustąpili przed wojskami Księstwa Warszawskiego, rodzice Pola przenieśli się do Lwowa. Tu też ich dzieci odbierały wykształcenie, oczywiście niemieckie; matka jeno, lubiąca wiersze polskie, powtarzając je, wpajała dźwięki nowe w umysły młodociane i najpewniej rozmawiała po polsku. Działwa nabywała tym sposobem praktycznej znajomości języka, lecz go pod względem gramatycznym nie znała. Wincenty w 18-m roku życia, pisząc popolsku, popełniał okropne błędy ortograficzne, lubo zwrotów niepoprawnych używał niewiele. Zachętę do polszczyzny znajdował w towarzystwie krewnych matki, Ziętkiewiczów, którzy, nabywszy mająteczek pod Lwowem (Mostki), jako ludzie zamożni, zbierali u siebie gości nie tylko z pośród mieszczan, ale i średniej szlachty.

Skłonności poetyckie wcześniej się obudziły w duszy młodzieńca i zaniedbując nauki szkolne, to w uniwersytecie lwowskim, to w Kolegium jezuickim w Tarnopolu, Wincenty rozczytywał się

✧ w dziełach poetów i powieściopisarzy niemieckich i polskich; sam też próbował sił w prozie i wierszu. Miłość najprzód do Eugeni Lisowskiej, a potem do Kornelii Olszewskiej, która po latach dziesięciu miała stać się jego małżonką, jeszcze bardziej odrywała studenta od nauk, ale zato umacniała w nim pragnienie zostania poetą. Pisał więc dużo w formie powieściowej i lirycznej zbierał i przerabiał pieśni gminne, tworzył sonety niemieckie i polskie; lecz nie podawał tych zakusów do druku, uważając je tylko za ćwiczenia stylowe. Istotnie w tem, co się dochowało z lat 1827—1830, nie widać nic samodzielnego; panuje tu nastrój, wprowadzony przez romantyzm: posępność, rozczarowanie, sentymentalność, ale zawsze w tonie umiarkowanym. Zaznaczyć trzeba, iż w próbach tych, mianowicie kreślonych prozą, lubił spowiadać się z tego, co przeżył...

Trzeba było wszakże pomyśleć o środkach utrzymania, gdyż rodzina, po śmierci ojca i starszego brata, żyła w biedzie. Egzamina nie wiodły się Wincentemu, a bez stopnia naukowego nie mógł otrzymać lepszej posady, rola zaś kancelisty nie uśmiechała się młodemu muz czcicielowi. Gdy i opiekun panny Olszewskiej wyraźnie oświadczył, iżby Pol zaniechał starań o jej rękę, albo też pomyślał o zabezpieczeniu przyszłości, Wincenty, choć mu to przyszło z niezmierną przykrością, napisał po niemiecku zarys dziejów literatury niemieckiej i z tą rozprawką wyruszył w sierpniu r. 1830 na Warszawę do Wilna, by tam przy uniwersytecie czy gimnazjum wyszukać posady nauczyciela niemieczyny. Niepewną jest



Według drzeworytu społecznego.

Wmianty Paj.



rzeczą, czy taką posadę otrzymał; zanim bowiem mogły być załatwione wszelkie formalności, zaszły wypadki, które i młodzież wileńską i Pola w zupełnie inną pociągnęły stronę...

W długich wędrówkach po Litwie r. 1831 Pol miał sposobność poznać dobrze i ziemię i ludzi, a co najważniejsza, przejąć się temi uczuciami, jakie wśród szlachty, mianowicie drobnej, panowały... Wraz z oddziałem Giełguda czy Chłapowskiego przeszedłszy w końcu do Prus, zajrzał do Królestwa, gdzie poznał profesora literatury Bohlena; a ten go zachęcił do przekładania pieśni ludowych polskich na język niemiecki. Dopelniając tego przekładu, czy raczej przetwarzania, Wincenty obrabiał równocześnie swe wspomnienia i wrażenia z r. 1831. Przejechawszy, następnie do Drezna i poznawszy Odyńca i Mickiewicza, dał im do oceny kilka swoich pieśni, doznał szczerzej zachęty i niebawem wykończył cały tomik.

Z datą r. 1833 wyszły dwie książeczki Pola, jedna po niemiecku: «Volkslieder der Polen» (w Lipsku), druga popolsku: «Pieśni Janusza» (Paryż); pierwsza popadła w zapomnienie, druga odrazu stała się niesłychanie popularną i rzuciła podwaliny sławy poetyckiej Wincentego, chociaż na tytule nie zawierała jego nazwiska.

Cechy znamienne tych pieśni, które później Kornel Ujejski w entuzjastycznym zachwycie porównał niewłaściwie z Iliadą, dobrze określił sam poeta we wstępnym «Śpiewie Janusza», mówiąc, że jego «serca pieśni własnej słucha tylko miesiąc jasny i stuletni dąb», że skargą na swą dolę nie znudzi słuchaczy, bo on «pieśń z ludu ma dla ludzi». Potrzeba tylko wyraz «lud» pojmować tak, jak go w tem miejscu i nieraz później rozumiał autor. Nie brał on ani nastroju, ani wyrazu z pieśni *gminu*, lecz z tej średniej warstwy społecznej, co daleka od cudzoziemczyzny, daleka od wykwintu życia, kochała swą rodzinną ziemię, zajmując się jej uprawą i dbając o zachowanie starodawnych zwyczajów i obyczajów. Do ludu nie liczył tych zdumioziemczących elegantów, co się lubili posługiwać mową francuską, wytwornie jeść i pić; co z góry patrzyli na prostaków, choćby zasłużonych i dzielnych; co obowiązki swoje lekceważyli i chłodno przyjmowali wszystko, byleby ich osoby to nie dotyczyło. Pol nie wyróżniał *wtedy* «stanów», jako stanów, a jeżeli nie cierpiał magnatów, to dlatego, że wśród

nich najwięcej widział obczyzny. Kto tylko kraj kochał szczerze, był dla niego bratem: «czy to w dworze, czy w klasztorze, na slobodzie, czy w gospodzie». Od takiego to «ludu» brał Pol zarówno treść jak barwę pieśni, zarówno rodzaj uczuć i myśli, jak język i styl, nie zadając sobie trudu wyszukiwania perspektywy, by należycie wyróżnić, co wielkie a co małe, co wzniosłe a co pospolite, co na pierwszym a co na dalszym stać by powinno planie. Radość i smutek serc prostych, nieprzywykłych do analizy, rzewność i dowcip, jowialność i satyra, delikatność uczucia i rubaszość wyrażenia, zacność i miękkość serca, a przytem zajadłość niekiedy dzika w słowach: wszystko to po kolei lub razem dźwięczy na strunach lutni Janusza, w tonach jaknajprostszych, dobieranych bez wysiłku, a nawet bez wielkiego starania. Styl bywa zazwyczaj szary, pospolity, prozaiczny, jak zwykła mowa potoczna, ubarwiona jeno przysłowiami wyrażeniami, lub dobitniejszym jakim słówkiem. Porównania i przenośnie brane są z najbliższego otoczenia; nie mają w sobie nic książkowego, erudycyjnego; zrozumieć je można odrazu; nie wymagają wcale wyższego wykształcenia i kto zna swój język i nieco historii swego narodu, pojmie je bez trudu. Czasami tylko, jak to bywa i w życiu, ton mowy się podnosi, nabiera uroczystości, słowa bywają «dobrańsze, myśli mniej pospolite, co widać mianowicie pod koniec «Rocznicy» i w «Proroctwie kapłana», gdzie Pol po swojemu wyraził pięknie ideę mesyaniczną. O dobór rymów poeta wcale się nie ubiegał; gdzie mu nasuwały się łatwo, tam szafował nimi obficie nietylko na końcu, ale i w środku wiersza, zgola o wykwinność nie dbając i używając bardzo często najłatwiejszych, t. zw. częstochowskich.

Jednem słowem, ani bogactwu fantazyi, ani świetności wyrażenia nie zawdzięczają «Pieśni Janusza» sławy swojej, lecz tylko serdecznemu uczuciu, odpowiadającemu w nastroju i sposobie jego objawienia tej skali uczuciowości, jaka była przyrodzoną, istotną właściwością owego ogółu, który Pol nazywał «ludem».

«Pieśni Janusza» w przeważnej swej części nie są *pieśniami*, t. j. poezjami lirycznymi; takich bowiem czysto lirycznych utworów, jak najpopularniejszy ze wszystkich «Śpiew z mogiły» (Lecą liście z drzewa) jest tu bardzo mało; większość

składa się z rzeczy mieszanych, epiczno-lirycznych, tak że główny motyw daje im jakieś złudzenie, jakiś czyn, a z nim dopiero łączy się odpowiednie, smutne czy wesołe, uczucie. Są tu i obrazki satyryczne, jak: «Szlachta na winie», «Wachmistrz Dorosz». Jest wreszcie i pierwszą gawędą, pisana wierszem 12-zgłoskowym, którym Pol władał wybornie, udoskonalwszy go sam, z wyrażeniami łacińskimi, wtrąconemi do polszczyzny, ze stylem potocznym, poufałym, ale zamaszystym, ze zbyt częstem «więc» jako środkiem łączenia zdań, a co najważniejsza, z częstemi, acz w nader krótkim utworze dygresyami, uskakiwaniem w bok i nawracaniem do opowieści, i ze ściśle szlacheckim kolorytem. Napis jej: «Wieczór przy kominie». Treścią—drobna przygoda Kazimierza Puławskiego, wykazująca jego przytomność i dzielność; ale treść ta przedstawiona krótko, a okoliczności uboczne — wybieranie się w drogę, chrzciny — o wiele szerzej; wszystko atoli razem tworzy całość barwną i znamionną.

Najpierwszym też następnie, rozleglejszym nowym utworem Pola była gawęda również, ogłoszona r. 1839 w «Rozmaitościach» lwowskich, a r. 1840 osobno p. t. «Przygody J. P. Benedykta Winnickiego z podróży jego z Krakowca do Nieświeża 1766 roku i powrót w dom rodzicielski».

Benedykt Winnicki nie był osobistością zmyśloną. Kiedy matka Pola, po śmierci męża, wzięła dzierżawę, on stał się jej doradcą w gospodarstwie, a połem pojechał z Wincentym do Tarnopola i utrzymywał uczniów na stancyi. Typowy szlachcic XVIII wieku, znał dużo dykteryjek i umiał je opowiadać. Charakter ten, wybornie odtworzony jako opowiadacz własnych przygód, czy to w podróży, kiedy zabił jakiegoś podejrzanego dziada, czy na dworze Radziwiłła Panie Kochanku, gdzie podkochując się w pannie respektowej, trzy lata czekał na respons Księcia dla pana wojewody Cetnera, czy w powrocie do domu, kiedy go ojciec za nieuszanowanie dla figury przydrożnej, zbyt poufałe przywitanie i jedzenie mięsa w wigilię, obatożył i do ciemnej komórki zapakował, dopóki go ksiądz proboszcz nie ułagodził przy ponawianych lampkach wina, — bardzo znatniennie i zajmująco się przedstawia. Poezyi w całym opowiadaniu bardzo mało, lecz zarysy

obyczajów staropolskich z ich prostotą i rubaszością, spokojne przedstawienie uczucia miłości, zamaszyste, pełne werwy i «kontuszowego» humoru opowiadania nadają utworowi dużo wdzięku i czynią go ładnym. Poeta wówczas nie wielbił jeszcze bynajmniej ani nadmiernej surowości wychowania staropolskiego, ani tembardziej bizuna; powtarzał jeno szczegóły słyszane, nie chwalał ich, ani ganiąc, wprost tylko jako rzeczy charakterystyczne. Książę Radziwiłł nie był wcale jego ideałem, a lekki uśmiech ironiczny, z jakim zwyczaje dworu jego Pol odmalował, jak niemniej sposób ułagodzenia ojca JMC. Benedykta, wskazują dość wyraźnie, iż poeta nasz patrzył wtedy na te objawy raczej krytycznie, niż z uwielbieniem.

«Przygody Winnickiego» czytano i chwalono; ale głębokie i serdeczne uznanie pozyskała sobie «Pieśń o ziemi naszej» (Poznań, 1843), pisana wierszem krótkim, 8-zgłoskowym, a stylem, przypominającym liryczno-epiczne «Pieśni Janusza». Po ślicznym obrazku naszej jesieni, nawiewającej pewną tęsknotę na duszę (obrazku, dodanym zresztą później dopiero) zapoznaje nas poeta z ziemianami dawnej Rzeczypospolitej i jej mieszkańcami, kreśląc ich charakterystykę żywo, zwięźle, dobitnie, a z widoczną miłością. Suchość treści dydaktycznej prawie zupełnie usunął zapomocą pierwiastku uczuciowego, przenikającego wszystkie ustępy. Pol kochał gorąco lud siermiężny, szlachtę «okoliczną» i wszystkich ludzi dobrych; nie cierpiał tylko pół-panków wołyńskich, puszących się swoim rodem i bogactwy. Najlepiej odmalował Litwę, Żmudź i Polesie, które poznał w r. 1831, dalej Wołyń, Ukrainę i Podole, które zwiedził w r. 1834, wreszcie okolice podtatrzańskie, wśród których zamieszkał od r. 1833 pod opieką Ksawerego hr. Krasickiego. Słabiej i krócej opracował niektóre części Królestwa, a Śląsk, Wielkopolskę i Prusy zupełnie pominął. W pięknym zakończeniu ujmująco przedstawił gościnność polską. Jakkolwiek poetyczna wartość «Pieśni o ziemi» nie jest wielka i jakkolwiek prozaiczność wysłowienia aż zanedo często uczuwać się w niej daje: wywiera jednak utwór ten bardzo miłe wrażenie, a serdecznością i swojskością przemawiał do mas i zapoznawał je w głównych przynajmniej zarysach z krajem ojczystym. Ma on niemałe społeczne znaczenie, podobne do tego,

jakie zyskały sobie «Śpiewy historyczne Niemcewicza.

I Pol pragnął nietylko z geografją i etnografią b. Rzeczypospolitej, ale i z jej pamiątkami, z jej dziejami zaznajomić czytelników w sposób łatwy i powabny. W tej myśli napisał «Szajne-Katarynkę» (1843), gdzie przy dźwiękach muzyki miały być pokazywane obrazki sławniejszych budowli, wizerunki królów, bohaterów, poetów — z odpowiedniami wierszowanymi objaśnieniami. Utwór ten częściowo się tylko dochował.

Jeden epizod z przeszłości, a mianowicie z końca XVIII wieku, obrobił Pol oddzielnie w «Historji szewca»... (1843, w «Noworoczniku demokratycznym»), przedstawiając dobitnie, nieraz aż zanadto jaskrawo i rubaszenie, lichotę moralną magnatów z jednej, a prawosć i dzielność mieszczaństwa warszawskiego z drugiej strony. Gawęda ta, również potoczystym 8-zgłoskowcem napisana, mająca ustępy pełne werwy, choć pod względem układu luźna i estetycznie niezharmonizowana, zasługuje na uwagę i stąd jeszcze, iż była pierwszym u nas poematem, poświęconym wyłącznie udziałowi mieszczaństwa w życiu publicznym. Nie roztaczała ona obrazu szeroko, nie była powieścią epicką, gdyż miała na względzie działanie jednego człowieka, zarysowując tłumy ogólnikowo tylko; ale bądź co bądź poruszyła strunę, do tej pory na lutni polskiej nietykaną. Ludowi i to wyłącznie góralom podtatrzańskim poświęcił Pol pierwszą i najdłuższą zarazem część swoich «Obrazów z życia i podróży» (1846). Poeta mieszkał lat wiele w wioskach górskich w Beskidach (naprzód w Kalenicy, potem ożeniwszy się ze swą Kornelią, w Maryipolu), robił częste wycieczki na hale i szczyty, poznał dobrze i pokochał biednych, lecz dzielnych i śmiałych mieszkańców górskich i ładnie, sympatycznie ich przedstawił sposobem prostym, bez deklamacyi i wydwarzania. Styl jego wszakże w tych poezjach różni się znacznie od stylu utworów poprzednich; jest on powolniejszy w tempie (wiersze 10-zgłoskowe), nie tak dziarski i zamaszysty, staranniejszy w doborze słów i mało zaprawny prowincjonalizmami.

Druga część «Obrazów» to liryki refleksyjne, smutkiem nabrzmiałe, ale smutkiem prostym, szczerym, w rezygnacyi religijnej czerpiącym ukojenie; płacze i żali się poeta zarówno na swe cierpienie osobiste, jak i na ogólne, bo «innym z wa-

wrzynu, innym mirtowe, nam padły wieńce z pioletu»... Powody smutku były najrozmaitsze: śmierć dziecka, niepowodzenia gospodarskie, a zwłaszcza oporność serc ludu, któremu życzył jaknajlepiej, pragnąc go oświecać i dźwigać z nędzy. «Posłuch w gromadach — mówi sam poeta — któremi rządziłem, był z dniem każdym widocznie większy, ale sympatya dla mnie była z każdym dniem mniejszą. Gospodarze i niewiasty nie wychodziły przed chaty, kiedym przez wieś jechał konno; nie witali mnie na obejściu, kiedym przed obejściem stanął; dzieci nie biegły z uprzejmą wesołością i krzykiem, by otworzyć wrota do wioski lub wygonu... Niezrozumiany od ludu wiejskiego, któremu oddałem najdzielniejsze i młode siły moje; krzywo sądzony przez współohywateli, którzy w usiłowaniach moich widzieli tylko wybryki niepraktycznego człowieka i na karb ideałów i poezyi składali wszystko, com czynił, — zatrapilem się w duszy i popadłem w jakieś odrętwiałe zwątpienie...»

Podczas pamiętnej rzezi galicyjskiej r. 1846 boleśnie doświadczył na sobie okrucieństwa rozszalałych chłopów. Skrępowany i do drzewa, stojącego w środku dziedzińca, przywiązany, ledwie uszedł śmierci. Okrwawionego wsadzono na wóz drabiniasty i zawieziono do urzędu cyrkularnego w Jasle, skąd po kilku tygodniach wyprawiono go do Lwowa. Uwolniono go z więzienia dopiero w lipcu 1846 r. Pisał wiersze i w więzieniu, malując stan przygnębionej duszy, drobne wydarzenia, kiedyniekiedy urozmaicające jednostajność samotności, rozmyślanie nad swoją dolą i dolą kraju. Z przygnębiającem uczuciem pytał sam siebie: «czem się będzie ten lud bawił, gdy pierwszym krokiem, co w życiu postawił, już w dziejach świata wyrósł na Kaina...» Nie próbował tłumaczyć tego ludu namowami podżegaczy, ale go wprost za Kaina poczytał i tylko w rządach Opatrzności, obierającej niezrozumiałe nieraz dla człowieka drogi, całą ufność nadal położył.

Już wówczas umysł jego odwracał się od ludu, a sympatję swoją skierował ku szlachcie, która ucierpiała. Atoli prąd demokratyczny był jeszcze wtedy zbyt silny i nadzieje powszechne polegały na nim; a r. 1848, zwany «wiosną ludów», zdawał się urzeczywistniać rojenia. Lud w Galicyi został od pańszczyzny uwolniony i stał się właścicielem ziemi, oddzielnym od dworu ustawą. Pol żadnego

wiersza z powodu tej ważnej reformy nie napisał; nie trudno zgadnąć przyczynę: wyzwolenie ludu narzucano z góry; ale czy już wtedy uważał sam fakt za szkodliwy zarówno dla szlachty jak dla wieśniaków, nie wiemy, to jeno pewna, że takie zdanie wygłosił i wydrukował później (r. 1856).

Inny ruch z owego czasu, znacznie mniej doniosły w skutkach — zjazd wszechsłowiański w Pradze Czeskiej r. 1848, upamiętnił wierszem, pisany w tonie uroczystym, lecz ujmującym: «Słowo a Sława». Treścią tego wiersza potępienie narodów Zachodu i Południa, a postawienie na czele przyszłości lepszej — Słowian. Co złego w Słowianach, to dały im «cudze rozумы»; więc nie wierzyć temu, «co się z księgi w obcych narodach wyprzedło», ale własny zachować obyczaj i cześć Boga, pracę na roli, braterstwo wszystkich, swobodę; nie można i nie należy przerabiać ludu, pojąć tylko trzeba, co w nim najlepsze i to rozwijać, nie wojować mieczem, ale uwierzyć w «słowo» prawdy i sprawiedliwości i urzeczywistniać je w życiu. Pol najlepsze roił nadzieje, gdy bombardowanie Lwowa w grudniu r. 1848 położyło kres i tym i innym marzeniom, zwiastując nastanie srogiej reakcyi politycznej.

Zanim przejdziemy do tego nowego okresu wspomnieć wypada o utworach Pola pisanych prozą. Do «Kwartalnika naukowego» dał on w r. 1835 rozprawki o «Filozofii i przysłowiach ludu w Polsce», o «Teatrze i Aleksandrze Fredrze». Spisywał swoje «Wspomnienia z podróży po Niemczech» w r. 1845. Kreślił również zarysy powieściowe, już naśladowując gwarę góralską («Tańka»), już to powtarzając anegdoty ludowe i szlacheckie («Powieści Semenowe», «Powrót» «Trefniś», «Obiad czwartkowy»), już to przedstawiając różne charaktery i stosunki towarzyskie («Klarusia», «Nieźli są ludzie»). Zarysy te ogłosił we Lwowie r. 1845 p. t. «Obrazy». Pisał je żywo, stylem innym aniżeli poezye, stylem niemającym w sobie nic ze staroświecczyny szlacheckiej; ale nie zdołał takiego w tym rodzaju literackim zająć stanowiska, jak w pieśniach i gawędach.

Oddawna zajmował się gorliwie geografją ziemi ojczystej i w końcu r. 1849 otrzymał też posadę profesora geografii w uniwersytecie krakowskim i wykładał ten przedmiot w ciągu lat

trzech, t. j. do końca r. 1852. W tym czasie ogłosił, prócz kilku rozpraw pomniejszych, dwa wyciągi ze swoich odczytów: «Północny Wschód Europy pod względem natury» i «Rzut oka na północne stoki Karpat». Pierwszą z tych prac wydał w całości dopiero w r. 1869 — 71, dopełniwszy ją nowymi «Obrazami z życia i natury», pisanymi już to stylem belletrystycznym, już to urzędowo sprawozdawczym. Pod względem ścisłe naukowym nie przyniosła ona podobno nic nowego, a w części (co do geologii) zawierała błędy; pod względem zaś literackim nie celowała wielkimi zaletami i nie stała się poczytną nigdy. O Polu, jako geografie, starającym się pójść w ślady Humboldta, wiedział mało kto; słynął on jedynie jako poeta. Pomimo bowiem posady uniwersyteckiej, poetyzować nie przestał, a gdy ją z 1 stycznia 1853 r. utracił, oddał się twórczości całkowicie i, utrafiwszy w smak chwili, osiągnął popularność jeszcze większą niż przedtem.

Nastąpiła w nim ogromna zmiana. Z dawnego piewcy ludowego i miejskiego, co kochał wprawdzie szlachtę, lecz ją zwał «znarowioną» i pragnął, by Bóg dał jej «rozum kmiecy»; z piewcy, który wymuskanym sztabowcom rzucał ostre sarkazmy, a nie cierpiał pół panków, Pol stał się teraz bezwzględny wielbiciele przeszłości szlacheckiej, poczytując ją ogółem za rozumną i zącną oraz przeciwstawiając jej zasadniczo nowsze czasy, od rewolucyi francuskiej, kiedy wraz z religią i pobożnością wygnano z obyczajów szlachetność, poświęcenie, a nawet prostą uczciwość. Nie przeczył on wprawdzie, że i dawniej «było złego wiele»; te jednak ujemne strony życia przeszłości tłómaczył z niesłychaną pobłażliwością synowską, twierdząc, że religią, węzły rodzinne i opinia publiczna powstrzymywały niegdyś występne zapędy i czyniły najzacniejszych obywateli z głów wichrowatych. Wyrozumiałość ta, najściślej się łącząc z uwielbieniem, paczyła sądy poety, nasuwała mu sofistyczne wyjaśnienia postępów, świadczących wprost o zaniku poczucia prawdy i istotnej, nie formułkowej moralności. Wyśmiewa on np. «ciemiegiów», piszących, jakoby w Rzeczypospolitej «możne domy stały tylko starostwami, a szlachta dworską służbą za panów plecami», bo jego zdaniem «możne domy stały tradycją narodu, a szlachta stała w życiu rodziną radą». Taki jest morał, rzucony przez Pola



w oczy nowszym czasem, kiedy «Bogu niema świeczki, lecz bies ma gromnicę». Ale gdy mu przyjdzie opowiadać fakta, to się okaże, iż owe «ciemiegi» nie tak bardzo pobiły, gdyż oto «byle sygnet na palcu, łyżka za cholewą, to się pomknął gdzieś szlachcic i wprawo i wlewo, i ktoś go potrzebował i przecież coś znaczył, i niejedyn go chlebem i przyjaźnią raczył». A któż górą na sejmiku? «Ten co najraniej umiał dać śniadanie...» Myślałby kto, że to ironia przemawia z poza słów poety. Zapewne, gdy był Januszem, na taką ironię pozwoliłby sobie; ale w tym drugim okresie działalności, przy skrzywionym poglądzie na przeszłość szlachecką, to tylko mimowolna szczerłość, nie przeszkadzająca bynajmniej unosić się równocześnie nad rozumem, zacnością i szlachetnością rubasznej szlachty. Inaczej nazwać tego niepodobna jak zaślepieniem, bo gdyby poeta rozważnie wybierał wątek do swoich «gawęd», toby przecież potrafił znaleźć w dziejach naszych osobistości i wypadki, wymownie świadczyć mogące o cnotach naddziadów. Ale on po większej części opowiadał takie właśnie zdarzenia, które temu zamierzeniu były wprost przeciwnie i usiłował oświecić je z jaknajlepszej strony. Zdarzenia te, rozważane same w sobie, mają cechę anegdotyczną, a pomimo swojej błahości, gdyby opowiedziane były tak, jak «Przygody Winnickiego», t. j. bez żadnych uwag samego opowiadacza, możnaby im przyznać, choć w mniejszym stopniu, zalety tego utworu, możnaby je uważać za znamienne rysy krewkich, ale poczciwych animuszów szlacheckich. Oświecenie atoli, w jakim je Pol nam ukazał, zmienia ich doniosłość i zamiast podnosić, obniża ich wartość moralną i estetyczną.

Najwięcej zarzutów w tej mierze zrobić można «Senatorskiej Zgodzie» i «Sejmikowi w Sądowej Wiszni», ogłoszonym r. 1853/4 wraz z trzecim wydaniem «Przygód Winnickiego», jako dalsze jego «Pamiętniki».

Wiemy, że «Senatorska Zgoda» ukończona już była w r. 1845, ale nie wiemy, czy w owoczesnem obrobieniu znajdowały się już te ramy moralizatorskie, jakie widzimy w druku. Mnie się zdaje, że ich jeszcze wtedy nie było, że dorobił je poeta dopiero po r. 1850, ażeby ubarwić niezbyt budującą anegdotę o podzieleniu się

szlachty sanockiej na dwa obozy, z powodu, że pan Bal, podkomorzy, starostę Mniszcha nazywał uparcie Mniszkiem... Zajściu, możeby krwawemu, jakieby z tej niezgody wynikać musiało przy zbliżającym się sejmiku, zapobiegł biskup Krasicki, zręcznie i dowcipnie pomyslaną przypowieścią o Leszczyńskim i Popielu, a wypowiedzianą podczas uczty. Że Bal i Mniszech pogodzili się, to łatwo zrozumieć, ale żeby przez to miała trwale zapanować zgoda w ziemi sanockiej, jak zapewnia Pol, temu nikt, znający moc nałogu wierzyć nie zdoła; kostyczność i wrażliwość nie dają się zażegnać najpiękniejszym nawet toastom; zgoda trwać będzie dopóty, póki się wrażenie chwilowe podchmielonych nie ulotni, — a później nastąpią dawniejsze stosunki — i cały morał poety w niwecz się obróci.

Tak samo rzecz się ma z «Sejmikiem w Sądowej Wiszni», tylko że ta anegdota jest jeszcze błahsza, a morał jeszcze niewłaściwszy. Więcej tu kłótni, burd, pijatyk, a węzeł niewybrednej intrygi na tem polega, iż jedno stronnictwo spoiwszy członków drugiego, gdy się spać pokładli, ściągnęło im szarawary i uniemożliwiło stawienie się w kościele, gdzie dokonywano wyborów. Ci mszcząc się za to następnie przy zakończeniu sejmiku, dobyli szabel, i byłoby przyszło do siekaniny, gdyby nie wyszedł ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem i nie zażegnał burzy. Pol wielbi szlachtę, że się ukorzyła przed świętością i za wzór ją nam stawia... Czyż to ukorzenie się przemieniło usposobienia szlachcica? Czyż na sejmiku następnym nie zajdą znowu kłótnie i burdy? Czy stosunek jednych do drugich ulegnie zmianie w czemkolwiek? Czy nie będzie górą ten, co «najraniej da śniadanie»? Pol nie zadawał sobie takich pytań, nie wnikał w istotę rzeczy, rozwiódł się jeno szeroko nad zacnością żartkiego animuszu, co nie może długo trwać w «rankorze...»

Inne gawędy nie zawierają wprawdzie tak jaskrawych przeciwieństw między zdarzeniem a morałem, ale pod względem błahości tematu nie ustępują powyższym. «Stryjanka» — nazwa tańca — mieści rozwlekłe opowiedzianą historię rodu Bączalskich, w którym wskutek przekleństwa prababki jeden się tylko syn wychowywał, a treścią właściwą jest spór odwieczny dwu spokrewnionych rodzin o mniemany skarb, jakoby w Bączali ukryty. Spór ten doprowadza do najazdu



zakończonego pomyślnie małżeństwem przybrane-  
go syna ostatniego z Bączalskich z córką prze-  
ciwnika. Ważną w tem pogodzeniu rolę ma gra  
Bączalskiego na skrzypcach, gdyż nią zapędził  
grono tańczących w mury zameczku i zmusił do  
kapitulacyi. W «Staroście Kiślackim» pierwsze  
miejsce w opowiadaniu zajmuje bunt ukochanego  
charta Sokoła, który pieśczonej dawniej, a potem  
ukarany za szkodliwe figle, uprowadził całą psia-  
rnię w góry i dał się ubłagać dopiero faworyto-  
wi Jagusi. Sama ta przygoda jest interesująca,  
jako pierwszy u nas przykład psychologii zwier-  
ząt, ale za szczupłą na wytworzenie obszernej  
opowieści, która sztukować się musiała różnemi  
dygresyami.

Pol miał dosyć wyobraźni, by śmiałą ręką  
nakreślić kształty zewnętrzne i psychologię osób  
w grubszych zarysach, ale nie potrafił osobistości  
swych wprowadzić w ruch, nie zdołał rozwinąć akcji,  
ani pogłębić charakterów. A w samej plastyce  
niewiele odnaleźć można zalet, bo wszyscy przed-  
stawiciele szlachty są nader do siebie podobni,  
tak że czasami po przysłowiu tylko wyróżnić  
ich można, albo po specjalnem jakim zamiło-  
waniu.

I takie utwory, które Pol odgradził od ga-  
węd odrębnem określeniem, zowiąc je poema-  
tami lub rapsodami rycerskimi, mało  
w gruncie rzeczy odskakują od nich pod wzglę-  
dem samej roboty. Temat bywa w nich ważniej-  
szy; styl kontuszowy częściowo przynajmniej zni-  
ka; lecz kompozycja pozostaje równie niespójną,  
a wysłowienie rzadko kiedy nabiera polotu. By-  
łoby jednak niesprawiedliwością utożsamiać «Wita  
Stwosza» (1855) i «Mohorta» (t. r.) z gawędami  
wcześniejszemi od nich, czy późniejszymi.

W «Wicie Stwoszu» początek — charaktery-  
styka wieków średnich, Norymbergii, pierwsze  
ukazanie się snycerza z wnuczką — jest wspania-  
łały i mieści w sobie kilka obrazków i kilka po-  
równań mistrzowskich; ale ciąg dalszy, włożony  
bez dostatecznego powodu w usta samego Stwo-  
sza, w niektórych jeno miejscach wykazuje talent  
niepowszedni, a w ogóle swoim i w myśli prze-  
wodniej jest słaby i niesmaczny. Z głębokiem  
poczuciem trwogi artysty, przystępującego do  
pierwszej większej pracy, odmalował Pol rzeźbie-  
nie krucyfiksu, zwłaszcza «kiedy przyszło Panu

bok otworzyć». Późniejsze atoli przejścia coraz  
to błędziej się zarysowują; motyw zaś tragiczny,  
stanowiący o nieszczęściu mistrza, jest dla nas  
dzisiaj poprostu śmieszny. Stwosza spotkała hań-  
ba piętnowania w Norymberdze nie tyle za to,  
że szukał sławy u postronnych, że nie przyłgnał  
całkowicie do ziemi rodzinnej (Pol uważał Stwo-  
sza za Polaka), ile za to, że zgrzeszył pychą,  
odrzucając ofiarowane sobie przez Długosza szla-  
chectwo... Poeta napomyka niby-to względy prak-  
tyczne, iż tytuł szlachecki byłby snycerza ochro-  
nił w Norymberdze od kaźni; ale w istocie rzeczy  
szło mu o samo wzgardzenie klejnotem szla-  
checkim, gdyż punkt ten uwydatnił najwyra-  
źniej.

«Mohort», uważany zazwyczaj za najcelniej-  
szy utwór Pola, ma zasadniczy pomysł dobry:  
rycerza kresowego, czujnego jak żóraw, wyłącznie  
i jedynie oddanego aż do zgonu służbie kraju;  
lecz pomysł ten ułomnie został wcielony w kształ-  
ty poetyckie. Przedewszystkiem bohater ten za  
mało działa; widzimy w nim nieruchomy prawie  
posąg, tak że i jego zgon na Boryszkowieckiej  
grobli nie wywiera należytego wrażenia. Powtó-  
re zamało w nim rzutkości myśli, gdyż cała jej  
duchowa strona polega na formalistycznej, a po-  
części zabobonnej pobożności i na wzgardzie  
warszawskich modnisiów i całej francuskiej ogła-  
dy. Potrzebie, kompozycja poematu jest zbior-  
em sześciu luźnie ze sobą złączonych obrazów;  
nie wiążących się ani chronologicznie, ani psy-  
chologicznie, a przedstawiających jakby na wy-  
wrót dzieje bohatera od starości sędziwej (w 1-ym  
obrazie) do wspomnienia (w 5-ym) młodocianej  
miłości do Anusi Różańskiej; dopiero po tem  
ostatniem wspomnieniu następuje opis chwalebne-  
go, rycerskiego zgonu, bez żadnej spójni psycho-  
logicznej z obrazem poprzednim. Opowiadanie  
o owej pierwszej i jedynej miłości Mohorta, ujęte  
w słowa proste, ale tętniące głębokiem uczuciem,  
jest najpiękniejszą rzeczą, jaką w tym rodzaju kie-  
dykolwiek Pol napisał. Być może, iż epizod ten  
powstał znacznie wcześniej, niż całość rapsodu;  
wiadomo bowiem, że niektóre tegoż części były  
już napisane w pierwszych latach po roku 1840.  
Pięknym również jest obraz pierwszy, przedsta-  
wiający zasadnicze rysy charakteru rycerza kre-  
sowego.

Zarysy tylko! Bo na stworzenie wielkiej po-

staci w ruchu nie stawało sił Polowi. Okazało się to w najobszerniejszym jego poemacie: »Hetmańskie Pacholę« (1862) słusznie nazwanym przez samego autora: «dyaryuszem Walentego Rożanki». Wiek XVI jest tłem, na którym rozsnawia się opowiadanie, a Jan Tarnowski mógł dostarczyć wątku wyobraźni do wzniosłych sytuacji. Pol i ze stulecia tak bogatego w ruch duchowny i z postaci tak imponującej zdołał wytworzyć jeno suchą i nudną kronikę, w której nawet swego zamaszystego, kontuszowego stylu rozwinąć nie mógł. Takież niedobory są i w małym rapsodzie «Z wyprawy wiedeńskiej» (1865). W «Pieśni o domu naszym» (1866) chciał poeta dać dopełnienie «Pieśni o ziemi». Starał się przybrać ton dawniejszy, użył formy dawnej wiersza, którą tak świetnie władał niegdyś; ale prócz kilku ładnych ustępów (początkowych głównie) dał niespójne, ciągłymi refleksjami przerywane obrazki kilku zwyczajów narodowych (kulig, święta wielkanocne, sobótka i t. p.).

Prócz epiki i dydaktyki uprawiał Pol także lirykę i w r. 1856 zebrał swe pieśni w sporym tomie p. t. «Poezye: Z podróży po burzy». Pomieścił tu, jak sam oświadcza: «Kilka wspomnień świętych z wieka, pierwszych natchnień bożą rosę, kilka cichych wrażeń z boru i z klasztoru i ze dworu; trochę świeżych liści z dębu, trochę wonnych malin z zrębu i konwalij trochę z puszczy i zielonych trochę bluszczy». Jako liryk nie był Pol egotystą; własne radości czy smutki chował w głębi duszy i czasami tylko wśród wielkiego ucisku serca wydobywał się jęk, tłumiony zaraz uczuciem rezygnacyi. Za najpiękniejsze w tym względzie słusznie uchodzi «Makowe ziarno» — rodzaj spowiedzi z tego, co poeta zamierzał, a co zdziałał. Ale i ten wiersz jest raczej szeregiem rozmyślań, niż wybuchem uczuciowym. Wogóle powiedzieć można, iż liryzm czysty jest nadzwyczaj rzadkiem zjawiskiem w poezjach Pola; najczęściej mieszają się z nim pierwiastki epickie i refleksyjne. Tak np. w cyklu drobnych wierszy: «Z podróży po burzy» zaledwie pierwsze dwa «Miłościwe lato» i «Przebolało» mogą być uważane za czysto liryczne, gdy reszta — to mieszanina mniej lub więcej poetyczna rozmaitych rodzajów twórczości: obrazków, gawęd maleńkich, legend, rozmyślań, opowiadań. Z zasadniczego braku — nieumiejętności malowania ludzi w ru-

chu, wynikło zupełne niepowodzenie w dramacie: «Powódź» (1868).

Pol nie był poetą subtelnych uczuć, nie zapuszczał się w głębiny myśli, choć w początkach swego zawodu przyjaźnił się z Józefem Kremerem, a w nieco późniejszym czasie, ale przed r. 1850, wielbił Trentowskiego; nie rozporządzał wielkimi skarbami wyobraźni, która była przeważnie bierną i umiała odtwarzać tylko rzeczy widziane, słyszane, doznane, samoistnie w wieki odległe przenieść się nie umiając. Nie można go nawet nazwać mocarzem języka i stylu, gdyż pomimo przyswojenia sobie toku mowy staropolskiego; pomimo wsłuchiwania się w gwarę ludu (górali) i szlachty, skąd zaczerpnął wiele wyrazów i zwrotów, nie pozbył się on niektórych błędów, wynikłych z dość późnego zaznajomienia się z polszczyzną i to polszczyzną galicyjską.

Skutkiem takiej umysłowości było, że zarówno w rzeczach smaku jak w formułowaniu poglądów ogólnych napotkać można u Pola dziwną mieszaninę płytkości i głębi, piękna i brzydoty, poczucia miary i przesady karykaturalnej. Jak w najgorszych nawet jego utworach znajdują się tu i owdzie wiersze prześliczne obok całkiem niesmacznych; tak w jego zdaniach sąsiadują z sobą paradoksy starszlacheckie w tym np. rodzaju: «Kochałem ja pieski, więc kocham i cnotę», — i myśli jakby żywcem z ust Trentowskiego wyjęte: «Kto nie dobył Boga z siebie, Temu niema zmarłychwstania». I w stylu obok ładnych, z natury wziętych przenośni, idą całkiem prozaiczne stronic.

Przyznać jednak Polowi należy, iż «torował sobie drogę własną», że posiadał w poezyi styl osobisty, że mówił poprostu, szczerze i bez ogródek to, co w danej chwili czuł i myślał. Ponieważ tworzył w ciągu lat 40, wśród okoliczności bardzo doniosłego znaczenia, które na pojęcia wpływ wywierały potężny; ponieważ nie miał ściśle wyrobionych zasad filozoficznych, ani też nie był opasowany jedną silną namiętnością; nie trwał tedy przy tych samych, raz wypowiedzianych przekonaniach. Tkwiło w nim atoli zawsze jedno niezmiennie uczucie, wiążące go serdecznie z ogółem, uczucie wyśpiwane niejednokrotnie, a najwyraźniej w «Pieśniach Janusza», w «Pieśni o ziemi» i «o domu», uczucie, które go uczyniło sympatycznym i popularnym. Choć doznawał niekiedy razów krytyki

bolesnych, które odczuwał strasznie, przejmując się coraz bardziej niechęcią do chwili obecnej; wiedział przecież, że jest szanowany, bo dowodów uznania ociemniałemu pod koniec życia przecie nie brakło, nawet wówczas, gdy głosił i drukował rzeczy nie-

zbyt udatne, jak «Pamiętnik do literatury polskiej XIX wieku w 20 prelekcjach» (1866).

Zmarł w Krakowie 2 grudnia 1872 r. i pochowany został na Skałce w grobie zasłużonych.

*Piotr Chmielowski.*

## Polikarp Girsztowt.

\* 1827 † 1877.

**B**ywają ludzie zasłużeni istotnie, którymby nikt za życia ich nie śmiał zaprzeczyć zasługi, wiedząc, że wyśmiano by go, lub skarcono nawet za taką zachciankę zuchwałą. Gdy się zawrze mogiła nad mężem takim, gdy ogół boleśnie odczuwa stratę świeżo poniesioną, zawiść milczy jeszcze, nie śmiejąc błotem bryznąć na pamięć człowieka znanego i cenionego powszechnie. Ale niechno upłynie lat kilka lub kilkanaście, niechno ludzie zapomną nieco o zmarłym, nie patrząc się już na działalność jego, dla której go właśnie cenili, to wtedy ten lub ów, żywiący może urazę słuszną, lub urojoną tylko do zmarłego, albo też zazdroszczący mu po prostu uznania rzetelnie zapracowane-

go, gdy go sam dla siebie w tym stopniu zdobyć nie umiał; naprzód ostrożnie i cicho, potem

coraz śmielej i głośniej rozprawiać zaczyna o przywarach nieboszczyka, powiększając rzeczywiście, zwyczajem oszczerców, i wydymając je do rozmiarów niebywałych, a zmniejszając zarazem tymczasem zasługi i odzywając się o nich lekceważąco. Gdy wtedy nie znajdzie się zaraz nikt, kto by zamknął usta oszczerce, śmiało i stanowczo wystąpiwszy w obronę tego, który już sam bronić się nie może, to zniesławianie idzie coraz dalej. O wadach mówi się wtedy coraz częściej i zjadliwiej, milcząc już nieomal o zaletach, a nawet zaprzecza się czasem zupełnie istnieniu ich. Gdy zaś istniały zasługi takie,



*Podług portretu olejnego ze zbiorów Tow. lekar. warszaw.*

*Pol. Girsztowt*

że już w żaden sposób nie można zaprzeczyć ich doniosłości wielce pożytecznej, ani odmówić im uznania, to stara się przynajmniej podsunąć czynom zacnym pobudki niskie, lub zgoła potępienia godne, zohydzając w ten sposób półsłówkami jadowitemi usiłowania i dążenia najszlachetniejsze.

Tymczasem dorasta pokolenie młodsze, nie mogące oczywiście znać z przeświadczenia własnego człowieka, który umarł przed laty, gdy dziećmi byli jeszcze. Żyjąc w otoczeniu już innym, w warunkach zmienionych, nie patrząc się oczami własnymi na działalność dawno minioną, ani na okoliczności towarzyszące jej, ci młodzi nie czują wcale, więc i nie przyznają się do tego, że spożywają właśnie wciąż jeszcze owoce zasiewu rzuconego niegdyś ręką zastygłą oddawna. Przejmując się łatwowiernie sądami ujemnymi, wypowiedzanymi z pewnością wielką, powtarzają je następnie, najczęściej w wierze najlepszej, krzywdząc przez to pamięć tego, któremu należałoby się od nich wspomnienie wdzięczne a szczere — i w sposób taki człowiek, pomimo zasług rzeczywiście wielkich, idzie pomału na pastwę zapomnienia, lub, co gorzej, ponieważ wcale nie zasłużonej.

Uwagi powyższe nasunęły się mimowolnie piszącemu, gdy, zabierając się do nakreślenia życiorysu niniejszego, czytał to, co przed czasem niedawnym wydrukowano o Girsztowcie w dziele pewnem, bardzo poważnem, więc tem łatwiej mogącem zaszkodzić dobrej sławie jego u potomnych. Są tam wprawdzie i pochwały, ale z każdej z nich wygląda żądło ukryte; są i słowa uznania pełne, lecz wypowiedziane w sposób taki, iż trudno uwierzyć czytelnikowi w ich szczerość, poniżające w każdym razie tego, o kim je wypowiedziano. Szkoda wielka, że autor życiorysu owego, napisanego zresztą zbyt pobieżnie, czerpał ze źródeł widocznie stronnice a nieprzychylnie zabarwionych, nie zapoznawszy się zarazem z innemi, których nie brak przecie; więc też stała się krzywda wielka pamięci człowieka, mającego prawa wszelkie do uznania i wdzięczności ogólnej. Zadaniem naszym będzie naprawienie krzywdy tej o ile możliwości.

Nie myślę tu bynajmniej pisać chwalby Girsztowta, nie mam zamiaru wyniesienia go po nad obłoki, gdyż byłoby to śmiesznością, uwłaczającą

raczej pamięci jego, niż podnoszącą ją, ale chcę opowiedzieć sprawiedliwie życie i czyny męża tego, w każdym razie niepospolitego, oddając cześć należną zasłudze jego rzetelnej, a nie pomijając przytem i przywar, które mieć musiał, będąc człowiekiem tylko.

Girsztowta znałem osobiście bardzo mało, nie łączyły mnie z nim stosunki zażyłości bliższej, nigdy nie doświadczyłem od niego przysługi żadnej, anim też od niego doznał przykrości jakiegokolwiek, nie zmusza mnie więc wdzięczność osobista do przeceniania zasług jego, ni też pamięć urazy do niedoceniań ich; poczuwam się jeno do obowiązku pisania o nim wedle czynów i postępów jego, bezstronnie i prawdziwie, jak przystoi na żywotnikarza uczciwego.

Polikarp Girsztowt urodził się d. 15 lutego r. 1827 w Hryniskach, w powiecie rosieńskim na Żmudzi, jako syn rodziców niezamożnych, ale dbałych o wykształcenie dzieci swych. Do szkół uczęszczał początkowo w Kiejdanach, następnie w Wilnie, a po ukończeniu gimnazjum w r. 1847 zapisał się do Akademii medyko-chirurgicznej w Petersburgu, gdzie mu w r. 1852, po obronieniu rozprawy p. n. *«De cognoscendis centrorum nerrosorum morbis»*, przyznano dyplom doktorski. Nadto jako uczeń wzorowy otrzymał t. zw. nagrodę Buscha (medal złoty) i został w akademii pomienionej asystentem nadetatowym kliniki chirurgicznej; chirurgia bowiem pociągała go już ku sobie na ławie uniwersyteckiej, jako ta właśnie część sztuki lekarskiej, która dając najwięcej sposobności do działania czynnego, najwięcej też przypadać musiała do usposobienia jego, ruchliwego niezmiernie.

Gdy w r. 1853 wybuchła wojna wschodnia, wstąpił Girsztowt do służby wojskowej rosyjskiej, jako lekarz, pełniąc obowiązki naprzód w Bułgarii, następnie zaś w Sewastopolu oblężonym. Po skończeniu wojny, nabrawszy podczas niej doświadczenia oraz biegłości niemalej w wykonywaniu operacji chirurgicznych, powrócił do Petersburga i otrzymał posadę asystenta etatowego kliniki chirurgicznej, będącej wówczas pod przewodnictwem profesora Nemmerta, który oceniając słusznie zalety Girsztowta, zachęcał go do poświęcenia się zawodowi profesorskiemu i popierał go stale. W r. 1857 mając do wyboru katedrę chirurgii w Charkowie lub w Warszawie, wybrał



Girsztowt Warszawę bez namysłu wszelkiego. Przybywszy do miasta tego, po powrocie z kilkumiesięcznej podróży naukowej do Niemiec, Francji i Anglii, stanął do konkursu, a zwyciężywszy łatwo, został profesorem nadzwyczajnym chirurgii teoretycznej w C. K. Akademii medyko-chirurgicznej warszawskiej, od niedawna założonej. Pierwszy raz wystąpił przed słuchaczami w dniu 5-ym września r. 1859, dając w wykładzie swym pogląd ogólny na znaczenie chirurgii oraz rzut oka na stan jej ówczesny w Europie, i odrazu, zarówno treścią odczytu, jako i wymową świetną, zdobył sobie uznanie ogółu studentów. W r. 1860 posunięto go na profesora zwyczajnego. Stanowisko takie samo zajął w r. 1862 w wydziale lekarskim b. Szkoły Głównej i pozostał na nim nadal, gdy szkołę rzezoną w r. 1869 przekształcono na Ces. uniwersytet warszawski. W r. 1871, po ustąpieniu profesora H. Korzeniowskiego, który otrzymał katedrę w Petersburgu, zajął miejsce jego, dziedzicząc po nim klinikę chirurgiczną wydziałową w szpitalu Św. Ducha, i nauczał w niej do chwili, w której mu ręka zbrodnicza cios śmiertelny zadała. Zmarł dnia 12 listopada r. 1877 z zakażenia krwi, które się rozwinęło w następstwie rany ciężkiej, zadanej mu nożem w pachwinę na tydzień przed śmiercią.

Taki jest krótkimi słowy opowiedziany żywot Girsztowta. Podawszy fakty gołe, rozpatrzmyż teraz działalność jego, jako profesora, pisarza i wydawcy, przedtem rzuciwszy wszakże okiem na jego osobę.

Girsztowt był osobistością na wskroś oryginalną, odbiegającą znacznie od miary przeciętnej, a to się zwykle nie podoba właśnie ludziom przeciętnym, nie umiejącym nigdy ocenić słusznie tego, co wystaje po za granice widnokregu ciasnoty ich pojęć.

Wzrostu średniego, zbudowany krzepko, o głowie sporej, łysej, o wąsach płowych, zwieszających się sumiasto na usta, o brwiach krzaczastych, gęstych jak strzecha, sterczących nad oczyma osadzonemi głęboko, niezmiernie żywemi, o twarzy wydłużonej nieco, nadzwyczaj ruchliwej i wyrazistej, chociaż wcale nie pięknej, już powierzchownością niezwykłą zwracał Girsztowt uwagę każdego, a więcej może jeszcze zachowaniem się i usposobieniem swym. Najlepiej określimy go pod względem tym, powtarzając tu słowa ś. p.

profesora H. Łuczkiwicza, długie lata z Girsztowtem w stosunkach zażyłości zostającego, a na wyłot go znającego.

Otóż Łuczkiwicz mówi, że «najwybitniejszym rysem charakteru Girsztowta była niewypowiedziana ruchliwość, skorość do przedsięwzięć i niezłomna energia w wykonaniu powziętych zamiarów. Przymioty te, niezaprzeczone cechy wyższych nad pospolity poziom ludzi, musiały przy niezwykłej wrażliwości i żywości temperamentu, jaką z natury obdarzony był nieboszczyk, wyrodzić pewien stopień popędliwości w słowach i całem obejściu się. Jakoż ś. p. Girsztowt unosił się i zapalał przy lada sposobności, wybuchał nawet nagle i gwałtownie; ale wszyscy znajomi wiedzieli aż nadto dobrze, że to uniesienie na pozór gniewne, trwało u niego chwilę i kończyło się z wypowiedzeniem słów, nieraz zbyt ostrych, chociaż rzadko nieusprawiedliwionych».

«Przeżywszy z nim w bliższych stosunkach lat kilkanaście»—mówi dalej Łuczkiwicz—«i nie doświadczywszy ani razu żadnej przykrości tego rodzaju, mamy niezachwiane przekonanie, że na wyrobienie wspomnianych własności charakteru wpłynęło najwięcej cierpkie doświadczenie życia, różnorodność zajęć, przyczem nieboszczyk doznał zbyt wiele ze strony ludzi przykrości, zawodu, zawiści, nadużycia zaufania. Nikt, nawet z osób, dla różnych powodów, nieprzychylnych ś. p. Girsztowtowi, nie może zaprzeczyć, że w gruncie był to człowiek bardzo zacny, szlachetny, rzetelny i prawy. Szorstkie częstokroć wyrzuty odnosiły się zawsze do pocziwych wymagań, a miał na nie szczęście nieboszczyk tę wadę (tak przynajmniej mianuje to świat dzisiejszy), że nazywał rzeczy i czyny właściwem imieniem. Niestety owa własność wraz z porywczością, którą niejednen może mniej tkliwy pohamować byłby zdolen, były też źródłem wielu dla niego samego przykrości i nieprzyjaźni, a w części może i powodem do uzbrojenia zaślepienego niską zemstą mordercy» \*).

Na słowa przytoczone profesora Łuczkiwicza zgodzić się można zupełnie, bije bowiem z nich w oczy prawda najszczerza, którą z pewnością liczni lekarze dziś żyjący, bądź b. asy-

\*) «Kłosa» r. 1877, T. XXV, nr. 648; str. 343



stenci Girsztowta, bądź też uczniowie jego dawni chętnie poświadczyc będą gotowi.

Że Girsztowt nie należał bynajmniej do rzędu ludzi odznaczających się oglądą salonową (co mu wszakże jeszcze ujmy nie czyni), nie może podlegać wątpliwości najmniejszej. Był zanadto krewki i popędliwy od urodzenia, wychowanie zaś domowe, jeżeli o niem wogóle może być mowa, nie nauczyło go widocznie zawczasu sztuki towarzyskiej udawania, ni ukrywania pod uśmiechem słodkim oburzenia, pierś rozsadzającego. Pobyt kilkoletni w obozie i w twierdzy oblężonej także przyczynić się nie mógł do ugłaskania go, sam zaś, mając wciąż głowę nabitą myślami poważnemi, poddawał się łatwo popędowi chwili, nie dbając o pohamowanie ich.—Posiadał za wiele szczerości wrodzonej, by uchodzić za człowieka gładkiego, umiającego panować nad sobą wedle wymagań układności towarzyskiej; ale z drugiej znów strony i to przyznać należy, iż legendy krążące o rubasznosci jego bezgranicznej i szorstkości niebywalej, grzeszą aż nazbyt często przesadą, niesłuchanie daleko od prawdy rzeczywistej odbiegającą; autorami zaś legend tych zwykle bywali ludzie, którym naraził się prawdomównością, nie zwykł był bowiem obwijać w bawelnę wyrazów, lecz mówił to, co myślał, zawsze szczerze i otwarcie, nie siląc się przytem o dobór słów. Niejedną łatkę przypięli mu też ci, którzy znieść nie mogli uznania, otaczającego za życia osobę jego, oraz zazdrościli mu popularności wielkiej wśród młodzieży uniwersyteckiej, nie umiając zdobyć jej sobie sami.

Girsztowt, pomimo szorstkości swej okrzyczanej, daleko lepiej umiał wszelako zjednywać sobie serca studentów, niż inni profesorowie, wady tej nieposiadający. Lgnęli poprostu do niego, nie dla tego przecie tylko, że można się było od niego nauczyć bardzo wiele, ale ponieważ czuli, że w piersi tej bije serce zacne, że człowiek ten o wyglądzie nieraz srogim, kocha ich naprawdę i dba o nich po ojcowsku. Prawda, że profesor popędliwy fuknął nieraz gniewnie na ucznia lub asystenta, że w zapalczywości za lada co zburczał go czasem niepomnie, ale widział w nim zawsze i niezmiennie kolegę młodszego i życzliwość koleżeńską okazywał mu na każdym kroku obcując z nim nie z wysokości katedry profesorskiej, lecz «za pan brat», jak się z przekasem

niektórzy o nim wyrażali, nie mogąc znieść tego, że Girsztowt w rozmowie ze studentem, czy to w klinice wobec chorych, czy też poza nią, nigdy go inaczej, jak «kolegą» nie nazywał. Wszakże to «bynajmniej nie spoufalało nikogo do niego; przeciwnie wytwarzało stosunek zupełnego zaufania, czci i miłości, wyrażanej zewnętrznie choćby popularną nazwą, zaocznie mu dawaną «ojca *culgo* papy», i jemu jednemu tylko przysługującą».

«Uznana jest rzeczą, że młodzież umie oceniać swoich przewodników i nie myli się w tej ocenie. Był też to rzeczywiście ojciec młodzieży i miał u niej wyjątkowe uznanie i zachowanie, jakiego nikt nie miał, co dostatecznie tłómaczy wyjątkowy stosunek. Ona zaś u niego zawsze znajdowała radę, pomoc moralną, a nawet materialną chętną; drzwi mieszkania zawsze o każdej porze dla siebie otwarte i serce wylane; co musiało wytwarzać stosunek więcej zażyły i poufalszy».

Słowa przytoczone wypłynęły z pióra W. Kosseckiego, niegdyś ucznia ś. p. Girsztowta \*). Są to słowa bardzo znamienne, o których szczerości i prawdziwości ani na chwilę powątpiewać nie można, tembardziej że dotąd żyją dość liczni jeszcze uczniowie inni, słowo w słowo to samo o mistrzu swym ukochanym powtarzający.

Poznawszy zdanie uczniowskie, obaczmyż teraz jeszcze, co mówi o Girsztowcie kolega-profesor, znający i oceniający go wybornie. Otóż Łuczkiwicz powiada: «Miał też... dziwną, nieopisaną własność czy umiejętność przyciągania do siebie uczącej się młodzieży, właściwy sobie tylko sposób obcowania z nią, istnie koleżeńskiego bratania się, opiekowania nią ojcowskiego, przyczem zacierał się zupełnie zwyczajny stosunek nauczyciela do ucznia, zwierzchnika do podwładnego, i wyradzał się odrębny, niepojęty dla innych, między nimi związek na pół braterski, na pół rodzicielski—a zawsze pocziwy, serdeczny, obopólnie życzliwy i bardzo ścisły. Ztąd poszło, że Girsztowt wszystkich studentów znał dokładnie, wiedział o wszystkich każdego stosunkach, i nawzajem, wszyscy jego znali, kochali, szanowali, pomimo, że niejednemu z nich gorzkie robił wymówki, niejednego surowo, chociażby publicznie, karmił \*\*).

\*) «Gazeta lekarska» r. 1902, nr. 11, str. 292.

\*\*) «Kłosy» r. 1877, T. XXV, str. 334.

Zaiste musiał być w samej rzeczy człowiekiem niezwykłym profesor, wzbudzający tyle uznania i miłości w uczniach swych, musiał posiadać niezmiernie wiele zalet prawdziwych, a w oczy bijących, gdy go tak kochano, zapominając o przykrych nieraz wybuchach szorstkości jego; puszczało je zaś w niepamięć tem łatwiej, że były zawsze tylko chwilowe, przelotne jak błyskawica, gdy zacność i dobroć serca Girsztowtowego nie podlegała nigdy zmianie najlżejszej, gasząc swym blaskiem jasnym a stałym ogniki mdle migocącego chwilami uniesienia.

Serca młodzieży zdobywał sobie Girsztowt sercem własnem, umysły zaś jej podbijał zapalem szczerem do nauki, oraz zdolnościami pedagogicznymi, iniarę zwykłą bardzo daleko przekraczającymi. Kochał naukę prawdziwie i znał ją dokładnie, a zapal swój dla niej po mistrzowsku umiał przelewać w dusze uczniów, podniecając ich do pracy samodzielnej, zachęcając do pióra i wiodąc ich na drogę działalności wytrwałej i uczciwej. Wykłady jego, zarówno teoretyczne, jak i kliniczne, odznaczały się zawsze od początku do końca jasnością wzorową, dokładnością ścisłą, znajomością przedmiotu głęboką, a wypowiedziane były językiem świetnym. Wymowie jego porównawczej, staranności niestrudzonej i przykładowi osobistemu, zachęcającemu do naśladownictwa, przypisać też należy, iż ze szkoły jego wyszło stosunkowo więcej chirurgów uzdolnionych, niż to zwykle bywa po uniwersytetach innych. W każdym razie Girsztowt, jako pedagog niezrównany, oddał usługi niezmiernie chirurgii w kraju naszym i wcale nie mało przyczynił się do jej postępu i rozwoju pomyślnego.

Przybywając do Warszawy dla objęcia katedry, Girsztowt liczył na to, że dostanie mu się klinika chirurgiczna; tymczasem na ziszczenie się tej nadziei, usprawiedliwionej zupełnie, czekać musiał dość długo.

Gdy w r. 1860 w Akademii medyko-chirurgicznej miano otworzyć klinikę chirurgiczną, nie powierzono jej Girsztowtowi, lecz Le Brunowi \*), jako profesorowi starszemu i chirurgowi znanemu już zaszczytnie od dawna, gdy Girsztowt wtedy rozpoczynał dopiero zawód swój profesorski, nie

\* mógł więc rościć prawa do pierwszeństwa przed powszechnie cenionym i wytrawnym współzawodnikiem; nie czynił też tego, ale tęskno mu było do zajęć klinicznych, których znaczenie wielkie dla uczących się pojmował aż nadto dobrze.

Brakowi kliniki własnej postarał się Girsztowt zaradzić w ten sposób, że w szpitalu wojсковym, ujazdowskim, gdzie urzędował jako lekarz-konsultant, wyjednał sobie urządzenie oddziału o 35 łózkach. Tam, jakby do kliniki prywatnej, już od stycznia r. 1860, zaczął wprowadzać dwa razy tygodniowo słuchaczy swych, nauczając ich przy łóżku chorego, oraz podejmując z nimi, lub w ich obecności, badania w zakres chirurgii doświadczalnej wchodzące. Były to pierwsze doświadczenia tego rodzaju, czynione w Warszawie, a dotyczyły głównie leczenia tętniaków (*aneurysma*) za pomocą ucisku, odradzania się kości wypiłowanych z pozostawieniem okostnej, usuwania doszczętnego przepuklin, oraz innych rzeczy jeszcze. Rozumie się, że doświadczenia tego rodzaju robiono na zwierzętach.

Nikt przed Girsztowtem o tego rodzaju pracy doświadczalnej u nas nie pomyślał; chirurgowie starsi kiwali na to głowami lub wzruszali ramionami, lecz młodzież uniwersytecka zachwycała się tą nowością i z uwielbieniem cisnęła się do młodego wówczas profesora, umiającego natchnąć ją zapalem dla postępu nauki, zapalem, ogarniającym i jego samego.

Już to przyznać trzeba sprawiedliwie Girsztowtowi, że w swoim czasie był niezaprzeczenie najwięcej postępowym chirurgiem polskim, nie dającym się prześcignąć nikomu. Śledził bacznie postęp nauki i skwapliwie spieszył się zawsze z przyswojeniem sobie każdego jej odkrycia, każdego ulepszenia lub nabytku nowego. Tego ducha postępowego starał się też zawsze w uczniów swych wszczepiać i wpajać. Czasami zdarzyć mu się mogło, że ulegając usposobieniu niecierpliwemu i krewkości wrodzonej, zbyt prędko i pochopnie przejmował się nowością jaką, na pierwszy rzut oka ponętną, i zachwalał ją przed zbadaniem jej dosyć dokładnem; to wszakże nie przytrafiało się często i nie trwało nigdy długo, gdyż posiadając umysł bystry, sąd zdrowy, a dar spostrzegawczy dobrze rozwinięty i doświadczeniem poparty, błąd swój spostrzegał szybko, a wtedy nie

\*) Ob. «Albumu» T. II, str. 280 i nast.

zawahał się nigdy z przyznaniem się do niego, wiedząc, że mu to ujmy nie uczyni.

Nie można tu oczywiście wyliczać drobiazgowo wszystkiego, co dla postępu chirurgii naszej uczynił Girsztowt, to atoli dla pamięci zapisać należy koniecznie, iż pierwszy w Warszawie od r. 1876 w klinice swej stosować zaczął opatrunki przeciwnilne, od roku zaś następnego ze ścisłością największą opatrywał już w niej rany wszystkie sposobem Listera, który niejedyn z chirurgów naszych wybitniejszych ówczesnych znał zaledwo ze słyszenia tylko\*).

Rok 1863 pozbawił Girsztowta oddziału i wogóle stanowiska zajmowanego w szpitalu ujazdowskim; udało mu się wprawdzie otrzymanie kilku łóżek chirurgicznych w szpitalu ewangelickim, ale drobny oddziałek ten, w którym wykładał w ciągu dalszym, nie mógł mu wystarczyć, ani zadowolić potrzeb istotnych uczących się; przemyślał więc nad tem, jakby zaradzić temu, napotykając przytem na trudność niejedną.

Gdy na początku czerwca r. 1868 Le Brun rozstał się z tym światem, klinikę chirurgiczną po nim oddano adjunktowi jego dotychczasnemu, Hipolitowi Korzeniowskiemu, a Girsztowt pozostał znów bez kliniki. Wtedy rzeczywiście mógł się czuć pokrzywdzonym, rozpoczął więc starania w wydziale lekarskim Szkoły Głównej, wykazując konieczność założenia drugiej kliniki chirurgicznej, oraz zwracając uwagę na korzyści, które stąd spłyną na uczących się. Wydział, rozpatrzywszy sprawę, przeciw głosom Szokalskiego i Tyrchowskiego zgodził się na wniosek Girsztowta i pod koniec roku szkolnego 1868|9 przyznał mu na koniec klinikę upragnioną, której przewodniczył odtąd z pożytkiem wielkim dla uczących się, aż do śmierci przedwczesnej.

O klinice Girsztowta, oraz o sposobie prowadzenia jej należy się też powiedzieć tu jeszcze słówko, ponieważ i o niej zaczęły przed kilkoma laty obiegać wieści, nie zupełnie godzące się z prawdą i przynoszące ujmy pamięci jej kierownika; sprostować je więc trzeba\*\*).

Rozumie się samo przez się, że chcąc ocenić sprawiedliwie a sumiennie klinikę jaką z przed lat z górą dwudziestu, oraz działalność zarządza-

jącego nią profesora, w żadnym razie miary dzisiejszej przykładac do nich nie wolno. Również nie wypada porównywać chirurga, od ćwierć wieku przywalonego mogiłą, z przodownikami chirurgii naszej dzisiejszej, ponieważ czyniąc tak, dojść tylko moglibyśmy do oceny na wskroś błędnej, a zatem niesprawiedliwej i krzywdzącej ocenianego.

Chwila, w której Girsztowt stanął na czele nowo założonej kliniki uniwersyteckiej, należała do t. zw. «przełomowych», przygotowywały się bowiem wtedy zmiany, posiadające doniosłość niesłychaną, a mające wyrzucić na rozwój chirurgii nowożytną wpływ niezmierny, o wiele jeszcze przewyższający dla niej znaczenie odkrycia dawniejszego środków znieczulających: eteru i chloroformu, odkrycia, które w swoim czasie na technikę operacyjną wywarło wpływ bardzo stanowczy, uwalniając między innemi chirurga od obowiązku przedtem pośpiechu podczas dokonywania zabiegów chirurgicznych. Teraz były to czasy kielkującej dopiero bakteriologii i wynalezienia sposobu opatrywania ran przeciwnilnego przez Listera w Edynburgu, a, jak już powiedziano, Girsztowt pierwszy u nas w klinice swej stosował ów sposób nowy opatrywania, poznawszy się na jego użyteczności, gdy inni jeszcze lekceważyli go sobie i drwiąco się nawet niekiedy o nim odzywali.

Girsztowt zapisał się do akademii petersburskiej w tym samym roku, w którym Le Brun w Warszawie poraz pierwszy dokonał, podług wtedy świeżo wynalezionego sposobu, uśpienia chorego przed wykonaniem operacji. Zaczął więc naukę wtedy, gdy rozwijać się zaczynał ów wielki przewrót w chirurgii, wywołany tym właśnie wynalazkiem; zawarł zaś powieki na zawsze w chwili, gdy jako prawdziwy chorąży postępu chirurgicznego, drugą nowość wielką, opatrywanie ran przeciwnilne, starał się rozpowszechnić u nas—i o takim człowieku ośmielono się utrzymywać publicznie kilka lat temu, że w klinice jego panował «brak głębszej wiedzy, a często nawet elementarnych wiadomości» ba, zarzucono mu na domiar «nieporządne operowanie i jeszcze gorsze opatrywanie ran»! Twierdzenia tak niesłuszne, wypowiedziane gołosłownie, otrzymały wprawdzie natychmiast odprawę zasłużoną od Romana Ja-

\*) «Gazeta lekarska», r. 1897, str. 54.

\*\*) «Krytyka lekarska» r. 1897, nr. I, str. 38.

sińskiego, niegdyś asystenta kliniki spotwarzonej\*), ale i tu trzeba było powrócić do nich, żeby ich bezzasadność podkreślić należyte.

Nie może podlegać wątpliwości żadnej, że klinika chirurgiczna prowadzona d z i ś tak, jak swoją nieboszczyk Girsztowt prowadził, zasłużyłaby sobie z powodów różnych na naganę surową bardzo słuszną, gdyż byłaby wzorem zacofania; przed 25 wszakże laty ani w Warszawie, ani w Krakowie nie było lepszej od niej, ani równie zgodnie z duchem postępu chirurgicznego naprzód idącej. Po śmierci Le Bruna żaden z chirurgów polskich ówczesnych nie mógł się mierzyć z Girsztowtem, jako pedagog, więc też i klinika jego, choćby tylko z tego jednego powodu, musiała już być nie tylko dobra wogóle, ale nawet stanowczo lepsza od innych, tembardziej gdy kierownik jej, miłujący szczerze naukę, baczne wciąż miał oko na jej postęp i rozwój, śledząc je niestrudzenie. Śmieszne więc po prostu i bardzo nierozważne jest zarzucanie mu »braku głębszej wiedzy, a często nawet elementarnych wiadomości«.

Co się tyczy »operowania nieporządnego«, to i ten zarzut nie stoi bynajmniej na nogach mocniejszych. Jasiński, świadek wiarogodny, a jako były asystent, znający tę klinikę lepiej od innych, tak się w odprawie swej wyraża o tym: »Operowanie u Girsztowta było zupełnie tak samo porządne, jak i w innych oddziałach ówczesnych: asystentom i studentom dawał on często nóż do ręki i pozwalał wykonywać pod swoim osobistym kierunkiem bardzo wiele operacji, egzaminując przedtem dokładnie każdego, kto miał operować za chwilę«. Zwyczaj ten chwalebny, w niewielu tylko klinikach zagranicznych wyjątkowo również zachowywany, powinien być zapisany do zasług pedagogicznych Girsztowta i tak już wielkich, gdyż uczącym się przynosił korzyść niemałą, a wychodził też na dobro pacjentów ich przyszłych.

Zgodzić się na to można, że Girsztowt, jako człowiek obdarzony żywością niezwykłą, niecierpliwiący się łatwo, oraz popędliwy więcej od innych, nie wykonywał może operacji elegancko—jeżeli tak powiedzieć wolno—ale od tego daleko jeszcze do »operowania nieporządnego«, zarzucanego mu lekkomyślnie. Znał on chirurgię operacyjną nawskroś, posiadał doświadczenie wielkie

i wprawę latami nabytą, co w połączeniu z wiadomościami teoretycznymi, rozległymi i wielostronnymi, czyniło z niego przewodnika klinicznego bardzo dzielnego. Słusznie więc mógł napisać Jasiński w odprawie przywiedzionej, że »uczniowie, przez Girsztowta przygotowani, nie mieli nigdy powodu do rumienienia się« w klinikach innych. »Ci z nich, którzy się potem specjalnie chirurgii poświęcili, jednogłośnie jednak twierdzić nie przestają, że od Girsztowta nauczyli się ścisłej oraz konsekwentnej, jak naówczas, antyseptyki i bardzo, bardzo wielu innych kapitalnych rzeczy, których do dnia dzisiejszego nie zapomnieli.... Zbyt wcześnie, niestety, straciliśmy tego dzielnego i zacnego nauczyciela, świetnego reprezentanta warszawskiej szkoły chirurgicznej, niepospolitego pedagoga, któremu między innymi zawdzięczamy rozbudzenie drzemających mózgów u asystentów, pobudzenie ich do zajęć samodzielnych w szpitalu, do udziału czynnego w piśmiennictwie, oraz pokierowanie ich na drogę uczciwej, wytrwałej, a przede wszystkim skromnej pracy«. Wielka to zasługa.

Jako chirurg-wykonawca mógł się też Girsztowt powodzeniem szczycić. Gdy przybył do Warszawy, berło chirurgii dzierżył już od dawna w swych rękach wykwinny Le Brun, w zawodzie swym biegły nadzwyczaj i najszlachetniej ceniony powszechnie. Pomimo współzawodnika tak poważnego, zdobyć sobie umiał wszakże w czasie niedługim pole działania wśród publiczności i doszedł do wziętości wcale niemałej. Przyznać jednakże należy, iż niejedną osobę odstraszała od niego popędliwość usposobienia i szorstkie niekiedy obejście jego, a więcej jeszcze daleko puszczane w obieg plotki i bajki przesadne o jego gburowatości i Bóg wie jakich innych przywarach jeszcze.

Poznawszy tedy Girsztowta, jako przewodnika młodzieży uczącej się i jako chirurga uczonego a dzielnego, przypatrzmy się teraz najcenniejszemu klejnotowi w wieńcu zasług jego, to jest działalności jego pisarskiej, a zwłaszcza wydawniczej, którą bez przesady najlżejszej olbrzymią nazwać wolno.

Jeżeli po r. 1860 literatura nasza lekarska rozwinęła się stosunkowo bardzo pomyślnie, to zawdzięczamy to, nie wyłącznie wprawdzie, ale w każdym razie przeważnie zacnym, wytrwałym i nie dającym się niczem stropić zabiegom Girsztowta.

\*) »Gazeta lekarska« r. 1897, nr. 2, str. 54 i nast.



Pokolenie dzisiejsze działy Hippokratesowej, ponieważ wstecz spoglądać po większej części nie lubi, mało się troszczyć o przeszłość, a przeceniając zwykle teraźniejszość, nie znające więc pustki jałowej, panującej przed trzydziestu kilku laty jeszcze na niwie literatury lekarskiej naszej, zdaje się nie pojmować wcale zasług Girsztowta około podźwignięcia piśmiennictwa naszego, a tem mniej ocenić je należycie umieć. »A jednak« — jak mówi słusznie bardzo Wł. Kossecki \*) — »zasługi jego pod tym względem są niezaprzeczone, wielkie, i powinny kiedyś znaleźć uznanie. Pora już na to przyszła. Znał potrzeby nasze w tym kierunku, wziął się do czynu i najwięcej się przyczynił do podniesienia piśmiennictwa lekarskiego polskiego i dojścia jego do stanowiska, na jakim się dziś znajduje. Umiał wyszukiwać odpowiednie siły, zachęcać do pracy i niejedno znakomite dzieło bez niego nie ujrzałoby światła dziennego«. Kto świadom rzeczy, a dobrą wiarę w duszy swej żywi, słowem tym nie zaprzeczy z pewnością, lecz owszem potwierdzi je chętnie, ponieważ zawierają prawdę najprawdziwszą.

Trudnoby było zasługi te opisać lepiej, niż to już uczynił Łuczkiwicz \*\*), więc też i tu nieomal dosłownie powtórzyć nam przyjdzie zdanie jego, czyniąc tu i owdzie uwagi własne.

Najpiękniejszą stroną życia Girsztowta było zamięłowanie nieograniczone w literaturze lekarskiej ojczyznej i najgorętsze usiłowanie pobudzenia wszystkich lekarzów kraju do jaknajszerszego rozwoju tej literatury, w czem upatrywał postęp nauki i dobro społeczeństwa naszego. Urzeczywistnieniu myśli tej poświęcił ostatnich lat jedenaście życia swego, a zamiar swój przeprowadzał z taką niezłomnością woli, z taką wytrwałością i z poświęceniem takim, jakiego napróżno szukalibyśmy u kogo innego. Środkiem do dopięcia celu wytkniętego było dlań wydawnictwo tygodniowe, rozpoczęte zrazu skromnie, które wszakże później rozwijał stopniowo coraz bardziej i doprowadził do rozmiarów, jakich literatura nasza wogóle nie знаła przedtem wcale, a które również w zagranicznych uznaniu i podziw wzbudziłyby były mogły, szczególnie jeżeli się weźmie pod uwagę wszelkie

przeszkody i trudności, towarzyszące, a raczej przeszkadzające urzeczywistnieniu przedsięwzięcia podobnego u nas, oraz szczupłość liczby współpracowników odpowiednich w owe czasy.

W r. 1866 kilku członków wydziału lekarskiego byłej Szkoły Głównej uzyskało pozwolenie na imię Łuczkiwicza, jako redaktora, wydawania pisma tygodniowego p. n. »*Gazeta lekarska*«. Girsztowt wezwany do współpracownictwa, chwycił się tego z energią gorączkową i dobrowolnie podejmował się wszystkiego, co było do zrobienia; usuwał, ile się dało, trudności różne, popierał *Gazetę* słowem i czynem, rozpowszechniał ją sposobami wszelkimi, ściągając na siebie częstokroć wyrzuty, gniew i zawiść; — i trudno nie przyznać, że jego zabiegliwości zawdzięczyć wypada, iż *Gazeta*, rozpoczęta bez żadnych funduszy, przy dobrej jedynie chęci do pracy ze strony członków redakcyi, mogła kosztem prenumeraty utrzymać się i rozwinąć tak, że w końcu roku pierwszego wydawnictwa okazał się już pewny zapas pieniędzy, którego część przeznaczyła redakcyja na nagrodę za napisanie najlepszej rozprawy lekarskiej. Pierwszy numer *Gazety* wyszedł d. 7 lipca r. 1866, a redakcyę składali wówczas, oprócz Łuczkiwicza, jako redaktora odpowiedzialnego, następujący profesorowie i docenci b. Szkoły Głównej: Brodowski, Chojnowski, Girsztowt, Hirschfeld, Le Brun, rektor Mianowski, Narkiewicz-Jodko, Neugebauer, Pilcicki, Płaskowski, Seifman, Werner i Wiśłocki, na końcu roku przyłączył się do nich jeszcze Nawrocki.

Tu przerwać nam wypada na chwilę tok opowiadania, by wtrącić słów kilka, odbiegających pozornie od przedmiotu, ale będących z nim w związku ścisłym, a zatem i potrzebnych.

Równocześnie prawie z »*Gazetą lekarską*«, gdyż o tydzień tylko wcześniej od niej (d. 1 lipca r. 1866), ukazał się też numer pierwszy pisma tygodniowego innego p. n. »*Klinika*«. Pismo to podpisywał, jako redaktor, Z. Dobieszewski, lekarz młody, dyplomowany w r. 1862; około redakcyi zaś skupiali się przeważnie lekarze młodszy, wychowawcy Akademii medyko-chirurgicznej warszawskiej, a w części i Szkoły Głównej. Wszyscy byli ożywieni uznaniem godnym zapalem dla dobrej sprawy piśmiennictwa naszego, któremu też później z pożytkiem służyli, do pracy gotowi a chętni, ale, jako młodzie, którzy przed niedawnym czasem

\*) »*Gazeta lekarska*« r. 1902 nr. 11-ty str. 293.

\*\*) »*Kłosy*« r. 1877, t. XXV, nr. 647, str. 334 i nr. 648, str. 343.



dopiero opuścili ławy uniwersyteckie, nie rozporządzający jeszcze ani doświadczeniem własnym, ani też poglądami dojrzałymi na niem opartymi, nie zupełnie jeszcze zdolni do pracy uczonej, w całym znaczeniu wyrazu samodzielnej.

O ukazaniu się *»Gazety lekarskiej«* w dniu 7 lipca tegoż roku, o tydzień tylko starsza od niej *»Klinika«*, słowy następnymi doniosła czytelnikom swym na czele numeru 2-go w dniu 15 lipca; *»Nowe czasopismo«*. Nareszcie doszliśmy do tego, że wykazanie rzeczywistej potrzeby przestało u nas być głosem wołającego na puszczy!.. Zaledwieśmy zwrócili uwagę publiczności lekarskiej na konieczność zajęcia się naszym materiałem krajowym, jakby na skinienie czarodziejskiej ręki, utworzyło się, z czternastu profesorów szkoły głównej (tak!) złożone grono, a przyjąwszy żywcem nasz program, ogłosiło wydawnictwo czwartego, w kraju naszym, lekarskiego pisma, pod nazwą: *»Gazeta lekarska«* \*).

»Jest to bez zaprzeczenia nie mała dla *»Kliniki«* zasługa i nie mały zaszczyt. Zasługa: gdyż wystąpieniem swoim zbudziła ruch lekarski, zaszczyt: gdyż szanowne profesorów grono raczyło najwyraźniej *uznać* kierunek, jaki sobie pismo nasze obrało«.

»Zarazem jest też i zysk niemały, gdyż pole nasze, powiedzieliśmy w swym programie: jest tak obszerne i żyzne, iż na nie swobodnie wkroczyć mogą inne lekarskie pisma; i owszem, byłoby to dla *»Kliniki«* nader pożądaną rzeczą, gdyż tym sposobem rozwinęłaby się poważna, naukowa dyskusja, której nam na nieszczęście brakuje. Wprawdzie przecież tak połączonym, potężnym siłom będziemy nieco wyglądali, jak mały przeciwko Goltjowski Dawidek, pójdziemy mimo to naprzód w imię Boże i pod puklerzem wprawdzie dotąd nie zasłużonej jeszcze koleżeńskiej sympatii, której wszelako odbieramy dowody. Budząc ruch lekarski, wywołując potężne do działań na polu dziennikarstwa siły, mamy nadzieję zrobić więcej jeszcze, gdyż przysłowie mówi: »że kto so-

bie raz palce farbą drukarską powala, temu już niełatwo od niej się odczepić«. Nie wątpimy zatem, że szanowni profesorowie nasi, zaprawiwszy się na rozszerzaniu wiedzy po kraju, i o swych studentach łaskawie pomyśleć zechcą i książkami podręcznymi udarować ich raczą«.

»O braku kapitałów na wydawnictwo i o obojętności nakładców teraz zapewne nie będzie mowy, skoro wydawnictwo *»Gazety lekarskiej«* znalazło sposób usunięcia nieprzełamanych dotąd przeszkód«.

Słów tych, skromnością chyba nie tchnących, ale dających się wytłómaczyć butą młodzieńczą, rozdrażnieniem chwilowym wobec ukazania się pisma innego i zbyt wygórowaniem może pojęciem o zaletach i działalności swej własnej, mającej się wszelako rozwinąć dopiero w przyszłości, nie byłbym tu wyciągnął z zapomnienia zasłużonego, gdyby przed czasem niedawnym nie było się pojawiło dzieło poważne, starające się zasługę całą rozbudzenia u nas ruchu piśmienniczego lekarskiego przyznać właśnie tejże *»Klinice«* wyłącznie, pomijając niemal zupełnie zasługi rzeczywiste i ogromne Girsztowta, o którym odzywa się wogóle to lekceważąco, to stronnie i nieprzychylnie, a przypina mu łatki nawet wtedy, gdy mu już uznania swego w żaden sposób odmówić nie może\*).

Na str. 186 dzieła tego czytamy o Girsztowcie między innemi, że »zawiedziony w swoich nadziejach co do wykładu chirurgii«,—*chyba co do otrzymania kliniki?* — »rzucił się do wydawnictw lekarskich i na tem polu starał się zużytkować swą energię«—*czyż mu z tego zarzut zrobić wolno?*—i dalej *»Gazetę lekarską«* Girsztowt założył, dowiedziawszy się o powstaniu *»Kliniki«*, i nie chcąc, aby go kto na tem polu wyprzedził» — *czy to grzech?* — »Wkrótce jednak zaproponował Szokalskiemu, który był jednym z współwydawców *»Kliniki«* połączenie obu pism w jedno« — *krok ten Girsztowta każdy chyba pochwalić tylko może*—Szokalski przystał, wszelako pod warunkiem, że redaktorem będzie Dobieszewski.... Girsztowt atoli warunku tego nie przyjął«.

\*) W Warszawie wydawano wtedy oprócz *»Pamiętnika Tow. lek. warsz.«* jeszcze od r. 1847 *»Tygodnik lekarski«*, redagowany wówczas przez L. Natansoną; pismo to istnieć przestało samodzielnie d. 25 czerwca r. 1868 i zlało się z *»Kliniką«*.

\*) *Fontes et commentationes historiarum scholarum superiorum in Polonia illustrantes VIII. Szkoła Główna warszawska (1862—1869)*. T. II ....Materiały zebrał i opracował B. Bartkiewicz... poprzedził przedmową i uzupełnił H. Dobrzycki. Kraków, 1901; str. VIII—X i 61, 106, 145, 185.

Czy Girsztowt mógł zgodzić się na warunek taki?—Czy wypadało? czy miał prawo oddać siebie wraz z rektorem i nieomal z wszystkimi profesorami wydziału lekarskiego Szkoły Głównej pod władzę redaktorską tego, który ledwo kilka lat temu był jeszcze ich uczniem, a dotąd przecie na polu nauki jeszcze niczem się nie odznaczył? — Wątpić na chwilę nie można o szczerości zamiarów Girsztowta, gdy wystąpił z propozycją swą, oraz, że miał przytem jedynie na oku dobro piśmiennictwa lekarskiego naszego; szczerość zaś Szokalskiego, zawsze niechętnie usposobionego dla Girsztowta, w tym razie jest więcej niż podejrzana, gdyż godząc się pozornie, zarazem postawił warunek, o którym wiedzieć musiał z góry, że przyjęty być nie może; więc też tylko na nim i na tych, co za nim stali, ciąży wina, jeżeli połączenie się zamierzone obu tygodników, z powodów różnych pożądane, do skutku nie przyszło. A może i lepiej, że tak się stało właśnie. Girsztowt, zachowawszy swobodę działania, dokonał, jak obaczymy niebawem, dzieła wielkiego, wiekopomnego rzecz można dla literatury lekarskiej polskiej, »*Klinika*« zaś, krocząc drogą swoją, przyczyniła się także uczciwie do rozwoju piśmiennictwa ojczystego, zasługi tej nikt jej chyba zaprzeczyć nie zechce.

Po zboczeniu tem wróćmy znów do wątku naszego. — Widząc rozwój pomyślny »*Gazety*«, umysł przedsiębiorczy Girsztowta, przemyśliwający bez ustanku nad podniesieniem literatury, żywo odczuwający brak u nas dzieł lekarskich wogóle, w szczególności zaś podręczników dla studentów, postanowił zaradzić temu. Wystąpił więc do redakcyi z pomysłem śmiałym, wydawania przy »*Gazecie*«, pod postacią dodatków tygodniowych, arkuszami, dzieł obejmujących stopniowo wszystkie działy wiedzy i nauki lekarskiej. Pomimo trudności ogromnej, niezwalczonej napozór, wyrastającej z braku zasobów pieniężnych, do urzeczywistnienia przedsięwzięcia takich rozmiarów niezbędnych, wnioskodawca wierzył tak silnie w możliwość wykonania zamiaru, byleby się tylko znalazły siły umysłowe i dobre chęci ze strony kolegów, że energię niezachwianej woli swej przelał i na innych profesorów, grono redakcyjne »*Gazety*« stanowiących, którzy, zagrzani uwielbieniem dla wnioskodawcy żarliwego, zamiarowi podanemu przez niego przyklasnęli, a przystępując do urze-

czywistnienia go, rozdzielili pomiędzy siebie prace odpowiednie, przyczem na Girsztowta przypadło opracowanie chirurgii teoretycznej. W ten sposób powstała »*Biblioteka umiejętności lekarskich*«.

W tym miejscu znów dorzucić nam trzeba słów kilka dodatkowych. W przywiedzionym już tomie II »*Szkoły Głównej warszawskiej*« u dołu str. 186 znajdujemy, co następuje: »Na »*Bibliotekę umiejętności*« otrzymał Girsztowt od jakiegoś filantropa znaczną sumę pieniężną, przeznaczoną na cele medycyny krajowej«. Skąd wiadomość ta pochodzi, oraz czy jest uzasadniona, powiedzieć nie umiem, zauważyć wszakże muszę, iż Łuczkiewicz, lepiej wtajemniczony niż ktokolwiek inny w sprawy wydawnicze Girsztowta, nic o tem nie wspomina, owszem, powiada najwyraźniej, że gdy rozpoczynano wydawnictwo »*Biblioteki*«, »brakło funduszków, w tym razie niezmiernie ważnej podstawy«. Być wszakże może, iż Girsztowt później otrzymał na cel ten rzeczywiście zasiłek jaki, co znów dowodziłoby tylko tego, że działalność jego wydawnicza znalazła uznanie zasłużone, oraz, że używał zaufania w kołach szerszych publiczności, co w każdym razie przemawia za nim korzystnie, a bynajmniej zasług jego nie zmniejsza; toć przecie i Staszic miał podobno jakieś fundusze bezimienne oddane sobie do rozporządzenia, i również dobry a uczciwy umiał z nich zrobić użytek.

Zająwszy się wydawnictwem »*Biblioteki*« w roku drugim istnienia »*Gazety*«, oddał mu się Girsztowt z gorliwością tak serdeczną, z wytrwałością i energią tak wielką, z zapalem dla ważności przedmiotu tak szczerym, że usiłowaniom jego niestrudzonemu zawdzięcza literatura polska wydanie w ciągu lat 10 niespełna trzydziestu i trzech dzieł, objętych programem »*Biblioteki umiejętności lekarskich*«, wystawiających ówczesny stan nauki lekarskiej we wszystkich jego gałęziach, opracowanych bądź to oryginalnie, bądź też tłómaczonych z prac najcelniejszych i najnowszych, w językach obcych wydanych. Książki te wychodziły arkuszami po 200 arkuszy rocznie, za co przedpłata wynosiła tylko 20 rubli na rok. Z zamierzonych 76 tomów wydano 70, reszty już wydać nie pozwoliła Girsztowtowi śmierć przedwczesna i niespodziewana.

Skrzętna działalność niestrudzonego w usługach dla literatury polskiej profesora nie poprzestała na wydawnictwie »*Gazety*« i złączonej z nią

»Biblioteki umiejętności lekarskich«, co samo już — jak słusznie twierdzi Łuczkiewicz — mogło mu zapewnić piękne imię wśród zasłużonych krajowi obywateli.

Czując brak dotkliwy w literaturze lekarskiej naszej pisma własnego, podającego nam obraz dokładny postępów corocznych i rozwoju bieżącego wiedzy i sztuki lekarskiej, podjął Girsztowt w r. 1870 wydawanie czasopisma nowego p. n. »Przegląd postępu nauk lekarskich« w pięciu zeszytach na rok, po 10 arkuszy druku ścisłego każdy. W wydawnictwie tem pomieszczał w streszczeniu prace wszystkie za granicą wydane w językach obcych, a wpłynąć mogące na rozwój lecznictwa i chirurgii. Ze śmiercią jego wydawnictwo to wielce pożyteczne wychodzić przestało.

W dodatku bezpłatnym do »Gazety lek.« ogłaszał Girsztowt nadto »Bibliografię i krytykę lekarską«, wychodzącą w odstępach czasu z góry nie określonych, a co ważniejsze, »Historję szpitali i zakładów dobroczynnych w Król. Pols.« Zbiór ten kilkutomowy, podług planu i pod redakcją Girsztowta opracowany treściwie i ze znajomością rzeczy przez lekarzów różnych, opierających się na wiadomościach czerpanych ze źródeł pewnych, nie każdemu zawsze dostępnych, stanowi przyczynek bardzo ważny do dziejów naszych, nietylko lekarskich, ale i obyczajowych. Wspomnieć też tu dla zupełności trzeba, iż przez czas krótki wychodził również pod redakcją jego »Przegląd balneologiczny«.

Nie zapomniał na koniec ten wydawca ruchliwy i o potrzebie podrzędnej kolegów swych, wydając od r. 1870 »Kalendarz lekarski«, w którym, oprócz części kalendarzowej zwykłej i notatnika, zamieszczał artykuły cenne, rozmiarów, rozumie się, drobniejszych, ale do użytku podręcznego potrzebne i bardzo nieraz użyteczne.

Niezależnie od »Biblioteki umiejętności lekarskich«, wydał jeszcze Girsztowt w przekładzie polskim szereg dzieł lekarskich wyborowych, przetłómaczonych pod okiem jego, jak oto »Rys chirurgii teoretycznej ogólnej i szczegółowej« Heitzmanna, »Odczyty o operacjach akuszeryjnych« Barneisa, »Choroby układu nerwowego« Ziemssena, »Choroby oczu« E. Meyera, »Chirurgię ogólną i szczegółową« Billrotha i Koeniga, »Naukę o chorobach kobiet« Schroedera i »Naukę o chorobach dzieci« Huettenbrennera.

Wydawnictwa wszystkie, wymienione dotąd, wymagające nakładu znacznego, utrzymywał Girsztowt do końca życia, jakkolwiek cena przedpłaty bardzo niska, nie pokrywała nigdy wydatku na to poniesionego. »Nikt inny« — mówi Łuczkiewicz — »pomimo nawet równie dobrych chęci, uczynić by tego nie mógł, uczynił to jednak szlachetny profesor, który, nie mając najbliższej rodziny, poświęcił cały czas swój i siły powziętej myśli wspierania rozwoju nauki. Dla łatwiejszego urzeczywistnienia swego zamiaru, wybudował on własnym kosztem oficynę w posesyi pod nr. 9 przy ulicy Śto-Krzyżkiej, gdzie z własnych także funduszków urządził drukarnię, którą zaopatrzył w kosztowne, z Berlina sprowadzone maszyny«. Wobec zapewnienia tak stanowczego, pochodzącego od człowieka ze wszech miar na wiarę zasługującego, a nadto, jak się już rzekło, lepiej niż kto inny obeznanego ze sprawami wydawniczymi Girsztowta, upaść chyba musi legenda o filantropie jakimś, od którego miał otrzymać pieniądze znaczne na wydawnictwa swe, legenda, ponimo, że ją z taką pewnością wypowiedziano, jak tyle innych o nim, zmyślona może tylko przez kogoś zawistnego, dla tego, aby ofiarność i zasługi rzetelne, a zaprzeczyć się nie dające, obniżyć przynajmniej w oczach ogółu.

Gdy go śmierć zaskoczyła, nosił się Girsztowt z zamiarami obszernymi wydawnictw nowych, do których częścią miał już nawet materiały przysposobione; chciał mianowicie ogłosić »Słownik lekarski«, jako i »Bibliografię lekarską polską«. Nóż zabójczy, przecinając nić żywota jego, nie dopuścił wszakże do ziszczenia się zamiarów tak chwalebnych.

Obarczony zajęciami redaktorskimi i wydawniczymi, tak wielostronnemi, do których przecie należy dodać jeszcze i zajęcia profesora klinicznego oraz chirurga, oddającego się wykonawstwu, nie miewał Girsztowt zwykle wiele czasu do zabawiania się piórem, chociaż się do niego nie lenił nigdy, owszem, gdy się tylko dało, chwycił za nie ochoczo, a wszystko, co kiedykolwiek napisał sam, tchnie zawsze bystrością umysłu, uczonością i bogactwem wiedzy, a nadto zwykle służyć może za wzór jasności, barwności i poprawności języka ojczystego, którym władał znakomicie, chociaż nieco z litewską przeciągał, gdy mówił.

Nie mogąc tu wyliczyć napisów wszystkich prac Girsztowta, odesłać musimy ciekawych do »*Stownika lekarzów polskich*« S. Kościńskiego, gdzie na str. 141 i 142 zapisano wszystkie; tam też wyszczególniono liczne przemówienia jego w Towarzystwie lekarskiem warszawskiem, do którego należał od r. 1865, jako jeden z najczynniejszych członków.

Prace Girsztowta, drukiem ogłoszone, odnosiły się, jak łatwo domyśleć się tego można, przeważnie do chirurgii, przysłużył się wszakże również dziejopisarstwu lekarskiemu szeregiem życiorysów niektórych dawniejszych, znakomitych lekarzów i chirurgów polskich. Życiorysy te, odznaczające się zawsze zarówno rzetelnością w ocenie prac i zasług mężów owych, jako też stylem pięknym, pomieszczał głównie w »*Tygodniku ilustrowanym*«. Oprócz tego napisał pracę, mogącą dziś uchodzić za źródło historyczne p. n. »*Rys historyczno-statystyczny Ces. Król. warsz. Medyko-chirurgicznej Akademii od jej zawiazku w d. 4 czerwca 1857 r. aż do weiewenia do Szkoły Głównej d. 1 paźdz. 1862 r.*« (Warszawa, 1865, str. 79). Jeszcze przed przybyciem do Warszawy, jako pracę pierwszą po rozprawie doktorskiej, ogłosił też rzecz, żadnego z zawodem jego związku nie mającą; jest to »*Mappa dycecyi rzymsko-katolickich w cesarstwie rossyjskiem*« (Petersburg, 1857, 4 arkusze in folio). Co go do wydawnictwa tego skłonić mogło, nie jest wiadome, przypuścić wszakże wolno, że działał wtedy pod wpływem braci trzech, należących do stanu duchownego.

Wyliczywszy wszystko to, co Girsztowt w ciągu lat jedenastu zdziałał w służbie literatury lekarskiej naszej, pochwał mu sypać nie potrzebujemy, gdyż czyny takie łącznie bez nich obejść się mogą, samo ich wyliczenie bowiem starczyć już może za pochwałę największą. Natomiast w imię bezstronności niechaj wolno będzie zwrócić uwagę na pewne strony ujemne dzieła jego, olbrzymiego iście i niewątpliwie godnego uznania najszczerzego, wszelako nie doskonałego, co wogóle jest wadą wspólną wszystkich dzieł ludzkich.

Girsztowt rozumiał wybornie, że lekarze nasi, a więcej jeszcze studenci wydziału lekarskiego, potrzebują niezbędnie podręczników dobrych, na wysokości poziomu nauki bieżącej stojących, a językiem ojczystym do nich przemawiających. Potrzeba ta była rzeczywiście bardzo nagła, a

gdyż to, co w rodzaju tym już istniało w literaturze naszej, było po większej części albo nie wystarczające, albo już znacznie przestarzałe, nie czyniące już zadość potrzebom chwili, a do użytku bieżącego nie odpowiednie. Z chęci zaradzenia skutecznego a szybkiego brakom wymienionym wyrodić się musiał koniecznie pośpiech, nie oddziaływający zwykle korzystnie na tego rodzaju przedsięwzięcia.

Dzieł oryginalnych nie pisuje się na kolanie, więc też, pomimo że większość profesorów ówczesnych, w wydziale lekarskim Szkoły Głównej nauczających, nie uchylała się bynajmniej od współpracy, lecz owszem chętnie i szczerze zabrała się do rzeczy, to jednakże stosunkowo długo bardzo trwaćby było musiało, nimby się udało zebrać wszystko, mające objąć obszar całej wiedzy lekarskiej. Musiano więc uciec się do przekładów z języków obcych, które też w »*Bibliotece*« i wogóle w wydawnictwach Girsztowta przeważają, z czego wszakże nie przystoi nam czynić mu zarzutu poważniejszego. Prawda, że *ceteris paribus* zawsze oryginałowi należy się pierwszeństwo przed tłumaczeniem, ale przekład dobry dzieła rozumie się dobrego, jeżeli go prędzej mieć można, w wielu razach może być więcej pożądany od pracy oryginalnej, równie dobrej, lub nawet lepszej, gdy długo na nią czekać trzeba. W pośpiechu jednakże nie zawsze wybiera się do tłumaczenia dzieła najlepsze, więc i Girsztowtowi zdarzyć się to mogło; w każdym razie wszelako przyznać mu należy, że na ogół miał rękę szczęśliwą, i że »*Biblioteka*« jego zawiera w przekładach w samej rzeczy przeważnie dzieła najcelniejsze owoczesne; między oryginałami zaś znajduje się przynajmniej kilka wybornych; jest to więc, zważywszy, iż było to przecie pierwsze tej miary wydawnictwo lekarskie u nas, wynik zadawalający i chwalebny.

Przekłady same wszakże, nie zawsze na pochwałę bez ogródki zasłużyć sobie umiały. Rozumie się, że ani profesorowie, zajęci pisaniem podręczników oryginalnych, ani też sam Girsztowt, będący duszą wszystkiego, osobiście obarczać się nie mogli tłumaczeniem; konieczność zmuszała do powierzania pracy tej albo lekarzom, którzy ledwo co opuścili szkołę, albo też studentom, blizkim ukończenia nauk, co znów nie zawsze na korzyść przekładów wypadało, ponieważ



zadanie czasami przechodziło siły pracowników, nie zawsze ogarniających i pojmujących dostatecznie sam przedmiot, lub czasem nie dosyć biegle władających językiem, z którego tłómaczyć musieli. Z powodu tego wcisnęły się do przekładów błędy niektóre, obniżające nieco ich wartość, nie czyniące im jednak uszczerbku zbyt wielkiego. W każdym razie należy się uznanie najszczerze i pochwała bezwarunkowa młodzieży tej, stawającej ochoczo, na wezwanie profesorów swych do pracy mozolnej, nie przynoszącej jej korzyści materialnych żadnych, lub bardzo małe tylko. Girsztowt tłómaczów swych nie mógł oczywiście opłacać świetnie, ponieważ wydawnictwa jego pochłaniały i tak już pieniędzy niemało, nie przynosząc przytem zysków żadnych, lecz przeciwnie wymagających nieraz dokładania do nich. Nie poruszyłbym tu sprawy tej wcale, jako osobistej, nie mogącej dochodzić ogółu, gdybym nie był już słyszał kilkakrotnie, jak oskarżano Girsztowta o to, że na korzyść swą wyzyskiwał pracę studentów (w druku, o ile mi wiadomo, nikt jeszcze potworności tej wypowiedzieć nie śmiał). Nie można więc było w życiorysie, mającym za 'zadanie postawienie Girsztowta w oświeceniu prawdy a broniącego pamięci jego od zamachów potwarczych, pokryć milczeniem zarzutu oszczerczego, śladu prawdy w sobie nie zawierającego, lecz należało, piętnując nikczemność jego, głośno przeciwko niemu wystąpić.

Stroną najslabszą *«Biblioteki umiejętności lekarskich»*, pomijając jej niedokończenie zupełne, był niewątpliwie sam sposób wydawania jej, nie tomami całemi, lecz arkuszami, ukazującemi się po kilka równocześnie, lecz do dzieł różnych należącemi; jeno było to podobno koniecznością, wpływającą z warunków wydawniczych ówczesnych, a w żaden sposób ominąć się nie dającą.

Bądź co bądź *«Biblioteka»* jest wydawnictwem, nie mającym równego sobie w literaturze lekarskiej naszej, oddała też niewątpliwie w swym czasie studentom i lekarzom przysługi rzetelne, wcale nie małe, a wszyscy, którzy z niej korzystali, Girsztowtowi wdzięczni za nią być muszą, bez jego bowiem zabiegliwości ksiąg tych wszystkich prawdopodobnie nie byłiby nigdy do rąk dostali.

Rozpatrzywszy tedy szczegółowo osobistość i działalność Girsztowta, dojść musimy do wnio-

sku, iż był to rzeczywiście człowiek nawskroś zacny i dobry, obywatel prawy, szczerze kraj swój miłujący, przewodnik młodzieży niezrównany, pracownik nie znający odpoczynku, kończący pracę jedną tylko po to, aby się zaraz bez wytchnienia zabrać znów do następnej, a nie pracujący dla zysków osobistych, lecz dla społeczeństwa, którego był zawsze sługą najgorliwszym, nakoniec był to mąż wyjątkowy, który dla rozwoju literatury lekarskiej polskiej od czasu jej istnienia aż do dni naszych uczynił więcej, niż ktokolwiek przed nim, a dziś, w ćwierć wieku po śmierci jego, dodać nadto można z ręką na sercu, że i więcej, niż ktokolwiek po nim.

Będąc jeszcze w sile wieku, patrząc się z zadowoleniem uprawnionem na zbliżający się koniec pomyślny wielkiego wydawnictwa swego, układając zamysły nowe do wydawnictw następnych i przygotowując je, Girsztowt powalony był ręką zabójcy w dniu 5 listopada r. 1877.

Piszący te słowa pamięta bardzo dobrze wrażenie piorunujące, które wywarła powszechnie wieść rozchodząca się szybko o zbrodni popełnionej i żal ogólny, wywołany dnia 12 tegoż miesiąca śmiercią przedwczesną człowieka tak zasłużonego. Na nic nie zdała się Girsztowtowi pomoc niesiona przez kolegów, na nic pieczołowitość pielęgnujących go, jak ojca, dzień i noc asystentów i studentów. Zbrodniarz mściwy dopiął celu, pozabawiając społeczeństwo lekarskie nasze najdzielniejszego wówczas przewodnika młodzieży akademickiej, a zarazem najużyteczniejszego pracownika na niwie literacko-naukowej lekarskiej.

Już wtedy, niestety, ludzie niechętni rozsiewali skwapliwie pogłoski uwłaczające pamięci ofiary zbrodni, a łagodzące do pewnego stopnia czyn nikczemny zabójcy; wiele osób uwierzyło im tem łatwiej, ponieważ znano usposobienie popędliwe Girsztowta. Wprawdzie profesor Łuczkiewicz wkrótce po nieszczęsnym wypadku ogłosił publicznie te słowa: »Nie podobna pominąć nam dla sprostowania fałszywie rozszerzanych wieści, tej okoliczności, najdokładniej nam znanej, że jedyną przyczyną morderstwa, na śp. Girsztowcie spełnionego, było wyłącznie tylko wydalenie z drukarni zecera Sroczyńskiego (zabójcy) z powodu, że ten podburzał wobec nieboszczyka drugich towarzyszy, aby nie podejmowali się przeznaczonej im pracy. Przy wypowiedzeniu obowiązku w swej drukarni, ob-



szedł się nieboszczyk ze Sroczyńskim niezwykle łagodnie, bez wyrządzenia mu jakiegokolwiek obelgi słownej, a tem mniej czynnej\*); wprawdzie dochodzenie sądowe nie zaprzeczyło prawdzie słów powyższych; wprawdzie obrońca podsądnego nie powołał się na ten fakt rzekomy, mogący zmniejszyć winę swego klienta, a byłby to uczynił z pewnością, gdyby był prawdziwy i dowiedziony; wprawdzie Sąd okręgowy warszawski, skazując winnego, bez przyznania mu okoliczności łagodzących, na karę najwyższą, w motywach wyroku mógł stwierdzić tylko „rozdrażnienie wskutek wymówienia roboty\*\*), jednakże ostatni przedemną biograf Girsztowta, odpierając zarzut W. Kosseckiego, zawarty w słowach: »Nawet „tra-

giczna“ śmierć jego ma Niemile w rozbieranem przez nas dziele oświecenie, jako pochodząca z ręki „równie zapalczego“ (!) i nieumiejącego panować nad sobą człowieka«. Wygląda to na niejaki usprawiedliwienie, a przynajmniej złagodzenie potwornej, pospolitej zbrodni, przez niską zemstę popełnionej\*), nie zawahał się wypowiedzieć zdania: »Rzeczywiście w wyrażeniu „trafił na równie zapalczego człowieka“ kryje się aluzya, że i po stronie Girsztowta było w tym wypadku trochę winy. Girsztowt, wydając Sroczyńskiego z drukarni, zwymyślał go brutalnie i zelżył czynnie\*\*) — voilà comment on écrit l'histoire!

*Dr. med. Józef Peszke.*

\*) »Kłosy« 1877, T. XXV str. 648, str. 346.

\*\*) »Gazeta Sądowa« r. 1878, Nr. 8, str. 60.

\*) »Gazeta lekarska« r. 1902, Nr. 11, str. 293.

\*\*) Tamże, Nr. 19, str. 502.

# Teofil Lenartowicz.

\* 1822 † 1893.

„*Girnik mazowiecki*“ ma kilka cech wspólnych ze „słowikiem ukraińskim”: uczuciowość prostą i szczerą, pobożność lubującą się w obrzędach, tęsknotę za stroną rodzinną, ukochanie pieśni ludowej, śpiewność wiersza, niechęć do mądrości zagranicznej, wreszcie brak plastyki i słabo rozwiniętą zdolność refleksyjną. Niegdyś budził przesadne zachwyty; dzisiaj lekceważy go wielu — niesłusznie.

Lenartowicz urodził się w Warszawie roku 1822; z powodu ubóstwa rodziców, mógł zaledwie przejść szkołę powiatową (4-klasową) i po krótkim pobycie u rodziny, zamieszkałej na wsi, mając lat 14, został w stolicy Królestwa dependentem u adwokata, a r. 1837 aplikantem w sądzie najwyższej instancji, gdzie po trzech latach otrzymał etatową posadę kancelisty.

Niewielkie nabytki umysłowe, wyniesione ze

szkoły, starał się pomnożyć usilną pracą, studiując literaturę ojczystą, przestając z utalentowanymi kolegami po piórze i niektórymi dojrzalszymi ludźmi. Pierwszy swój wiersz, jako 19-letni młodzian drukował w organie owoczesnych „najmłodszych”: *Nadwiślaninie* (1841), opisując rozczarowanie i smutek w duchu powszedniej wtedy romantyczności. Gdy *Nadwiślanin* upadł, Lenartowicz drukował sporo w *Przeglądzie Warszawskim*, ale zarówno te, jak i późniejsze jego poezye nie mają jeszcze w sobie nic znamiennego; powtarzał on w nich ogólniki wycytane w książkach, malował naturę pospolitemi barwami, zatapiał się w nieinteresujących rozmyślaniach, opiewał nawet «Szatana». Próbował najrozmaitszych form wierszowych, wzorując się to na Zaleskim, to na Goszczyńskim. Jeden tylko obrazek p. t. «Galary», malujący życie flisaków na Wiśle, jest jakby zapowiedzią

przyszłej twórczości lirnika mazowieckiego. Ale na obrazek ten nie zwrócono wówczas uwagi, i dopiero wierszem «Do poezji» (1844), gdzie autor, spożytkowując motywy, zawarte w kilku utworach Mickiewicza, wysławiał tę «kochankę ducha, dziewicę słońca, z mieczem i w zbroi hartowanej», tę «matkę, wiarę i prawdę narodów»,—dobił się chwilowego znaczenia, wzmocnionego takimi pieśniami jak: «Wisła» i t. p.

Opuściwszy Warszawę w r. 1847, Lenartowicz zatrzymał się najpierw w Galicyi i wydał tegoż roku we Lwowie poemacik dramatyczny p. t. «Pierwsze przedstawienie Hamleta»; w Krakowie zaś roku następnego: «Cztery obrazy» i «Ziemie polską w obrazach». Ten ostatni utwór, z dwu części złożony, był jakby rozwinięciem i dopełnieniem «Pieśni o ziemi» Wincentego Pola; jak takiemże rozwinięciem «Szajne - Katarynki», z wyraźnym celem zastąpienia lichych jasełkowych przedstawień czemś piękniejszym i bardziej pouczającym, jest «Szopka» (1849, Wrocław). W pierwszej części występują tu zwykłe jasełkowe osoby: Matka Boska, ś. Józef, trzej królowie, Herod, Śmierć, Dyabeł i t. d. Druga część, znacznie obszerniejsza, a pisana takim samym wierszem i w tym samym tonie, przedstawia «figurki» z dziejów Polski, od Lecha począwszy.

Z Wrocławia przejechał w r. 1850 do Poznania, gdzie uczestniczył w wydawanych przez Ewarysta Estkowskiego czasopismach pedagogicznych, pomieszczając w nich kilka pięknych pieśni i dwa opowiadania w duchu ludowym: «Zachwycenie» i «Błogosławiona», które też niebawem r. 1854 wyszły w książkowej odbitce. Opowiadania te są największymi kompozycjami, jakie Lenartowicz wysnuł z wątku ludowego. Fantazja wieśniacza przenosi w niebo, czyściec i piekło stosunki swego poprzedniego życia, tylko w kształtach nieco idealizowanych, na jakie skromne zasoby pojęć wystarczyć mogły. W letargu dusza wieśniaczki wędruje po tamtym świecie, przyglądając się widokom i czynnościom, jakie napotyka. Za powrotem do przytomności, opowiada dziecku swoje widzenie. Wiele tu rozwiniął łagodnego wdzięku nasz poeta, przedstawiając, jak Jezus owieczki pasie na łące, a Matka Boska wyrabia płótno ze srebrnej przędzy dla sierot, które miałyby już wszystkie odzież, «gdyby w jesieni pochmurnej, słotnej, nie psuł w powietrzu wiatr psotny tych

srebrnych nitek babiego lata, co się na naszych płotach oplata». Wiele ujmującej rzewności roztoczył w obrazkach czyścica. Najślabszym jest widok piekła, bo tu łagodne, rzewne tony były nieodpowiednie, a odmalowanie grozy nie miało dosyć potęgi. Prócz Madejowego łoża i Judasza, nie ponoszącego żadnej katuszy, ale dręczonego pamięcią czynu, wciąż przypominanego workiem pełnym złota, przyrosłym do ręki, — mamy tu same ogólniki.

«Błogosławiona» to ponowne małowidło raju, po którym zmarłą wieśniaczkę przyprowadzają święte pańskie, pokazując szczegółowiej niż w «Zachwyceniu» siedziby aniołów, spełniające swe obowiązki względem ziemi, męczenników, wyznawców, apostołów, Matki Boskiej wreszcie, dopóki Światłość Najwyższa nie dała się uczuć wszystkim, podziwiającym ją w pokorze. Późniejszymi dopełnieniami «Błogosławionej» są: «Święta praca», «Kalendarz gospodarski». Ta nasza miniaturowa Boska komedia nie może nam długo tkwić w pamięci, bo kształty w niej przedstawione, są trochę za rozwiewne i trochę za jednostajne.

Motywy ludowe znalazły o wiele doskonalsze wcielenie w poezjach drobnych, zawartych w «Lirence» (1855) i «Nowej larence» (1859) Lenartowicza. Tu jego talent zajaśniał w pełni. Czem Bohdan Zaleski dla nuty ukraińskiej, tem Lenartowicz dla mazowieckiej. Nie może on mieć wprawdzie takiego jak tamten znaczenia, bo już miał wzór przed sobą, ale z zadania wywiązał się świetnie i imię swe unieśmiertelnił. Jak Zaleski idealizował Kozaków, tak Lenartowicz idealizował Mazurów, kreśląc same świetlane strony ich życia, wesole czy smutne, lecz zawsze złączone z duszą szlachetną, z obejściem delikatnem, z uczuciami serdecznymi, z myślami czystymi, z ujmującą prostotą wyrazu, bez skargi na ciężką dolę pańszczyznianą. Jest w «Lirence» wiersz prześliczny, rytmem żwawym 5-zgłoskowym napisany, p. t. «Mały świątek», malujący cały zakres natchnień lirnika, bo cały rok zajęć i zabaw wieśniaczy, pastelowymi barwami. «Myśl moja cicha—mówi pieśniarz—jak moja chata, nad dym ojczystej wioski nie wzlata; oko nie sięga dalej i szerzej, jak do tych lasów, jak do tych krzyży, jak do tej wody, co płynie srebrna; czyż większa mądrość człeku potrzebna?» W tym szczupłym zakresie jest Lenartowicz mistrzem; nikt prościej,



Według portretu olejnego — własność p. Stanisława Leszczyńskiego.

*J. Luszczowski*

serdeczniej a znamiennej nie oddał usposobienia, uczuć, zuchowatości, żartobliwości i tęsknoty Mazura. Takie precudnie piękne w prostocie swojej pieśni i obrazki jak: «Kalina», «Zostań dziewczyno», «Wiochna», «Mały świątek», «Jagoda», «Wiecznie to samo», «Do mojego grajka» pozostaną nazawsze arcydziełami literatury naszej. A z żartobliwych, ileż dziarskości w piosence: «Mazur ci ja, mazur, z pod Warszawy rodzic»; ten Maciek Dzwoniec może stanąć śmiało obok «Mazura» Polowskiego w «Pieśniach Janusza», choć dotyka tylko życia rodzinnego, a mianowicie złej żonki.

Wszystkie pieśni «Lirenki» odznaczają się tak samo jak dumki Zaleskiego, wielką melodyjnością, różniąc się od nich nutą rażą, a nawet poskoczną. W żadne wyszukane budowy zwrotek Lenartowicz się nie wdawał; brał najzwyczajsze, najczęstsze w naszej poezji połączenia, unikał sztuczności, starał się tylko o potoczystość, dźwięczność, tok szczerze polski. A językiem władał znakomicie zarówno barwnym, jak poprawnym. Deklamacyjność jest zupełnie obca w «Larence»; wysłowienie ma proste ale obrazowe, prawdziwie poetyczne; porównania i przenośnie bierze z otoczenia wiejskiego, a tak je umie trafnie i zgodnie z logicznym rozwinięciem myśli zastosować, że one nigdy nie wydają się naciąganiem.

Jednem słowem, treść i forma zlewają się w tych pieśniach i obrazkach w harmonijną całość; autor nie wybiega poza obręb myśli, uczuć, upodobań i zwyczajów wieśniaczych, a słowom i zwrotom, choć literacko udoskonalonym i rzadko kiedy odtwarzającym gwarę ludową, nadał szlachetną prostotę, wyrazistość i barwność, najdoskonalej malujące to, co wypowiedzieć miały. Plastyka Lenartowicza, jak plastyka Pola, ma przeważnie cechy zewnętrzne, ale ta właściwość nie wpływa ujemnie na utwory zawarte w «Larence», gdyż tu w tej zewnętrzności (do której oczywiście liczymy i słowa także) zawiera się wszystko. Dopiero w dalszych, obszerniejszych, epickich utworach ta właściwość fantazyi, w połączeniu z brakami wykształcenia, obniża ich wartość estetyczną.

W r. 1852 pojechał Lenartowicz do Paryża, poznał osobiście Mickiewicza, bywał nieraz w jego domu, przejął się ówczesnym mistycznym nastrojem wieszczą, lubo do grona wyznawców towiań-

szczyzny nie przystąpił. W r. 1854 pojechał do Włoch, przebył czas jakiś w Rzymie, a potem ożeniwszy się z Zofią Szymanowską, przyrodnią siostrą żony Mickiewicza, osiadł we Florencji.

Temata religijne częściej teraz niż poprzednio obierał za przedmiot swojej twórczości, ale nie zdołał wytworzyć nic znakomitszego pod względem artystycznym czy psychologicznym. Zarówno wówczas, gdy w tonie poematu bohaterskiego opowiadał męczeństwo «Świętej Zofii», jak wtedy, gdy naśladowując naiwną prostotę legendy, 10-zgłoskowymi wierszami malować próbował cuda wiary gorącej i ukorzenie grzeszników: «Apostołowie», «Święty Franciszek a Paolo», — nie mógł obudzić żywszego uczucia ni wrażenia. Dusze wierzące mogły sobie podobać w tych utworach z powodu ich treści; lecz estetycznie poczytywać je za piękne było trudno. Tam jedynie, gdzie poeta wypadki życia ludowego przedstawił w nastrój religijny, gdzie więc całkowicie był w swoim żywiole, — tworzył rzeczy ładne, ujmujące szczerością uczucia, prawdą sytuacji. Za przykład mogą posłużyć w tym względzie: «Chata pod śniegiem», «Niech będzie pochwalony».

I w tematach historycznych widzimy podobny stosunek. Wielkich ludzi, wielkich wypadków dziejowych nie potrafił Lenartowicz odmalować w sposób zadawalający i rozwagę badawczą i poczucie piękna. W «Gładyatorach» (1857) chciał przedstawić okrzychaną niezgodę słowiańską, czyniącą ich niewolnikami, co dla rozrywki panów świata (Rzymian), łaknących krwawego widowiska, zabijali się wzajem w cyrkach, zamiast wspólnymi siłami uderzyć na ciemiężców. Nie zdołał atoli odmalować ani zepsucia starożytnych Rzymian, których panowanie chyliło się do upadku; ani tej dzielności, jaka tkwiła w gładyatorach, uwydatnił jeno posępny nastrój, wydobył z lutni ton jękliwy, nie umiejąc myśli przewodniej należyście przeprowadzić, tak że go po raz pierwszy dotknęły, niesłuszne w przeważnej części, gromy krytyki Juliana Klaczki. Pod względem formy zarzucić można było brak tego, co do onej chwili stanowiło mocną stronę naszego lirnika, brak rytmiczności: 9-zgłoskowe wiersze, jakby kulejące, nie przyczyniały się wcale do wywoływania wrażeń przyjemnych. Rytmicznie ładną, lecz ubogą w myśli jest fantazyja: «Napoleon Aleksander Cezar Karol» (1860), gdzie wyprowadził pośmiertne wi-

dmo «boga wojny», cesarza Francuzów, rozmyślającego o czynach dokonanych, porównywającego się ogólnikowo z bohaterami wieków dawnych: Aleksandrem Macedońskim, Juliuszem Cezarem i Karolem Wielkim, i dochodzącego do przeświadczenia, że zgrzeszył pychą i brakiem miłości, «co cicho, najskryciej świat-dziecko wie, by na srebrnej nici, na niewymownem spojrzeniu opieki, przez wszystkie czasy i przez wszystkie wieki». Nigdzie tu nie spotykamy ani jednego słowa «większej mocy», co by nam dało naprawdę odczuć olbrzymią postać Korsykańczyka.

Natomiast, gdzie Lenartowicz nie potrzebował ogarniać wielkich widnokręgów dziejowych, gdzie dość było nakreślić w sposób uczuciowy jedną sytuację, aby wywiązać się z zadania, gdzie zwłaszcza wchodził wieśniacy; tam tworzył rzeczy ładne jak: «Habdank», lub piękne, jak jego arcydzieło liryczno-epiczne: «Bitwa racławicka» (1859). Tęsknota za krajem rodzinnym, umiłowanie jego przyrody, ukochanie wieśniaków, podziw dla ich dziarskości i humoru, wspomnienie wielkiej chwili dziejowej, odczute silnie a nie wyrozumowane; rytm swobodny, naturalny, styl przepyszny, zastosowany doskonale do charakteru opowieści: wszystko to złożyło się na stworzenie wielce harmonijnej całości artystycznej, nad którą wyższej, doskonalszej ani przedtem, ani potem Lenartowicz się nie zdobył.

Bawiąc we Florencji, zajął się nasz poeta rzeźbiarstwem i niemalże nawet pracami swojemi rozgłos osiągnął. Z pieśnią jednak bynajmniej nie zrywał. W r. 1863 ogłosił w Poznaniu zbiór, a raczej wybór, dwutomowy swoich «Poezyi», lecz potem nastąpiła siedmioletnia przerwa nie w pisaniu, ale w ogłaszaniu nowych utworów. Dopiero bowiem w r. 1870 ukazują się dwa ich tomiki we Lwowie; jeden p. t. «Ze starych zbroic»; drugi p. t. «Album włoskie».

Pierwszy zbiór zawierał kilka rapsodów historycznych: o Bolesławie Chrobrym i Śmiałym, o Piotrze Duńczyku, o Sobieskim i Marysieńce i t. p. — ale niestety były to rzeczy suche, po kronikarsku traktowane. Poeta nie umiał pochwycić istotnych, najważniejszych cech, charakteryzujących osoby dziejowe; pomijał je, a rozwodził się nad podrzędniemi.

«Album włoskie» wogóle jest lepsze od «Zbroic»; wrażenia, świeżo we Włoszech doznane, znalazły też

świeższy wyraz, a niektóre, brane wprost ze spostrzeżeń, wcale są ładne, silnie odczute, jak: »Rzym—Italia», «Pifferaro», «W gaju Tivoli», «Inamorato», «Saltarella», a zwłaszcza «Grosz ubogiego», gdzie Lenartowicz odmalował dobre serce lazaronu: —prosi on przechodnia o jałmużnę, a gdy ten na prośbę powiada, że sam jest bez grosza i do tego w podróży, lazaron wyszukuje w swoich łachmanach pół bajoka i daje biedniejszemu jakoby od siebie.

Jeżeli obojętne przyjęcie tych dwu zbiorów mogło być przykrem dla poety, to nieudanie się wydawnictwa «Ech nadwiślańskich», odtwarzających ówczesne uczucia ogółu, zabołec go musiało strasznie. «Ech» tych miało być dwa tomy; wydano pierwszy r. 1872 (w Poznaniu), ale rozchodził się on tak słabo, iż o ogłoszeniu drugiego wydawca nie chciał myśleć. Lenartowicz główną przyczynę tego faktu upatrywał w wyziębieciu serc, w lekceważeniu hasła dawniej upajających; częściowo było to prawdą, niedarmo przecież pojawiła się r. 1869 «Teka Stańczyka»; —lecz bądźco bądź trudno też nie dostrzedz obniżenia się twórczości lirnika. W «Echach» niema natchnienia, brak porywającego zapału, a za wiele sztucznie nastrojonych uczuć radości, entuzjazmu, pomieszanych ze «spowszedniałymi» już wyrazami smutku i rezygnacji. Obrazowanie rzadko kiedy celuje plastycznością; stąd po przeczytaniu książki zostaje w pamięci zaledwie ten i ów rys zamglony; żadnego motywu świeżego. Ze wszystkich obrazków i pieśni tu zawartych, stosunkowo najlepsze są: «Kurpie», «Hułan», «Targ na konie», «Stary myśliwy», «Rawicz», «Jaskółka», «Zrozpaczona» i «Grajki wędrownie», gdzie obraz przeszłości zarówno w pomyśle, jak w sposobie wykonania mocno przypomina zakłęté królestwo w II-im rapsodzie «Króla-Ducha»; ale nie posiada tych zalet plastyki, jakimi opis Słowackiego potężnie wraza się w pamięć.

W r. 1875 odbył się w Krakowie skromny, lecz serdeczny obchód jubileuszowych lat pracy Lenartowicza; w rok potem wyszedł tamże 4-tomowy «Wybór poezyi», dokonany przez samego autora. Nie związało to wszakże naszego lirnika z życiem bieżącym, które budziło w nim ciągle zniechęcenie, a nawet odrazę. Z nowymi prądami płynąć już nie mógł, zamykał się więc w dziedzinie przeszłości; gorczył sączyła mu się do ser-



ca coraz przykrzejsza; zaczął sam siebie nazywać «dziadoną niebogim» lub «dziadem, którego kiedyś nazywano poetą». Przyjaciołom wzywającym go do śpiewu, odpowiadał, że na pieśniarza ludowego spada dzisiaj «wzgardy ślina», że go już za zmarłego poczytują, lub «italskim leniwcem» przezywają.

«Leniwcem italskim» bynajmniej się on nie stał; pisał dużo: obszerne poematy dziejowe, utwory dramatyczne (np. «Sędziowie ateńscy», gdzie przedstawił zepsucie Aten i śmierć Sokratesa): — ale nie znajdował chętnych nakładców, a kiedy nastroczył się jaki, to nie wychodził dobrze na wydawnictwie, bo ogół nie smakował już w nowych poezjach Lenartowicza, choć wielbił dawne.

W r. 1881 wyszły we Lwowie «Rytmy narodowe», zawierające urywki z dużego poematu o Janie Sobieskim p. t. «Ostatni rycerz», jako też obrazek: «Pierwszy kміeć» i drobniejsze utwory. Nie mogły one obudzić zajęcia; opowiadanie o Sobieskim w tonie dziada-lirnika, nie wyróżniającego planów pierwszych od dalszych, obniżało raczej tę postać rycerską, niż ją podnosiło. Z poezji pomniejszych tylko znowuż przypomnienie sobie dawnych natchnień z motywów ludowych, dało nam rozszerzoną «Jagodę», mającą ustępy niezmiernie ładne.

W roku 1883 Lenartowicz ogłosił we Lwowie «Cienie», z pod-tytułem: «Na przepadłe imię». Wiersze tchnęły tu bólem dojmującym, ale poetycznej wartości wcale prawie nie posiadały; sam autor lekceważąco się wtedy wyrażał o artyzmie, potępiając tych, co sztukę jeno mieli na względzie. Gorycz swego osamotnienia duchowego wylał w przedmowie, będącej jakby jęklivem pożegnaniem z twórczością. Poeta zwraca się tu sam do siebie: «Ilość lat upłynęła od czasu, jak pożegnałeś te strony (rodzinne); dwa pokolenia przeszło od owych dni... Zapomnij! Imię twoje wliczone do epoki, która przeminęła; bracia żyjący nie przyznają się do ciebie, odgradzają murem wyobrażeń, jakoby tobie nieznanym, na twoje rysy spoglądają jak na szkielety przedpotopowych ptaków... Gdybyś powrócił, serca niegdyś twoich znajomych znalazłbyś zmienione, domku twojego nad Wisłą jużbyś nie odszukał, ani drzew, pod

którymi ubiegło dzieciństwo twoje; burza je obaliła; — po latach czterdziestu... za to, żeś się modlił, śpiewając a przenosząc myślą do modrzewiowych kościołów; opluje cię bankier tego kraju za wiarę w opiekę Matki Bożej; młody zaś entuzysta nicości wymierzy ci krwawy policzek ręką żelazną w gnojach... umazaną».

Pozytywizm filozoficzny i oportunizm polityczny przejmowały go obrzydzeniem; w młodym pokoleniu widział obojętność względem tego, co on czcił całą duszą, a sądy krytyczne o przeszłości brał za jej urągawisko.

W r. 1884 na jubileusz Jana Kochanowskiego wskrzesił jedną z jego postaci, pisząc «O Satyrze, albo leśnym mężu», by przez usta Satyra podać charakterystykę poety i jego stosunków, oraz westchnąć za świetną przeszłością dziejową.

Żył jeszcze potem lat dziewięć; wypowiedział po włosku szereg odczytów w Akademii Bolońskiej imienia Mickiewicza (r. 1886) «O charakterze polsko-słowiańskiej poezji», odczytów, odznaczających się poletem poetyckim, ale nieco mętnymi pojęciami o dziejach literatury powszechnej. Mówił o Koperniku, Kochanowskim, Malczewskim, Mickiewicz, a z powodu «Farysa» wspomniął gorąco o «Farysie» Karola Balińskiego i o kółku poetów warszawskich, przezywanych cyganami... W r. 1889 dał po polsku «Wspomnienie o Bohdanie Zaleskim».

We Włoszech pozyskał sobie szczerych przyjaciół i wielbicieli; sporo poezji jego przetłumaczono na język włoski.

Zmarł we Florencji 3 stycznia 1893 roku, a zwłoki jego przewieziono do Krakowa i po wspaniałym pogrzebie złożono w grobie zasłużonych na Skałce.

Z rękopisów pozostałych po «lirniku mazowieckim» ogłoszono r. 1895 we Lwowie dwa tomy «Poezyi», gdzie oprócz drobnych wierszy mieści się jedyny znany dramat a raczej dyalog Lenartowicza: «Sędziowie ateńscy». Słów gorących we wspomnieniach pozgonnych nie szczędzono autorowi «Kaliny».

*Piotr Chmielowski.*

# Wincenty Korotyński

\* 1831 † 1891.

Gdy wielkie dzieło zbudować chcesz,  
Z wielkiej przyrody naukę bierz:  
Cicho tlen skałę zamienia w pył,  
By grunt z niej pszenney dla ziemi był;  
Cicho śle równik zdroj ciepłych wód,  
By łagodziły bieguna chłód;

Cicho przebiega słoneczna treść,  
By blask i życie dokoła nieść;  
Cicho się cały obraca świat  
W krąg pierwoźródła miary i lat. —  
Patrz na przyrodę, jak ona rób:  
Rozmyślaj, pracuj i milcz jak grób.

Taką głęboką maksymę wypowiedział Wincenty Korotyński i przez 35 lat ciężkiej pracy literackiej, naukowej i dziennikarskiej nie przeniewierzył się jej ani na chwilę. Słusznie też zauważył jeden z najbliższych znających jego życie i działalność, Antoni Pietkiewicz (Pług), iż mało kto dźwigał taki ogrom pracy na swoich barkach i mało kto wykonywał ją tak wytrwale, spokojnie, gruntownie, a do tego najczęściej bezimiennie, nie szukając z niej nigdy dla siebie chluby ani rozgłosu i nie skarżąc się na brzemię, które chętnie podejmował. Gdy inni poczytywali go za „białego murzyna”,



Według fotografii z natury.

on jeden, mając tylko pożytek ogólny i obowiązek własny na celu, choć po kilkanaście godzin dziennie w zagłębiu bogatej biblioteki swojej pracował, nie uważał się za takiego. I ogół, niewtajemniczony w nasz ruch literacki, ani przybliżonego pojęcia o tem nie miał, że ta właśnie praca cicha, milcząca była jak ów tlen kruszący skały, jako ciepły prąd roztopiający lody, jako promień słońca, niosący z sobą blask i życie.

Urodzony w Sieliszczu, dziecko zaścianka w pow. Nowogródzkim, dostał się Korotyński w 19-ym roku życia do domu Syrokomli, gospodarującego wtedy na dzierżawie w Żalu-

czu. Był to wypadek opatrnościowy dla młodzieńca, gdyż o całej przyszłości jego postanowił Syrokomla bowiem, dostrzegłszy w Korotyńskim gorącą żądzę nauki, niepospolite zdolności umysłu, duszę prawą i poetycką, stał się jego mistrzem, opiekunem, a potem najserdeczniejszym przyjacielem. Z Syrokomlą też Korotyński przeniósł się z Załucza do Wilna, a potem do zadzierżawionej pod Wilnem Borejkwoszczyzny, i pod jego egidą r. 1857 wydał pierwsze swe próby poetyczne p. t.: „Czem chata bogata, tem rada“, opatrzone przedmową głośnego wieszczą i błogosławieństwem na drogę życia. Jeżeli jako poeta nie dorównywał Korotyński dwom ówczesnym pieśniarzom litewskim: Syrokomli i Odyńcowi, to czystością i gruntowną znajomością skarbów mowy polskiej nie ustępował tamtym zupełnie. Widać też było, że językowi temu oddawał się naukowo i bardzo poważnie, skutkiem czego zajął czynne stanowisko w gronie osób, które opracowywały „Słownik języka polskiego“, wydany r. 1861 przez Maurycego Orgelbranda w Wilnie. Grono to składali: Zdanowicz, Szyszko, Filipowicz, Tomaszewicz, Czepieliński i najmłodszy z nich, ale nieoceniony w wytrwałej, mrówczej pracy Korotyński, któremu, oprócz własnego opracowania kilku liter, przypadło w udziale systematycznie ułożyć do druku prace innych.

W r. 1858 wydał Korotyński poemat p. t.: „Tomilo — obrazek z życia ludu“. Był to jeden z pierwszych tego rodzaju utworów w poezji polskiej, bo cały osnuty na tle życia chłopskiego i mający za bohatera — chłopą, utwór o tendencji społecznej mocno demokratycznej, lecz bynajmniej nie demagogicznej. Autor czuł snadź drażliwość tematu na owe czasy, wobec istniejącego jeszcze na Litwie poddaństwa, a w Kongresówce pańszczyzny, bo zastrzegł się przeciwko posądzeniu o złą wolę aż kilku dewizami np. wyjątkiem z „Listu do Koryntyan“: „Bomci wam napisał z wielkiego utrapienia i ściśnienia serca, wiele łez wylewając, nie przeto, abyście się zasmucili, ale abyście uznali, którą miłość mam obficie ku wam“. A drugą ze Staszica: „Ten was obelży, kto wam pochlebia, ja was poważam, gdy wam prawdę mówię“.

Po „Tomile“ ukazały się niebawem (r. 1859) „Piosnki Bérangera“, dźwięcznie przetopione na mowę polską wspólnym trudem Syrokomli i Ko-

rotyńskiego. Z 80-ciu utworów pieśniarza francuskiego, objętych w tej sporej książce, Syrokomla przełożył 22, a Korotyński 58.

Jemu też zawdzięczamy wydobyte na jaw i ogłoszenie drukiem metryki urodzenia i świadectw szkolnych Adama Mickiewicza (Wilno, 1861), tudzież ogłoszenie rodowodu Mickiewicza i improwizacji jego o Samuelu Zborowskim.

Wszystko zdawało się zapowiadać w Korotyńskim płodnego piewcę wiejskiej strzechy. Stało się jednak inaczej. Od r. 1859 przez resztę swego życia, jako poeta, odzywał się już tylko zrzadka. Chciwość bowiem wiedzy literackiej, historycznej i wogóle naukowej, wsparta rzadką pamięcią, uczyniła go niebawem pierwszorzędym erudytą, co w połączeniu z wysokim darem pióra i idealną sumiennością pracy wytworzyło z niedawnego samouka skarb nieoceniony dla każdej redakcyi poważnego wydawnictwa. Był więc nie tylko jednym z redaktorów „Słownika języka polskiego“, ale przez lat 8 (1857—1865) należał do redakcyi „Kuryera Wileńskiego“.

W r. 1858 Komisya Archeologiczna Wileńska, gromadząca za przewodem Eustachego hr. Tyszkiewicza wszystkie siły naukowe prowincyi litewskiej, mianowała go swym członkiem współpracownikiem. Również i komitet statystyczny wileński zaprosił go do swego grona. Ale nie dosyć na tem: Korotyński był jeszcze współpracownikiem „Teki Wileńskiej“ i został głównym z Litwy korespondentem „Gazety Warszawskiej“. A trzeba wiedzieć, że gazeta ówczesna, pod redakcją tej miary publicysty, jakim był Antoni Lesznowski, stawszy się najpierwszym organem dziennikarstwa polskiego, zjednała sobie całe grono takich stałych korespondentów jak Józef Ign. Kraszewski w kraju, jak Leonard Rettel z Paryża i wielu innych, których w podobnym komplecie nigdy już żaden dziennik polski zgromadzić nie zdołał.

Na początku r. 1866 przeniósł się z Wilna do Warszawy, aby zostać stałym członkiem redakcyi „Gazety Warszawskiej“. Nie było przytem prawie żadnego poważniejszego wydawnictwa, do którego by Korotyński jeżeli nie pracą bezpośrednią, to zdrową myślą, wiedzą i radą, zwłaszcza w dziedzinie rzeczy polskich, nie przyczynił się. „Mało było pomiędzy nami piszących

tak dobrze, jak on, po polsku — powiada o nim we wspomnieniu pośmiertnem Stanisław Krze-  
miński — umiających przytem pisać tak zajmująco. Niepokalana czystość jego języka zasługuje już sama przez się na pamięć ludzką, a obok niej staje styl zawsze jasny, spokojny, w miarę wypukły, w miarę też gorący. Pod słowem czuleś człowieka, umysłowość i uczuciowość jego odgadawałeś. Gdyby był większe po sobie prace zostawił, historia literatury musiałaby go ze względu na język i styl zaliczyć do rzędu najlepszych pisarzy współczesnych<sup>4</sup>.

Zaraz po przybyciu Korotyńskiego do Warszawy, zjednała sobie jego pióro wielka *Encyklopedia* Orgelbranda. Rozpoczyna się to jego współpracownictwo w tomie 24-ym, a ustaje na ostatnim wyrazie *Żyźmory*, zamykającym tom 28-my pomnikowego dzieła. Do obszernych opracowań w tej encyklopedyi należy artykuł Korotyńskiego *Wilno, Witebsk, Włodzimierskie księstwo, Wołyńskie województwo*. Do rozpraw, które stały się cennymi przyczynkami w wyjaśnieniu naszej przeszłości, należy najpierw studyum „Salomon Rysiński“, drukowane w odcinku „Kuryera wileńskiego“ i oddzielnej odbitce. W r. 1867, dostawszy do rąk dzieła Alhazena i Ciołka o optyce w wydaniu Riesnera (Bazylea, r. 1572), Korotyński sprostował badania Sołtykowicza, ks. Bystrzyckiego i Mich. Wiszniewskiego o Vitellionie, wykazał nedorzecznosc rysnerowskiego *thuringopolonus* i ostatecznie wyświecił narodowość uczonego z samego tekstu dzieła. Rozprawka ta, wydrukowana najprzód w „Gaz. Warszawskiej“, wyszła potem w osobnem odbiciu. R. 1877 w „Kłosach“ wydrukował wyczerpujący *Życiorys Ignacego Domejki*, a r. 1882 w „Tygodniku powszechnym“, monografię *Rodziny Lelewelów*. Wreszcie wspomnienia o Syrokomli i wogóle o stronach nowogródz-

kich i nieświeskich spisał w obszernych i malowniczych „Obrazach z pobrzeży Niemna“, ogłoszonych w „Tygodniku powszechnym“.

Korotyński i jako wydawca literacki był nieustannie czynnym. Spłacając dług wdzięczności zajął się zbiorowem wydaniem dzieł Ludwika Kondratowicza, które zaopatrzył w przedmowę i przypiski, tak, że edycja ta dotychczas może za wzór służyć, jak pisma znakomitych autorów wydawać należy. Odyńca *Listy z podróży* przeszły ostatecznie przez jego redakcję; on również był wydawcą literackim jednego tomu *Listów Zygmunta Krasieńskiego*. W wydawnictwie *Muzeum Konstantego Świdzińskiego* tomy: II, IV i VIII jego głównie stanęły pracą. Do pomnikowego wydania *Dzieł Jana Kochanowskiego* dał objaśnienie partyi szachów przy odpowiednim poemacie.

Gdyby możliwem było zebranie w całość wszystko, co skreślił piórem swoim przez lat trzydzieści kilka w czasopismach wileńskich, warszawskich i różnych wydawnictwach, znalazłaby się okazała po nim puścizna, przynajmniej kilkadziesiąt potężnych tomów obejmująca, złożona z gruntownych rozpraw, wytrawnych krytyk, pouczających artykułów, światłych i bezstronnych sądów, pełnych erudycyi objaśnień, cennych wskazówek, pięknych myśli i wogóle wiadomości bogatych w szczegóły, mało komu znane. Niestety! puścizna ta zaginęła, tak jak prawie wszystko, co się drukuje po dziennikach.


Piszący te słowa miał sposobność zawiązania z Korotyńskim od r. 1866 bliższej znajomości i przyjaźni, a tem samem częstego podziwiania zdumiewającej jego erudycyi w rzeczach polskich, z której zawsze wiele pożytku odnosił.

Zygmunt Głogier.



# Józef Supiński.

(\* 1804 + 1893).

nakomitych ekonomistów mieliśmy nie wielu. Najwydatniejszym swego czasu był Fryderyk hr. Skarbek, niedostatecznie jeszcze oceniony. Po nim Józef Supiński zajaśniał nauką, zdolnościami, pracą i oraz wielostronnością i głębokością ujęcia spraw gospodarczych.

I z tym wybitnie zasłużonym pisarzem zdarzyło się, co się u nas często przytrafia. Długo bezskutecznie walczył o to, aby swe prace upowszechnić wśród społeczeństw. Potem jednak tylko pokolenie małej części inteligencji, którą osobliwie zajmowały nauki ekonomiczne, oddało mu uznanie wysokie. Później w r. 1877 z wielkim zapalem święcono obchód uroczysty jego jubileuszu 50-letniej pracy literackiej. I nakoniec utwory Supińskiego, nie wywarłszy na współczesnych należytego wpływu, właściwie nawet nie doczekawszy się prawdziwie ścisłej oceny krytycznej, poszły prawie w zapomnienie. Pozostała pamięć dobrego obywatela i niepospolitego pisarza, lecz działalność naukowa Supińskiego jest dla ogółu najczęściej raczej szczytem sławy uświęconej, niż zjawiskiem konkretnym. Jedni na podstawie ustalonych tradycji głośno tylko podnoszą jego zasługi, inni zgola nie znają dzieł jego i znaczenia w nauce.

Pragnąc tylko skreślić szkic biograficzny Supińskiego, nie możemy wdawać się w ocenę szczegółową jego całej działalności pisarskiej, ale wizerunek byłby bardzo powierzchowny, gdybyśmy ograniczyli się zebraniem samych szczegółów zewnętrznych z jego życia. Postaramy się skojarzyć życiorys autora z głównymi przynajmniej wskazówkami o jego teoriach i kierunkach duchowych, w nich odzwierciedlanych.

Supiński urodził się d. 21 lutego 1804 r. w Romanowie pod Lwowem z ojca Adama, sędziego, i matki Tekli z Mrozińskich, siostry generała, autora pierwszej poprawnej gramatyki polskiej. Ten wuj Mroziński miał wpływ znaczny na rozwój umysłowości chłopca. Po krótkim pobycie w szkole we Lwowie, młody Józef w r. 1815 przeszedł pod opiekę wuja do Warszawy i tu do-

stał się do liceum Lindego, a następnie do konwiktu ks. Pijarów na Żaliborzu. Z kolei wstąpił na uniwersytet, a uzyskawszy stopień magistra prawa i administracji, został aplikantem w komisji spraw wewnętrznych i policyj. Wkrótce pozyskał tu posadę sekretarza sekcji.

Opieka generała Mrozińskiego, mającego żywe zamiłowanie do literatury z jednej strony, a z drugiej wykłady Kazimierza Brodzińskiego na Żaliborzu rozbudziły w Supińskim zapal do pracy i wywołały liczne jego próby twórczości poetyckiej. Współrzędnie wszelako prelekcje ekonomii politycznej Skarbka, których słuchał na uniwersytecie, zaszczerpiły w nim zawiązki myśli społeczno-gospodarczej.

Z przygotowaniem teoretycznym do pracy w tym kierunku wyszedł już z wszechnicy warszawskiej. Nie prędko wszakże skryształizować się miały nowe koncepcje gospodarcze przyszłego ekonomisty. Przez czas pewien muza niepodzielnie panowała nad jego uczuciami. Już na ławach szkolnych w klasie 3-ej napisał «Odę do wiosny», a w kilka lat później poemacik «Karpaty». Skreślił też elegię na śmierć Staszica (r. 1826), potem wydał bezimiennie tragedję «Arceza», która nawet ukazała się na deskach Teatru Narodowego. Nadto był jeszcze autorem dwóch tragedyj: «Morsztyna» i «Regulusa», które, nie doczekawszy się druku, zaginęły. Lubo potem na innej zgoła niwie zdobył wawrzyny, których mu nie wywalczyła muza, tchnienie poetyckie nie opuszczało go i w wieku późniejszym, lecz służyło wtedy raczej za rozrywkę i osłodę ciężkich przejść życiowych. Już we Lwowie w starszym wieku stanął do konkursu dramatycznego (r. 1851) ze swą 5-aktową komedją «Tatarzy». Przyjmował udział w wojnie r. 1830 i w roku następnym wraz ze szczątkami korpusu znalazł się na emigracji. Pozostawiwszy w kraju młodą małżonkę, niedawno poślubioną, oparł się w Avignonie we Francji południowej. Tu rozpoczął działanie w gminie emigrantów, do których rady należał i której ważne oddawał usługi. Ale głód i nędza, które jego własną osobę tra-



piły, wypchnęły go do Lugdunu; w tem ognisku przemysłu łatwiej było zarobić na kawałek chleba.

Chodziło naprawdę o chleb suchy w dosłownem znaczeniu, bo towarzystwo ubezpieczeń, gdzie zyskał zajęcie, wynagradzało jego pracę pensją 25 fr. na miesiąc. Jak żył tu, gdy tymczasem do tego głodnego i chłodnego ogniska przybyła żona i gdy dziecię zakwiliło na dziurawem poddaszu, o tem świadczą jego własne słowa: «Żona gotowała i pielegnowała dziecię; ja przynosiłem wodę, drzewo, a niekiedy prałem bieliznę pod mostem, w godzinach wolnych od pracy biurowej».

Ale i w tych warunkach bytu, takich ciężkich, Supiński bardzo krzepki duchowo, kształcił się bezustannie i, przystosowując się do potrzeb miejscowych, wyuczył się biegle rachunkowości kupieckiej. Z temi kwalifikacyami zyskał lepszą posadę najprzód w jednej z fabryk, a później w kasie poborowej departamentu Rodanu. Widać, że posiadał też dużo zmysłu handlowego i tej przenikliwości praktycznej, która zawsze prawie idzie w parze z teoretycznym ujęciem reguł gospodarczych, albowiem przeniósłszy się w r. 1836 do Paryża i objąwszy posadę w fabryce przędzalniczo-tkackiej, dzięki szybkiemu obznajmieniu się z tajnikami produkcji, posuwał się coraz wyżej po szczeblach swych obowiązków służbowych i ostatecznie stał się dyrektorem fabryki. Powodzenie materyjalne było dlań bodźcem do dobrych uczynków. Szkoła na Batignolles (pierwotnie w Châtillon) korzystała z jego hojnej ofiarności i opieki; zaliczał się też do jej kuratorów.

Supiński zatęsknił jednak do kraju. W r. 1844 przybywa do Galicyi, a dzięki protekcji ks. Leona Sapiehy, zyskuje we Lwowie z początku małą posadę w Towarzystwie kredytowym ziemskim, następnie zaś nieco korzystniejsze stanowisko w Kasie oszczędności, świeżo przez ks. Sapiehę założonej. Na urzędowaniu w tej instytucji, w której zaprowadził wzorowy porządek rachunkowy i o której reorganizacji na Bank krajowy oszczędności myślał (ogłosił stosowny projekt), przetrwał aż do r. 1864, kiedy to zagrożony utratą wzroku musiał pracy biurowej na zawsze zaniechać.

Równocześnie z zajęciami zawodowymi rozpoczął we Lwowie pracę pisarską. Odżyła w nim z początku dawna żyłka dramaturga i, jak już

zaznaczyliśmy, złożył na konkurs «Tatarów», którą wszakże pobiły nagrodzone wówczas «Wasy i peruka» Korzeniowskiego. Lecz wkrótce sam autor pokonał w sobie niezbyt udatne zachcenia poetyckie. Zasobny w doświadczenie życiowe i polityczne, zasobny w trzeźwy sąd społeczny, jął się współpracownictwa w «Dzienniku Narodowym» Szajnochy, a po r. 1860, gdy zatętniła żywsza myśl w Galicyi i gdy pismo «Głos» stało się jej organem, pomieszczał tu liczne prace dziennikarskie.

Niebawem urodzić się miało pierwsze dzieło, które było już dojrzałym plodem wieloletniego procesu twórczego, długo tylko utajonego w umyśle autora. W r. 1860 we Lwowie (nakładem Jabłońskiego) ukazuje się «Myśl ogólna fizyologii powszechnej (w późniejszym tytule «fizyologii wszechświata») Supińskiego — dzieło na czas swój zjawiskowe w naszym piśmiennictwie naukowym. Jest to filozofia społeczna, na szeroką skalę zakreślona koncepcja praw społeczno-ekonomicznych, głęboki mimo swej spekulacyjności teoretyczno-poznawczej, rozbiór reguł związku nierozzerwalnego między gospodarczemi czynami ludzkimi a odwiecznemi prawami wszechświata. Supiński bada tu cały «przyrodzony organizm stowarzyszenia ludzkiego», którego śledzeniu, jak przyznaje, poświęcił lata długie — i próbuje udowodnić, za pomocą pracowicie nagromadzonego materiału przykładów z nauk przyrodniczych, z historii i życia bieżącego, że ekonomia polityczna i prawa rządzące ludzkością, mają najściślej pokrewieństwo z prawami świata fizycznego. Cokolwiekby z dzisiejszego stanowiska nauki powiedzieć można o aparacie dowodowym, o metodzie empiryi, na której pisarz nasz oparł teorię swoją, a w szczególności o jego głównej zasadzie dowodowej: że wszystkie pojawy życia czerpią źródło w dwóch siłach — rzutu i rozkładu (przyciągania i odpychania) — poza tem rusztowaniem, dziś już bardzo wątpliwem, bardzo nienaukowym (tworzącem domniemanie, wysnute dowolnie nie ze znajomości praw przyrodniczych, lecz z własnej spekulacji myślowej), pozostaje jednak w osnowie budowla, na zdrowych fundamentach wsparta. Można i trzeba nawet odrzucić hipotezę o prawach rzutu i rozkładu w znaczeniu dosłownem, jako o prawach naturalnych, rządzących wszechświatem, bo nauka takich praw przyrodniczych



Według społecznego drzeworytu.

*W. L. Wójcik*

niema, (choć możnaby je utrzymać jako przenosi-  
 śnię), lecz po usunięciu tego rusztowania znaj-  
 dziemy interesujący zawiązek socjologii i szkic  
 trafnej teorii o prawidłach gospodarczych, zwi-  
 anzanych z prawami przyrodzonymi. Znajdujemy  
 tu też w zarysie już pomniejsze kapitalne dzieło  
 Supińskiego: «Szkolę polską gospodarstwa spo-  
 łecznego». Ta najlepsza praca autora ukazuje się  
 wkrótce po «Fizjologii» i jest głębiej obmyśla-  
 nym, tudzież realniej i przejrzyściej odtworzonym  
 produktem jego długoletnich dociekań ekonomicz-  
 nych. I-szy oddział «Szkoly polskiej» w pierw-  
 szym wydaniu wychodzi (również u wydawcy Ja-  
 błońskiego) w r. 1862, oddział II — w 1865 r.  
 (nakładem Wilda).

«Szkola» jest i dziś jeszcze dziełem niepo-  
 spolitej wartości, choć oczywiście czas poczynił  
 w tej wartości pewne szczyrby i choć nawet w do-  
 bie swego powstania dzieło to, wogóle zasługu-  
 jące na uznanie wybitne, pod niektórymi wzglę-  
 dami nastroczaćby mogło krytyczne zarzuty.

Nie byłoby w tym szkicu naszym miejsca  
 dla wzmianki o tych zarzutach, gdyby nie to, że  
 one właśnie pozwalają odbudować wizerunek du-  
 chowy pisarza, bez czego zarys biograficzny jest  
 niezupełny. Aby dokładnie zrozumieć istotę du-  
 chową, jako też cały rozwój myśli naukowej i spo-  
 łecznej Supińskiego, trzeba mieć na uwadze, że  
 «Szkolę» (tak samo zresztą jak «Fizjologię»),  
 która ukazała się w r. 1862, zapłodnił już w umy-  
 śle autora pobyt wśród emigracyi. Ideą mesya-  
 nistyczną, kierunkiem metafizycznego rozumowa-  
 nia przejął się tu dość powierzchownie zresztą  
 tylko duch Supińskiego i to piętno odbiło się po-  
 części już na «Fizjologii», a po części też na  
 pewnych zewnętrznych cechach «Szkoly». W tym  
 okresie dziejowym, w którym umysł wielkiego pi-  
 sarza pracował nad uświadomieniem sobie praw  
 gospodarczych, jakie później w «Szkole» miały  
 znaleźć wyraz, w tym okresie, w którym panował  
 romantyzm mesyanistyczny w poezji, a w filozo-  
 fii metafizyka, wówczas i Supiński na takich wzo-  
 rach urabiał sobie w głowie metodę wykładową  
 ekonomii i filozoficzne do niej podstawy. Innemi  
 słowy, pewne wytwory jego ducha, ukształconego  
 na tchnieniu epoki 1830 r., odcisnęły ślady swe  
 na zbudowanych przezeń teoriach ekonomicznych.  
 Tymczasem dzieło dojrzało w umyśle pisarza do-  
 piero w parę dziesiątków lat później; widnokreśli

jego już się rozszerzyły wtedy, doświadczenie  
 spotężniało, materiał badań pogłębił się. Z ta-  
 kiego jednak skojarzenia kierunków dwóch epok  
 twórczości wynikło rozdwojenie myśli i stąd  
 «Szkola polska», choć przeważnie na zupełnie  
 realnym gruncie oparta, choć stanowiąca pierw-  
 sze poważne hasło do pozytywistycznego programu  
 pracy organicznej, miała jednak naleciałości me-  
 syanistyczne. Sama nazwa, a wraz z nią niejako  
 samo założenie tego dzieła, było odbłaskiem epo-  
 ki minionej. Supiński pragnie nam dać «szkolę  
 polską gospodarstwa społecznego», a więc szko-  
 łę narodową, szkolę, która ma być właściwo-  
 ścią i własnością tylko naszej własnej myśli go-  
 spodarczej. Naśladuje on tu ściśle Trentowskiego  
 i innych filozofów metaficznych okresu porewolu-  
 cyjnego, którzy wierzą, że nauka nie jest wyni-  
 kiem myśli ogólnoludzkiej, lecz danego społe-  
 czeństwa, danego narodu, mającego wyższe prze-  
 znaczenie do wykrycia prawd wiekuiowych. W tych  
 tradycjach rozwijał się jeszcze Supiński i dlate-  
 go wyobrażał sobie, że ekonomia, zapłodniona  
 w umyśle polskim, jest inna, prawdziwsza od eko-  
 nomi nauczanej przez Niemców, Francuzów, czy  
 Anglików. Z takiego toku jego rozumowania wy-  
 nikło i to, że prawd, reguł i określeń pojęć go-  
 spodarczych poszukiwał w igraszce źródłosłowej,  
 w słowach i wyrażeniach polskich, mających  
 nieświadomie odtwarzać już całą treść pojęć. Stąd  
 budował zasady i grupował prawa podług odcieni  
 wyrazów. To jego zamiłowanie do mnożenia sło-  
 wnictwa naukowego i do wysnuwania prawd z te-  
 go słownictwa wskazuje również na powinowactwo  
 duchowe z metafizyką polską: z Trentowskim, Li-  
 beltem i Kremerem.

Przytaczamy tu te uwagi nie w celu osła-  
 bienia wartości dzieł Supińskiego, lecz dla uwy-  
 datnienia faz rozwojowych jego ducha. Pomimo  
 bowiem pewnych zastrzeżeń co do znaczenia na-  
 ukowego «Szkoly polskiej», stwierdzić należy, że  
 dzieło to jest ozdobą naszego piśmiennictwa, że  
 jest płodem potężnego umysłu i na zawsze zo-  
 stanie zasobnym zadatkiem dla dalszych naszych  
 badań teoretyczno-poznawczych na polu ekonomii.  
 Odnacza się ono śmiałą samodzielnością i głą-  
 bokiem ujęciem przedmiotu, a choć formalnie  
 nieukończony (zawiera tylko «Organizm społecz-  
 ny», zapowiedziany zaś «mechanizm» nie docze-  
 kał się opracowania), obejmuje całokształt teorii.

Spoleczna doniosłość tego dzieła wyraża się i w tem, że wszystkie jego wywody mają tło narodowe i że zmierza do obznajmienia czytelnika z nauką ekonomii pod kątem widzenia interesu własnego społeczeństwa. Z tego stanowiska jest to istotnie «szkoła polska», lubo autor nie w tem upatrywał zasadę do takiej nazwy. Supiński doskonale uwydatnia, że cała praca społeczności, będąc bezustanną wymianą, składa się na ciągłość życia gospodarczego, w którym pragnie widzieć pierwiastki poczucia obowiązku i podstawy moralne. Odsłania on już też poniekąd postulaty sprawy społecznej w dzisiejszem jej znaczeniu. «Szkoła» zbliża się pokrewieństwem niektórych poglądów do nauk Lista, Bastiela i Carey'a, lecz niema w niej zgoła żadnego naśladownictwa i stanowi tylko wytwór głębokiego rozbioru praw ekonomicznych, który musi więc mieć podobieństwo do wszystkich badań gruntowniejszych w tym zakresie. Oczywiście są w tej książce, niezależnie od zaznaczonych usterek, sądy, z którymi można by się już w swoim czasie spierać i są po części poglądy, które dziś nawet do anachronizmów należą, lecz na ogół do tej chwili praca ta oddać musi rzetelną korzyść każdemu czytelnikowi.

A jednak «Szkoła polska» należytego wpływu w dobie ukazania się nie wywarła. Z prawdziwą krzywdą dla społeczeństwa czytano ją mało. Tylko uczeni krytycy i szczupły zastęp fachowych ekonomistów podnosił jej zalety. Pierwszy nakład 500 egzemplarzy rozszedł się powoli wśród mecenasów nauki. Drugie wydanie, objąć mające wszystkie dzieła, długo daremnie szukało nakładcy, aż w końcu znalazł się wydawca-protector, który pomocą swą urzeczywistnił w r. 1871/2 pragnienie autora przypomnienia się znowu czytającemu ogółowi. W nowem wydaniu ukazały się pisma pomniejsze, a wśród nich «Siedm wieczorów», popularny wykład ekonomii, doskonale nakreślonej. Druga edycja równie szerszego rozpowszechnienia się nie doczekała, choć zyskała dość gorliwych czytelników i stronników teorii Supińskiego w młodzieży hołdującej podówczas pozytywizmowi i pracy organicznej.

W każdym razie uznanie świata nauki i inteligencji nie ominęło znakomitego ekonomisty. Akademia krakowska i Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu pierwsze dały wyraz swemu hołdowi.

Tymczasem ciężkie kalectwo nawiedziło naszego uczonego; dotknęła go zupełna ślepotą, która przerwała, a przynajmniej utrudniła płodną pracę pisarską. Mrok ten fizyczny opromieniło mu wysokie uznanie, które społeczeństwo oddało jubilatowi w 50-tą rocznicę jego działalności literackiej. Dn. 17 listopada 1877 r. obchodzono uroczystość tę, która przeciągała się przez miesiąc cały. Wszystkie polskie instytucje i stowarzyszenia naukowe złożyły Supińskiemu adresy, Akademia umiejętności w swoim adresie szczegółowo określiła jego zasługi, m. Lwów mianowało go swoim obywatelem honorowym; uniwersytet lwowski nadał mu tytuł doktora praw *honoris causa*.

Pomimo wieku sędziwego i ciemnoty wzroku, Supiński zajął się jeszcze po jubileuszu przygotowaniem nowego wydania swych dzieł, dopełnionego kilkoma interesującemi rozprawami. Było to wydanie warszawskie, które w r. 1882 wyszło u Gebethnera i Wolffa. I ono jednak nie przyczyniło się do upowszechnienia utworów tego myśliciela, który powinien był wywrzeć silniejszy wpływ na myśl polską i na naukę naszą, niżeli to było w rzeczywistości. Dopiero najnowsze pokolenie pracowników na polu ekonomii próbuje nawiązać swe dociekania teoretyczne do zasadniczych punktów wyjścia Supińskiego.

Znakomity nasz ekonomista stąpił do grobu w r. 1893, w sędziwym wieku lat 89. O wzniosłych zasadach i potędze ducha, którą ociemniały starzec zachował na kilka lat przed skonem, wymownie i chlubnie świadczą słowa jego, zapisane na czele ostatniego (warszawskiego) wydania. Słowa te, mogące uchodzić za jego testament, brzmiały: «Przeżywszy lat siedemdziesiąt osiem, schodzę ze świata ubogi, ślepy i schorzały, lecz pełen jeszcze siły ducha, wiary i miłości. Poddając się bez trwogi prawu wiekuistemu, przesyłam ukochanym rodakom moje serdeczne pożegnanie z zapewnieniem, iż w ciągu długiego a pełnego trosk i mokołów żywota mojego, nigdy nic droższemu mi nie było nad Ich pomyślność indywidualną: ogólną, będącą zbiorem pojedynczych, i indywidualną, opierającą się na oświacie i dobrobycie, zatem na wiedzy i pracy, na wiedzy zdobytej pracą i na pracy, rozwijającej się pod kierunkiem wiedzy; bo ani oświata nie przyjmie się w nędzy, ani dobrobyt nie może rozwinąć się w ciemnocie».

*Stanisław Kempner.*

# Ignacy Chodźko.

\* 1794 † 1861.

Yśli moje i pisma nigdy, jak  
mniemam, nie wprowadziły  
czytelników moich w świat fantastycznych uro-  
jeń, fałszywych  
uczuć, marzeń nie-  
bezpiecznych, wiodą-  
cych za sobą niesmak  
życia i jego zwyczaj-  
nych warunków, a żą-  
dzą i pragnienie nie-  
doścignionego szczę-  
ścia, które *w pa-  
łacach hiszpańskich*<sup>1)</sup>  
mieszka». Temi sło-  
wy sam Chodźko  
scharakteryzował  
*w Konwersacji mło-  
dzieńczej* (Pisma t. X,  
wyd. z r. 1872, str.  
87) swą przeszło  
trzydziesto-letnią  
działalność literacką  
i przyznać trzeba, iż  
wartość swych pism  
bardzo trafnie oce-  
nił. Nie był to pi-  
sarz ani szerokich  
poglądów, ani lotnej  
fantazyi; nie wypo-  
wiedział żadnej idei  
nowej, któraby po-  
koleniom młodym  
w przyszłości za dro-  
gowskaz służyła; ale  
z okiem i uczuciem, utkwionem w przeszłość i tra-

dycye szlachty litewskiej, odtwarzał z wielkim ta-  
lentem i miłością znikające z dniem każdym lub  
już zanikłe dawne formy jej życia, i nawiązując  
zrywające się nici  
pomiędzy przeszło-  
ścią a chwilą obe-  
cną, stał na straży  
wiary i czystości do-  
mowego obyczaju.

Rodzajem więc  
talentu zbliża się do  
Henryka Rzewuskie-  
go, ale choć niższy  
uzdolnieniem, jest  
o wiele dla nas sym-  
patyczniejszy: nie na-  
ciąga przeszłości do  
swych kastowych lub  
politycznych teoryj;  
nie stawia na piede-  
stale możnowładców,  
gwałtowników i war-  
chołów; nie obrzuca  
wreszcie błotem lu-  
dzi i nowoczesnych  
dążeń, a jeśli  
w nich kiedy co ga-  
ni, to z miłości i go-  
rącej chęci poprawy.

Bez względu na  
te zasadnicze różni-  
ce, ma on wiele cech  
wspólnych z autorem  
Soplicy. Nietylko po

te same, co i on sięga temata, ale je lubi w spo-  
sób pamiętnikarski obrabiać; również tak samo  
język ma litewszczyzną skażony. Obok tego ude-



Według społecznego statuarytu.

*Ignacy Chodźko*

<sup>1)</sup> Châteaux en Espagne.



rza jeszcze inna analogia pomiędzy tymi dwoma pisarzami: obaj byli wykwittem tradycyji literackich, które się utrzymywały i rozwijały w ich rodach. Tylko w autorze *Soplicy* odradza się duch hetmański z zasadami wstecznymi, które wchodzi w zatarg z całym społeczeństwem i jego dążeniami; w autorze *Obrazów i Podróż literackich* występują zdrowsze tradycye szlacheckie, które się łatwo godzą z ideałami czasów nowszych, a nawet ściśle z niemi jednoczą. Jak Henryk Rzewuski w zawodzie literackim ma poprzedników w Wacławie i Sewerynie, hetmanach, a w ojcu nieprzebrane źródło tradycyji z konfederacją barską związanych; tak i działalność Ig. Chodźki poprzedzają starsi przedstawiciele rodu, którzy dla literatury położyli pewne zasługi.

Ogniskiem, w którym zawiązek tych tradycyji literackich powstaje, to dom pana Michała Chodźki, wojskiego oszmiańskiego, dziada Ignacego po ojcu, w *Dziwieniacach*, który chociaż piórem nie włada, styka się jednak z ludźmi oddanymi literaturze, a przez swój stosunek z dworem nieświeskim staje się później dla wnuka skarbnicą radziwiłłowskich tradycyji. W domu p. wojskiego przebywa często, zwłaszcza w porze letniej, serdeczny jego przyjaciel, p. Ksawery Chomiński, wojewoda mścisławski, i w altanie ogrodowej tłumaczy Rasyna, z większym zamiłowaniem, niż talentem; tu przekłada także bajki Fedra ks. Ignacy Chodźko, jezuita, i wydaje je w Wilnie w r. 1774, wraz z tekstem oryginalnym i tłumaczeniem francuskim, zaopatrzonem w komentarze uczone. Jest to brat rodzony p. wojskiego. W tej altanie także powstają tragedye: *Bolesław Krzywousty* i *Krakus, pierwszy książę polski*, które w duchu pseudo-klasycznym tworzy Jan Chodźko (ur. 1776 † 1851), bratanek p. Michała.

Obok zaś tego pokolenia starszego podраста nowe, które w różnych kierunkach ma imię Chodźków rozślawić.

Więc naprzód syn Jana, Aleksander, którego życiorys znajduje się w tomie I Albumu (str. 230).

Brat jego, Józef (ur. 1800 † 1880), oficer inżynierii wojskowej, dokonał pomiarów tryangulacyjnych Kaukazu i wdarł się na szczyt Araratu.

Drugi brat, Stanisław, był profesorem chemii na uniwersytecie w Fryburgu; następnie osiadłszy

w Paryżu, zdobył szeroki rozgłos ze swej teoryi użyźniania atmosferycznego ziemi.

Trzeci wreszcie, Michał, ur. 1807, wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, publicysta, wydawał od r. 1837 jedno z pism, wychodzących w Paryżu i tłumaczył Wertera, oraz niektóre poezye Lamartin'a i Byrona.

Obok tej linii Chodźków—Borejów z Krzywicz, występuje druga, z Obornik, a przedstawicielem jej jest Leonard Chodźko (ur. 1800 † 1871), wydawca dzieł Adama Mickiewicza oraz Ignacego Krasickiego; nadto autor dzieł: *Pologne pittoresque*, *Pologne illustrée*, *Histoire des Légions polonaises en Italie*, oraz: *Histoire de Pologne*; wreszcie: Dominik-Cezary Chodźko, wydawca dzieł Kazimierza Brodzińskiego w Wilnie (w X tomach, 1842—1844) i autor wielu monografij, pomieszczanych w czasopismach krajowych.

Do tego to młodszego pokolenia należał i Chodźko Ignacy, urodzony w roku 1794 w Zabłoczyźnie, z ojca Antoniego, syna Michała, i Maryanny<sup>1)</sup> z Widmontów.

Jeżeli też w czasach późniejszych przykład stryja oraz usiłowania bliższych i dalszych krewniaków, dawały mu podniecie do kształcenia umysłu i zamiłowania literatury; to w domu dziada po matce, p. Macieja Widmonta, «skarbnika z dziadów, pradziadów», płonęło dla niego ożywcze uczucie rodzinnych ognisko, które nie tylko łagodnym blaskiem oblewało jego kolebkę i w wieku pachołecym ogrzewało miłością, lecz i na szare tło jesiennego żywota rzucało jeszcze jasne wspomnienie promienie. Tu on przyszedł na świat i stawiał pierwsze, niemowlęce swe kroki; tu później, gdy uczęszczał do szkół bazylińskich w Borunach, prze-

<sup>1)</sup> W „Wielkiej Encyklopedyi“, w artykule: *Chodźko Ign.* pióra P. Chm. (t. XXII, str. 760), oraz w dziele dr. J. Bielińskiego: „*Uniwersytet wileński*“ (t. III, str. 383), podano imię Katarzyna. Pomimo tak poważnych świadectw, idziemy za wskazówką samego Ign. Chodźki, który w obrazie: *Śmierć mojego Dziadka*, takie słowa wkłada w usta p. Widmonta: „Matka twoja, jedyne dziecko nasze, urodziła się w wigilię Zwiastowania Panny Maryi; więc i daliśmy jej imię, jakie sobie przyniosła, Maryi“ (Obr. lit. Ser. 1, str. 97, wyd. z r. 1855). Trudno przypuścić, by Chodźko, tak szczery w tej z lat dziecinnych spowiedzi, miał przeinaczać imię swej matki z Katarzyny na Maryą. Raczej przypuścić należy, iż obaj przytoczeni pisarze wiadomość swą z niepewnego źródła czerpali. (Przyp. autora).

bywał z rodzicami podczas uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego; tu wreszcie po śmierci matki, zjeżdżając na wakacje, brał wzory gorącej wiary i pobożności, przejmował z ust dziadka nauki, na doświadczeniu długiego życia oparte i, wsłuchując się w jego narracje, wchłaniał w siebie rodzinne tradycje i zbierał barwy do swych późniejszych obrazów.—«Te i tym podobne rozmowy—powiada on—wlewały w duszę moją najżywsze przywiązanie do kochanego dziadka: jego wiara, wspomnienia, przesady, cnoty i zwyczaje, razem złane, utworzyły we mnie zapas uczuć i wyobrażeń, do których przyłgnęło młodzieńcze serce moje i które, po wielu latach odrętwienia, z głuchym żalem budzi się w nim na nowo (Obr. lit. ser. I str. 28—29). Słowem w Zabłoczyźnie urobił się pierwszy, fundamentalny podkład jego nastroju duchowego, jako pisarza i człowieka.

Co znaczy jednak to odrętwienie i jakoby żal za zapomnianym owym światem dziecięcym? Nic innego, tylko że na tym podkładzie na długie lata legły napływowe warstwy innych wyobrażeń i pojęć, tak, że go zaledwie dopiero w drugiej połowie życia zdołał z pod nich wyważyć. Przyczyną zaś tego, jak zobaczymy, był zarówno panujący duch czasu, jak i wpływ pseudo-klasycznej literatury, która podobnemi obrazami czysto rodzimego pierwiastku gardziła.

Po ukończeniu w r. 1810 szkół w Borunach, którym później w jednym z obrazów tak rzewne, pełne miłości poświęcił wspomnienie, Chodźko Ignacy, mając lat 16 wstąpił na uniwersytet wileński, gdy jeszcze rektorat w rękach Jana Śniadeckiego zostawał, i zapisał się na wydział literatury i sztuk wyzwolonych.

Na tym wydziale przodujące stanowisko zajmował Ernest Grodek. W r. 1810 wykładał on: literaturę grecką i rzymską, archeologię (*antiquitates*) i encyklopedyę nauk filozoficznych. Katedrę języka greckiego powierzoną miał Szymon Żukowski, literatury polskiej Filip-Nereusz Golański, lecz ten wykładał tylko wymowę kościelną dla słuchaczy teologii; języka i literatury rosyjskiej Jan Czerniawski, języka włoskiego Alojzy Capelli, francuskiego Jan Pinabel, niemieckiego Benjamin Haustein; wreszcie sztycharstwo prowadził Wilhelm Saunders, rzeźbę Andrzej Le Brun i malarstwo Jan Rustem.

W roku następnym zaszła ważna zmiana: Go-

łański, zajmujący zastępczo katedrę literatury polskiej, ustąpił, jego zaś miejsce zajął Euzebiusz Słowacki, który wykłady w duchu pseudo-klasycyzmu aż do r. 1814 prowadził. O kierunkach nowych było w nich głucho, ale w każdym razie rzecz wykładał systematycznie.

Pobyty na uniwersytecie z natury rzeczy rozszerzył jego umysłowy widnokrąg i zespolił z pojęciami, które «wiek oświecenia» przekazał następnemu stuleciu. Wiek ten z pogardą spoglądał na tak zwane przesady i wszelkie religijne ducha ludzkiego objawy, których nie rozumiał, nie mogąc ich sobie wytłómaczyć «zdrowym rozsądkiem»; a jeżeli u nas nie nastawał jawnie na wiarę, to o Objawieniu nigdy nie mówił, pozwalając sobie jedynie na *Istność najwyiszą*, *Mądrość nieskończoną*, lub obie te denominacje zastępując słowem: *Natura*. Było to właściwością wszystkich oświeconych umysłów; nie przeto dziwnego, że i przyszły autor *Obrazów* uległ tym wpływom bliższego i dalszego otoczenia i odwrócił się od tych naiwnych wierzeń i wyobrażeń, któremi się w domu Dziadka Widmonta dziecinna jego wyobraźnia karmiła. Wobec światła rozumu—wszystko to straciło dawny urok dla niego; zeszło do rzędu baśni, opowiadanych dzieciom przez ciemne piastunki.

Po ukończeniu uniwersytetu w r. 1814, zatem na rok przed wstąpieniem nań Adama Mickiewicza i stracie obojga rodziców, dwudziestoletni Ignacy przeszedł pod bezpośredni wpływ stryja, Jana, który, jako dotychczasowy jego opiekun, uważał za obowiązek wprowadzić go na szerszą arenę życia i na niej pierwszemi jego krokami kierować. A należał on do światłych i bardzo czynnych umysłów. Nieprzyjacieli kart i pijatyki, pragnął on w bliższych sobie i dalszych kołach wytepić je doszczętnie przez budzenie zamiłowania do pracy społecznej i uszlachetniających zabaw, jak teatry amatorskie, które czynnie popierał. Sam należał do Towarzystwa Szubrawców i pod przybranem imieniem *Waj:gantosa*—boga, opiekującego się uprawą lnu—zamieszczał w *Wiadomościach Brukowych*, organie Szubrawców, płody swego satyrycznego pióra. Jako członek wolnych mularzów, był założycielem łóż massońskich w Wilnie i Mińsku. Nie napisał wtedy jeszcze *Pana Jana ze Świsłoczy, wędrownego kramarza* (wyszedł w r. 1821), a który mu zjednał taką popularność na Litwie, iż jego samego zwa-

panem Janem ze Świsłoczy poczęto, ale oprócz wspomnianych wyżej tragedyj, poświęcał swe pióro dla ludu i pisywał powieści. Jedną z nich, *Panią kasztelanową*, wysoko cenił Syrokomla. Nie usuwał się również od posług obywatelskich, już to pracując w t. z. Komisji Radziwiłłowskiej, mającej za przedmiot zlikwidowanie obciążonej zastawami ordynacji, już to przewodnicząc w *eksdywizjach*. W tych ostatnich czynnościach zdobył on taki zasób doświadczenia, iż w r. 1816 napisał rozprawę: *O eksdywizjach, czyli podziale majątków dla wierzycieli*, drukowaną w Dzienniku wileńskim. Wreszcie w późniejszym czasie zdobył wysoki dowód zaufania, gdy go powołano na prezesa izby sądów cywilnych w Mińsku, oraz wizytatora szkół wileńskich i mińskich. Pod kierunkiem to i wpływem takiego człowieka zostając, młody Ignacy Chodźko w roku 1815 odbył z nim podróż do Warszawy, która, wobec ważących się losów państw na zachodzie, przeżywała naówczas dni, pełne niespokojnego oczekiwania i nadziei, i przedstawiała dla młodego umysłu świat odrębny i nowy, dający pole do rozlicznych spostrzeżeń, porównań i wrażeń zupełnie mu przedtem nieznanym. Stanowisko zresztą stryja, jako literata i członka łóż massońskich, ułatwiało mu poznanie wielu znakomitości warszawskich zarówno w sferach uczonych, jak i wolno-mularskich, co wszystko nie pozostało bez wpływu dodatniego na rozważny, a wrażliwy umysł młodzieńca.

Po powrocie z Warszawy Ign. Chodźko rozpoczyna żywot czynny, skierowany na drogę czysto praktyczną: wstępuje do Komisji Radziwiłłowskiej i pod przewodnictwem stryja zaznajamia się z rozlicznymi kwestyami prawnej i administracyjnej natury; również za jego poparciem staje się członkiem łóż massońskich w Wilnie i Mińsku; po roku zaś 1817 przyjętym zostaje, jako członek *rusticanus* (na wsi mieszkający) do Towarzystwa Szubrawców, do których grona należały najwybitniejsze osobistości, występujące w wydawanych przez niego *Wiadomościach Brukowych* pod różnemi litewskich bożków nazwami. Na czele Towarzystwa, jako prezes, stał prof. Jędrzej Śniadecki (*Sotworos*—bóg światłości dziennej); jako redaktor *Wiadomości Brukowych*—Józef Szymkiewicz (*Sejmi*—bóg czeladzi dworskiej). Piastującym godność *Strażnika łopaty*, mającego obowiązek zamykać usta każdemu, kto nie był upoważniony do pod-

noszenia głosu—był Michał Baliński (*Ausławis*—bóg przychodzących do zdrowia); sprawującym urząd *Witajnika*, który wygłaszał mowy na powitanie członków nowych, przyjętych do Towarzystwa—Ignacy Szydłowski (*Gulbi*—bóg, strzegący męzczyzn). Znakomitszymi zaś jego członkami byli: prof. Leon Borowski (*Pergubins*—bóg wiosny, Ign.-Emanuel Lachnicki (*Poklus*—bóg piekieł), Jan Chodźko—*Wojzgant* i w. in.

Do tego to grona wstąpił i młody Ignacy Chodźko pod nazwą *Virszajtosa*—boga, opiekującego się własnością, i w *Wiadomościach Brukowych* ogłaszał próby Nowego dykcyonarza, który doprowadził do litery P. włącznie. Były to artykuły satyryczno-humorystyczne, pełne aluzyj do ówczesnych stosunków, a mające tytuły: *Amant Baba*, *Filozofia*, *Licytacja* i t. p. Późniejszy ich przedruk w r. 1860, autor poświęcił: *Magnificis Redactoribus Gazetarum Varsoviensium*.

Po osiedleniu się stale w Dziewiętniach, majątku odziedziczonym po dziadku, Chodźko Ignacy idzie dalej drogą wytkniętą mu przez stryja i spełnia podobnie jak on różne obywatelskie posługi. Więc naprzód jest deputatem gubernialnym wileńskim do spraw wywodowych miejscowej szlachty dziedzicznej. Obowiązkiem jego było przedstawianie Heroldyi zebranych dowodów szlachectwa, czyli pośredniczenie w sprawach t. z. legitymacji,—dalej pełni obowiązek prezesa sądu grodzkiego w zawilejskim powiecie, następnie podkomorzego tegoż powiatu, kuratora honorowego szkoły powiatowej w Święcianach, wreszcie wielokrotnie prezyduje w sądach eksdywizyjnych. Do pióra wszakże niezbyt się kwapi. Układa wprawdzie epigramata, pisze anakreontyki, ody, ale swego zawodu pisarskiego nie bierze jeszcze na serio, występuje przygodnie i, jako słuchacz Euzebiusza Słowackiego, w duchu ściśle pseudo-klasycznym. Na tem stanowisku pozostaje on wytrwale, nawet gdy już z Wilna rozbiegły się po świecie dwa tomiki, obejmujące *Ballady*, *Dziady* i *Grażynę*, i nie może darować swym młodszym przyjaciółom: Antoniemu Odyńcowi i Julianowi Korsakowi, iż stali się «renegatami klasycyzmu» i dali się unieść prądom nowym, choć pierwszy z nich rozpoczynał zawód poetycki od przekładu *Ifigenii Rasyna*, a drugi od *Od Horacego*. Niechęć tę do romantyzmu wypowiedział on naprzód w liście poetycznym, pisanym do Odyńca i dru-

kowanym w Dzienniku Wileńskim w r. 1824; następnie w trzydzieści lat później skreślonej *Konwersacji młodzieńczej*, gdy już oddawna wyleczony ze swych uprzedzeń, opisuje te spory, jakie z nim w tymże roku prowadzą dwaj poeci, na Zielone Świątki do niego w odwiedziny przybyli. Wtedy on ponad Krasickiego, Karpińskiego, Trembeckiego, Naruszewicza, Felińskiego i Koźmiana nie widzi wyższych w poezyi. Czy to jednak, że wywody przyjaciół jego przekonaniemi zachwiały, czy też z chęci przypodobania się swej narzeczonej, Ludwice Mackiewiczównie, której tak uroczy wizerunek w swej *Konwersacji młodzieńczej* nakreślił; dość, że za bytnością w Wilnie, przed samym wyjazdem Mickiewicza do Petersburga, ów wiersz pamiątkowy:

Nieznajomej dalekiej, nieznany daleki —

dla jej sztambucha, jego pióra, pozyskał.

Odtąd, połączony z nią węzłem małżeńskim, prowadzi życie ziemianina jednostajne, ciche, spokojne, podzielone pomiędzy zajęcia gospodarskie i posługi społeczne, ale niwę literacką, pomimo nawoływań Korsaka, pozostawia przez długie lata odłogiem.

Dopiero, gdy Odyniec w r. 1829 wydawał w Warszawie noworocznik *Melitele* (bogini wiosny), Chodźko pomieścił w niej pierwszą powiastkę, napisaną prozą, p. t. *Poddany*. Chmielowski podnosi w niej «dążność do zrównania stanów i filantropią». Że taka, a nie inna w niej tendencja, że Chodźko stoi na wysokości pojęć XVIII stulecia, nie może wątpliwości ulegać; sam fakt wszakże zasadniczy, na którym się cały wątek powieściowy opiera, jest naciągany i fałszywy. Mógł taki wojewoda na instancją swego zięcia, podkanclerzego, od poddaństwa Koniuszyńskiego uwolnić, skoro się przekonał, że zdolnością i nauką nad stan swój chłopski się wyniósł: to było naturalne w ludziach oświeconych XVIII stulecia; lecz, żeby ów Koniuszyński, wzięty ze wsi do posług przy wojewodzie, mógł w ówczesnej Polsce wybić się na stanowisko wziętego w stolicy prawnika, a do tego jeszcze szambelana! to każdy, choćby znający tylko powierzchownie ówczesny stan społeczeństwa, musi temu zaprzeczyć. Jaką bowiem drogą mógłby wejść do palestry, kiedy nawet dla zdobycia stanowiska woźnego musiałby swe pochodzenie szlacheckie wykazać; cóż do-

piero, by od króla klucz szambelański otrzymać?.. Powiastkę autor napisał dla przeprowadzenia z góry powziętej tezy, nie troszcząc się zgoła o jej prawdopodobieństwo.

I znowu w twórczości Chodźki następuje przerwa lat ośmiu — dowód, że autor nie trafił jeszcze na drogę właściwą, a to co napisał, jako nieodpowiadające treści, złożonej w duszy, nie zadawało go i nie zachęcało do prac dalszych. Dopiero w r. 1837 zamieszcza w noworoczniku *Biruta*, wydawanym przez Józefa Krzeczковского, drugą powiastkę: *Samowar*. Treść jej dość błaha, osnuta na wypadku z samowarem w domu ekonomicznym, nastawionym przez złośliwego lokaja tak, iż para musiała go wobec gości rozerwać. Przewodnią myślą było ośmieszenie pretensyj do pańskości w dorobkiewiczach, bogacących się z krzywdą dziedzica. Powiastka ta, choć dziś nie rozśmieszy nikogo, ma jednak nad *Poddanym* tę niezaprzeczoną wyższość, że w niej jest już wielce udatna charakterystyka osób, jakby zapowiedź tytułu oryginalnych i typowych postaci, które stworzył w późniejszych swoich *Obrazach*.

Nareszcie Chodźko trafił na skałę, z której wytrysnąć miało obfite źródło: były niem jego własne z lat pacholęcych wspomnienia. Rok 1840 stanowi przełomową chwilę w rozwoju jego talentu. W roku tym u Józefa Zawadzkiego w Wilnie wychodzi serya I jego *Obrazów Litewskich*, obejmująca w dwóch tomach dwie ich grupy, z których każda w trzech kolejno następujących po sobie powiastkach stanowi całość odrębną. Do pierwszej należą: *Domek mojego Dziadka*, *Boruny* i *Śmierć mojego Dziadka*; do drugiej: *Ostatnia sesja eksdycyzyi*, znany nam już *Samowar* i *Powrót dziedzica*. Trzy pierwsze są wysoce znamienne. One bowiem wykazują ten przełom, jaki w duszy Chodźki w drugiej połowie życia nastąpił. Przedewszystkiem, klasyk zwraca się do czysto swoich przedmiotów; członek wolno-mularski, wychowaniem zbliżony do zasad XVIII wieku, przechyla się do uczuć religijnych głębokich, które były tłem jego wychowania domowego. To, co dawniej było w jego wyobrażeniu przesadą, ogarnia teraz miłością rzewną, ukochaniem serdecznem. Postać Dziadka-Widmonta staje przed nim w całej aureoli cnót cichych, domowych, przepromieniona wiarą, tak gorącą, tak żywą, że koniec jego życia nadaje mu niemal charakter



ubłogosławienia, świętości. Ten starzec, zdrów na pozór, a przepowiadający sobie śmierć na jutro i czyniący do niej przygotowania z takim niezamąconym spokojem, jakby się gdzieś do sąsiedztwa wybierał, ten jego zachwyt, gdy wyniesiony przed dom na krzesło, bierze udział w procesyi Bożego Ciała, która grzmi pieśnią:

Idzie, idzie Bóg prawdziwy;—

wreszcie owa niezachwiana wiara, że, co dziś ogląda cielesnemi, to za godzin kilkanaście ujrzy duchowemi oczyma: to istotnie obrazek, którego by się Fra-Angelico nie zawahał przenieść na ścianę celi klasztornej.

Co na tak rdzenną odmianę w usposobieniu Chodźki wpłynęło? Co go wyrwało z tego odrętwienia, w którym, jak mówił, tyle lat zostawał.. Odpowiedzieć nie łatwo. Pozytywiści tłumaczą to jednym wyrazem: *reakcja*. To jednak nic nie wyjaśnia. Że reakcja była, to widoczna; lecz co ją spowodowało? Czy pogodzenie się z romantyzmem i głębsze ujęcie jego istoty, a przezeń dojście do przekonania o konieczności wiary? Czy jaki przełomowy w życiu wypadek, lub wreszcie gwałtowna potrzeba wycofania się z chwili obecnej, w której nie było nic prócz zwątpienia i gorczy, a stąd potrzeba zawinięcia do jakiejś cichej, bezpiecznej przystani, którą w krainie wspomnień wieku dziecięcego odnalazł?... Któż może wiedzieć?.. Takie przewroty i nawroty odbywają się w głębinach ducha ludzkiego i nikt nie wykryje tych tajemniczych drgnień, które je powodują, bez jakiejś osobistej konfessyi. Chodźko jej nie zrobił; tylko w *Domku i Śmierci mojego Dziadka*, staje przed nami, jako człowiek i pisarz innych, niż dawniej przekonań. Takim też do końca życia zostaje.

*Boruny*, lubo nie mają, jak dwa poprzednie obrazki, przełomowego znaczenia, budzą w nas jednak, jako wspomnienie tamtoczesnego życia szkolnego, nie mniej żywe zajęcie. Autor, zapewne nie myśląc nawet o tem, przekazał wiele cennych rysów dla historii pedagogiki, dających pojęcie o stanie ówczesnych zakładów naukowych, o stosunku przełożonych do młodzieży szkolnej i o warunkach, w jakich pobierała naukę, egzaminach, odbywających się wobec napływu okolicznych obywateli na tę uroczystość przybyłych, wreszcie o majówkach, grach i zabawach, których urok na

tem głównie polegał, że w nich, odrzucając powagę na stronę, brali udział profesorowie, oddając się im całą duszą narówni z młodzieżą. Wprawdzie na ich pedagogikę nie zawszebyśmy się godzili, zwłaszcza ks. fizyka «mosanie», który przed zwierzchnością brał w obronę młodzież, ile razy ta poturbowała jakiego żyda, bo «po cóż włóczę się po ulicach, drażnię tylko, mosanie, dzieci i nic więcej?» Była więc tolerowana nawet taka swawola, co nie idzie na karb zasługi zwierzchnikom, ale z tych szkół wychodziła w świat młodzież zdrowa na ciele i duszy. A wszystko to opowiada autor z właściwym sobie humorem, który jeszcze bardziej podnosi jasne tło tego wdzięcznego obrazka.

A jednak jest w nim i tragizm ukryty głęboko. Gdy autor po latach kilkudziesięciu odwiedza Boruny, jest w nich i kościół i mury dawne klasztorne, w których się szkoła mieściła; jest nawet stara jakaś wiedźma, przypominająca mu Raducinę, co chodząc po rynku z ożogiem, straszyla malców swym widokiem, lub wróżąc im z ręki przepowiadała przyszłość dla wielu niezbyt przyjemną; tylko do tych murów nie napływały już z roku na rok nowe zastępy młodzieży; więc w klasztorze i na rynku nazawsze ucichły uczniowskie gwary i dawni profesorowie bez następców spoczywali po swych trudach pod ziemią.

— «Gdzież są oni? — pyta autor, rozglądając się po tych miejscach ze łzą cisnącą się do oka. — Gdzie są moi współwędrowcy?... Ach! trąba już chyba archaniola zbudzi nas wszystkich i zgromadzi kiedyś, dla wydania ostatniej *pensy* przed wielkim Audytorem całego świata!»

*Ostatnia sesja eksdywizyi* i *Powrót dziedzica* nie budzą już w nas tak żywego zajęcia. Autor, prezydując w sądach eksdywizorskich, niejednokrotnie był świadkiem wywłaszczania przez wierzących dziedzica i jedną ze scen takich opisał. Ale choć w nas wzbudzić chce współczucie dla jednej z ofiar przewrotności ludzi, korzystających z nieodświadczenia młodzieńca, przecież nie wywołuje oczekiwanego wrażenia. Znamy takich utracyszów aż nadto, którzy ziemię swych ojców wypuszczają z rąk bezmyślnie i wiemy, jakie stąd następstwa wynikają dla kraju, więc trudno nam ich rozgrzeszyć. To samo powiedzieć można o obrazku: *Powrót dziedzica*. Odzyskuje on wprawdzie po kilku latach swą ojcowiznę, którą z rąk



zastawników wykupił, ale do tego nie doszedł własną pracą, lecz z pomocą bogatej ciotki i bogatego ożenienia. Kto wie, czy nanowo nie odłużył tak łatwo odzyskanego majątku? W poprzednich obrazkach Chodźko był pełen serdecznej prostoty; w tych jest tylko sentymentalny i przypuścić należy, że one wcześniej od grupy pierwszej powstały.

I znowu lat trzy ubiega. W ciągu nich powstają *Brzegi Wilii*, stanowiące seryę II. Jest to już powieść w dość obszerne ramy ujęta. Przynajmniej wydanie jej pierwsze z r. 1843 obejmuje trzy tomy. Jak większa jednak część obrazów, nosi pamiętnikarski charakter. Autor jest nie tylko opowiadaczem, lecz i jedną z osobistości, biorących udział w wypadkach. Fabuła powieści zresztą nader prosta. O rękę Heluni, córki prezydenta, ubiega się stary szambelan. Panna mu z matką nie sprzyja; ale on, wypożyczwszy ojcu znaczną sumę, od której narosły niewypłacane procenty, jest najpewniejszy wygranej, zwłaszcza, że przyszłej żonie obiecuje sto tysięcy zapisać. Tymczasem w drogę wchodzi mu przyjaciel autora, p. Hipolit, młody wychowaniec uniwersytetu wileńskiego i równie majątny. On też, pozyskawszy serce panny, przy pomocy autora i wspólnego przyjaciela p. Tadeusza, usuwa podstarzałego rywala, łamie opór chciwego na grosz ojca i otrzymuje rękę Heluni. Rzecz, jak widzimy, sama przez się błaha; autor jednak na tej kanwie wytknął tyle typów oryginalnych i tak wątek urozmaicił drobnymi powikłaniami i ubocznymi epizodami, że się ten utwór czyta z niesłabnącem ani na chwilę zajęciem. Do roztoczenia przed czytelnikiem bogatej galeryi oryginałów, podają naprzód autorowi sposobność imieniny p. prezydenta, na które się zjeżdżają sąsiedzi, nad brzegiem Wilii rozsiani. Najciekawszy z nich to podżyły szambelan, odgrywający wśród panien rolę szarmanda z czasów St. Augusta; to przeor głuchy, w charakterze jego swata przybyły, a który swoim: *i po-bło-go-sła-wię* oddaje mu niedźwiedzią przysługę; to znów taki pan Tadeusz, koniuszyc, marcowy kawaler, przystępujący do każdej sprawy *pomaleńku i kategorycznie*, a swoim wdaniem się przechylający szalę na stronę Hipolita; wreszcie pani chorążyna, «otoczona córkami, jak Urszula towarzyszkami» ze swoją panną Dryling i metrem muzyki p. Kleofasem Moczydłowskim, którego szlachta nazywa głośno muzykantem, lub przemawiając do niego, tytułuje go—wasan!.. Obok zaś tych i wielu innych, nie-

zrównany; *jakem karrrmazyn!* grajek Brzeziński, z wildamorem i charakterystycznym: *ruw!* którym nielicznej orkiestrze daje hasło do grania. Wszystko to nieocenione typy, piórem Chodźki wydarte niepamięci i do życia powołane na wieki.

Czybyśmy chcieli żyć z tymi oryginałami w bliższych stosunkach, podzielać ich sposób widzenia rzeczy, wesołość, podobać sobie w ich niezawsze aksamitnem obejściu?.. To inne pytanie! Ale takimi, jak są w powieści możemy się bawić i przyglądać im się w oddalonej perspektywie z zajęciem, a nawet im szczerze tej wesołości zazdrościć; tak bowiem bawić się bezkłopotliwie, bez myśli o jutrze mybyśmy dziś nie umieli. Ale ponad te oryginały i wszystkie sceny komiczne, występuje jeden rys znamieny, nam chyba tylko właściwy. Ten p. prezydent—to brudny chciwiec, który dla pieniędzy gotów własną córkę szambelanowi zaprzedać, a później dla stutysięcznego zapisu zerwać jej ślub z Hipolitem. Tymczasem owi sąsiedzi noszą go, jak patryarchę na rękach, choć zapewne znany im dobrze jego charakter. Ale jakże nie mają go wielbić, skoro ich podejmuje tak suto, pomimo, że jak z zakulisowych spraw widać, stoi krucho w swych interesach.

Gdzież jednak Brzegi Wilii «tej rodzicy litewskich strumieni?...» Dla zaznajomienia z pięknosciami jej wybrzeży, wplecenia w wątek powieści podać miejscowych, autor z Hipolitem odbywa kilkodniową po niej żeglugę na tratwie, płynącej pod sterem typowego flisa, Bartłomiej, który ma ich dowieźć drugim nawrotem do domu prezydenta, w celu zniweczenia szambelańskich zabiegów. Ciągłe opóźnianie akcji przez wtrącanie epizodów ubocznych ściągnęło nawet na autora zarzut ze strony krytyków, iż powieść jego zanadto jest luźna, zamało skoncentrowana w sobie. I zarzut byłby słuszny, gdybyśmy od powieści wymagali tylko kunsztownie zawiązanej intrygi. Sądzymy jednak, iż na sposób opowiadania Chodźki w znacznej mierze wpłynęły odbywane pod kierunkiem Grodka studia klasyczne. Widocznie przejął się on pięknosciami Odyssei i może nawet bezwiednie tok jej epiki do swej powieści wprowadził. Trafiła też do serc ówczesnych czytelników — po jej wyjściu autor *Obrazów litewskich* zdobył uznanie powszechne.

Jeszcze w wyższym stopniu stał się popular-

nym przez wydanie w roku następnym Seryi III, obejmującej *Pamiętniki Kwestarza* (3 tomy). Któż z nas, należących do starszego pokolenia, nie zna brata Ławrynowicza?... Postać tę nie tylko Chodźko w swem dziele po mistrzowsku wyrzeźbił, ale i Jan Kazimierz Wilczyński w popularnem Albumie uplastycznił ją w rysunku Antoniego Zalewskiego. Nadto ów typ kwestarza miał naówczas żywe swe kopie w braciszkach, wysyłanych po kweście z różnych konwentów: reformackich, bernardyńskich i t. p., którzy przynajmniej raz w rok nawiedzali dwory i dworki. Nie dorównywali oni ani znajomością, ani dowcipem bratu Ławrynowiczowi, ale drogą kojarzenia wyobrażeń myśli do pierwowzoru zwracali. Dzisiejsze pokolenie nie ma już podobnej podniety: stąd i typ Kwestarza w utworze Chodźki stał się dla niego jakimś kopalnianym przedmiotem. A jednak *Pamiętniki Kwestarza* — to arcydzieło pomiędzy utworami Chodźki i nigdy swej wartości nie straci dla ludzi, wykształconych literacko i mających rzeczywiste poczucie piękna, niezależne od chwilowych upodobań mody i przemijających kierunków. Mają one nie tylko właściwy sobie historyczny koloryt, nie tylko roztaczają bogatą galeryą typów, pełnych oryginalności i żywcem schwytej prawdy, ale i tło ostatnich lat rzplitej i wielkiej napoleońskiej epopei. Do czasów przedrozbiorowych odnosi się pobyt Ławrynowicza na dworze p. Żaby, wojewody połockiego, w roli marszałka dworu, zmiana powołania i wstąpienie do zgromadzenia Bernardynów, oraz pierwsza wyprawa na kwestę z klasztoru nieświeskiego, połączona z mnóstwem przygód i komicznych wypadków; — do porozbiorowych rok 1812, przeniesienie się do klasztoru w Bienicy i kwesta druga, odbywana wśród wypadków wojennych. Jak widzimy w *Pamiętnikach* ze względu na czas, jest znaczna przerwa, co najmniej lat dwudziestu kilku. Od tych bowiem spraw publicznych, które zaszły na sejmiku w Uszaczu, aż do najścia Francuzów, brat Ławrynowicz zachowuje milczenie. Chodźko usprawiedliwia je tem, iż większą część jego raptularza maroderzy, ograbiwszy go wprzód z pieniędzy, użyli na podpałkę przy warzeniu strawy w kociołku: w rzeczy zaś samej jest to dowód ze strony autora wielkiej wstrzemięźliwości artystycznej i pisarskiego taktu. Nie chcąc Pamiętnikom nadawać charakteru kroniki i ram ich zbytecznie

✦ rozszerzać, ograniczył się na scharakteryzowaniu dwóch epok i cel zamierzony w zupełności osiągnął. Zarywając wszakże schyłku rzplitej i rzecz prowadząc na Litwie, nie mógł żadną miarą pominąć tak wybitnej osobistości, jak Radziwiłła «panie kochanku». A było to ze strony Chodźki dość nawet śmiałe przedsięwzięcie wprowadzać do Pamiętników tę postać, odmalowaną już mistrzowskim pędzlem w *Pamiętkach Seweryna Soplicy*. Nie cofnął się jednak przed tak trudnem zadaniem i, wsparty na tradycjach, przekazanych mu przez dziada Michała, pana wojskiego, odtworzył nam tę postać, w dwóch różnych okolicznościach, równie jak Rzewuski dosadnie, a bez tego bałwochwalczego uwielbienia, którem tchną narracje cześnika parnawskiego. Chodźko daje nam go poznać, raz jako już wojewodę wileńskiego, gdy z tytułu syndyka konwentu nieświeskiego narzuca się *patrom*, na kapitułę zebrany, na której despotycznie chce obradami kierować; drugi raz w opowiadaniu pana Bielewicza, gdy jeszcze jako miecznik litewski trzymany w ryzie przez ojca hetmana «panie rybeńko», zamierza skazanego na śmierć przez trybunał miński, za gwałt popełniony na sędzie, Wołodkowicza wyzwoić. W obu razach maluje go nam, jako szalonej fantazji magnata, który pozorami jowialnej dobroduszości pokrywa nieokiełzaną samowolę i dumę i dla którego wszelkie prawa są furdą, skoro stają na poprzek jego zachciankom. Ten Radziwiłł też o wiele bliższym jest prawdy, niż w *Listopadzie* i *Opowiadaniach Soplicy*, nie mówiąc już o samym takcie uwięzienia i rozstrzelania Wołodkowicza, w czym się Chodźko najskrupulatniej na dokumentach wiarogodnych opiera.

Obok zaś tej górującej nad innymi Radziwiłła postaci, ileż autor na tej zapadłej Litwie wykopał niespotykanych nigdzieindziej oryginałów? Nie mówiąc już o tych szlacheckich, zawieszistych postaciach lub personatach tego rodzaju, jak wojewoda połocki, jak rotmistrz Rudomina, za którym przy wjeździe do miasta postępuje sześć *opiektych* dziewczek, grających na waltorniach marsza, a sto szlachty takt pałaszami krzesze, oraz, jak pełen wykwintu i dyplomacyi p. Sulistrowski, pisarz w. litewski, który słodko, spokojnie prowadzi burzliwą szlachtę, dokąd iść wcale nie chciała, a co wszystko w barwnej i pstrej rozmaitości przesuwają się przed oczami czytelnika na sejmiku

w Uszaczu; jakżeż rozmaite typy spotykamy w samym świecie zakonnym! Taki rozważny przeor klasztoru w Głębokiem, a skwaszony i tropiący się wobec trudnego położenia przeor karmelicki w Mińsku, który z niechęcią, zbiegłego od wojewody Ławrynowicza przyjmuje, gdyż nie wie, co ma z nim począć na razie; albo znów ów ks. kustosz, bernardyn, przybyły do przeora z zaproszeniem na odpust, a który swym chłopskim rozumem odrazu prawdę rozstrzyga: «Zrób profesję na braciszka *sine missa*, zostań z nami Bernardynami, Boga chwał, sztukę mięsa wal! Ot, co jest!» — lub wreszcie wygłodzony gwardyan bieńskiego klasztoru, który tylko co przybyłego z Wilna brata Ławrynowicza *stante pede* na kwestę wyprawia, nie poprzestając powtarzać: Bracie, bratuniu, bratunieczku! Jedź, jedź! jedź zaraz, kwestuj, zbieraj, proś, bracie! bratuniu! bratunieczku, bo z głodu poumieramy. Objedli nas Francuzi—takich typów już dziś ze świecą nie znaleźć, chyba w jednej Galicyi. A jakież to bogactwo ich roztacza przed nami Chodźko w czasie jednej i drugiej kwesty brata Ławrynowicza! Przedewszystkiem woźnica, Marcin, jadący na kałamaszcze, a z rożka zażywający tabakę, poprzedzany przez Eliasza i Barabasa—dwa rogate barany i psa Pamfila. To szczwany sługus klasztorny, gadatywus, znający całą okolicę, mentorujący wciąż, gdyż Ławrynowicz—to nowicyusz, nie zna jeszcze kwestarskiego rzemiosła, a on lubi pamiętać o sobie i chciwy jest na wódeczkę, choćby gdańską i smakowite zakąski. A dopieroż owa pocieszająca się ratafią wdówka, co już pochowała trzech mężów, a jeszcze myśli o czwartym, choć jej kołtun nogi połamał, lub ów srogi szlachcic, co to «proszę uniżenie», zajmuje z łąki kwestarskie barany, a mięknie jak воск wobec żony, która mu je zwrócić nakazuje i zapowiada, że za takie głupstwo *jejomosteezek* pójdzie do spowiedzi, a «ona sama z ks. proboszczem o pokucie pogada» — Szwed baba! jak zdefiniował Marcin — i nieskończona moc innych, nie mniej śmiesznych i w swym rodzaju jedynych.

Wszakże kulminacyjnym punktem utworu to owa chwila, gdy dawny ks. Kustosz «Ot, co jest!», a dziś już stary defnitor w Wilnie, wyprawiony z klasztoru przez nieodstępного brata Ławrynowicza, ogląda przejeżdżającego Napoleona w całym blasku wojennej chwały. Dla starca

jest to jakby nadziemskie widzenie.—«Co ja myślę, bracie mój, co ja myślę—odpowiada na zapytanie towarzysza — oh! tego i nie wymówić! Przeżyłem lat tyle, patrzałem na tylu ludzi, na tyle rzeczy i spraw ludzkich! w ostatniej mojej godzinie ujrzałem potęgę ludzką w najwyższym stopniu i w jednym człowieku! Ot, co jest! Dosić więc życia dla świata». I zjawienie to tak wstrząsa starcem gwałtownie, że gdy wrócił do celi, już z niej więcej żywym nie wyszedł.

Dziś młode pokolenie, po klęsce sedańskiej, która w niwecz ideę napoleonidów rozwiązała; po dziele Taine'a<sup>1)</sup>, które z legend cudownych odarło opatrnościowego człowieka; dziś, mówię, pokolenie to nie jest już w stanie zrozumieć podobnej wiary i zachwyty.

*Pamiętniki Kwestarza* były utworem, najarty styczniej przeprowadzonym od początku do końca. Po nich pisał on nieraz rzeczy ładne; w żadnej jednak z prac późniejszych, nie dościsnął takiego, jak w nich mistrzostwa. Owszem, w bezpośrednio wydanej w r. 1845 Seryi IV *Obrazów literackich* daje się odczuwać pewne osłabienie twórczości. Pierwszy z obrazów *Jubileusz*, w rozwiązaniu pełen dramatyczności, do lepszych jeszcze należy. W *Duchu opiekuńczym* posługiwanie się fantastycznością dla nawrócenia niedowiarka, napojonego filozofią XVIII stulecia, nie pozwala autorowi zamierzonego celu osiągnąć; obrazek zaś *Autor swatem* mało kogo dzisiaj zająć może. W obydwóch utworach Chodźko dowiódł, iż wtedy tylko kroczy pewnym gościńcem, gdy się na podaniach, lub własnych wspomnieniach i to z czasów odleglejszych opiera; nie dopisuje mu zaś wynalazczość, gdy rzecz wysnuć chce z własnej fantazyi, lub się do odtwarzania chwili bieżącej zabiera. Wiele też, jakby czując potrzebę skupienia się w sobie i zebrania do dalszej twórczości nowych zasobów, Chodźko przez pięć lat następnych pióro swe pozostawia odlogiem i dopiero w r. 1850 wydaje Seryę V, obejmującą w dwóch tomach powieść, zatytułowaną: *Dworki na Antokolu*. W nich przenosi nas nanowo w drugą połowę panowania Stanisława Augusta i tu, wśród panów skarbników, podczaszych, jowialnych poruczników, starostów, starościn i palestrantów, odnajduje się w swoim żywiole.

<sup>1)</sup> Les origines de la France contemporaine. Le régime moderne.

Osnową utworu jest miłość Ludwika Dowiata do Elżuni, starościanki *Kapinowieckiej*, a której na wstępie stoi proces pomiędzy rodzicami panny a rodziną Ludwika, oraz duma starościny matki, zmierzającej z wydaniem córki wysoko. Jedne i drugą sprawę na korzyść zakochanych rozstrzyga sądem kompromisarskim Radziwiłł «panie kochanku», powiadomiony o stanie rzeczy przez znanego nam p. Sulistrowskiego i ujęty szlachetnością Ludwika, który odmawia deferowanej mu przysięgi, nie chcąc działać na szkodę rodziców bogdanki. W powieści tej Chodźko porzucił dotychczasową formę pamiętnikarską i nadał jej ciąg bardziej ześrodkowany, spoisty, a obok tego nie mało typów nowych wprowadził. Pomimo to, widocznie z właściwym sobie taktem artystycznym zrozumiał, iż bez powtarzania się nie podobna mu dłużej zatrzymywać się na tej drodze i na *Dworkach na Autokolu* zamknął szereg *Obrazów litewskich*. Natomiast od roku 1859 pojawiają się *Podania litewskie*. W Seryi I ich pomieścił Chodźko dwie powieści: *Wyklęty* i *Kamień w Olgienianach*. W jednej cofnął się do początków XVIII, w drugiej o wiek później do początków XVII stulecia.

*Wyklęty* — to starosta antowilski, który jako stronnik Augusta II Sasa, przez długie lata walczy z partią Leszczyńskiego i Szwedem, a kiedy po ukończeniu wojny wraca do domu, znajduje po nim tylko zgłiszcza i gruzy. Przeciwna partya w ten sposób wywarła na nim swą zemstę. Niedosć na tem, Jezuici Żodziszcy zamierzili mu kawał lasu zagarnąć. To ostatecznie wyprowadza go z równowagi i gdy ci zaczynają wycinać w nim granicę, on wpada i strzałem jednego z *patrów* trupem powala. Obciążony klątwą i wyrzutami sumienia, dopiero po odbytej do Jerozolimy pielgrzymce otrzymuje rozgrzeszenie w Rzymie i uspokojenie. I tu Chodźko wprowadził wiele typowych postaci. Szczególniej szlachcic Bekieszka ze swem «Quis scit, co za górą?» stał się przysłowiowym wśród czytelników.

*Kamień w Olgienianach* ma za przedmiot powrót młodego Starosielskiego z niewoli tararskiej, który na to na ziemię ojczystą powrócił, by stu-letniego ojca pochować i na przygotowanym przezeń nagrobnym kamieniu rok jego śmierci położyć.

W Seryi II, wydanej w r. 1854, Chodźko ogłosił powieść *Żegota z Milanowa Milanowski*, napisaną w 2-ch częściach. W niej jakoby, wypróbowawszy swe pisarskie siły na kreśleniu epok wcześniejszych, znowu wraca do czasów St. Augusta, zatrzymując się na chwili, gdy po ukończeniu konfederacji barskiej, przeciwne sobie stronnictwa już tylko o partykularne sprawy między sobą walczyły. Tylko rzecz całą przenosi na Żmudź, która zaledwie piórem Pola w *Pieśni* o ziemi w przelocie dotknięta, dopraszała się, by ją odmalować w obszerniejszym obrazie. Powieść ta dramatyczna w zakończeniu, lecz wielce powikłana w osnowie, właściwie się na dwie akcje rozpada. Jedna obejmuje zatarg Milanowskiego, konfederata, z powinowatym mu kasztelanem żmudzkiem, królewskim stronnikiem; druga — konkury do Dosi Uwojnianki, o którą prócz Żegoty, starają się brat kasztelana, Marmelukiem zwany, oraz młody sąsiad Milanowskiego, Mejra, który odsadzony przezeń od panny, mści się na współzawodniku i powala go trupem, gdy ten po oświadczeniach z pierścionkiem zaręczynowym powraca do domu. Jednolitość zresztą opowiadania przerywa epizod, odnoszący się do góry *Pilepiłajte*, na którą w Wigilią ś. Jana trzej słudzy współzawodników wdierają się, nie wiedząc o sobie, w celu odszukania w niej złych bałwanów, jakoby zakopanych przez ostatniego Krywe Kryweję. Rzecz, jako podanie sama z siebie ciekawa, mogła być utworzyć osobny, niezawisły od powieści obrazek; wpleciona w nią, rozsadza tylko jej ramy. Chodźko wszakże i tu niepospolite typy wprowadził. Tacy dwaj luzacy Milanowskiego, posłuszni jego hasłu: *Muszk* (bij) *Poroczko!* *Muszk* *Norejko!* tacy husarzy kasztelana Mateusz i Szucillo, żmujdzini komiczni przez swą oryginalność i łatwowierność, Druktein ekonom Mejry i Meleszko, rębacz pojedynkowy, ze swem: *A daj samże go tu, daj sam! daj sam!* i wielu innych — to całkiem nowe obrazy w bogatej galerii typów litewskiego pisarza.

W r. 1858 wyszła w Wilnie Serya II *Podan litewskich*. Obejmowała ona powieść *Pustelnik w Proninach* — rzecz zajmującą, tragiczną, sięgającą zawiązką XVII stulecia, ale bardzo zagmatwaną i skomplikowaną w swej treści. Opowiada autor, opowiada stary Chojecki, wreszcie Wołkanowski, a wszystko to, przenosząc w co raz



inne czasy i okoliczności, wprowadza w zamęt umysł czytelnika. W *Votum chybionem*, czyli drugim pustelniku, stanowiącym Seryę IV, autor o wiele więcej ciąg jednostajny utrzymał.

Jeżeli jednak te ostatnie dwie Serye wykazują pewne obniżenie talentu Chodźki, to *Dwie konwersacje z przeszłości*, w przerwie pomiędzy III a IV Seryą w roku 1857 wydane, stanowią w zbiorze jego pism nader wdzięczne obrazki. W pierwszym złożył on hołd p. Michałowi, wojskiemu, może nieco spóźniony, zwłaszcza, gdy sobie przypomnimy te serdeczne wspomnienia, jakimi opromienił postać drugiego dziadka, po matce, na wstępie swego pisarskiego zawodu, ale hołd należny słusznie, jako temu, który mu tyle cennych podań z życia publicznego przekazał; w drugim obrazku wtajemniczył nas w swe najbliższe w epoce romantyzmu stosunki z Ant. Edw. Odyńcem i Juliuszem Korsakiem, których w dzień Zielonych Świątek w odwiedzinach przybyłych, jako młody gospodarz, w dawnej siedzibie p. wojskiego z całym wylaniem młodzieńczego serca przyjmuje. A i gdybyż to tylko tych romantycznych przyjaciół!.. Ale prócz nich zjeżdża tu jeszcze z sąsiedztwa p. kapitan Mackiewicz z młodą małżonką, z dwiema w kwiecie wieku siostrami: Ludwiką i Zofią, oraz małą córeczką—Rózią. Pierwsza z nich zostanie wkrótce żoną młodego gospodarza, Zofię poślubi później Odyniec, a w lat kilkanaście Rózia stanie na ślubnym kobiercu z Korsakiem—słowem, wiosna, przyjaźń, poezja, piękność i miłość złożyły się na ten pełen uroku i świeżości obrazek. Wreszcie Epilog, w którym po latach 30 zjeżdżają się trzech przyjaciele, dziś już posiwiali mężowie z przecuciem blizkiego końca swego zawodu, rzuca jakby cień cyprysu na te promienne lat młodych wspomnienia.

Ostatnia praca Chodźki, jako Serya VI *Obrazów litewskich*, wyszła już po jego śmierci w roku 1862. Były to *Nowe pamiętniki kwestarza*. Myśl odmalowania czasów i stosunków nowych po r. 1812 z punktu widzenia drugiego kwestarza, brata Rafała Karegi nie była jednak szczęśliwa. Ani on mógł z bratem Ławrynowiczem iść w paragon, ani opisane przezeń przygody miały tyle powabu świeżości, co raptularz b. marszałka dworu wojewody. Autor, chcąc podnieść wartość *Nowych pamiętników*, wprowadził do nich jeszcze p. prezydenta, ks. kustosa i ojca kaznodzie-

ja, którzy, zbierając się dla czytania spisywanych pamiętników brata Karegi, robią nad nimi swoje uwagi, niekiedy nawet bardzo trafne i mądre, a odnoszące się do wielu ważnych tamtoczesnych kwestyj społecznych; ale właśnie te kolokwia rozrywają osnowę i jako długie rozprawy nużą czytelnika i do Pamiętników osłabiają zajęcie. Na końcu ich znajdują się przypisy, odnoszące się do wolno-mularstwa na Litwie, ale które nie wyczerpują do dna przedmiotu.

Taki plon literacki zostawił Chodźko po sobie.

Do roku też 1857 *Obrazy i Podania litewskie* cieszyły się wielkim uznaniem. Dwie jednak okoliczności wpłynęły na ostudzenie stosunku pomiędzy autorem a ogółem. Naprzód przyjęcie udziału w pewnym wydawnictwie, następnie stanowisko negatywne, jakie zajął w sprawie uwłaszczenia, gdy go z wyboru powołano na wiceprezesa Komitetu włościańskiego w Wilnie. Jedno i drugie dawało niepocholebne świadectwo o człowieku, który, jako pisarz w *Poddanym* i w *Powrocie dziedzica* z tak gorącą dla ludu oświadczał się miłością. Uczucie to jednak nie wytrzymało próby, gdy szło o ofiarę ze strony dziedzica. Oburzeniu, wywołanemu wskutek tego, dał wyraz ostry Julian Klaczko. Sąd wszakże jego o człowieku i obywatelu wpłynął na obniżenie wartości i całego dorobku literackiego Chodźki. Krytyk-publicysta nietylko wszystkim jego utworom głębszej myśli odmawia, ale podaje w wątpliwość i miłość ziemi rodzinnej, ograniczając ją do miłości dziedzicznej wioski; całą zaś dążność pisarską streszcza w aforyzmie: «wszystko, co było, było bardzo piękne i dobre, ale to minęło nieodzwrotnie; teraz trzeba tylko trzymać się oburącz spuścizny ojcowskiej, otulić kożuchem, spożywać barszcz domowy i wreszcie złożyć kości obok popiołów przodków». O ile zarzut ten był słuszny, daje dziś sędziwemu publicyście wymowną odpowiedź Komisya kolonizacyjna w Poznańskim. Chodźko, budząc zamiłowanie do ojczyznego zagonu, wypowiadał tylko to, co obecnie każdy uznaje za kardynalną bytu podstawę; więc chyba dobrze zasłużył się społeczeństwu w swym czasie, a że kwestyj, obchodzących tedy ogół, nie poruszał w swych pismach, to każdy nieuprzedzony zrozumie, dla czego. Utonąwszy całą duszą w tradycjach, malował tylko przeszłość, jaką mu w nich przekazali obaj dziadowie, a kwestyj tych ona nie znała;



w dziedzinie zaś sztuki nie o to idzie, czy sobie pisarz rozległe, czy szczupłe widnokreśli zakresła, lecz jak wykonał dzieło w granicach, na które mu jego twórczość pozwala. Klaczko przyznaje mu talent; więc potępiając obywatela-człowieka, powinien był pisarza miarą właściwą ocenić. Tego jednak nie zrobił tylko odarł wszystkie liście z wieńca jego zasługi.

Jednocześnie z tą krytyką miążdzącą Chodźko jedyną córkę utracił. Dwóch tych ciosów przebieść nie mógł i zgasł w d. 1 sierpnia 1861 r.

Śladem Klaczki poszła panna Wilhelmina Kościalkowska, tylko posunęła się jeszcze dalej. Pomijając już zarzut («Ateneum, 1884»), iż nad inne opisy przekłada karmazynowe ferezye, brylantowe spinki, spienione puhary, kurzące się golone łby, oraz illuminacye w Nieświeżu (sic\*), o co znów nie można w stanie oskarżenia stawiać pisarza, gdyż taki świat odtwarza, jaki do natury jego uzdolnienia przypada; występuje ona z innym jeszcze zarzutem. Oto, ni mniej, ni więcej, tylko powiada: Chodźko «przed filozoficznymi wywodami daje nurka», gdyż choć czuje, «że na drodze postępu stawać niebezpiecznie, bo obali nieprzepartą siłą i zdepcę» (nb. są to słowa Ch., wypowiedziane w Nowych Pamiętnikach Kwestarza, str. 252)—to jednak, «dogodniej mu było ogłosić coś pośredniego. Jak raz nawinął mu się *postęp chrześcijański* i to go zbawia od kłopotu. Za przewodnika postępu XIX stulecia *wskazuje krzyż*, wysnuje kilka mglistych frazesów na *cześć grobów*, i zamknie spokojnie tak wyczerpaną, a *raezej umysł jego wyczerpującą*, kwestyą». Pozytywistka, nie tylko z lekkim sercem robi go ograniczonym, dla tego, że jest chrześcijańskim pisarzem, ale nadto chce, by społeczeństwo, które przez lat 900 pod znamiem krzyża kroczyło, wyrzekło się Chrystyanizmu, gwoli temu, co w jej głowie uchodziło za postęp. Istotnie, bardzo skromne żądanie, a o ile logiczne ze względu na zarzuty dotyczące pisarza, że nie tak myślał, jak ona, to dość powiedzieć, że podobne hasła pozytywistyczne dopiero w lat dziesięć po śmierci autora zaczęto wygłaszać.

\*) Właściwie w Szemiotowszczyźnie, siedzibie p. Sulistrowskiego. (Przyp. aut.).

Nie przytaczalibyśmy też tej krytyczno-pozytywnej elukubracji, gdyby jej dr. Chmielowski nie był pomieścił bez żadnych zastrzeżeń, jako charakterystyki autora Obrazów i Podań litewskich, raz, w artykule zamieszczonym o nim w *Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej* (t. XII, str. 762), a następnie w swej *Historji Literatury Polskiej* (t. V, 258). Poza tem zresztą sam ocenia trafnie pisarza. Nie może mu wszakże darować niechęci «do wieku oświeconego, do jego filozofii «z piekła rodem». Przypuszczać jednak należy, iż Chodźko, jako wychowaniec uniwersytetu wileńskiego, wiedział, co ten wiek wniósł do nauk ścisłych, filozofii i krytyki; tylko jednocześnie miał na myśli, że on także krwawe gody zgotował, a w rzeczach wiary wypowiedział zasadę: *écraser l'Infâme*.

Rzecz naturalna, iż podobne sądy obniżyły wartość Chodźki w oczach młodego pokolenia. A jednak, jako pisarz odtwarzający życie i obyczaje z końca XVIII i początku XIX stulecia; jako malarz-realista, opisujący ziemię i przywiązane do niej podania, jest nauczający pod bardzo wielu względami. Wprawdzie co do języka nie zawsze jest on wzorowym pisarzem. Niejednokrotnie spotykamy się w nim z takimi formami, jak: *chłopcowi, Chodźkowi, z programy, prawdziwego wirtuozy, księcia Radziwiłły, obaczyłem za bramą dwóch baranów, hyperbola, narodowe treści, byli to najosobliwsze zaprawy* i w. i.;—ale wobec literatury, przybierającej co raz bardziej kosmopolityczny charakter, czytanie go może stanowić dla umysłu rodzaj orzeźwiającej i uzdrawiającej kąpieli. Natomiast zwydrzone literaturą pornograficzną umysły, nie znajdą w nim powabu; ale za to jest on jednym z tych pisarzy, których dzieła można dać wszystkim do ręki. Nie przeczymy, iż jego ciężkie i długie okresy mogą nużyć przywykłych do modnego dziś piankowego stylu, mieniącego się błyskotliwą frazeologią; ale jego rzewność, prostota, szczerość uczuć i dowcip każą o tych wadach zapomnieć i odnaleźć w nim powab właściwy.

*Roman Pleniewicz.*

# Władysław Niegolewski.

(\* 1819 † 1885).

**W**ładysław Grzymała Niegolewski należy do tych parlamentaryuszów ostatniej doby, którzy nie siłą talentu krasomówczego i nie zręcznością dyplomacyi dworskiej imię swe zapisali w księgach narodu, lecz odwagą w obronie praw politycznych ludu poznańskiego, ustaleniem zasad tej obrony, niezmordowaną pracą nad organizacją Księstwa izdemaskowaniem wielkiej, niebezpiecznej intrygi, ukutej przez urzędników pruskich ku zgubie społeczeństwa polskiego.

Władysław Niegolewski urodził się w roku 1819 w Włoskiejewkach z ojca Andrzeja, bohatera z pod Somosierry, i matki, Anny z Krzyżanowskich. W domu otaczały go wspomnienia zwycięstw Napoleońskich i one to tak rozpląmiły fantazyę chłopczyny młodego, że w dwunastym roku życia, zwabiony muzyką armat, zbiegł po-

tajemnie z domu rodziców do obozów powstańczych w Królestwie. Odesłany do gniazda rodzinnego, oddany został do szkół gimnazjalnych w Poznaniu, gdzie w r.

1842 złożył egzamin dojrzałości.

Odbywał następnie studia prawnicze na uniwersytecie w Bonn, gdzie w r. 1845 uzyskał tytuł doktora *utriusque iuris* na podstawie rozprawy *de iure superficaria*. Rozprawa ta wywarła w kołach prawniczych tak dodatnie wrażenie, że niebawem uniwersytet Zurychski zwrócił się doń z propozycją objęcia katedry profesorskiej na szwajcarskiej ziemi. Młodego prawnika nie nęcił jednak biret akademicki, bo z ziemi rodzinnej dolatywały już pierwsze odgłosy wielkich wypadków politycznych,

które niebawem wstrząsnąć miały całym narodem niemieckim i w których społeczeństwo polskie dość wybitną odegrało rolę. Wraca tedy Władysław Nie-



*Władysław Niegolewski*

golewski do Poznania i tu 3 marca 1846 roku uderza z garstką rodaków na fortecę poznańską, celem uwolnienia więźniów i zdobycia arsenału. Był to zamiar niesłychanie zuchwały, ale nie pozbawiony w danej chwili widoków powodzenia. Zamach został odkryty, garstkę powstańców rozbito na moście Chwaliszewskim, Niegolewskiego wzięto do niewoli i uwięziono. Udało się wprawdzie junakowi młodemu zbiedz z cytadeli w towarzystwie Magdzińskiego, Lipińskiego i Końcewicza, ale schwytano go powtórnie, okuto w kajdany i po raz drugi zamknięto w twierdzy poznańskiej. W r. 1847 staje Niegolewski przed sądem w słynnym procesie o zdradę stanu, wytoczonym jemu i towarzyszom jego. Lecz siedł wówczas duch wolności po krajach niemieckich, on sądził, on wydawał wyroki, on uwolnił więźniów politycznych.

W r. 1848 komitet narodowy w Poznaniu wysłał Niegolewskiego, jako posła do Frankfurtu n/M., gdzie obradował pierwszy parlament niemiecki, a młody działacz polityczny tak umiejętnie kieruje sprawami swego społeczeństwa, tak energicznie walczy piórem i słowem, że zgromadzenie konstytucyjne zgadza się na wyłączenie prowincji polskich z monarchii pruskiej, a następnie «komitet pięćdziesięciu» wzywa w imię «honoru germańskiego» *Bundesrath* niemiecki, aby dotrzymał słowa, danego polakom na parlamencie przedwstępnym (Vorparlament). W r. 1849 Niegolewski po raz pierwszy zdobywa mandat poselski do sejmu pruskiego i wspólnie z innymi posłami redaguje ustawę «Koła», opartą na zasadzie solidarności, a równocześnie pełni obowiązki adwokata przy sądach pruskich i występuje jako obrońca w procesach politycznych. Najgłośniejszym z tych procesów była sprawa Krautofera-Krotowskiego, oskarżonego o zdradę stanu i uwolnionego przed trybunałem przysięgłych. Niegolewski nie należał do mówców z Bożej łaski, umiejętność języka niemieckiego, mianowicie w latach późniejszych, niezawsze mu dopisywała, ale posiadał iskry zapалу i energię wyrazu lapidarnego, która nieraz silniejsze wywierała wrażenia, niż pięknie rzeźbione tyrady krasomówców urodzonych. Mowy posła Kantaka były dziełami talentu i sztuki, mowy Niegolewskiego prostymi, lecz w swej prostocie potężnymi wynurzeniami serca. Tamten był artystą; ten o piękno nie dbał,

tylko o jasność i nieugiętość wyrazu, tamten przypominał Skargę, ten przypominał Rejtana.

Ale nie dość było Niegolewskiemu pracy w izbie sejmowej i palestrze poznańskiej. Zrozumiał on doskonale, że trzeba podnieść poziom umysłowy społeczeństwa własnego, aby skutecznie walczyć z przewagą kultury niemieckiej, i w tym celu zakłada razem z ks. Malinowskim, Tytusem Działyńskim, Leonem Wegnerem, Kazimierzem Szulcem, Rogierem Raczyńskim i Augustem Cieszkowskim «Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu» i przez dwa pierwsze lata istnienia jest duszą Towarzystwa, miewa odczyty, redaguje rocznik, pracuje w zarządzie. Zbliżała się jednak chwila, w której działacz wszechstronny i niezmordowany musiał usunąć się od wszelkich zajęć ubocznych, aby znaleźć czas i siły na walkę zaciętą z przeciwnikiem niebezpiecznym, który wówczas w Poznańskim zastawiał sieci zdradliwe.

W r. 1858 Towarzystwo demokratyczne polskie w Londynie ogłosiło odezwę rewolucyjną, zawierającą znane już z lat dawniejszych hasła powstańcze i apostołstwo buntu społecznego przeciw szlachcie i duchowieństwu. Odezwa ta była dziełem najsłabszego odłamu emigracji, dającej od czasu do czasu znak życia, przywłaszczającej sobie prawo komendy nad ruchem politycznym kraju macierzystego, lecz nie wywierającej już wówczas w Poznańskim prawie żadnego wrażenia. Policji poznańskiej zależało jednak na tem, aby w Berlinie przedstawić prowincje polskie monarchii pruskiej jako ognisko rewolucji i stworzyć chociażby tylko pozory fermentu narodowego, dla wywołania represalii rządowych.

Z rozporządzenia ówczesnego prezesa politycy, Bärensprunga, przedrukowano tedy potajemnie odezwę londyńską i rozrzucono ją w tysiącach egzemplarzy po kraju: Niegolewski jednak odgadł natychmiast tajne sprężyny tej niecznej roboty i, poświęciwszy połowę majątku osobistego na zebranie dokumentów zbrodni, wystąpił z trybuny sejmowej, jako oskarżyciel policji pruskiej. Materiał dowodowy był tak przygnębiający, że władze rządowe nie ośmieliły się przejść do porządku dziennego nad interpelacją i zapowiedziały wytoczenie procesu dyscyplinarnego przeciw urzędnikowi, nadużywającemu swej władzy do roboty prowokacyjnej ku szkodzie i zagładzie Polaków. Było to na sesji sejmowej 11 kwietnia 1859 r.

Przez cały rok następny Niegolewski bacznie śledził działalność policyj i przebieg śledztwa dyscyplinarnego. Nie żałując złota, otoczył Bärensprunga siecią własnych agentów i niebawem przyszedł do przekonania, że wystąpienie rządu przeciw policyi poznańskiej było tylko pozorem obłudnym, że postępowanie Bärensprunga jest dalszą prowokacją i że najwybitniejsi dygnitarze pruscy maczają palce w intrydze niebezpiecznej. Zapowiedział tedy drugą interpelację w sejmie berlińskim i dnia 12 maja 1860 r. wystąpił z mową oskarżającą. Poseł znakomity był wonczas ciężką złożony niemocą, bo zbieranie dowodów winy wyczerpało jego siły fizyczne, a ciągły niepokój, aby mu przemocą lub podstępem nie wydarto papierów kompromitujących, które w torbie skórzanej nosił przez dwa lata pod koszulą, tak portargał jego system nerwowy, że w chwili krytycznej zachodziły poważne obawy, czy interpelacja przyjdzie wogóle do skutku. Nikt zastąpić go nie mógł, on jeden znał wszystkie tajniki sprawy i nawet kolegom najbliższym nie zwierzał się z treści dokumentów zdobytych.

Ale duch był silniejszy niż ciało. Niegolewski zwłókł się z łóżka, pojechał do Berlina i wstąpił na trybunę poselską. Był to jeden z najciekawszych momentów w dziejach sejmu pruskiego, była to chwila wielkiego zwycięstwa nad Machiawelizmem rządu, nad obłudą ministrów, nad krecią robotą władz policyjnych i dygnitarzów poznańskich. Niegolewski wykazał na mocy listów własnoręcznych Bärensprunga i jego pomocników, że policja poznańska, naczelny prezes Puttkamer, dygnitarze regencyi i nawet prokurator utworzyli spisek szatański na zagładę polskości. Zawiązali oni korespondencyę z komitetem emigracyjnym w Londynie, przedstawiając się za pełnomocników komitetu polskiego w Poznaniu i podpisując swe listy nazwiskami pięciu wybitnych obywateli poznańskich. W listach tych, w liczbie 24, redagowanych przez sekretarza policyi, eksksjędza katolickiego Posta, podano do wiadomości rewolucjonistów emigracyjnych, że Poznań solidaryzuje się z intencjami odezwy londyńskiej, że gotów jest do buntu i rzezi, że czeka tylko na hasło i prosi o przysłanie emisaryuszów i broni.

Równocześnie prezes policyi Bärensprung wysyłał *sprawozdania urzędowe* do władz berliń-

skich, przedstawiające położenie w Poznańskim, jako burzliwe, rewolucyjne, wymagające represalii natychmiastowych. Wręczono także ks. regentowi, a późniejszemu cesarzowi Niemiec, Wilhelmu I, «listy Mazziniego», pochwycone rzekomo w Poznańskim, a treścią buntowniczą kompromitujące Polaków. Wysłano wreszcie dla uwięzienia intrygi petycyę Niemców poznańskich do księcia regenta, w której przedstawiono w najciemniejszych barwach usposobienie konspiracyjne Polaków i wynikające ztąd niebezpieczeństwo dla państwa.

Niegolewski jednak nie tylko odsłonił robotę oszczerców i agentów-prowokatorów, lecz olbrzymim materiałem dowodowym uderzał niby maczugą po głowach ministrów zdumionych. Rząd znalazł się w położeniu fatalnem, nie mogąc zaprzeczyć faktom ujawnionym, a nie chcąc publicznie kompromitować urzędników państwowych. Usiłowano zatem sprawę tak przedstawić, jakoby w całej tej intrydze policyjnej chodziło jedynie o zdemaskowanie komitetu londyńskiego, a Niegolewskiemu wytoczono proces o przekupienie urzędników. Proces ten jednak stał się tylko nowym wydaniem rozpraw sejmowych. Oskarżony zamienił się w oskarżyciela, oskarżyciele w podsądnych; Niegolewski, któremu niczego udowodnić nie zdołano, został uwolniony, Bärensprung niebawem otrzymał translokacyę.

Była to najświetniejsza chwila w życiu wielkiego parlamentaryusza. Idąc śladami spisku policyjnego, nadwyreżył zdrowie i stracił majątek, ale ocalił społeczeństwo własne. To też po zwycięstwie dwukrotnem radość zapanowała powszechna i we wszystkich warstwach ludności zbudziło się pragnienie, aby uczcić publicznie zasługi Niegolewskiego. Zawiązały się w tym celu komitety: jeden z nich, poznański, ofiarował mu statuę srebrną «Polonii», drugi, pleszewski, wydał bankiet świetny w Żerkowie i wręczył posłowi znakomitemu «koronę obywatelską». Oba te dary przechowane są dzisiaj w muzeum narodowym w Poznaniu.

W następnych latach 1861 i 1862 wystąpienia Niegolewskiego w sejmie stają się coraz energiczniejsze i zamieniają się chwilami w wykład zasadniczych podstaw obrony narodowej.

W r. 1867 Niegolewski znowu pełni obowiązki poselskie w parlamencie utworzonego won-

czas «Związku niemieckiego» i wraz z posłem Kantakiem protestuje przeciwko wcieleniu dzielnic polskich do «Związku», broni kilkakrotnie mowy ojczystej i praw narodowych, polemizuje z ks. Bismarckiem. Równocześnie pracuje w kraju rodzinnym, jako członek Tow. agronomicznego i Tow. oświaty ludowej, a u siebie w Morownicy zakłada gospodarstwo wzorowe i wychowuje rolników młodych.

Po wojnie francuskiej «Koło polskie» wybiera Niegolewskiego prezesem, a na zaszczytnym tem stanowisku poseł zasłużony zdwojoną rozwija energię, upominając się o prawa kościoła katolickiego w tak zw. «walce kulturalnej». Jest to epoka gorączkowych, namiętnych zapasów parlamentarnych i okres strasznego ucisku. Przy bo-ku Windthorsta walczy wówczas Niegolewski o wolność kazalnicy przeciw «prawom majowym» i przeciw banicyi duchownych, a ilekroć opuszcza stanowisko wyznaniowe i broni narodowości polskiej, prezentuje ks. Bismarckowi traktaty wiedeńskie i na nich przeważnie opiera swą prawnopolityczną argumentację. Był on pierwszym posłem polskim, który traktaty przypomniał parlamentowi i utrwalił w polityce Koła polskiego nowy rodzaj obrony.

Pod koniec tej najbujniejszej epoki życia Niegolewski jeszcze dwukrotnie oddaje poważne usługi społeczeństwu swemu. W r. 1877 psuje robotę agentów angielskich, którzy podczas wojny rosyjsko-tureckiej usiłowali dla uczynienia dywersyi wywołać zaburzenia w Królestwie Polskiem i w tym celu durzyli na bruku wiedeńskim młodzież zapalną, obiecując broń i pieniądze, a w r. 1878 występuje wspólnie z Janem Dobrzańskim na kongresie berlińskim i oddaje memoriał, podpisany przez 30,000 Polaków.

Od owej chwili słońce, przyświecające dotychczas Niegolewskiemu, chylić się zaczyna ku zachodowi. Osiadłszy w Poznaniu, rozpoczyna on w «Gońcu Wielkopolskim» działalność publicystyczną i, zawarłszy ścisłe przymierze z redaktorem Ludwikiem Rzepeckim, człowiekiem niewątpliwie bystrym, zdolnym i rozumnym, ale opętanym namiętnościami polemicznymi, występuje

z ostrą krytyką stosunków ówczesnych Księstwa i rzuca niejednokrotnie rękawicę powagom prowincjonalnym, świecącym często blaskiem fałszywym, nie zawsze posłusznym żądaniom politycznym posła znakomitego i usiłującym osłabić jego znaczenie i wpływy. To też, gdy w r. 1884 rozpoczęła się agitacja przedwyborcza i przeciwko kandydaturze Niegolewskiego wystąpił komitet centralny wraz z najpoważniejszymi organami prasy wielkopolskiej, stronnictwo «Gońca» rzuciło się z niepamiętną brawurą i zaciętością ku obro- nie posła ukochanego.\* Rzepecki z zdumiewającą zręcznością sprawiał szyki bojowe, a zwyciężony na wiecach drobną, prawie nieznaczną i przez wielu kwestyonowaną przewagą głosów, postanowił złamać solidarność wyborczą i z hufcem swych zwolenników wbrew rozkazom komitetu centralnego na własną rękę głosować. Niegolewski wprawdzie do walki tej się nie przyłączył i w dniu wyborów głos swój oddał na kandydata przeciwników zwycięskich, ale większość prasy jemu przypisywała winę «secesyi» i w sposób brutalny, nie pomna zasług wielkiego obywatela, miotła kamienie na głowę starca, posiwiąłego w pracy politycznej.

Złamany cierpieniem, lecz nie złorzeczący swym prześladowcom, Niegolewski usunął się prawie zupełnie z życia publicznego i niebawem pożegnał się na zawsze z tą ziemią, której wszystko oddał w ofierze. Robak żalu stoczył jego siły, wyczerpane pracą niezmordowaną, lecz w ostatnim tchnieniu miał jeszcze słowo przebaczenia na ustach.

Dopiero po śmierci Niegolewskiego otrząsnęło się społeczeństwo na chwilę z uprzedzeń stronnich i zrozumiało krzywdę, wyrządzoną mężowi wielkiej, niezwyklej zasługi. Pogrzeb jego przewyższył swą okazałością najśmielsze oczekiwania, a na mogile świetnego parlamentaryusza stanął z ofiar publicznych, nadesłanych ze wszystkich krajów, gdzie mowa polska rozbrzmiewa, pomnik granitowy.

*Władysław Rabski.*



# Jan Matejko.

(\* 1838 + 1893).



Krakowie przy ulicy Floryańskiej, nieopodal Bramy Floryańskiej, w r. 1838 urodził się Jan Matejko.

Pierwszym przedmiotem, jaki mógł wpaść w oczy dziecka, gdy je niesiono do chrztu, były sylwetki smukłe wież maryackich z jednej strony, a z drugiej potężne kontury bramy Ś-go Floryana. Tajemnicza wróżka wycisnęła wówczas na czole dziecka swoje promienie piękna, którym przykuła duszę jego do tych starych murów, świadków niemych, a jednak wymownych, minionej świetności. Dziecko rosło blade, wątłe ciałem, w tych starych i zadusznych murach, ale dusza jego wylatywała z ciasnych zaułków w minione wieki i pod wrażeniem przejmujących dźwięków starego Zygmunta, opowiadającego chwałę z Wawelu, snuła cudną tkanę barwnych obrazów. Skupiony w sobie i cichy, zdradzał tylko przenikliwym wzrokiem czarnych głębokich oczu, że w tem wątłym ciele tkwi gorąca i potężna dusza. Snuł się po starym podwawelskim grodzie, od ołtarza Wita-Stwosza w kościele maryackim, który mówił do niego językiem mistycznym średnich wieków, do Wawelu, gdzie w ciemnych sklepach w uroczystym milczeniu śmierci spoczywały święte szczątki królów, srebrne połyski trumny Ś-go Stanisława i czerwony marmur pomników Jagiellonów, zielonawe blachy miedziane z rytemi na nich, zastygłymi w milczeniu wieków rysami potężnych rycerzy—wszystko to było dla niego księgą, w której czytał wyraźnie i plastycznie przeszłość minioną. Dusza jego tak zespoliła się z tą przeszłością, że świat społeczny właśnie był dla niego jakby złudzeniem, a przeszłość teraźniejszością.

Po ukończeniu średniej szkoły, młodziutki Matejko wstąpił do jedyne go wówczas zakładu naukowego, gdzie można się było uczyć malarstwa, do szkoły technicznej, którą nazywano Techniką Krakowską.

Technika Krakowska miała dział rysunków i malarstwa pod kierunkiem dwóch nauczycieli: Statlera i Łuszczkiewicza. Wydała ona cały zastęp artystów, między którymi znajdujemy mistrza Matejkę, Grottgera, Filipi'ego, Gryglewskiego, Cynka, Szabłońskiego, Gadomskiego i wielu innych.

Jak to prawie zawsze bywa, potężna indywidualność Matejki nie mogła się zawsze nagiąć do szkolnej rutyny i są dane, że nauczyciele nie wróżyli Matejce świetnej przyszłości. Zamknięta dusza tego genialnego ucznia jeszcze nie przygotowała sobie widać potężnych środków wypowiedzania się i wołała skromnie pracować w milczeniu, nie zdradzając się niczem z tem, o czem marzyła.

Dziwną koleją losu widzimy później Matejkę zwierzchnikiem swego profesora. Władysław Łuszczkiewicz nie przeczuł, że ten wątły chłopak o bujnych czarnych włosach i przenikliwych czarnych oczach nosi w swoim pudełku malarzkiem berło polskiego malarstwa, ba! że stanie na równi z Rubensem, Valasquezem i Van Rinem. Młodziutki Jan, jeszcze uczeń, debiutował jako portrecista i z tej epoki mamy portrety pp. *Fischerów*, bogatych mieszczan krakowskich, oraz portrety zbiorowe rodziny mistrza, które wprowadzają nas tam, gdzie Matejko zupełnie swobodnie ze swoją olbrzymią twórczością się obracał: w wieki średnie. Portrety te były wystawione w Warszawie i na pierwszy rzut oka przypominały włoskie malowidła XIV wieku albo Holbeina.

W dwudziestym roku życia wyjeżdża do Monachium śladem swych kolegów, ale nie bawi tam długo, choć krótki jego pobyt w akademii dla doświadczonego profesora Anschütza zdradza już świetną przyszłość młodzińca.

W Monachium bawi przez r. 1858—1859, następnie wyjeżdża do akademii Wiedeńskiej, w pracowni prof. Rubena zawiera ściślejszą przyjaźń z Grottgerem. Nie bawi jednak we Wiedniu dłu-

go, bo ani Monachium ani Wiedeń nie daje mu tego, czego pragnie jego dusza; wraca więc do Krakowa około r. 1860 i już do śmierci w niem przebywa, z wyjątkiem krótkich wycieczek zagranicę; osiada więc na stałe w Krakowie. Pierwszą jego pracownią była przygotowana naumyślnie dla niego niewielka parterowa izba w domu p-stwa Niedźwieckich na ulicy Krupniczej. Z tej pracowni wychodziły kolejno arcydzieła, i tak: w r. 1861 *Śmierć Wapowskiego*, a w rok później *Stańczyk* i *Jan Kazimierz przypatrujący się z Białan pożarowi Krakowa*, wreszcie w tej samej małej izdebce rodzi się pomnikowe dzieło mistrza *Kazanie Skargi* w r. 1864.

W tym dziele już cała potęga tej genialnej duszy wyszła na światło bożego dnia. Środki techniczne zdumiewają wprost, plastyczność postaci, wyraz subtelny i jakaś prawda historyczna, która nam każe wierzyć, że tak było i nie mogło być inaczej. W tym obrazie Matejko już zupełnie panuje nad wszystkim, nad czem tylko genialny artysta panować może. To też oczy całego społeczeństwa zwracają się ku mistrzowi krakowskiemu. Kolejno powstają «Rejtan» w r. 1866, «Unia» w r. 1860. W rok później na życzenie kraju ministerium wiedeńskie mianuje Matejkę dyrektorem szkoły sztuk pięknych, która ciągle dalej aż do r. 1870 była częścią techniki pod kierunkiem Łuszczkiewicza, jak za czasów Matejki ucznia. Gdyby iskra elektryczna, wiadomość ta przebiega pomiędzy młodzieżą, kształcącą się za granicą w malarstwie. Wszyscy, którzy nie gonili za karierą, ale piastowali w duszy oprócz ideałów malarskich jeszcze i społeczne, wracają do kraju, aby pracować pod uznanym już bezsprzecznie pierwszym polskim malarzem.

Między tymi widzimy Pruszkowskiego, Benedyktowicza, Wiśniowieckiego, Łosia, Piccarda, Kurzawę i innych.

Zdawało się, że pod kierunkiem takiego mistrza szkoła krakowska rozwinie się świetnie; oczy społeczeństwa spoczęły z nadzieją i ciekawością na tej powstającej instytucji, która pozyskała sobie odrazu uznanie, ale musimy przyznać, oczekiwania te życzliwe w części zawiodły.

Matejko zanadto był zaabsorbowany swojemi połączonemi kreacjami, żeby się zajmował naprawdę temi rzeczami, nad któremi społeczeństwo gwałtem chciało go widzieć gospodarzem zabiegliwym.

Stosunek z uczniami był zawsze tylko oparty na ogromnym szacunku dla geniusza mistrza z jednej strony, a z drugiej—na wielkiej dobroci serca Matejki, który radby był wszystkich widzieć zadowolonych, ale nie miał poprostu czasu, aby wchodzić w tajniki duszne swoich uczniów i dopiero do nich stosować swoją pedagogią. Porozumienia spokojnego, opartego na istotnem zrozumieniu potrzeb uczniów pod względem sztuki, nie było i, podług nas, być nie mogło, z przyczyn, któreśmy podali wyżej.

Dla wielkiej dobroci serca Matejki, bujniejsze natury schylały głowę przez jakiś czas, ale już u wszystkich rodziło się pojęcie, że dyrektor-Matejko i mistrz-Jan są to dwie osoby, które nigdy ze sobą w zgodzie nie będą.

Pomału więc, zachowując całą nienaruszoną cześć dla mistrza, lepsi uczniowie zaczęli opuszczać szkołę, aby samodzielnie pracować.

Społeczeństwo nie prędko się spostrzegło, że jego nadzieje zrobienia z mistrza - Matejki dyrektora, któryby zostawił po sobie podobnych sobie malarzy, nie urzeczywistnią się wcale. Owszem, każdy obraz, nawet bardzo słaby, wyszły ze szkoły Matejki, dostawał odrazu dobrą markę i uznanie ogółu. Było to jakby zahypnotyzowanie wielkością mistrza, wielbiono nawet to, co wcale z jego osobą i twórczością nie miało nic wspólnego.

Dopiero ocena sławnego wiedeńskiego krytyka Ranzoni'ego w części zdarła zasłonę z zaślepionych mistrzostwem dyrektora oczu społeczeństwa. Spostrzeżono, że żaden z uczniów nie dorósł nawet do miana ucznia, że były to tylko niedołężne naśladownictwa stylu mistrza. Od tej chwili datuje się osłabnięcie znaczenia szkoły krakowskiej, pomimo to, że profesorowie Löfller z ustaloną sławą, całkiem słusznie nabytą, i Łuszczkiewicz, b. profesor Matejki, przedstawiali poważny pierwiastek w ciele nauczycielskiem.

Wszystkim jeszcze ciągle się zdawało, że to jest początek jakiejś niezmiernie świetnej epoki rozkwitu historycznego polskiego malarstwa, tymczasem to był świetny nad wszelki wyraz jej koniec. Przed Matejką bowiem, równocześnie z innymi, historyczne malarstwo uprawiali: Gerson, Simmler, Lesser. Żaden z nich oczywiście nie był mu równym, ale Matejko ozłocił swoim geniuszem ten zachód słońca historycznego malarstwa. Ozłocił go tak cudnym i tak bogatym blaskiem,



Według akwaforty I. Łopieńskiego z własnoręcznego portretu Matejki.

Jan Matejko

iż nic dziwnego, że olśnione oczy ogółu nie mogły dojrzeć nic, prócz cudnej gry najdroższych w tym świetle klejnotów.

Matejko, jako historyk, miał swoje całkiem odrębne przekonania, jakkolwiek partya wielmożów krakowskich koniecznie go zjednać dla siebie chciała, ale nie potrafiła okuć tego potężnego ducha w swoje partyjne pęta. Współpracownikiem Matejki na niwie historii i jego przewodnikiem był Józef Szujski. Razem oni wertowali stare kroniki i dokumenta, razem badali pieczęcie majestatyczne, aby wykraść z tych szacownych choć zbutwiałych szpargałów i kawałków wosku żywe i drgające namiętnościami chwili postacie królów i wielkich ludzi naszej przeszłości.

Bogactwo, jakie zadziwia w kostymach osób na obrazach Matejki, wierność szczegółów — zrozumiałem będzie, jeżeli zaznaczymy, że najbogatsze domy magnackie oddały swoje najcenniejsze zabytki przeszłości do rozporządzenia Matejce. Ani jeden z jego poprzedników nie rozporządzał ani jedną tysiączną częścią materiałów, tak koniecznie potrzebnych nie tylko do podniesienia malowniczości obrazów, ale do prawdy historycznej. Pracownia Matejki była najbogatszym muzeum w kraju, w którym na owe czasy, oprócz nielicznych zbiorów akademii Umiejętności (zresztą były one w całości do rozporządzenia Matejki) i początków muzeum prof. Łepkowskiego (dziś muzeum uniwersyteckie), nie było żadnego innego. Makaty, delie, zbroje, drogie kamienie, złotolite materye, broń wspaniała, błamy starych soboli — wszystko leżało na kupach w pracowni Matejki i ztąd może powstała ta jego prawie namiętność do jaknajdoskonalszego naśladowania tych bogactw w obrazach. W tym kierunku nie ma on poprostu równego w historii sztuki. Poniekąd psuło to jego obrazy, np. Grunwald, gdzie ze szkołą dla całości wrażenia widzimy poprostu czarodziejsko namalowane zbroje i materye.

Matejko od pierwszego swego obrazu do ostatniego nic się nie zmienił jako malarz. Czy w «Kazaniu Skargi», czy w «Batorym» lub «Grunwaldzie» — wszędzie twarze z silnie podkreślonym wyrazem jakiegoś dramatycznego naprężenia. W twarzach jego figur każdy mięsień jest zaznaczony. Ręce zawsze mają równorzędne prawie znaczenie z twarzą, mają też ten wyraz jakiegoś wielkiego natężenia.

Epoka twórczości trwa u Matejki przez całe życie. Ten człowiek o woskowo-bładej cerze, zgarbiony, mały, z rękami cienkimi, prawie bez mięśni i okrytymi siatką żył, na pozór wyglądał tak, że trudno było przypuścić, że to on sam zamalowywał te olbrzymie płótna. Gdy się widziało tego słabego człowieka z paletą w ręku, na której były góry farb, przychodziło odrazu na myśl, że tu siła ciała nie ma znaczenia, bo by nie mogła sprostać takim trudom od świtu do nocy. W tem cieple, połamanem przez trud (ramię podtrzymujące paletę było znacznie wyższe od prawego, które znowu było opuszczone na dół; często można obserwować u malarzy tę nierówność ramion, np. Juliusz Kossak, Gerson mieli również to skrzywienie ramion wskutek ciągłej pracy, ale Matejko miał je w stopniu najwyższym ze wszystkich znanych mi malarzy), tkwiła bajeczna wprost siła woli. Jako narkotyku używał Matejko nadzwyczajnie wonnego i silnego tureckiego tytoniu, palił papierosy własnoręcznie skręcane bez mundsztuków i bez cygarnicy, to też palce jego białej i nerwowej ręki były na końcach brunatnego koloru. U siebie w pracowni, jeśli już kogo do siebie wpuścić pozwolił, był miłym, bardzo prostym i uprzejmym, a w dowód szczególnego zadowolenia sam gościowi skręcał papierosa, grubego jak palec.

Modelom swoim płacił po królewsku, choć mało używał płatnych modeli do głów. Najwięksi panowie i panie ubiegali się o zaszczyt pozowania Matejce do jego obrazów.

Od r. 1864 do 1875 powstają: *Unia i Sejm grodzieński*, zakupione przez cesarza Franciszka Józefa, *Batory* zakupiony do Paryża, wreszcie *Hold Pruski*, zakupiony przez kraj.

Jakkolwiek trudno jest zdecydować, który z obrazów Matejki z tej epoki jest najlepszy, to jednak jako technika malarska najwyżej stoi chyba *Hold Pruski*. Są w tym obrazie głowy takie, jakich, bez przesady, znaleźć trudno w całym malarstwie europejskiem, nie wyłączając renesansu włoskiego, przyczem z całego obrazu bije ogromna potęga i majestat.

W roku 1874 przy przejmujących duszę dźwiękach Zygmunta rozpoczyna kolejno: *Bitwę pod Grunwaldem*. Wielbiciele mistrza wybijają na jego cześć medal.

Obok *Grunwaldu* maluje *Ś-go Ludwika*.



W tymże samym roku kupuje o kilka kilometrów od Krakowa wieś *Krzyszowice*.

Tworzy *Jana Wilczka* i *Irana Groźnego*, dwa średniej wielkości obrazy, ale ostatni o niesłychanej potędze nastroju.

Na tej pracy schodzi mu 2 lata. W r. 1877 pojechał Matejko pierwszy raz do Warszawy i wstąpił po drodze do Częstochowy — na Jasną Górę.

Warszawa przyjęła mistrza obiadem w re-sursie obywatelskiej. Zebrało się 275 osób zajmujących najrozmaitsze wybitne stanowiska. Przemawiali profesorowie: Henryk Struve i Wojciech Gerson.

Z Warszawy Matejko ruszył na Pomorze obejrzeć pole bitwy Grunwaldskiej. Ztamtąd pojechał do Torunia i Gdańska. W tymże roku został mianowany członkiem akademii Rafała Santi w Urbino, akurat w dzień urodzin Rafała. Na Salonie Paryskim otrzymuje medal honorowy i znak legii honorowej. Oprócz tego prezydent Rzeczypospolitej przysłała mu wazon sewrski. W tymże roku, tak obfitym w różne zdarzenia, umiera mu córeczka ukochana i sam kilka tygodni pasuje się z ciężką chorobą. Rok następny był spokojniejszy. Matejko skończył Grunwald i znowu podobno, gdy kładł podpis na obrazie, dzwon Zygmunowski, z powodu jakiejś uroczystości, brzmiał tak samo jak przy zaczęciu obrazu. Jednym słowem w tym grodzie grobów i pamiątek Matejko ma swoje legendy.

Gdy obraz wystawiono w ratuszu miejskim, prezydent miasta Krakowa, Mikołaj Zybkiewicz, wręczył Matejce berło złote, jako mistrzowi, królowi malarstwa polskiego.

Matejko był tem bardzo silnie poruszony i wpływ tego aktu odbił się w całym dalszym ciągu jego życia. Matejko, skłonny bardzo do mistycyzmu, żyjący duchem w epoce dawno minionej, tracił coraz bardziej możność zrozumienia społecznych stosunków i społecznych ludzi. Był to marzyciel całkiem odosobniony, duchem obcował z przeszłością tylko i ztąd rozdzźwięk często dawał się słyszeć, jeżeli Matejko był zmuszony wystąpić jako człowiek czasu, w którym żył.

Po wręczeniu mu berła i wielkich demonstracjach na jego cześć, stanowisko Matejki stało się bardzo trudnem: postawiono go tak wysoko, jak tylko biedny naród mógł genialnego artystę postawić, a potem dziwiono się, że nie jest popular-

nym i że z pierwszym lepszym radcą miejskim nie chce rozmawiać. Od takiego uwielbienia niejedna głowa mogła się zawrócić.

Po uroczystościach krakowskich Matejko wyjechał na jakiś czas do Włoch. Był w Wenecyi, Florencyi i Rzymie. Skutek tej podróży charakteryzuje p. M. Sokołowski w ten sposób. «Podróże te nie miały żadnego głębszego znaczenia dla wewnętrznego życia i twórczości Matejki. Były epizodami zewnętrznymi, budzącymi interes — jak wszystko co wielkiego człowieka dotyczy, ale nie wpłynęły na rozwój jego techniki». W znacznej części, jak np. do Paryża i do Rzymu, nie jechał po to, aby brać, aby korzystać z nauki zachodnich społeczeństw, jak zwykle inni artyści, ale aby dawać, ze swemi obrazami, i aby się zetknąć osobiście z opinią świata o nich. W r. 1879 jest już z powrotem w Krakowie, z kąd aż do śmierci nie wyjeżdża dalej, jak do Krzesławic.

Ciekawą jest historia sekretarza Matejki. — Pewnego dnia jakiś przyzwoicie odziany człowiek padł przed nim na kolana. Matejko silnie zdziwiony spytał: «Co to ma znaczyć?» Wtedy pan ów patetycznie zawołał: «Mistrzu, pozwól mi zostać przy sobie, nie odpychaj mnie!» Zaskoczony tak Matejko pozwolił mu pozostać i dał mu miejsce wakujące sekretarza szkoły.

Matejko, zapracowany od świtu do nocy, niewątpliwie potrzebował człowieka, któryby załatwiał za niego liczne interesa, związane z życiem powszedniem i stanowiskiem, jakie Matejko zajmował w społeczeństwie. Otóż pokazało się, że wybór był źle zrobiony, bo Matejko z powodu swego sekretarza częstokroć narażony bywał na wielkie przykrości. Bałwochwalczem uwielbieniem mistrza, które silnie zakrawało na udane, sekretarz potrafił pozyskać jego zaufanie, którego często nadużywał. Z umysłu potrącamy o te sprawy, gdyż pewne czyny, które przypisywano Matejce, były dziełem jego sekretarza — inaczej by nie można pojąć ich genezy.

Parę razy z podszeptów sekretarza Matejko stanął w tak trudnem położeniu wobec stosunków, jakie go otaczały, że zamyślał kraj opuścić.

Taką np. była sprawa z radą Miasta Krakowa o gmach i plac Ś-go Ducha. Matejko, któremu sprawę tę podszeptął sekretarz, odniósł się do rady miasta, aby mu dała plac i zabudowania po kościele i klasztorze Ś-go Ducha. Rada mia-



sta, jakkolwiek była z wielkiem dla Matejki uwielbieniem i w zasadzie przychylna budowie nowej szkoły,—znalazła się w trudnem położeniu, ponieważ plac ten był przeznaczony pod budowę nowego teatru. Stronnictwo konserwatywne wzięło stronę mistrza, liberalne zaś broniło przyszłego teatru; sprawa przybrała ostry charakter. Dopiero interwencya najbardziej wpływowych ludzi zdołała burzę zażegnać.

Oprócz obrazów Matejko malował wiele portretów. Jednak te portrety nie miały cechy podobizn osób portretowanych, bo ciągle obcowanie z przeszłością kazało Matejce widzieć w każdym człowieku społecznym jakąś postać z przeszłości. I tak np. panią Augustową Potocką namalował jako królowę Kingę; p. Cichockiego, jako Daszkiewicza, hetmana kozackiego. Malował też portret swojej żony w stroju ślubnym, portret kuzynki panny Serafińskiej. Dwa te portrety uległy całkowitemu zniszczeniu, pocięte w rozdrażnieniu chorobliwem przez żonę mistrza.

Portrety dzieci mistrza dochowały się doskonale; są dwa: na jednym jest czworo dzieci—dwie córki. Miał wszystkich dzieci 5-cioro; jedna z córek, Regina, zmarła małym dziecięciem, a na jej pamiątkę, zdaje się, mistrz namalował *Kochanowskiego nad zwłokami Urszulki*.

Drugi portret przedstawia młodszego syna, Jasia, na kucu. Z portretów jeszcze robił St. Tarnowskiego, Artura Potockiego, Zyblikiewicza, Dietla. Wreszcie portret własny, jak się zdaje jedy-ny, będący własnością hr. Milewskiego.

Portrety jednak nie były wcale mocną stroną Matejki. I łatwo to sobie wytłumaczyć. Matejko, jako genialny talent, był równocześnie subiektywnym talentem, znaczy to, że wszystko, co przeszło przez umysł Matejki, nabierało charakteru jego indywidualności. W każdej jego pracy odbijały się osobiste jego upodobania, jego nerwowa linia o tysiącnych drgających załamkach. To też każda głowa, namalowana przez Matejkę, nie była sobą, ale była taką, jaką Matejko w danej chwili chciał ją mieć. Że zaś to wszystko, właśnie wskutek olbrzymiego talentu, było spotęgowane u Matejki do maximum, więc też portrety zdaleka i zlekka tylko przypominały osoby, podług których były wykonane.

Zresztą wiadomo, że tylko wyjątkowe talenta są w stanie wykonywać dobre portrety.

Najlepszy portrecista, jakiego w historii sztuki europejskiej spotykamy, Franz Hals, nic oprócz portretów nie malował. Są wprawdzie wyjątki od tej reguły, takie jak Rubens, Rafael, Tycyan, ale też i czasy, w których żyli, były inne i portrety były konieczną częścią pracy artystów.

Wróćmy na chwilę do szkoły sztuk pięknych.

Dyrektorstwo szkoły, oprócz rozczarowań i zmartwień, przyniosło Matejce jeszcze dużo kłopotów i zajęć urzędowych, które go męczyły nad wszelki wyraz przez to, że odrywały od ulubionej nad wszystko pracy.

Pomieszczenie w starej technice okazało się nieodpowiedniem. Pomimo to dopiero w r. 1877 zdołał przeprowadzić tyle, że wynajęto dom na ulicy Garbarskiej pod № 1. W tym samym roku dopiero skompletował ciało nauczycielskie; profesorami byli wtedy: Wł. Łuszczkiewicz, dawny prof. Matejki, Löffler, Cynk; docentami — Grabiński, Szynalewski i Gadomski. Oprócz tego było jeszcze dwóch docentów do anatomii i perspektywy. Ze wszystkich profesorów wykształceniem ogólnem wyróżniał się Wł. Łuszczkiewicz.

Dział kompozycji czyli majsterszula, jak niemiecka go nazywano, nie znalazł pomieszczenia na ul. Garbarskiej. Wynajęto więc na rogu ulicy Karmelickiej i Batorego piętro i tam w pokojach źle oświetlonych i całkiem do celu nieodpowiednich pomieszczono starszych uczniów, malujących już obrazy.

W tych nieodpowiednich pomieszczeniach przebywało podówczas kilku młodych malarzy: Wyczółkowski, Piotrowski, Jacek Malczewski, Gramatyka, Koniuszko, Pochwański i Niemczykiewicz. Z tych już tylko Gramatyka malował obrazy na tle historycznem, a wszyscy inni uprawiali malarstwo rodzajowe, z czego mistrz wcale nie był zadowolony. Stan takiego rozstrzelenia szkoły trwał aż do roku 1879; dopiero w tym roku szkoła Krakowska przeniosła się do gmachu specjalnego na Kleparzu, w którym pozostaje dotąd. Widzimy tam kolejno: Hercnisa, Krzesza, Rossowskiego, Pawliszaka, Żelechowskiego, Wodzinowskiego, Tetmajera i wielu innych.

Malarstwo historyczne otrzymuje nareszcie swój specjalny dział pod nazwą *Izba malarstwa historycznego*. To też Rossowski i Krzesz zaczynają two-

rzyć naśladownictwa mistrza, inni zaś, mniej podatni, robią obrazki rodzajowe. Na tę epokę właśnie przypada recenzja krytyka wiedeńskiego Ranzoni'ego o obrazach uczniów Matejki, w której nazywa ich «Matejko's Ablegern». Byli to ostatni naśladowcy. Pomiedzy uczniami zjawił się w tym czasie Unierzyski, który z Rzymu przyjechał do Krakowa do szkoły; malarz religijny, miły i uczciwy człowiek, został ulubieńcem Matejki, wkrótce ożenił się ze starszą córką mistrza i otrzymał posadę profesora, którą do dziś dnia zajmuje.

W r. 1880, równocześnie z głównemi uroczystościami w Krakowie z powodu jubileuszu Kraszewskiego i założenia Muzeum Narodowego, Matejko rozpoczyna malować *Sobieskiego zwycięzę*, przeznaczonego zgóry do Watykanu, w celu, jak sam mówił, «załatwienia rachunków z Rzymem». Deputacja największych magnatów pośpieszyła wraz z mistrzem do Rzymu, aby ofiarować Papieżowi Leonowi XIII obraz mistrza. Dalej rozpoczyna malować *Joannę wejść do Reims*, jak mówi, w celu porachunków z Francją. Obraz, wystawiony w Paryżu nie robi wrażenia i w ogóle pozostaje niesprzedanym za życia mistrza. Po śmierci mistrza dostaje się Joanna w podziale spadkowym p. Janowi Matejce najmłodszemu synowi, który za 6000 guldenów sprzedał ten obraz hr. Raczyńskiemu.

*Bitwę pod Grunwaldem* kupuje p. Rozenblum z Warszawy za 40000 rubli; obecnie nabyła go Warszawa do zbiorów swego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem.

Następnie powstaje *Wernyhora i Kościuszko*, zakupiony na własność kraju.

Dalej Matejko maluje dla ostatecznego porachunku z krajem *Śluby Jana Kazimierza we Lwowie*.

Gdy się zastanowimy nad tematami obrazów Matejki, musimy dojść do tego przekonania, że Matejko chciał i po swojemu przeprowadził w swoich obrazach pewną ideę. Że ta idea nie miała nic wspólnego z tem, co nazywają stańczykowstwem w Galicyi, to zdaje się nie ulegać kwestyi, a jednak p. Sokołowski w cytacie, którą przytoczyliśmy wyżej, przyczepia mistrzowi epitet Stańczyka. Stanowczo można twierdzić, że Matejko nie był ani stańczykiem, ani demokratą now-

szego pokroju; on poprostu był arystokratą ducha, a partyjne zachcianki stronnice nic go nie obchodziły.

Matejko jako całość talentu robi wrażenie wprost tytaniczne. Z obrazów jego przez bogate materye, futra i zbroje obok świetnej przeszłości przebija jakaś groza i jakaś przestroga, która mimowoli przejmuje dreszczem. Nic u niego niema liryzmu: jeśli maluje scenę miłosną, jak w *Barbarze i Zygmuncie*, to i tam płaczą brzozy i na błękitnem niebie wieczornem ukazują się złowróźbna kometa.

Jednem słowem, każdy obraz to dramat, czasami zamaskowany, ale widniejący pod maską przepychu i bogactwa. Z mniejszych prac Matejki wymienić trzeba: *Warneńczyka*, *Władysława Białego*, *Bolesława Wstydlivego*, *Maćka Borkowica*, cykl obrazków: *Cywilizacya w Polsce*, *Żaki*, *Uczta Wierzyńska*, *Wyrok*; dalej—kartony do dekoracyi Politechniki Lwowskiej, malowane bardzo nieudolnie przez jego uczniów. Wreszcie jedno z dzieł wiekopomnych, które jest i pozostanie z natury swej najbardziej popularnem,—*polichromia kościoła Maryackiego w Krakowie*.

Żadne z dzieł Matejki nie wywołało takiej wrzawy jak właśnie to. Jedni ubolewali szczerze nad zniszczeniem kościoła Maryackiego przez jaskrawą polichromię—inni zachwycali się bezgranicznie. Polichromia kościoła Maryackiego była podjęta na zasadzie, postawionej przez Violet le Duc'a, że gotyk pierwotny był polichromowany. Restauracya St. Chapelle, przeprowadzona przez sławnego architekta i pierwszorzędnego znawcę gotyku, nie tylko u nas wywołała prąd do polichromowania starych kościołów gotyckich.

Gdy się zastanowimy nad rzeźbami Wita Stwosza—nad ich polichromią—musimy przyjść do tego przekonania, że jeśli ołtarz jest złożony i polichromowany — to ściany bezwarunkowo nie mogą pozostać białe. Z tej zasady wychodząc Matejko skomponował swoją polichromię kościoła Maryackiego, która dowodzi ogromnego zżycia się Matejki z duchem wieków średnich. Koroną tej polichromii jest litania do Patronki kościoła w presbiteryum. Dziś trudno uwierzyć, że ściany kościoła Maryackiego żadnej nie miały ozdoby oprócz warstwy szarego kurzu. Polichromia tak się zlała z całością świą-

tyni, że dopiero teraz możemy podziwiać intuicyę artystyczną Matejki, który odgadł ostateczne wrażenie polichromii. Dzięki geniuszowi Matejki, kościół Maryacki jest jedną więcej ozdobą podwawelskiego miasta pamiątek.

Podczas konkursów na pomnik Mickiewicza w Krakowie, Matejko w ostatniej prawie chwili podał swój rysunek ołówkowy projektu na pomnik. Tak wielką była cześć dla Matejki, że członkowie sądu konkursowego — z pominięciem warunków konkursu — oddali pierwszą nagrodę szkicowi Matejki. Podług tego szkicu wykonali projekty w  $\frac{1}{3}$  naturalnej wielkości rzeźbiarze: Teodor Rygier i Walery Gądomski. Jednak skutek w zupełności zawiódł nadzieję, pomnik okazał się niemożliwym do postawienia. Stały te pomniki długo w sali zwanej Langierowską — wreszcie potrzeba opróżnienia sali, którą całkowicie zajmowały, zmusiła zarząd Muzeum do połamania gipsowych odlewów i usunięcia.

Matejko na kilka lat przed śmiercią cierpiał na kurczę żołądka, w ostatnim roku okazało się, że to rak.

Już w Październiku r. 1893 głuche wieści o pogorszeniu się zdrowia Matejki kursowały po Krakowie. Widywano pomimo to Matejkę z twarzą woskowej bladeści, idącego z trudem z domu na ul. Floryańskiej na Kleparz do swej pracowni w szkole sztuk pięknych.

Wreszcie 1 Listopada podczas roboty schwycił go straszne bóle i przeniesiony do domu, skończył pełen trudu i wielkiej chwały żywot.

Pogrzeb na wyraźne życzenie Mistrza był bardzo skromny. Czarna trumna zamknęła w sobie na wieki znikome i spracowane szczątki, z których duch olbrzymi odleciał. Pomimo skromności obrzędu w zasadzie, uświetniły go wszystkie prawie znakomitości współczesne. Przed domem mistrza przemawiał St. Tarnowski. Na czele pogrzebu kroczyła osierocona Szkoła sztuk pięknych, wokoło karawanu członkowie Akademii Umiejętności, profesorowie uniwersytetów Lwowskiego i Krakowskiego, Rady miast Lwowa i Krakowa, Namiestnik i Marszałek. Pomiędzy artystami siedł Ilija Repin i Aleksander Gierymski. Przytem duchowieństwo krakowskie z księciem bisku-

pem na czele. Latarnie były osłonięte krepą i zapalone — w całym mieście panowała uroczysta cisza, na tle której dźwięczały ponuro dzwony kościołów krakowskich, żegnające największego mistrza malarstwa polskiego. Na cmentarzu przemawiał prof. Łuszczkiewicz.

Matejko jest w historii malarstwa całkiem odosobniony. Niepodobna go zaliczyć do żadnej ze szkół współczesnych mu w Europie. Powinowactwa jego talentu potrzebaby szukać pomiędzy mistrzami wieków średnich.

Całą bajeczną swoją technikę malarską zdobył sam, nie oglądając się na żadne wzory. Olbrzymia wprost intuicya artystyczna, z jaką odgadywał charakter postaci z historii, robi zeń niewątpliwie najpierwszego malarza historii na świecie. Gdy porównamy z nim któregośkolwiek z malarzy — np. Piloti'ego albo Munkaczego — widzimy, że tamci kopiowali swoje modele ściśle. Matejce model służył jako kanwa, na której dopiero jego talent tkął potężnego wyrazu i charakteru postaci.

Nic też dziwnego, że tak wyjątkowo potężna indywidualność nie pozostawiła sukcesora, ucznia: potrzebaby równie potężnego talentu. Był on pierwszym i ostatnim.

Samo branie tematu z historii nie było u nas nowością, jak to niektórzy mniemali. Wielkość Matejki wyjątkowa nie leży w tem, że malował obrazy historyczne — ale, że je malował jak nikt dotąd. Możemy wyliczyć cały szereg malarzy polskich przed Matejką, biorących temat z historii. Dla tego kładziemy na to nacisk, że bardzo wielu mniema, jakoby główną zasługą Matejki na polu sztuki polskiej były właśnie historyczne temata. Jest to sprowadzanie Matejki z bardzo wysokiego piedestału do szeregu wielu naszych malarzy historycznych.

Nasz ogół dopiero kiedyś będzie w stanie bezstronnie ocenić Matejkę, jako malarza. W każdym razie niewątpliwie, nie przesądzając najświetniejszej przyszłości naszej sztuki, Matejko pozostanie ze swoją indywidualnością niezwykłym i potężnym artystą.

*Antoni Piotrowski.*

# Józef Wybicki.

\* 1747 † 1822.

**W** połowie XVI w. niejaki Wieben przywędrował do Polski, wstąpił do wojska Rzplitej, otrzymał indygenat od Zygmunta Augusta, osiadł na Pomorzu i przyjął nazwisko Wybicki. Z tego spolszczonego rodu d. 29 września 1747 r. w dziedzicznej wsi Bendominie w województwie Pomorskiem, urodził się Józef Wybicki z ojca Piotra Sądowego ziemskiego mirachowskiego i matki, Konstancyi z Lnińskich.

Wychowywał się pierwotnie w bogobojnym i oświeconym na owe czasy domu rodzicielskim, póki stryj, Franciszek, archidyakon pomorski, nie wziął go do siebie na dalszą edukację. Ciężkie czasy zaczęły się wtedy dla sześciolatniego chłopca; oddany na naukę do wikaryusza Skaryszewskiego, doświadczać musiał na sobie całej surowości ówczesnej pedagogii.

Po dwóch latach, skoro już nauczył się czytać i pisać, jak również zapamiętał początki łaciny, oddany został do jezuitów w Gdańsku na Szotlandzie.

W dobitnych wyrazach kreśli Wybicki w swoich pamiętnikach oplakany obraz pedagogii jezuickiej owych czasów, jakie sam na własnej doświadczał skórze.

«Codzień bito, codzień słyshałem jęk prośby uczniów; tyraństwo nauczycieli było zwykłym tej szkoły obrazem».

W dwunastym roku życia przerwał na czas jakiś nauki, z powodu śmierci ojca, która takie na nim wywarła wrażenie, iż postanowił wstąpić do zakonu reformatów, i dopiero stryj odwiódł go od tego zamiaru. Powrócił więc Józef do szkoły, nie skończył jej jednak, doprowadzony bowiem brutalnością jednego ze swych wychowawców do ostateczności, wypowiedział posłuszeństwo władzy szkolnej razem z innymi kolegami. Sprawa oparła się o stryja opie-

kuna, który wziął go ze szkoły i oddał do kancelaryi grodzkiej, a następnie trybunalskiej. Kancelarye ówczesne miano za szkoły, które każdy sposobiący się do publicznych urzędów, przejść był powinien. Lecz Wybicki, żądny wiedzy, nie-



Podług portretu ze zbiorów Al. Kraushara.

*Józef Wybicki.*



zależnie od zajęć kancelaryjnych, na własną rękę oddał się nauce. Tymczasem same stosunki rodzinne wymagały czynnej jego opieki, z powodów bowiem procesu musiał bronić w sądach majątku rodzinnego. Nie było to zresztą dla niego bez korzyści, gdyż wyrobiło mu rozgłosne w okolicy imię, tak, iż wkrótce w siedemnastym roku życia powoływano go do obrony innych spraw. Sława sumiennego i szczęśliwego obrońcy dopomagała mu odtąd wielce w karierze politycznej.

Tymczasem kraj cały zajęty był zbliżającym się wyborem nowego króla po śmierci Augusta III-go. Mostowski, wojewoda pomorski, stronnik Czartoryskich, wyjeżdżając na elekcję do Warszawy, zabrał z sobą Wybickiego, jako kancelarzystę wojewodzińskiego. Tutaj na sejmach bezkrólewia, słysząc przemawiających wybitnych statystów i obcując w towarzystwie najznamienitszych wówczas mężów Rzplitej, mógł przekonać się, jak sam mało umie, a zawsze żądny wiedzy i nauki, tem silniej postanowił dopełnić poznane w sobie braki. Nakupował też wiele książek, którym odtąd cały czas wolny poświęcał. Wkrótce potem przez Fleminga, następcę Mostowskiego na województwie pomorskim, mianowany został subdelegatem grodzkim. Urząd to był dość ważny, obejmował egzekucję wyroków sądowych i t. p.

Popularny i ceniony w coraz szerszych kołach, mimo wiek młody, Wybicki obrany został jednym z czterech posłów ziemi pruskiej na sejm warszawski 1767 r.

Po przyjeździe do Warszawy, zerwał zupełnie z palestrą, a cały poświęcił się uzupełnieniu luk, jakie dobrze widział w swoim wykształceniu. Mieszkał u Karmelitów bosych na Krakowskim Przedmieściu, pracując usilnie już to w bibliotece Żałuskich, już to pobierając lekcję geografii, historii, języka francuskiego. Dziwny kontrast zachodził między młodzieńcem, poświęconym w zupełności pracy książkowej, a ówczesną Warszawą, rozbrzmiewającą hukami sejmowym. Tymczasem sejm, wkrótce po otwarciu, zalimowany został na czas nieograniczony, po wybraniu delegacji z senatu i rycerstwa dla sprawy dysydentów. Biskup Krasiński, dusza opozycji sejmowej, poszukiwał jakiego posła, któryby ośmielił się zażądać głosu, a w razie odmowy zanieść protestację w obliczu sejmu i do grodu ją zapi-

sać. Gdy o tem dowiedział się Wybicki, zaraz podjął się tego wystąpienia, chociaż narażało go ono na jawne niebezpieczeństwo ze strony ambasadatorów cudzoziemskich. Oczekiwał tej chwili, przygotowując się do niej, czytaniem życiorysów Plutarcha. Nakoniec 26 lutego 1768 r. nastąpiła reasumpcja podczas czytania roboty delegacyjnej, zażądał głosu Wybicki, i gdy go nie otrzymał, z donośnym oświadczył się protestem.

Zwrócił na siebie powszechną uwagę tak swoim odważnem wystąpieniem, jak i młodym wiekiem. Sesię salwowano, zaraz jednak rozpoczęto poszukiwania Wybickiego, który, widząc co mu grozi, skrył się z początku u Bernardynów; ojcowie jednak, obawiając się, by przez takiego gościa sami nie ucierpieli, wyprosili go; to samo spotkało go i w mieszkaniu nuncjusza i u OO. Misyonarzy; czas jakiś u Karmelitów ukrywał się pod dachem, póki mu wreszcie rodzina nie wystarała się o dogodniejsze mieszkanie. Nie długo jednak przebywał w Warszawie; 7 marca 1768 r. wyjechał ztąd do Piotrkowa, gdzie zdołał skłonić miejscowego rejenta do przyjęcia od niego manifestu protestacyjnego, który jednak marszałek trybunału Lniński kazał z akt wykreślić. Wtedy Wybicki udał się do Krakowa, lecz że i tu go szukano, umknął na Spiż; tutaj biskup miejscowy Zbyszko przyjął jego manifest, do czego kapituła tamtejsza starodawny posiadała przywilej.

Tutaj na Spiżu spokojnie przebywając, otrzymał wezwanie od Potockiego, podczaszego litewskiego, aby łączył się z konfederacją barską i przywiózł swój manifest. Wyjeżdża więc natychmiast do Krakowa, skąd przebrany za pisarza, przedostaje się do Lwowa, a następnie do Baru. Po przybyciu swoim zaraz został mianowany konsyliarzem generalnym konfederacji barskiej. Potem, gdy konfederaci ukrywali się w Turcyi i gdy zaszła potrzeba wyprawienia kogoś do biskupa Krasińskiego, Wybicki, choć po chorobie, wybrał się w tę podróż. Przebywał ją wśród najcięższych okoliczności, często pieszo, głodno, aż nakoniec dostał się do Cieszyna, pobytu biskupa kamienieckiego, ukrywającego się tam w największym sekrecie. Wkrótce razem z biskupem wyjechał do Paryża, lecz z powodu choroby musiał pozostać w Wiedniu. Tutaj oczekiwał się powrotu biskupa z Paryża, który wyprawił go do Berlina, do jenerałowej Skórzewskiej,



aby przez nią, dzięki jej blizkiej znajomości z Fryderykiem II, trafić do króla pruskiego. Jakoż generałowa, z początku pisemnie, a potem ustnie rozmawiała o sprawach konfederacji z Fryderykiem, który jednak ograniczył się do udzielenia Barzanom rady poddania się Rosyi (list Fryderyka do generałowej, komunikowany przez Wybickiego biskupowi Kasińskiemu, z Gdańska 3 stycznia 1769 c.). Tutaj w Berlinie poznał Wybicki przyszłą swą żonę, Kunegundę Drwęską, siostrzenicę generałowej Skórzewskiej.

Po spełnieniu swej misji berlińskiej wyjechał do Gdańska, by porozumieć się z rezydentem francuskim. Zawiązywano również konfederację w województwie pomorskiem; na jej marszałka powołano Michała Lnińskiego, podwojewodę pomorskiego a wuja Wybickiego; starano się o przyjęcie regimentarstwa generalnego prowincyi pruskiej przez generała Skórzewskiego. W tej to ostatniej sprawie oraz innych interesach konfederackich jeździł jeszcze Wybicki kilkakrotnie zagranicę.

Wobec niepowodzenia Barzan, wyjechał za radą Rybińskiego, opata oliwskiego, do Holandyi, zamieszkał w Leyden i zapisał się do sławnej akademii tamecznej. Tu poświęcił się głównie studyowaniu historyi i prawa politycznego. Przetłumaczył sławne podówczas dzieło «*Les instructions politiques*» głośnego Bielefelda; tłumaczenie to, posłane Rybińskiemu, zaginęło.

Po rocznym pobycie w Leyden, wrócił do Gdańska, z kąd niebawem wyprawiony został przez Konfederację, z nadanym mu dla okazałości tytułem «*pulkownika*»—do Wiednia, dla traktowania z tamecznym posłem francuskim, Durandem, w interesach konfederackich. W istocie też otrzymał tą drogą subsydia francuskie.

Gdy Durand przez rząd francuski został odwołany z Wiednia, znosił się Wybicki z nowym posłem, osławionym kardynałem Rohan, aż do przyjazdu do Wiednia ks. Jabłonowskiego, wojewody poznańskiego. Załatwił sprawy, przez sekretarza ambasady francuskiej, księdza Gorgel, który jednak, jak i sam Rohan, prowadził je nieudale.

Zwodzony i zniechęcony Wybicki, tutaj to w Wiedniu z ust Rohana dowiedział się o pierwszym podziale kraju. Pozostał czas jeszcze pewien w Wiedniu i dopiero po załatwieniu osta-

tnich korespondencyi wyjechał do kraju do matki.

W rok po powrocie do domu ożenił się z wyżej wspomnianą Kunegundą Drwęską, która po kilku miesiącach zmarła. W tym czasie otrzymał podwojewództwo poznańskie; nie długo jednak je trzymał; po śmierci bowiem matki, która niezadługo po śmierci żony zmarła, sprzedał podwojewództwo i w r. 1776 przeniósł się do Warszawy, by znowu służyć krajowi jako prawnik, tembardziej że otwierała się dla niego ważna działalność prawodawcza, gdy sejm w tymże roku powołał Andrzeja Zamoyskiego do napisania kodeksu praw. Jakoteż rzeczywiście Zamoyski wezwał Wybickiego do współpracownictwa, porucił mu nawet redakcję ogólną dzieła. Innymi współpracownikami słynnego projektu Zamoyskiego byli. Grocholski, Szembek biskup płocki, Chreptowicz podkanclerzy litewski, i wielu uczonych korespondentów, tak z kraju jak i z zagranicy. Wybicki prosił nawet o rady Pestela, dawnego swego profesora prawa z akademii lejdejskiej. Z powodu współpracownictwa w tem dziele, musiał prezentować się królowi, który pomimo poprzednich jego protestacyi z r. 1768, przyjął go łaskawie. mianował szambelanem, a nawet zaprosił na swe obiady czwartkowe. Wśród tej pracy pisywał także Wybicki anonimowe «*Listy patryotyczne*» do Zamoyskiego, cieszące się wielkim rozgłosem. W roku 1777 komisya edukacyjna powołała go na wizytatora szkół litewskich. Prezesem Komisyi był wówczas biskup wileński, Massalski, w rękach którego pozostawał zarząd funduszami i tu znalazł Wybicki nadużycia, o których potem zdał raport.

Pracował tymczasem w dalszym ciągu nad projektem Zamoyskiego do r. 1780, kiedy 20-tomowy zbiór praw został przedstawiony sejmowi.

Pulkownik Wybicki wyjechał do Wielkopolski dla zdobycia mandatu poselskiego na ten sejm; szlachta jednak tak była nań oburzona za prawa, które uszczuplały jej prerogatywy, iż nie mógł nawet pokazać się na sejmiku. Na sejmie, jak wiadomo, projekt Zamoyskiego upadł z krete-  
sem, nie pozwolono go nawet odczytać. Od tego czasu przez lat 14 Wybicki nie bierze jawnie czynnego udziału w życiu publicznem; w roku tylko 1789 naznaczony był komisarzem do województwa poznańskiego dla wyegzaminowania ogół-

nich intrat z dóbr ziemskich duchownych i świeckich, a z nich wyłączenia części na uchwalone wojsko ofiarowanych; aż dopiero w r. 1794, kiedy wybuchło powstanie w Warszawie, Wybicki występuje na widownię publiczną. Zaraz na początku powstania wszedł do «Rady tymczasowej zastępczej», a mianowicie do departamentu wojskowego, pod prezydenturą generała Mokronowskiego. Wyświadczył tutaj wielką usługę generałowi Dąbrowskiemu, którego Starzyński, starosta brański, oskarżył o nieprzyjaźń powstaniu i oddał pod sąd departamentu wojskowego. Lud warszawski, podburzony przeciw Dąbrowskiemu domagał się jego śmierci. Wtedy Wybicki osobiście zajął się całą tą sprawą, wykazał bezzasadność oskarżenia, poniekąd uratował w ten sposób Dąbrowskiego.

Podczas rozruchów warszawskich Wybicki sam zagrożony, z trudem zdołał skryć się w domu jen. Mokronowskiego.

Wkrótce potem razem z Mokronowskim udał się do obozu Kościuszki, uczestnicząc odtąd w radzie wojskowej jako pełnomocnik rządu.

Gdy niebawem Dąbrowski wysłany został do Wielkopolski, Wybicki otrzymał rozkaz towarzyszenia mu w tej wyprawie.

Po wzięciu przez Dąbrowskiego Bydgoszczy w październiku 1794 r., Wybicki zaprowadził w tem mieście administrację polską; dwóch prezydentów pruskich z kilkoma członkami regencji odesłał do Warszawy jako zakładników, a do ludności wydał ognistą proklamację. Wkrótce potem Wybicki powziął śmiałą myśl zajęcia Gdańska, z czem zwierzył się Dąbrowskiemu, dostał od niego mały oddział wojska i ruszył w drogę. Dotarł atoli tylko do Świecia, zorganizował tam urzędy krajowe, kiedy nadeszła wiadomość o klęsce maciejowickiej i niewoli Kościuszki.

Dąbrowski co rychlej musiał wracać pod Warszawę. Po przybyciu do Warszawy, zdał Wybicki raport nowemu naczelnikowi Wawrzeckiemu, poczem ponownie towarzyszył Dąbrowskiemu, wysłanemu do Rawy dla obserwowania prusaków. Tu zastała go wiadomość o zajęciu Pragi przez Suworowa i ostatecznym upadku powstania; udał się przeto do Galicyi, gdy naraz dostał wiadomość od ordynatowej Zamoyskiej z Wiednia, że nakazano go ścigać jako złoczyńcę. W przebra-

niu, krętą drogą na Lwów, Tarnów i Pragę czeską, przez Szwajcaryę dostał się do Paryża. Wypracował tutaj i złożył dyrektorowi kilka memoriałów w sprawie polskiej, które zwróciły uwagę rządu francuskiego. Polecono mu przeglądać rządową korespondencję polską i rosyjską i udzielać swoich opinii o tych przedmiotach, czego podjął się, jak sam mówi, z wielu względów, tembardziej, że mógł nie jednemu oddać przysługę.

Gdy coraz więcej Polaków przybywało do Paryża, powstała myśl, czy nie dałoby się uwolnić wielu siedzących po fortecach pruskich i urządzić z nich pod przewodnictwem Polaka oddziału, któryby służył w armii. Projekt ten znalazł uznanie i Wybicki przedstawił go dyrektorowi, a Wielhorskiego na generała tego oddziału. Na Wielhorskiego jednak nie zgodzono się, jak również na przybyłego później Zajączkę; dopiero Dąbrowski, polecony przez jen. Klebera, otrzymał rozkaz od dyrektoryatu udania się do Włoch do gen. Bonapartego i porozumienia się w tej ważnej sprawie, stanowiącej o początku legionów.

W roku 1801 otrzymał Wybicki amnestię i osiadł z rodziną we Wrocławiu, potem w r. 1804 przeniósł się do Drezna, poświęcając cały czas i dochody ze swych prac literackich na wychowanie synów. W r. 1805 został powołany na członka Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Po bitwie pod Jeną znów wysunął się na szerszą widownię, wyruszył do Berlina, gdzie znajdował się już Napoleon; po drodze dogonił go adjutant Dąbrowskiego z urzędowym od cesarza wezwaniem do Berlina.

Wybicki przybył do Berlina wieczorem, na drugi dzień rano przedstawił się cesarzowi, który przyjął go bardzo łaskawie i polecił mu natychmiast pisać proklamację do narodu polskiego.

Proklamacja ta wydrukowaną została w Berlinie 3 listopada 1806 r. Tegoż dnia wieczorem, na rozkaz Napoleona, wyjechał Wybicki do Poznania, aby w jego imieniu organizować władze sądownicze i administracyjne, podczas gdy Dąbrowski miał zająć się formowaniem nowych korpusów w uniformach polskich.

Po przyjeździe do Poznania, Wybicki zorganizował deputację do Napoleona, bawiącego jeszcze w Berlinie, na czele której stanął Działyński. Te same zarządzenia zaprowadził rów-

niez w Kaliszu, szykując zarazem wszystko na przybycie do Poznania Napoleona, któremu zaraz po przyjeździe zdał raport ze swych czynności.

Napoleon wyraził mu swe zadowolenie, zwłaszcza za dostarczoną obficie żywność i furaz dla wojska. Gdy nadeszła wiadomość o ustąpieniu prusaków z Warszawy, kazał mu cesarz natychmiast tam jechać dla zorganizowania administracji i uformowania zaciągów wojennych, zleciwszy mu jeszcze poprzednio rozpisać uniwersały na pospolite ruszenie, jak również zredagować nową proklamację do obywateli i duchowieństwa. W Warszawie usiłowania organizacyjne Wybickiego spotkały się z rozlicznymi trudnościami, które powiększała jeszcze zupełna nieznajomość stosunków miejscowych przez Wybickiego. Jednak i tutaj zręcznie sobie poczynił Wybicki i skoro usłyszał od ks. Józefa skargę o zupełnym braku funduszy, przyrzekł mu Wybicki na następny dzień 100,000 złp. i sam z własnego funduszu ofiarował 20,000 złp.

Gdy Napoleon przeszedł Wisłę i stanął nad Narwią we wsi Okuniewie, znowu zawezwał do siebie Wybickiego i wysłał go do Płocka, by tam urządził administrację. W tym samym czasie ks. Talleyrand rządził, by Komisya Rządzająca wysłała kogo na prawy brzeg Wisły z zupełną swą mocą. Wybór padł na Wybickiego. Napoleon w nagrodę nazначzył Wybickiemu dożywotnią pensję i chciał mu indemnizować skonfiskowane majątki w dobrach narodowych, atoli Wybicki zrzekł się tego daru, prosił tylko o zwrócenie mu jego własnych dóbr, które rzeczywiście już po ustanowieniu Ks. Warszawskiego zostały mu zwrócone.

Po traktacie tyłżyckim Wybicki, wraz z Komisją Rządzającą Warszawską udał się do Drezna dla odebrania Konstytucji nowego Księstwa z rąk cesarza. Po drodze Stanisław Potocki z Wybickim układali niektóre do Konstytucji uwagi; nie znalazły one jednak zgoda aprobaty Napoleona. Zawezwał w ich obecności ks. Bassano i zaczął

mu dyktować Konstytucję, pytając się tylko Komisji co jakiś czas, czy są zadowoleni; dyktowanie nie trwało godziny, kazał ją potem uporządkować i wręczył im i królowi saskiemu po egzemplarzu. Wybicki otrzymał od Napoleona złoty krzyż legii honorowej. Przez króla zaś saskiego a księcia Warszawskiego mianowany został senatorem-wojewodą, potem w r. 1808, ozdobiony orderem orła białego, a w roku następnym mianowany prezesem komisji do układania się z dłużnikami sum bajońskich. W r. 1809, z powodu wybuchłej wojny austriackiej, gdy austriacy wstąpili już w granicę Ks. Warszawskiego, Rada Stanu, z woli króla opuszczając stolicę, stanowiła pełnomocników po województwach, a mianowicie Wybickiego pełnomocnikiem w województwie poznańskim.

Gdy r. 1812, po zawiązaniu konfederacji generalnej warszawskiej, została wysłana deputacja do Napoleona do Wilna, na czele jej stanął Wybicki.

Po ustanowieniu Królestwa Polskiego w r. 1811, zatwierdzony został przez Aleksandra I-go na swych urządach, a w r. 1818 mianowany był prezesem sądu najwyższego.

Wybicki od wczesnego wieku trudnił się piórem, a potem podczas pobytu z synami zagranicą prace literackie były mu źródłem dochodów; zostawił też blisko 50 tomów. Składały się na to rzeczy najrozmaitszej treści, bo opery, komedye, książki naukowe, zwłaszcza polityczne, poezye, pieśni, niektóre nawet cieszą się wielką popularnością. Zostawił też pamiętniki, które, chociaż rozpoczęte jeszcze długo przed śmiercią, przedstawiają jednak dość znaczne luki. W rękopisie pozostawił historię słowaków.

Umarł 10 marca 1822 r. we wsi swojej Manieczkach pod Śremem, pochowany jest w kościele w Brodnicy, gdzie ma skromny drewniany nagrobek.

*Władysław Ossowski.*



# Tadeusz Matuszewic.

\* 1765 † 1819.



**T**adeusz Matuszewic, syn Marcina, kasztelana brzeskiego († 1773) i Anny Szczytówny,

kasztelanki mścisławskiej, urodził się w r. 1765. Po ukończeniu szkół pijarskich w Warszawie, do których uczęszczał wraz ze Stanisławem i Ignacym Potockimi, zaledwie doszedł do pełnoletności, został obrany deputatem na trybunał główny wileński i tu pomimo tak młodego wieku odznaczał się znajomością praw i zwyczajów narodowych oraz niezwykłą dojrzałością i wytrwałością zdania. Zapewne reputacja, którą zdobył na tym urzędzie, i senatorskie pochodzenie sprawiły, iż 23-letniego młodzieńca województwo Brzesko-litewskie obrało posłem na sejm 1788 r. w zacnem

† ranie niemalej wagi i nie zbyt łatwego do przeprowadzenia projektu o «sejmie zawsze gotowym».

Młody poseł po raz pierwszy zabrał głos na długiej nocnej sesyi 3-go listopada (1788). Po uchwale o armii stu tysięcznej wyłoniła się kwestya nader drażliwa, komu powierzyć naczelny zarząd wojska. Stanisław Potocki wniósł projekt zniesienia Departamentu Wojskowego, stanowiącego część Rady Nieustającej, i oddania rządów nad wojskiem osobnej Komisji wojskowej, któraby podlegała jedynie sejmowi, nie zaś Królowi i Radzie Nieustającej. Zacięta dyskusya w tej sprawie pomiędzy stronnictwem królewskim a t. zw. patryotycznym, do którego w pierwszej zaraz chwili zaciągnął się



*Podług portretu ze zbiorów Al. Kraushara.*

towarzystwie 38-letniego, o ustalonej już opinii i wykształconego w szkołach zagranicznych, Kazimierza Sapiehy, zalecając im w instrukcyi popie-

† Matuszewic, toczyła się przez dni dziesięć i zajęła cztery długie posiedzenia sejmowe. Matuszewic odezwał się dopiero podczas głosowania

i wystąpił przeciwko Departamentowi, godząc zarazem w Radę Nieustającą. Zdaniem jego, kto przemawia za Komisją, ten się lęka niewoli, kto zaś mówi za Departamentem, ten chce jeszcze bardziej wzmocnić Radę, on zaś nie widzi, aby wzmacniając Radę, «rządowi kraju poprawę, krajowi pomyślność gotował». Następnie poddał Matuszewic instytucję Rady Nieustającej zimnemu rozbirowi i wytoczył przeciwko jej istocie zarzuty, w których wyraźnie dało się odczuć przejście się młodego posła «Duchem praw» Monteskiusza: «Trudno doskonale opisać Rady Nieustającej istotę, bo trudno znaleźć bądź w dawnych, bądź w teraźniejszych Rządach podobną Radzie instytucję. Z ustawy swojej z sprzecznych złożona własności, do niej należy pilnować uszanowania dla prawa, jej wolno prawa nie szanować, bo wolno prawo tłumaczyć, dostrzegać, aby sprawiedliwość zachowaną była, jej jest powinnością, wglądać w sprawiedliwość sądowych wyroków nie jest jej mocą. Interesy cudzoziemskie jej traktowaniu oddane, alians żaden, ani traktat ważny, oprócz handlowego, nie może być jej dziełem. Słaba i małoczynna, gdy prawu posłuszna, w jego się trzyma obrębach, straszna i najwyższa, gdy wyższa nad prawo, które tłumaczy, gdy to dla niej wątpliwe, co święte dla wszystkich». Te rdzenne wady Rady Nieustającej doprowadziły mówcę do przekonania, że takiej magistraturze władzy nad wojskiem powierzyć niepodobna. Zdaniem jego to wzmocniłoby Radę, ale nie poprawiłoby Rządu, «a smutnem doświadczeniem jużemy nauczeni—ciągnął dalej—że słabość naszą słabości Rządu winniśmy. Teraz jest pora, którą Opatrzność naznaczać zdaje się, teraz i zewnątrz i wewnątrz wzmocnić się nam należy... Nie dla Rady z sił się wyzuwać, ale własne siły z splątania i zawał wyswobodzić, nie Radę w Sejm zamieniać, ale sejmom postać rządną i czynną dać powinniśmy. Niech sejmy nie będą odtąd próżnych formalności obrządkiem, niech trwają póty, póki publicznym wszystkim potrzebom zadosyć się stanie... wtedy i Rada Nieustająca stałaby się niepotrzebną, a choćby nawet zachowaną była, przestałaby być sejmów rywalem... Komisya wojskowa pod czułem i otwartem narodu okiem, granic sobie przepisanych przestąpićby nie mogła... Komisji więc chcę tak obwarowanej, aby o niej

kiedyś to być mówionem nie mogło, co dziś o Radzie mówiono». Kiedy po kilku jeszcze mowach to za Komisją, to za Departamentem, obliczono głosy, okazało się, że po stronie Departamentu była większość. Ale wnet zarządzone tajne głosowanie zmieniło postać rzeczy. Uchylono Departament, a ustanowiono Komisję. Pięćdziesięciu przeszło głosujących nie miało tej odwagi wystąpienia jawnie przeciwko Departamentowi, której nie zbrakło Matuszewicowi, Potockim, Sapież, Niemcewiczowi i innym. Zniesienie bowiem Departamentu godziło w Radę Nieustającą, drażniło Króla i jego stronnictwo, narażało mówcę posłom obcym.

Wnosił więc młody poseł do grona sejmujących szczerze i zdrowe intencje, rozumiał, że Rzeczpospolita potrzebuje poprawy Rządu, a nadewszystko jego restytucji, wiedział na czem ona głównie polega i nie wahał się wypowiedzieć otwarcie swego zdania, któremu umiał zapewnić przewagę darem swej niezwyklej wymowy. Stał też wkrótce w rzędzie najwybitniejszych mówców Sejmu Czteroletniego. Najświetniej mówił wtedy, gdy był najmniej do tego przygotowany. Nie unosząc się nigdy, ale z najzimniejszą krwią, doniosłym i dźwięcznym głosem wypowiadał swe myśli jędrnie, treściwie, niezmiernie jasną i czystą polszczyzną. Treściwszy był od Stanisława Potockiego, jaśniejszy od Ignacego. W ważniejszych sprawach prawie zawsze głos zabierał, ale tylko w razie istotnej potrzeby, lub wówczas gdy się nadarzała sposobność przygotowania umysłów do załatwienia palącej a drażliwej sprawy. Za taką zaś uważał przedewszystkiem zniesienie Rady Nieustającej. 9 stycznia (1789) nawoływał do jak najrychlejszej poprawy Rządu, uznawał potrzebę wynalezienia środków na utrzymanie wojska, odmawiał jednak stanowczo swej zgody na uchwalenie jakichkolwiek trwalszych podatków, dopóki nie zostanie urządzony lepszy nad skarbem dozór, i dopóki Rada Nieustająca, «magistratura, Narodowi niemiła», sięgać będzie do skarbu. Daleko silniej i już wyraźnie, bez żadnych teoretycznych ogródek, wprost ze względu na jej genezę, uderzył na Radę 15 stycznia z tej samej okazji podatków na wojsko. Zgadzał się na składkę doczesną, na pożyczanie sum Stanom Rzeczypospolitej na pomnożenie wojska, ale podatków wieczystych stanowić nie mógł »bo żyje



jeszcze» jak mówił «matka nierządu, a córka gwarancyi—Rada Nieustająca». Dowodził dalej na zasadzie faktów z r. 1775/6, że Rada «czeka tylko abyśmy z majątków naszych dali pomoc na pogńębienie nas samych», wyrażał obawę, «że gdy Sejm złoży podatki, usłyszysz «zdradliwe konfederacyi wytłomaczenie, że już wszystko zrobione, kiedy wojsko i podatki ustanowione, wtedy Rada użyje silnych starunków zwlekać obrady nasze, wreszcie, bodajby nie dokonała, że nas z tej Izby rozproszy. Może potem Rada na wzór 1776, złożwszy sejm pod pozorem uczynienia porządku, to, cośmy teraz ustanowili, zmieni, a to cośmy znieśli, wskrzesi. Doczesnej składki teraz żądam — zakończył Matuszewic — i o nią upraszam, bo ta niebezpieczeństwem nie grozi i prędko wykonaną być może. Dam i wieczny podatek, ale niech będę pewny, że go nie Radzie, nie Gwarancyi, ale Rzeczypospolitej daję». W kilka dni później uchwałą sejmową zniesiono Radę Nieustającą. Odtąd Matuszewic już spokojniej nawoływał do dalszej poprawy Rządu, do energicznych i porządných obrad i do zasilenia skarbu. Co do poprawy Rządu, to nie chciał na razie radykalnych zmian i nowości, dowodził, że należy tylko powrócić mu dawną sprężystość i sprawność, którą się odznaczał za świetnych czasów Rzplitej. Co do podatków, to za właściwsze uznawał ustanowienie podatku z czystego dochodu dóbr ziemskich i nawoływał do bezzwłocznego jego uchwalenia i wykonania, bo, «w stanie, w którym się teraz znajdujemy — mówił—korzyść pośpiechu jest jedną z największych korzyści. Dziś szczęście Ojczyzny w rękach naszych widzimy, jedna zmiana okoliczności tę drogą sposobność wydrzeć nam może na zawsze». W kilkanaście dni później, przed decyzją projektu, «dziesiątą część intrat z dóbr ziemskich na utrzymanie wojska przeznaczającego», zabrał głos w sprawie mniej na pozór ważnej, ale do której on przywiązywał duże znaczenie, a jak się okazało, zdanie jego w zupełności podzieliła i sala sejmowa. Chodziło mu mianowicie o nadanie proponowanemu podatkowi pewnej doniosłości i zobowiązania moralnego, a przez to o zapewnienie mu chętniejszego w przyszłości wykonania. Proponował zatem, ażeby podatek rzeczony był uchwalony w formie ofiary dobrowolnej stanu szlacheckiego na powiększenie i utrzymanie sił

krajowych, zatem aby postanowiono, że «wszystkie dobra ziemskie dziedziczne część dziesiątą czystych intrat do skarbu publicznego na utrzymanie obrony ziemskiej opłacać będą». Zmiana ta została z zapalem przyjęta, a podatek uchwalono w formie «Ofiary dziesiątego grosza».

Rozumiejąc doskonale, że okoliczności wymagają jak największej energii i pośpiechu ze strony sejmujących, że nie wolno im bezkarnie tracić czasu, wystąpił w końcu z wnioskiem, który dnia 24 lipca został przyjęty. Zgodnie z zapadłą uchwałą, królowi wolno było odtąd odkładać sesję tylko do dnia następnego, i to nie inaczej, jak po ukończeniu «materii»; kilkodziennie nawet przerwa nie może nastąpić bez jednomyślnej zgody wszystkich. Król nie będzie obowiązany bywać na sesjach, a przynajmniej konstytucye, zapadłe bez niego, nie tracą nic na ważności. Doniosła sprawa miejska miała w nim gorliwego obrońcę. Wystąpił w obronie miast w grudniu 1789, kiedy niektórzy posłowie zarzucali im niewłaściwe zachowanie się i przesadne roszczenia. Dowodził on, że jeżeli błąd jaki stał się, jeżeli miasta uchybiły toru właściwego, którym iść były powinny, zapewne nie winą ich, lecz winą prowadzących stać się musiało. «Niech więc do szczęścia ludności winą kilku ludzi nie będzie tamą». Pomijamy tu inne liczne wystąpienia Matuszewica na Sejmie Czteroletnim, które nigdy prawie nie miały bez wrażenia i wpływu. Prócz zwykłych obowiązków posła, podejmował się on licznych pozasejmowych prac. Od dnia 20 grudnia (1789) pracował gorliwie w deputacyi interesów zagranicznych, a prócz tego jeszcze współpracował z Mostowskim, Niemcewiczem i in. w redakcyi Gazety Narodowej i Obcej, przez którą stronnictwo patryotyczne starało się wpłynąć na opinię publiczną i przygotowywać skutecznie sprawę reformy Rządu. Wraz z licznym gronem przygotowywał Ustawę Rządową 3-go maja i jej przyjęcie. Choć zrazu zdawał się być gorącym zwolennikiem dawnych praw i zwyczajów narodowych, choć dowodził, że Rząd nie wymaga rdzennej reformy, ale oczyszczenia i wyprostowania—to dla tego, że wtedy w początkach obrad sejmowych uznawał przedewszystkiem za rzecz najpierwszej wagi wyzwolenie Rzplitej i Rządu z pod gwarancyi ściennej. Gdy to się jednak stało, i gdy następnie z rozumną i konieczną

tajemniczością przystąpiono do wszechstronnej i rdzennej naprawy Rządu, przygotowując ustawę majową, Matuszewic znalazł się w gronie wtajemniczonych współpracowników, i sam wniósł ustawę na sesji sejmowej 3-go maja (1791).

Po drugim rozbiórce kraju, w utworzonej przez Kościuszkę 10 maja 1794 Radzie Najwyższej Narodowej dla kierunku spraw cywilnych, składającej się z ośmiu radców i 32 zastępców, Matuszewic mianowany zastępcą pracował w wydziale potrzeb wojskowych, w którym wrzała praca gorączkowa i najpilniejsza.

Po upadku kraju usunął się na wieś w Sandomierskie, do swego Jasieńca w państwie austriackim, i tam obok zajęć gospodarskich, zabrał się do prac literackich. Idąc w ślady ojca, tłumaczył Horacego, Wirgiljusza i słynny poemat Delille'a «O imaginacyi», któremu najzupełniej dorównał wykończeniem formy i pięknnością wiersza.

W sprawach publicznych Księstwa Warszawskiego, jako mieszkający w państwie austriackim, nie brał zrazu żadnego udziału i dopiero w r. 1809 po zajęciu przez księcia Józefa Poniatowskiego Galicyi Zachodniej, został przez tegoż powołany (2 czerwca) na członka Rządu Centralnego wraz z innymi wybitniejszymi obywatelami Galicyi: Wielhorskim, Tarnowskim, Grabowskim i Lewickim pod prezydencją Stanisława Zamoyskiego. W początkach czerwca wysłany został do Wiednia w deputacyi od Galicyi do Napoleona w towarzystwie Ignacego Potockiego i jen. Bronikowskiego. W Wiedniu toczyły się właśnie układy o pokój między Austrią a Francją i rokowania w sprawie zajętego przez ks. Józefa Poniatowskiego w imieniu Napoleona terytorium. Po przybyciu do Wiednia, Matuszewic zapadł na panującą tam wówczas dyzenteryę i dopiero po przyjściu do zdrowia dowiedział się o przygotowanym już projekcie traktatu, w którym Austria miała odstąpić Księstwu Warszawskiemu Galicyę Zachodnią, ale tylko po linię, zajęłą przez wojska polskie. W ten sposób cyrkuł Zamojski i Wieliczka tylko w części odeszłyby do Księstwa. Matuszewic natychmiast pobiegł do Mareta i wymownie starał się go przekonać o potrzebie zachowania dla Księstwa twierdzy Zamościa, wystawił mu wyniszczony stan ekonomiczny Galicyi i zwrócił uwagę na to, że Galicya bez Wieliczki nie przyniesie

żadnej korzyści Księstwu, a przez to i Francyi, dowodził w końcu, że prezesowi Rządu Centralnego, Stanisławowi Zamoyskiemu, nie godzi się czynić tej krzywdy, ażeby miał być przez rozpołowienie swej ordynacyi poddanym austriackim. Maret przyrzekł uczynić w tej mierze przełożenie Napoleonowi, a wkrótce potem Matuszewic wezwany do cesarza w jasnym i umiarkowanym przemówieniu umiał go skłonić do tego, że cesarz zmienił projekt traktatu, włączając całą ordynacyę Zamojską do Księstwa, a Wieliczkę przyrzekł uczynić zasadniczym punktem układów. Skończyło się jednak na tem, że traktat wiedeński (14 października) Wieliczkę i całe terytorium żup solnych uczynił wspólną własnością Austrii i Księstwa. Po zawarciu traktatów Matuszewic wraz ze wszystkimi członkami Rządu Centralnego, dekretem cesarskim został mianowany radcą stanu Księstwa Warszawskiego. Wkrótce potem został wezwany do Paryża dla przedstawienia stanu ekonomicznego nowych nabytków Galicyjskich; po osobistem posłuchaniu u Napoleona, polecono mu złożyć w tym względzie memoriał, do którego ułożenia król Saski mianował komisyę z łona Rady Stanu, ale którego ostateczna redakcyja była dziełem Matuszewica. W rzeczonym raporcie Matuszewic kładł największy nacisk na niezbędność wprowadzenia oszczędności w administracyi wewnętrznej i konieczność zasilenia skarbu pożyczką. To przełożenie Matuszewica dało początek otworzonej wkrótce negocyacyi o pożyczkę 12 milionów franków u bankiera Perregaux-Lafitte'a i S-ki, którą też niebawem w zasadzie przynajmniej do skutku doprowadził. 23 maja 1811 pisał z Paryża do Zamoyskiego: «początki otworzonej pożyczki zwiastować zdają się skutek onej prędkiej i pomyślny, wpływających lub niebawem i pewnie wpłynąć mających sum rachują już przeszło 9 mil. franków, przytem bony zaległe z sum bajońskich, wynoszące około miliona dwukroć stutysięcy, biletami tejże pożyczki będą zaspokojone, jest nadzieja, iż na ochotnikach do lokowania kapitałów... nie zbędzie, że może cała zamierzona suma przed terminem zamknięcia pożyczki zapełnioną zostanie». W Paryżu od pierwszej zaraz chwili Matuszewic starał się skorzystać z zawiązanych poufalszych stosunków z ówczesnym ministrem francuskim spraw zagranicznych. U Mareta bywał prawie co wieczór a ponieważ już

wówczas (maj 1811) wisiały w powietrzu niedalekie wypadki dwunastego roku, więc przy każdej sposobności nie zaniedbywał «wyłuszczyć i tego co groziło» wówczas Księstwu w «zamacach z północy, i tego co dolegało w chwilach nawet zwyczajnych», i tego co zalecało nas Francji «tak pamięcią już okazanych, jak podobieństwem i ważnością przyszłych usług». Pochlebiał sobie wówczas, że doprowadzi do tego, że «napaść» nie zaskoczy Księstwa znienacka i że «geniusz, który i w wojnie i w pokoju gwoi swojej zdarzeniami kierować umie, potrafi i to, że napaść nie wybuchnie, chyba wtedy, kiedy to już własnym jego widokom odpowiadać będzie».

Gospodarka finansowa Jana Węgleńskiego, ówczesnego ministra skarbu Księstwa Warszawskiego, od dłuższego już czasu wzbudzała słuszne niezadowolenie i oburzenie wśród społeczeństwa i w sferach rządowych. Jeszcze jesienią 1810 r. zjechał był do Warszawy z Drezna baron Manteuffel, a celniejszym jego zleceniem miało być podobno «szperanie w tej ciemnej i błędnej jaskini», którą w Warszawie nazywano skarbem \*). Zmuszono też wkrótce Węgleńskiego do dobrowolnego usunięcia się. Ministrem skarbu został Matuszewic, zalecony przez Senffta i władze francuskie narówni z Ignacym Sobolewskim, a wybrany na ten urząd przez Fryderyka Augusta. Matuszewic przyjął urząd po długich wymawianiach się, twierdząc, że czyni ofiarę, bo swe dobre imię w tak trudnym urzędowaniu na szwank naraża. Urząd to był wówczas w samej rzeczy trudny. Sprawy skarbowe stanowiły jeden z najdrażliwszych i najważniejszych czynników wewnętrznego zarządu Księstwa, przeciążonego podatkami, kosztowną administracją, kosztownym wojskiem i oczekującego niepomiernych wysiłków wobec nadchodzących wypadków. Poprzednik zaś jego pozostawiał skarb w nieładzie. Ale Matuszewic wnosił wraz z sobą nieskazitelną uczciwość, zdrowy rozsądek, umysł jasny, takt, zimną krew oraz niezmordowaną pracowitość. W dwa miesiące po objęciu skarbu (5 paźdz. 1811), gdy jeszcze z powodu panującego tam nieładu nie mógł się dostatecznie z całą dokładnością obeznac z jego stanem ówczesnym, otwarto (9 grudnia) drugi z kolei Sejm Księstwa, na którym atoli należało prawie wyłączną zwrócić uwagę

na sprawy skarbowe. Matuszewic jednak dzielnie i skutecznie bronił wnoszonych przez siebie projektów podatkowych. Zależało na pomnożeniu dochodów skarbowych, ale zarazem i na ulżeniu tej części ludności, która dotychczas ponosiła ciężary nadmierne. Wprowadzając projekty w wybornej mowie 17 grudnia, Matuszewic, zanim przystąpił do szczegółowego rozbioru i usprawiedliwienia wnoszonych przezeń zmian podatkowych, zwrócił uwagę sejmujących na najpilniejszą potrzebę, którą uznał od pierwszej zaraz chwili swej służby publicznej w Księstwie, mianowicie na nagłą konieczność wprowadzenia znacznej oszczędności w kosztach ogólnej administracji kraju. Mówiąc o świętości grosza publicznego rzekł: «Kiedy wspomnę, że ręka robocza ujmuje go własnej potrzebie, własnemu nieraz wyżywieniu, by go ponieść w hołdzie Ojczyźnie, ach zaiste, nie zamilczę i owszem silniej głosu dobędę, abym uszanował tę wielką prawdę, że pierwszym źródłem zasilenia skarbu jest oszczędność, jest odjęcie tego wszystkiego, co jest zbytecznem, lub niepotrzebnem». Zapowiedział następnie, że koszta administracji, przewidziane na rok przyszły, są zmniejszone o 6 milionów złp., że na tem jednak jeszcze starania w tym kierunku poprzestać nie mogą, ... «oszczędność się zaczęła, oszczędność dojdzie do prawdziwego ścisłości kresu». Oszczędność jednak wówczas sama nie mogła wystarczyć i trzeba było wobec fatalnego stanu ekonomicznego kraju i grożących wypadków wynaleźć nowe źródła dochodu, nie tracąc atoli z oka nieodwołalnej konieczności pewnych ulg dla klas przeciążonych opłatami skarbowymi. Nadmiernie obciążoną, zwłaszcza od czasu ostatniego sejmiku, była ludność rolnicza, co niekorzystnie odbijało się na stanie samego rolnictwa a przez to i Księstwa. Ofiara z dóbr ziemskich zrazu stanowiąca 10% od dochodu, za czasów pruskich podniesiona do 24%, przez ostatni sejm pomnożona w dwójnasób, okazała się za ciężka, czego najlepiej dowodziły liczne zaległości, egzekwowane z trudnością, wskutek czego ze znaczną nieraz stratą musiano przyjmować podatek w naturze (koniach, produktach, podwodach, robotniku). Matuszewic więc wnosił o zmniejszenie ofiary do 24%, zwracając uwagę, że aczkolwiek wraz z proponowaniem zmniejszeniem podatku «podymnego wiejskiego» uszczupli ono dochodu skarbowi o 10,650,000 złp., jednak przy-

\*) Matuszewic do Zamoyskiego 14 list. 1810.

czyni się do podniesienia rolnictwa, nadwyżęzowanego wskutek panującego zastoju handlowego. Ulga w podymnym wiejskim miała się wyjątkowo zacząć w najbliższym zaraz miesiącu. W podatku osobistym, uchwalonym na ostatnim sejmie, proponował ściślej i sprawiedliwiej rozgraniczyć poszczególne jego klasy i znieść określenie zgóry ogólnej sumy, mającej z tego tytułu wpłynąć do skarbu. Nowych dochodów państwowych miały dostarczyć podwyższone lub nowoutworzone podatki niestałe, pośrednie. W podatku patentowym od przemysłu i rzemiosł, oprócz dokładniejszego jego opisanie, projektował podwyższyć opłatę od rzeczy zbytkownych, zniżając jednocześnie opłatę od rzemiosł, i przeznaczając 20% z tego dochodu miastom pierwszego rzędu, 10% — miastom drugiego rzędu. Miano podwyższyć opłaty stemplowe, ustanowić czopowe wiejskie, czyli opłaty od sprzedaży trunków po wsiach, podwyższyć podatek konsumcyjny od rzezi bydła w miastach, i utworzyć monopol tabaczny. Wniósłszy te projekty, wystawił Matuszewic niepokojący obraz ówczesnego położenia kraju: «zatomowany handel, groźną Europy postać, zniewalającą do obronnej gotowości, nadzwyczajnych ofiar i wysiłków». A zagrzewając sejm do uchwalenia podatków, wskazywał posłom drogę do zadania kłamu rozsiewanego «przez zawistną obcych pisarzy stronność mniemania... że polacy z zakorzenionych przesądów nie uleczeni, choć bić się mogą mężnie, słuchać i płacić nie lubią». Kiedy następnie wprowadzono każdy projekt z osobna, Matuszewic jeszcze raz bronił każdej zmiany podatkowej w dyskusji z opozycyjnymi członkami deputacji do materii skarbowych, Godlewskim i Morbitzerem; a choć nieraz projekt się zachwiał, Matuszewic swą wymową umiał w końcu sprawić, że prawie wszystkie wnoszone przezeń projekty w pierwszym lub drugim głosowaniu po wprowadzeniu drobnych poprawek otrzymały uznanie izby poselskiej.

To nie zaradziło jednak ciężkiemu nader położeniu, w jakim się znalazło niebawem Księstwo Warszawskie ze względu na trwające wciąż dalej ubóstwo skarbu a rosnące coraz bardziej potrzeby, wskutek forsownego zbrojenia się kraju. Pożyczka 12 mil. franków, umówiona w Paryżu, zawiodła i na jej ratunek wpłynęło zaledwie pięć milionów. Matuszewic bezskutecznie zwracał się o zapomogę w styczniu 1812 r. do ks. Bassano,

✦ w maju osobiście do Napoleona w Poznaniu. Te ostatnie starania przyniosły zaledwie cztery miliony franków w wątpliwej wartości monecie. Pomimo, iż w skarbie zapanował ład i porządek Księstwo własnymi siłami nie mogło przyjąć skarbowi z pomocą. Matuszewic z bólem serca doniósł Fryderykowi Augustowi o rosnącej wciąż nędzy powszechnej w kraju i wyczerpaniu skarbu. «Przewidywana oddawna złowroga chwila nadeszła» pisał w raporcie 27 kwietnia «może wybić ostatnia nasza godzina». Na nakazane roboty w twierdzach Księstwa nie starczało pieniędzy, nie starczało ich na zapłatę administracji i najpierwszych potrzeb wojskowych. Wskutek powszechnego niemal zubożenia ludności rolniczej, wyczerpanej majątkowo przez rekwizytacje, sekwestrowanie podatków ziemskich było bezskuteczne i w końcu musiano go zaniechać, opłaty od trunków prawie nie wpływały, również jak i od rzezi bydła, które szło przeważnie na racje wojskowe, dochodów celnych nie było z powodu ogólnego zastoju handlowego i dekretu 6 marca, utrudniającego wywóz zboża z Księstwa. Dobra i lasy narodowe, które w najkrytyczniejszej chwili przeszły pod zarząd ministra skarbu, zamiast ośmiu milionów normalnych, w tym roku nie niały dać nic. Bilety kasowe wypuszczone od r. 1811, nie stanowiły żadnej pomocy dla skarbu z powodu silnej tendencji do ich wymiany. W takim stanie skarbu od Matuszewica domagano się coraz większych zasiłków na utrzymanie wojska francuskiego, zwłaszcza na urządzenie szpitali wojskowych. Minister nie miał jednak żadnej możliwości zaradzić tym potrzebom.

Przed wybuchem Wielkiej Wojny, Matuszewic został wezwany przez Napoleona do Poznania i tam doradzał mu podnieść w Księstwie i po za niem skonfederowane powstanie, Napoleon jednak nie chciał wówczas «pospolitego ruszenia» zgodził się jednak na zawiązanie Konfederacji Generalnej za jego i króla saskiego przyzwoleniem. Matuszewic wrócił do Warszawy z poleceniem przygotowania nadzwyczajnego sejmiku. Odtąd przestał faktycznie zarządzać skarbem Księstwa i stał się duszą przyszłej konfederacji. W dwa dni po otwarciu sejmiku 28-go czerwca, w mowie pełnej ognia wezwał sejm do zawiązania się w konfederację Generalną Królestwa Polskiego, wdrażając w sejmujących najświe-



tniejsze nadzieje z nadchodzących wypadków. Dopiero po otrzymaniu wiadomości o niepomyślnym obrocie Wielkiej Wojny zdawał się wraz z Mostowskim i Sobolewskim dawać chętny posłuch obietnicom cesarza Aleksandra, który słał je do nich za pośrednictwem generała Czaplica; widząc zachwianie się sprawy, twierdząc, że nie o Napoleona ani o Aleksandra I tu idzie, ale o nią samą tylko, nie odrzucił obietnic, ale w tajemnicy wraz z Mostowskim i Sobolewskim wszedł w piśmienne porozumienie się z Czaplicem, przedstawiając za jego pośrednictwem Aleksandrowi swoje warunki. Ociagał się jednak jeszcze z powzięciem jakichkolwiek kroków aż do dalszego wyniku wypadków. Po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Księstwa, gdy Rada Ministrów udała się do Krakowa, Matuszewicz wyjechał do Drezna, następnie do Paryża, skąd później powrócił do Pragi.

Po utworzeniu Królestwa Polskiego i ustanowieniu w niem Rządu Tymczasowego, Matuszewicz 20 maja 1815 r. został mianowany przez Aleksandra I członkiem tymczasowej Rady Stanu i prezydującym w Ministerium Przychodów i Skarbu, którem za czasów Rady Najwyższej Tymczasowej Księstwa Warszawskiego, zarządzał jej członek prusak Krzysztof Colomb pod nadzorem wice-prezesa Nowosilcowa. Matuszewicz objął ministerium w dniu 29 czerwca, zastawszy biura skarbowe w stanie «najsmutniejszego rozprzężenia i nieładu». Zaprowadziwszy niezwłocznie jaki taki porządek przez odpowiedni rozkład zajęć, po kilkunastu dniach pracy doszedł do wniosku o niezadawalniającym wogóle stanie materialnym skarbu, nie rokującym prędkiego polepszenia, i o nawale pracy, który czeka jego i jego współtowarzyszy Kochanowskiego, Platera i Al. Potockiego, należących do składu kolegium ministerialnego. Należało przede wszystkim rozwinąć wewnętrzną organizację ministerium podług Zasad konstytucji i wyroku Aleksandra I z dnia 20 maja na nowych zupełnie podstawach, a jednocześnie zająć się energicznie sprawami bieżącymi, wymagającymi spieszego załatwienia i umiejętnego wyboru rzeczy najpilniejszych. Najpilniejszą rzeczą, zdaniem jego, było upewnić się dokładnie o wysokości remanentu gotowizny przez ryczałtową rewizję kas. Pod tym względem napotkał przeszkody ze strony Nowosilcowa, jako prezesa komisji wyższego nadzoru nad lazaretami, do

której Rząd Tymczasowy przywiązywał wielką wagę, i ulegając Nowosilcowowi nie zgodził się na wstrzymanie wypłat na rzecz lazaretów, co utrudniło wielce rewizję, wymagającą całkowitego wstrzymania ruchu pieniężnego w kasach. Skarb był zrujnowany i wycieńczony, a zaniedbana i w zasadzie wadliwa rachunkowość pruska Colomba uniemożliwiała dokładne rozejrzenie się w jego stanie ówczesnym. Zaprowadzenie ścisłej i jasnej rachunkowości stało się najpierwszem dążeniem Matuszewicza, który też już w dniu 30 sierpnia opracował wewnętrzną organizację ministerium i uzyskał dla niej zatwierdzenie Rządu Tymczasowego. Najwięcej jednak trudności nastęrczały nowemu ministerium otrzymane w spadku po Radzie Najwyższej asygnacye, których spieniężanie nie powinno było doznąć najmniejszej zwłoki, a musiało być wciąż odkładane z powodu wyczerpania skarbu, środki jego bowiem wystarczały na zaspokojenie zaledwie czwartej części żądań. W tym nawale pracy w ministerium Matuszewicz sam musiał się zająć urządzeniem spraw mennicznych, powikłanych wskutek krążącej w kraju różnorodnej obcej monety nieraz mocno podejrzaney wartości, a o wyśrubowanym nad wartość kursie, urządzeniem stosunków handlowych z ościennymi krajami w myśl gwarancyi traktatów wiedeńskich, i ogólniejszemi pracami organizacyjnymi, które wnet rozpoczęto we wszystkich wydziałach Królestwa. Po wprowadzeniu rządów konstytucyjnych w Królestwie i ogłoszeniu Ustawy (24 grudnia 1815) Matuszewicz, pozostawiony nadal na stanowisku ministra prezydującego w Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu, nie ustawał w pracy nad doprowadzeniem skarbu do normalnego przynajmniej stanu. W komisji pod pilnem jego okiem zapanował już ład, porządek i sprawność, ale pozostawał wciąż jeszcze dawny niezadawalający ogólny stan ekonomiczny kraju, a przede wszystkim upadek rolnictwa, ubóstwo właścicieli ziemskich, brak kapitałów i wadliwy system finansowy, stanowiący kombinację dawnego polskiego z systemem pruskim; położenie utrudniały nadmierne wydatki, związane z utrzymaniem wojska. Zbadawszy gruntownie stosunki ekonomiczne kraju i obeznawszy się z najnowszymi kierunkami nauk ekonomicznych i skarbowych w Europie, Matuszewicz przystąpił niezwłocznie do obmyślenia rdzennej reformy w finansach Królestwa, którą sto-



pniowo w poszczególnych projektach przekładał Radzie Stanu i Aleksandrowi I. Najpilniejszą zadaniem jego była reforma podatkowa, przez zaprowadzenie stosowniejszego rozkładu ciężarów publicznych, i oparcie dochodów skarbowych na źródłach rzeczywiście zasobnych. W celu podniesienia rolnictwa proponował utworzenie banku ziemskiego kosztem częściowej sprzedaży dóbr narodowych, nie przynoszących rządowi żadnej prawie korzyści z powodu ich ruiny. W takim samym prawie stanie upadku, znajdowały się lasy rządowe, wyniszczone za rządów pruskich i austriackich w ostatnich latach Księstwa Warszawskiego. Matuszewicz zaprowadził w nich racjonalną gospodarkę leśną, a w dalszych widokach projektował założenie odpowiedniej szkoły leśniczej. Za ministeryum Matuszewicza zdołały jednak się podnieść niektóre dochody niestałe Królestwa. Z opłaty od trunków, sprzedawanych w miastach, wpłynęło w r. 1816 o 448,016 złp. więcej, niż w roku poprzednim, również dzięki jedynie zabiegom komisji na rachunek «koszernego» wpłynęło o 440,109 złp. więcej. Na monopolu solnym i tabacznym, dzięki korzystniejszym kontraktom, skarb w stosunku do lat poprzednich zyskiwał 3,278,501 złp. Zapewniono również w porozumieniu się z Komisją Sprawiedliwości większe dochody ze stempla. Krążącą

obcą monetę zdołano zniżyć do prawdziwej wartości, przyczem skarb postanowił stanowczo jej nie przyjmować. Mennicę poprawiono, odbudowano i zbierano środki na zaopatrzenie jej w nową maszynę parową, na co Matuszewicz zamierzał użyć czysty zysk z bicia monety, wynoszący około 350,000 złp. Matuszewicz osobiście z całą energią dokładał starań, ażeby zapewnić jak najdogodniejsze warunki dla Królestwa w toczących się układach celnych i handlowych z ościennymi krajami, i ażeby urządzić korzystnie i z zachowaniem przepisów Ustawy stosunki handlowe z Cesarstwem. On to opracował instrukcję dla komisarzy polskich i obszerny memoriał o potrzebach handlu Królestwa, złożony Aleksandrowi I, on też zwalczał przed cesarzem projekty celne Nowosilcowa. Wkrótce jednak Matuszewicz zaczął coraz bardziej zapadać na zdrowiu i w końcu zmuszony był ustąpić z urzędu. W marcu 1817 roku podał się do dymisji, pozostawiając w skarbie 6,266,955 złp. gotowizny. Po ustąpieniu z urzędu, Matuszewicz mianowany został kasztelanem, przemawiał jeszcze z senatu na pierwszym sejmie Królestwa 1818 r. i wkrótce potem wyjechawszy zagranicę zmarł w Bononii 30 list. 1819 r. w 55 roku życia.

*Józef Bojasiński.*



# Adolf Pawiński.

\* 1840 † 1896.

Nie nadszedł jeszcze czas odpowiedni na właściwą t. j. dość głęboką i wyczerpującą ocenę zasług Adolfa Pawińskiego. Zasługi istotne, czyli kulturalną dla nas doniosłość jego działalności naukowej, oceni przyszłość na właściwem tle epoki i ludzi. My—żyjemy dzisiaj w tych samych nieomal czasach i warunkach, w jakich on żył i działał, a wszelaka synteza historyczna doby własnej była by przedwczesną. Obecnie\* stwierdzić możemy jedynie szereg faktów, wystarczających, by powziąć przeświadczenie logiczne, że Pawińskiemu należy się miejsce wśród najwybitniejszych przedstawicieli umysłowości naszej w drugiej połowie ubiegłego wieku.

Przeświadczenie to opieramy przede wszystkim na tem, że zasłużony badacz, pojmując wielkie zadania historii w myśl najwyższego jej ideału prawdy i bezstronności, a przytem w myśl głębokiego postulatu: jak się układał i rozwijał stosunek społeczności do państwa? stosował ów ideał w naukowej działalności swojej w sposób prawdziwie żywotny. Żywotność ta polegała nie tylko na głębokości,—bo ta zawsze i wszędzie bywa względna, ale—na samym, co ważniejszą, głównym, a niepożytnym, *kierunku* jego studyów. Zasadniczą zasługą Pawińskiego bowiem było wszczęcie i prowadzenie naukowych studyów archiwalnych, które kilkunastu tomami «*Źródła Dziejowych*», «*Dziejów Ziemi Kujawskiej*» i in. utrwaliły jego imię na kartach naszego dziejopisarstwa. Utrwały je one podwójnie: same przez się i—dzięki temu kierunkowi, jaki na większą skalę po raz pierwszy u nas wcielały. A kierunek ten był w sferze historyografii najpoważniejszym odbiciem metody nowożytnej badań ścisłych. Wprowadzał on ogólnie naukę historyczną z torów *przewagi poezji*, od której nie były wolne ani ty-

taniczne prace Lelewela, ani podniosłe studia Szajnochy, na drogę praktyki życiowej właśnie w dobie, w której Pawiński rozpoczynał naukową działalność swoją. Zwrot ten, acz posiadający na razie, podobnie jak wszelkie kierunki nowe, piętno reakcyjnej jednostronności, miał uświadomić niebawem w umysłach uczonych wysoką ideę całokształtu życia dziejowego w jego nieskończenie wielostronnych objawach i ich komplikacji.

Świadomość tę posiadał Pawiński, zwłaszcza w drugiej połowie działalności swojej, w stopniu tak wysokim, że żyły nią i oddychały wszystkie jego studia: wszystkie prace uczonego i obywatela, budząc najwyższe uznanie dla człowieka, który, nasiąkwszy zamłodu wartkimi prądami reakcyi, umiał mimo to iść w parze z duchem czasów najnowszych, a nawet przodować im w pewnych zakresach nie tylko wiedzą głęboką, ale i wysokim nastrojem swego umysłu. Poza rozumem, złożyła się na ów objaw i, płynąca z uczucia, intuicya uczonego, jakim Pawiński był z «*łaski Bożej*».

Urodzony dnia 7 maja 1840 r. w Zgierzu\*), nie oddychał Adolf Stanisław Pawiński w dzieciństwie swoim atmosferą, którą by za przeznaczoną dla przyszłego «*humanisty*» uważać było można.

Pod odbyciu nauk początkowych w mieście rodzinnem, a średnich—w Łęczycy i Piotrkowie, gdzie już jako gimnazista pierwsze kroki na polu literackim stawiać zaczął, wstąpił w r. 1859 na wydział historyczno-filozoficzny w Petersburgu. Podczas studyów nad Nową, brał żywy udział

\*) Materiał faktyczny zaczerpnęliśmy z obszerniej pracy prof. Wincentego Zakrzewskiego p. t.: «*Adolf Pawiński 1840—1896. Zarys dziejów żywota i pracy*». Petersburg 1897.

w polskiej publikacji «Encyklopedyi prawa» Ahrens'a, wydawanej wtedy przez prof. Wł. Spasowicza. W r. 1862 przeniósł się do Dorpatu, gdzie, pomimo ciężkich warunków materyalnych, z zamięłowaniem kształcił się dalej, zyskując w roku 1864 stopień kandydata.

Ani w Petersburgu, ani w Dorpacie nie wywarł żaden z profesorów wybitniejszego wpływu na młodzieńca; wszelako przedsmak niemieckiej atmosfery naukowej, z jakim Pawiński zetknął się w Dorpacie, rozszerzył jego widnokręgi i wskazał mu Zachód, jako właściwe ognisko wyższego przygotowania naukowego.

Uzyskawszy w r. 1865, jako kandydat na katedrę w Szkole Głównej, stypendyum rządowe, wyruszył Pawiński do Berlina, gdzie znakomite jeszcze seminaryum historyczne Rankego przyjęło go w swoje podwoje. Filary nauki historycznej: Ranke, Jaffé, a poniekąd i Droysen, stali się jego mistrzami. Niebawem, w r. 1866 zastąpił mu ich nieporównany dydaktyk, Jerzy Waitz w Getyndze, dokąd Pawiński na dokończenie studyów podążył i gdzie, w kwietniu 1867 r., z rąk ukochanego swego mistrza, naówczas rektora miejscowego uniwersytetu, otrzymał dyplom doktora filozofii.

Na tle późniejszej działalności Pawińskiego, zaznaczył się wybitnie głęboki styl tego przygotowania naukowego, z jakim przyszły badacz obejmował na początku 1868 r. docenturę historii powszechnej w Szkole Głównej Warszawskiej.

Płytkie zawiści nie potrafiły podkopać poczynającej się roli młodego uczonego, który, spotkawszy się zaraz na wstępie, wśród pracy wyrobniczej w «Gazecie Warszawskiej», z uznaniem ze strony męża tej miary, co Romuald Hube, zyskał stałą, acz skromną, podstawę materyalną w nominacji na sekretarza 2-ej klasy w Wydziale Karnym Komisji Sprawiedliwości z delegacją do zająć w Archiwum Głównem Królestwa Polskiego.

Jednocześnie, porzucając zarobkowanie w «Gazecie», wstąpił Pawiński do redakcyi «Biblioteki Warszawskiej», wynagradzając jej skutecznie świeży ubytek Stefana Pawlickiego w pracy nad przeobrażeniem poważnego, lecz starzejącego się czasopisma, w duchu wymagań nowszych.

Kiedy w r. 1866 nastąpiła zamiana Szkoły Głównej na Uniwersytet Warszawski, a przyszłym jego profesorom postawiono za warunek posiada-

nie doktoratu rosyjskiego, — skreślona po rosyjsku książka o Słowianach Połabskich zaopatrzyła go w r. 1871 w chlebodajny stopień «doktora historii powszechnej uniwersytetu petersburskiego»; ułatwiła mu jego zdobycie gruntowną oceną naukową rozprawy Włodimirskiego — Budanowa *O prawie niemieckiem w Polsce i na Litwie*, za którą Akademia Petersburska przyznała Pawińskiemu w roku 1870 medal złoty.

Dnia 2 września 1871 r., już jako człowiek żonaty, uzyskał Pawiński nominację na profesora nadzwyczajnego w Uniwersytecie Warszawskim, a w pół roku później otrzymał etatową posadę archiwisty.

Stanowisko młodego uczonego było w Warszawie ustalonem; nie szukał też jego zamiany na inne, może powabniejsze, w tem przeświadczeniu, że otwarło się przed nim szerokie a pożyteczne pole działania.

Na dwadzieścia pięć lat ciężkiej a owocnej pracy Pawińskiego, która przedwcześnie do grobu wtrącić go miała, składały się odtąd głębokie studia naukowe i archiwalne, sumienna działalność pedagogiczna i publiczna, dalekie wyprawy, przedsiębrane niemal co roku w celach naukowych na Wschód, lub Zachód: od Petersburga i Konstantynopola aż po Lizbonę i Neapol, a wreszcie, — zalecające go w Europie uczone sprawozdania z dziejopisarskiego ruchu polskiego w *Revue Historique* i w *Jahresberichte der Geschichtswissenschaft*.

Nie mógł jednak Pawiński uskarżać się na brak uznania u swoich, ani u obcych. Trudy jego nagradzano zarówno w drodze urzędowej, jak i naukowej, gęsto a sownie. Już w r. 1875 został naczelnikiem Archiwum Głównego i profesorem zwyczajnym; później (kilkakrotnie) — urzędowym delegatem Uniwersytetu na kongresy naukowe zagraniczne, a wreszcie w r. 1890 — rzeczywistym radcą stanu itp.

Członkiem swoim mianowały go towarzystwa naukowe w Moskwie, Odessie, Lizbonie i Petersburgu, Akademia Południowo-Słowiańska w Zagrzebiu i Akademia Umiejętności w Krakowie, która w r. 1891 ofiarowała mu najwyższy z rozporządzalnych zaszczytów swoich: godność Członka Czynnego zagranicznego.

Właściwym początkiem naukowej pracy Pawińskiego była pierwsza jego rozprawa doktorska



*Według fotografii z natury.*

*A. Darwin*

p. t. «Zur Entstehungsgeschichte des Consulats in den Communen Nord—u. Mittelitaliens im XI u. XII Jahrhundert», drukowana w Getyndze w r. 1867-ym. W ślad za tą rozprawą, zdawały się ustalać jego badania naukowe w kierunku dziejów powszechnych, wszystkie poważniejsze studia następne: nad prawem Salickim, nad odkryciami geograficznymi, nad historyozofią Buckla itp. Dopiero zamówiony przez Akademię petersburską rozbiór dzieła Władimirskiego—Budanova, oraz prace o Słowianach Połabskich i Zachodnich\*) zwracać poczęły młodego uczonego na niwę badań ojczystych.

Pierwszemi jego studiami w tym kierunku były, drukowane w r. 1872 w «Bibliotece Warszawskiej», rozprawki p. t. «Marcin Bielski przed sądem królewskim w Piotrkowie w r. 1552» i «Notatki kupca krakowskiego w podróży do Flandryi z r. 1501—1502».

Wszystkie te rozprawy i przyczynki, liczne recenzje naukowe, studia archeologiczne, a wreszcie częściowe tłumaczenie i sumienna redakcja polskiego wydawnictwa «Dziejów Anglii» Macaulaya, poprzedzona entuzjastycznym artykułem wstępnym o życiu i pismach wielkiego historyka (1873 r.), wskazywały na ów nacisk szczególny, a nawet — na specjalność, nieomal wyłączną, jaką ćwiczył w sobie Pawiński w kierunku zgłębiania wewnętrznych ewolucyj narodów.

Pomimo, że Zachód posiadał wtedy już od dawna znakomite na swój czas wzory odpowiednie w pracach Mohla, Cibraria, J. St. Milla i in., syntezy takie nie były jeszcze w zastosowaniu do dziejów naszych możliwe. Głębokie uzasadnienie tej niemożności wypowiedział Pawiński w kilkanaście lat później (1887 r.) we wstępie do «Rządów sejmowych w Polsce»; już jednak w zaraniu jego pracy naukowej zaznaczały się wysokie ideały badacza.

Nie zwrócono dotąd dostatecznej uwagi na to, że Pawiński, podejmując przed r. 1877-ym pełne wydawnictwo najstarszych «Ksiąg Sądowych Łęczyckich» (1385—1419), okazał się w zasadzie pierwszym u nas uczonym, który pojął właściwie istotę cennego materiału, tkwiącego w t. z. za-

piskach sądowych, a mianowicie—w ich odpowiednich *kompletach*. Nie było jeszcze wtedy typu podobnych wydawnictw polskich; materiały analogiczne, podane przez Z. A. Helclę w dwóch pierwszych tomach «Starodawnych Pomników Prawa Polskiego», świadczyły wprawdzie o istnieniu poczuciu olbrzymiej doniosłości takiego obrazu stosunków minionych, ale pierwszy zamach faktyczny na ułomny sposób wydawniczy Helclę, traktującego ów materiał «na wrywki», uczynił w ciszy swego gabinetu dopiero Pawiński. Powiadamy—«w ciszy», gdyż brak właściwej umiejętności paleograficznej, ujawniony wśród druku, powstrzymał publikację, wydrukowanych w roku 1876-ym «Ksiąg Łęczyckich», aż do r. 1897-go. Mogły się one ukazać, niestety, dopiero po śmierci wydawcy, ale świadczyło to o gruntownych intencjach młodego uczonego.

Ustalający się w jego umyśle nowy i oryginalny kierunek studyów nad wewnętrznymi dziejami Polski nowożytnej, nad istotnym gruntem i najgłębszemi arkanami społeczno-państwowego rozwoju Rzeczypospolitej, miał niebawem stworzyć dla siebie ujście właściwe.

W r. 1875-ym, wśród pracy nad wydawnictwem «Ksiąg Łęczyckich» i czterotomowych «Pamiętników Marcina Matuszewicza, kasztelana brzesko-litewskiego (1714—1765)», znalazł Pawiński w osobie Aleksandra Jabłonowskiego zasłużonego w przyszłości towarzysza pracy i podjął wraz z nim pomnikowe wydawnictwo *Źródeł Dziejowych*.

Czem były i czem są te «Źródła», stanowiące w zakresie moważytnej historii Polski wspańnię *pendent* do cennych wydawnictw krakowskich z doby średniowiecznej, oraz—jakie miejsce wśród zasług naukowych Warszawy wyznaczy im przyszłość? Odpowie kiedyś na to pytanie historyk terażniejszości naszej. My, nie wdając się w krytykę prac i opracowań poszczególnych, zawartych w dwudziestu paru tomach tej publikacji, możemy wyrazić się o jej zasadzie ogólnie, tylko—z uwielbieniem. Celem jej była ochrona najpoważniejszych materiałów historycznych naszych; zakresem—olbrzymi całokształt właściwego bytu dziejowego w najistotniejszych jego objawach; środkiem—praca i zabiegi *dwóch* jednostek.

Już w r. 1876-ym wydał Pawiński w II tomie «Źródeł» *Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z kościołem rzymskim w XVII wieku*. W roku

\*) W roku 1871 napisał Pawiński po rosyjsku obszerny referat o obyczajach pogrzebowych Słowian Zachodnich.



następnym zamieścił w nich «Stefana Batorego pod Gdańskiem» i «Synod Piotrkowski w r. 1577», a wkrótce potem (1879 r.) «Sprawy Prus Książęcych za Zygmunta Augusta», zawierające pracowity wstęp historyczny do «Dyaryusza trzykrotnego poselstwa Komisarzy królewskich do Prus w latach 1566—1568».

Wśród prac tych i licznych artykułów przygodnych, wychodzących wtedy z pod jego pióra, nie zapominał Pawiński o zobowiązującej go roli wybitnego przedstawiciela krytycznej metody naukowej, jaką wysoko u nas piastował.

Poza metodą prac własnych, wyrazem poczucia rzeczowego obowiązku, była, podjęta przezeń w r. 1877-m, redakcja polskiego wydawnictwa świetnej rozprawy niemieckiej Zeissberga o «Dziejopisarstwie polskim wieków średnich», a pono i datujący z r. 1879 udział w przygotowaniu paleograficznem publikacji «Żywota Św. Kingi» (*Vita et miracula S. Kyngae, ducissae cracoviensis*), do publikacji \*), uskutecznionej w odmiennych już warunkach naukowych w r. 1884-ym w IV tomie «Pomników Dziejowych Polski» przez dr. Wojciecha Kętrzyńskiego.

Szerokie ramy zasadniczych studyów swoich zamienił Pawiński około 1881-go r. w węższe, lecz głębsze łożysko bardziej wyspecjalizowanego kierunku. Zajęła go odtąd ściślej strona ekonomiczno-statystyczna, a za nią i prawno-polityczna dawnego organizmu Rzeczypospolitej.

W r. 1881-ym ukazało się w VIII t. «Źródeł Dziejowych» pomnikowe dzieło Pawińskiego p. t. «Skarbowość w Polsce i jej dzieje za Stefana Batorego», a w t. IX-ym «Księgi podskarbińskie» z tejże epoki.

«Akta metryki koronnej, co ważniejsze z czasów Stefana Batorego», oraz mozolne opracowanie «Polski XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym», ogłoszone w sześciu tomach pomiędzy r. 1883—1896, wypłynęły także z zaznaczonego wyżej kierunku.

Wszelako prawdziwą jego koroną, stawiającą Pawińskiego u wyżyn twórczości własnej, a na poziomie badacza w stylu iście pierwszorzędnym, stały się, wydane w 1887-ym, jako wstęp do pięciotomowych «Dziejów Ziemi Ku-

jawskiej», słynne «Rządy Sejmikowe w Polsce od r. 1572—1795».

Dzieło to, jakkolwiek skreślone wyłącznie na tle stosunków województw Kujawskich, jest arcydziełem pomysłu, a poniekąd i wykonania. Kto zna charakter i rodzaj właściwego materiału archiwalnego, pojmie łatwo, że zakres szerszy takiego opracowania, jest i dzisiaj jeszcze, nawet po pracach Pawińskiego, niedoścignionem *pium desiderium*.

Stworzenie odpowiedniej syntezy autonomicznych urządzeń prawno-publicznych w całej Polsce szlacheckiej w dobie królów elekcyjnych; wykazanie na tak szerokiej podstawie właściwej teorii i praktyki, a wreszcie—umiejętne ich zestawienie z urządzeniami stanowymi na Zachodzie, było by bezwątpienia tytułem do bezwzględnej apoteozy autora, gdyby nie stykało się dzisiaj jeszcze na całej linii—z prostą niemożliwością.

Niedalekim był już Pawiński od jej niebezpiecznych granic, kiedy, pomimo wiedzy głębokiej, brał na bary swoje wielkie zadanie stworzenia na podstawie olbrzymiego materiału surowego, syntezy wspomnianej w skromnych na pozór, ale kolosalnych w istocie ramach całej prowincji polskiej w okresie dwóch stuleci z górą...

Zaledwo zupełny szereg takich studyów, obejmujących całą przestrzeń Rzpltej, opartych na materiale opracowanym, a przechodzących bezwzględnie nie tylko siły jednostki, ale — całego pewno pokolenia, mógłby stworzyć w przyszłości dla wybitnego umysłu uczonego i myśliciela dostateczny warunek naukowy podjęcia wielkiej syntezy, o jakiej mowa.

Zarówno w czasach naszych, jak i — tem więcej w czasach Pawińskiego, zadanie takie tkwiło i tkwi jeszcze w sferze abstrakcji. Wszelako opinia większości uczonych wyrażała w swoim czasie zdanie, że nie mieliśmy nikogo, ktoby bardziej, niż Pawiński, dorastał potęgą swej wiedzy, organizacyi umysłowej i energii czynu do ogromu takiego zadania.

Na potencjalny wyraz uznania w tym stylu zasługiwał niewątpliwie autor «Rządów Sejmikowych», «Polski XVI wieku», a wreszcie dzieła p. t. «Sejmiki ziemskie, początek ich i rozwój aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodawstwie sejmu walnego, 1374 — 1505». Zasługiwał choćby dlatego, że zakresu i miary jego

\*) W. Zakrzewski, j. w. str. 68, 120.

studyów niepodobna było oceniać wedle zwykłej skali «doskonałości» prac przeciętnych: tors belwederski,—że rozwinie tu odpowiednie porównanie biografa Pawińskiego \*)—pozostanie na zawsze odłamek tylko, ale nie przestanie mimo to być—sobą.

By uzupełnić szkic bogatej działalności Pawińskiego, należało by poświęcić obraz odpowiedni jego studiom historyczno-prawnym i archeologicznym, jego zabiegom około podniesienia działu historycznego w «Bibliotece Warszawskiej», a później w «Ateneum» i w «Tygodniku Ilustrowanym», jego pracom popularno-naukowym, a wreszcie—jego gorliwej służbie obywatelskiej.

Uczynimy to w przeglądzie pobieżnym, aby zachować miarę właściwą w rozmiarach oceny prac zasadniczych i ubocznych uczonego.

Rozprawy p. t. «Jana Ostroroga żywot i pismo *O naprawie Rzpltej*», (1883 r.), oraz: «O pojednaniu w zabójstwie według dawnego prawa polskiego» (1884 r.), a wreszcie: «*Odpowiedź* według obyczaju rycerskiego w prawie polskim» (1896 r.), zyskały sobie, jako wynik głębokich dociekań i obserwacji źródłowych, słuszną a wysokie uznanie krytyki naukowej. Co zaś do studyów archeologicznych Pawińskiego, to, jakkolwiek kompilacja składa się przeważnie na ich ton zasadniczy, przyznać jednak trzeba, że: «Człowiek w okresie trzeciorzędowej formacji» (Ateneum 1882 r.), a nawet sprawozdanie z «Poszukiwań archeologicznych w gubernii Piotrkowskiej \*\*» (1877 r.) i «Okres przedhistoryczny w Królestwie Polskim» (1875 r.) noszą na sobie ślady głębszych studyów samodzielnych.

Interes naukowy łączył się w tych opracowaniach z gorącym pragnieniem uprząstaczenia poważnych nabytków wiedzy dla szerszego ogółu. Pragnienie to kazało Pawińskiemu chwycić wśród najgłębszych prac naukowych za pióro krytyka, popularyzatora, a nawet publicysty, aby służyć w każdej potrzebie szerszemu ruchowi umysłowemu swej doby.

Do kategorii tej należą poza mnóstwem recenzji naukowych, prace jego w rodzaju utworów, jak: «Serbia, zarysy historyczno-etnograficzne» (1872 r.), «Cmentarzysko w Dobryszycach» (1874 r.), «Kochanowskiego *Jezda do Moskwy*» (1884 r.),

«Listy z podróży do Grecji i Azji Mniejszej» (1888 r.), «Zamach na Ostroroga» (1890 r.), gęsto zamieszczane w *Tygodniku* przyczynki dziejowe i biograficzne, sprawozdania i korespondencje z podróży, a wreszcie artykuły, drukowane od roku 1891-go w «Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej Ilustrowanej», zpośród których: «Bourdeau», «Cezar», «Charta Magna», «Chronologia», a zwłaszcza «Dyplomatyka» na szczególne zasługują wyróżnienie.

Duch obywatelski, zespolony z żyłą popularyzatorską, kazał Pawińskiemu pociągać szerszy ogół do zainteresowania się dziejami swemi. Jego obrazki rodzajowo-historyczne, jak oto: «Michał Gröll» (1894), a zwłaszcza «Ostatnia Księżna Mazowiecka» (1891 r.) i «Młode lata Zygmunta Staro» (1892 r.), oparte na surowym materiale archiwalnym, a znane ogólnie, doczekały się poczytności utworów beletrystycznych.

Centralizacja archiwów, piękna forma wykładów uniwersyteckich, obrazowość stylu w pracach, nie tylko popularnych, ale niekiedy nawet i naukowych, zapał, z jakim sam działał i tworzył, z jakim młodych zachęcał do pracy, nie skąpiąc im nigdy światłych rad i wskazówek swoich, dopełniały miary jego wpływu, jako uczonego i obywatela.

Mówić szerzej o jego działalności filantropijnej byłoby przedwczesne: dzieje Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności mogą oświecić ją tylko częściowo. Z ukrycia padają jaśniejsze jeszcze promienie wdzięczności ludzkiej na pamięć człowieka, którego głównym błędem było to, że

«mierzył siły na zamiary, nie zamiar według sił...»

Uznanie, jakiego zaznawał za życia, nie opuściło go i po śmierci. Wkrótce po jego zgonie († w Grodzisku pod Warszawą dnia 24 sierpnia 1896 r.) utworzono przy «Kasie pomocy naukowej im. Mianowskiego» fundusz nagrodowy jego imienia. Przyjaciół i kolegów, prof. W. Zakrzewski, poświęcił mu obszerny zarys biograficzny; grono wielbicieli uczciło jego pamięć tablicą pamiątkową u Karmelitów w Warszawie, a osierocony towarzysz broni, badacz przeszłości Rusi, Aleksander Jabłonowski, zorganizował wydawnictwo pozostałych po nim materiałów dziejowych, p. n. «Tek Pawińskiego».

J. K. Kochanowski.

\*) Zakrzewski, j. w. str. 88.

\*\*) Drukowane po rosyjsku.

# Józef Muczkowski.

\* 1795 † 1858.



Gdyby to temi czasy zaszło, wszystkie  
dzienniki rozbrzmiewałyby opowiadaniem

uroczystości dnia 19 marca 1827 r. Wówczas jednak wegetowała jedna gazeta W.Ks. Poznańskiego, zbieranina nowin z pism niemieckich i nie zwracała uwagi na życie własnego społeczeństwa. Ci co brali udział już nie żyją, odbiło się tylko echo niejasne w opowiadaniu głównego czynnika. W Poznaniu szła wieść, że młodzież uczcić ma cichego przewodnika swego. Uczcić raz jako Napoleonczyka, drugi raz jako głosiciela z katedry zasad wiary, wytrwałości i nieprzejednanego temperamentu.

Kościół Maryi Magdaleny wypełniony rodzinami młodzieży gimnazjalna w zwartych szeregach, przy ławkach chorągwie, a na środku na wyniesieniu tron obity szkarłatem. Wprowadzono uroczystie profesora —  
czem zajmował się uczeń Franciszek Nowakowski,

później znany badacz historii — młódź zaintonowała pieśń, uczeń wystąpił z oracyą, a w końcu

doręczono solenizantowi wspaniałą złotą sygnet z emblematami, znamionującymi cel i powód tego uczczenia.

Pompa ta wywołała wrzawę, roznieciła podejrzliwość i spowodowała, że nauczyciel rozstać się musiał z wielbiącą go rzeszą przy końcu r. 1827.

Otwartość przekonań nie dozwoliła mu stosować się do okoliczności. Takim Muczkowski był przez całe życie. Biografie jego obszerniejsze podawali: Lucyan Siemieński (Dzieła tom III str. 219—236), «Wizerunki» ogłoszone przez Fajansa, Zdanowicz w wydaniu Sowińskiego (Rys literatury 1877 T. IV str. 758—761), Wójcicki w Tece Wileńskiej (1858 VI 489—498). Dla pełności przypomnieć wypada, że się urodził



Podług litografii Fajansa.

17 Marca 1795 r. w Maszkach w Lubelskiem z ubogich rodziców, którzy go w latach pachołych

odumarli. Sobie samemu zawdzięcza, że przebrnął przez życie mimo twardo zarobionego kawałka chleba i wiódł szczęśliwie brata swego Antoniego (ur. 1807 w Zawieprzycach), poparty przez swego starszego brata Franciszka, który go odumarł w r. 1812. Ze szkół lubelskich losy pognały go do Krakowa na uniwersytet. Zaledwie jednak kilka miesięcy wytrwał, słuchając wykładów filologii i filozofii. Zagrzmiały bębny wojenne, fruwały chorągiewki na lancach, wielki Wojownik wielkie budził nadzieje. Szedł kwiat młodzieży w pole, poszedł więc drobny niepokazny filolog, dosiadł rumaka i fruwał chorągiewką przez lata 1813—14, aż ją zrozpaczony rzucił pod Waterloo. I wrócił zawiedziony i rozsrożony na tego, który go ludził wielką ideą, wlewał wielką otuchę, a okazał się bezgranicznym samolubem. Ten żal pozostał mu na całe życie: napoleończyk złorzeczył idei napoleońskiej.

Po przebytej kampanii kończył nauki w Uniwersytecie Krakowskim; w tym czasie zajęty był czasowo od r. 1817 w Bibliotece Jagiellońskiej jako adjunkt do r. 1819, poczem zostaje nauczycielem w gimnazjum Maryi Magdaleny w Poznaniu.

Po ośmiu latach odchodzi poniewolnie. Uczczenie imienia pozbawiło go posady. Ale nie zwątpił o siłach swoich. Nie zaniechał pracy naukowej. Już w r. 1820 wydał *Powieści biblijne*, w r. 1821 poezye Mikołaja Szarzyńskiego, w r. 1825 gramatykę polską, w r. 1824 Aureliusza Victora. Kiedy go zwolniono z zajęć nauczycielskich, zabrał się w porozumieniu z Łukasiewiczem do wydania zbioru poezyi Mickiewicza. Pośredniczył Lelewel. Księgarz Munk brał na siebie nakład. Muczkowski wypuścił tylko te wiersze, „któreby przez upowszechnienie nieprzyjemność komu sprawić mogły”. Były zatem w Mickiewiczu szczegóły, mogące razić współczesnych. Wydanie to pięciotomowe dziś nie do nabycia. Muczkowski zebrał odrazu prenumeratą 178 talarów od 89 prenumeratorów, a na Św. Jan obiecywał sobie 400 prenumeratorów na tysiąc tłoczonych egzemplarzy kosztem 430 talarów.

Ale wydawnictwo książek i to dla salwowania cudzej kieszeni (bo w Krakowie i we Lwowie bezprawnie okradano pocztę) nie zapewniało przyszłości. W Poznańskim wiedza germańska rozpanoszona rugowała wiedzę rozwijającą miłość języka i literatury, opartą na Mrozińskim i Mic-

kiewicz; konieczność zmuszała do zamiany Wielkiego Księstwa na Rzeczpospolitą krakowską.

Tu rozwijała się naukowo niedawno utworzona kraina, mała oaza w pustyni. Miał zrazu poparcie i oparcie. Jeszcze nie rzadko było spotkać tego i owego potomka wielkiego rodu, zwracającego uwagę na świat naukowy. Co dziś wyjątkiem jest, wówczas było pospolitem. Muczkowskiego, że stanął na straży czystości języka, otaczano szacunkiem. Jeszcze w r. 1823 Tytus Działyński woził go do Szwecyi, aby w księgozbiór poszukiwał naszych pamiątek zrabowanych przez dwóch Karolów, a w r. 1829 Mikołaj Mielżyński zabrał go do Krakowa, powierzając mu edukację syna.

Po wypadkach 1831 r. zostaje profesorem w gimnazjum św. Anny w Krakowie, a od Kwietnia 1834 urzęduje w czytelni w Bibliotece Jagiellońskiej. Po zgonie Bandtkiego, d. 10 Grudnia ogłoszono konkurs na posadę. Tymczasem pod interregnum rządzi Biblioteką adwokat J. H. Rzesiński, adjunkt Biblioteki, i dopiero w Grudniu 1836 zawiadamiają Muczkowskiego, że zapieczetowane szafy z numizmatami dnia 12 Czerwca 1835 r. ma odebrać. Dnia 28 Lutego 1837 r. wyznaczono profesorów Trojańskiego i Wiszniewskiego, aby Muczkowskiemu oddali zbiory według inwentarza.

Początki służby nie szły gładko. O wszystko prosić musiał. Więc najpierw o pomieszkowanie, potem o naprawę zrujnowanego gmachu, dalej o otwarcie dostępu do niektórych sal bibliotecznych, bo inspektor Lanci zamknął sionkę do nich. Pozostałość po Bandtkiem,—posługacz i synowiec jego zarazem i brat żony, Bogumił Ohnesorge,—nic sobie z rozkazów Bibliotekarza nie robił, a jego żona Ksantypa była utrapieniem gmachu, aż przecie Bogumił obwiesił się 4 Marca na pręcie żelaznym gmachu. Muczkowski pragnął ograniczyć liczbę godzin czytelni, ale natomiast prosił, by dozwolono młodzieży i ohywatelstwu pożyczania książek do domu. Komisarz rządowy, smutnej pamięci Schindler, dał odmowną odpowiedź, oświadczając „że młodzież nie potrzebuje czytać, bo winna się uczyć prelekcji”. Powierzono mu odbiór od Mecherzyńskiej drukarni Uniwersyteckiej, (którą dzierżyła od 1819) i nadzór nad nią. Kazano mu układać Index Uniwersytetu i pisywać do niego rozprawy.



Profesorowie Uniwersytetu nie troszczyli się o zasoby biblioteczne, dla tego z roku na rok pozostawały znaczne oszczędności ze szczupłego uposażenia. Wydziały bowiem miały prawo sprowadzania dzieł, a nie bibliotekarz. Rachunki bibliotekarza rewidowało Biuro Rachuby tak skrupulatnie, że sprawdzało, iż furman policzył sobie 26 groszy więcej za fracht, niż mu się należało. Taż sama skrupulatność była z wekslami bankiera Bochenka. Również utrudniano kompletowanie Biblioteki, co było dowodem, że Schindler nie miał żadnego pojęcia o bibliotecznej pracy. Introligator zamiast oprawiać dzieła, zastawiał je. Adjunkt Rzeziński odmawiał poświęcenia godzin służbie bibliotecznej, bo je pochłaniała adwokatura. Skargi do Senatu pozostawały bez skutku, a bibliotekarz, otrzymawszy do pomocy Ad. Mulkowskiego, był zmuszony zapłacić go z własnej kieszeni, bo ani Rzeziński obietnicy płacenia miesięcznie zastępcy nie dotrzymał, ani władza potrzeby zastępcy nie uznała. Nawet takiej bagateli, aby mu dano pożyczkę tysiąca złotych spłacalnych w trzech latach, odmówiono mu.

Cała biblioteka mieściła się w sześciu izbach i w sali Jagiellońskiej, reszta gmachu była rudera. Restaurowanie budynku szło tak opieszale, że po dziesięciu latach przebudowy, w r. 1851 ledwie połowa gmachu była odnowiona. Ta przebudowa drażniła go nieustannie, bo architekt Kremer usiłował sale biblioteczne zmienić w cacka architektoniczne, więc sufity potworzył z belkami drewnianymi, szafy wysokie gotyckie z jaknajmniejszą przestrzenią na książki, z hakami i szpicami żelaznymi, które dawały sposobność kaleczenia się w głowę i spadania z drabin. Ztąd nieustanne zatargi z budowniczym, które przez całe lata przebudowy rozdrażniały Bibliotekarza, oburzonego, że dla celów dekoracyjnych poświęcano bezpieczeństwo zbiorów i praktyczność ich ustawiania. Od czasu zajęcia Krakowa rozchwiała się «trójca niecnego sojuszu», jak go nazwał Karol Soczyński w broszurze «Uniwersytet Jagielloński zreorganizowany (1834)», piętnując rządy Schindlera, Brodowicza i Weissiego, będących manekinami Liehmanna. Rząd Cesarski, chociaż obcy, ale był rządem, a nie tryumwiratem, był systemem, a nie samowolą. Odetchnął Muczkowski, choć jeszcze raz doznał przykrości ze strony Rady Administracyjnej, która nie przyjęła mu

wydatku złr. 627, wyłożonych na zajęcie 26 uczniów od r. 1846 do 1849 przy katalogowaniu. Czynił je bowiem za zezwoleniem, ale tylko ustnem, komisarza rządowego.

Z powodu przebudowy Biblioteki, wydziały Uniwersytetu rzekły się połowy uposażenia na zakupno dzieł. Tak więc od r. 1836 do 1847 obrócono z zasiłku bibliotecznego kwotę 12000 złr. na cele restaurowania. Przez cały ten czas, w miarę zajmowania sal na budowę, musiano cały zapas dzieł przenosić do innych wolnych sal — czego następstwem było, że przenoszono trzy razy całą bibliotekę porządkowaną, a jednocześnie popadającą w największy nieład. Dopiero w r. 1857 po przebudowie części południowej, ustawiono nowe szafy, piękne architektonicznie, ale możliwie najniegodniejsze. Numerowanie zbiorów dawne było nie do użycia. Bibliotekarz miał tylko adjunkta i pisarza do pomocy, tudzież dwóch posługaczy umiających ledwie czytać. Z temi siłami nie można było sprostać najprostszym wymaganiom. Przedstawił w r. 1857 potrzebę użycia studentów do pomocy lub pomnożenia składu bibliotecznego, skoro Biblioteka Lwowskiego Uniwersytetu, stosunkowo mała, czterech zużywała urzędników. To wszystko nie odniosło skutku.

Te jego zabiegi bezowocne, to nieustanne ucieranie się bezskuteczne, nie złamało jego energii, ale go nieustannie podniecało; ta myśl, że najlepsze chęci nie wzniosą Biblioteki z jej dawnego upadku, drażniła go ciągle, a że był otwartym, energicznym, niepodległym, wybuchał przy każdej sposobności.

Nic dziwnego, że uchodził za człowieka nie oglądającego się na formy. Michał Wiszniewski, z którym ciągle wojował, o dopisywanie uwag na rękopismach, czyni aluzję do grubijańskiego bibliotekarza (Podróż do Włoch), Walery Kalinka w broszurze swej i p. Z. Wagierskiej: Listy o Krakowie (1850) przytacza jego zaklęcia, lub sposób zniechęcania młodzieży, żądającej romansu lub wierszy do czytania, pytającej o dzieła Kościuszki, lub Czarneckiego. To wszystko prawda, może także prawdą jest, że mrukliwość wszystkim bibliotekarzom jest wspólną, ale i to niewątpliwe, że popędliwość Muczkowskiego wyrobiła się wskutek ówczesnych stosunków.

Nikt bardziej nad niego nie dbał o dobro publicznej instytucji jego pieczy powierzonej, nikt



bardziej młodzieży Uniwersyteckiej nie kochał. Widziała to młodzież, przyjmowała jego łajania i garnęła się do niego więcej, niż do wszystkich innych profesorów.

On też odwdzieczył się tej młodzieży. Przedstawieniem z 8 Sierpnia 1851 r. wniósł, aby młodzieży wolno było pożyczać dzieła do domu za poręczeniem profesora, aby ją zwolniono od składowania kaucyi. Użył argumentu nie koniecznie prawdziwego, że należy wynagrodzić młodzież za poświęcenie z d. 18 Lipca 1850 r. przy ratowaniu gmachu od ogólnego pożaru. Biblioteka bowiem nie zatliła się nawet podczas ogólnego pożaru Krakowa. Ministerium udzieliło wyjątkowo prawa wypóżyczania, więc dzięki Muczkowskiemu od Sierpnia 1852 Biblioteka stała się przystępną dla młodzieży.

Muczkowski w uporządkowaniu samej Biblioteki nie daleko postąpił, bo ciągle przenoszenie zbiorów z sali do sali udaremniało pracę. Nadto deszcz i śnieg przedostawał się z sal drugiego piętra na pierwsze i niszczył zbiory; musiano nawet w r. 1853 wyrugować bibliotekarza z mieszkania. Ruina ciągała i ruina. Lecz co się dało to robił, spisywał panegiryki, oddzielał broszury i dublety, niemając żadnej pomocy. Znakomity znawca numizmatyki, uporządkował zasobny gabinet numizmatyczny i zaopatrzył go naukowym katalogiem.

Działu polskiego nie mógł zakupami pomnażać z powodu, że zasiłkiem rozporządzali profesorowie na własne cele, tak zwane naukowe. Dział więc polski był szczupły, ubogi i nieusprawiedliwiający sławy zasobności, którą posiadał. Muczkowski nieraz wprowadzając uczniów do sali, w której cały dział polski był przechowanym, mówił z ironią: „Oto jest nasza wielka literatura, z której tak się chęlpimy“. Dzisiaj dział polski przepelnia sześć sal. Niemając funduszu na zakupno książek polskich dla Biblioteki, tworzył bibliotekę doborową dla siebie, która potem dostała się Moszyńskiemu, a od niego biskupowi Szembekowi.

Przy przebudowaniu Biblioteki żadna sala nie ocalała, musiano nawet poświęcić liche malowidła ściennie Stachowicza, bo wypadło ściany wyburzać. Skazano także kapliczkę Św. Jana Kantego i jego mieszkanie na usunięcie, ale Muczkowski, choć często biadał, że Akademia wydała miliony i zrujnowała się na kanonizację, aby uzyskać świętego, rywalizując z jezuitami,

którzy ich mieli poczet nie mały,—jednakże, lubo to uczniom prawił, uratował pamiątki po Św. Janie Kantym, przedstawiając w r. 1851 władzy, że to jest relikwia historyczna, że patron Akademii modlił się w tej kapliczce i przy niej witali akademicy Sobieskiego d. 10 Sierpnia 1683 r., gdy szedł pod Wiedeń.

Muczkowski, będąc bibliotekarzem objął także wykład Bibliografii, jako przedmiotu nadobowiązkowego. Katedra była potrzebną, bo przysposabiała przyszłych urzędników biblioteki i wyrabiała przyszłych historyków. Uczono tu prócz znawstwa ksiąg, także paleografii, numizmatyki, heraldyki, które to przedmioty znał Muczkowski gruntownie. Doskonały łacinnik, przerabiał z uczniami dyplomata, a przy tej okazji lekcya przybierała charakter wykładu literatury i historii polskiej, których nie uczono ani w gimnazjum ani w uniwersytecie.

W wąskiej izbie, przy długim stole, siedział profesor obłożony książkami, trzymający w ręku karteczki zapisane. Uczniowie obsiadali stół, a dwaj posługacze stali gotowi na rozkazy. Muczkowski nie był wymowny, a więc przy pamięciowym wykładzie z kartek zająkiwał się, jak gdyby mu wyrazów brakło, tylko głową poruszał i ręką wstrząsał, zniecierpliwiony. Od czasu do czasu pytał ucznia o datę zgonu króla, lub szczegół głośnej batalii, a biada jeżeli niewiedział,—było strofowanie, że przeszłość jest własnością naszej pamięci.

Prawda, że podczas każdej lekcyi grzmiał jego głos z przezwiskami na posługaczy, dostał się też niejednemu uczniowi ostry epitet, jeżeli nieznał poety lub historyka, a lubo to nie miało związku z bibliografią, jednakowoż młodzież wybaczala mu ton ostry, opryskliwy, bo wiedziała, że to wypływało z wielkiej miłości do tego wszystkiego co przeszło. Ceniono jego charakter czysty jako ła i otwartość szorstką, której nie ukrywał wobec najsilniejszych potentatów. Nie ugiął się nigdy.

W uniwersytecie profesorowie, pobierając pensję sześciu tysięcy złotych, która dostatnio wystarczała na utrzymanie rodziny, ale nie dopuszczała odkładania oszczędności, zwykli byli starać się o dodatkowe utrzymanie. Prawnicy byli adwokatami, księża mieli prebendy, medycy trudnili się praktyką, filozofowie zaś przyjmowali na stan-

cyę zamożnych młodzieńców z odległych stron, mających kształcić się w uniwersytecie. Miał takich Wiszniewski i Kuczyński, a ich wychowawcy mieli pozostawioną sobie swobodę kształcenia się. Inaczej Muczkowski swoimi kierował. Wyznawca tej równości, którą szczepił nieszczęśliwy, a go-dzien osobnego życiorysu Czesław Łukaszewicz, tępił w wychowawcach swych wybryki pańskości i wyrastania ponad niższych urodzeniem. Znawca genealogii wszystkich rodzin, gromił popisywania się herbem i przodkami. Był pod tym względem nieubłagany. Jego wychowawcy wyrastali z in-nem pojęciem, z innymi poglądami na obowiązki względem społeczeństwa zniwelowanego. To było jego niemalą zasługą.

Tak prowadził przed nim młodzież tylko Królikowski — czem naraziwszy się opiekuńczej władzy, był zmuszony opuścić Kraków i dalej rozwijać skrajne swoje pojęcia o «centralizacji pa-ryskiej». Po nim kierunek młodzieżą herbową objął Józef Kremer i wcale odmiennie prowadził jej wykształcenie.

Te były, że się tak wyrażę, wewnętrzne sto-sunki Muczkowskiego. Na zewnątrz wyrasta jako erudyta niezmordowany. Jego gramatyka polska jednocześnie z literaturą Łukaszewicza i zasadami stylistyki Królikowskiego, były literackimi ewan-geliami młodzieży, oddającej się literaturze. Na tem kształciły się te dziesiątki pisarzy, którzy po-tem wyróżnili się dobrym stylem i znajomością historii i literatury.

Co wydał, o tem wiadomo; pisał ciężko i su-cho, jak wszyscy, którzy nie kształcą stylu gim-nastyką wierszownia. Łamanie stylu dla formo-wania wierszy należy do koniecznych zadań szko-

ły literackiej. On, chociaż wydawał poetów, naj-mniej ich cenil i sam pisanie wierszów nie pró-bował. Kwiatków stylistycznych nie lubił, walił prosto z góry, tak jak mówił. Ale to co napi-sał, było zawsze nowem, odkrytem, nie powtarza-nem. Szczególną zasługą jego jest to wszystko, co się odnosi do bibliografii i uniwersytetu.

Do tego zakresu badań należą prace: o Paw-le z Pragi (1835), O mieszkaniach uczniów (1842), O Leopolitach (1845), O rękopisach Radymiń-skiego (1840), O rękopisach Długosza (1850), O założeniu Uniwersytetu (1840), O Mateuszu z Krakowa (1951), O liceum św. Anny (1849) i przetłoczenie drzeworytów uniwersyteckich, nau-kowo objaśnionych. To wszystko były prace przy-gotowawcze do wielkiego dzieła o Uniwersytecie.

Zbierał do tego materiały przez całe życie i pozostawił uporządkowane abecadłowo w 36 pudłach, które rodzina ofiarowała Bibliotece Ja-giellońskiej. Zbiór ten jest nieoszacowanym i nie-zużytkowanym dotąd źródłem do historii Uni-wersytetu. Już z tych zasobów obficie korzysta-li Szujski, Wislocki i Morawski. Służyć będą i przyszłym historykom Uniwersytetu jako ma-teryał niewyczerpany.

Nadmienić jeszcze wypada, że Muczkowski był jednym z pierwszych u nas, który zwrócił uwagę na pobratymczy naród, od któregośmy dotąd stronili. Poprzedził go tylko Rościszewski, wielki przyjaciel Czechów. Za nim poszedł Ma-ciejowski. Muczkowski tłumaczył rozprawę Wi-narzyckiego o literaturze czeskiej (1834) i pozo-stawał w wymianie pism ze słynnym Wacławem Hanką.


*Karol Estreicher.*



# Leopold Kronenberg.

\* 1812 † 1878.



99 ylko dobra wiara, praca sumienna, bezstronność w traktowaniu kwestyi, poszanowanie przeszłości naszej z wykazaniem, co było zgubnem — zachęta do postępu na zasadach człowieczeństwa opartego, zgodnie z ideą Chrześcijaństwa, a wszystko to na tle narodowem, było, jest i będzie ciągle naszą dążnością, tak w słowach jak i w czynach». Tak pisał do Kraszewskiego Kronenberg \*). Tak pisał i tak czuł. Cały żywot jego świadczy i o tej dobrej wierze, i o pracy, i o tem, że wszystkie swe ideały widział «tak w słowach, jak i w czynach».

Tego wymagała dziwna jego, siłą imponująca, organizacja duchowa. Wymagała ona ciągłego czynu. To też czynem szedł. A czyny te mają znaczenie olbrzymie w rozwoju naszego życia kulturalnego. Był on nie tylko finansistą, nie tylko przemysłowcem, nie tylko organizatorem, wydawcą, był nadewszystko pożytecznym obywatelem. Rdzeń działalności jego przypada na szósty i siódmy lat dziesiątek zeszłego stulecia, a czasy to były dla całego społeczeństwa znamienne, i głowy dzielnej, i porywów pięknych trzeba było, i wytrwałości w pracy, by ówczesnemu społeczeństwu wskazać drogi i pola do pracy ogólnie użytecznej.

Była to epoka w rozwoju naszego życia ekonomicznego nieskończenie ważna. Był to okres

przejściowy, okres, łączący niedawne chwile zdruzgotanych wysiłków indywidualnych, z okresem, który powstał, wprawdzie pod tym samym sztandarem, lecz w innych warunkach.

Wysiłki, podjęte przez obywateli pierwszych chwil Królestwa Kongresowego, wniwecz obrócone zostały w latach 1832 — 33 przez represyjne prawodawstwo dla przemysłu naszego. Ale sztandar pracy sumiennej przetrwał i uwidocznił się znowu. Wyobrazicielem jego był Steinkeller. I on runął. Nastąpiło w społeczeństwie to, co jest najgorszem: rozgoryczenie, brak tężyzny, brak wiary w swe siły i, co ważniejsza, brak wiary w znaczenie odżywcze niezmordowanej pracy na polu ekonomicznem.

Zmieniły się też i warunki. W roku 1850 zniesiono linię celną pomiędzy Cesarstwem a Królestwem. Od tej chwili całe dwudziestopięcioletnie było nacechowane tendencją jeśli nie wolnego handlu, to przynajmniej dosyć umiarkowanych cel i reglementacji. Z chwilą wprowadzenia ogólnej taryfy dla produktów przemysłu polskiego otworzyło się szerokie, dotąd mało wyzyskane, pole zbytu na rynkach wschodnich. Wypadki polityczne ułatwiły jeszcze bardziej możliwość korzystania z tych rynków. Nastąpiła wojna Krymska. Brzegi Cesarstwa poddano blokadzie. Handel morski był uniemożliwiony, wiele fabryk rosyjskich z powodu niemożności importu materiału i braku robotników musiało zmniejszyć produkcję, a popyt na towary podniósł ceny. Rząd rosyjski wówczas zniewolony był bardziej jeszcze obniżyć cła od importu towarów i materiałów

\*) List, zachowany w zbiorach Barona Kronenberga, pisany dn. 1 kwietnia 1859, omawiał warunki współpracy z Kraszewskim w zaczynającym się wydawnictwie «Gazety Codziennej».

surowych z zagranicy na drodze lądowej, z której przedewszystkiem korzystało Królestwo. Rozkwit miał się zacząć, i to nie tylko dzięki nowym stosunkom celnym. Przyczyniły się też do tego i udoskonalenia techniczne, wielkie wynalazki tej epoki. A nadewszystko w społeczeństwie trwał, choć drzemał chwilowo, ten duch, który przyświecał i Lubeckiemu i Steinkellerowi, i tym co na czele Banku Polskiego stali, i tym co prowadzili Towarzystwo Kredytowe Ziemskie: sztandar pracy u podstaw, odrodzenia społeczeństwa przez ożywienie życia wytwórczego.

Zaczynało się to życie; należało ująć je w silne karby, nadać kierunek. Należało nie tylko przyjmować udział w samej produkcji, lecz potrzeba było powoływać do życia instytucje, któreby tej przemysłowości służyć miały, potrzeba było banków, towarzystw kredytowych, kolei żelaznych, jednym słowem wszystkich tych nowych form, które żyły już społeczeństwa zachodnie.

Do tego się przyczynił Kronenberg. W tym właśnie okresie działał, i działał pożytecznie i pięknie.

A gdzie się do tej roboty zaprawił?

Urodzony w r. 1812, był wówczas w sile wieku. Rok 1830—31 zastał go w liceum Warszawskim i przerwał mu nauki, rozpoczęte uprzednio w gimnazjum O. O. Pijarów w Żoliborzu. Przymusowy wyjazd nie był bez skutków: wszedł Kronenberg w Hamburgu do Domu Handlowego Edge et Karr, gdzie wiedzę fachową ugruntował. To dało mu możność założenia po powrocie do kraju z M. Rosenem Domu Bankowego, którego wkrótce stał się wyłącznym właścicielem.

Zamłodu zaprawiał się do pracy na polu handlowem i przemysłowem, do pracy, która następnie miała zostać zasługą. Już w roku 1839 widzimy go w spółce, która nabyła po Maurycym Koniarze administrację dochodów tabaczych Królestwa Polskiego; w roku następnym staje na czele tej spółki. Bo, jak pisze J. I. Kraszewski, «wspólnicy ulegli wyższości i praktycznemu zmysłowi przypuszczonego do interesu Kronenberga» \*).

Przedsiębiorstwo poszło szczęśliwie. Również dostаточно rozwinął się Dom Bankowy, w roku 1851 ostatecznie zorganizowany. I nie jest to

rzeczą małej wagi lub wyłącznie osobistego znaczenia. Jak zaznaczyliśmy, połowa szóstego dziesiątka lat zeszłego wieku była epoką przejściową. Ale nie tylko przejściową, była epoką przełomu. Warunki rozliczne wpłynęły na przesilenie pieniężne i przemysłowe w latach 1857—58, ogromem swym nie mające prawie równego w dziejach gospodarczości kraju. Brakło gotowizny nawet w Banku Polskim. Dom Kronenberga zawsze udzielał kredytu chętnie i nie tylko tym, którzy materyalną przedstawiali gwarancję, ale—i przedewszystkiem—tym, co dawali moralną rękojmię. Nie dawano upadać zdrowym przedsiębiorstwom, do życia powoływano nowe.

Przedsiębiorstwa własne Kronenberga szły pomyślnie, dawały zyski; i z pierwszych zaraz dochodów nabywa Kronenberg z radością kawał ziemi polskiej, kupuje Brzezie.

Wiedział Kronenberg, jak ważnym czynnikiem w rozwoju naszego życia jest postęp rolnictwa: zapragnął szeroko otworzyć kredyt rolnictwu naszemu i, gdy w r. 1858 powstały domy zleceń rolników, służy im chętnie kredytem, do pracy zagrzewa, daje światło wskazówki.

Była to zresztą chwila, od której zaczyna się całe pasmo działalności nawskroś obywatelskiej, a tak licznej, tak różnostronnej, że dziś, przy wyliczaniu śladów tej pracy, wprost zdumienie ogarnia i wierzyć trudno, by ten ogrom cały mógł być dziełem jednego człowieka.

Bo czemuż się Kronenberg nie zajmował? Wiedział dobrze, że rozwijającym się stosunkom kredytu potrzeba. Przeczuwając, że Banku Polskiego może nie starczyć, powziął myśl utworzenia banku publicznego w Warszawie. A w tym zamiarze nic innego, jeno chęć służenia sprawie przyświecała, bo, jak sam pisze w liście do ministra Turkułła \*), «moim interesem osobistym, egoistycznym, byłoby sprzeciwiać się tego rodzaju zakładowi», ale—czytamy w tymże liście—«Bank Mobilier u nas jest mon idée fixe i będzie głównym celem życia mojego. Zdaniem mojem, każdy dobrze myślący, komu tylko cokolwiek na dobrym bycie kraju zależy, powinien się złączyć i współdziałać z innymi dla

\*) J. I. Kraszewski: «Leopold Kronenberg» Ateneum, 1878.

\*) List ten, pisany dn. 7 kwietnia 1856, znajduje się w zbiorach Barona Kronenberga.



Według portretu L. Horowitza.

*Wojciech Kosiński*



doprowadzenia do skutku instytucji, która w odpowiednim ręku tyle pomyślności dla ogółu rokuje». Była to sprawa paląca. Kredyt był wówczas w warunkach wprost anormalnych: albo go nie było zupełnie, albo był utrudniony do najwyższego stopnia. Takie zjawisko, zbyt długotrwałe, należało usunąć. I nie dziw, że się tem tak gorąco Kronenberg zajmował: do tego dzielnych ludzi trzeba było. O tych, którzy koncesyę na utworzenie instytucji takiej otrzymać powinni, tak pisze Kronenberg: «ci mają pierwszeństwo, którzy obok odpowiednich warunków dają Rządowi jakąś rękojmię, że interesa takowe przejmują nie w widokach ażyoterstwa lub li tylko osobistych, lecz w zamiarze doprowadzenia do skutku celów, jakich Rząd i kraj od nich oczekują». Tak pojmował zadanie kierowników instytucji Kronenberg. «Kraje przez takie zakłady—pisał—nietylko byt swój polepszają, bogactwo zrodzą i zrealizują, ale nadto wewnętrzną organizacyę swoją utwala i świetną przyszłość jej zapewnią». A to było ideałem jego, wszakże wszędzie i zawsze, nawet w instytucji czysto finansowej, widzi szerokie cele, owo wewnętrzne zorganizowanie pracy. Gdy Kronenberg pisał, że bank taki publiczny jest jego głównym celem życia—mylił się. Głównym jego celem było właśnie to zespolenie sił, zestrzelenie myśli, zorganizowanie pracy. Instytucja taka miała być tylko jednym z przejawów licznych dążeń jego.

Skutkiem tych zabiegów—choć nieco późniejszym—było utworzenie Banku Handlowego. O tem, co instytucja ta zdziałała, jaka karta należy jej się w dziejach rozwoju gospodarczego u nas, nie tu miejsce sądzić. Kronenberg był zrazu inspiratorem instytucji, która też za to i za zapoczątkowanie dzieła okazała mu zaraz wdzięczność swoją. W liście, przez prezesa Rady hr. Józefa Zamoyskiego podpisanym, zawiadamia go Rada Banku\*), że wybrała go «jednomyślnie na Członka tejże Rady i postanowiła zaprosić go do zasiadania w jej gronie».

Umyślnie nieco obszerniej przedstawić należało choćby jeden przykład, jak rozumiał Kronenberg swoje powołanie, jak pojmował cele i zadania

\*) List Prezesa Banku Handlowego w Warszawie z dn. 28 października 1870, znajdujący się w archiwach Barona Kronenberga.

instytucji, których był inicjatorem. Wszędzie przede wszystkim miał na oku dobro publiczne. Ta cecha przeziara bardzo wyraźnie z ciekawej niezmiernie korespondencji jego z ministrem Turkułlem. O jakich tam przedmiotach niema mowy! Widzimy i raport o wystawie londyńskiej, i projekt ubezpieczeń bydła, zamiary stworzenia nowych instytucji, plany nowych dróg żelaznych. Składając ministrowi projekt drogi żelaznej, w liście dołączonym pisze: «en dehors du plan ci-dessus, qui ne se borne pas à la seule construction des voies ferrées, mais qui s'étend en outre aux mines du pays, je m'occupe encore d'un nouveau projet concernant un développement plus étendu et plus raisonné de l'agriculture, ainsi que la prospérité du commerce et de l'industrie. Ces projets ont avant tout pour but le bien public, le bien être du pays et en dernier lieu seulement les avantages, assurés pour les capitaux qui y seront employés» \*).

I tą właśnie cechą, tem pragnieniem pomnożenia dobra publicznego, nacechowana jest działalność Kronenberga. Wszakżeż jego dziełem jest powołanie do życia Kasy Przemysłowców, zorganizowanie Towarzystwa Kredytowego m. Warszawy, Warsz. Towarz. Ubezpieczeń. Niedosć na tem: reformuje Kronenberg Ustawę Giełdy Warszawskiej i Ustawę Urzędu Starszych kupców, przyjmuje udział w obradach, dotyczących powstania Towarzystwa Wzajemnego Kredytu.

A nadewszystko trzyma dłoń na pulsie społeczeństwa, na pulsie spraw finansowych i publicznych.

Udoskonalenia techniczne i nowy system gospodarstwa rolnego domagały się rozwoju ważnej gałęzi produkcji krajowej: cukrownictwa. I tu, na czele tego ruchu staje Kronenberg. Popiera powstawanie nowych cukrowni i tworzy Warszawskie Towarzystwo fabryk cukru. Niedosć na tem. Górnictwo, które kiedyś tak świetną przeszłość miało, a potem zaczęło upadać należało rozbudzić na nowo. Wszakżeż i ono przysparza bogactwa ogólnego i licznym rzeszom łaknących pracy daje sposób zarobkowania. A te motywy starczyły, by sprawą zajął się Kronenberg. Widzimy go i tu: powołuje do życia Towarzystwo kopalni węgla i zakładów górniczych.

\*) List z dn. 6 (18) marca 1856, ibidem.

Nie koniec jeszcze. Buduje kolej Terespolską i Nadwiślańską. W administrację obejmuje kolej Wiedeńską, skąd obce żywioły wypiera.

Zdaje się, że jest to poprostu poczet wszystkich instytucji, w okresie tym do życia powołanych. Wszędzie Kronenberg był—i więcej jeszcze: dziś, gdy kawał czasu od ich powstania nas dzieli i sąd o nich wydać już można, jedna się narzuca uwaga: wszystkie one nie tylko trwają, ale mają przeszłość świetną i nade wszystko pożyteczną. Świadcstwo to żywe. Sądzić z nich można, jak się sędzi po owocach drzewo.

Czy ograniczał się Kronenberg na tworzeniu instytucji tylko finansowych, choćby o szerokim, obywatelskim podkładzie? Czy w życiu publicznym nie przyjmował udziału? Czy nie myślał i o dobrobycie moralnym społeczeństwa?

Wszakże współdziałał i przyczynił się do usiłowań urzeczywistnienia ideałów narodowych. I tu hojnym był, możliwym nad wyraz, nad miarę, z zapomnieniem, z narażeniem siebie, całego bytu swego. A naród mu wierzył—bo narodowi służył.

Dbął on i o dobrobyt moralny klasy pracującej. Przy każdej nieomal instytucji zaprowadza kasy przezorności, zakłada szkoły techniczne.

Dbął również o niecenie oświaty, o podtrzymywanie energii pośród całego społeczeństwa, które ukochał. I w tym celu w r. 1859 zaczyna wydawać «Gazetę Codzienną», która następnie miano «Gazety Polskiej» otrzymała. Do współpracy w tej pięknej robocie powołuje przyjaciela swego, J. I. Kraszewskiego. «Rozumiem, że pobyt zagranicą—pisał Kronenberg do p. Bielawskiego, który z Sheffieldu miał korespondencje dostarczać—narzuca niejedną myśl, którąbyśmy chcieli przenieść na własne rodzinne niwy, abyśmy z chlubą i radością w sercu mogli śmiało głosić przed wszystkimi: niema jak u nas, niema jak nasze» \*). A dalej czytamy: «Gazeta Codzienna» nie będzie opartą na rachubie, nie ma ona przynosić dochodów; przeciwnie, ma być przytułkiem dla wszystkiego, co się w dziedzinie literatury i nauki pojawi u nas zdolnego, znakomitego i godnego poparcia».

A jaki był program «Gazety»? W innym

liście \*) Kronenberga czytamy: «pochlebstwa i pochwały dla klas najwięcej prenumeratorów dostarczających, reklama zamiast gruntownego obrobienia przedmiotu — to środki, których używały gazety nasze dla zapewnienia sobie powodzenia. «Gazeta Codzienna» inną pójdzie drogą. Bezstronna i niekoteryjna, a zatem mająca ogół na względzie, a nie zdanie i upodobania pojedynczych stanów, lub, co gorsza, pojedynczych koteryi, chrześcijańska i polska przede wszystkim, zachęcająca do pracy i postępu na zasadach człowieczeństwa, szanująca tradycję i przeszłość, która wymaga wszechstronnego rozwoju, Gazeta ta ma być wiernem odbiciem naszych potrzeb duchowych i materyalnych i ma nam wskazać, na jakiej drodze zaspokojenia ich szukać winniśmy».

Gazecie tej daną była misja kształcenia społeczeństwa. Ale wiedział Kronenberg, że niemniej należało zająć się młodzieżą. W roku 1875 funduje Szkołę Handlową w Warszawie. Kierownictwo zwierzchnie powierza Przystańskiemu. Szkoła ta jest jednym z większych liści wawrzynu Kronenberga. Bo niezapominajmy o tem, że działo się to zgórą ćwierć wieku temu. Społeczeństwo nasze wówczas jeszcze stroniło — jeśli już nie od przemysłu—to bezwzględnie od kupiectwa. Kronenberg pojął, jak ważnem jest wypolenie odwiecznych szkodliwych przesądów w społeczeństwie. Najlepszym na to środkiem i, jak się okazało, skutecznym—była szkoła. Zresztą nietylko o wypolenie uprzedzenia chodziło. Myśl była głębszą jeszcze. Widział Kronenberg, że młodzieży coraz trudniej będzie szukać zajęcia w urzędach — młodzież tę należało więc skierować do innych dróg, do handlu. Ztąd wniosek: należało tę młodzież do zajęcia nowych placówek przygotować.

Czy ten szereg zasług wypełnia cały pracowity żywot jego? Bynajmniej. Nie było żadnej instytucji społecznego znaczenia, w którejby Kronenberg nie brał czynnego udziału, nie było żadnej instytucji filantropijnej, gdzieby szczodrobliwości jego znać nie było (tak np. w znacznej części przyczynił się do wzniesienia Szpitala dla dzieci), nie było sprawy uczciwej, która wymagała

\*) List z dn. 3 lipca 1859, ibidem.

\*) Pisany do jednego z korespondentów «Gazety» w Londynie dn. 4 lipca 1859 r. ibid.

wsparcia, by nie przychylił się do niej. «Professor Łuczkiewicz — pisze Kraszewski \*) — dopiero po zgonie Kronenberga ogłosił w dziennikach, że na wpisy dla niezamożnych studentów uniwersytetu miał fundusz nieograniczony».

Alé prócz zapomóg hojnych dawał zawsze Kronenberg serca wiele. Przebija to jaskrawo z długiej i serdecznej korespondencji jego z Kraszewskim. To też skołatany Kraszewski z Dreżna szczerze pisał do niego \*\*). «Im cięższe i boleśniejsze jest położenie moje, tem serdeczniejszą czuję wdzięczność dla Was, Szanowny Panie, że mnie choć

\*) W artykule «Leopold Kronenberg», Ate-  
neum 1878.

\*\*) dn. 22 Grudnia 1865 r. ibidem.

listem i dobrem słowem nawiedzić raczyłeś. W tej biedzie straciliśmy przyjaciół i przychylnych, a ze wszystkich strat to może najboleśniejsze, bo pozbawia nas ostatnich złudzeń i wiary w ludzi. Tem też drożej dziś cenię każdą, jak Twoja, Szanowny Panie, oznakę współczucia».

I nie dziw, że Kraszewski tak pisał. Bo Kronenberg to nietylko umysł szeroki, co stworzył wiele i zaprojektował rzecz niejedną, po nim dopiero wykonaną, to nietylko przykład pracy wśród swoich i dla swoich, to nietylko energia; ale i serce szlachetne, które kraj ukochało. A z serca tego płynęła i praca, i energia, i zasługa, i wiara w przyszłość.

*Henryk Radziszewski.*



# Józef Bem.

\* 1795 † 1850.



**J**ózef Bem urodził się w r. 1795 \*) w Tarnowie, gdzie jego ojciec był profesorem matematyki w szkołach. Pod jego kierunkiem otrzymał staranne wychowanie początkowe w domu, a w r. 1800 umieszczony został w Warszawskim korpusie kadetów. Już w r. 1809, jako chłopiec 14-letni, zaliczony do baterii artylerii konnej Włodzim. Potockiego, pozostawał jednak w szkole, z której wyszedł w r. 1812, jako podporucznik, do baterii artylerii konnej Ostrowskiego. Z początkiem wojny bateria ta wcielona została do korpusu Mac-Donalda. Postępując na lewym skrzydle Wielkiej Armii, Bem z 12 działami i 20 artylerzystami przykomenderowany

został do batalionu pułku 5-go piechoty, dowodzonego przez podpułkownika Godlewskiego, ma-

\*) Większa «Encyklopedia Powszechna» Orgelbranda mylnie podaje datę jego urodzenia w r. 1790.

szującego w 2-im eszelonie straży przedniej. Dowiedziawszy się o posterunku nieprzyjacielskim, złożonym z 70 ludzi piechoty i dragonów,

a znajdującym się w warunkach, jak młody podporucznik osądził, dogodnych dla atakującego, Bem ze swymi 20 artylerzystami z własnej inicjatywy napadł na ten posterunek — i przekonał się o zupełnej trafności swojej kombinacji: z 70 ludzi, składających posterunek, 50 wziął do niewoli, resztę wybił. Ten pierwszy czyn wojenny siedemnasto-letniego oficera został — jak na to zresztą skądinąd zasługiwał — wynagrodzony aresztem, jako napad, dokonany bez rozkazu. W dalszym ciągu kampanii Bem walczył pod Boro-



dinem, Wiaźmą, Tarutinem, Krasnem, Berezyną, a w r. 1813 należał do bohaterskiej załogi Gdańska i za odznaczenie się w jego obronie został kawalerem Legii Honorowej, a następnie poru-

cznikiem. Walczył jeszcze w r. 1814, został odłamkiem granatu raniony w prawą nogę i przy organizacyi wojsk Królestwa Kongresowego w r. 1815 został kapitanem 2-ej klasy \*). Wkrótce potem zamieszczony w korpusie raketników, został adiutantem jego dowódcy, generała Bontemps, i miewał sobie powierzane zastępczo wykłady artyleryi w Szkole Aplikacyjnej \*\*). Już wtedy zarysował się dość wyraźnie charakter przyszłego bohatera Iganiów, Ostrołęki, Warszawy i Siedmiogrodu.

Głównymi charakteru tego cechami były: nadzwyczajna stanowczość i siła woli, imponująca zimna krew oraz odwaga, zarówno osobista, jak i strategiczna, posuwająca się do zuchwalstwa. Jego siła woli mogłaby się snadnie przerodzić w upór, jego odwaga w nedorzeczne junactwo,—gdyby nie jego wspaniała inteligencja. Był to umysł niezwykle jasny, gruntowny, ścisły i bystry. Ale nie umysł był czynnikiem głównym i dominującym jego całokształtu duchowego, jeno wola. Umysł był u niego—jakby się wyraził Schopenhauer—całkowicie na usługach woli, był w nim nie potęgą, któraby kierunek jego życia wyznaczała, lecz latarnią, rozświetlającą drogę, wyznaczoną przez wolę. Do tej zaś funkcji latarni był ten jego umysł wybornie przystosowanym i właśnie jego siła i jasność utrzymywały Bema w równowadze i nie pozwalały mu popaść ani w upór, ani w junactwo, do którego jednak z natury nie był pozbawionym skłonności; bo była w tej jego naturze jakaś zacięta przekorność, była ochota do igrania z niebezpieczeństwem,—jak powiada u Kiplinga mały Mowgli,—do «targania

\*) W wojsku Królestwa Kongresowego w gwardyi, kwatremistrzostwie, artyleryi i inżynieryi majorów nie było, ale w artyleryi i inżynieryi stopień kapitana dzielił się na dwie klasy. Kapitan 2-ej klasy odpowiadał kapitanowi, kapitan 1-ej klasy majorowi piechoty i jazdy. W mowie potocznej kapitanów 1-ej klasy zwano zwykle majorami.

\*\*) Zarówno większa «Encyklopedia Powszechna» Orgelbranda, jak «Wielka Encyklopedia Ilustrowana», mylnie podają, jakoby Bem był profesorem jakiejś «szkoły artyleryjskiej». Szkoły takiej za Królestwa Kongresowego wcale nie było, w szkole zaś Aplikacyjnej Bem nie był nigdy nominowanym profesorem stałym, tylko parę razy wykladał artylerję zastępczo.

śmierci za wasy», była dążność nietylko do pobicia nieprzyjaciela, ale do bruźdzenia mu, do płatania mu straszliwych figlów. Ale była i jasna rozważa, która mu nigdy nie pozwalała zapędzić się w tym kierunku zadaleko. Na wojnie Bem stale postępował podług sformułowanej w kilkadziesiąt lat po nim przez Moltkego maksymy: «Erst wägen, dann wagen — naprzód rozważyć, potem się odważyć». Rozważał wielostronnie, ściśle i gruntownie, a odważywszy się, wykonywał z ogromną energią. Obok zaś tych cech było w jego charakterze dużo osobistej dobroci i nawet miękości. Nieprzyjacielem był zawziętym i nieubłagany, ale czyim nieprzyjacielem nie był, dla tego był dobrym, łagodnym i życzliwym, lubił pomódz, umiał cieszyć się cudzem dobrem. Pod względem moralnym był to człowiek nieskazitelnie prawy.

Powierzchnowość Bema odpowiadała dość dobrze jego charakterowi: Średniego wzrostu, krępy, zbudowany bardzo silnie, miał wydatny, energicznie zarysowany podbródek, zacięte wargi, dość silnie występujące kości policzkowe, niezbyt kształtny, ale energiczny nos, dość wysokie, wypukłe czoło, czarne włosy, mocno zaznaczone, niemal zrosnięte brwi, a obok tego jasno-niebieskie, szczere, dobre, pocziwe oczy.

Pod względem politycznym był Bem jednym z najradykałniejszych i od samej chwili utworzenia Królestwa Kongresowego należał do malkontentów. Był parę razy podejrzanym o rozmaite knowania, wreszcie w r. 1827, już od r. 1821 w stopniu kapitana 1-ej klasy, otrzymał dymisyę. Ponieważ nie popełnił żadnego jawnego wykroczenia, przeto dymisyja ta potrzebowała pretekstu. Za taki pretekst posłużył pojedynek, w którym Bem zabił swego przeciwnika. \*)

\*) O szczegółach tego pojedynku mam relację ustną od p. Bohdana Skrzyńskiego, wnuka po kądzieli Kazimierza Rzewuskiego, naówczas podporucznika pułku grenadyerów gwardyi, jednego z sekundantów Bema. Szczegóły te tak dobitnie charakteryzują Bema, że je pozwalam sobie przytoczyć.

Było to podczas karnawału r. 1827. Wróciwszy z jakiegoś balu już o białym dniu do domu, Bem znalazł u siebie kartkę od jednego ze swoich kamratów, mniej więcej tej treści: «Mam jutro (w tej chwili znaczyło to już: dziś) o 8-ej rano pojedynek, jestem chory, zechciej mnie kamrat zastąpić». Bem nie uwa-



Bem był człowiekiem o naturze czynnej, ruchliwej i przedsiębiorczej. Porzuciwszy — mimo wolnie — ulubioną przez siebie służbę wojskową i osiadłszy we Lwowie, zamierzał, jak się zdaje, poświęcić się inżynierii cywilnej. Zainteresowały go i pociągnęły debiutujące wtedy dopiero na polu przemysłu maszyny parowe. Owocem jego studyów w tym kierunku była dobrze napisana książka popularna «O machinach parowych», wydana we Lwowie w r. 1829.

Na pierwszą wieść o powstaniu listopadowem Bem stawiał się do szeregów. Przyjęty w stopniu majora artylerii, był bardzo czynnym przy organizacji batalionu rezerwowego artylerii, który w następstwie, przy kompletowaniu wciąż okropnie dziesiątkowanej obsługi dział polowych, znakomite oddał usługi. Na początku działań wojennych został dowódcą baterii konnej artylerii rezerwowej i w tym stopniu brał udział w bitwach pod Wawrem i Grochowem. Po bitwie Grochowskiej posunięty na stopień podpułkownika, pozostał na czele swojej baterii i walczył z nią pod Dębem-Wielkim.

Organizując oddział, przeznaczony do wyprawy na Iganie, Prądyński, który wybornie umiał cenić ludzi i rychło potrafił poznać się na wartości Bema, jemu powierzył dowództwo szczupłej — z 10 dział złożonej — artylerii swego korpusu. Przewidywał słusznie, że tu właśnie, na tem stanowisku potrzebny będzie człowiek niezwykle

żał — rzecz prosta — prośby o tego rodzaju zastępstwo za właściwą, ale nie zdecydował się jej odmówić i oficera oddziału, w którym sam służył, narazić na ostrzelanie placu. Czasu było już bardzo mało. Złapał na sekundantów pierwszych dwóch oficerów, których mógł w danej chwili złapać, i w ich towarzystwie puścił się pośpiesznie na Bielany.

Mimo pośpiechu, trochę się spóźnili i na placu zastali przeciwników, którzy się już zaczynali potrosze niecierpliwić, a teraz, na widok nie tych, których oczekiwali, okazali niemałe zdziwienie. Po danem ze strony sekundantów Bema wyjaśnieniu, partnerzy (przeciwnikiem Bema był jakiś oficer saperów) stanęli naprzeciw siebie. Pojedynek był na pistolety, z wystrzałem dowolnym pomiędzy metą a baryerą. Bem nie miał do zupełnie sobie nieznanego przeciwnika żadnej zawziętości i prawdopodobnie nie spodziewał się też żadnej z jego strony. Saper, nie doszedłszy jeszcze do baryery, strzelił pierwszy i trafił Bema w brzuch. Bem, ciężko raniony, upadł i zgoła nie myślał o strzelaniu. Zły los saperów podsunął mu słowa: «No, i poco to było kamratowi mieszać się w nieswoje

energiczny, szybko orientujący się i rozważny a zarazem zuchwały — i wybrał Bema. Fakty okazały, że nie mógł uczynić lepszego wyboru.

Bem niał pod swoją komendą 10 dział, przeciw sobie 38. Przy tej przerażającej dysproporcji możnaby jeszcze, gdyby się zajęło bardzo dogodną pozycję, myśleć o uporczywej obronie; ale bitwa pod Iganiami była, podług planu, akcją zaczepną, akcją, która wobec przewagi liczebnej i dobrych pozycji wojsk rosyjskich, o tyle tylko mogła mieć niejakię szanse powodzenia, o ile była bardzo energicznie podtrzymywana przez artylerję.

Postawiony wobec zadania, którego pomyślnie rozwiązanie było koniecznością, Bem obrał drogę zuchwałą, ale taką, która jedynie mogła prowadzić do celu: Że w walce artylerii z artylerją polską musiałaby uleść czterokrotnie od niej liczniejszej i posiadającej działa pozycyjne rosyjskiej — to było oczywiste. Wobec tego, Bem postanowił nie walczyć wcale przeciw artylerji rosyjskiej, jej skierowany przeciw piechocie i jeździe polskiej ogień pozostawiać bez odpowiedzi, a całą działalność swojej szczupłej artylerji skierować przeciw piechocie i jeździe rosyjskiej, osłabić ją i przygotować polski atak generalny na bagnety. Był to plan niezmiernie ryzykowny i straszliwie kosztowny: Wykonać go — to znaczyło nie przeszkadzać artylerji rosyjskiej do miażdżenia atakującej piechoty i jazdy polskiej, znaczyło całą nadzieję

sprawy... teraz ot...» Na te słowa Bem, nie mogąc powstać z ziemi, podniósł głowę i ozwał się osłabionym, ale twardym głosem: «Za pozwoleniem... proszę do baryery... ja się odstrzelę...» Saper musiał podejść do baryery, a Bem, lewą ręką przytrzymując swoją fatalną ranę, prawą zmierzył, wystrzelił i położył przeciwnika na miejscu.

Epizod ten wybornie charakteryzuje Bema, jako człowieka, który niebezpieczeństwa wprawdzie rozmyślnie nie szukał, ale napotkanego nie unikał, nawet wtedy, gdy mógł to uczynić bez żadnej dla swego honoru ujmy, bo je w głębi duszy lubił, i jako człowieka spokojnego i nawet łagodnego, dopóki nie został zaczepionym, od tej zaś chwili twardego i zaciętego. W danym wypadku nieszczęsne słowa saperów zrozumiał widocznie, jako niewczesne drwiny z siebie, — i na to, walcząc z krążącą nad nim śmiercią, reagował ze straszliwą energią. Gdyby tych fatalnych słów saper nie był wyrzekł, Bem prawdopodobnie wcaleby nie wystrzelił. Skoro je usłyszał, zebrał resztę mroczącej się świadomości, aby ich płazem nie puścić.

położyć w niepowstrzymanym rozpędzie, w błyskawicznej szybkości i w nadludzkiej energii skoncentrowanego ataku; to znaczyło liczyć wyłącznie na niespożytą siłę moralną wojska i na nadzwyczajną precyzję jego ruchu. Każda zwłoka, każde zawahanie się mogły sprawić poprostu to, że liczna artyleria rosyjska wystrzela polaków co do nogi.

Bem na początku bitwy ustawił się ze swemi 10 działami tak, że prawie wcale nie mógł bić w artylerię rosyjską, ale i sam ulegał jej ogniom w bardzo małym stopniu. Pozostawił nieprzyjacielowi wolność bezkarnego masakrowania polskiej piechoty i jazdy, a sam z całą, na jaką go stać było, energią, rzucił się na uszykowaną poniżej artylerii piechotę i jazdę rosyjską.

Literalnie rzucił się. To, co uczynił, nie było zwykłą kanonadą, ale szeregiem jakichś niebywałych w historii wojennej szarż artyleryjskich. Po kilku salwach z pierwszej pozycji zaczęło się szalone przerzucanie dział na pozycje coraz to bliższe do nieprzyjaciela. Bem podskakiwał tuż pod szeregi rosyjskie, ział na nie kartaczami z odległości strzału nie już karabinowego, lecz niekiedy niemal pistoletowego; swój płomienny zapal, swoją potężną energię moralną potrafił przelać w żołnierzy, którzy rwali się naprzód, jak błyskawice przebiegali z pozycji na pozycję, strzelali z niepojętą szybkością. Bem parł rosyjan przed sobą, nie dawał im się opamiętać; ledwie się na jakiegokolwiek pozycji zatrzymali, pojawiał się tuż przed ich frontem i zasypywał ich kartaczami *à bout portant*. Ogień jego był tak intensywny, że, pomimo normalnego zapasu amunicji, na dość długo przed końcem bitwy wystrzelał ją i musiał zamilknąć. Ale zrobił już swoje: zepchnął piechotę rosyjską z pozycji, wniósł nieład do jej szeregów i umożliwił piechocie polskiej stosunkowo dość rychle wyjście z pod morderczego ognia artylerii rosyjskiej.

Bitwa pod Iganiami przyniosła Bemowi krzyż złoty polski i stopień pułkownika, a oprócz tego ściągnęła nań baczniejszą niż dotychczas uwagę wyższych władz wojskowych. W wyprawie na gwardye dowodził artylerią rezerwową, a przy końcu bitwy pod Ostrołęką, kiedy generał Redel został raniony, objął dowództwo faktyczne całej artylerii. W nocy już, gdy rozbita armia opuszczała przesiąkniętą krwią pole nieszczęsnej bitwy, do osłony odwrotu nie było nic oprócz artylerii:

Jazda nie mogła działać na błotnistym gruncie, piechota była już do ostateczności wyczerpana i wyniszczona. Bem zebrał prawie całą artylerię (przeszło 70 dział) i, bez jednego bądź to pieszego, bądź konnego plutonu asekuracji, rozpoczął energiczny ogień przeciw następującej armii zwycięskiej. Ogień ten, prowadzony ze wspaniałą zimną krwią i z prawdziwym mistrzostwem technicznym, uniemożliwił wojskom rosyjskim natychmiastowy pościg i był przyczyną tego, że klęska pod Ostrołęką nie była końcem wojny.

Po bitwach pod Iganiami i pod Ostrołęką sława Bema rozeszła się po całym kraju. W końcu czerwca został posunięty na generała brygady i w tym stopniu brał udział w obronie Warszawy, formalnie jako dowódca artylerii rezerwowej, faktycznie jako dowódca całej znajdującej się w szturmowanej stolicy artylerii polowej. Jego energia i umiejętność przyczyniły się niemało do tego, że była długa chwila, kiedy losy szturm polski w celu odebrania Woli dwa razy była niedaleko od urzeczywistnienia tego celu. Po upadku Warszawy, Bem razem z armią wyszedł do Modlina, a następnie razem z nią wyemigrował za granicę.

Natura Bema była niezmiernie czynna, energiczna i, że tak powiem, konkretna, zupełnie pozbawiona pierwiastku marzycielskiego. Właśnie dlatego usunął się on zupełnie od wszelkich robót politycznych emigracyi, zrozumiał, a może wprzód jeszcze poczuwszy bardzo rychło, że roboty te nie były polityką, ale marzeniami o polityce. Bo do takich marzeń nie miał on ani zdolności, ani skłonności. To też po krótkim pobycie w Niemczech, osiadłszy w r. 1833 w Paryżu, zajął się przedmiotami dalekimi od spraw politycznych i wojskowych. Zainteresowany postępami techniki, w których słusznie upatrywał niezmiernie doniosły czynnik ukształtowania przyszłości świata, powziął myśl założenia w Paryżu towarzystwa politechnicznego i urzeczywistnił ją w r. 1834, w którym towarzystwo takie z jego inicjatywy powstało. Był też autorem pierwszego sprawozdania z jego czynności (*«Rapport de travaux de la première année de la Société politechnique»*, Paryż 1835). Następnie zajął się historią i dla uporządkowania sobie jej danych chronologicznych, obmyślił metodę, która, zdaniem jego, bardzo ułatwiała uczenie się nie-

tylko chronologii, ale wogóle wszystkich rzeczy pamięciowych. Metodę tę opracował i wydał z druku p. t. «Exposé général de la méthode mnémonique polonaise» (Paryż 1839). Miała ona pewne powodzenie i doczekała się drugiego wydania w r. 1843. Owocem jego studyów w tym samym zakresie był «Atlas chronologique d'histoire de France» (16 tablic — Paryż 1842). W tym też czasie napisał pozostałą w rękopisie pracę «O racach kongrewskich». Tak na uboczu od «przekleństw i wrzawy, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych swarów», przy bezpretensjonalnej pracy nad rzeczami skromnej, lecz pozytywnej użyteczności, upłynęło mu prawie lat siedmnaście. Przy takiej pracy zastały go wypadki r. 1848. Bem ujrzał otwierające się teraz przed sobą pole rzeczywistego czynu—i zdjął szablę z kołka.

W sierpniu r. 1848 znalazł się w Wiedniu, gdzie wnet stał się duszą obrony powstałej stolicy przeciw wojskom cesarskim. Po upadku Wiednia (w końcu września) udał się do Siedmiogrodu, gdzie wojownicze plemię Szeklerów coraz liczniej śpieszyło pod węgierskie chorągwie narodowe. Bem czynnie zajął się połączeniem w jedno i organizacją poszczególnych oddziałów i w połowie listopada stał już na czele ożywionej bohaterskim duchem i nieźle wyćwiczonej armii 30-tysięcznej. Okazał wtedy znakomite zdolności organizacyjne. Nie tracąc czasu, ruszył przeciw dowodzącemu wojskami w Siedmiogrodzie generałowi Puchnerowi, którego siły, acz liczebnie większe od sił Bema (około 38000) i mające lepszą organizację oraz daleko liczniejszą artylerję, były rozrzucone na dość znacznej przestrzeni. Za pomocą szeregu bardzo umiejętnych i energicznych manewrów Bem nie dopuścił ich do połączenia się, stoczył z ich oddzielnymi częściami kilka zwycięskich potyczek i w końcu grudnia zupełnie wyparł austriaków z Siedmiogrodu. Ta krótka kampania zimowa wykazała jego świetne zdolności jako wodza (w r. 1831 wślawił się tylko jako artylerzysta) i imieniu jego, zarówno w Węgrzech, jak i w Europie, zjednała szeroki rozgłos. Postać jego stała się pomiędzy żołnierzami niezmiernie popularną. Gęsta siwizna przypruszyła już jego niegdyś czarne włosy, energiczną twarz otaczała krótko przystrzyżona, okrągła, siwiejąca broda, ożywiały z pod gęstych brwi rozumne,

serdeczne oczy. Ta krępa postać, ubrana zawsze w długi do kolan, na dwa rzędy zapięty brązowy surdut cywilny z aksamitnym kołnierzem i w miękki kapelusz filcowy, pojawiając się przed żołnierzami, budziła w nich nieopisany entuzjazm. Bardzo mało mówny, zawsze spokojny, skupiony w sobie, umiał Bem w stosownej chwili rzucić płomień w serca wojowników, wśród największego niebezpieczeństwa wzbudzić w nich spokojną ufność, pchnąć do najryzykowniejszych ataków, wzniecić wytrwałość na trudy wojenne. A trudy to były niemałe, bo Puchner niebawem otrzymał znaczne posiłki, i Bem, walcząc przeciw niemu w wielkiej dysproporcji liczebnej i artyleryjskiej, brak sił musiał wynagradzać zręcznem manewrowaniem, pociągającym za sobą moc marszów i kontr-marszów. Puchner, po otrzymaniu posiłków liczących 45000 ludzi, starał się utwierdzić na północno-wschodnim krańcu Siedmiogrodu; lecz Bem wbił się klinem pomiędzy jego wojska, rozciął je na trzy części i w szeregu pomniejszych potyczek odpierał je ekscentrycznie coraz dalej, tak że się odległość pomiędzy nimi ustawicznie zwiększała. Zrozpaczony Puchner zwrócił się z błaganem o pomoc do stojącego w Rumunii w pobliżu granicy siedmiogrodzkiej 25-tysięcznego rosyjskiego korpusu obserwacyjnego pod dowództwem generała Lüdersa.

Lüders, po otrzymaniu pozwolenia od Cezara Mikołaja, posłał do Siedmiogrodu w połowie lutego 10000 ludzi w dwóch kolumnach, pod dowództwem generała Engelhardta i pułkownika Skariatina. Licząc na tę dywersję, Puchner spróbował przejść do działań zaczepnych, lecz Bem, zapomocą opartego na dwóch fałszywych marszach zręcznego manewru, zmylił go i zupełnie znikł mu z oczu, tak że generał austriacki, mimo ciągłych rekonesansów, przez 10 dni albo nie miał żadnego wyobrażenia o tem, gdzie się wojska węgierskie znajdują i dokąd zmierzają, albo miał fałszywe. Bem tymczasem, na czele korpusu 14-tysięcznego, osłoniętego od Puchnera przez manewry reszty jego sił, natarł energicznie na wojska rosyjskie, zajmujące dość słabe pozycje pod miasteczkami Kronstadt i Hermanstadt, wyparł je stamtąd bez bitwy, a w d. 15 marca pobił pod Rothenthurm. Obie kolumny rosyjskie cofnęły się z powrotem na Wołoszczyznę i w końcu marca cały Siedmiogród był znowu w rękach Węgrów.

Rząd węgierski zawezwał teraz Bema do Kroacyi, gdzie sprawy szły nietęgo. Zorganizowawszy obronę Siedmiogrodu, Bem na czele 15000 ludzi stanął w połowie kwietnia w Kroacyi, objął dowództwo nad znajdującymi się tam wojskami węgierskimi, rozbił Austryaków i Kroatów w d. 4 i 13 maja pod Temessvarem i Bucsanem, przyparł ich do Cissy i w końcu maja oczyścił cały kraj na południe od tej rzeki. Był to najświetniejszy dla Węgrów okres wojny.

Na skraju przepaści stojący rząd Austriacki zwrócił się o pomoc do Rosyi. W d. 15 czerwca 100-tysięczna armia rosyjska pod dowództwem feldmarszałka Paskiewicza przekroczyła granicę. Sytuacja zmieniła się odrazu: Przed chwilą rewolucyjna armia węgierska groziła rozbiem monarchii austriackiej, teraz groźna potęga rosyjska tak stanowczo zaciążyła na szali, że Węgrzy mieli już tylko przed sobą przedstawiającą bardzo małe szanse powodzenia obronę.

Oprócz wkraczającej do Węgier przez Karpaty rosyjskiej 100-tysięcznej armii głównej, od strony Rumunii i Bukowiny wtargnęli do Siedmiogrodu na czele 40000 generałowie Lüders i Grottenhelm, z których pierwszy połączył się z 10-tysięcznym oddziałem austriackim generała Clam-Gallasa. Bem, który pośpieszył z powrotem do Siedmiogrodu, temu 50-tysięcznemu korpusowi, zaopatrzonemu w 230 dział, mógł przeciwstawić 25000 ludzi i 44 działa.

Rozpoczęła się kampania, pełna okropnych trudów, nad wyraz nużąca, kampania, która, wobec takiej dysproporcji liczebnej i jeszcze większej od niej artyleryjskiej, mogła ze strony węgierskiej polegać tylko na szeregu powikłanych manewrów, na wykonywaniu marszów, dla których zabezpieczenia trzeba było osłaniające je oddziały wysyłać na bardzo nierówny bój, a niekiedy na pewną zgubę.

Bem rozwinął działalność niesłychanie energiczną. Przybył on do Siedmiogrodu właśnie w czasie, gdy Lüders pobił Szeklerów pod Sen-Georgi (15 lipca) i pod Rothenthurm (20 lipca), a Grottenhelm odniósł zwycięstwo pod Sass-Rögen (23 lipca). W samym dniu zwycięstwa Lüdersa pod Rothenthurm Bem uderzył pod Sen-Georgi na Clam-Gallasa, rozbił go i wkroczył do Mołdawii w zamiarze atakowania znajdującego się tam rosyjskiego korpusu rezerwowego generała Dannenberga. Zagrożający jego skrzydłu i tyłom marsz Lüdersa z Hermanstadtu

na południe zmusił go do powrotu w granice Siedmiogrodu. Wykonawszy głęboko pomyślany, ale straszliwie nużący manewr skrzydłowy, Bem spróbował atakować Lüdersa i w d. 31 lipca uderzył nań pod Ssegessvarem, ale został odparty i sam raniony, ledwie życie ocalił. Nie tracąc ani na chwilę energii, powziął śmiałą myśl atakowania pozostawionego przez Lüdersa w Hermanstacie generała Hasforta. Wykonał skomplikowany marsz demonstracyjny, na czele szczupłej aryergardy, osłaniającej rzeczywisty pochód jego sił głównych na Hermanstadt, wytrzymał ciężki całodzienny bój pod Udvargöly, a 5 sierpnia, koncentrując w obliczu nieprzyjaciela swoje nadciągające trzema drogami kolumny, z pochodu uderzył gwałtownie na Hermanstadt, pobił Hasforta, zadał mu bardzo dotkliwe straty i wyparł go do Tolmacs. To świetne zwycięstwo pozostało bezowocnem, bo już nazajutrz nadciągnął śpieszący forsownemi marszami Lüders i odzyskał Hermanstadt—klucz strategiczny Siedmiogrodu.

Energia, przedsiębiorczość, pomysłowość, biegłość strategiczna i zuchwała odwaga Bema budziły w Lüdersie podziw, któremu też wódz rosyjski dawał w swoich raportach szczerzy wyraz. Zwróciły też one uwagę rządu węgierskiego, który, za inicjatywą Kossutha, odwołał go z Siedmiogrodu do Węgier właściwych, powierzając mu dowództwo naczelne armii południowej. Ale już było zapóźno. Bem przybył do armii południowej w d. 9 sierpnia, przy ostatnich wystrzałach zakończonej zupełną porażką Węgrów bitwy pod Temessvarem 13 sierpnia nastąpiła kapitulacya<sup>1</sup>. Görgeya pod Villagoss, która właściwie była końcem wojny.

Ze szczupłą garstką niedobitków Bem cofnął się na południe i w d. 19 sierpnia w towarzystwie generała Guyona i dziesięciu oficerów, niosących uratowaną z pogromu Temessvarskiego chorągiew 37-go batalionu honwedów, z mieszczącym cały jego majątek małym mantelzaczkim przy siodle, bez grosza w kieszeni, wyruszył konno do Turcyi. Przybywszy do Carogrodu, przyjął islamizm i pod imieniem Amurata-Paszy został generałem tureckim. Wysłany w r. 1850 do Turcyi Azyatycznej, stłumił powstanie Arabów na granicy syryjskiej i w d. 10 grudnia tegoż roku umarł w Aleppo. W r. 1880 wdzięczny naród węgierski wznosił mu pomnik w Maross-Vaszarhölly.

*M. Massonius.*



# Józef Zajączek.

\* 1752 † 1826.

**R**epoka sejmów czteroletniego jest okresem || zna spuszczać z oka, przystępując do skreślenia  
odrodzenia się ducha wojskowego || tej postaci dziejowej.

w Rzeczypospolitej. Występuje wówczas na widownię dziejową cała generacja ludzi, żołnierzy z temperamentu i zamiłowania, których usiłowania zadecydują o całym przebiegu dziejów kraju w latach 1794 — 1814. Obok Kościuszki, Krasińskiego, Dąbrowskiego — w szeregach armii polskiej przed kampanią r. 1792 spotykamy już nazwiska: Fiszerów, Kniaziewiczów, Sokolnickich, Chłopińskich, Rożnieckich i in.

W stosunku do tej generacji, Zajączek był starszy i to

nie tylko wiekiem, ale przede wszystkim doświadczeniem życiowym. Jest to fakt, którego nie mo-



*Podług rysunku z natury, wykonanego w litografii Chodkiewicza.*

*Zajączek*

Rodzaj charakteru i uzdolnienia Zajączka składał się na to, że wszystkie przebiegi życia odbijały się na nim potężnie i pozostawiały w jego wyobrażeniach i uczuciach pewien ślad trwały. W początkach sejmów czteroletniego liczył on już lat 36 i miał po za sobą dość różnostronną działalność publiczną, niekoniecznie wojskową. Syn niezamożnych rodziców, osiadłych w okolicach Kamieńca Podolskiego, początkowe wykształcenie otrzymał dzięki poparciu Sapiechów.

Jakie to było wykształcenie, nie wiemy dokładnie: podobno uczyli go oficerowie garnizonu kamienie-



ckiego. To pewna, że nie musiało być wiel-  
kiem to wykształcenie, otrzymane w zapadłej  
prowincjonalnej mieścinie. Gdy później okoliczno-  
ści skłoniły Zajączka do wzięcia się za pióro, po-  
pełnił on w swej pracy parę rażących błędów  
historycznych. Nie nabył również wiadomości  
potrzebnych do przyszłego zawodu wojskowego  
i nie mógł nigdy wytrzymać porównania ze swy-  
mi młodszymi kolegami, którzy, jak Chłopicki  
i Rożniecki w namiocie obozowym ślęczeli nad  
mapami, lub, jak Fiszer, o głodzie w Paryżu zdo-  
bywali potrzebne wiadomości. Wojskowym zre-  
szta z temperamentu, z zamiłowania, jak tamci  
trzej wymienieni, nie był, do wojskowości popchnął  
go raczej prąd czasu i warunki. Wrodzona bra-  
wura i rezolucya, śmiałość w podejmowaniu się  
komendy—to były później cechy Zajączka jako  
dowódcy, cechy nie bardzo wystarczające przy  
braku talentu. Z Kamieńca Podolskiego wyrwał  
go cios konfederacyi Barskiej i wyrzucił aż na  
bruk paryski.

Później, gdy Zajączek był już Księciem na-  
miestnikiem, przypominano sobie złośliwie, że wów-  
czas w Paryżu młody chłopak, zobaczywszy  
w Luwrze Wenus Medycejską, wziął ją za Matkę  
Boską i tak silnie uderzył głową o posadzkę, że  
aż mu peruka z głowy spadła. Takich omyłek  
nie miał już Zajączek popełniać więcej, bo w świe-  
cie paryskim prędko zdobył dużo oglądy towa-  
rzyskiej i wiadomości. Chwytał zręcznie na prawo  
i na lewo i przyswajał sobie wiszące naówczas  
w powietrzu hasła i wyobrażenia, tworząc sobie  
w ten sposób pewien zapas kulturalny, z dość  
sprzecznych zresztą pierwiastków złożony.

Od swoich przewodników, członków Ge-  
neralności, przejął gorącą nienawiść do Sta-  
niława Augusta. U jego przewodników ta nie-  
nawiść przeradzała się często w zupełne zaśle-  
pienie polityczne, u Zajączka przeniesioną ona  
zostanie na Księcia Józefa i doprowadzi go rów-  
nież do konsekwencji, godnych potępienia z pun-  
ktu widzenia dobra kraju. Były to czasy, w któ-  
rych Wielhorski zwracał się do Rouss'a i Ma-  
bly'ego o poradę co do środków ratunku Rze-  
czypospolitej. Z tym prądem umysłowym ze-  
tknąć się musiał i Zajączek, umiał sobie przy-  
swoić najbardziej rozpowszechnione i popularne  
ogólniki, które z czasem stały się zarodkiem jego  
«jakobinizmu» w r. 1794, a które teraz mimo

swą istotną sprzeczność—spajały się w jego umy-  
śle z zasadami republikańskimi konfederacyi.

Zdaje się, że z bruku paryskiego wyciągnął  
Zajączka Fr. Xawery Branicki w czasie swej  
przedrozbiorowej misyi paryskiej. Brawura, awan-  
turniczość i obrotność życiowa były to cechy,  
które najbardziej cenił w ludziach hetman. Za-  
gustował też odrazu Branicki w Zajączku, stał się  
dla niego nowym z kolei przewodnikiem i wzo-  
rem człowieka. Za powrotem do kraju—miano-  
wany adjutantem hetmańskim, później pułkowni-  
kiem pułku Buławy koronnej, wszedł Zajączek  
w skład tej rzeszy, która otaczała hetmana, a któ-  
rej prototypem był słynny Kurdwanowski. O woj-  
skowość troszczono się w tej rzeszy bardzo mało,  
więcej o sejmiki, na których hetman przeprowa-  
dzał swoich kandydatów wbrew królowi i amba-  
sadorowi. Posłował więc i Zajączek w roku 1786  
na słynny sejm, zajęty całkowicie sprawą Do-  
grumowej.

Była to szkoła bardzo niefortunna dla Za-  
jączka, a uległ on bardzo wyraźnie jej wpływowi.  
Później w r. 1794 — Zajączek, nieubłagany dla  
Skarszewskiego prezes sądu wojskowego, zapro-  
testuje przeciw karom na Branickiego. W r. 1797  
nieubłagany sędzia narodu i ludzi takich, jak  
Książę Józef, znajdzie parę słów pochlebnych  
w swej pracy dla Branickiego i próbować będzie  
wytlumaczyć jego udział w Targowicy. Nie mo-  
żna brać za złe Zajączkowi jego stosunku do  
Branickiego przed sejmem czteroletnim. W owo-  
czesnym zamęcie pojęć politycznych z Branickim  
przeciw królowi łączyli się nawet ludzie całkiem  
innej niż Zajączek miary. Wszak Ignacy Potocki  
jeździł z Branickim do Petersburga, wszak bronił  
go jeszcze później na posiedzeniach sejmowych  
z zarzutu walczenia z Turkami pod Oczakowem.

Dopiero atmosfera Sejmu Wielkiego miała  
oczyścić powietrze i wyklarować pojęcia. Uległ  
jej i Zajączek. Za wpływem Branickiego wybrany  
posłem województwa podolskiego, początkowo  
należał do stronnictwa hetmańskiego, które spra-  
wę odrodzenia kraju, wyzwolenia się z pod gwa-  
rancyi, traktowało tak, jak dawniej sprawy Soł-  
tyka i Dogrumowej, t. j. jako sposób niweczenia  
wpływu króla i ambasadora. Ale stopniowo—  
atmosfera stolicy, wpływ otoczenia sejmowego  
i dobrej sprawy przerzedzały coraz bardziej gro-  
no stronników hetmańskich: miał z niego wystą-

pić z czasem synowiec hetmana, Sapieha, jednym z pierwszych wystąpił Zajączek, odpowiadając Branickiemu na zarzut niewdzięczności tem, «że w razie tyczącym się dobra kraju, chce na moment o dobrodziejstwach hetmana zapomnieć». Pozbawiony moralnego przywódcy, Zajączek znalazł prędko drugiego w osobie nabierającego wówczas coraz większego znaczenia Kołłątaja.

Kołłątaj miał wyjątkowy dar wynajdywania i przywiązywania do swej sprawy ludzi. Umiał ich całkowicie pozyskać, popierając ich materyalnie i przywiązując do swojej osoby. Z długów np. zaciągniętych u Kołłątaja nie był w stanie wypłacić się Zajączek jeszcze za czasu Księstwa Warszawskiego, gdy już był generałem dywizyi i posiadaczem Opatówka. Śmiała, rozległa umysłowość Kołłątaja, jego energia i zdolności organizacyjne tak zaimponowały Zajączkowi, że Kołłątaj mógł liczyć zawsze na jego oddanie się. Nieznamy stosunku tych dwóch ludzi w dobie Sejmu, w r. 1792 jest już Zajączek tak oddanym Kołłątajowi, że musiał już poprzednio być z nim w stosunkach ściślejszych. Ginał jednak naówczas w tym szarym tłumie mniej uzdolnionych posłów, których zasłaniała całkowicie mnogość talentów zasiadających w sejmie. Wiemy, że był mówcą gorącym i niepolitycznym: swem wystąpieniem krańcowem w sprawie cessyi Gdańska w dn. 1. IV 1791—sporo zaszkodził powodzeniu zainicjowanych przez Anglię rokowań. Stawiał wnioski fachowe w sejmie, pomagał komisji wojсковej w sprawie układania regulaminu dla armii. Był wogóle napół posłem, napół żołnierzem, jak wielu innych jego kolegów w Izbie, ale ani jednym ani drugim nie był w zupełności. Dawna zasada Branickiego wybierania wojskowych do sejmu, której obecnie bronił Zajączek w Izbie, stawała się anachronizmem, podobnie jak wybieranie cywilnych do Komisji wojсковej. W kampanii r. 1792 Zajączek, awansowany na generał-majora i przykomenderowany do dywizyi niefortunnej pamięci księcia Lubomirskiego, spełnił, zdaje się, dobrze swój obowiązek pod Zieleńcami, a następnie, trzymając się ściśle stronnictwa, do którego należał, w obozie pod Sieciechowem podał się do dymisyi, decydując się na wyemigrowanie z kraju.

Przywódcy sejmowi emigrowali bez żadnej dalszej myśli politycznej; poprostu, w poczuciu własnej bezsilności, pozostawiali pole przeciwni-

kom. Zobowiązali się nawet wzajemnie, że nie będą czynić żadnych starań u dworów obcych. Ludzono się tu potrosze nadzieją, że zwycięstwo Targowiczan doprowadzi do status quo przedsejmowego, nawet może z Konstantym, ożenionym ze szlachcianką polską, na tronie: obawa nowego podziału nie była jeszcze wyraźną.

Stopniowo dopiero wyjaśniało się położenie. Jednym z pierwszych, którzy się w niem zorientowali, był Kołłątaj. Dotychczasowy trybun ludu, później pomocnik twórców ustawy majowej i dość chwiejny pod względem stanowiska politycznego minister Rzplitej, stawał się obecnie nieomal głównym kierownikiem działań emigracyi.

Przyszłość podziałowa stawała się zupełnie wyraźną, a wrzenie w kraju zmuszało emigrację do kroków energiczniejszych.

Zaczynał się okres starań o pomoc Francyi i porozumiewanie się emigracyi z tajnymi związkami w kraju. W organizacyi spiskowej krajowej panował nieuzasadniony, wywołany pragnieniem prędszej walki, optymizm co do sił rozporządzalnych rewolucyi, którego nie podzielała emigracya, zrażona przytem w swej nadziei pomocy obcej. Starano się więc opanować żywioły krajowe. Starał się o to przedewszystkiem Kołłątaj, który z pewną niechęcią patrzył na wydobywające się w Warszawie na wierzch nowe osobistości, którym niedowierzał. Stąd dwie missye warszawskie Zajączka. Odpowiadały one dobrze usposobieniu dawnego konfederata Barskiego: w świecie spisku i niebezpieczeństw był on u siebie w domu. Miał jednak na tyle zdolności obserwacyjnych i sumienności, że w raportach przedkładanych emigracyi wystawiał jasno zupełne nieprzygotowanie kraju. Widocznem było, że można liczyć tylko na wojsko. Dzięki raportom Zajączka odkładano, do kąd się dało, chwilę wybuchu. W tym kierunku zgodnymi byli wszyscy trzej przywódcy emigracyi: Potocki, Kościuszko i Kołłątaj. Gdy jednak doszła wiadomość o zamierzonej redukcji wojska, gdy zrozumiano z oznajmień spiskowych, że czy tak, czy owak wojsko z bronią w ręku oprze się redukcji i o dowództwo gotowem jest zwrócić się choćby do Księcia Józeta, emigracya musiała się zdecydować. Gdy otrzymano wreszcie zawiadomienie Madalińskiego o zamierzonym wystąpieniu, odbyło się w Dreźnie ostatnie posiedzenie emigracyjne, na którym Kościuszko rzu-

cił w oczy wątpiącym w możliwość powodzenia—Potockiemu i Kollątajowi—te charakterystyczne słowa, że trzeba choćby zmyć plamę dwóch pierwszych rozbiorów.

Dla Zajęczka nadszedł okres najbardziej wybitny w jego życiu, gdy udawał się wraz z Kościuszką do Krakowa. Działalność jego w r. 1794 miała nań ściągnąć zarzuty nieomal podobne do tych, jakimi w lat 37 potem obrzucono Krukowieckiego, a które dla niego stać się miały źródłem goryczy i zawziętości, nie tylko już przeciw osobistościom, ale przeciw własnemu społeczeństwu.

Działalność jego wojskową w r. 1794 dość łatwo ocenić. Tam, gdzie znajdował się pod komendą, a więc pod Raławicami, Warszawą, Zajęzek spełniał dobrze swój obowiązek: był, zdaje się, dobrym i odważnym subalternem. Natomiast tam, gdzie mu przypadła komenda niezależna, wszędzie wykazał Zajęzek brak najpierwszych przymiotów wodza.

Bitwa pod Chełmem, gdzie miał do czynienia z niezbyt przeważającymi siłami nieprzyjaciela, wykazała, że nie tylko nie umiał dowodzić, co zresztą sam później przyznał w swym pamiętniku, ale także—i utrzymać w karbach swoich podkomendnych, i porozumieć się z okolicznymi władzami cywilnymi. To jednak—najmniej nieszczęśliwa z przegranych Zajęczka; można go tu tłumaczyć paniką włościan, oderwanych świeżo od pług, wskutek śmierci Chomętowskiego, a przytem wskazać na fakt dość porządnego, jak na takie warunki, odwrotu, podczas którego później, przed samą już Warszawą, bił się nienajgorzej pod Gołkowem.

Nic go natomiast wytłumaczyć nie może z fatalnej obrony Pragi. Sam wybór pozycji obronnej, nie zapewniającej odwrotu w razie przegranej, dzięki czemu później taką moc żołnierza uciekającego pochłonęła Wisła, świadczył źle o Zajęczku jako wodzu. Miał on do czynienia z przeciwnikiem, który odznaczał się przede wszystkim szybkością napadu, a zwłaszcza wobec Polaków liczył zawsze na brak ostrożności wojskowej, o czym powinien był wiedzieć dawny konfederat Barski choćby z losu hetmana Ogińskiego pod Stołowiczami. Tymczasem Zajęzek pozwolił się poprostu zaskoczyć niespodziewanie. Szturm Pragi robi to wrażenie, jak gdyby obrona prowadzoną była bez żadnego planu. Sam Zajęzek dowiódł oso-

bistej brawury, ale, jako wódz, nie zachował najprostszych środków ostrożności i obrony—i z tej racji ponosi sporą część odpowiedzialności za te tysiące wybitego żołnierza polskiego.

Ta też klęska zciągnęła na niego zarzuty powszechne, a wśród wojska, jak zwykle w takich wypadkach, wypowiadano zbyt często słowo «zdrada». Istnieje cała nieomal literatura satyryczna przeciw Zajęczkowi z powodu tej obrony.

Do niepopularności jego przyczyniła się poważnie jego działalność polityczna, a mianowicie wyznawanie zasad terrorystycznych i knowania przeciw Kościuszcze.

Ukarany za przestępstwa polityczne lat 1792 i 1793, podkanclerzy, broniąc się później przed zarzutami wywołania poruszeń ludowych, nie zapierał się nigdy tego, że za jeden z celów rewolucji uważał ukaranie występnych.

Poddanie przestępnych surowości prawa roku 1794, cokolwiek dziś przeciw temu powiedzieć możemy, miało swoje głębokie uzasadnienie. Można by na korzyść tej myśli powiedzieć to samo, co ks. Kalinka mówi o konieczności wydania wyroku śmierci na Adama Ponińskiego. Lata 1792 i 1793 zbyt wiele wyprowadziły na widownię dziejową przestępstw stanu, zbyt bezkarnie się one szerzyły, przy owoczesnym braku zasady odpowiedzialności za nie, aby nie było koniecznym pewne oczyszczenie atmosfery w tym względzie. W r. 1792 postępowano sobie zbyt łagodnie z przestępcami stanu, r. 1794 miał pewien obowiązek stwierdzenia, że przysłowiowa w tym względzie łagodność rządu polskiego ma jednak pewne granice.

Była to jednak zasada nowa, która spotkać się musiała z niechęcią powszechną i oporem, wprowadzać ją w praktykę należało ostrożnie, przy zachowaniu wszelkich form prawnych, z podkreśleniem zasady: *salus reipublicae suprema lex esto*.

Trzeba przyznać, że postępowanie Zajęczka w tym względzie nie nadawało się do spopularyzowania myśli Kollątajowskiej. Nie dziwimy się nawet wcale, że jego postępowanie i poglądy w sprawie wymiaru sprawiedliwości tak go zdyskredytowały w oczach opinii.

Przedewszystkiem był on jednym z tych ludzi, którzy w terroryzmie upatrywali jakiś eliksir żywotny dla rewolucji, jak podobno później w ro-

ku 1831 upatrywał Joachim Lelewel. Następnie Zajączek, surowy dla Skarszewskiego sędziego, protestował przeciw wymiarowi kary, in effigie zresztą tylko, na głównych twórców Targowicy. Cokolwiek zaś można powiedzieć o Skarszewskim, faktem jest oczywistym, że stopień jego winy nie może być nawet zestawiany ze stopniem tamtych. Ten sposób postępowania uzasadniał zarzuty, że Zajączek powoduje się nie radykalnie pojętą zasadą ocalenia publicznego, ale widokami czysto osobistymi.

To jedno. Powtóre—wymiar sprawiedliwości przez tłumy, wieszające Majewskiego z Boskampem i Wulfersa z Czetwertyńskim, dyskredytował najbardziej zasadę surowości rewolucyjnej. Kołłątaj był w tym względzie konsekwentnym, gdy w swej obronie piętnował postępowanie tłumów i sprawców rozruchów. Zajączek usprawiedliwiał i tłum i podżegaczy, dając tem powód do posadzenia go o to, że motywem jego zdania była raczej obrażona ambicja prezesa sądu, niż zasada ocalenia publicznego.

Podobnież niczem się nie da usprawiedliwić Zajączek ze swych intryg przeciw Kościuszcze, tem tylko chyba, że był narzędziem w ręku Kołłątaja.

Jakkolwiek słusznymi być mogły pobudki owoczesnych krytyków Kościuszki, występujących w myśl założenia, które później wypowiedział Staszic, mówiąc, że «Kościuszko chciał być w roku 1794 Washingtonem, podczas gdy okoliczności wymagały Sylli», jakkolwiek miały za sobą pewną podstawę głosy wojskowych, ganiące przyjęcie bitwy pod Szczekocinami, wyprawę pod Maciejowice, to pewna, że w gronie owoczesnych ludzi nie było nikogo, ktoby mógł zastąpić Kościuszkę, zwłaszcza w zarządzie wojskowym. Dowiodły tego wymownie wypadki po Maciejowicach.

Nie dziwi nas zatem wcale niepopularność Zajączka po upadku powstania. To tylko dodać należy dla zrozumienia psychologii porewolucyjnej Zajączka, że niechęci osobiste, które on wzbudzać potrafił w niemniejszym od Kołłątaja stopniu, rozdmuchały winy Zajączka do rozmiarów niebywałych, zrobiły go najniesłuszniej obok Kołłątaja — kozłem ofiarnym klęski ostatecznej.

Dość przypomnieć szczegółły haniebnego wydania Kołłątaja przez rodaków w ręce rządu austriackiego, broszurę Linowskiego, aby zdać so-

bie sprawę ze stopnia nienawiści współczesnych do Kołłątaja i jego stronnictwa.

Reagował przeciw temu Kołłątaj: wiersze jego, pisane w więzieniu austriackim w Josefsztadzie, przepełnione są goryczą przeciw wszystkim, osad tej goryczy pozostaje mu aż do śmierci. Ale podkanclerzy był przede wszystkim przeniknięty zasadą ocalenia kraju; uraz nie zapominał, to prawda, ale je hamował, nie rozciągał ich do całego społeczeństwa. Dla kraju miał zawsze uczucie gorące, mimo wszystko: ze swoim pesymizmem, ze swoją urazą nie wystąpił ani razu publicznie, zachował ją do rozmów z przyjaciółmi, do testamentu; jako pisarz polityczny miał do końca na ustach zdanie «nil desperandum». Inaczej było z jego współwięźniem—Zajączkiem. Zajączek został głęboko dotknięty zarzutami, odebrały mu one prawie całkowicie równowagę i zadecydowały bodaj bardzo poważnie o dalszem jego postępowaniu.

Uwięziony przez rząd austriacki, dzięki staraniom swej żony, słynnej ongi u hetmanowej Ogińskiej panny Pernet, kobiety bardzo sprytniej i zręcznej, już po roku opuścił więzienie, w którym pozostali brat jego Ignacy i Kołłątaj.

Udał się, jak wszyscy prawie naówczas, do Francji, gdzie przyjęty w stopniu generała brygady—brał jeszcze udział w pierwszej kampanii włoskiej Bonapartego, mając powierzone dość ważne dowództwo.

Z legionistami zetknął się Zajączek po raz pierwszy już po zawarciu preliminarzy pokoju w Leoben. Miała wówczas miejsce scena, przechowana w pamiętniku Drzewieckiego, zapewne jedna z najsmutniejszych w życiu generała. Chciał zwiedzić koszary i zobaczyć żołnierzy, wypytał się o dawnych towarzyszy broni. Przyjęto go w milczeniu, a, gdy go przedstawił towarzyszący mu oficer, żołnierze zaczęli pomrukiwać: «Pięknie on obronił Pragę, może nam go dać myślicie? ale my się bez niego obejdziemy». «Odgłos ten, pisze pamiętnikarz—powiększał się coraz śmieiej, a generał powrócił milczący i zasepiony. Wrażenie tej chwili uczyniło generała Zajączka nieprzychylnym dla nas; i ile razy jako dowódzcą w służbie francuskiej stykał się z nami, nie rad był, gdy go generałem polskim nazywano».

Niedługo potem wydał Zajączek słynną swą: «Histoire de la Revolution de la Pologne en 1794 par un temoin oculaire». To, cośmy poprzednio



powiedzieli, wyjaśnia całkowicie genezę tej książki. Nie jest to pismo fachowe, takie jak dwa lata przedtem wydał generał Dąbrowski po niemiecku, lub jakie w rękopisie pozostawił dzielny jen. Rymkiewicz. Zajączek nigdy nie miał gustu do pisania dzieł wojskowych. Jest to odpowiedź na zarzuty, skierowane ku sobie i stronnictwu, ale nie wprost, tylko przez specjalne przedstawienie faktów. W książce tej odbił się cały charakter Zajączka, a przede wszystkim nastrój jego w danej chwili.

Wypadki r. 1794 upoważniały do pesymizmu. Rozumiemy pesymizm Kołłątaja, gdy twierdził, że rewolucja była tylko oporem wojska przeciw redukcji, — Kniaziewicz, gdy zwracał uwagę, że była ona tak związana z losem jednego człowieka, że po jego niepowodzeniu — zabrakło ducha wszystkim. Pojmujemy krytycyzm legionistów, patrzących na bohaterskie wysiłki Francji i słyszących o walce w Wandei. Ale u Zajączka nie mamy nic z tego: jego krytyka społeczeństwa jest przesiąknięta niechęcią i niepowodzeniem osobistym, niemiarkowaną niczem. Przesadna i niesprawiedliwa ocena ks. Józefa, szlachty lubelskiej r. 1794, intryg partii królewskiej przed wzięciem Pragi — wszystko to tchnie prywatą i stronnictwością. A jeżeli zwrócimy uwagę na to, że książka napisana została dla Francuzów, w dobie, gdy wszystkie usiłowania legionistów zmierzały do interwencji francuskiej, gdy nie brakło przytem i francuskich głosów nieprzychylnych dla nas, a legiony jeszcze nie naprawiły ogólnie przyjętej, a tak wyjątkowo niekorzystnej opinii o polakach, trudno będzie coś dodać na usprawiedliwienie autora, chyba to tylko, że nigdy w życiu nie znajdował on hamulca dla swej niepowściągliwej, niepolitycznej natury.

Nie wiemy, jakie wrażenie w kołach emigracji i legionistów wywołała książka Zajączka. Wiemy to tylko, że dotknęła ona żywo przebywającego naówczas w Gąsienicy Stanisława Augusta, który przygotowywał odpowiedź, dość łatwą dla niego w tym wypadku, bo Zajączek, nieumiarkowany w swej nienawiści do króla, poczynił mu w przesadzie polemicznej takie zarzuty, z których nawet Stanisław August mógł się usprawiedliwić i zachwiać tem wiarę w zarzuty najślusniejsze.

Do czasu odpłynięcia wraz z wyprawą Napoleona do Egiptu — podtrzymywał Zajączek stosunki li tylko z radykalnym odłamem emigracji

i dawnymi zwolennikami Kołłątaja, zorganizowanymi w t. z. Deputacją, do której należał brat jego Ignacy, ks. Dmochowski i słynny potem J. K. Szaniawski. Z powrotem członków emigracji do kraju — zerwał z nim prawie zupełnie Zajączek łączność. Jeżeli o którym z polaków, walczących naówczas zagranicą, można powiedzieć z pewną słuszością, że się expatryował, to o Zajączku. Bił się w Egipcie, po kapitulacji Aleksandryi odwieziony do Francji, dowodził dywizją w obozie Bulońskim, brał udział w kampanii r. 1805.

Coraz więcej legionistów wracało do kraju. Z dwóch dawnych legii, oprócz wygubionych w San Domingo, został tylko jeden pułk piechoty i jeden jazdy w Neapolu, topniejące coraz bardziej.

Nadeszła wreszcie słynna kampania r. 1806, która z Berlina poprowadziła Francuzów do Warszawy. Dąbrowskiego wezwał Napoleon do siebie zaraz po Jena, ściągnawszy go z Neapolu. Zabierano na gwałt i wieziono do kraju pocztą pozostałych w Neapolu oficerów i podoficerów Polaków.

Napoleon potrzebował Polaków na wszelki wypadek, wszak już po Jena do każdego korpusu francuskiego przydzielono oficera Polaka, teraz, gdy trzeba było wkroczyć do zaboru pruskiego — wypadło pozyskać ludność kraju. Powoływano więc do głównej kwatery Dąbrowskiego i Wybickiego, nawiązywano z polecenia cesarza porozumienie z Kościuszką.

Użyto i Zajączka. Był on w tym kierunku najdogodniejszym: tacy ludzie, jak Dąbrowski, uznając konieczność wyzyskania chwili, zbrojenia się, mimo to przede wszystkim mieli interes kraju na oku. Zajączek zbyt się już wdrożył do służby czysto francuskiej, niewiele miał łączności z krajem. Powierzono mu też odrazu pierwszą polską komendę. Napoleon rozkazał z jeńców pruskich wziętych pod Jena wybrać Polaków i zorganizować z nich t. z. legię północną, której pierwszym dowódcą był Zajączek. W t. zw. pierwszej kampanii polskiej otrzymał on dowództwo drugiej legii, sformowanej przez księcia Józefa Poniatowskiego. Nie wzięła ona poważniejszego udziału w kampanii, tak jak legia Dąbrowskiego, czynna pod Tczewem, Gdańskiem i Friedland. Zajączek miał już gorszych oficerów i ludzi od tych, których entuzjazm Wielkopolski



w chwili pojawienia się Francuzów dostarczył Dąbrowskiemu. Jego oddział mógł być tylko użytym do utrzymania linii komunikacyjnej: wysunięto go też naprzód pod Neidenburg dla łączenia głównej kwatery z wojskiem stojącym pod Omulewem, a potem przyłączono do korpusu marszałka Masseny. Legia Zajączka dzięki temu nie doznała ani części tych przejść, które były udziałem dywizji Dąbrowskiego, cała jej rola ograniczyła się do szeregu drobnych potyczek.

Z utworzeniem Księstwa Warszawskiego — Zajączek wszedł w zatarg z władzami miejscowymi, które doprowadziły go do konsekwencji bardzo smutnych z punktu widzenia obowiązków obywatelskich.

Dyrektorem wojny, wbrew wszelkim przewidywaniom, został Książę Józef. Wszystko przemawiało za tem, że stanowisko to przypadnie w udziale Dąbrowskiemu. Tego życzyło sobie wojsko, za tem przemawiały zasługi generała na obczyźnie, interes kraju nareszcie. Jak wiemy z korespondencji Dąbrowskiego i ks. Józefa ze St. Potockim, jeszcze w drugiej połowie lipca 1807 roku, Dąbrowski miał nadzieję uzyskania tego stanowiska, nominacja Ks. Józefa zaskoczyła i oburzyła zarazem koła wojskowe. O tej nominacji zdecydował wzgląd, że mianowanie przywódcy legionów byłoby zbyt wyraźnym aktem politycznym ze strony Napoleona, wszak on sam wyraził się kiedyś, że Dąbrowski gotów jest zniszczyć trzy ościennie mocarstwa, byleby swoje osiągnąć. A tymczasem z tego co dziś wiemy o genezie Księstwa wynikało, że istnienie jego miało być czysto przejściowem, kto wie nawet może obliczonem na bliskie złączenie z Rosyą. W tych warunkach Książę Józef, dawny zwolennik systematu r. 1805, myśli Czartoryskich, a przede wszystkim osobistość mniej wyraźna, a za to więcej ustosunkowana od Dąbrowskiego, prędzej nadawał się na stanowisko dyrektora wojny. Nie było to zresztą ze szkodą dla kraju, gdyż i Ks. Józef nie był już Ks. Józefem z r. 1792, a zwłaszcza z pod Blachy: na jego naturę, ostatecznie głęboko szlachetną, oddziaływały silnie wypadki roku 1807 — i, jeżeli z początku nie był jeszcze tym, czem go zrobiły wypadki roku 1813, był w każdym razie pełnym przejęcia się swoimi obowiązkami dyrektorem wojny. Sam zdolny raczej do bohaterstwa i poświęceń w większym stylu,

niż do żmudnej, codziennej pracy organizacyjnej, potrafił jednak skupić koło siebie szereg zdolnych organizatorów wojskowych, jak Fiszer, Rautenstrauch, Roźniecki, którzy w krótkim czasie postawili wojsko Księstwa na tej stopie, na jakiej zastała je kampania r. 1809.

Dąbrowski, mający słynne powody do niezadowolenia, bo w latach 1807—9 prawie pozbawiony komendy, pogodził się prędko ze stanem rzeczy — prezentował swoją legię Ks. Józefowi — i zaledwie zdobył się na parę skarg.

Inaczej było z Zajączkiem, który prawie żadnego nie miał prawa do roszczenia sobie nadziei na dyktando wojny.

Zaczęła się ta słynna korespondencja między nim a Księciem Józefem, która doprowadziła Zajączka do tego, że nie chciał złożyć przysięgi Królowi Saskiemu i przywdziać munduru jenerała polskiego, aby usunąć się z pod władzy Księcia Józefa. Dopiero wyraźny rozkaz Napoleona zmusił go do jednego i drugiego. Mścił się za to Zajączek, oskarżając Ks. Józefa przed marszałkiem Davout. Stąd powstawały te ciągle zatargi między Ks. Józefem i Davout'em o — formację pułku lekkokonnych, o knowania polityczne pani de Vauban, o mundur strzelca Ks. Józefa — o których wiemy z korespondencji Davout'a z pamiętnika Szymanowskiego.

Nie zgodził się Zajączek i z władzami krajowymi z powodu otrzymanej donacji. Gdy nie zadawałniały go oferty krajowe w tym względzie, uciekał się do pomocy Davout'a, a przedewszystkiem do zniechęconego w kraju Vincent'a, pierwszego rezydenta francuskiego w Księstwie. Dokuczył Zajączek tak tą sprawą władzom Księstwa, że, jak wiemy z listu sędziego St. Małachowskiego do St. Potockiego z d. 12 VIII 1807 r., postanowiono w kołach rządowych zamiast donacji ofiarować mu gotówkę, a następnie wypowiedzieć mu całkowicie służbę.

Stał się więc Zajączek osobistością ze wszechmiar podatną dla wpływów owoczesnej opozycji. Stronnictwo, które potrafiło następnie wyzyskać wpływy Zajączka na swą korzyść, zorganizowało się już było w samych początkach r. 1807. Były to szczątki dawnych zwolenników Kołłątaja oraz radykalnej Deputacji emigracyjnej. Na czoło jego wysunęli się teraz nowi ludzie: słynny potem J. K. Szaniawski i Andrzej Horodyski. I oni byli

oburzeni oddaniem najważniejszych stanowisk rządowych w Księstwie w ręce «arystokratów», znali Zajączka dobrze jeszcze z czasów emigracyjnych, stąd naturalny alians między nimi. Zajączek, dzięki osobistemu stosunkowi z wszechwładnym naówczas w Księstwie marszałkiem Davout, dawnym swym zwierzchnikiem z Egiptu i Boulogne, umożliwiał stronnictwu odegranie większej roli.

Davout, obok Mareta i Bignona jeden z najszerszych zwolenników sprawy polskiej wśród ludzi epoki Napoleońskiej, nie mógł się prędko zorientować w stosunkach Księstwa. W tym kraju, gdzie nie było zorganizowanej na sposób francuski polityki, wszystko wydawało się mu podejrzanem, wszędzie widział złą wolę. Wiedział o dawnych planach Czartoryskich z r. 1805, widział niepokój w wyższych warstwach ludności Księstwa, gdzie przeniknęła przecież wiadomość o tem, że w Tyłży Napoleon ofiarowywał Księstwo Aleksandrowi, i to wszystko naprowadzało go na mniemanie, że ludziom rządzącym w Księstwie nie można ufać, gdyż za pierwszą zmianą okoliczności zwrócą się oni znowu ku Rosyi. Ten взгляд uczynił go dostępnym dla podszeptów stronnictwa opozycyjnego, komunikowanych mu za pośrednictwem Zajączka.

Opozycja ujrzała możność dokonania zmiany w Księstwie, postawienia na głównych stanowiskach nowych ludzi, przyczem, jako hasło popularne, użytemi były nazwiska Ignacego Potockiego i Kołłątaja. Lojalna wobec Francji, nawet w radykalnych głosach posła Maryampolskiego na sejmie r. 1811, opozycja—teraz starała się przelicytować sfery rządzące w swem przywiązaniu do Francji.

Za pośrednictwem Davout'a przesyłano Napoleonowi memoriały, żądające zmiany stanu rzeczy w Księstwie. W jednym z nich, datowanym d. 8X 1807, każdy kto zna prace i Listy Zajączka, pozna jego rękę. Zdradza się on tu zjadliwą charakterystyką osób stojących u steru rządu, Ks. Józefa przede wszystkim, o którym machiawelistycznie się wyraża: «ce général, que beaucoup de militaires accusaient, peut être injustement, de plusieurs trahisons, reçut le porte de confiance de ministre de la guerre». Zajączkowi przypisał również Napoleon autorstwo tego memoriału. Nicią przewodnią tego elaboratu jest myśl, że Francja polegać nie może na ludziach

obecnie rządzących, arystokratach, którzy ze względu na sprawę utrzymania stosunku poddańczego, zawsze ciążyc będą ku Rosyi i zdradzą Francję przy pierwszej sposobności. Zdamy sobie sprawę z wartości tego memoriału, gdy zwrócimy uwagę na to, że w r. 1807 u steru rządów Księstwa Warszawskiego stali tacy, jak St. Małachowski, St. Potocki, Gutakowski, Łuszczewski, Łubieński, znani ze swej prawości w dobie sejmu Wielkiego; że nawet po roku 1809, gdy wpływy arystokratyczne więcej znaczyły, wyprowadzili oni na widownię takich ludzi, jak Matuszewicz, Mostowski i Sobolewski.

Najlepiej zresztą wartość memoriału osądził sam Napoleon, nazywając go kalumnią i zakazując nadal Davout'owi zwracać się do niego z podobnemi wystąpieniami.

Jakżeż innym był w tym względzie dawny przewodnik moralny Zajączka, Kołłątaj. Powróciwszy do Księstwa z uwięzienia w Moskwie—w r. 1808 zaznał on więcej goryczy od Zajączka, a jednak pierwsze jego wystąpienie miało za godło optymistyczne hasło: nil desperandum.

Nie znany działalności Zajączka organizacyjno-wojskowej. Wiemy to tylko, że zajmował się nią w jego legii w latach 1807—1809 jego szef sztabu pułkownik Kossecki, jeden z najzdolniejszych organizatorów w armii Księstwa, sam Zajączek zaś pracował więcej nad przyozdobieniem i zagospodarowaniem objętego w donacji Opatówka.

Kampania r. 1809 powołała go znowu do obozu. W głównej kwaterze w Modlinie, zachęcony pięknym przykładem jen. Dąbrowskiego, pogodził się—na czas pewien zresztą—z Ks. Józefem, a następnie objął dowództwo na prawym brzegu Wisły.

Jako dowódcę prześladowało go najwidoczniej nieszczęście. Kampania r. 1809, jedyna kampania zwycięska wojsk polskich w XIX w., liczy zaledwie jedną klęskę i ta stała się udziałem Zajączka. Pod Jedlińskiem na czele korpusu świeżo zorganizowanego zaatakował on ze zwykłą sobie brawurą liczniejszego nieprzyjaciela i został pobitym. Rozmiary klęski, jak sądzić można z pamiętników współczesnych, były większe od tych, o jakich mówi Sołtyk, a zwłaszcza Kossecki w raporcie do gubernatora m. Warszawy. Cała

sława kampanii przypadała ostatecznie antagoniście Zajączka, Ks. Józefowi.

Napełniło to Zajączka nową goryczą. Brał on udział w tych rozmaitych pracach, które w roku 1809 zmierzały do zdyskredytowania Ks. Józefa, a w których niestety dość znaczną rolę przypisać należy Kollatajowi, i musiał jednak w końcu przyznać w liście do Kollataja, że «w Paryżu wszyscy są zaślepieni Poniatowskim».

Z roku 1811 posiadamy t. z. «Noty jenerała Zajączka», sięgające od 4 IV do 14 VII, które później w tłumaczeniu polskim wydał Kraszewski. Książę Józef udał się był naówczas do Paryża i Zajączek objął w jego zastępstwie komendę naczelną. Dla Zajączka noty te były rzeczą podrzędną, dla historyka są one najcenniejszym z pism generała, nie tylko dla historii organizacji wojskowej w przededniu kampanii r. 1812, ale nawet i dla ogólnej historii przyczyn Wielkiej Wojny. Gdyby Zajączek w ten sposób, w takich zwięzłych zapiskach chronologicznych oddał był swe wspomnienie z roku 1794, książka jego miała by bez porównania większą wartość. W notach nie widać żadnej ze złych stron Zajączka, widać tylko krzującą się energicznie organizatora wojskowego w przededniu tak upragnionych przez kraj wypadków.

Kampania r. 1812 jest najszczytniejszym momentem w życiu Zajączka. 60-letni naówczas generał z cechującą go zawsze i wszędzie odwagą, walczy w szeregu bitw aż do wkroczenia do Moskwy; w odwrocie, od Smoleńska obejmuje naczelne dowództwo korpusu 5-go w zastępstwie Księcia Józefa, skupia resztki Polaków i z żelazną energią trzyma w dłoni dowództwo.

Dnia 27 listopada podczas przeprawy przez Berezynę—szczątkom korpusu polskiego polecono jednym z pierwszych przeprowić się na drugi brzeg Berezyny i wesprzeć dywizję Ondinoł'a, toczącą bój na głównym gościńcu Wileńskim z czołem armii Czyczagowa. «Jakoż natychmiast—pisze świadek tych wypadków, adjutant owoczesny Zajączka, Józef Krasieński,—generał, stanawszy na czele korpusu piechoty, z dobytą szpadą poprowadził go w ogień; szedłem obok niego i widzę, jakby to dziś było, starego, osiwiałego jenerała, w małych futrzanych bucikach idącego do ataku w postawie metra do tańca».

Gdy prężone następnie ogniem baterii nie-

przyjacielskich, umieszczonych na gościńcu, kolumny polskie wejść musiały do lasu, na gościńcu został sam Zajączek, kierujący ruchem całym. Gdy napędzał ociągających się do zejścia z gościńca, granat zgruchotał mu obie nogi. «Wszystko już dziś skończyło się dla mnie», zawołał Zajączek do podbiegających ku niemu adjutantów.

Niestety, nie wszystko się dlań skończyło, miał bowiem przed sobą jeszcze dość długą i nieprzewidzianą przezeń rolę polityczną do odegrania.

Amputowany przez słynnego Larey'a, w salach cesarskich odwieziony do Wilna i tam pozostawiony, dostał się Zajączek do niewoli i osadzony został w Półtawie.

Do kraju wrócił nadspodziewanie prędko, zastając tu warunki, których równie mało miał się spodziewać, jak swojej przyszłej w nich roli.

Zajączek wrócił do Księstwa, zdaje się, w początkach roku 1814. Mimo swe kalectwo ciężkie, amputowano mu bowiem obie nogi i obecnie wożono go na wózku, nie robił wrażenia rozbitego starca. Twarz jego, zawsze piękna, zachowała rysy męskiej energii, jak dawniej był żywym i zapalającym się łatwo.

Z połowy r. 1814 datuje się nawiązanie stosunków między cesarzewiczem Konstantym i Zajączkiem, która doprowadziła przedewszystkiem do tego, że Zajączek stał się powiernikiem cesarzewicza w ustanowionym d. 27 maja 1814 komitecie organizacyjnym wojskowym, a następnie, za wyraźną wolą cesarzewicza, otrzymał namiestnikostwo.

W komitecie Zajączek, wiceprezes komitetu, oznajmiał czasami propozycje Konstantego, był z nim w najściślejszym porozumieniu. Na ogół jednak stał on tutaj na gruncie obywatelskim i jedynie politycznym, popierając sprawę zbrojenia się nawet bez uprzednich gwarancji. Zdanie jego: «należy się organizować w obawie, aby jaka burza nie pochwyciła nas w nieładzie», jakkolwiek mógł być podkład osobisty tego votum, zasługiwało na uznanie. W dniu 27 XI 1815 cesarz i król Aleksander mianował Zajączka namiestnikiem ku wielkiemu zadziwieniu ogółu, sądzącego zasadnie, że stanowisko to należało się głównemu twórcy nowego stanu rzeczy, Ks. Adamowi Czartoryskiemu. Na ogół jednak nie przyjmowano tej nominacji najgorzej. Zajączek miał za sobą zasługi i kalectwo, odniesione w walce

r. 1812, był dotychczas stanowczym przeciwnikiem systemu, który obecnie stwarzano.

Była to jednak nominacja jedna z najgorszych w interesie kraju.

Generał Dąbrowski powiedział kiedyś o Haukem: «Boję się o Haukego, jest to człowiek bardzo zacny, ale jeden z tych, którym zawsze, jak szyldwachowi, trzeba wskazać, przed kim mają broń prezentować». W tem krótkim, żołnierskiem orzeczeniu tkwiła głęboka prawda. System napoleoński nie wyrabiał ludzi pod względem obywatelskim: wskazywał im drogę bardzo prostą i jasną, po której należało tylko kroczyć śmiało, a służyło się dobrze krajowi.

Wszyscy generałowie Księstwa, tak później niepopularni, nie byli ludźmi ani złymi, ani przewrotnymi, przyznaje to nawet Mochnacki, surowy sędzia. Ale trzeba im było zawsze wskazać, przed

kim mają broń prezentować. Gdy nie było kierownika, gdy sytuacja stała się bardzo trudną i wymagała dużej zdolności orientacyjnej, nie potrafili się oni z niej wydobyć z honorem. W najwyższym stopniu stosuje się to do Zajączka. Przewodnika potrzebował zawsze, czy nim był Branicki, czy Kołłątaj. Musiał więc i w tej epoce mieć przewodnika, a poddawszy się mu, z godności namiestnikowskiej uczynił całkiem co innego, niż to wynikało z karty ustawodawczej Królestwa.

Gdy w r. 1826 — 74-letni starzec schodził w mogiłę, uniósł za sobą niepopularność i krytyki takie, jakimby nie pozwolono się rozrosnąć, gdyby granat Berezyński sprawdził owoczesny wykrzyk generała.

*Wacław Tokarz*



# Fryderyk Chopin.

\* 1810 † 1849.



pochodzeniu Chopina istnieje kilka wariantów. Z tych jeden tylko, podany przez *Journal de Rouen* z d. 1-go grudnia 1849 r., wyprowadza rodowód mistrza naszego z rodziny francuskiej Chopinów d'Arnouville, której jeden z członków, po odwołaniu edyktu nantejskiego, miał schronić się do Polski; wszystkie inne mówią o pochodzeniu Chopina od jakiegoś Szopa, który z królem Stanisławem Leszczyńskim wywedrował z Polski i osiedlił się w Nancy. Tę wersję potwierdzają odkrycia Gervais'a, prawnika francuskiego, który czyniąc zadość prośbie Oskara Kolberga, zarządził poszukiwania w archiwum miasta Nancy i znalazł notatkę, według której dworzanie Leszczyńskiego: Jan Kowalski i Mikołaj Szop, obaj z Kalisza, otworzyli handel win w Nancy około r. 1740. Kowalski zfrancuził swe nazwisko na Ferrand, a Szop na Chopin. Ich też spółka handlowa miała firmę: »Ferrand et Chopin.« Syn Szopa, a raczej już Chopina, Jean Jacques, porzuciwszy handel, ożenił się w Metz z wdową Desmarets, czy Desmarais, był nauczycielem w tem mieście, potem w Nancy, a później w Strasburgu. Miał trzech synów i córkę, która wyszła za mąż do Lunevillu i umarła młodo. Syn najstarszy poświęcił się stanowi duchownemu i umarł w Nancy na początkach wieku XIX; drugi umarł bezdzietnie, najmłodszy zaś wywedrował z kraju. Czy owym najmłodszym był Mikołaj Chopin, ojciec Fryderyka, o tem nic stanowczego nie da się powiedzieć, ponieważ Gervais nie podał jego imienia. Za tem wszakże przypuszczeniem przemawia wiele danych, to mianowicie, że prócz wspomnianych wyżej Chopinów, o żadnych innych nie wiemy ani »Annuaire administratif de la Meurthe et Moselle«, ani archiwum miejskie w Nantes, oraz ta okoliczność, że Mikołaj Chopin pochodził właśnie z Nantes.

Urodził się w tem mieście 17 sierp. 1770 r. \*), przybył do Polski 1787 r., gdzie otrzymał posadę w fabryce tabaki. W czasie powstania Kościuski, walczył w szeregach obrońców Pragi w randze setnika. Po ostatnim rozbiórce kraju, przyjął miejsce guwernera u starościny Łączyńskiej w Czerniejewie, z kąd po kilku latach przeniósł się do Żelazowej Woli, majątku hrabiny Skarbkowej, w charakterze guwernera jej syna, Fryderyka, późniejszego statysty, historyka i powieściopisarza. W domu Skarbkowej poznał Mikołaj Chopin wychowanicę i podobno daleką kuzynkę hrabiny, pannę Justynę Krzyżanowską, z którą się połączył węzłem małżeńskim w 1806 r. Owocem tego związku było czworo dzieci: trzy córki i syn, Fryderyk Franciszek, urodzony 22 lutego 1810 roku. W kilka miesięcy później, Mikołaj Chopin przeniósł się z Żelazowej Woli do Warszawy, gdzie otrzymał posadę nauczyciela języka francuskiego w nowo założonem liceum, a od 1812 r. w szkole artylerji i inżynjerji.

Zamiłowanie do muzyki objawiło się u Fryderyka Chopina bardzo wcześnie; będąc jeszcze dzieckiem, najchętniej bawił się fortepianem, próbując wydobyć z niego melodye, które grywała jego matka. Tak wczesny objaw zamiłowania do muzyki, skłonił rodziców małego »Frycka« do powierzenia go opiece Alberta Żywnego, rodem czecha, wysoko wówczas cenionego nauczyciela gry na fortepianie. Postępy Chopina rosły tak szybko, że już w siódmym roku życia był znany w arystokratycznych kołach społeczeństwa warszawskiego, jako »dziecko cudowne«, genialne. Rok 1818 ważną epokę stanowi w jego działal-

\*) Stan służby M. Ch. wymienia wieś Marienville we Francji, jako miejsce jego urodzenia. Ob. Wójcicki »Cmentarz Powązkowski« II, 157.





Wedding portrait Ary Scheffers.

*F. Chiquin*

ności artystycznej, w tym bowiem roku wystąpił poraz pierwszy publicznie (24 lutego) na koncercie dobroczynnym (urządzonym przez Juliana Ursyna Niemcewicza), na którym odegrał koncert Gyrowetza i drobnostkę Riehla; w tymże roku ukazała się jego pierwsza kompozycja: *Polonaise pour piano forte, dédiée a Son Excellence M-lle la comtesse Victoire Skarbek, par Frédéric Chopin, âgé de 8 ans*, a w pismach pierwsza o nim wzmianka publiczna.

Owem pismem, które pierwszą podało wzmiankę o Chopinie i jego zdolnościach nadzwyczajnych, był »Pamiętnik warszawski« z 1818 r. (tom 10). Zaznaczywszy fakt wydania poloneza, »Pamiętnik« objaśnia publiczności, że »kompozytor tego tańca, młodzieniec osiem dopiero lat skończonych mający, jest synem p. Mikołaja Chopina, profesora języka i literatury francuskiej w liceum warszawskim, prawdziwy geniusz muzyczny; nie tylko bowiem z łatwością największą i smakiem nadzwyczajnym wygrywa sztuki najtrudniejsze na fortepianie, ale nadto jest już kompozytorem kilku tańców i waryacji, nad którymi znawcy dziwić się nie przestają, a nadewszystko zważając na wiek dziecinny autora. Gdyby młodzieniec ten urodził się w Niemczech lub Francji, ściągnąłby już zapewne na siebie uwagę wszelkich społeczeństw; niechże wzmianka niniejsza służy za wskazówkę, że i na naszej ziemi powstają geniusze, tylko że brak głośnych wiadomości ukrywa je przed publicznością«.

Mimo nadzwyczajne powodzenie na polu muzycznym, Chopin nie zaniedbywał i innych nauk. Z początku kształcił się w domu, pod światłym kierunkiem swego ojca i Feliksa Żochowskiego, studenta uniwersytetu, korepetytora na pensjonacie Mikołaja Chopina, późniejszego autora »Mowni języka polskiego«. Następnie w 1823 roku wstąpił do czwartej klasy liceum, które po trzech latach chlubnie ukończył w 1826 roku.

W tym czasie tak już wielkie zrobił postępy w grze na fortepianie i tyle w niej ujawnił oryginalności, że Żywny zdecydował się przerwać lekcje i pozostawić swego gienialnego ucznia własnemu kierunkowi. Tego też systemu trzymał się i Elsner, gdy Chopin, po ukończeniu liceum, zapisał się w 1826 r. do grona jego uczniów klasy kompozycji w konserwatorium. Kiedy powagi ówczesnego naszego świata muzycznego

oburzały się wobec Elsnera na śmiałość, z jaką Chopin gwałcił w swych kompozycjach reguły gramatyki muzycznej, na odrębność jego modulacji i zuchwałych pomysłów harmoniczych, pocziwy Elsner hamował owe oburzenia chłodną uwagą: »Dajcie mu pokój; prawda, że nie idzie on drogą zwyczajną, ale też i talent jego jest nadzwyczajny. Nie trzyma się drogi utartej; lecz on ma swoją własną, i to, jeśli się nie mylę, stanowić w nim będzie oryginalność, jakiej dotychczas nikt w tak wysokim stopniu nie posiadał«. I rzeczywiście Elsner nie męczył swego ucznia formułkami suchej ówczesnej teorii muzycznej. Zaznajał go z zasadami tej teorii o tyle tylko, o ile one obowiązują każdego wykształconego muzyka, ale nie narzucał mu ani swoich, ani cudzych przekonań muzycznych, nie krępował polotu, nie ostudzał zapału, lecz postępował z nim ostrożnie, tak, żeby bogata indywidualność jego artystyczna rozwijać się mogła swobodnie.

W konserwatorium bawił Chopin trzy lata. Ślady tego pobytu odnajdujemy w aktach dawnego konserwatorium, mianowicie w dorocznych raportach Elsnera o egzaminach uczniów, ich postępach, zdolnościach i t. p. W tych raportach znajdują się trzy charakterystyczne notatki dotyczące Chopina: w pierwszym roku nauki ocenił go Elsner jako »szczególną zdolność«, w drugim, w czasie wykładów wyższej teorii i kontrapunktu, przyznał mu »szczególną zdatność«, a w trzecim, w którym uczniowie zajmowali się wyłącznie kompozycją, nie wahał się już przy jego nazwisku nakreślić zdania: »geniusz muzyczny«.

Po ukończeniu konserwatorium w 1829 roku Chopin wybrał się wraz z kilkoma kolegami do Wiednia. Głównym celem tej wycieczki była chęć zwiedzenia pięknej stolicy Habsburgów i zaznajomienie się z przedstawicielami jej świata muzycznego, a zarazem znalezienia nakładcy na kompozycje, których pełną tekę zabrał z sobą do Wiednia. Zaledwie jednak dał się słyszeć w kilku domach prywatnych, tak oczarował wszystkich swą grą dziwnie oryginalną i poetyczną, że usilnie nań nalegać poczęli, aby wystąpił w koncercie publicznym. Najwięcej zachęcali go do tego występu: Würfel, kapelmistrz teatru karyńskiego (Kärntnerthor) — były nauczyciel konserwatorium warszawskiego, który utrzymywał, że »wiedeńczycy głodni są nowej muzyki«, że więc »nie godzi się młodemu artyście porzucać takiej sposobności«; Haslinger,

wydawca nut, który zapewniał Chopina, że dla jego kompozycji »lepiej będzie, jak je Wiedeń usłyszy, a gazety zaraz publicznie napiszą«, oraz Blachetka, dziennikarz, który mu znów prorokował, że »zrobi furorę, bo jest wirtuozem pierwszego kalibru, iż między Moschelesa, Herka i Kalkbrennera liczyć go trzeba.«

Prorocstwo Blachetki spełniło się co do joty. Chopin wystąpił dwukrotnie w Wiedniu i rzeczywiście »zrobił furorę«. Publiczność przyjęła młodego muzyka z zapalem, a krytyka wiedeńska nie poskąpiła mu słów uznania rzetelnego. Jeden z najlepszych krytyków, Kanne, w »Allgem. Mus. Zeit.« z 18 lipca 1829 r. nazwał go mistrzem pierwszorzędnym. »Nieporównana delikatność dotknięcia, niezmierna dokładność techniczna, cieniowanie drobniawo wykonane i portamenta, odzwierciadlające całą głębię jego uczucia, na koniec przejrzystość interpretacji i kompozycje, napiętnowane cechą prawdziwego geniuszu, znamionują w Chopinie wirtuoza, hojnie od natury obdarzonego, który żadną nie będąc poprzedzony fanfara reklam, niby świetny meteor zajaśniał na horyzoncie tutejszego świata muzycznego«. Inny znów krytyk mówi: »Niby młode, piękne drzewko, okryte wonnem kwieciami i dojrzewającym owocem, równie też Chopin wykazał bardzo cenną indywidualność w swoich kompozycjach, w których nowe figurki, nowe pasaże, nowe formy rozwijały się zarówno w introdukcji (do waryacji na temat z »Don Juana«, Mozarta), jak i w różnych waryacjach, oraz *alla polacca*, zakończone te metamorfozy tematu Mozarta«.

Z Wiednia, gdzie bawił trzy tygodnie, wyjechał Chopin 19 sierpnia 1829 r., na kilka dni zatrzymał się w Pradze czeskiej, a 12 września stanął z powrotem w Warszawie.

Ta pierwsza wycieczka artystyczna Chopina i dwukrotny występ publiczny w najmuzykalniejszej z ówczesnych stolic niemieckich, nie pozostała bez wpływu na dalszą jego działalność artystyczną. Natchnęła go otuchą w siły własne, umocniła w wierze, że posiada talent rzeczywisty, że już coś umie i coś dobrego stworzyć potrafi; nadto ułatwiła mu stosunki z artystami wybitnymi i wydawcami. To też zaledwie wrócił do Warszawy, jał czynić przygotowania do drugiej, lecz tym razem już dłuższej wycieczki. Niespodziane jednak przeszkody wyjazd ten znacznie opóźniły.

Najważniejszą z nich była niemożność otrzymania pasportu, z powodu rozruchów rewolucyjnych w Europie środkowej i południowej, a po części i niewykończenie wielu zaczętych kompozycji, między innymi obu koncertów. Gdy jednak wszystkie te przeszkody zostały usunięte, Chopin wystąpił z trzema koncertami pożegnalnymi w sali teatru Wielkiego, poczem, 2-go listopada 1830 r., mając »nuty w tłomoku, duszę na ramieniu, a wstążeczkę na sercu« (od śpiewaczki Gładkowskiej, pierwszej jego hogdanki), opuścił kraj rodzinny z tem przekonaniem, że go już nigdy więcej nie ujrzy.

Rzecz dziwna, że to przecucie dręczyło go oddawna i prześladowało uporczywie; nie ulega wątpliwości, że z tej tylko przyczyny zwlekał z wyjazdem. Jeszcze 4 września 1830 r. uskarża się na złe przecucie w liście do Tytusa Wojciechowskiego: »Powiadam ci, że już mię szły napadają mocniejsze niż zwykle. Jeszcze siedzę — nie mam dość sił do wybrania dnia na wyjazd. Myślę, że opuszczam Warszawę po to, żebym nigdy już nie wrócił do domu; myślę, że jadę umrzeć; a jak to przykro być musi umierać gdzieś indziej, pomiędzy obcymi! Jak mi to okropnie będzie widzieć zamiast rodziny, zimnego doktora, albo najętego sługę przy łożu śmiertelnem! Wierzę mi, że nieraz poszedłbym szukać przy tobie spokojności; lecz ponieważ to być nie może, wychodzę z domu, idę na ulicę, tęsknię i wracam do domu, po co?... po to, żeby znów tęsknić!...«

A przecież Chopin wyjeżdżał z zamiarem zabawienia w Wiedniu przez dwa miesiące, w Medyolanie przez kilka miesięcy, następnie miał zwiedzić Paryż i dłużej zamieszkać w Londynie. Cała ta podróż była obliczoną tylko na lat dwa. Skądże więc te prorocze przecucia w młodzieńcu, nie poraz pierwszy czyniącym wycieczkę zagranicę, silnym i zdrowym?.. Zamiast dwóch lat, zabawił Chopin 19 lat po za granicami kraju ojczystego. Wyjechał i więcej nie wrócił. Straszne przecucia nie zawiodły go!..

W Wiedniu stanął w końcu listopada; ponieważ skromne jego fundusze szybko wyczerpywać się zaczęły, przeto postanowił, dla zasilenia swej kassy, wystąpić z szeregiem koncertów.

Wieść o wypadku listopadowym w Warszawie pokrzyżowała te zamiary, pozbawiła go energii, odjęła pogodę umysłu i spokój ducha. Prze-

klinał chwilę wyjazdu z kraju, rozpaczał, że »ona (Gładkowska) i siostry choć szarpkami mogą się przysłużyć«, podczas gdy on sam nie może być »choć doboszem!..« Lubo przyjaciele namawiali go do wystąpienia z koncertem, nie chciał ani słyszeć o tem. Z przyczyn takiego postanowienia tłumaczy się w liście do Elsnera z 29 stycznia 1831 roku. »Malfatti (lekarz nadworny) napróżno stara się przekonać mię, że każdy artysta jest kosmopolitą. Choćby i tak było, to jako artysta jestem jeszcze w kolebce, a jako polak, trzeci krzyżyk zaczęłem; mam więc nadzieję, że znając mię, za złe mi pan nie weźmiesz, żem dotychczas o układzie koncertu nie myślał. Ze wszech miar bowiem nierównie większe stoją mi na przeszkodzie trudności. Nietylko, że nieprzerwane pasmo niegodziwych fortepianowych koncertów, psując ten rodzaj muzyki, odstręcza tutejszą publiczność, ale nadto, wszystko co zaszło w kraju, zmieniło położenie moje na niekorzystną stronę.«

Raz jednak dał się Chopin namówić do wzięcia udziału w koncercie śpiewaczki Garcii Vestriss (4 kwietnia 1831 r.). Gdy jednak krytyki tymrazem kilkoma zaledwie oględnie pochwalnymi wierszami zaznaczyły jego występ w koncercie (grał koncert E mol), rozczarowany i zniechęcony, opuścił Wiedeń, dążąc przez Linz, Monachium, Stuttgart i Paryż do Londynu.

W Monachium zabawił parę tygodni, oczekując na zasiłek pieniężny od rodziców. Tu, zaznajomiwszy się ze wszystkimi znakomitymi artystami, uległ ich namowom i wystąpił z koncertem własnym. Publiczność przyjęła go serdecznie, krytyka chwaliła »uroczą delikatność« w wykonaniu koncertu E mol, a i o kompozycjach odezwiała się pochwalnie.

Ztąd udał się Chopin do Stuttgartu. Tu doszła go wieść o upadku Warszawy 8 września 1831 r. Ta wieść tak silnie oddziaływała na wrażliwy system nerwowy Chopina, że był bliskim szaleństwa. W wyobraźni, wyteżonej do stopnia halucynacji, wirowały straszne sceny, których, jak mu się zdawało, był świadkiem. Widział ojca, który »może matce nie ma za co chleba kupić?« — pisze bezładnie w swym »sztambuchu« \*)—i »który w rozpacz nie może sobie dać rady«. Użała się nad niezaradnością ojca, a sam bezradny, bliski

obłędu, to szaleje, to przeklina siebie, to znów na wpół logicznie a na wpół bezmyślnie filozofuje na temat swej »biedoty« i podobieństwa do trupa. »To łóżko, do którego idę... może niejeden już trup na niem leżał, i długo leżał, a mnie to dziś nie robi wstrętu. A cóż trup gorszego ode mnie? trup taki blady jak ja, trup taki zimny, jak ja teraz na wszystko zimnym się czuję. Co komu przyjdzie z mojego bytu?... nie zdam się do ludzi, bo nie mam pysków ni łydek?... a trup ma łydki? trup także nie ma łydek, więc mi niczego nie brak do matematycznego pobratania się ze śmiercią.«

A potem, jak każdy szaleniec, ni ztąd ni zowąd zwraca myśl w inną stronę: »czy ona mię kochała, czy tylko udawała?... to sęk do odgadnienia... tak, nie tak, tak, nie tak, palec w palec...«

Była chwila, że halucynacja doszła już do kresu, poza którym zaczyna się obłęd rzeczywisty, zupełny nieporządek myśli. Na szczęście dręczące mary zaczęły blednąć w jego umyśle, wpływy, oddziaływające silnie na psychiczną sferę jego, słabnąć; przychodzi przesilenie, a wraz z niem wraca energia nerwowa i świadomość siebie. Ten rozpaczliwy nastrój duszy Chopina i ślady tortur moralnych, jakie znosił w czasie pobytu w Stuttgardzie, nie przeszły bez śladu; odbiły się one wyraziście w kilku kompozycjach, w tym czasie stworzonych, zwłaszcza w słynnej etiudzie C. mol (ostatniej z pierwszego zbioru, Op. 10, ofiarowanego Lisztowi), przewanej odtąd »rewolucyjną«, oraz w preludjum Nr. 2, przytoczonym przez Tarnowskiego, zapewne z natchnienia ks. Marceliny Czartoryskiej, o którym mówi Szulc \*), że jest »przerażającym obrazem monomanii i rozpacz prawie ogłupiającej. Jednostajność zwrotu prawej ręki, figura basowa jakby świdrem wnikaćca uporczywie w głuche duszy osamotnienie — czyż jest coś w muzyce straszniejszego, więcej nawskroś przenikającego? Ztąd już krok tylko do obłąkania.«

Chopin przybył do Paryża w końcu września 1831 r., gdzie miał zabawić krótko, a następnie osiedlić się na czas dłuższy w Londynie. Ztąd też na pasporcie, zgodnie z jego objaśnieniem i życzeniem, położono wize: *passant par Paris à Londres*. Zaraz po przybyciu do Paryża, poznał

\*) S. Tarnowski, »Chopin i Grottger«.

\*) »Fr. Chopin«, Poznań 1873.

się Chopin z Paërem, kompozytorem znakomitym, kapelmistrzem orkiestry królewskiej, do którego miał list polecający od Malfattiego, lekarza dworu austriackiego. Przez Paëra wszedł w stosunki z najznakomitszymi artystami, przebywającymi wówczas w Paryżu: z Cherubinem, Rossinim, Billotem, Hillerem, Herzem, Berliozem, Auberem, Meyerbeerem, Pixisem, Kalkbrennerem, później z Lisztem, Moschelesem i wieloma innymi kompozytorami, wirtuozami, śpiewakami i t. d.

W dniu 26 lutego 1832 r. wystąpił Chopin w salonach Pleyela po raz pierwszy w Paryżu publicznie z koncertem, który, według słów Orłowskiego \*), »przyniósł mu wielką reputacją i trochę pieniędzy. Wszystkich tutejszych (paryskich) fortepianistów zabił na śmierć, cały Paryż ogłupiał.« Tę pochwałę stwierdziła krytyka paryska, która, prawie bez wyjątku, witała w Chopinie jedną z najświetniejszych gwiazd ówczesnego świata artystycznego. Franciszek Stoepel, krytyk »Gazety muzycznej«, zaliczył wtedy Chopina do »szczerzego grona owych rzadkich geniuszów, którzy, mając jedynie przed oczyma cel, do którego dążą, spieszą ku niemu śmiało, nie zważając bynajmniej na to, co czyni tłum otaczający ich, czego żąda, co jest jego potrzebą, lub modą«.

Rozebrawszy szczegółowo kompozycje Chopina, o których wyraża się z zachwytem, kończy swą entuzjastyczną krytykę zdaniem: »Pan Chopin tak w zagłębianiu techniki fortepianowej, jako też w poezji muzycznej, wzniósł się nad wszystkich swych współzawodników, dzięki nauce, jaką z ich dzieł zaczerpnął, a jeszcze więcej naturze, która go wybrała za swego ulubieńca«. Słynny Fétis z niemniejszym zapalem wita Chopina w *Revue musicale* z 3 marca 1832 r., jako »młodzieńca, który, poddając się własnym wrażeniom indywidualnym i nie wzorując się na nikim, odkrył jeśli już nie zupełny, to przynajmniej w znacznej części skuteczny sposób przekształcenia muzyki fortepianowej, tak daremnie przez długie lata oczekiwany.«

Ten pierwszy występ Chopina w Paryżu niewątpliwie przyniósł mu »wiele reputacji«, nie wspomógł go jednak materyalnie. Czasy ówczesne niezbyt sprzyjały muzom; szersze koła społeczeń-

stwa paryskiego mniej zajmowały się muzyką i w ogóle sztukami pięknymi, a więcej swarami politycznymi legitymistów ze stronnikami Ludwika Filipa, a tych z republikanami i napoleonistami. To też słuchaczami koncertu Chopina byli niemal wyłącznie polacy, emigranci i artyści, bawiący podówczas w Paryżu; publiczności francuskiej prawie wcale nie było. Zniechęcony pierwszym niepowodzeniem materyalnym, a nie posiadając silnej woli i energii do stawienia czoła przeciwnościom życiowym, Chopin postanowił opuścić Paryż i osiedlić się w Ameryce. Gdy się o tem rodzice dowiedzieli, kazali mu natychmiast wracać do Warszawy. Jakkolwiek myśl powrotu do kraju nie uśmiechała mu się wcale, czuł bowiem, że Warszawa, zwłaszcza po wypadkach 1831 roku, zbyt małe przedstawiała pole dla jego działalności artystycznej, jednak czyniąc zadość życzeniom rodziców, mimo namowy przyjaciół paryskich, głównie Hillera, Liszta, Sowińskiego i Orłowskiego, gotował się już do powrotu.

Potrzeba zdarzenia, że w przeddzień wyjazdu spotkał się Chopin z księciem Walentym Radziwiłłem, który go nakłonił do pójścia z nim w tymże dniu na wieczór do Rothschildów. Dla Chopina było to rzeczą obojętną, zgodził się więc na propozycję Radziwiłła, ani przeczuwając, że ten wieczór tak ważną odegra rolę w jego życiu. Podniecony świetnością salonów nababa paryskiego oraz uprzejmością arystokracji i całej ówczesnej *haute volée*, wśród której znalazł się niespodzianie, Chopin, na prośbę gospodyni domu chętnie zasiadłszy do fortepianu, improwizował i grał tak świetnie, że wszystkich olśnił, oczarował i w zdumienie wprowadził zarówno grą oryginalną, jak wielkością i odrębnością swych utworów poetycznych. Wrażenie było olbrzymie i w skutkach nadzwyczaj korzystne dla Chopina: zanim opuścił salony Rothschildów, otrzymał kilka zaproszeń do udzielania lekcji w paru arystokratycznych domach stolicy, a w dniach następnych otrzymał ich więcej. Położenie Chopina zmieniło się jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, za lekcje płacono mu hojnie, bo po 20 franków za godzinę, a że dawał po pięć lekcji dziennie (więcej nie chciał dawać), więc też mając 100 franków zarobku dziennego, prócz dość znacznych honoraryów za kompozycje, mógł żyć swobodnie i wygodnie.

\*) Antoni Orłowski, skrzypek i kompozytor, kolega Chopina z konserwatorium warszawskiego, późniejszy szef orkiestry teatralnej w Rouen.



Zwrot tak szczęśliwy w położeniu materialnem Chopina obrócił w niwecz pierwotne jego zamiary i plany: nie było już mowy ani o wyjeździe do Ameryki, ani o powrocie do kraju; pozostał w Paryżu, gdzie rychło dobił się wziętości i sławy. Ta sława przedostała się w rok później do Niemiec, gdy Chopin wydał sporą liczbę swych utworów, jak: Trio G mol, dwanaście sławnych etiud, koncert E mol, parę mazurków, nokturnów i t. d. Większość muzyków i krytyków niemieckich przyjęła utwory Chopina z zapalem, mniejszość z pewną powściągliwością w pochvale i naganie, a niektórzy wprost nieprzychylnie. Na czele pierwszych stał Schumann i Mendelsohn, na czele ostatnich Rellstab, krytyk i redaktor gazety muzycznej »Iris«, wychodzącej w Berlinie.

Oto co pisze o mazurkach Chopina w »Iris«, (tom 4, 1833 r., str. 111): »Niedawno dość życzliwie oceniliśmy Trio tego kompozytora. Po przejrzeniu jednak mazurków, musimy cofnąć wszystkie pochwały, jakich mu wtedy nie szczędziliśmy, natomiast naganę, lekko wówczas zaznaczoną, zmienić wprost w obwinienie. Albowiem to, czegośmy się wówczas tylko dorozumiewali, teraz przedstawia się jako pewnik, że autor posiada skłonność do komponowania w sposób nienaturalny i wyszukany. Można powiedzieć o nim, że jest niewyczerpany w wyszukiwaniu dyssonansów rozdzierających uszy i przykrych modulacji w wykręcaniu melodyi i rytmu«, i t. d. W innej krytyce mówi znów, że jego (Chopina) krętaściami (Verkehrtheiten) zapewne tylko opaczny świat paryski zachwycać się będzie, ale w kim tli się jeszcze choćby jedna isierka poczucia muzycznego, ten musi do nich nabrać wstrętu.

Paszkwile jednak Rellstaba nie zdołały obniżyć stopnia zachwyty, jaki wzbudzały w Niemczech arcydzieła Chopina, rychło bowiem poznano się na Rellstapie i na wartości jego krytyk muzycznych. Był on bez wątpienia zdolnym roman-sopisarzem, literatem utalentowanym, pamflicistą może zbyt zjadliwym, ale bardzo dowcipnym i jędrnym w wyrażeniach, oraz świetnym stylistą. Pisał zajmująco, więc też silnie oddziaływał na publiczność niemuzyczną; nie znał się jednak ani na muzyce, ani na malarstwie, choć pisał o wszystkim, nawet o strategii, bo nie posiadał wykształcenia fachowego; a przytem był krytykiem stronnym, nieuczciwym, uganiającym się *par force* za

oryginalnością. Dla tej oryginalności poświęcał prawdę i sumienie; chwalił z umysłu miernoty, a talenty rzetelne ganił.

Bezskuteczność pocisków Rellstaba, wymierzonych przeciw Chopinowi, sprawdziła wycieczka tego mistrza do Akwizgranu w maju 1854 r., gdzie go Mendelsohn i wszyscy muzycy tamtejsi przyjmowali ze czcią, jakby jakiego księcia udzielnego; wspólne z nim przedsiębrali wycieczki (do Düsseldorfu, Koblencji, Kolonii), urządzali wieczory na cześć jego i t. p.

W roku następnym Chopin zrobił wycieczkę do Karlsbadu, dla zobaczenia się z rodzicami, z którymi nie widział się od czasu opuszczenia kraju rodzinnego. W tymże roku spotkał się w Dreźnie, w domu wojewody, Macieja Wodzińskiego, z panną Maryą Wodzińską, krewną wojewody, z którą łączyły go stosunki czulej przyjaźni, związanej jeszcze w Służewie, majątku Wodzińskich, dokąd Chopin zjeżdżał na wakacje, dla odwiedzenia swych kolegów: Antoniego, Feliksa i Kazimierza Wodzińskich, braci Maryi. Ta przyjaźń przerodziła się z czasem w uczucie silniejsze, które natchnęło Chopina myślą do starania się o rękę Maryi. Jakoż dowiedziawszy się w lipcu 1836 r., że jego bogdanka znajduje się w Marienbadzie wraz z rodziną, wybrał się tam umyślnie, po kilku tygodniach oświadczył i został przyjęty. Szczęście narzeczonych niedługo trwało. W rok później zwrócono mu słowo, ojciec bowiem Maryi nie chciał zezwolić na małżeństwo swej córki z »grajkiem.«

Cios był silny, ale nie zabójczy; zdaje się nawet, że o wiele większą zadał ranę jego dumie i miłości własnej, aniżeli sercu, które zresztą już wówczas należało do innej—do Georges Sand.

Poznał się z nią w końcu 1836 roku w sposób niezwykły. Wysoce zainteresowana kompozycjami Chopina i jego osobistością, znakomita romansopisarka wyjawiała Lisztowi chęć zaznajomienia się z jego przyjacielem. Liszt wspominał o tem życzeniu Chopinowi, ten jednak nie chciał złożyć wizyty Georges Sand, utrzymując, że wogóle nie cierpi literatek i towarzystwa ich nie znosi. Ale Sand nie łatwo zrażała się przeciwnościami. »Nie chciała góra przyjść do Mahometa, przyszedł Mahomet do góry«: nie chciał Chopin złożyć Sand wizyty, ona pierwsza złożyła mu ją w jego własnem mieszkaniu w końcu 1836 roku.

W pierwszych chwilach poznania się z Chopinem, Sand niemiłe na nim wrażenie wywołała, bo miała »twarz niesympatyczną i coś w sobie odpychającego« — jak się Chopin wyraził w liście do rodziców, nie przeczuwając, że owa »odpychająca« kobieta rychło stanie się dlań wampirem, który go urokiem ponęt niewieścich opęta, krew z ciała wyssie, a w końcu »roztrzaska czarę już wypróżnioną«.

Zbytek w upojeniach miłosnych odbił się fatalnie na zdrowiu Chopina. Przepędzanie zimy na Majorce w towarzystwie Sand, nietylko że nie pomogło, lecz przeciwnie, pogorszyło stan jego zdrowia; wyjechał z kaszlem tylko, a wrócił plując często krwią. Mimo tak groźnych symptomatów nie zaniedbał się w pracy. Przeciwnie, pracował gorączkowo, jakby z obawy, że nie zdoła wyśpiewać wszystkiego, co mu w duszy tak cudnie grało. Na Majorce wykończył wiele dawniej poczętych kompozycji, wiele stworzył nowych, jak słynne preludia Des dur i H mol, ballada F dur, polonezy A dur i C mol, scherzo Cis mol, impromptu Fis dur, kilka nokturnów, mazurków i w. in. Nie tracił nawet humoru i wesołego usposobienia. W liście do Fontany z d. 3 grudnia 1838 r. drwi ze swej choroby: »Chorowałem przez ostatnie dwa miesiące, jak pies. Trzech doktorów, z całej wyspy najslawniejszych, zwołano na konsultację. Jeden wąchał com pluł, drugi stukał skądem pluł, trzeci macał i słuchał jakem pluł. Pierwszy mówił, że zdechnę, drugi, że zdycham, trzeci, że już zdechł!«

Wróciwszy do Francji, Chopin spędził kilka miesięcy letnich w Nohant, wiejskiej posiadłości Sand. Pobyt na wsi oddziałł tak zbawiennie na jego zdrowie, że już prawie nikt nie wątpił o zażegnaniu groźnego dla jego życia niebezpieczeństwa. Na nieszczęście, życie lekkomyślne i ciągłe niesnaski z samolubną, namiętną Sand sprowadziły recydywę, która zakończyła się chorobą nieuleczalną. Dobiło go zerwanie z nim stosunku przez Sand w 1847 r.

Cierpienia moralne oraz zamieszki rewolucyjne w 1848 r. skłoniły Chopina do wyjazdu z Paryża. W kwietniu t. r. wyjechał do Londynu, gdzie przyjmowano go z entuzjazmem. Wycieczka do Szkocji odbiła się fatalnie na jego zdrowiu; wrócił więc do Londynu, a ztąd do Paryża w początkach 1849 r. Stan jego zdrowia nie pozwalał mu już ani na udzielanie lekcyi, stanowiących

główne źródło jego dochodów, ani na komponowanie; z tego powodu znajdował się nieraz w wielkich kłopotach finansowych. W początkach października tegoż roku groźna choroba (suchoty) strawiła doszczętnie wątły organizm Chopina. Piętnastego października zaczął tracić głos i konać, a w nocy z 16 na 17 października 1849 r. między godziną 2-gą a 3-cią, duch wielkiego mistrza tonów już unosił się poza światami w sferach wiekuistej harmonii! Pogrzeb odbył się d. 30 października. Ciało spoczęło na cmentarzu Père-Lachaise, prócz serca, które, zgodnie z życzeniem Chopina, przewieziono w urnie do Warszawy, gdzie spoczywa w lewej ścianie głównej nawy kościoła św. Krzyża.

Jakkolwiek Chopin nie był muzykiem wszechstronnym, geniusz bowiem jego ograniczał się objęciem jednego tylko działu literatury muzycznej: muzyki fortepianowej, w tym jednak zakresie był najoryginalniejszy ze wszystkich i stworzył to, czego nikt przed nim stworzyć nie zdołał. Jeden z krytyków londyńskich mówi, że »wszystko w jego muzyce jest niespodziane i niedające się do niczego przyczepić. Z każdym utworem Chopina wchodzisz niejako w kraj jakiś piękny, nietknięty jeszcze stopą ludzką, niby trafiłeś na szlak, jakim nikt dotąd, prócz niego, nie szedł«. Ehlert w swych pięknych »Briefe über Musik« wyraża się o nim poetycznie: »Znasz-li takiego słowika, któryby tak rozmarzająco dzwonił o zmroku wieczornym, jak melodye nokturnów Chopina? Nie chcę docinać Hafizom, ale nasze niemieckie Biulbiule w porównaniu z nim, jakież ubogie w pieśni! Czyż filigranowe roboty i arabeski murytańskie zdołały kiedykolwiek usnuć coś tak powiewnie lekkiego, jak owe fantastyczne ozdoby, wydające się koronką misterną, z promieni księżycy przez elfów dierzganą? Biedny Chopin! dusza jego miała struny arty eolskiej, z których najłżejszy powiew czarowne, nieznane wydobywał pieśni. Jakby z głębin świętej ciszy dolatują nas te seraficzne legendy, którym się przysłuchujemy, i zdaje się nam, że sama natura głosami swoich żywiołów obwieszcza jakieś zagadkowe wieszczby«. Mendelsohn znów twierdził, że dlatego zachwyca się utworami Chopina, iż je uważa za coś, czego by sam nigdy nie skomponował. Potwierdzają to również inni sławni artyści, jak: Liszt, Berlioz, Hiller, Moscheles i Rubinstein, który go nazywa »duszą for-

tepianu» : poczytuje mu to za wielką zasługę, że poznawszy istotę swego talentu, nie sprzeniewierzył mu się i innych rodzajów, prócz kilkunastu pieśni — do których zresztą żadnej nie przywiązywał wartości — nie próbował uprawiać.

Znaczenie Chopina w historii muzyki czasów nowszych polega na wprowadzeniu do muzyki wielu zupełnie nowych pierwiastków, na odkryciu sposobu uzmysławiania dźwiękami całej gamy uczuć, a nawet subtelnych odcieni tych uczuć i wzruszeń sercowych. Jemu zawdzięcza muzyka harmonię dzisiejszą, wyrobienie stylu fortepianowego i bujny rozkwit romantycznej szkoły muzycznej, której był przedstawicielem najznakomitszym i najoryginalniejszym. On pierwszy nadał etudom nie tylko pedagogiczne, lecz i artystyczne znaczenie; znakomicie wydoskonalił formę preludów, polonezów, nokturnów. On też pierwszy wprowadził do literatury muzycznej mazurki, które, lubo zaczerpnięte ze skarbnicy polskich pieśni ludowych, jego wyłączną własność stanowią; rozprzestrzenił bowiem ramy ich formy, melodyę uszlachetnił, wykwinął harmonią opatrzył i nadał cechy poematów.

Jako wirtuoz, Chopin nie imponował siłą, z powodu braku sił fizycznych, ale za to umiał on lepiej od wszystkich innych pianistów każdy odcień uczucia przedziwnie w swej grze uplastycznić. Hiller mówi, że »tak nigdy nikt klawiszów nie dotykał, w tych niezliczonych odcieniach i modyfikacjach nikt z nich dźwięków nie dobywał«. Powiewność jego pasaży, melizmów, »owych drobnych nut dodatkowych, unoszących się niby przyzmatyczna rosy kurzawa ponad główną melodyą« (Liszt), oraz lekkość ręki, była nieporównana.

Jako kompozytor, tworzył łatwo, ale po przełaniu swych myśli na papier, długo je poprawiał. Georges Sand, u której Chopin całymi miesiącami przemieszkiwał, pisze w swych pamiętnikach: »Twórczość Chopina była zadziwiającą i nagłą. Pomysły muzyczne przychodziły mu do głowy wówczas nawet, kiedy ich wcale nie szukał, nie oczekiwał i nie przeczuwał. Przychodziły nagle niespodzianie i to w kształtach już zaokrąglonych, gotowych, wspaniałych. Czasem znajdował je siedząc przy fortepianie, czasem znów na spacerze. W tym ostatnim razie niecierpliwie oczekiwał końca spaceru, żeby jaknajprędzej mógł dorwać się do fortepianu i usłyszeć zachowane w pamięci

pomysły muzyczne. Gdy to jednak już nastąpiło, wówczas dopiero przychodziły ciężkie chwile pracy niezmordowanej, wahania się i gorączkowego opracowywania szczegółów kompozycji. To, co stworzył w myśli, jako całość gotową i wykończoną, później, gdy już miał przelać na papier, analizował aż do przesady; a gdy dane szczegóły nie odpowiadały jego wymaganiom, wpadał w rozpacz prawdziwą. Zamykał się w swym gabinecie, ślezczał całymi dniami nad swą pracą, płakał, rzucał się jak opętany, łamał pióra, często jeden takt po sto razy przekreślał i przerabiał. Na drugi dzień rozpoczynał tę samą historię z godną podziwu wytrwałością. Nieraz ślezczał ze sześć tygodni nad jedną stronicą, a w końcu napisał swój utwór tak, jak go *za pierwszym razem przelał na papier*«.

Jako człowiek posiadał charakter prawy, ale zmienny. W objawach uczuć był gwałtownym, ale też rychło stygł w zapale. W życiu rodzinnem zazwyczaj bywał wesołym, dowcipnym i w obejściu się nader wykwintnym. Nie był jednak szczerym i wdzięcznym; nie odwzajemniał się tym nawet, którzy całem sercem byli mu oddani i wiele dobrego wyświadczyli. Niewątpliwie choroba i różne niepowodzenia, choćby drobne, wielki wpływ wywierały na częstą zmianę jego charakteru i usposobienia.

Tarnowski nazywa Chopina czwartym wielkim poetą polskim, a tem od trzech pierwszych szczęśliwszym, że jego pieśń na prawdę »tłum ludzi obiegła«. »Bo kiedy słowo najpiękniejsze i najwyższe jest dla wszystkich, prócz swoich, martwą literą, to nieujęty, nieokreślony język tonów ma ten przywilej, że może »duszę prosto w duszę przelać« i pieśń, w poezji nam tylko zrozumiana i przystępna, rozeszła się po całym świecie w uniwersalnym języku muzyki i znalazła wszędzie takich, którzy ją pojmują i wielbią. To też w historii życia muzyka Chopina ma swoje wielkie znaczenie i zasługę: reprezentuje na zewnątrz górujący ton naszego usposobienia, a reprezentuje go tak chlubnie, że sobie i nam zjednała sławę i prawo obywatelstwa w państwie muzyki, któregośmy przed nią nie mieli.

Wielki to tytuł do zasługi i do wdzięczności ze strony naszego społeczeństwa, które też imię wielkiego poety tonów przechowuje w swem sercu, otacza je czcią niewygasłą i uwielbieniem bezgranicznym.

*Aleksander Poliński.*

# Michał Grabowski.

\* 1805 † 1863.

**Z**jawiają się w pewnych okresach dziejów literatury ludzie o wpływie niepospolitym, którzy przez późniejszych znani są mało, a nawet zapominani zupełnie. Ten los przypadł w udziale Michałowi Grabowskiemu jako krytykowi, którego rozgłos na tem stanowisku był jednym z większych i zamarł tak prędko, jak powstał i rozszerzył się. Przyszedł on do nas po Mochnackim w chwili, gdy zawierucha listopadowa spowodowała znaczne obniżenie literackiej twórczości w kraju, a wybujała romantyka francuska oddziaływała na umysły i piszących nie zawsze korzystnie. Przyszedł i dokonał wiele w czasie, który należy do najsmutniejszych pod względem literackim, w którym krytyka osiągnęła niezmierny wpływ na twórczość, który potrzebował nie rzadko sprostowania, oświecenia, rady mądrej i dojrzałej.

Mimo pozorów nie jest Grabowski krytykiem obozu romantycznego. On zgłębił zbyt sumien-

nie literaturę francuską ośmnastego wieku, miał usposobienie wcale sceptyczne i spokojne, sądził bez zaślepienia i poważnie, by stać się krytykiem wojującym i zakrywać oczy na dodatnie strony pseudoklasycyzmu.

Ten prymas krytyki między rokiem 1830 a 1850, jak go nazywa ironicznie Słowacki w *Beniowskim*, był nawet przeciwnikiem romantyki, zwłaszcza emigracyjnej, za co szarpano go niełitościwie i przypisywano mu czyny, o których popełnieniu nie myślał. Urodzony w Żołotyjowie, blisko Równa na Wołyniu, z ojca Antoniego i matki Teresy Dworzkańskiej, uczył się Grabowski czas jakiś w jezuickim kolegium w Romanowie, a następnie w szkole powiatowej w Humaniu, prowadzonej przez Bazy-



Według litografii Dzwonkowskiego.

*Michał Grabowski.*

lianów, w której kształcili się równocześnie Załeski i Goszczyński. Z nimi odbywał wycieczki w okolice, z nimi poetyzował na tle ludowym, z nimi rozprawiał o literaturze, by po kilkoletnim pobycie w liceum francuskim w Odesie, wznowić

w Warszawie nie tylko zerwane na czas jakiś związki przyjaźni, ale i entuzjazmować się dalej poezją romantyczną na Zachodzie i gotować się do przyszłego zawodu. Poezja zawiodła Grabowskiego, ale natomiast pierwsze artykuły krytyczne zwróciły od razu uwagę Mochnackiego i innych na młodziutkiego znawcę literatury.

Mając lat dwadzieścia ogłosił w *Astrei* z roku 1825 pierwszy artykuł krytyczny, za którym poszły inne, uwielbiające panią de Staël i jej poglądy literackie. Żądał, by literatura była wyrazem społeczeństwa, szukał tego wyrazu w społecznych płodach literackich, okazywał erudycją dużą i postępującą z latami widocznie. Atakował obóz pseudoklasyczny, potępiał ciasnotę i szablon, był echem tego, co działo się nad Sekwaną wśród romantyków—wyjaśniając genezę całego ruchu i wskazując drogi, jakimi krajowa twórczość kroczyć powinna. Po powrocie w strony rodzinne, zajął się historią, pisaniem powieści, a zwłaszcza wykończeniem swego kapitalnego dzieła, którem jest *Literatura i Krytyka* (1837). Utwierdziwszy się w swych zasadach katolickich lekturą Chateaubrianda, de Maistre'a, Bonalda, rozpoczął na nowo działalność w *Tygodniku petersburskim* Przesławskiego artykułem *O poezji narodowej* (1834), w którym, potępiając skrajne objawy romantyzmu, apoteozował przedmiotową i pełną kultu dla przeszłości twórczość Waltera Scotta. Ze szczególną surowością zwrócił się następnie w swym kapitalnym dziele przeciw romantyce francuskiej, istotnie wybijając i śliskiej etycznie. Sąd był może za kategoriyczny, a obraz nieco stronny i zabarwiony na ton polemiczny; niemniej niektóre charakterystyki uderzały trafnością i pisane były z ogniem i życiem niepoślednim. Katolicyzm i konserwatyzm krytyka zarysował się wyraźnie i pozostał na zawsze znamię jego pisarskiej działalności; ta ostatnia zdobyła od razu uznanie ogólne i do Aleksandrówki, gdzie Grabowski osiadł ostatecznie, napływać poczęły korespondencje, zapytania, prośby o radę ze stron najdalszych. Historia interesowała w równym stopniu krytyka; z swego ustronia ukraińskiego śledził jednak bacznie literackie objawy i potępiał każdą dążność, zwróconą przeciw religii to w wymienionym nadnewskim organie, to w *Rusalki* Grozy, to wreszcie w korespondencji prowadzonej z literatami. Zjazd w Cudnowie, gdzie

u Rzewuskiego, głośnego wtedy z swych *Pamiętek Soplicy*, zebrali się Kraszewski, Hołowiński, Grabowski i inni, zdecydował na czas jakiś o przyszłym kierunku literatury w tych stronach się rozwijającej; kierunek Grabowskiego stał się jej kierunkiem, a jego twórca krytycznym dyktatorem, poważanym ogólnie. Rozważny i trzeźwy temperament Grabowskiego nie ustrzegł się jednak illuzji. Illuzją były najpierw jego młodzińcze poezje, potem słabe powieści historyczne, potem wiara w Rzewuskiego i chęć stworzenia politycznego programu w porozumieniu z ludźmi złej sławy i wątpliwej moralnej wartości.

Jeden fałszywy krok zniszczył zdobytą popularność i uczynił z niego przedmiot napaści, często niesprawiedliwych i stronnych. *Korespondencja literacka* (1842) miała już mniej rozgłosu choć zawierała uwagi bystre i razila jedynie zbytniem przejściem się zasadami Rzewuskiego i objętnością na ówczesne prądy filozoficzne. Mnóstwo recenzji nader głębokich i wyczerpujących, zawiera też *Athenaeum* Kraszewskiego, z którym stosunki zrazu ściśle ochłodziły zwolna i zerwały się, co znacznie zaszkodziło dalszemu rozwojowi tego czasopisma naukowego, jedyne wtedy w tych stronach i nie bez znaczenia dla stanu umysłowości ówczesnego społeczeństwa. Równie silnie zajmowało Grabowskiego współczesne malarstwo polskie. Pragnął, by czerpało ono swe tematy z religii i narodowości, porzuciło chłodną manierę klasyczną na wzór poezji romantycznej, poszło za przykładem mistrzów francuskich w rodzaju Verneta i innych, co też wkrótce nastąpiło. Uwagi tego rodzaju mieszczą *Artykuły literackie, krytyczne, artystyczne* (1840), dowodzące znacznej znajomości braków i potrzeb ówczesnej sztuki. Z chwilą obudzenia się ruchu literackiego na szerszą skalę w Warszawie, Grabowski występuje znów na widowni w *Dzienniku warszawskim* Rzewuskiego, gdzie drukuje cenne charakterystyki niektórych przedstawicieli literatury, wzorując się nie, jak dawniej, na poglądach i metodzie Villemaina, ale portretach Sainte-Beuve'a, bardzo wtedy modnych i naśladowanych; zamiast szerokiego obrazowania prądów literackich, występuje dążność do kreślenia sylwetek indywidualnych pisarzy, wpływów na nich działających, psychologii twórców jednym słowem. Biografią duszy czysto realistyczną jest też literacki por-



tret Rzewuskiego, ogłoszony w jednym z czasopism rossyjskich, pełen gorącego uwielbienia dla twórcy *Listopada*, zupełnie słusznego choć mało krytycznego. Z zapalem oddawał się też ukraiński krytyk archeologii, czego dowodzi duża publikacja o kurhanach ukraińskich, a także pisanii powieści, z których *Koliszczyzna i stepy* zyskały nawet pewne uznanie i popularność. *Stanica Hulajpolska* powstała po długich studiach i notatach lokalnych, ale charakter posiada rażąco konwencyonalne, akcja wlecze się męcząco, całość nuży suchością i brakiem malowniczości w opisach. Podobny charakter mają *Tajkury*, uchodzące w mniemaniu twórcy za wielką kompozycję historyczną, mniejsze powieści, skrytykowane niegdyś surowo przez Tyszyńskiego, a dziś zapomniane prawie zupełnie.

Z chwilą wstąpienia na tron cesarza Aleksandra II, Grabowski zajął się żywo myślą urzędowania swego politycznego programu, który miał wiele pokrewieństwa z zasadami rozwijanymi przez Wielopolskiego. Myśli swych udzielał przyjaciółom, a uderzają one praktycznością i darem przewidywania wypadków politycznych, trzeźwością i ciętością polemisty, cechującą zwłaszcza odpowiedź na zarzuty niechętnych poprawie wewnętrznych stosunków Królestwa Polskiego, której kopia znajduje się w mem posiadaniu. Jako krytyk, powieściopisarz, polityk, Grabowski wyobraża tę fazę narodowego rozwoju, której znamieniem było odrodzenie szczere i głębokie religijnego uczucia, zanikłego u ludzi z czasów Stanisława Augusta i wojen napoleońskich. Grabowski ma niby tę samą kulturę duchową, co Gołszczyński i Zaleski; że nie dzieli, szczególnie z ostatnim, mistycznych zboczeń i politycznych skrajności, winien to nietylko wrodzonej trzeźwości, ale i temu sposobowi patrzenia na świat, który ukształcił się w nim pod wpływem racjonalistycznej literatury wieku ośmnastego. Nie będzie ani sensualistą jak Staszic, ani klasykiem


jak Koźmian, ani sceptykiem jak Potocki; w epoce studyów warszawskich zapoznaje się z dziełami pani de Staël i Chateaubrianda, i oto podstawa jego krytyki. Wszystkie jego rozumowania redukują się do zasady, że chrystyanizm ma stanowić treść moralną człowieka. Wnosząc więc z Mochnackim zasadę, że nie ma nic absolutnego w świecie twórczości, nie sądzi jednak, że wszystko jest względne. Stara się przeciwnie określić owe względy, od których sąd o dziełach zależy, i nie opiera go, jak Wiktor Hugo, na kaprysie lub fantazyi sędziego. Współcześni opowiadają, że miał dar prostoty dziwnie ujmującej w zachowaniu i rozmowie. Na dnie tej duszy leżała czułość, drażliwość, może ukrywana niekiedy, ale widoczna i lubiąca się wywnętrzać. Ma Grabowski wszystkie cechy inteligentnej natury polskiej z pierwszej połowy wieku: zapal, wrażliwość, szlachetną miarę, rozumny kult dla literatury francuskiej, miłość kraju i jego przeszłości bez chorobliwego marzycielstwa, skłonności do złudzeń politycznych lub społecznych, pozy reformatora, właściwej wielu przedstawicielom tej epoki. Był całe życie takim jak w początkach; rozwijał się, podniósł, stężał, ale zmienił mało. Katolicyzm i konserwatyzm jego raził eklektyków lub liberalnie nastrojonych; nadewszystko, i tym razem słusznie, oburzała ich pobłażliwość dla Rzewuskiego, a brak tolerancji dla przeciwników jego własnego programu. Ta niechęć do dyktatora krytyki ówczesnej, jak Grabowskiego nazywa Zaleski, wyraziła się nawet w jednym z najcudniejszych polskich poematów—*Beniowskim*, i to kilkakrotnie, by przytoczyć choćby ustęp z pieśni piątej:

Krytykę Dońców i Sławian prekrasnych  
Zostawmy drugim. Lepiej ją spamiętasz,  
Gdy ich, jak złota strzała Meleagra,  
Przeszyje pióro pana Michała Gra!...

*Dr. T. Grabowski.*

# Tomasz Ostrowski.

\* 1735 † 1817.

dy w ciągu posiedzeń r. 1789—z luźno dotychczas złączonych ze sobą żywiołów sejmowych, dzięki niespodziewanej polityce Prus, wytworzyło się stronnictwo patryotyczne, poczęło ono czynić poważne wyłomy w obozie stronników Stanisława Augusta. W otoczeniu królewskim, wśród posłów wybranych za wpływem dworu — obok ludzi małej wartości i oddanych zupełnie królowi, było kilka osobistości, które stać się mogły i stały się potem bardzo cennym nabytkiem dla stronnictwa patryotycznego. Mówimy tu o ludziach tego typu, jak Marcin Badeni, Pius Kiciński, jak, reprezentujący Rzplitą w Petersburgu, Augustyn Deboli. Stosunek tych ludzi do Stanisława Augusta nie był bynajmniej stosunkiem ślepego oddania się; z korespondencji np. Debolego z królem wiemy, jak mało mieli oni złudzeń co do wartości moralnej króla, jak śmiało w oczy mu to wypowiadali. Z dworem połączyły tych ludzi lata 1775—1788, gdy jedynie w szeregach stronnictwa dworskiego można było pracować dla kraju, ponieważ opozycja nie przekraczała swym zakrojem wicherzeń hetmańskich lub intrygi kobiecej. Przez ten okres smutny, który tylu ludzi skompromitował, przeszli oni, nie nadwerężąc nic ze swej godności osobistej: nie tylko nie odnaleziono potem w r. 1794 ich nazwisk na listach ambasady, ale opinia publiczna wiedziała nawet, że byli oni niedostępnymi dla pokus wyższego rzędu, które np. pociągnęły Szczęsnego Potockiego.

Był to cenny, powiedzieliśmy, nabytek dla stronnictwa patryotycznego. Decydował o tem najsamprzód charakter tych ludzi, którzy tyle potem w dobie Księżtwa, a nawet Królestwa Kongresowego poświęcili dla kraju, a następnie ich doświadczenie administracyjne, na którym zbywa-

ło wielu z wybitniejszych nawet ludziom stronnictwa reformy. Jednym z najcenniejszych tego rodzaju nabytków był kasztelan Czerski, Tomasz Ostrowski.

Urodzony w Ostrowie Małym czyli Krupie w lubelskiem dnia 21 grudnia 1735 roku, liczył Ostrowski w dobie poczynającego się Sejmu Wielkiego lat 53 i ze względu na swój wiek, doświadczenie i powagę, jaką się cieszył w szerokich kołach warszawskich, należał do ludzi, którzy bez głębszej rozważki nie wiążą się z nowymi prądami, ale raz zdecydowawszy się, przywiązują się do nowo obranej drogi z całą stanowczością męskiego uczucia.

Tomasz Rawita Ostrowski pochodził z tej zamożnej szlachty lubelskiej, która tylu ludzi wydała na schyłku XVIII wieku, a którą tak dobrze znamy z pamiętników Koźmiana. Podobnie jak Ignacy Potocki, jak Feliks Łubieński, początkowe wykształcenie odebrał u Jezuitów, podobnie też jak oni był namawianym przez swoich wychowawców do wstąpienia do zakonu. Ostrowski odmówił prędzej i bardziej stanowczo niż tamci, powołania zakonnego nie czuł w sobie wcale, w jego późniejszym życiu nie odnajdujemy ani jednego rysu zakonnika, który się minął ze swem powołaniem. A jednak wychowanie Jezuitów wywarło głęboki wpływ na tego przedwcześnie skupionego w sobie, obowiązkowego i panującego zawsze nad sobą chłopca. Do końca życia zachował on silną i głęboką wiarę, dość rzadką w tych czasach powszechnej niewiary lub, podobnej jak u Feliksa Łubieńskiego, bigoteryi, zachował zamiłowanie i zainteresowanie do spraw kościelnych. W tej jego wierze tkwił pewien pierwiastek charakterystyczny, którego nie odnajdujemy u ludzi współczesnych, a który jest rysem pierwszorzę-

dnego znaczenia dla biografii Ostrowskiego. Tej wrażliwości na bieg spraw wyznaniowych nie spotkamy u najoświecieńszych ludzi Sejmu Wielkiego, nawet tacy ludzie, jak Czacki, jak ks. Adam Czarotowski nie wykazują zrozumienia tych spraw w swej późniejszej pracy oświatowej. Gdy później, w ciężkich czasach porozbiorowych, dokonaniem zostały zmiany bardzo istotne na polu stosunków wyznaniowych, przeszły one prawie niedostrzeżone przez społeczeństwo, nie mówiąc już o zupełnym braku oporu, pozwalając wątpić o głębokości uczucia religijnego wśród ówczesnej szlachty. Ostrowski, bawiąc wówczas pod dozorem na Ukrainie, był jednym z zaszczytnych wyjątków, które włożyły w sprawę oporu dużo ze swej energii i zdobyły się nawet na znaczniejsze ofiary pieniężne.

Wprost z ławy kolegium Jezuickiego w Lublinie, modą ówczesną, wysłano młodego chłopca zagranicę w celu »otarcia się w świecie i nabrania poloru«. Poznanie Europy, odmiennych niż w Rzplitej organizacyi i urządzeń państwowych wywarło na Ostrowskiego, który zawsze był dobrym obserwatorem i umiał porównywać to, co widział zagranicą, ze stosunkami Rzplitej—wpływ głęboki. Nabral również kultury towarzyskiej, wrodzonej zresztą u niego, a która tak mu się potem przydała za czasów rządów pruskich i w dobie organizacyjnej Królestwa kongresowego.

W Paryżu, w ówczesnem towarzystwie kosmopolitycznem, zalegającym salon stolicy świata, poznał Ostrowski młodą Amerykankę. Doznał wówczas wstrząśnienia pierwszej miłości, tem silniejszej u niego, im bardziej dotąd, zajęty swemi myślami, nie zwracał uwagi na kobiety. Z łatwością pozyskał zgodę rodziców panny, której wzajemności był pewnym, ale postawiono mu jeden warunek, dla niego niewykonalny, zażądano, aby przeniósł się do Ameryki. Mimo wszystko wypadło zerwać i wrócić do kraju.

W kraju wpływy rodzinne, mające, zdaje się, pewne znaczenie w partyi t. z. dworskiej, umieściły go na dworze Augusta III, który zamianował Ostrowskiego kapitanem gwardyi. W początkach swej karyery politycznej stawał młody Ostrowski naprzeciw knującym wówczas zamiary detronizacyjne, a wkrótce biorącym w swe ręce w dobie bezkrólewia ster wypadków—Czarotory-

skim. W szeregi partyi saskiej dostał się przypadkowo, sam nie miał jeszcze żadnego zdania co do ważności dokonywających się naówczas wypadków. Później, gdy już miał za sobą sporo doświadczenia życiowego, lubił Ostrowski w gronie swych synów lub przyjaciół omawiać sprawy ostatniego bezkrólewia i wówczas odzywał się krytycznie o tej zasadniczej myśli Czarotoryskich, która, jak pasmo barwne, miała się wpleść w wypadki kraju od r. 1764 aż do 1830, zanim ją rozwiąła, jak zamek z kart, burza listopadowa.

W r. 1765 zwrócił się Ostrowski do nowego elekta. Oprócz chęci wyrobienia sobie stanowiska publicznego decydować tu u niego musiał wzgląd, który go potem tak wyróżniał zawsze, że nigdy nie odsuwał się od pracy publicznej, umiając pracować nawet w najniepomyślniejszych warunkach.

Nie szczególną szkołą była ta służba przy boku Stanisława Augusta, który mianował Ostrowskiego pułkownikiem, szambelanem aktualnym przy swym boku, wysyłał w missyach do Berlina i Rzymu, umieścił w końcu w swej kancelaryi dyplomatycznej. Nie znamy szczegółów owoczesnej roli politycznej Ostrowskiego, nie wiemy nic o jego wrażeniach i sądach o epoce, prowadzącej do pierwszego podziału Rzplitej.

Dopiero lata 1775 — 1788 wyprowadzają Ostrowskiego na szerszą widownię polityczną. Należy on wciąż do stronnictwa dworskiego. Jest obsypywany przez króla odznaczeniami i w r. 1777 otrzymuje order św. Stanisława i kasztelanję Czerską, później dekoracyę Orła Białego. Pozyskawszy stanowisko podkomorzego ziemi Narskiej i wpływy pomiędzy drobną szlachtą tameczną, występuje on jako poseł na sejmie w r. 1776 i wybranym zostaje do Rady Nieustającej, do której w r. 1786 wchodzi jako delegat senatu. Zasiada w Radzie w departamencie policyi, a później—interesów cudzoziemskich, i tu przy cechującej go zawsze pracowitości, znajduje obfite źródło do zaznajomienia się ze stanem i środkami Rzplitej. Trzyma się króla, jest sędzią w sprawie Dogrumowej i tu popiera interesa partyi dworskiej, jedynie w tym wypadku słuszne.

Panował wówczas zapał do podniesienia stanu przemysłu, handlu, stanu gospodarki rolnej, jednym słowem prąd pracy organicznej, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj. Był to prąd bardzo powierzchowny: nie utrzymały się ani zakładane dla mody fa-

bryki i banki, ani podniosła się kultura majątków arystokracji. Nie leżało to w duchu owoczesnego społeczeństwa szlacheckiego, arystokracji zwłaszcza, zdobywanie fortuny drogą pracy nad podniesieniem własnego majątku; jeszcze zbyt świeżymi były tradycje bogacenia się drogą nabytków od Rzplitej. Ostrowski był jednym z niewielu ludzi owoczesnych, którzy naprawdę mieli pewną przedsiębiorczość i energię gospodarską. Jego usiłowania gospodarcze i przemysłowe doprowadziły go rzeczywiście do poważnego rezultatu, do stworzenia prawdziwie magnackiej fortuny Ostrowskich; potrafił on ją utrzymać na tym poziomie nawet w ciężkich czasach Księstwa. Już wtedy zaczął on zakładać w swych majątkach te słynne potem kuźnie, które od czasu odkrycia w Zawadzie rudy żelaznej stały się podwaliną fortuny Ostrowskich. Później będziemy mieli sposobność mówienia o jego działalności na polu gospodarstwa rolnego. Tu dodamy, że Ostrowskiego wyróżniały wybitne, tak rzadkie u współczesnych mu, zalety oszczędności i rządności. Gościnny i wystawny w razie potrzeby, zawsze mający pieniądze gotowy na potrzeby Rzplitej, czy gdy jako podskarbi nadworny pożyczal skarbowi znaczniejsze kwoty, czy później, poręczający, jako prezes senatu Księstwa, swym majątkiem prywatnym zobowiązania skarbowe, liczył każdy grosz w swem gospodarstwie prywatnem, opowiadając często swym dzieciom o wrażeniu, jakie nań wywarł przykład Fryderyka Wielkiego, który liczył świece wydawane do pałacu.

Wiedząc o tej rządności Ostrowskiego, Stanisław August powierzył mu doprowadzenie do porządku interesów swej kamery, używającej wówczas w kraju opinii stajni Augiasza. Prezydował więc kasztelan Czerski przez cały szereg lat w kamerze królewskiej, ratując niejednokrotnie kredytem osobistym zaszargane interesa króla, w którego jednak nadaremnie usiłował wpoić jeżeli już nie maksymy rządności Fryderyka, to przynajmniej konieczność jakiego takiego liczenia się z wydatkami.

W dobie poczynającego się Sejmu Wielkiego, Ostrowski, jak to stwierdza korespondencya Kołłątaja, był jednym z tych ludzi w obozie królewskim, do których zwracali się z całym zaufaniem w poszczególnych sprawach przywódcy stronnictwa patryotycznego. Nie był to już człowiek

zawdzięczający wszystko królowi, ale osobistość popularna i znacząca sama przez się.

W początkowej walce o departament wojskowy, o całą Radę Nieustającą — stawał Ostrowski po stronie króla, stopniowo dopiero zbliżył się i zsolidaryzował ze stronnictwem patryotycznym. W 17 maja 1791 r. mianowany podskarbin nadwornym koronnym i wezwany do straży, dzięki wspólnej inicjatywie króla i przywódców sejmowych, oddał on się całkowicie pracy administracyjnej, którą tak zaniedbywano w ostatnich dwóch latach sejmu. Sympatyzował i złączył się odrązu z przeprowadzeniem ustawy majowej, ale dla niego postawienie skarbu na odpowiedniej stopie na razie było ważniejszym od zmian ustawodawczych. Administrator z zamilowania i temperamentu, chciał przede wszystkim postawić swój wydział skarbowy w tym stanie, aby można było pokryć kosztą dłuższej nawet kampanii. Miał Ostrowski pewien optymizm co do rozporządzalnych środków, optymizm, jak dziś wiemy, uzasadniony, gdyż rzeczywiście finanse Rzplitej starczyły na dłuższą od tej, która miała miejsce, kampanii.

Niezdeterminowany charakter walki r. 1792, zmiana frontu dokonana przez króla i chwiejność przywódców sejmowych zaskoczyła Ostrowskiego niespodziewanie. Na słynnem posiedzeniu Straży z d. 23 lipca 1792 r. oświadczył się Ostrowski przeciw przystąpieniu do Targowicy. Gdy król zyskał większość, gdy, co gorsza, nawet opozycyjne weta ministrów patryotycznych nosiły cechę rezygnacji, podskarbi mimo to nie dał za wygraną. On jeden z pomiędzy ministrów nie pojmował, dla czego przystąpienie Stanisława Augusta do Targowicy ma rozstrzygać o wszystkim, nie pojmował dobrowolnej emigracji St. Małachowskiego i Ign. Potockiego. Na drugi dzień po posiedzeniu Straży zwrócił się do Małachowskiego, a następnie do Kaz. Sapiehy, oddając im do rozporządzenia cały swój majątek osobisty, byleby wzięli władzę w swe ręce i prowadzili walkę do ostateczności. Nie było to jednak w możliwości tych ludzi: dla nich partya była rozegraną z chwilą upadku przymierza pruskiego. Akces króla do Targowicy, zgóry zresztą przewidziany dla ludzi, którzy znali Stanisława Augusta, i, pozorne zresztą tylko, powodzenie Targowicy w województwach południowych — były dla

przywódców sejmowych ciosem ostatecznym. Nie miano poprostu zaufania w swe siły, w swą popularność wśród społeczeństwa od czasu przeprowadzenia ustawy majowej, zbyt prędko więc zdecydowano się na abdykację zupełną, której głosowanie było już tylko jednym z dalszych etapów.

Ostrowski był zupełnie odosobnionym w swym planie walki do ostateczności. I Małachowski i Sapięha odpowiedzieli mu, że należy unikać walki bratobójczej i ustąpić pola Targowicy.

Emigracja na razie była bezplanową, udawał się więc Ostrowski na Ukrainę do dóbr swoich Tetyowskich, aby nie być świadkiem gospodarki Targowiczan. Konsekwencye dokonanego przewrotu dotknęły go jednak w dalekim Tetyowie, który niebawem objętym został przez kordon. Był świadkiem rozbrajania regimentu Malczewskiego i zagarnięcia żołnierza, który w roku 1792 bez walki prawie złożył broń w służbę inną. Odwiedził wówczas Ostrowskiego tak rozgłośny w lat dwa potem na całym obszarze Rzplitej Suworow, który z cechującą go oryginalnością wyróżniał osobistości z obozu dotkniętego klęską, odmawiając swego szacunku ich przeciwnikom. Pogrom dotknął wreszcie i osobiście dziedzica Tetyowskiego: odmowa złożenia homagium ściągnęła nań sekwestr chwilowy dóbr i oddanie pod dozór, od którego Ostrowski nie chciał się uwalniać żadnym mogącym mu uwłaczać czynem. Była to najgorsza chwila w jego życiu: dotknęła go śmierć ukochanej żony, pogrom r. 1794, w którego przebiegu nie mógł uczestniczyć, dokonane wreszcie zmiany na polu stosunków wyznaniowych, które głęboko dotknęły jego uczucie religijne.

Po złożeniu homagium, gdy już dalszy opór nie prowadził do niczego, oddał się Ostrowski na Ukrainie całą duszą pracy organicznej. Tu zwrócić nam wypada uwagę na jego stosunek do włościan. Nie było już tej ożywiającej atmosfery Sejmu Wielkiego, która wszystkich ściągnęła do pracy nad polepszeniem bytu włościan, zapanaowała zmiana warunków, regulująca stosunek poddańczy w sposób nierównie ostrzejszy niż za czasów Rzplitej; żyłka przedsiębiorstw handlowych, wzbudzona dzięki wysyłaniu produktów handlowych do Odessy i tworzeniu spółek rolniczych, nie sprzyjała również zamiarom zmian w stosunkach włościańskich. Ostrowski zachował jednak

całe ciepło dawnego okresu. Był teraz jednym z najruchliwszych gospodarzy: w swych wsiach budował liczne młyny i browary, zaprowadzał kulturę drzew morwowych i pszczelnictwo, budował w Odesie magazyny i wysyłał tam zboże, budulec i potaż, ale miał ciągle na oku sprawę złagodzenia warunków bytu ludności włościańskiej: utrzymywał swym kosztem lekarzy i apteki po wsiach, uwalniał zasłużonych włościan od poddaństwa, osiedlając ich w t. z. futorach, zachęcał ich do ogrodnictwa i pszczelnictwa. Jego zbiory ustaw gospodarczych, t. z. instruktarze—z tej epoki miały być wzorem postępowego, a zarazem nawiąski humanitarnego gospodarstwa.

Nazwisko Ostrowskiego znalazło się również na listach hojnych ofiarodawców na rzecz nowopowstającego liceum krzemienieckiego, całem sercem popierał on tak owocne w przyszłości usiłowania Czackiego i Kołłątaja. Opuścił w końcu Ukrainę, ściągnęła go bowiem zawsze Warszawa. Uważał, że tam stanowisko jest najważniejszym, a zarazem pole najbardziej możliwem do działania, ściągnęła go poza tem do Warszawy konieczność kształcenia dzieci. Król pruski Fryderyk Wilhelm II, w uznaniu zasług Ostrowskiego na polu podniesienia rolnictwa i przemysłu w rawskim, odwiedził Ostrowskiego w r. 1798 w jego majątku, Ujeździe, i wkrótce potem nadał mu tytuł hrabiowski.

Warszawa pruska rzeczywiście w latach 1804—1805 zaczynała już skupiać w sobie wszystkie ruchliwsze żywioły kraju. Pod Blachą koncentrowała się złota młodzież pod przywództwem księcia Józefa, ale w domach Małachowskiego, Sołtyka, St. Potockiego skupiać się poczęli dawni uczestnicy Sejmu Wielkiego. Od czasu powrotu z emigracji byłego sekretarza radykalnej Delegacji — Kalasantego Szaniawskiego, zbierali się i porozumiewali dawni zwolennicy systemu Kołłątajowskiego.

W życiu stolicy brała jeszcze górę pustota i lekkomyślność towarzyska, najgłośniejszymi były wypadki z życia pod Blachą, awantury złotej młodzieży. Ale to były pierwiastki nienaturalnie wydobywające się nazewnątrz. W stolicy były pierwiastki lepsze, tkwiły one nawet w hulakach z pod Blachy. Już w dobie pruskiej objawiały się one w organizacji Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w organizacjach tajnych młodzieży, w żywym





Według litografii z oryginału Bacciarellego,—własność hr. Juliusza Ostrowskiego.

*J. Ostrowski.*

zestknieciu się z legionami. Pod Warszawą bawiącą się pod Blachą kryła się Warszawa, oczekująca gorączkowo cesarza Aleksandra I w r. 1805, Warszawa, witająca entuzjastycznie wchodzących w r. 1807 Francuzów, przedtem jeszcze przygotowująca się do wyrzucenia garnizonu pruskiego, a wreszcie dumna i podniosła Warszawa, prawdziwa stolica kraju w dobie okupacji austriackiej w r. 1809. Zetknięcie się z epopeją Napoleońską miało tu przeobrazić wszystko: złotą młodzież miało rzucić do szeregów i uczynić z niej niejednokrotnie bohaterów, wesołe panie warszawskie z czasów pruskich uczynić temi poważnemi kobietami, które, przebrane w skromne suknie, przygotowując szarpie i bandaże — ze spokojem oczekiwały walki r. 1812. Za czasów pruskich wytworzyła się tu niezorganizowana, a jednak ograniczona i mająca posłuch władza moralna pewnych domów. Te domy zorganizowały w roku 1805 miasto na przyjęcie cesarza Aleksandra, stąd wyszła pierwsza organizacja tymczasowa za wkroczeniem Francuzów. Jednym z takich domów był dom Ostrowskiego. Siedemdziesięcioletni, a jednak żywego umysłu i temperamentu starzec, umiarkowany i rozważny w swych zapatrywaniach politycznych, przechował jednak całą inteligencję męża stanu ze schyłku Rzplitej. Osobiście widział nadzieję przyszłości w pracy organicznej; był w tym kierunku tem szczerzym, że w czasach, gdy inni trwonili, on robił majątek i miał go zawsze w pogotowiu na potrzeby kraju. Nie był Ostrowski doktrynerem swego kierunku, miał zawsze oczy otwarte i na usiłowania, które wybiegały po za szranki zakreślonego przezeń programu. Rozumiał i oceniał znaczenie legionów, zasilał podobno ich kasę, on, który z drugiej strony gościł w swym majątku króla pruskiego. Ten brak doktryneryzmu, zrozumienie szersze potrzeb kraju i dróg ratunku — czyniły go jednym z naświatlejszych przywódców sfer wyższych, jakich społeczeństwo nasze w analogicznych wypadkach wybierać zwykło. W tej obszerności myśli politycznej epigonów Sejmu Wielkiego tkwiła żywa, pouczająca wskazówka dla dalszej przyszłości porozbiorowej.

Gdy Warszawa ujrzała nareszcie w swych murach Francuzów, Ostrowski, wezwany przez Murata do objęcia przewodnictwa w rządzie tymczasowym, zajął stanowisko, którego tu dość sil-

nie podkreślić nie możemy, tyle charakteryzuje ono rozsądek polityczny Ostrowskiego, i zawiera pouczającą wskazówkę dziejowej. Dziś nazywa się często mianem zasługi społecznej owoczesną stanowczą i bez zastrzeżeń odmowę Kościuszki. Tymczasem sąd podobny jest w rażącej sprzeczności z tem, co o tym kroku myśleli współcześni, których zdanie ma dla historyka znaczenie pierwszorzędne. Streścił to później wymownie w swym pięknym dziełku Prądyński. Była chwila, z której w ten czy ów sposób należało korzystać, bierność bowiem równała się abdykacyi. Należało iść czy do obozu Napoleona, czy do Taurogen, ale siedzieć spokojnie — znaczyło podpisywać sobie testament.

O ileż naturalniejszym w tym wypadku było wyjście Ostrowskiego, tem tutaj ciekawsze, że nigdy potem nie zaliczano go do ślepych zwolenników Francji. Uważał Ostrowski, że tacy jak on ludzie stanowią ostatni kapitał rezerwy społeczeństwa, którego się nie wprowadza w grę przed ostatecznem rozwiązaniem wypadków, sądził jednak zarazem, że należy jąć się gorąco propozycji Napoleona. Dlatego sam nie przyjął propozycji Murata, ale polecił synowi swemu, Antoniemu wstąpić do Izby Administracyjnej.

Przy organizacji Księstwa, w pierwszym jego okresie Ostrowskiego nie użyto wcale. Wątpimy, aby na to złożyły się warunki tego rodzaju, które spowodowały np. odsunięcie Kołłątaja i Ignacego Potockiego, nie miał bowiem za sobą podskarbi tak zdecydowanej przeszłości politycznej. Reprezentował on w Księstwie stosunek do pewnego stopnia konserwatywny wobec dokonywających się zmian politycznych i społecznych. Związany z przeszłością Sejmu Wielkiego, z pewną niechęcią patrzył na nową organizację administracji, prefektów i podprefektów, wolałby on mieć komisye cywilno-wojskowe, złożone z wybieralnych i niepłatnych urzędników; w kodeksie raził go ustęp o ślubach cywilnych i w ogóle zmiany, podobnie jak St. Małachowskiego, — francuzczyzna. Stąd dom Ostrowskiego stał na biegunie przeciwnym domu Feliksa Łubieńskiego, z gospodarzem którego łączyła go jednak ścisła zażyłość.

Mimo to wszystko nie zapoznawał Ostrowski wartości nowego systemu, dowiódł tego swem postępowaniem późniejszym, w wypadkach r. 1813

zwłaszcza. Narazie i on zatrzymał się na uboczu i jego zatrzymanie, bo odpowiednia dlań rola nastąpiła dopiero w okresie zupełnego ustalenia stosunków, jakie znamionowało otwarcie pierwszego sejmiku Księstwa w r. 1809. Powierzono wtedy Ostrowskiemu przewodnictwo tej nowej, tak różnej nie tylko swym składem, ale i powierzchownością—izby.

Było rzeczą wagi pierwszorzędnej, aby sejm doszedł porządku do skutku, bo w ten sposób dotychczasowy stan rzeczy w Księstwie zyskiwał sankcję moralną kraju.

Na żywiołach burzliwych nie zbywało, zawiązek ich stanowili wszyscy, których pominięto przy rozdawnictwie posad oraz zwolennicy staropolszczyzny, nie chcący lub nie umiejący ocenić wartości dokonanych zmian, a przede wszystkim krytykujący mały zakres władzy pozostawionej sejmowi. Te pierwiastki opozycyjne obok uznania ogólnego dla systemu wykazały na pierwszym sejmie pewną niepowściągliwość, zagrażając bodaj nawet zerwaniem sejmiku z powodu drobiazgów.

Szczęśliwym ominięciem trudności, uśmierzaniem zręcznym opozycji zasłużył sobie marszałek za uznanie kraju i rządzących.

Ledwie się sejm rozszedł, nad Warszawą zawiązała burza nowej walki. Po Raszynie nadeszły dni okupacji austriackiej. Ostrowski został znowu jednym z moralnych reprezentantów stolicy, pośrednikiem między nią a lękającymi się wszystkich austriakami.

Po śmierci Gutakowskiego mianowany prezesem senatu, pozostał Ostrowski do czasu istnienia Księstwa na tem stanowisku. W Warszawie został nawet wtedy, gdy opuściły ją w lutym roku 1813 wszystkie władze i gdy trzeba była wysłać deputację do gen. Miloradowicza. Synów i wnuka odesłał do obozów francuskich. W początkowych chwilach okupacji Warszawy, dopóki nie zorganizowano Rady Najwyższej Tymczasowej Księstwa Warszawskiego, Ostrowski wobec władz wojskowych odgrywał rolę naczelnika administracji krajowej, do niego zwracali się wszyscy pozostali urzędnicy Księstwa po rozkazy. Potem miał znowu w swym ręku ster moralny w tej cichej, ale pełnej życia utajonej stolicy, tak niespodzianie iluminowanej w dniu imienin Fryderyka Augusta.

Niespodziewane wypadki kwietniowe r. 1814,

stanowisko cesarza Aleksandra wobec wojsk polskich i budzące się powszechnie nadzieje powołały Ostrowskiego na schyłku życia do odegrania większej roli politycznej. Jako prezes senatu objął faktyczne kierownictwo opinii krajowej i tu położył raz jeszcze pewne zasługi, analogiczne do tych, jakie położył w r. 1807. Jego wpływom zawdzięczano tę rezerwę delegacji wrzesniowej Białskiej z r. 1814 wbrew opinii ludzi z Rady Tymczasowej, domagającej się bezwzględności, a niepolitycznego w tym wypadku zaufania. Było to zasługą tem większą, iż prąd przeciwny miał przewagę w opinii i nawet w sferach najwyższych.

Jeszcze przedtem w początkach lipca r. 1814 objął Ostrowski przewodnictwo ustawionego Komitetu Organizacyjnego Cywilnego. Nie znamy dokładnie jego roli osobistej w tej drażliwej i obojętnej robocie. To pewna, że sędziwy i poważny starzec, pociągnięty sympatycznymi dla niego hasłami narodowości i oszczędności, przykładem księcia Adama Czartoryskiego, okazał tutaj może mniej ostrożności politycznej i zrozumienia sytuacji, niż kiedykolwiek w swym życiu. Dał on wówczas upust swej niechęci do kodeksu Napoleońskiego i administracji Księstwa, przemawiając za komisjami wojewódzkimi i statutem litewskim, tak mało odpowiadającym naówczas potrzebom kraju. O rozstrzygnięciu sprawy polskiej na kongresie jego pierwszego uwiadomił monarcha odrębnym swym listem z d. 30-go kwietnia 1815 r.

Po rozwiązaniu Komitetu Organizacyjnego Cywilnego, Ostrowski objął z kolei przewodnictwo w komitecie konstytucyjnym, któremu d. 25 maja 1815 r. przesłano to słynne pismo, tyle mogące budzić nadziei w umyśle dawnego zwolennika ustawy majowej. Nabierał Ostrowski coraz więcej zaufania do nowo powstającego stanu rzeczy, jak tyłu jemu współczesnych, znużonych wypadkami rozbiorów i ciągłą walką za czasów Księstwa.

W epoce ustalenia stosunków w Królestwie kongresowem, zaszczycony przyjaźnią monarchy, który dom jego uważał za przyjacielski i przepędzał w nim całe wieczory na poufnej i szczerzej pogawędce o sprawach publicznych, którą tak zawsze umiał pociągać ku sobie ludzi, Ostrowski porzucił ostatnie swe obawy co do przyszłości.

Gdy 5 lutego 1817 r. sędziwy 82-letni sta-

rzec schodził do mogiły — widział w stosunkach tę harmonię początkową, o której wspominają wszyscy bez wyjątku historycy Królestwa. Jak gdyby los chciał mu oszczędzić dalszych obaw i trosk po tak skołatanem życiu, nie pokazał mu ani jednego z tych dyssonansów, które z czasem miały doprowadzić do katastrofy listopadowej i już wówczas widocznymi były dla znajdującego się również na schyłku życia Dąbrowskiego.

Unosił za sobą Ostrowski żal powszechny. Krajowi pozostawił przykład swego życia, synów Antoniego, Władysława i Tadeusza oraz wnuka Ledóchowskiego, późniejszego obrońcę Modlina.

Rzeczpospolita na schyłku XVIII w. miała wielu ludzi, którymi mogłoby się było poszczycić każde inne społeczeństwo. Stąd w cieniu zwykle zostawała postać Ostrowskiego. A jednak ten człowiek, który bez skazy przeszedł przez czasy rozbiorów, zasługiwał na wyróżnienie już choćby z tej racji, że był on jednym z najbardziej harmonicznych łączników dawnej polskiej myśli stanu z zagadnieniami życia porozbiorowego.

*Wacław Tokarz.*



# Aloizy Żółkowski.

\* 1814 † 1889.



## I.

**S**miech i w śmiechu powaga artyzmu — z tych dwóch rysów możnaby prawie złożyć fizyognomię talentu Żółkowskiego; tak wyglądało jego oblicze fizyczne, takie wrażenie robiły wszystkie jego kreacje; był w tej twarzy estetyczny pierwiastek, który spływał na twory artysty, było piękno, które duszę ich stanowiło.

Uprzytomnijmy sobie tę postać której kształty fizyczne w proch się już rozsypały, zanim duchowe rozpląną się we mgłach legendy, przekazującej następny pokoleniom coraz niklejsze kontury.

Oto stoi przed nami taki, jakim go niegdyś ołówek Simmlera wśród najświetniejszej podówczas plejady znakomitości sceny warszawskiej

przedstawił; najpodobniejszy to może ze wszystkich wizerunków Żółkowskiego, bo wizerunek razem mężczyzny i artysty.

Wzrostu więcej niż średniego, prawie wysoki, budowy kształtnej, sztywnej, pozwalającej nawet w spoczynku domyślać się ruchów szlachetnych, spokojnych i powściągliwych, Żółkowski spogląda wzrokiem, z którego nikt nie odgadłby komika, gdyby nie lekki, prawie niedostrzegalny uśmiech, gnieźdzący się szczególnie w kątach ust, pięknego, wykwinanego rysunku. Uśmiech ten jednak wydawał się raczej sceptycznym niż wesołym, tak dalece twarz cała o szerokim czole, okolona włosiem ciemno-blond, o oczach wielkich, o nosie kształtnym uderzała jakimś seryo nastrojem.

Nie był przecież Żółkowski ani hipochon-



Według fotografii K. Beyera z r. 1862.

*Stanisław Albin*

drykiem, ani melancholikiem, jak chce tradycja komizmu — nie był nawet skupionym lub zamyślonym; jedna chwila, jedno słowo, jeden rzut oka, chwytający w lot śmieszność, wystarczał



do wywołania w tem obliczu zmian, których się w tych rysach nikt domyślać nie mógł. Światło dziwne rozlewało się po twarzy Żółkowskiego, oczy zapalały się iskrzącym blaskiem; wargi, lica przechodziły takie stopnie i odcienia komicznej ekspresyi, taką w swej niespodzianej ruchliwości wzbierały falą humoru, że niktby nie zdołał określić, który muskuł dał początek, skąd śmiech najpierwej wypłynął, jakimi drogami błyskawica jego przemknęła się od oczów do ust, przez policzki lekko zaróżowione i drgające wesołością; wreszcie, gdzie się podział i znikł z tej fizyognomii, powracającej w równie krótkim mgnieniu do zupełnego spokoju, który tem doraźniejsze wywierał wrażenie powagi.

I ten zadziwiający ruch kontrastów nie miał nic aktorskiego, nic, coby przypominało fortele komików, wyzyskujących wprawnie sprzeczności między przypadkowo od natury wziętą powagą oblicza a dowolnie, jak u kauczukowej lalki, wywoływanymi wykrzywieniami komizmu. Wyraz twarzy Żółkowskiego odzwierciedlał tylko istotę jego artyzmu, traktowanego bardzo seryo, jakby z pewnym idealnym nastrojem.

## II.

Tu już wypadnie mówić o fizygnomii talentu Żółkowskiego.

Dziwnie to brzmieć może ów idealizm w komiczności—a jednak taki tylko komizm jest jedną z form piękna w sztuce, taki tylko estetyczne zostawia po sobie wrażenie.

To, co tworzył Żółkowski, było zawsze komicznem, zawsze śmiesznem, zawsze prawdziwem,—nie było nigdy brzydkiem. Wielki artysta rzadko, w ostateczności tylko uciekał się do łatwego realizmu, opartego na grubej plastyczności zewnętrznej charakterystyki; lecz istotną, najważniejszą charakterystykę przedstawianej postaci składał z rysów temperamentowych, psychologicznych, duchowych, odsuwając peruki, mastyksy i malowidła na drugi plan. Pamiętamy go wszyscy bez różu, bez bielidla przy skąpem oświetleniu koncertowych poranków; na estradzie był równie wielkim artystą, jak wśród wszystkich przyborów scenicznych, oblaných jarzącą gazą światłością. Złudzenie działało zawsze na widza, tylko złudzenie natury artystycznej, wyższej, aniżeli chwilowa iluzja, wywołana przyprawnym pod-

bródkiem lub nadsztukowanym, czy też na nitce podniesionym nosem.

Młody, poczynający aktor pytał go niegdyś, jak się ma ucharakteryzować?

— Graj, nie charakteryzuj się,—odpowiedział, wzruszając ramionami, Żółkowski.

W tej odpowiedzi mieści się cała estetyka.

Estetyka! Byłby wielce Żółkowskiego zadziwił ten, ktoby go zapytał, jaką ma estetykę, lub przekonywał go, że taką czy inną w grze stosuje. Robił po prostu to, co innym z całą szczerością, z całą, rzec można, naiwnością radził—grał; grając zaś dobierał środków do oddania prawdy, żywcem z natury czerpanych, a raz je zdobywszy, stawał względem tej natury na stanowisku artysty i nigdy środków nie brał za cel. Był słowem Żółkowski realistą w szczegółach, ale ze szczegółów realnych stwarzał całość idealną.

Stosunku tego do dzieł swej twórczości nie domyślał się wielki artysta zgoła; czuł tylko, że ten akt twórczy, w którym wszystko wydobywa się zewnątrz siebie, do którego daje się własną duszę za materiał, jest aktem poważnym, choćby się oczom ludzkim w objawach komizmu przedstawiał. To poczucie u Żółkowskiego, stanowiące, mimo swej bezwiedności, jego siłę, udzielało się i publiczności. W zetknięciu z Żółkowskim, widział to przeświadczenie, że się wobec najwyższej znajduje sztuki; nie przyszło mu też wtedy do głowy klasyfikować wrażeń swoich na szlachetniejsze, tragiczne, i na mniej wzniosłe komiczne; atmosfera doskonałego artyzmu wyrównywała pod względem godności wszystkie,—i nie znalazł się nikt, ktoby śmiechu wywołanego przez genialnego komika pożałował, ktoby mu, w porównaniu z uronioną w teatrze kiedyindziej łzą, pośledniejsze wyznaczał miejsce; geniusz Żółkowskiego nie pozwolił na strącenie śmiechu z arystokratycznych wyżyn, na których Grecy bogom nawet swoim śmiać się pozwalali.

## III.

Był więc ścisły związek między fizycznym wizerunkiem a artystyczną fizygnomią Żółkowskiego; a jakże oryginalnie przedstawiał się ów związek z postaciami, które Żółkowski wcielał w życie!

Powtarzał się tu stale fakt prawie nadzwyczajny; każda z tych postaci żyła, zostawała w pa-

mięci widza, utkwiała w niej na zawsze ze wszystkimi swymi odrębnościami psychologicznymi, z całym bogactwem mistrzowskiej charakterystyki,— a z pośród jej rysów wyzierał zawsze Żółkowski, osobisty, indywidualny, jak gdyby przypominający publiczności.

— To ja, pamiętajcie o tem.

Zdawało się, że stosunek aktora do autora odwraca się na nice, że gdy zwykle pisarz narzuca swoją charakterystykę artyście, tu artysta raczył pożyczyć swej fizyognomii jego bohaterowi, w silnem przekonaniu, że mu z tem nierównie więcej będzie do twarzy.

I nie mylił się.

Tylko stąd wynikło, że Żółkowski nie posiadał galerii typów, którą możnaby za oknem sklepowej wystawy pokazać w efektownie przez fotografa upozowanych odmianach. Typy jego,— to były portrety Żółkowskiego urozmaicone różną, jemu tylko właściwą ekspresją, nie znaną nawet przez komedyopisarza.

Bo w postaciach Żółkowskiego więcej częstokroć było interesującym, genialnem to, czego na własną rękę szukał, co sam znalazł, aniżeli to, co mu autor dostarczył. I tu tkwi rozwiązanie zagadki, jakim sposobem artysta tak indywidualny mógł być twórczym w sztuce, tak z natury swej przedmiotowej. Kiedy o zwykłym aktorze mówi się: «w każdej roli widzę tego pana, którego spotykam na ulicy», klasyfikuje go się odrazu w rzędzie tych co są sobą, nie mogąc być kim innym, wszystkie bowiem ich usiłowania w słowach i gestykulacji nie pomogą im do wydostania się z własnej skóry. Ale kiedy w bohaterach komicznych, przedstawianych przez Żółkowskiego prawie bez pomocy materialnej plastyki, znajdowało się zawsze Żółkowskiego—to dla tego, że się patrzyło, jak współtworzył z autorem, jak talentem swoim wypełniał świat, oddzielający postać, zrodzoną pod piórem, od typu wcielonego na scenie; jak grą dopowiadał wszystko to, czego pisarz, skrzępowany wymaganiami sceny, wyrazić ani wskazać nie mógł; jak z człowieka, pokazanego tylko w pewnych chwilach stanowiących, kazał się domyślać człowieka całego, w pełni i w różnorodności jego objawów życiowych.

Ten proces *dotwarzania* był genialną właściwością gry Żółkowskiego, który troszczył się o swego bohatera i pilnował wtedy nawet, kiedy

go już autor opuścił. Artysta zdawał się przypatrywać mu we wszystkich jego życia okolicznościach, pytać się i badać: co też on mógł lub co powinien był robić wtedy a wtedy, jakie były jego mniej widoczne nawyki i nałogi, oprócz tych, które podobało się autorowi przed publicznością odsłonić. To też postać, którą Żółkowski brał w ten sposób w opiekę, żyła, nie tylko na scenie ale i po za sceną; żyła, gdy ją widzieliśmy i gdy nam z oczów zeszała; żyła życiem tak bujnym, że z niego niejednokrotnie i autor korzystał — bo najczęściej niewiedomo było, co w tym nadmiarze do pisarza, co do autora należy.

#### IV.

Czem się to działo, że godząc tę wielką sztukę przedmiotowego wyodrębniania przedstawianych typów, z tak silną zawsze na wierzch wypływającą indywidualnością swoją, która ciągle prawie bezpośrednio obcowiała z widzami, artysta nie wyszedł nigdy z charakteru?

Ramy niniejszego szkicu nie pozwalają na zagłębienie się w tajemnicę tej twórczej charakterystyki, poprzestającej na rysach czysto duchowych, akcentowanych jedynie dykcją, wyrazem twarzy, mimiką. Gdzież zresztą kontrola dla dzisiejszego czytelnika, gdzie możność przekonania, że komentarz nie jest dowolnym, fantastycznym tworem kultu dla mistrza? Nigdy może wymowniej, jak po śmierci tak wielkiego artysty, nie wychodzi na jaw cała krótkotrwałość, cała znikomość jego spuścizny!

Poprzestaśmy więc na pobieżnem przypomnieniu tego bogactwa szczegółów, rozróżniających takie odmiany typu, na przykład samoluba, jak naiwny a wytworny w swem samolubstwie margrabia de la Seiglière; jak pokrewny mu w sobkostwie, a jednak odróżniony rysem melancholii późniejszy arystokrata, margrabia de Rochepéans z «Safandulów»; jak dwa wcielenia egoizmu we francuskim mieszczeniu, uśmiechniętym, zadowolonym z czerwonego parasola Ludwika Filipa w «Samolubach», lub zgorzkniałym, cynicznym episyerze z czasów cesarstwa w «Najserdeczniejszych». Jaka potężna intuicja w tej charakterystyce, jaka pełna przeczuć oryginalność inwencji u artysty, który nigdy za rogatki Warszawy nie wyruszył! Piszący te słowa widział w Paryżu Samsona w «Helenie de la Seiglière»

a zobaczywszy go nie mógł zasnąć, dręczony myślą, dla czego Żółkowski nie zna na tyle języka, żeby mógł pokazać Francuzom, jak się gra francuskiego arystokratę. Słynny Levasseur znajdował się na przedstawieniu «Zachodu Słońca», kiedy Żółkowski grał barona d'Argentières.

— *C'est un génie*—wołał oklaskując zapamiętane znakomity artysta.

Trzebaż lepszego świadectwa?

Ale Żółkowski nie myślał ani o języku francuskim, ani o Paryżu. Należał jeszcze do pokolenia artystów, rozkochanego w deskach, z których pierwsze usłyszał oklaski. Więc nawet na wieś nie jeździł na studia do swoich szlacheckich portretów; tworzył wszystkie w swoim gabinecie na rogu Bielańskiej i Senatorskiej.

Rossi widział jeden z tych portretów.

— *C'est surprenant*—rzekł włoski tragic, który z samej gry Żółkowskiego odgadł polskiego szlachcica, jak odgadywali w innych francuskiego mieszcza ci wszyscy, co nigdy we Francji nie byli.

— To zadziwiające! powtórzyć można z dumą za cudzoziemcem.

Bo czemże zewnętrznie różnił się «Marcowy kawaler» od Szumbalińskiego, mąż «Przezornej Mamy» od Pana Prospera, Bolbecki od Kokoszkiewicza? Jeden miał wąsy trochę krótsze, drugi dłuższe; jednemu rosły drobne bokobrody, drugi wcale nie miał faworytów; jeden był ubrany w surdut, drugi w kitel lub w szlafrok — zresztą wszyscy uśmiechali się tą samą twarzą, której widok wprawiał publiczność w błogą, rozkoszną wesołość.

A jednak, z tem obliczem, pogardzającym środeczkami zewnętrznej charakterystyki, Żółkowski zmuszał widza do wierzenia w obżarstwo Bolbeckiego, nie zaniebując jednocześnie odgraniczyć je od łakomstwa Smakosza; z tą samą twarzą pokazał, jak wygląda szlachcic pod pantoflem z prawej i z lewej nogi; z tą samą maską, której widz z utęsknieniem na scenie oczekiwał, uplastyczniał coraz inne wady i zdrożności, stwarzał coraz inne sfery uczuć, sytuacje, stosunki, całe warstwy społeczne i do tego nie używał niczego więcej, prócz słowa i gestu.

Któż się zdoła przybliżyć do niego, choćby wezwał na pomoc wszystkie arkana sztuki perukarskiej i krawieckiej? Kto zgłębił tajemnice tego słowa i gestu dla którego nie istniały granice mię-

dzy krajami i który sięgał też po za granice czasu wskrzeszając równie genialnie z przeszłości Ludwika XIII lub Kromwela, jak wlewał życie w te-  
raźniejszych bohaterów polskiego zaścianka?

## V.

Dykcyę, mimikę, podstawy gry aktorskiej pielegnował Żółkowski z niepraktykowaną dzisiaj czcią, z powagą, której tradycja zaginęła. Prawda, że natura dała mu do tego dwa nieocenione skarby: głos, spojrzenie; ale tylu aktorów, mających przecie oczy, nie umie patrzeć, a iluż obdarzonych głosem mówić nie potrafi?

Głos Żółkowskiego o pięknym barytonowym brzmieniu, dźwięczności więcej niż sile działanie swoje na publiczność zawdzięczał. Spływało z tego organu ciepło jakieś, ogarniające w jednej chwili całą salę od pierwszego odezwania się artysty. Żadne literackie, najbardziej muzyką przeniknione porównania nie mogą dać pojęcia, do jakich delikatnych, subtelnych modulacji był zdolny ten głos giętki, elastyczny. Rozmaitość tych odcieni tem większe budziła zdumienie, że zamknąć się musiała w szczupłych stosunkowo granicach, poza które komizm zwykle nie przechodzi. Z wielkiej skali uczuć ludzkich ubywają dla komika nuty, trafiające do serca to patosem tragicznym, to liryczną tkliwością, to znów dramatycznym uniesieniem; śmiech ma jedną zaledwie gammę, w której trzeba odznaczyć nie tylko pół ale i ćwierćtony. Mistrzem niezrównanym był w tem Żółkowski. Intonacja jego działała tak nieomylnie, że tego co mówił niepodobna było wyobrazić sobie w innym nastroju; wzmocnienia i przyciszenia, spadki i podwyższenia miały swoją melodyę, tworzyły rodzaj *scherza* z motywami o nieprzebranej rozmaitości. Dopiero pod tę muzykę podkładał Żółkowski słowa; każde z nich wybiegało pełne, okrągłe, sobie tylko właściwym oskrzydłone dźwiękiem, odpowiednim wzmocnione lub złagodzone akcentem, ciesząc ucho czystością niepokalanej polszczyzny. Wysnuwała się z tego dykcya, której równą tylko u Królikowskiego spotkać było można. Wyrazy uderzały jak rytmiczny puls u zdrowego człowieka; frazesy w zwrotach swoich i przegubach robiły wrażenie krążenia krwi po żywym organizmie, w którym indywidualność rysowała się ostatecznie pod działaniem gestykulacji.

Do mimiki wielką Żółkowski przywiązywał wagę. W mimice, według jego zdania, tkwi polowa sztuki teatralnej. «Gest to podstawa słowa», — zwykł był mawiać, jak zaś stosował tę zasadę — wiemy; pamiętamy wszyscy niema scenę, kończącą «Geldhaba», albo ów słynny w «Mężu na wsi» epizod z kaszlem, kiedy zawiedziony obłudnik, nie mogąc wyksztusić słów oburzenia, siny z bezsilnej złości, mimicznie z cudowną plastyką wypowiadał wszystkie swoje gniewy.

Z takichto czynników rosła na scenie figura, przybierając coraz wyraźniejszy charakter. Następowaly chwile decydujące, charakter rysował się i stawał wreszcie przed widzami cały, z jednej sztuki, a jednolitość jego, okrągłość, skończoność nosiła na sobie cechę takiej naturalnej konsekwencji, że mało kto zdawał sobie sprawę z bogactwa szczegółów, które Żółkowski wydobywał z tego zjawiska plastykę, kierując studia swoje od całości ku szczegółom i poczynając w tem sobie jak każdy twórca.

## VI.

A teraz, jaką kolejną udoskonaleń wzmagały się środki techniczne Żółkowskiego; po jakich szczeblach wznosiła się jego indywidualność?

Oto co odpowiedział Żółkowski na prośbę piszącego te słowa o dane co do całości swego artystycznego zawodu.

«Kochany panie Władysławie!

«Życzyleś, abym opisał Ci moje *curriculum vitae*; daruj, że będąc jeszcze słabym i mając chorą żonę, tylko pobieżnie opiszę.

«Urodziłem się 4 Grudnia 1814 r.; w 1822 r. straciłem mego kochanego ojca; opiekunami zostali Ludwik Osiński i Dmuszewski. Matka dalej zajęła się moim kształceniem: byli nauczyciele — osobny do fortepianu. Do muzyki przykładalem się pilnie; nie spodziewalem się wówczas, że ona właśnie dopomoże mi bardzo. Oddany do szkół wojewódzkich księży Pijarów, zaczawszy od pierwszej klasy, skończyłem sześć w r. 1830. W czwartej tylko klasie byłem dwa lata z przyczyny choroby artrytycznej, która się objawiała. Mój ojciec cierpiał na nią, matka też po kilka miesięcy; odziedziczyłem ją, niestety. W r. 1831 matka przerażona pogłoskami, że niejedynaków brać będą do wojska, udała się do opiekunów naszych: Osińskiego i Dmuszewskiego, prosząc o ratunek.

✧ Poradzono, ponieważ jestem muzykalnym, zahaczyć mnie tymczasem w chórach (teatr wówczas uwalniał od wojska), a jak się uspokoi wszystko, będę mógł uczęszczać do uniwersytetu, jak to było zamierzonym, po skończeniu szkół. Ale czas uchodził, a o uniwersytecie ani słycho. Śpiewałem tedy w chórach; jako statysta wchodziłem w różnych dramatach i komedjach, za co pobierałem zł. 1 od wchodzenia. Później dyrektor Dmuszewski oznajmił mi, że jako opiekun powyższa mi do zł. 2; radość moja była wielka, — był to pierwszy mój zarobek. W Lipcu 1833 r. dano mi 90 złotych, bo już pogłoska chodziła, że wystąpię. Zdanowicz, grający Anglika w operze «Fra-Diavolo» zachorował, a śpiewak Polkowski, wraz z dyrektorem opery, Kurpińskim, znając moje zdolności muzykalne, zaproponował wyuczenie się tej roli. Porwałem partycję, przepisałem sam rolę, wyuczyłem się i... wystąpiłem. Drugą rolę grałem w «Dwóch Sieciechach», trzecią w «Ona go nienawidzi» (w teatrze Rozmaitości); czwarta była rola Dandola w operze «Zampa», która mi wielki rozgłos zrobiła. Oper dużych odśpiewałem 20. Pamiętasz «Napój miłosny» z Viardot-Garcia i ów duet z Ciaffem, który ukradkiem wyuczył się po polsku: «jeden talar, więcej niema». Oklaski dla niego były ogromne. Przez ich trwanie zorientowałem się i w recitatiwie odśpiewałem: «kiedy prosisz po polsku, darmo ci dam». Z dramatów grałem: «Wybawcę», «Zazdrość, czyli tajemnica żony», «Piętno hańby», «Noc i poranek», «Mulat», «Cezar de Bazan», «Życie Szulera». Największe pochwały zjednały mi «Muskietery» (Kromwel) i «Marion Delorme» (Ludwik XIII). Co do komedyi, to już od ojca Twego słyszałeś pewnie, od ojca, który był przyjacielem moim. Nie wyjeżdżałem nigdzie, choć mnie wzywano, proszono; siedziałem i pracowałem w Warszawie lat 50. To są grzechy mojego żywota».

Żółkowski Aloizy.

## VII.

Gdyby innych nie było dowodów na zupełną w Żółkowskim bezwiedność rozwoju, — ten list aż nadto by wystarczył. Żółkowski umiał w nim tylko napisać, co i kiedy grał; jak zaś i dla czego tak a nie inaczej grał, w której dobie swego zawodu i w jakim kierunku czuł w sobie wzmagaający się wzrost twórczości — to już na zawsze po-



zostanie tajemnicą. Pismo genialnego artysty zostawia po sobie dwa wrażenia: uniwersalności i zupełnej od samego początku dojrzałości talentu, który zdawał się nie przebywać żadnego stopniowania, co było zaiste dziwniejsze od uniwersalności, tkwiącej podówczas w naturze repertuaru *par excellence* aktorskiego.

Rozpocząwszy od opery, z potrzeby raczej niż ze skłonności, wyrwa okrzyk uwielbienia z ust Viardot-Garcii, która, śpiewając z nim razem w «Cyrliku Sewilskim» wręcz oświadczyła, że w ciągu całej swojej kariery *nigdzie w Europie* takiego Don Basilia nie spotkała; kończy zaś takim arcydziełem, jak scena w «Hrabinie» Moniuszki.

Dramat zdawał się nie być dla niego stworzonym, a przecież kiedy mi ongi zapowiedział «zobaczysz, jak będę grał w *Życiu szulera*... wchodziłem tam niegdyś za złotówkę», a ja wielkie na te słowa oczy zrobiłem, rozśmiał się, pełen świadomości swej potęgi. I miał słuszość. Nazajutrz wszyscy na przedstawieniu płakali. Dziś nie wyda się to dziwnem nikomu, kto pamięta opowiadanie o niewierności Naci w «Najserdeczniejszych», podczas którego widz uczuwał spazm jakiś, chwytający go za krtań wśród niedokończonego wybuchu śmiechu; albo scenę w «Pocziwych wieśniakach», gdzie wydobywszy siłą wielkiego talentu wzruszenie z samych komicznych pierwiastków, sięgał Żółkowski do wyżyn czysto dramatycznych i w pocziwym filistrze odślaniał zbołalego ojca; lub wreszcie postać Kokoszkiewiczza w «Jestem zabójcą», która była kreacją prawie tragiczną, wciśniętą z nieporównanym kunsztem w ramy mistrzowskiego komizmu.

A komedia! Widzę ją rosnącą, potężniejszą w twórcach Żółkowskiego, od «Zucha mimo chęci», «Vendetty», «Miny córki burmistrza», gdzie wielki artysta wypełniał olśniewającą werwą, porywającą fantazją młodego geniuszu wszystkie błahości ówczesnej literatury dramatycznej, do późniejszych, więcej skupionych sztuk, jak «Raptus», «Głowa pana Martin», «Pafnucy i Narcyz», w których Żółkowski zapowiada już wielkiego twórcę charakterów,—dopóki i ta zapowiedź nie ziściła się w nowszym repertuarze. Tu Żółkowski jednym olbrzymim krokiem naprzód wszystkich od razu zostawił za sobą. Wobec uszczuplonej a pogłębionej sfery badań tego repertuaru, większa część współczesnych aktorów znalazła się nieprzy-

gotowaną: Żółkowski wystąpił uzbrojony od stóp do głów, wystąpił z odwagą, rzecby można, z zachwalstwem,—bo odrzuciwszy dobrowolnie środki zewnętrznego urozmaicenia typów, umiał dostrzedz różność tona, gdzie inni tylko tożsamość widzieli; i wtedy, gdy wszędzie mozołono się przedewszystkiem w lustrze *à se faire une tête*, gdy do ruchów wprowadzono naturalizm, a do dykcji szlafrokowe zaniedbanie, on ze swoją charakterystyką, podłożoną upalonym korkiem i roztartym na sucho różem, ze swoim poszanowaniem dla czystości i wyrazistości słowa, dla powściągliwości pozy i gestów, zamkniętych zawsze w estetycznych liniach—on obcował za pan brat *de puissance à puissance* z Fredrą, z Korzeniowskim, z Juliuszem Sandeau, z Augierem, z Dumasami, ojcem i synem, z Wiktorynem Sardou; on młodszych podówczas: Narzymskiego, Fredrę (syna), Blizińskiego, Bałuckiego, Lubowskiego, Zalewskiego na scenę wprowadził; on genialnością swoich kreacji zniósł granice literatur dramatycznych, zacierał ślady prądów literackich, i tworząc, znał tylko jedno hasło: sztukę.

#### VIII.

Z «grzechów swojego żywota» spowiadał się Żółkowski w 1882 r. Przez siedem lat, które tę chwilę jubileuszową oddzielają od śmierci artysty, grał już nie wiele nowych ról. Wiek kładł na nim ciężką rękę, o czym ani się mówiło ani pisało, żeby jaknajdłużej w dobrej myśli podtrzymywać walczącego z latami komika, ale się czuło, że każdy wieczór trzeba już uważać za darowany.

I artysta czuł, że kres się zbliża; chciał raz jeszcze zabłysnąć w nowej kreacji i zgaśł prawie z rolą w ręką, ucząc się w przerwach między paroksyzmami «Hypnotyzmu» Fredry (syna).

Ze śmiercią Żółkowskiego odwróciła się karta dziejów świetności naszego teatru. Jakie będą dalsze tej historii rozdziały—niech na to odpowiadają wyznawcy demokratycznie-niwelacyjnej zasady «niema ludzi niezastąpionych». Piszący te słowa może tylko stwierdzić, że *le roi est mort*, a nie mając czasu na doczekanie chwili, kiedy mógłby zawołać *vive le roi*, lęka się, aby go nie uniósł dalej niż należy, żal za niepowrotem, żeby pod wpływem grających mu w duszy odgłosów przeszłości teatru, nie odezwać się za surowo o jego teraźniejszości i za pesymistycznie o przyszłości.

W. Bogusławski



# Tytus Chałubiński.

\* 1820 † 1889.



**N**iedzielę 8 kwietnia 1861 roku do poskromienia burzliwych rozruchów na ulicach Warszawy władze uznały za stosowne użyć siły zbrojnej: wojsko rozpędzało zebrane przed Zamkiem podniecone tłumy, publiczność odpowiadała gradem kamieni i czem kto mógł, wzamian za co znów padło kilkaset \*) wystrzałów... Tragiczne, przejmujące grozą epizody, jakich obyśmy nigdy i nigdzie nie byli nawet świadkami!.. Jeżeli dziś, po lat dziesiątkach, samo wspomnienie takiego zdarzenia, sama myśl o niem przejmującą dreszczem i serce do częstszych zmusza uderzeń, o ileż większe podniecenie panować musiało w owych godzinach, które wszystkim nieledwie zmysłom mimowolną dawały podniecie. I w takiej chwili ogólnego rozdrażnienia, pomiędzy tłumami publiczności, pod gradem kamieni przesuwająca się przez Krakowskie-Przedmieście ku Zamkowi kareta z profesorem Chałubińskim na koźle, a wewnątrz z ówczesnym dyrektorem komisji wyznań i oświecenia publicznego, margrabią Aleksandrem Wielopolskim, któremu powszechnie przypisywano winę całego tego wypadku, pałając do arbitralnego męża stanu bezgraniczną nienawiścią... Przejęty grozą, Chałubiński przedstawił zamieszkalemu w pałacu namiestnikowskim Wielopolskiemu, konieczność zwrócenia się bez zwłoki z prośbą do Namiestnika, podjął się być tarczą margrabiego—i dopiął celu. «Idźcie do domu!» powtarzał z koźła do tłumu na prawo i na lewo... Na widok znakomitego lekarza niejeden kamień zatrzymał się w ręku, niejedna laska zawisła w powietrzu, setki podniesionych pięści opadły: przed kareta z zdruzgotanymi szybami z wolna rozstępowały się

tłumy, przepuszczając śmiałych petentów prawie pod sam Zamek, gdzie natychmiast uwzględniono prośbę Wielopolskiego o zaprzestanie krwi rozlewu...

Niech to zdarzenie będzie dowodem wielkiej duszy, odwagi i niesłychanej Chałubińskiego potęgi i uroku, któremu nawet w takiej chwili—powszechnego, a we wręcz przeciwnym kierunku—podniecenia umysłów ulegać musiały tysiące...

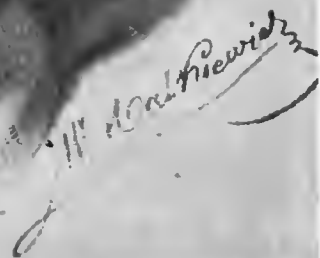
Jak się urabiał Chałubiński, jakie były życia jego koleje, czem był dla naszego społeczeństwa?

Z ojca Szymona, syna niezamożnego mieszczanina z Biłgoraja, i z matki, Tekli z Wnorowskich, urodził się Tytus Chałubiński d. 1 stycznia r. 1820 w Radomiu (a nie w Chociwku, jak podają niektórzy). Ojciec Tytusa był patronem trybunału w Radomiu i w poczet palestry polskiej przyjęty został widocznie już wówczas, kiedy od wstępującego wymagano nie dyplomu szlacheckiego, wzorem dawnej Polski, ale dowodu przygotowania zawodowego, lub świadectwa z ukończenia nauk uniwersyteckich.

O domu, rodzinie, otoczeniu i warunkach, w których Tytus Chałubiński spędzał pierwsze lata swego życia, bardzo skąpe biografowie jego zebrali wiadomości. Najdokładniejszy z nich, prof. Ignacy Baranowski,—Chałubińskiego asystent, poniekąd uczeń i następca, przytem wielbiciel i przyjaciel—podaje, że jeszcze przed r. 1830 Chałubiński był uczniem szkół wojewódzkich w Radomiu. Pierwsze lata tej nauki szkolnej w umyśle młodego ucznia pozostawiły ślad głęboki w serdecznym stosunku do ks. Walentego Baranowskiego, późniejszego biskupa diecezji lubelskiej. Młodziutki podówczas pijar był małemu Tytusowi

\*) W. Spasowicz. Życie i polityka margrabiego Wielopolskiego (po rosyjsku). Petersburg 1882, str. 160, 161.

\*) Tytus Chałubiński, napisał Dr. Ignacy Baranowski (odbitka z «Kraju») Petersburg 1890.



Sochatulinski.

nauczycielem początków historii naturalnej i zasad fizyki. Można przypuszczać, że te pierwsze wrażenia elementarnego wykładu miłego nauczyciela nie pozostały bez wpływu na rozwój w Chałubińskim wielkiego zamiłowania do nauk przyrodniczych, którym obok ściśle lekarskich znaczną część życia później oddawał.

W tych latach szkolnych spadły na młodego chłopca nieszczęścia rodzinne: traci ojca, a po paru latach umiera mu i matka. W śmierci matki i w całym jego sieroctwie musiało być coś bardzo bolesnego, bo wspomnienia tych wydarzeń i tego smutnego okresu życia zawsze w przyszłości unikał, nawet w chwilach serdecznego zresztą wylania. Ztąd też mało posiadamy danych faktycznych o dzieciństwie i rodzinie Chałubińskiego. Jedno tylko z czasów swego dzieciństwa nieraz podobno przez całe życie wspominał,—to barwne i ponure obrazy wydarzeń z r. 1831, które wstrząsnęły nim do głębi i żalobą swoją nazawsze zaryły się w młodocianym, wrażliwym jego umyśle. Wrażenia te, utrwalone i przetrawione w pamięci, zdaniem prof. Baranowskiego, miały się stać materiałem do rozważań, źródłem trzeźwego sądu i doświadczenia, przedterminowo niejako nabytego, dzięki czemu Chałubiński umiał się później oprzeć hasłu, za którym szli najlepsi z jego rówieśników.

Jeszcze z czasów dzieciństwa jego wiadomo że po śmierci rodziców sierotę przygarnęła niejaka pani Barszczewska, którą Chałubiński kochał jak matkę: ona opiekowała się nim przez czas pobytu w szkołach, ona dopomagała mu do skończenia gimnazjum, ona wreszcie ułatwiła mu wyjazd do uniwersytetu. Czy pokrewieństwo jakie, czy znajomość z rodzicami Chałubińskiego, czy też poprostu dobroć serca kierowała w tym razie opiekunką—niewiadomo. Dość, że bardzo wiele zawdzięczał jej Chałubiński, a pani Barszczewska aż do ostatnich lat życia przebywała w domu jego, otoczona prawdziwie synowską opieką wziętego już wówczas lekarza.

W gimnazjum, pomimo pociągu szczególnego do nauk przyrodniczych, pilnym widać był uczniem i w przedmiotach filologicznych, skoro już w latach poważnych z uwielbieniem wspominał klasyków łacińskich, na szkolnej ławie spotykanych, a do ostatniej życia chwili umiał w potrzebie cytować całe ustępy Horacego lub Tacyta,

którego charakterystyki za genialne uważał. Studya przyrodnicze jednak szczególnie go zawsze nęciły.

Po zamknięciu uniwersytetu warszawskiego i wileńskiego, jedynie w akademii medyko-chirurgicznej wileńskiej można było słuchać wykładów w polskim języku. Nadto dla chłopca biednego łatwiej było utrzymać się w Wilnie, niż w innem odległym mieście uniwersyteckiem. Wreszcie nauka medycyny, jako związana z przedmiotami przyrodniczymi, dogadzała upodobaniom Chałubińskiego, który też po skończeniu gimnazjum w r. 1838 wyjeżdża na studia lekarskie do Wilna.

Kto wie, czy codzienny widok murów akademii wileńskiej, skojarzony z niewygasłą pamięcią Jędrzeja Śniadeckiego, nie podsycił tłących na dnie duszy Chałubińskiego dążeń ku poznawaniu przyrody.

Nie długo tu jednak oddychał atmosferą bujnej puścizny naukowej i społecznej niedawno zniesionego uniwersytetu. We dwa lata po jego przyjeździe do Wilna akademię zamknięto, młodzież rozproszyła się przeważnie po uniwersytetach cesarstwa, a Chałubiński wraz z Ludwikiem Natansonem i kilkoma jeszcze kolegami udał się na dalsze studia do Dorpatu.

W Dorpacie bystry i wytrwały młody medyk, przy pomocy kolegi i serdecznego przyjaciela, Ludwika Natansona, bardzo szybko uporał się z niemieczyną, której nie znał zupełnie. Po zdaniu tak zwanego «philosophicum» (egzamin z przedmiotów przyrodniczych, jako podstawy do przyszłych wykładów czysto lekarskich), Chałubiński przerzuca się na wydział ściśle przyrodniczy, oddając się szczególnie botanice pod kierunkiem prof. Bungego. Szerokie, filozoficzne traktowanie przedmiotów przyrodniczych w słynnej wówczas Alma Mater Dorpatensis przykuwa Chałubińskiego do studyów specjalnych i do dzieł najznakomitszych współczesnych filozofów-myślicieli. Oprócz kształcenia się w botanice i w metodach przyrodniczego badania, owocem tych prac była rozprawa na stopień kandydata nauk przyrodniczych, który też Chałubińskiemu przyznano w r. 1842. Rzecz ta, pierwotnie napisana po niemiecku, w roku następnym ukazała się w «Bibliotece warszawskiej» p. t. *Historyczny przegląd mniemań o płciowości i sposobie zapładniania się roślin*. Jestto krytyczne zestawienie poglądów na omawianą sprawę,

której ostateczne rozwiązanie autor przyznaje Schleidenowi z Würzburga, gdzie dokonywały się właśnie głośne odkrycia botaniczne, sprzeczne z wszechwładną wówczas w Niemczech filozofią Hegla.

Młodzież polska, z natury żywa a przytem świeżo wyzwolona z rygoru szkolnego, wiele czasu i sił trwonila w Dorpacie na ekscentryczne wybryki, w których naśladowała, a nieraz i przewyższała, burszów niemieckich. Wynikało to ze swobody obyczajów tamtejszego życia korporacyjnego, które ogarniało i obowiązywało wszystkich studentów. Chałubiński, snadź poważniejszy, czy też bardziej nauce oddany, nie tylko sam trzymał się na uboczu od częstych pijatyk i awantur, ale całego wpływu swego użył, aby zmianą ustawy korporacyjnej oddzielić młodzież polską od ogółu młodzieży niemieckiej. Jestto miła po Chałubińskim pamiątka a zarazem pierwsza społeczna jego zasługa, zapewniająca szeregom pokoleń naszej młodzieży więcej czasu, zdrowia i spokoju do pracy.

Na czas pobytu Chałubińskiego w Dorpacie przypada bardzo ważny fakt w życiu naszego wielkiego lekarza. «Młodzież polska—pisze Baranowski—dzięki dokonanej w jej obyczajach reformie, cieszyła się życzliwością towarzystw mieszczańskich dorpackich. Jednym z domów, liczniej przez naszą młodzież odwiedzanych, był dom powszechnie szanowanego sędziego uniwersytetu, Wildegó. Wraz z Ludwikiem Natansonem, Krzywickim, późniejszym dyrektorem komisji wyznań i oświecenia publicznego, wchodzi Chałubiński w gościnne progi państwa Wildów. Była to chwila, w której obdarzony niezwykłą wrażliwością artystyczną młodzieniec oddawał się z zapalem muzyce w chwilach wypoczynku po pracy naukowej. Nie będąc wirtuozem, mógł jednak autorów poważniejszych grywać i umiał ich cenić, a przynajmniej z żywą wrażliwością odczuwać. Muzyka, Chopin budzi najpierwej sympatyę, a następnie poważniejsze uczucie do córki pp. Wildów. Powstają zamiary matrymonialne, a choć ich ziszczenie przypada dopiero na znacznie późniejszą epokę, niemniej, powzięte wówczas, wpłynęły one stanowczo na dalszy kierunek studyów i życia Chałubińskiego. Chcąc bowiem zdobyć sobie jaknajprędzej byt niezależny, Chałubiński zmienia raz jeszcze kierunek studyów naukowych, wraca do porzuconej

przez siebie medycyny i wyjeżdża do Würzburga dla odbycia rozpoczętych w Dorpacie studyów lekarskich. W r. 1844 kończy medycynę i po przedstawieniu rozprawy na stopień doktora *O moczu pod względem fizyologicznym i patologicznym* (Über den Harn in physiologischer und pathologischer Hinsicht) powraca do kraju.

Już sam wybór Würzburga świadczy, że Chałubińskiemu prócz medycyny tkwiła w myśli botanika, jak niemniej zbliżenie się do Schleidena, poznanie osoby i pracowni tego reformatora poglądów biologicznych. To też, dzieląc swój czas pomiędzy nauki lekarskie i szeroko traktowane studia przyrodnicze, Chałubiński niewątpliwie wywodził z Würzburga podstawy naukowe do pojmowania w przyszłości przejawów życiowych, do przyszłej analizy pojedynczych ogniw długiego nieraz łańcucha zjawisk złożonych, do wynajdywania genetycznej pomiędzy temi zjawiskami łączności, wreszcie do syntetycznych uogólnień w ostatecznem ze spostrzeżeń wnioskowaniu. Późniejsza przyrodniczo-lekarska i pedagogiczna działalność Chałubińskiego w znacznej części była wyrazem lub echem tego właśnie szerokiego podkładu filozoficzno-naukowego w obejmowaniu faktów i pojęć.

W roku 1855 Chałubiński rozpoczyna zawód lekarski w Warszawie. Trudne i skromne były to początki. To też w celi klasztoru po-pijarskiego, która była pierwszym jego w Warszawie mieszkaniem, mógł znaleźć sporo wolnego czasu na tłumaczenie znakomitego «Wykładu botaniki» Adryana Jussieu. Ta praca zajęła Chałubińskiemu trzy lata chwil wolnych od stopniowo wzrastających zajęć lekarskich i dała możność wykazania doskonałej znajomości przedmiotu i języka polskiego, który przy tej sposobności wzbogacił licznemi i dobrymi terminami. W tym samym czasie umieścił w «Bibliotece warszawskiej» (1846) *Rzut oka na dzieje botaniki*.

Przeniesiony z Paryża nowy kierunek kliniczny, oparty na postępach anatomii patologicznej i fizykalnych sposobów badania chorych\*), w Warszawie znalazł najpodatniejszą glebę do rozwoju w szpitalu ewangelickim, naczelnym lekarzem którego był podówczas znakomity praktyk, Ferdy-

\*) Por. biografję Józefa Dietla — Album biogr.

T. II, str. 291, 292.



nand Dworzaczek. Szpital ten stał się szkołą nowego kierunku, a lekarz naczelny wykształconym i uprzejmym kierunkiem tego przedstawicielem. Dworzaczek skupiał przy sobie w szpitalu grono młodych lekarzów, w którym wyróżniał się Chałubiński nieledwie od pierwszych chwil swego w Warszawie pobytu.

Pod opieką Dworzaczka nie tylko rozwijały się pojęcia lekarskie Chałubińskiego, ale i powodzenie jego zawodowe z niezwykłą wzrastało szybkością. Kiedy ciężka choroba oczów zmusza Dworzaczka do zupełnego porzucenia szpitala, za najgodniejszego siebie następcę przedstawia najbliższego po myśli swego ulubieńca, Chałubińskiego, i używa całego swego wpływu, aby mu zapewnić po sobie stanowisko naczelnego lekarza, które też istotnie dostaje się młodemu, 27 lat liczącemu, Tytusowi Chałubińskiemu. Następca kroczy śladami swego poprzednika i okazuje się zupełnie godnym zaszczytu, jaki go spotkał: sam gorliwie pracuje nad swoim wykształceniem, gromadzi koło siebie grono lekarzów, które pracę i wysokie zalety jego ocenia, uznając w nim chętnie swego kierownika. Popularność i wziętość tak odznaczonego lekarza wzrastała z roku na rok zarówno wśród publiczności, dla której stawał się wyrocznią, jak i w kołach lekarskich, gdzie wyższość jego głoszone; nie było chyba w Warszawie cięższego wypadku choroby, w którymby Chałubiński nie odgrywał roli decydującej.

Sława i urok Chałubińskiego jako lekarza nie mogła być efemerą. Były jasne jak dzień, mocne jak śmierć, bo miały twarde podstawy w nim samym, w fizycznej i duchowej jego organizacji. Był to lekarz olbrzymiej pracy, chwili czasu nie tracił, brak zajęcia zapewne odczuwałby jako ból, jako nieszczęście. Miłość człowieka a szczerą i gorącą chęć przyniesienia ulgi i współczucie cierpiącemu przejmowały go nawskroś i przebijały w ujmującej jego powierzchowności i bezgranicznej z każdym dobroci obojętności. Gdy on wchodził, jasność jakaś wstępowała do pokoju i do duszy; jego widok i słowo napępniały otuchą. Umiał pytać i być cierpliwym; umiał rozmawiać i w razie potrzeby stosować wybiegi sugestii lub inne, które sam niewątpliwie za rodzaj szarlatanerii uważał, pozostając jednak w duszy czystym, kryształowym. Umiał patrzeć i widzieć. Zmysły jego prócz wydoskonalenia przez wprawę, posiadały jeszcze

✧ wyższy jakiś stopień wrodzonej wrażliwości; odczuwały nieraz to, co równie wprawny lekarz pomijał, jako nie odczute. Umiał szczególnie skupić uwagę, a myśl skierować do ścisłego i celowego układu zatrzymanych wrażeń: niepotrzebne odrzucać, a potrzebne wiązać w łańcuch przyczynowo lub luźnie połączonych pojęć. Subtelna pamięć drobnych napozór faktów i tysiącznych wahań w już odczuty i skojarzonych dawniej wrażeniach potęgowała wrodzony i wydoskonalony dar spostrzegawczy. Gdzie nieustanna praca a myśl szeroka łączy się z wielkim uczuciem i wyższą miarą czucia, tam tylko krok jeden do prawdziwej zdolności przeczuwania. Chałubiński istotnie posiadał tę zdolność, która zdaje się przewyższać miarę niepospolitej, nadzwyczajnej wprawy. Mógł badać krócej od najwprawniejszych, a widzieć od nich więcej i lepiej. Jego rokowania (prognozy) ścisłością i ujawnioną później prawdą w zdumienie wprawiały lekarzów, zwłaszcza gdy były wprost przeciwne ogólnemu ich przewidywaniu. Jego «zdaje mi się» potwierdzał w tysiącznych przypadkach dalszy przebieg choroby. Nigdy nie tracił nadziei i nie pozbawiał jej nikogo. W chorym widział tylko człowieka nieszczęśliwego: stanowiska, majątku, narodowości i wyznania jego nie widział. Był wzorem skromności i koleżeństwa. «Nie wiem» mówił, gdy nie wiedział. W niewątpliwych dla siebie wypadkach był sobie pewnym i w razie potrzeby, nie urażając nikogo, dowiódł swej słuszności. A nieraz na naradach lekarskich, czy to w sprawie rozpoznania, czy wyboru sposobu leczenia, gdy zdawało się, że literalnie niema wyjścia naukowego z kłopotliwego położenia, mówił: «sam nie wiem, dla czego; ani sobie, ani wam wytłumaczyć tego nie umiem, ale mam takie wrażenie, że...» — i to przeczucie tylko w niezmiernie rzadkich przypadkach okazywało się złudnem.

Był tedy Chałubiński wyjątkowym lekarzem i pewnie miał świadomość swej wyższości, a swoją drogą w chorych zawsze szczepił to przekonanie, że wcale nie jest lepszym od każdego sumiennego kolegi, czem znów podnosił osłabione kaprysem i tradycją zaufanie do ogółu lekarzów krajowych. Chętny i uczynny, wszystkich do siebie przywiązywał, poważnionych godził. Kochano go i ceniono wysoko; powodzenie go nie psuło, nie wzbudzało też w nikim zazdrości, uważano je za naturalne, jemu należne.



Porwany wirtem rozległej praktyki lekarskiej, Chałubiński czynny przyjmuje udział w pracach naukowych w ożywionym podówczas ruchu umysłowym Towarzystwa lekarskiego i piśmiennictwa. Często spotyka się nazwisko Chałubińskiego w istniejącym już dawniej *Pamiętniku Tow. Lek.*, a nowo powstały pod redakcją Ludwika Natanson *Tygodnik lekarski* też go liczy w kierującym gronie swoich pracowników. Zdawałoby się, że nawał całodziennych zajęć lekarskich w szpitalu i na mieście uniemożliwia Chałubińskiemu wszelką inną poważną pracę umysłową. Przeciwnie: rozległa praktyka obficie dostarcza mu środków pieniężnych, których nie szczędzi na cele naukowe, na pracę laboratoryjną. Około r. 1850 zakłada w prywatnym swoim mieszkaniu pracownię chemiczną i z wielkim nakładem czasu, zabiegów i pieniędzy zbiera pomału niezwykle piękną, kosztowną i bogatą (przeszło 3000 okazów) kolekcję minerałów, która odniedawna jest cennym dobytkiem politechniki warszawskiej, a zdaniem prof. Jurkiewicza «mogłaby stanowić ozdobę najpierwszego muzeum europejskiego». Chałubiński tedy nie przestaje być zamiłowanym przyrodnikiem i jest jakby magnesem, dokoła którego gromadzi się w jego pracowni kilku lekarzów i młodzi przyrodnicy, którzy z różnych uniwersytetów świeżo do kraju wrócili, jak Aleksandrowicz botanik, Jurkiewicz mineralog, Leśniewski chemik, Prażmowski fizyk i astronom, Przysiański matematyk.

W tej to pracowni, przeważnie po nocach, studiował Chałubiński chemię analityczną, której szybkie postępy i zastosowanie w medycynie z uznaniem podziwiał, a przyszłe znaczenie może przeczuwał, więc z tem większym zapalem oddawał się jej poznawaniu. «Zastaliśmy pana Tytusa—pisze Szokalski \*)—w szczególnej pozycji: rozmamany, w starym szlafroku, siedział na ziemi przed piecem i coś w nim pitraśił... Pierwsza moja wizyta przeszła bardzo obojętnie, gdyż cała uwaga gospodarza zwrócona była na tygiel; odpowiadał mi półsłówkami z musu, tak że gdybym tego nie rozumiał, pewnie byłbym już więcej do niego nie zajrzał. Później, gdyśmy się lepiej poznali, polubiliśmy się serdecznie. Cha-

łubiński przy tyglu i Chałubiński w towarzystwie byli to dwaj różni ludzie. Ożywiony, ruchliwy, wesół, dowcipny, nawet satyryczny, sięgał umysłem głęboko i błyskał nieraz niezwykłym w trafności zajmującym pomysłem»...

Kiedy w roku 1857, a we dwadzieścia sześć lat po zamknięciu uniwersytetu, zezwolono na otwarcie w Warszawie akademii medyko-chirurgicznej, siły naukowe, niegdyś dzielne, już z pola życia schodziły. A kiedy znów po upływie lat czterech powstawała w Warszawie Szkoła Główna, obejmować mająca prócz lekarskiego trzy inne jeszcze wydziały nauk, tem większa zachodziła potrzeba szukania sił nowych i świeżych. Oczy wszystkich zwracają się na Chałubińskiego i na skupione przy nim kółko młodych pracowników. Delegowany na organizatora i prezydenta akademii dr. Cycin zasiał rady Chałubińskiego co do obsady katedr profesorskich w nowej instytucji, powierzając mu zaraz w następnym roku katedrę patologii i terapii szczegółowej (wykłady odbywały się w b. pałacu Staszycy), a od r. 1861 prowadzenie kliniki chorób wewnętrznych.

Jako profesor, Chałubiński nie mniejszem, niż w praktyce lekarskiej, cieszył się powodzeniem. «Pierwszy debiut młodego profesora przy łóżku chorego—pisze Baranowski—pamiętny jest tym wszystkim, którzy byli świadkami i uczestnikami tej prawdziwie uroczystej chwili. Audytoryum, otaczające profesora, przedstawiało widok niezwykły. Była to pierwsza generacja wychowalców, przed laty trzema otwartej, akademii medyko - chirurgicznej. Przy zupełnym braku wszelkiej wyższej instytucji naukowej w kraju, młodzież biedniejsza zmuszona była przez lat wiele pragnienie nauki gasić samouctwem i oddawać się zawodom, nie wymagającym studiów uniwersyteckich. To też, gdy się otwarły podwoje tej nowej świątyni wiedzy, napłynęli do niej nie tylko młodzieńcy, którzy świeżo ławę szkolną opuścili, ale i starsi ludzie, których konieczność zmusiła do pracy po biurach, do zajęcia się nauczycielstwem prywatnem, do prób w zawodzie literackim i t. p. W ten sposób w gronie słuchaczy otwierającej się kliniki, spotkać było można i twarze starsze, życiem i pracą wyczerpującą już zorane, o włosie rzedniejącym lub też przeświecającym siwizną. Audytoryum takie stawało wobec wykładającego z wymaganiami, oraz ze

\*) Cyt. dzieła: Bartkiewicz i Dobrzycki—Szkoła główna warszawska, Kraków. 1901, str. 175.

zdolnością sądzenia i oceniania tego, co mu wykład przynosił. Nie sama też ciekawość, ale i pewien niepokój ogarnął słuchaczy, gdy po krótkim wstępie profesor rozpoczął sam badanie chorego, aby wskazać drogę, po której umysł zdążać winien do rozwiązywania zawitych zadań, jakie lekarz przy łóżu chorego spełnia. Niepokój ten oczekiwania ustąpił wprędce miejsca coraz żywszemu zainteresowaniu się wykładem. Zapomniano o profesorze, a widziano jedynie przedmiot badania. O tym przedmiocie w najwyższym stopniu zawitym, o ustroju ludzkim profesor mówił, jego stosunki wyjaśnił tak, jakby to był przedmiot prosty, nie złożony, nie przedstawiający żadnych dla umysłu trudności. Wsłuchujący się w wykład miał to złudzenie, że sam jest czynny, że sam rozwiązuje zagadki życia ustroju chorego... Było to zwycięstwo, był tryumf profesora, który poraz pierwszy w życiu rozwiązywał jedno z najtrudniejszych zadań pedagogicznych. Chałubiński od pierwszego kroku znalazł drogę właściwą i od pierwszej chwili zapanował nad umysłami słuchaczy»...

Gruntowność i ludzkość badania, ścisłość i prostota w przedstawianiu rzeczy i wyprowadzaniu uogólnień—nadawały niezwykłą siłę i wartość wykładowi klinicznemu, w którym profesor przed umysłem słuchacza rozsnuwał całą drogę badania analitycznego w każdym odosobnionym wypadku choroby. Jednak wykład taki, jako nieprzerwany łańcuch przesłanek i wniosków, wymagał dość znacznego natężenia uwagi i przygotowania umysłu słuchacza, zwłaszcza jeżeli fakty podstawowe z nauk przygotowawczych zbyt powierzchownie dawniej sobie przyswoił. Dla studentów pilniejszych i umiejących dość szybko nagiąć swe myśli do nieustannego podążania tuż za słowami profesora, te szczególne cechy wykładów Chałubińskiego nie przedstawiały jednak wcale trudności. Często w toku wykładu—gdy przeczuwał, że ścisłością myślenia mógł zmęczyć słuchaczów, lub też wprost dla rzucenia światła na omawiane pojęcia,—na chwilę jakby odstępował od przedmiotu, który jednak w istocie miał ciągle na myśli. Wówczas—pisze Dobrzycki\*), jeden z uczniów i biografów Chałubiń-

\*) Dr. H. Dobrzycki.—Rzut oka na naukowo-społeczną działalność profesora Tytusa Chałubińskiego (odbitka z «Medycyny») Warszawa, 1890.

skiego—«posługiwał się wszystkim, co współczesna wiedza w dziedzinie myśli dostarczyć mu mogła. Wchodziły w grę i systemata filozoficzne, i rozwój historyczny odnośnych działów wiedzy, i metody empiryczne, nie mające dotąd naukowego uzasadnienia, i wyniki wiekami nagromadzonego doświadczenia, i dawne błędy, które niegdyś jako prawdę wyznawano, słowem wszystko, co mogło do zamierzonego doprowadzić celu. Nawet Göthe ze swoim Faustem, którego, mówiąc nawiasem, Chałubiński umiał na pamięć, nieraz przychodził mu z pomocą»—«Uczył nas myśleć przy chorym»—tak określali studenci wartość wykładu Chałubińskiego. Gorliwe ściśle przyrodnicze poznawanie minerału lub rośliny musi się odbywać z innym uczuciem, z innym sercem, niż także samo badanie człowieka, przytem człowieka chorego. Prócz myśleć, uczył czuć, uczył kochać naukę, obowiązek i człowieka. Nie tylko szkołą myśli, ale i szkołą uczuć ludzkich była klinika Chałubińskiego: on kształcił i tworzył lekarzów. Czy można się dziwić, że był tak wysoko ceniony przez cały stan lekarski, jeżeli zdołał opanować myślą i uczuciem szeregu pokoleń swych uczniów?

Trzymając, że się tak wyrażę, rękę na tętnie postępu umysłowego wogóle, a w szczególności nauk przyrodniczo-lekarskich, Chałubiński wiedział o wszystkim, co się działo w medycynie i umiał rzecz obejmować szerokim swoim polotem, mając zawsze na widoku cel medycyny: tylko leczenie. Pomimo to, a może właśnie dlatego, nie lubił cytat i powoływania się na powagi, gdyż nie uważał tego za godny argument, a erudycję, która zwykle idzie na niekorzyść samodzielnego myślenia, wśród pokoleń lekarskich potępiał. Nieraz jakby wypowiadał przed słuchaczami głębokie przekonanie, że ówczesna myśl lekarska, oddając się obrabianiu pojedynczych pytań naukowych w duchu panującym, działa na niekorzyść budowania uogólnień, dla celu medycyny bardziej potrzebnych: za mało syntezy, za dużo analizy.

«Mniej erudycji, a więcej myśli» przypominał nieraz. Szkoda, że pod takim hasłem i z wielką ścisłością sprawdzane przez Chałubińskiego obszernie opisy pojedynczych wypadków (t. z. historie choroby), na klinice jego spostrzeżanych, nie dostały się do druku, choćby nawet bez jakiegokolwiek opracowania. Sądząc z oko-

liczności, które przytacza niejeden biograf Chałubińskiego, przebijający z nich powinna dusza lekarska znakomitego profesora. Byłby to w każdym razie bardzo cenny materiał; wobec wielu zmian w pojęciach lekarskich mógłby mieć wprawdzie nieraz tylko wartość historyczną, ale dla pojęcia o osobistości profesora te względy nie miałyby znaczenia.

Żywem słowem o prawdę i dobro walczył Chałubiński codziennie, ale piśmiennych po sobie śladów pozostawił niewiele, zwłaszcza o ile w określeniu «wiele» rozumieć znaczną ilość tytułów lub zadrukowanego papieru. Zapewne, że najważniejszym tego powodem był brak czasu u człowieka, pracującego bez wytchnienia dniami i nocami. Widocznie jednak zajęcia profesorskie, czy też może tylko te właśnie lata jego życia, najbardziej nie chodziły w parze z piórem, bo w tym czasie niczego drukiem nie ogłaszał, podczas gdy zarówno przed objęciem katedry, jak i po ustąpieniu z niej, drukował szereg prac naukowych\*). Najważniejszą i najgłośniejszą z lekarskich prac Chałubińskiego, jest *Metoda wynajdywania wskazań lekarskich, plan leczenia i jego wykonanie* (Warszawa, 1874). Już po smutnem zamknięciu swojej profesorskiej działalności, w tem skromnem o 95 stronicach dziełku przeprowadza tę wielką ideę, która była myślą przewodnią jego wykładów i postępowania lekarskiego przy łóżku chorego. Chałubiński wyraża przekonanie, że rozwój anatomii patologicznej i opartej na jej zdobycach diagnostyki fizycznej ma tę złą stronę, że może sprowadzać myśl lekarza na niewłaściwe tory w praktyce przy rozwiązywaniu pytania, «co w danym przypadku jest do zrobienia i jak to najlepiej skutecznie». Lekarz po zbadaniu chorego myśli o abstrakcyjnym typie rozpoznanej choroby—co było powszechnie błędnym punktem wyjścia w społecznych Chałubińskiemu wykładach klinicznych i podręcznikach,—zamiast, wzorem dawnych lekarzów, skierować myśl na zbadanie zasadniczej szkodliwości u danej chorej jednostki. Dawni lekarze błędzili w poszczególnych wywodach i swemi «systemami» wyrządzali dużo szkody; błędem ich było podnoszenie drugorzędnych przejawów choroby do stanowiska szkodliwości

chorobnej, ale punktem wyjścia w ich leczeniu słusznym było pojęcie tej szkodliwości, acz błędnie pojmowanej z braku podstaw patologicznych. Sama przyczyna choroby i wytworzone przez nią zmiany w znacznej większości przypadków są niedosiężalne, a więc usunąć się nie dadzą. Jednak pomódz choremu trzeba i można. Chałubiński za jedyną niezmienną drogę myślenia lekarskiego po zbadaniu chorego, za drogę «prostą i nie nową», jak to sam określa, uważa logiczne rozważanie ze stanowiska szkodliwości i dosięgalności wszystkich danych, których dostarcza ściśle każdego wypadku badanie, a które to dane on nazywa «momentami» chorobowemi. Z «momentów» dosięgalnych najważniejszym jest ten, którego usunięcie zapewnia danej jednostce w danej chwili największą sumę skutków. Owe «momenty terapeutycznie dosięgalne», powiązane w łańcuch logiczny według przyczynowej ich zależności, poczynając od «momentu najwyższego»,—składają się na plan leczenia, na praktycznych wskazówkach oparty, i kierują planu tego wykonaniem.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie ów «system», Chałubińskiego. Jest on pierwszym «sformułowaniem tego procesu myślowego, który bezwiednie przechodzić musi umysł samodzielny w pojedynczych przypadkach». To uświadomienie łańcucha szkodliwości, jako punktu wyjścia, i wytknięcie drogi postępowania lekarskiego jest wielką Chałubińskiego zasługą i, chociaż wogóle nie pisał wiele, zapewnia mu wybitne miejsce w nauce, stawiając go w szeregu genialnych jej przedstawicieli. Chałubiński w swojej «Metodzie wynajdywania wskazań» ogłosił niewzruszone prawo myślenia lekarskiego.

Dziś, po upływie lat kilkudziesięciu, można się niegodzić na niektóre poszczególne materiały i poglądy, w dziełach jego lekarskich spotykane, bo rozwój pojęć lekarskich odbywa się nieustannie. W pojęciu «medycyny» nieści się nie tylko sama «sztuka leczenia», jak chciał Chałubiński; nauka czysta w duchu analizy zwyciężyła przedwczesne syntezy, dając lecznictwu dostęp bezpośredni do niektórych «momentów terapeutycznych, dawniej niedosiężalnych» a na samej istocie choroby opartych. Nie osiągnięto by tych zdobyczy, gdyby po nie nie sięgano,—co jednak w niczem nie uchyla samego prawa myślenia przy łóżku chorego. Ale dotychczas wiara w geniusz i w nie-

\*) p. Szkoła główna warszawska. T. II str. 367 i 368.

omyślność Chałubińskiego jest tak wielka, że te poglądy, które, jako umysł krytyczny, on sam, gdyby żył, dziś uważałby za chybione, znajdują wielu fanatycznych obrońców: a wiara nie dopuszcza dyskusyi. Sądząc z tradycyi,—nie tylko w historii medycyny polskiej, ale i w historii życia innych narodów niema chyba lekarza, któryby dla swego społeczeństwa posiadał takie znaczenie, jakie miał dla nas Chałubiński. U szczytu powodzenia było ono równe ubóstwianiu, bo w stosunku do całego legionu lekarzów i uczniów, w stosunku do zastępu chorych i zdrowych jednostek naszego społeczeństwa Chałubiński był uosobieniem ideału lekarza.

Po tym rzucie oka na działalność Chałubińskiego jako lekarza na stanowisku wziętego praktyka, profesora i uczonego, przechodzę do dalszego ciągu jego życiorysu.

Wypadki polityczne po roku 1861 dały Chałubińskiemu nowe pole do oddziaływania na otoczenie najbliższe, a przede wszystkim na młodzież, dzięki zachowaniu się której ocalała nowa a ważna dla kraju instytucja naukowa. Wraz z przybyłym z Petersburga rektorem Józefem Mianowskim i kilkoma jeszcze zacnymi przewodnikami młodzieży Chałubiński na innem znów polu zalecał swoją «metodę wynajdywania wskazań», która wobec «zasadniczej szkodliwości» dopomagała do skutecznego rozważania szeregu «momentów dosięgalnych z momentem najwyższym na czele» i do nakreślenia przyszłego «planu i jego wykonania». Chałubiński był szczerym wyznawcą idei spokojnego rozwoju, opartego na pracy i krzewieniu wiedzy.

Na ten czas przypada okres najrozleglejszej działalności Chałubińskiego w różnych kierunkach życia publicznego. Jako jeden z najwybitniejszych profesorów Szkoły Głównej, przytem znający osobiście wszystkich miał pracowników na polu naukowym, przyjmuje udział w licznych posiedzeniach i komisjach, wszędzie o radę i przewodnictwo proszony. Oprócz organizacji Szkoły Głównej, zwłaszcza jej wydziału lekarskiego i przyrodniczego, żywo zajmuje się reformą szkół średnich. W częstych naradach z Józefem Korzeniowskim, któremu powierzone zostało wypracowanie programu tej reformy, Chałubiński podnosił pedagogiczne znaczenie wykładu nauk przyrodniczych, nalegając na wprowadzenie ich w zakres przedmiotów gimnazjalnych. Na poparcie

swojego poglądu, Chałubiński ówczesnej komisji oświecenia publicznego złożył memoriał, w którym przekonywał, że wykłady elementarne nauk przyrodniczych, metodą genetyczną prowadzone, powinny być użyte jako narzędzie do rozwoju zdolności myślenia analitycznego, w celu wyrównania przewagi syntetycznej metody nauczania w szkołach średnich.

Niedaleka przyszłość dowodnie stwierdziła, na zachodzie przynajmniej, słusność pedagogicznych poglądów Chałubińskiego; przenikły one i do nas, a dziś większość uważa je nawet za tak proste i naturalne, iż zdaje się, że przeciwnego w tej sprawie zdania być nie mogło. Tymczasem wówczas głos Chałubińskiego, uwzględniony narazie przez komisję oświecenia publicznego w r. 1861, przy dalszych projektach organizacyjnych poszedł w niepamięć. Na drugim ogólnym posiedzeniu lekarzów i przyrodników rosyjskich w Warszawie w r. 1876, raz jeszcze czytano ten memoriał, który był zwiastunem odrodzenia na niwie wychowawczej. Jeżeli więc nie pierwszym, to w każdym razie jednym z pierwszych obrońców tego odrodzenia był nasz Chałubiński. Rozprawę jego w tym przedmiocie pomieścił *Pamiętnik Tow. Lek. Warsz.* (1877, tom 73, zeszyt 1).

W tym czasie klęsk ogólnych, zapracowanego w różnych kierunkach profesora spotykają ciężkie przejścia osobiste. Wyjeżdża do Dreżna, a niezdolny do bezczynności, szuka ukojenia w studiach nad historią malarstwa. Po powrocie do kraju oddaje się przez lat parę zajęciom zawodowym i wykładom, nie bez znacznego jednak wysiłku.

Źle się czuł na warszawskim bruku: zmienione pod wpływem nieszczęść ogólnych i przejść osobistych usposobienie zapędziło go aż do Francji, gdzie, z powodu odrodzenia się pierwszej miłości z dorpackich jeszcze czasów, nad brzegiem morza (St. Nazaire) w odosobnieniu od ludzi przeżywał walkę wewnętrzną i najcięższe chyba chwile życia.

Powrót z Francji do Warszawy, nieledwie wyproszony w imię dobra młodzieży lekarskiej, stał się początkiem nowego okresu w życiu Chałubińskiego. Pod wpływem dawnego otoczenia odżył zupełnie na duszy, a wkrótce pomyślne zakończenie spraw rozwodowych zapewniło mu upragniony spokój. Okazywane zewsząd w dawnej mierze uznanie, jako nauczycielowi i przewodni-



kowi młodzieży, jest mu podniętą do rozwinięcia dawnej, szerokiej działalności społecznej.

Krótko jednak trwa to odrodzenie uwielbianego profesora. W trzy lata po powrocie Chałubińskiego do kraju, przy zamianie Szkoły Głównej na uniwersytet, wprowadzony zostaje język rosyjski jako wykładowy. Chałubiński, nie mogąc podjąć się wykładów w języku, którego zupełnie nie znał, musiał usunąć się ze stanowiska profesora po 12 latach pracy na tem polu. Skoro tylko zamilkło w r. 1871 żywe jego słowo w klinice szpitala Św. Ducha, zjechali się wdzięczni uczniowie ze wszystkich stron kraju i na uczcie pożegnalnej powstała myśl utworzenia funduszu imienia Chałubińskiego; z odsetek tego funduszu Towarzystwo lekarskie warszawskie co lat cztery przyznaje nagrodę imienia Chałubińskiego za najlepszą w tym okresie czasu pracę lekarską polską.

Z chwilą ustąpienia ze stanowiska profesora kliniki, Chałubiński usunął się od życia publicznego, poprzestając na zajęciach zawodowych i studyach przyrodniczych. W tym też czasie powstają dwie najważniejsze prace jego lekarskie: streszczona już wyżej *Metoda wynajdywania wskazań lekarskich* (1874) i druga, studyum kliniczne p. t. *Zimnica* (Warszawa, 1875). W chwilach wolnych z zapalem i ze znacznymi kosztami uzupełnia swój cenny zbiór minerałów; korzysta z corocznych wyjazdów do Zakopanego: zbiera, bada i klasyfikuje mchy tatrzańskie, a owoce tych poszukiwań ogłasza w «Pamiętniku fizyograficznym», biorąc zarazem czynny udział w pracach i nakładzie tego wydawnictwa i «Wszechświata». Wydana oddzielnie po łacinie jedna z tych prac, p. t. «*Grimmiae tatrenses*», zyskała nawet zaszczytne dla autora uznanie w kołach znawców angielskich.

W roku 1879 u Chałubińskiego odbyło się zebranie byłych profesorów Szkoły Głównej, na którym powzięto myśl uczczenia pamięci zmarłego wówczas rektora Józefa Mianowskiego przez założenie kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowem. Po zatwierdzeniu ustawy tej kasy, Chałubiński staje w szeregu pierwszych jej założycieli, a na stanowisku pierwszego przewodniczącego w zarządzie dawał do wody wielkiej wyrozumiałości w ocenianiu zasług kandydatów, dla których kasa miała być «pomocą». Po latach pięciu zrezygnował z tego za-

▼ szczytnego stanowiska, skoro poczuł wyczerpanie życiem i chorobą.

Wkrótce potem cała działalność—ciało i dusza—Chałubińskiego przenosi się tylko do Zakopanego. Dobrze ktoś powiedział, że «Chałubiński odkopał Zakopane». Niegdyś dobra koronna, a później przemysłowa góraska okolica, po niszczącej niemieckiej gospodarce zamarła; huty i kuźnie obróciły się w ruinę, a ludność miejscowa popadła w nędzę i zdziczenie. Zakopane zginęło dla przemysłu, zapomniano też niemal zupełnie nawet o istnieniu tego ustronia górskiego, dopóki nie stanęła na niem stopa Chałubińskiego. Wrażliwy na piękno, uczuwający nieledwie namiętność roztapiania się w ogromie przyrody i dziwnym czarze jej obrazów, obiera sobie Chałubiński «skały i niebo» Zakopanego początkowo na letnią siedzibę, a później zamieszkuje tu stale. Za nim z ciekawości podążyły tłumy turystów, szukających ożywczego górskiego powietrza, wypoczynku i wrażeń. W śmiałych wycieczkach na szczyty skaliste, których jeszcze ludzka noga nie dotknęła, Chałubiński z mapą sztabu jeneralnego wyznacza drogi i punkta z pięknymi dla turystów widokami. Upodobanie do wycieczek tatrzańskich, «taternictwo», staje się dla nas taką potrzebą, jak «alpinizm» dla zachodu. W tych to pełnych fantazyi wyprawach, odbywanych z młodzieńczym zapalem i przedziwną wytrwałością, Chałubiński tworzy przewodników, wyćwiczonych w szczegółach higieny wycieczek górskich. «Z dzikich koziarzy, kłusowników i «zbójnikowatych chłopów»—pisze Witkiewicz \*)—robi tych opiekunów starannych, te niańki prawdziwe, którym z zupełnym spokojem i ufnością powierza się dziś każdy turysta». Ale w tych górskich wycieczkach ma na myśli nie samo upojenie wysiłkami turysty, nie bierną, choć pełną uroku, kontemplację majestatycznej przyrody: zbliża się z ludem górskim, skupia go koło siebie, dostrzegając wielkie w nim zdolności a zarazem wdzięczną do badania i uprawy glebę w tych naturach pierwotnych, osobliwych, zaniedbanych, od świata odciętych.

Postanawia jaknajpilniej poznać swoje królestwo, przykładając się do zbadania fizyograficznego Tatr polskich przez zawiązanie Towarzystwa tatrzańskiego; sam zbiera i naukowo opra-

\*) Na Przełęczy. Tyg. Il. 1890, str. 297.



cowuje mchy i porosty tatrzańskie; zbiera i porządkuje odłamki skał, oznaczając ich pochodzenie. Zbiory te były zawiązkiem muzeum, któremu później wielbiciel dziełnego inicjatora nadali nazwę «muzeum Chałubińskiego». Oprócz przygodnych turystów, całe grono badaczy przyrody podąża w góry za Chałubińskim, który umiał na wszystkich przelać swój zapał i zachęcić do poszukiwań naukowych, związanych z Zakopanem i najbliższą jego okolicą: Dziewulski określa fizyczne własności jezior górskich, Rostański bada śnieg czerwony (*haematococcus nivalis*), Słóarski przeprowadza mikroskopowe badania mulków z dna jezior tatrzańskich, Wrześniowski—najbliższy towarzysz wycieczek Chałubińskiego—wykonywa liczne pomiary czaszek ludności Podhala, Znatowicz określa skład chemiczny kilku skał tatrzańskich. Prace te w swoim czasie ogłoszone były głównie w «Pamiętniku fizyograficznym».

W przeświadczeniu o cennej wartości leczniczej klimatu Zakopanego, Chałubiński wyjednywał zatwierdzenie ustawy «stacyi klimatycznej»: oprócz turystów napływają tłumy chorych, co miejscowość ożywia, nadaje jej rozgłosu i szczególnego charakteru.

Do celów estetycznych, naukowych i lekarskich, jakie zakreślił sobie w Zakopanem, Chałubiński dodał jeszcze zadania społeczne i cywilizacyjne, podnosząc dobrobyt, oświatę i utrwalając tradycje miejscowych górali, do których szczerze przylgnał całą duszą, a którzy króla swego w nim widzieli i takim istotnie określali go tytułem. Wyjednywał budowę kilkomilowej szosy do Zakopanego i wpływa na rychłe jej wykończenie. Przy pomocy miejscowego proboszcza, ks. Stolarczyka, usiłuje podnieść sposób uprawy roli i zwiększyć z niej dochody górali; przykładą się do założenia szkoły koronkarskiej i snycerskiej, która zarazem obejmuje stolarstwo, ciesielstwo i budownictwo, a przy zacnem poparciu Zyblikiewicza, dla szkół tych wyrabia przywileje państwowe. Dopomaga literatom do zbierania legend ludu górskiego; jego pieśni, za radą Chałubińskiego, Kleczyński z ust tego ludu notuje, a Noskowski i Paderewski przetwarzają w kwintne dzieła sztuki.

Chałubiński skupia koło siebie jednostki wybitne nauką, talentem, stanowiskiem, odświeża je i ożywia swym wiecznie młodzieńczym zapałem

do idei. Pobyt w Zakopanem podnosi ich i pobudza myśl, aby częstkę swej wiedzy, artyzmu lub wpływu skierować na ten uroczy a ciekawy kawałek ziemi. Chałubiński nie był majestatycznym a biernym przedstawicielem swego królestwa: król Zakopanego był zarazem najzabiegliwszym jego pracownikiem. Zakopane stało się szkołą pogładową miłości człowieka.

Wszelchstronna praca Chałubińskiego w Zakopanem—to dzieło, które w zwykłym pojmowaniu sił jednego człowieka przedstawia się czemś nadzwyczajnem, bajecznem; to materyał na legendy, które kiedyś górale opowiadać będą o nim, jak o olbrzymie, co sam budował drogi, zakładał szkoły, orał ziemię i odganiał zarazę, siejącą śmierć w około.

Ostatniem pragnieniem zmożonego ciężką chorobą Chałubińskiego było złożyć swe kości na łonie pięknej natury, pośród tych gór wspaniałych, które, jak mówił, dawały mu życie, pośród tych ukochanych górali, którym tyle duszy swojej przeznaczył. Umarł dnia 4 listopada r. 1889 i ostatniej woli jego stało się zadość.

Gasnącego w Zakopanem pośród swoich najdroższych, Tytusa Chałubińskiego, usypiał Paderewski na wieczny sen najmiłą kołysanką, grając mu ulubione jego utwory... I o to też prosił przed śmiercią...

Chałubińskiego pracowitość i myśl bujna, jego odczuwanie, przechodzące wysoką miarę wrażliwości zmysłów, jego wielkie uczucie dla człowieka i przyrody—złożyły się na istotnie niezwykłą i niezmordowaną w czynie organizację, tego bez słów poety, który wiele kochał, wiele rozumiał i wiele wyrozumiewał. W skojarzeniu tych cech szczególnych obok przedziwnie pociągającej powierzchowności, szukać należy wytłomaczenia jego sił i zapału do idei, jego sławy i uroku, jego dobroci i mądrości w stosunku do ludzi i wydarzeń, jego polotu i artyzmu, jego wreszcie upodobań i namiętności...

Gdy zamknął oczy na zawsze, wykształcony ogół polski istotnie odczuł jakąś niezwykle głęboką pustkę, jakby jakiś wyłom w swej całości... Brakło jednego, ale wielkiego serca!

*Dr Józef Grabowski.*

# Franciszek Dobrowolski.

\* 1830 † 1896.

Franciszek Dobrowolski nie był poznańczykiem z urodzenia i pochodzenia, a jednak, gdy przychodzi czynić przegląd osobistości, które w ciągu wieku dziewnastego w tej właśnie dzielnicy występowały na widownię publiczną, pominiętym w tym rzędzie być nie może, gdyż drugą połowę życia swego w Poznaniu i Poznańskiem przepędził i tu rozwinął działalność, która stanowi właściwą wartość życia jego i która zapewniła mu zaszczytne miejsce pomiędzy wybitnymi i bardzo zasłużonymi tej dzielnicy mężami politycznymi.

Urodził się Fr. Dobrowolski 20 lipca 1830 r. w wiosce rodzinnej Suchympniu pod Gąbinem w Królestwie Polskim na Kujawach; ukończywszy nauki w gimnazjum w Płocku, udał się na uniwersytet w Moskwie, jako słuchacz prawa. Po ukończeniu nauk zawodowych z chlubnym świadectwem

↓ w r. 1850, wstąpił jako aplikant do sądu powiatowego w Kowalu, następnie urzędował w Brzezinach, a od r. 1860 pełnił urząd sekretarza dziesiątego oddziału rządzącego Senatu w Warszawie.

Po r. 1863 opuścił kraj rodzinny, a w r. 1865 przeniósł się do Drezna i tam lekcjami języka i literatury polskiej, jako też korespondencyami do pism polskich na utrzymanie życia zarabiał. A jakkolwiek nie pokaźnymi były dochody, jakie mu z tego płynęły źródła, wystarczyły mu one zupełnie, gdyż potrzeby jego osobiste w ciągu życia całego nigdy nie przekraczały granic jaknajskromniej nakreślonych.

W r. 1870 uzyskał obywatelstwo saskie, a stąd, po utworzeniu po wojnie francuskiej rzeszy niemieckiej, zyskał obywatel-

stwo tejże, dające swobodę osiedlania się gdzieś w obrębie krajów, do rzeszy należących. W czasie tym zawiązał pierwsze stosunki z jednym



Według fotografii z natury.

z najpoważniejszych wówczas pism politycznych i codziennych, z «Dziennikiem Poznańskim», do którego pisywał korespondencje, dotyczące stosunków polsko-rosyjskich, których doskonałym był znawcą z dawniejszych lat działalności swojej.

Za wpływem J. I. Kraszewskiego, także w Dreźnie wówczas zamieszkałego, z którym Dobrowolski przyjacielskie zawiązał był stosunki, a za poparciem Wł. Kosińskiego, jednego z ówczesnych współwłaścicieli «Dziennika Poznańskiego», powołano go od 1 stycznia 1871 r. na naczelnego redaktora tego pisma. Na tem stanowisku aż do śmierci pozostał. Od tego też czasu rozpoczęła się obfita w owoce publicystyczna, polityczna i społeczna działalność Dobrowolskiego w Poznaniu.

Gdy przybył do Poznania, walczyć musiał przede wszystkim z elementarnymi trudnościami, aby wyrobić sobie i zawodowi dziennikarskiemu wogóle należne mu stanowisko. Panowały wtedy w Poznaniu takie stosunki, że bez osobnego pozwolenia nie wpuszczano dziennikarzy na posiedzenia towarzystw i zebrań politycznych; potrzeba było twardej walki, nim Dobrowolskiemu pozwolono jako dziennikarzowi uczestniczyć w walnych zebraniach Centralnego komitetu wyborczego na Wielkie Księstwo Poznańskie. Na zebraniach tych bywał urzędnik policji pruskiej, dziennikarza polskiego nie chciano dopuścić. Energia, wola i charakter Dobrowolskiego sprawiły, że zaczęto w nim szanować stan i zawód dziennikarski. Wogóle nosił on zawsze wysoko sztandar godności dziennikarskiej i jeśli gdziekolwiek zachodziły zakusy uszczuplenia praw dziennikarzy, on zawsze gorąco a skutecznie umiał stanąć w ich obronie. Nic tedy dziwnego, że pismo, którego kierownictwo mu powierzono, potrafił postawić pod swem kierownictwem i utrzymać aż do śmierci na stanowisku nie tylko najwięcej wpływowego w obrębie ziem polskich pod pruskim panowaniem pozostających (do Królestwa Polskiego «Dziennik Pozn.», jak wiadomo, nie ma otwartego przystępu), ale i po za ich granicami szanowanego nawet przez politycznych jego przeciwników. Właściciele ówczesni «Dzien. Pozn.», to jest ci, którzy pod nazwą «firmowych» sprawowali nadzór nad jego redakcją i kierunkiem, a mianowicie Wł. Kosiński, M. Kwilecki, Miecz. Łyskowski, H. Szuman, Zygmunt i Władysław

Szułdrzyński, wkrótce się przekonali, że posiadli w Dobrowolskim człowieka niezwyklej miary, to też pomiędzy nimi a Dobrowolskim, nawet w drażliwych zagadnieniach politycznych, nie wynikły nigdy nieporozumienia. Po roku 1870 wrzała w dzielnicy wielkopolskiej gorąca walka pomiędzy obozem narodowym o barwie liberalnej a obozem konserwatywnym. Dobrowolski stanął odrazu po stronie narodowo-postępowej, stał się wnet przywódcą tego obozu i umiał w koło siebie zgromadzić wszystkie postępowe żywioły i prowadzić je w walce wyborczej od zwycięstwa do zwycięstwa. Ile razy zaś szło o obronę naszych praw na zewnątrz, nie widział przed sobą partyi, lub obozów, lecz widział tylko konieczność solidarności działania. Tak było między innymi wówczas, gdy zawrzała walka kulturalna i gdy Bismarck uczynił zamach na kościół i na nasze prawa narodowe.

Z biegiem czasu rósł wciąż wpływ, rosło znaczenie Dobrowolskiego. Na swem wybitnem stanowisku kierownika wpływowego pisma nie poprzestał. Uważał on swoje stanowisko dziennikarza, jako pole szerokiej działalności obywatelskiej. Odegrał też w Wielkopolsce rolę stróża i szermierza praw narodowych, a rolę tę spełniał gorliwie i czynnie, przestrzegając społeczeństwo przed każdym wymierzonym nań zamachem. Był też duszą całego życia publicznego, które przez długie lata grupowało się koło jego osoby. Nie było sprawy publicznej, żadnego ważniejszego wypadku, w którymby Dobrowolski nie brał wybitnego udziału. Była w nim nadzwyczajna, rzadka wśród nas Polaków, sprężystość, ruchliwość i pracowitość. Gdy jedni rozpaczali, a inni zakładali ręce bezczynnie, on niestrudzony powoływał społeczeństwo do czynu, a ile razy do jakiego przedsięwzięcia ludzi zabrakło, on sam brał sprawę w rękę i zwykle cel zamierzony osiągał. Rzec można, że Dobrowolski za dużo brał na swoje nieznużone barki; nie tylko dawał pomysły i plany, ale sam je wykonywał i sam za innych myślał i pracował. Można powiedzieć, że nawet popsuł swoich współobywateli daniem do wielu czynów inicjatywy. Towarzystwo oświaty ludowej, Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt, Towarzystwo pomocy naukowej imienia Marcinkowskiego, Towarzystwo przyjaciół nauk, Towarzystwo przemysłowe, komitet wybor-

czy miejski, komitet centralny,—oto niektóre pola rozległej pracy Dobrowolskiego, wśród których ten znakomity organizator pracy społecznej ożywiony był wielką, niczem niewzruszoną wiarą w siły żywotne naszego społeczeństwa i w lepszą jego przyszłość.

Jest to logicznym i psychologicznym wynikiem położenia tego odłamu społeczeństwa polskiego, które pod pruskim zostaje panowaniem, że wszystkie jego wysiłki, chociażby do najszczytniejszych zdążały celów, nie nabierają tego blasku i znaczenia na zewnątrz, jakie zdobywałyby sobie w innych warunkach,— że mężowie, którzy czynni w nich biorą udział, a nawet nimi kierują, chociażby niepoślednią odznaczali się siłą ducha, przybierają rozmiary miniaturowych raczej, niż posagowych bohaterów. Walka, jaka się tutaj od stu z górą lat toczy, chociaż bez krwi rozlewu, twarda jest i zawzięta, sięga nie tylko w dziedzinę polityczną, ale niemniej w społeczną i ekonomiczną. W tej walce stanęły naprzeciw siebie: z jednej strony odłam narodu polskiego, zaledwie parę milionów dusz liczący, ekonomicznie słaby i wątły, pozbawiony wszelkiej sposobności nietylko odżywiania sił swoich na posadach urzędowych, ale i poparcia przez organizację państwową,—a z drugiej, silnie zorganizowany ustrój państwowy, opierający się na pięćdziesięcio-, a chociażby, jak w Prusach, na trzydziestomilionowej ludności zamożnej i przeświadczonej o wyższości własnej kultury, wzdętej pychą, zarozumieniem i fantazyą zaborczą, niezwykle powodzeniem lat ostatnich podnieconą do ostateczności. Istnieje wprawdzie w Prusiech konstytucja i reprezentacja parlamentarna narodu, w której Polacy przez posłów własnego wyboru udział biorą, podobnie jak w parlamencie rzeszy. Wszakże rządzenie krajem i ludźmi, spoczywa w rękach biurokracji, zorganizowanej w znacznej części na modłę wojskowego rygoru, przejętej narodowym szowinizmem, upatrującej w Polakach i ich zachodach około zachowania swej odrębności narodowej nieprzejednanych wrogów państwa i znajdującej liczne drogi i sposoby uszczuplania im swobód obywatelskich, już to przez rozporządzenia ustawodawcze, już też nawet przez wybiegi policyjne. *Racya stanu* i płynący z niej rzekomy obowiązek strzeżenia dobra pospolitego i całości państwa

starczyły tu zawsze, nawet wśród walk parlamentarnych, do uzasadnienia wszelakich rozporządzeń wyjątkowych, urągających zasadzie równego prawa dla wszystkich obywateli.

Wśród takiej to wyczerpującej walki przebył na stanowisku żywot swój Dobrowolski w Poznaniu, a przebył go, nietylko przed walką się nie chroniąc, ale przeciwnie, biorąc w niej udział gorący i wielostronny, wszędzie do pierwszego stając szeregu. Jako naczelny redaktor «Dzien. Pozn.», z urzędu niejako musiał tę walkę prowadzić w publicystyce, to jest w drodze najczęściej prowadzącej do zatargów z władzami policyjnymi i sądowymi, w dwójnasób czujnymi i drażliwymi, ilekroć o kwestye narodowości polskiej chodziło, a przytem w organie codziennie wychodzącym, bezustannie więc wystawionym na zatargi z nieobliczoną i nieobliczalną interpretacją prawa prasowego. Walkę tę zaś utrudniały niepoślednio właśnie polityczne, że je tak nazwiemy, domowe, których u nas nie brakło prawie nigdy, z którymi się przecież załatwiał redaktor «Dzien. Pozn.» z równą stanowczością, jak i godnością. W ważnej czynności wyborów do Izby prawodawczych czynny zawsze brał udział nietylko jako członek centralnego komitetu wyborczego na W. X. Poznańskie i tegoż sekretarz, ale także jako gorliwy agitator w czynności wyborczej samej, organizując wiece wyborcze i przemawiając na nich. Przytem—rzecz znamienita i charakteryzująca Dobrowolskiego—nigdy nie wysuwał swej osoby, choć mógł i miał prawo. Owszem, wyszukiwał, rzec można, osobistości, które uważał za uzdolnione do sprawowania urzędu poselskiego; ociągających się lub znużonych walkami parlamentarnymi, nie przynoszącymi pozornie wybitnych i dodatnich plonów, znagłał perswazyami i przekładaniem obowiązku narodowego do przyjmowania mandatu, nie zawsze—wedle zdania znaglanych—pożądanego. W kołach polskich parlamentarnych głos Dobrowolskiego wiele ważył, a zdanie jego i sąd cenili wysoko mężowie tej miary, jak posłowie: Jarochowski, Niegolewski, Kantak, Wierzbński, bracia Łyskowscy i inni.

Ofiarność Dobrowolskiego i gotowość niesienia pomocy potrzebującym, były nieznużone i prawie granic nie znały. Szczupłymi rozporządzając funduszami, mieszcząc się w jednym mizernym pokoiku, nietylko starczył na



bardzo skromne, bo iście po spartańsku pojmo-  
wane potrzeby własne, nie tylko chętnie niósł skład-  
ki na cele publiczne, ale i wielu potrzebującym  
dawał pomoc w sposób biblijny, że nie wiedziała  
lewica co czyni prawica... A gdzie sam był za  
słabym do pomocy, tam, mając rozległe stosunki  
osobiste, wpływem swoim, prośbami i nieomal na-  
tarczywymi przedstawieniami skłaniał i pobudzał  
ludzi zamożnych a gnuśnych do ofiarności — nie-  
jeden z ubogiej młodzieży ówczesnej takiej po-  
mocy Dobrowolskiego zawdzięczał możność zdo-  
bicia wykształcenia i stanowiska.

Jednym z wybitnych planów działalności je-  
go publicznej było ustalenie teatru polskiego  
w Poznaniu. Można, rzecz naturalna, toczyć spór  
o to, jak go toczono rzeczywiście, czy dla spo-  
łeczeństwa ekonomicznie tak niezamożnego, jakim  
jest poznańskie, ofiary, łożone na utrzymanie te-  
atru własnego, nie są za wysokimi. Wśród ście-  
rających się zdań, Dobrowolski w teatrze naro-  
dowym upatrywał jedną z najdzielniejszych dźwi-  
gni poczucia narodowego, dla ożywienia które-  
go niema ofiary zbyt wysokiej. Z niezwykłą,  
niczem nie zrażoną gorliwością a równą bez-  
interesownością zabiegał też około tego dzieła,  
którego dokonanie w głównej części jego pozo-  
stanie zasługą, gdyż i dyrekcyę teatru przez  
dłuższy szereg lat sprawował z korzyścią dla in-  
stytucyi, ale bez żadnego dla siebie samego wy-  
nagrodzenia. Spory sporami, lecz niepodobna  
nie zauważyć, że przez podtrzymywanie teatru Do-  
browolski podtrzymywał gasnący ruch umysłowy  
w Księstwie.

Prześlicznym wreszcie liściem w wieńcu za-  
ług obywatelskich, który sobie Dobrowolski uwił  
bez ambitnych jakichbądź zabiegów, jest rozrze-  
wniająca prawdziwie piecza, jaką roztoczył nad  
biedną i drobną dziatwą poznańską. Jego za-  
biegliwości, jego nieustającemu kołataniu zawdzię-  
czała dziatwa spore kwoty składek, jakie się gro-  
madziły na jej pożywienie, na przyodziewek, na  
podarki gwiazdkowe, wreszcie na wyprawianie jej  
w czasie feryi szkolnych na wieś, gdzie jej go-  
ścinnie otwierano wrota pośród swojskiego, ducha  
podnoszącego, otoczenia. Utworzenie kolonii le-  
tnich oraz opieki moralnej i materialnej nad bie-  
dną dziatwą w Poznaniu jest dziełem inicjaty-  
wy Dobrowolskiego.

Tacy, jak Dobrowolski, mężowie czynu nie

stapają w życiu po kwiatach. Zawieść i złość  
ludzka ścielą ich drogi życia cierniami. Nie bra-  
ło Dobrowolskiemu w życiu cierni. Takich jak  
on ludzi oceniają wszędzie zwykle dopiero po  
śmierci. A jednak dożył on wielkiego święta ra-  
dości. W dniu 5 stycznia 1896 r. na pięknym  
obchodzie uczczenia 25-letniej pracy obywatel-  
skiej i publicystycznej Dobrowolskiego społe-  
czeństwo wielkopolskie wręczyło Dobrowolskiemu  
adres, odczytany przez posła Stefana Cegielskiego,  
w którym nie tylko wyrażono Dobrowolskiemu  
hołd za uczciwą, bezinteresowną, owocną służbę  
obywatelską, za oddanie całego swego życia dla  
dobra współziomków, ale nadto uwielbienie za je-  
go przezczysty charakter. «Nie zważając na spo-  
tykające się zapory, nie bacząc na nieuzasadnio-  
ne zwykle zarzuty, zyskiwałeś (są słowa adresu  
jubileuszowego) ciągłą i niestrudzoną pracą swoją  
coraz większy wpływ i uznanie społeczeństwa.  
Nie ograniczałeś się na staraniach około powie-  
rzonego twej pieczy pisma, ale zaznaczyłeś swą  
uczynność i energię we wszystkich zabiegach  
i usiłowaniach naszych. Nigdzie nie zabrakło  
ciebie. Język, oświata, praca organiczna dzieł-  
nego w tobie znajdowały obrońcę, a pismo przez  
ciebie wydawane, zawsze było ostoją i zaporą  
przeciw społecznym przewrotom. Prace twoje no-  
siły zawsze znamiona rzadkiej bezinteresowności,  
wielkiego hartu ducha... Złożone przez obywatel-  
stwo ze składek publicznych 6100 marek, Dobro-  
wolski przeznaczył na wspomóżenie powstałych  
za jego myślą kolonii wakacyjnych dla ubogiej  
dziatwy.

Przepelnieni wdzięcznością uczestnicy jubi-  
leuszu nie przypuszczali, że spełniali wobec sędzi-  
wego jubilata przedśmiertny akt uznania, że silny  
ciałem i duchem jubilat nosi już w sobie zaro-  
dek śmierci, który po kilku miesiącach przeciął  
pasma dni jego żywota. Zgasł w zupełnem i—  
trzeba to zaznaczyć — dobrowolnem ubóstwie  
12 lipca 1896 roku. Nie miał przy sobie ro-  
dziny, ale nie był osamotnionym na łożu boleści.  
Czuwali przy nim i otaczali pieczołowitością przy-  
jaciele, a w ich rządzie mecenas Głębocki, poseł  
Stefan Cegielski, dr. Kusztelan, p. Anastazy  
Warnka i p. Bielińska.

Trafną charakterystykę Dobrowolskiego po-  
dało jedno z pism wielkopolskich. «Człowiek to  
był mrówczej pracy, a hartu niezwykłego, ela-



styczny, giętkości stali, lecz nie chwiejności trzciny. Ustępował, nagiął się, prawie się poddawał, lecz złamać się nie dawał. Przyjmował wrażenia i myśli, lecz nie po to, aby pozwolić im się w duszy wycisnąć, tylko—aby je przetrwać, zabarwić je własną myślą, nadać im swoje «ja»—i wtedy wychodziły one z niego ku zdumieniu inicjatora inne, oryginalne, tworzące. Dlatego Dobrowolski przedstawia postać niezwykle wybitną, postać cnót znacznych, surową i nieubłaganą, jednak pełną sprawiedliwości i tego pobłażania, które tylko wielkim duchom jest właściwe. W tej postaci jest potęga, która podbija, lecz także jest słodycz, która ujuje. Z brązu i granitu zdawał się być,—a jednak nie tyle owa postać jest twardą, aby miała uporem niezachwianym się rządzić, aby nie miała się dać poruszyć rozumem przedstawieniem, aby nie miała mieć serca. Jeżeli z pozoru był nieubłagany, to za to w istocie rzeczy serce jego było miękkie jak wosk. Był doświadczonym szermierzem i wytrawnym politykiem. Zrozumiał swoje kresowe stanowisko,—zrozumiał, iż tu trzeba być i duszą kozacką i zarazem przejąć trudne posłannictwo wodza i nauczyciela. A jak spełniał to zadanie, jak walczył i po rycersku i po kozacku, jak nauczał, niby mistrz prawdziwy, jak

prowadził, niby wódz urodzony, o tem świadczy wszystko to, co wskrzeszone, co stworzone, co żyje. W tym siwowłosym starcu o wejrzeniu bystrem, o rysach wybitnych, w których dobroć a przede wszystkim nieugięta siła woli się malowała, żyło kawał historyi naszych kresów wielkopolskich, lecz z nim razem nie umierają owe dzieje. Dużo on pozostawia na ziemi świadków żywotnych, którzy mówią głosem wielkim: «ten mąż działał». Nie umierają dzieje ubiegłe z nim powtórę dlatego, iż pokazał nam, jak pracować. Idźmy w jego ślady».

Na skromnym pomniku, jaki nad mogiłą Dobrowolskiego wzniesiono na cmentarzu św. Marcińskiego w Poznaniu, widnieją w kamieniu wyryte wdzięczne słowa tej przez zasłużonego męża umiłowanej dziatwy. Wszakże nad pomnik kamienny, wzniosł sobie sam Dobrowolski, według słów wieszczki rzymskiej, *monumentum aere perennius* w sercach społeczeństwa, któremu służył.

Niech i to wspomnienie posłuży ku utrwaleniu pamięci męża, który skromnie, wiernie i wytrwale, żadnymi nie zrażany przeciwnościami, pracował nie dla siebie, lecz dla narodu swojego.

*Henryk Szuman.*



# Eleonora Ziemięcka.

\* 1819 † 1869.

**W** czwartym dziesiątku ubiegłego stulecia, staranniej a głębiej wykształcone kobiety polskie pragnęły jaknajdalej rozprzestrzeniać te promienie oświaty, które im samym światła i ciepła udzieliły. Nie brakło pojedynczych osobistości, które na tle przełomowego omdlenia umysłów, lub toni bezmyślnego życia towarzyskiego głęboko odczuwały potrzebę szlachetniejszych dążeń.

Do pewnej samodzielności w tym kierunku pobudką była i ta okoliczność, że odczuwały one nadto brak duchowych towarzyszków i towarzyszek, brak wielu tych najlepszych, których daleko od kraju uniosły wiry zamkniętych wówczas żałobnie wypadków dziejowych.

Dla istot niezadowolonych z rzeczywistości a pragnących zarazem wypowiedania swoich myśli, najlepszym, bo najspokojniejszym schronieniem jest literatura. Ale wówczas z różnych względów zarówno czytelnictwo jak piśmiennictwo w kraju przedsta-

wiało się bardzo ubogo. Trzeba przyznać, że kobiety jedno i drugie ożywiały.

Opinia publiczna, doniedawna bardzo źle usposobiona wogóle dla literackiej twórczości kobiet, siłą faktów już była przekonana o wartości pisanych przez kobiety dziełek dla dziatwy, oraz uprawianego przez nie działu poezji i powieści. Klementyna Tańska, Marya Wirtemberska i Elżbieta Jaraczewska utorowały już drogę polkom, pragnącym przyczynić się do ogólnego w tych kierunkach dorobku.

Na tem tle rozpoczętego ruchu piśmienniczego wystąpiła młodzianka debiutantka, Eleonora Gagatkiewiczówna, oddając się z zapalem i wytrwałością nie tym, tolerowanym już przez opinię działom piśmiennictwa kobiecego, ale głębszym studjom naukowym.

Trzeba było mieć

dużo moralnej siły, aby nie zniechęcać się pierwszymi zaraz atakami zarzutów, uprzedzeń i docinków, jakie spadły na głowę tej pierwszej



Z drzeworytu społecznego rysował G. Pillati.

*Eleonora Ziemięcka.*

u nas przedstawicielki ruchu filozoficznego. — Eleonora Gagatkiewiczówna urodziła się 1819 r. we wsi Jasieńcach pod Czerskiem. Po stracie rodziców we wczesnym bardzo dzieciństwie, wychowywała się pod opieką swej babki, Eleonory Łuszczewskiej, która zajmowała się nią bardzo starannie. Oboje dziadkowie ułatwiali ukochanej wnuczce poznanie naszych wielkich pisarzy: babka wieczorami głośno czytywała arcydzieła poezji romantycznej, dziadek zaś szczególnie zalecał wnuczce do czytania utwory naszych klasyków, którym i w swoim sercu i w staroświeckiej bibliotece pierwsze miejsce przeznaczył.

W takiej tedy rodzinnej atmosferze, oprócz utworów poetycznych czytywano «uczone i pełne ducha rozprawy estetyczne Kazimierza Brodzińskiego» i poważne artykuły z «Pamiętnika umiejętności i literatury». «Takie żywioły—pisze Ziemięcka — rozwinęły we mnie zamiłowanie autorskiego zawodu, ukazując mi w nim szczyt wielkości i źródło najslodszych roskoszy». Ciągłe obcowanie ze starszymi, czytanie i wynikające z niego poważne rozmowy, wreszcie wczesne upodobanie w przelewaniu myśli swoich na papier — wszystko to sprawiło, że nie tylko umysł jej rozwijał się poważnie i bardzo szybko, ale i przez częste pisanie nabrała takiej w nim wprawy, iż wypracowania dwunastoletniej autorki Jachowicz uznał za godne druku i pomieszczał w swoim «Dzienniku dla dzieci». Dziecko wprawne piórem pisało: «O historii polskiej», «O nagrodach pieniężnych za chlubne postępy», «Odezwę do kobiet za mową ojczystą». O tych artykułach, podpisanych inicjałami (E. G.) lub Eleonora G., nigdy później Ziemięcka nie wspominała, jakkolwiek ona była ich autorką: widocznie uważała je za błahe, chociaż były w nich myśli głębsze a rzecz każda przedstawiona wcale udatnie.

Wypadki roku 1831 wytrąciły pióra z rąk na lat parę; czasopisma nasze w kraju, z wielu względów doszły do niesłychanego ubóstwa. W drugiej połowie roku 1833 w dogorywającym z braku poparcia «Tygodniku Polskim»,—jedynym wtedy piśmie literackim—wystąpiła młoda autorka, podpisując się całym już nazwiskiem. Czternastoletnia Eleonora Gagatkiewiczówna popularyzowała ówczesny ruch naukowy i społeczny w całej jego rozciągłości. Przesunęły się przed czytelnikami «Tygodnika Polskiego» nazwiska głośnych filozofów, chemi-

ków, fizyków; wiadomości z ekonomii politycznej i o postępie fizjologii. Wzorując się na Janie Śniadeckim, głosiła młode dziewczę teorie Locke'a i Condillaca, odnosząc się z pewnym lekceważeniem do filozofów niemieckich. Nauki pojmowała ze strony praktycznej, dążącej do zastosowania ich zdobyczy w życiu codziennym «ku wzmoczeniu szczęścia społecznego». W tem samym piśmie umieszcza swoje «Myśli o wychowaniu kobiet», zaznaczając potrzebę «nauki wielostronnej dla niewiast, aby się uważały za członków całego rodu człowieka». Był to narazie tylko ogólnikowo wyrażony dezyderat, który, jakkolwiek przewyższał zakreszony przez Tańską program nauk dla kobiet, to jednak przez opinię publiczną przyjęty został przychylnie, a nawet doczekał się przedruku w «Dzienniku powszechnym», jako nowe hasło społecznego dążenia. Młodziutka panienka, pomimo wielkich zdolności i zapału, nie mogła być w tych wszystkich pracach autorką samodzielną. Artykuły jej w «Tygodniku Polskim» to echo chwili, to aktualne streszczenia i tłumaczenia dziennikarskie. Pomimo to z długiego szeregu artykułów młodej autorki wiadać, iż odczuwała ona potrzebę głębszej, wszechstronnejszej nauki dla kobiet, a w przekonaniu o wszechpotędze niemal rozumu ludzkiego, sama gorąco pragnęła wiedzy. To też z całym zapałem wzięła się do pogłębiania własnego wykształcenia przez czytanie dzieł spirytualistów oraz wogóle uczonych francuskich i wpływom ich narazie poddała się zupełnie.

W roku 1834 wychodzi za mąż za Antoniego Ziemięckiego, sąsiada swoich dziadków Łuszczewskich, który świeżo powrócił ze studiów malarzskich z zagranicy, a pod względem poziomu umysłowego i zapału do nauki zupełnie harmonizował z Eleonorą. Wkrótce po ślubie Ziemięccy wyjechali do Dreżna, zatrzymując się czas pewien w Krakowie, gdzie prowadzone w duchu Hegla wykłady Kremiera zaciękały i zjednały płomienną duszę Ziemięckiej. Otoczenie wykształconych rodzin niemieckich oraz studia estetyczne i filozoficzne w Dreźnie złożyły się na to, że Ziemięcka powróciła do kraju z zachwytem dla ich pracy i ścisłości, z uwielbieniem wreszcie dla plejady filozofów niemieckich, którzy odtąd we wrażliwym jej umyśle zajęli miejsce sensualistów i spirytualistów francuskich. W zupełności pochłó-

nęła ją teoria, która zdawała się wszystko obejmować i jasno tłumaczyć, dając zarazem w jej przekonaniu «miejsce dla wiary, miejsce dla zaświatowych nadziei».

Po powrocie z Drezna osiedli Ziemięccy na lat sześć w swoim majątku, Trzylatkowie, gdzie Eleonora obok obowiązków matki, gospodyni i czynnej dla wieśniaków obywatelki, z zamiłowaniem oddawała się i literaturze. Ztąd, jako stała współpracowniczka, nadsyłała do wychodzącego w Warszawie pierwszego naszego pisma ilustrowanego, «Magazyn Powszechny», liczne biografie uczonych i poetów. Z tych krótkich życiorysów przebiegał zapał autorki do nauki i uznanie «dla mocy umysłowości człowieka». Jednocześnie w każdym tomiku «Pierwiosnka», noworocznika wydawanego przez Krakowową i złożonego z utworów tylko kobiecych, znajdują się prace Ziemięckiej, kreślone pod wrażeniem Niemców i pobytu w Dreźnie. Jednakże już w roku 1839 pisała w «Pierwiosnku» (str. 180): «Umysł mój, uderzony wielkością teorii Hegla, która dziś wszystkie gałęzie poznania oświała, nie śmie sądzić; rozum nie może znaleźć żadnego zarzutu, bo i on objęty w mistrzowską mędrca oprawę; wszystkie wątpliwości wytłumaczone, przewidziane... a jednak, wśród uwielbienia nawet, serce moje tęskni mimowolnie za idealizmem; przywykłe oddawna w krainie nadziejskiej czerpać dla siebie żywioł, nie może się od niej oderwać... nie może żyć nową karmią...» Nie wiadomo, skutkiem jakich wpływów zewnętrznych dokonało się w Ziemięckiej szybkie stosunkowo przejście do zupełnego poddania się wierze, z odrzuceniem bez żadnej krytyki i zastrzeżeń owej wszechładnej filozofii Hegla, którą wreszcie trafnie panteizmem nazwała. W artykule «Myśli o filozofii»\*), nie znajdując w niej zadowolenia serca i ukojenia, które natomiast dawała jej religia, zaznaczyła to przekonanie, że «gdybyśmy władzy rozumu nie dawali pierwszeństwa nad innymi władzami ducha naszego, wiele rzeczy dziś niezrozumiałych jasnymi się okazało». W «Myślach o filozofii», które autorkę doprowadziły do bezpiecznej przystani, mającej zapewnić jej ukojenie zupełne, Ziemięcka sformułowała trzy wnioski, wprost przeciwne wyznawanym i bronionym dawniej postulatam: po pierw-

sze, że panteizm Hegla, «wyrosły z obłąkań rozumu, pychy i namiętności», nie da się pogodzić z wiarą chrześcijańską; powtóre, że «moralność nie zależy od uprawy rozumu», lecz uprawy uczucia pod wpływem religii; potrzecie, że należy pracować nad wychowaniem pojedynczego człowieka, gdyż utopią jest marzenie o budowie społecznej, któraby wszystkie cierpienia i klęski usunęła.

Najważniejszą jednak pracą Ziemięckiej są jej «Myśli o wychowaniu kobiet» (1843). Kobieta jest człowiekiem, a tymczasem wykształcenie jej skierowane jest do celów ubocznych, usuwa ją od tych zajęć i wiadomości, a zarazem od tego ich pogłębienia, które dla człowieka są niezbędne. Wychowanie zamiast kształcić umysł, spacza umysłowość kobiety nadmiernym rozwijaniem uczucia i wyobraźni, oddalając ją tem od istotnych warunków życia, które właśnie wymaga głębokości sądu i samodzielności. Na podniesieniu samodzielności kobiet społeczeństwo nie tylko nie straci, ale zyska wiele. Wychowanie musi opierać się na zasadach wiary; rozum ma wiedzieć, że wiary nie zastąpi; uczucie powinno pozostawać pod strażą religii, która zaleca kształcenie woli i charakteru przez cierpienie i wyrzeczenie się wszystkiego, co się na ziemi szczęściem nazywa. W rozwinięciu szczegółowym opartego na tych podstawach planu nauk, Ziemięcka wymieniła religię, przedmioty matematyczne, przyrodnicze, geografę, języki obce z ojczystym na czele, literaturę powszechną, wreszcie historię z nauką prawa i ekonomii politycznej. Nauk filozoficznych nie pochwała, nie jest również zwolenniczką rozwoju talentów. Mówiąc o naukach przyrodniczych, daje miejsce pojęciom z higieny i nauk z nią pokrewnych.

Wypowiedziane 60 lat temu śmiało i stanowcze założenie, z jakiego Ziemięcka wyszła w swoich «Myślach o wychowaniu», jest godne szczególnego zaznaczenia i nigdy nie straci na wartości. Nie ono jednak było przyczyną ożywionej polemiki, jaką dziełko jej wywołało.

Przebijający nastrój religijny był powodem, że postępowy odłam prasy warszawskiej zarzucał Ziemięckiej krepowanie wykształcenia więzami teologii, uchybiające pojęciom samodzielności umysłu. «W rozum nie wierzy, siłą myśli gardzi, potęgę uczucia odrzuca», — pisano w «Przeglądzie naukowym»; innych znów raził program nauk, zbyt

\*) «Biblioteka Warszawska», 1841, t. II, str. 407.



obszerny a niepraktyczny, przytem arbitralność przekonań; nie brakło wreszcie zarzutów zgola nie słusnych, a bardzo przykrych, zgryźliwych, nawet wycieczek czysto osobistych. Wprawdzie niektórzy pisarze, należący do obozu «Tygodnika Petersburskiego», jak ks. Ignacy Hołowiński, J. I. Kraszewski, Michał Grabowski, z przekonania bronili Ziemięckiej, ale to zdawało się nawet zwiększać zaciętość przeciwników.

Dla obrony swoich przekonań Ziemięcka, w bardzo ciężkich warunkach, bo bez funduszków przez 5 lat wydawała «Pielgrzyma», organ własny. Pisała wiele. W kilkudziesięciu artykułach przebija trafność uwag pojedynczych; raziło jednostronne, stereotypowe zapewnianie czytelnika tylko o »pysze rozumu«, gdziekolwiek umysł ludzki chciałby zachować samodzielność, o jego sprzeczności z wiarą chrześcijańską i poddanie wszystkich władz i czynności ducha, poddanie życia, nauki i sztuki usługom religii, której nastrój miał być miarą ich znaczenia i doniosłości.

Ziemięcka stargała swe siły nadmiarem pracy w «Pielgrzymie»,—który przeważnie sama wypełniała, a pismo jej upadło dla braku poparcia.

Zmęczona wysiłkami i chorobą, usunęła się na wieś, oddana wychowaniu swej córki Eleonory, jedynej jaka z trojga dzieci jej pozostała. W piśmiennictwie przez lat kilka nie przyjmowała udziału, poprzestając jedynie na obserwacji jego rozwoju.

Kiedy po wypadkach 1848 i 1849 r. oskarżono niezależne prądy filozoficzne o wytworzenie gruntu do burzenia porządku społecznego, nastąpił w Europie nagły zwrot ku religii, jako jednemu lekarstwu przeciwko zgubnej dla społeczeństw analitycznej dążności rozumu i samodzielnego badania. Ziemięcka znalazła się wówczas w swoim żywiole i z radością powitała zwrot ku przeszłości.

Po wydaniu córki za mąż w r. 1854, przyjęła bardzo czynny udział w ówczesnym ruchu religijnym i przyczyniła się do niego przekładem kilku dzieł treści religijnej, współpracownictwem w «Pamiętniku religijno-moralnym» i ogłoszeniem w r. 1857 swoich «Zarysów filozofii katolickiej, w czterech poglądach zawartych». Dzieło to było w założeniu próbą pogodzenia wiary z wiedzą na podstawach naukowych; treść jego sama autorka w swych *Studiach* scharakteryzowała, jako «inwen-

tarz rzeczy znanych w Kościele», jest ono właściwie nie filozofią katolicką, lecz filozofią katolicyzmu.

Bardzo naturalną rzeczą u Ziemięckiej było, że przewodnikiem jej argumentacji, dążącej do pogodzenia wiary z wiedzą, był Ś-ty Tomasz z Akwinu. Tem łatwiej też było autorce o to wewnętrzne przekonanie, że cel zawily osiągnęła w swej pracy: że zasady wiary, jakkolwiek a priori postawione, zdołała pogodzić ze ścisłym krytycyzmem rozumu.

Oprócz uzasadnienia dążeń katolickich, we wszystkich pismach Ziemięckiej od roku 1857 rozszerzają się widnokręgi działalności rozumu, przemawia więc za jego ważnością i kształceniem, za rozwojem piśmiennictwa i urządzeń społecznych.

Ten powolny, choć bardzo wyraźny i stanowczy, zwrot umysłowości Ziemięckiej ku krytycyzmowi na podstawach wywodów rozumowych przebiega już w artykule «Ks. Ventura i jego systemat». Zbijając niektóre poglądy autora, samemu tylko rozumowi, bez pomocy objawienia, przyznaje ona możliwość osiągnięcia prawd moralnych. Nie zgadza się także na przekonanie, że pewność poznania zawdzięczamy powszechnej tradycji rodu ludzkiego, przeciwstawiając temu pojęciu znaczenie rozumu indywidualnego. W tym samym duchu, a przynajmniej z pokrewną myślą przewodnią, trzyma autorka szereg swoich artykułów popularnych pod ogólnym tytułem «Siejba łaski» i kilkanaście «Powiastek ludowych», w których przedstawia potrzebę rozumowej pracy — obok pielęgnowania uczuć religijnych. Prace popularne Ziemięckiej, pomimo przystępnej formy opowiadania, nie rozchodziły się szeroko; «popularność» ich pozostawała tylko w tytule, gdyż autorka swych poważnych tendencji nie umiała przeprowadzić z ujmującą czytelnika prostotą i artystyzmem.

Ustanowienie w roku 1861 kursów przygotowawczych do Szkoły Głównej wywołało nagłą potrzebę podręcznika logiki i psychologii. Ziemięcka chciała zaradzić temu brakowi i wraz z otwarciem Szkoły Głównej, ukazuje się już gotowy «Przewodnik filozofii», złożony z przekładu dzieł Jacques'a, Simon'a i Saisset'a. Pomimo jasności wykładu i wybornego języka, «Przewodnik» nie doznał wielkiego rozpowszechnienia, jako nieodpowiedni wymaganiom wykładu uniwersyteckiego, prowadzonego w duchu idealno-realnym, a nie



spirytualistycznym, jaki właśnie cechował «Przewodnik filozofii», zgodnie z przekonaniem i intencją tłumacza.

Gdy w końcu r. 1862 ukazał się w obiegu, jako domniemany podręcznik, przekład Historii filozofii Schweglera, dokonany przez F. K., a oparty na teorii Hegla i poprzedzony w duchu tychże pojęć przedmową tłumacza,—Ziemięcka wystąpiła z protestem w formie listu otwartego w «Przeglądzie Europejskim». Ten słuszny w zasadzie protest miał na widoku uchronienie młodzieży polskiej od bezkrytycznego poddania się heglowskiemu systemowi idei bezwzględnej, który tymczasem już inne narody europejskie albo odrzuciły zupełnie, albo też zmodyfikowały. Szło tedy Ziemięckiej nie o samo dzieło Schweglera, które zubożeniem literatury nazwała, ale o dodatek tłumacza. Ten właśnie dodatek dotknął Ziemięcką tembardziej, że miał być nadto zarysem dziejów filozofii w Polsce, a tymczasem lekceważono w nim «genialnych naszych mistrzów»: Cieszkowskiego, Gołuchowskiego, Kremera, Libelta, Trentowskiego, którzy stawali w obronie osobowości Boga i nieśmiertelności duszy.

Trzy lata pracy poświęciła Ziemięcka na przygotowanie «Filozofii społecznej», aby wypowiedzieć walkę szerzącemu się wówczas materjalizmowi, «poniżającemu godność jednostki»; dzieła tego jednak nie wydała.

W r. 1863 raz jeszcze poruszyła sprawę wyższego wykształcenia kobiet. Rozpoczęła wydawnictwo zeszytowe p. t. «Kurs nauk wyższych dla kobiet», mający obejmować psychologię, estetykę, pedagogikę i moralność. Po wydaniu jednego zeszytu z przekładem zarysu psychologii A. Thery'ego, wydawnictwo zostało przerwane, zapewne skutkiem ówczesnych wypadków politycznych.

Eleonora Ziemięcka zmarła 23 września 1869 r.

Można nie godzić się na wiele pojęć, głoszonych przez Ziemięcką, można upatrywać nie raz zasadniczą w nich sprzeczność, jakby chwiejność autorki — o ile istotnie przemiany te nie są dowodem usprawiedliwionych refleksji i postępu — ale nie można zaprzeczyć jej wyższości. Był to jeden z najwcześniejszych, najbardziej wykształconych, najruchliwszych i najwytrwalszych u nas umysłów. Pierwsza wśród naszych pisarzy wystąpiła w obronie podniesienia kobiety, jako

człowieka, w obronie wyższego i wielostronnego a zarazem praktycznego wykształcenia legionów istot, których «kobiecość» jest w wychowaniu i życiu społecznym wysunięta na pierwszy plan z ujmą dla ich człowieczeństwa. Hasło to nie tylko podniosła, ale w imię jego długo i wytrwale walczyła, wycierpiała za sprawę, a doczekawszy się uznania, utorowała drogę innym. Chciała widzieć kobietę uszlachetnioną i po chrześcijańsku szczęśliwą.

Nie był to umysł twórczy, raczej asymilujący; to też nieustrudzona myślicielka w pracach swoich w dziedzinie filozofii nie pozostawiła nowych prawd, oryginalnych pomysłów. Pierwszą jednak u nas była Ziemięcka kobieta, która systematycznie zajmowała się nauką abstrakcyjną, przetwarzając jej podstawy i wnioski we własnej świadomości. Prof. Chmielowski, kończąc o niej studium, z którego korzystałam w niniejszym życiorysie, podnosi ten właśnie przymiot jej ducha, który «sprawił, iż nie zamknęła się w raz zdobytej twierdzy, lecz, uzyskawszy jakiś punkt oparcia, rozglądała się z niego we wszystkie strony i wzbogacała umysł świeżymi dopływami badań rozumu ludzkiego».

Ktokolwiek wejrzy w piśmienniczą i społeczną działalność Ziemięckiej, łatwo przyjdzie do wniosku, że, pomimo szeregu prac treści filozoficznej, ścisłego filozofa było w niej mało; niektórzy nawet widzą w niej tylko moralistkę. Główna jednak jej zasługa, która chlubnie wpisuje imię Ziemięckiej w poczet zasłużonych, jest inna. Oprócz dążeń do oświaty rzuciła ona na rodzinną niwę zdrowe ziarna przyszłych obowiązków kobiety, budząc ją do samodzielności i umysłowego podniesienia. Z pojęciem matki, wychowującej potomstwo nie tylko dla jego wegetacji, ściśle łączyła szerokie wykształcenie kobiety dla uświadomienia celu jej pracy i głębszego tejże pracy traktowania; w podziale obowiązków społecznych zakresliła kobietom rolę współrzedną z mężczyznami. Eleonora Ziemięcka poruszyła ukryte, oddawna nurtujące prądy, co jak bystry potok roztoczyły swoje wartkie wody daleko, unosząc na sobie skruszałą już skorupę przestarzałych praw i przesądów.

*Marya Chęłmońska.*

# Józef Sowiński.

\* 1777 † 1831.

Józefa Longina Sowińskiego wydał korpus kadetów. Siedemnastoletni wówczas młodzieniec, urodził się bowiem 15 marca 1777 r., należał on do ostatniej generacji wychowanców tego zakładu, którymi rok 1794 przerwał studia.

Ówczesny korpus kadetów w Warszawie był sławnym zakładem naukowym pod przewodnictwem księcia Adama Czartoryskiego, generała Ziem Podolskich, z którego wyszli uczniowie tacy, jak Kościuszko, Sokolnicki, Niemcewicz i wielu innych. Sowiński znalazł miejsce dla siebie w tej szkole rycerskiej, jako syn metrykanta koronnego i szlachcic.

Okoliczności rzuciły Sowińskiego odrazu na drogę wojskową. Były to czasy, w których panowało przekonanie, że na innej drodze krajowi służyć nie można. To przeświadczenie instynktownie trafne, skłoniło do kariery wojskowej wszystkie niemal ruchliwsze jednostki z pośród ludzi owoczesnych; nawet tak pokojowo nastrojone osobistości, jak Niemcewicz, Fr. Morawski, Brodziński przeszli przez wojsko. Z tej licznej młodzieży szlacheckiej później czasy napoleońskie zrobiły żołnierzy dobrych, zdolnych nie tylko do bohaterstwa chwili, ale do trwałego przejęcia się duchem i obowiązkowością żołnierza.

Sowiński nie był żołnierzem z przypadku; był nim odrazu z urodzenia, z upodobań następnie, zbliżał się raczej do tej kategorii oficerów, którym, jak Fiszerowi, Kołaczkowskiemu i Prądzyńskiemu, zawsze i wszędzie chodziło o wiedzę wojskową, którzy i w innych, normalniejszych warunkach służyliby krajowi wojskowo.

Wypadki powstania roku 1794 powołały Sowińskiego wprost ze szkoły do szeregów. Na początku tych wypadków Sowiński zebrał swych współtowarzyszów kadetów i, objawszy nad nimi

komendę, rozbroił wartę rosyjską, a stojących na Denassauskich (t. j. na dzisiejszych Dynasach przy ul. Oboźnej) oficera i żołnierzy na odwach swój wraz z jedną armatą przyprowadził, poczem kadeci złączyli się z regimentem Haumana (Działyńskiego) koło św. Krzyża. O tym fakcie pisze pułkownik Piotr Strzyżowski (rękopis w archiwum Akademii Umiejętności w Krakowie). Nie wiemy o Sowińskim nic więcej z owych czasów po nad to jeszcze, że brał on udział, jako oficer artylerii, w obronie Warszawy, a następnie w wyprawie generała Dąbrowskiego do Wielkopolski, walcząc pod Ładyżynem, Sochaczewem i Bydgoszczą.

Sowiński wogóle nie należał do ludzi, którzy się wyróżniają na pierwszy rzut oka; nawet potem, gdy go tak bardzo wyróżniła śmierć bohaterska, biografowie emigracyjni nie mogli znaleźć żadnych niemal materiałów do jego życiorysu. Jako podporucznik artylerii ginał tem więcej w tłumie.

Po kapitulacji pod Radoszkowicami i po rozbiore kraju odnajdujemy Sowińskiego na chwilę we wsi rodzinnej, zamierzającego się poświęcić stale rolnictwu. Za radą ojca wstąpił jednak Sowiński do pruskiej artylerii konnej, gdzie wkrótce otrzymał stopień oficerski.

Uderza na pierwszy rzut oka, że późniejszego obrońcy Woli nie spotykamy w legionach i że widzimy go w szeregach, w których w r. 1806 wypadło mu walczyć pod pruską Ilawą przeciw własnym rodakom. Było to jednak zjawiskiem zbyt powszechnem, aby dawało prawo do jakiegokolwiek zarzutu. Do wojska pruskiego, do korpusu kadetów — oddawało naówczas obywatelstwo chętnie swych synów, ochotnicy zaciągali się już po Jenie. Niejeden z późniejszych wybitnych oficerów Księstwa wyszedł z szeregów



*Podług portretu współczesnego, — ze zbiorów St. Van der Noot Kijńskiego.*

*Józefowiński —*

pruskich po Friedlandzie, niejednen z austriackich dopiero po Wagram. A ostatecznie przyznać wypada, że Sowińskiemu służba w wojsku pruskim wyszła na dobre: pozwoliła mu wnieść potem do wojskowości Księztwa i Królestwa pewne przymioty, których naówczas najlepiej się nabywało w wojsku pruskim.

Te zalety, wspólne Sowińskiemu z Dąbrowskim i Fiszerem, uczyniły go dobrym nabytkiem dla armii Księztwa, w której korpus oficerski, naogół bardzo świetny, zbyt mało miał ludzi, posiadających rutynę i stałość czysto wojskową.

Kampanię pierwszą polską odbył Sowiński w korpusie jen. Lestocq, bijąc się pod Królewcem, gdzie został rannym, i pod pruską Ilawą. Wyróżnił się wówczas, jako oficer zdolny i waleczny, a za bitwę pod Ilawą otrzymał krzyż *pour le mérite*.

Spełnił swój obowiązek do końca, pozostał w szeregach aż do zawarcia pokoju. Po wkroczeniu Napoleona I do Polski i po utworzeniu Księztwa Warszawskiego, Sowiński, będąc kapitanem artylerii konnej wojska pruskiego, wziął dymisyę i w r. 1811 wszedł do armii narodowej Księztwa, mianowicie do pułku artylerii konnej pod dowództwem Włodzimierza Potockiego w stopniu podpułkownika; tu powierzono mu odrazu szwadron artylerii konnej.

Spotykamy go potem dopiero w kampanii roku 1812; dowodził wówczas dwiema bateriami artylerii w pierwszej dywizji piechoty pod gen. Zajączkiem. W bitwie pod Możajskiem (Borodinem) kula działowa pozbawiła go nogi po kolano, ale waleczność okazana zwróciła na niego uwagę: ranny ozdobiony został francuskim krzyżem legii honorowej i polskim krzyżem kawalerskim *Virtuti militari*.

Po amputacji przewieziono go do Moskwy i tam pozostawiono w czasie odwrotu. Został Sowiński jeńcem wojennym, umieszczony najsamprzód w Twerze, następnie w Tambowie. Wydostał się z niewoli prędzej niż inni dzięki wstawiennictwu pruskiemu. Ks. August pruski przypomniał sobie walecznego oficera z korpusu Lestocq'a i wyjednał mu pozwolenie na powrót do kraju w roku 1813.

Po utworzeniu Królestwa, w nowej organizacji wojska, Sowiński z powodu kalectwa nie mógł być użytym bezpośrednio w służbie czynnej,

był już jednak wówczas zbyt wyróżniającym się oficerem, aby można go było pominąć. Otrzymał tedy z początku dyrektorstwo arsenału budowniczego, a następnie w r. 1820 dowództwo świeżo zorganizowanej szkoły wojskowej aplikacyjnej.

Z tego czasu mamy pierwszą jego charakterystykę zewnętrzną. »Powierzchnowość Sowińskiego,—mówi Kołaczkowski,—była nader poważną: włos siwy zdobił jego piękną głowę, wojskowa energia, z słodyczą połączona, malowała się w jego czarnych oczach i na wypogodzonem czole.« Ta szlachetność rysów i kontrast żywych czarnych oczu z siwizną zwróciła na Sowińskiego uwagę następcy tronu pruskiego, późniejszego cesarza Wilhelma I, gdy ten w r. 1830 zwiedzał szkołę aplikacyjną, a w dniu 6 września 1831 r., na parę godzin przed śmiercią obrońcy Woli, uderzył generała Dembińskiego.

Nominacya Sowińskiego na komendanta szkoły aplikacyjnej została przyjętą jak najlepiej. Surowy ale sprawiedliwy krytyk profesorów szkoły, generał Kołaczkowski, notuje w swoim pamiętniku: »był to wybór najgodniejszy, jaki zrobić było można.« Sowiński, zalecający się osobistemi wiadomościami z dziedziny artylerii, które nabył długą i zmudną pracą, gdyż przez całe życie pamięć nie dopisywała mu bardzo, miał przede wszystkim dane do kierowania powierzoną mu młodzieżą, a następnie do ochrania bytu szkoły w trudnych owoczesnych warunkach.

Był zwierzchnikiem łagodnym i wyrozumiałym, ale wymagającym i energicznym, potrafił sobie zjednać młodzież, wpływu jego na nią nie podkopały nawet wypadki 29 listopada.

Szkola była w położeniu dość trudnem, gdyż Wódz Naczelny, nie popierający wogóle wykształcenia wojskowego, niejednokrotnie zdążył do sprowadzenia jej na poziom szkoły podchorążych, a w Belwederze profesorów szkoły nazywano »białymi jakobinami.« Od epoki powstawania związków tajnych, gdy nad młodzieżą rozciągnięto wogóle silniejszy dozór, niejednokrotnie z przyczyn najzupełniej błahych szkole aplikacyjnej groziło rozwiązanie, a jej wychowawców odrywano od studyów i przydzielano do pułków. Z natury rzeczy stanowisko komendanta stawało się bardzo drażliwem, takt Sowińskiego pomógł mu jednak do wyjścia z tej sytuacji. Odtąd jednak

Sowiński wraz z Kołaczkowskim starali się o to, aby zachowanie się powierzonej im młodzieży nie dało powodu do dalszych represyj.

Wypadki nocy 29 listopada napęłniły Sowińskiego przede wszystkim obawą o los kraju. W powodzenie nie wierzył. Podobnie, jak wszyscy bez wyjątku wyżsi oficerowie owocześni, miał zbyt przed oczyma katastrofę roku 1812 i pewien sceptycyzm co do wartości rozporządzalnej energii. W pierwszych dniach, gdy panowało jeszcze złudzenie, że bieg rzeczy nie jest nieodwołalnym, Sowiński znajdował się na swoim stanowisku w szkole. Miała miejsce wówczas, w dn. 30 listopada, krótka walka między wpływem jego, «ojca szkoły aplikacyjnej», jak go naówczas zwała cała Warszawa, a wpływem otoczenia i wypadków na uczniów szkoły, podobna w wyniku również do tej, jaką w dn. 29 stoczył Bogusławski w chwili wyjścia z koszar czwartego pułku liniowego. Sowiński miał podobno oświadczyć uczniom, że «skoro sytuacja będzie nieodwołalną, sam wyjdzie na ich czele». Udało mu się zatrzymać szkołę aż do godziny 9 wieczorem i wtedy dopiero lud, wtargnąwszy na dziedziniec, porwał za sobą uczniów.

Zaczynały się rzeczy nieodwołalne, których nieodwołalność zrozumiano za późno, a wtedy nawet podjęto walkę bez najmniejszej wiary w powodzenie, w imię ratowania honoru wojskowego.

Ten nastrój panuje od początku aż po Grochów włącznie, a potem od Ostrołki aż do końca.

W początkach powstania 1831 r. Sowiński był szefem sztabu całej artylerii. Wreszcie spotykamy Sowińskiego przy samym końcu, w ostatnim akcie tego dramatu dziejowego; kalectwo jego pozwoliło mu spełnić swój obowiązek tylko w zakresie służby fortecznej, podobnie jak zasłużonemu komendantowi twierdzy Modlina, Ledóchowskiemu.

W przededniu ostatnich nieomal zarządzeń co do obrony Warszawy, zgłosił się Sowiński do gen. Krukowieckiego z prośbą o powierzenie mu dowództwa jednego z najważniejszych fortów trzeciej linii obronnej — Woli. Zapewniał, jak twierdzi Kołaczkowski i wszyscy współcześni, że «Wolę odda ze zgonem tylko».

Dowództwo powierzono mu odrazu i tu, powiedziecby można, wybór był najgodniejszym, tembardziej, że były to już czasy, w których o po-

święcenie się osobiste generałów było trudniej. Dzięki propozycji Sowińskiego historia szturm Warszawy zubożyła się o jeden więcej epizod bohaterski; takie epizody w r. 1831 najczęściej wypływały z inicjatywy osobistej, która zastępowała nazbyt często plany i rozkazy.

Wola, od czasu gdy w dn. 5 września marszałek Paskiewicz zdecydował się skoncentrować atak na gościńcu kaliskim, stawała się, wraz z przyległymi redutami № 54 i 57, najważniejszym punktem obrony. Jej prędkie zdobycie, pozostawienie jej uprzednio swemu losowi, było ze strony polskiej wynikiem nie błędu strategicznego, ale ogólnej psychologii obrony.

Pierwszy dzień odparcia szturm — to akcja bez planu, bez dowództwa, akcja jednostek bez wiary, zrezygnowanych. Kołaczkowski pisze, że obrońcy słynnej reduty № 54, która «nie oddała prochów», nie rzucali na nieprzyjaciela granatów ręcznych, nie wyzyskali jego zamieszania w chwili przechodzenia t. z. wilczych dołów, czekali na śmierć poprostu. Temu duchowi rezygnacyi żołnierza odpowiadał fatalizm dowódców. Gdy położenie na Woli stawało się groźnem, generałowie dowodzący w pobliżu zachowywali się w sposób, tak dobrze uchwycony przez poetę:

«Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu,  
Nakoniec rzekł: «Stracone»! Z pod lunety jego  
Wymknęło się łez kilka...»

Szturm zaczął się o godz. 4 rano w dn. 6 września od ataku na położoną po lewej stronie Woli redutę № 54, która wkrótce, zdobyta, wysadzona została w powietrze przez ostatnich obrońców. «Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów», «dym wionął» ku Woli i reducie № 57, znajdującej się na wzniesieniu, nawprost Woli, przeciw której zwracały się teraz z kolei kolumny szturmujące.

Z tej chwili — z ataku na redutę № 57 — mamy ostatnie świadectwo o Sowińskim. «Wszedłszy w okopy Woli, — mówi gen. Dembiński, — widziałem garnizon w zupełnej gotowości do odparcia ataku... Ledwie pół godziny zabawiwszy u szanownego generała Sowińskiego, będącego przy armacie na przodzie, ujrzałem w powrocie już cały szaniec wewnętrzny zboczony krwią, strumieniami ciekącą... Gen. Sowiński, którego rysy szlachetne nowym jaśniały blaskiem, żalił mi się,



że mały ma garnizon... Oddaliłem się od szanownego Sowińskiego, zostawiając go w najlepszej myśli. Ostatnie jego do mnie słowa, z wypogdzoną twarzą wyrzeczone, były: »Jenerale! żałuję dziś bardziej niż kiedy mojej nogi, gdyż dzisiaj bardziej by się Ojczyźnie przydała; bądź jednak spokojny, łatwo mnie nie wezmą«.

Tymczasem zdobyto redutę Nr. 57, której obrońcy nie przyjęli pardonu...

Wolę pozostawiono jej własnemu losowi.

Cały korpus Pahlana, a więc 11.470 ludzi i przeszło 82 armaty, skierowano na Wolę, bronią przez garnizon 1500 ludzi i 9 dział \*). Krukowiecki machnął ręką na propozycję Kołaczковского wprowadzenia do Woli świeżych 9 batalionów, twierdząc, że pozycja i tak jest straconą.

Pierwszy atak rosyjski doprowadził do zajęcia północnego boku fortu wolskiego. Batalion 10 pułku pod dowództwem Wysockiego cofnął się pod naporem atakujących i dopiero w ogrodzie na Woli zawiązała się walka, przy której parokrotnie odparto atakujących. W końcu jednak przemogli atakujący i batalion Wysockiego złożył broń. Obrona trwała w stronie południowo-zachodniej fortu, gdzie kościół otoczony wysokim murem, stał się nową twierdzą dla obrońców, znacznie już przerzedzonych.

\*) Bierzemy tutaj cyfry Kołaczковского. Dembiński podaje: raz — trzy bataliony, drugi raz 1317, gen. Puzyrewskij podaje cyfry stanowczo powiększone: 5 batalionów. Do niewoli wzięto 1230 ludzi.

W końcu jednak rozwalono barykady, które broniły przystępu do wrót kościelnych i roznamiętnieni oporem grenadyerzy wybili drzwi i wtargnęli do kościoła.

Garść piechoty, pozostałej przy Sowińskim, broniła się zaciekle, on sam, na propozycję poddania się, odpowiedział wystrzałem z karabinu; wtedy, broniącego się bagnetem, zakłóto niedaleko od ołtarza.... A było to między południem a godziną pierwszą.

Fort był zdobyty.

W naszej historii wojennej śmierć Sowińskiego, również jak i załogi redut Nr. 54 i 57, jest epizodem psychologicznie podobnym do tego, jakim była obrona pułku Działyńskich, który zasał pobojowisko Maciejowickie równą linią swych mundurów. W tej pogardzie śmierci, która ginącym przyświecała, nie było czynnika zwycięstwa; było to bohaterstwo podniosłej ofiarności, zaciętości i rezygnacji, różne w skutkach od bohaterstwa Somosierry i Raszyna, różne jednak tylko w momencie psychicznym, bo jednakie, jako dowód wzniosłości duszy tych żołnierzy napoleońskich, którzy nie mogąc już zwyciężać podawnemu, umieli podawnemu umierać.

Oceńczyły to raporta zwycięzcy. »General Sowiński, — pisze dziś gen. Puzyrewskij — dawszy słowo, że, dopóki żyć będzie, Rossyanie nie wezmą Woli, dotrzymał go i padł pod bagnetami grenadyerów, broniąc się u stopni ołtarza.«

Wygasił na Sowińskim jego ród, gdyż generał pozostawił po sobie jedynie wdowę bezdzietną.

*Wacław Tokarz.*



# Katarzyna Sowińska.

\* 1776 † 1860.

*A*mroku przeszłości naszej wylania się po-  
stać drobna i cicha, wolą silna, w uczu-  
ciu potężna, w cierpieniach pełna dostojęstwa,  
w poświęceniu  
bezgraniczna.  
To Sowińska.

Przyszła na świat w Warszawie, d. 10 stycznia 1776 roku. Ojciec jej, Jerzy Antoni Schröder, rodem z Hannoveru, był człowiekiem światłego umysłu. W r. 1764 przebywał on w Gdańsku. Komisya Rzeczypospolitej Skarbu Koronnego dużo czasu właśnie poświęcała sprawom mone-tarnym gwoli ich uporządko-wania. Do świe-żo założonej przez Stanisła-wa Augusta mennicy Komisy na dyrekto-ra tejsze, czyli, jak się urzędow-niewówczasmó-

wiło, na probierza, wezwała z Gdańska Schrödera, zaopatrzwszy go w stosowne instrukcje i zawarłszy z nim 21 września 1765 r. kontrakt na lat dziesięć. Wybór Komisji okazał się jak najlep-szym w skutkach. Schröder dzielnie odpowiedział

położonemu w nim zaufaniu i kontrakt z nim odnawia-no z dziesięciolecia na dziesięciolecie. W owych czasach nie brakło przykładów odznaczającej się

gorliwością, a na-wet poświęce-nia wśród fun-kcjonariuszów Komisji. Nie pozostawał bez wątpienia w ty-le Schröder, skoro na wsta-wienie się Ko-misji otrzymał nobilitację od Sejmu w r. 1792 i skoro Komisy na posiedze-niu sądowem d. 28 listopada 1793 r. «uzna-jąc długie za-sługi urodzone-go Schrödera, z przykładną pil-nością i niena-ruszoną wierno-ścią dotąd peł-nione, i z tego powodu, a oraz z obowiązku prawa winna bę-dąc zobopólnie zachowywać umowy dekla-ruje, że kon-trakt z nim za-



Wzrost fotografii z natury rysował G. Pillati.

*Katarzyna Sowińska.*

warty naruszonym być nie może».

W atmosferze szerokiej, acz burzliwej upły-wało dzieciństwo kochanej przez rodziców jedy-naczki, Katarzyny. Dom jej rodziców możny i otwarty skupiał wielu ówczesnych wybitnych ludzi.

Wśród tej atmosfery bujnie się rozwijał bystry z natury umysł dziewczęcia; jeszcze nie doszła dziesiątego roku życia, a już czytywała rodzicom ówczesne gazety.

Z czasów panieństwa Katarzyny nie wiele pozostało szczegółów. Wiadomo, że po rozbiore kraju wyszła za mąż za radcę ówczesnej Rejencji pruskiej, Karola Jonasa, lecz niedługo potem owdowiała, nie mając dzieci.

W dniu 19 lipca 1805 roku wyszła powtórnie za mąż za Józefa Sowińskiego, podówczas kapitana artylerii. Było to małżeństwo z najczystszej skłonności zobopólnej serc. Korespondencya małżonków z owego czasu, jaką miałem w ręku, świadczy z jednej strony, że młody kapitan był po uszy zakochany, z drugiej zaś strony, że wybranka jego serca godnie odpowiadała wymagom szlachetnego uczucia.

W miłości, zgodzie i pokoju, w zamięłowaniu domowego ogniska spędziła z mężem szereg lat. Nie ograniczała się jednak jej dusza sferą uczuć wyłącznie rodzinnych. Jak mąż zwany był słusznie «ojcem szkoły aplikacyjnej», tak ona znowu była tkliwą i baczną w ówczesnych warunkach życia «matką» uczniów tej szkoły. Po upływie lat trzydziestu kilku zobaczymy na pogrzebie Sowińskiej gromadkę uczniów niegdy szkoły aplikacyjnej; idący w tej gromadce ze łzami w oczach żołnierskim językiem powtarzali sobie: «Pamiętasz, bracie! Ona była nam matką!»—«O tak!» odrzekło znów kilku srebrnowąsych z głębokiem westchnieniem. Będąc tedy promieniem słonecznym ogniska domowego, stojąc na straży cnót rodzinnych, była również matką-obywatelką,

Dotychczas widzimy Sowińską przy boku męża, jako dobrą, oddaną i tkliwą towarzyszkę, szczęśliwą i szczęściem obdarzającą. Ale nadchodzi burza. Mąż w imię obowiązku idzie w wir walki,—ona w imię poczucia ciężącego na niej obowiązku, nie pozwalającego pozostawać w bezczynności, idzie koić cierpienia rannych. Oddaje się cała na usługi lazaretów, staje w tymże szeregu sióstr miłosierdzia, co Klaudya Potocka, Emilja Sczaniecka, i z całym zaparciem się siebie, niebaczną na własne bezpieczeństwo, koi swą anielską dłonią cierpienia rannych na polu walki, lub umierających z szerzącej się straszliwej zarazy. A gdy tamte dwa anioly opiekuńcze—Sczaniecka i Potocka—oddane są na

równi z nią na usługi bliźnich, ona ponad to nosi jeszcze w swem sercu trwogę o stojącego w wirze walki ukochanego męża. Tak tedy dzieli mężnie uczucia żony z uczuciami siostry miłosierdzia. Jej dom własny, gdzie do niedawna gościł cichy spokój rodzinny, staje się ustronnym lazaretem. Do niego wciąż przynoszą coraz nowe ofiary, potrzebujące pomocy, albo z niego wynoszą tam, skąd się już nie wraca, te ofiary, których pieczołowitość opiekunki uratować nie mogła. W owym lazarecie również obija się o uszy nie rzadko wdzięczne słowo tych, co zostali pieczą Sowińskiej wydarei z uścisków śmierci; więc błogosławia i, wzmożeni na siłach, stają się nową pomocą w ratowaniu rannych.

Aż nareszcie zbliża się dzień 6 września 1831 r.—Sowińskiej przynoszą wieść o śmierci szcudłowego bohatera. Ona tę śmierć przeczuwała, ona jej oczekiwała... Bez jęku, bez skargi biegnie szukać zwłok męża, nie słuchając przestróg, mówiących o niebezpieczeństwie. Przeciska się wśród zwyciężkich tłumnych szeregów, dostaje się na Wołę, aż na miejsce skonu swego męża, odważnie rozpytuje i tą odwagą wprawia w podziw i zdumienie przeciwników. Nadaremne były te trudy! Zwłoki jenerała, skłute bagnetami, a potem rozsiekane w kawały, zmieszane z innemi kawałami ciał poległych i przywalone trupami, zostały wrzuczone do wspólnej mogiły. Sama jedna wśród szeregów nieprzyjacielskich, nie osiągnąwszy skutku, wróciła w niewysłowionym smutku do domu.

Późnym wieczorem, w kilka dni potem, zakolatał ktoś do jej podwoi. Był to prosty żołnierz rossyjski. Widział on ją, jak troskliwie szukała zwłok swego męża, współczuciem pojął jej boleść; nie znalazł wprawdzie, jak i ona, jej szukanego skarbu, ale znalazł kij, którym się jenerał podpierał, i kij ten schowawszy ukradkiem, teraz potajemnie przyniósł jej w ofierze. Ta tyle droga dla Sowińskiej pamiątka przechowywana była ze czcią przez lat dziesiątki. Na parę lat przed jej zgonem pamiątka tej pozbawiła ją niesumienna czyjaś dłoń.

Od śmierci męża zaczęło się dla Sowińskiej życie inne. Przy boku jego jaśniała cnotami domowemi. Teraz miała zajaśnieć w całej pełni skarbami bogatego ducha polskiej matrony. Gdziekolwiek zwrócimy oczy na to życie pełne treści, wszędzie widzimy najpiękniejsze jego owoce. I do-

prawdy nie łatwo zdobyć się dziś na podanie dokładnego rysu osoby, która nie pożyczanym urokiem męzowskiego nazwiska, ale z własnych cnót, za życia, samoistnie wyrobiła sobie miejsce w dziejach krajowych pomiędzy najznakomitszymi białogłowami naszego narodu.

Przy całej samoistności w działaniu Sowińska czuła się szczerze związaną ze wspomnieniem męża. We własnoręcznej notatce, kreślonej w rocznicę skonu męża, mianowicie 6 września 1832 roku, objawiła, że tak powiemy, plan swego życia przyszłego. Oto treść notatki: «6 września 1832! dzień wspomnień okropnych,—dzień, w którym spadł na mnie cios, zadawający sercu mojemu ranę nigdy nie zagojoną, zostawiający mnie samą na świecie, bez szczęścia, bez nadziei, bez życzeń żadnych! A jednak mogłam dożyć tej rocznicy, znieść uczucia, napęniające duszę moją w ciągu straszliwej godziny, w której podług wszelkich wiadomości, jakie zebrać mogłam, padł On...—a obraz, który myślom moim się przedstawiał o doznanych przez Niego cierpieniach, nie pozbawił mnie razem życia i boleści!... Kiedy taki jest wyrok Najwyższego, któremu uleść potrzeba, obca już radości, pragnąc tylko już nieść ulgę innym cierpiącym, a szczególnie rodakom, o ile będzie w mojej mocy, jedynem mojem będzie staraniem nie skazać nazwiska tyle mi drogiego, przez jakikolwiek czyn, sprzeciwiający się mojemu przekonaniu, iż Jemu nagannym zdawać by się mógł. Przrzekam, to Tobie, drogi cieniu, którego czysta sława do ostatniego tchnienia mego najwyższym moim skarbem, najśłodszą moją pociechą zostanie». Na ileż to rozmyślań naprowadza owa ocalona od zaguby połówka kartka, mieszcząca krótkie, a pełne tak głębokiej i tkliwej treści słowa! Ileż w nich tkwi piękności duszy tej, która słowa na kartce kreśliła! Słowom tym pozostała Sowińska wierna do grobu.

Dom jej nigdy nie był zamkniętym, każdy znajdował w nim i gościnne przyjęcie i uwagę dla potrzeby, z którą przychodził. Uczynna bez granic prawie, miała tę pamięć serca, która o potrzebie drugich nigdy nie zapomina. co jest arcy-rzadkim przymiotem charakteru duszy i znakiem dopiero prawdziwego dla bliźnich współczucia. Dla wszystkich była usługna, uprzejma dla każdego bez wyjątku; w stosunkach przyjaźni stała i niezmienna; dla rodziny męża była wylana, pełna

wyższej szlachetności. Stąd każdą grzeczność jej wyświadczoną przyjmowała wdzięcznie i z taką prostotą, jakby chciała przekonać, że jej się od innych nic nie należy.

Obok uczucia tak wykształconego miała rozum wzbogacony znaczną nauką, zwłaszcza, że obdarzona była wielką pamięcią i przytomnością umysłu. Posiadała takt niepospolity, który obronną ręką pozwalał jej wychodzić z arcytrudnych położeń, w jakich niejednokrotnie się znajdowała. Ściśle mówiąc, nie było u niej «salonu», a jednak w domu jej zgromadzało się przez długi szereg lat wszystko, co błyszczało nauką i wiedzą, talentami, a wreszcie przymiotami umysłu i serca. Umysł Sowińskiej obejmował zarówno wielkie zagadnienia życia, jak i liczne drobne sprawy. Toż nie dziw, że takie zalety i właściwości przyciągały jej licznych gości w dom, bo u niej każdy się czuł podniesionym i był jak u siebie. Przyniewalała ona wprost obejściem miłym, sądem pewnym, bo zawsze uzasadnionym; znakomitem zaś pojęciem obowiązków, połączonem z pojęciem godności osobistej, zjednała sobie powszechną cześć.

Jedna rzecz zadziwiać musiała w Sowińskiej. Umysł jej aż do sędziwej starości zachowywał się wciąż świeży, przedziwnie przyswajający sobie nabytki wciąż postępującej wiedzy, myśl była wciąż jasną i wolną od uprzedzeń, często późnemu wiekowi towarzyszących. Była to dusza upodobana w tem, co w ciągu życia najlepszego zebrać zdołała. Sąd jej w rzeczach smaku i zajmowanie się wszystkimi przedmiotami, pobudzającymi uwagę umysłu uprawionego, świadczyły o gruntownej, acz nie błyskotliwej wiedzy. Znaną jest długoletnia, sięgająca aż do zgonu ścisła przyjaźń Sowińskiej z Klementyną z Tańskich Hoffmanową. Znane są owe częste biesiady o muzyce i sztuce, w których Sowińska miała głos przeważny.

Ile była dobroczynną, ile szukającą sposobności niesienia pomocy cierpiącym rodakom, świadczą mnogie czyny jej dobrodziejstw, w których się o tyle rozsądku, co i serca radziła. Nie mając własnych dzieci, była matką dla sierot i przez kilka pokoleń ponawiała swą troskliwość i pieczołowitość w kształceniu młodych osieroconych osób.\*)

\*) Ród Schröderów, z którego pochodziła jenerałowa, wygasł na niej. Istniejące dziś inne rodziny tegoż nazwiska nie mają żadnego pokrewieństwa z rodem ojca Sowińskiej, Jerzego Antoniego Schrödera.

(Przypis. aut.)

Wiedziona nadzwyczajną przenikliwością, niejednokrotnie umiała podać rękę umiejętnie tym, co pomocy znaleźć skądinąd nie mogli, bo zaufać porządному człowiekowi bez żadnej rękojmi znaczny nawet kapitał było rzeczą u Sowińskiej zwykłą; niejeden w ten sposób ocalał od zguby.

Posiadając znaczny majątek ziemski, rozcząstkowała go zupełnie pomiędzy swoich chłopków, nałożywszy im jak najłagodniejszy czynsz, nie obliczony zgoła wedle wartości ziemskiej, ale wedle skromnych jej potrzeb. Tym dochodem obywatela się do ostatka dni swoich. To oczynszowanie, dokonane w Wierzbnie, w Wyglądowie pod Warszawą i w innych folwarkach, nie podobało się na owe czasy — i łącznie z innemi okolicznościami sprowadziło nawet na Sowińską prześladowania. Wiadomo jest, że miała przeznaczone miejsce dożywotniego zamieszkania w klasztorze w Łomży i że spędziła tam swój żywot od 2 sierpnia 1835 r. do 25 listopada 1837 r., zwolniona będąc od przymusowego rygoru przez ówczesnego księcia namiestnika.

W szeregu długich lat życia Sowińskiej nie było, rzec można, jednego dnia bez dokonania jakiego pięknego czynu. Gdzie tylko panowała nędza i ból, gdzie płynęły łzy, gdzie pomoc i ratunek były niezbędne, tam wszędzie nie brak było Sowińskiej w radzie i w pomocy. Wśród takiego trybu życia, stającego się wzorem dla następnych pokoleń, dożyła 85 lat wieku, zachowawszy do ostatka przedziwną czerstwość wszystkich władz umysłu.

Koło południa 9 czerwca 1860 r., gdy Sowińska była właśnie zajęta czytaniem książki Kremiera o podróży do Włoch, przysłała do niej jedna z przyjaciółek i oznajmiła, że przypadkiem widziała na ulicy jakąś kobietę, która powiła była przed dwoma blisko tygodniami bliźnięta, że zapytała matki, czemu jej bliźniaczki tak nędznie wyglądają i czemu takie wątłe. «Jakże mogą być rzeźwe, — odrzekła matka, — kiedy ja wcale nie mam pokarmu, bo od dwóch tygodni żyję tylko chlebem i wodą»... Na te słowa opowiadania jenerałowa, słuchająca z uwagą, chwyciła za kapelusz i mantylę, a polecając tymczasem w domu przygotować dla biedaczki zapas żywności, sama poszła czemprędzej wyszukać biednej kobiecie. Dane w domu zlecenia były ostatniemi jej słowami... Wśród ulicy nagle nastąpił cichy zgon.

Wiadomość o śmierci Sowińskiej przebiegła pomiędzy ludem jakby iskra galwaniczna, okrywając smutkiem oblicza, a serca wspomnieniem przeszłości.

O godzinie 6-ej 11 czerwca 1860 r. przed domem № 1062 przy ul. Królewskiej zebrał się tłum wielotysięczny. Zniesiono już ciało i wyruszył prawdziwie królewski orszak pogrzebowy, niosąc trumnę na własnych barkach przez ulicę Żabią obok Banku i całą Elektorálną aż po rogatki Wolskie do grobu na cmentarz ewangelicko-reformowany. Orszak pogrzebowy składali dawni wojskowi, uczniowie męża zmarłej, obywatele ziemscy, urzędnicy wszystkich dykasteryi, ludzie nauki i młodzież ucząca się, rzemieślnicy i wyrobnicy, — razem wszystkiego było z kilkanaście tysięcy. Błogo widzieć było, — powiada świadek naoczny, — jak skwapliwie spieszono nie do strojnego w pióra i baldachimy galonowego karawanu, ale do trumienki skromnej, rozrzucającej wokoło ponury smutek; ciśnięto się do niej, aby choć po kilka kroków na swoich ramionach nieść drogi ciężar. Każdy prawie dotknął ramieniem trumny, — pisze współczesny kronikarz — każdy orzeźwił serce tą pociechą, że oddał ostatnią, chrześciańską posługę zmarłej wdowie, która obok zalet dawnych matron polskich przez ciąg życia swego była opiekuńczym aniołem i cichym pocieszycielem cierpiących, przerwany żywot męża przedłużając tym sposobem najpiękniejszymi cnotami matki-obywatelki. Orszak postępował krok za krokiem, albowiem każda przemiana osób, dźwigających trumnę, zdawała się przedłużać czas, ażeby nie tak prędko ukryć ten skarb na zawsze w mogile. Oto już jesteśmy na cmentarzu, — nawał ludu się ciśnie, — trumnę postawiono nad wykopanym dołem. Pastor Pleszewski rozpoczął mowę i zapanała cisza uroczysta. Chmury, co jakby rozżalone źrenice przed chwilą spuszczały łzy deszczu, niby płacz nad umarłą, zwolna rozsunęły się i umieściły wpośród siebie słońce, jak boże oko. Po mowie, streszczającej życie zmarłej, zaczęto trumnę spuszczać do grobu...

Szczęśliwy ten naród, który w swem łonie takie, jak Sowińska, mieści niewiasty, — któremu dotąd nie zbywa na wzniosłych przykładach i wzorach!

*Stanisław Kijiński.*



# Tadeusz Kościuszko.

\* 1746 † 1817.

## I.



Mereczowszczyźnie, jednym z folwarków «hrabstwa» czyli klucza Kosowskiego, należącego do Piotra Sapiehy, urodziło się d. 4 lutego 1746 roku niemowlę, któremu na chrzcie świętym d. 12 lutego nadano imiona Andrzej Tadeusz Bonawentura \*). Było to czwarte, najmłodsze dziecko Ludwika Tadeusza i Tekli z Ratomskich Kościuszków Siechnowickich, posiadaczy tego folwarku na prawie zastawnem za sumę 30.000 złotych, pożyczoną Sapieżę.

Ludwik Tadeusz, mieczny województwa Brzeskiego, mianowany w tymże roku (d. 9 września) rotmistrzem chorągwi pierwszej straży hetmana polnego W. X. L., a później pułkownikiem Buła-

\*) Prostujemy w tem miejscu mylne podania, jakoby Tadeusz Kościuszko urodził się d. 12 lutego w Siechnowiczach. Metryka, spisana w Kossowie, świadczy, że dnia tego odbył się chrzest niemowlęcia; że chrzccił nie proboszcz, lecz X. Rajmund Korsak, przeor XX. Dominikanów z Hoszczewa, a więc przybysz z pod Słonima; że kumami byli: Narkuski, starosta kuszlicki i pani z Protasewiczów Suchodolska w pierwszej parze, a w drugiej: Protasewicz, podstarości piński, i panna Suchodolska, pisarzówna ziemska słonimska. Czyż podobna, aby tyle osób zjechało się z dość odległych stron właśnie na dzień urodzin? Tymczasem pierwsze, lubo zapomniane później, imię Andrzej wskazuje, że chłopak «przyniósł» je sobie, a Martyrologium Romanum zamieszcza Ś. Andrzeja biskupa tezulańskiego pod dniem 4 lutego. Do parafii Kosowskiej należała Mereczowszczyzna, czyli raczej: Maraczowszczyzna, Siechnowicze zaś były oddalone o mil kilkanaście i należały do parafii zbirohowskiej. Zresztą w Siechnowiczach nie mieszkali rodzice.

wy Polnej (około 1756), nie miał sposobności do okazania swojej ochoty rycerskiej na polu bitwy, gdy za panowania Augusta III Rzeczpospolita z nikim nie wojowała; mógł tylko załatwiać sprawy o żółd, o hybernę, o różne nadużycia lub gwałty rozkwaterowanych tu i ówdzie i rozpróżnianych chorągwi swoich. Właściwie był ziemianinem, trudnił się gospodarstwem rolnem i pieniężnymi interesami. Odziedziczywszy po ojcu swoim (Ambrożym, pisarzu brzeskim) majątek zadłużony, musiał w r. 1729 sprzedać stryjowi Faustynowi Siechnowicze z przyległościami za 23.000 zł. i dorabiać się jakiego takiego dostatku. Dla tego to wdał się w praktykowane wówczas spekulacje ekonomiczne, otrzymany ze sprzedaży kapitał włożył w dzierżawę zastawniczą i osiadł na Mereczowszczyźnie w 1733 r. Jako posesyonat i utytułowany miecznik województwa swego, zgłosił się do sądu kapiturowego o legitymację potrzebną do używania praw politycznych i, przeprowadziwszy ją bez przeszkody, zasiadł po raz pierwszy na sejmiku antekonwokacyjnym podczas bezkrólewia po śmierci Augusta II. Odtąd uczestniczył w obradach i wyborach szlachty, wszedł w stosunki życzliwe z wybitniejszymi jej przewodcami i z kilku magnatami, zyskał powszechne poważanie. Zapis matki (18.000) i posag żony (12.000) przy rządności dały mu dostateczną zamożność do przystojnego utrzymania domu, do nabycia drugiej dzierżawy, położonego o pół-mili od Siechnowicz Zdzitowa (1756), a nawet do udzielania pożyczek zadłużonym dziedzicom, Sapiehom: Piotrowi i synowi jego, Janowi, wreszcie do odkupienia ojczystych Siechnowicz d. 10 czerwca 1755 r. za 20.000 zł. (bo 2.800 potrącono na fundusz kaplicy siechno-



Według obrazu Józefa Grassi w kopii sztychowanej przez J. Kappellera w Warszawie.

*J. Grasiński*

wickiej). Ale tej sumy nie posiadał wówczas w gotowiźnie: więc zaciągnął pożyczkę u kapitanowej Berentowej na lat trzy i wypuścił jej ten majątek w dzierżawę, zastrzegając sobie wykupno na Ś-ty Jan (24 czerwca) 1758 r. Tego dnia wszakże nie doczekał: śmierć zaskoczyła go na parę miesięcy przed upragnioną chwilą powrotu w ojczyste progi. Umarł podobno w Zdzitowie, ale zwłoki jego złożono na cmentarzu siechnowickim, przy kaplicy, ufundowanej przez dziada Aleksandra Jana (1711). Na pogrzeb swego «w życiu najukochańszego Ludwisieńka i dobrodzieja» Tekla Kościuszkowa, «życzliwa żonka i u nóg słu-ga» zgromadziła 6-ciu księży karmelitów, 20 prezbiterów, kaznodziej z Krupczyc, bernardyna ze Słonima, dziaków unickich ze Zdzitowa i z Wie-żek, bractwa ze Zdzitowa i Siechnowicz; od Kobrynia do Brześcia we wszystkich kościołach i cerkwiach unickich zakupiła msze i podzwonne; na stypę wyszafowała 19 garncy miodu i 12 wina; za-stawiała ryż, grzyby, ryby i inne jadła z rodzenkami, migdałami, szafranem, cynamonem, korze-niami angielskimi etc. Rachunek, czyli «Registr wydanych pieniędzy na dzwonięcie, msze święte i różne expensa», świadczący zresztą o taniości owoczesnej, bo zamykał się sumą 742 zł. i gr. 19, był spisany d. 18 kwietnia.

Zdaje się, że na pogrzebie ojca nie byli obecni synowie, młodszy Tadeusz, tem jednym imieniem zawsze zwany, i starszy o trzy lata Jó-zef, od początku bowiem roku szkolnego 1755/6 przebywali w Lubieszowie, w głębi bagnistego Polesia, odległym o mil około 20 od Siechnowicz. Nielatwoby ich można było sprowadzić, zwłaszcza podczas wiosennych roztopów. Uczyli się tam: jeden w klasie zwanej Gramatyka, dru-gi w Syntaxie\*).

\*) Zapisani są w «Xiędze Szkolnej», złożonej w darze przez X. Ant. Moszyńskiego ex-piara i proboszcza niegdy lubieszowskiego Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego (MS nr. 1046) na kartach 36–39 wyraźnie: M.D. Josephus Kościuszko, M.D. Thaddaeus Kościuszko filii Ensiferi Brestensis 5 razy jako infimistae, grammatici, syntactici, poetae, a Józef jeszcze i w dziale rhetores. Księga ta nie była mi znana w r. 1894 a zatem kombinacje przypuszczalne, rozwinięte w obszerniejszej monografii mojej, wówczas ogłoszo-nej drukiem (str. 71–74) co do wychowania w szko-le jezuickiej brzeskiej stały się obecnie zbyt cennymi i kwalifikują się do wykreślenia.

Blżej, o mil trzy tylko, znajdowała się szko-ła, utrzymywana w Brześciu przez Jezuitów, z któ-rymi Ludwik Tadeusz zostawał w blizkich sto-sunkach, jako członek bractwa Najśw. Maryi Pan-ny (sodalis Marianus), jako egzekutor testamentu ciotki swojej Urszuli Januszkiewiczowej (zm. 1750), wreszcie jako właściciel zapisanego przez nią a są-siadującego z ich gmachami dworku. Sam nawet, rozpisując w testamencie legaty dla duchowień-stwa, przeznaczył dla nich 2,500 zł., gdy innym dwom klasztorom zapisał po 1,000 zł. ▲ jednak nie ulega dzisiaj wątpliwości, że wychowanie sy-nów powierzył Piarom. Zapewne rozumiał i uzna-wał wartość reformy pedagogicznej X. Szymona Konarskiego.

Lubieszów czyli Nowy Dolsk jestto miaste-cko, położone nad rz. Strumieniem albo Stochodem przy gościńcu pocztowym, wiodącym z Piń-ska na Wołyń do Równego i Łucka; było wów-czas własnością Jana Czarneckiego, kasztelana wickiego. Kollegium OO. Piarów ze szkołą istnia-ło już od r. 1693, lecz mury wzniesiono tu dopie-ro w 1730 r. W obszernym dziedzińcu przed gmachem głównym dwupiętrowym ciągnęła się z jednej strony oficyna, długa na 210 łokci, bra-mą wjezdną rozdzielona na dwie części i mieszc-ząca konwikt funduszowy, stolarnię, tokarnię, ku-źnię, młyn deptak, łaźnię, browar piwny. Po dru-giej stronie stały: szkoła jednopiętrowa o 5-ciu salach tudzież budowa dwupiętrowa z bibliote-ką, gabinetami fizycznym i chemicznym, kolekcją minerałów, matematycznych figur i narzędzi. Za klasztorem rozpościerał się ogród botaniczny z pięknymi alejami lipowymi, a w nim oranżerye większa i mniejsza, treibhaus, dwie narożne skle-pione baszty — wszystko z muru. Nieopodal od klasztoru nad rz. Stochodem był ogród owocowy, zwany Wenecją, cały w kanałach zarybionych, kratami żelaznymi oddzielony od rzeki, dokoła zaś otoczony ostrokołem dębowym. Jeden kanał wychodzi na rzekę, od której oddziela się bramą kratową; stanowi on przystań, w której były utrzy-mywane czółna oraz tak zwane tutaj szuhaleje albo obijaniki. W miasteczku Piarzy posiadali 6 domów, zwykle wynajmowanych na kwatery dla uczniów. Ale i u mieszkańców łatwo było zna-leźć kwaterę bardzo tanio. Opłata szkolna była mała (jeszcze w XIX wieku zaledwo 3 zł. i gr. 10 rocznie); biedniejsi—a ci stanowili prawie po-

lowę—uczyli się darmo; pilni otrzymywali nadto papier, książki i obuwie nawet. Przed rokiem 1760 istniała jedna bursa, mieszcząca się wygodnie w oficynie klasztornej i utrzymywana z funduszu książąt Wiśniowieckich; miała osobnego dozorcę domowego pod okiem jednego z nauczycieli. W niej to podobno mieszkali, nie w konwiktie szlacheckim, fundowanym później, Kościuszkowie. Wszak ojciec ich był rotmistrzem i pułkownikiem, Michał zaś Wiśniowiecki, ostatni z rodu (um. 1744), piastował buławę wielką litewską.

Nie było tu żadnego roztargnienia dla uczniów. Ludność miasteczka składała się z samych Żydów i włościan; w pałacu kasztelan Czarnecki żył bardzo skromnie i cicho. W maju tylko zdarzało się większe ożywienie z powodu praktyki mierniczej, na którą z nauczycielem geometrii kilka razy wychodzili uczniowie klasy IV, V i VI-ej, robili pomiar okolicy i rysowali plany. Dla całej zaś młodzieży najmielszym dniem była majówka. Wszyscy uczniowie w towarzystwie prefekta i nauczycieli wychodzili z muzyką klasztorną i chorągwiami zrana o godzinie 4 albo 5-ej, ordynkiem, do jakiegoś lasu lub gaju. Ciągnął za nimi tabor żydów z obwarzankami, piernikami i innemi łakociami. Zabawa trwała do wieczora.

W szkole musiał funkcjonować już zreformowany plan nauk i ulepszony sposób nauczania: a więc przy łacinie ćwiczenia w języku polskim, wykład historii polskiej w klasie, zwanej Gramatyką, historii powszechnej w Syntaksie, Poetyce i Retoryce z czytaniem historyków, geografii w Poetyce i Retoryce, wreszcie nauka języków francuskiego i niemieckiego. W klasach niższych postrachem dla uczniów był pieniek, w trzech wyższych stolek, przykryty kobiercem, do wymiaru kary dyscypliną przez nauczyciela, ale przepisy Konarskiego zastrzegały, «iżby szkoły nie zasługiwały na miano jatek i katownicy, nauczyciele zaś na miano rzeźników i katów». Praca musiała iść nie na żarty, gdy wszystkie przedmioty we wszystkich klasach były wykładane przez 5-u, a czasem i przez 4-ch nauczycieli.

Bracia Kościuszkowie wstąpili razem do Infimy, po roku jednak rozdzielono ich: Tadeusz 10-letni pozostał na rok drugi i już nie dogonił starszego, Józefa. W piątym roku doszedł do Poetyki i na tej zakończył latem 1760 r. swoje ucz-

niowskie dzieje w Lubieszowie. Matka nie posłała go do Retoryki. Z jakiego powodu? Niewiadomo.

Wdowa miała niemało frasunków gospodarczych i majątkowych. W terminie świętojańskim 1758 zapłaciła Berentowej tylko 5.000, ale w 1759 wypłaciła 15.000 i objęła Siechnowicze w posiadanie. Dobra Kosów z powodu wielkiego obdlużenia przez Jana Sapiechę przeszły na własność bogatego Fleminga, który, spłacając wszystkich wierzycieli, wyliczył 54.000 zł. Kościuszkowej, i Merczowszczyznę wykupił od niej w 1764 r. Część kapitału Kościuszkowa oddała na 8% Grabowskiemu (14.000); część zużyła na posagi i wyprawę dla córek; resztę przeznaczyła na kupno sąsiedniego folwarku z 13-tu chatami włościańskimi, zwanego Siechnowicze-Dawidowszczyzna, ponieważ posiadaczem jego był stary bezdzietny krewny Dawid Kościuszko, ale nie doprowadziła transakcji do końca za życia swego.

Tadeusz, odebrany ze szkoły w 15-ym roku życia, mieszkał wtedy w Siechnowiczach aż do zimy 1765 roku. Posiadał znajomość dwu języków nowożytnych, francuskiego i niemieckiego—zapewne elementarną tylko i niezbyt ugruntowaną, bo później niemczyzna wywietrzała mu z głowy.

W rodzinie polubił najbardziej starszą siostrę Annę. Wyszła ona za mąż d. 24 października 1762 r. za Piotra Antoniego Estkę, stolnika smoleńskiego. I z nim też zaprzyjaźnił się serdecznie. W kilka miesięcy później, 23 stycznia 1763 r., odbyło się drugie wesele: Karol Żółkowski, starosta mokniuński i sędzia ziemski wołkowyski, wziął drugą jego siostrę, Katarzynę. Obydwie dostały po 10.000 zł. posagu i wyprawę «w perłach, rubinach, dyamentach» etc. szacowaną na 2.500 zł; za to zrzekły się spadkobrania z dóbr ojczystych i macierzystych. Siechnowicze miały należeć wyłącznie do dwu braci. Matka już w 1764 roku kazała im podpisać się na dokumencie pieniężnym, mianowicie: na rewersie stwierdzającym odbiór 900 zł. od Grabowskiego «ku potrzebom synów moich». Józef (ur. 1743 r.) doszedł już do pełnoletności i zaraz starać się zaczął o urzędy. W r. 1765 zabiegał, nie żałując kosztów, o wybór w Nowogródku na deputata do Trybunału Głównego W. X. Lit. i został obrany na sejmiku gromnicznym 1766 r. Tadeusz wyjechał do Warszawy, żeby wstąpić do Korpusu Kadetów. «Powabiła go chęć i ochota».

## II.

Panował już nowy król, Stanisław August. Zakupiony przez niego pałac Kazimierowski przekształcił się na «koszary Kadeckie», na siedzibę obiecywanej podczas kilku elekcji, projektowanej przez Jana III, ale teraz dopiero zakładanej Szkoły Wojskowej pod nazwą Korpusu Kadetów JKMc. Organizacja zaczęła się od 29 czerwca 1765 rozkazem uformowania 4-ch kompanij grenadyerskich i 2-ch dragońskich. Następnie kazał król dodać jeszcze kompanię artyleryczną (d. 19 lutego 1766).

W pierwszym komplecie, określonym liczbą 80 młodzieży szlacheckiej, znalazł się Tadeusz Kościuszko. Zapisał go po niemiecku adjutant vice-komendanta von Baum na listę pod dniem 18 grudnia 1765, pod numerem 79, a więc przedostatnim: lat 18; wzrost 6 cali (ponad jakąś nieznaną nam normę); przedtem nigdzie nie służył. Z późniejszego uzdolnienia wnioskując, przypuszczamy, że wstąpił do kompanii artylerycznej.

«Formularz przyjmowania kadetów do nowicyatu» nakazywał w dniu pierwszym prezentowanie komendantowi, wszystkim oficerom i brygadzie, do której nowicyusz miał być zaliczonym, uściskanie się z przyszłymi kolegami, opowiadanie powinności, czytanie regulaminu i egzamin przed dyrektorem nauk celem oznaczenia klasy stosownej do uzdolnienia—wreszcie obchodzenie wszystkich profesorów i metrów. Nazajutrz odbywało się odebranie przyrzeczeń i obleczenie w mundur nowicyatu granatowy, co jednak stanowiło jeszcze o przyjęciu tylko «na próbę». Po roku dopiero, po skończonych egzaminach, rada korpusowa orzekała: którzy są warci być przybranymi w mundury kadeckie kompletne. Oblóczyny odbywały się po wysłuchaniu mszy uroczystej na klęczkach z ceremoniałem, przypominającym średniowieczny obrzęd pasowania rycerskiego. Gefreiter pytał: «Masz WPan szczerze przedsięwzięcie tę broń, którą odbierzesz, zażywać zawsze na obronę Ojczyzny swojej i swego honoru?» Trzeba było odpowiedzieć: «Nie inne jest przedsięwzięcie moje». Koledzy prezentowali broń, następnie przy biciu werbla najstarszy oficer przypasywał nowicyuszowi pałasz i podawał karabin z odpowiednim morałem; kadet musiał jeszcze powiedzieć: «Przyrzekam braciom moim, zbrojnie zgromadzonym, że postępka-

mi memi ich nie zawstydzę, ani też nowicyuszom... nie dam zgorszenia przez opuszczenie się w aplikacyi lub zaniedbanie powinności moich». Po wykonaniu takiej «przysięgi kadeckiej» brygadyer prowadził go na miejsce dlań wyznaczone w szeregu. Wieczorem wydawano «ucieczkę kosztem korpusu». Kadet miał na codzienny ubiór kurtkę czerwoną, a do parady «długi mundur» niebieski z amarantowymi rabatami i złotymi naramiennikami, z białymi spodniami, pończochami i kamizelką, z pałaszem i felcechem.

Szefostwo korpusu zachował dla siebie król i sam lubił przywdziewać mundur kadecki; komendantem zamianował swego brata wujecznego, Adama księcia Czartoryskiego, który swem wysokiem wykształceniem i szlachetnymi zasadami nadał zakładowi trafny kierunek. Vice-komendant Fryderyk Moszyński, lubo z charakteru niesympatyczny, należał przecież do liczby najświatlejszych i najzdolniejszych statystów owego czasu. Nauczycieli zebrano kilkunastu, metrów 13-tu; lekcye trwały od 8 zrana do 5 po południu z przerwą 2-godzinną na obiad; klas utworzono w późniejszym czasie 7, ale z początku, gdy przyjęto starszą młodzież, musiały być otwarte tylko klasy wyższe. Wykładano w nich nauki wojskowe i wykonywano ćwiczenia taktyczne, fortyfikacyjne, polowe w obozie, ale więcej czasu w planie szkolnym przeznaczono na wykształcenie ogólne, znajdujemy w nim bowiem oprócz matematyki geografii, historię, literaturę, ekonomię, prawo państwowe, architekturę cywilną, rysunki; języki: polski, łaciński, francuski, niemiecki. Staraniem komendanta Czartoryskiego wydrukowano do użytku przy wykładach w r. 1766 «Historię nauk wyzwolonych przez JP. Juvenel de Carlanças» w przekładzie z języka francuskiego; w 1767 «Pantheon mythicum albo bajeczną bogów historią» w przekładzie X. Piusa Woyny z łacińskiego, z wielu pięknymi rycinami i Pufendorfa: De officio hominis et civis; w 1768 «Początki krajopisarstwa» przez profesora korpusu Edlinga i «Nouvelle méthode pour apprendre la langue latine».

Zachowało się kilka takich podręczników z nadpisanem nazwiskiem: «Kościuszko». Przedmowa do pierwszego z nich (Carlanças'a), napisana podobno przez samego Czartoryskiego, zawiera zachętę do uczenia się historii, Prawa Natury i Narodów etc. z taką apostrofą do zacnej



Młodzi Korpusu Kadetów: «Wy tę w najopłakaniejszym, jaki tylko być może wymyślony, stanie zostającą Ojczyznę waszą powinniście zaludnić obywatelami gorliwymi o jej sławę, o zwiększenie jej mocy wewnętrznej i poważania postronnego, o poprawę rządów jej, w gatunku swym najgorszych... żebyście wy, plód nowy, odmienili starą postać kraju». W liczbie profesorów znajdowali się książa: Dzięwanowski, Nagurczewski i światły późniejszy wizytator szkół Komisji Edukacyjnej Hołowczyc, ale katechizm teologiczny nie był zamieszczony w planie nauk, naukę zaś moralności, a zarazem i ekonomię wykladał wprowadzony z Królewca świecki człowiek, Marcin Nikuta. I król, i komendant byli wychowawcami filozofów francuskich. Jak odbiły się takie wpływy na umyśle kadeta? Dowiedzieć się możemy z zeszytu 4-arkuszowego, przechowywanego w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie z napisem: «Filozofia. Kościuszko». Na pytania z filozofii obyczajów odpowiedź wylicza różne narody, poczynając od Izraelskiego, a kończąc na Polsce, i twierdzi, że «nie zbywało na ludziach mądrością i miłością dobra pospolitego znakomitych, którzy, potrzebę tej nauki znając, przepisy onej podali, jako to pamięci godni Fredrowie, Opalińscy, Starowolscy, Lipscy, Powodowscy, Mądzojowscy (tak, zamiast Modrzewski) uczyli». Pytanie 16-te roztrząsa cnotę, 23-cie o mężstwie wywołuje odpowiedź z przykładami na Leonidasie, Tarnowskim, Chodkiewiczu, Czarnieckim; po pytaniu 25-em ostateczna odpowiedź brzmi: «siebie samego zwyciężaj—największe zwycięstwo».

Tę maksymę stosował Kościuszko już wtedy w praktyce. Kolega jego Wojciech Konarski opowiadał, że, chcąc wstawać o 3-ciej z rana, Kościuszko przywiązywał sobie sznurek do ręki lewej, aby stróż, przechodząc korytarzem do palenia w piecach, mógł obudzić go targnięciem tego sznurka. Z wieczora zaś dla odpędzenia snu mył się, lub wstawiał nogi do zimnej wody.

Postępy jego i sprawowanie się były tak chwalebne, że po roku uznany został godnym nie tylko obłóczyn w mundur, ale i rangi chorążego, nadanej mu patentem królewskim z dnia 20 grudnia 1766 r. Przy rewizji korpusu w dniu 5 maja 1768 r. pełnił służbę pod-brygadiera t. j. sprawował komendę nad 19-tu współtowarzyszami swymi, brygada bowiem składała się

z 20-tu kadetów. Koledzy nazywali go «Szwedem», upatrując w nim porywczosć, skrytość i upór Karola XII, ale pokochali go, gdy podjął się na ich czele upokorzyć publicznie Gozdzkiego, wojewodę podlaskiego, za zniewagę, domierzoną kadetowi na wieczorze tańczącym. Sprawę tę zgodził król.

Po złożeniu ostatnich egzaminów został przy korpusie jako oficer płatny zapewne w szarży brygadiera i wkrótce otrzymał rangę kapitana. W «Regestrze Expensy miesięcznej Korpusu Kadetów», napisanej ręką Jerowskiego, znajdujemy go między oficerami z płacą 200 zł. (zatem 2400 rocznie), gdy kapitanowie Kraszewski i Trościcki pobierali po 108 zł., a czterej inni oficerowie i X. Hołowczyc po 72 zł. Ostatniem uwieńczeniem zawodu edukacyjnego Kościuszki było przyznanie jemu i serdecznemu przyjacielowi jego, Orłowskiemu, stypendyum królewskiego na wyższe wykształcenie wojskowe w zakładach zagranicznych. Dokument zatytułowany «Ancienneté y Stamm-Lista Sztabu y Ober-Officierow... Korpusu Kadetów» zawiera przy jego nazwisku adnotację: «1770 do cudzych krajów». W księgach rachunkowych Stanisława Augusta, w r. 1772, w dziale p. t. «Kadeci, żołnierze, artylerya» znajdujemy własnoręczną jego zapiskę, że d. 1 czerwca dał księciu Adamowi (Czartoryskiemu) 100 dukatów (= 1800 złp.) na półroczną pensję dla Kościuszki i Orłowskiego, licząc od 1 lipca do ostatniego dnia grudnia, i 50 dukatów gratyfikacji dla nich. W księdze z r. 1773 niema takiej pozycji, a w roku 1774 niema żadnych rachunków.

Z górą 4 lata spędził Kościuszko we Francji, lecz nie wiemy, czy był zapisany w jakiej szkole. Istniały tam: szkoła inżynierska i artyleryczna w Mezières od r. 1749, oraz wojskowa (École Militaire) w Paryżu od 1751 \*). Z tych dwu oświadczyłbym się za pierwszą, ponieważ doszedł do wielkiej biegłości w inżynierii wojskowej i badał podobno fortyfikacje portu Brest. Dowiadujemy się z podań, że brał lekcye architektury od sławnego Perronet'a, a każdy z nas może naocznie przekonać się o jego wprawie we władaniu kredką i pastelami, oglądając przechowywane w muzeach widoki,

\*) Podług artykułów w Encyklopedyi Larousse'a p. t. Ecole Militaire, a podług otrzymanego z ministerium Wojny wyjaśnienia, dopiero od r. 1776.

a szczególnie portret Jeffersona, doskonale reprodukowany przez Sokolnickiego sposobem aqua tinta. Oprócz techniki dostrzegamy tu zale y artystyczne.

Wyrobił się też na znakomitego artylerzystę. Świadczy o tem dzieło jego p. t. «Manewry Artyleryi Konnej» napisane później, w 1800 r. po francuzku w Paryżu, a w 1808 wydane w tłumaczeniu angielskiem pułkownika J. Williamsa, nakładem Towarzystwa Naukowego Wojskowego Stanów Zjednoczonych i wprowadzone jako podręcznik do wykładów w akademii wojskowej West-Point. Generał Davie nazwał je «traktatem może jedynym w świecie w zakresie tego przedmiotu», «kompletnym systematem taktyki dla tej broni», dziełem «oficera, który jest skończonym mistrzem w tym zawodzie i który całe swe życie poświęcił nauce wojskowości». Jest tu manewrów 30; wszystkie zadania artyleryi konnej sprowadzone są do 7-iu zasad naczelnych.

Nie mamy śladu podobnie wysokiego uzdolnienia w taktyce piechoty i jazdy, ani głębszych studyów nad strategiką. Rozczytywał się Kościuszkowski z upodobaniem w Pamiętnikach słynnego wodza cesarskiego hr. Montecuculi dla poznania «zasad sztuki wojennej w ogólności». Dzieło to powtórzone w nowej edycji 1740 r., było na swój czas t. j. na drugą połowę XVII wieku znakomite, lecz po kampaniach Eugeniusza i Marlborough, a zwłaszcza po wojnie siedmioletniej, — w której Fryderyk II, zwany Wielkim, zadziwił Europę organizacją swojej armii i swymi manewrami na polach bitew, — Montecuculi już nie wystarczał umiejętnością swoją dla wojskowych. Z systematem fryderycjańskim Kościuszkowski obeznawał się później praktycznie.

Pod każdym względem tedy wypełnił wzorowo zobowiązania przysięgi kadeckiej. Wracając do kraju, przywoził niewidziane tam oddawna wysokie wykształcenie i dzielny charakter; mógł skutecznie pracować nad «uwiększeniem mocy wewnętrznej i poważania postronnego». Był z powrotem niezawodnie 24 czerwca 1774 r.; dnia tego wziął od brata, Józefa, 340 złł. «do rąk własnych».

### III.

W jakże okropnym stanie znalazł Ojczyznę i ojcowiznę swoją!

W Warszawie, w pałacu Radziwiłłowskim, delegacya sejmowa, wykonywała czynność rozbioru ziem Rzeczypospolitej, trzeciej części jej obszaru.

W Siechnowiczach zastał taką ruinę majątkową, że nie mógł w nich zamieszkać.

Gdy wyjeżdżał w grudniu 1765 r. żyła jeszcze gospodarna matka dostatnio. Dwór jej stał w pobliżu kaplicy z grobami kilku członków rodu, od której prowadziła ulica do wrót zamczystych; dla pieszych służyła do wnijsia furtka z daszkiem. Działziniec był oparkaniony sztachetami nowemi, sady i ogrody — żerdziami, pastewnik chróstem. Dom mieszkalny z gankiem miał po prawej stronie, idąc z sieni, izbę stołową o 4-ch oknach, z kominkiem i piecem kaflowym zielonym; przy niej pokój o 3-ch oknach, w ołów oprawnych, i apteczkę o jednym takimże oknie; z sionki były drzwi do sadu i do kuchni, która się usadowiła w samym środku domu, za sienią wchodową. Na lewo duża izba o 4-ch oknach (zapewne dla gości) z kominkiem, piecykiem «krzyżowym» i piecem z kafli zielonych oraz komora o 2-ch oknach, komunikująca się z kuchnią. W przystawce mieściły się komórka i piwnica. Dalej w dziedzińu piekarnia, spichlerz pod dachem dranicowym i świronek z sernikiem. Jeszcze dalej z spichlerze, wozownia, gumno o jednych wrotach, stodoła o 4-ch dwoistych; przy sadzawce: browar, słodownia, łaźnia, obora i chlewy z wrotami. Taki był stan dworu podług inwentarza w d. 9 grudnia 1755. Później Kościuszkowski jeszcze coś budował «wedle własnej woli i upodobania». Ruchomość «warta była zawsze 10.000 złł.» podług wyznania brata, Józefa: srebra, 2 rzędy sute (cenione na 4.000 złł.), 2 rzędy półsute (1000 złł.), cyna, miedź, żelazo, bielizna, pościele (najmniej 200 złł.), futra różne, jako to: rysie, popielice, króliki i inne. Pańszczyzna i daniny szły z 4-ch wiosek: Siechnowicz o 5-ciu chatach włościańskich, Nowosiołek o 3-ch, Stepanek o 7-u i Konotopów o 4-ch, a razem z chat gospodarskich 19-tu. Oprócz sumy, pożyczonej Grabowskiemu, z której matka nadebrała 6.000 złł. na wyprawę Tadeusza do Korpusu (podług rachunku Józefa, ale zakwestyonowanego), posiadała większy kapitał: 34.000 złł. w złocie u Leparskiego. Długi przygodne nie przenosiły 3-ch tysięcy złł. Był więc fundusz dostateczny na wypłatę 40-tu tysięcy złł. «w złocie ważnem»

Dawidowi Kościuszcze za Siechnowicze-Dawidowszczyznę d. 20 czerwca 1768 r. Majętność ta mniejsza od poprzedniej, miała przecież do uprawy gruntu pracę 12-tu gospodarzy (nie licząc 13-go, który «wyszedł z 5-u synami») i dwór, istniejący do dziś dnia. Podług owoczesnego inwentarza w budynku mieszkalnym znajdowała się po prawej stronie, idąc z sieni, izba o 3-ch oknach, w ołów oprawnych, z piecem kaflowym białym i kominami z cegły, jednym na izbę, drugim wyprowadzonym na dach do wyjścia dymu; z tej izby drzwi do komory o 1-m oknie, w ołów oprawnym; z komory drzwi do bokuwej także o 1-m oknie, a w niej piec kaflowy zielony z blachą żelazną w kominie murowanym. Z bokuwej drzwi dwoje: jedne do sieni, drugie do komory przeciwnej izby. Ta przeciwna izba, na lewo od sieni miała okien 4, w ołów oprawnych, i komin murowany na izbę z blachą; przy nim komin do pieca, «a pieca niema». Komora przyległa miała 1 okno w ołów oprawne. Pułap i podłoga wszędzie z tarcic; dach gontami pobity; na rogach dachu karczochoy blaszane. — Wyszedłszy z tego budynku, po prawej ręce widziało się «budynek folwark» o 2-ch sieniach, z których jedna prowadziła do kuchni na 4-ch słupach oraz izby o 4 oknach w drzewo oprawnych, z piecem zielonym kaflowym i kominkiem. Przez sień piekarnia: w tej ławy wokół, okienek małych 3, piec do pieczenia chleba i kominek z cegły. Komora z okienkiem jednym. Dach gontami pobity. Z podwórza przy piekarni chlewki, dalej świronek stary pod słomianym dachem, spichlerz o 1-m dużym i 4-ch mniejszych zasiekach, serniczek na «słupach z balas», browar, słodownia, studnia. Jeszcze dalej idąc, przy ulicy w gaj prowadzącej, chlewy, wozownia, stajnia gościnna z chrustu pleciona i druga z drzewa. Masztarnia z 5-ciu przeorynami. Naprzeciw budynku mieszkalnego wprost stodoła wielka na 7-u parach soch dębowych z tokiem i 4-ma wrotami. Dziedziniec z wrotami i furtką pod daszkiem, po większej części oparkaniony sztachetami, reszta zaś żerdziami; ogrody przez połowę żerdziami, a przez połowę chróstem opasane. Za ogródami w gaju olchowym dwie sadzawki, jedna od drugiej opodal.

Po nabyciu Dawidowszczyzny synowie Ludwika Tadeusza Kościuszki posiadli całą prawie Fedorowszczyznę siechnowicką, czyli tę połowę

starodawnych Siechnowicz, które otrzymał w roku 1509 od Zygmunta I praszczur ich rodu, djak, bojar, sędzia i horodniczy kamieniecki Kościuszek (Konstanty), a które zostały podzielone pierwotnie d. 26 listopada 1561 między dwu jego synów: Iwana i Teodora. Teraz w posiadaniu linii starszej pozostały jeszcze Siechnowicze, zwane Iwanowszczyzną, i obejmujące około 50 włók gruntu. Dwa dwory, podobne z wyglądu i gospodarczych urządzeń mogły stać się dogodną, acz skromną szlachecką siedzibą dla obu braci.

Ale w dniu podpisania aktu kupna Tekla z Ratomskich Kościuszkowa już nie żyła, bo imię jej nie jest w akcie wspomniane. Z «regestru», podanego do akt grodzkich brzeskich, dowiadujemy się, że umarła w tym samym 1768 roku, bez wymienienia dnia i miesiąca, że przytomnym śmierci był Józef i że wyprawił je pogrzeb kosztem aż 2.000 złł. Zgon rozsądnej, energicznej, szanownej matki był stratą niepowetowaną, był prawdziwą klęską dla nieobecnego Tadeusza.

Jeszcze w zeszłym 1767 r. d. 25 października, zaledwo doszedłszy do pełnoletności, «Tadeusz Kosciuszko Chorąży Korpusu Kad.» wydał w Warszawie bardzo szeroką, nieograniczoną plenipotencję bratu swemu «rodzonemu» Józefowi, który podał ją d. 1 lipca 1768 do akt grodzkich brzeskich, poczem bez żadnej przeszkody wszedł w posiadanie Dawidowszczyzny (17 lipca) i objął zarząd obu majątków. Sam tedy gospodarzył i pobierał wszelkie przychody. Tadeuszowi nic nie posyłał; tylko w r. 1769, a więc przed wyjazdem za granicę dał i odliczył mu z rąk swoich «do rąk własnych» jego 7.000 złł. Widzieli się zatem wówczas, zapewne jednak nie w Siechnowiczach, lecz w Warszawie, dokąd Józef przyjeżdżał razy kilka. Wierzyć też należy, iż Tadeusz wziął odrazu tę grubą sumę, znaczną część swego kapitału, boć stypendyum królewskie, 100 dukatów = 1.800 złp. rocznie, wystarczyć nie mogło na kosztowne wówczas podróże i na opłatę za kursy lub lekcye prywatne. Gdy suma wyczerpała się i stypendyum nie dochodziło przez cały rok 1773, musiał zabrać się do powrotu.

Tymczasem brat Józef uwikłał się w trudności, przewyższające skalę jego inteligencji i charakteru. Rwał się do życia publicznego, jeździł na sejmiki, zdobył powtórnie urząd deputata na kadencję wileńską Trybunału, zapisał się w r.

1769 do konfederacji, związanej w Brześciu pod hasłem Barskiej, i zaczął się tytułować oboźnym województwa Brzeskiego. Zdaje się, że nie wytykał obozu dla 5-u zaciągniętych wówczas chorągwi, ale ściągnął na swoje wioski postój wojsk rosyjskich tem uciążliwszy, że wątpliwej waleczności wojak znacznie rozszerzył gospodarstwo swoje, wziął bowiem w dzierżawę duże dobra Tryszyn ze Szpanowiczami i Guzną w okolicy Brześcia i sprowadził się tam na mieszkanie na Ś. Jan 1771. Musiał dawać furaz z tych dóbr i z Siechnowicz, ponosić jakieś «aggrawacye»... Uderzył wkrótce w pokorę i wyjednał «salwogwardyę» od ambasadora rosyjskiego, Stackelberga (1 grudnia 1772), ale mimo to rozłożył się w wioskach tryszyńskich pułkownik Dykier. «Uniżone pisanie» oboźnego nie odnosiły skutku, dopóki uproszony Sosnowski, natenczas pisarz polny litewski, nie wyjednał perswazyami swemi satysfakcyi t. j. wyprowadzenia żołnierzy z chat włościńskich.

Jeszcze większe straty wynikły ztąd, że dobra tryszyńskie należały do biskupstwa unickiego włodzimiersko-brzeskiego i że biskup-nominat Młodowski, od którego Józef wziął dzierżawę, miał jakieś zatargi z metropolitą swoim Wołodkowiczem. Wynikły ztąd zajazdy, wiołencye, gwałty, zabieranie ruchomości, cyny, miedzi, naczyń gospodarskich, maki, krup, wina, stad koni, nareszcie «expulsya», dokonana przez samego metropolitę d. 20 października 1772 r.. Józef wytaczał procesy: w grodzie, w asesoryi litewskiej, w nuncyaturze, w sądach Konfederacji Generalnej, w Radzie Nieustającej, pisał sążniste rachunki, doprowadzone do sumy 80.000, jeździł do Warszawy (1773), otrzymał intromisyę i znowo był wyrzucany, a brnął w coraz większe długi. Wrócił do Siechnowicz, lecz i tu groziła mu w blizkiej przyszłości katastrofa. W takich tarapatach zastał go wracający z zagranicy Tadeusz. Musiał doznać bardzo przykrych wrażeń, kiedy nie zamieszkał z bratem, lecz dachu szukał aż w Sławinku pod Lublinem, gdzie mieszkał stryjeczny brat nieboszczyka ojca, Jan Nepomucen Kościuszko, ten sam, który sprzedał Siechnowicze z kaplicą w 1755 r.

W tych stronach mieszkaly też siostry przy mężach swoich: Estko dzierżawił od Sapiehów Dolholiskę w parafii Wisznickiej, przy granicy z Koroną, a Żółkowski od Radziwiłła Kuzawkę

nad Bugiem, należącą do dóbr Sławatyckich. Obie, a szczególnie Anna, okazywały mu dobre serce. Do tego okresu życia należy zapewne list niedatowany, lecz nacechowany dobroduszością szczerą: «Kochany Braciszku. Za przyslane berlacze dziękuję kochanemu Braciszкови Dobro(dziejowi). Czy nie można tey łaski mieć Kochanego Braciszka, ażeby tak będąc blisko, odwiedzić nas, Całując Kochanego Braciszka piszę się nayniszą sługą A. Estkowa. Mąż moy iak nayniżey kłania. WJMC Panu Sędziemu Dobro. nayniszą przętuim submissią, przytym stateczney oboyga nas polecamy łasce, y godziłoby się nas odwidzic. Kartkę kturą miałam od siostrzyczki a WPan ią wzioles proszę mi ią przysłać».

W tych trzech domach znajdował Tadeusz ukojenie i życzliwą pomoc w położeniu nad wyraz dokuczliwym.

Brata Józefa musiał pozwać urzędownie do obrachunku z pobieranych od śmierci matki dochodów i do przeprowadzenia działu Siechnowicz. Otrzymał w odpowiedzi: 1) «registr kalkulacyi intraty i całego prowentu» z lat 5-ciu (1769 — 1774), datowany w pierwszych dniach marca 1785 r. dziwnie mały, wykazywał bowiem na ogół zaledwo 7.863 zł., a więc przeciętnie po 1,573 zł. na rok z obydwu majątków czyli po 787 zł. na jedną schedę 2) Registr wydatków, poniesionych przez Józefa od 1768 do d. 24 czerwca 1775 r., przerażający, wykazywał bowiem należytość «do oddania i zapłacenia» Józefowi przez Tadeusza 39.132 złp., t. j. całkowitego prawie szacunku Dawidowszczyzny, a pozycye szczegółowe i rachunek procentów po 9%, tak przesadne, że Tadeusz zaniósł do grodu brzeskiego manifest protestujący pod d. 24 czerwca 1775 i uprosił Jana Nepomucena Kościuszkę do polubownego rozśadzenia wszelkich pretensyj.

Rozumując podług logiki dzisiejszej, nie widzielibyśmy niepowetowanego nieszczęścia w długi, chociażby pochłaniającym wartość folwarku. Mężczyzna, wdrożony do pracy, posiadający wyjątkowo wysokie i specyalne wykształcenie, znany zaszczytnie takiemu możnowładcy, jak Czartoryski, i samemu królowi, mógł przecie zdobywać sobie środki utrzymania, a nawet i spłacania długów. Ale inaczej działo się wówczas na świecie i u nas. Wszelką posadę płatną, oprócz tych, które były rozdawane na sejmikach i w sejmie, wszelką szar-



żę oficerską w wojsku trzeba było kupić, w Polsce bowiem tak samo, jak we Francji, istniała sprzedaż urzędów (*la vénalité des charges*). Sprzedawał dawniejszy posiadacz, lub jego spadkobiercy, jako swoją własność, jak dom lub folwark. Kupował jeden z aspirantów, płacąc sumę wyrównującą przynajmniej 4-letniej pensji, ale nieraz i dużo więcej. Czemże zapłaciłby teraz Kościuszko, tytularny «kapitan Korpusu Kadetów i Rzeczypospolitej? I gdzie miał szukać szarży, gdy wojsko koronne i litewskie zmalało do 11.000 głów. Nawet w Korpusie liczba wychowalców zmniejszoną została z 80 do 60-u. Kościuszko do Warszawy nie jeździł, a przynajmniej nie zatrzymywał się dłużej w jej murach; w aktach nie znaleźliśmy żadnego śladu bytności jego w żadnym mieście. Trawił swoje zgryzoty na wsi.

Aliści w promieniu tulących przejazdów ze Sławinka znalazła się Sosnowica, prawie na połowie drogi z Lublina do Dołholiski. Odziedziczył ją po swym dalekim krewnym, bezdzietnym generale wojska litewskiego, Józef Sosnowski, Brześcianin, blizki niegdyś znajomy Ludwika Tadeusza, a niedawno, jak wspominaliśmy, protektor Józefa w sprawie wyprowadzenia wojsk rosyjskich z Tryszyna. Zdaje się, że i Tadeuszowi ułatwił niegdyś przyjęcie do Korpusu Kadetów, bo podczas elekcji świadczył przysługi Stanisławowi Augustowi, a stąd miał nabyte prawo do łaski królewskiej. Sprytny, obrotny, wyzwolony ze skrupułów sumienia, zasługiwał się długo Czartoryskim i odstąpił ich «szczerem sercem» w 1769 r., dając Repninowi zobowiązanie piśmienne, że «we wszystkim według żądania jego na przyszłym sejmie miał postępować». W r. 1771 został wojewodą smoleńskim — oczywiście, tytularnym, bez województwa (które od r. 1667, a raczej od 1654 do Rzeczypospolitej nie należało), ale zasiadającym już w senacie. Sprawował przytem wyższy urząd wojskowy: pisarza polnego litewskiego. Tadeusz Kościuszko, jako aspirant do kariery wojskowej i syn Ludwika, zajechał do Sosnowicy, żeby się przedstawić dostojnikowi Wiel. Księstwa Litewskiego. Niepodobna wątpić, że był przyjęty z wyjątkową uprzejmością, bo został przedstawiony pani wojewodzynie i upoważniony do częstych odwiedzin.

Sosnowica stała się dlań odrazu pałacem czarowanym, bo znalazł tu Ludwikę, jedną z dwu

wojewodzianek dorosłych i dorodnych — i zakochał się. Jak często bywał, jak długo bawił i pod jakimi pozorami? Nie wiem. Ze wspomnień późniejszych o lat 14, z listu samej Ludwiki, pisanego d. 21 maja 1789 w tejże Sosnowicy, dowiedzieć się możemy tylko, że dzień ten był rocznicą pamiętną, albo pierwszego poznania się, albo pierwszego wyznania miłości, a miejscem — jakaś altana (*le Berceau*), która ich ukrywała przed okiem matki, pani Sosnowskiej; że było dużo innych miejsc, budzących przyjemne i przykre wspomnienia, ale przyjemnych więcej daleko; że on rozwinął w niej pierwsze uczucia tkliwe i że jako «filozof» umiał wybornie dzień cały zapęłnić. Rok daje się oznaczyć z pewnością przez kombinację dnia 21 maja z rachunkami, obligami i aktami sądowymi: 1775. Nie mniej widoczną jest niedorzeczność bajań, jakoby Kościuszko podjął się obowiązków nauczyciela panien i przebywał stale w Sosnowicy. Wreszcie z tegoż listu wynurzają się osoby, mniej lub więcej czynne w miłosnym dramacie: siostra i dwie kuzynki: Tekla Sosnowska, bardzo dobra i ładna jeszcze po 14-tu latach, tudzież «starościanka», niewymieniona z nazwiska, może stara panna rezydentka Karolina Zenowiczówna, krewna wojewodziny. Wszystkie trzy były przychylne Kościuszce.

Nie wiedziała zakochana para, że nad jej marzeniami zadzierzgnął się już węzeł tragiczny. Sosnowski dobijał targu ze Stanisławem Lubomirskim, wojewodą kijowskim, nawpół obłąkanym utracyuszem, o wygraną od niego w karty Swinogrodczynę. Stanęła pomiędzy nimi ugoda, że Sosnowski wyda swą córkę, Ludwikę właśnie, za jego syna, Józefa księcia Lubomirskiego, wyposażonego «chlebem dobrze zasłużonych» — dużem starostwem Romanowskim na Ukrainie. Czegoż warte były w porównaniu z taką «zasługą» magnacką wszystkie zalety szlachcica bez fortuny, kapitana bez żołdu w oczach goniącego wciąż za krescytywą parweniusza? Więc jak tylko dowiedział się o romansie, zaraz wyprawił swoją żonę z córkami do Ratna na Polesie.

Jest wiele podań od «naocznych świadków» o zakończeniu miłosnego dramatu, o zamachu na uwięzienie panny, wykonanym niepomyślnie, z bitwą i ranami, lub niewykonanym lecz przygotowanym, lub wreszcie zamierzonym bez przygotowań. Są one niezgodne pomiędzy sobą i całkiem



niewiarogodne, a nawet nieprawdopodobne. Wątpić też należy, aby Sosnowski śmiał i chciał odpowiedzieć na oświadczyzny Kościuszki grubiańską odmową: «Synogarlice nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla drobnych szlachetków». Wprawdzie w tym czasie otrzymał patent na hetmana polnego litewskiego, podpisany przez króla d. 13 września 1775 r., ale magnatem nie był, dumy w sercu swem nigdy nie czuł i drugą córkę wydał później za szlachcica, Rajmunda Korsaka. Ludwika pisała do Stanisława Augusta, d. 18 października 1788 r.: «Znane są W. Kr. Mości dawne stosunki między mną i p. Kościuszką, które go na czas długi oddaliły z kraju i były źródłem jego nieszczęść». Z tych słów jednakże wywnioskować nie można, żeby JKMość wiedział o «stosunkach» wówczas, żeby przez Kościuszkę był proszony o wstawiennictwo do jej ojca i żeby się w tę sprawę wdawał, żeby Sosnowskiego ostrzegał, lub żeby Sosnowski miał bronić honoru córki od gwałtownej napaści. Do wytłomaczenia żalostnej wzmianki wystarcza najumiarkowańsza ze wszystkich spisanych relacji: że Sosnowski został ostrzeżony przez swego sługę; że Kościuszko, przyjechawszy jak zwykle i nie zastawszy pań w domu, domyślił się rekuzy, a fagasi nie omieszkali zapewne minami i półsłówkami swojemi zaostriżyć afrontu. Przy uczuciowym i wielce delikatnym charakterze kochanka niepotrzebne były sceny gwałtowne.

Ale cios był bolesny, tem boleśniejszy, że godził w znękane tyłu cierpieniami serce. Z ojcowizny wyrugowany został przez nierządnego brata. Na koszt sądowe i na wydatki osobiste musiał pożyczać: u Estków 150, u Zuzanny Kościuszkówny 120, u drugiego szwagra, Żółkowskiego, 200 dukatów, lecz temu zmuszony był wystawić zapis «inekwitacyjny» t. j. upoważniający do «zajechania Siechnowicz», do objęcia ich w natychmiastowe posiadanie w razie uchybienia terminu. Pragnął służyć ojczyźnie nabytą wiedzą—i oto nie mógł żadnej służby dostać. Nasłuchiwał się okropnych opowiadań o sejmie, zakończonym po dwuletnim przewoźeniu partyi Ponińskiego w kwietniu tegoż 1775 roku. naczytał się zapewne gęsto krążących satyr, z których jedna p. t. «Sen na jawie» dosadnie scharakteryzowała winy dostojników zdemoralizowanego narodu szlacheckiego.

Wypadkową takich wrażeń i działań na jego

duszę było «nagle» powzięte postanowienie wyjazdu—do Ameryki.

«Nagły» wyjazd nie był jednakże tak pośpiesznym, iżby wyglądał na ucieczkę. W Sławinku porządkował swoje interesa majątkowe, dyktując d. 9 i 10 października dwa akty w obecności «pieczętarczy» czyli świadków podpisujących: Jana Nepomucena i Faustyna Kościuszków. Treść wskazuje, że musiał też być obecnym szwagier, Piotr Estko, zapewne ze swą żoną, gdyż wymieniani są oboje. Pierwszy akt jest plenipotencją dla Estki do przeprowadzenia obrachunku z bratem i działu «wieczystego» dóbr Siechnowicze z pomiarem geometrycznym, drugi wylicza zaciągnięte świeżo długi u Karola Żółkowskiego 200, u Faustyna Kościuszki 60, u samego Estki 230, razem 490 dukatów, liczonych po 18 złp. (a zatem 8,820 złp.) i omawia wypuszczenie małżonkom Estkom, którzy ciężar tej całej sumy na siebie przyjęli, połowy dóbr Siechnowicze w zastawną dwuletnią posesyę, przyczem oświadczył Tadeusz, że z tych dóbr na swoją część obrał «nabytą od W-go Dawida Kościuszki» t. j. Dawidowszczyznę.

Niebawem zapewne wyjechał do Kuzawki już to dla pożegnania się z Żółkowskimi, już dla ruszenia ztamtąd wodą w daleką żeglugę. Mamy o tem wprawdzie jedyną wiadomość ze wspomnień odległych od faktu o lat 47, spisanych w 1822 r. przez Sorokę, który był wówczas pazurem i koniuszym Adama X-cia Czartoryskiego, komendanta Korpusu Kadetów: ale, pomimo kilku anachronizmów i niedokładności, wspomnienia te, o ile są odtworzeniem wrażeń wzrokowych, są prawdopodobne. Można by nie wierzyć opowiedzianej przez niego przygodzie, jakoby nadarzył się w przejeździe przez Sławatycze sam Czartoryski, widział się z Kościuszką i ofiarował mu 500 dukatów, które zostały zaraz odliczone przez Skowrońskiego na stole w karczmie: ale zaprzeczyć temu trudno, gdy zkądinnał, mianowicie, od Jana Nepomucena Kościuszki wiemy, że książę «ze szczerobliwości swojej pańskiej użyczył Tadeuszowi K. 650 dukatów na edukację i pierwiastkową promocję». W tej sumie zmieścić się może i datek sławatycki, jakich sto, albo paręset dukatów. Co do podróży wodnej, ta zalecała się Kościuszcze taniością. W Kuzawce szwagier mógł wyprawić go łodzią ze swymi flisakami za pańszczyznę czyli darmo Bugiem do Wisły, jeśli nie wprost do Gdańska, a z Gdańska podróż łatwa okrętem. Panował wtedy pokój

w Europie: więc morze było jeszcze wolne i bezpieczne.

#### IV.

Nie doszła nas ani jedna literka, ani jedno słówko chociażby ustnej tradycji z tej gorzkiej chwili życia Kościuszki. Możemy ją nieco rozjaśnić tylko pochodnią wiedzy powszechno-dziejowej.

Spór osad anglo-amerykańskich z parlamentem i rządem wielko-brytańskim o prawo podatkowania przeszedł w tym 1775 roku w okres walki orężnej, a w Europie, szczególnie zaś we Francji, wzbudził żywe współczucie dzięki «Deklaracji Praw» i wymownym odezwom Kongresu filadelfijskiego do króla i narodu angielskiego oraz do wszystkich kolonij, wydanym w październiku 1774 roku. Podziwiali je nawet mężowie stanu angielscy: Burke i wielki Pitt hrabia Chatham. Czyż mógł obojętnym pozostać Kościuszkę, który przebywał jeszcze we Francji podczas zatapiania herbaty w porcie bostońskim, kiedy X. Łuskiński w każdym niemal numerze Gazety Warszawskiej notował nowiny, dochodzące z Londynu, Paryża, Amsterdamu o tym zatargu? Wiosną (19 kwietnia) 1775 r. polala się krew: ludzie „minutowi“ z Massachusetts uderzyli na wojsko angielskie pod Lexington, a 15 czerwca Kongres obrał jednomyślnie Jerzego Washingtona wodzem naczelnym wojska Stanów Zjednoczonych. Wszystko to mógł i musiał wiedzieć Kościuszkę przed wyjazdem ze Sławinka; potem, zapewne w podróży, dowiadywał się o groźnych uchwałach parlamentu brytańskiego, uznających ludność osad za buntowników, nakazujących zaciąg 28,000 ludzi do marynarki i 55,000 do armii lądowej.

Kapitan bez żołdu i bez majątku miał teraz najbliższą sposobność zrobienia kariery, udając się do jednego z tych książąt niemieckich, którzy wynajęli, a raczej zaprzędali Anglikom 29,875 swoich poddanych, żołnierzy z oficerami, albo zgłaszając się bezpośrednio do werbowników w Anglii. Ale on wylądowuje we Francji, z kądem w końcu maja lub na początku czerwca 1776 r. odpływa do Ameryki jako ochotnik. Zdaje się, że puścił się na Ocean o własnym koszcie, bez niczyjej zachęty i pomocy, ponieważ pierwszy poseł kongresu Silace Dean pojawił się w Paryżu dopiero 17 lipca i nazajutrz widział go Beau-

marchais, który miał urządzić wysyłkę broni i oficerów. Podanie Kościuszki było odczytane na posiedzeniu Kongresu i odesłane do Wydziału Wojny d. 31 sierpnia; żegluga owoczesna wymagała przeciętnie dni 60, a najmniej 48 na przejazd z portów francuskich do Filadelfii; więc wyjazd z Paryża poprzedził niewątpliwie ową datę rozpoczęcia werbunku francusko-amerykańskiego. Jednocześnie prawie, może na jednym okręcie, przyjechał inżynier Francuz Romond de Lisle, potem znaleźli się inni ochotnicy; z Polaków zaś Kościuszkę był pierwszym przybyszem, był dla nas Kolumbem, odkrywającym Amerykę, wprowadzie nie jako ląd nowy, lecz jako nowy świat pojęć i zasad życia społecznego.

Zanim wstąpił na ziemię amerykańską, nowe pojęcia i zasady zostały już sformułowane w dwu aktach. «Deklaracja praw Wirginii», uchwalona według wniosku Cary'ego między 27 maja a 22 czerwca 1776 r., rozwijała do najszerzych, dotychczas nie dosięganych zakresów pojęcie wolności, szczególnie pod względem wyznań i praktyk religijnych. Akt niepodległości Stanów Zjednoczonych, przyjęty 4 lipca 1776 roku jednomyślnie (nemine contradicente), był odczytany z rozkazu Waszyngtona wszystkim brygadam przed frontem, ogłoszony ludowi z ambon po kościołach i z trybun we wszystkich zgromadzeniach...

To zjednoczenie państw przypominało mu urzędową formułę uniwersałów polskich: «we wszystkich państwach Rzeczypospolitej». To poszukiwanie szczęścia było wypowiedane z taką słodyczą w aktach Zygmunta Augusta! A co do wolności, jakichże określeń nie znalazłoby się w głosach sejmowych i sejmikowych od XVI wieku? Mógł chyba Kościuszkę nad tem zamyśleć się, że z liczby 56 członków Kongresu jeden, jedyny Dickinson odmówił swojego podpisu; niemniej wszakże akt został ogłoszony i był uznany powszechnie za jednomyślny. Więc Amerykanie swojego pojęcia wolności nie posuwali aż do liberum veto, jak Polacy w okresie fanatycznego zaślepienia. Wiadomo było, że wszystkie osady liczyły wówczas tylko 2,100,000 ludności białej i 500,000 murzynów, a jednak ośmielały się wydać wojnę Anglii, która była już panią oceanów i władczynią Indyj Wschodnich, i najbogatszym z państw kuli ziemskiej. Wszak w upadłej i roz-

bieranej Rzeczypospolitej szlacheckiej polsko-litewskiej godzono się na maksymę Stanisława Augusta: wybierać «mniejsze z dwojga złego», «unikać czegoś gorszego» (*vitando pejora*). A jakież pan polski zdolnym był zrozumieć Waszyngtona, człowieka dobrze urodzonego i dobrze uposażonego, *bene natum et possessionatum*, posiadającego z 5,000,000 zł. w dobrach i kapitałach, i setki nie tylko poddanych, ale prawdziwych niewolników-murzynów do uprawy plantacji swoich, że opuszczał swój dom na długie lata, przyjmował dowództwo nad nieistniejącym wojskiem, zrzekał się wyznaczonej od Kongresu płacy i narażał swą głowę na wyrok śmierci przed sądem angielskim jako buntownik!...

Ponieważ Kościuszko przedstawił się jako inżynier, więc Wydział Wojny (*the Board of the War*) polecił mu sporządzić plan fortyfikacji, któreby zasłoniły Filadelfię przed przewidywanym atakiem floty angielskiej. Wykonał to zadanie wspólnie z Romond'em de Lisle. Obadwaj otrzymali za to wynagrodzenie w równych kwotach: po 50 funtów sterlingów i przychylną atestację, na mocy której Kongres d. 18 października 1776 r. zamianował Kościuszkę «inżynierem w służbie Stanów Zjednoczonych z pensją po 60 dolarów na miesiąc i rangą pułkownika»; następnie 5 grudnia kazał «dać zaliczkę w ilości dwumiesięcznego żołdu pp. Kościuszcze i Romond'owi de Lisle».

Naturalnie, plan musiał być wykonany przez odpowiednie roboty. Jakóż, inżynierowie ci przystąpili do wbijania ostrych palisad w korycie rzeki Delaware o 3 mile poniżej Filadelfii na zakręcie około miejscowości, zwanej Billynge (dziś miasteczka Billingsport) i do sypania szanców na brzegu z rowami, parapetami, kazamatami, bateriami. Ślady tych fortyfikacji są widoczne jeszcze dzisiaj. Oglądał je Wiśniowski. Komendantem Filadelfii był generał Putnam; za urlopem z powodu choroby bawił drugi generał, Horatio Gates. Kościuszko poznał się z nimi i zyskał dobrą u nich opinię. Zasłyszał o nim i Washington, lecz niedokładnie; nie znał jeszcze ani nazwiska, ani narodowości jego, ponieważ zmuszony był cofnąć się przed Anglikami z Nowego Yorku za rzekę Delaware i obozować w lesie z garstką «obdartusów», zachęcając ich do znoszenia zimna i wszelakiego niedostatku. Kongres, widząc jego słabe siły i niedostateczną jeszcze obroność Filadelfii,

wyniósł się 12 grudnia do Baltimory; ale powrócił w styczniu, gdy Washington odniósł dwa nadzwyczajne zwycięstwa: pod miastem Trenton (25 grudnia 1776) i pod Princeton (3 stycznia 1777).

Kościuszko, zajęty przy robotach fortyfikacyjnych, mógł ze słyszenia tylko wiedzieć o tych walkach i niezmiernej trudności przeprowadzenia ogłoszonych przez Kongres zasad w czyn, w twardą rzeczywistość. Washington przedstawił niezdadność milicji, czyli pospolitych ruszeń, przysyłanych na 6-tygodniową służbę, do walczenia z regularnymi pułkami angielsko-niemieckimi i żądał uformowania armii z żołnierzy, werbowanych na cały czas wojny. Kongres pozwolił mu zaciągnąć 104 bataliony piechoty, 3,000 lekkiej jazdy, 3 pułki artylerji i korpus inżynierów, werbować na 3-letnie kapitulacje, ofiarując każdemu żołnierzowi po 20 dolarów na rękę i po 100 akrów gruntu po ukończeniu wojny, uchwałą z d. 27 grudnia 1776 nadał nawet władzę nieograniczoną wojskową wodzowi na 6 miesięcy: ale pieniędzy nie dał, bo nie miał prawa nakładania podatków. Wypuszczał tylko «bilety kontynentalne na okaziciela», czyli papiery kredytowe, ale kupcy i dostawcy żywności lub odzieży przyjmowali je niechętnie i w niskiej cenie. Z tego powodu Washington nie zdołał uformować wielkiej armii. Latem 1777 r. miał zaledwo 11,000 żołnierza i przegrał dwie bitwy.

Tymczasem Anglicy uplanowali drugi atak, z Kanady, żeby go odciąć od Stanów Północnych, opanowując rzekę Hudson na całej długości od jeziora Champlain aż do jej ujścia pod Nowym Yorkiem. Dowiedziawszy się o tem, Kongres zalecił utworzenie «armii północnej» z tamiecznych milicji i powierzył dowództwo 25 marca 1777 r. Horacyuszowi Gates. Trzeba było najprzód zabezpieczyć połączone jeziora Champlain i S. George, gdzie Amerykanie utrzymywali flotylę i posiadali forty Crown-Point, Independence oraz fortecę Ticonderoga, uzbrojoną 200 armatami i uznaną za «klucz do wszystkich kolonij» Nowej Anglii. Udając się tam, Gates zabrał Kościuszkę i użył go do zbadania stanu tej fortecy, a ponieważ panuje nad nią góra, zwana Głową Cukru (*Sugar loaf hill*): więc zażądał od niego zdania, czy na tę górę możliwym jest wprowadzenie dział wielkiego wagomiaru. Kościuszko złożył raport z wnioskami, że jest

możliwym urządzenie drogi i splantowanie szczytu i że bateria na splantowanym szczycie będzie miała dostateczną wysokość do zupełnego zabezpieczenia dwu fortów wraz z mostem komunikacyjnym i przystanią dla statków.

Innego zdania był generał Schuyler, zamieszkały niedaleko w Albany, bogaty właściciel tartaków — i postawił na swoim. Po odjeździe Gates'a skierował całą siłę roboczą 120 ludzi na umocnienie niskich okolic Ticonderogi podług planu inżyniera pułk. Baldwina, a pod kierunkiem pułkownika Hay'a. Zesłany na inspekcję adjutant Wilkenson zganił te roboty i zażądał przysłania Kościuszki «na miłość Boga jak można najprędzej».

Ale straconego czasu niepodobna już było powetować. W czerwcu rozpoczęli swoją akcję Anglicy z dwu krańców Krainy Wyżyn (Highlands). Z Nowego Yorku ruszył w górę rzeki Hudson sir Henry Clinton, lecz zatrzymała pochód jego forteczka Montgomery, którą musiał oblegać. Z Kanady wkroczył gen. Burgoyne na czele 7.000 wyborowego żołnierza i 400 Indian czerwono-skórych. Opanował on rychło fort Independence, urządził wjazd na Cukrową Głowę od północnego jej stoku, zatoczył armaty na szczycie i zmusił tem komendanta Ticonderogi (5 lipca) do ratowania się ucieczką aż ku ujściu rzeki Mohawk do Hudsonu, na wyspę Van Schaik. Tu dopiero mógł usłużyć Amerykanom Kościuszko obwarowaniem ich obozu (ukończonem 22 lipca). Zaznał z nimi biedy, kiedy sypiał z Wilkensonem pod jego koldrą, nie mając własnej.

Wielkie oburzenie powstało na komendanta utraconej Ticonderogi, Saint Clair'a, i na gen. Schuylera. Kongres kazał ich stawić przed sądem wojennym, Gates'owi zaś polecił (3 sierpnia) jechać dla objęcia dowództwa, dodając mu do pomocy gen. Arnolda, przedsiębiorczego i zręcznego dowódcę milicyi Massachusetts'u i Connecticut'u. Nadesłał też posiłki od swego wojska «kontynentalnego» Washington i tym sposobem utworzyła się na prawdę «armia północna» w liczbie 13.000 głów.

Gates zwinął zaraz (19 sierpnia) obóz Van Schaik i ruszył na spotkanie Burgoyne'a. Przodem wysłał pułkowników Kościuszkę i Hay'a dla upatrzenia dogodnej pozycyi na prawym t. j. zachodnim brzegu rz. Hudson, wyższym, górzystym.

Zaświadczył później, że wybór miejsca na obozowisko i oszańcowanie było dziełem «pułkownika Kościuszki». W pobliżu słynnych dziś kąpieli mineralnych, nawiedzanych przez 50.000 kuracuszów co lato, a wówczas małej wioski, zwanej indyjskim mianem Saratoga (właściwie Saraghoga) jest góra, na której stała jedna tylko budowla — karczma niejakiego Behmusa czy Behmisa. Kościuszko założył tutaj baterię północną, od której pociągnął szanice w kierunku wschodnim do kanału, następnie w południowym do rzeki i zakończył je drugą baterią, ostrzeliwującą brzeg lewy. Przed frontem znajdował się most niewielki na rzeczulce Mill Creek; atak z tej strony zastał utrudniony przez drugą linię okopów. Wreszcie po pierwszej bitwie (19 września zaszłej) dodał jeszcze redutę od strony zachodniej, na pagórku nieco niższym od góry Behmusa.

Zapora była tak silną i skuteczną, że Burgoyne nie tylko sforsować jej nie był w stanie, ale miał przerwane stosunki z Clinton'em. Wiadomo, że po drugim nieudatnym ataku d. 7 października i po kilkudniowem daremnem oczekiwaniu na przybycie Clinton'a, widział się zmuszonym cofnąć się i że ten fatalny odwrót zakończył się złożeniem broni przed ścigającymi go Amerykanami d. 17 października. Dzielnie sprawowały się milicje, sławnym stał się Arnold: ale fortyfikacje były dla niewycwiczonego wojownika niezbędne. Przyznawał to Gates, że «wielkimi strategikami w tym wypadku były pagórki i lasy, które młody inżynier polski umiał zręcznie obrać pod mój obóz». Odtąd powziął o nim chlubną opinię i zaczął się uczyć jego nazwiska Washington. Pisząc do prezesa Kongresu Laurensa pod d. 10 listopada 1777 r. zamieszcza wzmiankę, że «według otrzymanych przezemnie dobrych informacji, inżynier armii północnej — zdaje mi się, że się nazywa Kosciuszko — jest człowiekiem nauki i wyższych zalet. Wedle atestacyi, jakie mam o nim, zasługuje bardzo, aby go mieć na pamięci».

Sam Washington nie miał go jednak na pamięci — a to skutkiem przykrości, doznanych nie od niego wprawdzie, lecz od jego zwierzchnika generała Gates, który i sam uchybił subordynacyi, posyłając raport o zwycięstwie wprost do Kongresu, pominąwszy wodza naczelnego, i miał zbyt gorliwych stronników. Nie dość że go wy-



ślawiali nad wartość, ale kusili się o odebranie dowództwa Washingtonowi, gdy po niepomysłnych jego bitwach Kongres musiał wynieść się znowu z Filadelfii przed generałem angielskim Howe, który zajął to miasto. «Intryga Conway'a» okazała się nie dość silną; pozostawiła przecież pewną gorycz w duszy Washingtona, którą on tłumił w sobie, ale która mimowolnie zniechęcała go do podwładnych współzawodnika, o tyle przynajmniej, że się nie troszczył o nich, że nie okazywał im takiej życzliwości, jak towarzyszom swoich trudów i utrapień. Dość przypomnieć dla porównania jego serdeczność, rzec można — czułość, świadczoną Lafayette'owi, którego zaliczył do swej «rodziny wojskowej» czyli sztabu głównego. Wszelkiej wyrozumiałości i uprzejmości doznawał też od niego przybyły d. 20 sierpnia 1777 r. Kazimierz Pułaski ze swym nieodstępnym adjutantem, wielbicielem i biografem, Maciejem Rogowskim. Dzielny ten kawalerzysta od razu dostał rangę brygadiera i oddział wojska, z którym popisał się dobrze w bitwie pod Germantown (4 października) a następnie wysłany został do Trentonu dla niszczenia wycieczek nieprzyjaciela wspólnie z generałem Wayne.

Po zniszczeniu wyprawy Burgoyne'a na granicy Kanady zapanował spokój: więc Kościuszko, dowiedziawszy się o miejscu pobytu współziomka, wybrał się do niego w odwiedziny za urlopem w końcu grudnia na święta Bożego Narodzenia. Zapisał tę wizytę w swoim pamiętniku Rogowski i udarował nas pierwszą charakterystyką znanego dotychczas tylko z terminologii urzędowej skromnego Litwina. «Kościuszko nie miał miny zawieszistej, jak pan Kazimierz, ale widać było na jego twarzy pocziwość i otwartość szlachecką, a przytem był człowiek niezmiernie słodki i pełen wiadomości: kompania więc jego i dyskurs wielką nam przyjemność sprawiły. Choć równego wieku z Pułaskim (prawie, bo różnica wynosiła nie całe trzy lata), nie znali się z sobą w kraju... ale tu oto na cudzoziemskiej ziemi pokochali się mocno, przyjaźń dożgonną sobie obiecując. Po 10-u dniach zabawy, podczas których, mimo biedy, wysadziliśmy się na traktament staropolski, odjechał Kościuszko do swego korpusu i odtąd go już oczy moje nie spotkały, dopiero w bitwie pod Dubienką 1792 roku».

Washington wówczas spędzał długą, srogą

i głodną zimę w obozowisku leśnem Valley Forge, o 20 mil na zachód od Filadelfii. Czy mu się przedstawił Kościuszko, jadąc na urlop, albo wracając? Niema śladu. Zetknięcie osobiste i poznanie się przy pracy nastąpiło później: we wrześniu r. 1778, nad rzeką Hudson. Po traktacie przymierza z Francją i ukazaniu się floty francuskiej na wodach amerykańskich, lord Howe bez walki ustąpił z Filadelfii do Nowego Yorku, który stał się znów główną kwaterą angielską. W tę stronę więc przesuwają się czynność wojenna i kraina Wyżyn stał się przedmiotem czujnej uwagi Amerykanów. Zarządzono budowę dwu par fortów po obu brzegach rzeki Hudson oraz głównej fortecy West-Point. Przyjechał Washington do tej ostatniej dla obejrzenia robót i zastał tu Kościuszkę, mianowanego od Kongresu zawiadowcą fortów i baterii. Nie okazał mu odpowiedniego zasługom uznania, skoro poddawał jego projekty i plany pod zatwierdzenie generała-brygadiera Duportail'a, do którego pisał d. 19 września 1778 z West-Point w takich np. wyrazach: «Pochlebna atestacya, jaką Pan dałeś co do uzdolnienia Kościuszki, usuwa obawy (co do ogólnego planu)... Wszelkie poprawki w granicach ogólnej dyspozycji, jakie mogą być potrzebnymi, racz Pan wskazać pułkownikowi Kościuszcze, aby je wykonał... Zażądam Pan od pułk. Kościuszki, żeby podał swoje plany do aprobacji Pańskiej przed rozpoczęciem robót konstrukcyjnych, lub żeby je nakreślił od razu wedle własnych Pańskich pomysłów». A ten Duportail był jednym z 4-ch inżynierów z wojska francuskiego, umówionych do służby amerykańskiej przez Deana i Franklina, otrzymał nominację na pułkownika d. 8 lipca 1777, był więc wówczas równy rangą a młodszy od Kościuszki służbą o 9 miesięcy, nic wielkiego nie zdziałał, Saratogą pochłubić się nie mógł, ale przebywając przy boku Washingtona w barakach Valley Forge, wyszedł na brygadiera, na inżyniera naczelnego armii i zasiadał w radzie wojennej już 5 maja 1778 r. Zarobił też sobie na obelisk pomnikowy w West-Point nie on, lecz Kościuszko, obelisk, wystawiony ze składek młodzieży, wychowalców Akademii Wojskowej. Drugim pomnikiem jest sąd gen. Armstronga: «Kościuszko ma zasługę, że nadał fortecy taką siłę, iż odstraszyła nieprzyjaciela od wszelkiego pokuszenia się o zdobycie panowania nad krainą Wyżyn».



Przez półtrzecia roku budował cytadelę, forty, reduty, koszary spokojnie, bez pretensyj, z uległością względem zmieniających się dość często zwierzchników, z dobrocią ujmującą względem robotników. Ze swego żołdu, wypłacanego papierowymi pieniędzmi, lub chlebem ze swego stołu zasilal głodnych jeńców angielskich. Mieszkał u niejakiej wdowy Warren. Od Washingtona jednakże, który obozował wciąż nad rz. Hudson, a nawet przez pół roku 1779 miał główną kwaterę w samym West-Point, doznawał chłodnego, czysto urzędowego traktowania. Zdarzyło się raz, że zabrano robotników do jakiejś «szczególnej i czasowej posługi» bez uprzedniego zawiadomienia. Wówczas Kościuszko zażądał tranzlokacji na nowy południowy teatr wojny. Washington w liście datowanym z Peekskill d. 3 sierpnia 1780 r., tłumaczył się zlekka co do popełnionej niegrzeczności, zaznaczał życzenie, aby Kościuszko prowadził dalej roboty, z którymi się obeznał najlepiej, ale w końcu udzielał mu przyzwolenia swego na tranzlokację: «Armia południowa, skutkiem ujęcia w niewolę generała Duportail tudzież innych panów tego fachu, nie posiada inżyniera, a gdy Pan wyrażasz, jak się zdaje, życzenie udać się tam raczej, niż pozostawać w West-Point, więc ja, jeśli Pan wolisz to, niż obecne swoje przeznaczenie, nie będę miał nic przeciwko Pańskiemu przeniesieniu». Na to odpisał zaraz (4 sierpnia) Kościuszko «Wybór, jaki raczyłeś mi pozostawić, Ekscelencyo, w liście wczorajszym, jest wielką łaską, a ponieważ wykończenie robót na tym placu w ciągu niniejszej kampanii wśród obecnych okoliczności jest, zdaniem mojem, niemożliwe: wolę przeto udać się na południe, niż tutaj pozostawać nadal. Upraszam o zaszczycenie mnie rozkazami i listem rekomendacyjnym do Wydziału Wojny, gdyż będę przejeżdżał przez Filadelfię. Będę służył Waszej Ekscelencji za kilka dni, żeby złożyć należne uszanowanie».

Korespondencya ta ujawnia stosunek zaledwo przyzwoity. Inaczej pisywał Washington nie tylko do Lafayette'a, ale i do wzmiankowanego generała Duportail. Inaczej też oceniał Kościuszkę gen. Gates, mianowany dowódcą owej armii południowej. Oto wyjątek z listu jego do Jeffersona: «Wybierając się na ten nowy i, jak powiada Lee, nader trudny teatr wojny, zwracam

pierwszą myśl na wybór naczelnego inżyniera, generalnego adjutanta i generalnego kwatermistrza. Kościuszko, Hay i ty zapelnilibyście wybornie te stanowiska, jeśli was nakłonić potrafię do przyjęcia. Doskonale przymioty tego Polaka, które ty znasz najlepiej, są już teraz naleyście ocenione w głównej kwaterze i mogą skłonić inne osoby do stawiania przeszkód jego przyłączeniu się do nas; gdyby jednak przyrzekł nam raz, moglibyśmy na nim polegać».

Chodziło tu o sprawę ważną. Wódz angielski, sir H. Clinton, pozostawiając Washingtona i rzekę Hudson w spokoju, przeniósł akcję wojenną do Stanów Południowych, gdzie liczył na gorliwą pomoc wielu torysów—plantatorów, kłócących się, a nawet porywających się do walki z republikanami. Już tedy w końcu 1778 r. wysłany przez niego gen. Prevost usadowił się w m. Savannah i, ufortyfikowawszy je, odpierał ataki amerykańskiego gen. Lincoln'a i Pulaskiego; ten ostatni poległ, pędząc z konnicą przez lukę między bateriami (9 paźdź. 1779). Ważne miasto portowe Charleston poddało się po 6-ciotygodniowym oblężeniu Clinton'owi 12 maja 1780 r.; korpus angielski Tarletona śmiało zapuszczał się w Karolinie aż pod góry Apallache. Zadaniem tedy Gates'a było utrzymać dla Unii Stany Południowe.

Kościuszko przyjął ofiarowany mu urząd inżyniera naczelnego armii południowej, ale nie zdążył jeszcze przejechać długiej drogi z West-Point przez Filadelfię, gdy Gates stoczył tak nieszczęśliwie bitwę z Anglikami pod Camden, 16 sierpnia 1780, że został usunięty od dowództwa na dwa lata wyrokiem sądu wojennego, a więc unicestwiony w służbie publicznej w ostatnim okresie wojny anglo-amerykańskiej. Zamiast przyjaciela Kościuszko dostał zrządzeniem losu zwierzchnika nieznanego, jednego z najzaufanych współpracowników Washingtona. Był to generał Greene. Przyjechał on do swej głównej kwatery Charlotte nad rzeką Catawba 2 grudnia 1780 r. z planem prowadzenia «małej wojny» czyli partyzantki, bo zastał zaledwo 2397 żołnierza, po większej części milicyantów. Zaraz, 8 grudnia, dał Kościuszcze nielatwe do wykonania polecenie: przejechać 20 — 30 mil wzdłuż rzeki Pedee dla wyszukania dobrych pozycji i przepraw, sporządzić topograficzny obraz kraju, zbadać naturę

gruntu, zły lub dobry gatunek wody do picia, ilość produktów w posiadaniu gospodarzy, liczbę młynów, środki komunikacji i t. d. Są to zadania właściwe dla oficera sztabu głównego, nie dla inżyniera: Kościuszko jednakże zrobił pomiary i zebrał tak dokładne informacje w ciągu miesiąca, że raportowi jego przyznawano «wielki wpływ na przebieg kampanii». W połowie stycznia 1781 r. zabrał się do budowania mostolodzi czyli pontonów, które miały być wożone za wojskiem dla umożliwienia przepraw przez liczne i szerokie rzeki, przecinające tę krainę o ludności rzadkiej, niepewnego albo wrogiego usposobienia, Imięszanej, bo złożonej z Anglików, Francuzów Irlandczyków i niewolników-murzynów.

Greene rozpoczął działania swoje od wysłania Morgana z tysiącem ludzi przeciwko słynnemu Tarletonowi. Morgan odniósł zwycięstwo pod Cowpens, 17 stycznia 1781, uwieńczone zabiciem 500 jeńców i znacznych zapasów broni, amunicji, żywności, poczem wrócił pomyślnie do głównej kwatery. Żeby się pomścić tej straty, ruszył lord Cornwallis marszem forsownym i dogonił cofającego się Greene'a nad rzeką Yadkin (2 lutego), ale w nocy Kościuszko potrafił przeprowadzić na swych pontonach całe wojsko, gdy Anglicy stracili dwa dni za wyszukanie brodu. Podobną przysługę wyświadczył Greenowi pod Irvins Ferry nad rzeką Dan (13 lutego). Wszystkie bagaże, działa, zapasy żywności zostały uratowane, pomimo gorącego pościgu nieprzyjacielskiego. Zniechęcony Cornwallis poszedł ku morzu, a Greene przeprowadził się napowrót, powiększwszy swą siłę milicjami do 5.000 głów. Kościuszcze polecił ufortyfikować Halifax. Przywołał go atoli wkrótce do oblężenia forteczki Ninety Six (=96, bo na tyle mil oddaloną była od granicznej twierdzy Prince George). Kościuszko doprowadził przykopy w niezwykle twardym gruncie pod samą fosę, pomimo dzielnego oporu obleżonych, umiejętnie, energicznie pracą dzienną i nocną na trzy zmiany robotników (21 maja do 18 czerwca). Szturm nie udał się z powodu niedostatecznej wytrwałości żołnierza w walce na bagnety i zbliżania się odsieczy, ale Kościuszkę Greene atestował w najchwalebniejszych wyrażeniach, jako jednego «z najszytyczniejszych i najmilszych towarzyszy broni... z niczem niezrównanej gorliwości... czujności, staranności... Bardzo

się też wyróżniał bezprzykładną skromnością i zupełną nieświadomością tego, że dokonał czegoś niezwykłego. Nigdy nie objawiał żądań, albo pretensji dla siebie samego; nigdy nie pominął sposobności odznaczenia i zalecenia cudzych zasług».

W dalszym ciągu partyzanckiej kampanii Kościuszko, nie mając robót inżynierskich do wykonywania, stał się oficerem polowym i prowadził zwykle jakiś oddział do boju, lub na rekonanسه. W bitwie pod Eutaw Springs w pobliżu Charlestonu, zrazu zwycięskiej, a w końcu przegranej z powodu niesforności partyzantów, ocalił życie 40 szeregowcom jeńcom i jednemu oficerowi, których rozjuszeni Amerykanie zamordować chcieli (8 września).

W tym czasie Washington łącznie z francuzkim korpusem generała Rochambeau zbliżał się szybkim marszem do zatoki Chesapeake, nad której brzegiem, w m. Yorktown, zasiadał lord Cornwallis z główną swą siłą 7.000 ludzi. Kapitulacja jego, d. 19 października 1781 r. dokonana, była uznana w Anglii za cios stanowczy. Greene dowiedział się o niej 30 października i nie omieszkiał obwieścić jej salwami broni palnej oraz okrzykami tryumfalnymi. Obozował wtedy na pagórkach nad rzeką Santee, o 600 klm. od Yorktownu w najprostszej linii.

Chociaż rok 1782 upływał na układach, które doprowadziły do zawarcia punktów przedugodnych z posłami amerykańskimi w Europie d. 30 listopada, Greene jednakże operował w okolicach Charlestonu. Podstawą jego operacyjną był obóz, wytknięty przez Kościuszkę w odległości mil 50 ang. w miejscowości, zwanej Round O (=Okrągłe O). Trafił Anglików podjazdami, w których Kościuszko brał czynny udział i zyskiwał uznanie tak generała, jak i podwładnych oficerów. Nareszcie kapitulował energiczny komendant miasta Leslie 14 grudnia 1782 r. O godzinie 11-ej wszedł do Charlestonu Kościuszko, o 3-ej Greene wprowadził gubernatora i zgromadzenie stanowe do ratusza. Przed zachodem słońca wyszła z portu flota angielska, około 300 żagli licząca. Ogłoszono zaraz amnestię dla torysów. Wszyscy obywatele nowonarodzonego państwa mogli zjednoczyć się we wspólnej radości.

Na tem zakończyły się działania wojenne. Milicjanci wrócili do swoich warsztatów, pół

i wszelkich prywatnych zajęć, ale wojsko «kontynentalne» czyli regularne musiało zostać pod bronią do czasu zawarcia i wykonania traktatów pokoju pomiędzy Anglią a wszystkimi sprzymierzonymi z Ameryką mocarstwami. Więc Greene i Kościuszko przemaszerowali jeszcze dużą przestrzeń z Karoliny Południowej do obozu Washingtona nad rz. Hudson pod Newburg, w pobliżu Nowego Yorku.

Tutaj zaszły wielce pouczające dla Polaka wypadki. Zaniepokojeni o przyszłość swoją i o niewypłacony za 1½ roku żołd oficerowie spisali (25 stycznia 1783) akt związku koleżeńskiego i wyznaczyli swoich delegatów do traktowania z Kongresem względem 5-ciu pretensyj, a niepodpisany «adres od oficerów armii» (ulożony przez majora Armstronga, dawniej adjutanta przy generale Gates) ofiarował naczelnemu wodzowi służbę powolną i bezterminową. Nadto, pułkownik pewien, Nicola, od siebie przesłał do niego list z zachwalaniem monarchicznej formy rządu, a więc z insynuacją, aby się królem ogłosił. Ale Washington nie poszedł drogą Waldsteina lub Kromwela. Zgromadziwszy oficerów, przemówił do nich tak szlachetnymi i przekonywającymi słowy, że pozostali w posłuszeństwie władzy narodowej. Za to poparł ich żądania gorąco przed Kongresem, zakładając z góry protestację przeciwko niewdzięczności.

Sejm amerykański nie dopuścił się niewdzięczności. Uchwalił, że z chwilą rozpuszczenia wojska otrzyma każdy szeregowiec gratyfikację w kwocie żołdu 4-miesięcznego, a każdy oficer — 5-letniego z podwyższeniem rangi o jeden stopień; wedle tej rangi otrzyma również każdy obiecane dawniej grunta.

Względem Kościuszki Washington spełnił też obowiązek sprawiedliwości, pisząc do prezesa Kongresu d. 2 października 1783: »Panie, mam zaszczyt przesłać Waszej Ekscelencyi kopię listu, otrzymanego od pułkownika Kościuszki w przedmiocie awansu jego. Awans ogólny, obecnie w Kongresie stojący na porządku dziennym, jeśli nastąpi, stosowałby się i do niego, lecz ten — zdaje się — nie odpowiada życzeniu jego. Jako cudzoziemcowi, przypuszczam, odpowiadałby lepiej jego widokom i interesom awans oddzielny, a znając wartość i zasługi jego, tudzież zgodne świadectwa wszystkich, którzy go znają, mogę tylko zalecić go, że godnym jest tej łaski Kongresu». Rezolucya Kongresu (13 paźdź.) brzmi:

«Zważywszy raport Komitetu (złożonego z pp. Reep, Peters i Duane) o odezwie naczelnego wodza z dnia 2 b. m. i list sekretarza (= ministra) Wojny z d. 8 sierpnia, postanawia się, że sekretarz Wojny ma wydać pułkownikowi Kościuszce patent na szarżę generała-brygadiera i oświadczyć temu oficerowi, że Kongres jest przejęty wysokiem uznaniem dla jego długich, wiernych i cennych wielce zasług».

Przyjemniejsze jeszcze, bo niespodziewane, przynajmniej bez upominania się udzielone, spotkało Kościuszkę odznaczenie od kolegów: zamieścili go w liczbie trzech cudzoziemców, którzy mieli należeć do zawiązanego w d. 19 czerwca t. r. w tym samym obozie pod Newburg «Towarzystwa Cyncynatów», którego zadaniem było: trwać w serdecznej przyjaźni, święcić na zgromadzeniach swoich pamięć wielkiej wojny, przyczyniać się do krzewienia wolności między ludźmi, utrzymywać życzliwe stosunki pomiędzy Stanami Unii, wspierać swych członków w potrzebie. Członkowie mieli nosić znak: na niebieskiej z białem wstędze złotego orła z brylantowemi oczyma i tarczą na piersiach, ozdobioną wizerunkiem Cyncynnata, witanego przez senatorów rzymskich, oraz napisem: «Omnia relinquit servare Rempublicam» etc. Znak ten zwano pospolicie orderem Cyncynnata. Prezesem Towarzystwa został obrany Washington. Pierwsze zgromadzenie odbyło się d. 5 maja 1784.

Tymczasem Anglicy oddali Amerykanom Nowy York, 25 listopada 1783, i odpłynęli w wykonaniu traktatu paryzkiego, uznającego niepodległość Stanów Zjednoczonych, a 23 grudnia po uregulowaniu rachunków i dokumentów stanął Washington przed Kongresem, zasiadającym wówczas w Annapolis, złożył powierzona mu przed 8-u laty władzę, wypowiedział gorącą pochwałę wojsku, serdecznie pożegnał zgromadzenie i oświadczył, że usuwa się od wszelkich urzędów publicznych. Zgodził się przyjąć, jako znak wdzięczności, od narodu jedynie prawo przesyłania i odbierania listów przez pocztę bezpłatnie. Odjechał do swego wiejskiego dworu Mount Vernon.

I. Kościuszko mógłby osiąść na gospodarce w Ameryce: miał przecie wydzielony sobie spory kawał ziemi. Ale w duszy jego ozwał się pociąg do Ojczyzny. Gdy opuścił ją z sercem rozdartem i głową, znękaną myślami rozpaczniemi, nie-

chętnie pisywał listy, tak, że w kraju nic prawie o nim nie wiadano i Czartoryski w końcu 1778 roku kazał zasięgnąć o nim wiadomości od Franklina w Paryżu. Od r. 1780 wszakże znajduje się ślad korespondencji jego z Julianem Ursynem Niemcewiczem, Brześcianinem z zamieszkania, kadetem z wychowania. Dowiedział się tedy Kościuszko czy z tej korespondencji, czy z listu samej Ludwiki (datowanego 5 maja 1781), że ojciec zmusił ją do zamążpójścia za Józefa księcia Lubomirskiego, że ona jednak przechowuje niezmienną i dozgonną miłość dla odepchniętego przez nich oblubieńca.

Kościuszko uznał tę sprawę sercową za ukończoną. Sprawę majątkową naprawił, bo gdyby nic nie pozostało z Siechnowicz, wystarczyłby mu na życie fundusz, przyznany w Ameryce, wynoszący 12,280 dolarów jako żołd skapitalizowany. Na razie fundusz ten nie był wypłacony z powodu zawikłań finansowych nieuporządkowanego jeszcze państwa, ale wydano mu certyfikat z asygnacją na pobór procentów 6% w Paryżu aż do czasu wypłaty kapitału. Czyniło to 736 dolarów rocznego dochodu czyli przeszło 6,000 złp. Więc można było mieszkać w Polsce, służyć Polsce, nie żądając od Polski nawet chleba powszedniego...

Wsiadł Kościuszko w Nowym Yorku na okręt w lipcu 1784 r. i popłynął do Francji, a ztamtąd dostał się w swoje rodzinne strony, zapewne pod koniec tegoż, lub na początku 1785 roku.

## V.

Powitały go w kraju przyjemniejsze, niż dawniej wrażenia — nasamprzód przy spotkaniu z Estkami. Pan Piotr wywiązał się z danej mu plenipotencji znakomicie: pokoił procesy działowe i kredytowe, oczyścił Siechnowicze-Dawidowszczyznę, spłacając wierzycieli własnym groszem, i oddał ją Kościuszce, nie odebrawszy nawet sumy zastawnej. Uczynił to z taką delikatnością, że pan «Jenerał wojsk amerykańskich» osiadł na swem dziedzictwie ze spokojnem sunieniem i zupełnem przeświadczeniem o niezachwianej mocy swego prawa własności. Wiedział, że ma długi, lecz na spłacenie ich miał przecie certyfikat amerykański.

Dawny dwór matki znajdował się teraz w posiadaniu szwagra Żółkowskiego i przezwany został Żółkowszczyzną («Żowkiwszczyzna» w ustach

ludu miejscowego, do dziś dnia), albowiem brat Józef został wywłaszczony z całego mienia i tułał się gdzieś, zasilany czasem datkami pocztowej Anny Estkowej. Wyznał on winy swoje względem Tadeusza aktem formalnym, podpisanym własnoręcznie i przez pieczętarzy w Dołholisce (d. 8 sierpnia 1786 r.); we trzy lata później umarł i pochowany został w Wisznicy (15 maja 1789 r.).

W 39-m roku życia, po tylu wędrówkach, studiach naukowych i przygodach wojennych Kościuszko stał się ziemianinem województwa Brzeskiego, rozpoczynał gospodarkę na własnym zagonie. Znamy ten dwór z przytoczonego wyżej inwentarza Dawidowszczyzny. Soroka widział w dużym pokoju na prawo z sieni stół ordynaryjny stary, kilka stołków drewnianych i staroświecką szafę kredensową; z niego druga izba przepierzona dzieliła się na pokoić sypialny i garderobę; w sypialni stało łóżko na środku i przy nim stolik niewielki, na którym książki, kałamarz i papier; do podawania kawy taca, ręką pana K. z jabłoni toczona. Gospodarstwem kobiecem zarządzała stara «ciotka» (Zuzanna Kościuszkówna); liberya składała się z dwu osób: lokaja i furmana. Z listów, do siostry Anny pisanych, dowiadujemy się, że Kościuszko chciał sprowadzić stolarza za umową roczną: «dam jemu 100 złt., a nareszcie 150», gdy zaś księżna (Sapieżyna Krystyna z Sanguszków, wdowa po Władysławie) nie puściła swego stolarza, zapytywał: czy nie można dostać od niej ze dwanaście stołków. Posyłał podwoły po krzesła i kanapy. Widać ztąd, że meblował pokój bawialny, który musiał znajdować się na lewo od sieni, jak dzisiaj, bo dom mieszkalny państwa Bułhaków stoi na dawnych owoczesnych fundamentach. W ogrodzie owocowym Kościuszko urządził istniejący do dziś dnia «labirynt» z leszczyny: ścieżka wązka kręci się między gęstymi ścianami zieleni w tylu zagięciach, że można kilkanaście minut chodzić na malej stosunkowo przestrzeni, nie widząc nic poza temi ścianami. Zasadził też wielkie drzewa po obu stronach szerokiej alei. Po wyjeździe z Siechnowicz przesyłał jeszcze polecenia: «Posadźcie brzoźek małych w promenadzie, zaraz za budynkiem, koło dołu. Proszę, posadźcie szczepy, od Laskowskiego darowane, i w te miejsca, w których się dawniejsze nie przyjęły». Była i sadzawka, zarosła ajerem (tatarakiem); w niej pło-



dzily się dzikie kaczkę, które, żeby nie były płoszone, troskliwie pielęgnował.

Nie był odludkiem; owszem lubił towarzystwo i chętnie go szukał. Wiemy to od Kniaziewicza, że miał upodobanie w grach takich, jak: gotowalnia, cenzurowany, mruczek i t. p. Przyjechawszy do jakiegoś szlacheckiego domu, zwłaszcza gdzie były panienki, zwykle napędzał do takich zabaw młodzież i sam się do nich mieszał. Obejście jego było pełne prostoty. Był bardzo grzeczny, kłaniający się, potulny i wyglądał na ubogiego niepoczesnego szlachcica. Miał miłe sąsiedztwo o miedzę w Siechnowiczach Wielkich, które wyszły już na zawsze z posiadania Iwanowiczów-Kościuszków i stały się niedawno własnością księcia Czartoryskiego, a dzierżawą zastawną Michała Zaleskiego, wojskiego W. X. Litewskiego. Był to słynny z wymowy patron czyli adwokat, wsławiony obronami wielu osób, niegodziwie napastowanych przez sądy konfederackie Ponińskiego w latach 1773 — 5. Zapisał się on też i na kartach historii politycznej jako członek Komisji Skarbowej Litewskiej podczas głośnej sprawy podskarbiego Tyzenhauza, jako poseł na sejmy 1780 i 1788 r., wreszcie jako redaktor znakomitej «Relacyi» w sprawie «oskarżonych o bunty» z r. 1789. Można więc było z nim omawiać sprawy publiczne i Kościuszko nie tylko ustnie z nim prowadził rozmowy, ale niemal zamienił listów nawet wtedy, gdy w ich poglądach objawiły się wielkie i nieprzejednane różnice. Zaleski bowiem konserwował zasady staro-szlacheckiego republikanizmu: był przeciwny wyzwoleniu włościan, rozszerzeniu praw mieszczan i całej Ustawie Trzeciego Maja. Zajeżdżała do skromnego dworku Dawidowskiego i pani Zaleska; Kościuszko przyjmował ją z właściwą XVIII wiekowi galanterią, a komplementów nie skąpił, pisząc do męża: «O, żebym to ja mógł dostać taką żonkę. Przykładem jest ona dla tysiąca... To nie w Warszawie obaczyć. A w jakim miesiącu rodził się Wojski Dobrodziej? To bym mógł się odważyć i ja żenić, jeśli w tym samym mojej urodziny były. Proszę nie być zazdrosnym, że ja w niebytności, jego całuję w rączki panią kilka razy. Odjeżdża — to bieda — do Szyszowa na kilka dni. Twój nazawsze prawdziwy i najniższy sługa».

Przyjaźnił się z Niesiołowskimi, osiadłymi w województwie Nowogrodzkim. Niezawodnie

nawiedzał ich wspaniały chociaż drewniany dom w Woronicy, odwiedzany świeżo w Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej, jako najlepszy okaz «Dworu» polskiego. Utrzymywał dobry stosunek z cioteczną bratem swoim Rafałem Zaleskim (po ciotce Joannie), narysował dla niego plan domu w Pieszciance i dał mu sygnet ze swoją miniaturą. Ów Rafał był żonaty z Ancutówną, której siostra rodzona wyszła za mąż za Antoniego Wereszczakę i została matką «Maryli» Mickiewicza, hrabiny Puttkamerowej. Bywał Kościuszko i w wileńskich stronach.

Tak zasnuwały się coraz gęstsze nici porozumienia i sympatii ze społeczeństwem litewskim, a Dołholiska, siedziba najlepszej siostry Anny, owdowiałej d. 30 kwietnia 1787 r., pociągała go w granice Korony. Dojeżdżał do Puław, w owym czasie wielce ożywionych zjazdami znakomości ze świata arystokratycznego i literackiego. Był przyjmowany serdecznie przez dawnego komendanta i opiekuna swojego oraz przez niepośpolita małżonkę jego, księżnę Izabelę Czartoryską, bo zawiązał się z nimi nader życzliwy, niemal zażyły stosunek, jak to się ujawni w latach późniejszych.

Niepodobna określić daty — może w przejeździe z zagranicy przez Warszawę, ale z pewnością przed dniem 18 października 1788 r. prezentował się Kościuszko Stanisławowi Augustowi i ofiarował mu jakiś sztych (estampe) w darze, czem rozczulił go bardzo.

Wracając z tyłu, dość częstych, jak widzimy wycieczek do swoich Siechnowicz, brał się do gospodarki rolnej. Kazał «rano» siał jęczmień i owies, pilnować, żeby uprawa była dobra. Wyrabiał sery holenderskie. Sprowadzał trawę angielską, ponieważ zwykła litewska wydawała za mało siana. «A żyta jest dosyć» pisze w jednym liście.

Ale pieniędzy miewał mało. Intranę swoją podał Komisji Dziesiątego Grosza w kwocie 992 złp., a więc wyższą o parę setek od owej przeciętnej, którą wykazywał nierządny brat Józef z obu majątków siechnowickich, niedostateczną wszakże na zaspokojenie wcale nie zbyt licznych osobistych wydatków. Pisał np. do Estkowej: «Siostrzyczko! Zmiłuj się przysyłaj mi pieniędzy jak najprędzej, bo mam wielką potrzebę. O arendę się staram i już mam napiętą; nie wiem jeszcze, jeżeli nie jest droga, bo i na to uważać potrzeba, a potem żeby



w bliskości was była, Pieniędzy! Zmiłuj się. Bywaj zdrowa!»

Wątpić można, żeby mu dała większy dochód arenda czyli dzierżawa, kiedy na własnych gruntach wyciągał niespełna 2 $\frac{1}{4}$ % od kapitału, włożonego w nie przy akcie kupna, które uznawano za tak tanie (40000 zł.), że sprzedający Dawid wymówił sobie bezpłatne mieszkanie we dworze i korzystał z niego przez lat kilka. Przyczyna niepowodzenia gospodarczego tkwić musiała w wadliwym rachunku pana generała amerykańskiego. Jakoż porównyując dyspozycje jego listowne z inwentarzem spostrzegamy, że zmniejszył do połowy pańszczyznę mężką, do 2 dni w tygodniu, od samych gospodarzy bez czeladzi, a kobiecą skasował całkiem. Dla czego? Oczywiście, w imię filozofii i filantropii, pojmowanej radykalnie. Niegdyś pradziad jego, Aleksander Jan, wyraził w testamencie troskliwość o «czeladkę», o poddanych swoich, których «tak hodował, jak własne swoje dzieci»; ale Tadeusza nie zadawalał ów ojcowski, patryarchalny stosunek. Washington miał starannie rozmiarzone i ponumerowane pola, 7-letni płodozmian, i otrzymywał wciąż wzrastające plony z uprawy 525 akrów: ale wymagał 672 dni roboczych tygodniowo od 113 osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, niewolników swoich, a Kongres Stanów Zjednoczonych uchwałą z d. 23 marca 1790 roku orzekł, że nie jest mocen ani wyzwalać niewolników, ani ogłaszać przepisów obchodzenia się z nimi. Kościuszką, spędziwszy parę lat w t. zw. «strefie czarnej», w Karolinie, widział okrucieństwa plantatorów w obchodzeniu się z murzynami i odtąd marzył zawsze o wyzwoleniu ich. Osiadłszy w Siechnowiczach wśród «białych», wśród swoich współziomków i współrodaków, czyż mógł pozwolić, aby ich przymuszano do pracy bizunem? Powtarza on niejednokrotnie, że «w naturze wszyscy równi jesteśmy: bogactwa i wiadomości tylko czynią różnicę». Za powinność poczytywał «mieć wzgląd na ubogich i oświecać niewiadomość, prowadząc do dobrych obyczajów». Nie uznaje tedy żadnej niewoli w zasadzie. «Poddany—słowo przekłete powinno być w oświeconych narodach». Radby uczynił zupełnie wolnymi wszystkich chłopów, lecz widział «przeszkodę w rządzie krajowym», którego, jako człowiek skromny, wywracać ani podkopywać nie śmiał. Zdaje się, że nie ro-

zumiał trudniejszej przeszkody w ogólnych warunkach produkcji rolniczej i ustroju ekonomicznego wszystkich narodów owoczesnych. Bo czemuż zastąpić pracę ręczną, kiedy nie istniały jeszcze lokomobile, młocarnie, żniwiarki, grabie mechaniczne? To też zmniejszenie pańszczyzny i usunięcie bizuna nie przysporzyło mu plonów. Gdy się wyczerpała przywieziona z Ameryki gratyfikacja, musiał on pożyczać od Jana Nepomucena jakichś 30 dukatów (27 grud. 1788) i u Millera konsyliarza J. K. M-ci (lekarza w Brześciu) «różnemi czasy» do d. 6 listopada 1789 razem 240 duk. czyli 4320 zł.

Dziwny jakiś przypadek zrządził, że Kościuszką nie odebrał ani jednej raty procentów od swego certyfikatu. Poseł Stanów Zjednoczonych przy dworze angielskim Pickney przesłał całkowitą należność aż po dzień 1 stycznia 1780 r. w tracie filii holenderskiej jakiegoś banku amerykańskiego na Lipsk, lecz ta gdzieś zaginęła, czy może akceptowaną nie była i Kościuszką nie dostał ani grosza. Bo kredyt Stanów Zjednoczonych nie był jeszcze ustalony w Europie, dopóki się nie zdobyły na wytworzenie konstytucji i rządu prawidłowego. Wiadomo zaś, że Washington, pierwszy prezydent Unii, objął urządowanie d. 30 kwietnia 1789 r.; sprawa długu publicznego zdecydowaną została rzetelnie i szlachetnie przez Kongres uchwałą z d. 4 sierpnia 1790; Bank Narodowy, który miał tę uchwałę wykonać, został założony i otwarty d. 8 lutego 1791 r. Nastąpiło też uregulowanie rachunków z Kościuszką, ale dopiero w 1798 roku. On sam zresztą nie przedsiębrał żadnych kroków do rychlejszego odbioru, o ile się widzi w przechowanej korespondencji z Amerykanami: Pawłem Jones, słynnym ze zdobycia kilku okrętów marynarzem, który bywał w Amsterdamie, Wiedniu, a nawet i w Warszawie, oraz Dawidem Humphreys, który przesłał portret zmarłego przedwcześnie generała Greene i podpisywał się poufale: «Mój drogi Kościuszką, jestem twoim szczerym przyjacielem i uniżonym sługą».

Tyle napotykał poważeń, uprzejmości i życzliwości Kościuszką u obcych i swoich, że te małe kłopoty pieniężne i kilka błahych pozwów sądowych nie mąciły mu spokoju ducha zwłaszcza, że zajmowały go żywo sprawy krajowe. Na sejmie grodzieńskim d. 3 listop. 1784 Aleksander Linowski, poseł krakowski, rzucił pierwsze nie-

śmiałe słowo o stu tysiącach żołnierza. W r. 1785 ukazało się ognistymi głoskami kreślone dzieło Staszyca «Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego». W 17-tu rozdziałach wyłożony tu był cały szereg niezbędnych reform i sformułowany program prosty, jasny, przekonywający. Nareszcie sejm Czteroletni, przejmując się tym programem, pierwszą uchwałą swoją d. 20 października 1788 r. jednomyślnym okrzykiem przyjął wniosek Walewskiego, niegdy konfederata barskiego, a wówczas wojewody sieradzkiego, powiększenia wojska do 100.000 głów.

Kościuszko rozprawiał z Zaleskim (zapewne i z wielu innymi osobami) o reformach, o t. zw. buntach ukraińskich 1789 r., o postępowaniu względem Rusinów, o braku dumy i ambicyi narodowej u Polaków, o niewyrobieńiu indywidualności narodowej wobec innych narodów. Rzucił na papier swoje «Uwagi» nad zabezpieczeniem wolności przed militarystką wobec mającej się utworzyć armii. «Supponujemy, czego broń Boże, aby kilku generałów, zniósłszy się, zechciało w naszym kraju uczynić spisek. Oprócz oficerów kilku, nic niema w kraju, coby się oprzeć mogło zuchwałej ambicyi i rozjuszanej rozpuście. Więc potrzeba wyciąga, aby obywatele sami opatrzyli sposób ochrony swojej... uformowaniem milicyi... Po wszystkich województwach, ziemiach, powiatach (powinny być w gotowości) jeden regiment pieszy i drugi kawaleryi. Oficerowie powinni być obierani na sejmikach. Każdy żołnierz powinien mieć wydanych sobie kilkadziesiąt ładunków i nosić mundur województwa. Regiment szykować się ma we dwa szeregi: w pierwszym szlachta, w drugim żołnierze z mieszczan i chłopów. Exercerunek zasadzać się ma na najniezbędniejszych obrotach i czynnościach: W lewo, w prawo, zachodź! Gotuj! Cel! Pal!» Milicya taka, jak widzimy, różniłaby się wielce od pospolitego ruszenia poprzednich czasów, owego «summum praesidium ac robur piersi szlacheckich»; jest pomyślana po amerykańsku; szlachcie pozostawia tylko stanowisko honorowe w pierwszym szeregu zarówno w kawaleryi, jak i w piechocie, dotychczas pogardzanej przez nią; praktycznie i łatwo przystosowuje się do wymagań wojskowości XVIII wieku: nie pozostanie też martwym papierowym projektem.

Nie powziął wszakże Kościuszko niechęci do wojska liniowego, do owej uchwalonej armii.

Owszem, musiał oświadczyć swoją chęć wstąpienia do niej, skoro sejmik brzeski zamieścił w instrukcyi dla posłów swoich artykuł o zaleceniu stanom jego właśnie i Zabieli do szarż wojskowych. Znaleźli się też w izbie sejmowej mówcy, którzy to zalecenie popierali, i rozmaici protektorowie, a nawet protektorki, którzy docierali do Stanisława Augusta. Najgorliwszą w zabiegach okazała się Ludwika z Sosnowskich księżna Lubomirska, jak sama donosiła Kościuszcze w bardzo tklwym liście z d. 21 maja 1789 r. Po długich rozprawach nad etatem wojska na sesyi 165-ej d. 1 października Kościuszko został mianowany z tronu generał-majorem wojska koronnego razem z Zabiellą, przyjacielem dawnym Orłowskim, przybyłym z Bawaryi Suffczyńskim i z synowcem królewskim księciem Józefem Poniatowskim. Brak pieniędzy nie stawał teraz na zawadzie, bo to była szarża nowa, której nikt przedtem nie posiadał, a więc od nikogo jej odkupować nie należało.

Zmartwiło Kościuszkę to tylko, że zaliczonym został do wojska koronnego, a chciałby służyć w litewskim. Zżył się z Litwinami w ciągu lat 5-u i uczuwał podszepty prowincjonalizmu. Podał notę do Komisji Wojskowej z wyrażeniem chęci swojej, lecz otrzymał odpowiedź odmowną z d. 13 listopada 1789 r., chociaż prezydował wówczas życzliwy mu Niesiołowski, wojewoda nowogrodzki: nominacyi przez sejm zatwierdzonej Komisya odmienić nie mogła. Potem d. 7 stycznia 1790 wyszedł ordynans, wzywający go do objęcia komendy w dywizyi Wielkopolskiej i stawienia się na dzień 1 lutego w Brześciu lub we Włocławku. Kościuszko znajdował się gdzieś w zapadłym kącie województwa Wileńskiego, bo otrzymał to pismo ledwo 19 stycznia. Bez oporu, jak najpośpieszniej wybrał się w podróż nakazaną. Siechnowicz nie oglądał już nigdy w życiu.

## VI.

Nie zdążył Kościuszko przybyć na dzień wskazany do Włocławka. Zameldował się swojemu zwierzchnikowi Karolowi Malczewskiemu, generał-lejtenantowi dywizyą wielkopolską komendującemu, raportem, datowanym d. 3 lutego 1790 r. z Sochaczewa, tłumacząc się późnem otrzymaniem ordynansu i niemożnością przeprawy przez Wisłę, która go zatrzymała przez kilka dni na Pradze. Prosił o zdatnego do prowadzenia kore-

spondencyi oficera, albo chociaż podoficera. Przyjechawszy na miejsce przeznaczenia nazajutrz, zachorował na fluksję i ból głowy: więc powtórne doniesienie wysłał 9 lutego i od tego dnia datuje się czynna jego służba w wojsku koronnem, która daje się studyować z zupełną dokładnością, ponieważ znalazło się jego Archiwum, czyli cała korespondencja sztabowa z lat 1790, 1791 i 1792, a nie brak też wiadomości z akt Komisji Wojska Obojga Narodów i z listów prywatnych.

Włocławek nie podobał się Kościuszcze. Na trzeci dzień po przyjeździe, w wielkim rozdrażnieniu (od fluksyi), 7 lutego, pisany był list do gen. Niesiołowskiego: «Zaklinam na wszystko, co jest najmilszego, to jest żonę i dzieciętki... abyś chciał JWPan Dobr. wyrwać mię z miejsca tak nieprzyjemnego, kosztownego i nic jeszcze nie mającego. Bóg widzi: słowa nie mam do kogo przemówić, i dobrze—bo z wołami nigdy nie gadałem. Co za Gaskony! (widać ztąd, że gadał, kiedy dostrzegł gaskońską próżność Włocławiaków). Ale dam pokój opisywać krajowych; powiem tylko, że kraj piękny i tenby być powinien dla poczcwiwych i gospodarnych Litwinów, a nie dla nich, gnuśnych i niedbałych. Chciejcie mnie powrócić do Litwy ...Któż jestem? Azali nie Litwin, spółrodak wasz, od was wybrany? Komuż mam wdzięczność okazywać, jeżeli nie wam? Kogo mam bronić, jeżeli nie was i siebie samego? Jeżeli to was nie zmiękczy do wniesienia o mnie na sejmie, Bóg widzi, co złego sobie zrobię. Bo złość mnie bierze: z Litwy. abym w Koronie służył, gdy wy nie macie trzech generałów»...

Pokazało się jednak, że ukochani Litwini są gnuśniejsi i niedbalsi od «Gaskonów». Nie mieli ani jednego prawdziwego generała i nie upomnieli się o niego na sejmie. Ale i on «nic złego» sobie nie zrobił. Wyzdrowiawszy, zabrał się do pracy raźnie, sumiennie i skromnie. Zamawiał u Malczewskiego pobłażliwość dla uchybień, jakich dopuścić się może przez nieznamość urzędzeń krajowych. Dla nabycia znać powagi u «Gaskonów» pisał w tytule swoim: «kawaler orderu amerykańskiego Cincinnatus», ale po kilku tygodniach odrzucił ten dodatek na zawsze. Raporty i rozkazy swoje pisywał, a czasem i przepisywał własnoręcznie, nie mając nietylko sztabu, ale i jednego zdolnego adjutanta. Przypadła mu naj-

pierw czynność organizacyjna: więc wzywał oficerów do stawienia się, zarządzał ćwiczenia czyli exerceunek, prowadził rachunkowość, ściągnął w końcu marca raporty od regimentów i szwadronów, a w kwietniu odbywał lustrację, objeżdżając wszystkie oddziały na ich konsystencyach. Kreski w licznych rubrykach przy nazwisku każdego żołnierza świadczą o ścisłości oględzin.

Nadeszła chwila radosna dla stronnictwa patryotycznego w łonie sejmu—d. 29 marca (1790). Król pruski Fryderyk Wilhelm II zawarł z Polską przymierze na stopie równości i samodzielności międzynarodowej z obowiązkiem wzajemnego posilkwania się w wojnach odpornych: Prusak 14-u tysiącami piechoty i 4-ma kawaleryi, Polska 4-ma piechoty i 8-u tysiącami jazdy; prztem proporcjonalną ilością dział. Zasnuwano plan wojny z Austryą w celu odebrania Galicyi na rzecz Polski i zyskania kompensaty dla Fryderyka Wilhelma za zdobycze na Turcyi, jakie osiągnąć miały Austrya i Rosya w toczącej się ówczesnie wojnie. Komisya Wojskowa zatem przyspieszyła kompletowanie, ekwipowanie, uzbrajanie wojsk bronią, dochodzącą teraz bez przeszkody przez pruską granicę, a sejm nadał wakującą komendę dywizyi Małopolskiej Ludwikowi księciu Wirtemberskiemu, zięciowi Czartoryskich, generałostwa ziem podolskich (1 maja). Kościuszko został przeniesiony do tej dywizyi, posuwanej ku granicom Austryi. Wyjechał wtedy z niemiłego sobie Włocławka. Zatrzymywał się w Warszawie. Musiał być powoływany do jakichś narad w Komisji Wojskowej, bo jego ordynans z d. 18 czerwca jest datowany «na sesyi» tej Komisyi.

Teraz miał sposobność zetknąć się z wybitnymi członkami sejmu: Niemcewiczem, bardzo czynnym w izbie poselskiej i w literaturze, z Ignacym Potockim, marszałkiem w. litewskim, i z Hugonem Kołłątajem, podkanclerzym koronnym. Ten ostatni zostawił piśmienne świadectwo swego uwielbienia i szacunku, jakie żywił dlań przed poznanie się, zakończone następnem oświadczeniem: «w krótkim obcowaniu przekonany zostałem, że przywiązanie się do Jego Osoby nietylko czyni mi honor, ale zasługę w oczach narodu i ludzkości».

Od końca czerwca przez lipiec i sierpień przebywał Kościuszko w Lublinie jako «Generał-Major w Dywizyi Małopolskiej Komenderujący»

Utrzymywał odwachy przy bramach miejskich, uczył oficerów i podoficerów obchodzenia się z przyjezdnymi wedle przepisów służby garnizonowej, zalecał pułkownikom »pod odpowiedzialnością, ażeby... handgriff był przerobiony z ludźmi, szarżerunek także w nacieraniu i w cofaniu, atak bagnetowy, uformowanie kolumny i jej rozwinięcie różnym sposobem, odmieniając co tydzień, czworogran także dwójakim sposobem, aby raz sekcjami zachodzić, drugi raz cugami z uformowaniem linii należycie prostej i to wszystko podług regulaminu nowego». Żądał od księcia Wirtemberga, a gdy nie otrzymał pożądanej rezolucji, więc od Stanisława Potockiego, generała artylerii, kilkudziesięciu funtów prochu «na egzercerunek z ogniem... Chciałbym z batalionem kilka razy mieć artylerię do przyzwyczajania onych» (żołnierzy). Zjeżdżał wyznaczony od sejmu lustrator Rzewuski; znalazł on «dywizję» w tak dobrym porządku, że Komisyja Wojskowa wyraziła Kościuszcze podziękę za wzorową staranność o jej utrzymanie i wyćwiczenie.

Rozchwiały się wszakże projekty wojenne i dywizya Małopolska miała przygotować się do «długiego marszu»—na Wołyń, Podole i Ukrainę «dla zabezpieczenia granic». Kościuszko nie omieszkiał poczynić stosownych starań o furaż, prowianty, o mundur zimowy i ułożył marszrutę dla swoich trzech batalionów, 8-u szwadronów kawalerii narodowej pułku przedniej straży i artylerii z amunicją. Wymarsz zaczął się 30 sierpnia; on sam wyruszył o kilka dni później przez Dubienkę, Stary Konstantynów, do Międzyboża, miasteczka Czartoryskich, gdzie kwatery jego mieściła się długo—do końca lipca 1791 r. Ztąd przedsiębrał częste i dalekie rozjazdy. Zbliżając się do Kamieńca, odezwał się do dawnego kolegi i przyjaciela Orłowskiego, komendanta tej fortecy. Odpowiedź z d. 3 grudnia 1790 brzmiała: «Serdecznie kochany przyjacielu!... Od wszystkich słyszę, że parę godzin na miejscu nie dosiedzisz i jak Tatar się tylko włóczysz, nigdzie miejsca nie zagrzawszy. Ja to jednak approbuję. Znać, że chcesz komendę swoją w karności i regularności służby utrzymywać... Przewiduję ja jeszcze we włóczeniu się twojem inną przyczynę, z którą się przedemną wydałeś... Piszesz mi niby o żonkę, jeźelibym tu jej dla Ciebie nie widział. Widzę, że Ci pilno... Wiesz, że dla komendanta fortecy

rzadka bywa zdobycz: komendantów polowych się o to pytać trzeba...» Domysł: »pilno ci« był trafny. Kościuszko pragnął życia rodzinnego, a doliczał się 45-u lat życia.

I oto, ucieszył go przelotny uśmiech losu. W Międzybożu właśnie bawili dla kuracyi u renomowanego lekarza Hakensznita państwo Żurowscy z 18-letnią córką Teklusią; mieszkali w tak małej odległości od kwatery Kościuszki, że z okien mogli sobie wzajemnie obserwować. Poznali się łatwo. Raz panna zauważyła wychodzącego zbyt prędko oficera i napisała z wymówką do generała o niegrzeczne traktowanie podwładnych. Ten usprawiedliwiał się, że w interesie publicznym pokazywał oficerowi, jak ma być dany kwit na pieniądze, odebrane za asygnacyą, «ale się z nim pięknie i grzecznie przywitałem; a że wyszedł prędko zapewne dla tego, że widział wiele papierów, nieskończonych przeze mnie». Wywiązała się potem czulsza korespondencya, w której pan generał ujawnił całą słodycz i delikatność swego charakteru, sentymentalizm, właściwy czytelnikom owoczesnej literatury francuzkiej, i skłonność do poetyzowania w częstem używaniu metafor. «Kłękał», całował «rączki», żądał, aby «nadstawiła ust» i t. d. Zdaje się, że bywało to nie tylko na papierze, bo panna odpowiadała wzajemnością tak dalece, że padła do nóg ojcu, wyznając przywiązanie do Kościuszki. Matka jej i krewna, Tekla Orlewska, sprzyjały mu jawnie. Ale ojciec «powiedział coś dotkliwego i sam potem płakał», a Kościuszcze zaczął okazywać twarz niełaskawą. Dla czego? Bo uznawał go za nierównego sobie fortuną—on, chorąży żydaczowski, co żadnej chorągwi nie nosił nigdy, właściciel dwu wsi, jednej na Podolu, a drugiej w Galicyi, które zapewne nie przynosiły mu rocznie 12 tu tysięcy zł., jakie pobierał Kościuszko z tytułu generał-majora! Przyplątały się jeszcze jakieś plotki, obawy, «podejrzenia» — podobno z legend o porywaniu Ludwiki Sosnowskiej. Kościuszko mawiał zwykle o sobie, że nie jest bogaty i w r. 1791 zgłaszał się o arendę do Stanisława Poniatowskiego, podskarbiego w. lit., ale przecież powoływał się na świadectwo jednego oficera z województwa Brzeskiego, że ma «dziedzictwem wieś i sam ją trzyma». «Podejrzenia» starał się rozprościć najusilniejszymi protestacyami. Przestał przychodzić do mieszkania Żurow-



skich, a gdy jego kwatera sztabowa przeniesiona została do Niemirowa (od października 1791), utrzymywał tylko listowne stosunki. Ton jego listów, do szlachcica obskuranta pisanych, mógłby się wydać zanadto uniżonym, gdybyśmy o tem zapomnieli, że Kościuszkę miał wtedy pod komendą swoją kilkanaście tysięcy żołnierza i niechy go nie kosztowało porwać nie tylko pannę chorążankę, ale i samego chorążego, chociażby z całą jego powiatową chorągwią. Wszak nie bardzo dawno w tych samych stronach rozegrała się tragiczna sprawa z Komorowską, która dostarczyła tematu Malczeskiemu do «Maryi», a której bohaterem, Wacławem, był żyjący jeszcze i królujący w Tulczynie Szczesny Potocki. Ale w duszy Kościuszki samowola i anarchiczne popędy były wypienione do szczętu. Zakończył tę drugą sprawę miłosną pożegnaniami w najszlachetniejszym tonie. Do matki napisał: «Po takim liście (Żurowskiego), na którego wspomnienie samo krew się we mnie wzburza... odpis mój najłagodniejszy, bo jest mężem twoim, a ojcem mojej Teklusi... Zawsze z wami będę, chociaż nieprzytomny, myślą i sercem, które będzie stateczne».

Ani rozpaczy, ani gwałtownego wstrząśnienia ten zawód w drugiej miłości nie wywołał. Kościuszkę oddawał Teklusi tylko część serca, całą zaś swoją istotę poświęcił na służbę krajowi.

W Międzybożu otrzymał z Komisyi Wojskowej rozkaz odebrania od podwładnych oficerów przysięgi na wierność nowouchwalonej w 1791 roku Ustawie Trzeciego Maja. Wiedział, że ta Ustawa wprowadza tron dziedziczny; był republikańcem czystej wody; a jednak zwoławszy swoją brygadę, sam przysięgę wykonał i «z zapalem» kazał wszystkim wykonać. Istnieje podpis jego i oficerów z wyciśniętymi pieczęciami herbowymi pod rotą przysięgi, odesłaną do Komisyi Wojskowej. Kornym duchem, bez najmniejszego oporu i szemrania składał osobiste przekonanie w ofierze narodowi. Librum veto, potworny wyraz wolności egoistycznej i zaprzeczenia woli ogółu, było wyrwane aż do ostatnich korzonków z jego natury szlacheckiej.

Zaszły zmiany w składzie, dyslokacji i komendzie pomnażającego się wojska. Generał-leutenantem komenderującym dwiema dywizjami, Kijowską i Braclawską, został mianowany 28-letni

oficer ze służby austriackiej, wspomniany wyżej książę Józef Poniatowski. Pod jego dowództwem odbyły się manewry w okolicy Braclawia, na dawnym obozowisku Jana III, trwające od 1 września do 10 października. Kościuszkę ze swą brygadą okazał się najbieglejszym ze wszystkich obecnych tam generałów. Gdy po powrocie do swej głównej kwatery w Tulczynie, 11 października, Poniatowski otrzymał wezwanie do Warszawy, jemu oddał zastępczą komendę obu dywizyj, a 27 grudnia wysłał do niego list następujący: «Nieskończenie kontent jestem, iż lubo nie w całości jeszcze (jak zasługi JWWMPana Dobr. wyciągają), przecież w niejakić części oddana jest onym sprawiedliwość od Najjaśniejszych Stanów. Proszę wierzyć, że to zdarzenie i sprawiedliwa nagroda tem bardziej dogadza sercu mojemu, im większym jestem świadkiem talentów JWWMPana Dobrodzieja». Mowa tu o przyznanej jednomyślną uchwałą sejmu na wniosek Rzewuskiego, lustratora, gratyfikacyi dla Kościuszki, Orłowskiego i Brodowskiego w kwocie ogólnej 45.000 zł.

Tak się zawiązał stosunek uprzejmy i miły pomiędzy dwoma generałami, z których młodszy wiekiem i uboższy kwalifikacyami był zwierzchnikiem starszego, doświadczonego i obficie utalentowanego. Obadwaj posiadali charakter szlachezny, nieskazitelny, lecz odwrotność stanowisk z naturą rzeczy musiała jednak oddziaływać szkodliwie na przebieg walki narodowej, już nieuniknionej.

Kościuszkę, dowiedziawszy się, że przeciwnicy Ustawy Majowej zjeżdżają się do Jass, chwilowej rezydencyi kanclerza rosyjskiego hr. Bezborodki, kazał ordynansem sekretnym nr. 1 Grochowskiemu, podpułkownikowi regimentu 1-go, posłać tam kogoś na zwiady. Posłany był tedy najprzód Poniatowski major kawalerii narodowej, potem Piotrowski pułkownik regimentu 12-go, nareszcie zaufany, zaszczytany tytułem przyjaciela przez samego Kościuszkę, 29-letni wówczas porucznik od filizylierów, Kniaziewicz. Komisya Wojskowa przyjmowała nadsyłane wiadomości z podziękowaniami, lecz książę Józef napomynał delikatnie w liście z d. 30 stycznia 1792, że alarmy są przesadzone, bo «okoliczności polityczne... nie zdają się nam bardzo zagrażać». Optymizmu takiego nie usprawiedliwiły wypadki.



Gdy raporty Kościuszki o ruchach wojsk rosyjskich, wracających z Turcyi po zwycięsko zakończonej wojnie, o «pułkach rosyjskich, nad granicą rozpościerających się», jakoteż rozmaite wiadomości ze sfer dyplomatycznych obudziły zaniepokojenie w Warszawie, nie on, lecz książę Józef był wzywany do porad o planie ogólnym wojny i o środkach wykonawczych. Nie on więc zawinił na drugorzędnym swem stanowisku w spowodowaniu tego smutnego rezultatu, iż wojsko Rzeczypospolitej, tak koronne, jak litewskie, nie było ani pod względem liczby, ani pod względem zaopatrzenia, dyslokacyi i dowództwa gotowem do boju z armią rosyjską, dumną ze zwycięstw odniesionych, a dwakroć przeszło liczniejszą. Jego pogląd strategiczny o niedorzeczności podziału pułków koronnych «na trzy dywizye, aby każda z osobna czyniła operacye naprzeciw trzem dywizjom wojska rosyjskiego, z których każda tak mocna była, jak wojsko polskie całe», nie był w Warszawie ani rozważany, ani znany; propozycja zaś wyraźnie przedstawiona w raporcie z Pikowa: «trzebaby nam jedną naprzód zbić kolumnę nieprzyjacielską, nim się wszystkie złączą» — została odrzuconą przez księcia Józefa. Nie dałby się też Kościuszko zatrzymać w Warszawie w najgorętszym czasie dla błażej parady: obchodu rocznicy 3-go maja. Zaledwo 13 maja 1792 r. wrócił ks. Poniatowski do Tulczyna, żeby objąć dowództwo naczelne w poczynającej się kampanii wojennej. Kościuszko, oddawszy mu papiery i pieniądze, odjechał na pogranicze wołyńsko-kijowskie do komend swoich, liczących razem 3.097 głów.

Ordynanse, nakazujące formowanie obozu, doszły go 17 i 18 maja, 300 dukatów na extra-expensy doręczono mu 21 maja. Pojechał tedy do Żytomierza dla umówienia się z rezydującymi tam dwiema Komisjami Cywilno-Wojskowemi o dowozy prowiantów, a porucznika Kniaziewiczza i podporucznika Fiszera wysłał na oglądanie miejscowości; spotkał się z nimi w drodze powrotnej, wysłuchał ich doniesień i kazał wytykać obóz w Klinie między rzeczkami Kicanką i Hujwą, o dwie mile od Berdyczowa. Ale już było zapóźno. Tegoż dnia, 22 maja, o godzinie 1-ej popołudniu przekroczył granicę Lewanidow przez lukę Motowidlówkę naprzeciw Wasilkowa, na czele 11.800 żołnierza.

Kościuszko odebrał raport o tem o godzi-

nie 7 rano 23 maja i, wysławszy natychmiast kurjera do głównej kwatery, pojechał do Tetyowa, gdzie, wedle dyspozycyi, miał znaleźć swoją dywizyę. Zastał tu o 1-ej po północy (24-go) zaledwo 2 szwadrony; inne oddziały znajdowały się jeszcze w odległości mili, albo i dwu. Wypadło więc koncentrować się w marszu. Dzięki stosownym zarządzeniom skupiła się cała «dywizya» pod Pohrebyszczem o 70 wiorst od Berdyczowa (nad rz. Rosią) 25-go wieczorem. Wytknięto obóz frontem ku nieprzyjacielowi, ale nadeszły doniesienia o zbliżaniu się drugiej kolumny rosyjskiej, korpusu Derfeldena od strony Humania. Z garstką 3-tysięczną niepodobna było stawiać do boju, gdy dwa korpusy rosyjskie liczyły 23.000 ludzi. Więc Kościuszko ruszył na całą noc, maszerował do godziny 8-ej wieczorem 27 maja ku Przyluce; trzy razy spoczywał i dla tego «marudnych nie miał». Kniaziewicz i Fiszcz wytknęli już obóz zawczasu, ale ordynans księcia Józefa nakazał dalszą rejteradę na Pików ku Ułanowu. W tym marszu nastąpiło zetknięcie wszystkich trzech dywizyj polskich (14.709 głów) i książę Józef przyprowadził je do Lubaru, gdzie obozował beczynnienie przez dwa tygodnie. Pisał otwarcie do króla Stanisława Augusta, któremu sejm przez doktrynerskie stosowanie maksym monarchicznych powierzył najwyższą władzę wojskową na obu teatrach wojennych: «Dokąd się obrócić? Nie wiem». Nie wiedział też i ów król-wódz ze swymi cywilnymi, z wojskowością wcale nie obeznanymi radcami. Kazał tylko rejterować się.

W nieustannej rejteradzie Kościuszko prowadził zwykle arrièrę-gardę, a więc osłaniał inne korpusy od ataków nacierającego nieprzyjaciela (miał siłę powiększoną do 5.000); parę razy wyświadczył strategiczne przysługi. Tak, pod Czartoryą, o mile na północ od Lubaru, zabił Lewanidowa, broniąc mu bliższej drogi z Miropola, i tem udaremnił oskrzydlenie Poniatowskiego, zamierzone przez naczelnego wodza rosyjskiego (15 czerwca). W Połonnem, które Poniatowski opuszczał, tracąc 3.000 korcy mąki i owsa oraz 49 armat, Kościuszko stał cztery godziny w gotowości bojowej przed zbliżającym się Lewanidowem i ruszył wówczas, gdy korpus główny z taborem oddalił się na przestrzeń bezpieczną (17 czerwca). Usłyszawszy strzały ar-

matnie pod Żeleńcami «czynił największy pośpiech,» ale przybiegł już zapóźno, kiedy korpus główny, odparwszy atak Markowa, zaczął się już rejterować. Kościuszko «kanonował przez dwie godzin,» nie mógł wszakże przejść rychło przez błoto po groblach. Wyrzucał sobie, że nie wziął w niewolę całej kolumny rosyjskiej od 8-u tys. najlepszego żołnierza, ale książę Józef wcale tego zarzutu nie podzielał, i owszem, zaświadczył przed JKMcia, że «ten generał był bardzo użyteczny nie tylko przez swoje męstwo, ale i przez szczególną roztropność» (raport z 29 czerwca).

W potyczkach pod Ostrogiem (25—26 czerwca) zwiększonego dywizyą wołyńską 5-tysięczną wojska polskiego z wodzem rosyjskim Kachowskim Kościuszko nie miał udziału, ponieważ był postawiony o milę odległości pod Horowem; pod Dubnem obserwował trakt od Łucka, żeby zabezpieczyć wywożenie magazynów, a potem prowadził avant-gardę potem znów arrièrę-gardę do Buga. Pod Włodzimierzem odparł atak «całego (?) wojska rosyjskiego» z powodzeniem. Poniatowski przyznał «dobrej i przezornej dyspozycji gen. Kościuszki, że retyrada nasza nieprzerwanym ciągiem kontynuowana była; nieprzyjacieli, odniósłszy stratę, szczególnie w huzarach i kozakach, cofnął się, lubo jego zamiar był uprzedzić nas do Buga, albo przy przeprawie nam szkodzić.» Odbyła się też pomyślnie pod Bindugą d. 8 lipca dzięki znowu Kościuszcze i zaleconym przez niego oficerom.

Ta długa i pośpieszna rejterada spowodowała ciężkie szkody: nie tylko utratę najżyźniejszych i najbogatszych trzech województw, nie tylko zmarnowanie nagromadzonych zapasów żywności, ale też ubytek 1340 ludzi według rachuby polskiej, a 2,705 według raportów Kachowskiego, poległych, rannych i jeńców; około 2,000 dezertów przemknęło się do Galicji; była też znaczna liczba chorych i znużonych. Książę Poniatowski, chociaż otrzymał komendę dywizji wołyńskiej po dymisyonowanym Michale Lubomirskim, rozporządzał zaledwo 15 tysiącami, zdarnymi do służby. Ale obiecywał sobie poprawę akcji wojennej na linii Buga przez połączenie się z wojskiem litewskim, które odbyło podobną, a raczej gorszą jeszcze rejteradę, i z dywizyą G. L. Arnolda Bysszowskiego, ulubieńca królewskiego, który powinien był przyprowadzić z pod Warszawy 5824 żołnierza. I ta nadzieja wszakże okazała się zawo-

dną. Po kilkudniowych przemarszach książę Józef wysunął słabe komendy aż do Włodawy, dla zawiązania komunikacji z posterunkami wojska litewskiego; sam z głównym korpusem stanął w Świrżu, a Kościuszcze polecił pilnować przeprawy pod Dubienką, spaliwszy znajdujący się tam most na Bugu i zarządziwszy usypanie kilku szańców na brzegu.

Kościuszko, zbadawszy gruntownie położenie miejsca, uznał niemożliwość przeszkadzania przeprawie, ponieważ w przypadku cofania się miałby jedną tylko groblę do przejścia, którą nieprzyjacieli mógł strychować z wystawionych na swoim brzegu baterii. Obrat więc pozycję o pół-mili wstecz między wsią Uchanką i granicą austriacką, umocnił ją bateriami i fleszami, zatoczył szczupłą swoją artylerię (2 działa 12-funtowe, 6 dział 6-funtowych i 2 haubice), rozstawił umiejętnie swoje 4 tysiące głów we dwie linie i nie ruszył się z placu, gdy Kachowski przeprawiał się w dwu miejscach pod Kładniowem, o pół-mili powyżej Dubienki, «z wielkim hukiem armat,» d. 17 lipca. Dopiero nazajutrz, 18 lipca o godzinie 5 po południu, baterie polskie rozpoczęły żwawą kanonadę przeciwko zbliżającym się kolumnom Sałtykowa i Pustowałowa; ale nieprzyjacieli wystawił wkrótce trzy potężniejsze baterie: o 20, o 12, o 24 działach polowych (razem 56) i poparł natarcie batalionów całymi pułkami. Wyprowadził cały korpus G. L. Dunina i połowę korpusu G. L. Kutuzowa, liczone wedle tabeli na 29,000, a wedle Smita występujące teraz w sile 19,000 żołnierza. Kościuszko zauważył, że konnica rosyjska przedziera się przez las austriacki, a zatem zagraża mu oskrzydleniem. Posiłków nie otrzymywał od księcia Józefa: więc kazał wywozić działa swoje z baterii. W tem na czele pułku Elizawetgradzkiego strzelców konnych wypadł z lasu waleczny pułkownik Palembach; szarżował trzy razy i padł zabity. Jegry wdzierali się na trzy rozbrojone szan-ce, lecz rozproszył ich szarżą jazdy brygadryer Wielowiejski. Ten odznaczył się nie tylko walecznością, ale i przezornością, bo jego kawalerzyści mieli przy siodłach postronki, więc podprzegli swoje konie na miejsce postrzelanych artylerycznych i uratowali działa, oprócz jednej haubicy zdemontowanej i dwóch armat w błocie zagrzezłych. Zhańbiła się ucieczką tylko kawaleria narodowa Biernackiego, która nawet wcale udziału

w akcji nie miała; świetnie zaś popisał się Kniżiewicz ze swoim batalionem Fizyliarów, uformowanym w czworogran, bo na przestrzeni wiorst 12-tu aż do wsi Roztoki osłaniał odwrót, odpierając ponawiane po kilkakroć ataki.

Książę Poniatowski cofnął się przed mniejszą, 9-tysięczną siłą Tormasowa (połową korpusu Kutuzowa) i odwołał dywizję Wielhorskiego z drogi, do której zmierzał Lewanidow. Plan obrony Bugu był tedy zupełnie chybiony. Połączenie ustępujących oddziałów nastąpiło dopiero w Piaszkach pod Lublinem (nie dochodząc 3 mile do tego miasta). Książę był tak skonfundowany nieudatnością pomysłu i niezaszczytną własną akcją, że miał pokusę zwalić winę na Kościuszkę i w jednym z raportów swoich napisał nawet o »nieukontentowaniu«, jakie miał mu oświadczyć, zapominając o pochwale »tak dobrze udysponowanego korpusu jego«, jaką zapisał w raporcie z d. 17 lipca.

Kachowski przeniósł swój namiot pod wieś Uchankę, żeby nocować na zdobytej pozycji i rozpisywał się szeroko o zwycięstwie swoim.

Mimo to rozniosło się natychmiast imię Kościuszki w kraju i za granicą jako dzielnego, umiętowanego, władającego sercami żołnierzy generała. O zaciętości boju świadczyła ogromna liczba poległych, 900 ludzi, a więc 20—25% przy małej liczbie jeńca (91 ludzi wedle Kachowskiego). Odwrót porządnie wykonany, bez zamięszania i strat, przy tak wielkiej różnicy sił bojowych, zaćmiewał chlubę zwycięzcy. Stanisław August nazwał go »naszym wyśmienitym Kościuszką«, awansował go na generała-leutenta i dał mu szefostwo regimentu 4-go Buławy Polnej. Dla ubogiego dziedzica Siechnowicz 40.000 zł. rocznej płacy równało się wygranej wielkiego losu; epokowym stać się mógł dla niego dzień 6 sierpnia, kiedy mu wyliczono od razu one płace za kwartał czerwcowy 13.796 razem z pieniędzmi stołowymi i furażowem na 26 koni.

Atoli jedną tylko tę ratę pobrał Kościuszko, bo następnych wyrzekł się dobrowolnie pod wrażeniem bolesnych dla jego serca wypadków.

Stanisław August podpisał akces do konfederacji Targowickiej i nakazał wojskom obojga Narodów zaniechać kroków wojennych. Poseł rosyjski, Bułhakow, przesłał wodzom zawiadomienie o zawartem armistycjum. Sam książę Józef

i 220 oficerów podało się do dymisji. Kościuszko podyktował i podpisał »notę do Najjaś. Pana: Gdy zmiana okoliczności krajowych byłaby przeciwną pierwiastkowej mojej przysiedze i wewnętrznemu przekonaniu, mam honor przeto upraszać WKMci o łaskawe podpisanie mi dymisji. Dan w obozie pod Sieciechowem d. 30 Julii 1792».

Wojsko koronne znajdowało się już na drugim brzegu Wisły, przeszedłszy po moście, ustawionym przez pułkownika inżynierii Sierakowskiego pod Puławami. Kościuszko bywał w owych dniach u księstwa Czartoryskich, którzy go przyjmowali serdecznie. Gdy następnie przyjechał do Warszawy, przyjął jeszcze od króla »instrukcję o rozesłaniu wojsk na konsystencję«, jeździł do Kozienic (8 i 9 sierpnia) i do Radomia (12 sierpnia) dla wydania ordynansów dyslokacyjnych, wezwał Wielowiejskiego do objęcia komendy, poczem przesłał prośbę o urlop na 6 miesięcy i powrócił do Warszawy, gdzie zachorował na żółtaczkę. Mieszkał w pałacu Błękitnym Czartoryskich. Obawiając się, aby »choćby indirecte nie przyłożyć się do nieszczęścia krajowego«, a nie należąc do żadnego stronnictwa politycznego, obserwował czynności nowego rządu; wreszcie zdecydował się ostatecznie na dymisję i na wyjazd za granicę. Odesłał do Estkowej swoje konie, rzeczy (i papiery, chociaż nie wzmiankowane w liście z d. 15 września), przypuszczając, że może zimą przyjechać, albo prędzej; w miesiąc potem, wyzdrowiawszy już, czule pożegnał kochaną siostrę Annę, gospodynię swoją Zuzannę i Faustynę, gospodarującego w Siechnowiczach, wszystkie zaś swoje rachunki załatwił zrzeczeniem się dziedzictwa Siechnowicz na rzecz Estkowej i jej synów »pod warunkiem jednak: aby Zuzannę i Faustynę aż do śmierci z wygodą zachować; ażeby gospodarze w całej wsi z każdego domu nie robili jak tylko dwa dni męskiej pańszczyzny, zaś kobiecej wcale nie. Żeby w inszym kraju, gdzieby mógł rząd zabezpieczyć wolę moją, zapewniłbym wolnymi ich uczynił, ale w tym potrzeba to zrobić, co można pewnie, ażeby ulżyć ludzkości cokolwiek... Kłaniam i Stanisławowi, twemu synowi; niech dzieciom dobrą da edukację republikańską z cnotami sprawiedliwości, uczciwości i honoru».

Wyjechał 20 października, mając około 1.000 dukatów całego funduszu. O tyle jednak był

teraz bogatszym, niż przed 8-u laty, że zyskał sławę w bojach nabytą i wielki szacunek u ludzi wszelkich stronnictw i stanowisk. zarówno w pańskich pałacach, jak w chłopskiej chacie i w żołnierskim namiocie, zarówno Ignacego, jak Szczęsnego Potockich. Doszła go też wiadomość, że w Paryżu Zgromadzenie Prawodawcze (Assemblée Législative) dekretem z d. 26 sierpnia 1792, nadało mu «tytuł obywatela Francji».

## VI.

Wyjechał najpierw do Galicji. W Sieniawie księżna Izabela Czartoryska, generałowa ziem podolskich, urządziła mu w dniu imienin, 28 października, owacy: córki jej, Marya księżna Wirtemberska i Zofia, późniejsza Stanisławowa Zamojska, podały mu wieniec z gałęzi dębów, sadzonych ręką Jana III w Wysocku; przy obiedzie damy zasiadły w białych sukniach, przybranych wstążkami błękitnymi z czarnem; potem śpiewały jakieś «wiersze» Tadeusza Morskiego. We Lwowie Kościuszko złożył wizyty gubernatorowi, hr. Brigido, i komenderującemu generałowi, Wurmserowi. Odwiedził Kossakowską z Potockich, kasztelanową kamieńską, żeby sprawdzić rozpuszczoną w gazetach pogłoskę, jakoby darowała mu wieś o 20.000 zł. intraty. Potwierdziła, że w istocie chce oddać mu na przyszły ś. Jan swe dobra, jakie posiada w Koronie; on zaś odmówił przyjęcia daru; przyjął tylko łaskę, ofiarowaną mu w prezencie. Wyprawiano dla niego ucztę; na jednej z nich zapewne deklamowany był wiersz Aloizego Felińskiego, wysławiający jego przymioty. Niebawem zaczęło gromadzić się tłumnie pospólstwo, gdzie się tylko ukazał. Wyjechał 17 listopada do Zamościa. Tu wdowa po zmarłym niedawno Andrzeju, ex-kancelerzu i autorze słynnego kodeksu, Konstancja z Czartoryskich Zamojska z całą rodziną swoją okazała mu tak szczere i tklive współczucie, że zachował wdzięczność i przyjaźń dla jej synów, Aleksandra i Stanisława, oraz dla jej córki Anny, później Sapieżyny. przez całe życie. Przyjął od niej 300 czy 400 dukatów zapewne przed wyjazdem, nakazanym przez generała Wurmsera. Wypowiedzenie gościnności, a raczej pobytu w krajach cesarskich, obostrzone terminem 12-godzinny, a motywowane poleceniem z Wiednia, przyszło 5-go grudnia: więc nazajutrz Kościuszko wyjechał do Krakowa pod przybranem nazwiskiem

«barona Biedy,» ostrzeżono go bowiem, że i rosyjskie komendy, konsystujące na terytoryum polskim, mają go aresztować. Listy kazał adresować do szambelana Wierzbickiego w Dzierzkowicach przez Opole z dopiskiem: «à Mr le Baron Bieda.» Otrzymawszy tą drogą list od młodego ordynata Aleksandra Zamoyskiego, odpowiedział w tych słowach: «Kochaj mnie tylko tak, jak ja ordynata (t. j. ojca Andrzeja), matkę, siostrzyczki i braciszka. W życiu mojem nie byłem przywiązańszym do osób żadnych, jak ja do was, i nie miałem żalu większego, jak z utraty kompanii waszej. Rozumiałem być was moją familią, znaleźć matkę, siostrę i braci; nigdy myśl moja i serce od was nie odstąpi.»

W Krakowie bawił jeszcze 13 grudnia; pisał stąd do księżny Czartoryskiej. Ostatnią noc spędził na smutnych rozmyślaniach bezsennie, aż konie zaszły. List następny był datowany z «Bracławia» t. j. Wrocławia; 29 grudnia Kollątaj zanotował przybycie Kościuszki do Lipska we «wtorek» 25-go.

Lipsk roił się wtedy od Polaków. Zamieszkało tu prawie całe stronnictwo konstytucyjne sejmiku czteroletniego: Ignacy i Stanisław Półtocy, Weyssenhof, Sołtan z bratem, Jan Potocki z Piotlim, Michał Zabielló etc.; wyjechali zaś do Włoch J. U. Niemcewicz i Nagórski. Kollątaj, opuściwszy Warszawę 25 lipca, osiadł tu 19 września. Wiedział on o zawartym d. 8 sierpnia traktacie przymierza rosyjsko-pruskiego z artykułem sekretnym co do nowego rozbioru Polski. W połowie października przejeżdżał wtedy Descorches, wydłony z Warszawy poseł francuzki rozkazem rządu Targowickiego, a z woli imperatorowej Katarzyny, która przybrała jawnie wrogą postawę względem wzmagającej się rewolucji francuzkiej. Przejęty oburzeniem za doznaną zniewagę, zgłosił się on do emigrantów, przyznając im charakter prawowitych reprezentantów Polski jako głównych członków Sejmu i proponował zawiązanie stosunków sprzymierzeńczych z Francją, która wygłosiła zasadę braterstwa ludów i pomoc... Otrzymał oświadczenie gotowości przez usta Ignacego Potockiego. Poczynił tedy odpowiednie przełożenia ministrowi spraw zagranicznych Lebrun'owi i notą z d. 26 listopada zawezwał emigrację, aby wysłała zaufaną osobę do Paryża. Kręcący się wśród Polaków, znany im z Warszawy niedoszły sekretarz amba-



sady francuskiej, Parandier, został mianowany agentem tajnym politycznym i prowadził z tymże ministrem prawidłową korespondencję.

Wiadomo, że od d. 21 września 1792 r. obradowała w Paryżu Konwencya Narodowa, która obaliła tron «Kapetów» i nadała Francji republikańską formę rządu; że na ziemię francuską wkroczyła armia koalicyjna prusko-austriacka; że ją spłoszyły nowozacieżne bataliony francuskie pod Valmy, zentuzyazmowane wyrazami i nutą «Marsylianki»; że d. 6 listopada wódz naczelny francuski, a w Polsce z czasów konfederacji Barskiej znany Dumouriez odniósł walne zwycięstwo pod Jemappes, które wyzwoliło Francję od wojsk najezdniczych; wkroczenie zaś Custine'a do Niemiec zapowiadało nową epokę braterstwa ludów.

Dla emigrantów proponowany sojusz z takim rządem był nie do pogardzenia zwłaszcza, że Kollątaj, podkanclerzy, polityk śmiały, historyzof rozległego wykształcenia, mówca i pisarz pierwszorzędny, zwalczał swoim rozumowaniem przyrodzony wstręt ziemian-arystokratów polskich do nowatorstwa rewolucyjnego Francuzów. Postanowiono wysłać Weyssenhofa, lecz ten zachorował. Ale nadjechał Kościuszko: jemu więc proponowano misję do Paryża. Nigdy on z dyplomacją nie miał nic do czynienia; dał się jednak łatwo namówić do zużytkowania obywatelstwa francuskiego, świeżo mu nadanego, i tej znajomości zasobów krajowych, jakiej nabył w akcji wojennej. Spisano dla niego instrukcję wcale nie-trudną, bo zmierzała tylko do pozyskania poparcia moralnego w przewidywanych kombinacjach europejskich, nie uznawania rządów targowickich w Polsce przez Konwencyę, dostarczenia informacji o Polsce. Kościuszko figuruje w tym dokumencie z tytułem nowomodnym «obywatela» (citoyen) i ma zapewniać republikanów francuskich, iż jest życzeniem całego narodu polskiego mieć konstytucję zupełnie republikańską, zbliżoną do francuskiej «o tyle, o ile na to pozwolą warunki miejscowe».

Kościuszko wyjechał 7-go lub 8-go stycznia 1793. Kollątaj dodał mu do towarzystwa synowca swego Eustachego, którego opatrzył pieniędzmi potrzebnymi na podróż. Powrotu oczekiwał w końcu marca lub w kwietniu.

Nie tak rychło nastąpił ten powrót, a tymczasem nieprzewidywane przewroty w świecie poli-

tycznym zrzucił wulkan rewolucyjny: 21 stycznia spadła pod gilotyną głowa Ludwika XVI; prawie wszystkie państwa lądowe skoalizowały się przeciwko Francji królobójczej; Konwencya hardo przyjęła rzuconą rękawicę i rozwinęła niewidzianą dotąd w dziejach narodowych energię; lecz sprawa Polski poniosła w tym zamęcie szwank niepowetowany. Wkroczenie wojsk pruskich (w styczniu) dla obsadzenia nowej dzielnicy i cała operacja drugiego rozbioru odbywała się bez żadnej przeszkody, a nawet bez protestacji ze strony Francji. Sam Parandier, karmiący Polaków najponętniejszymi obietnicami, wypowiadał w raportach do ministra szczery swój zamiar wyzyskania ich wpływu na korzyść Francji do skojarzenia Polski z Turcją i Szwecją przeciwko Rosji.

Cóż mógł zdziałać Kościuszko, przyjechawszy w chwili niezmiernego roznamietnienia stronnictw Konwencyi i mas ludowych? Widział się z ministrem Lebrun'em pod koniec lutego, lecz nic nie osiągnął, coby godnem było pisania. «Nic nie pisze gen. Kościuszko» skarży się Parandier 1 marca. Rzeczywiście pisał — ale pamiętnik z wojny 1792. Rozpamiętywał wszystkie uchybienia i błędy, przedstawiał szczerze wszystkie niepowodzenia i straty, w końcu wszakże zakonkludował, że były jeszcze sposoby do walki. «Zgromadziwszy wojsko całe za Wisłą z wolontaryuszami i mieszczanami z miast Warszawy i Krakowa, wynosiłoby 60.000, a na czele króla mając, bijąc się za swój kraj i dependencję, jaka moc by go zwyciężyła? pytam się». Przeciwno przerażającym wiadomościom, jakie dochodziły z kraju, bronił się nadzieją, sprawił sobie pieczęć z postacią kobiety, wspartej na kotwicy...

Był zapewne świadkiem okropnych scen i wypadków: uwięzienia żyrodystów i samego Lebrun'a, zamordowania Marata, wnijsia terrorystów do Komitetu Ocalenia Publicznego i t. p. Takiego republikanizmu nie uznał w sumieniu swoim i nie praktykował nigdy przedtem, ani potem. Chociaż bawił w Paryżu dłużej nad czas zamierzony, zaniechał wszakże swojej misji dyplomatycznej, nie widział się z Komitetem Ocalenia Publicznego, nie traktował wcale ani z Dantonem, ani z Robespierrem, nie dał się poznać w klubie Jakobiów, bo nowy minister spraw zagranicznych Desforgues pisał o nim później, jako o człowieku «podejrzanym» z jakobińskiego pun-



ktu widzenia. Wyjeżdżał podobno do Brukseli, do Anglii zaś; Danii, Szwecyi nie pojechał. Wrócił do Lipska zniechęcony, nawet oburzony (indigné). Wszedł w ściślejszą zażyłość z Ignacym Potockim: obiadował u niego. Tu na początku września zastali go Walichnowski i Aloe, wysłańcy «związku», utworzonego w Warszawie latem podczas sejmu grodzieńskiego. Upraszałi go, aby przyjął naczelną władzę w gotującym się zbrojnym powstaniu wedle dokonanego na tajemnych naradach jednomyślnego wyboru.

Kościuszeko zgodził się i zabrał się żwawo do działania. Obmyślił wspólnie z Ignacym Potockim w Lipsku plan powstania w ogólnych zarysach i udzielił takowy, przejeżdżając przez Dreźnie, Kollątajowi, który tu zamieszkał po powrocie z kuracyi na wodach czeskich. «Dla uchronienia się nieszczęśliwych wypadków rewolucyi francuskiej — pisze Kollątaj — zgodziliśmy się, że insurrekcyja w Polsce powinna być pod dyktandem jednego człowieka, któryby pozyskał powszechne zaufanie. Cały naród wskazywał do tego Kościuszkę: on tedy, wezwany, takowe podawał kondycye, ażeby insurrekcyja z całym rządem rewolucyjnym była zupełnie wojskowa». To znaczy, że nie chciał wzruszać sposobem francuzkim fundamentów społeczeństwa polskiego konstytucyjnych, ekonomicznych, religijnych. Utrzymywał Ustawę Trzeciego Maja, ale bez artykułów o władzy «Króla w Straży», które traciły wartość wobec dyktatury. Nakreślił też instrukcyę do nowej organizacyi administracyjnej podług wzorów z wojny amerykańskiej zapamiętanych...

Po przedyskutowaniu tych zasad z dwoma najświetlejszymi znawcami urządzeń narodowych i najwybitniejszymi prawodawcami Sejmu Czteroletniego, zjechał Kościuszeko na dzień 11 września do Podgórza pod Krakowem dla widzenia się z członkami związku. Wysłał Zajączka Józefa do Warszawy na zwiady. Kazał tam utworzyć Małą Radę do łączenia wojskowych z cywilnymi. Jako członkowie jej znani nam są: Jędrzej Kapostas, bankier, Walichnowski i Fr. Jelski, starosta starodubowski. Rozpisał listy podług województw, ziem i powiatów, rozdał je emisaryuszom z przyłączonemi instrukcyami i polecił doręczać je tym, którzy do działania gotowość oświadczają. Wziął je Prozor do Litwy i w Kijowskie, Gliszczyński do Wielkopolski, Sieradzki w Sandomierskie, Maru-

szewski do Warszawy i w Łęczyckie, Dembowski w Lubelskie; na Wołyń nikt się misyi nie podjął. Zajączek wrócił po 6-dniowym pobycie w Warszawie i złożył sprawozdanie, że członkami związku rewolucyjnego były «osoby bardzo gorliwe, ale zbyt nieumiejętnym unoszące się zapalem i nie dosyć dzielnych środków używające; że powstanie włościan wcale jeszcze przygotowanem nie było; że w wojsku tylko Madaliński, Działyński i niektórzy niższej rangi oficerowie do związku należeli; że cała siła rewolucyjna wynosiła 4 lub 5 tysięcy wojska po różnych garnizonach rozstawionego, a i to nawet z wielką trudnością i z pomocą nadzwyczajnej tylko zręczności zgromadzonem być mogło, gdy wojska nieprzyjacielskie, w różnych miejscach obozujące, czuwały na każde poruszenie Polaków».

Kościuszeko uznał, że «na tak blahych, jak dotąd, podstawach nie można budować; że smutnie byłoby lekko i nierozmyślnie zacząć, by upaść.» Ukrywał się u kogoś z krewnych brygadiera Jana Henryka Dąbrowskiego w okolicy Niepołomic, czy w Wiatowicach pod Gdowem, może i u Wodzickiego, szefa regimentu 2-go, a zarazem komendanta Krakowa: ale zanadto był znany, żeby go czujność szpiegów nie wytropiła. Więc wyjechał do Włoch.

W Grodnie sejm obradował do d. 23 listopada 1793 r. Ostatniemi czynnościami jego, a raczej władającego nim rosyjskiego ambasadora Sieversa, były opisy administracyi i siły wojskowej, okrojone proporcjonalnie do małości kraju, jaki miał tworzyć Polskę podług traktatów drugiego rozbioru. Wojska, konsystujące poza nową linią graniczną, zostały wcielone do armii rosyjskiej; te zaś, które kwaterowały w granicach pozostałej Polski, miały być zredukowane: do liczby 10.110 głów koronne i 7.690 litewskie. Po powrocie króla do Warszawy przybył wkrótce baron Igelstrom wódz armii rosyjskiej z tytułem ambasadora, a z władzą wszechmocną bez tytułu. Utworzona d. 16 grudnia nowa, ostatnia Komisya Wojskowa pod prezydencyą nowego hetmana Piotra Ożarowskiego zmniejszyła etat obu wojsk do liczby 15.449 głów. Na żądanie Igelstroma Rada Nieustająca rozkazem z 21-go lutego 1794 zarządziła natychmiastowe wykonanie redukcyi z terminem wykonczenia jej d. 15 marca i z «rygorem na szefów» takim, że każdemu zatrzymanemu dłużej oficerowi i żołnierzowi płacić będą żołd z własnej kieszeni.

Wykonanie zdawało się łatwym: oddziały były rozproszone, pozbawione artylerii i amunicji; trzy główne trakty, prowadzące do Warszawy, były obsadzone wojskiem rosyjskiem podług dyslokacji, wypracowanej przez szefa sztabu gen. Pistora; w Warszawie Igelstrom skupił 7948 wyborowego żołnierza, zatoczył armaty na ulicach i utrzymywał liczne patrole w ruchu.

Gorzkie uczucia wezbrały nietylko w wojsku, ale i w masie ludności cywilnej. Jelski z polecenia związkowych pojechał po Kościuszkę. Wyrecytował mu z pamięci dyslokację wojsk rosyjskich i pruskich (bo pisma, dostarczone przez Kapostasę, zniszczył w drodze przez ostrożność) i wręczył 300 czy 400 dukatów. Kościuszko udał się niezwłocznie do Drezna na ostateczne narady z Ignacem Potockim i Kołłątajem. Ułożyli program obrzędów politycznych, jakie należało odbyć w Krakowie, żeby niedopuszczyć tworzenia się innych stronnictw, i zredagowali tekst odezw czyli manifestów. Raporty od generał-majorów nie nadeszły jeszcze: natomiast przyszły wiadomości o dokonanych w Warszawie i Wilnie aresztach i wywożeniach w głąb Rosji. Pomiędzy wywiezionymi znajdował się jeden z najpierwszych członków związku, czynny na Wołyniu, szef regimentu 10-go, Ignacy Działyński. Kapostas umknął do Krakowa, ostrzeżony przez synowca Fryderyka Moszyńskiego, niegdy vice-komendanta korpusu kadetów, obecnie marszałka,— w. k. Linowski ostrzegął z Wiednia, że arsenał warszawski ma być zabrany.

Nie znamy z pożądaną dokładnością wszystkich okoliczności owoczesnych i całego toku rozumowania, które doprowadziło Kościuszkę do postanowienia zacząć walkę orężną niezwłocznie.

Sądzę, że za jego rozkazem Madaliński zebrał w Ostrołęce d. 12 marca swoją brygadę kawalerii narodowej (nie całą, tylko 700 koni), nie wykonał nakazanej redukcji, lecz ruszył wzdłuż nowej pruskiej granicy na południe ku Krakowu. Generał Igelstrom uruchomił zaraz kilka oddziałów, z których uformował wielką kolumnę pod komendą gen. Tormasowa, i zarządził koncentrację w Radomiu wojsk, rozlokowanych na południe od Warszawy, a więc gen. Denisowa z Łucka, gen. Rachmanowa z Lublina, podpułk. Ekespaara z Opatowa i podpułk. Łykoszyna z Krakowa. Ten ostatni rozkaz spowodził najważniejsze skutki i starczył za przyznanie zwycięstwa Madalińskiemu, al-

bowiem po wyjściu załogi rosyjskiej wolne miał ręce komendant Krakowa gen. Wodzicki, któremu Komisyja Wojskowa nadała nawet komendę dywizyjną, przesyłając pochwałę za wykonanie redukcji w regimencie 2-m. Nie wiedziała, że Wodzicki płaci z własnej kieszeni żołd rozpuszczonym pozornie żołnierzom.

Jednocześnie, około połowy marca, Kościuszko jechał z Saksonii pod Kraków. Nie wiemy, gdzie się zatrzymywał; czy w Nowem Brzesku, należącym do opactwa Hebdowskiego, którego przeorem był przyjaciel Kołłątaja X. Biegański, czy w Tyńcu, w tradycyjnej stodole? Wiedział jednakże Madaliński, bo przesłał z marszu ośm raportów. Jak tylko wyszedł Łykoszyn ze swoim batalionem i szwadronem jazdy d. 23 marca wczesnym rankiem na Pińczów, tegoż dnia w kilka godzin potem przybył Kościuszko.

## VIII.

Zachowując jeszcze incognito, stanął Kościuszko we dworze gen. Wodzickiego przy Kapucynach, za szewską furtką. Zajął pokój nad bramą, zbudowaną w kształcie baszty i do dziś dnia zachowaną, mimo przekształcenia całej posesyi. Dał do drukarni napisany zawczasu »Akt powstania obywatelów mieszkańców województwa Krakowskiego 1794 R. Marca 23 dnia w Krakowie w Zamku«. Niewątpliwie zebrali się zaraz ci, którzy mieli asystować Kościuszcze przy wystąpieniu publicznem, a więc: Linowski Aleksander szambelan i dawny poseł sejmowy, Stefan Dembowski kasztelan czechowski i sam gospodarz, Wodzicki. Po przyniesieniu z drukarni pokazało się, że rękopism był ułożony jako formularz dla wszelkiego województwa, powiatu lub ziemi, nie odpowiadał zatem nagłówkowi, a nadto wymagał kilkunastu poprawek. Poczyniono je natychmiast i kazano przedrukować ze zmianą daty na 24-ty a bez wymienienia »Zamku«. Za lepsze miejsce uznano rynek przed ratuszem.

Tegoż dnia jednak wydał Kościuszko rozkaz do straży granicznej, aby Austriaków nie podrażniła: więc rozpoczął urzędowanie swoje. W mieście znajdowały się dwa bataliony: jeden z regimentu 2-go, szefostwa Wodzickiego, drugi z regimentu 3-go szefostwa Czapskiego. Otrzymały one stosowną dyspozycję na dzień jutrzejszy.

Prezydent miasta Lichocki niemiłego doznał

zdziwienia, gby się dowiedział od swojej służącej, że przy bramach stały warty i nikomu nie pozwalają wychodzić, ale wchodzących do miasta wpuszczają. Następnie przyszedł adjutant Biegański z rozkazem zwołania urzędników miejskich i wszystkiego ludu przed ratusz najdalej za godzinę. Nareszcie kapitan Wasilewski zawołał go wprost przed Kościuszkę. Lichocki był we wszystkim posłuszny. Batalion Wodzickiego uformował się w rynku. Już ta parada wystarczyła do zgromadzenia tłumu z bliższych i dalszych ulic. Na schodach ratusza i w sali posiedzeń magistratu zrobił się taki natłok obywateli, młodzieży i dam, że Lichocki nie mógł się docisnąć do «przyzwoitego sobie miejsca» czyli do fotelu prezydenckiego.

Kościuszko wyszedł z bramy dworu Wodzickiego i skierował się przez krótką ulicę Ś-tej Anny przed ratusz. W orszaku jego nie było ani jednego z tak zwanych w Polsce «wielkich ludzi» czyli wysokich dostojników. Dembowski wprawdzie reprezentował w senacie kasztelanę mniejszą, miasteczko Czchów, był senatorem, ale drażkowym.

Wojsko odrazu wykonało przysięgę. Zaraz potem wszedł z oficerami do ratusza i miał mowę, o której tyle tylko dowiedzieć się możemy, że powoływał do walki ludzi wszelkiego stanu. W końcu kazał Linowskiemu przeczytać wydrukowany akt, określający władzę tak jego, jakoteż Rady Najwyższej Narodowej, Komisji Porządkowej Województwa Krakowskiego i Sądu Kryminalnego.

Zgromadzeni na ratuszu Krakowianie uchwalili tegoż dnia: 1) rekrutowanie do wojska regularnego wszystkich zdrowych mężczyzn od 18 do 28 lat wieku, 2) podatek postępowy po 10, 20, 30 i 40% od intraty 1.000, 2.000, 10.000 i 50.000 złp. z dóbr ziemskich, a 3, 3 1/2, 4 kwart od wszelkich królewszczyn, i pogłówne całoroczne od żydów 3) zsypkę do magazynów, dostawę podwód, koni i robotnika za paletami Najwyższego Naczelnika lub jego podkomendnych. Nazajutrz zorganizowała się Komisja Porządkowa Cywilno-Wojskowa województwa Krakowskiego i wydała list okólny do obywateli z żądaniem większych jeszcze wysiłków do wytworzenia siły zbrojnej, jako to: 1) dostarczania rekruta dymowego z 5 dymów do piechoty, a z 50-u do ja-

zdy z karabinem, albo piką i z siekierą, ubranego po wieśniacku i zaopatrzonego w czapkę, koszulę, buty dobre, płachtę czyli grube prześcieradło z dwu brytów, 2) milicji z reszty mieszkańców w wieku lat 18—28 za szczególnymi rozkazami Naj. Naczelnika, 3) pospolitego ruszenia do 40 lat wieku, uzbrojonego czem można i ćwiczonego co niedziela w obrotach żołnierskich. Z biegiem wypadków ustaliła się praktyka, że rekrut znalazł się pod rozkazami oficerów wojska liniowego czyli regularnego, dwie zaś inne klasy były prowadzone przez generałów ziemiańskich; lecz pospolite ruszenie było powoływane, o ile można, na czas najkrótszy i to wyłącznie do pomocy wojsku w obronie własnego województwa.

Wszystkie te zarządzenia i podatki były wszędzie przyjmowane bez żadnej odmiany podług wzorów krakowskich.

Tak się zaczęła wojna, zwana powstaniem narodowym pod najwyższym naczelnictwem Tadeusza Kościuszki. Toczyła się na terytorium Polski drugiego rozbioru, czasem przekraczając jej granice, świeżo naznaczone przez Prusy i Rosyę, zagarniała całą ludność i wywołała tyle pracy we wszystkich sferach działalności wojskowej, finansowej, ekonomicznej, że przedstawić jej w niniejszym zarysie biograficznym niepodobna. Możemy zrobić tylko pobieżny przegląd czynności samego Kościuszki.

Po wyjściu z ratusza podpisywał i rozsyłał odezwy: wszystkie datowane po wojskowemu «w Głównej Kwaterze w Krakowie», wreszcie list do Webera, kapitana i komendanta pogranicznych krajów Jego Cesarsko-Królewskiej Mości (w Galicyi) z zapewnieniem, że «już na dniu 23 marca zalecił wszystkim swoim komendantom i urzędnikom ceł, aby granicę państw cesarskich szanowali». Można było i należało oświadczyć neutralność względem Austrii, która w drugim rozbiore nie uczestniczyła, a władała przedmieściami zawiślanem Krakowa, Podgórzem. Dość było przecie do czynienia, jeśli się wypowiadało wojnę dwom mocarstwom potężnym: Rosyi i Prusom.

Wysyłał nazajutrz i później tyle osób w różne strony, że biedny Lichocki, wydający im paszporty, nie mógł «połknąć kawałka chleba» i wypaść się w nocy. Wyznaczanie punktów zbornych, dobieranie wykonawców, podpisywanie pa-

tentów na szarżę oficerskie, przyjmowanie interesantów przeciągało się nieraz do 6-ej zrana. Najpilniejszą zaś sprawą było ratowanie komend rozproszonych wojska od koncentrujących się Rosyan: więc 1 kwietnia wyszedł Kościuszkę z Krakowa, wiedząc oba bataliony załogi i znalezione w ubogim arsenale krakowskim armaty: 4 strzelające kulami 6-funtowymi i 6 małych trzyfuntówek; nadto Wodzicki dodał 2 batalionowe trzyfuntówki, które udało mu się ukryć przed Komisją Wojskową warszawską.

Pierwszy obóz był zatoczony o 2 mile od miasta pod wsią Luborzycą. Tu przybyli: Madaliński, Manget ze swymi szwadronami kawalerii narodowej, 2 szwadrony ułanów z pułku Wirtemberga, przyprowadzone przez rotmistrza Zborowskiego, regiment 6-ty pieszy szefostwa Ożarowskiego, przychodzący z Sandomierza z pułkownikiem swoim Szyrerem w składzie całych 2 batalionów i jeszcze 1 batalion nie wiadomo, jakiego regimentu: 2-go czy 3-go. Tym sposobem skupiło się 5 batalionów piechoty i 22 szwadrony jazdy, liczbą na ogół około 4.000 głów.

Ta mała armia posunęła się 3-go kwietnia o milkę dalej—do wsi Koniuszy. Tu Jan Ślaski, członek Komisji Porządkowej Cywilno-Wojskowej, przyprowadził rekruta dymowego czyli chłopów ze wsi okolicznych 2.000.

Jednocześnie zmierzał ku Krakowu gen. Denisow; przodem wysłany przez niego gen. Tormasow stanął w nocy na górze Kościejowej, wznoszącej się ponad wsią kościelną Raclawicami, odległą od Koniuszy o 3 mile. Gdy tę przestrzeń przeszedł Kościuszkę d. 4 kwietnia, przednia straż jego spotkała się z kozakami; zatrzymał się więc i uszykował na polu wsi Dziemierzyc swoje prawe skrzydło, powierzając dowództwo jego Madalińskiemu, a na lewo od krętej i górzystej drogi na polu, należącym do Markocic, postawił drugie skrzydło pod komendą Zajączka. Milicję chłopską ukrył z tyłu na przeciwnym stoku wzgórza. Uspal dwie baterie przed frontem.

Obie strony długo przypatrywały się nieruchomie. Nareszcie zniecierpliwiał się Tormasow i, nie doczekawszy się nadejścia kolumny zwierzchnika swojego gen. Denisowa, rozpoczął atak o godzinie 3-ej na oba skrzydła polskie. Momentem rozstrzygającym w tej bitwie było uderzenie gromady 320 chłopów, prowadzonych przez sa-

mego Kościuszkę na 11 armat, zatoczonych u stóp stożkowatego pagórka «Zamczysko.» Zostały one zdobyte. Gen. Denisow nadszedł z bocznej drogi w czasie, gdy rozbite bataliony cofały się nieporządnie ku górze Kościejowskiej: więc nie atakował stojącego w gotowości Madalińskiego i po kilku wystrzałach ze swoich dział zabrał się do odwrotu.

Dla armii rosyjskiej bitwa ta nie miała żadnego prawie znaczenia tak pod względem strat materyalnych, jako też swobody ruchów strategicznych. Zeszło wprawdzie kilka tygodni na ściąganie komend posiłkowych, ale na początku maja generał Denisow wznowił działania zaczepne. Kościuszkę jednakże osiągnął ze zwycięstwa ogromne korzyści. Regimenty i szwadrony polskie, rozkwaterowane między Wisłą a Bugiem, niektóre nawet zpoza kordonu rosyjskiego aż od Owrucza, wyłamawszy się z posłuszeństwa swoim generałom, podążyły do niego pod komendą sztabs-oficerów. Województwa Chełmskie, Lubelskie, Sandomierskie przystępowały do aktu krakowskiego, wysadzały komisye porządkowe i poddawały się zarządzeniom generałów ziemiańskich. Z Warszawy generał Igelstrom po walce z wojskiem i ludem 17—18 kwietnia, ranny, wyszedł do obozu pruskiego pod Powązkami, a następnie do Łowicza, gdzie zebrał 7000 żołnierza i stał bezczynnie. W Wilnie generał Arseńjew został wzięty do niewoli 22 kwietnia. Tym sposobem Kościuszkę mógł dawać rozkazy 30 tysiącom regularnego wojska, a korzystając z kilku tygodni spokoju, kompletował w swoim obozie dawne bataliony i formował nowe podług etatu 100-tysięcznego, uchwalonego przez sejm czteroletni, ale bez broni palnej, której niepodobna było sprowadzić z zagranicy, ani wyrobić w dostatecznej ilości w krajowych warsztatach. Chwalono powszechnie porządek wzorowy, utrzymywany w jego obozie: pod Bosutowem, Igołomią, Winiarami, Połańcem; wszędzie odbywała się mustra, ależ nie tak rychło można było przerobić chłop-rekruta na żołnierza regularnego! Zdarzało się więc, że na uszykowanie swoich niezgrabiaszów w linię potrzebował Kościuszkę dwu godzin, gdy Rosyanie ufurmowali się w ciągu kwadransa.

Oprócz wojskowych, domagały się od Kościuszki szybkiego załatwienia sprawy cywilne. Los włościan obchodził go najżywiej, ale najtru-



dniej też przedstawiała się możność polepszenia tego losu ze względów ekonomicznych i prawnych. Kościuszko obwieścił uniwersalami z pod Winiar (2 maja) i z obozu pod Połańcem (7 maja) ulgę w pańszczyźnie, mianowicie: darowanie dwu dni tygodniowo tam, gdzie odrabiano dni 5 i 6, a po 1 dniu tam, gdzie robili chłopci 3, 4 lub dwa dni w tygodniu; zapewnił osobistą wolność przenoszenia się z warunkiem opłacenia długów i podatków; ustanowił wreszcie dozorców na okręgi, złożone z 1000 do 1200 gospodarzy mieszkańców, do przyjmowania skarg od ludu w jego uciaskach i sądzenia sporów z dworami.

W odezwie do duchowieństwa grecko-orientalnego nieunickiego odzywał się jako do braci i współrodaków, zapewniał im wolność obrządku i opatrzenie przyzwoite kapłanów. W odezwie zaś do obywateli brzeskich i kobryńskich, do swych dawnych sąsiadów, pochwalał, że, formując swoją komisję porządkową, powołali do jej składu 8 osób obrządku grecko-orientalnego; zalecał wpaść każdemu przekonanie, że »my wszystkich ziem naszej mieszkańców uszczęśliwić pragniemy«.

Długo, bo aż do dnia 21 maja ociągał się Kościuszko z mianowaniem członków do Rady Najwyższej Narodowej dla tego, że oczekiwał potwierdzenia aktu krakowskiego »od większej części narodu« jeśli nie od całej Polski i Litwy. Zamianował 8-miu radców do 8-miu wydziałów (czyli ministerów) i 32 zastępców, którzy mogli być wysyłani na prowincję, ale na sesjach głosowali i z kolei przydykowali bez żadnej różnicy. Na tej liście znaleźli się obok szlachty mieszczaństwo, kupcy i rzemieślnicy, i obok kilku księży katolickich, nieunita ks. Saba Palmowski, prezes konsystorza grecko-orientalnego. Wprowadzić tę organizację w wykonanie mieli Ignacy Potocki i ksiądz Hugo Kołłątaj. Przyjechali też do Warszawy 24 maja witani radośnie od ludu.

Tak ulegalizował Kościuszko swój tytuł i swoje rządy. Uznanie otrzymał nawet od króla, obranego przed 30-tu laty na Woli. Stanisław August, mieszkający w trwodze na zamku warszawskim, gdy mu odebrano mennicę, napisał do niego list z oświadczeniem, że »władnym i znaczącym inaczej być nie pragnie, tylko wtedy i tyle, jak on z narodem osądzi«; nadmieniał przytem o chęci swojej uczestniczenia w pracach Najwyższej Rady Narodowej. Odpisał mu Kościuszko dnia 20

maja z obozu pod Sieczkowem, że »zna wierne Tronowi uszanowanie«, lecz nie jest mocen nominować osobę JKMości do składu Rady Najwyższej; zalecił wszakże oddzielnie, aby ta Rada zdawała mu »sprawę z celnych swych czynów i aby opatrywała« jego potrzeby. Kończył tak; »Składając WKMości dzięki za życzenia, mej osoby tyżące się, oświadczam, iż pomyślność WKMości od pomyślności Ojczyzny w mem sercu i umyśle nie oddzielam i głębokie uszanowanie WKMości zaręczam«.

W tymże czasie stanął przed Kościuszką (w obozie pod Jędrzejowem) książę Józef Poniatowski z prośbą, aby go przyjął do wojska, jako ochotnika. Przyjął go, swego byłego zwierzchnika, i powierzył mu wkrótce komendę nad znaczną dywizją.

Gdy tak pomyślnie ugruntowała się władza jego i pomnażały się liczebnie siły do walki, ciągnęły przeciwko niemu nowe zastępy nieprzyjaciół. Zbliżał się do Bugu generał Derfelden ze świeżym korpusem. Denisow, odparty dwakroć (12 i 17 maja) pod Połańcem, pomaszzerował w kierunku zachodnim, jak się pokazało później, dla połączenia się z Prusakami. Kościuszko wysłał przeciwko Derfeldenowi Zajączka, dając mu około sześciu tysięcy starego żołnierza i milicye z województwa Lubelskiego oraz Ziemi Chełmskiej, a sam poszedł za Denisowem marszami powolnemi, ponieważ musiał załatwiać wówczas wielkiej wagi sprawy organizacyjne rządu cywilnego. Miał w swoim obozie 9100 ludzi z wojska regularnego, około 5000 włościan bez broni palnej i 24 dział, razem ze zdobytymi na Tormasowie. Siła ta dorównywała mniej więcej sile Denisowa, który w swoich 14 batalionach i 34 szwadronach liczył 9000 głów, ale za to dział polowych i batalionowych posiadał 60. Postanowił atakować go Kościuszko, znalazłszy dogodną pozycję pomiędzy wsiami Rawką i Hebdziem, o  $\frac{3}{4}$  mili od miasteczka Szczekocin, ale nie zdążył uszykować swego wojska przed wieczorem 5-go czerwca; ruchy jego wszakże były obserwowane, dokładnie narysowane przez szefa sztabu rosyjskiego, Pistora, i zakomunikowane królowi pruskiemu, Fryderykowi Wilhelmowi II, który 3 czerwca przyjechał do swojej armii, rozłożonej pod Żarnowcem, a liczącej 17,500 głów i dział 64.

Nazajutrz 6 czerwca oba te połączone woj-



ska uformowały linię 3-wiorstowej długości i ruszyły do ataku. Zrazu nie wierzył własnym oczom Kościuszko; ale kiedy już wątpliwości nie było i generałowie doradzali mu odwrót, odpowiedział: »Chcę się obeznać z manewrami pruskimi«. Naturalnie, przegrał bitwę, stracił 8 armat, do tysiąca ludzi zabitych, około 500 jeńców i dwóch najdzielniejszych generałów, Wodzickiego i Grochowskiego. Wszyscy inni generałowie i on sam odnieśli rany. Uratował od zupełnego pogromu generał Sanguszek osłaniając bezładny odwrót szarżami swojej jazdy i pociągając za rękaw Kościuszkę, który szukał śmierci w chwilowym przystępie rozpacz. Strategicy widzą wielki błąd w przyjęciu walki z tak przemożną siłą nieprzyjacielską i w niewiadomości o tworzeniu się tej siły. Może źle spełniła swój obowiązek służba wywiadowcza; zdaje się jednak, że Kościuszko nie przypuszczał pojawienia się Prusaków skutkiem wmówionych mu przez Ignacego Potockiego kombinacji dyplomatycznych, a potem w obec następującego nieprzyjaciela uchodzić bez skrzyżowania broni miał sobie za hańbę.

Niebawem ugodził weń drugi cios: przegrana przez Zajęczkę bitwa pod Chełmem dnia 8-go czerwca, i trzeci: poddanie Krakowa Prusakom przez pułkownika Wieniawskiego bez walki 15-go czerwca.

Kościuszko postradał podstawę operacyjną; widział się obsaczonym ze wszystkich stron oblawa. Jeden z najlepszych jego generałów, Wedelstett, podał się do dymisji, jako poddany pruski z obawy o swój majątek ziemski, trzej inni zbuntowali się przeciwko pobitemu Zajęczkowi, wypowiedzieli mu posłuszeństwo i ofiarowali dowództwo brygadyerowi Wyszowskiemu.

W tym okropnym stanie rzeczy okazał Kościuszko niezłomną moc ducha. Nazajutrz po klęsce szczekocińskiej (7 czerwca), w Małogoszczy przystąpiła do niego deputacja od mieszczan warszawskich z pretensją, że do Rady Najwyższej Narodowej zamianował kilku z nich, nie zwołując zgromadzenia wyborczego. Odmówił ich żądaniu, a do Rady wysłał energiczną odezwę, zalecającą »natężenie republikańskiego męstwa« i nakazanie pospolitego ruszenia. W raporcie do narodu, wydanym z Kielc 10 czerwca, opowiedziawszy cały przebieg bitwy, wzywał do wytrwałości. Nadto oddzielnym »Ordynansem Generalnym do całej

siły zbrojnej Narodowej« kazał wszystkim komendantom korpusów wojska liniowego i wszystkim »tym komendantom, którzy jakiegokolwiek korpusy zebrane mają, lub zebrać przedsięwzjąć«, aby wkraczali w granice pruskie i rosyjskie dla podawania ręki mieszkańcom. Przemilczał jeszcze i teraz o Austrii, nie wiedząc, że cesarz Franciszek wraca z Belgii do Wiednia, żeby popierać jak najpilniej plany trzeciego rozbioru Polski oraz żeby wojska swoje wprowadzić do województw Lubelskiego i Chełmskiego. Na Wieniawskiego kazał ogłosić wyrok sądu wojennego. Wedelstetta uwolnił od służby, Zajęczkę utrzymał przy komendzie, a nieposłusznych mu generałów upokorzył bez skandalu, pozostawiając w dawnej żaleźności; dywizję jego przywołał ku sobie i sam poszedł na spotkanie aż ku Wiśle, do Warki (19—21 czerwca). Mimo tej dość dalekiej wycieczki zdążył jeszcze wykonać zręczny manewr, za pomocą którego wyprzedził Prusaków i Rosyan, dążących ku Warszawie.

Znalazł przygotowane pracą ludu okopy. Zajął je po kilku potyczkach (9—10 lipca) ze ścigającymi jego korpusy Prusakami i Rosyanami. Od d. 13 lipca nieprzyjaciół obległ miasto półkołem, zatoczonym na lewym brzegu Wisły. Fryderyk Wilhelm założył swoją główną kwaterę w pałacyku, zwanym Włochy; wódz rosyjski Fersen, mianowany na miejsce Igelstroma i prowadzący jego dywizję łowicką łącznie z wojskami Denisowa, usadowił się w Wilanowie. Obie armie rozporządzały 41 tysiącami żołnierzy i 235 działami. Kościuszko założył trzy obozy: pod Marymontem, powierzony komendzie Mokronoskiego a potem księcia Józefa Poniatowskiego, na Czystem — Zajęczka i pod Mokotowem, główny, pod swoim osobistym kierunkiem. Miał w nich 23.300 ludzi, prawie wszystkich z bronią palną, dział zaś polowych razem z granatnikami i moździerzami około 140 z niedostateczną obsługą (412 artylerystów) i małą liczbą koni (47). Zastosował swoją umiejętność inżynierską do wzmocnienia linii obronnej fortyfikacjami ziemnymi, lecz niektóre baterie (jak np. na Łysej Górze, przy rogatkach Marymonckich, za Cekauzem) nie dostały ani jednej armaty, chociażby 3-funtówki.

Oblężenie trwało blisko dwa miesiące, do 6 września, a zakończyło się cofnięciem armii pruskiej za rz. Bzurę i odjazdem Fryderyka Wilhelma

do Berlina—ku wielkiemu oburzeniu Imperatorowej Katarzyny. Rada Najw. Nar. chciała obchodzić tak pamiętne zdarzenie «uroczystością jako-  
wą» i prosiła Kościuskę, żeby uświetnił obecnością swoją ten obchód. On wszakże uchylił się od udziału pod pozorem pilnych zatrudnień, innymi słowy: nie przyjął tryumfu i grzecznie zwrócił uwagę na przedwczesność uciechy. Powodował się skromnością, bo zasługę, bez względu na dalsze wypadki, przyznawał mu każdy, kto widział chociażby jedną stronę, jedną część niezmierniej pracy jego, wykonanej przy obronieszańców i przy kierowaniu działaniami wojennymi, jako to: nad Narwią, gdzie generałowie ziemiańscy wstrzymywali Prusaków od marszu ku Pradze, czyli od atakowania Warszawy z drugiej strony, od prawego brzegu Wisły, następnie na Powiślu Lubelskim, gdzie należało obserwować austriackiego generała Harmoncourt, rozkwaterowanego już od d. 2 lipca, nareszcie na Litwie i Żmudzi, gdzie ukazywały się coraz gęstsze zastępy Rosyan, kierowane przez naczelnego wodza księcia Repnina. A ileż frasunku przyczyniło mu zaopatrywanie Warszawy w żywność dowozami z jednej tylko strony od wschodu, formowanie coraz nowych oddziałów, ekwipowanie ich, uzbrajanie, wyrób broni i prochu, zaspakajanie żądań pieniężnych wśród ruin i spustoszeń dokoła! Dopiero wieczorem 6 września położył się Kościuszko spać rozebrany.

Obudził się z głową niemniej zafrasowaną.  
1) Za Prusakami trzeba było posunąć te wszystkie wojska, które dotychczas stały w okopach. Kościuszko jednak detaszował małą dywizyjkę pod dowództwem Dąbrowskiego na pomoc Wielkopolanom pruskiego zaboru, którzy powstali i wyświadczyli wielką przysługę, przejmując na Wiśle splawiane pod Warszawę ciężkie działa forteczne. Wyprawę tę Dąbrowski odbył ze świetnym powodzeniem.  
2) Przewidywać należało, że Fersen po ustąpieniu z Wilanowa zechce gdzieś wyżej przeprawić się przez Wisłę. Kościuszko nie mógł już polegać na straży generałów ziemiańskich: więc wysłał Ponińskiego do objęcia dowództwa nad nimi, ale cała tameczna siła dosięgała zaledwo 3.500 głów nie najlepszego żołnierza przy 6-iu armatach batalionowych.  
3) Przerażające doniesienia dochodziły z Litwy: Wilna nie obronił Chlewiński od ponownego i tym razem skutecznego ataku ge-

nerałów rosyjskich (11 sierpnia), a tak nieporządknie utrzymywał swoją dywizję, że musiał być usunięty; całe wojsko litewskie i liczne żmudzkie kupy powstańcze ściągały się pod Grodno w najgorszym stanie, a mianowany wodzem Mokronoski nie wykonywał najgorętszych poleceń, podobno z powodu wycieńczenia organizmu chorobą; Sierakowski, stojący pod Brześciem z 5-tysiącami (4927 gotowych do służby), był wystawiony na atak Suworowa, który forsownymi marszami z Podola przedzierał się przez bagna poleskie ze świeżą siłą 14.000 ludzi i 60 dział, a sam jeden wart był armii, wedle wyrażenia Imperatorowej Katarzyny. Tu już nie wystarczały ordynanse, instrukcje i wszelkie papierowe sposoby. Trzeba było batalionów, szwadronów, dział, czego właśnie było niewiele w warszawskich obozach, jedynym teraz zbiorniku zasobów wojennych.

Obfita, acz rozproszona po wielu księgozbiorach i archiwach korespondencya Kościuszki przekonywa, że rozumiał on jasno i trafnie istotę zagrażającej katastrofy. Od 7 września posyła Jasińskiemu rozkazy wzmacniania armii litewskiej siłami rozporządzalnemi nad Niemnem i Narwią oraz uformowania z nich drugiej dywizyi; 15 września wysłał z pod Warszawy regiment 10-ty Działyńskiego i 320 »zastępców Brzeskich« pod dowództwem Kniaziewicza dla wzmocnienia Sierakowskiego, a 19-go wyjechał sam, lecz w Siedlcach dowiedział się, że Sierakowski został pobity pod Krupczycami i Brześciem fatalnie—z utratą połowy swego wojska i 28 armat, zaprzężonych w konie z królewskiej stajni. Posyła więc rozkaz Mokronoskiemu posuwania się ku Warszawie, «aby nie dać przejść kolumnie Suworowa pomiędzy sobą a Wisłą», aby nie dopuścić połączenia się jego z dywizją Fersena, której «pilnuje generał Poniński». Wraca, wysłał posiłki Sierakowskiemu, potem jedzie pocztą bez eskorty, w towarzystwie jednego Niemcewicza, sekretarza swego, drogą, nawiedzaną już przez kozaków, do Grodna. Obejrzawszy wojsko litewskie, okazał mu największe niezadowolenie, kazał używać najsurowszych kar (zastrzegając jednakże dla siebie zatwierdzenie nie tylko wyroków śmierci, ale i kasy) i napisaną własnoręcznie odezwą 30 września groził za tchórzostwo w boju kartaczowaniem z armat, które będą ustawiane z tyłu. Zaledwo wrócił do swej kwatery głównej, t. j. do na-

miotu w Mokotowie, gdy nadeszła najgorsza ze wszystkich przewidywanych nowina: że Fersen przeprowadza się przez Wisłę. Kościuszko uznał natychmiast, że należy go znieść, zepchnąć do Wisły. Inaczej bowiem Warszawa miałaby przeciętą jedną z głównych dróg zasilania się żywnością i byłaby narażoną na atak połączonych dwu wojsk rosyjskich.

Wieczór 5-go października spędził Kościuszko u Zakrzewskiego, prezydenta miasta, rozmawiając po raz ostatni z najbliższymi współpracownikami swymi: Ignacym Potockim, Kollatajem, Zajackiem, któremu oddał w zastępstwie komendę obozu głównego w Mokotowie i wszystkich korpusów pod Warszawą. Zapowiedział im, że stoczy bitwę i że «armia» Sierakowskiego, skoro się połączy z nią korpus Ponińskiego, będzie do 14.000 mocną. Nazajutrz o godzinie 5-ej zrana, wzięwszy z sobą Niemcewicza, wyjechał konno z Mokotowa i, pędząc wciąż galopem, zmieniając konie chłopskie z siodłami bez strzemion, z uździenicami bez mundsztuków, stanął o godzinie 5-tej wieczorem w Okrzei u Sierakowskiego. Znalazł się tu gen. Poniński, który ani jednym wystrzałem nie przeszkodził Fersenowi do ustawiania mostu w okolicy Kozienic i wchodzeniu pułków rosyjskich do obozu pod Tyrzynom, ale żądał teraz rozkazów. Po naradzie kazano mu obrać obronne położenie nad Wieprzem i czekać wezwania do akcji. Kościuszko poprowadził wojsko do Korytnicy (7-go), doczekał się tu nadejścia z batalionów z Warszawy (8-go) i, wyruszywszy z całą swoją siłą, która dosięgła tylko 7 tysięcy głów (przy ubytku ludzi skutkiem forsownych marszów oraz braku paszy dla koni w późnej jesieni) wszedł 9-go października pod wieczór na pagórki między wsią Oronne a Zamkiem (dzisiejszem Podzamczem) w dobrach ordynatowej Zamoyskiej, Maciejowice. Ujrzał w niedalekiej odległości obóz rosyjski, szeroko rozciągnięty nad Wisłą. Tu więc musiała się odbyć walka stanowcza.

Po obejrzeniu pozycji Kościuszko wskazał stanowiska wszystkim oddziałom; powierzył komendę lewego skrzydła, pod Oronnem, Kniaziewiczowi, środka Sierakowskiemu, prawego, pod Zamkiem, Kamińskiemu; kazał usypać kilka szanców i ustawić armaty, których było razem z batalionami 21. Zapadająca noc nie pozwoliła ukończyć roboty fortyfikacyjnej; żołnierze mieli spędzić

ją pod bronią. Kościuszko wszedł do zamku, wysłał rozkaz do Ponińskiego, zjadł wieczerzę i położył się w ubraniu. O godz. 1½ po północy obudził Niemcewicza, kazał mu napisać drugi ordynans, zalecający Ponińskiemu «największą pilność w marszu» do Tyrzyna i posłać przez kuryera.

W tym czasie Denisow z 4½ batalionami, 10-u szwadronami, 4-ma pułkami kozaków i 10-u armatami uszedł już połowę drogi do Oronnego; Chruszczow i Tormasow odbierali od Fersena dyspozycje co do ataku frontowego, a hr. Tolstoj co do oskrzydlenia z lewej strony, od rz. Okrzejki. O godzinie trzy kwadranse na 5-tą 10 października ozwały się wystrzały Denisowa, zwiastujące atak na kraniec lewego skrzydła polskiego. Było sygnał dla wszystkich kolumn do ataku.

Walka zrazu ogniowa, potem na broń białą trwała do godziny 1-ej. Fersen wprowadził do niej wszystkie swe siły aż do ostatniej rezerwy, bo Poniński nie przyszedł pod Tyrzyn, nie uderzył na jego obóz. Ukazanie się oddziału hr. Tolstoja poza skrzydłem prawem uderzeniem ostatni wysiłek Kościuszki do uformowania czworoboku. Najwaleczniejsi padli, działynicy (regiment 10-ty) legli trupem w nieprzerwanym szeregu; niedobitki rzuciły się do ucieczki na pola okoliczne. Wszyscy generałowie i Niemcewicz byli ujęci w niewolę. O godzinie 5-ej kozacy na pikach przynieśli krwią zbroszonego, nieprzytomnego, śmiertelną bladością powleczonego Kościuszkę.

## VII.

Żył jednak i otworzył oczy nazajutrz zrana po wschodzie słońca. Miał szeroką ranę ciętą na głowie i kilka kłótych na piersi i lewej nodze, która stała się bezwładną. Opatrzył go chirurg, odwiedził Fersen z grzecznymi słowy, ale gdy zwycięska armia ruszyła, wsadzono go do powozu i prowadzono, dopóki nie przyszła dyspozycja od księcia Repnina...

Oddzielony po kilku dniach od armii, dążącej pod Warszawę, Kościuszko odbywał długą podróż przez Wołyń na Kijów, Czernihów, Mohylew, Witebsk najprzód bardzo powolnie z maszerującą kolumną gen. Chruszczowa, potem coraz szybciej pod strażą majora Titowa i 4-ch młodszych oficerów do Petersburga. W ciągu tej długiej podróży dowiedział się o szturmie Pragi. Przywieziony d. 10 grudnia do twierdzy Petro-Pawłows-

kiej i wniesiony do mieszkania komendanta widział chwilowo, zdaleka sekretarza swego Niemcewicza i adjutanta Fiszera, prowadzonych do wielkiej sali. W stanie ciężkiego przygnębienia moralnego spędził prawie dwa lata swojej niewoli. Badany dwukrotnie przez prokuratora generalnego Samojłowa, odpisał własnoręcznie na 21 punktów śledztwa. Zeznania jego były możliwie krótkie, ale bezwarunkowo prawdziwe. Potem zachowywał się tak cierpliwie i skromnie, że Imperatorowa Katarzyna łagodziła coraz bardziej swój sąd o nim i regulamin więzienia. Pisała tedy 30 września 1795 r., że jest «łagodny jak baranek,» a ponieważ jest bardzo chory, więc umieściła go w domu Stegelmana, gdzie jest ogródek do przechadzki. Potem przeniosła go do pałacu Orłowa i kazała otoczyć wszelkimi wygodami: zwrócono mu służących z mokotowskiej kwatery (murzyna lokaja i kucharza Jean'a), wożono po ogrodzie na fotelu, dano mu do rozporządzenia nawet powóz, w którym wolno było wyjeżdżać na miasto w asystencji urzędnika. Znikły więc wszelkie posądzenia o jakobinizm jego i o krwiożerczość rewolucyjną. Wszak okazało się, że nie podpisał ani jednego wyroku śmierci, oprócz zaocznego na dwóch oficerów, którzy wydali Kraków Prusakom. Jeśli doprowadził wojsko liniowe do liczby 95,000 głów, a doliczając mieszczan i włościan uzbroił 150,000 ludzi: to działał jedynie mocą intelektualną. Lekarz nadworny, Anglik Rogerson zapewnia, że imperatorowa wielce go szacowała i dwa razy przed śmiercią swoją naradzała się nad uwolnieniem jego i nad okazaniem mu względów szczególnych; stwierdza przytem smutny stan jego zdrowia: «Siły fizyczne i moralne tego pocziwego człowieka są prawie wyczerpane skutkiem długich cierpień... Tracę nadzieję uleczenia go: tyle wycierpiał na ciele i duszy, że organizm jego jest zrujnowany zupełnie i energia nerwów—czego się obawiam—zniszczona niepowrotnie».

Nie wykonała jednakże Katarzyna II swego zamiaru przed zgonem, który nastąpił d. 6(17) listopada 1796 r. Ale dziewiątego dnia potem, t. j. 15(26) listopada, jej następca, cesarz Paweł I, zajechawszy przed pałac Orłowa ze starszym swym synem Aleksandrem i z licznym orszakiem, wszedł do pokoju Kościuszki i rzekł: «Przyszędłem, mój generale, abym ci wolność przywrócił». Wrażenie tych słów było tak silne, że Kościu-

szko nie zdołał zdobyć się na odpowiedź. Widząc takie pomieszenie, cesarz usiadł obok niego i dobrotliwie zawiązał dłuższą rozmowę \*), w której Kościuszko wypowiedział swą «najczulszą wdzięczność i najwyższy szacunek» dla «wyższego nad zaszczyt tronu» władcy, ale zaraz ubolewać zaczął nad losem ojczyzny, który obchodził go bardziej, niż los własny. Cesarz przytoczył z historii przykłady upadku państw kilku, lecz nie uraził się obroną Polski, owszem, zakończył dysputę oświadczeniem: «Daleś mi do myślenia: mówiłeś do serca mego... Jeśli masz co żądać, mów śmiało i zwierz się jako przyjacielowi, bo jestem prawdziwym przyjacielem W Pana i chcę, abyś wzajemnie był moim».

Przy następnych odwiedzinach Paweł I, usłyszawszy prośbę o wyzwolenie wszystkich jeńców, wspomniął o wielkim oporze ministrów, którzy «sądzą ich za zbyt niebezpiecznych». «Chcesz-że ręczyć za nich?» zapytał. Kościuszko odpowiedział, że nie może dać słowa wprzód, nim się rozmówi z Ignacym Potockim. Otrzymał więc pozwolenie na rozmowę z nim w twierdzy Petropawłowskiej, a następnie wyzwolenie wszystkich—nie tylko uwięzionych w Petersburgu, ale i 12,000 wojskowych, zesłanych na Sybir. Ukaz był ogłoszony 29 listopada starego stylu 1796 r. Dla siebie Kościuszko uprosił pozwolenie wyjazdu do Ameryki.

Nadto obdarował cesarz Kościuszkę i Potockiego dobrami ziemskimi w Rosyi, po 1,000 «dusz» liczącemi, i kazał odebrać od nich, jako od właścicieli, przysięgę wiernopoddania. Przyjechał z tem do pałacu Orłowa Jerzy Wielhorski, marszałek dworu. Była to niespodzianka przerażająca. Kościuszko uprzytomnił sobie los 12-tu tysięcy rodaków i przysięgę wykonał, lecz wymówił się od przyjęcia dóbr, prosząc, aby ich wartość zamienioną była na pieniądze. Z oszacowania wypadła suma 60,000 rubli; niema jednak śladu, żeby ją Kościuszko wówczas podniósł.

\*) Spisaną dość obszernie przez księcia Gagaryna. Niewiarogodnym wcale jest sztych Gauguin'a (Londyn 1801), reprodukowany przez Orłowskiego i bardzo rozpowszechniony, przedstawiający Kościuszkę w huzarskim mundurze, zrywającego się na równe nogi przed cesarzem. Wszak ruch taki był niemożliwy fizycznie przy bezwładzie lewej nogi. Okratowane okienko również świadczy o samowolnem fantazyowaniu autora-artysty.



Na tem jeszcze nie zamknęła się hojność cesarza. Kościuszko otrzymał 12,000 rubli, pyszną karetę, umyślnie zbudowaną do leżenia, sobolowe futro, czapkę, buty futrzane, kuchnię podróżną i bieliznę stołową. Za tyle łask i dobroci zapragnął podziękować na pożegnaniu. Gdy przybył do pałacu Zimowego, d. 18 grudnia, w mundurze amerykańskim (z białymi wylogami), znalazł przed schodami czekające na siebie krzesło o dwu kołach. Przez długi szereg komnat gwardziści przyboczni (*les gardes du corps*) zatoczyli go do pokoju sypialnego, w którym Cesarz przyjął go jak najłaskawiej, bez ceremoniału urzędowego, w gronie rodziny swojej \*). Cesarzowa dała mu warsztat tokarski, cenniony na 1,000 rubli i zbiór kamei z portretami całej rodziny. Wielcy książęta i wielkie księżniczki żądali uprzejmie, aby często do nich pisywał. Aleksander całował go. Kościuszko ofiarował cesarzowej tabakierkę swojego wyrobu.

Nazajutrz po tej audyencji Kościuszko wyjechał z Petersburga w towarzystwie Niemcewicza, który wyrzekł się odwiedzenia własnego domu i krewnych na prośbę jego, i młodego, silnego oficera Libiszewskiego, który ofiarował się dobrowolnie do przenoszenia z powozu, lub na sofę w pokoju. Jechali też dawni słudzy: murzyn i Jean, których odprowadził dopiero w Szwecyi.

## X.

Cała podróż przez Finlandyę, Szwecyę, Anglię aż do Filadelfii była istnym tryumfem najskromniejszego i najmniej szczęśliwego z wojowników historycznych. W każdym mieście, jak tylko w gazetach ukazała się wiadomość o przyjeździe, powstawał ruch niezwykły. Mnóstwo osób spieszyło z wizytami, stowarzyszenia występowały

\*) Znakomity historyk rosyjski generał Szylder w swoim zarysie historyczno-biograficznym o cesarzu Pawle I (Petersburg, 1901) uzupełnił opowiadanie Niemcewicza następującym dodatkiem: «Podług innych informacji Paweł powiedział jeszcze do generała polskiego: «Nie przystoi takiemu walecznemu wojownikowi być bez szpady; weź moją». Monarcha wyjął ją z porte-épée i podał głęboko wzruszonemu Kościuszce.—«Wzywam Boga na świadka, że szpada łaskawie darowanej mi przez Cara rosyjskiego nigdy nie dobędę przeciwko Rosyanom», wyrzekł Kościuszko, pochylając głowę przed cesarzem». (Str. 319—320, nota 2).

z festynami i darami pamiątkowymi, poeci czcili odami, artyści wysilali się na sposoby podpatrzenia rysów do portretowania. Kościuszko przyjmował wizyty i zaprosiny, poczynając od Abo, gdzie znajdował się na koncercie Towarzystwa Muzycznego; w Sztokholmie odmówił tylko propozycji widzenia się z królem Gustawem IV-m nawet incognito w pałacyku wiejskim. W Anglii otaczały i przeprowadzały go tłumy mieszkańców miejskich i wiejskich; komenderujący w Bristolu pułkownik Thomas wysyłał codziennie muzykę wojskową do przygrywania przed jego mieszkaniem. Gdy niesiono go w lektyce na brzeg rzeki Avon, otaczali go oficerowie angielscy w wielkich mundurach i hełmach, towarzyszył konsul amerykański Elias Vanderhorst (dawny znajomy z południowej Karoliny) na czele gromady wielbicieli. Okręt «Adriana» przystroił się we flagi Rzeczypospolitej Amerykańskiej. Odpływającego Kościuszkę żegnano kapeluszymi, chustkami. Aż do Królewskiej Drogi (King's Road) na rzece Sewernie, przez całą długość Avonu każda skała i przylądek St. Vincent mieściły widzów, którzy wykrzykiwali gorące «farewell». Od pięknych will nadbrzeżnych przyływały wciąż łodzie z kwiatami i owocami.

«Adriana» zawinęła do portu Filadelfii dnia 18 sierpnia 1797 r. Natychmiast H. A. Heins, prezes «Emigrant Society» poczynił zarządzenia stosowne. Do okrętu popłynął bat, na którym znajdowało się ośmiu kapitanów okrętowych; sam Heins złożył życzenia w imieniu obywateli, za których wolność gość przybywający walczył niegdyś mężnie, narażając swe życie. Na to powitanie odpowiedział Kościuszko po francusku, gdyż stracił łatwość władania mową angielską: «Uważam Amerykę jako drugą moją ojczyznę i czuję się być nader szczęśliwym, gdy do niej powracam». Na krzesła zniesiono go na bat. Załoga okrętowa pożegnała trzykrotnem: «Niech żyje Kościuszko!», a lud wtórzył na brzegu. Skoro bat przybił do lądu, wniesiono Kościuszkę do karety, którą wnet otoczyły tłumy. Wyprężono konie i wśród nieustających wiwatów Filadelfijczycy ciągnęli go aż do zajętego dlań mieszkania przy ulicy Czwartej.

Żył jeszcze dużo dawnych znajomych. Wszyscy witali go osobiście, albo przez listy. Zapraszali do swych domów. Objeżdżał wielu; kilka tygodni spędził gościnnie u Gates'a, a najdłużej prze-



bywał u generała White. Chociaż zatracił swój certyfikat, Kongres polecił wypłacić mu przyznany w r. 1784 kapitał wraz z procentami od 1 stycznia 1788 r. Wypadła suma 18940 dolarów 25 centów, oprócz wydzielonego w swoim czasie gruntu.

Nagle, 5 czy 6 maja 1798 Kościuszko opuścił Amerykę, bez Niemcewicza i bez służącego Stanisława, ukryty pod nazwiskiem Tomasza Kanberga, a co dziwniejsza, uzdrowiony, chodzący o własnej sile, nawet nie podpierając się laską.

Do zrozumienia tego wypadku fizyologicznego mamy jedyne źródło w opowiadaniu generałowej White, powtórzonem przez jej wnuka, inżyniera Evans'a. Oto, około 26 marca Kościuszko otrzymał pakę listów z Europy. Czytając je, doznał tak silnego wzruszenia, że wyskoczył ze swego łóża aż na środek pokoju. Po chwili zawołał służącego, aby mu pomógł wrócić. Generałowi White powiedział krótko, nie wymieniając powodów: «Muszę zaraz wracać do Europy.» Uproszczeni przezemnie dwaj lekarze, neuropatolog i chirurg, \*) orzekli, że «wrażenie silne, zwłaszcza przyjemne, podniecająco działające, mogło bezwład ten czysto psychiczny usunąć, czem tłumaczyłoby się nagłe wyzdrowienie Kościuszki po otrzymaniu pomysłnych wiadomości.»

Treść listów pozostaje dotychczas nikomu nieznaną. Tylko z dziejów emigracji polskiej domyśleć się możemy, że było wiadomość o pomysłnem formowaniu legionów przez gen. J. H. Dąbrowskiego i o zawarciu przez niego z Administracją Generalną Rzeczypospolitej Cisalpińskiej konwencji d. 9 stycznia 1797 r., która artykułem 6-m zapewniała, że lud lombardzki będzie uznawał Polaków za braci, nie za wojsko obce; że udziela im prawa rzeczywistego obywatelstwa lombardzkiego, co nie przeszkodzi im w razie możliwości wrócić do ognisk domowych. Wódz naczelny francuskiej armii Włoskiej, Bonaparte, zatwierdził tę konwencję. Rozumiał więc Kościuszko, że przez te legiony Polska stała na równi z rządem istniejącym, uznanym i przytem republikańskim. Zwierzył się tedy przyjacielowi swemu, «filozofowi» Jeffersonowi, który zajmował wysoki urząd vice-prezydenta Stanów Zjednoczonych i ułatwił mu nie-

bezpieczną w czasie wojennym podróż przez uzyskanie pasportu od ambasady francuskiej. Na wyjeździe Kościuszko wręczył mu akt darowizny swojej «własności w Stanach Zjednoczonych,» (t. j. gruntów) na wykup murzynów z niewoli i na udzielanie im nauki.

Już d. 28 czerwca 1798 r. wylądował Kościuszko w Bayonnie i zaraz wyjawiał prawdziwe swoje nazwisko. Francuzi przyjęli go z wszelkimi honorami. W Paryżu Kościuszko złożył wizyty ambasadorom, a więc przybierał charakter polityczny. Wkrótce atoli zorientował się, że innym jest stan rzeczy, niż mu się przedstawiał z oddalenia przez szerokość Oceanu. Dostrzegł, że owa Rzeczpospolita Cisalpińska jest prowincją francuską, że Francya weszła na drogę podbojów i traktuje legiony polskie, jako najemnicze, cudzoziemskie wojsko. Nie przyjął tedy dowództwa naczelnego jawnie, chociaż odbierał raporty i utrzymywał poufny stosunek z dawnymi generałami swymi, Dąbrowskim i Kniaziewiczem. Parę razy winshawał Polakom mężstwa i sławy, zdobytej w krwawych bitwach na ziemi włoskiej. Powodował się instynktem dobrego żołnierza — spieszyć z pomocą swoim podczas wojny: ale sam, jako «najwyższy naczelnik siły zbrojnej narodowej» mógł dobyć szabli tylko pod własną narodową chorągwią i w marszu ku granicom Polski.

Bonaparte po powrocie z Egiptu, wizytując dostojników i znakomitości, był podobno u Kościuszki z komplementem; Kościuszko znajdował się na bankiecie, wydanym zwycięzcy z pod Piramid przez Rady Prawodawcze d. 15 brumaire (= 6 listopada 1799) w kościele św. Sulpicyusza. Bonaparte był ponury i zafrasowany, obszedł stoły, witając się z biesiadnikami, i zaraz odjechał na narady co do zamachu stanu. Nastąpiły niebawem dni 18 i 19 brumaire — Bonaparte został pierwszym konsulem i odtąd króczył wyraźnie prostą drogą do monarchii.

Z legionów, po raz kilka zapelnianych dla zastąpienia wielkiej liczby poległych, 5.647 głów wsadzono na okręty pod groźbą dział francuskich i wysłano przeciwko rzeczypospolitej murzyńskiej na San Domingo, gdzie wszyscy prawie wyginęli, gdyż wróciło do Europy niespełna 400 ludzi na okrętach angielskich.

Kościuszko doznał znów przygnębiających wrażeń, skarżył się na bóle głowy, zamknął się

\* Drowie Med.: Władysław Gajkiewicz i Marian Borsuk.

w sobie, nie wdawał się w żadne roztrząsania polityczne; często można było widzieć łzę w jego oku, ale niepodobna było dowiedzieć się, co ją wyciskało. Z Francuzów najdłużej bywał u Lebrun'a, z którym konferował w r. 1793, jako z ministrem, a który teraz wyszedł na podrzędnego konsula. Ten pewnego razu w licznej towarzystwie rzekł: «Czy wiesz, generale, że pierwszy konsul mówił o tobie?» Kościuszko odpowiedział na to: «Ja nie mówię nigdy o nim» i przestał bywać. Wkrótce minister policyi, ex-jakobin Fouché, ostrzegł go przyjaźnie, że «śledzą go osoby znakomite, których nigdyby nie posądził, że są szpiegami».

Wśród takich okoliczności Kościuszko zaprzyjaźnił się z dwoma braćmi Zeltnerami, Szwajcarami: Piotrem Józefem, ministrem pełnomocnym Związku Szwajcarskiego, i Franciszkiem Ksawerym, negocyantem oraz wójtem Solury. Do pierwszego z nich przeniósł się na mieszkanie w r. 1801. Wyjeżdżał na lato do jego wiejskiej posiadłości Berville, w pobliżu Fontaineblau; wkrótce stale tu zamieszkał, upatruwszy nieco podobieństwa do krajobrazu polskiego.

Wywołać go z tego zacisza spróbował Bonaparte, już jako Cesarz Francuzów i król Włoski, zwycięzca z pod Austerlitz i Jena, gdy zamierzał wprowadzić armię swoją na ziemię polską. Napisał 3 listopada 1806 r. z Berlina do ministra Fouché, aby wyprawił Kościuszkę ze wszystkimi Polakami, jacy przy nim znajdować się będą, ale w najściślejszej tajemnicy i pod przybranem nazwiskiem. Fouché przybył osobiście do Berville, ale w odpowiedzi na swą wyniosłą przemowę usłyszał zapytanie: »Co Jego Cesarska Mość zamierza uczynić dla Polski za jej pomoc? Zgorszony minister zagroził, że Cesarz «może rozkazać, abyś mu towarzyszył gdziekolwiekbyś, może robić wszelki użytek z usług pańskich, a ja nie widzę nic dobrego ani dla pana, ani dla ziomków pańskich w opieraniu się życzeniom mojego wielkiego i najdosłojniejszego władcy» — «Ekscelencyo, (odpowiedział z godnością Kościuszko) racz zapewnić JCMość, że doskonale rozumiem stanowisko swoje; przebywam obecnie w krajach JCMości, a zatem uważam się obecnie za poddanego. JCMość może rozrządzać mną wedle swej woli, może wlec mnie za sobą, lecz wątpię,

żeby w takim razie naród mój świadczył mu jakiekolwiek usługi».

Teraz spotkał go zawód najdotkliwszy. Pod datą 3 listopada Dąbrowski i Wybicki, którzy go za naczelnika narodu dotychczas uznawali i wyznawali, wydali już odezwę do Polaków, aby się uzbrajali dla Napoleona, od którego żadnego zobowiązania ani otrzymali, ani żądali. Zamieścili obietnicę lekkomyślną, że «Kościuszko, wezwany przez Wielkiego Napoleona, wkrótce przemówi do Nas z jego woli», nie zasięgnęli wszakże bezpośrednich rozkazów, lub wskazówek i nie cofnęli się, gdy Kościuszko nie przybył.

Wobec koronowanego monarchy postępek ich byłby nazwany zdradą stanu i ściągnąłby na nich karę główną. Kościuszko, jako zwierzchnik idealny, nie posiadający w tej chwili władzy materialnej, nie mógł takiej kary wymierzyć, a nawet protestacyi swojej nie miał możliwości nigdzie na lądzie europejskim ogłosić drukiem. Przy dobroćliwości i filozoficznych swoich przyzwyczajeniach nie wyrzekł też potępienia na dawnych podwładnych swoich z 1794 roku, ale w sercu czuł jednak żal i gorycz tem większą, że cały naród dał się wciągnąć za ich sprawą w niewolniczą służbę genialnego egoisty. Cóż miał czynić? Pozostawała mu tylko niema protestacya. Więc w Berville zabawał się uprawą ogródka, tokarstwem i wyrabianiem drewnianych chodaków. Był prawie więźniem. Pasportu do Szwajcaryi odmówiono mu, a dozór policyjny trwał bez ustanku.

Nadszedł rok 1812. Zbudowane przez Napoleona, ale też i wyzyskiwane bezlitośnie, Księstwo Warszawskie wystawiło 83.000 wojska, już nie najemniczego, bo nie tylko opatrzyło je własnym rynsztunkiem i żołdem, ale ogromne koszta poniosło na żywienie przeciągającej «wielkiej armii». I teraz wszakże Napoleon nie raczył wymówić upragnionego, tak niecierpliwie wyczekiwanego słowa. Wielka armia znikła na śnieżnych polach Rosyi. W 1813 Napoleon przybiegł do Paryża bezbronny. Zaledwo 130.000 młodzieży zdołał wyciągnąć z Francyi. Jakże potrzebnem i drogiem stało się dla niego wtedy wojsko polskie! Przyprowadził mu je książę Józef Poniatowski, odrzucając korzystne dla kraju propozycye cesarza Aleksandra, dochowując wierności sztandarowi—obcemu. Po strasznej bitwie naro-

dów pod Lipskiem oddał mu i życie, a pulki polskie poszły jeszcze dalej: do Renu; niektóre oddziały towarzyszyły strąconemu «bogu wojny» do Francji, aż do samego Fontainebleau, miejsca jego abdykacji i detronizacji.

Do Paryża weszli trzej tryumfujący monarchowie. Jeden z nich, najpotężniejszy, Aleksander I przypomniał sobie (sam, bo któżby śmiał mu przypomnieć?), że tu mieszka Kościuszko. Rozkazał oficerom polskim, aby mu złożyli winne uszanowanie.

Kościuszko uczuł głębokie wzruszenie, ale też domyślił się niewątpliwie, że będzie z nim mowa o Polsce.

I cóż tu mówić? W jakim charakterze?

Był skasowanym, zdegradowanym jej Naczelnikiem, emigrantem, tułaczem. Był wzgardzonym wodzem, ponieważ wojsko księstwa Warszawskiego nie okazało mu ani posłuszeństwa, ani uszanowania, a przychodzący obecnie oficerowie byli właściwie jeńcami wojennymi. Był zapomnianym sługą narodu, bo z czegożby przeżył tych lat kilkanaście, gdyby mu wdzięczniejsza Ameryka nie wypłaciła zasłużonego żołdu?

Ale Kościuszko w żadne targi z Polską nie wchodził. Zwał ją Ojczyzną swoją i jej zawsze całą swą istotność oddawał. Bez długiego przeto namysłu napisał list do cesarza Aleksandra z Berwille d. 9 kwietnia 1814 r. prosząc, aby raczył dać amnestię ogólną dla Polaków, wyzwolić włościan w ciągu lat 10-u i ogłosić się królem polskim z konstytucją zbliżoną do angielskiej. «Jeżeli prośby moje będą wysłuchane, przyjdę osobiście, lubo chory, paść do nóg Waszej Cesarskiej Mości dla podziękowania Mu i złożenia hołdu pierwszy, jako mojemu monarsze». Nie doczekawszy się odpowiedzi, przyjechał do Paryża i prosił o posłuchanie. Był przyjęty z otwartymi ramionami i otrzymał ustne zapewnienia najlepszych chęci dla Polski, a potem reskrypt datowany 3 maja 1814 w wyrazach, które go zadowolniły.

Ale nadciągnęły nowe burze, które wstrząsnęły Kongresem Wiedeńskim. Aleksander wezwał

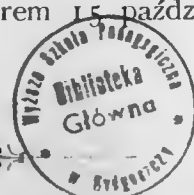
go do swej głównej kwatery listem, otrzymanym d. 15 kwietnia 1815 r. Kościuszko opuścił Berwille 3 maja; jechał przez Szwajcaryę i Bawaryę z utrudnieniami pasportowymi. Stanął jednak w Braunau 25 i spotkał tu cesarza d. 27 maja. Rozmowa, trwająca kwadrans w pokoju pocztmistrza, zmartwiła Kościuszkę. Pojechał jeszcze do Wiednia. Został tu rozstrzygnięty los Polski nie tak, jak się spodziewał. Więc napisał do cesarza Aleksandra 10 czerwca z gorącą podzięką za dobrodziejstwa, gotowane dla narodu polskiego, lecz dla spokojności swego sumienia błagał o jedno słówko łaskawego zapewnienia, że wspaniałomyślne obietnice zostaną spełnione w przyszłości. Ten list został bez odpowiedzi. Więc Kościuszko wyłożył cały swój pogląd na istotę Królestwa Polskiego Kongresowego w głęboko obmyślanym i szczerym liście do ks. Adama Czartoryskiego z d. 13 czerwca; wynurzał wdzięczność aż do śmierci dla «duszy wspaniałej, dobroczynnej, z nikim nieporównanej Wielkiego Aleksandra», za wznowienie imienia polskiego, lecz zakończył oświadczeniem, że jedzie do Szwajcaryi, nie mogąc zdalnie usłużyć Ojczyźnie.

Jakoż wyjechał z Wiednia, podróżował po kilku kantonach, wreszcie osiadł w Solurze (Solleure, Solothurn) w pokoju, wynajętym u Franciszka Ksawerego Zeltnera. Znalazł tu najtroskliwszą opiekę i cześć najgłębszą. Znało go i czciło miasto całe, mile, ale niewielkie (około 4.000 ludności). Odwiedzali cudzoziemcy i przyjezdni rodacy; zastępowali mu drogę ubodzy, gdy wyjeżdżał na spacer w powoziku lub konno, mając zawsze drobną monetę do rozdawania.

Tu leżał na łożu śmiertelnym d. 1 października, 10-go podyktował testament, zachowując przytomność umysłu, mimo wzrastającej gorączki i osłabienia pulsu. Mówił o Ojczyźnie, lecz obcy słuchacze powtórzyć słów jego nie zdołali. Wydał ostatnie tchnienie o godzinie 10-ej wieczorem 15 października 1817 r.

Tadeusz Korzon.

*Uwaga ikonograficzna.* Istnieje mnóstwo portretów Kościuszki z r. 1794 mniej lub więcej prawdopodobnych i wcale niedorzecznych, jak np. w zawoju i chylacie tureckim. Komponowano też ich dużo po jego śmierci, wedle fantazyi artystów. Sam Kościuszko przesłał generałowej White dwa portrety: jeden Cosway'a, drugi przez Cheynesse'a wykonany, lecz mnie dotychczas nie znany. Portret Cosway'a pochodzi z roku 1794, t. j. z czasu przejazdu przez Londyn do Ameryki. Przedstawia Kościuszkę leżącego na sofie; na głowie biała przepaska. Rysy są podobne do tych, jakie widzimy na portrecie, zrobionym wcześniej, zapewne w r. 1792, przez Grassi'ego. Tento portret podajemy, jako wysoce wiarogodny. Artyści uznają, że musiał być robiony z natury. (Przyp. autora).





# SPIS ŻYCIORYSÓW,

*zawartych w tomie drugim*

Albumu biograficznego zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX.

	Str.		Str.
Antoniewicz Karol Bołoz ks., <i>przez Benzelstjerna-Engeströma</i> . . . . .	98	Koźmiński Stanisław, <i>przez Dra med. Józefa Peszkego</i> . . . . .	122
* Bandtkie-Stężyński Jan Wincenty, <i>przez Dra Stanisława Kutrzebę</i> . . . . .	221	* Krasieński Zygmunt, <i>przez Józefa Kallenbacha</i> . . . . .	33
Bem Józef, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . . . . .	424	* Kraszewski Józef Ignacy, <i>przez Piotra Chmielewskiego</i> . . . . .	65
Brzostowski Karol, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . . . .	311	* Kronenberg Leopold, <i>przez Henryka Radziszewskiego</i> . . . . .	419
* Chałubiński Tytus, <i>przez Józefa Grabowskiego</i> . . . . .	464	* Le Brun Aleksander, <i>przez Dra Józefa Peszkego</i> . . . . .	280
Chodźko Ignacy, <i>przez Romana Plenkiwicza</i> . . . . .	373	* Lenartowicz Teofil, <i>przez Piotra Chmielewskiego</i> . . . . .	361
* Chopin Fryderyk, <i>przez A. Polińskiego</i> . . . . .	440	Liske Xawery, <i>przez J. K. Kochanowskiego</i> . . . . .	275
Chrzanowski Wojciech, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . . . . .	78	Łubieński Tomasz, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . . . . .	116
Daniłowicz Ignacy, <i>przez Lucyana Uziębłę</i> . . . . .	266	Łyskowski Ignacy, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . . . .	61
Demiński Henryk, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . . . . .	319	Maciejowski Wacław Aleksander, <i>przez Dra Stanisława Kutrzebę</i> . . . . .	226
* Dietl Józef, <i>przez Józefa Grabowskiego</i> . . . . .	290	* Majer Józef, <i>przez Dra med. Józefa Peszkego</i> . . . . .	126
Dobrowolski Franciszek, <i>przez Henryka Szumana</i> . . . . .	474	* Marcinkowski Karol, <i>przez Bolesława Krysiwicza</i> . . . . .	20
* Feliński-Szczęśny Zygmunt ks., <i>przez X. T. Matuszewskiego</i> . . . . .	143	Marszałkiewicz Stanisław, <i>przez Henryka Piątkowskiego</i> . . . . .	137
* Gierymski Maksymilian, <i>przez Antoniego Piotrowskiego</i> . . . . .	180	* Matejko Jan, <i>przez Antoniego Piotrowskiego</i> . . . . .	938
Girsztowt Polikarp, <i>przez Dra Józefa Peszkego</i> . . . . .	348	Matuszewicz Tadeusz, <i>przez Józefa Bojańskiego</i> . . . . .	140
* Goszczyński Seweryn, <i>przez Romana Plenkiwicza</i> . . . . .	1	Michałowski Piotr, <i>przez Henryka Piątkowskiego</i> . . . . .	148
Grabowski Ambroży, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . . . .	216	Morawski Franciszek, <i>przez Ignacego Chrzanowskiego</i> . . . . .	156
Grabowski Michał, <i>przez Dra T. Grabowskiego</i> . . . . .	448	Morawski Teodor, <i>przez Włodzimierza Ossowskiego</i> . . . . .	335
* Helcel Antoni Zygmunt, <i>przez Oswalda Balzera</i> . . . . .	253	Muczkowski Józef, <i>przez Karola Estriciera</i> . . . . .	414
Hołowiński Ignacy ks., <i>przez Ks. Seweryna Popławskiego</i> . . . . .	170	Niegolewski Władysław, <i>przez Dra Władysława Rabskiego</i> . . . . .	385
Hube Romuald, <i>przez Karola Dunina</i> . . . . .	233	* Ostrowski Tomasz, <i>przez Wacława Tokarza</i> . . . . .	451
* Jachowicz Stanisław, <i>przez Anielę Szygównę</i> . . . . .	315	* Pawiński Adolf, <i>przez J. K. Kochanowskiego</i> . . . . .	409
Jarochoński Kazimierz, <i>przez J. K. Kochanowskiego</i> . . . . .	185	Podczaszyński Bolesław, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . . . .	58
Jocher Adam Benedykt, <i>przez Romana Plenkiwicza</i> . . . . .	83	* Pol Wincenty, <i>przez Piotra Chmielewskiego</i> . . . . .	340
Kantak Kazimierz, <i>przez Benzelstjerna-Engeströma</i> . . . . .	250	Prażmowski Adam, <i>przez Stanisława Kramsztyka</i> . . . . .	95
Kopernicki Izidor, <i>przez Jana Karłowicza</i> . . . . .	45	* Prądzyński Ignacy, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . . . . .	193
Korotyński Wincenty, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . . . .	366	Rastawiecki Edward, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . . . .	218
* Korzeniowski Józef, <i>przez Piotra Chmielewskiego</i> . . . . .	239	Rodakowski Henryk, <i>przez Henryka Piątkowskiego</i> . . . . .	286
* Kościuszko Tadeusz, <i>przez Tadcusza Korzona</i> . . . . .	492	Romanowski Mieczysław, <i>przez Henryka Gallego</i> . . . . .	15



	Str.		Str.
* Rzewuski Henryk, <i>przez Romana Plenkiewicza</i> .	102	* Ujejski Kornel, <i>przez Ignacego Chrzanowskiego</i> .	161
* Szczaniecka Emilia, <i>przez Benzelstjerna-Engeströma</i> . . . . .	269	Wawrzecki Tomasz, <i>przez Aleksandra Kraushara</i> . . . . .	154
* Sokolnicki Michał, <i>przez Michała Sokolnickiego</i> .	328	Wilczyński Jan Kazimierz, <i>przez Lucyana Uziębłę</i> . . . . .	245
Sowińska Katarzyna, <i>przez Stanisława Kyjńskiego</i> . . . . .	488	Wójcicki Kazimierz Władysław, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . . . .	55
* Sowiński Józef, <i>przez Wacława Tokarza</i> . . .	484	Wróblewski Zygmunt <i>przez Stanisława Kramsztyka</i> . . . . .	30
Stawiski Ignacy, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . .	63	Wybicki Józef, <i>przez Włodzimierza Ossowskiego</i>	396
Strojnowski Hieronim, <i>przez Dra Władysława Zahorskiego</i> . . . . .	304	Zajączek Józef, <i>przez Wacława Tokarza</i> . . .	430
Stronczyński Kazimierz, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . . . .	173	Zaleski Marcin, <i>przez Henryka Piątkowskiego</i> .	140
* Supiński Józef, <i>przez Stanisława Kempnera</i> .	369	Ziemięcka Eleonora, <i>przez Maryę Chelmońską</i> .	479
Świdziński Konstanty, <i>przez Ks. Wacława Nowakowskiego</i> . . . . .	188	* Żmichowska Narcyza (Gabryela), <i>przez Ignacego Chrzanowskiego</i> . . . . .	86
* Szajnocha Karol, <i>przez J. K. Kochanowskiego</i> .	52	Żółkowski Aloizy, <i>przez Władysława Bogusławskiego</i> . . . . .	457
Szokalski Wiktor Feliks, <i>przez Dra Zygmunta Kramsztyka</i> . . . . .	12		
Szulc Dominik, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . .	49		
Titius Julian Dr. <i>przez Dra Władysława Zahorskiego</i> . . . . .	176		

UWAGA. Życiorysy, oznaczone gwiazdką, mają portrety drukowane na papierze kredowym.



Księg. inwent.

## WAŻNIEJSZE OMYŁKI W DRUKU.

Strona	Szpalt	Wiersz	wydrukowano:	powinno być:
4	II	17 z dołu	pochłania	pochłania,
16	II	24 z góry	pierwiastka	pierwiastku
79	I	3 g.	podpółkownika	podpułkownika
99	I	1 g.	gdzie matka	matka
100	I	10 d.	si	się
105	I	18 g.	sylwetką	sylwetkę
106	I	6 d.	aueroli	aureoli
109	I	14 g.	apotezując	apoteozując
109	II	8 d.	z niczem	w niczem
111	I	14 d.	zaważonym	zauważonym
113	II	d.	; a umacniającym	, umacniającym
164	I	1 g.	poty	poety
177	II	23 d.	Sawica	Sawicz
200	I	10 d.	14	10
223	I	9 g.	Pierwszą	Pierwszą
231	I	5 d.	prace	prace
237	I	1 d.	<i>Antiquissi mae</i>	<i>Antiquissimae</i>
238	II	12 d.	hierarchii Pań- stwowej	hierarchii państwo- wej
243	II	1 g.	Sczęście	Szczęście
252	I	18 g.	poetycznem	poetycznym
269	I	8 d.	Szaniecka	Sczaniecka
284	I	17 g.	ścięgień	ścięgien

Strona	Szpalt	Wiersz	wydrukowano:	powinno być:
291	I	20 d.	w Padwie,	w Padwie
292	I	18 d.	piersiowej,	piersiowej
296	I	19 d.	sławą	sławę
304	I	2 d.	Rasine	Racine
306	II	20 d.	Wejsenhoff	Weyssenhof
320	I	11 d.	25	24
321	II	18 d.	5	6
325	I	8 g.	w Niemecznynie	w Niemencznynie
327	II	5 i 9 d.	Temeszwar	Temessvar
387	I	21 d.	Machiawelizmem	nachiawelizmem
400	II	1 d.	Władysław	Włodzimierz
409	I	4 g.	kulturalną	kulturalną
410	II	15 d.	gęsto	często
424	I	7 g.	1890	1807
425	II	10 d.	Kazimierza	Ignacego
425	II	9 d.	grenadyerów	2-go liniowego, je- gwardyi, jedne- go z sekundantów
428	II	18 g.	liczących	liczący
442	II	11 g.	hogdanki	bogdanki
457	II	8 d.	drawie	prawie
473	II	14 d.	organizacyę,	organizacyę

